II 768.110

JÓZEF WITTLIN

PISMA

*

ORFEUSZ W PIEKLE XX WIEKU

INSTYTUT LITERACKI

PARYŻ 1963

ORFEUSZ W PIEKLE XX WIEKU

BIBLIOTEKA "KULTURY"
Tom LXXXV

IMPRIME EN FRANCE

Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)

JÓZEF WITTLIN

PISMA

★

ORFEUSZ W PIEKLE XX WIEKU

INSTYTUT LITERACKI

PARYŻ 1963

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001010152322

BIBLIOTEKA NARODOWA
BN

II.768.110

© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1963.

1968 W 1069

PRZEDMOWA

Decydując się na wydanie tej książki ulegam namowom kilku przyjaciół, przede wszystkim: Dr Zoi Juriew, dra Alfreda Berlsteina, red. Jerzego Giedroycia i Kazimierza Wierzyńskiego. Nie wiem, czy mam być im wdzięczny za to, że skłonili mnie do czegoś, czym po ich i moim najdłuższym życiu mogliby zająć się ich i moi potomkowie. Oczywiście tylko wówczas, gdyby tzw. całokształt mej pracy pisarskiej usprawiedliwiał ogłaszanie marginaliów tej pracy. Za marginalia bowiem uważam zebrane w tym tomie szkice i artykuły, opowiadania i opisy, notatki z podróży i lektur, odczyty i przemówienia, recenzje i polemiki pisane w ciągu czterdziestu prawie lat. Najstarsze z zamieszczonych tu utworów pochodzą z r. 1923 i dają świadectwo młodzieńczym pasjom i uniesieniom. Wspominając je dzisiaj nie zawsze odczuwam zażenowanie. Wydaje mi się, że nasza młodość była okresem wielkiej prosperity *umysłu i serca. Zwłaszcza w porównaniu z tym, czym obecnie przejmują się młodzi ludzie, jeśli ich w ogóle stać na uniesienia i pasje. A jeśli ich nie stać, jeśli młodzież naszych czasów słucha z politowaniem o niegdysiejszych walkach ze złem, czy z wiatrakami, zapewne nie jest to tylko jej wina. Do tej trzeźwej, pozbawionej złudzeń młodzieży pragnę się zbliżyć tą książką.*

Przyjmując, że już za życia zasłużyłem na przypomnienie tych marginaliów z lat międzywojennych, wojennych i powojennych, dziękuję najserdeczniej wymienionym wyżej osobom za przyjazną inicjatywę i czynną pomoc w przygotowaniu tej książki. Do jej ogłoszenia ośmiela mnie również fakt, iż często po latach to, co uważaliśmy za margines przestaje być marginesem, a co uważaliśmy za bocznicę — okazuje się głównym torem, po którym toczyło się nasze życie wraz z tego życia sensem lub bezsensem czyli: twórczością.

Nigdy nie pisałem pamiętników, nie prowadziłem dzienników i nie zamierzałem pisać autobiografii. Wydaje mi się, że

każdy uczciwy utwór literacki zawiera pierwiastki autobiograficzne, nawet, gdy jest opowieścią o zwierzętach, w niczym do autora nie podobnych. Najlepsze, najbardziej szczere autobiografie komponuje się z zamiarem, że będą autobiografiami. A wszelka kompozycja, na pozór nawet bezładna, musi być posłuszna prawom harmonii i kontrapunktu. Istnieją autobiografie układane z wyraźną myślą o czytelniku, któremu autor sugeruje spojrzenie na swoją osobę — według swego upodobania. Inne nie oglądają się na czytelnika: służą jedynie pisarzowi pragnącemu sobie uświadomić kim jest, po co i w jakim świecie żyje. Ten drugi rodzaj wydaje mi się ważniejszy od pierwszego i zwykle bardziej przemawia do czytelnika. W obu wypadkach autobiograf musi dokonać wyboru z całego materiału, jakim rozporządza. Wybiera więc takie szczegóły swego życia, jakie uważa za ciekawsze od innych, w jego mniemaniu błahych lub zgoła niewygodnych. Boć są i takie, które mogłyby zniekształcić, a nawet zburzyć całą konstrukcję wizerunku własnego. Zdarza się wszakże, że autor wcale nie chce zjednać czytelnika tym, co uznał w sobie za godne podziwu lub sympatyczne. Przeciwnie: pragnie go zafrapować odrażającymi rysami swego charakteru lub gorszącymi epizodami swego życia. Jest to kokieteria ogromnie modna w czasach, gdy już tylko szpetota ma walor prawdy. Ale i w tym wypadku mamy do czynienia z starannie obmyślaną kompozycją. Autobiograf, czy pamiętnikarz wolny zarówno od chęci podobania się, czy samozohydzenia należy do rzadkości. Ale i taki co zdobył się na idealną obojętność wobec swej osoby, nie przestaje być konstruktorem panoramy swego życia.

„Orfeusz w piekle XX wieku" może uchodzić za autobiografię. Od innych różni się tym, że jest autobiografią niezamierzoną *i* niekomponowaną. *Złożyły się na nią niepowiązane z sobą epizody życia autora oraz okruchy myśli, chwytanych w ciągu czterdziestu lat na gorącym, czasem aż spalającym na popiół uczynku. Niektóre z tych lat mnie samemu już zalatują egzotyką. Jako całość ten „Orfeusz" nie ma dystansu do tego, co działo się w owych latach. To Orfeusz, który nie przekroczył zakazu i, wracając z piekła, co prawda bez Eurydyki, nie spojrzał za siebie. Jest to więc autoportret bez perspektywy, bez retuszu i bez „poprawek historycznych", które by zjawiska, słusznie lub mylnie, osądzone wówczas, gdy były nowe, ukazały w odmiennym świetle dnia dzisiejszego. Wszystkie teksty zostały tu powtórzone w ich pierwotnym kształcie, przez co, jak sądzę, zachowała się aura czasów minionych, ich smak lub niesmak.*

A może najwłaściwszym określeniem tej książki będzie: autoportret?

Autoportrety były zawsze wielką ambicją malarzy i rzeźbiarzy. Starają się oni pokazać w nich nie tylko kwintesencję wiedzy o samym sobie, ale poprzez własną postać i oblicze orzec co wart jest świat, w którym im żyć wypadło. Jedni oglądają siebie w zwierciadłach, wpatrują się w każdą zmarszczkę, inni bardziej ufają wyobraźni, zapewne wierniejszej i bliższej prawdy niż lustro. Zamiast wpatrywać się w siebie, malują jak gdyby z zamkniętymi oczyma. Tak czy owak, trudno jest sportretować siebie „obiektywnie". Bo któż potrafi spojrzeć na siebie cudzymi oczami? A jeśli, to czyimi? Oczami innych ludzi, czy też istot spoza świata człowieczego? Może oczami Boga? Owszem, byli artyści, którym się zdawało, że Stwórca widzi ich właśnie tak jak oni siebie wyobrażają. Była w nich jednocześnie pycha i pokora. Pokora, ponieważ uznali swą sztukę za dar nieba, z którego na ich tworzące ręce spadła iskra. Ale wracając na twardy, ziemski grunt, musimy stwierdzić, że jak u autobiografa i pamiętnikarza nie podobna też u autoportrecisty pominąć jego miłości własnej lub niechęci do siebie. Istnieją portrety wybitnie masochistyczne, a przy tym tak ujmujące szczerością, że trudno ich twórców posądzać o rynkowe wyrachowanie. A nie mówimy tu o karykaturach.

Jeśli więc „Orfeusz w piekle XX wieku" jest autoportretem, to niech mi wolno będzie sądzić, że jest pozbawiony obciążeń przyrodzonych temu rodzajowi twórczości. Stał się autoportretem mimo woli. I dopiero po czterdziestu latach. Był malowany na raty, kawałkami, bez jednolitego planu i bez lustra. W ciągu tylu lat twarz autora musiała ulec niejednej zmianie. Osobliwością tego „autoportretu" jest to właśnie, iż ukazuje kolejne zmiany na twarzy portretowanego. Ale i ten proces nie był zamierzony. A może powinno się tu mówić nie o jednej, ale o wielu twarzach?

Nazwawszy tę książkę autoportretem, winniśmy rzec, z jakiej racji prezentujemy publiczności naszą twarz. Przede wszystkim z powodu tła, na którym ta twarz się rysuje. Tłem są tu arkadyjskie rzekomo czasy sprzed pierwszej światówki, potem lata wojenne 1914-1918-1920, następnie dwudziestoletnie interbellum, *potem druga światówka, uchodźcze wędrówki, no i trwałe, do znudzenia trwałe, a tak patetycznie zwane — wygnanie. Jak na jeden żywot — tło zgoła niemizerne. Znajdzie też czytelnik, szczególnie w początkowych częściach tej książki, coś w rodzaju kroniki złudzeń, jakim nie tylko sam autor, ale i wielu z jego pokolenia ulegało w czasie wielkiej wojny i w pierwszych latach niepodległości państwa polskiego. Mało jest rzeczy tak pouczających, jak złudzenia. Bez nich nie byłoby życia, ani sztuki, ani tej starej wszetecznicy, która ongi była muzą Klio.*

Nasuwa się tu również myśl o anachroniczności pewnych pojęć i uczuć, wyrażonych w młodzieńczych rozdziałach tego „Orfeusza". Do powstania wielu anachronizmów przyczyniło się błyskawiczne tempo, w jakim nasz świat nawiedziły rozliczne klęski moralne. Na tych anachronizmach możemy prześledzić ewolucję, jakiej w ciągu czterdziestu lat uległa nasza wrażliwość. Właściwie, mówić by należało o ewolucji zaniku *naszej wrażliwości. Wyrazu: wrażliwość używam tu również w anachronicznym, ba, może nawet archaicznym brzmieniu. Mam na myśli wrażliwość na* cudzą *krzywdę,* cudzy *ból,* cudze *nieszczęście. Przymiotnikiem: „cudzy" modernizuję anachroniczne pojęcie bliźniego. W latach dwudziestych przejmowaliśmy się jeszcze byle czym. Ówczesne krzywdy, wołające o pomstę do nieba, wydają się nam dzisiaj miniaturowe, luksusowe, a czasem i śmieszne. Nostalgia ogarnia za tymi krzywdami. Lata trzydzieste, w których doszedł do władzy Hitler, lata stalinowskich procesów i mordów, można uważać za przełomowe, jeśli chodzi o naszą moralność. I o odporność naszych nerwów. Dam przykład. Na kilka lat przed wojną rozbił się koło Bordeaux olbrzymi, jak na owe czasy, sterowiec; zginęło kilkadziesiąt osób. Na wiadomość o tej katastrofie wielu z nas nie mogło spokojnie usnąć. Jakie katastrofy muszą nawiedzić teraz* innych *ludzi, żebyśmy spać nie mogli? Chyba już takie, dzięki którym wszyscy uśniemy na wieki.*

W czasie pisania tej przedmowy, powódź koło Barcelony spowodowała śmierć blisko czterystu ludzi, a tysiące pozbawiła domów. Fidel Castro jednego dnia wymordował przeszło siedemdziesięciu przeciwników. W miejscowości Oxford w stanie Mississippi (gdzie większą część życia spędził i gdzie umarł William Faulkner) wybuchły krwawe zamieszki z powodu jednego studenta o czarnej pigmentacji skóry. Student ten nosi nazwisko znakomitego powieściopisarza angielskiego: Meredith. Otóż ten czarny Meredith, jeden jedyny z Murzynów w stanie Mississippi, został przyjęty do uniwersytetu w Oxfordzie, ale trzeba było zmobilizować poważne siły zbrojne Stanów Zjednoczonych, żeby mógł pod silną eskortą przekroczyć progi uczelni. W zamieszkach oxfordzkich, pachnących wojną domową, zginęły zaledwie dwie osoby. Ale konflikt trwa.

W odległości dwóch kilometrów od domu, gdzie piszę te słowa, pękł przed kilku dniami kocioł parowy w dzielnicowej centrali telefonów, powodując straszliwą eksplozję. Zginęło dwadzieścia jeden osób, przeważnie młodych dziewcząt, około stu odniosło ciężkie rany. Tych wszystkich złych wieści wysłuchałem przez radio, pożałowałem ofiar i spokojnie wróciłem do swoich zajęć. Nie mogę powiedzieć, żebym był zachwycony tym

stępieniem mojej wrażliwości. Powiadamy sobie w takich wypadkach: „Niestety nic na to nie możemy poradzić, nasze współczucie nie wskrzesi zmarłych".

O tak, anachroniczne wydają się dzisiaj zmartwienia naszej młodości. A jeśli rodzaj ludzki zginie z rąk ludzi, winę za to poniosą nie tylko sprawcy zagłady, ale i zobojętnienie „niewinnych".

Niektóre anachronizmy i aluzje w „Orfeuszu" wymagają objaśnień. Już w pierwszym szkicu „Wojna, pokój i dusza poety", od którego rozpoczyna się wydana w roku 1925 książka pod tym samym tytułem, napotykamy takie zdanie: „rodzi się w nich" (mowa o kombatantach) „cnota męstwa, poświęcenia, wytrzymałości... a przede wszystkim umiejętność szanowania przeciwnika". *Jeśli rzeczywiście taka umiejętność zrodziła się wśród uczestników pierwszej wojny światowej, to żywot jej był krótki i chyba nikt jej nie zauważył wśród kombatantów drugiej wojny. W tym samym szkicu wspominam Fritza Habera i Emila Fischera. Kto dziś pamięta te nazwiska? Może tylko koledzy tych wielkich uczonych. Trzeba więc przypomnieć je tutaj. Profesor Fritz Haber był dyrektorem berlińskiego Instytutu im. Cesarza Wilhelma, gdzie kierował badaniami z zakresu chemii fizykalnej i elektrochemii. W czasie wielkiej wojny zajmował się badaniem gazów bojowych oraz użyteczności masek przeciwgazowych. Uchodzi za jednego z twórców wojny gazowej. Emil Fischer, o którym autor „Wojny, pokoju i duszy poety" pisze jako o przyszłym wybawicielu głodującej ludzkości, był również wybitnym chemikiem. W roku 1902 otrzymał nagrodę Nobla. W czasie pierwszej wojny nie zajmował się gazami bojowymi, lecz ułatwiał Niemcom życie wynalazkami syntetycznych artykułów spożywczych głównie glukozy. Na początku tego samego szkicu jest mowa o „jutrzence Protokołu Genewskiego, rozpiętej niby tęcza nad potopem świata". Jakaż to jutrzenka? We wrześniu 1924 r., na piątym zgromadzeniu plenarnym Ligi Narodów, premier Wielkiej Brytanii, Ramsay MacDonald wystąpił z projektem całkowitego rozbrojenia. Dowodził, że w naszym interesie leży bardziej pokój niż „tworzenie nowej maszynerii obronnej. Maszynerię obronną stworzyć można łatwo, ale strzeżmy się, byśmy stwarzając ją, nie zniszczyli szans pokoju". 2 października 1924 r. zgromadzenie Ligi uchwaliło Protokół. Zanim ta uchwała weszła w początkowe stadium realizacji, parlament brytyjski rozwiązano, a ministrem spraw zagranicznych w rządzie króla Jerzego piątego został Austen (późniejszy Sir Austen) Chamberlain. Z miejsca zażądał odroczenia konferencji rozbrojeniowej, zaś 12 marca 1925 r. na zebraniu rady Ligi oświadczył,*

że rząd Jego Królewskiej Mości Protokół Genewski odrzuca. Tak więc moja „jutrzenka" zgasła, nim z niej wytrysły promienie słońca.

W tym samym szkicu, pośród najważniejszych dzieł literatury antywojennej, wymieniam popularny w Europie zbiór nowel pisarza niemieckiego Leonarda Franka, pod znamiennym tytułem: „Człowiek jest dobry". W tytule tym nie ma cienia ironii. Mimo wstrząsających poetyckim realizmem opisów walk na froncie zachodnim, przemawia z tych nowel gorąca wiara w przyrodzoną człowiekowi dobroć. Dobroć tę pogwałciła tylko garstka nieludzkich tyranów oraz przewrotnych polityków, którzy wojnę wywołali, no i tych, którzy puszczają w ruch mechanizm wojny. Ale kombatanci po obu stronach, przymusowo zmobilizowani ojcowie rodzin, nienawidzą wojny i marzą o jej najrychlejszym końcu. Bez względu na jej wynik. Oczywiście wszyscy są przekonani, że taka wojna już nigdy się nie powtórzy.

W październiku 1939 roku spotkałem Leonarda Franka w Paryżu. Już od kilku lat był emigrantem z hitlerowskich Niemiec. Na moje pytanie, czy wciąż jeszcze sądzi, że człowiek jest dobry, nie żyjący dziś, szlachetny pisarz-pacyfista, odparł z bolesnym uśmiechem: „Nie, ale powinien być dobry". Tak oto nawet sam tytuł jego pięknej książki stał się anachronizmem w roku 1939. Ale kto wie, czy w odpowiedzi Leonarda Franka nie ma nauki dla wszystkich, którzy stracili wiarę w człowieka? Dla wszystkich, co w przewidywaniu ostatecznych katastrof, przestali się zajmować człowiekiem i jego skompromitowaną „duszą"? Czy nie jest szczytnym zadaniem literatury wskazywać człowiekowi, jakim on być powinien, wmawiając mu, niejako na kredyt, cnoty, których chwilowo mu brak?

Wspomniałem o skompromitowanej „duszy" ludzkiej. Słowo dusza ująłem w cudzysłów, czego nie robiłem w tekstach, składających się na tę książkę. Możliwe, że i słowo i pojęcie dusza *też stały się już anachroniczne, chociaż tak często używają go dzisiaj psychologowie i psychoanalitycy. Być może, że w moich młodzieńczych pismach „dusza" jest spadkiem po, niesłusznie dziś pomiatanej, „Młodej Polsce". „Młoda Polska" nadużywała „duszy", przeważnie tam, gdzie wchodziły w grę — ciała. Ale dusza jest starsza od „Młodej Polski", istniała na długo przed Przybyszewskim, „Życiem" i „Chimerą". Nawet tak trzeźwi realiści, jak władcy Imperium Rzymskiego mówili o niej bez zakłopotania. Na przykład cesarz Marcus Annius Verus, znany lepiej jako Marek Aureli. W „Rozważaniach o sobie samym" wciąż mówi o duszy i przytacza lapidarne zdanie Epikteta: „Człowiek to jedna dusza i jeden trup". Więc proszę się nie gorszyć tym, może już*

szczątkowym, organem człowieka, na który często powołuję się w tej książce.

Ale są w niej także inne anachronizmy. Aż niepojęte z perspektywy 23 lat, spędzonych poza krajem rodzinnym. W krótkim opowiadaniu pod tytułem „Język polski w Ste Honorine", napisanym w roku 1930, a włączonym do wydanej dwa lata później książki pt. „Etapy", pozwolił sobie autor na sparafrazowanie Mickiewicza:

„Tak mnie przenieś cudem na Obczyzny *łono"*

W złą godzinę autorze, napisałeś te słowa, nie przeczuwając, że tak rychło staną się ciałem. Można by osobną książkę napisać o atmosferze, w jakiej powstała ta parafraza. Ale że „Orfeusz w piekle XX wieku" jest autoprotretem bez retuszu, pozostawiam nietknięty ten wybryk, który trudno nazwać młodzieńczym.

Drobniejsze anachronizmy, to ówczesne proporcje walutowe, dystanse, ceny itp. Na przykład w „Inwentarzu kultury narodowej" jest mowa o ziemi, „którą można skokietować z wysokości pięciuset metrów". Komuż to w epoce odrzutowców i lotów dokoła ziemskiej orbity zaimponuje taka wysokość?

„Etapy" weszły w całości do „Orfeusza". Jest w nich jeszcze spora doza radości z życia, wypływającej z uczucia, że to życie, mimo znaków na niebie i na ziemi nie musi skończyć się katastrofalnie. Na „Etapy" złożyły się opisy podróży do Włoch, Francji i Jugosławii w czasach, kiedy podróżowanie z Polski do innych krajów Europy było wielką atrakcją, spotęgowaną trudnościami paszportowymi i dewizowymi. (Nie chcę przez to powiedzieć, że w obecnych czasach podróże zagraniczne obywateli polskich są pozbawione tych trudności). Przed-wojną jeździli zagranicę przeważnie ludzie zamożni oraz pisarze i artyści, którym stypendia rządowe ułatwiały studia obcych kultur na miejscu, gdzie te kultury się rodziły. Autor „Etapów" korzystał również z tych stypendiów. Pisarz podróżujący z Polski zagranicę poczuwał się do obowiązku dzielenia się swymi wrażeniami z mniej uprzywilejowanym czytelnikiem. Stąd rewelacyjny niekiedy charakter i ton opisów miejsc dziś powszechnie znanych. Jeśli nie z autopsji, to z kina i telewizji. Rozwój i masowość turystyki w naszych czasach odebrały podróżom po Europie posmak przygody, dostępnej tylko elitom. Atmosfera wyjątkowości, przenikająca „Etapy" dzisiaj już nie istnieje. Na „Etapy" złożyły się reportaże literackie, posyłane do pism warszawskich, takich jak „Tygodnik Ilustrowany", „Wiadomości Literackie", „Gazeta Polska", oraz odczyty, wygłaszane przed mikrofonem Polskiego Radia.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

Skoro wspominamy radio, wypada na zakończenie tej przedmowy wyjaśnić, skąd wziął się tytuł tej książki. Autor nie śmie podsuwać czytelnikowi przypuszczenia, że jej treść pozostaje w związku z religią lub z poezją orficzną. Nawet nie z liryką neoorfików XX wieku, której szczytowym osiągnięciem są „Sonety do Orfeusza" R.M. Rilkego, kongenialnie na język polski tłumaczone przez Mieczysława Jastruna. Autor niniejszej książki wyznaje sakralne nieomal prawdy, zawarte w strofach:

Nur wer mit Toten vom Mohn
ass, dem ihren,
wird nicht den leisesten Ton
wieder verlieren.

co w przekładzie Jastruna brzmi tak:

Kto z umarłymi mak
spożył, z ich plonu,
zachowa najlżejszy takt
i tchnienie tonu.

„Sonety do Orfeusza", Księga I.9.

I aczkolwiek w pełni solidaryzuję się ze słowami Wierzyńskiego, w jego, stosunkowo nie dawno odbytej „Rozmowie z Orfeuszem":

Dla świata śpiew mój prawa ciemności obala,
A dla mnie śpiew jest śpiewem i muzyczna fala
Unosi mnie po morzach, których nie znam granic...

to jednak wyznać muszę szczerze, że tytuł tej książki powstał w r. 1930, z okazji koncertu Jana Kiepury w Filharmonii warszawskiej. Ówczesny kierownik programowy zwrócił się do mnie z propozycją napisania i wygłoszenia przed mikrofonem czegoś, co poprzedziłoby transmisję koncertu i „wprowadziło radiosłuchaczy w odpowiedni nastrój". Wyższe względy finansowe utrudniły odmowę. I tak powstał kawałek prozy pod tytułem „Orfeusz w piekle XX wieku". Łaskawy czytelnik znajdzie go na czele IV części tego zbioru. Nie chcę przez to powiedzieć, że bez radia i bez Kiepury nie pomyślałbym o Orfeuszu i piekle naszych czasów.

Horacy nazwał Orfeusza świętym tłumaczem bogów, *co dzikich ludzi powstrzymał od mordu i od spożywania wstrętnych pokarmów:*

Silvestres homines sacer interpresque deorum
Caedibus et victu foedo deterruit Orpheus.

(Ep. ad Pisones. *De arte poetica* w. 391-392).

W zuchwałej intencji powstrzymania dzikich ludzi od mordu pisałem wiele z zamieszczonych tu utworów, i tytuł odczytu radiowego sprzed 32 lat wybrałem już wówczas dla mającego kiedyś ukazać się zbioru rozpraw i artykułów. Proszę jednak nie obwiniać mnie o pychę utożsamiania się z samym Orfeuszem, „świętym tłumaczem bogów". Nigdy mi na myśl nie przychodziło — mym wątłym „śpiewem" powstrzymywać dzikich ludzi od spożywania wstrętnych pokarmów. Nawet nie w tzw. cafeteriach nowojorskich. I nie ma chyba pychy, gdy powiem, że wszystko co w nas jest śpiewem, wywodzi się choć w części z Orfeusza i jego tragicznego bojowania z śmiercią. Wszystko, lub niemal wszystko co wierszem lub muzyczną frazą płynie z ludzkich ust, lub rękami ludzi dobywane jest z instrumentów i dociera do ludzkiego ucha. Rilke, w „Sonetach do Orfeusza" niejednokrotnie egzaltował misterium ust i ucha. N.p. w 15-tym sonecie księgi II:

O Brunnen Mund, du gebender, du Mund
der unerschöpflich Eines, Reines spricht
.....

a potem:

Dies ist das schlafend hingelegte Ohr
Das Marmor — Ohr, in das du immer sprichst

Ein Ohr der Erde

Tak tedy przepaść dzieląca tenora od Rilkego może być tylko pozorna. Bo i tenor potrafi niekiedy zbliżyć ziemię do nieba. Ale nie musi, jak poeta, wydzierać piekłu jego tajemnic i nie musi walczyć z śmiercią. W naszych czasach, poeta, prawy lub nieprawy potomek Orfeusza, ma jednak zadanie ułatwione. Jego piekło przeniosło się na ziemię, i roi się od żywych ludzi i rękami człowieka ożywionych machin. Demony zaś i bestie,

które usiłujemy poskromić pieśnią, mieszkają w każdym z nas. Dlatego może śpiew dzisiejszych poetów brzmi tak chropowato, niemelodyjnie, i z trudem wchodzi do ucha.

Lecz bądźmy skromni w naszych wymaganiach. Byle by tylko

zachować najlżejszy takt
i tchnienie tonu.

New York, Riverdale, w październiku 1962.

Józef WITTLIN

I

I

WOJNA, POKÓJ I DUSZA POETY

Moim czerwonogrodzkim
przyjaciołom
Teresie i Józefowi A...

Dziesięć lat minęło od owego lipcowego dnia, w którym cywilizowane państwa Europy, zapewne po głębszym namyśle zrzekły się rzeczywistych i urojonych błogości stanu, zwanego pokojem, aby z niesłychanym entuzjazmem urodzić wojnę światową.

Wszyscy pamiętamy to uczucie ulgi, z jakim owego dnia odetchnęły ludy, a raczej samozwańcze usta ludów czyli gazety, wydając na czele wstępnych artykułów triumfalny okrzyk: Nareszcie!

Przylgnęły wówczas cywilizowane ludy do tych szeroko rozwartych paszcz, zachłyśniętych radosną wieścią o wojnie, aby zlizywać z nich każde słowo, jak słodką wyrocznię. Jeśli ktoś kiedykolwiek śmiał podawać w wątpliwość istnienie u ludzi wiary i dobrej woli, poniósł chyba wtedy najsromotniejszą klęskę: miliony ciemnych i oświeconych uwierzyły, jak jeden mąż, w nieomylne objawienia gazety. Zdawało się, że cała ludzkość porwana jest szałem religijnym i w ekstatycznym upojeniu wita, swego, długo oczekiwanego Mesjasza: w tak bachicznych podskokach biegła mu naprzeciw, gotowa do wszelkiej ofiary. Z dziecinną ufnością poddały się ludy czarowi ultimatów, stawianych nawzajem przez upoważnione do tego osoby. Czytelnikowi ówczesnych gazet wydawało się rzeczą jasną, że poszczególne ludy są jednym organizmem, mają jedną wolę i jedno serce, przeto uznał on dogmaty, głoszone na powitanie wojny, za własne i święte. Ukląkł przed nimi, nie podejrzewając fałszu.

Od owych upalnych i niepojętych dni, obok miliardów ludzkich słów i opinii, drukowanych w zapomnianych już gazetach, dzieli nas dzisiaj piramida niezapomnianych ludzkich czynów, oraz góry kilkudziesięciu milionów trupów, dzielą nas lasy

odrąbanych nóg i rąk, i morza przelanej krwi. Jeszcze nas straszą żywe upiory bez nosów, bez uszu, jeszcze kuśtykają po brukach miast nieszczęśliwi sprzedawcy gazet, jeszcze nie wymarli wszyscy inwalidzi. Świeżo mamy w pamięci ów przerażający pogrzeb we Lwowie, na którym tysiące kalek odprowadzało do grobu swego towarzysza, samobójcę Jana Kosa, co z okrzykiem: „Niech żyje Rzeczpospolita Polska!" palnął sobie w łeb po skończonej oracji na inwalidzkim wiecu.

Kto z nas, usnąć nie mogąc, wśród cichej nocy nie słyszy już jęku mordowanych ludzi, temu zapewne świta przed oczyma jutrzenka protokołu genewskiego, rozpięta niby tęcza nad potopem świata.

Ale żyją ludzie, którym jeszcze w uszach szumi wrzawa wszechbraterskiej rzezi, którym co noc śni się jeszcze wojna, i strasznym krzykiem przerażenia budzą śpiące obok nich żony. Przeto, zażywając ciszy nowego pokoju (pamiętajcie o lotniczej i gazowej obronie Ojczyzny!) uporczywie wsłuchują się w echa niedawnej przeszłości. Nie odłożyli oni jeszcze *ad acta,* ani nie przekazali narodowym muzeom wspomnienia wielkiej wojny, albowiem sumień nie można ustawić w oszklonej gablotce na pokaz kształcącej się młodzieży. Z zaciśniętymi ustami, z gestem władców te zapamiętałe szakale pobojowisk przywołują ku sobie uciekające w niepamięć widmo wojny, aby mu odważnie zajrzeć w ślepia i, opanowawszy przerażenie, wydrzeć mu jego tajemnicę.

Istnieją wśród ludzi skłonności, zmierzające do jak najszybszego rozwiązania gniotącego duszę zagadnienia wojny. Sto usprawiedliwień znajdujemy na zawołanie w chwili, gdy święta inkwizycja sumienia, zwana moralnością, zmusza nas na straszliwych torturach do wyznania winy. Usiłujemy wówczas albo zwalić winę na innych, albo wręcz zadać kłam jej istnieniu. Po prostu stwierdzamy, że to, o co nas oskarżają, w ogóle nie istnieje, i tak długo wijemy się w tej okrutnej katowni, aż uda nam się odwrócić kota ogonem, czyli udowodnić inkwizycji, że zbrodnia nasza jest czynem moralnym, słusznie uzasadnionym i pięknym. Ledwo nas wypuszczą z dręczycielskich kleszczy inkwizycji, zaledwie zaczerpniemy tchu i wyprostujemy skatowane członki, stajemy się bardzo pewni siebie, a pycha tak nas poczyna ponosić, że głosimy urodę czynów, za które niedawno jeszcze pociągnięto by nas do odpowiedzialności. Biedna inkwizycja, zagłuszona, staje teraz po naszej stronie, jak uboga służebnica, czyści nasze bohaterskie buty, słowem: niemoralność przekształca się w moralność, a niezłomny strażnik prawdy w herolda kłamstwa.

Ta dziwna, tchórzowska zaiste transfiguracja dokonywa się prawie zawsze w duszach cywilizowanych ludów z chwilą roz-

poczęcia wojny i jest najniezawodniejszą właściwością ludzkiego charakteru. Ze zbrodni zabijania rodzi się w oka mgnieniu cnota żołnierska. Młodzi i starzy mężczyźni, ojcowie rodzin, poważni rolnicy i spokojne mieszczuchy, aby zakryć ohydę czekającego ich rzemiosła, przebierają się barwnie, jak dzieci, brzęczą ostrogami i przy dźwięku trąb i bębnów biciu, rytmicznie tupiąc nogami, maskują swoje smutne i zgoła niezabawne przeznaczenie. Ale człowiek bez cnót żyć nie może. Toteż mężczyźni, zmieniając się w wojsko, nagle odkrywają w sobie mnóstwo wspaniałych możliwości. Ludzie, którzy w monotonnym, wygodnym życiu pokojowym, umarliby, nie dawszy nawet znaku o drzemiącej w nich cierpliwości i sile, tutaj w wojsku, otrzymują sposobność rozwinięcia i okazania szeregu zalet. Rodzi się w nich cnota męstwa, poświęcenia, wytrzymałości, samozaparcia, posłuszeństwa, milczenia, koleżeńskiej, braterskiej miłości, a przede wszystkim umiejętność szanowania przeciwnika. Pokazują wówczas mężczyźni, jak cicho umieją umierać, jak bez słowa skargi dźwigać potrafią ciężary, jak cierpliwie mogą znosić upokorzenia, obelgi kapralskie, wszy, głód, pragnienie, mróz i upał. Zatwardziali egoiści przemieniają się w miłosiernych kolegów, lękliwi hipochondrycy w „starych wiarusów", którym niestraszne są żadne niebezpieczeństwa. Rodzi się z tych cnót ów piękny honor pułku, honor armii. „Święci" zabójcy, których posiada każdy naród, jak męczennicy chrześcijaństwa, z blaskiem w oczach giną w obronie czcigodnych, haftowanych szmat, zwanych sztandarami. W ten sposób, sami żołnierze stwarzają sobie kompensatę za zbrodnię mordu, sami z siebie rodzą nową moralność, moralność żołnierską, aż w trudzie wojennym, w mozole krwawych i głodnych dni ślepego posłuchu uda się im zagłuszyć w sobie resztki głosu sumienia i zapomnieć, zapomnieć o wszystkim. Jednak tchórzostwo żołnierza nigdy nie usprawiedliwia się jego pokojową moralnością, zabraniającą mordować, gdyż tzw. tchórzom chodzi raczej o ocalenie siebie niż o niezabijanie bliźniego. Co prawda w tym wypadku, tchórzostwo nie powinno być poczytywane za zbrodnię, skoro natura ludzka, mimo sumiennego kształcenia jej w odwrotnym kierunku, zawsze jeszcze wzdryga się przed morderstwem. Nie jest tchórzem, kto ucieka z okopów, gdzie walczył wbrew swojej woli i przekonaniu. Tchórzem jest jedynie ten, kto ucieka przed konsekwencjami swoich wojowniczych zapałów.

Panujące w krajach cywilizowanych religie, które czasu pokoju mają odwieczny przywilej dzierżawy moralności ludzkiej i obowiązek czuwania nad czystością dusz, z wybuchem wojny rzadko starają się protestować przeciw tym frymarkom sumienia.

Widząc swoją bezsilność, spokojnie patrzą na to, jak dusza paktuje z szatanem i w obawie zupełnej izolacji truchcikiem biegną na stronę większości, sprawującej władzę.

Toteż we wszystkich krajach wojujących, wojna rozpoczęła się od uroczystego nabożeństwa za pomyślność operacji strategicznych i za wieczny spokój ludzkiego sumienia. Religia jest uparta: tak prędko i bez okupu nie opuszcza swej placówki. Stawia *veto* wszystkim niemoralnym poczynaniom człowieka. Więc postępuje się z nią tak, jak z każdym przeciwnikiem, który posiada wpływ i mógłby się stać groźny. Wyrażając się mniej delikatnie: zatyka się religii gębę przez zaproszenie jej do zarządu wojny.

W wojnie światowej kapelanowie wszystkich wyznań: księża, rabini, popi, pastorzy i mułłowie, z miejsca otrzymywali rangę co najmniej kapitanów, za co kazano im nauczać, że cel, w którego imię strzela ich armia, jest święty, że Bóg stoi wyłącznie po jej stronie i popiera rodzimą strategię Już w czasach starożytnych Izrael miał swego Pana Zastępców, który wyłącznie nim się opiekował. W wojnie europejskiej z lat 1914-1918 mieliśmy Bogów: Niemiec, Austrii, Turcji, Bułgarii, Rosji, Francji, Anglii, Włoch, Japonii, Belgii, Serbii, Czarnogóry, Stanów Zjednoczonych Półn. Ameryki, Rumunii itd... Za Swój protektorat otrzymywał Bóg w razie zwycięstwa ordery: *Pour le mérite, Signum laudis, Karltruppenkreuz,* Krzyż Świętego Jerzego, order Wschodzącego Słońca, *Legion d'honneur,* order Podwiązki i różne inne. Zostawał najwyższym komandorem tych orderów na szarfie niebieskiej, z autentycznymi gwiazdami nieba. *„Honni soit qui mal y pense"*...

Największe to bluźnierstwo, na jakie zdobyła się ludzkość, spotkało się z surowym potępieniem papieża Benedykta XV, który wydał do ludów walczących gorące orędzie o zaprzestanie przelewu krwi. Zapłakać musiał wówczas krwawymi łzami Pan nasz, Jezus Chrystus, rozpięty na wszystkich tych krzyżach zasługi, zdobiących piersi walecznych wojowników Europy! Ale łzy Jego spłynęły nadaremno ku ziemi, przesiąkniętej krwią bratobójczą.

Nie oddano Bogu, co boskie, przy oddawaniu cesarzowi tego, co cesarskie... Skoro więc wszystkie religie podporządkowały się interesom ludzkim, jest chlubą garstki poetów, rozproszonych po całym świecie, iż nieświadomie zdołali ocalić ziarno wiary chrystusowej. Z tej przyczyny mówić się powinno przede wszystkim o tych poetach wojny, którzy umieli przedrzeć się przez gąszcz tysiącznych sideł i samotrzasków, czyhających na nich wśród dżungli powikłanej ludzkiej natury, wysoko unosząc w swych rękach zalęknione serce człowieka.

II

Wiele prac poświęcono wojnie i jej czynnikom: strategii, polityce, psychologii mas, psychologii wodzów, ekonomii, socjologii. Teraz należałoby się zająć śledzeniem kroków, jakimi czasu wojny poruszała się miłość człowieka. Zajęli się tym poeci.

Podczas wojny i po wojnie odzywały się o niej dwie kategorie poetów: pierwsza, to ci, którzy osobiście brali w niej udział, jako żołnierze, druga, to ci, którzy w niej udziału nie brali, lub uczestniczyli tylko w charakterze uprzywilejowanych sprawozdawców. Normalnych uczestników wojny można znów podzielić na dwie grupy: na zwolenników-przyjaciół i przeciwników-wrogów. Ci byli w przeważającej większości.

Co się zaś tyczy poetów, którzy nie byli żołnierzami i tylko z dala śledzili wydarzenia — i tych również można podzielić na wrogów i sympatyków wojny. W tym wypadku sympatycy byli w większości.

Zapewne wszyscy potrafili usprawiedliwić swoje wystąpienia, toteż nie podajemy w wątpliwość szczerości Verhaerena, Maeterlincka, Barrès'a, Gerharta Hauptmanna, Ryszarda Dehmla, Tomasza Manna, G. d'Annunzia, Marinetti'ego, jako zwolenników wojny, z drugiej zaś strony Romain Rollanda, Anatola France'a, H.G. Wellsa, G.B. Shaw'a oraz żołnierzy: Barbusse'a, Duhamel'a, Leonarda Franka, Andrzeja Latzko i innych, mniej wymownych, przeciwników wojny.

Oczywiście, że podczas wojny, poeci, występujący przeciw niej, byli bardziej osamotnieni, niż panegiryczni jej piewcy, którzy przeważnie folgowali swym uczuciom patriotycznym. A te uczucia w owych czasach domagały się wyrazu namiętnej nienawiści wroga. Tak pojmowanemu uczuciu miłości ojczyzny sumienny trybut spłacili Niemcy: Ryszard Dehmel i Gerhart Hauptmann. Nie cofnęli się oni przed najbrutalniejszymi sposobami poetyckiego lżenia przeciwników. Kulminacyjny punkt osiągnęła ta osobliwa miłość ojczyzny w słynnym wierszu Ernesta Lissauera pt. „Hassgesang gegen England". To niezamaskowane pogaństwo, wyhodowane na gruncie chrześcijańskiego społeczeństwa, budziłoby tylko szacunek, gdyby jego motorem było doświadczenie. Jednak frontowi żołnierze niemieccy nie czuli nigdy tak wielkiej nienawiści do walczących z nimi Anglików, ile jej nagromadzili w swych wierszach i odezwach owi krwawi poeci, rezydujący w *gemütliche* kawiarniach. Należy więc z tego wnioskować, iż pisarze, upojeni wojną, budowali swe gmachy na urojonych lub świadomie fałszywych fundamentach, stwa-

rzając mit żołnierza, który w rzeczywistości nie istniał. Więcej taktu, jakkolwiek nie mniej nienawiści okazał przyjaciel całego świata: Emil Verhaeren oraz autor „Skarbu pokornych" Maurycy Maeterlinck.

Ale nie będziemy tu zajmowali się „krytyką tekstów". Chodzi nam tylko o wyśledzenie odrębnego stanowiska prawdziwych poetów wojny i tego alembiku, przez który przepuszczali oni swe sumienia. W ostatnich latach przed wojną popularna była teoria, że sztuka stoi poza wszelką moralnością, a zadanie jej nie ma nic wspólnego z szukaniem prawdy. Osobliwie poezja miała być wolna od wszelkich hamulców etycznych i raczej służyć pięknemu kłamstwu, niż przykrej i nieponętnej prawdzie. Stanowisko to było zrozumiałe czasu pokoju, kiedy to drobne uchybienia przeciw etyce i moralności znajdowały w poetach raczej przyjaciół, niż wrogów i na ogół zbytnio ich nie interesowały. Przeważnie chodziło wówczas o tzw. „mieszczańską moralność", nudną jak niedzielne popołudnie i pozbawioną przypraw, drażniących nozdrza fantazji.

Oczy poetów, znudzone tzw. „szarą rzeczywistością" chętnie grążyły się w pięknej dzikości fikcyjnych krajobrazów ułudy „kędy zapał tworzy cudy", dusza bawiła się demonizmem grzechów i grzeszków, a poeci upojeni stworzoną przez siebie atmosferą kłamliwego zachwytu, rycerskim gestem rzucali rękawicę wszystkiemu, co im się nie podobało, choćby i największej cnocie. Kłamstwo ma często niepospolity urok, bywa czarujące. Jednak w wypadkach, kiedy narody się mordują, a światu grozi zagłada, kłamstwo ma czar płonącego Rzymu, a zachwycający się pożarem esteci, mają wartość śpiewających Neronów.

Zjawisko wojny, obok wzmożonej radości i gniewu, obudziło w poetach inną jeszcze pasję: zastarzałą manię poprawiania świata. Porzucili więc górne i niedostępne wieże *splendid isolation* i pewną nogą zstąpili na ziemię w charakterze zbawców.

Prawie każdy poeta, poza innymi zajęciami, ma zwyczaj poprawiania świata. Każdy w inny sposób. Całe nieszczęście jest w tym, że mamy tylko jeden świat do naprawy, a naprawców niezliczoną ilość. I dlatego zawsze ten świat jest nieuleczalnie chory.

Tą pasją naprawiania świata tłumaczy się żywy stosunek poetów do moralności i zainteresowanie problemami polityczno-społecznymi podczas wojny. Moralność staje się wówczas jednym z najaktualniejszych fenomenów świata, będącego przedmiotem poetyckiego kształtowania.

Ci, którzy najpiękniej kłamali, nagle odkrywają w sobie misję zbawienia prawdy, a realna rzeczywistość, którą niedawno

jeszcze pogardzali, staje się dla nich równie święta, jak owo urojone Królestwo Ducha. Albowiem w sferze powszechnej rzeczywistości — podczas wojny — zgromadziły się i skondensowały wszystkie te sensacje, na które dusze poetów zawsze były łase; w programie wojny przewidziana jest awanturniczość, brawura, turystyka, następnie: zadawanie krzywdy, teatralność bólu i wielkie misterium śmierci. Wojna dostarcza poetom sporo tragicznych powikłań, wynikających z adoracji bohaterstwa i miłości ojczyzny, oraz podsuwa wiele motywów lirycznych. Ponadto daje epikom możność obserwowania natury ludzkiej bez osłonek, *in nuce*.

Zatem i pacyfistyczna idea bardzo często rodzi się u poetów samodzielnie, poza wszelką religią i moralnością, poza dobrem i złem, jako głos samozachowawczego instynktu całego ludzkiego rodzaju. Zamyka się wtedy oczy na wszystkie racje narodowe polityczne, gospodarcze, rasowe, które uzasadniają wojnę, a widzi się tylko obraz cierpienia całego człowieczeństwa. W takim pojmowaniu tkwi pewien dyletantyzm, który po opuszczeniu ostatniej placówki, jaką jest wiara chrześcijańska, stawia nas w sytuacji bez wyjścia. Ale i z drugiej strony, np. u nacjonalistów lub imperialistów, zauważyć można również dyletantyzm myśli i uczucia, oparty na logicznym zacieśnieniu problematów etyki do granic narodowej czy państwowej konieczności. Jak długo istnieje etyka, obowiązująca tylko w obrębie jednego państwa czy narodu, tak długo ludzka kultura opierać się będzie na ewolucji krzywd wzajemnie zadawanych ludziom przez ludzi. Między polityką a moralnością wre nieustanna walka. W tej walce boleśnie cierpi ludzkie sumienie, które nie może pogodzić z sobą tych dwóch konieczności. Obie te potęgi są dziećmi tej samej ludzkiej natury, ale wojna jest niewątpliwie bękartem serca i zbrodni.

Nie należy do poety zastanawiać się nad tym, czy wojny są potrzebne i jaki mają sens. Organem jego bowiem nie jest ani tzw. zdrowy rozsądek, ani rozum, który kieruje życiowymi interesami człowieka i narodu. Maurycy Maeterlinck, w swym studium pt. „Chwiejność moralności współczesnej" bardzo trafnie wskazuje na trzeci organ świadomości ludzkiej, mający wartość i sprawność przeważnie w ręku poety. Mówi on mianowicie o rozumie mistycznym, który przy klasyfikacji ludzkich czynów — najczęściej występuje przeciw wyrokom zdrowego rozsądku i rozumu.

„Rozum nasz" — powiada Maeterlinck — „może mieć nawet rację, ale nierównie pewniejszą rację ma ideał sprawiedliwości, twierdzący, że rozum kłamie".

Jeśli mi wolno od siebie uczynić pewne wyznanie, to zwierzam się otwarcie z tego, że przeważnie interesują mnie sprawy, które nie są całkiem jasne, których zawiłość jedynie jest dla mnie jasna. O tych sprawach nie mam odwagi wydawać apodyktycznych sądów. Nawet najprostsze przyzwyczajenia ludzkie, najbłahsze zjawiska codzienne, jawią się, jeśli im z bliska się przyjrzeć, w postaci zagadki. Całe widziadło życia zmienia się powoli w jeden wielki sekret, który na próżno usiłuję odebrać Bogu.

Jeśli z wyżyny tego maeterlinckowskiego, mistycznego rozumu najprostsze proporcje wydają się zagadką, nie dziw, że potężne zawikłania spraw wojny i pokoju stanowią dla poety ciężki problem. Polityka[1] jako sfera rozumu jest światem na ogół obcym jego irracjonalnej mentalności i przeto trudno mu z tego obcego stanowiska sądzić prawdę wojny.

Okazało się, aż nazbyt często, że ludzie bardziej szaleją na trzeźwo, niż w upojeniu, w ekstazie. Na trzeźwo, posłuszni rozkazom rozsądku dają się porywać dzikim namiętnościom, mordują się nawzajem, jakby w transie, ale w ekstazie serca, w opilczym stanie uniesienia padają na kolana i pokornie wierzą w słowa: „Błogosławieni, którzy czynią pokój, albowiem ich jest królestwo niebieskie!".

Jednak i bez tej nadziei ludzie, nie wierzący w królestwo niebieskie, mają głęboką potrzebę pokoju. Posiadają nawet czysto rozumowe argumenty przeciw zbrodni wojny, której nienawidzą prawie wszyscy, z wyjątkiem niektórych kupców, przemysłowców, redaktorów i generałów.

Wszystkie logiczne argumenty za i przeciw wojnie, muszą być wzięte pod uwagę w równym uprawnieniu, jeśli mamy zrozumieć to bolesne rozdwojenie w duszy człowieka, będące przedmiotem literackiego opracowania.

Jedynym pewnikiem, jaki ośmielamy się wygłosić, będzie przekonanie, że wojen nie prowadzą tylko ludzie źli lub szaleni. Wojna nie jest tylko dziełem nienawiści. Wojnę robią ci sami ludzie, którzy w życiu prywatnym i obywatelskim tyle cnót okazują. Jak to się staje, tego nie rozumie żaden uczciwy poeta i dlatego tak go pociąga ta krwawa tajemnica. Zaduma

---

1. W Polsce ciągle jeszcze słowo: polityka jest równoznaczne ze słowem: patriotyzm. Stąd wielkie nieporozumienie w życiu i w literaturze. Autor, który nie popiera np. polityki swego rządu, ma opinię złego Polaka. Ta opinia tłumaczy się wyjątkowym stanowiskiem dziejowym Polski ciemiężonej. Jeszcześmy nie przywykli do niepodległości, przeto ciągle rozumujemy w kategoriach niewoli, a emocjonalność nasza wciąż jeszcze bywa podniecana dawnym nieszczęściem narodowym. Dlatego ludzie, obojętni na sprawy polityczne, bywają uważani za stojących poza nawiasem narodu.

poety napotyka w tym miejscu na tragizm, którym przesiąknięte są najpiękniejsze dokumenty człowieczeństwa z czasów europejskiej wojny. To tragiczne rozdarcie odczytamy zarówno z „Le feu" H. Barbusse'a, z „Vie des martyrs" G. Duhamela, z dramatów Ch. Vildrac'a, „Les Temps Maudits" Marcela Martineta, z „Vous êtes des hommes" P.J. Jouve'a, z „Clerambault" R. Rollanda, jak i z wzniosłych kart opowieści Leonarda Franka: „Der Mensch ist gut" i z „Menschen im Kriege" Andrzeja Latzko. Z wszystkich tych utworów dobywa się jakiś niemy wyrzut, przyciszona skarga.

Błędne jest mniemanie, jakoby ta wojenna, a raczej antywojenna literatura pozywała winnych na sąd. Oskarża ona całą ludzką naturę, a oskarżyciel jest tu równocześnie oskarżonym.

W wojnie, jako temacie literackim, wszystko byłoby jasne, cała osnowa należałaby raczej do sfery lirycznej, niż tragicznej, gdyby główną personą d r a m a t i s nie była śmierć człowieka. Czytalibyśmy wówczas książki o wojnach tak, jak czytamy dzieje triumfów wspaniałych myśliwców w puszczy białowieskiej, awanturnicze i barwne opisy śmiałków, polujących na tygrysy. Ale na wojnie człowiek jest myśliwym i człowiek jest zwierzyną. Znakomity uczony, prof. Friedrich Nicolai, w słynnym swym, dwutomowym dziele pt. „Die Biologie des Krieges" zwraca uwagę na podwójną rolę człowieka na wojnie, który jest równocześnie podmiotem i przedmiotem działania. Wśród ogółu zwierząt jest to nieomal jedyny przypadek. Nicolai, zawołany przyrodnik, dowodzi, iż w świecie zwierząt nie ma wypadku, aby drapieżcy tego samego gatunku i rodziny, rzucali się na siebie we wrogich zamiarach. Zgadza się to z naszym ludowym przysłowiem o kruku, który krukowi oka nie wykole. Nie ma wśród zwierząt kanibalizmu, z wyjątkiem świni, która czasem pożera swe młode.

Jako pierwszy rozdział w zoologii ogólnej my — ludzie nie przynosimy sobie chluby naszą zdolnością wzajemnego zabijania się. Ile energii, ile inteligencji poświęca człowiek na to, aby wyhodować w sobie poczucie obcości dla bliźniego! Cała nasza cywilizacja jest nam pomocna w tym, aby nas między sobą poróżnić. Bywały więc wojny między ludźmi białymi, a czarnymi, bywały wojny różnych wyznań, różnych narodów, języków i metod rządzenia. Żadna jednak z tych różnic nie jest tak mocna, iżby wytrzymała krytykę tzw. zdrowego rozsądku. Prawdopodobnie kiedyś w przyszłości, gdy wyczerpią się aktualne dziś motywy wojen narodowościowych, handlowych i rewolucyj klasowych, świat przeżyje jeszcze wojny ludzi łysych z owłosionymi, blondynów z brunetami. Potem znowu bruneci i blondyni zawrą

przymierze, aby społem rzucić się na rudych. Chyba, że spełnią się marzenia pacyfistów i ogólne rozbrojenie moralne oraz Stany Zjednoczone całego świata raz na zawsze zniosą wszelkie wojny. Wszystkie powody wojen są na ogół mniej lub więcej popularnym, przez dany okres cywilizacji gruntownie przygotowanym, pozorem do wykonania czegoś, co się usuwa spod kontroli naszej świadomości. Śmierć człowieka, zadana przez człowieka, będzie wieczną zagadką i tragicznym węzłem, którego najodważniejsza myśl nie rozplącze bez trudu.

Bo jakże zrozumieć np. to, że wielki uczony Fritz Haber który ulepszył sposób uzyskiwania tlenu, wynalazł trujące, bomby? Jak wytłumaczyć fakt, iż najgenialniejsze wynalazki ludzkiego ducha służą przede wszystkim ludzkiej śmierci? Cała przemyślność nasza wytęża się ustawicznie w kierunku niszczenia!

Czytamy w dziele Nicolai'a: „U wszystkich zwierząt chodzi głównie o zalety cielesne, człowiekowi są one względnie zbędne. Na cóż nam się przydadzą najbystrzejsze oczy, skoro nie mogą dostrzec tego co dostrzegają nawet kiepskie teleskopy lub mikroskopy? Na co nam jeszcze przyda się nos lub język wobec korzyści, które nam daje chemia? Z pomocą telefonów i mikrofonów słyszymy dalej i lepiej, z pomocą wag mechanicznych i innych instrumentów mierniczych czujemy więcej niż czuć może zwierzę swymi specjalnymi organami. Nie trzeba nam ogromnych sił fizycznych, skoro parowe młoty, dźwignie, prasy hydrauliczne, kolosalne krany i lewary za nas pracują! Na cóż nam przyda się chyżość, skoro za nas pędzą pociągi i auta? Nie trzeba nam kunsztu pływackiego, ani umiejętności latania w powietrzu; robią to za nas lepiej nasze parowce, łodzie podwodne, aeroplany i balony".

To wszystko są twory ludzkiego ducha, jakkolwiek powołuje je do życia trud ludzkich rąk. Zamiast nam służyć do ułatwienia życia, wszystko to nabiera najwyższego znaczenia wtedy dopiero, gdy chodzi o śmierć.

Zagadkowe zjawisko śmierci od dawien dawna kusiło wyobraźnię poetów swym niesamowitym urokiem. Groza zamierania wszelkiego życia w przyrodzie, od więdnięcia trawki i liścia na drzewie, aż do tajemniczego misterium, w którym człowiek oddaje ostatni dech, zawsze pociągała talenty poetyckie. Rodziły się w umysłach poetów najróżniejsze wizje ludzkich skonów: od cichych, spokojnych zaśnięć w Panu, aż do potwornych, sadystycznych mordów. We wszystkich obrazach śmierci, malowanych przez poetów, można wyczytać jawną lub ukrytą ocenę estetyczną. Bywają poeci, którzy schlebiają śmierci, niby jakiejś urodziwej kobiecie, sławią jej wdzięki i doszukują się

w niej głębszego sensu życia. Inni żonglują śmiercią tak lekko jak piłką, kokieteryjnie się jej przymilają, stawiając dla niej całe ludzkie życie na jedną kartę. Ale są i tacy, którzy nienawidzą śmierci, boją się jej i nie mogą znieść jej szpetoty.

Zauważyć można łatwo, że żaden rodzaj ludzi nie mówi tak często o śmierci, jak to czyni gilda literatów. Bez trudu wymawiają poeci imię śmierci, ponieważ uzurpują sobie prawo mówienia o rzeczach zagadkowych. Są to pewnego rodzaju fachowcy. Prawie w każdej powieści, noweli, tomiku wierszy, nie mówiąc już o dramacie, znajdujemy jednego choćby trupa, lub jedną wizję śmierci. Piszą o niej nawet tacy ludzie, którzy nigdy nie widzieli umierającego człowieka.

Poecie wydaje się, że najlepiej zna oblicze śmierci, choćby dlatego, ponieważ ciągle z nią walczy w uwielbieniu życia, którego bujnością upaja się aż do śmierci. Nawet taki, w którym wstręt budzi wszelkie umieranie, korzy się przed jego tajemnicą i wynajduje w śmierci momenty dekoracyjne. Jest to nierzadko samolubna asekuracja na wszelki wypadek. Przecie i najnieśmiertelniejszy poeta musi kiedyś najosobiściej umrzeć, a wówczas nie chciałby się zbytnio przerazić, lecz spokojnie, uroczyście, nawet w estetycznej formie opuścić świat. Z tego powodu poeci skłonni są za życia do lekceważenia chwili śmierci, przenosząc punkt ciężkości na powody, które ją wywołują. Podziwiają więc brawurę salto mortale, teatralno-cyrkową wspaniałość lotników, z roztrzaskanymi czaszkami. Szukają upojenia w samym momencie śmierci, skoro nie mogą przezwyciężyć tego, co nastąpi potem.

Dziwna rzecz, że głosiciele piękności śmierci, propagują ją, o ile nam wiadomo, przeważnie za życia, w pełnym zdrowiu i w stanie przytomnym. Ludzie żywi, a nie umarli znajdują powody, dla których śmierć jest cudowna i godna zazdrości. Kryteria tej estetyki są bardzo płynne. Zawsze chodzi tu o przypatrującą się publiczność. Niekiedy chodzi o wykonanie brawury w oczach całego świata, przed chłodnymi źrenicami historii, a wówczas najgłośniejsi z widzów upajają się śmiertelną męką swych bliźnich i zapewniają umierających, że w tej chwili właśnie są najpiękniejsi. Jeżeli wszystko, o czym mówią ci żywi esteci śmierci jest równie piękne, jak ona, jeżeli do wszystkich swych zapewnień czerpią materiał z tego samego źródła, należy podziwiać siłę ich wyobraźni. Niestety, umarli nie mogą po śmierci wypowiedzieć się w tej najbliżej ich obchodzącej sprawie i przeto tak głucha jest skarga ludzkich grobów. O, żołnierzu nieznany! Gdybyś umiał mówić, zapewne by ci wieńców nie znoszono z wszystkich stron świata, lecz przechodzono by obok ciebie tak obojętnie, jak się

przechodzi do porządku obok każdego żyjącego żołnierza! — *O quam dulce et decorum est pro patria mori!* — Jak słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę!

Słuchając tych pięknych słów, żywymi ustami wygłoszonych, komu mamy wierzyć: żywym czy umarłym? Może słodko jest tylko: *chcieć* umrzeć za Ojczyznę? Może piękność tej ofiarnej śmierci leży tylko w psychicznej dyspozycji, w gotowości ofiarodawców? Na to pytanie znajdziemy może odpowiedź na Ostatecznym Sądzie.

Tymczasem musimy stwierdzić, że u większości ludzi żyjących panuje wszechładnie wielkie umiłowanie życia i żywiołowa niechęć do umierania. Z wyjątkiem nielicznych na świecie chrześcijan, lekceważących życie doczesne, w myśl nauki swego wielkiego Mistrza, u większości śmiertelników daje się zauważyć minimalna ochota do śmierci a niepohamowana żądza życia. Gwałtowna śmierć uważana bywa za anomalię i z tym trzeba się pogodzić, że zdrowe, proste organizmy fizyczne i duchowe unikają jej, choćby pochodziła z boskiej, a nie — z ludzkiej ręki. Nawet żarliwi chrześcijanie, którym wieczysty żywot obiecuje większe rozkosze, od mizernych, padolnych szczęśliwości, w wypadkach ciężkiej choroby wzywają lekarza i bez oporu przyjmują lekarstwa. Nawet zagrożone życie papieży starają się uratować przyboczni doktorzy. Z tego widzimy, że świetne horoskopy na tamtym świecie nie uprawniają chwalców śmierci do propagandy.

Dobrowolna śmierć jednostki jest w powszechnym mniemaniu — ucieczką od życia, dezercją spod sztandarów walki o byt; stąd bierze się znany, niekiedy słuszny komunał o tchórzostwie samobójców. Śmierć, jako wyzwolenie, jawi się przeważnie tylko zmęczonym, wyczerpanym, niezdolnym do życia więźniom. Toteż i całe narody, dla których życie doczesne nie jest więzieniem, unikają śmierci-wyzwolenia, jak unikają jej poszczególni ludzie. Nawet chrześcijańskie narody w swej zbiorowości, są pod tym względem pogańskie: cechuje je brutalna, zwierzęca afirmacja doczesności. I oto zaczynają stawać się rzeczy dziwne, w swej tragiczności niepojęte i przez to zasługujące na wybitną uwagę poetów; wszakże narody, namiętnie unikając śmierci swego organizmu, chronią się pod opiekę śmierci, która staje się narzędziem w ich ręku.

Każdy naród posiada instytucję, która administruje jego życiem. Administracje życia narodów otrzymały od nich *carte blanche* na wszystkie czynności, związane z sprawą śmierci. Państwo zatem skupia w swym ręku wszystkie środki, wywołujące zarówno śmierć obywateli własnych jak i obcych. Wolność śmierci jest jedyną wolnością, którą każde, dobrze zorganizowane pań-

stwo, w każdej chwili i w każdej ilości może dostarczyć gratis. Śmierć jest artykułem pierwszej potrzeby zarówno w państwach monarchicznych, jak i w republikach, zarówno w ustroju kapitalistycznym, jak i proletariackim. Artykuł ten firma „Państwo" magazynuje w umysłach i sercach swych poddanych, specjalnie do tego kształconych, w fabrykach amunicji, zbrojowniach, koszarach itd. Istnieje jakaś kooperatywa śmierci. Obok wielu pożytecznych nauk, służących do ćwiczenia w człowieku cnoty, każde państwo uczy mnóstwa czynów, poczytywanych przez nie samo za zbrodnie. Toteż śmierć jest przez państwo zmonopolizowana, podobnie jak tytoń, alkohol i zapałki. Monopolu tego pilnuje państwo pod rygorem kary śmierci. Jest to sprawa głęboko tragiczna. Państwo zabrania obywatelom mordować się wzajemnie, w obawie anarchii. Stojąc na straży moralności publicznej i etyki, państwo z własnej inicjatywy wymierza mordercom surowe kary, i w rezultacie ono jedyne ma prawo bezkarnie zabijać ludzi. Tych, którzy zasługują na śmierć, w obrębie własnych granic, wytraca państwo przez katów, godnych zaś śmierci cudzoziemców, przebranych w uniformy i uzbrojonych, zabija przez swoich żołnierzy. W niektórych państwach żołnierze, przeznaczeni do walki z żołnierzami tzw. nieprzyjaciół, spełniają rolę katów i wewnątrz państwa.

Do uśmiercenia ludzi zagranicznych nie wynajmuje się jakichś specjalnie morderczych stworzeń, nie angażuje się, ani nie tresuje dzikich zwierząt: lwów, panter i tygrysów, nie wymyśla się osobliwych aparatów śmierci, które mogłyby się obejść bez ludzkiej ręki[2]. Nie! Z wszystkich swych zdrowych obywateli płci męskiej robi państwo — wojsko, które pod grozą śmierci musi zabijać inne wojsko. Tak więc państwo morduje ludzi machiną z ludzi. Na zbrodniarzy we własnym kraju wydaje wyroki śmierci, opłaca katów, którzy mordując, nie mordują, wieszając, nie wieszają, strzelając, nie strzelają, tylko spełniają swój obowiązek.

Powtarzam: nikomu w granicach cywilizowanych państw nie wolno samodzielnie pracować w branży śmiertelnej, z wyjątkiem upoważnionych do tego przez monopol funkcjonariuszy. Uznawana jest tylko śmierć pod banderolą rządową. W wypadkach, kiedy chodzi o obronę osobistą przed napaścią bandytów, wydaje państwo pozwolenie na używanie broni nawet poszczególnym jednostkom. Żandarm w służbie ma prawo zastrzelić każdego człowieka, który się nie zatrzyma na jego trzykrotne wezwanie.

---

2. Rzecz pisana po pierwszej wojnie światowej, kiedy nie istniały jeszcze pociski kierowane i podobne wynalazki.

We wszystkich tych państwach, które zmechanizowały człowieka do śmiertelnej służby, panuje wysokie poczucie moralności, to znaczy: żywe zainteresowanie zbrodnią i kontrolą zbrodni.

W tym porządku rzeczy tkwi nie dający się opisać tragizm, i dlatego poeci, przeważnie ci, którzy na wojnie sami byli ogniwami morderczej machiny, nie mogą wyjść z bolesnego nad nim zadumania. Przecież państwo nie składa się z obcych, nadludzkich jakichś i nieludzkich stworzeń, nie składa się z okrutnych i groźnych potworów: państwo — to my! W tym miejscu jest ów tragiczny węzeł. Zmechanizowanie człowieka, który wbrew swej naturze, bez gniewu i nienawiści strzela do człowieka, zwanego wrogiem, jest dziełem długiego szeregu lat cywilizacji. Czyż nie należy podziwiać tej wielkiej sztuki, jaką jest pobudzenie olbrzymich mas najobojętniejszych ludzi do unicestwiania innych tak samo obojętnych mas? Jakiej pasji, jakiej furii trzeba, żeby pojedynczy człowiek był zdolny wymierzyć policzek komuś ze swego otoczenia! Ile irytacji musi nazbierać się w jednostce, iżby ją doprowadziła do wywołania skandalu? A jednak dobrotliwi Bośniacy, zmechanizowani przez doskonałą subordynację, z wdziękiem i gracją nagrodzoną orderami, przegryzali gardła Bogu ducha winnym Sybirakom, o których nic nie wiedzieli! Analfabeci, prostotliwcy, niewtajemniczeni w arkana ekonomicznej polityki światowej Anglii i Niemiec, którzy nie czytali oszczerczych artykułów wstępnych, ani wywodów Sir Edwarda Grey'a i Izwolskiego, czarni Ghurkowie, nożami rozpruwali brzuchy Niemców!

Mówiąc o mechanizacji człowieka przez państwo, mam na myśli przede wszystkim armie wielkich mocarstw europejskich z 1914 r. Odróżniam doskonale np. powstanie Boerów lub świadomych celu swojej wojny Serbów, u których walka z Austrią była spontanicznym odruchem samoobrony. To samo da się powiedzieć o garstce rozbitych Belgów, którym *furor teutonicus* zniszczył prawie cały, piękny, arcydziełami sztuki obsiany kraj. Polskie Legiony walczące z Rosją są szkolnym wprost przykładem uświadomionego wojska. Czymże jednak była na przykład armia austriacka, z którą te Legiony z początku były związane? Olbrzymią machiną, ślepą i celowo w ślepocie konserwowaną przez niemocne państwo. Żołnierza austriackiego trzymała w szeregu jedynie trwoga przed skutkami nieposłuszeństwa. Jedyną ideą przeciętnego Austriaka podczas wojny było potężne pragnienie końca tej nieszczęsnej kampanii i najszybszego powrotu do domu.

Szafarze śmierci zaczepnej i obronnej w każdym państwie posiadają instytucję wykonawczą, czyli osobne ministerstwo mordu, zwane ministerstwem wojny. W gmachu tym przesiadują

dniami i nocami wytworni panowie z najlepszych rodzin krajowych, i w ciszy i w skupieniu naciskają guziki, puszczające w ruch morderczą machinę. Sami udziału w rzeziach nie biorą podobnie jak żaden członek najwyższego trybunału — osobiście nie wykonywa wyroków śmierci. Od tego jest chamstwo. Żaden z prawodawców, głosujących za karą śmierci na zbrodniarzy, nie wydałby swej córki za kata. To znaczy, że sfery myślące, kierujące losami państwa, zdają sobie sprawę z niskich instynktów, potrzebnych do zrealizowania ich woli. Żaden jenerał sztabowy nie bierze udziału w akcji tzw. kompanii szturmowych. To są grube, ordynarne czynności wojenne. Do wykonywania najwyższej swojej sprawiedliwości „w imieniu Jego Cesarskiej Mości", wyszukiwało państwo indywidua spod ciemnej gwiazdy. Z góry więc przyjmują subtelni i inteligentni panowie, kierujący tzw. sprawiedliwością, że w rezerwuarze obywateli znajduje się kilka ponurych egzystencji którym Kodeks karny nic nie może zarzucić! (?), dla których zakładanie stryczka jest co najmniej sportem. Widzimy więc, że państwo cywilizowane, doskonale zdaje sobie sprawę z niższości tych niemoralnych funkcji państwowych, potrzebnych mu do ukarania zbrodni. O ileż etyczniejsi byli feudalni książęta wieków średnich lub owe renesansowe *blond-bestie,* osobiście posługujące się gwałtem!

Dzisiaj w chrześcijańskich państwach stosują, jako zasadę sprawiedliwości, metodę odwetu. Jest ona podstawą praworządności. Złoczyńcy, za to, że uczynił źle, należy również uczynić coś złego, aby sobie popamiętał! Albo należy go za cięższe przewiny zupełnie unicestwić. Istnieje przeto dla zbrodniarzy w obrębie państwa ministerstwo pomsty, które ocenia, ile każde przestępstwo kosztuje. Państwo nie zadaje sobie trudu, nie ma na to środków, ani czasu, aby zbrodniarza nauczyć cnoty. Zamiast go naprawić, polepszyć, karze go i usuwa ze świata, żeby już więcej szkód nie czynił. Toteż ogromny zasób energii zużywa państwo na tępienie zła, czyli na instytucje negatywnej użyteczności. Znacznie mniej środków zużywa ono na krzewienie miłości bliźniego i na nauczanie cnót obywatelskich. Państwo przechodzi obojętnie obok nędzarza, który nie ma za co kupić sobie chleba. Aż nagle budzi się zainteresowanie żebrakiem, skoro ten popełnił kradzież. Wówczas zamyka go państwo w więzieniu i żywi przez dłuższy czas na swój koszt, przez co utrzymanie żebraka przewyższa wartość skradzionego portfelu.

Państwo musi być groźne na zewnątrz i wewnątrz, żeby autorytet jego był szanowany. Musi rozporządzać wszystkimi kategoriami gwałtu, aby osiągnąć swe cele, inaczej grozi mu wew-

nątrz anarchia, a od zewnątrz — zaborczość sąsiadów. Śmierci, skoncentrowanej stale u swoich granic i czyhającej na życie obywateli, musi państwo ze swej strony przeciwstawić równą ilość śmierci dla odparowania ewentualnych ciosów. Przeto we wszystkich państwach w czasie tzw. pokoju utrzymuje się wojska i obciąża budżety na materiały mordercze. Wszystkie zbrojenia odbywają się w ciszy, w spokoju, z wyszukaną grzecznością i elegancją. W milczeniu mechanizuje się człowieka, odbiera mu się wolność prywatnego myślenia o sprawach publicznych, wmawia mu się wszystko, co konieczne, aby go tylko przyzwyczaić do ewentualnej wojny. Wszystko to odbywa się w Imię Boże i przy współudziale wysokich pojęć moralnych.

Był jeden naród w Europie, którego duchowi przywódcy szczycili się tym, że są barbarzyńcami. Otwarcie odrzucali zasady etyki chrześcijańskiej i głosili siłę przed prawem. Nie byli przez to zbytnio sympatyczni, ale budzili szacunek dla swej szczerości. Wkrótce po wojnie światowej, która była dla nich klęską, zażyli ci przywódcy na przeczyszczenie sumienia, ale purgatyw okazał się spóźniony. Pierwsi zaczęli pełzać do Kanossy, śladem ich niegdysiejszego cesarza Henryka IV, i bardzo głośno bili się w piersi. Literatura powojenna tego narodu pełna jest pokory i chęci pokutowania. Idealizm duchowy tego narodu z XVIII w. zbankrutował w r. 1870, a buta i pewność siebie z tych lat triumfu i upojenia okazały się równie kruchym ciastem, jak sentymentalna papka pacyfistyczna z r. 1918, gotowana na czystych łzach. Nie sztuka odmawiać litanii, skoro się zostało żebrakiem! Naród ów słusznie szczycił się tym, że jest ludem myślicieli i poetów przodował jednak światu również i w procesie paraliżowania myśli jednostek, a dziewięćdziesięciu siedmiu „intelektualistów" jego podpisało ową sławną odezwę wojenną z r. 1914, kompromitującą całe pokolenie.

Wiedział o tej zdolności, tej ochotnej abnegacji myślenia Fryderyk Wielki, skoro rzekł:

„Gdyby moi żołnierze zaczęli myśleć, ani jeden nie pozostałby w szeregach!".

Ten bolesny porządek świata, który wyżej staraliśmy się opisać, wywołuje mniej lub więcej oryginalne wyrazy protestu ze strony poetów, chorych na manię poprawiania świata. W każdym poecie, który zdołał wytworzyć w sobie jakąś wizję życia, tkwi anarchista, ale tylko pozorny. Warunkiem wszelkiej twórczości jest bowiem konstrukcja. Najbardziej fantastyczna utopia wyimaginowana w głowie poety wymaga od swego głosiciela nieomal prawodawstwa. W najświeższej powieści Stefana

Żeromskiego czytamy o „szklanych domach", którymi zabudowała Polskę uznojona, męczeńska wyobraźnia Seweryna Baryki. Człowiek ten, były legionista Piłsudskiego, powiada do swego syna, przejętego ideami rewolucyjnymi: „Rewolucją istotną i jedyną jest wynalazek". A trochę wyżej: „Zabijanie jest zgoła niepotrzebne. Szkoda na to czasu i zdrowia duszy ludzkiej. Wystarcza najzupełniej budowanie życia nowego. Budować od nowa, od samego początku, od gliny ziemnej i głęboko płynącej, ziemnej, czystej wody". Bo: „Tworzeniem wartości nowych i r o z m n a ż a n i e m n o w e g o d o b r a (podkreślenie moje) trzeba wyniszczać w ludziach samą nienawiść!"[3].

Dzieła poetyckie, występujące przeciw wojnie, czyli starające się ją zniszczyć w sercach ludzkich, zasługiwałyby na zarzut szerzenia anarchii, gdyby zburzonej wojnie nie przeciwstawiały swojej nowej budowy. Na ogół budują one olbrzymi gmach braterstwa i miłości, będącego podstawą nowego życia. Nie można zabijać wojny, jeśli się nie ma w sobie dojrzałego pokoju!

Toteż w obliczu wszystkiej polityki świata, wszystkich świętych nienawiści i *sacro egoismo,* wołam o szacunek dla obnażonego bólu poetów, którzy podczas wojny na przekór odwiecznemu porządkowi świata, wyszli na poszukiwanie miłości. Byli przytomni każdej wielkości człowieka, widzieli go w poniżeniu i upokorzeniu i wiedzą, gdzie są jego granice. Wołam o szacunek dla bohaterstwa poetów, którzy, wbrew powszechnej obłudzie, pożytkowanej dla interesów materialnych, pędzeni „mistycznym rozumem", starali się ratować z płonącego domu resztki ludzkiego sumienia. Ci sami poeci, którzy padali na kolana przed wielkością ofiary żołnierza, załamywali ręce nad jego zbrodnią! Zaprawdę, najbardziej bolesny jest moment, kiedy jedna wielkość zabija drugą wielkość. Tutaj przypomnieć należy surowe słowa Pascala: *„Il est dangereux de trop faire voir à l'homme combien il est égal aux bêtes, sans lui montrer sa grandeur. Il est encore dangeureux de lui faire voir sa grandeur dans sa bassesse. Il est encore plus dangeureux de lui laisser ignorer l'un et l'autre. Mais il est très avantageux de lui représenter l'un et l'autre".* (Pensées. Première partie. Article IV/VII).

Rozterka, którą w duszy poetów wywołała wojna światowa, jest bardziej twórczym dokumentem czasu, niźli wszystkie płomienne, entuzjastyczne hasła, co wzywały do boju. Obudziła ona w umęczonej ludzkości żarłoczniejszy od głodu krwi — głód kochania i pokoju.

---

3. Stefan Żeromski „Przedwiośnie".

IV

O co walczyli ludzie w latach wielkiej wojny bronią palną, białą, trującymi gazami i zatrutymi słowy? Jakimi hasłami upajała się świadomość wojowników? Zapewne walczyli, jak zawsze, aby osiągnąć fikcję pewnych zadowoleń. W tym celu musieli spożyć mocny pokarm, przyrządzony ręką przodujących w polityce głów. Bijąc się o handlową supremację Anglii nad Niemcami, musieli połknąć i strawić mnóstwo haseł i doktryn wolności, musieli przeżuć setki frazesów o geniuszu rasy, o zachodniej cywilizacji. Musieli uwierzyć, że wojna jest deszczem, użyźniającym glebę wyschniętą w długiej posusze pokoju, niosącego w sobie groźbę wieczystych nieurodzajów. Wpojono ludom zasady manii wielkości, zapowiedziano im jakieś Kanaany, mlekiem i miodem płynące, a wszystko po to, aby się dały potulnie zmechanizować i uwierzyły w swoją misję. Nie było z początkiem wojny narodu, który by się nie przejął wyjątkową swoją rolą. Anglicy i Francuzi wyzwalali Europę od zalewu barbarzyństwa niemieckiego; Niemcy zbawiali ją od barbarii Rosjan. Przy tej sposobności obudziły się najrozmaitsze chętki odwetów i stare porachunki. Najbrutalniej, najcyniczniej zrywały państwa dawne swoje układy, traktaty i przymierza, w oka mgnieniu uświadamiając masy swego żołnierstwa, nie wtajemniczonego w zawiłości dyplomacji, o nowych prawdach.

Gott strafe England! Takie pozdrowienie wymyślono na poczekaniu dla patriotycznych przechodniów Berlina, Wiednia, Monachium i wpajano w dobrą wolę obywateli gniew i nienawiść do zgoła nieznanych ludzi. Zdarzały się wprost nieprawdopodobne wypadki: rząd królewski w Frankfurcie nad Odrą — sekcja dla spraw kościelnych i oświatowych, przesłał okólnik do wszystkich inspektorów szkolnych, gorąco zalecając „przeszkodzić wszystkim usiłowaniom pogodzenia kulturalnych narodów — w przyszłości".

W tym potwornym zamęcie prawd, kłamstw, fałszywych ideałów i zgoła beznamiętnych gwałtów urodziła się mglista idea walki o „prawa człowieka". Każdy naród czuł się powołany do misjonarstwa i legislatury. W tej krwawej lekcji najboleśniejsze jest to, że wszystkie walki o prawa człowieka staczane bywają nie z jakąś trzecią potęgą, zagrażającą człowieczeństwu jako całości tylko z samym człowieczeństwem. Dlatego każda wojna na świecie jest bratobójcza. Wre ona z bezwzględną zaciętością i z tym większą łatwością, ponieważ wróg jest doskonale znany, prawie identyczny, a broń jego nie jest tajemnicą.

To nie jest walka człowieka z nieznaną chorobą, z katastro-

fami elementarnymi, tylko perfidne samobójstwo, harakiri, popełnione w gorączce przez niepoczytalne zbiorowisko.

Czytaliśmy najróżniejsze usprawiedliwienia owych delirycznych czynów: wojna światowa miała być jakąś kuracją na duchową ociężałość Europy, jakimś psychicznym Marienbadem czy Karlsbadem na zatwardziałe, niezdolne do porywów, zaśnięte siły ludzkie. Miała być akcją ratowniczą na rzecz rzekomo ginących dóbr cywilizacji, gnuśniejącej w bezczynności pokoju. Wojna miała uszlachetnić rasę ludzką, przyśpieszeniem naturalnego doboru. Miała wygubić słabych, leniwych, tchórzliwych, miała wyplenić samolubstwo, senność, indolencję i podłość. Tymczasem wypadło odwrotnie: mocni, odważni, szlachetni zginęli, a zostało się przy życiu charłactwo fizyczne i umysłowe.

Rzadko się zdarza, żeby dwaj starcy, lubo bardzo się nienawidzący, walili się po twarzach i wyzywali na pojedynek. Przeważnie policzkują się i pojedynkują ludzie młodzi, lekkomyślni i pełni temperamentu. Toteż dla miłośników junactwa i zadziorności mają wojny swój urok, świadczą bowiem o temperamencie narodów i młodej, gorącej krwi, pulsującej w ich żyłach. Jest w tym jednak okrutna pomyłka.

Czemuż ta najlepsza, niespleśniała, młoda krew, którą należałoby ująć w karne koryta i wyzyskać dla jakichś pożytecznych prac, ma być przelana właśnie z racji swego przedniego gatunku i powodować długotrwałe anemie narodów? Nie wydaje mi się, żeby narody były kiedykolwiek w ciągu swych dziejów aż tak przekrwione, iżby koniecznie trzeba im było puszczać krew: Na ostre lub chroniczne przekrwienia wystarczą pijawki, które zawsze znajdą się jeszcze w błotniskach narodów. Na głównej arterii każdego narodu uczepiło się wszak dosyć pijawek, ssących ją powoli, systematycznie, ostrymi ukłuciami. Brak tych kilku kropelek krwi, dobrej i złej, nie zaszkodzi zdrowiu narodów.

Najpopularniejszym argumentem zwolenników wojny jest twierdzenie, jakoby ona była egzaminem z siły i energii. Kto występuje przeciw wojnie, boi się, jest słaby i unika próby. Największym dowodem naszej siły ma być żądza unicestwienia siły drugich. Dlatego, zdaniem chwalców wojny, tylko tchórze pragną pokoju, egoiści, ludzie chuderlawi, wygodni i niezdolni do poświęcenia, Żydzi i kobiety. Wobec tego należałoby się zastanowić nad tym, co właściwie jest ludzką siłą: czy folgowanie namiętnościom, czy ujarzmianie ich.

Jeżeli nadmiar popędów jest przyrodzony, to, zdaje się, więcej wysiłku i energii wymaga ich opanowanie, niż puszczanie ze smyczy. Nie ten człowiek budzi podziw dla swojej siły, który, będąc z natury obdarzony grubymi muskułami, rozbija się na

lewo i prawo, ale raczej człowiek wątły, co potrafił gimnastyką wyrobić sobie mięśnie. „Naród panuje nad sobą" — powinno znaczyć, że naród opanowuje się i nie zaczepia sąsiada, chociaż ów ma piękny sad i chociaż bierze chętka rozbić sąsiadowi łeb i zabrać mu z sadu najładniejsze jabłka. Apetyt nie jest miarą dzielności. Opanowanie namiętności stanowi rdzeń cywilizacji ludzkiej i jest wielką zdobyczą człowieka. Natomiast żywiołowe, zwierzęce, niepohamowane wyładowywanie sił fizycznych, mimo że w pewnych epokach przesubtelnionego intelektu stanowi niejaki urok literacki (Jack London) i znakomicie nadaje się do teatru, musi być nazwane barbarzyństwem. Ta nasza barbarzyńska, europejska siła, którą się nieraz chlubimy, gdy nam się zanadto dobrze powodzi, budzi uśmiech politowania na wargach pradawnych kast hinduskich, zaprawdę w niejednym nas przewyższających. Nasza agresywna siła ma często wygląd chłopa, który chełpi się tym, ile zjeść potrafi. Chłop mówi do swojej żony: „Babo daj mi jeść, bo połknę ciebie!". Więc baba podaje mu pół wołu (oczywiście nie jest to chłop polski), z obawy, aby siłacz jej nie pobił, i dumna jest z tężyzny swego męża. Europa też ma mocny żołądek, ale szybko ulega głodowi. Na to wszystko patrzy z litością, graniczącą z pogardą, pierwszy lepszy fakir, który może pościć przez dziesięć dni. Tym porównaniem nie pragnę bynajmniej przemienić Europejczyków w samych fakirów, ale raczej wskazać, na czym polega prawdziwa siła. Jestem fanatycznym wyznawcą Zachodu i wydaje mi się że mimo wszystko Europa ma słuszność, skoro jest z siebie dumna. Stary kulturalny Wschód zastygł już w bezruchu (może pozornie tylko? Ghandi?), skostniał w kontemplacji i, jak to powiadają, zapatrzył się we własny pępek. U nas, w Europie, kultura jest jeszcze na warsztacie, jeszcze nasze tygle gorące od wrzątku duszy i krwi. Żyjemy nadzieją ustawicznych zmian. Pochwalam barbarzyństwo Europy za jej ruch, za męczeństwo jej wszystkich krwawych porodów! Pochwalam wszelką niezgodę, w myśl nieśmiertelnej koncepcji Kanta o wiecznym pokoju. Radość odpoczynku, tęsknota za spokojem i ciszą byłaby nam obca, gdybyśmy nie mieli bezkrwawych starć, konwulsyjnej walki i zwycięstw. W tym jest nasze bohaterstwo. Cała nasza kultura zasadza się na umiejętnym, mądrym modyfikowaniu przeciwieństw, przy którym zdajemy egzamin z etyki. Bydlę nie jest etyczne, bo nie potrzebuje etyki, bydlęciu z tej strony nic nie grozi. Ale na człowieka, który bez etyki obejść się nie może, w każdej chwili czyhają niebezpieczeństwa w postaci świadomości. Świadomość moralna to najgroźniejszy wróg ludzkich zwycięstw. *Vae victoribus!* Nie jest bohaterem, kto nie ma nic do stracenia, kto nie czyni z siebie ofiary! To

nasze ludzkie piękno, z którego słusznie jesteśmy dumni, którego najmniejszy przejaw skrzętnie notujemy w kronikach i przekazujemy potomności na pamięć wieczystą, rodzi się ze skrzyżowania naszej woli z wolą bliźniego, kiełkuje w aktach rezygnacji, milczenia, ubóstwa, poświęcenia, miłości. Nie znaczy to, że najwyższą cnotą człowieka jest bierność. Bierność prowadzi do nihilizmu, od którego uchowaj nas Panie, jak od powietrza, ognia, głodu, i wojny! Celem naszym nie jest wegetacja, niech Bóg nas broni od wiecznej sielanki arkadyjskiej! Daleki jestem od chęci zniesienia walki i współzawodnictwa. Wraz z poetami wieczystego pokoju wśród ludzi, wypowiadam tylko mir bestii, zamieszkałej w ludzkim ciele!

To jest jedyne kaznodziejstwo, które można wyczytać z pism poetów wojny światowej. Bezkrwawa walka, podjęta z człowiekiem w imię nieśmiertelnej, choć pohańbionej jego godności.

Mimo wszystkie szczytne ideały, głoszone przez możnowładców i wodzów, walczyła Europa w latach 1914-1918 o swoją paszę, o bogactwo płodów ziemi i rynki zbytu dla towarów. W grę wchodziły przede wszystkim interesy materialne, handlowe. Dlaczego nie nazywano tego krwawego jarmarku po imieniu? Dlaczego fałszowano mitologię? Jakim prawem przebrał się Merkury za Marsa i zawarł pakt z Apollinem? W Imię Boże walczono o sytość żołądków, a jakaś fałszywa wstydliwość wzbraniała wyznać prawdę. Dlaczego głoszono świętą wojnę, skoro chodziło tylko o jedzenie, którego wszakże nie wyprze się żaden z żyjących? Nikt z pacyfistów nie zalecał anachoretyzmu i żywienia się korzonkami. Każdy szanował prawo trawienia, a jednak nadużyto ludzkiego głodu do celów niegodnych i haniebnych.

— Bez wojny nie byłoby kultury! — głosili zdobywcy, zamiast powiedzieć, że bez upokorzenia i wygłodzenia wrogów, nie będziemy mieli co jeść. To sprawia ból nawet sytym.

Najgorszą rzeczą jest ta nasza świadomość dobrego i złego, która nas gryzie i nie pozwala być ani całkiem dobrym, ani całkiem złym. Czemuż nam nie wolno mordować się bezkarnie, wedle nakazów naszych pożądliwych namiętności, ani kochać się bezkarnie, po bratersku, ile tylko serca?

Ach, raju utracony! Czemuż nasz praojciec. Adam nie zachorował na czerwonkę, nie struł się, lub nie udławił tym fatalnym jabłkiem z drzewa poznania dobrego i złego? Czemu się obżarł tym cierpkim owocem nasz praświntuch i na deser miał jeszcze z tego płciowe rozkosze, na nasze nieszczęście? Gdybyś nie jadł, praojcze Adamie, gdybyś nie jadł tak łakomie, nie zjawiłby się Anioł z gorejącym mieczem, nie wygnałby cię z raju,

a my nie żylibyśmy i nie nękałaby nas ustawicznie świadomość naszych grzechów!

Słodko jest grzeszyć nieświadomie, lecz grzeszyć w pełnej świadomości jest bohaterstwem albo cynizmem.

V

Gdyby wojna była tylko dziełem nagromadzonej w ludziach nienawiści, nie wydawałaby się wcale zjawiskiem tragicznym i nie przedstawiałaby poważniejszego materiału dla poetyckiego zamyślenia. Bywają wojny poczęte z tak wielkiej miłości do własnego kraju, że miłość ta potrafi na drugi plan odsunąć wszystkie skrupuły etyczne. Mówiąc o lekkomyślności wojny europejskiej miałem na uwadze jej sprawców, to znaczy wielkie mocarstwa tego czasu. Teraz pora poświęcić kilka słów wojnom o typie powstań, aktom koniecznej obrony słabych przed gwałtem i przemocą grabieżców. Wojny handlowo-ambicyjne mają charakter wielkopańskiego sportu, uprawianego kosztem sług; lub też są czymś w rodzaju zbiorowych meczów bokserskich i świadczą o zniecierpliwieniu długo trenujących się czempionów. Wytrenowani bokserzy nie chcą bawić się z przeciwnikiem w długie dysputy słowne, w których skutek nie wierzą, lecz wolą natychmiast wytoczyć swoje *ultimae rationes*. Takie wojny wypowiadają na własną rękę państwa, dawno utwierdzone w swych fundamentach i wcale nie liczą się z wolą ludów. Dezerterzy otrzymują kulę w łeb, zaś żołnierzy i obywateli niezdolnych do broni nikt nie pyta o zdanie. Na ogół bywa tak: z chwilą wybuchu wojny, po urzędowym uchwaleniu jej, rządy rozpędzają parlament w obawie krytyki. Przecina się więc tę ostatnią nić, która w czasie pokoju łączy jako tako wolę ludu z wolą rządu.

Nie chciałbym się narazić na zarzut stronniczości, jeśli powiem, iż polskie wojny o niepodległość w roku 1794, 1830, 1863 oraz udział Legionów w wojnie światowej muszą być oświetlone z innej strony. Polską armią ochotniczą w r. 1914 nie kierowało państwo polskie, przeciwnie: garstka wysoce inteligentnych ludzi poszła samorzutnie walczyć o przyszłe państwo i kreować je wśród zgoła nieprzyjaznych okoliczności. Już raz wspomniałem, że w wypadku walki o niepodległość nie ma mowy o zmechanizowanym człowieku. Samozwańczy żołnierz polski po obu stronach frontu, wedle różnych „orientacji" ówczesnych, żadnym musem niezaganiany do szeregów, działał w poczuciu

misji, nałożonej nań przez tradycję, hodowaną w ciągu stukilkudziesięciu lat. Nikt go nie wzywał, nie przychodzili po niego żandarmi, poszedł sam. On to, wśród zaciekłości i bezrozumnych zmagań wielkich mocarstw, z którymi musiał się kojarzyć, dawał światu znać o istnieniu starej polskiej krzywdy. Jak niegdyś osobisty urok Napoleona prowadził rozmiłowane w swoim wodzu gwardie na niebywałe od czasu Aleksandra Wielkiego i Cezara podboje, których ofiarą padła wolność Włochów, Hiszpanów, Niemców — tak w roku 1914 myśl i osobisty urok Józefa Piłsudskiego stworzyły nowe polskie wojsko, i w rezultacie przyczyniły się do wskrzeszenia niepodległości państwa polskiego.

Trud i praca żołnierza, zgrupowanego dokoła wodzów takich, jak Piłsudski, Haller, Dowbór-Muśnicki, nie miały w sobie nic ze szpetoty militarnego rzemiosła, spełnianego pod przymusem.

Zbrojna, mordercza akcja wyzwolenia Polski była dyktowana rozkazami zza grobu. W historii panuje mściwość Starego Testamentu. Synowie i wnuki są odpowiedzialni za czyny ojców i dziadów, choćby przez to, iż zbierają owoce zwycięstw i porażek swych przodków.

Przez półtora wieku cała inteligencja narodu polskiego wytężona była w kierunku odebrania mocą tego, co kiedyś wzięła przemoc. Stąd u Polaków taka wielka, niemal religijna adoracja miecza, karabeli, szabli. Zasada Tołstoja: niesprzeciwiania się złemu, w myśl słów Ewangelii: „Kiedy cię uderzą w policzek, nadstaw drugi!" nie miała dotąd zastosowania w życiu narodów. Życie, wszelkie życie jest pogańskie. We wszystkim, co się łączy z biologią, zauważyć można bezwzględność i mściwość. Toteż pomstę wpajały w serca polskie najpiękniejsze testamenty ojców narodu, wpajały tak długo, aż przemieniły ją w groźną, straszliwą miłość Ojczyzny. Termopyle! — Oto jest symbol wszystkich desperackich powstań, buntów przeciw tyranii, symbol walk do upadłego, „do ostatniej kropli krwi". Dlatego bojownicy o wolność Polski mają w sobie heroizm niedobrowolnej zbrodni.

Fryderyku Wielki, Mario Tereso, caryco Katarzyno! Oddajcie Polakom duszę! Wyście wyssali z niej, co najpiękniejszego miała, wyście kazali zapomnieć jej o całym świecie, o Bogu, o sobie samej! Przez was to, przez waszą chciwość, każde dziecko polskie rodziło się mścicielem z kości swoich przodków-męczenników! *Ex ossibus ultor!* To z waszej winy rwali się wątli chłopcy, chorzy młodzieńcy do śmierci zaszczytnej. Przez was uczyli się nienawidzieć niewinnych bliźnich: Rosjan, Niemców, Austriaków i żyć tą nienawiścią aż po dziś dzień! Uwolnijcie już nasze

oczy, nasze uszy od wiecznego czuwania, od ustawicznych wigilii z karabinem w ręku!

Niechaj młoda polska wolność rozgrzeszy nas ze śmiertelnego grzechu bratobójstwa, do którego wyście nas zmusili!

Niechaj nie obawiają się witaliści, energetycy, że w stanie pokoju ludzkość nie będzie miała o co walczyć i zgnuśnieje, że w bezczynności zardzewieją jej pługi. Czeka nas wszystkich jeszcze mozolna walka z przyrodą, zdobywanie powietrza, na całe wieki rozłożony jest plan strategiczny podboju żywiołów. Kto wie, może geniuszowi Emila Fischera, który już odnalazł sztuczną syntezę cukru, uda się jeszcze odnaleźć białko (nad czym już pracuje), a wówczas nastanie dla ludzkości nowa epoka. Sprawa pożywienia przestanie wówczas być kamieniem obrazy. Stu Fischerów, tysiąc Fischerów uprości nam życie i wypędzi z nas szatana zemsty, co nas opętał. Ustanie wtedy wszelka krzywda, nie będzie głodnych i nareszcie po wiekach niewoli duch zatriumfuje nad materią!

Narody całego świata, sprzymierzone w jeden wielki związek braterski, nie będą się nudziły. Bezkrwawe walki między człowiekiem a człowiekiem, nie o marny kawałek chleba, wspaniałe wysiłki współzawodników w każdej dziedzinie ludzkiej przemyślności podjęte, wymagać będą więcej rozumu, sił i odwagi, niż pociągnięcie za cyngiel lub ładowanie mitraliezy. Oby już nikt przed nikim nie musiał się bronić! Oby nikogo nie kusiła już własność bliźniego! Pracuje już nad tym współczesna myśl ludzka, nie przeszkadzajmy jej wojennym hałasem.

Niegdyś wielki Kant opracował ścisły plan urządzenia świata na zasadzie wiecznego pokoju. Przekonywał, że zwycięstwo, odniesione w wojnie, nie jest dowodem tego, iż słuszna sprawa wygrała. Jest co najwyżej świadectwem fizycznej przewagi i talentów strategicznych.

Czas skończyć z uwielbieniem munduru! Ustanowiony został trybunał przy Lidze Narodów do rozstrzygania sporów między poszczególnymi państwami. Może niedługo cały świat wróci do cywila i na całej kuli ziemskiej nie będzie już ani jednego żołnierza. Ale póki jedno choćby państwo posiadać będzie składy amunicji, tak długo istnieje konieczność zbrojenia się wszystkich jego sąsiadów.

Nikt nie zaprzeczy wielkiej dekoratywności dobrze maszerujących wojaków. Malowniczość pięknie umundurowanej piechoty, maszerującej przy dobrej muzyce działa nie tylko na fantazję dzieci. Takie parady mogą znaleźć doskonałe zastosowanie przy różnych uroczystościach. A co dopiero konnica! Byle by zbytnio nie męczyć niewinnych koni.

Jednak najgłodniejsza fantazja poetycka chętnie wyrzeknie się tej zmysłowej przyjemności, jeśli poza tym wszystkim ma nadal czaić się groza rzezi.

Skoro oficjalni kapłani milczą, głos zabierają poeci i powtarzają słowa Mszy świętej:

„Agnus Dei, qui tollis peccata mundi, dona nobis pacem"!

Wszystkie marzenia poetów mają swoje źródła w prostym, zwyczajnym sercu matki, pod którym poczyna się ludzkie życie, i toną w morzu łez, przelanych z ócz wszystkich matek, co utraciły synów na wojnie.

Przeto może dzięki poezji, jeśli nie dzięki czemu innemu, pewnego dnia wszyscy staniemy się łagodni i pocieszeni i śpieszno nam będzie poumywać krwawe ręce, aby je sobie od granic do granic, od Wschodu na Zachód, od Południa na Północ po bratersku uściskać. Nie starczy mydła do tych ablucji. Potem będziemy, jak bracia, siedzieli za stołem na wspólnej uczcie narodów i wzniesiemy tam staropolski toast: „Kochajmy się!" nie tylko przy wódce, ale przy wychylaniu wspólnego kielicha żywota, na którego dnie jest sporo goryczy.

1923-1924

BARBARZYŃSTWO

Pośród wielu złudzeń, które nam czynią życie długim, godnym podziwu, cierpienia i walki, najsilniejsze są te złudy, którym za wszelką cenę — nawet za cenę samego życia — usiłujemy nadać pozory prawdy. Zdaje się, że człowieczeństwo w swoim tajemniczym pochodzie bardziej ufa złudzeniom optycznym swego instynktu, niż owym surowym, ale niewidzialnym władzom żywota, którym niewolniczo ulega. Jest to zresztą objaw zupełnie naturalny. Wszakże cały ustrój biologiczny człowieka został mu gwałtem narzucony od zewnątrz i rządzi nim, jak tyran, podczas gdy złudzenie jest niepodzielnie jego własnością i to, nie prezentem od jakiejś zewnętrznej potęgi, lecz dziełem jego własnego umysłu. Stąd pochodzi, że ów wspaniały urząd miar i wag, który nadaje wartość wszystkiemu, co ludzkie, od zarania uświadomionej ludzkości czynny jest bez przerwy, przez cały dzień i całą noc. Nie ma on stałej siedziby, gdzieś poza ludzkością, gdyż biuro jego mieści się w łonie samego człowieczeństwa. Jest to biuro ruchome, przenośne, ma niezliczoną ilość departamentów i bywa tłumniej nawiedzane, niż wszystkie suwerenne władze życia i śmierci. Orzeczenia tego urzędu, jakkolwiek nieraz całkiem fałszywe, lub ulegające kapryśnym zmianom, cieszą się większym posłuchem, niż na pozór stokroć mądrzejsze, odwieczne prawa natury czy prawa boskie. Zadufany w nieomylność ulubionego swego ministerstwa, przyzwyczaił się człowiek w żywe oczy wystawiać naturze język, bluźnić Bogu, a zuchwałe jego szyderstwo, już tak daleko się posunęło, że i Boga i naturę zniewolił do służby u siebie. Bóg został woźnym ludzkiego trybunału, nosi (u różnych narodów) czapkę z takimi emblematami, jakie w

(Zarys odczytu wygłoszonego w Krakowie i Łodzi w maju 1924 r.)

danej chwili podobają się człowiekowi, lub jakie są w modzie, a ponieważ posiada od wieków głos silny, tubalny i uroczysty, kazano Mu wygłaszać wyroki człowieka — o ironio! w Jego własnym, boskim imieniu.

Bóg ludzki ma temperament spokojniejszy i dostojniejszy od natury, przeto nie opierał się długo człowiekowi, lecz zagryzł zęby i w milczeniu poddał się swojej doli.

Z naturą poszło już trudniej. Jest to babsko olbrzymie, histeryczne, drapiące, kłujące, kąsające. Chwyta człowieka za nogi, za głowę, za ręce, pluje mu w oczy ogniem i siarką, prycha wichrami, leje mu smołę na głowę, łamie mu kości w uścisku, to znowu mrozi lodowatymi paluchy. Pocałunek natury nierzadko niesie śmierć. Przy tym prawie bez przerwy krzyczy i zrzędzi, słowem jest to kobieta, z którą trudno żyć. A przecież jurnemu z „natury" człowiekowi coraz łatwiej udaje się docierać do jej wdzięków, które są zaprawdę nieporównane. Słodycz jej, aczkolwiek głęboko utajona, otumania durem. Toteż człowiek bardzo chętnie szamoce się ze swoją sekutnicą, znosi cięgi i razy, rany i śmierć. W rezultacie coraz częściej znajduje się na niej niż pod nią. To napełniło go taką dumą, że w końcu wmówił w siebie, że jest jej panem, a ona jego niewolnicą. Gotuje mu, nakrywa do stołu, pali w piecu, szyje i naprawia odzież, oraz świadczy mu wiele domowych posług.

Tak wygląda jedna z najmilszych złud człowieka, złuda kultury, przedstawiona alegorycznie. Stwierdzamy więc, że kultura jest owym najwyższym złudzeniem człowieka, osiągniętym jako wynagrodzenie za żmudną walkę z przyrodą. Te i podobne złudzenia są w dzisiejszych czasach rzeczywistymi bóstwami człowieka. Nad nami włada dziś cały Olimp prawd urojonych, Olimp, którego mieszkańcy nie są wprawdzie nieśmiertelni, ale zawsze żyją dłużej od nas. Przychodząc na świat mamy już przygotowany cały garnitur prawd moralnych i amoralnych, w które a priori musimy się ubrać, gdyż są one zdobyczą poprzednich pokoleń; a zwątpić o nich, znaczy: podjąć ryzykowną rewolucję wszechświata, w której nie można zwyciężyć inaczej, jak tylko przez intronizację nowych bóstw. Pokaźne miejsce na tym Olimpie nowoczesnym zajmuje Nauka, będąca metodycznym rozszerzaniem przyrodzonych człowiekowi ograniczeń. I w tym jeszcze są podobni dzisiejsi nasi bogowie do bogów starożytnego Olimpu, że stworzeni zostali na kształt i podobieństwo człowieka i są dostojnym wyrazem jego niezawsze dostojnych pragnień i ambicji. Nie ulega wątpliwości, że najcenniejszą z wszystkich złud człowieka jest owa złuda kultury, gdyż podnosi w jego oczach war-

dążeń człowieka, nie istniałyby również pojęcia zbrodni, grzechu, kłamstwa, obłudy, fałszu, oszustwa itd.

Bardzo możliwe, że przyszła religia człowieka będzie religią amoralną, aetyczną, religią uświadomionego zła. Skorzysta wtedy człowiek z tylowiekowych doświadczeń i tylko zmieni front na korzyść szczerości. Czyniono by wówczas źle — oficjalnie, a zbrodnia w żadnej cnocie nie szukałaby usprawiedliwienia. Prawie każdy zbrodniarz stara się usprawiedliwić swój zły czyn jakąś cnotą. Powiada: „myślałem, że to jest dobre!", „musiałem się bronić przed złem, nędzą, obłędem itd.". Również i narody zawsze znajdują na usprawiedliwienie coś bardzo szczytnego. Podnoszą do godności sakramentów swoje błędy i zboczenia. U Greków dobro pokrywało się z pożytkiem osobistym. Było to jasne postawienie sprawy, nie dopuszczające fałszywej interpretacji. W ogóle na tle względności pojęć o dobrem i złem rozwinęło się całe to zawikłane teatrum ludzkich namiętności, szałów, zemst, okrucieństw. Na tle tej względności wystąpiły wszystkie czarne charaktery wraz ze swoimi antypodami.

Barbarzyństwo zatem nie jest bynajmniej określeniem zboczeń człowieka i uchyleń od ideału dobroci. Nie jest nawet określeniem i osądem jego złych czynów, spowodowanych brakiem świadomości. Barbarzyństwo jest raczej definicją wszystkich rdzennych, rasowych namiętności, zarówno dobrych, jak i złych, tkwiących w nas od kolebki naszego rodzaju w stanie elementarnym.

Barbarzyństwu przeciwstawić można jedynie opanowanie, ociosanie, ogładę. Nie jest ono pojęciem moralnym. I święci mieli swoich barbarzyńców; i bogowie, piastuni najwyższych wartości etycznych, byli nieraz barbarzyńcami. Natomiast bogowie złych namiętności byli często opanowanymi gentlemanami. W pojęciach cywilizowanej ludzkości Mefistofeles jest dandysem, a przecież każdy wie, że jest on zaprzeczeniem dobroci, jakkolwiek i jemu nie brak wielkich cnót.

A zatem barbarzyństwu w życiu można przeciwstawić opanowanie, a barbarzyństwu w sztuce — harmonię. Z punktu widzenia estetyki *moralnej* byli barbarzyńcami eleganccy patrycjusze rzymscy, trzy razy dziennie odwiedzający termy Karakalli — natomiast nie byli barbarzyńcami brudni i niecywilizowani męczennicy chrześcijaństwa, ginący w oczach tych wykwintnisiów na arenie Colosseum.

W sztuce narodów, będącej wyrazem ich kultury duchowej, spotykamy rozmaite objawy barbarzyństwa. Upajamy się poematami, które w formie umiarkowanej i harmonijnej malują najohydniejsze zbrodnie przeciw Duchowi Świętemu, podziwiamy gest

wspaniałych morderców, to znów uznajemy barbarzyństwo w utworach sielankowej, gołębiej miłości — z powodu zdziczałej formy. W porównaniu z Platonem był Homer barbarzyńcą pomimo harmonijnej formy swych eposów, gdyż oddawał namiętności swoich bohaterów w nagiej postaci, niczego nie przemilczając i nie modyfikując. Od Homera zapewne bierze swój początek sadyzm w literaturze. Ale ten sam Homer w porównaniu ze sztuką epicką asyryjsko-babilońską, wydaje się arbitrem elegancji. Jak dalece względne jest pojęcie barbarzyństwa w sztuce, dowiedzie plastyka i architektura gotycka, jeśli ją porównamy z klasyczną plastyką i architekturą grecką. Treść utworów malarstwa i architektury gotyckiej jest przeważnie dogmatyczna, głęboko moralna, ale wyraz jej bywa często anarchiczny, rzec by się chciało: amoralny, nie wzdrygający się przed ohydą. Rozwiązłość tematów pogańskiej sztuki Greków w porównaniu z surową dyscypliną tematów sztuki gotyckiej jest niekiedy tak przerażająca, iż tematy owe stałyby się ostatnim krzykiem barbarzyństwa, gdyby je odziać w obcisłe „dzikie" szaty gotyku. Już w samym założeniu greckiej sztuki, na ogół idealistycznej tkwi poskromienie barbarzyństwa. Ilekroć Grecy uzmysławiają przerażenie, tak wielką rolę grające w ich symbolice, starają się nadać temu przerażeniu jak najłagodniejsze rysy. Wszystkich nas musiał zadziwić spokój na twarzach umierających bohaterów, których nam przedstawiła rzeźba grecka z epoki klasycyzmu. Okazuje się, że pokonanie naturalizmu w sztuce greckiej było równocześnie wielką jej zdobyczą.

Ciekawym przykładem barbarzyństwa w sztuce jest ewolucja Goethego, którego twórczość była zbiorowiskiem wszystkich stylów. Proszę zauważyć, jak pod wpływem strasburskiej katedry, staje się ten wytworny pseudo-klasyczny autor „singspielów", przypominających swoim układem strzyżone szpalery Wersalu, nieomal dzikusem. Szekspir był największym barbarzyńcą sztuki czasów nowożytnych. W porównaniu z Rasynem, na którego scenie rzadko ukazują się trupy, Szekspir morduje swych bohaterów, ile tylko wlezie, truje ich w oczach widzów, męczy hrabiego Kentu w „Królu Learze" niemiłosiernie, z zamiłowaniem czyni nas świadkami agonii naszych ulubieńców, przenosi akcję do zamtuzów, lubuje się w burdach ulicznych i karczemnych. W słynnym liście do Herdera, Goethe nie może wyjść ze zdumienia nad tą gwałtownością Szekspira, w końcu sam jej ulega i, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zamienia się ten pudrowany i operuczony Goethe w autora na wskroś barbarzyńskiego „Goetz'a von Berlichingen". W „Goetz'u" poeta nie przebiera już w słowach, burzy harmonię, pisze

wulgarną nieraz prozą dramat tego „rycerza żelaznej ręki". Ta nowa twórczość Goethego przybiera na tężyźnie wyrazu, choć z punktu widzenia klasycyzmu jej siła moralna słabnie.

Raz po raz w dziejach sztuki powstają barbarzyńcy i zrywają z harmonią konstrukcji. Wtedy nawiedza świat nowy, ożywczy, jak gdyby elektryczny prąd, poruszany barbarzyńskimi falami życia. Słynna walka klasyków z romantykami w Polsce była walką o barbarzyństwo formy, tak skwapliwie zalecane przez Brodzińskiego.

Bardzo często słyszy się zdanie, że kultura niemiecka w porównaniu z francuską jest typowo barbarzyńska. Oczywiście nie mam tu na myśli poglądów wojennych, chodzi o styl sztuki, który w samej rzeczy jest u Niemców obciążony dziedzicznie wybujałością refleksji i zamiłowaniem do brutalizowania, podczas gdy Francuzi umieją najbrutalniejsze sprawy pokrywać tiulem ironii. W muzyce Beethoven często bywa barbarzyńcą w porównaniu na przykład z Mozartem. Rozerwał on konwencjonalną harmonię, układając swe symfonie i sonaty z samych niejako żywiołów. Elementarność w sztuce, elementarność treści i wyrazu, będącą świadomym zaprzeczeniem form cywilizacyjnych, choć nie zaprzeczeniem kultury, można we wzmożonym stopniu zauważyć w tzw. stylu ekspresjonistycznym. Ostatnim wyrazem kulturalnego barbarzyństwa w poezji, cofnięciem się do najelementarniejszych dźwięków i obrazów jest dadaizm.

Każdy artysta, ulegający swojej wizyjnej czy muzycznej wyobraźni, której nie umie czy też nie chce ujarzmić, jest *barbarofonos:* brzmi szorstko i pierwotnie. W sferze tragicznych, elementarnych konfliktów barbarzyństwo bywa często nieuniknione. Taki Dostojewski jest nie do pomyślenia w formie opanowanej i zharmonizowanej. Podobnie Strindberg i Przybyszewski.

Szalony taniec miłości i śmierci nie jest menuetem ani gawotem, lecz krwawym i żałosnym, a przecież niekiedy dostojnym korowodem dionizyjskim, a czkawka śmierci dziwnie się łączy z zachłyśnięciem rozkoszy.

1924

INWENTARZ KULTURY NARODOWEJ

Stefanowi Żeromskiemu z najserdeczniejszym wyrazem najgłębszej czci.

Książka Stefana Żeromskiego pt. „Snobizm i Postęp" dwusiecznym mieczem ugodziła najmłodszych polskich twórców. Dla jednych była aktem surowego oskarżenia, dla drugich radosnym wyzwaniem do zaszczytnej walki w szrankach przyszłości. W obu wypadkach była przypomnieniem obowiązku dumy, bez której wszelki ludzki czyn staje się niepotrzebny. Tego obowiązku wyrzekli się snać naśladowcy obcych wzorów w poezji, ale nie zapomnieli o niej cierpliwi pracownicy jutra, zatrudnieni szukaniem nowych kształtów w nowej rzeczywistości.

Niewątpliwie najcenniejszym walorem, jakim każdy naród może się poszczycić, jest rodzima jego twórczość odmienna od wszystkiego, co wytworzyły inne narody. Bardzo trudno określić, czym jest twórczość narodowa i dokąd sięgają jej granice. Istnieją mianowicie prace, dokonane w obrębie jednego narodu, z których pożytek czerpie on sam tylko, ale bywają również bujne plony narodowej uprawy, którymi żywi się cała ludzkość.

W niniejszym szkicu ograniczymy się tylko do rozważania niektórych osobliwości współczesnej uprawy umysłowej i artystycznej na ziemiach polskich.

Jądrem, pełnym soków, płonącym ogniskiem każdego ruchu umysłowego i artystycznego jest żywa idea, której siłą i natężeniem mierzy się jego wartość. Musi gdzieś istnieć zaognione centrum, zdolne do zarażenia głów i serc pokolenia żarliwością pracy. Wiara chrześcijańska przez długie wieki była taką ideą, od której żaru zajęły się wszystkie talenty cywilizowanego człowieczeństwa, aż buchnął z niej olbrzymi pożar i spalił cały świat. Resztki pogorzelców dziś jeszcze błąkają się po całej ziemi i w samotności wspominają ów dawno ugaszony ogień, który spopielił im serca. Taką ideą, ciągle się odmładzającą jest ów wieczysty bunt po-

krzywdzonych przeciw krzywdzicielom. Gorzały nią przez okres przeszło półtorawiekowy najczystsze serca i najprzedniejsze umysły naszego plemienia. W ustawicznych niezadowoleniach, rokoszach i walkach o tzw. prawa człowieka i jego coraz to wyżej taksującą się godność, w walce o szczęście poszczególnych ludów, klas i o szczęście całego ludzkiego rodzaju — jako pomniki zwycięstwa ostały się tylko zdobycze duchowe.

Walka z głupotą, z niesprawiedliwością, obłędem, chorobą i śmiercią, przyczyniła się do rozwoju tego, co nazywamy cywilizacją. We wszystkich wysiłkach człowieka, wraz z nim przemijających, jawi się jakiś pęd do nieskończoności, do pokonania śmierci. Ludzie i całe narody żyją, zmagają się i kurczą w straszliwych konwulsjach twórczego bólu i radości, a potem kładą się do grobów ze słodką nadzieją, że przecie nie całkiem umarły. Gasnąca powieka obejmuje miłośnie i żegna ostatnim spojrzeniem nagromadzone za życia śpichrze; serce ucicha, wierząc, że ostaje się umiłowana ziemia, na której będą się teraz mozolić, walczyć, upadać i znów podnosić — synowie, wnuki, prawnuki. Ręka martwiejąca, za nim się w proch rozsypie, po raz ostatni pragnie dotknąć martwych przedmiotów, które nie przeminą tak rychło, lecz trwać będą nadal, tylko bardziej jeszcze ulepszone, bardziej mądre, bardziej pożyteczne. Czy jako zwycięzcy umieramy z wieńcem na skroniach, czy — jako zwyciężeni z jarzmem na szyi: zawsze rozstajemy się ze światem w przeświadczeniu, że wokół nas życie wre coraz mocniej i że coraz więcej na ziemi kształtów, naszą ręką zdziałanych. Każda nasza śmierć — bogaci świat o jedno wspomnienie więcej, o jeden czyn więcej, o jeden błąd więcej, o jeden cud, o jedno życie. To — radość zostawiania po sobie spadku. A więc wszystko, co nazywamy bytem, płynie nurtem skłębionym, spienionym, płynie bez końca, burzy się i pałkoni, staje dęba, zrywa nałożone tamy, to znów uspakaja się i klęka pokornie jak wielbłąd, któremu nakłada się juki. Ponad tą rzeką, jak chwytny drapieżca-jastrząb szybuje myśl ludzka, sens i cel wszystkiemu nadająca królowa stworzenia, nieśmiertelnie zasiadająca na tronie u boku Stwórcy.

Bywają czasy, kiedy narodom objawia się Bóg w gorejącym krzaku. Wówczas ze śpiących łon, z mrocznych głębin rasy rodzą się święte misje, które muszą być spełnione w imię jakiejść wysokiej woli, nieznanej nikomu. Ach, jakiż wtedy ruch, jaka gorliwość i zamęt powstają! Ludzie opętani ideą pędzą na oślep, mury głową przebijają, szamocą się z swoim losem, giną i przepadają w ekstazie niepojętej rozkoszy. Po wiekach przychodzi historia, z zimnym gestem nakłada na lodowate oczy binokle i jak stary profesor stawia stopnie w swoim odwiecznym notatniku. Na

każdy ludzki czyn nalepia etykietę, jak obojętny buchalter, zaznacza jego wagę, miarę i ciężar właściwy, po czym odchodzi spokojnie, jak przyszła, aby poczekać na nowych ludzi i nowe wypadki. Bywają czasy śpiączki, kiedy na świecie nic wielkiego się nie staje: wszyscy chrapią, pochłonięci mozolnym trawieniem.

Ziemia jest ciałem świata, nagim i krwawiącym, i przyodziewa się w szaty wieków, pyszne i błyszczące, aby zakryć nimi swój ból rodzenia. Ciągle się przebierając, porzuca ona w czasie te strojne szaty, jedną po drugiej, a one leżą zaprószone w głębokich skrzyniach naszej pamięci i dostarczają wzorzystej materii na legendę narodów, miast, rzek i mórz. Wieczna jest ziemia, wieczne są pola, śmiertelnymi rękami pokoleń uprawiane, i wody, prute dziobami przemijających statków. Ma i Polska swoją notę z historii, ma swoją legendę i dumnie przechowuje w swych skarbcach pamięć ludzi, którzy się trudzili dla jej szczęścia.

Dziś jednak nie będziemy już wspominali przeszłości, nie będziemy grzebali się w wspomnieniach. Obchodzi nas dzień dzisiejszy i to, co nas jeszcze czeka, jakkolwiek jedno i drugie bez przeszłości nie da się pomyśleć.

◆

Kultura jest dziełem powszechnym, jakkolwiek tylko wybitne jednostki nadają jej piętno i ustalają jej charakter. Bardzo mądrze napisał na ten temat Ostap Ortwin, występując przeciw „Kulturze personalnej": „Kultury nie dziedziczy się z krwią i nikt jej na świat z sobą w fizycznym czy duchowym organizmie nie przynosi. Do kultury się dochodzi, wychowuje i dojrzewa pod ciśnieniem tych czynników, które na wytworzenie jej się składają. Jest ona wytworem poza i ponadindywidualnym zbiorowego życia, dziełem gromadnej, współdzielczej pracy, i jako taka dobytkiem i własnością tej wspólnoty duchowej, z której każdy z osobna czerpiąc korzysta, a wszyscy razem twórczością swą zasilając mnożą, bogacą, rozgałęziają, komplikują i doskonalą". Następnie konkluduje: „Nie ma ogólnoludzkiej kultury i n a b s t r a c t o , jest tylko pewna, konkretna, swoistymi znamionami ściśle nacechowana kultura danego terytorium".

Wynika z tego, że na bieg wypadków kulturalnych mają wpływ decydujący pewne, powszechne zdarzenia wielkiej wagi.

Co mogło wpłynąć na ukształtowanie się polskiej kultury w ostatniej dobie rozwoju? Były dwa wielkie wydarzenia w historii, które po Wielkiej Wojnie winny były, wedle wszelkich praw, odbić się w naszej twórczości. Pierwszym, długo oczekiwanym, wydarzeniem jest wskrzeszenie państwa polskiego, a

drugim, niespodziewanym: rosyjska rewolucja. Te dwa wydarzenia dziejowe miały wycisnąć ślad i ukształtować wrażliwość młodego pokolenia Polaków. Z obu tych przemian dziejowych miały nadpłynąć nowe strumienie idei, zdolne do użyźnienia naszej ojczystej twórczości. Stało się jednak tak, że obie te ideologie w drodze do polskiej umysłowości nie przeszły obojętnie mimo siebie, lecz starły się z sobą jak dwaj groźni wrogowie. Idea wyzwolonej Polski nie mogła się pogodzić z wszechświatową ideą rosyjskiej rewolucji. Przeto, zaledwie nastała dla narodu nowa epoka, zaledwie umysły mogły się zorientować w nowym położeniu, już poczęły czyhać na nie potężne sprzeczności. Trzeba się było zdecydować, którą pójść drogą. Nie było nam dane radować się wolnością, paść sobie w ramiona, upić się uciechą nowego życia. Za plecami tego nowego życia przyczaił się straszliwy znak zapytania i on to sprawił, że zamiast tańczyć, śpiewać godowe pieśni, spuściliśmy ponurą przyłbicę na oczy i z bronią w ręku warowaliśmy u stóp nowonarodzonej wolności.

„Kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam" warknęła groźnie rewolucja, i dlatego takie smutne były pierwsze lata nowego życia, tak niespokojny, dreszczami przerywany, był pierwszy sen narodu. Zapewne, zaślubiny Polski z polityczną wolnością nie mogły się odbyć hucznie a strojno w obliczu kilkudziesięciu milionów trupów wielkiej wojny i wśród najrozmaitszych gwałtów. Na pobojowisku tańczy się niewygodnie.

Dziwnie poważna i posępna była nasza młodość w tych czasach, kiedy miejsce dwugłowych orłów rosyjskich, pruskich i austriackich zajmował biały orzeł, kiedy polscy kolejarze, listonosze, policjanci i żołnierze zmieniali mundury i naszywki, kiedy w urzędach zaczęto używać nowych pieczęci, a w miastach byłego zaboru pruskiego i rosyjskiego ulice otrzymywały nowe nazwy. A jak często wsie i miasteczka zmieniały swoje imiona! W czasach oczekiwania i walki, w czasach niewoli, wyczerpał się twórczy entuzjazm, chowany na ów moment odzyskania wolności, dlatego nie starczyło mu już tchu w chwili, kiedy ona rzeczywiście nastała. Okazało się niestety, że w psychice polskiej nie zaszły żadne gwałtowne zmiany. Człowiek mało się przeinaczył, jakkolwiek zewnętrznie wszystko się odnawiało wraz z nową administracją państwa. Nie wyschły jeszcze szyldy, świeżo lakierowane na biały i czerwony kolor, mile pachniały świeżością nowe mundury i szlify, ale nie wyschły również dawne łzy, co więcej: nie ustały przyczyny, łzy wyciskające. Stara nędza, stara podłość nie przestały istnieć. Przeciwnie: jeszcze więcej nędzy przybyło po wojnie, która stała się wszechnicą złych instynktów.

I oto dzisiaj jesteśmy świadkami przedziwnego procesu. W

wszystkich nas coś dogorywa, stary świat systematycznie obumiera, raz po raz porzucamy jakiś stary przesąd, raz wraz jakiś nieużyteczny rekwizyt wypada nam z ręki. Coś się odmienia na całej linii. Jak po ciężkiej szkarlatynie łuszczy się skóra na psychice polskiej, a spod strupków prześwieca żywe mięso. Jakaś nerwowa apatia opanowała nas w dziedzinie twórczości literackiej, tak bardzo rzeźkiej i wytężonej w dawniejszych naszych tęsknotach i wigiliach. Senna wygoda obsiadła nasze myśli, jak leniwe muchy jesienne.

Wolność Polski, z chwilą, gdy się urzeczywistniła, przestała być interesującym tematem literackim. Jeżeli zapytamy, do jakiego celu służy dziś polskiemu literatowi polityczna swoboda, odpowiedź musi wypaść: w każdym razie nie do tego, aby w dalszym ciągu operował rekwizytami z zakresu tęsknoty za swobodą. Toteż przyznać trzeba, że większości grafomanów i narodowych snobów ubył z chwilą odzyskania niepodległości ulubiony temat. Kształtowanie żalu za straconą wolnością, zabawa w proroctwo o zmartwychwstaniu i wzywanie do boju, dawały do roku 1914 znośne utrzymanie wielu ludziom pióra w Polsce. I zapewne jeszcze dziś sporo jest takich, którzy po kryjomu, gdy nikt nie słyszy, szczerze żałują, że czasy się zmieniły. Są to po prostu bezrobotni, pozbawieni chleba.

Nic dziwnego więc, że w odrodzonej Polsce umysły wygodniejsze, a żądne mocnych wzruszeń, po zlikwidowaniu starego kramiku estetycznego, udały się do sąsiadów i wypożyczyły sobie parę efektownych sensacji do swej twórczości.

Wskrzeszenie państwa polskiego jest dla literatów materiałem emocjonalnym, nagromadzonym już w przeszłości, za to rewolucja rosyjska daje emocjonalność niejako na kredyt. Rewolucja polska trwała przez sto pięćdziesiąt lat, i skończyła się dniem wskrzeszenia państwa. Natomiast przewrót w Rosji, mimo swój narodowy charakter, posiada pewne cechy międzynarodowe, które pragnie rozwinąć w p r z y s z ł o ś c i . A zatem: idea wolnej Polski jest stara, zaś idea rewolucji rosyjskiej, w swej realizacji, jest czymś nowym, pierwiastkowym, nieznanym. Chcąc tworzyć w duchu dawnej Polski, trzeba sięgnąć wstecz, oprzeć się na dawnych przywilejach, zwyczajach, przywrócić tytuły wojewodów, odnowić stare zabytki, zakochać się w przeszłości, przypomnieć dawne prawa, kształty i nawyki. Idąc z rewolucją, idzie się w nieznane, niepewne dziedziny, w których z dnia na dzień, wśród błędów i omyłek, rodzą się nowe nawyki i całkiem nowe formy bytu. Rewolucja, przekreślając dawność, nęci głównie tych, którzy nic nie mają do stracenia, ale przeraża tych, którzy przywiązali się do swojej własności. Na ogół zapanowała w Polsce

zasada złotego środka: urządzono republikę bez króla, zrezygnowano oficjalnie z tytułów książęcych i hrabiowskich, postanowiono się zdemokratyzować, lecz nie dopuścić do przewrotu.

◆

Brak ideologii jest wciąż powtarzającym się zarzutem, stawianym najmłodszym twórcom Polski, lojalnym wobec państwa. Z tego więc jedynie powodu zajmujemy się w niniejszym szkicu literackim sprawami, których rozważanie leży poza granicami naszej kompetencji.

W samej rzeczy nie dorobiliśmy się jeszcze nowej myśli przewodniej, nowej postawy twórczej wobec ogromu zjawisk nowego, powojennego świata. Najuczciwsi, najzdolniejsi z nas cały swój zapał oddali w służbę formy artystycznej, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Najlepsi z nas zaczęli kształtować proste zjawiska codzienne i pokusili się o ustalenie ich legendy. Legenda dnia powszedniego stała się pod ich ręką równie czarowna, jak ongi legenda dni świątecznych. Jakieś wspaniałe obrzędy i wspaniałe liturgie spełniają się w sercu codziennego bytu. Cicha msza, którą odprawia prosty człowiek w adoracji swego własnego życia i wspaniałości stworzenia znalazła doskonały wyraz w poezji ostatnich lat. Poeci grupy „Skamandra" naznosili skądciś do swych wierszy tyle piękności niewyszukanej, nazbierali z ulic, sklepów, fabryk, dworców, z niedalekich podróży tyle niekłamanego zachwytu, tyle afirmacji życia, iż słusznie można ich uważać za zwiastunów nowej, polskiej wiosny. Doczekała się nareszcie Polska swego dnia powszedniego po smutnym Wielkim Tygodniu, który trwał aż nadto wiele lat, a jej pieśniarze przestali nareszcie zawodzić gorzkie żale. Zamiast profetyzmu, zamiast jeremiad i kazań Skargi, na złość smutkowi powojennego życia upiła się najmłodsza poezja polska słonecznym fluidem wiosennego poranka i wsławiła swój dzień dzisiejszy. Umilkły mroczne, fosforyczne, lunatyczne litanie do nocy. Nastał radosny *plainair*, pora sławienia dnia, chleba, mleka, wiosny i wina. Coś ze świata świętego Biedaczyny Franciszka odbiło się refleksem na pieśniach zmartwychwstałej Polski. „Zatriotrulitreliło" powszędy. Ucieszyła się dusza prężnością muskułów ciała, noga pofolgowała ochocie kopnięcia footbalu, ciało poczuło żądzę fruwania samolotem ponad ziemią, naszą ziemią, która raz na zawsze przestała być „obszarem gnuśności, zalanym odmętem". Stała się raczej godną pożądania kochanką, którą w razie czego można opuścić, skokietować z wysokości 500 metrów. Przyzwyczaiła nas poezja romantyczna do spoglądania w stronę sztuki niby w stronę jakiegoś

szpitala, z którego dochodzą jęki i westchnienia. Woskiem zalepili sobie uszy piewcy siły i zdrowia i przyłapali miłosiernego Boga na gorącym uczynku tańca.

Ale upojenie trwało niedługo. Nagle zasępili się rymotwórcy. Porzucili cechowe spory o praworymność, krasopisarze bez skazy znudzili się krasopisarstwem i hosanną na cześć życia, usłyszeli bowiem na jego dnie groźny pomruk krzywdy. Jak dzieci odkryli ze zdumieniem, że nie wszystko jest w porządku na tym świecie, że człowiek po wojnie światowej mało się zmienił na korzyść, „schudł, sczerniał", ale dziwnie nie wyszlachetniał. Ostro ukąsił ich ból, że życie odrodzonego narodu obniżyło się pod względem moralnym w przerażającym stopniu, że zatriumfowało chamstwo, że podłość odniosła tanie zwycięstwo nad wszystkim co piękne i szlachetne. Żywiołowa fala nienawiści rozlała się szeroko niczym Wisła w czas roztopów po obszarach drogiej nam ziemi, której smutek nie różni się wiele od smutku niewoli. W bezsilności jedni opuścili ręce, inni zapłakali głuchym płaczem i pofolgowali żółci, większość wycofała się w samotność. Najbardziej niecierpliwi dali posłuch podszeptom ze wschodu. Zbuntowali się, jak psy urwali się ze smyczy.

— *Révolte pour la révolte!* Jak zaślepieni obrazoburcy jęli godzić w samego Boga, nie mogąc zburzyć Jego kościołów, w których szatan odprawiał nabożeństwo. Z bielmem na oczach, z pianą na ustach, z furią w sercu, jęli kamienować bez wyboru wszystkie dawne świętości, li-tylko dlatego, że świadczyły się starym rodowodem. Gorące łby zaczęły walić taranem w grube mury tragicznych, nierozwikłanych tematów, z czego powstał straszliwy, gorący, nie do zniesienia chaos.

Zapomnieli ci żarliwcy, ci buntownicy w imię świętego oburzenia, że z własnej rozpaczy nie można dedukować prawideł i narzucać ich światu. Woleli zatem sami być niesprawiedliwi, niż pozwolić, aby nadal panoszyła się dawna niesprawiedliwość. Zamiast dążyć do przebudowy zapragnęli burzyć. Nie zauważyli szalonej omyłki twórców rewolucji rosyjskiej, którym się zdawało, że zmiana systemu rządzenia sprowadzi u ludzi zmianę sposobów myślenia, a oto im przecie chodziło. Zapewne, jeśli rewolucję przygotowują w ciągu długich lat najlepsze umysły narodu, jak to na przykład było we Francji XVIII wieku, jeśli Rewolucja wychodzi ze zbiorowego ducha Encyklopedii, wówczas może przeobrazić psychikę każdej wykształconej jednostki i narzucić jej nowy typ kultury.

Francja jest krajem nieustannej rewolucji. Z ducha Woltera, d'Alamberta i Diderota poczęła się we Francji w latach wojny światowej rewolucja przeciw starym pojęciom moralnym. Ale

jak? Tak, jak ongi Diderot z pomocą Encyklopedii i Wolter z pomocą *Dictionnaire Philosophique* wywołali przewrót w świecie prawd umysłowych, zarówno społecznych, jak moralnych, tak w roku 1917 cała gromada nowych twórców poczęła przebudowywać porządek świata. Religię człowieka głosili uporczywie Francuzi w czasopismach takich, jak: *Vivre, Les Humbles, La Sève, Soi-Même, Demain, Les Tablettes, L'Aube, La Forge, La Caravane,* a przede wszystkim w *Cahiers Idéalistes Français*. Gérard de Lacaze-Duthiers w czasopiśmie *Soi-Même* poczyna drukować regularnie od r. 1917 swój *Petit Dictionnaire Idéaliste,* w którym to słowniku wykłada nowe znaczenie poszczególnych słów i komunałów, będących w obiegu. Odmładza słowa i rewoltuje ich znaczenia. Za pomocą nowego słownika głosi braterstwo ludów.

Myśl rewolucyjna we Francji jest właściwością tradycyjną i znajduje swe wytłumaczenie w starej kulturze buntów.

◆

Każdą rewolucję, która ma zapłodnić kulturę, porównać można do dobrego dzieła sztuki. Technika jej, podobnie jak forma dzieła sztuki, bywa narodowa, jakkolwiek treść jej przeznaczona jest dla wszystkich ludzi i obejmuje wszechludzkie interesy.

Ma przeto słuszność Żeromski, kiedy powiada w *Snobizmie* i *Postępie:* „Gdy zajdzie potrzeba stworzenia rewolucji, to Polska stworzy swoją i nie pójdzie śladem moskiewskiej!!".

Tymczasem stwierdzić należy, że *kultura* polska dotychczas nie wiele stworzyła na poczet międzynarodowej rewolucji proletariackiej, natomiast posiada swoją dobrą tradycję w innych rewolucjach, a przede wszystkim w dziedzinie reformatorstwa.

W dziejach Polski często powtarzają się niesłychane akty odwagi duchowej, buntownicze czyny wybitnych jednostek, zmierzające do rozumnej zmiany panujących ustrojów. Środki, jakimi ci wywrotowcy działali, należą do elementarnych podstaw narodowej kultury. Czy nie należy podziwiać śmiałości wojewody poznańskiego, Jana Ostroroga, który około roku 1473 wystąpił z memoriałem *„Monumentum pro Rei Publicae Ordinatione"?* Jeśli pod uwagę weźmiemy rolę, jaką podówczas grał w całym świecie kościół katolicki, czyż nie należy uważać Ostroroga za rewolucjonistę, skoro ważył się żądać oddzielenia praw państwa od praw kościoła? Oto, co pisze o Ostrorogu Piotr Chmielowski w swej *„Historii Literatury Polskiej":* „W najgwałtowniejszych atoli słowach, prawie takich, jak póź-

niej Luter, powstawał Ostroróg na obwoływanie jubileuszowych odpustów i zbieranie składek, które nie na budowę kościoła, lecz na potrzeby prywatne krewnych i powinowatych papieża, na dwór, na stajnie obracane bywają". Sam Ostroróg powiada (cytuję za Chmielowskim): „Żywe Kościoły Boga, ludzie, są podstępnie łupieni na to, ażeby martwe naprawiać"!

Czymże, jeśli nie rewolucyjnym prądem w kulturze naszej, był ruch ariański, którego przedstawiciele tacy, jak Jan Niemojewski (w praktyce) i Andrzej Frycz Modrzewski (w piśmiennictwie) wołali o równość wszystkich wobec prawa? (Modrzewskiego: „Kara za mężobójstwo"). Modrzewski jeden z pierwszych w literaturze naszej, występował przeciw wojnom zaczepnym i żądał opieki dla rannych. Syn wójta wolborskiego, jest Modrzewski w swym monumentalnym dziele *„De Republica emendanda"* — trybunem ludu i proletariatu wiejskiego. Opierając się na słowie Ewangelii byli arianie stróżami etyki chrześcijańskiej, najbardziej rewolucyjnej i demokratycznej z wszystkich nauk świata. Jak można zapomnieć Modrzewskiego, który, jak powiada Bronisław Chlebowski: „W sprawie Modrzewskiego" (pisma t. II): „Rozumiał dobrze, iż wprowadzenie zasady miłości i braterstwa we wszystkie stosunki i czynności ludzkie położyłoby kres krzywdom i niesprawiedliwościom dotychczasowym"? Jak można przejść obojętnie obok *„Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego"* Staszica, lub obok olbrzymiego dzieła Stanisława Konarskiego *„O skutecznym rad sposobie"?*

Podobnie jak mrówcza praca Encyklopedystów wywołała rewolucję francuską, tak pisma naszych humanistów — reformatorów oraz moralnych sprawców Konstytucji 3 Maja — położyły podwaliny pod polską demokrację. Jak długo więc nie mamy nowych Modrzewskich, Orzechowskich, Konarskich, Staszicow, Mochnackich i Brzozowskich, tak długo nie mamy kulturalnych podstaw współczesnej rewolucji. Gdyby nas dzisiaj zaskoczyła rewolucja światowa, zastałaby naszą kulturę zupełnie nieprzygotowaną i musiałaby bez wątpienia sięgnąć do inwentarza rosyjskiego. Umysłowość polska tak bardzo jednak różni się od umysłowości rosyjskiej, że powstałby w niej nieopisany zamęt. Nie łudźmy się, że międzynarodowe ideały wodzów rosyjskiej rewolucji powstały na gruncie kosmopolitycznym. Słusznie dowodzi Żeromski, że przewrót w Rosji jest dziełem osobliwych narodowych pierwiastków, tak bardzo odrębnych i obcych Zachodowi. Komunizm neguje kulturę minioną i układa równanie, w którym wszystkie wiadome są *a priori* uważane za fałszywe. Doskonałe jest jedynie owo, niewiadome, które stanie się wiadome dopiero po uciążliwym rozwiązaniu całego równania. To

ryzyko niewątpliwie ma w sobie coś bohaterskiego, ale naraża nas na ustawiczny rachunek prawdopodobieństwa. Kultura, jak dotychczas w dziejach bywało, nie może całego swego olbrzymiego cielska lokować w powietrzu, w niewiadomym, ale musi się oprzeć na mocnej podstawie wszystkich dotychczasowych doświadczeń — w swej nieubłaganej drodze postępu.

◆

Z kolei należy teraz zapytać, co to jest kultura ogólnoludzka? Jeśli zagadnieniu temu damy podstawy estetyczne, okaże się, że kultura ogólnoludzka jest niestety czymś nierealnym. Szczególnie jasno uzmysłowi się ta niemożliwość na terenie sztuki i literatury. Musimy stwierdzić powszechną względność wzruszeń. Obok zasad ogólnoludzkiego piękna istnieje również *piękno narodowe,* to znaczy odczuwalne tylko w granicach jednego narodu. Są piękne pieśni, które wyciskają łzy miłości z ócz jednego narodu, a nienawiść budzą u innych. Taką pieśnią jest na przykład „Rota" i podobne patriotyczne chorały.

Okazuje się z tego, że spermą kultury estetycznej narodów jest tylko *względne* piękno, albowiem oglądane z tamtej strony granic posiada wszystkie cechy brzydoty. Osnową wielu mitów poetyckich bywają pewne, nawet dość brutalne przykrości. Toteż matką sztuki jest przeważnie aktywne lub pasywne cierpienie. Tak więc zachwyt budzi w nas niszczenie, choroba, ułomność, pognębienie, słowem: nieszczęścia innych, które uwarunkowały nasze pełne życie, zdrowie, rozkwit i zadowolenie. W tym jest tragizm, jeśli spoglądać będziemy z etycznego ponadnarodowego stanowiska, ale nie ma tragizmu, jeśli na te sprawy spojrzymy z punktu widzenia narodu. Któryż patriota polski nie cieszył się z bitwy pod Grunwaldem? Duma polska znalazła plastyczny dokument tego zwycięstwa w obrazie Matejki. Który atoli szowinista pruski nie poczuł hańby, oglądając to dzieło sztuki? Czy mógł patrzeć na nie tylko z czysto malarskiego stanowiska? Któryż Egipcjanin mógł się rozkoszować pieśnią, wyśpiewaną przez Miriam, potem, gdy Jehowa zatopił w Czerwonym Morzu rydwany faraona? Ta względność piękna warunkuje kulturę narodową i uniemożliwia kulturę ogólnoludzką. Co prawda wielką zdobyczą całego cywilizowanego świata jest wiara, że piękne mogą być nawet dzieła, których tematem są czyny, nie zawsze przypadające nam do smaku. Sam czytałem „Bartka Zwycięzcę" Sienkiewicza w doskonałym tłumaczeniu niemieckim.

Zostawiając na uboczu ideę braterstwa ludów i wspólne wysiłki, zmierzające do zasypania przepaści, które dzielą narody,

musimy stwierdzić istnienie piękna czysto narodowego, nawet w znacznie łagodniejszej formie. Jeżeli, jak chce Norwid w „Promethidionie": „piękno kształtem jest miłości", to należy je skojarzyć z pojęciami dobrego i złego.

Przedmiot naszej miłości bywa na ogół uważany za dobry, choćby dlatego, że go kochamy. Otóż bywają, jak powiada Schoppenhauer pewne „przyjemności narodowe", dla cudzoziemców co najmniej obojętne, jeśli nie ohydne. Tańce Karaibów na przykład zachwycały Karaibów, szczególnie po spożyciu ludzkiego mięsa, jednak nie podobały się większości Europejczyków, nawet tak niewybrednych, jak Robinson Crusoe. Na zamiłowaniu do pewnych sposobów życia, do sposobów dogodzenia potrzebom religijnym, politycznym i estetycznym u różnych narodów, zasadza się to, co nazywamy kulturą tych narodów. Walki byków w Hiszpanii należą do tradycyjnej estetyki w tym kraju. Znam jednak Polaków, którzy za nic w świecie nie chcieli walk tych oglądać. Te narodowe zamiłowania bardzo trudno dają się przeszczepić na obcy grunt, podobnie jak nie można przyzwyczaić cudzoziemców do pewnych narodowych przysmaków i napojów. Oczywiście przesadny nacjonalizm żołądka i psychiki niweczy usiłowania, zmierzające do porozumienia się narodów. Skazuje nas na to, że w obcym kraju umarlibyśmy z głodu ciała i duszy. Stąd wniosek, że istnieją interesy, wspólne całemu człowieczeństwu, którym jednak godzi się, a nawet trzeba podporządkować interesy narodu. Nie ma chyba tak zażartego wroga Niemców, który by nie korzystał z wynalazku niemieckiego mnicha Bertolda Schwarza, to jest z prochu strzelniczego. Gdybyśmy w Polsce mieli ograniczać się tylko do zdobyczy narodowych, musielibyśmy zrezygnować z karabinów ręcznych Manlichera, Mausera, z karabinów maszynowych Schwarzlosego, z druku Gutenberga, z telefonów, gramofonów i kina Edisona, z telegrafu Morse'a, radiotelegrafów Marconiego, z kolei żelaznych, będących wynalazkiem Stevensona, wreszcie z elektryczności, gazu itd. Widzimy więc, że nie jest z nami tak całkiem źle, skoro korzystamy z owoców twórczości obcych narodów, czasem na ich własną niekorzyść.

Na ogół więc to, co jest największą chlubą twórczości danego narodu przechodzi na własność całego człowieczeństwa, zatraca się w wszechświecie i gubi narodowe cechy. Czyż istnieje narodowa elektryczność, narodowy gaz, narodowa para? Psalmy Dawida, salvarsan Ehrlicha, epopeje Homera i gaz świetlny, żydowskie poezje Jeremiasza i serum Pasteura, symfonie Beethovena i wata, prawa Newtona itd. są własnością całego świata, jakkol-

wiek wyrosły z ducha i z ziemi jednego narodu i są dumą swoich rodziców.

Mówiąc o kulturze narodowej należałoby więc dążyć zawsze do produkcji tych szczytowych ogólnoludzkich dzieł w każdej dziedzinie, jednak i tam, gdzie wynalazczość artystyczna i techniczna istnieje tylko na użytek domowy i pożytek jednego narodu, nie zawsze należy dopatrywać się cech ujemnych. Braterstwo ludów, utopijne dziś niestety stany zjednoczone całego świata, ustrój społeczny, oparty na równości i sprawiedliwości, będący ostatecznym celem kultury ludzkiej, nie powinny przyczynić się do zaniku narodowej uprawy. Rękojmią tego jest język ojczysty, podstawa kultury narodowej w zakresie słowa pisanego. Gdzie język gra rolę podrzędną, tam można zauważyć mocne tendencje twórczości międzynarodowej. Międzynarodowa organizacja Kościoła w wiekach średnich, opierała swą potęgę na komunie języka łacińskiego. W okresie Odrodzenia posiadaliśmy poetów-humanistów, piszących ówczesnym esperantem ludzi cywilizowanych, tj. w języku łacińskim. Utwory tych polskich mistrzów, nie zatracając w zupełności cech, właściwych charakterowi narodu, zbliżyły się jednak do ogólnego typu poezji, modnego podówczas w całym cywilizowanym świecie. Łacińskie ody i fraszki Kochanowskiego (świetnie przełożone na język polski przez Juliana Ejsmonda), elegie Klemensa Janickiego, a w szczególności wiersze Macieja Sarbiewskiego, do których „okładkę" robił sam Rubens były czytane i rozumiane przez cały wykształcony świat ówczesny. Zawierały one wszystkie elementy, obowiązujące zgodnie z międzynarodową poetyką, posługując się przede wszystkim antyczną metaforą i symboliką. Narodowe mity greckie i rzymskie stały się symbolami dla wszystkich narodów oświeconych, stały się cechą kosmopolityczną, a używanie w piśmie języka łacińskiego prawem natury pociągało za sobą rzymską wersyfikację i dialektykę.

Okres romantyczny na całym świecie doprowadził do rozkwitu uprawę języka narodowego i wzbogacił świat o niezliczone osobliwości. Gorąco broniąc idei wiecznego pokoju i materialnego zrównania ludzi, nie mogę się pogodzić ze skasowaniem świadomości narodowej w sztuce. Świadomość ta, będąca odwiecznym prawem każdego zbiorowiska ludzkiego o wspólnym języku, nie powinna tylko, jak dotąd, objawiać się głównie w stosunkach nieprzyjaznych do innych narodów. Kulturalny kosmopolityzm jednak doprowadziłby do niesłychanej monotonii i bezbarwności. Biada duszy odzianej we wspólny kosmopolityczny tużurek! Świat zanudziłby się na śmierć, gdyby wszyscy ludzie mieli taki sam temperament, tak samo się ubierali, bawili, pra-

cowali, gdyby wszystkie miasta miały ten sam wygląd. Nie ma natomiast obawy, żeby wspólna administracja dóbr ziemskich zagrażała kulturze narodów. Marchew zostanie marchwią, chart syberyjski chartem syberyjskim, zarówno pod panowaniem cara, jak Lenina. Byle by tylko marchew rosła na własnym odwiecznym gruncie, na macierzystej glebie, byle by chrzan nie wchodził jej w grzędę. A czyż marchwie, psy i ludzie nie podlegają tym samym prawom ziemi i ojczystego słońca? Świat jest jednym Ogrójcem, a im więcej w nim gatunków, tym większa chwała wieczystego, doskonałego Ogrodnika.

◆

Wizja marzonego szczęścia zawsze ma zarysy rodzinnego zakątka. Jeśli sobie wyobrażam, że jestem szczęśliwy, zawsze widzę siebie w rodzinnych stronach. Wszystkie ważniejsze czyny mego życia, głównie te, które pragnąłbym spełnić w przyszłości zawsze mam zwyczaj przenosić do Lwowa. Stamtąd wyjdzie zbawienie świata. Ta ciasnota uczuć ma w sobie coś maniakalnego. Jeden z najoryginalniejszych i najmądrzejszych naszych artystów, Leon Chwistek, ilekroć rysuje czy maluje ciało kobiece, rysuje i maluje własną żonę. Doświadczenie jego ręki jest doświadczeniem jego miłości. Jeśli powiadam: las, mam na myśli lasy rodzinnych stron, jeśli powiadam: pole, widzę to pole, którym chadzałem jako dziecko. Nikt mnie nie przekona, że żniwa wyglądają inaczej, niż tak, jak je oglądałem na rodzinnej ziemi. Nikt mi nie dowiedzie, że len inaczej międli się na cierlicach niż u nas. Dokoła tych i podobnych im pierwotnych obrazów i kształtów zgrupowałem podświadomie całą moją uczuciową wiedzę o świecie oraz wizję szczęścia.

◆

Co jest polskie w poezji i w ogóle w sztuce? Przesadni obrońcy polskości sądzą, że posiadają nieomylną wiedzę o tym, co polskie. Kiedy się pisze zdanie: „to jest niepolskie", nie rzadko ma się do czynienia z wrogami rozrostu, którzy nie dopuszczają nowego życia do narodzin. Ci ludzie mówią nieraz o kulturze jedynie ze stanowiska narodowego interesu. Obok innych snobizmów istnieje również snobizm narodowy. Pełno jest jeszcze ludzi, uważających niechęć do współczesności za „rdzenną" polskość. Ich ideałem w poezji ciągle są jeszcze dworki, strumyczki, ruczaje, lamusy, kredensy, facjatki, robrony, serwantki. Wedle nich winno się w poezji unikać miast z wszy-

stkimi ich hałasami, miast, o które tak bardzo się walczyło i winno się unikać miejskiego słownictwa. Ciągle jeszcze upatrują ci ludzie polskość w utworach, których bohaterami są: Tarłowie, Wydżgowie, Kiejstuty i Sędziwoje. Jest to odwrócenie się tyłem do prawdziwej wolności polskiej, która idzie naprzód na przekór tradycjom, naprzód i ciągle naprzód. Według tych upodobań sztuka prawdziwie polska winna gardzić surdutami, skrojonymi modą dwudziestego wieku, natomiast wciąż powinna wymagać od krawców czamarek, żupanów i kontuszów, zaś od fryzjerów staropolskich wąsów. Nie dostrzega się bohatera w tużurku, wielkość jego często zależy od dobrze na nim leżącej zbroi. W tym jest fałsz. W rzeczywistości zależy nam bardzo na polskim przemyśle i handlu; miasto Łódź jest okiem w głowie polskiej przyszłości. Walczyło się o Górny Śląsk przede wszystkim dla jego pokładów węgla, jakkolwiek podczas tej walki mówiło się o wszystkim, tylko nie o węglu. Wstydzono się węgiel nazywać po imieniu i używano romantycznych zwrotów do upiększenia tej walki. Świadczy to o tym, że nie przywykliśmy do nowego inwentarza, zdaje się nam, że bić się o ziemię bogatą w węgiel, jest rzeczą nieprzystojną, mało wzniosłą i dlatego trzeba to przedsięwzięcie skojarzyć z innymi uczuciami, wyższymi, szlachetniejszymi.

Trudno przywyknąć do tego, że Polak stał się obywatelem świata, podobnie jak Anglik, Francuz i Czech i musi bronić swych interesów. Nie ma on już potrzeby ustawicznego zwracania uwagi na wyjątkową rolę dziejową, rolę cierpiętnika, która na szczęście skończyła się w roku 1918. Przymiotnik: „polski" nie oznacza już dzisiaj nic wyjątkowego, w każdym zaś razie nie jest synonimem przymiotników: „dobry" i „piękny". Idealizowanie to było potrzebne w okresie zagrożonej świadomości narodowej, ale dzisiaj to, co przed rokiem 1918 było rzeczywiście gestem heroiczno-tragicznym, wydać się może pospolitą histerią.

Istnieją w naszej twórczości tematy nałogowe. Polak uciśniony, w braku innych narodowych radości, cieszył się swoim prywatnym dobrobytem i nazywał to: radością narodową. Cieszył się piękną polską jesienią, polską zimą, polskim barszczem i nieporównanymi polskimi wódkami.

Wolny Polak nie ma już potrzeby akcentowania tych przedmiotów swojego zachwytu. Jesień jest u nas piękna jako jesień. Nie nasza w tym zasługa, a tylko w polskim jej opisie, dokonanym przez dobrego pisarza, objawi się jej polska osobliwość.

Szlachetczyzna miała wysoko rozwiniętą kulturę uczt, ukłonów, śniadań, polowań, wyścigów, pogrzebów oraz głęboką kulturę poświęcania się dla ojczyzny. Mieszczaństwo polskie jest

młode, musi dopiero wytworzyć własne maniery. Nie ma nic śmieszniejszego, jak widok burżuja, małpującego pańskie maniery. Burżuazja nasza jest młodsza od polskiego proletariatu miast i wsi, który w stosunku do niej jest starą szlachtą rodową. Wystarczy spojrzeć na język ludu: znajdziemy w nim dużo staropolskich wyrazów, których na próżno szukalibyśmy w mowie mieszczucha. Toteż burzyciele kultury burżuazyjnej w Polsce właściwie nie mają czego burzyć. Problemat, tak często głoszonej dziś, kultury proletariackiej, mającej zająć miejsce mieszczańskiej, jest nieco abstrakcyjny.

◆

Trzeba nareszcie zrobić wewnątrz siebie wielkie sprzątanie, jak w każdym domu polskim przed świętami. Świętem dla Polski jest jej dzień powszedni. Czas również, abyśmy zaczęli być ważni dla innych i zaczęli całemu człowieczeństwu dostarczać owoców naszej kultury. Na ogół mamy o sobie bardzo dobre mniemanie, a słynne cnoty staropolskie znane są przede wszystkim nam samym. Dotychczas podziwiał świat naszych bohaterów wojennych i siłę naszego cierpienia. Ta cnota jest już dostatecznie znana. Teraz trzeba pokazać nasz lwi pazur także na innych polach. Uczynić to winna przede wszystkim literatura polska, wolna, niczym nie ograniczona, literatura od morza do morza. Dzisiaj istnieją jeszcze u nas pisarze lewicowi i prawicowi. Mówi się jeszcze u nas o sztuce arystokratycznej i demokratycznej. Ale istnieje też niewola pisarzy. Są krytycy, którzy postawili *numerus clausus* dla tematów, poglądów i sposobów wypowiadania się. Wyliczyli i zinwentaryzowali wszystko, co polskie i wyeliminowali wszystko, co im się wydaje niepolskie. Niepolski jest autor, który nie zachwyca się tym, co budzi zachwyt danego krytyka i jego rodziny, który nie pisze w sposób wygodny umysłom polskiej przeciętności, który nie sięga do tematów niepolskich. A jednak wielkie literatury: francuska i angielska posiadają niesłychane bogactwo twórczych ośrodków, zawdzięczając je, być może, swoim koloniom. Istnieje gotowa recepta na polskość:

Wolności dzwon	100%
Tyrańskiwa tron	50%
Złote zorze	25%
Nadziei zew	100%
Krew, Krew, Krew...	100%
O Boże!	50%

Potem domieszać: tęsknica, martwica przy świetle księżyca... Podług tych doktorów należy się wystrzegać prawdziwej filo-

zofii. Filozofia nie leży w duchu polskim, za to wolno filozofować literatom, a filozofom poetyzować. (Pisał o tym młody filozof polski Roman Ingarden w „Przeglądzie Warszawskim").

Polacy to na ogół ludzie niemuzykalni. A przecie można u nas znaleźć ludzi dumnych z tego, tak bardzo dumnych, że ośmielają się wyszydzać największego współczesnego kompozytora polskiego, Karola Szymanowskiego. W niektórych domach mieszczańskich czynność ta (wyszydzanie Szymanowskiego) należy do dobrych towarzyskich obyczajów. Polską ma być również niechęć do tragiczności w teatrze. Zwrócił na ten objaw uwagę Karol Irzykowski w „Scenie Polskiej" (kwiecień, maj, czerwiec 1923). Umysłowość polska powinna nie znosić Ibsena, Strindberga i w ogóle makabrycznych autorów, natomiast w dobrym tonie jest zachwycać się każdą farsą, byleby była skrojona na paryski fason. Dobry Polak nie uznaje twórczości Żydów: są to bolszewicy i masoni.

Rzecz jasna, że na całej linii wre u nas zacięta walka z wstecznictwem, złą wolą i głupotą. Pozostaje wszakże smutnym faktem, że w pierwszych latach wskrzeszonego państwa więziono poetów polskich za ich poezje, których treść i forma nie podobała się funkcjonariuszom bezpieczeństwa publicznego. Nikogo nie wolno bezkarnie obrażać z wyjątkiem artystów, których każdy ulicznik może obrzucać wyzwiskami. „Te, naga dusza!". A przecie chodzi o to, aby polska była krajem tolerancji i wolności. Wolny w Polsce ma być nie tylko handel, przemysł, ale również wolna musi być twórczość umysłowa. Gmach przyszłej Akademii Literatury Polskiej nie będzie się wszak mieścił w budynku policji państwowej.

Nadchodzi nowy człowiek. Na całym świecie już go matki porodziły. W Polsce też ujrzał on już światło. Zbuduje on swój własny dom, nową kulturę. Nie wiemy, czy to będzie kultura proletariacka, międzynarodowa, czy inna. Wiemy tylko, że będzie ona oparta na wielkiej miłości człowieka do człowieka i wiemy że raczej samotnik znajdzie prawdę tłumu, niż ktoś, kto idzie razem z tłumem, bezkrytycznie porwany jego falą. Chrystus, zanim uszczęśliwił tłum, w samotności, w milczeniu kształtował swoją naukę. Tak samo Zaratustra i Mahomet.

Nie waluta polskich pieniędzy ufunduje potęgę narodu, lecz waluta polskich serc, ze szczerego złota w mennicy miłości wybita.

◆

Kończąc te luźne uwagi o światłach i cieniach naszej kultury literackiej i umysłowej pragnąłbym jeszcze powrócić do książki

i do pisarza, który wpłynął na powyższe rozważania, to jest do „Snobizmu i Postępu" i Stefana Żeromskiego.

Cała rozległa twórczość tego pisarza jest ustawicznym inwentaryzowaniem ojczystego dorobku. Uwadze Żeromskiego nie ujdzie żaden szczegół niezbędny do budowy podwalin przyszłości, nie przeoczy ona żadnego sprzętu, żadnej cyfry nie opuści, której mogłoby zabraknąć przy ogólnym, ostatecznym bilansie. Można powiedzieć, że ten niejako minister polskiego języka nie zapomniał o żadnej polskiej kropce, o żadnym przecinku. Dekretem serca zmobilizował Żeromski ludzi, krajobrazy, podania, klechdy, gwary i narzecza, czyny bohaterskie i twórcze bolączki nasze. Gdyby niepodległość zdobywało się tylko pisaniem książek, zdobyłyby ją dla Polski książki Żeromskiego.

Literatura polska przed Żeromskim mówiła o „Narodzie", niby o jakiejś mglistej fikcji. Polska romantyków była to nieraz smutna pani w szatach powłóczystych z kajdanami na rękach. Aż przyszedł Żeromski i zaczął po kolei, powieść po powieści, ukazywać bijące serce ziemi, ludzi, zwierząt i mórz. W tej szczegółowej wizji ma ten piewca naszości coś z Homera.

„Snobizm i postęp", ta na pozór smutna książka, jest właściwie jedną z najradośniejszych. Radość jej bowiem wykwita z troski o kulturę narodu, której źródła tryskają co krok pod stopami niestrudzonego wędrownika. Każda dobra matka drży na myśl, że jej dziecko samopas w życie puszczone, nie da sobie rady, utonie w życiu, lub wykolei się. Ale po cichu, w najgłębszej serca skrytości wierzy każda matka, że jej dziecko nie pójdzie złą drogą. W swej trosce ma ona nieomal pewność, że to jest najlepsze dziecko na świecie i że wyjdzie z walki zwycięsko. Tak też i Żeromski wierzy w naszą dzielność i udałość i drogie są mu nawet nasze błędy. Pozorny jest pesymizm tej książki, w której Żeromski zaatakował młodych. Nikt nie zwraca się do młodzieży z pesymizmem, będącym przywilejem starości. Każda nauczka ojcowska niesie z sobą niezawodną wiarę w swą skuteczność. „Snobizm i postęp" to nie jest machnięcie ręką. To jest podanie ręki. Już sam układ tej książki świadczy o jej optymizmie. To, co niektórzy poczytywali w niej za odbiegnięcie od tematu, mianowicie: odkrywanie źródeł legendarnych i starych, zaginionych słów, jest dowodem otuchy Żeromskiego. Potęga języka, legenda ziemi naszej, nie jest dla Żeromskiego symbolicznym ogólnikiem. Kto się nie zmęczył w podróży po ojczyźnie, kto nie ma na swych butach białego piasku Mazowsza, odbrzeżnych piachów Helu i czarnych grudek Wołynia, kto na ostrych skrzyżalach tatrzańskich skóry z nóg nie zdarł, ten nie wie, co znaczy duch ziemi.

On to, ten polski duch ziemi tłucze się w *Snobizmie* Żeromskiego i prosi twórców najmłodszej Polski o prawo głosu.

Witam serdecznie tę książkę, przed którą w małym oddaleniu pędzi „Wiatr od morza" i samozwańczo składam jej pokłon w imieniu najmłodszych pracowników polskiej mowy.

1923-1924

ZE WSPOMNIEŃ BYŁEGO PACYFISTY

Antoniemu Słonimskiemu

I

Opinię czytelników przepraszam za to, że ośmielam się w jej obecności tak bezceremonialnie zabierać głos *pro domo sua.* Za okoliczność łagodzącą mój nietakt niechaj służy świadomość, że to *pro domo sua* odnosi się do pisarza kompletnie bezdomnego. Nie znam dachu, który odważyłbym się nazwać własnym, ani dachu, z którego powiewa moja chorągiew, i nawet w przybliżeniu nie umiałbym podać mego ideowego adresu. To właśnie, iż nie jestem meldowany w żadnym ze znanych komisariatów literacko-społecznych, jest jednym z powodów skłaniających mnie do ogłoszenia niniejszych uwag i wspomnień. Ogłaszać wspomnienia w moim wieku jest również nietaktem, którego bym nie popełnił, gdybym w stosunku do spraw sprzed jedenastu lat nie czuł się starcem z siwą brodą.

Łaskawa opinia raczy niekiedy łączyć moje skromne nazwisko z pewną, dziś już zbanalizowaną ideologią, której służyłem przed laty z zapałem, jakkolwiek nie znałem jej nazwy. Ideologia ta, czyli tzw. pacyfizm, już samym brzmieniem swej pięknej nazwy czaruje dziś tylu ludzi, którzy obojętnie lub z pogardą przyjmowali jej narodziny, a raczej renesans w latach wielkiej wojny, iż można ją uważać za podstawę nowego snobizmu literackiego i towarzyskiego. Z tej przyczyny należy ją poddać rewizji. Podejmuję się tego niewdzięcznego zadania we własnym — jak już wspomniałem — interesie. Każdy, kto w Polsce zawdzięczającej swą niepodległość wojnie krytykuje pacyfizm, naraża się na zarzut sojuszu z militaryzmem, imperializmem itp. Z góry przeto zaznaczam, że kontrowersję moją prowadzę na terenie absolutnym,

nie licząc się z miejscem ani czasem. Polskie powojenne życie umysłowe człapie z dziesięcioletnim opóźnieniem w ogonie ruchów ideowych Europy, a na podwórko nasze dostają się już tylko ogryzki gdzie indziej dawno już spożytej żywności. Świadomie ignoruję ów rynkowy „moment", kiedy szerokie warstwy publiczności zaczynają życzliwie przyjmować importowane z zagranicy książki, filmy i sztuki teatralne, które nietyle szerzą odrazę do wojny ile hartują wrażliwość widzów, przyzwyczajają do widoku eksplozji granatów i do mocnych detonacji. Europa zachodnia i Ameryka posiada już drugie pokolenie pacyfistycznych literatów. Nazwijmy tych utalentowanych pamiętnikarzy neopacyfistami. Ich pacyfizm dojrzał nie na wojnie lecz podczas pokoju i odznacza się wybitną nieporadnością w stosunku do problematów wywołanych pokojem. Pisma tych popularnych kronikarzy własnej martyrologii, zredagowane już w atmosferze spokojnej, sprzyjającej powierzchownemu pacyfizmowi mieszczańskiemu, niesłusznie w cień odsunęły pierwszych, heroicznych w swym osamotnieniu apostołów pokoju, którzy jeszcze podczas wojny zdemaskowali jej nikczemność. Ów, że tak powiem, galilejski, krwawiący okres dziewiczego pacyfizmu szczyci się wielkimi nazwiskami Romain Rollanda, Duhamela, Barbusse'a, Vildraca we Francji, Nicolai'a, Latzko, Leonharda Franka, Schickelego, Fritza von Unruh, Hillera, Krausa w Niemczech i Austrii i wielu innych nieznanych mi poetów i publicystów, na wszystkich obszarach językowych objętych wojną. Ci pierwsi pacyfiści tworzą pokaźny poczet nowej *legenda aurea.*

U nas pierwszym pismem literackim, które podczas wojny nie bało się drukować antywojennych utworów był dwutygodnik krakowski „Maski", świetnie kierowany przez Tadeusza Świątka. Pierwszym znanym mi w tym czasie teoretykiem pacyfizmu w Polsce był Irzykowski, a w poezji pierwsi odezwali się o wojnie w tonie szlachetnym: Kasprowicz (w „Księdze ubogich") i Staff (w „Tęczy łez i krwi"). Rola „Masek" oraz wspomnianych wielkich poetów lirycznych zmieniła się jednak zupełnie z chwilą wskrzeszenia państwa polskiego. Jak wiadomo, wskrzeszenie to nie wszędzie było radosną konsekwencją końca wojny światowej i klęski państw centralnych. Gdzieniegdzie spowodowało ono nowe i ciężkie komplikacje wojenne. W obliczu wojen już o własną skórę, poeci starszego pokolenia, nie tający przedtem swej awersji do wojny, dyskretnie umilkli, nie chcąc pacyfistycznymi zgrzytami przeszkadzać entuzjastycznej atmosferze walk o utrwalenie granic Polski. Pacyfistyczne stanowisko „Masek" w czasie wojny Austrii z Włochami i Rosją, jeżeli chodzi o stosunek do austriackiej cenzury wojennej, musiało być trudne, jednakże było apro-

bowane przez wewnętrzną cenzurę polskich czytelników. Pacyfizm ogółu inteligencji polskiej w latach wojny, zwłaszcza po Benjaminowie i Szczypiornie, był nietyle wyrazem absolutnej niechęci do wojny, ile formą niechęci do państw zaborczych, konsumujących dla swoich, a nie dla polskich celów — najlepsze polskie żywoty. Z dn. 1 listopada 1918 r. „Maski" popadły w zakłopotanie: nie mogły wszak w dalszym ciągu gnębić wojny, skoro wielka wojna się skończyła, a świeżo zaczęta mała wojenka polsko-ukraińska była narodową koniecznością. Za wiele smaku miały „Maski", żeby raptem zmienić front i drukować artykuły zagrzewające do boju. Zachowały się więc neutralnie, ogłaszając tylko rzeczy niezwiązane z wypadkami aktualnymi, rzeczy coraz bardziej błahe, i zwolna przestały wychodzić.

W tym czasie, o ile mi wiadomo, tylko wśród najmłodszych poetów polskich, nie obarczonych romantyczną tradycją, wedle której przelew krwi dzieli się na dwie kategorie — o święte i nieświęte sprawy — tu i ówdzie odezwał się stłumiony głos protestu. Bardzo często odruchy te szły w parze z gorącym życzeniem odmiany porządku społecznego. Pierwszym znanym mi utworem tego typu, jest wspaniały poemat Słonimskiego „Czarna wiosna". Jest to odważny dokument zbuntowanego sumienia, w którym miłość i nienawiść wybuchają równie mocno i znajdują ujście w harmonijnej poetyczności. Ze względu na dominujący ton rewolucyjny trudno ten piękny utwór — mimo obecnych w nim akcentów antywojennych — uważać za pacyfistyczny. Pierwszą zdecydowanie pacyfistyczną publikacją Słonimskiego jest dopiero wiersz „Audiencja", ogłoszony w zbiorze „Godzina poezji" w r. 1923.

II

Teraz pozwolę sobie sięgnąć do tych lat tragicznych 1918-1919, kiedy i mnie dana była łaska wysłowienia powszechnych prawie cierpień, a czynię to tym skwapliwiej, że już te cierpienia zaczynają w pamięci mej zastygać, obiektywizować się i ustępować nowym cierpieniom, których źródłem jest nie wojna lecz pokój. Prawie wszyscy, co w ostatnich miesiącach wojny pełnili służbę w armii austriackiej jako prości szeregowcy, w braku lepszego pokarmu żywili się nadzieją, że ta wojna niedługo się skończy i nigdy się już nie powtórzy. Każde słowo o końcu wojny, przemycane ze świata zewnętrznego, przyjmowane było z religij-

nym niemal wzruszeniem. Śniły się wówczas udręczonym żołnierzom jakieś tęcze rozpięte nad ziemią na znak miru i przymierza, jak po biblijnym potopie. Roili jakieś niesłychanie błogie żywoty, mające się zacząć natychmiast po demobilizacji, jakieś idealne zapiecki Pana Boga, za którymi leżeć będą bez ruchu, nakarmieni i pocieszeni, niewinni i sprawiedliwi, i spać i spać i suszyć zbolałe gnaty. Wierzyli w automatyczną poprawę stosunków międzyludzkich, wywołaną przez sam fakt zakończenia wojny, w braterstwo ludów, w powszechną sprawiedliwość i w urzeczywistnienie innych ideałów. Zdawało się że cała ludzkość wojskowa i cywilna otrzymała już taką nauczkę, iż raz na zawsze odechce się jej wojen, podjętych choćby w najwznioślejszych celach. Zmęczenie, wyczerpanie, obrzydzenie — oto źródła prymitywnego pacyfizmu uczuciowego, jaki ogarnął wszystkie okopy i etapy. Przypominam sobie również radość mas żołnierskich na wiadomość o wybuchu rewolucji rosyjskiej w r. 1917, która ponętnym hasłem „chleba i pokoju" jednała sobie wszystkich głodnych i zmordowanych. Spodziewano się w głębi duszy — w pułkach galicyjskich zwłaszcza — że o ile rządy nie zawrą w krótkim czasie pokoju, to i w Wiedniu i w Budapeszcie i w Berlinie powtórzą się wypadki petersburskie. Wizja pokoju była tak urocza, iż niewiele już miejsca zostawiła żołnierzom polskim i ukraińskim na uczucia patriotyczne, które przed wojną czyniły z tych żołnierzy zawziętych wrogów. Wspólna nadzieja rychłego wypoczynku bratała ich, jak ich bratał wspólny los wojenny. Przyznać trzeba że większość żołnierzy nie zastanawiała się nad skutkami końca wojny. Naturalnie, że te skutki — inne otwierały perspektywy zwyciężającym wojskom koalicji, a inne niedobitkom siły zbrojnej Austro-Węgier i Niemiec. Gdy nadszedł utęskniony koniec — żołnierze koalicji w triumfalnych marszach wracali do domu przez triumfalne łuki, rozgoryczeni zaś na sprawców przegranej wojny Madziarzy i Niemcy dali upust swej goryczy w nowych upustach krwi, tym razem „bratniej".

Od dawna działacze narodowi — polscy i ukraińscy — przygotowywali za plecami walczących we Włoszech rodaków akcję zbrojną, zmierzającą do opanowania ziemi galicyjskiej na wypadek rozpadnięcia się Austrii. Wydatnej pomocy w tej akcji udzieliły Ukraińcom austriackie komendy, dyslokując stacjonujące w miastach galicyjskich załogi w ten sposób, żeby we Lwowie w chwili decydującej nie było ani jednej polskiej kompanii. Jakoż dn. 1 listopada 1918 r. na ratuszu lwowskim zawieszono niebiesko-żółtą chorągiew ukraińską. Ten fakt przekreślił wszystkie nadzieje i pacyfistyczne rachuby dwóch poetów polskich, byłych żołnierzy austriackich: śp. Jana Stura i Józefa Wittlina. Dnia

tego mianowicie wybuchła nowa wojna polsko-ukraińska. Jej przebieg jest ogólnie znany. Nieznany jest przebieg walk jakie w tym dniu zaczęły się toczyć, że się tak poetycznie wyrażę, w moim sumieniu, a których rezultatem jest zbiór poematów pt. „Hymny".

W owych pamiętnych dniach listopadowych 1918 r., jak każdy mieszkaniec Lwowa, postawieni zostaliśmy wobec kategorycznego pytania: czy Lwów ma być polski czy ukraiński? Trzeciego wyjścia z sytuacji nie było, na ulicach Lwowa już strzelano. Obaj pacyfiści — śp. przyjaciel mój Jan Stur i ja — odpowiedzieliśmy bez namysłu: polski. W takim razie należało popierać tę wojnę, która już była faktem dokonanym. Nie uczyniliśmy tego. Nasz sentymentalny patriotyzm za mocno kolidował z pacyfizmem. Trzeba było na poczekaniu stworzyć hierarchię uczuć. I to się nie udało. W sprzecznych uczuciach naszych panowała zupełna równowaga: nie mogliśmy ani pacyfizmowi poddać przywiązania do polskiego Lwowa, ani na rzecz tej polskości zrezygnować z pacyfizmu. W końcu padliśmy ofiarą tragicznego rozdwojenia, z którego jedynym wyjściem była poezja. Co do mnie, z żadną rzeczywistością nie mogłem się pogodzić. Musiałem więc uciec od niej duchem, skoro ciało moje było uwięzione w ostrzeliwanym przez pół roku, wygłodzonym i krwawiącym Lwowie. W tych długich miesiącach zażartej walki poezja była mi jedynym ratunkiem przed rozpaczą. Mogę bez przesady wyznać, że oszalałbym wówczas, gdybym nie doznał łaski poezji. W tej sferze, rządzonej wyższą, irracjonalną logiką, jakąś najsuwerenniejszą racją stanu, było już wszystko jedno, do kogo Lwów będzie należał. W tym najkonkretniejszym z światów: w świecie wyobraźni, znalazłem swoją prawdę, swój dom, swoją ojczyznę. Jakże sielankowa w swojej prostocie wydała mi się wówczas cała monstrualna wojna światowa, podczas której miałem czyste sumienie, gdyż mogłem wobec niej zająć zdecydowanie odporne stanowisko. Natomiast ta domowa wojna polsko-ukraińska, wraz z pogromem Żydów we Lwowie, na każdym kroku stawiała mnie wobec tragicznych dylematów, na które ani w sumieniu ani w rozsądku nie znajdowałem odpowiedzi.

Jeżeli austriacką wojnę mogłem z czystym sumieniem nazwać zbrodnią, za którą ponoszą odpowiedzialność monarchowie, dyplomaci, dziennikarze i dostawcy, to jakżeż miałem się zachować wobec walki o Lwów, których wynik nie był mi obojętny? Czyż mogłem potem wobec upragnionego przeze mnie zwycięstwa polskiego zamknąć oczy na trzydniowy pogrom Żydów? Oto byłem świadkiem zjawiska które przewartościowało cały mój dotychczasowy pogląd na wojnę. Obrońcy Lwowa i Ukraińcy, z taką pasją go oblegający, nie byli masą ogłupionych, bezwol-

nych, pod przymusem działających niewolników obcej samowoli i tyranii. Te dzieci, te kobiety, ci wczoraj jeszcze znużeni walką żołnierze armii austriackiej — nagle zapomnieli o piekle czteroletnich doświadczeń, po prostu unieważnili tamte trudy i doświadczenia, żeby arcyświadomie walczyć o swój Lwów. I walczyli i umierali po obu stronach, te dzieci Lwowa, ci wolontariusze wielkiej i własnej namiętności. Konduktorki tramwajowe w jednym szeregu z uczniami szkół średnich, wypuszczeni z kryminałów zbrodniarze obok profesorów uniwersytetu. Jak to nazwać? Szaleństwem? Awanturą? Wyrachowaniem? Nikt z walczących wówczas nie zastanawiał się nad różnicami klasowymi ani nad tym, kto w razie zwycięstwa będzie ciągnął zyski z ich przelanej krwi. Nie było wówczas mowy o żadnych królach ani o bankierach i fabrykantach, w których interesie leżą pono wszystkie wojny. Stwierdzam najuczciwiej że ujrzałem wówczas na własne oczy żywy przykład wielkiego zaślepienia miłosnego, zwanego patriotyzmem. Naturalnie, że taka desperacka miłość do rodzinnego miasta i rodzinnej ziemi nie zawsze wolna jest od osobistych ambicji, i jeżeli chodzi o młodzież — od żądzy przygód, a jeżeli o bandytów — od żądzy bezkarnych gwałtów i rabunków. I nie jest taka miłość bezinteresowna. Można bezinteresownie kochać Wenecję, zachwycać się nią w charakterze turysty, ale za Wenecję oddać życie skłonni są tylko Wenecjanie. Trudno wymagać od ludzi żeby bezinteresownie umierali za ziemię, na której pragnęli żyć i żyć szczęśliwie. Na ogół każda miłość ludzka wyraża się albo przez chęć posiadania umiłowanego przedmiotu, albo przez wyrzeczenie się go. Jedna i druga forma miłości wymaga ofiar od miłującego. Wyrzeczenie się przedmiotu umiłowania często prowadzi jednostki zdolne do rezygnacji — ku bohaterstwu. W stosunku jednak do miłości ziemi, ta forma nie ma zastosowania.

Nienawiść jako odwrotna strona miłości w walce o Lwów — rozlała się trzema szerokimi korytami krwi — polskiej, ukraińskiej i żydowskiej — po całej Małopolsce Wschodniej i do dziś dnia jeszcze użyźnia tę piękną ziemię.

W owym czasie, ulegając wewnętrznym nakazom, napisałem „Hymn nienawiści", „Kołysankę", „Trwogę przed śmiercią", „Hymn o łyżce zupy", „Tęsknotę za przyjacielem" i „Grzebanie wroga". „Treść" do tych utworów czerpałem ściśle z rzeczywistości, ale nie w tym celu aby jej schlebiać, jak to dziś czynią niektórzy młodzi poeci, (słowiańscy i germańscy), lecz po to jedynie, aby tę rzeczywistość, potworną i haniebną — przez poezję przezwyciężyć i unicestwić. Nigdy nie pisałem wierszy tak pełnych dosłownej autentyczności jak w owych dniach trwogi przed śmiercią i grzebania wrogów. Jakże mdłe wydaje mi się dzisiaj

każde wierszowane oburzenie programowych neopacyfistów, którzy nigdy nie widzieli zwłok poległych przyjaciół i nieprzyjaciół i niewinniejszych jeszcze zwłok pomordowanych zwierząt! Pamiętam ów wieczór, kiedy wraz ze śp. Janem Sturem wracałem z „grzebania wrogów". Był to poniedziałek wielkanocny, po okrutnej zimie pierwsze powiewy wiosenne roznosiły trupią woń, wracaliśmy pełni żalu i gniewu i upokorzenia. Pamiętam te łzy co staczały się po brodzie mego towarzysza, już dziś pochowanego w tej samej lwowskiej ziemi, gdy z pięściami zaciśniętymi ku niebu wygrażał: „Kochać! Kochać"! Następnego dnia napisałem hymn „Grzebanie wroga".

Później czytaliśmy nasze wiersze publicznie. W naszej młodzieńczej wyobraźni przypisywaliśmy temu faktowi wielkie znaczenie społeczne. Zdawało się nam że wiersze te mają moc zmiażdżenia miażdżącej nas wojny, i z naiwnym zdumieniem przyjęliśmy do wiadomości że publiczność z r. 1920 godzi się i na naszą poezję i na nową wojnę z bolszewikami. To nam zmieszało szyki. Zaczęliśmy się oburzać, pomstować, grozić końcem świata. W przekonaniu że jesteśmy bojownikami nowej prawdy, oczekiwaliśmy represji ze strony władz i czynników obywatelskich — jednakże nie zrobiono nam tej przyjemności i nie aresztowano nas. Później przekonaliśmy się, że od zamierzchłych czasów ludzkość toleruje zarówno tych pisarzy, którzy ją drażnią, jak tych, którzy żyją ze schlebiania jej.

III

W owych czasach, tj. w r. 1919, przypadł mi wielki zaszczyt poznania jednego z najmądrzejszych ludzi w Polsce: Ostapa Ortwina. Prawie przez trzy lata spotykaliśmy się codziennie, a z rozmów, prowadzonych z tym wszechstronnie wykształconym i niezwykle życzliwym krytykiem, nauczyłem się znacznie więcej — jak to dziś widzę — niż z czytanych w tych latach książek. Major Ortwin, pełniący wówczas funkcje sędziego przy sądzie wojskowym, ustosunkował się sceptycznie do naszego pacyfizmu, a jego argumenty prawie zawsze uważałem za słuszne. W każdym razie dawały mi one więcej do myślenia niż moje własne argumenty pacyfistyczne. Za wszelką cenę starałem się zrozumieć, dlaczego ten mądry i niezwykłej dobroci człowiek, ten głęboki myśliciel, do którego odnosiłem się z bezgranicznym zaufaniem, — jest zapalonym militarystą. Zrozumiałem to dopiero w kilka

lat później, kiedy rzeczywistość życia była już na tyle spokojniejsza, iż mogłem do niej powrócić z mego poetyckiego azylu, czy też — jak kto woli — wygnania. W r. 1924 wycofałem się z tzw. „życia publicznego" i zamieszkałem na wsi, w małym folwarczku, należącym do pewnej inteligentnej rodziny znanej ze swych bardzo lewicowych przekonań. W ciszy i w skupieniu zacząłem pracować nad pogłębieniem podstaw pacyfizmu. Śledziłem przy tym uważnie rozwój stosunków społecznych i politycznych w kraju i za granicą i z oburzeniem przyjmowałem wszystko, co wskazywało na możliwość nowej wojny. Owocem tej pracy jest zbiór szkiców pt. „Wojna, pokój i dusza poety". W szkicu tytułowym usiłowałem poddać wojnę gruntownej rewizji, rozkładając ją na elementy, przy czym okazało się, iż zająłem wobec zjawiska wojny stanowisko relatywistyczne. Dworek, w którym mieszkałem, stał w zagajniku, oddalonym od szosy o jakiś kilometr. W okolicy tej, w czasach wojennych, często zdarzały się napady bandyckie. Folwarczek moich gospodarzy był nieduży, ziemia licha, zabudowania skromne, główną własność stanowiły dwa wielkie, z pietyzmem utrzymywane parki, sad, ogród warzywny i zagajnik. Od dwudziestu z górą lat w mająteczku tym pełnił służbę nocnego stróża krzepki starzec, uzbrojony w rewolwer, latarkę elektryczną i gwizdek. Chodził przez całą noc w obrębie folwarku w towarzystwie suki-wilczycy i gwizdał na znak że czuwa. Zauważyłem iż obecność jego w nocy dawała mi zawsze miłą świadomość bezpieczeństwa i była rękojmią mego dobrego snu. Często zdarzało się, że stary stróż nocny, obowiązany chodzić zimą i latem na mrozie i deszczu, od zmroku aż do świtu — zdrzemnął się w jakiejś stodole. Ilekroć budziłem się i nie słyszałem gwizdania, opanowywał mnie niepokój, wówczas w sumieniu i w umyśle pacyfisty powstały pierwsze wątpliwości. Zaczynałem rozumieć Ortwina.

Zapewne, gdy chodziło o bezpieczeństwo domu, w którym mieszkałem, mogłem łatwo znaleźć usprawiedliwienie mego pozytywnego stosunku do zbrojnej obrony. Mogłem powiedzieć sobie, że ludzkość nie składa się z samych bandytów, czyhających po nocach na cudzą własność i życie, a tylko nieliczni przedsiębiorcy gwałtów zmuszają resztę ludzkości, niewinnej może i nieświadomej, do licho płatnych usług bandyckich. Przekonałem się jednak niebawem, że zbiorowa drapieżność ludzka, ćwiczona w biały dzień we wszystkich szkołach handlowych i przemysłowych cywilizowanego świata, ta podwójna buchalteria, ten cały system dualistyczny, dzielący ludzi na tych, co „mają", i tych, co są „winni", — jest groźniejszym wrogiem pokoju i etyki od mizernej żądzy rabunku poszczególnych nędzarzy, i że raczej z

nędzarzami można się dogadać. Biada stróżom dziennym i nocnym tego świata jeżeli się zdrzemną w nie swoich zresztą stodołach!

Ale nawet i w moim poszczególnym wypadku nie było rady. Czyż należało na folwarku wywiesić napis: „Tu nie opłaci się rabować!", lub: „Nie przywiązujmy wielkiej wagi do własności prywatnej", lub: „Czekajcie na zmianę ustroju, a te dwie chude szkapy i ten centnar żyta będzie wasz!". Przypuśćmy że rabusie nie są analfabetami i przeczytają te napisy, czyż można było liczyć na ich lojalność? Czym zasłużyliśmy na nią? Nie można było na poczekaniu zmienić rzeczywistości, więc trzeba było pogodzić się z istniejącym stanem, w którym na razie nie ma żadnego porozumienia. Bandyci nie znają i nie chcą znać przekonań ludzi, których własność jest celem ich napadów, a właściciele wiedzą o bandytach tylko to, że za pomocą kul rewolwerowych można ich odegnać. Z tej sytuacji były tylko dwa wyjścia: albo dać się ograbić i ewentualnie zamordować, albo nie dopuścić do tego. Jest jeszcze trzecie wyjście, o którym dowiedziałem się później.

Kiedy św. Franciszek z Assyżu stanął ze swymi pierwszymi uczniami przed biskupem Gwidonem, oznajmiając mu swe pragnienie życia w absolutnym ubóstwie, biskup zdziwił się bardzo i zaproponował św. Franciszkowi założenie bractwa, któremu chętnie by oddał skromny domek z małą posesją, ogródkiem itd. Nie rozumiał biskup Assyżu jak można żyć bez najmniejszej choćby własności. Św. Franciszek odpowiedział z wielką stanowczością: „O domine mi! Jeżeli będziemy mieli jakąkolwiek własność, potrzebna nam będzie również broń do obrony tej własności. Z każdego bowiem posiadania rodzą się *fatalmente* spory i walki z sąsiadami, a skutkiem tych walk wielką szkodę ponosi miłość Boga i miłość człowieka. Przeto, by tę miłość zachować nieskalaną i czystą, wszyscy trwamy bezwzględnie i absolutnie w naszym postanowieniu nie posiadania niczego na tym świecie"

Słowa te pochodzą z najautentyczniejszego źródła do żywota św. Franciszka, z „Legendy trzech towarzyszy" (rozdział IX), trzech ostatnich towarzyszy, którzy św. Franciszka znali osobiście. Zapewne wiele naiwności znajdzie współczesny racjonalista w tej odpowiedzi średniowiecznego świętego, będącej praktyczną parafrazą słów Chrystusa, jednakże słowa te były przez długi czas brane dosłownie i służyły za podstawę pewnego systemu współżycia komunistycznego w znaczeniu religijnym. Współczesnym Europejczykom bliższa będzie nauka świętego, żyjącego dziś w Indiach, Gandhiego, oparta na podobnych założeniach.

Tam, na owej wsi, zacząłem zastanawiać się nad tym, czy jest możliwe żeby na tym świecie nie było już o co prowadzić wojny, i jak to zrobić, żeby już nie było takiej rzeczy, której

warto bronić. Jak zdewaluować wszystką własność? Jakimi sposobami pozbawić siebie samego chęci posiadania czegokolwiek? Jak nie być wrażliwym na własny głód i ubóstwo? Oczywiście, że takie rozmyślania prowadzą raczej do religijnych konsekwencji, a nie do historycznego materializmu. Okazało się jednak (i temu nie można się dziwić), że ogół ludzi nie ma zamiaru rezygnować ze swych pragnień doczesnych. Przeciwnie, pragnienia te z każdym dniem rozrastają się, tyją i kolidują z innymi pragnieniami. Ogół ludzi ujętych w ramy klas i narodów chce walczyć „do ostatniej kropli krwi" o wszystkie gdańskie korytarze doczesnego bytu. I jest rzeczą bardzo bolesną, że ludzie sami pełnić muszą funkcje nocnych stróżów i nocnych psów własnego lub obcego dobrobytu. Wszystko jedno czy kapitał używa do tego celu proletariatu a sam śpi spokojnie w cichych dworkach, czy też uświadomiony proletariat z własnej i nieprzymuszonej woli pragnie wywalczyć sobie lepszą egzystencję. Nic tu nie zmieni tragicznego stanu ludzkiej moralności. Mam wrażenie, iż będzie raczej na odwrót: ze zmianą moralności może zmienią się stosunki ekonomiczne, i dlatego zajmuje mnie przede wszystkim moralna strona ludzkiego bytu. Chwila, kiedy ze zjadaczy chleba przemienimy się w aniołów, jeszcze nie nadeszła, a przybliżenie tej chwili jest szczytnym zadaniem wszystkich, którzy biorą za złe głodnym iż walczą o chleb, a sytym, iż walczą o masło, i o piwo, i o kiełbasę i kawior.

IV

Negatywna krytyka wojny łatwiejsza jest od negatywnej krytyki pokoju, wojna bowiem skupia w sobie tyle elementów zła, iż nie trzeba na jej potępienie specjalnie subtelnych kategorii. Jeżeli powiadam: pokój — mam na myśli dwie jego formy, znane mi z autopsji. Pokój przedwojenny i obecny, zwany powojennym, jakkolwiek ze względu na przyszłą wojnę powinien raczej nosić nazwę przedwojennego. Rozumie się jednak że chodzi mi o lata poprzedzające wojnę 1914-1918-1920, w odróżnieniu od lat po r. 1920. Ów pokój przedwojenny zwykliśmy idealizować, ponieważ minął razem z naszą młodością, obecny pokój zaś wielu ludziom wydaje się zły, a to ze względów którym poświęcam niniejszy artykuł. Gdy mówimy o cierpieniach wojennych, nie musimy jaśniej się tłumaczyć, cierpienia człowieka na wojnie są nazbyt brutalne, iżby miano je kwestionować. Jednakże

na owej płaszczyźnie, która moim zdaniem jest jedynie płaszczyzną godną pisarza, tzn. duchowej, zdarzyć się może, iż te cierpienia wojenne bledną w porównaniu z beznadziejną udręką fałszywego pokoju. Cierpieniom wojennym towarzyszyły liczne i bardzo piękne złudzenia, a ulegaliśmy im bezkrytycznie i gromadnie. Najbardziej steranych żołnierzy — jak to wyżej opisałem — nie opuszczała czasu wojny błoga nadzieja lepszej przyszłości, i ona to, niby jakaś duchowa wata, wchłonęła w siebie wszystką krew wielkiej wojny.

Jeżeli na wojnie można było tęsknić za pokojem, przyzywać go resztkami pogruchotanego serca, za czym mają dzisiaj tęsknić bankruci pokoju, dla których łono jego nie matczynym jest, ale macoszym? Za Paneuropą, za ustrojem komunistycznym, czy za szczęściem pośmiertnym? Projektodawcy ludzkiego szczęścia w ramach realnej możliwości zapominają o tym, że wojna stawiała nam tak wielkie wymagania, iż nie zadowolimy się bylejakim pokojem. Ostatecznie z minioną wojną można było pogodzić się, nawet musieliśmy się pogodzić w chwili gdy stała się ona faktem dokonanym. Nie my pisaliśmy jej regulaminy, na których mocy ona paraliżowała naszą wolę. Ale z tym, co nastąpiło po wojnie i fałszywie nazywa się pokojem, trudno się pogodzić. Tu już możemy wpłynąć na regulamin, tu już wiele, jeżeli nie wszystko, od nas samych zależy. Niestety, ze smutkiem stwierdzić trzeba, że ze wzrostem spokoju naszych sumień maleją szanse prawdziwego pokoju na ziemi. Spokojne sumienie człowieka powojennego jest najbardziej niepokojącym objawem i nie wiadomo, co więcej nas zdeprawowało: wojna czy pokój? Rozróżniam pokój żywych i pokój umarłych. Pokój umarłych jest prawdziwym pokojem: pełnowartościowym, uczciwym. Z wizją tego pokoju w gasnących oczach polegli na wszystkich frontach nieznani żołnierze. Ten pokój był rzeczywiście święty, bo nie dożyty.

Nasz pokój powojenny jest podły, Możliwe, że niczym nie różni się od pokoju przedwojennego. Tym gorzej. I w samej rzeczy pod wielu względami oba te pokoje wyglądają identycznie. Ta sama etyka, te same namiętności i pragnienia, jakkolwiek zaspakajane w innych warunkach. Jednakże przed wojną szło się do celu przeważnie tylko po symbolicznych „trupach", a dziś wspinamy się po milionach rzeczywistych zwłok oraz po milionach żywych trupów. Ten powojenny pokój odsłonił nam najtragiczniejszą z prawd: naszym wrogiem nie był zabijany przez nas lub zabijający nas „nieprzyjaciel", lecz jest nim raczej co trzeci „rodak". Jak zmusić tego bliźniego, żeby nas już nie nienawidził? Ogniem i mieczem?

„Nienawidź sam siebie, jak nienawidzisz bliźniego!" — tak

może brzmieć kwintesencja nowej ewangelii. Takie kazanie, wygłoszone w dolinach ludzkiej pychy, większy odniosłoby skutek, niż owo kazanie na Górze, którego na serio nie biorą nawet zawodowi głosiciele miłości. Więc jakże? Czyżby człowiek był aż tak podłym stworzeniem, że tylko w najostatniejszym cierpieniu okazuje swą szlachetność? Czyżby ludzie byli naprawdę ludzcy tylko w nieludzkich okolicznościach? Podczas wojny byliśmy świadkami tak potężnych aktów ludzkiej wielkości, dobroci i poświęcenia, że zaryzykować trzeba twierdzenie, iż ta wojna podlejsza była od ludzi którzy w niej brali udział. Jak to jest możliwe?

Zdaje się, że wojna mechanicznie unicestwia nagromadzoną w człowieku podczas pokoju pychę, podłość i nienawiść, a każąc mu wykonywać najgorsze etycznie czynności — ukazuje mu wszystką ich ohydę, małość i potworne szaleństwo. Z chwilą gdy człowiek zaczyna egzekwować swe własne instynkty, instynkty te w nim zamierają i rodzą inne, szlachetniejsze. Dlatego podczas pokoju człowiek jest podlejszy niż na wojnie, jakkolwiek nie morduje. Groszowa miłość, zwana miłosierdziem i sympatią, którą nieraz w czasie pokoju obdarzamy cierpiącego bliźniego, niegodna jest nawet rozwiązać rzemyka u stóp tej wielkiej miłości, znanej nam z wielkiej wojny i z wielkiej poezji. (W Warszawie grają sztukę Sheriffa „Kres wędrówki" w której mimo całej grozy i pękających granatów więcej jest miłości niż nienawiści. I jakiej miłości!). Tylko w obliczu tak potwornych spraw, jakie nam wyreżyserowała wojna, ludzie, którzy w życiu cywilnym zagryzaliby się może pogardą i pychą, stają się prawdziwymi braćmi. Są to chyba najsmutniejsze słowa jakie kiedykolwiek napisałem. Jednak w tych sprawach nie mogę być lirykiem.

Jeżeli chodzi o porównanie pokoju przedwojennego z obecnym, wypada ono na niekorzyść pokoju obecnego już choćby przez fakt, iż pokój przedwojenny nie miał za sobą doświadczenia tak straszliwej wojny. Przypuśćmy nawet, że pokój przedwojenny gorszy był od dzisiejszego, ale nie wolno nam zapominać, iż brak mu było tego krwawego odczynnika, który zabarwia dzisiaj całe nasze życie nie powodując chemicznych zmian w naszej moralności. Czasem wydaje się, iż europejska ludzkość po prostu nie zasłużyła na tę wojnę, skoro wróciła z niej taka sama, jeżeli nie gorsza. Każde nieszczęście budzi na ogół respekt, spodziewamy się, iż uszlachetnia dotkniętego nim człowieka, toteż niemiłe ogarnia nas zdziwienie, gdy spotykamy go w takim samym stanie w jakim był przed nieszczęściem. Nawet do zbrodniarza, którego jedyną zasługą jest to, że przez 15 lat siedział w więzieniu, odnosimy się z pewnego rodzaju uszanowaniem, nie tyle w stosunku do jego osoby, ile do tej sumy cierpienia, które przez

15 lat w nim mieszkało. Już w szkole podobny szacunek budził kolega, który stracił ojca lub matkę albo przeszedł przez jakąś niebezpieczną chorobę. Obecność śmierci w jego domu dystansowała nas od niego i zmieniła nasz żakowski doń stosunek. Okrążaliśmy go jak gdyby był otoczony nimbem, czuło się bowiem, że ten chłopak był przez dłuższy czas w zetknięciu ze sprawami ostatecznymi i wracał do nas z owej tajemnej i sublimowanej strefy, w której ludzie wierzący czują obecność Boga. Mieliśmy nawet żal do tego chłopca za to, że zachowywał się normalnie, jak gdyby nigdy nic, i w dalszym ciągu płatał wraz z nami sztubackie figle. Nie zasłużył na tę rangę, którą gotowiśmy byli przyznać mu za jego cierpienia.

To samo powiedzieć można o powojennej ludzkości. Zachowała się jak gdyby nigdy nic. Nie zasłużyła na to wielkie pohańbienie jakim była wojna, bo i na pohańbienie trzeba zasłużyć. Chciałoby się o niej mówić z tą samą czcią i przerażeniem, z jakim mieszkańcy Florencji pokazywali sobie Dantego: „Oto jest człowiek, który za życia był w piekle!". Myśmy też za życia byli w piekle, ale po powrocie z niego zachowujemy się tak jak byśmy byli w kabarecie. Tylko ci co padli na tej wojnie, zostali przez nią wywyższeni i godni byli doczekać się owego idealnego pokoju, za którego iluzję z góry zapłacili własnym życiem. Ci, co z tej wojny wrócili i są tacy sami jak przed wojną, nie warci byli tego by na nią pójść, i mają do wyboru dwie hańby: hańbę wojny i hańbę pokoju.

Zbyt wielkie były hasła o które na wojnie mordowano się: wolność, równość, braterstwo, Bóg, ojczyzna, kultura, cywilizacja, sprawiedliwość, żebyśmy mieli je lekceważyć. Jeżeli wojna używała tych haseł bezprawnie, jeżeli je zdefraudowała, to pokój powinien im zwrócić ich pełną wartość w złotej walucie. Okazuje się jednak, że i w dalszym ciągu te hasła są obłudne, i nikt, lub prawie nikt, w nie nie wierzy. Skoro więc słusznie demaskuje się kłamstwo haseł wojny, należałoby z tą samą surowością zdemaskować hasła pokoju. Nie ma równości, wolności, braterstwa, sprawiedliwości i Boga, w ludziach pragnących pokoju na przedwojennych zasadach etycznych, które doprowadziły do wojny, i okazuje się, że jesteśmy skłonni do większych ofiar na rzecz wojny niż na rzecz pokoju. Wojnie umieliśmy poświęcić wszystko: życie, godność osobistą, szczęście domowe, rodzinę, mienie, wszystkie nasze zabytki sztuki i kultury. Gdy chodzi o pokój — niczego nie oddamy, ani ziemi skąd nasz ród, ani pieniędzy, ani dobrego imienia. Nie zrezygnujemy nawet ze skrzynek pocztowych, pomalowanych na nasz kolor.

V

Jeżeli wojna jest hańbą — jest hańbą cywilizacji przede wszystkim. Zwolennicy cywilizacji i postępu, radia i samochodów, i inni miłośnicy współczesnych przyjemności wskazują na stałą poprawę stosunków międzyludzkich, na rzekomy wzrost humanitaryzmu, na tayloryzm, a ilustrują swą optymistyczną tezę przykładem zniesienia inkwizycji i handlu niewolnikami. Niewątpliwie mają rację jeżeli chodzi o zmianę metod dręczenia ludzi przez ludzi. Zapominają jednak o tym, że inkwizycja była tylko jedną z form tego samego, do dziś dnia immanentnie tkwiącego w naturze ludzkiej okrucieństwa, którego nie unicestwia ani postęp ani cywilizacja, ani ateizm ani naukowa organizacja pracy. Wprost przeciwnie: postęp i cywilizacja udoskonaliły narzędzia tortur, zelektryfikowały je i zracjonalizowały, pozbawiając je cech indywidualnych i teatralnego splendoru. Podobnie i wojna współczesna zrezygnowała z błyszczących szyszaków i gwardyjskich złoconych mundurów, a za to wprowadziła znacznie okrutniejsze choć mniej efektowne gazy trujące, bomby i tanki. Te środki udręki można obsługiwać w nieefektownym mundurze, przypominającym bluzę robotniczą lub kostium sportowy. Współczesny żołnierz jest przeważnie mechanikiem.

Przypuśćmy, że w wiekach średnich niemądrze i niesłusznie torturowano ludzi w celach, które dziś wydają nam się błahe i potworne, czyż można twierdzić, że od tego czasu zmalała suma okrucieństwa ludzkiego w świecie? Znudziły się tylko lub same wymarły zasady, w których imię wówczas maltretowano. Dzisiaj męczy się ludzi ulepszonymi systemami w imię słusznych — przypuśćmy — i mądrych spraw. Dla mnie osobiście jest rzeczą obojętną, czy jesteśmy źli i okrutni o błahostki czy o rzeczy wielkiej wagi. Cywilizacja nasza wyśmiewa wieki średnie, że męczyły ludzi o głupstwa, przypuszczalnie wieki średnie wyśmiewałyby współczesną cywilizację z tego samego powodu. Dzisiaj też istnieje inkwizycja w życiu prywatnym i publicznym, a jeżeli operuje odmiennymi środkami, niż ta, którą założył Innocenty III, to może dlatego, że dzięki cywilizacji zmieniła się nasza wrażliwość. To, co dawniej może wcale nie bolało, dzisiaj, dzięki postępowi boli już tak, jak wykłuwanie oczu lub łamanie kości.

I dzisiaj łamie się kołem, i nie tylko nasze fizyczne kości. Współczesna inkwizycja (posługująca się zresztą szczypczykami, wlewaniem wody przez nos, olejem rycynowym) umie również łamać kręgosłupy naszego charakteru, przetrącać żebra naszej duszy, a współczesny pręgierz opinii publicznej — gazeta —

niejednemu już człowiekowi obrzydził życie. Współcześni inkwizytorowie nie zawsze zabijają sami, często zmuszają swe ofiary do samobójstwa. Nikt inny, tylko cywilizacja przyszła im z pomocą. Ona to wydelikaciła ludzkie nerwy (być może silniejsze i grubsze w wiekach średnich) i uczyniła z nich najczulszy odbiornik bólu. Jakoż współcześni inkwizytorowie wiedzą co czynią, skoro starają się przede wszystkim zniszczyć nerwy swych ofiar. Zapewne, gdy chodzi o współczesne okrucieństwo, zawodowo stosowane w instytucjach publicznych, można by część winy — jak to czynią niektórzy materialiści — zwalić na warunki ekonomiczne. Z pewnością istnieją dzisiaj agenci policyjni państw kapitalistycznych oraz funkcjonariusze sowieckich czerezwyczajek, którzy mszczą się na aresztantach za swe niskie gaże oraz za niemożność brania od nich łapówek. Mimo to, okrucieństwo ludzkie — od początku świata — jest dość obficie reprezentowane także i w sferach ekonomicznie nasyconych, a nawet przesyconych, tak iż można je śmiało wyeliminować poza granice układów i walk klasowych.

Co się tyczy zaś tak pogardzanych przez postępowców wieków średnich, owego *tertium comparationis* wszelkiej „ciemnoty", którym lubią popisywać się liberalni dziennikarze i wolnomyśliciele, to nawet powierzchownie obznajmiony z średniowieczem uczeń stwierdzi z łatwością, że te same dokumenty co przekazały nam okrucieństwa inkwizycji i autodafé, przekazują nam co najmniej tyle przykładów wielkich cnót ludzkich, łagodności i tak wielkiej egzaltacji duchowej, jakiej nie znają już późniejsze „oświecone" wieki.

Pozostaje też kwestią otwartą, gdzie więcej szukać barbarzyństwa: w wiekach, których pamięć konserwują freski Giotta, pieśni Jacopone da Todi i śpiew gregoriański, czy w epoce malarstwa kubistycznego, powieści Wallace'a i jazzu? Gdzie nagromadziło się więcej łagodności: w epoce walk religijnych, herezji i trubadurów, czy w epoce ataków gazowych, walk klasowych i Majakowskiego? Przepraszam za to, że posłużę się zużytym, sentymentalnym pojęciem jak „serce". Otóż wieki średnie były przede wszystkim opanowane kulturą wielkich serc, a ich okrucieństwo służyło fanatykom do gnębienia fanatyków. Dzisiejsze okrucieństwo cywilizatorów służy cynikom do gnębienia fanatyków lub głupców. I dziś jeszcze stwierdzi każdy podróżnik lub komiwojażer, że im dalej od centrów zelektryfikowanej, zaczadzonej benzyną cywilizacji, tym więcej dobroci ludzkiej. Kilku znawców świata utrzymuje, że jeszcze tylko na Syberii ludzie mają serca. Gdyby Mickiewicz znał współczesną cywilizację, pozazdrościłby może tej młodzieży pędzonej w kibitkach na Sybir, i kto

wie, może sam przyłączyłby się do transportu. Wszak sam kiedyś wołał: „Nie mędrca szkiełko i oko", tylko: „Miej serce i patrzaj w serce!".

◆

Fanatycy cywilizacji, upatrujący w niej jedyną rękojmię wiecznego pokoju, uważają każdego, kto tę cywilizację krytykuje, za człowieka „zacofanego". Nie pojmują ci szlachetni romantycy pozytywizmu i racjonalizmu, że niezadowolenie z współczesnej cywilizacji nie oznacza jeszcze aprobaty pierwotnych form bytowania. Ci lirycy nie rozumieją tragizmu współczesnego humanisty, który nie znajduje realnego wyjścia ze swej sytuacji i nie ma żadnych złudzeń. Taka sytuacja nie daje ani możliwości *powrotu* ani nie stwarza żadnych szans na przyszłość. Podobnie nie każdy, kto neguje pacyfizm, jest *eo ipso* militarystą. W krajach, gdzie pisarze zajmują się przede wszystkim badaniem spraw zamkniętych ściśle w granicach ludzkiego charakteru, tragiczne osamotnienie prowadzi często do niespodziewanych odkryć. U nas, niestety, zwłaszcza w Warszawie, ciągle jeszcze pokutuje zasada, według której pisarz obowiązany jest być rabinem i posiadać w zanadrzu gotowe odpowiedzi na wszystkie pytania, którymi zasypuje go życie prywatne i społeczne. Nie rozumie się u nas jeszcze tego, że sformułowanie i postawienie wielkiego znaku zapytania jest produktywniejsze od wynajdywania odpowiedzi prawie zawsze przekreślanych przez życie. Odpowiedzi, zwłaszcza ogłaszane w tonie proroczym, mogą być mylne, pytania zaś przeważnie bywają trafne.

Co do mnie, nauczyłem się pobłażać ludzkiej słabości i nie robić z siebie wyjątku. Pogodziłem się również ze smutną prawdą, że na tej ziemi nie będzie raju i że trzeba żyć w ramach losu, którego nie zmienią nasze książki, choćby najpiękniejsze. Jeżeli chodzi o traktaty pokojowe, domagam się jedynie rewizji granic ludzkiego sumienia i ludzkich możliwości. Z uczestnikami bankietów pacyfistycznych i paneuropejczykami niewiele mam wspólnego. Miłośnicy szyldów i sztandarów oskarżą mnie o zdradę sztandaru pacyfistycznego. Nie zdradzam sztandaru mojej młodości, obnoszonego już dziś na majówkach, raczej on mnie zdradził: nie w takich go widywałem sytuacjach. Gwiżdżę na taki sztandar i opuszczam szeregi ciurów.

1929

OSTATNIA INSTANCJA

„Homme de théories, il ne considérait que les masses et se montrait impitoyable pour les individus".
(Flaubert, „L'Education sentimentale")

Niedawno zaszedł w życiu moim wypadek, którego przemilczenie wydaje mi się tchórzostwem. Nie jestem miłośnikiem obowiązków, zwłaszcza wobec tzw. społeczeństwa, ale gdy chodzi o to wydarzenie, myślę, że spełnię swój obowiązek pisarza, podając je do publicznej wiadomości i to w piśmie, poświęconym sprawom literatury. Literatura bowiem jest tutaj ośrodkiem zainteresowania tak samo jak moja osoba, przypadkowo tylko wystawiona na działanie sił, o których będzie mowa. Wyznaję otwarcie, iż uświadamiając sobie to, co zdarzyło się owego dnia w moim domu i pisząc o tym niniejszy artykuł, czynię to przede wszystkim w celu ulżenia własnemu sumieniu, aż nazbyt twardo przypartemu do muru. Bardziej jednak byłbym rad, gdyby te słowa, mogące niejednemu wydać się przesadą lub przewrażliwieniem, przyczyniły się do wyświetlenia roli literatury w życiu społecznym.

Otóż pewnego popołudnia zastukało do drzwi mego mieszkania tzw. społeczeństwo. Uczyniło to cicho i nieśmiało, ale w tej nieśmiałości było więcej grozy i stanowczego niemal imperatywu, niż we wszystkich waleniach pięścią i rozwalaniach bram. „Społeczeństwo", o którym mówię, wkroczyło do mego mieszkania nogami dwóch nieznanych mi przedtem bezrobotnych: S.G. i A.N. (W każdej chwili służę pełnymi nazwiskami oraz adresami tych panów, o ile by ktoś chciał się nimi zająć). Panowie ci weszli zakłopotani, uniżeni, zawstydzeni, nie wiedząc, że to mnie wprawiają w zakłopotanie i wstyd. Zapytali: „Czy tu mieszka pan Józef Wittlin, *literat?*". Słowo *literat,* wymówili takim głosem, jakim pobożni Żydzi pytają o rabina, a chorzy o lekarza. Gdyby nie ten *literat,* myślałbym, iż zaszło nieporozumienie. Wprowadzając mych gości do mieszkania, sądziłem, iż przynoszą mi jakieś

rękopisy do oceny. I rzeczywiście wyciągnęli z kieszeni papiery, ale nie były to utwory literackie. Prosiłem ich, by usiedli. Uczynili to znów w taki sposób, iż czułem się upokorzony. Byli to ludzie jeszcze młodzi. Ich wyszukana uprzejmość i zakłopotanie źle taiły gorycz, rozczarowanie, niechęć do życia i beznadziejność długiego a daremnego wyczekiwania poprawy losu.

„Życie" reprezentowane przez tych bezrobotnych — to typowe życie ofiar klęski gospodarczej, i pewno niewiele różni się ono od życia reszty bezrobotnych Europy. Z ich własnych opowiadań — utworzyłem sobie obraz tego życia. Różnili się może od innych towarzyszów niedoli — inteligencją, bystrą orientacją i znajomością świata. Jeden z nich kształcił się w Niemczech, w szkole technicznej, pracował w wielkich przedsiębiorstwach budowlanych i elektrotechnicznych. Drugi był legionistą, dziś jest inwalidą, a otwarta gruźlica płuc pozbawiła go pracy niezależnie od kryzysu. Obaj równocześnie pokazywali mi całą masę papierów urzędowych, starych legitymacji, pożółkłych i podartych świadectw, opatrzonych pieczęciami, które dodawały tym świstkom autorytetu i chroniły przed podejrzeniem kłamstwa. Mówili dużo, obaj równocześnie, walili we mnie datami, nazwiskami ludzi i instytucji. W końcu na moje pytanie, co ich właściwie i akurat do mnie skierowało, odpowiedzieli mniej więcej tak: „Pan jest literat, pan to zrozumie. Chodzimy i szukamy pracy, wszędzie nas odsyłają do domu lub do innych ludzi i urzędów. Tak dalej być nie może. Pan jest literat, niech pan nam powie, co mamy robić, żeby nie zginąć". Uczucia, jakich doświadczyłem, słuchając tych słów, były tego rodzaju, że mógłbym całą książkę o nich napisać. Nie były to uczucia przyjemne i nie budziły we mnie dumy. Fal wstydu, jakie mnie zalewały, nie oddam słowami. Podziękowałem bezrobotnym za zaufanie, jakim niesłusznie mnie obdarzyli, potem powiedziałem mniej więcej wszystko, co wiem o powszechnej klęsce bezrobocia i kryzysie europejskim, a mówiłem to z tym większą przykrością i niesmakiem, im bardziej rosło we mnie poczucie niemocy. Niemoc ta przemieniła się w końcu w panikę przed samym sobą, przed oschłością komunału, którym siliłem się zlikwidować rosnące we mnie poczucie winy. Wyznałem wreszcie tym ludziom, że zwrócili się pod fałszywym adresem.

Prawdziwą męczarnią i szczytem upokorzenia było dla mnie to wyznanie. „Jestem tylko pisarzem i nie mam żadnego wpływu!". Czułem doskonale, że nie wolno mi tych żywych ludzi, przeceniających nie tylko mój wpływ, lecz wpływ całej literatury na życie, zbywać formułkami o bezrobociu, za pomocą których może pisarz co najwyżej w dyskusji towarzyskiej izolować się i zabezpieczać od „kwestii społecznej". W tym wypadku sprawa

wyglądała inaczej. Tu nie chodziło o dyskusję na aktualny temat bezrobocia, lecz o doraźną pomoc materialną w stosunku do dwóch żywych, bezrobotnych ludzi. Sromotna klęska, jaką w owej chwili poniosłem, była — zdaje mi się — klęska całej literatury, gdyż goście moi nie zdawali sobie sprawy z tego, iż wizytą swoją i zaufaniem zaszczycili człowieka, który w życiu publicznym nie gra żadnej roli. I zrobiłem to, co mogłem zrobić. Wyprowadziłem ich ze złudzenia w stosunku do mojej, mało znaczącej osoby, i natychmiast podałem im adresy tych znakomitych literatów, którzy zajmują odpowiedzialne stanowiska nie tylko w literaturze, ale i w życiu publicznym i bezpośrednio komunikują się z władzami. Odegrałem więc z niesmakiem rolę Annasza, w nadziei, iż znajomi moi Kajfasze, przy odrobinie dobrej woli, jednak coś dla tych biednych ludzi uczynią.

Nie wiem, co się stało z moimi gośćmi, czy moje polecenia poskutkowały, czy też wyrzucono ich za drzwi. Życzę im, żeby zaufanie, jakim w swej naiwności obdarzyli literaturę polską, przypadkowo w mojej osobie, zostało ocenione tam, gdzie należy. Co do mnie — tym odesłaniem bezrobotnych do godniejszych od siebie — nie wyczerpałem sprawy. Dokuczała mi ona jeszcze długo, aż zdecydowałem się omówić ją publicznie, na tym miejscu. Ostatecznie jestem „tylko pisarzem" i niech mi wolno będzie łudzić się, że ten artykuł może się na coś bezrobotnym przydać. W kilka dni po odwiedzinach bezrobotnych, przeczytałem w „Wiadomościach Literackich" piękne studium Aldousa Huxley'a o kryzysie w Anglii. M.in. znajdujemy tam takie zdania: „Nie widzieć lasu z powodu drzew jest przysłowiowym powodem błędów. Lecz odwrotna nieudolność, acz nie potępiona tradycyjną mądrością, jest równie opłakana w skutkach. Nie umieć dostrzec drzew z powodu lasu jest formą ślepoty wyobraźni, której ulega wyłącznie inteligencja i burżuazja". Nieco dalej zaś: „Ciekaw jestem, wielu z zamożnych i wykształconych mężczyzn i wiele kobiet, co w salonach londyńskich, klubach i na śniadaniach w City, w biurach rządowych, rozprawiają o problemacie bezrobocia, o spadku dywidendy, o zapomogach dla bezrobotnych, o zastoju gospodarczym, o upadku głównych gałęzi naszego przemysłu — wielu z nich zadało sobie trud, aby pójść i własnymi oczami spojrzeć na fakty, zawarte w ich wygodnych uogólnieniach".

Wdzięczny jestem tłumaczowi artykułu, że mi dał potężnego sojusznika w walce z moim sumieniem. Problemat bezrobocia nigdy mnie nie interesował, jako problemat. Nigdy też nie umiałem sobie dać rady z ideami społecznymi, systemami i lasami. Zawsze interesowały mnie tylko żywe fakty, poszczególne drzewa. I okazało się, że panowie: S.G. i A.N. mimo wszystko nie

pomylili się, zaszczycając mnie swą wizytą. Przyszli do mnie jako żywe fakty. Odwiedziły mnie dwa drzewa z wielkiego lasu bezrobotnych, i wdzięczny jestem za to upokorzenie, którego doznałem, rozmawiając z nimi. Teraz już wiem, że o bezrobociu można mówić spokojnie i obojętnie, o ile nie jest się „fachowcem" od tych spraw, ani społecznikiem. Ale spotkać się oko w oko z żywymi bezrobotnymi, proszącymi nas o pomoc — to inna sprawa i sprawa wielce kosztowna. Dziękuję im za to poczucie niemocy, które wywołali we mnie, jako pisarzu i sądzę, że świadomość tej niemocy jest nie tylko moją osobistą sprawą. Może są u nas pisarze, którzy przy zetknięciu się z żywymi bezrobotnymi potrafią im dać coś więcej niż teorię, doktrynę i pociechę. Ale może świadomość niemocy literatury wobec zagadnień życia społecznego jest sprawą powszechną? Czym jest literatura, skoro „życie" ma do niej tyle zaufania, iż w ciężkich chwilach zwraca się do niej w ostatniej instancji? Czym zasłużyła sobie literatura na ten zaszczyt? Może swoją tradycją, sięgającą czasów, kiedy można było jej ideały brać serio i żądać od niej pokrycia słów w walucie faktów? Może tradycją mickiewiczowskiego Legionu i tradycja śmierci Byrona? — Oto przyszli do mnie dwaj ludzie, którzy wzięli literaturę serio. Czy literatura ma prawo wyrzucać ich za drzwi? Wzięli serio to, co w wielu wypadkach jest dziś już tylko metaforą lub kurtuazyjnym gestem w stronę społeczeństwa. Co teraz mamy uczynić, jeżeli chcemy, aby nam nie zarzucano fałszu lub kłamstwa? Czy ludziom, przychodzącym do nas w ostatniej instancji, mamy dać do zrozumienia, że wcale nie jesteśmy tą ostatnią instancją, tylko rzemieślnikami słowa, pracownikami sztuki dla sztuki, malarzami obrazów niedoli społecznej i handlarzami tych obrazów. Mamyż sami wyznać jałowość naszego rzemiosła, będącego ostatecznie luksusową zabawą i umysłowym sportem sytych, czy też mamy czekać spokojnie na ów dzień, kiedy przyjdą do nas nie dwa drzewa, lecz jak w „Makbecie" ruszy na nas cały las birnamski bezrobotnych, zrozpaczonych i głodnych?

Oto pytanie, jakie nasunęła mi owa, niewinna na pozór, wizyta, i dzielę się nim przede wszystkim z pisarzami, których kiedyś spotkać może coś podobnego, co mnie spotkało. Kto wie, czy w niedalekiej przyszłości, nie będziemy musieli zrewidować nasze kompetencje, i albo odrzucić wszystko, co mogłoby prostych ludzi wprowadzić w błąd, albo też wywalczyć naszemu słowu prawo egzekutywy. W większości wypadków jesteśmy dziś klerkami, zdradzającymi przy konfrontacji z życiem — wszystkie nasze ideologie. Jesteśmy zdrajcami drzew dla lasu i zdrajcami lasu dla drzew. Więc trzeba nam będzie wybierać jedno z dwojga:

albo się zrzec pisania dla ogółu, dla tzw. szerokich mas, bo narażamy się na niebezpieczeństwo, że te masy nam uwierzą, albo trzeba nam będzie wrócić do dawnej, zapomnianej już postawy pisarskiej: do bohaterstwa. A więc — uczynić z każdego naszego słowa narzędzie prawdy, za którą gotowi będziemy oddać życie.

1931

OBOWIĄZEK SYTYCH

Ludność każdego kraju dzieli się przede wszystkim na dwie kategorie: sytych i głodnych. Potem dopiero idą inne różnice. Wydaje się, że w obecnej chwili więcej jest w naszym kraju głodnych niż sytych. Znamy lub nie znamy, czy też nie chcemy znać, społecznych i gospodarczych motywów ludzkiego głodu i nasycenia. W sąsiedztwie Polski istnieją kraje cierpiące na brak żywności. U nas żywności jest pod dostatkiem. A jednak głoduje u nas przede wszystkim ten, kto w ciężkim znoju produkuje żywność oraz inne tzw. artykuły pierwszej potrzeby. Głoduje więc małorolny lub bezrolny chłop, głoduje drobny rzemieślnik i bezrobotny robotnik. Głoduje też bezrobotna inteligencja.

Głód i mróz — to nie tylko zjawiska społeczne i gospodarcze. Są to również problemy moralne. Każdy uczciwy człowiek, biorąc do ust smaczny kęs, odczuwa dzisiaj nie tylko zadowolenie. Ma on przy tym, lub powinien mieć, coś w rodzaju czkawki sumienia. Nieczystego sumienia. Ale nieczystym sumieniem jeszcze nikogo nie nakarmiono. Nasz głodujący bliźni woli od nieczystego sumienia sytych — kawałek wołowego mięsa. Nawet nasze serce, wzruszone niedolą głodnych, tylko wtedy ma jakąś wartość, gdy komunikuje się z kieszenią.

Wiele złego spłynęło już na świat z powodu braku wyobraźni. Brak wyobraźni — to jedno z największych kalectw człowieka. To ślepota duszy. Gdybyśmy na widok głodnego i zmarzniętego umieli zawsze s i e b i e wyobrazić na jego miejscu, może nie byłoby między nami głodujących i marznących. Bo gdzież jest pośród sytych człowiek, posiadający gwarancję, iż sam nigdy nie będzie głodował? Widzieliśmy nawet głowy koronowane, odkrywające się przed byle kim w prośbie o jałmużnę.

Wielkie to szczęście dla moralności ludzkiej, iż nie ma na świecie człowieka, którego dobry lub zły los byłby ustalony raz na zawsze: od kolebki do trumny. Toteż pomoc, okazana w ciężkich jak obecna chwilach, tym, co cierpią głód i niedostatek, nie jest niczym innym, tylko jednym z godziwych aktów ogólnoludzkiej solidarności. Do tej solidarności, do spełnienia obowiązku wzywa sytych moje skromne słowo.

1934

GORGUŁOW I PAN BÓG

Morderca prezydenta Doumera, kozak, literat i doktor medycyny Paweł Gorgułow, skazany na śmierć wyrokiem sądu przysięgłych departamentu Sekwany, po nieudanej apelacji w sądzie kasacyjnym, spodziewał się znaleźć łaskę w oczach najwyższego sądu: w niebie. Był to bowiem człowiek wierzący.

Tej posępnej sprawy nie rozwałkowywalibyśmy na gruncie literackim, gdyby jej bohater nie był w pewnym stopniu produktem literatury. Podobieństwo Gorgułowa do niektórych typów najlepszej beletrystyki rosyjskiej XIX wieku uderza szczególnie człowieka, który Rosję zna wyłącznie z tej beletrystyki, obfitującej w typy zdegenerowane, zbrodnicze i opętane manią religijną. Gorgułow taki, jaki nam się jawi w jaskrawym świetle własnych komentarzy do popełnionej zbrodni, mógłby być czwartym „bratem Karamazowym" — oczywiście zmniejszonego formatu. Podobnie, jak niektórzy degeneraci Dostojewskiego, utrzymywał i on niezwykle żywy kontakt z Panem Bogiem, którego imienia wzywał po dokonanej zbrodni niemal bezustannie i to zarówno ustnie, jak pisemnie. Czy nadaremno? O tym nie przystoi nam sądzić. Być może, że ta niewidzialna Istota, której przypisujemy absolutne miłosierdzie, wysłuchała suplikacji biednego zbrodniarza i dopuściła jego udręczoną duszę do łaski, której jest źródłem. Dla kogóż bowiem chrześcijański Bóg rozporządza miłosierdziem, jeśli nie dla takich właśnie ludzi, jak Gorgułow?

Możemy mówić tylko o stosunku samego Gorgułowa do łaski boskiej, w owym krótkim okresie dzielącym jego zbrodnię spełnioną na tym świecie od chwili, gdy stanął przed najwyższym Sędzią i to na podstawie jego własnych słów. Zdaje się, że Gorgułow uważał łaskę i przebaczenie boskie za fakt dokonany, przez co różnił się od typowych, nawróconych grzeszników. Ci bowiem przy pomocy skruchy o tę łaskę dopiero zabiegają. Gorgułow czynu swego nie żałował, lecz starał się o wielką

ideową nadbudowę, mającą ten czyn nie tylko potwierdzić, lecz i ulegalizować w oczach Boga i historii. Zanim jednak poddamy analizie samą „ideę" Gorgułowa, chcielibyśmy zastanowić się nad rozmiarami jego grzechu, nie ulega bowiem wątpliwości, że Gorgułow, jako gorący chrześcijanin, sam uważać się musiał za grzesznika, chociaż wzbraniał się przyjąć na siebie wszystką odpowiedzialność za zbrodnię.

Nie możemy go uważać za wielkiego zbrodniarza, za wielkiego grzesznika, mimo iż zamordował wielką personę. Można być wielkim grzesznikiem mordując wróbla i małym, drobnym grzesznikiem, mordując możnych tego świata. Wielkość grzechu nie zależy od wielkości zewnętrznego obiektu służącego grzesznikowi za materiał do zbrodni, lecz od duchowego wkładu zbrodniarza. Grzech, świadomy grzech (mówimy wszak o człowieku wierzącym) jest poświęceniem, ofiarą. Wierzący grzesznik grzesząc, poświęca zbawienie swej duszy, chociaż przed wykonaniem kary śmierci, będącej jego oczyszczeniem na tym świecie, sprawiedliwość ziemska daje mu możność „pojednania się z Bogiem". Czy Bóg w każdym wypadku uznaje absolucję udzieloną grzesznikowi przez kapłana, o tym również nie przystoi nam sądzić. Kto wie, może są tacy grzesznicy, których Bóg posyła do piekła, mimo, że wyspowiadali się przed śmiercią?

Gorgułow zdaje się być pewnym zbawienia swej duszy. I nie tylko uważa tę duszę za będącą w porządku, lecz niekiedy daje do zrozumienia, że cichego wspólnika jego zbrodni szukać należy nie na tym świecie.

Wartościowym dokumentem stosunku Gorgułowa do Boga jest list jego, skierowany po dokonanym zamachu do wdowy po prezydencie Doumerze. Oto treść tego listu, jeśli można ufać ścisłości prasy:

„Szanowna Pani!

Bóg mi świadkiem, że nie chciałem zabijać męża Pani. Straszny los zabił małżonka Pani, a zarazem i mnie, który jestem ślepym narzędziem losu. Chciałem skończyć z tym życiem, lecz przeszkodzili temu ludzie, rzucając się na mnie, jak na zwierzę. Błagam trybunał, aby skazał mnie na śmierć. Modlę się do Boga, wielkiego Boga, który stworzył słońce, ziemię i ojczyznę. Moja ojczyzna niestety nie żyje. Rosja narodowa nie istnieje, biedny lud rosyjski cierpi pod jarzmem międzynarodowego komunizmu. Wielki Boże, chcę umrzeć dla mojej idei, lecz błagam Boga, aby ta idea wraz ze mną nie umarła. Amen. Niech wielki Bóg ma Szanowną Panią w swej opiece".

GORGUŁOW I PAN BÓG

Morderca prezydenta Doumera, kozak, literat i doktor medycyny Paweł Gorgułow, skazany na śmierć wyrokiem sądu przysięgłych departamentu Sekwany, po nieudanej apelacji w sądzie kasacyjnym, spodziewał się znaleźć łaskę w oczach najwyższego sądu: w niebie. Był to bowiem człowiek wierzący.

Tej posępnej sprawy nie rozwałkowywalibyśmy na gruncie literackim, gdyby jej bohater nie był w pewnym stopniu produktem literatury. Podobieństwo Gorgułowa do niektórych typów najlepszej beletrystyki rosyjskiej XIX wieku uderza szczególnie człowieka, który Rosję zna wyłącznie z tej beletrystyki, obfitującej w typy zdegenerowane, zbrodnicze i opętane manią religijną. Gorgułow taki, jaki nam się jawi w jaskrawym świetle własnych komentarzy do popełnionej zbrodni, mógłby być czwartym „bratem Karamazowym" — oczywiście zmniejszonego formatu. Podobnie, jak niektórzy degeneraci Dostojewskiego, utrzymywał i on niezwykle żywy kontakt z Panem Bogiem, którego imienia wzywał po dokonanej zbrodni niemal bezustannie i to zarówno ustnie, jak pisemnie. Czy nadaremno? O tym nie przystoi nam sądzić. Być może, że ta niewidzialna Istota, której przypisujemy absolutne miłosierdzie, wysłuchała suplikacji biednego zbrodniarza i dopuściła jego udręczoną duszę do łaski, której jest źródłem. Dla kogóż bowiem chrześcijański Bóg rozporządza miłosierdziem, jeśli nie dla takich właśnie ludzi, jak Gorgułow?

Możemy mówić tylko o stosunku samego Gorgułowa do łaski boskiej, w owym krótkim okresie dzielącym jego zbrodnię spełnioną na tym świecie od chwili, gdy stanął przed najwyższym Sędzią i to na podstawie jego własnych słów. Zdaje się, że Gorgułow uważał łaskę i przebaczenie boskie za fakt dokonany, przez co różnił się od typowych, nawróconych grzeszników. Ci bowiem przy pomocy skruchy o tę łaskę dopiero zabiegają. Gorgułow czynu swego nie żałował, lecz starał się o wielką

ideową nadbudowę, mającą ten czyn nie tylko potwierdzić, lecz i ulegalizować w oczach Boga i historii. Zanim jednak poddamy analizie samą „ideę" Gorgułowa, chcielibyśmy zastanowić się nad rozmiarami jego grzechu, nie ulega bowiem wątpliwości, że Gorgułow, jako gorący chrześcijanin, sam uważać się musiał za grzesznika, chociaż wzbraniał się przyjąć na siebie wszystką odpowiedzialność za zbrodnię.

Nie możemy go uważać za wielkiego zbrodniarza, za wielkiego grzesznika, mimo iż zamordował wielką personę. Można być wielkim grzesznikiem mordując wróbla i małym, drobnym grzesznikiem, mordując możnych tego świata. Wielkość grzechu nie zależy od wielkości zewnętrznego obiektu służącego grzesznikowi za materiał do zbrodni, lecz od duchowego wkładu zbrodniarza. Grzech, świadomy grzech (mówimy wszak o człowieku wierzącym) jest poświęceniem, ofiarą. Wierzący grzesznik grzesząc, poświęca zbawienie swej duszy, chociaż przed wykonaniem kary śmierci, będącej jego oczyszczeniem na tym świecie, sprawiedliwość ziemska daje mu możność „pojednania się z Bogiem". Czy Bóg w każdym wypadku uznaje absolucję udzieloną grzesznikowi przez kapłana, o tym również nie przystoi nam sądzić. Kto wie, może są tacy grzesznicy, których Bóg posyła do piekła, mimo, że wyspowiadali się przed śmiercią?

Gorgułow zdaje się być pewnym zbawienia swej duszy. I nie tylko uważa tę duszę za będącą w porządku, lecz niekiedy daje do zrozumienia, że cichego wspólnika jego zbrodni szukać należy nie na tym świecie.

Wartościowym dokumentem stosunku Gorgułowa do Boga jest list jego, skierowany po dokonanym zamachu do wdowy po prezydencie Doumerze. Oto treść tego listu, jeśli można ufać ścisłości prasy:

„Szanowna Pani!

Bóg mi świadkiem, że nie chciałem zabijać męża Pani. Straszny los zabił małżonka Pani, a zarazem i mnie, który jestem ślepym narzędziem losu. Chciałem skończyć z tym życiem, lecz przeszkodzili temu ludzie, rzucając się na mnie, jak na zwierzę. Błagam trybunał, aby skazał mnie na śmierć. Modlę się do Boga, wielkiego Boga, który stworzył słońce, ziemię i ojczyznę. Moja ojczyzna niestety nie żyje. Rosja narodowa nie istnieje, biedny lud rosyjski cierpi pod jarzmem międzynarodowego komunizmu. Wielki Boże, chcę umrzeć dla mojej idei, lecz błagam Boga, aby ta idea wraz ze mną nie umarła. Amen. Niech wielki Bóg ma Szanowną Panią w swej opiece".

W tym krótkim piśmie użył Gorgułow sześć razy słowa: Bóg. Zaraz na wstępie powołuje Go na świadka odwodowego. Bóg ma świadczyć przed panią Doumer, przed innymi ludźmi i zapewne przed sumieniem samego Gorgułowa, że Gorgułow nie chciał zabijać prezydenta. Powoływanie Boga na świadka niewinności jest starą i wypróbowaną metodą. Uciekają się do niej zarówno niewinnie oskarżeni, którym brak świadków odwodowych z krwi i kości, jak i autentyczni zbrodniarze, którzy nie chcą się przyznać do winy. Pierwsi w swej bezbronności i opuszczeniu, nie mają już innej ucieczki, odwołują się więc do sprawiedliwego świadectwa najwyższej potęgi, niewidzialnej wprawdzie i niemej, lecz *wszechwiedzącej* i to nie tylko w ich mniemaniu, lecz według wszelkich pozorów — i w mniemaniu trybunału, czego dowodem ma być krucyfiks, Tora, Koran itp. — na stole, tuż przed przewodniczącym rozprawy. W krajach gdzie ani trybunał, ani sędziowie przysięgli nie są obowiązani oficjalnie wierzyć w Boga — powoływanie się na Niego może niekiedy wywołać tzw. wesołość na sali. Ale niewinni wierzą lub pragną wierzyć w cudy. Skoro na tym świecie nie mają na swoją obronę ani jednego świadka, niech się stawi wszystkowiedzący świadek z tamtego, wyższego świata, świadek i sędzia w jednej osobie. I niech udaremni omyłkę sądową.

Co się tyczy winnych — świadomie wzywają oni Boga na fałszywego świadka. Liczą na Jego niewidzialność, mając absolutną pewność, że wcale się nie stawi. Wiedzą, że Bóg w dzisiejszych czasach nie może być przesłuchiwany przez żaden trybunał na ziemi, choćby złożony był z samych gorliwych Jego wyznawców. (W średniowieczu, obdarzonym bujniejszą wyobraźnią, niż nasze czasy, nieraz Stwórca stawał jako niewidoczny wprawdzie, lecz niewątpliwy superarbiter w tzw. sądach bożych). W jakim więc celu winni wzywają Pana Boga — pozostanie tajemnicą ich desperacji.

W wypadku Gorgułowa Bóg odgrywa całkiem inną rolę. Gorgułow fatyguje Go i wlecze po sądach wcale nie po to, żeby składał fałszywe zeznania. Owszem, Gorgułow przyznaje się do zabójstwa prezydenta, chodzi mu tylko o to, żeby Wszechwiedzący, właśnie jako Wszechwiedzący, zaświadczył, że Gorgułow *nie chciał* prezydenta zabijać. Zdaniem Gorgułowa, zapewne, po to właśnie istnieje Pan Bóg, żeby znał pobudki naszych czynów, tak świadomych jak i nieświadomych. Zatem nikt inny, tylko On powinien wiedzieć, jak to się stało, że Gorgułow zastrzelił prezydenta Francji, chociaż tego nie chciał. Moglibyśmy posądzać Gorgułowa o chęć spekulacji na boskiej wszechwiedzy, gdyby sam nie przeczył sobie w następnym zdaniu. Gdyby Gorgułow był konsekwent-

ny, nie tylko wzywałby Pana Boga na świadka mimowolności swego czynu, lecz tłumaczyłby się mniej więcej tak: „Ja nie wiem, dlaczego zabiłem prezydenta, skądże ja, marny proch, miałbym o tym wiedzieć? Jeden Bóg tylko wie, dlaczego to uczyniłem". Ale Gorgułow nie jest konsekwentny. Wikła się w swej dialektyce, mieszając pojęcia z dwóch różnych systemów religijnych. Skoro powiada: „Bóg mi świadkiem, że nie chciałem zabijać męża Pani", czemu już do końca nie trzyma się Boga i nie mówi: „Bóg zabił męża Pani moimi rękami"? Zapewne zadrżał na myśl, że mógłby Boga uczynić winnym dokonanego przez siebie mordu. I naraz ten prawosławny wyznawca Boga zmienia się w poganina, w fatalistę. Zaprzecza temu, do czego pośrednio już się przyznał i całą winę zwala na „straszny los", którego był „ślepym narzędziem".

A może grecko-ortodoksyjna metafizyka odziedziczyła po starej Grecji również i pojęcie Losu? Chcemy być lojalni wobec Gorgułowa i poważnie traktować jego wypowiedzi, chociaż moglibyśmy sobie ułatwić zadanie bagatelizując je i przypisując ich mętność desperacji nieszczęśliwego skazańca. Na to Gorgułow mimo wszystko nie zasługuje.

Skąd on wie, że jest narzędziem losu? W jakiej formie „los", „straszny los" upoważnił go do morderstwa? A jeśli nawet „los" pewnego dnia wezwał doktora Pawła Gorgułowa i powiedział: „Gorgułow, masz tu rewolwer, pójdziesz na wystawę książki do pałacu Rotschildów i zastrzelisz prezydenta Doumera, a potem — naturalnie — ja ciebie zabiję" — to czyżby Gorgułow był aż tak dalece „ślepym narzędziem", że nawet nie śmiał zapytać losu (choćby ze względu na zamiary losu w stosunku do jego osoby): „Przepraszam, ale po co?".

Oto zagadka zgilotynowanej głowy. Trudno przecież wyobrazić sobie „los", który wcale nie wtajemnicza swego „narzędzia" w ideologiczne podłoże swych nakazów, lecz pozwala temu narzędziu stwarzać sobie ideologię na własną rękę.

Drugi raz używa Gorgułow słowa: Bóg, podkreślając „wielki Bóg", aby w lirycznej frazie zadokumentować swą niezachwianą wiarę oraz lojalność wobec ksiąg Mojżesza. „Modlę się do Boga, wielkiego Boga, który stworzył słońce, ziemię i *ojczyznę*" (Podkreślenie moje).

Mam wrażenie, że w tym miejscu sfałszował nieco teksty święte, względnie uzupełnił je, aby przystosować do tego, co nazwał swoją ideą. W żadnej Biblii, ani żydowskiej, ani katolickiej, ani protestanckiej nie ma mowy o tym, jakoby Bóg stworzył ojczyznę. Pojęcie to sworzyli sami ludzie. W porównaniu z tak fizycznie konkretnymi pojęciami, jak słońce i ziemia, ojczyzna

jest czystą abstrakcją. Każdy czytelnik ksiąg Mojżesza wie, że Bóg jest „realistą" i w ciągu owych sześciu dni zajmował się wyłącznie stwarzaniem rzeczy, dających się percepować zmysłami. Metafizyką Stwórca się nie zajmował. Był za wielkim artystą, a Mojżesz, Jego szef propagandy — za wytrawnym literatem, żeby do tak ważnej kompozycji jak świat wprowadzać elementy abstrakcyjne.

A zresztą, jak Bóg mógł stworzyć ociekające krwią pojęcie ojczyzny, przed wygnaniem Adama z raju, przed Kainem i Ablem, przed potopem i przed decydującym o Jego późniejszym stosunku do ludzi — skandalem z wieżą Babel? Ojczyzna jest pojęciem pogańskim, klasycznym, w księgach Mojżesza jawi się jako „ziemia ojców narodu wybranego" dość późno, a w chrześcijańskim średniowieczu jest w ogóle nieznane. Powraca ono w świadomości cywilizowanych narodów europejskich po gruntownym ze świecczeniu ich kultur przez Renesans. Nacjonalizm zaś, w tej postaci, w jakiej go dziś widzimy, jest owocem Rewolucji francuskiej. Pierwszy raz w dziejach nowożytnej Europy ukazują się wówczas „patrioci".

Nie znam prawosławnych komentarzy do Biblii, ale wątpię, czy można w nich doszukać się wzmianki o ojczyźnie w księdze Genezis. Raczej przypuszczam, że popularne pojęcie „świętej Rosji" skojarzone z „wybranym narodem" wpłynąć musiało na patetyczną wyobraźnię nieszczęsnego Gorgułowa. W jego *prywatnej* interpretacji Biblii, stworzył Bóg niebo i ziemię, słońce i gwiazdy, ssaki, ptaki, ryby, płazy i owady, rośliny i minerały. Adama i Ewę oraz — specjalnie — carską Rosję. Rozumie się, że Bóg, którego na świętej Rusi reprezentuje nie międzynarodowy papież, lecz rosyjski car, szczególnie upodobał sobie ojczyznę Gorgułowa. Zatem, kto krzywdzi cara, krzywdzi samego Boga. Musimy podziwiać taktykę bolszewików: udało im się za jednym zamachem sprzątnąć dwóch wrogów naraz: zabijając cara zabili jednocześnie religię.

Słynne „bezbożnictwo" sowieckie byłoby więc prostą i logiczną konsekwencją walki z caratem, a nie oddzielnym ruchem ideowym. W żadnym innym kraju ateizm nie przybrałby tak wielkich rozmiarów i nie byłby traktowany tak poważnie, jak na tych rozległych ziemiach, które do roku 1917 zamieszkiwał Bóg i to nie tylko w mniemaniu prawosławnych mistyków. Nawet niektórzy myśliciele Zachodu dali się uwieść legendzie o świętej Rusi. Należał do nich między innymi Rainer Maria Rilke.

Trudno zrozumieć, dlaczego Gorgułowa nie skusiła ponętna rola mściciela Pana Boga, to znaczy, dlaczego zamiast starca z Pałacu Elizejskiego, nie zamordował Gruzina z Kremla. Lekcewa-

żącym określeniem „wariat" nie spełnimy obowiązku wyjaśnienia pobudek jego zbrodni. A obowiązkiem naszym jest właśnie odkrywanie zatrutych źródeł „nienormalności" ludzkiej. Naturalnie Gorgułow był szaleńcem, więcej: był nawet opętańcem, tym bardziej nie wolno nam zbywać go wulgarnym komunałem.

W poszukiwaniu pobudek, które skierowały jego uzbrojoną rękę na prezydenta Francji, natkniemy się na spory spadek po Dostojewskim. Wyjątki z pism autora „Biesów" posłużą nam za dowód, że „idea" Gorgułowa nie była całkowicie wyssana z palca, lecz była zwyrodniałą konsekwencją lektury pism Dostojewskiego. Można by spierać się o to, czy Gorgułow miał już gotową ideę przed wykonaniem zamachu, czy też dorobił ją sobie dopiero w więzieniu śledczym. Pobudki niektórych czynów naszych często uświadamiamy sobie dopiero po spełnieniu ich. Być może, że to po prostu prywatna rozpacz chorego, nieszczęśliwego lekarza-emigranta, któremu odebrano prawo praktyki we Francji, pchnęła go do krwawej i nierozumnej zemsty. A że potem osobiste względy wydały się mordercy nie wystarczające do uzyskania absolucji własnego sumienia i nie mógł znieść samotności, więc na gwałt doczepił się do „idei" i dał się zgilotynować — za miliony. Inna sprawa, że miliony go się wyrzekły. Równie dobrze jednak mógł mieć swą „ideę" przed wykonaniem zamachu. A może całą tę aferę należałoby uważać za tragedię niefortunnego literata, który nie mógł wyżyć się w swych książkach, i niedonoszoną akcję beletrystyczną przeniósł z papieru do prawdziwego życia? Może nie starczyło mu sił na napisanie bohatera, więc wolał sam nim zostać?

To, że na ofiarę zamachu wybrał właśnie prezydenta Francji, nie jest w naszych oczach całkowitym nonsensem. Oczywiście, gdyby zamordował posła sowieckiego w Paryżu, byłby dla nas mniej problematyczny. Posiadamy spory materiał dowodowy na to, że niechęć, a nawet nienawiść Gorgułowa do Francji i Zachodu nie są jego prywatną własnością, lecz wywodzą się z owych głębokich dyspozycji psychicznych Rosjan, które w tak genialny sposób wyraził Dostojewski. Niechęć samego Dostojewskiego do kultury zachodniej ściśle łączy się z jego pojmowaniem istoty Boga, oczywiście faworyzującego świętą Rosję.

We wrześniowym numerze „Nouvelle Revue Française" ukazał się niewydany dotąd list Dostojewskiego do Aleksandra Aleksandrowicza, późniejszego cara Aleksandra III. W liście tym autor „Biesów" tłumaczy intencję tego dzieła na życzenie carewicza wyrażone w rozmowie z Generalnym Prokuratorem Św. Synodu, Pobiedonoscewem. Nawiązując do ruchu anarchiczno-rewolucyjnego tzw. nieczajewowców, bardzo surowo krytykuje Dostojewski ich ideologię, przy czym sam deklaruje się nie tylko

jako ich przeciwnik, lecz potępia również i tzw. zapadników, czyli zwolenników Zachodu. Oskarża ich o duchowe ojcostwo nieczajewizmu.

„Najstraszniejsze jest to", czytamy w owym liście, „że w chwili, gdyśmy dumnie nazwali się Europejczykami, musieliśmy zrezygnować z rosyjskości".

W mniemaniu Dostojewskiego ruch nieczajewowców „jest w prostej linii konsekwencją oderwania się od naszej formacji intelektualnej, od prymitywnych, oryginalnych podwalin, od rosyjskiego życia".

Cytując Dostojewskiego nie chcemy oskarżać wielkiego pisarza o zagrobowy współudział w zabójstwie prezydenta Doumera, nie możemy jednak oprzeć się pokusie przytoczenia kilku miejsc z jego dzieł, na dowód tego, że Gorgułow w swoim stosunku do Boga, do Rosji, do Francji i Zachodu nie był odosobnionym szaleńcem, lecz raczej szczątkowym organem wykonawczym „ciemnych sił" ukrytych w carskiej i prawosławnej Rosji.

„A wie Pan, jaki naród w tej chwili jest jedynym narodem, w którym zamieszkała światłość boża? Jedynym narodem, powołanym do odnowienia i zbawienia świata w imię nowego Boga? Jedynym narodem, któremu powierzone zostały klucze nowego życia i nowego słowa? Czy wiadomo Panu, który to naród i jak się nazywa?". Są to pytania retoryczne, które stawiał Szatow Stawroginowi w „Biesach" (VI, 7): Jest na nie tylko jedna odpowiedź: — Rosjanie!

W tym samym rozdziale czytamy dalej:

„Ateista nie może być jednocześnie Rosjaninem"...

„Kto nie jest prawosławny — nie może być Rosjaninem"...

„Utrzymywał Pan, że katolicyzm nie jest już chrześcijaństwem. Zdaniem Pana Rzym głosił takiego Chrystusa, który uległ trzeciej pokusie diabła, zaś katolicyzm, objawiający całemu światu, że Chrystus nie może utrzymać się na ziemi bez świeckiej władzy, zwiastował przez to samo po prostu triumf Antychrysta i przypieczętował upadek Zachodu. Najwyraźniej wskazywał Pan na to, że wyłącznym winowajcą tego, iż dusza Francji wije się w bólu, jest katolicyzm. A to dlatego, ponieważ zarzucając wprawdzie fałszywego rzymskiego Boga, nie znalazła sobie Francja nowego".

„Istnieje tylko jedna prawda, i dlatego tylko jeden naród spośród wszystkich narodów może posiadać prawdziwego Boga, choćby inne narody miały swych osobnych, nie wiem jak wielkich Bogów. Jedynym, naprawdę światłością bożą przepełnionym narodem, jest rosyjski"...

„Wierzę w Rosję, wierzę w prawosławie... wierzę w Ciało Chrystusa... Wierzę, że najbliższe Jego przyjście dokona się w Rosji"...

Czy to credo Szatowa nie mogłoby być również wyznaniem wiary Gorgułowa?

W szeregu utworów Dostojewskiego znajdujemy wybitną niechęć i pogardę Francji oraz katolicyzmu. „Katolicyzm" — mówi książę Myszkin w „Idiocie" (cz. II, rozdz. XVII") — „jest nawet gorszy od samej niewiary w Boga... Jestem zdania, że katolicyzm rzymski to nawet wcale nie wiara, a wprost dalszy ciąg Zachodniego Cesarstwa Rzymskiego... Trzeba, by na poskromienie Zachodu zajaśniał nasz Chrystus, który przez nas został zachowany, a którego tamci nawet nie znali".

Kto wie, czy dla Gorgułowa słowo: „Zachód" nie było płachtą czerwieńszą od Czerwonego Sztandaru, przeciw któremu ten Zachód nie wszczynał krucjaty?

Na osobie prezydenta Doumera chciał może biedny kozak wywrzeć zemstę za wszystko „zapadniczestwo", w jego oczach ten starzec był nie tylko prezydentem Francji, lecz prezydentem całego znienawidzonego Zachodu. Gorgułow sam wyznał w śledztwie, że miał zamiar zamordować jeszcze prezydentów Niemiec i Czechosłowacji. Dziwna rzecz, że na jego liście proskrypcyjnej nie znalazł się ani jeden król. Pomazańców bożych nie odważył się tykać ten gorliwy wyznawca Boga. Chciał wymordować wszystkich po kolei starszych panów w tużurkach, którzy spokojnie spali w swych rezydencjach, podczas gdy święta Ruś od tylu już lat znajduje się w rękach niewiernych. Mściwa dłoń Pawła Gorgułowa dosięgła Pawła Doumera za to, że nie był Bernardem z Clairvaux.

Niedoszły mściciel Pana Boga (albowiem: *Deus sive Russia*), nazwany przez prokuratora Rasputinem emigracji, zostałby może mnichem w jakiejś Ławrze, pątnikiem, „starcem", uosobieniem „bogoczłowieczeństwa", gdyby francuska sprawiedliwość uwolniła go od winy i kary. Stało się inaczej. Francuski racjonalizm nie okazał zrozumienia dla mistycznego nacjonalizmu Gorgułowa, chociaż wśród sądzących i oskarżających go nie brakło zapewne czytelników Dostojewskiego. Bóg rosyjski nie przemówił do miłosierdzia ludzi, u których walka państwa z kościołem przyczyniła się do pogłębienia zarówno myśli religijnej jak i państwowej. Okazało się, że rozdział kościoła od państwa wyszedł we Francji obu instytucjom na zdrowie, uniezależnił jedną od drugiej i uchronił dusze katolików od odawania prezydentom republiki tego, co boskie. Odkąd Watykan rzucił klątwę na „Action Française", nacjonalizm we Francji przestał łączyć swe interesy ze

sprawami Boga, który w pojmowaniu francuskim nigdy, nawet przed Rewolucją, nie był monopolem Francuzów. Jaka przepaść między Bogiem Pascala i Bossueta, a Bogiem Dostojewskiego! Trzeba znać francuski stosunek do Boga, francuską myśl religijną, francuską (jak to paradoksalnie brzmi!) trzeźwość uniesień religijnych, żeby usprawiedliwić brak u Francuzów zrozumienia dla religijności Gorgułowa.

List Gorgułowa do pani Doumer był wielkim nieporozumieniem, choćby już dlatego, że jej Bóg jest prywatną sprawą jej duszy, a nie sprawą narodową. Bóg pani Doumer, o ile po tylu karach, jakie na nią zesłał, może w ogóle jeszcze w Niego wierzyć, nie jest Bogiem Joanny d'Arc. To groźny Chrystus-Sędzia z tympanonu katedry w Chartres.

Do swego Boga odnosi się katolicki Francuz z dystansem, choć nie bije przed Nim pokłonów, nie spoufala się z Nim, nawet nie jest z Nim na Ty. Już sama mowa francuska wyklucza wszelką poufałość: do Boga mówi się — *Vous, Vous, o Seigneur,* jak do każdego *Pana.* Francuski Bóg jest raczej zwolennikiem chłodnych ekstaz, niż histerii i nie przyznaje się do tożsamości z owym Hospodem, który ma pomiłować znękane dusze dzikusów.

Wątpić należy o tym, czy Gorgułowa rozgrzeszyłby areopag literacki, złożony z takich rozgrzeszaczy, jak Mauriac lub Julien Green. Pierwszy rozgrzeszył i apelował do nas o przebaczenie dla trucicielki męża, Teresy Desqueyroux, Green uniewinnił nieszczęsną ojcobójczynię Adrienne Mesurat.

Gorgułowa uniewinniłby jeden Dostojewski. Czułby się za niego odpowiedzialny.

Okrucieństwo kary śmierci spotęgowała Francja wobec Gorgułowa tym, że w ostatniej chwili jego życia dostarczyła mu pociechy religijnej w osobie popa-Francuza. Jeśli to była prawda, a nie wymysł dziennikarski, trudno o krwawszą ironię. Kimkolwiek był ten pop, Francuzem czy Rosjaninem, rzucił się Gorgułow z płaczem w jego ramiona. Ten brodaty i długowłosy duchowny zastępował mu pod gilotyną nie tylko rosyjskiego Boga, ale i dwie matki: matkę rodzoną i matuszkę Rosję.

1932

W OBRONIE KSIĄŻEK NIEMIECKICH

Akcja bojkotowa, skierowana przeciw hitlerowskim Niemcom za gwałty, jakich na polskich obywatelach Rzeszy dopuszcza się przebudzona dzicz w brunatnych koszulach, ma sens, jeśli chodzi o towary, dające się zastąpić innymi, natomiast pozbawiony sensu wydaje mi się bojkot książek niemieckich, proklamowany przez pewien odłam naszej młodzieży razem z bojkotem gazet i czasopism. Młodzieży, która tak pochopnie garnie się nie tylko do bojkotu, ale i do samowolnych konfiskat słowa drukowanego w języku wroga, nie posądzam o to, że przed dojściem Hitlera do władzy zaczytywała się zbytnio książkami niemieckimi. Chyba że były to powieści kryminalne. Jeśli jednak były to inne książki, młodzież ta przekonałaby się rychło, że prawie cała współczesna literatura niemiecka, zwłaszcza tzw. literatura piękna, jest, jak do tej pory, usposobiona nieprzyjaźnie do wszelkich nacjonalizmów, nie wiele ma wspólnego z butą germańską, i dlatego właśnie, jak również przez swój wysoki poziom intelektualny i etyczny, stanowi dla hitleryzmu kamień obrazy. Wydaje mi się nadto, że żadnej dobrej książki nie można zastąpić inną. Literatury żadnego kraju nie zastąpi literatura innego. To nie pomarańcze, nie chemikalia i nie prezerwatywy, tylko Thomas i Heinrich Mannowie, Alfred Döblin, Hermann Hesse, Kafka, Rilke, Roth i Ringelnatz, których nie da się zastąpić ani Gide'm, ani Duhamelem, ani Mauriac'iem, ani Joyce'em, Virginią Woolf, Huxleyem czy Aldingtonem. Owszem, można nie dopuścić do Polski takich książek, jak „Das ist Polen" Oertzena, czy „O.S." Bronnena, ale bojkot za to, że Hitler bije Żydów i chciałby Polsce odebrać Pomorze i Gdańsk, nie jest żadnym odwetem.

Naturalnie książka jest też towarem, za którego sprowadzenie trzeba płacić. Jednakże przestając czytać *dobre* książki w języku niemieckim, większą szkodę wyrządzamy sobie niż niemieckim wydawcom. Eksport drogich wydawnictw niemieckich do Polski

nie był zbyt duży w ostatnich latach. Prawie wszystkie głośniejsze dzieła beletrystyczne były tłumaczone na polski. Księgarze nasi sprowadzali mniej popularne książki z Niemiec głównie dla tzw. intelektualistów, którzy wypożyczali je przeważnie z czytelń publicznych. Przede wszystkim chodzi tu o dzieła, które ze względu na wysoki poziom literacki nigdy nie będą tłumaczone, np. powieści Kafki, Musila, Pontena, podobnie, jak żadnemu wydawcy u nas nie opłaciło się wydawać Prousta w tłumaczeniu. Wobec tego bojkotem książek niemieckich dotknięta byłaby u nas tzw. elita, czyli sfera, która swego stosunku do literatury jakiegoś kraju nie uzależnia od tego, kto tym krajem rządzi. Bojkotując wybitnych pisarzy niemieckich, czynimy właściwie to samo, co Hitler. W tępieniu produkcji niezależnych umysłów sprzymierzamy się z najczarniejszą, czy też najbrunatniejszą, a wrogą nam reakcją. Literatura niemiecka, ta, która się liczy w całej Europie, w całym cywilizowanym świecie, jest już dzisiaj przeważnie literaturą emigrantów. Thomas Mann przebywa w Szwajcarii, gdzie kończy nowe, trzytomowe dzieło o „Józefie i jego braciach". Czytałem wspaniałe fragmenty tej biblijnej powieści, czekam z niecierpliwością na ukazanie się całego dzieła, i nie ma takiej siły, ani takiego Hitlera, który by mnie zmusił do wyrzeczenia się tej przygody. Gdzie znajduje się obecnie brat Thomasa Manna, Heinrich, słusznie uważany za wodza duchowego całej „lewicy" literackiej w Niemczech, nie wiem. Jeśli pozostał w kraju, z pewnością nie jest *persona grata* obecnego rządu. Döblin, Holitscher, Werfel, Arnold i Stefan Zweigowie, Wassermann, Roth, Feuchtwanger, Bruno Frank, Kesten, Else Lasker-Schüler, Alfred i Robert Neumannowie, Toller, Polgar, Emil Ludwig, Kisch, Rudolf Leonhard i wielu innych, czytanych w Polsce autorów, — to wszystko są *Juda verecke!* A Georg Kaiser, Fritz von Unruh, Walter Hasenclever, Leonard Frank, René Schickelé, Remarque, Gläser, Brecht już od dawna figurują na czarnej liście brunatnej reakcji jako pacyfiści, socjaliści, komuniści, liberałowie i w ogóle porządni ludzie. Jeden z najwybitniejszych pisarzy niemieckich jest obywatelem szwajcarskim (Hesse), bardzo wielu jest Austriaków, mnóstwo Czechosłowaków. Literatura w Niemczech ma dziś już swoich męczenników (Karl von Ossietzky, Gerhard Pohl). To prawdziwi klerkowie. Nie zdradzili wysokich wartości moralnych i intelektualnych. To postacie głęboko tragiczne: muszą być świadkami hańbienia kultury, w którą wierzyli i o którą walczyli do upadłego.

Dlaczego ich właśnie mamy bojkotować? Zwycięstwo Hitlera nad humanizmem, zdobyte pięścią, pałką i rewolwerem, jest

w moich oczach dowodem upadku nacjonalizmu. Czy te wszystkie sztandary, swastyki, mundury i koszule nie są przypadkiem godłami niemocy i pustki?

Nie musimy powtarzać starych i wyśmianych błędów. Skoro już koniecznie chcemy robić głupstwa, róbmy głupstwa nowe i oryginalne. Ekscesy anty-niemieckie w Łodzi potępiła oficjalnie „Gazeta Polska" z dn. 11 ub. miesiąca w bardzo mądrym artykule pod tytułem: „Niefortunne naśladownictwo". Nie naśladujmy hitlerowców w „dawaniu upustu" naszemu oburzeniu na ich barbarzyństwo!

Kiedy wybuchła przeklętej pamięci wojna światowa, w wielu krajach zaczęto bojkotować sztukę i literaturę nieprzyjaciela, oraz udowadniać jej bezwartościowość. W tej haniebnej akcji celowali właśnie Niemcy i Austriacy. Po wojnie musieli się tego wstydzić i wypierać. W roku 1915, na początku wojny austriacko-włoskiej, musiałem przez cały semestr słuchać w uniwersytecie wiedeńskim uczonych wywodów pewnego profesora, który nie oszczędził sobie trudu wykazywania, że w całej sztuce włoskiej, w architekturze, rzeźbie i malarstwie nie ma w ogóle nic oryginalnego. Wszystko, jego zdaniem, przejęli Włosi od innych. Wspomnienie tego profesora-hofrata jest dla mnie tym bardziej przykre, że był on Polakiem, czego się zresztą wypierał. W tym samym uniwersytecie w Towarzystwie Filozoficznym, długobrodzi i siwi uczeni rozważali zagadnienie etyki państw i narodów. Po długich debatach, w których obficie nadużywano nazwisk takich jak Kant, Fichte, Nietzsche, doszło Towarzystwo do przekonania, że owszem, etyka ma zastosowanie w życiu narodów i państw, ale tylko państw centralnych: a więc Austro-Węgier, Niemiec, Turcji i Bułgarii.

Bojkot książek niemieckich w Polsce może w konsekwencji doprowadzić do tego samego obłędu. A więc znów „niefortunne naśladownictwo". Wcale nie mam zamiaru propagować w Polsce literatury niemieckiej, ale za swój obowiązek w tej chwili uważam: przestrzec zdezorientowaną publiczność przed mimowolnym sojuszem z Hitlerem, największym wrogiem prawdziwej kultury. Księgarze warszawscy w strachu przed ewentualnym terrorem elementów, które i tak nie kupują żadnych książek, nawet polskich, zdjęli z wystaw wszystkie książki niemieckie. Mogą je śmiało z powrotem wyłożyć. Cieszące się u nas popularnością powieści niemieckie ani nie zagrażają Pomorzu, ani nie biją Żydów.

1933

W GODZINIE ŻALU

„i duszą trwa wielokroć powołaną,
świecącą w długie narodowe noce"...
Wyspiański

Tej nocy z 12 na 13 maja, kiedy „wielokroć powołana" dusza wielkiego bojownika Polski pokornie przyjmowała ostatni rynsztunek z rąk kapłana, i samotna, bez świty, bez adiutantów, opuściła ziemię — nie mogłem zrozumieć, dlaczego światło w elektrycznych żarówkach nie zbladło. Nazajutrz rano dziwiłem się, że woda, jak co dzień, płynie z kranów Warszawy, że przekupnie wykrzykują swe warzywa i że tego dnia, jak co dzień, syci będą jedli a głodni głodowali. Nasłuchiwałem z okna pierwszych odgłosów zmiany, spowodowanej tym zgonem, wypatrywałem znaków kataklizmu na ulicy i w powietrzu. Gdyby tego dnia spadł śnieg w całej Polsce i zasypał tę ziemię, nic dziwnego bym w tym nie dostrzegł. Byłaby to jedynie normalna reakcja przyrody, żałobna manifestacja żywiołów na śmierć człowieka, który sam był żywiołem. Albowiem powietrze, którym oddychaliśmy w Polsce od roku 1918 składało się z tlenu, azotu i Józefa Piłsudskiego. On był klimatem naszego życia publicznego. On to życie ukształtował swoim marzeniem, heroizmem i wolą. I naprawdę trudno sobie wyobrazić, że jedyny człowiek, który jeszcze wczoraj rozkazywał a nie słuchał, że człowiek, który kierował losem 32 milionów żywych ludzi, stał się naraz martwym, bezwolnym ciałem, posłusznym rękom prosektorów.

Za wiele, za wiele wzniosłych słów zużyliśmy, pisarze polscy, na sprawy mniejszej wagi, wszystkie superlatywy, jakimi rozporządza nasza mowa, — dawno już zwiędły. Trudno je dziś, w takiej chwili, przywołać na powrót, zaprawdę trudno zmobilizować wyczerpane majuskuły, żeby nareszcie właściwy z nich zrobić użytek: uczcić godnie męża, którego czcili wszyscy, bardzo wielu kochało i dla tej miłości z rozkoszą poniosło śmierć. Jak każdy wielki bojownik miał również nieprzyjaciół, ale i ci, o ile

nie byli pokarani ślepotą — widzieli jego wielkość. Życie jego było systematyczną lekcją wielkości. Ta lekcja nie skończyła się w nocy z 12 na 13 maja. Skończył się tylko jej poglądowy wykład. Teraz cała Polska przywołana będzie do katedry na Wawelu i pokaże, czego się nauczyła, i pokaże, czy zasługiwała na człowieka, należącego, jak to pięknie wyraził Janusz Jędrzejewicz, „do szczupłego grona tych najmniej licznych w szeregach stuleci, których Bóg wyznaczył na twórców przeznaczeń ludzkich".

Nie przystoi nam w tej ciężkiej chwili rozwodzić się nad tym, kim jest Piłsudski. Raczej godzi się powtórzyć słowa Bossueta, jakimi dn. 10 marca 1687 r. w katedrze Nôtre Dame rozpoczął kazanie żałobne ku czci Wielkiego Kondeusza:

„W chwili, gdy otwieram usta, aby głosić nieśmiertelną chwałę Ludwika de Bourbon, księcia de Condé, czuję się zmieszany zarówno ogromem tematu jak i — jeśli wolno mi to wyznać — bezużytecznością tego zadania. Któraż bo część świata, zamieszkałego przez ludzi, nie słyszała o zwycięstwach księcia de Condé i o cudach jego życia? Wszędzie je głoszą. Francuz, który je rozsławia, nic nowego nie powie zagranicy. I cokolwiek mógłbym wam dziś rzec, zawsze uprzedzą mnie wasze myśli, ponadto musiałbym jeszcze odpowiedzieć na wasz utajony zarzut — iż nie dorosłem do tematu. My, słabi mówcy, nic nie możemy uczynić dla sławy niepospolitych dusz, i słuszność ma mędrzec, gdy powiada: „tylko czyny mogą ich sławić". Wszelka chwalba nudzi, gdy dotyka wielkich nazwisk, i jedynie prostota wiernej opowieści mogłaby podtrzymać sławę księcia de Condé".

Godniejsi od nas opowiedzieli i opowiedzą „gesta" Piłsudskiego. Odnajdą właściwą miarę jego czynów, znajdą właściwe porównania dla tej postaci z Plutarcha. My możemy tylko dać folgę uczuciom, jakie ta śmierć w nas poruszyła. Mówią, że człowiek umierający, w ostatnich chwilach przytomności widzi całe swoje życie. Jeśli ta łaskawa magia nadciągającej śmierci jest prawdą, to każdy z nas uczestniczył w zejściu Marszałka ze świata. Owej nocy z 12 na 13 maja, w każdym z nas coś umarło. Mojemu pokoleniu umarła młodość. Jakoż owej nocy ożyły w nas wszystkie wspomnienia młodości, wyblakłe już i bezsilne; jak na dłoni widzieliśmy lata przedwojenne, niebiesko, niebiesko było nam owej nocy od mundurów strzeleckich, w których chodzili nasi koledzy po ulicach Lwowa i Krakowa. Jeszcze raz ostatnim blaskiem wzruszenia zabłysnął w naszych oczach, tak powszedni dziś, orzełek strzelecki, a zabłysnął razem z łzami. Słyszeliśmy owej nocy śpiewy pierwszych drużyn maszerujących bez broni na podmiejskie błonia galicyjskich miast, i ożył w naszej krwi dawny rytm młodości, zawibrował paroma taktami, aż zgasł. Przeżyliśmy jeszcze

raz lata wojny, brygadiera Legionów w bohaterskich bojach karpackich, widzieliśmy Marmarosz-Sziget, Szczypiorno i Magdeburg. Przypomniała się chwila, kiedy do uszu naszych pierwszy raz zawitał nowy i dziwny dźwięk: Piłsudski, — i w mroku rozpoznaliśmy człowieka, z którego ust pierwszy raz usłyszeliśmy to nazwisko. I przesunęły się przed nami strzępy lat, gdy to nazwisko wrastało w nas, przenikając do organizmu niby nowy składnik życia, aż oswoiliśmy się z jego brzmieniem i pokochaliśmy je, i stało się tak całkowicie nasze, jak brzmienie: Tatry, Wisła, Wawel.

W uczuciowym i duchowym życiu mojego pokolenia zajęły pojęcie i obraz Piłsudskiego tak ważne miejsce, jak w życiu młodzieży innych krajów pierwsza miłość. I myśmy kochali pierwszą miłością, ale tylko połową serca, gdyż druga połowa była zajęta przez Piłsudskiego i wcieloną weń nadzieję. On młodości naszej stworzył porywy, on określił i skonkretyzował jej idealizm, chociaż nie wszyscy służyliśmy pod jego rozkazami. W latach przedwojennych był Piłsudski najpiękniejszym akordem naszej poetyczności, to jego odczytywaliśmy między wierszami Mickiewicza, Słowackiego, Wyspiańskiego, Żeromskiego i Struga. On stanowił niewidoczną, lecz żywą dominantę na przedstawieniach „Dziadów", „Kordiana", „Wesela" i „Nocy Listopadowej". Na widnokręgu naszej górnej i chmurnej młodości zawsze jaśniała jego postać, wskazująca nam wielkopańskim gestem daleko poza ten ciasny widnokrąg. Komendant „Strzelca" i Legionów był żywym kształtem, był ucieleśnieniem całej poezji romantycznej i rewolucyjnej. A kiedy wielka wojna wcieliła nas w cesarskie i królewskie pułki i patrzyliśmy na straszliwą i bezsensowną rzeź okłamywanych narodów, pośród wszystkich mundurów tej wojny jeden tylko wydawał się nam czysty: niebieski mundur Komendanta i jego legionów. Przy nim była wszystka nasza nadzieja na sens tej wojny, z myślą o nim lżej było nam tę wojnę znosić w obcej i bezdusznej armii. Przy nim była prawda.

I dlatego, Komendancie, dowodziłeś w czasie wielkiej wojny nie tylko twymi bohaterskimi Legionami, ale i wielką armią wszystkich młodych dusz, uwięzionych w obcych mundurach, a wierzących w niepodległość Polski, której wcieleniem byłeś i spełnieniem. Byłeś naszą wiarą i nadzieją. W godzinie żalu dziękujemy ci za naszą piękną młodość.

1935

GLOSSA DO ORĘDZIA PAPIESKIEGO

Dominującym uczuciem w dniach grozy wrześniowej 1938 roku był u wielu ludzi nie tyle strach przed katastrofą, przed zasłużonym, zdawałoby się, końcem tego, podobno najlepszego z światów, ile — wstyd, że ten świat się zawali z winy kilku patetycznych pyszałków, którym nie umiał się przeciwstawić. Wstyd spalał na myśl, iż wszystkie ludzkie mądrości i wiary okazały się bezsilne, skoro tak łatwo stać się możemy pastwą pustych słów, rzucanych w nocny eter, słów bez głębszego pokrycia, a raczej z pokryciem naszego kontynentu gruzami, zgliszczami i trupami. Słowa pasożytujące na mierzwie dawno umarłych treści decydowały w owych dniach o życiu i śmierci milionów i zdawało się, że z głośników radiowych wypadną apokaliptyczni jeźdźcy i wytoczą się apokaliptyczne czołgi. W najcichsze zakątki ziemi, odurzonej ostatnimi zapachami konającego lata wkradał się diabelski skrzek, który w każdej chwili mógł się zmienić w ryk armat.

Jeżeli ma nas uśmiercić lawina, ogień, woda, mór — czujemy strach, ale strach połączony z respektem wobec uczciwych żywiołów. Wobec dopustów Boskich nie czujemy wstrętu. Wstręt budzą tylko dopusty sfabrykowane przez ludzi. Istnieje w naszym języku stare pojęcie „umierania ze wstydu". Jest to podobno jeden z najgorszych rodzajów śmierci. Jednakże człowiek, umierający ze wstydu, ginie tylko jedną śmiercią i to — samotnie. Ostatnie czasy wprowadziły tu nowość: każą ludziom umierać przy świadkach, zresztą także umierających ze wstydu i od bomb jednocześnie. To trochę za dużo, jak na biedną ludzką śmierć.

Wielu ludzi pogodziło się już z myślą o zagładzie. Nie wszyscy jednak chcą się pogodzić z tym, że stracili prawo do śmierci uczciwej, bez uczucia niesmaku i wstydu.

Niemało pisano w ostatnich czasach o katastrofie, grożącej ludzkości z jej własnej winy. Warto choćby przeczytać niedużą książkę, która ukazała się niedawno w doskonałym przekładzie Zofii Starowieyskiej-Morstinowej. Jest to rozprawka Fryderyka Wilhelma Foerstera pt. „Światło wiekuiste i ziemskie ciemności". Sam tytuł już mówi, o co tu chodzi. Znakomity filozof i wychowawca niemiecki przeprowadza najprostszymi środkami analizę „ziemskich ciemności", ustala przyczyny, dla których one trwają i niosą światu zagładę. Jedyny zaś ratunek upatruje w odrodzeniu i praktycznym stosowaniu moralności chrześcijańskiej. Sprawa pokoju na ziemi jest dla Foerstera jedynie sprawą ludzkich dusz. Foerster mówi rzeczy proste i jasne i każdemu oświeconemu człowiekowi znane. Ale któż słucha dziś zagubionego głosu filozofów, pisujących książki? Dziś słucha się radia.

W dniach grozy wrześniowej, powodowany ojcowską troską o ludzkie dusze, Ojciec Święty Pius XI raczył przemówić przez radio. Z gazet, pełnych wrzasku rozwścieczonych pogan wyciąłem sobie na pamiątkę tekst tego przemówienia wygłoszonego w Castel Gandolfo. Tekst to niewielki i jak każdy tekst — złożony z słów. Ale z jakich słów!

Odkąd istnieje szatański wynalazek, pozwalający głosowi ludzkiemu podburzać narody do mordów, nieraz korzystały z tego wynalazku również i ciche głosy, nawołujące do zgody i pokoju. Przeważnie czyniły to w imię rozumnie pojętych interesów, lub w imię ludzkiej solidarności. Pierwszy atoli raz usłyszeliśmy przerywany łzami głos świętobliwego starca, który na ziemi sprawuje rząd dusz. I tylko dusz. Podkreślamy to słowo, gdyż tam, gdzie chodzi o dusze, kończą się inne rządy. Przed Bogiem, którego w Kościele katolickim zastępuje papież, żaden człowiek nie jest obywatelem państwa i nie należy do żadnego narodu. Bóg chrześcijański nie zna ani narodów wybranych ani upośledzonych. Ideą chrześcijaństwa jest jeden pasterz i jedna owczarnia, a nie stado wilków. U Boga liczą się jedynie dusze, obarczone grzechami lub obdarzone od Niego łaską. Wojna nie jest łaską. Na próżno szukalibyśmy w katechiźmie takiej łaski. Znajdujemy natomiast błogosławieństwo ewangeliczne, ogłoszone przez samego Jezusa Chrystusa w „Kazaniu na górze". „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem nazwani będą synami Bożymi". Na pytanie: „Którzy są pokój czyniący?", katechizm odpowiada: „pokój czyniący są ci, co nie tylko zachowują pokój z bliźnim, lecz starają się także o pokój między drugimi".

O łaskę pokoju zabiegali również poprzednicy Piusa XI. Zwłaszcza Benedykt XV, który w sierpniu 1917 roku wystosował do wojujących państw pamiętną odezwę o zaprzestanie rozlewu

krwi. Pius XI obrał za dewizę swego pontyfikatu: *Pax Christi in Regno Christi* i nigdy, za naszej pamięci, nie zdobył się Kościół Wojujący na równie bohaterski akt obrony pokoju, jak w wrześniu 1938 roku w Castel Gandolfo. To nie była tylko odezwa, lecz akt ofiary. Historia, ta prawdziwa historia, która rejestruje nie tylko gwałty i rzezie, ale i dzieła wielkich serc i wielkich umysłów, dzieła dobroci i miłosierdzia, nie zapomni Piusowi XI, iż w obliczu zdarzeń, na szczęście nie wydarzonych, ofiarował własne życie za pokój świata.

Poprzez obłąkańcze ryki rozsierdzonej tłuszczy, którą uwiedli „źli pasterze", nie pasterze betleemscy, poprzez spazmatyczne kadencje rozkołysanej nienawiści, przedzierał się wątły głos starca, broniącego prawdy. W czasach, kiedy dusze ludzkie umierają z głodu prawdy, jedynie wiara ratuje te dusze od śmierci głodowej. Namiestnik prawdy objawionej przez Boga, posilne obroki przyniósł duszom powierzonym swej pieczy, — słowami z Castel Gandolfo. Pragnął bowiem te dusze ocalić od najcięższego grzechu: przeciw Duchowi Świętemu. A łzy tego starca, które zwilżyły wówczas eter, rozedrgany nienawiścią bliźniego, jak krople święconej wody obmyły wszystką nieprawość powietrza, co tyle kłamstw przepuściło do ludzkich uszu.

Niedługo po tych słowach i po tych łzach nastąpiło coś, co można by nazwać odroczoną apokalipsą, odłożonym na później kresem wszystkich dni. Któż zaprzeczy, że stało się to również za sprawą „bezbronnej, lecz zwycięskiej", jak to wówczas nazwał Ojciec Święty — modlitwy? Kto ma w sobie tyle pychy, żeby powiedzieć, iż ofiara Piusa XI była zbyteczna, bo i bez tej ofiary wojna by nie wybuchła? Słowa papieża, które przez siedem minut zmąciły wówczas niepokój świata, zawierały jedynie ofiarę. Przypomnijmy je tutaj w brzmieniu autentycznym: „My to życie, które nam Pan dzięki tym modlitwom przedłużył i jakby odnowił, całym sercem ofiarujemy dla ocalenia pokoju świata, niezależnie od tego, czy Panu życia i śmierci spodoba się odebrać Nam ten nieoceniony dar już i tak długiego życia, czy też przeciwnie przedłużyć jeszcze dzień pracy stroskanemu i utrudzonemu pracownikowi".

Wyznaję, iż z wszystkich tekstów poetyckich, jakie ostatnimi czasy czytałem, żaden mnie tak głęboko nie wzruszył, więcej: nie wstrząsnął mną jak tych parę zdań. Nie są to bowiem piękne przenośnie, czy kojąca muzyka. Ludzie, którzy te słowa słyszeli z ust własnych papieża, byli świadkami ofiary, świadkami czegoś, co prostotą swoją i wielkością każe myśleć o „Legenda aurea". Niewątpliwie papież mógłby pójść jeszcze dalej i zamiast reszty swych ziemskich dni poświęcić za pokój świata zbawienie swej

wielkiej i nieśmiertelnej duszy. Ale na taką ofiarę świat, być może, już nie zasłużył. Ofiarując nam swe doczesne życie, nie oddawał papież czegoś, co już nie miało dlań żadnej wartości. Przeciwnie: życie doczesne nazwał „nieocenionym darem". Jakże ludzkie i jak franciszkańskie jest takie pojmowanie życia! Ci, którzy zarzucają chrześcijaństwu pogardę życia, odwrót od doczesności otrzymali tu piękne świadectwo, i to, nie od byle kogo, że tak nie jest. Życie stanowiło dla Piusa XI nieoceniony dar, toteż ofiara z tego życia nie była jałmużną, lecz bohaterstwem. Gdyby Pius XI nie cenił życia doczesnego, może by tak nie nastawał, nie walczył o pokój. Może rozgrzeszyłby ludzkość, pragnącą śmierci, skoro prawie wszystkie wysiłki, skierowała ku swojej zagładzie. Nie, Ojciec Święty należał do „pokój czyniących" i nie tylko wówczas, gdy ten pokój był bezpośrednio zagrożony. Pius XI wystąpił przeciw wojnie zaraz na początku swego pontyfikatu. Już w encyklice „Urbi Arcano" z 23 grudnia 1922 powiedział: „Pracy nad odbudową społeczeństwa chrześcijańskiego i chrześcijańskiego pokoju poświęcimy wszystkie siły, jakimi Pan w Swojej dobroci nas obdarzy". Zauważmy ile pokory i przyjaźni dla ludzi zawiera werset w orędziu radiowym z Castel Gandolfo — o modlitwie wiernych, dzięki którym Bóg raczył tak długo zachować papieża przy życiu. Kto inny powiedziałby może, iż stało się to bez pomocy ludzkiej, że Bóg sam przedłużył mu życie, bo taka była Jego wola, a ludzkie modlitwy nie mają na to wpływu. Pius XI był humanistą. Cenił sobie wielce ludzką miłość i wierzył, że ta miłość właśnie wyjednała u Pana życia i śmierci — przedłużenie „nieocenionego daru".

Pisane w październiku 1938 roku w L'Abbaye de Royaumont, pod Paryżem

◆

Post scriptum, w lutym 1939 w Warszawie.

Stwórca odwołał Piusa XI z ziemskiej służby. Ostatnie słowa umierającego papieża były podobno: „pokój" lub „Jezus".

Kto wie, czy nie jest już bliska chwila, kiedy te dwa słowa staną się synonimami u ludzi dobrej woli.

EPILOG

(zamykający książkę pt. „For Your Freedom and Ours Democratic Heritage of Poland". Jest to antologia polskiej myśli demokratycznej i postępowej na przestrzeni pięciu wieków. Redaktorami tej antologii są: śp. prof. Manfred Kridl, Władysław Malinowski i Józef Wittlin. Książka ta ukazała się najpierw po angielsku w Nowym Jorku w roku 1943. W rok później wydanie brytyjskie z przedmową Bertranda Russella, a wreszcie polski jej oryginał w Nowym Jorku. „Epilog" przeznaczony był wyłącznie dla czytelników anglojęzycznych, przeto opuszczono go w wydaniu polskim. Tekst polski ukazał się w redagowanym przez Antoniego Słonimskiego miesięczniku londyńskim „Nowa Polska").

Na okręcie, który zimą 1941 r. wiózł mnie z Europy ku tym gościnnym brzegom, zawarłem znajomość z pewnym poważnym i wykształconym Amerykaninem. Po wielu latach, dobrze spędzonych w Europie Zachodniej, wracał do swej ojczyzny wraz z liczną gromadą współobywateli, którzy podobnie jak on nie mogli znieść niemieckiej okupacji.

Zbliżyły nas z sobą cierpienia cielesne. W czasie okropnej burzy na oceanie mój amerykański towarzysz z dormitorium złamał rękę. Ja — co prawda stłukłem sobie tylko obojczyk, mimo to skłonny byłem uważać siebie za istotę bardziej od Amerykanina poszkodowaną. On — lubo ze złamaną ręką — wracał do domu, do swego wielkiego szczęśliwego kraju, będącego domem rodzinnym wolności. Mnie zaś, bezdomnemu emigrantowi, burza jesienna 1939 roku, burza na suchym, aż nadto suchym lądzie — jak wszystkim Polakom — złamała życie.

Zrazu, jak przystało na przyzwoitych bliźnich, rozmawialiśmy o pogodzie, której ofiarą padliśmy obaj, chociaż w stopniu nierównym. W ramach pasażerskiej uprzejmości troszczyliśmy się wzajemnie o zdrowie, o opatrunki, w końcu zjechaliśmy na politykę i oczywiście na wojnę. Amerykanin bardzo niepochlebnie wyrażał się o Hitlerze i o Niemcach, grasujących w Europie, w szczególności zaś oburzał się na ich zachowanie w Belgii. Rychło go wszakże przelicytowałem krótką opowieścią o niemieckiej oku-

pacji w Polsce. Słuchał mnie z zainteresowaniem, lecz w pewnym miejscu przerwał mi i nie bez zniecierpliwienia zapytał:

— Pan jest Polakiem?

i nie czekając odpowiedzi oświadczył z szczerością, godną szacunku:

— Nie mam dla Polski sympatii.

Dlaczego? — zapytałem zbity z tropu.

— Nie mam, nie mogę mieć sympatii dla kraju, który sam tyle przecierpiał, a potem, gdy odzyskał niepodległość, gnębił mniejszości narodowe. Nie mogę mieć sympatii dla kraju, gdzie na ulicach napadano na bezbronnych Żydów, a na uniwersytetach istniały jakieś „ghetta ławkowe". Nie mam sympatii dla kraju, którego rząd pierwszy uznał zabór Abisynii...

Tak, mój Amerykanin należał do licznych niestety cudzoziemców, którzy o Polsce słyszeli tylko to, co rzeczywiście jest godne potępienia. Znane mu były tylko niektóre wstydliwe schorzenia w ostatnich latach niepodległości.

Owszem, jestem wrażliwy na kolory. I w przyrodzie i w sztuce. Ale nie powiem, żebym przywiązywał wielką wagę do koloru skóry człowieka. W chwili jednak gdy ów Amerykanin zamiast współczuć niedoli mego kraju i męczeństwu moich rodaków wypominał mi to, co najlepszych Polaków oblewało rumieńcem wstydu, a gorszych zniewalało do obrony w stylu: „To królik zaczął", w takiej niemiłej chwili nie umiałem obojętnie patrzeć na jego skórę. Kolor jej szczególnie jaskrawo zabarwiał każde słowo, padające z ust tego Amerykanina. Był to bowiem kolor czarny. Nie tylko wzgląd na to, aby Murzyna nie urazić, lecz przede wszystkim kurtuazja wobec kraju, którego był obywatelem, a który to kraj tak wielkodusznie mnie przyjmował, nakazywały milczenie o wszystkim co w związku z traktowaniem Murzynów w Ameryce odbiło się o moje uszy. I zamiast zaproponować czarnemu gentlemanowi, żebyśmy np. po wylądowaniu w New Yorku, zamieszkali w tym samym hotelu, jak umiałem broniłem Polski. Tłumaczyłem, że nie wszyscy Polacy byli zwolennikami bicia Żydów, że znam liczne wypadki, kiedy tzw. aryjscy profesorowie i studenci doznawali ciężkich obrażeń ciała i duszy za to, że Żydów bronili. A co się tyczy Abisynii, to sympatia większości Polaków była raczej po jej stronie, a nie po stronie faszystów. Mówiłem też, że obecna wojna wiele u nas zmieniła, że zbratała w obliczu wspólnej walki z okupantem nie tylko ludzi różnych wyznań i ras, ale w tym zbrataniu wydobyła z narodów, zamieszkujących Polskę ich najistotniejsze cechy, najmocniejsze akcenty duszy, zdolnej niejako biologicznie do heroizmu i poświęcenia. Niewiele to pomogło. Nie pomogła nawet

opowieść o chłopach pod Krakowem, którzy za ostatnie pieniądze, jakie posiadali, wykupywali Żydów od śmierci z niemieckich rąk. Czarny Amerykanin chciał o Polsce wiedzieć tylko tyle, że przed tą wojną była krainą reakcji, czarnej jak jego własna skóra.

◆

Rozmowa na statku była zaledwie przekąską do tego, czym nieraz mnie częstowano po wylądowaniu w Stanach Zjednoczonych i chyba nie tylko mnie jednego. Często bywałem świadkiem krzywdzących afrontów, wyrządzanych tam, gdzie najmniej bym się ich spodziewał. Razu pewnego znalazłem się w ogromnej sali bankietowej, udekorowanej chorągwiami. Celebrowano tam narody walczące w tej wojnie z „osią". O polskiej chorągwi zapomniano. Pamiętano wszakże o kolorach państw, które bez wystrzału poddały się najeźdźcy. A przecież ta właśnie pominięta chorągiew nie powiewa w towarzystwie swastyki, lecz widać ją wszędzie, gdzie żołnierz polski umiera za „wolność waszą i naszą". Umieranie w dzisiejszych czasach nie czyni już na nikim wrażenia, a ludzie sądzą ludzi nie po tym, jak umierają, lecz po tym, jak żyją. Niczyjej sympatii gwałtem zdobyć nie można. Nie można jej nawet kupić. Przed tą wojną nasza oficjalna propaganda wydawała w tzw. świecie poważne sumy na zakup sympatii dla mego kraju. Rezultaty były raczej mizerne. Umiano na ogół pozyskać dla Polski sfery reakcyjne np. emerytowanych generałów francuskich. Za piękny order i tytuł prezesa, starcy ci byli skłonni wznosić toasty na cześć narodu, o którym prawie nic nie wiedzieli. W dawniejszych czasach, osobliwie w XIX w. bywało inaczej. Cieszyliśmy się nie tylko sympatią, lecz i admiracją cywilizowanego świata postępu i rewolucji. Imię Polski łączono z każdą sprawą wolności i wyzwolenia. *Gli uomini liberi sono fratelli* — te słowa były wyszyte na rękawach żołnierzy polskiej legii generała Buonaparte, w epoce wyzwalania państwek włoskich spod opresji rodzimych tyranów. Dwadzieścia lat, z takim trudem odzyskanej niepodległości, odmieniło stosunek świata demokratycznego na naszą niekorzyść. Przyczyną tego były sprawy dokładnie w tej książce omówione. Często poznawano nas w świecie z najmniej charakterystycznej dla nas strony. Zwłaszcza gdy reprezentowały nas doskonale uszyte ubrania, w których chodzili ugrzecznieni panicze, posiadający tę jedną chyba kwalifikację, iż guwernantki ich były rodowitymi Paryżankami. Oczywiście, do rozpowszechnienia antypatii do nas przyczynili się liczni a potężni wrogowie. Wykorzystując intelektualne znużenie powojennego świata oraz ignorancję, wrogowie Polski świadomie roztrąbywali wszy-

stkie nasze grzechy i potknięcia. Rozsiane zaś po całym świecie ofiary naszych reakcyjnych i policyjnych reżymów oraz ofiary nędzy materialnej, szukające szczęścia poza krajem, też nie zjednywały popularności krajowi, gdzie np. Żyd mógł być ministrem pełnomocnym, lecz nie mógł być konduktorem tramwajowym lub listonoszem. Tak już bywa na świecie, że obmowa znajduje chętniejsze uszy ku słuchaniu, niż dobre słowo. Zwłaszcza o rzeczach cichych i trudnych. Tylko nieliczni fachowcy w obcym świecie umieli wysoko cenić np. polską matematykę, znakomicie rozwijającą się w ostatnim dwudziestoleciu. Nie wielu też zapewne zjadaczy preparatów witaminowych wie o tym, że jednym z pierwszych odkrywców witamin był uczony polski Kazimierz Funk. Także szczepionkę przeciw tyfusowi plamistemu zawdzięcza ludzkość mojemu rodakowi, profesorowi uniwersytetu lwowskiego Rudolfowi Weyglowi. Ratowała nas tylko sztuka. Amerykańscy miłośnicy muzyki entuzjazmowali się wielu nazwiskami polskimi, których nie potrafili wymówić. Jedna Modrzejewska (po amerykańsku: Modjeska) i jeden Paderewski pozyskali nam więcej przyjaciół, niż całe ekipy specjalistów od propagandy.

To, co stanowi prawdziwą i wielką tradycję kultury polskiej, pięć wieków trwający wysiłek naszej myśli i walki o sprawiedliwość i godność człowieka, na ogół nie jest znane naszym amerykańskim przyjaciołom i dlatego niniejsza książka stanowi doniosły dokument, szczególnie w chwili obecnej, gdy ważą się losy świata i losy ludzkiej wolności.

Sceptyczny czytelnik powie, iż mniej więcej każdy naród, każda społeczność choćby najbardziej zacofana i obskurancka, może się poszczycić wybitnymi jednostkami, które były w opozycji do tej społeczności i płynęły przeciw prądowi, poświęcając życie za wzniosłe i samotne idee. Powie sceptyk, że w literaturze i w publicystyce każdego narodu znaleźć można dokumenty, świadczące o wielkiej odwadze i szlachetności ich twórców. Ale twórcy — to nie naród, a zwłaszcza — nie administracja życia państwowego. „Wolimy" — powie taki sceptyk — „narody o nieciekawej i społecznie bezbarwnej literaturze, narody, których życie było tak dobrze urządzone, iż zbyteczna była dla nich wszelka walka oraz upominanie się o reformę warunków bytu, niepotrzebna była wszelka myśl rewolucyjna. To prawda: im lepsze życie jakiegoś narodu, tym uboższa jest jego literatura buntownicza. Miłośnicy faktów, a nie słów mogą podać w wątpliwość wartość wszelkich pism, wojujących o tzw. lepszą przyszłość ludzkości. Wskażą na całe biblioteki, pełne wspaniałych projektów przerobienia ziemi na raj, a którymi to projektami można wybrukować piekło. Tym ludziom pozwolimy sobie przypomnieć pierw-

szy werset ewangelii św. Jana: „Na początku było Słowo". A jeżeli to, co teraz się dzieje jest końcem, końcem starego świata, to i przy końcu będzie Słowo i Słowo świat ten odnowi, wybawi lub zgubi. Słowo zapładnia zarówno miłość, jak i nienawiść. Ze słów powstały armaty, czołgi i wszelka zagłada. Ufajmy jednak, że ze słów powstanie też nowe życie.

Gorące słowa tej książki, z których niejedno potwierdziły czyny na miarę bohaterską, głoszą prawdę o tej Polsce właśnie, która z tej wojny pragnie wyjść odrodzona, odnowiona i uszlachetniona. Z książki tej przemawia bardzo stara tradycja wolnościowa i równie stara tolerancja. Złymi Polakami byli ci, którzy to dziedzictwo zdradzili lub zaprzepaścili. Bojownicy o wolność Polski i o sprawiedliwość społeczną byli zapatrzeni w lud, wiejski i robotniczy, w ten niezniszczalny rezerwuar siły i pracy, walki i poświęcenia. Ten lud jest naszą nadzieją szczęśliwej przyszłości, a ta książka obrazująca na przestrzeni kilku stuleci walkę o sprawiedliwość i światło w Polsce wolnej i w Polsce ciemiężonej tętni miłością ludu.

Ta książka jest jak gdyby panoramą prawdy, jaką przed stu z górą laty wypowiedział największy polski poeta i wielki rewolucjonista europejski, Adam Mickiewicz:

„Nasz naród jak lawa:
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi,
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi!"

1941

GORZKIE UŚWIADOMIENIE

Niepodobna do innych, straszliwsza od wszystkich, znanych nam dotąd czy to z życia czy z obcych relacji — wojna obecna wyrzuciła nas, szczupłe grono polskich pisarzy, z przyrodzonych naszym nurtom łożysk, wykoleiła nas, lecz zastała na tzw. posterunku. Posterunek to ruchomy, przenośny i wędruje z nami przez lądy i wody, przerzuca się wraz z nami z kontynentu na kontynent, ale trwa, istnieje, póki istnieć w nas będzie żywa mowa ojczysta, póki nasze mózgi pracować będą w zgodzie z sumieniem. Niewątpliwie wojna obecna wywołała w naszych umysłach zamęt. I nic dziwnego. Raczej dziwić by się należało, gdyby było inaczej. Lecz do tej pory z tego zamętu — o ile wiemy — nie urodził się żaden nowy system myślowy, żadna nowa filozofia, ani artystyczny styl. W najlepszym wypadku jesteśmy własnymi epigonami, a chyba wszyscy czujemy, że to, co się stało, powinno nas było całkowicie przekształcić. Mówimy tu wyłącznie o literaturze uchodźców. Jej naczelną cechą jest — jak do tej pory — rozpamiętywanie bliższej i dalszej przeszłości oraz boleśnie błogie upajanie się wspominkami młodości. W ostatnich czasach zaczyna już dochodzić do głosu piśmiennictwo kombatantów, lecz trudno w nim na razie zauważyć jakąś nową tonację, nieznaną z poprzednich epok. Wojna obecna, oraz błyskawiczna katastrofa, której ofiarą padł nasz kraj, zaskoczyła większość z nas jak piorun z jasnego nieba. Byli jednak i tacy, a do nich należał autor tych słów, którzy widzieli w niej nie przykrą niespodziankę, lecz logiczną konsekwencję politycznej a przede wszystkim moralnej ruiny, w jakiej znalazła się europejska cywilizacja po wielkiej wojnie. Z gigantycznego kotłowiska kłamstw i fałszów — mogła się urodzić jedna prawda: — zagłada.

Tak więc zgoła inne reakcje musiał wywołać ten kataklizm u pisarzy nim zaskoczonych, a inne u tych, którzy byli duchowo przygotowani na jego przyjęcie. U jednych wszakże i u drugich

serce za bardzo jest ściśnięte świeżą grozą i okryte świeżą żałobą, żeby zeń mogły wytrysnąć zbawcze pieśni i zdroje otuchy. Na szczęście wszyscy uważamy obecny stan za przejściowy. Póki uczestniczymy chociażby duchowo w tej, na szczęście nie zakończonej, potrzebie, póki wolno nam jeszcze żyć nadzieją na odzyskanie wolności i powrotu do kraju, żałoba serc jest stanem prowizorycznym i prowizoryczna jest nasza pieśń żałoby. Nikt nie może od polskiej twórczości emigracyjnej żądać tonów i treści definitywnych. Jednym z naczelnych zadań tej twórczości jest wtór, jest wsparcie owej heroicznej walki, toczonej z wrogiem w powietrzu, na morzach i lądach. Ten odłam piśmiennictwa polskiego może być uważany za „broń towarzyszącą", że użyjemy terminologii wojskowej, daj Bóg, za broń towarzyszącą zwycięstwu.

Jakież są aspekty i perspektywy tej produkcji uchodźczej? Dla nas, oddalonych od wysp brytyjskich, gdzie w tej chwili koncentruje się Polska walcząca, nie powinno ulegać wątpliwości, iż z całą naszą pieśnią stanowimy produkt wtórny i pod wielu względami upośledzony. Toteż gdy chodzi o hierarchię współczesnej twórczości polskiej, można by ustalić z grubsza cztery jej szczeble. Na pierwszym musimy postawić nieznaną nam twórczość uprawianą w sekrecie, twórczość podziemną, w okupowanym kraju. Istnieje ona z pewnością, chociaż nie rozkwita w słońcu, lecz w piwnicznym mroku i zaduchu. To, co światu powiedzą kiedyś o dzisiejszej Polsce pisarze, którzy w niej zostali, będzie chyba tak wielką rewelacją, że wobec niej ucichną emigracyjne gorzkie żale, choćby zawodzone z największym talentem.

Na drugim miejscu wypada chyba postawić twórczość uczestników wojny w Polsce oraz w kampaniach alianckich poza krajem. Potem znajdzie się twórczość emigrantów londyńskich i szkockich. A dopiero na czwartym miejscu my, w obu Amerykach. W imię szczerości, której pióro moje hołdowało odkąd dano mi nim władać, stwierdzić muszę, że jako ludzie wolni, jesteśmy w stokroć szczęśliwszym położeniu niż nasi koledzy w kraju. Aliści ta emigracja i oddalenie od terenu polskiej tragedii zubożyła nas jako pisarzy nie tyle o zrozumienie tej tragedii, ile o bezpośrednie przeżycie jej elementów. Możemy je odgadnąć intuicją, możemy się w nie „wczuć", ale *ich* oczy patrzały, *ich* uszy słyszały, *ich* serca truchlały, *ich* charaktery hartowały się w bezpośrednim zetknięciu z tragedią. I byłoby nietaktem chcieć ich wyręczać w kształtowaniu przeżyć, znanych nam ze słyszenia, lub ze współczucia. Oni, głodni i prześladowani, poeci o zakneblowanych ustach, posiedli, okupili krwawym kosztem głęboką wiedzę o głodzie, o prześladowaniu, o kneblowaniu ust, wiedzę, której

nam, wolnym i częściowo sytym, nie lza — jakby powiedział Kochanowski, stylizować dziś na zimno.

W jednym z następnych artykułów postaram się naszkicować analogie między naszym piśmiennictwem emigracyjnym, a innymi emigracjami literackimi w dziejach Polski. Jednakże już dziś pragnąłbym wskazać na ogromne niebezpieczeństwo analogii między nami, a tzw. wielką emigracją. Jeżeli ktoś powie, że Mickiewicz i Słowacki nie byli uczestnikami powstania i nie żyli w Polsce popowstaniowej, a mimo to wyrazili ówczesną tragedię, lepiej niż ci pisarze, którzy zostali w kraju, owszem — powie prawdę. Ale pominie inną prawdę, że warunki życia w Polsce i na Litwie, po klęsce nie wiele różniły się od warunków życia przed klęską. Natomiast między życiem naszym, w wolnych krajach Ameryki i walczącej Wielkiej Brytanii, a życiem w pognębionej i wyniszczonej Polsce zachodzi taka różnica jak między dniem i nocą. Nasza pieśń, chociażby żałobna, jest tworem dnia i światła. Naszych kolegów w kraju godzi się natomiast przyrównać do nocnych ptaków. Ich myśl to nie orli lot w wolnym i jasnym przestworzu, ich pieśń — to nie śpiew skowrończy. To nocne loty oślepionych nietoperzy, to głuche pohukiwanie sów ukrytych niewidocznie pośród ruin zbombardowanych domów. Zanim otworzymy nasze wolne usta, prześlijmy z daleka umęczonym, nocnym druhom — głęboki pokłon i braterskie pozdrowienie.

1941

O POTRZEBIE NOWEJ MORALNOŚCI

Uchodźca — to nie tylko człowiek, który „w czas morowy lękliwą niósł zagranicę głowę" i uszedł żywy z pożaru, zagłady, niewoli. W „lękliwej głowie" coś przecież się dzieje, jakieś myśli fermentują, rodzą się, umierają, zmartwychwstają. Od ocalonych ciał uchodźców wojennych — przyszłość, ta wysoka instancja, do której adresujemy nasze marzenia, pretensje i skargi, nie będzie żądała rachunku za czas spędzony w bezpieczeństwie, sytości i spokoju. Zażąda go natomiast od dusz, nieskażonych niewolą, od dusz wypoczętych i wyspanych, a to z tym większą surowością, im pomyślniejsze były warunki naszego istnienia. Jeżeli nie jest pychą i uzurpacją twierdzenie, że za wygląd duchowy społeczeństwa odpowiedzialna jest jego elita umysłowa, to wolno sądzić, że za wygląd duchowy naszej obecnej emigracji odpowiedzialność poniesiemy my, garstka poetów i pisarzy w krajach wolnych, za wolność walczących i wolność miłujących. Nie możemy dziś niestety troszczyć się produktywnie o materialne życie ciemiężonego kraju, z tym większą gorliwością winniśmy dbać o rezerwat duchowej kultury polskiej, rozproszony w różnych częściach globu. Z tym większą odwagą i szczerością winniśmy prawdzie zaglądać w oczy, gdyż ona jedna tylko przydatna będzie kiedyś do moralnej odbudowy Ojczyzny. Już dziś powinniśmy gromadzić w sobie elementy prawd, z którymi zamierzamy powrócić do Polski, żywi lub umarli.

Ta wojna jest chyba od czasów Atylli pierwszym w dziejach Europy totalnym najazdem barbarzyństwa na całokształt ludzkiego uduchowienia. Do tej pory nawet najdziksi niszczyciele świata i jego kultur mieli pewne hamulce i wstydzili się występować jawnie z zagładą wartości duchowych. Hitler ze swymi pomocnikami pierwszy raz w dziejach naszego kontynentu bezwstydnie odkrył przyłbicę. Ten ucieleśniony grzech przeciw Duchowi najpierw we własnym kraju wytępił lub zmusił do uciecz-

ki wszystkich twórców i artystów, co mu nie chcieli służyć. Potem zabrał się do reszty świata, zacząwszy od Polski, gdzie napotkał na najzaciętszy opór. Za ten opór postanowił unicestwić naszą kulturę nawet na najniższych jej szczeblach. Dawniejsi gwałtownicy i tyrani nieraz zatrzymywali się z szacunkiem, częstokroć udawanym, na progu domu poety podbitego narodu. Uznali, że wypada im szanować dzieła obcej myśli i obcej sztuki, chociażby z lęku przed tzw. wyrokiem historii, która na tym właśnie punkcie bywała zawsze najdrażliwsza. Darowywała wielkim zbrodniarzom rzezie niewiniątek, zapominała im masakry bezbronnej ludności i burzenie jej siedzib, jeśli oszczędzili twory myśli i wyobraźni. Hitler nie dba o sąd historii. Z cyniczną otwartością godzi przede wszystkim w duchowe życie podbitych narodów, osobliwie w ich religię i sztukę. Jego armie i służalcze instytucje walczą nie tylko przeciw armiom i ludności cywilnej, one walczą przeciw językowi narodu, jego nauce, walczą przeciw nam, pisarzom. Skoro tak jest, powinniśmy uznać siebie za wojsko, a nasze pióra za broń. Bronimy bowiem od zagłady nie tylko nasz język, lecz stanowimy niejako zaporę żywego ognia bliższą niebu niż zapory balonów, uwieszone pod pułapami bohaterskich miast, broniących się przed nocnymi nalotami aparatów Goeringa. Świadomość tej wojennej misji nakłada na nas obowiązek wysokiej i być może nowej moralności.

Dlaczego nowej? Zdawałoby się, że naród polski, w swej przeważającej większości posiada ostrą i wzniosłą moralność, która nieraz go przeprawiała przez dziejowe odmęty. Przeciw tej moralności właśnie, przeciw moralności chrześcijańskiej wystąpił Hitler, więc zdawałoby się, że walcząc z Hitlerem niejako automatycznie walczymy w obronie tej moralności. Tak jest w teorii, lecz w praktyce używać musimy broni przeciwnika. Kto chciałby pokonać Hitlera i hitleryzm przy pomocy miłosierdzia, byłby nowym Don Quichotem, tylko bardziej szkodliwym niż rycerz z La Manczy.

Byłoby małpowaniem strusia, stchórzeniem myśli lub w najłagodniejszej ocenie — wyjałowieniem świadomości, gdybyśmy chcieli przed sobą samym ukryć fakt, iż ta polska wojna z Niemcami, głęboko podkopała podstawy moralności chrześcijańskiej, a więc i Polaków. Przede wszystkim — Polaków. Na pytanie: czym żyje dzisiaj ludność okupowanej Polski? — możemy odpowiedzieć jednym słowem: nienawiścią. Nienawiść, to potężna witamina wygłodzonych milionowych rzesz. Utrzymuje je ona przy życiu i pozwala przetrwać najsroższe opresje. Nienawiść bliźniego który nie tylko w tej wojnie jest naszym wrogiem. Już dzieci w przedszkolach roją krwawe odwety, staruszkowie o gołębich ser-

cach modlą się o doczekanie chwili, gdy będzie im dane oglądać znienawidzonego wroga, trupem zalegającego ulice naszych miast. Być może, iż pośród setek tysięcy niewinnie rozstrzelanych męczenników Polski, pośród setek tysięcy torturowanych więźniów istnieje jakaś święta dusza, przebaczająca oprawcom i błagająca Boga o nawrócenie samego Hitlera. Ale święci zawsze należeli do wyjątków i stanowili nie armię, lecz sztab armii wojującego Kościoła. Pospolity szeregowiec w Polsce wyłamuje się z dyscypliny chrześcijańskiej etyki i chyba sam Bóg mu to przebaczy. Największą krzywdą, jaką Hitler wyrządził narodowi polskiemu jest nie zniszczenie kraju i eksterminacja ludności, lecz to, iż zachwiał podstawami chrześcijańskiej miłości i zaszczepił szatański jad nienawiści. Albowiem Zły jest nie tylko dlatego zły, że sam czyni zło, ale i przez to, że dobrych przywodzi do złego.

Wiemy, a jeśli nie wiemy, to przeczuwamy, że po powrocie do kraju zastaniemy zmiany w psychice polskiej, wobec której mamy poważne obowiązki. Spełnienie tych obowiązków powinno się rozpocząć już dziś, na emigracji. Odmieniona psychika polska zasypie nas, powracających, setkami pytań natury moralnej, i zmarnujemy lata swobody, jeżeli nie potrafimy na nie odpowiedzieć. Nasz kraj, przez swe męczeństwo, zasłużył sobie na to, żebyśmy przywieźli mu z emigracji chociażby zarys jakiejś nowej moralności, która by uspokoiła sumienia, będące w zgodzie z prawdą, a nie wywołała zażenowania.

1942

DLACZEGO NIE PRZEMAWIAŁEM DO POLSKI?

Proszono mnie niedawno, bym wziął udział w audycji radiowej poetów, przeznaczonej dla Polski. Po krótkim wahaniu — postanowiłem: nie przemawiać. Myślę, iż powody, które mnie do tego skłoniły, mogą zainteresować czytelnika, więc pozwolę sobie pokrótce je przedstawić.

Jak wiadomo, za słuchanie radia z zagranicy, a zwłaszcza z krajów wolnych i sprzymierzonych, grozi w okupowanej Polsce — kara śmierci. Mimo to wielu ludzi odważnych słucha potajemnie. Dlaczego? Albowiem z wieści, nadawanych z zaprzyjaźnionych, dalekich stacji, czerpią ci ludzie otuchę do dalszej walki lub choćby tylko do przetrwania złych czasów, czy też dla samej rozkoszy słuchania prawdy o wojnie. Tę wojnę przedstawiają im niemieckie źródła propagandy w swoim świetle, po linii niemieckich pragnień, więc Polacy im nie wierzą. Nasi bracia i nasze siostry w kraju — to na ogół realiści. Romantyzm zostawiają nam, uchodźcom. Ich pociąga, a niekiedy nawet czaruje naga prawda życia i śmierci, surowa i nieokraszona jak kartofle, które niejednokrotnie stanowią dla nich romantyczny a nieosiągalny ideał. Prawda, zimna jak ich dnie i noce — tej trzeciej już zimy niewoli w nieopalonych mieszkaniach. Zapewne, istnieją u nas ludzie, którzy ponad miskę kartofli i ciepły piec przekładają ciepłe słowo poety, ogień słów pięknych, zapalnych i wzniosłych. W braku kalorii dla ciał, ogrzewają dusze skostniałe w niewoli — poezją. Za to należy się im podziw i cześć. Ale jeśli wśród głodu, zimna i panoszących się zaraz, wśród ucisku i niepokoju, ktoś u siebie w domu odczytuje poezje — czyni to w okolicznościach stosownych i sam dokonywa wyboru. I bądź co bądź nie ryzykuje życia. Poza tym słowo, czytane samemu nie działa tak wstrząsająco na więźnia, jak żywy głos, transmitowany z wolności, z wolności oddzielonej oceanem. Takim głosem jest nasz głos przez radio. Każde chrząknięcie mówcy może u słuchacza

wywołać nieoczekiwane wzruszenia, jeśli nie wstrząs. Taki głos obarczony jest odpowiedzialnością, przechodzącą moje siły. Nie zasłużyłem na prawo mówienia do ludzi, którzy za słuchanie mnie mogą ponieść dotkliwą karę, a nawet stracić życie. Stawka jest nierówna. I więcej patosu jest w fakcie odbioru takiej audycji, niż w fakcie nadania jej.

Owszem, gdybym mógł naszym braciom i siostrom w kraju powiedzieć coś, za co — w moim rozumieniu — warto narazić choćby najnędzniejsze życie, nie zawahałbym się do nich mówić. Np.: że Hitler zginął, że wojsko polskie stoi już u granic Rzeczypospolitej i lada dzień je przekroczy, albo, że posyłamy im ze Stanów Zjednoczonych tysiąc wagonów żywności i tysiąc wagonów węgla, no — wówczas wartość słowa, choć w drobnej części pokryłaby się z wartością ich cierpienia, ich męki, ich nadziei. Takich wieści niestety nie mogłem zakomunikować naszym rodakom w kraju, dlatego wolałem milczeć. Wszelka zaś otucha, płynąca ku nim z naszych słów otuchy, choćby wypowiedzianych z największą wiarą i w największej pokorze, wydaje mi się w dniu dzisiejszym zbyt błahym datkiem, złożonym przez ludzi wolnych, sytych i odzianych, tym, którzy tego nie mają. My, na ten kwadrans radiowy udajemy się do studia jako ludzie, którym nic nie grozi, jako ludzie wolni. Po wykonaniu programu poszlibyśmy do naszych domów, do naszych zajęć lub wstąpilibyśmy na mieście — po prostu coś zjeść lub wypić. Dla mnie — bo mówię tylko za siebie — byłby niezwykle zawstydzający ten powrót do zwyczajnego trybu życia, podczas gdy tam, moja rodzona siostra, mogłaby po usłyszeniu mego głosu — wybuchnąć płaczem. Zawsze mnie żenowało gdy ludzie zdrowi dodawali otuchy ludziom chorym. Drażnili mnie uśmiechnięci lekarze, zawodowo pocieszający pacjentów.

Nie wierzę, żeby moje słowo, nienaładowane konkretną dobrą nowiną, mogło w kraju wywołać co innego, niż niesmak. I dlatego wolę nie przerywać dręczącej ciszy, patetycznej ciszy, jaka się rozpostarła między męczeńską, bohaterską, wspaniałą w swej niedoli Polską a moim skromnym słowem. Gdyż słowo, które byłoby godne tamtych uszu, słowo poety o wadze funta kartofli lub prawdziwie radosnej nowiny, jeszcze się tu, na emigracji, nie urodziło.

Mówię tylko za siebie.

1941

PUSTE SŁOWA

W epokach, jak nasza, napełnionych aż nadto konkretną treścią, w epokach katastrof i wstrząsów, — bujnie zakwitają puste słowa. Jak chwasty plenią się na pobojowiskach, na ruinach zbombardowanych miast, i, niby fałszywe nieśmiertelniki, „zdobią" mogiły bohaterów. Im treściwsze czasy, tym fałszywsze nieśmiertelniki „zdobią" mogiły bohaterów. Im treściwsze czasy, tym puściejsze żerują na nich słowa. Wścibiają nosy w masowe rzezie, towarzyszą ostatnim tchnieniom konających na storpedowanych statkach. Ludzi, przywiązanych do rzetelności, ta wszechobecność pustych słów, mówionych i pisanych, nie tylko zawstydza, lecz po prostu brzydzi. Być może, iż ów powszechny niemal stan rzeczy wywodzi się z wielkiej niewspółmierności słów do zjawisk, które mają być tymi słowami wyrażone. Tam, gdzie mamy do czynienia z takimi zjawiskami jak: wojna, ucisk, głód, wielkie niedole narodów, pragnienie lepszej przyszłości, często nie potrafimy się wysłowić. Tym gorzej, gdy na wyrażenie tych spraw posługujemy się pustosłowiem.

Nie chcę być sam podejrzewany o używanie pustych słów, więc powiem pokrótce, co za takowe uważam. Są to dźwięki mowy ludzkiej, nie odpowiadające żadnym wyobrażeniom. Ani konkretnym, ani abstrakcyjnym. Lub też dźwięki wyrażające treści fałszywe, zdeformowane moralnie, uczuciowo i materialnie. Sprawą tą zajmuję się już od dawna, prawie tak długo, jak literaturą. Przed dwudziestu z górą laty, w przedmowie do przekładu homerowej Odyssei starałem się ujawnić parę kategorii pustych słów, stosowanych w literaturze. Słownictwu Homera, ściśle i precyzyjnie oddającemu jego wizję poetycką, przeciwstawiłem błędy semantyczne niektórych pisarzy współczesnych, używających słów, które nie pokrywają się z żadną wizją ani u nich samych, ani u czytelników, lub wywołują wizje fałszywe. W poezji tzw. „Młodej Polski" nieraz spotykało się słowo: „nenu-

far". U niektórych autorów wynikało z kontekstu, że oni nigdy nenufarów nie widzieli, lub widzieli, lecz nie przeczuwali, iż to, na co patrzą, jest nenufarem. Po dziś dzień spotykamy w polskiej mowie drukowanej słowo: „sarabanda" przeważnie w połączeniu z przymiotnikami: „dzika", „szalona", „zawrotna". Autorowie tych kombinacji padli ofiarą pustosłowia. W najlepszym wypadku podłożyli pod słowo: „sarabanda" fałszywe wyobrażenie, wynikające zapewne z romantycznego dla nich brzmienia tego słowa. Nie trzeba być człowiekiem szczególnie muzykalnym, ani znawcą dawnych tańców, lecz po prostu wystarczy zajrzeć do encyklopedii, aby przekonać się, że sarabanda jest zaprzeczeniem dzikości, szaleństwa, zawrotności. To bardzo spokojny, posuwisty, niemal uroczysty taniec, nawet nie wirowy, lecz raczej chodzony, jak nasz polonez. No, ale używanie pustych słów w piśmiennictwie luksusowym jest nieszkodliwe. Co innego, gdy tyranizują one nasze życie społeczne i mają wpływ zarówno na nasze istnienie, jak i na naszą zagładę. Tu byłyby wskazane jakieś sankcje, których wykonawcami powinni być sami pisarze.

Proszę mi wybaczyć, że znów zacytuję siebie i powtórzę to, co już raz napisałem z okazji pierwszej wojny światowej. No, ale nie ja wywołałem tę ohydną i o tyle groźniejszą powtórkę dziejową. W powieści pt. „Sól ziemi" pewien naczelnik stacji kolejowej tak wyraża się w pierwszych dniach sierpnia 1914 r. w b. Galicji, należącej wówczas do zaboru austriackiego: „Za tydzień wkroczymy do Belgradu, za dwa tygodnie weźmiemy Warszawę, a za trzy tygodnie z Boską pomocą będziemy w Moskwie". Tę wypowiedź pozwolił sobie autor zaopatrzyć następującym komentarzem: „Mówiąc: wkroczymy do Belgradu i weźmiemy Warszawę nie miał naczelnik na myśli swego fizycznego udziału w wyprawie, od której przynajmniej na razie zwalniał go urząd i wiek. Użył on tylko popularnej w czasie wszystkich wojen formy czasownika, w której ci, co zostają w domu, manifestują swą solidarność z tymi, co idą na wojnę". W obecnej wojnie ów, że go tak nazwiemy *pluralis arriericus,* liczba mnoga tyłowa — również znajduje szerokie zastosowanie. Nawet niektórzy paralitycy, przykuci do swych foteli na kółkach, maszerują na Berlin, zajmują Tokio, wkraczają do Rzymu. Pustość tych form słownych w porównaniu z arcyrealnym trudem żołnierskim jest co najmniej nietaktem, na który człowiek chyba tylko raz w życiu może sobie pozwolić. Ale skoro, zresztą nie z naszej winy, okazje do popełnienia tych nietaktów powtarzają się co dwadzieścia lat, powinniśmy przynajmniej przejść ewolucję języka potocznego.

W tej chwili np. dużym wzięciem cieszy się w języku pol-

skim na obczyźnie słowo: demokracja. Nie: narodowa demokracja, nie: socjalna demokracja i nie: chrześcijańska demokracja tylko sama: demokracja. Słowo to bez poprzedzających je przymiotników, dla wielu ludzi w Polsce przedwrześniowej było po prostu synonimem wyznania mojżeszowego. Dla Hitlera też. Dziś jawi się to słowo w sensie afirmatywnym na ustach wykrzywionych źle ukrytym grymasem wzgardy nie tylko dla ludzi tego wyznania, ale i dla wszystkich konsekwencji, jakie wiara w ten wyraz o nieskażonej treści pociąga. Co do mnie, starego, choć nie bezkrytycznego demokraty (bez przymiotnika), miałbym w takich wypadkach ochotę sparafrazować słynne powiedzenie bohatera pewnej kiepskiej sztuki niemieckiej: „Gdy słyszę słowo: demokracja, odbezpieczam...". Ale co ja właściwie odbezpieczam? Moją bronią jest tylko bezbronne słowo, którym strzelam do słów pustych, pustość wyrażających, czyli, że strzelam w próżnię.

1942

NOWOROCZNE WEZWANIE DO ZGODY

To chyba nie tylko przypadek, że osnową dwóch naczelnych arcydzieł polskiej poezji: epickiej i komediowej, jest — kłótnia. Zarówno w „Panu Tadeuszu, jak i w fredrowskiej „Zemście" dobrzy i zacni Polacy kłócą się na umór z dobrymi i zacnymi Polakami. Przedmiot obu tych zwad jest raczej błahy, ale w obu wypadkach chodzi nie o przedmiot sporu, lecz o sam spór, o kłótnię w jej niejako metafizycznej postaci, o grę, w której partnerzy wyżywają się bez reszty, pokazując na co ich maksymalnie stać. Kłótliwość wydaje się być naszą cechą reprezentacyjną, uderzającą nie tylko rodzimych obserwatorów, ale niestety i obcych. W jednym z najwybitniejszych dzieł beletrystyki XX w., w „Górze czarodziejskiej" Tomasza Manna, występuje grono Polaków na tle bohemy monachijskiej przed pierwszą wojną światową. Ci „intelektualiści" nic innego nie robią, tylko kłócą się i toczą w nieskończoność „sprawy honorowe". Nie trzeba być ani Mickiewiczem, ani Fredrą ani Tomaszem Mannem, aby w kłótliwości naszej ujrzeć coś, co przekracza granice normalnych ludzkich popędów. Kłócimy się nie z konieczności, lecz z zamiłowania. Kłótnia — to jak gdyby nasz narodowy sport, narodowa przyjemność, nieomal świętość, której nie wolno szargać. Mimo to, jako człowiek notorycznie niewrażliwy na tę rozkosz, pozwolę sobie trochę ją poszargać.

Kłócimy się wszędzie, nawet w najmniej odpowiednich okolicznościach i warunkach. Słyszałem od osób wiarygodnych, że nawet w czasie bombardowania Warszawy zdarzały się kłótnie — po piwnicach. W jednej z takich piwnic pewna dama ciężkich obyczajów zwymyślała damę lekkich obyczajów za to, iż odważyła się schronić do tej samej piwnicy. Przed wojną kłócili się u nas

mniej więcej wszyscy. Niektórzy nawet jeździli w tym celu z miasta do miasta, wydawali pieniądze, wynajmowali lokale. Były to tzw. zjazdy i kongresy. Na terenie politycznym kłócili się starzy z młodymi, staroendecy z młodoendekami, starosanatorzy z neośmiglikami, wileńskie żubry z krakowską konserwą, starozakonni z neostarozakonnymi, starorypińscy z młodorypińszczakami, prozelici z antyzelitami,nekrofile z bibliofilami, germanofile z Teofilami.Strach pomyśleć, co by się w Polsce działo, gdyby obecna wojna wybuchła o dwa lata później. Wszyscy by się wzajemnie pożarli i nic by nie zostało dla wroga. Ale żarty na bok, chociaż na frasunek — dobry i żart. Zwłaszcza w tym smutnym, uchodźczym karnawale.

Wieści, dochodzące z udręczonego kraju zgodne są w tym iż wspólna niedola pojednała zwaśnionych rodaków. Niestety na emigracji jest tak, jak było w kraju przed wojną. Polacy, którzy tak wspaniale umieją znosić wszelkie nieszczęścia: głód, nędzę i samotność, jednej tylko rzeczy znieść nie mogą: zgody. Niech tylko, choćby na ostatecznym krańcu globu, zbierze się garstka rodaków, natychmiast, jak Anglicy do brydża, zasiadają do kłótni. Wszystko jedno o co. W braku innych powodów wynajdujemy tak przepięknie zwane „światopoglądy". I znów ten nie rozmawia z tamtym, ów przestaje kłaniać się innemu, inny nie podaje ręki czwartemu, choćby tą ręką dzielił z nim wczoraj ostatni kawałek chleba. Przeszli wspólnie trzydzieści zielonych granic, szczęśliwie dotarli do miejsc bezpiecznych, ale po pierwszej wygodnie przespanej nocy, doszli do przekonania, że wczorajszy towarzysz niedoli należy właściwie do nierogacizny. Jesteśmy wielkimi specjalistami od zrywania tzw. stosunków towarzyskich, wirtuozami wtykania szpilek poniżej pleców, geniuszami tzw. spławiania, wylewania i utrącania. Ile energii zużywa się u nas rocznie na tak zwane we Lwowie pyskówki! Ile świetnych talentów zmarnowało się pośród nikomu żadnego pożytku nie przynoszących waśni! W błędzie są ci, którzy uważają, że kłótnia jest formą walki. Kłócą się przeważnie tylko ci, którym brak sił do prawdziwej i bezinteresownej walki, mającej przynieść owoce dla ogółu. Czy warto było kłócić się o stary zamek w Soplicowie, o Kusego i Sokoła, o mur graniczny? Owszem, gdyż bez kłótni Sopliców z Horeszkami, a partii Rejenta Milczka z partią Cześnika Raptusiewicza, polska literatura i polski teatr byłyby zubożone o dwa utwory, zgodnie uznane za arcydzieła przez naród, stroniący od zgody jak od zarazy.

Zostawmy kłótnie literaturze, która bez nich byłaby mdła i nużąca. Bez zwady Montecchich i Capulettich nie byłoby na

świecie innego dzieła i nie byłoby tragicznej miłości Romea i Julii. Ale kto zna Weronę, nie zauważył tego, że cechą charakterystyczną mieszkańców tego pięknego miasta jest kłótnia.

A więc:

„Zgoda!..... Zgoda!
A Bóg wtedy rękę poda!"

Tylko, na miłość Boską, nie wszczynajmy znów kłótni o to, którą rękę: lewą czy prawą?

1942

ŻAŁOBA PO HELLADZIE

Okropna jest ta wojna nie tylko dlatego, że pustoszy nasze ziemie, burzy świątynie i dzieła sztuki, gubi miliony ciał i miliony dusz podaje w niewolę, ale i przez to jest okropna, iż pozbawia nas ostatnich złudzeń co do nietykalności kolebek naszej cywilizacji. Gdy słyszymy o bombardowaniu Grecji, o zatknięciu chorągwi ze swastyką na Olimpie i Akropolu, buntuje się w nas wszystko, co jest naszą dumą i godnością i wielka nas ogarnia żałoba. Więc nie ma już na tym świecie miejsc, gdzieby nie dotarły niszczycielskie machiny barbarzyńcy, z którym — o ironio — współdziała dzisiaj Rzym? Nie ma już świętości na tej zhańbionej ziemi, której by nie dosięgły brutalne łapy ikonoklastów? Już nawet nazwy nie ma, drogiej sercu humanisty, której by nie podeptała stopa najeźdźcy. Ta wojna chce zniweczyć resztki czaru, który otacza takie niemal święte pojęcia, jak: Olimp, Maraton, Termopyle. Cóż nam pozostanie? Chyba jeszcze ta druga Ziemia Święta, po której chadzał Chrystus z Apostołami, po której chadzali prorocy Izraela, ale tylko patrzeć — i tam padną bomby i pokruszą biblijne ruiny i rozwalą resztki czcigodnych murów, pamiętające króla Salomona, króla Dawida, oraz potomka krwi Dawidowej, który Swą śmiercią na Krzyżu chciał zbawić świat.

Jak chór z tragedii attyckiej wołamy: Biada, biada! Oto giną ostatnie relikwie człowieczeństwa, godnego tej nazwy. Gdy pierwsze bomby padną na Akropol i strzaskają kolumny Partenonu, zakryjmy twarze, jak przodkowie dzisiejszych herosów greckich je zakrywali chitonami w godzinie boleści. Gdzież są Erynie, które by runęły na zmotoryzowane kwadrygi Germanów i rozszarpały opancerzone załogi? Gdzie Meduzy, od których spojrzenia zamarłyby serca barbarzyńców? Gdzie Harpie, które by porwały jadło hańbicielom Hellady? Gdzie Chimery, które by rzucały się w powietrzu na bombowce i samym spojrzeniem strącały je w otchłań?

Charon nie chce przeprawiać na drugi brzeg Styksu dusz poległych najeźdźców i z pogardą zwraca im obola, który okazał się fałszywy. Hades wzdraga się przyjąć wojowników ze swastyką do swego królestwa cieni. O, Nike samotracka, bezgłowa! Jeżeli stoisz jeszcze w paryskim Luwrze, jeśli ciebie nie wywieźli w głąb Germanii, zatrzepotaj kamiennymi skrzydłami, a od szumu twych skrzydeł może padną trupem nowocześni Hunnowie, zdobywcy Samotraki! Ich propaganda zapewne każe im wierzyć, że czynią dobrze i że są prawowitymi dziedzinami Hellady. W poszukiwaniu moralnej legitymacji do najazdu Grecji niewątpliwie propaganda niemiecka powołuje się na bezsporne zasługi niemieckich hellenistów, archeologów i filologów tudzież na poetów, którzy przyczynili się do rozpowszechnienia kultu greckiej starożytności. Może ta propaganda wzywa nadaremnie imion Winckelmanna i Schliemanna, Wolffa, Doerpfelda, Goethego i Schillera, którym świat rzeczywiście zawdzięcza ożywienie obrazu Hellady. Ale ja znam rodzonego syna Henryka Schliemanna. Na imię mu Agamemnon. Był wybitnym politykiem greckim. Pozostał zawsze gorącym patriotą. Gdy ta wojna wybuchła i Hunnowie zajmowali Polskę, należał w Paryżu do komitetu, werbującego greckich ochotników do armii francuskiej. Winckelmann, Goethe i Schiller niewątpliwie odżegnaliby się od wspólnoty z dzisiejszymi najeźdźcami Grecji.

Hellada nie zginie! Choćby chwilowo jak Polska popadła w niewolę, powstaną na tej gorącej ziemi wolności i poezji, szlachetni mściciele, nowi Irydionowie, powstanie nowy Ypsylanti. I nie jest przypadkiem, iż Byron, największy poeta romantyczny Anglii, poniósł śmierć w Missolonghi w obozie nowej Grecji, walczącej o wolność. Był tylko poetą, lecz można go uważać za prekursora wojsk ekspedycyjnych Wielkiej Brytanii, posłanych na stracenie dla dotrzymania słowa honoru. Słowo prawdziwego poety zawsze jest słowem honoru, bez względu na to, czy dane na papierze, czy w życiu, czy w obliczu śmierci.

Chwała Grecji! I nie rozpaczajmy nad jej klęską. Z jej wielkich klęsk, zarówno jak z jej zwycięstw, w starożytności i w wieku XIX po narodzeniu Chrystusa powstała jeszcze większa legenda i poezja. I biada krzywdzicielom Hellady. Krzywda tej ziemi nikomu w dziejach nie wyszła na zdrowie, ani imperium Rzymskiemu ani imperium Ottomańskiemu. Zginął Rzym, grabieżca Hellady, zginie też Trzecia Rzesza wraz z naśladowcami ostatnich zwyrodniałych Cezarów. Bez Grecji bowiem jak i bez Palestyny nie byłoby światła w Europie ani w całym świecie chrześcijańskim, a każda kropla krwi wylana w obronie tych świętych ziem, tych kolebek naszej cywilizacji jest krwią, ofiaro-

waną samej prawdzie i samemu pięknu. Kto umierał za Grecję, umierał za pramatkę naszej kultury, brońcie bogowie Olimpu, żeby kolebka nie stała się trumną. Tych, którzy poważyli się wedrzeć na Olimp, czekają męki Tantala i nawet Bóg chrześcijańskiego miłosierdzia od tej męki ich nie wybawi.

1941

KAPLICZKA NIECZYSTEGO SUMIENIA

Dwa miasta japońskie: Hiroshimę i Nagasaki zmiotły z powierzchni ziemi dwie bomby atomowe, pierwszy raz w dziejach tej ziemi rzucone na nią ludzkimi rękami. Były to — jak wiadomo — ręce lotników amerykańskich.

Tę książkę napisał Amerykanin. Będzie ona zapewne czytana w Warszawie, warto więc nadmienić, że autor jej, jako jeden z pierwszych korespondentów zagranicznych, zwiedził ruiny stolicy Polski. Na nasze pytanie, co uczyniło na nim groźniejsze wrażenie: Hiroshima czy Warszawa? — bez namysłu odpowiedział: Warszawa.

Książka Hersey'a mówi nie tylko sama za siebie. Mówi też za nas, a osobliwie za tych, co poważyli się na użycie bomby atomowej. Wiedzą oni dobrze, że zwycięstwo nad Japończykami, które im ta bomba przyśpieszyła, nie jest zwycięstwem moralnym. A na ogół są to ludzie, dla których wartości moralne mają jeszcze dość wysoki kurs w stosunku do dolara. Wielu z nich wciąż jeszcze czytuje Pismo Święte i pamięta o mieczu, od którego zginie ten, co mieczem wojuje.

Pierwszym odruchem amerykańskiej opinii publicznej na wieść o Hiroshimie wcale nie była radość z powodu końca wojny. Tym bardziej nie był nim triumf nad pokonanym i obezwładnionym przeciwnikiem. Na nowojorskim Times Square młodsze roczniki zwycięzców usiłowały tańczyć, ale czy to z powodu upału, czy też z innych, mniej klimatycznych przyczyn — tańce po Hiroshimie i po zakończeniu wojny jakoś nie kleiły się. Najsilniejszą reakcją myślących zwycięzców był strach. Strach przed własną

Nie dopuszczona przez cenzurę w Polsce przedmowa tłumacza do książki „Hiroshima" Johna Hersey'a.

bombą. Dali temu wymowny wyraz wybitni przedstawiciele opinii publicznej. Mimo bowiem dość jeszcze dużej i raczej sympatycznej naiwności — tak dziecinni Amerykanie już nie są, żeby cieszyć się z cudzego nieszczęścia, które wywołali i ze szkód, które musieli wyrządzić nieprzyjacielowi we własnym interesie. Tak, to są przede wszystkim ludzie interesu, w których pokutują ideały wolnościowe Jeffersona. Nie uważają oni, iż dłoń, co rzuciła na Hiroshimę pierwszą atomówkę, jest karzącą dłonią Sprawiedliwości.

7 sierpnia, a więc nazajutrz po katastrofie Hiroshimy, jeden z największych dzienników, New York Herold Tribune, ogłosił na temat epokowego wydarzenia, szereg wypowiedzi, znanych osobistości przeważnie ze świata nauki. Największym pesymizmem wyróżniał się głos Ojca Roberta I. Gannona, rektora katolickiego Fordham University w New Yorku. Oto, co powiedział Ojciec Gannon z Towarzystwa Jezusowego: „Trzeba podziwiać czystą inteligencję, włożoną w stworzenie bomby atomowej. Lecz wiadomość o sukcesie tej bomby jest przerażająca. Taka siła niszczycielska byłaby ryzykiem nawet w cywilizowanym wieku XIII. Atoli naszemu, dzikiemu pokoleniu zupełnie nie można jej powierzyć. Jest to triumf nauki, ale także wspaniały symbol Stulecia Skutecznego Chaosu *(Age of Efficient Chaos)*".

Jak widzimy, Ojciec Gannon w oględnych słowach wydał wyrok potępiający i na bombę atomową i na stulecie, które ją wychuchało. A jeśli ktoś uważa jego opinię za nazbyt pochlebną dla wieku XIII, niech raczy sobie przypomnieć, że był to wiek Rogera Bacona, św. Tomasza z Akwinu, Alberta Wielkiego, św. Franciszka z Assyżu, Dunsa Szkota.

Mniej powściągliwi w potępianiu atomówki są w Stanach Zjednoczonych pisarze i myśliciele laiccy. Na łamach tygodnika „Saturday Review of Literature" wystąpił niedawno naczelny redaktor tego pisma, Norman Cousins, autor popularnej książki pt. „Modern Man is Obsolete", napisanej pod wrażeniem Hiroshimy. Wystąpił on z namiętnym artykułem polemicznym, w którym biada: „Tak hojnie zostaliśmy" (Amerykanie, przyp. mój) „obdarzeni wyobraźnią i geniuszem naukowym, iż ponad olbrzymimi przestrzeniami umiemy nasycać powietrze radioaktywną śmiercią, chociaż sami też w dużym stopniu narażamy się na atak atomowy. Czy mamy opiewać fakt, iż nie jedną, lecz dwie bomby rzuciliśmy na ludzkie istoty pod fałszywym pozorem, że ocaliliśmy przez to życie Amerykanów? Wiedzieliśmy przecież, że użycie bomby atomowej nie da się usprawiedliwić koniecznością wojenną", stwierdziły to bowiem wysokie autorytety amerykańskie, wojskowe i morskie. (Sat. Rev. of Lit. z 5 lipca 1947 r.) W tym samym piśmie (z 2 marca 1946) wybitny filozof i eseista

Lewis Mumford ogłosił najbardziej chyba gwałtowny artykuł pt. „Gentlemen: you are mad!" (Panowie: jesteście obłąkani!"). Po prostu wariatami nazywa autor panów, kierujących Ameryką w imię ładu i bezpieczeństwa. „Czołowi wariaci", pisze „mają tytuły generałów, admirałów, senatorów, uczonych, administratorów, sekretarzy stanu, nawet tytuł prezydenta. Zmierzają oni do zniszczenia ludzkości w solennym przeświadczeniu, że są ludźmi normalnymi i odpowiedzialnymi". „Dlaczego" zapytuje „pozwalamy obłąkańcom prowadzić nadal ich grę i nie podnosimy naszych głosów? Czemu zachowujemy lodowaty spokój w obliczu niebezpieczeństwa? Jedna jest tylko przyczyna: my też jesteśmy wariatami". I wzywa Mumford, (który już nie jest młodzieńcem i stracił na wojnie syna) do natychmiastowego zniszczenia wszystkich zapasów bomby atomowej oraz wszystkich zakładów i środków, służących do produkowania tej broni. Ma słuszność, jeśli sądzi, że bomba w ręku obłąkańców może w każdej chwili rozsadzić glob ziemski. Ale zapomina Mumford o tym, że przez skonfiskowanie bomby nie wyleczy się wariatów z obłędu, który stał się już nagminny. Po unieszkodliwieniu jednego wariata, obłęd może wybuchnąć u kogoś, kto jeszcze wczoraj nie zdradzał żadnych symptomów choroby. Wykrycie, zbadanie i usunięcie tych symptomów byłoby najważniejszą misją dziejową w obecnej chwili. Nie widzi też Mumford głębszych przyczyn owego letargu duszy, w jakim pogrążone są wielkie masy ludzkie, zmęczone wojnami, a jeszcze bardziej zmęczone celami wojen, nieproporcjonalnie małymi w porównaniu ze zmarnowaną na wojnach energią. Masy do tego już stopnia zobojętniały na własną przyszłość, tak bardzo już nie wierzą w spełnienie kuszących obiecanek, że bez szemrania powierzyły swą przyszłość — wariatom. Głębsze przyczyny katastrofy grożącej całemu światu, dostrzegli pisarze europejscy. Tacy np., jak Vercors, który w znanym również w Polsce „Odczycie dla Amerykanów" („Twórczość", listopad 1946) oświadcza m.in.: „Lęk nie przyprowadził nikogo do rozumu, przeciwnie, popycha on zawsze ludzi do rozpaczliwych kroków. Możemy być pewni, że jeśli będziemy liczyli tylko na strach ludzi, ten właśnie strach wywoła wybuch pierwszej bomby". Inny, wybitny pisarz francuski, Denis de Rougemont, Szwajcar, który całą wojnę spędził w Stanach Zjednoczonych, napisał książkę pt. „Lettres sur la bombe atomique". Podobnie jak Mumford odmawia on politykom i tzw. mężom stanu prawa kierowania losem ludzkości. Uważa on istnienie komisji kontrolujących energię atomową za absurd, gdyż nie tę energię trzeba kontrolować tylko człowieka. I zapytuje: „Czyśmy zwariowali? Mamyż kontynuować tę grę, dopóki nie nastąpi eksplozja całej ziemi?". I przypomina

de Rougemont pierwszy List św. Pawła do Koryntian: (15, 51), w którym czytamy: „Oto tajemnicę wam powiadam. Nie wszyscy zaśniemy, ale wszyscy przemienieni będziemy bardzo prędko, w oka mgnieniu, pod głos trąby ostatecznej". Faktem jest, że w greckim tekście Ewangelii wyrazy: „w oka mgnieniu" brzmią: „en atomo". U Demokryta i u Epikura „to atomon" oznacza niepodzielną część materii, element. Zgodność wizji św. Pawła z apokaliptycznymi wizjami fizyków XX wieku musi zastanowić nawet tych fizyków.

Atmosfera myślowa coraz bardziej zagęszcza się dokoła tematów apokaliptycznych. Vercors i Denis de Rougemont powiadają wprost, że znajdujemy się w przede dniu nowego Millenium. I nie jest to chyba przypadek, że koszmar czekania na globalną katastrofę zbiega się z odrodzeniem filozofii strachu w jej rozlicznych odmianach. Strach został zrehabilitowany już przez Freuda. Dzisiaj nikt z poważniejszych moralistów nie pomiata strachem. Jan Paul Sartre, apostoł francuskiego egzystencjalizmu, podaje trzy zasadnicze elementy, z których składa się nasze życie: lęk *(angoisse)*, opuszczenie *(délaissement)* i rozpacz *(désespoir)*. Duński protoplasta egzystencjalizmu, Sören Kierkegaard, przeszło sto lat temu uszlachcił gatunek ludzki tym lękiem właśnie. „Gdyby człowiek był zwierzęciem", pisze, „lub aniołem, nie popadłby w trwogę... Jest on jednak syntezą anioła i zwierzęcia i dlatego umie się trwożyć, a im bardziej się trwoży, tym większy jest człowiek". W innym znów miejscu czytamy u Kierkegaarda: „Kogo w stosunku do winy wychowuje trwoga, ten dochodzi dopiero w odkupieniu do spokoju". Zdaje się, że tu jest kluczowa pozycja, z której możemy jako tako wytłumaczyć obecny stan umysłów i naszą postawę wobec grożącej, powszechnej katastrofy. Widocznie jesteśmy obarczeni potwornym poczuciem winy i nieświadomie wzdychamy do kary, choćby miała ją nam wymierzyć bomba atomowa. Gdybyśmy czuli się mniej winni, strach działałby na nas teraupetycznie raczej i szukalibyśmy środków do radykalnego pozbycia się strachu. Środków tych nie szukamy. Sporośmy już nabroili w ciągu naszych dziejów i, zdaje się, sami już uważamy, że miara się przebrała. Dopiero w świetle filozofii, uznającej lęk za wartość dodatnią, za jakąś witaminę dla duszy, bez której to witaminy nie moglibyśmy żyć, zrozumiały staje się ów letarg, ten złowrogi spokój, ta obojętność mas — na to, co im przynieść może bomba atomowa. Wrodzona nam trwoga śmierci jest jednocześnie tęsknotą do śmierci, jako do zasłużonej kary. Ale czy prawa odnoszące się do ludzkich jednostek, można przenieść i na ludzkie społeczeństwa? Czyżby cały świat był już porażony tęsknotą do unicestwienia? Pisząc o Pascalu, niemiecki poprzednik Sartre'a, Mar-

tin Heidegger, użył terminu „trwoga kosmiczna". I nawet anglosascy, na ogół spokojni, myśliciele, coraz częściej określają nasz wiek, jako „stulecie trwogi".

Poświęciliśmy trochę miejsca filozofom, aby z ich pomocą uświadomić sobie naszą dziwną postawę wobec perspektyw, jakie nam otwiera bomba atomowa. Nie tu miejsce na rozważania, co należy uczynić, aby ludzkość, opętaną manią samobójczą, jednak powstrzymać od rozpaczliwego kroku. Lecz nadmienić wypada, że nawet egzystencjalizm oddaje los człowieka wyłącznie w ludzkie ręce, w te same ręce, z których może wypaść bomba. Ta bomba nawet nie użycza nam pociechy, że wprawdzie my zginiemy, ale nasze dzieła dla potomności nie zginą. Nie będzie już ani naszych dzieł, ani potomności. I tylko głupcy pokładają nadzieję w delegacjach i komisjach, których głównym zajęciem jest kłótnia. W nowoczesnej laickiej cywilizacji Pycha występuje pod pseudonimem Prestiżu. A powszechnym uczuciem jest niesmak. Największy niesmak, coś w rodzaju moralnej zgagi, odczuwają uczeni, którzy byli akuszerami atomówki. Wielu z nich siedzi na pokucie i żałuje, że potworek, którego powołali do życia, nie przyszedł na świat martwy.

Lecz wróćmy do książki Hersey'a. Kontynuuje ona tradycje piśmiennictwa amerykańskiego, które wyróżnia się wielką uczciwością intelektualną i niezależnością od wszelkich racji stanu. Tu, w kraju murzyńskiej krzywdy, poczynając od „Chaty Wuja Toma", wyrosła przecież olbrzymia „czarna literatura", pisana białymi rękami. Jest rzeczą nie do pomyślenia, żeby piśmiennictwo amerykańskie ośmieliło się wybielić czy zafałszować ten, tak drażliwy i wciąż ropiejący, temat. Niech więc polskiego czytelnika „Hiroshimy" nie dziwi sympatia autora dla mieszkańców nieszczęsnego miasta w Japonii i taktowny szacunek dla kultury, którą Japończycy zademonstrowali w godzinie zagłady. Ginąc w męczarniach, nie zaniedbywali dobrych manier, ani cnót obywatelskich. Umierali cicho, z dystynkcją, ostatkiem sił składając ukłon tym, którzy im nieśli pomoc. Zdaje się, niestety, że w naszych czasach miernikiem ludzkiej kultury jest już tylko styl cierpienia i fason umierania. Sympatia autora dla ofiar bomby atomowej, zrzuconej przez jego rodaków w rzekomym interesie jego kraju oraz tzw. zachodniej cywilizacji (której ostatnim wyrazem jest właśnie ta bomba) nie wyraża się w książce żadnym patetycznym westchnieniem. Stanowi po prostu naturalną aurę relacji, wstrząsającej swą surową prostotą. Autor nie afiszuje swego humanizmu, jak czynią przeważnie ci, co mogliby wobec wroga zająć odmienną postawę. W głośnej powieści „A Bell for Adano", której tematem jest amerykańska okupacja Sycylii,

ośmieszył Hersey ważnego dowódcę armii Stanów Zjednoczonych. W dowódcy tym od razu odgadnięto nieżyjącego już generała Pattona.

Na tym polega *fair play* amerykańskiej literatury. Można też uważać „Hiroshimę" Hersey'a za kapliczkę ekspiacyjną, którą wznieśli zwycięzcy własnemu, nieczystemu sumieniu.

1947

BLASKI I NĘDZE WYGNANIA

Już to jest niemałą „nędzą" wygnania, że Państwo muszą słuchać tutaj mojej kiepskiej angielszczyzny, a ja muszę silić się na mówienie do Was w obcym języku[1].

Rozważania, którymi pozwalam sobie podzielić się z Państwem, stanowią wstęp do eseju, nad którym zacząłem pracować od zakończenia wojny. Esej ten, w moim zamierzeniu, winien być czymś w rodzaju zarysu fizjologii literatur emigracyjnych. Gdy mówię: esej, świadomie używam tego wyrazu w jego dosłownym znaczeniu. Przywykliśmy terminem tym określać każdą pracę z dziedziny krytyki literackiej, artystycznej czy pokrewnych dziedzin, a już sama nazwa tego stowarzyszenia, którego mam zaszczyt być członkiem i pod którego auspicjami tutaj przemawiam, mieści w sobie słowo: *essayist. P.E.N. — Playwrights, Essayists, Novelists.* W ścisłym wszakże znaczeniu esej nie jest niczym innym tylko próbą, a eseista — pisarzem, który czegoś próbuje. Przeważnie próbuje znaleźć właściwy sens zjawisk, które bada. Wiemy, że od próby do ostatecznego wykonania jakiegoś zamysłu, jest jeszcze daleko. I nawet dzieło Montaigne'a, będące czymś o wiele ważniejszym niż to, na co wskazuje tytuł, czy też dzieła Johna Locke'a: „Essay Concerning Toleration" oraz „Essay Concerning Human Understanding", nie zwalniają nas od obowiązku skromności, od obowiązku przywrócenia słowu: esej jego pierwotnego sensu.

A zatem w eseju, którego wstępem jest dzisiejsza pogadanka, próbuję ustalić pewne zasady czy też prawa, rządzące życiem i śmiercią twórczości literackiej na emigracji. Nie jest to emigracja dobrowolna, lecz taka, do której pisarza zmusiła gorzka konieczność, katastrofa, klęska. A także potrzeba czynnego prze-

1. Odczyt wygłoszony po angielsku w nowojorskim „P.E.N. Club in Exile" 27 lutego 1957, oraz 2 grudnia 1958 na Kongresie „P.E.N. Klubów in Exile" w Monachium.

ciwstawienia się klęsce, oraz towarzysząca tej potrzebie nadzieja zwycięstwa. W każdym razie emigrację naszego typu wywołał stan zagrożenia jeśli nie fizycznej osoby pisarza to jego twórczości. I dlatego przyjęliśmy tak patetycznie brzmiące określenie: w y - g n a n i e . Słowo *wygnanie* nie zawsze kojarzy się z ponurym obrazem ludzi, wypędzanych batem przez innych ludzi. Wśród pisarzy jest wielu wygnańców, których nikt nie wyganiał. Opuścili swój kraj dobrowolnie, nie chcąc poddać się warunkom, których by tam znieść nie umieli.

Użyłem też określenia: fizjologia literatury. To określenie nie jest moim wynalazkiem. Zawdzięczam je zmarłemu w roku 1936 krytykowi francuskiemu Albertowi Thibaudet, któremu poza tym zawdzięczam jeszcze wiele innych rzeczy. O ile pamięć mnie nie myli, Thibaudet pierwszy użył wyrazu: fizjologia w połączeniu z literaturą.

Nim wszakże zastanowimy się nad tym, jakie to specyficzne prawa rządzą twórczością literacką na wygnaniu i powodują że ta twórczość jest inna niż piśmiennictwo, rozwijające się w kraju, skąd pochodzą pisarze-wygnańcy, pomyślmy nad głębszym znaczeniem samego słowa: wygnanie. Pod koniec ostatniej wojny, a więc wiosną roku 1945 Tomasz Mann obchodził w Nowym Jorku 70-tą rocznicę urodzin. W czasie uroczystości ku swojej czci wygłosił on przemówienie, w którym m.in. objaśnił wspólne pochodzenie angielskiego słowa: *a l i e n* i niemieckiego E l e n d . Elend — znaczyło niegdyś to samo, co: Alien Land. Dzisiaj znaczy ono już wyłącznie: niedola, nędza. A przecież być „an alien" nie zawsze jest rzeczą przykrą i nie każdy a l i e n czuje się nędzarzem, ani w materialnym ani w moralnym znaczeniu tego smutnego słowa. Fakt przebywania w obcym kraju dzięki regularnej wizie w paszporcie albo też bez wizy, (z czego w ogromnym zakresie korzystają obywatele Stanów Zjednoczonych we wszystkich niemal krajach Europy) nie tylko nie jest faktem godnym pożałowania, ale przeciwnie — często budzi zazdrość ludzi osiadłych u siebie w ojczyźnie, a nie mogących sobie pozwolić na podróże po obcych krajach.

W pięknej antyfonie „Salve Regina" śpiewanej w kościołach katolickich, znajdujemy dwukrotnie słowa: wygnanie i wygnaniec. Autor antyfony nazywa najpierw cały rodzaj ludzki: „exsules, filii Haevae", a potem ziemski nasz żywot kwalifikuje jako *exilium*. Skądże to jesteśmy wygnani? Od wczesnego dzieciństwa prześladował mnie obraz anioła z ognistym mieczem. Była to reprodukcja jakiegoś rokokowego miedziorytu czy staloryt: już nie pamiętam. Oczywiście ten anioł wypędzał Adama i Ewę z raju. Takie właśnie wygnanie miał na myśli pobożny

autor antyfony „Salve Regina". A zatem, przyjmując pogląd wyrażony w tej antyfonie, już pierwszym naszym rodzicom zawdzięczamy, że pobyt nasz na tej ziemi, bez względu na to, w którym jej miejscu przebywamy i bez względu na to czy źle czy dobrze tam się czujemy, jest wygnaniem. Wygnaniem z takiej krainy, której osobiście nie znamy. Ta sama doktryna, która nakazuje wierzyć, że ziemski nasz byt jest wygnaniem, obdarza równocześnie nadzieją, obiecując, że będzie nam dane powrócić tam, skąd wypędzono naszych pierwszych rodziców. Oczywiście, musimy przedtem, tu, na ziemi spełnić pewne trudne, a nieodzowne warunki.

W obecnych i nie tylko obecnych czasach ludzie przeważnie nie chcą uznać doczesnego życia za wygnanie. Ani z raju, ani skądkolwiek, chociaż to ziemskie życie nie dla wszystkich jest pełne uroku i słodyczy. Przeciwnie: właśnie ci, którym doczesne życie nie szczędzi zawodów i cierpień, ci, którzy powinni tego życia nienawidzić, są do niego najmocniej przywiązani. Wielu też ludzi nie czerpie otuchy z świadomości, że kiedyś, po tym wygnaniu *post hoc exilium,* będą mogli przebywać w swojej prawdziwej ojczyźnie i to nie czasowo, ale wiecznie. Od takich ludzi trudno wymagać, aby tęsknili do raju, którego nie znają. Jedynie pobyt na ziemi wydaje się im rzeczywisty; tutaj i tylko tutaj jest ich dom, wszystko jedno jaki: wspaniały pałac czy ohydna rudera. Tylko na ziemi upływa im życie, wszystko jedno jakie: dobre czy złe. I nieraz to życie poświęcają, aby odrestaurować swój walący się dom. Jeśli już nie dla siebie, to dla swoich potomków. I nawet, gdy to się nie udaje, gdy całe ich istnienie jest nieprzerwanym pasmem rozczarowań i klęsk, nie mają zamiaru wyrzekać się swego ziemskiego obywatelstwa. Wcale nie ubiegają się o pierwsze papiery obywatela wieczności. Tacy ludzie dobrze wiedzą, a jeśli nie wiedzą, to czują, że ich pobyt na ziemi nie jest trwały. Mimo to zachowują się tak, jakby miał wiecznie trwać, jakby celem życia było same życie. Świadomie czy nieświadomie, ludzie ci są egzystencjalistami najrozmaitszych, n.b. niereligijnych odcieni. Ale przyjmijmy, że ci ludzie się mylą, natomiast nie myli się autor antyfony „Salve Regina" oraz liczni autorowie innych tekstów wierszem i prozą, wyrażających pokrewny pogląd na świat i na zaświat. Jeżeli prawdą jest, że całe nasze życie jest wygnaniem, to my, członkowie Międzynarodowego P.E.N.-Klubu na Wygnaniu, jesteśmy podwójnymi wygnańcami. Kto wie, czy w tej świadomości nie tkwi zalążek „blasków" naszego położenia.

Nieraz nam mówiono, że każdy, naprawdę oryginalny, artysta jest cudzoziemcem we własnej ojczyźnie. Już sam fakt jego

odrębności i przekornego niesolidaryzowania się z *common-sense*'m, fakt, że wszystko, co ów artysta ze sobą przynosi, jest niezwykłe, niekiedy dziwaczne i przeważnie obce nawet najbliższemu otoczeniu, czyni go wygnańcem. Wygnańcem, choćby od urodzenia do śmierci mieszkał w tym samym własnym i luksusowym domu. Nie będziemy tu podawali długiej listy nazwisk bohaterskich czy tragicznych samotników, którzy dopiero po zejściu z świata stali się temu światu bliscy i mili, i dopiero *post hoc exilium* przestali być wygnańcami we własnym społeczeństwie. Prawie każdy naród szczyci się swymi *poètes maudits*, swoim Edgarem Allanem Poe, Baudelaire'm, Rimbaud'em, Hart Crane'm. Każdy naród ma swego Van Gogha i Cézanne'a. Skoro więc każdy człowiek, póki żyje, jest wygnańcem, a co drugi artysta, poeta czy pisarz jest wygnańcem, dlatego że na swój własny sposób widzi i wyraża świat, w takim razie my, członkowie Międzynarodowego P.E.N.-Klubu na Wygnaniu, oddział amerykański, po trzykroć jesteśmy wygnańcami. W moim skromnym mniemaniu jest to nie tylko nieszczęście, może to również być przywilej. Nikt chyba nie zaprzeczy, że na wiele spraw ziemskiego bytu jedynie artyści, a więc wygnańcy, umieją rzucać właściwe światło, jedynie poeci umieją spojrzeć na „condition humaine" z odpowiedniego dystansu. Znakomitą perspektywę funduje im utrata ojczyzny. Powiadam: ojczyzny, żeby nie nadużywać tytułu arcydzieła Miltona.

Ale zejdźmy na ziemię, gdzie emigracja polityczna jest przede wszystkim nieszczęściem. Kto z tego nieszczęścia stwarza sobie religię, nie będzie zbawiony. I daleki od chwały jest ten, kto nie potrafi tego nieszczęścia przezwyciężyć, lecz uważa je za normalną formę bytu, poza którą jest już tylko niebyt.

Wybitny pisarz E.M. Cioran, emigrant rumuński, żyjący w Paryżu i piszący po francusku, autor fascynujących książek: „Précis de décomposition" i „Syllogisme de l'amertume", laureat Prix Rivarol, nagrody dla cudzoziemców, piszących w języku francuskim, poświęcił naszemu zagadnieniu niezwykle bystre rozważania. Cioran zastanawia się m.in. nad dolą poety na wygnaniu i obawia się, że ta dola może doprowadzić do tego, iż poeta zasmakuje w wygnaniu. „Nikt nie potrafi", powiada Cioran, „zakonserwować młodości swoich smutków. Smutek zużywa się. Tak jest też z tęsknotą do kraju, z wszelką nostalgią. Natchnienie wysycha w poecie z powodu braku rozmaitości w doznaniach i braku autentyczności niepokojów". Oczywiście wygnanie w czysto świeckim i brutalnym znaczeniu tego słowa, nie jest wyłącznie sprawą pisarza, który, jak wiemy, jest już i tak wygnańcem

z przyczyny swego powołania. Nie tylko pisarze odczuwają blaski i nędze exilium.

W tragedii Szekspira pt. „Król Ryszard Drugi", władca ten skazuje księcia Norfolku na dożywotnie wygnanie. O ile nam wiadomo Duke of Norfolk nie był literatem, a jednak po usłyszeniu królewskiego wyroku wybuchnął on takim lamentem:

„Twardy to wyrok, królu miłościwy,
I niespodziany z twoich ust królewskich.
Jam na nagrodę lepszą niźli takie
Straszne odcięcie zasłużył u ciebie.
Teraz zapomnieć muszę mej rodzinnej
Angielskiej mowy, której się uczyłem
Przez lat czterdzieści. Na cóż mi się teraz
Zda język więcej niźli gęśl lub arfa
Bez strun lub w skrzynce czarowny instrument,
Albo wyjęty lecz oddany w rękę
Która nie umie zgodzić jego tonów?
Tyś mi uwięził język w ust mych głębi
Za tą podwójną warg i zębów kratą,
A mdłą, nieczułą, jałową ciemnotę
Stawił jak stróża, by mnie pilnowała.
Jam już za stary, by się łasić mamce,
Zanadtom w lata zaszedł, by być uczniem.
Śmierć więc bezmowną twój wyrok zamyka,
Bo dźwięk rodzinny wydziera z języka".

(Przekład Leona Ulricha. Akt I, Scena III)

Skoro więc książę Norfolku tak bardzo ubolewa nad grożącą mu na wygnaniu utratą ojczystego języka, jakże bolesna jest ona dla pisarza! Nawet pisarze, przebywający na wygnaniu w krajach, gdzie potocznym językiem jest ich własny język, nie czują się tam całkiem w domu. Na przykład pisarze z Hiszpanii w krajach Ameryki Łacińskiej. Niestety nie żyjemy już w świecie, w którym greka lub łacina były wspólnym narzędziem poezji i prozy wśród oświeconej elity różnych narodów i wielkich i małych. Żyjemy w świecie, w którym nawet język islandzki stawia współczesnemu pisarzowi w Islandii te same wymagania i wywołuje u jego współobywateli ten sam rezonans, co w Anglii i Stanach Zjednoczonych — język angielski. A przecież językiem islandzkim posługuje się niewiele ponad 100.000 ludzi.

Wykorzenienie pisarza z ziemi, na której dłużej czy krócej żył w symbiozie z językiem tej ziemi, może być okrutnym gwał-

tem. Odcięcie od rodzinnego pnia odczuwają boleśnie nawet pisarze, przebywający poza swym krajem czasowo i dobrowolnie. Na przykład Dostojewski, który pisał z Vevey w Szwajcarii do Mikołaja Mikołajowicza Strachowa: „A propos mojej pracy tutaj, rzeczywiście, będę pozostawał w tyle, jeśli idzie o znajomość tego, co się u nas dzieje chociaż wiem o tym lepiej niż ty, bo każdego dnia czytam trzy dzienniki rosyjskie od deski do deski i otrzymuję dwa czasopisma. Odzwyczaję się od żywego prądu istnienia, nie tylko od idei istnienia, ale od samej esencji. A jak to oddziaływa na pracę literacką!".

Dostojewski nie jest typowym przykładem pisarza, który źle znosi wykorzenienie. Powyżej przytoczone słowa pisał on nie jako wygnaniec, lecz jako dobrowolny podróżnik po nielubianej Europie Zachodniej. Spędził w niej cztery lata. A jednak niewiele z tego Zachodu przesączyło się do jego twórczości. Jakby w końskich okularach chodził Dostojewski po ulicach Berlina, Drezna, Florencji. Niemców nie znosił, ale też nie pragnął poznać bliżej ich życia, cywilizacji i kultury. O kulturze zachodniej Europy miał urobione, n.b. niepochlebne mniemanie, jeszcze zanim udał się na Zachód. W Dreźnie, owszem, zwiedzał muzea i galerie. Ale od muzeów, bardziej pociągały go niemieckie kasyna gry. Niby to dla poratowania zdrowia pojechał autor „Gracza" do Wiesbaden i do szwajcarskiej miejscowości Saxon-les-Bains, gdzie były nie tylko wody lecznicze, ale i słynne kasyno. Najważniejszym „echem" pobytu w Europie zachodniej, jest, w wielkich powieściach Dostojewskiego, obok ruletki i sylwetek graczy, gilotyna w Lyonie i ostatnie chwile skazańca. Opowiada o tym książę Myszkin w „Idiocie". Oczywiście, bardziej interesowało Dostojewskiego to, co czuje człowiek na kilka minut przed odcięciem głowy, niż ludzie otaczający gilotynę, niż miasto Lyon i w ogóle Francja. Cztery lata pobytu na Zachodzie spłynęły po Dostojewskim-beletryście, jak mdła i nieczysta woda. Być może jednak, że bez tych czterech lat nie mielibyśmy Iwana Karamazowa, ani „Opowieści o Wielkim Inkwizytorze", mimo iż niechęć do Zachodu i do katolicyzmu przywiózł Dostojewski z Rosji. Jeśli więc jego wyobraźnia przez te cztery lata życia poza Rosją, czerpała niejakie pożywienie z tego, co działo się dookoła, były to dla tej wyobraźni, jeśli tak rzec wolno, raczej witaminy negatywne. Bo i na Zachodzie żył Dostojewski Rosją i po rosyjsku sondował głębiny rosyjskich d u s z . To zaś, że scena zgilotynowania zbrodniarza, którą, podobnie jak bohater „Idioty", Myszkin, oglądał Dostojewski w Bazylei, na ilustracji w jakimś piśmie, uczyniła na nim tak wstrząsające wrażenie, nie jest wyłącznie pamiątką z podróży po Europie

zachodniej. Autor „Idioty" sam stał niegdyś na szafocie jako skazaniec, co prawda nie w Lyonie, lecz w Rosji, a miano go nie zgilotynować, tylko rozstrzelać. Przywiózł więc Dostojewski z Zachodu — do swojej tematyki to, co tej tematyce odpowiadało od dawna. Nie groziło mu wyjałowienie, którego tak nerwowo obawiał się w Vevey, pisząc ów list do Strachowa. Wykorzenienie, czy wyjałowienie grozi raczej takiemu artyście, który łatwo i chętnie ulega fascynacji obcego świata, ale nie potrafi go w sobie zasymilować tak, aby obczyzna stała się dlań pełnowartościowym tworzywem. Niektórzy artyści nawet umyślnie starają się o to, aby ich dzieła miały jak najmniej składników życia ich ojczyzny. Uganiają się po świecie w poszukiwaniu egzotyki, obcego kolorytu i obcej *condition humaine*. Nie mówimy tu o tych, co zawodowo uprawiają pisarstwo podróżnicze. Spójrzmy np. na twórczość Hemingwaya. Ludzie w najważniejszych jego książkach „operują" przeważnie na nieamerykańskich terenach, o ile w ogóle są Amerykanami. Widzimy ich we Włoszech, Hiszpanii, Francji, w Afryce, na Kubie. Sam Hemingway, chyba większą część swego arcybujnego życia spędził poza Stanami Zjednoczonymi. Od wielu lat ma on swoją stałą siedzibę na Kubie, skąd wyrusza w różne części świata, w poszukiwaniu niezwykłych wrażeń. Niewątpliwie uważa on za pożyteczne dla swej twórczości — przebywanie poza krajem rodzinnym, z którego, o ile nam wiadomo, nikt nigdy go nie wyganiał[2].

Nasz Witold Gombrowicz, od dwudziestu lat przebywa w Argentynie, ale nie przestaje tam myśleć na swój, nader swoisty, sposób o Polsce i Polakach. W ciekawej polemice z wspomnianym wyżej emigrantem rumuńskim Cioranem, słusznie powiada Gombrowicz, że „jest rzeczą obojętną, w jakim miejscu świata męczą się pisarze". Albowiem: „każdy wybitny pisarz wskutek wybitności swojej był cudzoziemcem nawet u siebie w domu". Gorzki smak tej prawdy znają wszyscy prawdziwi twórcy nowych wartości w sztuce, choćby byli członkami Akademii lub laureatami Nobla.

W języku hiszpańskim istnieje na określenie wygnańca wyraz: d e s t i e r r o , człowiek, pozbawiony ziemi. Jabym dodał jeszcze inne określenie: d e s t i e m p o , człowiek pozbawiony czasu. To znaczy: tego czasu, który upływa obecnie w jego własnym kraju. Czas na wygnaniu jest zupełnie inny. Jest to czas nienormalny, prawie że obłąkany. Wygnaniec bowiem żyje w dwóch różnych czasach jednocześnie: w teraźniejszości i w przeszłości. Życie przeszłością bywa niekiedy intensywniejsze od

2. Ostatnio osiedlił się w górach stanu Idaho.

życia teraźniejszością i tyranizuje całą jego psychikę. Ma to swoje dobre i złe strony. Zacznijmy od złych. Wygnańcowi, żyjącemu przeszłością, zagraża mnóstwo niebezpieczeństw, np. niebezpieczeństwo wzdychania do rzeczy błahych, których istotny lub rzekomy czar przeminął raz na zawsze. Grozi mu niebezpieczeństwo wzdychania nawet do martwych rekwizytów, jakimi posługiwały się w swych dramatach lub farsach dawniejsze, dziś już nieżywe światy. W normalnym, przedwygnańczym istnieniu, te rekwizyty w ogóle nie zasługiwały na uwagę. Dam przykład z własnego doświadczenia. W roku 1950-ym w Nowym Jorku często zatrzymywałem się przed oknem wystawowym pewnego antykwariusza na Lexington Avenue. Były tam stare zbroje, stara broń, hełmy i czaka. Szczególnie przykuwał mnie widok czaka oficera sztabowego IV pułku austriacko-węgierskich ułanów. Pułk ten przed pierwszą wojną światową stacjonował we Lwowie. Proszę jednak nie myśleć, że ja służyłem w tym pułku (byłem tylko zwykłym piechurem). Rozmarzenie na widok takiego czaka byłoby w normalnej egzystencji groźnym infantylizmem. Ale w roku 1950 w Nowym Jorku, po drugiej wojnie światowej, a w czasie wojny koreańskiej — przyznaję to bez fałszywego wstydu — ułańskie czako budziło nostalgię. Za czym? Za austriacko-węgierską kawalerią, czy w ogóle za wojskiem? Nic podobnego. Budziło nostalgię za dawnością, za światem, który przestał istnieć w roku 1914, a który może był lepszy od obecnego. A może tylko w naszym urojeniu był lepszy. To czako budziło tęsknotę do dawnej Europy, do barwności ówczesnego życia, do podejrzanego zresztą uczucia bezpieczeństwa i, *last but not least,* do naszej własnej młodości. Zapatrzenie się w nieużyteczny dziś rekwizyt — oto jedno z niebezpieczeństw, czyhających na pisarza-wygnańca. Każdemu z nas grozi takie czy inne czako. A wraz z tym czakiem grozi fałszywa ocena przebrzmiałych wypadków i zapomnianych ludzi. Fałszywa, bo okryta mgiełką rozrzewnienia.

Pisarzowi na wygnaniu grozi też zanik zdolności do selekcji wspomnień, jako materiału, nadającego się do literackiego opracowania. Życie wygnańca, jak życie każdego człowieka, rwie naprzód, ale wygnaniec niejako zawodowo cofa się wstecz. Stąd nieraz rodzą się poważne a nawet tragiczne kolizje życiowe i literackie. Zdarza się, że emigrant żyje w zupełnej próżni, którą jego wyobraźnia zaludnia wyłącznie zjawami z umarłego świata. Nie każdy pisarz na wygnaniu jest Proustem, Joyce'm czy Mickiewiczem. Ci wielcy pisarze odważnie zapuszczali się „à la recherche du temps perdu", ale nie po to, aby przeszłość gloryfikować, jeno po to, aby ją bezlitośnie demaskować, albo też, jak Mickiewicz, pobłażliwie nią się bawić. Nazwijmy więc ten odcinek badań fizjo-

logii literatur na emigracji: „Dobrodziejstwem i przekleństwem retrospekcji". Dobrodziejstwo jest równie wielkie jak przekleństwo. Profesor Harry Levin w swej książce o James Joyce'ie słusznie pisze: „Pierwszą zasadą artystycznej gospodarki było odosobnienie. Joyce odwrócił się od swojej narodowości i religii, ale odnalazł swe środki wyrazu i język nawróciwszy ku narodowości i religii".

Joyce był dobrowolnym emigrantem, tzw. *expatriate,* i kto wie, czy nie właśnie dzięki temu, że spędził większą część życia w Paryżu, Trieście i Zurychu, a nie w swoim rodzinnym Dublinie, stworzył własny, autentyczny styl i język. I stworzył nowy Dublin, całkowicie zbudowany z elementów jego poetyckiej wizji.

Jednakże częściej się zdarza, że pisarz odcięty od swego narodu i przebywający przez dłuższy czas poza ojczyzną, ponosi z tej przyczyny dotkliwe straty. Nie każdy potrafi *à la longue* żyć twórczo wspomnieniami. Np. Turgeniew, uważany za najbardziej zżytego z Francją pośród wielkich pisarzy rosyjskich XIX wieku. Dwie jego powieści: „Dym" i „Ziemia dziewicza", w których usiłował odtworzyć życie w Rosji toczące się w czasie jego długiego pobytu w Paryżu, padły ofiarą wykorzenienia autora.

Pisarz-wygnaniec żyje w społeczności zwężonej, w której nie łatwo jest tworzyć, a tym bardziej ogłaszać dzieła rewoltujące. Taka zwężona społeczność najchętniej daje posłuch temu, co już od dawna zna. Od artysty wymaga przeważnie potwierdzenia własnych smaków i przyzwyczajeń. Toteż ciężko jest pisarzowi na wygnaniu narzucić emigracji swój smak i swoją nowość. Biada mu jeśli ulegnie. Bo jeśli w normalnym społeczeństwie każdemu artyście grozi największy jego wróg, którym jest chęć podobania się, niebezpieczeństwo od strony tego wroga jest stokroć większe w społeczności zwężonej, gettowej, skazanej na własne siły i zasoby. Na emigracji prawie z reguły następuje pomieszanie pojęć i kryteriów, powstają nieprawdopodobne hierarchie, nie ma bowiem istotnych mierników prawdziwej wartości pracy pisarza. O tej wartości rozstrzygają przeważnie względy uczuciowe, przebrzmiały mity i przebrzmiałe prawidła estetyki narodowej, jakimi kierowały się dawne emigracje w ocenie swoich „wieszczów". Ta konfuzja szczególnie dotkliwie dała się we znaki polskiej emigracji w czasie ostatniej wojny. O czym będzie mowa w dalszych częściach „zarysu fizjologii literatur emigracyjnych".

W miarę jak wygnanie się przeciąga, a piśmiennictwo oddala się od życia własnego narodu, nawet stosunkowo młodym pisarzom trudno jest uchronić się od „miłego" gawędziarstwa. Oder-

wanie się od problematyki i tematyki swego czasu może być jednak zbawienne, nawet dla pisarza przebywającego we własnym, a wolnym kraju. Każdy bowiem, kto zbyt namiętnie tkwi w swoim czasie może się stać jego niewolnikiem. Biada pisarzowi uwięzionemu dożywotnio w swoich dniach i nocach! Tylko d e s t i e m p o jest naprawdę wolny i czas swój osądza w niezawisłości od niego. Każdy prawie pisarz, nawet taki, którego ambicją jest mniej lub więcej wierne „odbicie" swej epoki, dąży do przeskoczenia tej epoki. Wyrażając się pretensjonalnie: pragnie on produkować tzw. ponadczasowe wartości. O ile takie wartości naprawdę pod słońcem istnieją. Pisarz d e s t i e r r o - d e s t i e m p o od tego winien rozpocząć właściwą karierę, choćby przy tym skakaniu złamał kark.

Sprawa języka. Jeżeli przyjmiemy, że język jakiegoś narodu ulega zmianom zależnym od życia tego narodu, to na wygnaniu rozporządzamy zaledwie takimi elementami języka, które:

a) przywieźliśmy z własnego kraju,
b) które zostały stworzone na obczyźnie przez dawniejszych emigrantów,
c) które sami tworzymy na wygnaniu.

A zatem nasz język nie zawiera już elementów, powstałych w kraju, w czasie naszej nieobecności, mimo iż pilnie śledzimy wszystko co tam się pisze. Żywą mowę naszego kraju poznajemy z drugiej ręki. Przeważnie z lektury.

Lektura. W normalnych warunkach lektura w języku ojczystym jest dodatkiem do toczącego się wokół nas życia. Jest dodatkiem do żywej mowy potocznej, jest pożywką tzw. władz umysłowych, pobudzającą wrażliwość i wyobraźnię. Na wygnaniu lektura w języku ojczystym staje się często jedynym źródłem tzw. wzruszeń patriotycznych.

Można też na emigracji zaobserwować ciekawe zjawisko, które nazwałbym powrotem słów. Słowa zapomniane, nieużywane już w obecnym naszym życiu, wracają do świadomości w postaci wspomnień. Właściwie pozostała z nich tylko dźwiękowa zawartość; sens użytkowy dawno już z nich wyparował. Takie słowo jest już nie głosem życia, lecz jego echem. Jest pustą muszlą, w której czasem słychać szum życia. Przyłóżmy je do ucha: owszem — gra. Niekiedy nawet piękniej, niż dawniej, gdy było wypełnione żyjącym organizmem. Słowo-wspomnienie znaczy też często co innego, niż ongi, w kraju rodzinnym. I tak wyobraźnię wygnańca wypełniają wspomnienia nie tylko opuszczonych miejsc, pozostawionych tam ludzi, wspomnienia często błahych wypadków, które z oddalenia nabrały ważności. Wyobraźnię tę wypełniają również wspomnienia słów, słyszanych

jedynie przed wygnaniem. Takie słowa nawiedzają pisarza jak cienie. Po pewnym czasie cienie te zaczynają żyć własnym, cieniowym życiem, stając się mitami. Każdy pisarz na wygnaniu posiada cały zapas mitów słownych. Zaczyna też u pisarza, a szczególnie u poety emigracyjnego działać osobliwa magia słów, które w życiu codziennym nic lub prawie nic nie znaczą. I znów proszę pomyśleć o Joyce'ie, który z dala od Anglii budował całe kosmosy ze słów przez siebie wynalezionych lub po swojemu przetworzonych.

Wspomniany już Cioran zastanawia się nad losem pisarza, który pracuje na wygnaniu w obcym języku. Dochodzi on do takiego wniosku: „Kto porzuca swój język dla innego, zmienia osobowość, dokonywa heroicznej zdrady, zrywając ze swoją przeszłością i do pewnego stopnia ze samym sobą". Widzi też Cioran dwie formy wyzwolenia dla poety na wygnaniu. Formy te są, jego zdaniem, radykalnie sprzeczne. To — humor i wiara. „Zależnie od temperamentu" powiada Cioran „ulega poeta pobożności lub sarkazmowi". Nie rozumiem dlaczego nie można pogodzić humoru z wiarą. Léon Bloy był bardzo wierzącym człowiekiem, a jednak w jego pismach nie brak gorzkiego sarkazmu. Nie widzę też przyczyny, dla której humor mamy pozostawić wyłącznie diabłu. Jedną z fałszywych legend rozpowszechnionych u schyłku XIX wieku było przekonanie, że niebo jest beznadziejnie nudne, piekło zaś — jakimś niezwykle interesującym klubem „intelektualistów", czymś w rodzaju super-P.E.N.-Klubu. Do rozpowszechnienia tej legendy przyczynił się walnie G.B. Shaw świetną sztuką pt. „Człowiek i nadczłowiek". Dla mnie sama nuda jest piekłem.

Nie mogę też podzielić poglądu Ciorana, że wygnanie jest szkołą szaleństwa. Owszem, wszyscy na emigracji jesteśmy z lekka pomyleni, ale niejeden z nas właśnie na obczyźnie zaczął myśleć rozsądnie, a co się tyczy pisarzy, niejeden na wygnaniu odnalazł właściwą swoją drogę i stworzył wybitne dzieła, których nie mógłby napisać u siebie w domu. Dość przypomnieć bogaty dorobek emigrantów niemieckich z lat 1933-1945. Nie zawsze wygnanie jest szkołą szaleństwa. Może też być szkołą jasnego i przenikliwego patrzenia na świat. U siebie, w domu, w zgiełku życia publicznego, pisarz napotyka na nieprzezwyciężone przeszkody w bezstronnej ocenie tych zjawisk. Czasem bywa współtwórcą tych zjawisk, więc trudno mu być bezstronnym. Na obczyźnie dopiero widzi wyraźnie ich kształt i rozpoznaje ich wartość. Tak niekiedy człowiek dopiero w więzieniu czuje się wolny, bo odcięty od wszystkiego, co go na wolności pętało. Jak Guillaume Apolli-

naire, w samotnej celi paryskiego „Santé". Wyraził to w pięknym wierszu „A la Santé":

„Nous sommes seuls dans ma cellule
Belle clarté Chère raison"

(Pewien niefortunny tłumacz polski przełożył tytuł tego wiersza: „Na zdrowie!").

Nawet Sartre, gdy szukał „Dróg wolności", kazał w drugim tomie swego cyklu powieściowego, w „Le Sursis", jednemu z bohaterów, Mathieu Delarue wołać: *La liberté c'est l'exile et je suis condamné à être libre"*. Wszyscy na wygnaniu możemy powtórzyć te słowa, a pisarz emigracyjny, jeśli dobrowolnie nie odda się w niewolę emigracyjnych dekalogów, może z osamotnienia uczynić bazę swej twórczości.

Samotność ostudza pasje, ale też zaostrza spostrzegawczość. Samotność jest cudowną glebą, na której rodzi się zdolność bezczasowego widzenia doczesności.

Ale nie każdy twórca wyrzeka się sławy i nie każdy potrafi zwalczać swą próżność. Winien on jednak uświadomić sobie, że gwiazdą można być tylko na autentycznym firmamencie, a nie na sztucznym. A wygnanie pozwala mu błyszczeć tylko na tle urojonego nieba, lub raczej na tle dekoracji, przedstawiającej niebo.

How do you spell your name? Jak pan sylabizuje swoje nazwisko? Takie pytanie wciąż stawiają cudzoziemcowi na obczyźnie. Pisarzowi też. A pisarz na ogół lubi swoje nazwisko, ceni je i uważa, że to nazwisko przynajmniej powinno być znane, jeśli nie jest lubiane lub cenione. Pytanie: *How do you spell your name?* nie sprawia mu przyjemności. Niektórzy uważają je nawet za obelgę. Co prawda znamy pisarzy, których nazwiska zabłysły dopiero na emigracji i dzięki emigracji. Samemu faktowi wygnania zawdzięczają oni sławę. Z reguły jednak większość pisarzy na wygnaniu ma „status" anonimów i odczuwa to jako „nędzę". Nie będziemy analizowali tego faktu. Raczej zwrócimy uwagę na dobre strony bezimienności pisarza. Wygnanie i przebywanie tam gdzie jest on mało znany, albo całkiem nieznany, może być dlań doskonałą okazją do porównania własnego sądu o sobie z tym, co pisarz ten naprawdę reprezentuje. Może on przede wszystkim porównać swoje dzieła z dziełami wybitnych tubylców. Taka konfrontacja niejednokrotnie prowadzi do zabójczej megalomanii lub wytwarza równie zabójczy kompleks niższości. Na ogół jednak sprzyja właściwemu wartościowaniu. Pomyślmy teraz o roli tych wielkich artystów, którzy zdobili mozaikami bizantyńskie bazyliki, budowali romańskie i gotyckie katedry, a w tych katedrach sta-

wiali witraże i figury świętych Pańskich i męczenników. Nie tylko my, dzisiaj, nie znamy nazwisk tych, prawdziwie natchnionych artystów, ale i oni sami nie liczyli na to, że potomność je odkryje. Pracowali dla samego piękna swej pracy, dla samej — proszę mi wybaczyć — świętości pracy.

Anonimowość dać może twórcy duże korzyści i ma nawet pewien urok. Jakże często pisarze i artyści dopasowują swe dzieła, a także idee do imienia, które zdobyli w świecie dzięki poprzednim pracom. Taka zależność bardzo źle wpływa na ich nowe dzieła. Artysta staje się niewolnikiem własnego imienia. Pracując natomiast „na zasadzie" anonimu, może nie oglądać się wstecz, na to, czego już dokonał, lecz z każdym nowym dziełem może rozpoczynać nowe życie, jak gdyby w stanie dziewictwa. „To forget its creators is one of the functions of the creation" pisał największy dziś może żyjący pisarz angielski E.M. Forster w eseju pt. „Anonimity". „Jedną z funkcji tworzenia jest to, że twórca zapomina o sobie". Albowiem: „The poet wrote the poem, no doubt, but he forgot himself while he wrote it and we forget him while we read". (Niewątpliwie poeta napisał poemat, ale zapomniał o sobie w czasie pisania, tak jak my, czytając poemat, zapominamy o poecie). „It was not the speaker who was in the beginning, but the Word". (Na początku był nie mówca, lecz było Słowo).

Mówiąc o korzyściach i uroku twórczości bezimiennej nikomu z kolegów i koleżanek, piszących na emigracji, nie zalecam ogłaszania książek anonimowo. Broń Boże! Ale wszystkim kolegom i koleżankom, no i sobie także życzę, by dzieła nasze miały tak szeroki rozgłos, jak „Loreley", choć nazwisko twórcy tego utworu lirycznego przez dwanaście lat było tabu w jego własnej ojczyźnie.

Ale z drugiej strony to, iż twórczość na wygnaniu nie ma rozległego pola radiacji i musi rezygnować z aury, która niegdyś otaczała nasze nazwiska, przeważnie tę twórczość hamuje. Trudno czuć się użytecznym tam, gdzie nas nie potrzebują. Twórcy katedr i witraży wiedzieli, że w tych katedrach będą się modliły tłumy. Nawet szewcem być trudno tam, gdzie ludzie wolą chodzić boso. Szewc, który szyje buty dla imaginacyjnych nóg, może z czasem stracić ochotę do szewstwa i wziąć się do innej roboty. Każdy z piszących emigrantów znalazł się może w podobnym położeniu. Ale nie każdy porzucił swoje szewstwo. Zwyciężyła w nim jakaś iluzja czy nadzieja. Pisarz tworzący bez natychmiastowego rezonansu tworzy na zapas, spodziewając się, że dzieła jego będą rozchwytywane w przyszłości. Tak było z Stendhalem, który w pewnej mierze był również wygnańcem w Civita Vecchia.

Świadomie ofiarował swą „Pustelnią Parmeńską" — *to the happy few*, nielicznym szczęśliwcom. Dokładnie też przepowiedział lata kiedy go odkryje szersza publiczność i lata, kiedy będzie należycie zrozumiany i oceniony. Niejeden powieściopisarz bez rezonansu, czy to w własnym kraju, czy na wygnaniu, żyje podobną nadzieją. Ufa, że stanie się nowym Stendhalem. Taki maksymalny stosunek do własnej nadziei nakłada również maksymalne obowiązki. Kto pragnie, żeby go czytano za lat pięćdziesiąt czy sto, musi pisać inaczej niż autor folgujący chwilowym upodobaniom.

Nie wiemy jak będzie wyglądał świat czytelników za lat pięćdziesiąt czy sto. Liczymy wszakże na to, że i wówczas będą jeszcze ludzie wrażliwi na pewne bodźce moralne, estetyczne, a może i religijne. Tak, jak my dzisiaj, mimo błyskawicznie postępującej barbaryzacji, nie straciliśmy jeszcze wrażliwości na tzw. ogólnoludzkie sprawy i pozaczasowe, czy też ponadczasowe wartości, przekazane nam w literaturach starożytnych, czy w pismach z XV, XVI lub XVII wieku. W XXII stuleciu może już ludzie nie będą grali w football. Tragedia footbalisty będzie wówczas atrakcją dla czytelnika tylko wtedy, gdy w niej znajdzie „czysto ludzkie" elementy, niezależne od samej gry w piłkę nożną. Żaden generał nie zdobywa dziś oblężonych miast przy pomocy drewnianych koni, w których brzuchu siedzą uzbrojeni żołnierze. A jednak nawet w erze atomowo-wodorowej interesują nas dobrze opowiedziane dzieje tamtego oblężenia. Oto jest wdzięczna pokusa dla pisarza na emigracji. Oto blaski wygnania. Możemy szyć buty dla nóg, które za sto lat dopiero będą deptały ziemię. Nb. jeśli będzie jeszcze co deptać.

Ale czas kończyć. Wróćmy do tego, od czegośmy zaczęli te luźne dywagacje. Jeżeli, jak chce autor „Salve Regina" życie nasze na ziemi jest wygnaniem, musieliśmy na to wygnanie przynieść z sobą jakieś mgliste pojęcia o raju utraconym dzięki naszym grzesznym rodzicom. Wśród grozy życia i piekła na ziemi raz po raz odzywa się w nas nagle tęsknota do czegoś, co nie jest piekłem, ani grozą, ani wygnaniem. Kto wie, czy misją pisarzy i artystów nie jest wychwytywanie i postaciowanie tych właśnie tęsknot i przeczuć.

Sądzę, że pracując na wygnaniu, mniej lub bardziej anonimowo, możemy zbliżyć się do tych artystów, którzy w średniowieczu przygotowywali duszę człowieka do innego, już nie wygnańczego bytu. Do takiego, gdzie nikt nikogo nie pyta: *How do you spell your name?*

II

ETAPY I NOWE ETAPY

II

ETAPY I NOWE ETAPY

ZAMIAST PRZEDMOWY

Tytuł tej książki, zapożyczony z terminologii wojennej, łatwo może czytelnika zmylić. Podsuwa on asocjacje z niedawnej przeszłości, kiedy to niemal cały nasz kontynent podzielony był na: tyły, etapy i fronty. Asocjacje te są o tyle słuszne, o ile wszelkie życie, nawet w tzw. pokojowych czasach, jest walką, i to walką na wielu frontach. Autor tych skromnych szkiców, pisanych na marginesie ciekawości świata, nie pragnie uchodzić za bojownika, nawet w symbolicznym znaczeniu. Przynajmniej nie w tej książce. Zadawala się podrzędną rolą dorywczego sprawozdawcy z trzech, bezpiecznych na ogół, odcinków obcego życia, przy czym uprzedza, że do frontów na linii ognia wcale nie docierał. Nie uczynił tego z właściwego mu skądinąd tchórzostwa (jakże wysoko ceni odwagę innych!), lecz z wygody. O frontach, krwawych i bezkrwawych pisze autor „Etapów" obszerniej — na innym miejscu.

Ale przestańmy już mówić o sobie w trzeciej osobie i powiedzmy od razu, o co chodzi. Dlaczego nazwałem ten zbiór bezpretensjonalnych felietonów „Etapami"? Po pierwsze dlatego, że jest to dobry tytuł dla książki, której treść jest o wiele błahsza od niego, po wtóre, ponieważ mimo wszystkie pozory statecznej zasiedziałości uważam siebie za wędrowca. Byłbym jednak w wielkim kłopocie, gdyby mnie zapytano, do jakiego celu zmierzam w mojej wędrówce, której trzy krótkie etapy zostawiły tak niepozorny ślad, jak ta książka. Z czystym sumieniem mógłbym odpowiedzieć: są to etapy mojej ciekawości w dążeniu do poznania świata, lub też: etapy przemijania.

Ciekawość świata skłania wielu pisarzy do częstego przekraczania granic własnego kraju. Jest to ciekawość zdrowa i produktywna, jakkolwiek trudno ją całkowicie zaspokoić. Zdaje mi się, że z wszystkich pisarzy — jeden tylko Joseph Conrad za-

spokoił ją naprawdę. Kosztem wyrzeczenia się stosunków z zaświatem, będących niekiedy rekompensatą za nudę i niemożność wychylenia nosa poza własną parafię — poznał Conrad co najmniej ćwierć całego świata. Dokładność tego poznania pogłębia się jeszcze przez to, że Conrad nie „zwiedzał" świata, jako obojętny turysta, jako neutralny obserwator, lecz jako na śmierć i życie zaangażowany uczestnik, któremu — w razie niepogody nie wolno wracać do hotelu.

Na własnej skórze, którą wystawił na działanie wszystkich niemal klimatów i żywiołów, poznał Józef Konrad Korzeniowski istotę obcych kontynentów, obcych ras i plemion. Tak dobrze ją poznał, aż mu przestała być obca. Pod tym względem jest Conrad unikatem, zarówno w dawnej jak i we współczesnej literaturze. Osobista znajomość tzw. egzotycznych krajów uwolniła jego intuicję i wyobraźnię od trudu, jakim obarczony jest każdy pisarz, pragnący odgadnąć i „wniknąć w duszę" obcego świata, przy pomocy tak zwanych „studiów w terenie". Conrad był w jednej osobie i pacjentem i badaczem choroby, (w tym wypadku morskiej), której na imię: głód autentyczności. Jest to choroba śmiertelna i tylko w rzadkich wypadkach kończy się literaturą.

Joseph Conrad pozostanie chyba na zawsze patronem podróżujących pisarzy, poszukiwaczy autentyczności. Trudno nie wzywać nadaremno jego imienia, gdy mówimy o poznawaniu świata. Wobec Conrada jesteśmy śmieszni z naszymi literackimi podróżami, choćbyśmy je odbywali przez całe życie. Dzieło Conrada przekreśla całą, modną do niedawna na Zachodzie, literaturę reportażową, tzw. „literaturę faktów", będącą u nas ostatnim krzykiem. Conrad zdewaluował ten rodzaj piśmiennictwa przez to, że, rozporządzając materiałem doświadczalnym jak nikt inny, nie ograniczył się do roli kopisty rzeczywistości (i jakiej rzeczywistości!), lecz ją przezwyciężył fantazją i przez to utrwalił.

W chwili, gdy wymawiamy nazwisko Conrada, przypomina się inny wielki podróżnik i znawca świata, który wszakże nie opuszczał czterech ścian swej pustelni, gdzie więziła go długoletnia, śmiertelna choroba. On też trzymał się przeważnie ziemi — i rzadko uciekał do nieba, ale jego ziemia nie była ani gliną, ani piachem, ani morzem, lecz wyfroterowanym parkietem paryskich salonów. Znajomość świata u Marcelego Prousta była uboga w porównaniu z Conradem, ograniczała się bowiem do jednego gatunku człowieka i w obrębie jednej epoki. Wszelako przepaść duszy ludzkiej, zmierzona przez Prousta, upodabnia się do głębin Conrada. Conrad podróżował w przestrzeni, Proust w czasie.

Mam wrażenie, że spełniłem swój obowiązek wobec czytelnika, ukazując mu dwóch największych pisarzy naszego wieku,

którzy zaspokoili trawiący nas wszystkich głód świata. Przynajmniej na pozór zaspokoili. Bo kto wie, czy Conrad i Proust zeszli ze świata — rzeczywiście nim nasyceni? Może go opuścili z żalem, że nie było im dane dokonać wypraw w takie tereny, o których istnieniu my w ogóle nie wiemy?

Warszawa, w listopadzie 1932.

Z WALIZY WŁOSKIEJ (1925-1926)

B a e d e c k e r

Jedna gwiazdka. Dwie gwiazdki. Trzy gwiazdki. To odznaki nieśmiertelności, przypięte na kołnierz Botticellemu, Michałowi Aniołowi, Luca Signorellemu, della Robbiom — w czerwonej biblii wielkiego Mojżesza podróży. Piękne jest tylko to, co tam, jest oznaczone gwiazdką. W ogóle istnieje tylko to, o czym wie On, jedyny, wszechobecny, nieomylny: Baedecker.

Nieprawda, że stary księgarz lipski, Baedecker, umarł przed kilkoma laty. On jest wieczny. Wszędzie był osobiście. Mieszkał jednocześnie w stu hotelach Rzymu, w dwudziestu pensjonatach Florencji, we wszystkich Ritzach i Excelsiorach świata. W najobskurniejszych oberżach gryzły go pluskwy. Ale on gwiżdże na to. Zaglądał do wszystkich restauracji Europy, Afryki, Azji, Ameryki i Australii. Wie, gdzie na całym świecie można sobie zepsuć żołądek, bo kosztował wszystkich potraw po kolei. Wszystko sprawdził, wypróbował, wszystkiego doświadczył na własnej skórze — z czerwonego płótna. Na jego widok truchleli właściciele hotelów, dyrektorzy pinakotek całowali go po rękach. Sam papież nawet, w swoim Watykanie, zabiegał o jego protekcję, bo nuż w zbiorach pontyfikalnych będzie coś nie w porządku, coś, co nie zyska sobie aprobaty wielkiego Sędziego sztuki, komfortu i rzeczy godnych widzenia?

Bez litości stawia Mojżesz pałę w swojej biblii i ostrzega koczujące plemiona przed zatrutymi źródłami. Biada wam, o Excelsiory, Palace'y, Royal'e jeśli w waszych betach znajdzie się choć jedna pchła!

Biada Stwórcy, jeśli jakiś krajobraz nie przypadnie do smaku Baedeckerowi!

Baedecker posiadł *jus primae noctis* na wszystkich łonach przyrody, zagarnął przywilej próbowania poślubnych łóżek, aran-

żowania miodowych miesięcy. To on, stary rajfur wszystkich rozkoszy świata: estetycznych, sportowych i żołądkowych, pozbawił dziewictwa przyrodę i sztukę. Jego olbrzymia, obleśna łapa, pierwsza dotknęła alabastrowej nagości kapitolińskiej Wenery, jego to niesromne oko bez drgnienia podpatrzyło wszystkie Zuzanny w kąpieli.

Dzisiaj to już eunuch, nieśmiertelny eunuch! Pilnuje każdej Ledy, oddającej się łabędziowi, towarzyszy bogom na ich miłosnych schadzkach z ludźmi i towarzyszy człowiekowi na spotkaniach z Bogiem. On, *vir sterilis*, niezdolny do namiętności, na zimno, po kupiecku, ocenia wartość misteriów eleuzyjskich.

Wszędzie był przed nami, zawsze był naprzód, wszystko wie lepiej.

Tam, gdzie nasze serca drżały ze zgrozy, on nie dawał się wyprowadzić z równowagi, lecz bez zająknienia recytował swoje daty i cyfry. Tam, gdzie oczy poetów ślepły od nadmiaru zachwytu i lały łzy — on, przebrzydły belfer, dostrzegał błąd w kompozycji, skazę na fakturze, udowadniał patynę, lub zgoła fałsz.

Bez ceremonii właził do kaplic w Piotrowej bazylice w Rzymie i sprośnymi paluchami dotykał policzka Madonny z „Pietà" Michała Anioła, tłumacząc uczenie, że to nie Bóg, nie człowiek, nie Matka, tylko marmur.

Jako eunuch wchodził bezkarnie do cel mniszek i szukał tam rzeczy godnych widzenia. Nie uszanował nawet cmentarzy, ani katakumb męczenników. Zgłębił tajemnicę przyrody i tajemnicę twórczości, śmiertelny wróg wszelkiego złudzenia, weredyk obmierzły!

On, który kosztuje tylko kilka marek niemieckich, on, który zmieścił się w kieszeni mojego surduta — jak celujący uczeń, jak lizus szkolny, umie wszystko nazwać, nawet to, co jest wiecznie nienazwane.

W bazylice św. Marka w Wenecji, podczas Mszy św. siedziały w starych ławach stare Angielki. Modliły się nabożnie. Uduchowione ich oczy w rogowych okularach, tonęły w ekstazie i szły za śpiewem ku górze, ku złoconym mozaikom bizantyjskim. Raz po raz pochylały się ku grubym książkom do nabożeństwa. Po skończonej Mszy Angielki zamknęły modlitewniki. Książki te miały czerwone, bezwstydne okładki, na których były wytłoczone w złocie litery: BAEDECKER'S ITALY.

◆

Najgorsze jest to, że prawie zawsze masz rację, stary ramolu, i że często nie podobna bez ciebie się obejść. Właściwie

tylko snoby i drugorzędni literaci z okresu Młodej Polski uważają za dobry ton gardzić tobą i wyśmiewać tych, którzy z ciebie korzystają. Co do mnie: mimo wszystko mam dla ciebie wiele sympatii. Nigdy mnie nie oszukałeś. Dzięki tobie udało mi się w ciągu kilkunastu minut odnaleźć pewnego znajomego w trudnej Wenecji. Bez ciebie nigdy bym go nie odszukał w jego mieszkaniu na Giudecce.

W twoim tylko towarzystwie chodziłem sobie pieszo po Umbrii, przez co ją poznałem dokładniej, niż bym to mógł uczynić w samochodzie i w towarzystwie ludzkim.

A jednak znam takie miejsca, o których w tobie nie ma ani linijki, ani słówka nawet petitem. Dowiedz się: widziałem takie cuda, na których widok zdębiałbyś niezawodnie! Co się z tobą działo, żeś zapomniał odwiedzić Montefalco? Tak, stary, genialny Baedeckerze: — Montefalco nazywa się to miasteczko, ta bariera Umbrii, wspaniała rezydencja franciszkańskich fresków Benozzo Gozzoli'ego, której ty nie znasz! A widzisz? O Melanziu też pewno nie słyszałeś? Był to malarz z Bożej łaski, pomimo że nie ma o nim żadnej wzmianki w twojej wszystko wiedzącej, czerwonoskórej księdze.

Mogę tam ciebie kiedyś zaprowadzić, ale pod jednym warunkiem: gdy w nowym, uzupełnionym wydaniu będziesz opisywał Montefalco, musisz to niepowtórzone na świecie miejsce oznaczyć tyloma gwiazdami, ile ja ich widziałem owej nocy na niebie, kiedy wracałem stamtąd do Assyżu.

1925

Boski Gabriele

Io mi glorio esser un Latino e riconosco in ogni uomo di sangue diversa — un barbaro![1].

Dobrze pamiętam te słowa, które On wypowiedział niegdyś o sobie i dlatego nie spełniłem życzenia pewnej damy padewskiej. Dama ta, przejęta snać moim odczytem o najnowszej poezji polskiej, zamiast bukietu złożyła mi życzenie, żebym poznał Jego. Będzie to najwyższe szczęście, jakiego mogę doznać na ziemi włoskiej. Nie skorzystałem, ponieważ mimo wszystkie plotki o pochodzeniu księcia pana de Montenevoso, nie umiałbym jako

1. Chlubię się tym, że jestem Latyńczykiem i w każdym człowieku innej krwi — widzę barbarzyńcę.

barbarzyńca znieść apollińskiego blasku, który bije z majestatu Jego głowy. *Non sum dignus!* Poza tym, jako zatwardziały republikanin nie wiem, jak trzeba się zachować na dworze udzielnych książąt. Wyręczył mnie zresztą inny rodak, znacznie godniejszy ode mnie, mianowicie: młody p. Gimpel, fenomenalny skrzypek, który grał u boskiego Gabriela w Cargnacco, nad jeziorem Garda i wzruszył go do łez. Gdyby nie to, że w owym czasie całe północne Włochy były nawiedzone powodzią, można by przypuszczać, że to łzy gabrielowe powiększyły poziom wód w Garda.

Niewątpliwie jest i szczypta zjadliwej zazdrości we wszystkim, co się teraz we Włoszech i na świecie mówi o d'Annunziu, jako o człowieku i poecie. Nie każdy skryba potrafiłby, jak on, żonglować życiem własnym i życiem drugich. Nie każdy potrafiłby podczas wojny trzykrotnie bombardować pokojowymi odezwami wrogi Wiedeń z wysokości Caproniego. I na własną rękę zdobywać Fiume! I nie każdy potrafiłby tak pretensjonalnie ogłaszać w gazetach rozkazy dzienne dla załogi swej prywatnej kanonierki czy krążownika, jak to czyni On czasu pokoju!

Bądźmy szczerzy. To tylko przez szpetną zazdrość, że mnie nie powitał 21 wystrzałami armatnimi, jak to zwykł czynić na przyjęcie swoich przyjaciół — nie poszedłem Mu złożyć hołdu. Co prawda: on z tego powodu nie powiększył zapasu wody w jeziorze Garda.

Ciekawość moją *in puncto:* „boski" — zaspokoili ludzie, którzy go znali.

Pewien ksiądz opowiadał mi z oburzeniem, że książę pan trzyma na swym dworze dwie autentyczne klaryski, mające obowiązek koić w oznaczonych godzinach jego duszne (jak mawiano za czasów Młodej Polski) męczarnie. Eleonora Duse nie żyje. Idę Rubinstein spotkała niedawno przykrość ze strony Watykanu za to, że w obcisłych trykotach grała świętego Sebastiana w sztuce d'Annunzia. Więc klaryski!... To są plotki natury klerykalnej.

W parku pałacowym „boskiego" znajduje się podobno synteza całej kultury łacińskiej. Nagie posągi bogów i bogiń pogańskich oraz odziane prymitywy średniowiecznych świątków. Wszystko — czego dosłownie „dusza" zapragnie! Bo, co się tyczy ciała (ma ono sześćdziesiąt parę lat!) — przestało już miewać pragnienia. Basta! Zakosztowało do syta wszystkich rozkoszy i boleści tego świata. Jeździło na wierzchowcach takiej i takiej krwi, jeździło wodą, fruwało w powietrzu, tarzało się w żeńskich objęciach różnych ras, niekoniecznie łacińskiej, jadło wszystkie słodkie, gorzkie i cierpkie owoce świata, piło wino, wódkę i piwo, pławiło się w zapachach ambry. (Ja też za trzy liry kupi-

łem sobie flakonik czystej ambry w pawilonie kolonialnym na wystawie w Padwie). Wąchało mirrę i aloes, dotykało złota, pereł i Bóg wie czego. Ale doznawało i ran: kłutych, ciętych i strzałowych. Florety, pistolety, łuczne strzały Amora i odłamki austriackich granatów nie szczędziły tego ciała.

Tarzało się to ciało w piaskach pustyni *(Tripoli-terr'incantata!)* wykarbowało w rozkoszach, — aż tu w Cargnacco jak w Canossie...

Głowa boskiego Gabriela, na niejednej rzeźbie dziś otoczona laurem, — znała cylinder i kask wojskowy, dżokejkę i hełm tropikalny, miała niegdyś nawet i włosy... Ręce boskiego Gabriela niejeden już przyrząd ściskały: lirę złotą (ofiarowaną przez jakiś komitet) i rewolwer, gęsie pióro i szpicrutę.

(To wszystko pisze moja ręka tylko przez zazdrość, że ręce d'Annunzia jej nie ściskały).

A jednak oparłem się pokusie i nie pielgrzymowałem. Wyrzekłem się oglądania tych wspaniałych pałaców, ogrodów, rzeźb i klarysek. Przypomniał mi się pewien anons, kilka lat temu ogłoszony w „Kurierze Warszawskim", mniej więcej tej treści: „Stefan Żeromski poszukuje mieszkania 4-pokojowego z kuchnią itd.". Chodziłem przecie tylnymi schodami do domu przy ulicy Wspólnej, do oficyny, gdzie mieszkał człowiek, któremu Polska zawdzięcza może więcej niż Fiume i „Il Fuoco". Wchodziło się przez kuchnię do tego człowieka także później i na Zamku królewskim. Odprowadzał do drzwi, pomagał wkładać palto...

Tak sobie myślałem na jednej z ulic Padwy, gdy wtem zatrzymał mnie uliczny pucybut z propozycją oczyszczenia zakurzonych trzewików. Nie sprzeciwiłem się, powodowany dziwnymi skojarzeniami: kto komu... niegodzien nawet butów...

◆

Mimo to los zmusił mnie do zetknięcia się twarzą w twarz z obliczem ulubieńca bogów. Pewnego dnia udałem się do perfumerii celem kupienia wody kolońskiej z domieszką chininy. Trzeba bowiem wiedzieć, że gwałtownie łysieję, a jestem bardzo próżny. Wchodzę do sklepu i nagle: widzę przed sobą długi, wyprostowany na baczność szereg d'Annunziów. Właściwie tylko głów d'Annunzia. Patrzyły na mnie groźnym bojowym spojrzeniem, jedna przy drugiej, jedna przy drugiej. Zanim się przekonałem, że ta gwardia głów d'annunziańskich to tylko etykiety z Jego fotografią, nalepione na flaszkach zielonej wody kolońskiej — już jedną z głów trzymałem w ręku. Była łysa i kosztowała cztery liry. Tanio! Woda nazywała się: „Eja, eja, alalà!".

Działać miała skutecznie na porost włosów. Kupiłem ją bez namysłu.

1925

Żywy Assyż

Terra mystica

Są miasta we Włoszech, pełne milczącego lub hałaśliwego piękna, które można ująć w słowa. Można wyrazić słowami zatruty urok cuchnącej i pięknej grzesznicy Wenecji; sprawne pióro z łatwością opisze dostojne, marmurowe zwłoki Romy, po których bezwstydnie jeżdżą zwycięskie w raidach kwadrygi marki „Alfa Romeo" lub „Fiat" i odorem benzyny zabijają woń rozkładającej się przeszłości. Można opisać ludzkim językiem kamienną dumę kolorowych fasad Florencji, radosnych przybytków duchowego smutku i ponurych fortec cielesnej uciechy. Ale dużego trudu potrzeba, aby opisać ciche miasto Assyż, którego fundamenty, pamiętające jeszcze czasy rzymskiej kolonii, są nie tylko z kamienia. Twarde korzenie Assyżu tkwią głęboko w zielonej ziemi umbryjskiej, lecz soki swe ciągną z czerwonej ludzkiej krwi.

Miasto Assyż, zawieszone na stoku góry Subasio, nad morzem winnic i oliwek, zbudowano na zwłokach świętego Franciszka. Oczom podróżnika, zaledwie tylko przybywa do Assyżu, czy to od strony bezbożnego w swej pogańskiej okazałości Rzymu, czy od strony Fra Angelica, to znaczy — Florencji, czy też od strony morza Adriatyckiego — natychmiast ukazują się trzej budowniczowie tego miasta: Bóg, święty Franciszek i ludzki kunszt. I nie oczom jedynie. Wszystkie bowiem zmysły, dzięki nadzwyczajnej jednolitości przyrody, religii i sztuki, ogarnia owo mistyczne zestrojenie koloru murów z kolorem góry i zielenią doliny, ujarzmia ta harmonia, jaka istnieje między surowością architektury XII i XIII wieku, a łagodnym pejzażem. Odurza cię zapach mięty, cyprysu i oliwki, i zdaje ci się, że jest to woń samej Pani Biedy, która wszystkie wieczory przepaja tutaj sobą na pamiątkę swych zaślubin z synem bogatego handlarza sukien, Franciszkiem Bernardone. Ciągle jeszcze o zmroku słyszysz, jak w rozgrzanym powietrzu roztkliwia się skwir ptaków, co były błogosławione. I lubo dawno już ustały tłumne sobory rozmarzonej, różnopiórej konfraternii, to jednak owe szare i brunatne *piccioni* jak wówczas, tak i dzisiaj siadają wieczorem u stóp

sześciu kolumn świątyni Minerwy na Piazza, aby pogwarzyć sobie o dziennych sprawach tym samym głosem, którym owego pamiętnego dnia roztrząsały między sobą ważniejsze ustępy z braterskiego kazania.

Wszystko tu łączy się z sobą: i to, co się widzi i to, co się słyszy i to, co się czuje — dzięki temu, że Assyż stoi dziś w tej samej prawie postaci, w jakiej średnie wieki porzuciły go na pastwę losu. Więc nie dziw, że potężny kościół Santa Maria degli Angeli, barokowy, wybudowany w r. 1569, chociaż leży w dolinie, o dwa kilometry za miastem, nie łączy się ani fizycznie ani duchowo z Assyżem. Przechowuje on wprawdzie tak cenne i ważne pamiątki jak Porziunculę oraz celę, w której umarł święty Franciszek, wprawdzie tuż obok znajduje się ów mistyczny ogród z różami, cudem pozbawionymi kolców — mimo to kościół ten robi wrażenie intruza w nie swoim świecie. Obce jest temu kościołowi wszystko, co stanowi rasę Assyżu. Jego okrągła, baniasta, rzekłbyś: pychą wydęta kopuła nazbyt pomnożyłaby niedyskretnym echem — pokorne szepty wyznań, tak pieczołowicie chronionych przez gotyckie lub romańskie nawy świętego Franciszka, świętej Klary, świętego Rufina, świętego Damiana, a posyłanych do nieba długimi czworokątnymi kominami prostych wież, płasko ściętych na szczycie. Więc słusznie należy się miejsce kościołowi Santa Maria degli Angeli — *fuori le mura*, tuż obok dworca kolejowego.

Żyje Assyż własnym życiem, tak bardzo odmiennym od życia sąsiedniej Perugii. Codziennie samochody czterech hoteli zwożą przez Porta San Francesco podróżnych z całego świata, którzy tam w dole zostawiają cały swój uciążliwy bagaż światowych zmartwień i rozkoszy, a na górę jadą wolni i cisi. Nie ma w Assyżu ani więzień ani policjantów. Jest tylko jedna większa kawiarnia oraz kilku pachołków gminnych, otwierających za napiwkiem płytę na rynku i obnażających schody, którymi schodzi się oglądać ruiny starorzymskiego trybunału. Miasto liczy dziś przeszło dziesięć tysięcy mieszkańców. Żyją oni głównie z eksploatowania tradycji franciszkańskiej: na majolikowych talerzach wyrażają umiejętnie cud w Gubbio lub dziergają piękne „punta d'Assisi", na których święta Klara wyobrażona jest robotą krzyżykową. Żyją tutaj plantatorzy oliwek, tych drzew biblijnych mających przeszło trzysta lat — i oczywiście wincerze. Banki, sklepy, trattorie, apteki służą przede wszystkim gościom.

A z gośćmi bywa tak: albo przyjeżdżają z Baedeckerem, który zaleca im dawkę: pół dnia pobytu, albo przyjeżdżają bez Baedeckera lub raczej mimo niego i zostają dłużej. Baedeckerowcy i pielgrzymi, których tutaj przywiodła nadzieja indulgencji w

Anno Santo nie spędzają w Assyżu dłużej ponad jeden dzień. Jadą dalej, obejrzawszy freski Giotta i Cimabuego i pomodliwszy się u grobu świętego Franciszka i świętej Klary.

Ci jednak, którzy zostają tutaj dłużej, na ogół ludzie bardzo sympatyczni, w krótkim czasie czują się w Assyżu zadomowieni. Mają oni jakąś jawną lub ukrytą przyczynę, dla której tutaj siedzą. Przyczyna może być tylko jedna, i łatwo ją odgadnąć. Siedzi się tutaj dla świętego Franciszka i — dla wszystkiego, co może dać jego kult. Przyjeżdżają więc do Assyżu na dłuższy pobyt katolicy, znużeni płochością wielkomiejskich jarmarków, pragnący odżywić, odświeżyć zamierającą wiarę, pielgrzymują tutaj ludzie o sercach zbolałych w poszukiwaniu ukojenia, nade wszystko zaś zjeżdżają uczeni, poeci i artyści, którzy pragną oddać swe rzemiosło w służbę zbliżającej się siedemsetnej rocznicy śmierci wielkiego świętego — poety. Z Ameryki Północnej i Południowej, z Afryki, z Azji, z wszystkich krajów Europy pełno adoratorów miał w tym roku święty Franciszek. W hotelu „Subasio", gdzie mieszkałem, znajduje się księga, w której można oglądać podpisy gości w narzeczach indyjskich, w piśmie japońskim i arabskim. Są to przeważnie turyści, pięknoduchy i bogaci poszukiwacze osobliwości.

Pokaźna rzesza pracowników naukowych lub artystów przez to, że pracuje w tej samej materii, jakkolwiek na różny sposób i w różnych językach, wytworzyła tutaj niezwykle czystą i miłą atmosferę „wspólnoty interesów". Udziela się ona nawet hotelowi, w którym mieszkamy, i nie jest obca dorożkarzom i służbie. Cały współczesny Assyż dostosował tętno swego życia do tego, co nas tutaj sprowadza.

Możemy więc poruszać się spokojnie, pracować jawnie, nie w ukryciu. Nikt nas w Assyżu nie wyśmieje, że zajmujemy się świętym Franciszkiem i świętą Klarą, bo każdy tubylec zna na pamięć to, co nas przykuwa, i wie, czego szukamy. W tych warunkach to ciche i wysokie miasto czyni wrażenie sanatorium gdzie leczą się chorzy na tę samą chorobę. Sprawy, o których tutaj się nie mówi, są tak powszechne, jak zażywanie lekarstw w szpitalu lub ratowanie się ze wspólnej opresji. Na to, co tutaj jest najważniejsze, nie trzeba słów, zasadnicze sprawy kultu i zachwytu — nie ulegają wątpliwości, tutaj ludzie porozumiewają się niejako na duchowe migi. Rankiem wychodzi się z hotelu na połów, a wraca się wieczorem do obiadu wzbogacony o jeden szczegół historyczny więcej, o jeden argument, o jedną wizję więcej. Nasz sąsiad łatwo zgaduje, z czym wracamy. Rzeczy, o których tutaj się mówi, (w różnych językach, najczęściej w

angielskim), gdzie indziej, choćby w Rzymie na przykład, są już nie do pomyślenia. W miastach, gdzie życie jest bardziej różnorodne, gdzie życie ma wiele stron, gdzie ścierają się jego nurty, jak najbardziej sprzeczne — trzeba obwarować się zastrzeżeniami, zasadami, trzeba ustawicznie legitymować się intelektualnie. W Assyżu to, co nazywamy ogólnie „życiem", ma tylko jedną stronę dla podróżnego, ale i stali mieszkańcy — jak to już powiedziałem — też poddają się temu. W Assyżu człowiek ośmiela się być szczery, żyjąc realnie nierealnością cudów, którymi przesiąknięte są ta ziemia i płótna i ściany. Tu człowiek staje się po pewnym czasie skłonny do wyznań wobec bliźniego, a wyznania te są z rodzaju najgłębszych, najistotniejszych. Przepada gdzieś ów fałszywy wstyd, który nam zabrania mówić do drugiego człowieka po prostu i szczerze. Możemy więc śmiało zwrócić się do nieznajomego sąsiada przy stole z zapytaniem: „Jakie dziś oświetlenie było w dolnej bazylice?". Lub: „Czy widział pan już „Apoteozę" w prezbiterium?". Tak, jak na plaży morskiej wolno zapytać nieznajomego o to, czy woda dziś ciepła.

To koleżeństwo ożywia średniowieczne mury, przepełnia zaufaniem do człowieka, zwierzęcia, rośliny. Osiołki, ciągnące kolorowe wózki na szosie, też miałbyś ochotę zagadnąć o to, co ci serce rozpycha. W takim pejzażu, w takim otoczeniu, jakże się dziwić pochwale wszystkiego stworzenia, wyśpiewanej ustami umierającego Ojca Serafickiego?

W tych, zaprawdę czarujących, warunkach może i śmierć wydać się siostrą. Dopiero w Assyżu zrozumiałem, co znaczy *genius loci*.

Wiele pięknych wspomnień zawdzięczam miłemu Francuzowi, p. Janowi Coissac, profesorowi kolegium muzułmańskiego w Rabacie, oraz entuzjazmowi panny de Vimont, w których towarzystwie zwiedzałem Montefalco i Foligno. Na wysokości Assyżu i w dolinie umbryjskiej tak łatwo dotrzeć do głębi serc ludzi, przybyłych z daleka, tak doskonale poznać można skomplikowaną nadbudowę umysłów, wychowanych w odległym środowisku!

Rozrzedzone powietrze tych ziem mistycznych niweluje w nas wszelkie szyderstwo, wszelkie przesądy, przyniesione nie wiadomo skąd, zabiera wszelką nieufność, którą tak skwapliwie wszczepia w nas kultura strefy umiarkowanej. Rodzime, zatwardziałe przesądy cudownie tają pod gorącym promieniem śródziemnomorskiego słońca, tego samego słońca, którego chwałę śpiewał Poverello. Podmuchy, idące od morza, doskonale zwiewają z naszych dusz ponury barbaryzm, pokrywający wrogą warstwą kurzu — najszlachetniejsze nasze pokłady.

Trudniejszą zaiste pracą od odskrobywania zatartych fresków w kruchtach jest odkruszanie wrogich pokostów z ludzkich serc.

Freski, płótna, pieski i koty.

Dla nikogo chyba we Włoszech nie jest tajemnicą, że poezja w języku włoskim *(nella lingua volgare)* zawdzięcza świętemu Franciszkowi swój rozkwit w XIII i XIV wieku, podobnie jak malarstwo. Ten „najświętszy ze wszystkich Włochów i najbardziej włoski ze wszystkich świętych", jak go tu nazywają, będzie w r. 1926 uczczony oficjalnie jako bohater narodowy. Będą nawet wydane znaczki pocztowe z wizerunkiem Biedaczyny. Osobliwy zapach ma religijne malarstwo szkoły umbryjskiej, nagromadzone po kościołach, klasztorach i pinakotekach miasteczek, rozłożonych na górach, obramowujących dolinę Umbrii. Nigdzie indziej w północnych i środkowych Włoszech nie spotkałem tak bezpośredniego stosunku do spraw boskich. Może u jednego tylko Beato Angelico z Fiesole — w Museo San Marco w Florencji przypomniałem sobie to, co czułem w Umbrii. Ową cierpką słodycz i słodką gorycz, którą przesycona jest cała ta ziemia. *Soave austero della Umbria verde.*

Kłamie Perugino, nauczyciel Rafaela, kłamie w Perugii i w Montefalco i w Rzymie. On nie wierzył w świętość, którą tak świetnie malował. Jego Madonny przewracają oczy, a jego święci zachowują się jak aktorzy. Ale prawdę mówił zawsze pokorny Benozzo Gozzoli, po Gioccie drugi piewca legendy franciszkańskiej. Prawdę mówił montefalkończyk Melanzio. Oni wierzyli w miracula, wierzyli liniami i kolorami, których tajemnicę zabrali ze sobą do grobu. Wiara była dla nich prywatną koniecznością serca i oni to, a nie Vanucci, zwany Peruginem, nadali szkole umbryjskiej jej charakter.

Na tych ziemiach mistycznych zlewają się granice wiary z granicami sztuki, treść dzieła sztuki staje się jego formą, a pokora chrześcijańska mieści się bez reszty w pokorze artysty wobec swego rzemiosła.

Odurzające, mistyczne powietrze tej ziemi każe zapomnieć w Assyżu, że tu urodził się wielki elegik rzymski, Propercjusz. Tak bardzo pamięć jego przykrył ubogi habit mnicha, założyciela franciszkańskiej reguły.

Kiedy już mowa o pieskach, przypominam sobie pieska naczelnika stacji, pana *capo stazione* z Conegliano, o którym tak pięknie pisał kiedyś Jarosław Iwaszkiewicz. Powiem Ci więcej,

Jarosławie: widziałem i bawiłem się z pieskami nie tylko przed bazyliką świętego Franciszka, na wolnym, balsamicznymi zapachami nasyconym powietrzu wieczornym. Odnalazłem pieska, leżącego ze skulonymi łapami i podwiniętym ogonem — w najbliższym sąsiedztwie Męki Pańskiej.

Któż inny, jeśli nie święty Franciszek, pozwolił malarzom wsadzać psy na freski, opiewające najboleśniejsze ekstazy? Jemu to, Biedaczynie, zawdzięczają pobożni malarze XIII w., że do scen sakralnych, które w skupieniu wyobrażali pędzlem na ścianach kaplic, mogli pakować najdroższe sercu stworzenia: i ludzi bliskich i zwierzęta i rodzinne miasta.

Wspaniałą wolnością obdarzyła artystów śpiewająca dusza świętego Franciszka. — I rozpętały się kunszty w radosnej orgii postaciowania wszystkich „naszych dziennych spraw" w pobliżu świętości.

O, jakże ta swoboda korciła takiego Mezastri, aby namalować obok „Adoracji magów" całą swoją oborę!... Komu należała się wdzięczność za to skojarzenie doczesnego, podwórkowego życia z wiecznym życiem Śmierci Pańskiej?

Jako żywo, w kościele San Fortunato w Montefalco, na fresku, którego autora nie pamiętam, leżał pod Krzyżem Golgoty — mały, biały kotek.

Sierpień, 1925

Assyż, Vicolo San Spirito nr 5

Assyż, rzymskie Assisium, — to bardzo piękne miasto. Średniowieczny Assyż istnieje jeszcze dziś. Wolno nam wałęsać sie kamiennymi ulicami, jakby wyciętymi z kubistycznej dekoracji teatralnej, tymi samymi placykami, które niespodzianie wynurzają się spoza wąskich, romańskich łuków, tymi samymi spadzistymi zaułkami, którymi chadzał święty Franciszek. I wolno nam wyłazić na te same blanki obronne, na zielskiem zarosłe donżony, które niegdyś jego ręce pomagały budować. I kościoły odwiedzać, które on uchronił od zagłady. Dzwony świętego Damiana, dzwony świętego Piotra, świętego Rufina, tłuką się dzisiaj tym samym spiżem, co wówczas. Został się w nich żywy głos, pogrobowiec umarłych wieków.

Dzisiejszy Assyż jest prawie taki sam, jakim był za życia św. Franciszka, tylko pomnożony o kolosalne kościoły jego imienia i św. Klary. Trochę wież przybyło małej mieścinie od tego

czasu, przede wszystkim Torre comunale, przyrośnięta plecami do świątyni Minerwy (obecnie kościoła Santa Maria sopra Minerva), trochę gotyku, trochę pałaców renesansowych, budynków zakonnych i świeckich. W Torre comunale mieści się telegraf, a piękne samochody wpadają z wyciem do miasta przez stare bramy warowne i reflektorami zmiatają z drogi złudzenie przeszłości. Lampy elektryczne urągliwie pchają swą pucołowatą rumianą jasność w mroki średniowiecza. Ale ono nie poddało się cywilizacji nowoczesnej. Tu, w Assyżu, średniowiecze jest niezwyciężone.

Assyż — to rozległa terasa, pofałdowana mniejszymi terasami zieloności i murów. Jak olbrzymia, spróchniała szczęka wychyla się z łysej mordy góry Subasio i szczerzy swe kamienne, w kilku rzędach osadzone zęby ku cienkiej wodzie Chiaggia i Tescia. Oba te dopływy Tybru, jak białe bandaże, oplatają podbródek góry i liżą jej spętane, nadgniłe korzenie. Żółtą kością szczerbatych, gibelińskich wieżyc wgryza się Assyż w błękitną słodycz nieba. Króluje na wzgórzu ponad nieobjętą okiem doliną Spoleta, owłosioną winem, cyprysem i oliwką. Olbrzymia ta dolina była za rzymskich czasów jeziorem, którego brzegi sięgały od Spoleta do Perugii. Ale już za Cezarów gdzieś sobie poszły precz wielkie wody, opuściły szeroką miednicę, opartą z obu stron o Apeniny. A kiedy wszystka woda zapadła się bezpowrotnie, dolina obnażyła się bezwstydnie jasną, szeroką na osiemdziesiąt kilometrów kwadratowych nagością zieleni. Zieleń ta rychło poczęła się komplikować i przecinać w pasma, uprawne ręką Boga i ręką człowieka. Człowiek wyszarpał z niej szpalery winogradu i poprawił robotę Boga, przekopując oliwki. Oto na stokach wzgórz, u stóp miast, widocznych z Assyżu: Spoleto, Spello, Trevi, Montefalco, aż ku Perugii stoją przycupnięte, pochylone, czarne, chropawe pnie oliwne. W tym rozdartym zasuszeniu trwają kilkaset lat i trwają pokręcone, popękane, zmasakrowane, jakby armią piorunów pobite. Pośród nich wesoło kołyszą się wąsate hufce jarej pszenicy, triumfalnie powiewają pióropuszami bataliony kukurydz, ze wstydu rumienią się rubaszne pomidory, a drzewa oliwkowe stoją nieruchome, stężałe, jak stare jałowe wiedźmy. A jednak — o dziwo — ich wyschnięte łona nie są jałowe. Bóg jeden chyba wie, jak to się dzieje, że przez te pniaki bezsilne przepływa corocznie sok i każdej wiosny świeże listowie je pokrywa. Pokurczone te, artretyczne prababki żywią swym tłustym owocem już setne pokolenie tutejszej ludności. Szeregi pni winnych i figowych łączą się z sobą festonami, girlandami winnych gałęzi i zdaje się, że to jakiś nieruchomy kadryl drzew odbywa się na przestrzeni całej doliny Spoleta: tak mocno wszystkie drzewa trzy-

mają się za ręce. Nad tym zielonym balem czuwa wiecznie uśmiechnięty wodzirej: słońce i napełnia sobą wszystkie źdźbła, gałęzie, pnącze i do korzeni nawet zagląda. Tyle wesela, tyle szczęścia rozlewa się szerokim korytem po spoletańskiej dolinie, że nieraz wątpliwość nas ogarnia: a może jednak Królestwo Jego było z tego świata?

◆

„Hoc oratorium fuit bovis et asini stabulum
In quo natus est Franciscus, mundi speculum".

„Kaplica ta była wołu i osła stajenką, w niej się urodził Franciszek, zwierciadło świata" — Te słowa wyryto w kamieniu, gotyckim sposobem, nad wejściem do pewnej kapliczki. Kapliczka nazywa się San Francescuccio. Assyż, Vicolo San Spirito nr 5, parter. Oto dokładny adres miejsca, gdzie przyszło na świat tego świata zwierciadło. We wrześniu, może 26 września, roku Pańskiego 1182. Na świat, który miał się skończyć w tysiącznym roku rachuby od narodzenia Chrystusa. Chrystusa Pana, którego stolicą na ziemi był Rzym, przegrodzony od Assyżu doliną Spoleta, doliną Rieti, górami Sabińskimi. Ale świat nie skończył się, mimo przepowiedni, mimo znaków na ziemi i na niebie. Pokuta okazała się niepotrzebna, posty i umartwienia — niewczesne. Umarli nie wstali z grobów a żywych sądził nadal podesta i biskup. Cień czarnych skrzydeł szatana, co jak olbrzymi sęp-obłok, kołysał się nad światem i groził wieczystą ciemnością piekła, nagle zbladł. Grzechy człowieka — widać — nie przeważyły jeszcze na szali. Wychudłe ciało biczownika, do krwi oćwiczone, z powrotem zapragnęło rozkoszy. Dusza grzesznika, oczyszczona łzami i modlitwą na nowo tyć zaczęła pychą. Duszpasterze już się odwracać jęli od trzody, której piekielny wilk jakoś w swe zęby porwać się nie kwapił.

◆

W mieście Assyżu, madonna Pika, żona messer Pietra Bernardone wije się w bólach połogu. Męża nie ma w domu. Pojechał do Francji w interesach. Po atłas, po altembas, po aksamit, po brokat. Tym handluje.

Pani Pika, (Bóg raczy wiedzieć: mówią, że jest pochodzenia prowansalskiego) bardzo się męczy. Pierwszy poród. Trudny poród. Bardzo trudny poród. Baba w sztuce babienia biegła okrut-

nym bólom w żywocie pani Piki zapobiec nie może. Dziecko upiera się i nie chce wyjść z błogosławionego łona. W tym ktoś zakołatał do bramy. Raz. Drugi. Trzeci. Dziewka u wielmożnego państwa Bernardone na służbie będąca wychyla głowę z lufcika:

„A dy kto o tej porze?

— „Wpuśćcie, wpuśćcie! Przynoszę ważną nowinę!

Dziewka wpuściła. Obcy pielgrzym idzie prosto do alkowy położnicy. Staje w drzwiach, a była to alkowa bogata i radzi przenieść panią Pikę co rychlej do najbliższej stajni. Tam jest słoma. Niech się położy na słomie, a urodzi lekko.

Pani Pika, łatwowierna i zabobonna, jak zwyczajnie niewiasty w takim stanie usłuchała, zwłaszcza, że pierwszy raz rodzi. Przenoszą ją do malutkiej obory, tuż obok domu. Ostrożnie kładą na słomie. Tam urodziła natychmiast, lekko i bez bólu. Chłopak był.

Widziałem tę scenę na fresku w kościele św.Franciszka (obecnie w Pinakotece) w Montefalco, w Umbrii. Namalował ją w roku 1452 Benozzo Gozzoli.

1926

Ślepi i głuchoniemi w Assyżu

Trudno pisać o Assyżu, w którym od czterech prawie tygodni wiosna zakryta jest chmurami, a zimny wiatr, Bóg raczy wiedzieć, skąd idący, z deszczem po społu — cynicznie zadaje kłam „Kantykowi Brata Słońca". Olbrzymia, przeszło sześćdziesiąt kilometrów obejmująca dolina umbryjska, widoczna z mojego okna, a zamknięta pasmem gór, gdzie na szczytach siedzą przycupnięte średwiowieczne miasta: Perugia na prawo, Spello na lewo, Montefalco naprzeciw, wygląda jak teatralna dekoracja, pozbawiona elektrycznego światła. Cała ta przepyszna panorama: winnic, topól, oliwek, fig, poprzerzynana białymi pasemkami dróg i kolein, nabiera życia dopiero w pełnym świetle słonecznym. Wtedy niebiesko-czerwone wózki, ciągnione przez osiołki, jak pstrokate owady pełzają w dolinie, wtedy kręta wstążeczka rzeki Tescio wije się, jak żywe srebro i wpada do Tybru koło mostu San Giovanni pod Perugią, wtedy kamienne sześciany średniowiecznych domów nabierają fioletowego życia, wtedy cała ta czarodziejska scena budzi się ze snu. Dolina nabiera w płuca szerokiego oddechu, mury parują wiekami, freski w kościołach odzyskują intensywność swych kolorów, złote aureole płoną.

Ale ponieważ jest ciemno i zimno, a niezmordowane Amery-

kanki w rogowych okularach jak ospałe muchy włóczą się po spadzistych zaułkach Assyżu i nadaremno wykręcają karki — by oglądać uśpione w mroku postacie Giotta w Bazylice dolnej, udaję się do „Instytutu serafickiego dla ślepych i głuchoniemych dzieci", założonego w r. 1871 przez Ojca Casoria.

Dyrektorem tego zakładu-szkoły jest przemiły, wesoły, inteligentny Ojciec Jan Principe, który trzydzieści lat życia spędził już pośród tych nieszczęśliwców. Człowiekowi, nie przywykłemu do widoku zbiorowego nieszczęścia, robi się w pierwszej chwili przykro, gdy wchodzi do klas ślepców, w których właśnie odbywa się nauka. Ślepi chłopcy wstają, serdecznym okrzykiem witają swego dyrektora i gościa, po czym na polecenie padre Principe siadają, znowu z okrzykiem: — *Grazie!* Nauczyciel też jest niewidomy. Uczy czytać i pisać. Ręce uczniów z błyskawiczną szybkością uwijają się po wypukłych kropkach, rytych na kartach papieru i czytają palcami. Usta ich z jakąś osobliwą radością wymawiają słowa, wyczute palcami, jakby się rozkoszowały smakiem słów, których znaczenie niejednokrotnie pozostanie dla tych dzieci wieczną tajemnicą. Ręce czytają o kolorach drzew, kwiatów, ręce opisują kształty nigdy nie widzianych stworzeń. Tak wszystko, co dla widzącego jest powszednią konkretnością, dla ślepych od urodzenia pozostaje abstrakcyjną poezją. Rylcem, wyglądającym jak szydło szewskie, uczniowie kursu niższego szybko i biegle piszą swoje nazwiska, ale posiadają dwa rodzaje pisma: jeden dla siebie, drugi dla widzących. Jedno jest przeznaczone dla ich świata, drugie — dla świata, którego nie znają, tylko słyszą i dotykiem przeczuwają. Czytam z podanej mi kartki pozdrowienie ślepego chłopca, wyryte w alfabecie łacińskim.

Olbrzymią bibliotekę mają ci niewidomi. Jest oczywiście Dante i „Promessi sposi" Manzoniego i „Moje więzienia" Silvia Pellica i „Serce" D'Amicisa i „Pinocchio". Są dzieła treści historycznej, przyrodniczej, medycznej, dla starszych dzieci. Ale światem, w którym ci zgaśnięci ludzie doznają radości, światem, w którym panują niepodzielnie, światem prawdy absolutnej — jest dla nich muzyka. Doskonali pianiści — długimi godzinami siedzą przy instrumencie i na cały plac przed bazyliką rozlewają przez otwarte okna żywy płyn Bacha, Beethovena, Chopina. W sali koncertowej przy olbrzymich organach siedzi osiemnastoletni ślepiec i wydmuchuje rękami uroczysty, podniosły chorał.

Idziemy do głuchoniemych. Inny świat. Malcy weseli, w dobrym humorze, wyciągają ręce na nasze przybycie, po rzymsku, (czy po faszystowsku) i machają nimi, jak chustkami za odjeżdżającym pociągiem. O dziwo! Niemi mówią, mówią wyraźnie, a głusi słyszą wszystko, co do nich mówi ich ubóstwiany

opiekun, ojciec Principe. Ten naprawdę franciszkański człowiek kładzie palce do ust niemego chłopca i wydobywa z nich dźwięki: k, g, t, s! Dotykając organów głosowych i oddechowych — wyciąga z niemych dzieci głos, ludzki, normalny głos.

Atmosfera tego instytutu przepełniona jest jakąś zgęszczoną wdzięcznością dla tego człowieka, którego jeden z sześcioletnich głuchoniemych nazwał Panem Bogiem. Dlaczego? „Bóg tworzy, a ojciec Principe stworzył ze mnie człowieka".

O tak, rozumiem, że można w takim środowisku zapomnieć o sobie. Dla ojca Principe pozostały tylko zdrowe zmysły wychowanków. Żyje uszyma i dotykiem ślepych i oczyma głuchoniemych.

Istnieje w Assyżu stary zwyczaj, że Bracia Mniejsi w każdą sobotę wysyłają jednego spośród siebie na kwestę dla Instytutu, który zresztą utrzymuje się z pokaźnych ofiar bogatych ludzi oraz z zasiłków rządowych. Pewnej soboty — kwestujący brat spotyka na ulicy starego żebraka. Ten wzywa go do siebie charakterystycznym na Południu gestem ręki. Brat zbliża się do żebraka, który daje mu dwa soldy na ślepych i prosi, żeby w każdą sobotę o nim pamiętano. I powiada: „Zawsze mnie spotkać można o tej godzinie na tym samym miejscu. Gdyby mnie tutaj którejś soboty nie było, to znaczy, że umarłem". Ojciec Principe, usłyszawszy o tej historii z żebrakiem, zrazu nie chciał wierzyć, potem jednak opowiedział ją swoim wychowankom i dodał: „Gdy ten żebrak umrze, pójdziecie wszyscy odprowadzić go do grobu". Przez długi czas żebrak co sobota dawał swoje dwa soldy dla ślepych dzieci. Aż pewnego dnia umarł. Pochowano go jednak tak, że ani ojciec Principe, ani ślepi nie wiedzieli — kiedy. Prawdopodobnie trupa jego obmyły łzy świętego Franciszka, który na krótki czas przed śmiercią, przez piętnaście dni był ślepy. I wtedy właśnie ułożył pieśń ku czci słońca i wszystkiego stworzenia.

maj, 1926

Z WALIZY FRANCUSKIEJ (1929-1932)

Ludzie w Paryżu

Już zbliża się to miasto, gdzie najpiękniejsze gmachy, place, ulice, ogrody, pomniki i mosty stać się mogą własnością tego, kto na nie patrzy. Być ślepym w Paryżu — to chyba największe nieszczęście. Nigdzie oko nie chłonie tak żarłocznie codziennego piękna, jak na tych ulicach, które zdają się być czymś więcej, niż arteriami komunikacji. Podkreślam, iż chodzi tu o codzienne piękno, a nie o piękno odświętne, godowe, jak we Włoszech lub w Hiszpanii. W Italii chodzimy po marmurach, ręce dotykają alabastrów — to nas onieśmiela i nieraz zmusza padać na kolana. W Paryżu bruk jest tylko asfaltem i możemy po nim chodzić odważnie. Ten bruk nas ośmiela nie tylko do chodzenia, lecz w ogóle do samego życia, a kto umie być szczęśliwy, znajdzie w tym mieście sprzyjające po temu warunki.

Już zbliża się bujny las jedynych w świecie kominów, które obsiadły dachy Paryża, niczym dziwaczne ptactwo. Te kominy zdają się posiadać własną mowę. Długie i kręte, jak szyje metalowych flamingów, czynią kominy paryskie wrażenie, że nie dym posyłać ku niebu jest ich zadaniem i przeznaczeniem, lecz ludzką tęsknotę. Gnieździ się ta tęsknota na poddaszach i mansardach, skomponowanych według wzorów starego mistrza Mansarta, a przybywa tu z całego świata w poszukiwaniu spełnienia. Gdzie, jeśli nie w Paryżu, spełnić się mają tęsknoty ludzkie? Tęsknoty artystów i szantażystów, poetów i poszukiwaczy doczesnej rozkoszy? O każdej porze roku ciągnie ku Paryżowi długim kluczem wędrowne ptactwo z gatunku: człowiek.

Co je tu zwabia od tylu wieków? Klimat? Klimat Paryża nie jest tak pogodny, jak w krajach południowych. Powodzenie? Zdobyć je można i na innych rynkach. Pieniądz? Kopalnie złota

znajdują się na innej półkuli. Miłość? Kochać można nawet w powiecie grójeckim.

Nie, to samo miasto, sam Paryż, jego ulica i cierpki raczej, niż słodki smak codziennego życia przyciąga jak magnes ludzkie namiętności i cierpienia. Tajemnicą Paryża bowiem jest to, że każdy człowiek w tym mieście czuje się przede wszystkim człowiekiem. Zawód, rasa, kolor skóry, język — to wszystko w Paryżu nie ma tak wielkiego znaczenia, jak gdzie indziej. Tyle języków słyszy się w tej stolicy nowożytnej łaciny, że przestaje się je odróżniać; wszystkie zlewają się w jeden wspólny język: ludzki. Wszystko na ogół jest tutaj zrozumiałe: atmosfera Paryża, tak pełna zagadek, stosunkowo jasno się tłumaczy. Chodzi o człowieka, a nie o maszyny i instytucje. Żywioły są już tutaj ujarzmione. Nawet ten największy żywioł: chciwość. I chciwość jest zorganizowana. Ma ona tutaj dostrzegalne granice.

Ludzie w Paryżu dzielą się na Francuzów i obcych. Mądrzy i pracowici tubylcy, pozbawieni złudzeń potomkowie jakobinów — ten imponujący tłum „intelektualistów" oraz wielkomiejskich drobnomieszczan, na zewnątrz niczym się od siebie nie różnią. Mają ten sam wygląd, noszą te same czarne wąsiki i ten sam uśmiech. Dobre maniery zastępują w tym mieście — cnoty i wspólne są wszystkim warstwom tubylczej ludności. Grzeczny i uśmiechnięty jest żebrak — taki sam, prawdopodobnie, jest Rothschild.

Obcy przyjeżdżają do Paryża głównie po to, żeby odetchnąć po trudach, jakie nakłada na nich własna ojczyzna. Tu mogą zapomnieć o swoich obowiązkach lub też nauczyć się właściwego do nich stosunku.

Tu mogą się przekonać, że nie należy brać życia nazbyt tragicznie, lub przeciwnie: mogą dowiedzieć się, że ono nie jest sielanką. Ci obcy, właściwie, nadają ulicy Paryża ów niesamowity urok i niepokoją wyobraźnię. Czarni przypominają białym, że stać ich na coś więcej niż na jazz w lokalach publicznych, żółci studenci anamiccy zawojowali już Sorbonę, Hindusi, Egipcjanie i Japończycy wtargnęli już do wszystkich nauk i sztuk i doznali gościnnego przyjęcia.

Zjeżdżają tu również próżniacy z wszystkich kontynentów, pasożyty i snoby. I z powodzeniem ciągną soki z cudzego organizmu. Nawet ludzie, których życie normalnie wypełnione jest nudą — tutaj przestają się nudzić. Uśmiech Paryża nieraz przymusza urodzonych grabarzy do pogodniejszego traktowania i siebie samych i bliźniego. Ci, którym we własnym kraju duszno, ciasno lub nazbyt przestronnie — znajdą sobie w Paryżu miejsce, gdzie im już będzie swojo. Amerykanie, zmęczeni brutalnością

rozmachu, z jakim u siebie w domu ścigają dolary i zdrowie — tu szukają umiaru, ciszy, łacińskiej kultury i starego, wytwornego smaku. Wszystko to mogą odnaleźć z łatwością i z łatwością sobie przyswoić, zważywszy wartość dolara, za który otrzymują 25 franków i specjalnie miły ukłon.

Królowie zjeżdżają do Meurice'a, żeby choć na krótki czas przestać być królami. Pragną tutaj być tylko ludźmi. Przybywają incognito i wychodzą na rue Rivoli pieszo, w angielskich, cywilnych garniturach, z kwiatem w butonierce. Zapinają swobodnie rękawiczkę lub zapalają papierosa akurat w chwili, kiedy przyczajony za węgłem hotelu operator filmowy zaczyna kręcić korbą.

Pierwszą myślą zdetronizowanych władców, dyktatorów, maharadżów i Amanullahów — jest zawsze Paryż. Z dwiema walizami wysiadają na Gare d'Orsay (w jednej z waliz znajdują się już rękopisy pamiętników, które za grube pieniądze sprzedane będą w okolicy St. Germain) i chronią się na ulicy Paryża przed własną goryczą i cudzą pogardą. Tu, na dobroczynnym asfalcie, pośród tłumu obcych twarzy odzyskują świadomość tego, iż nawet zdetronizowany władca i nielubiany, opuszczony trybun ludu — nie przestaje być człowiekiem, a zwłaszcza mężczyzną. Stają się czuli na wdzięki, wrażliwi na jakość kuchni, niekiedy nawet potrafią pokazać, że i sztuka do nich przemawia. Więc zachowują się, jak nieznani ludzie. Zmęczeni wieloletnią wygodą dworskich karet i samochodów, pierwszy raz po wielu latach wypoczywają prawdziwie na pieszej przechadzce po Champs Elysées. Ostentacyjnie opierają się na laskach, przez co pragną zaznaczyć, że są tylko zwyczajnymi „Messieurs".

Najbardziej wzgardzony w swej amerykańskiej ojczyźnie Murzyn, gdy się wzbogaci, wsiada na okręt i jedzie ze swą murzyńską, naturalnie, żoną — do Paryża. W sportowym ubraniu siedzi z swoją panią na tarasie „Café de la Paix" i pozwala się obsługiwać białym kelnerom, którym daje napiwki. Kolorowy człowiek pije kolorowe apéritify i zapomina o kolorze własnej skóry.

Każdy człowiek ma tutaj równe prawa, o ile jest w łaskach St. Sou. Biada człowiekowi bez grosza w kieszeni. Oficjalnie patronką Paryża jest święta Genowefa. Ma ona swoje wzgórze tam, gdzie stoi Panteon, niegdyś kościół jej imienia, ma piękny fresk w Panteonie, dzieło Puvis de Chavannes'a oraz piękniejszą jeszcze legendę, tylekroć dramatyzowaną przez wielkich i małych poetów. Jednakże rzeczywistym patronem Paryża jest St. Sou. Kto się ucieka pod jego obronę, ten może być pewny życia i radości. Bluźnić mu w tym mieście — to śmiertelny grzech. Wiedzą o tym tubylcy i otaczają swego patrona wielkim i szczerym

kultem. Za to mają zapewniony na starość domek z ogródkiem na banlieue i spokojną śmierć.

St. Sou jest świętym, któremu tubylec poświęca 366 dni w roku kalendarzowym. Nikt się tu nie wstydzi najdrobniejszych, groszowych zarobków czy napiwków, ani ten, kto je otrzymuje ani ten, kto daje. W tym uroczym mieście wszystko ma swoją cenę. Ale najpiękniejsze są rzeczy których kupić nie można i one najwięcej nas pociągają. Za darmo można patrzeć na Sekwanę, za darmo można śledzić w nocy grę świateł na rzece, za darmo można chodzić pięknymi ulicami. Tu St. Sou nie jest potrzebny. Lecz ci, którzy nie umieją lub nie chcą go czcić, muszą niekiedy nocować pod arkadami owych mostów, których widok napełnia nas zachwytem. Wielu już ludzi umarło w nędzy pod tymi mostami.

Zwierzęta w Paryżu

Nie jest chyba przypadkiem, że w tej olbrzymiej stolicy stałego cywilizowanego świata ludzie, którzy już niczemu się nie dziwią, prawie już niczym się nie wzruszają, lecz obojętnie mijają najbardziej egzotyczne okazy swych kolorowych bliźnich — zatrzymują się na ulicy na widok pięknego psa lub kota. I nigdzie chyba ludzie nie odnoszą się tak czule do przyrody jak tam właśnie, gdzie ją w ciągu stuleci najbezlitośniej kaleczyli i gwałcili. Wszystką zieleń zwolna wysiedlono z Paryża daleko poza jego oficialne rogatki, a tę, której wolno było zostać, zamknięto za żelaznymi kratami, co przypominają żelazne klatki zwierzyńców lub więzienne kraty. Nawet kasztany, poczwórnym szpalerem obramujące brzegi bulwarów, tych wielkich rzek, którymi pstra i wielojęzyczna fala ludzka płynie ku nieznanym przeznaczeniom — oddzielono tu żelaznymi kratami od bruku, od ludzi i od śmierci. A jednak z każdym rokiem więcej kasztanów, platanów i wiązów ginie haniebną śmiercią uliczną, umiera z głodu, usycha z pragnienia i dusi się zabójczym odorem benzyny.

Jeszcze tylko w obu zamiejskich „laskach": bulońskim na zachodzie i Bois de Vincennes na wschodzie, w tych „płucach" Paryża, co prawda mocno już gruźliczych, wielkie drzewa żyją na swobodzie i szumią swym niepodległym szumem, w którym nie słychać, jak w miejskich ogrodach, żałosnych westchnień więźnia. Tam, w tych fryzowanych lasach, nawet późną jesienią trawa i drzewo zachowują swą zieleń, i nieraz wczesnym rankiem

lub późnym wieczorem zwilża je świeża niesplamiona kurzem rosa. W pięknym, choć nadto posągami zaludnionym Ogrodzie Luksemburskim, w Tuileriach, w parku Monceau, już w pierwszych dniach sierpnia stopa przechodnia potrąca o zżółkłe, zeschłe liście. W tym mieście kamienia, asfaltu i benzyny kocha się przyrodę spóźnioną miłością, jak człowieka, o którym wiadomo, że umrzeć musi młodo.

Zadyszani, zaaferowani ludzie, do cna pochłonięci swą doczesną gonitwą — usiądą niekiedy na jednej z zakurzonych ławek na bulwarze, odetchną na moment, a znużone ich oczy odpoczną na skrawku dogorywającej zieleni lub na ciele małego pieska. Dla tego pieska — nieraz to widziałem — zatrzymuje policjant swą białą magiczną pałeczką cały ruch uliczny, unieruchomi tłum ludzi i maszyn na najbardziej ożywionym placu, aby utorować drogę bezbronnej kreaturze, co ślepo i pokornie zaufała dobrej woli człowieka, prowadzącego ją na linewce. Nie słychać wówczas żadnych szemrań, żadnych protestów. Posłuszny tłum staje i rozstępuje się jak fala Morza Czerwonego na rozkaz laski Mojżesza, aby przepuścić foxterriera lub jamnika, który w tej powodzi ożywionych maszyn i żywych ludzi, ludzi odzianych, okrytych, szczelnie pozapinanych lub kokieteryjnie obnażających swe wdzięki — jedyny jawi się publicznie w swej odwiecznej, niewinnej nagości. Tak samo lojalnie zatrzymują się ludzie i maszyny, nawet na placu Opery, aby przepuścić wózek z dzieckiem, lub rzadki już na ulicach Paryża — karawan. W tym siedlisku umówionych zwyczajów, uregulowanego i wyrafinowanego życia — niemowlę i nieboszczyk przypominają ludziom surowe w swej prostocie prawa natury, przed którymi korzą się jej ujarzmiciele, choćby tylko na kilka minut. Dzieciństwo i śmierć podtrzymują na ulicach Paryża zerwany kontakt człowieka z ziemią, od której dziecko nie umie się jeszcze oderwać, a do której umarły już powraca.

W Paryżu kopnąć lub uderzyć psa uważano by za taki sam nietakt i barbarzyństwo, jak nie ustąpić dziecku miejsca w kolejce podziemnej, lub nie uchylić kapelusza przed pogrzebem. Nigdy jednak stosunek do zwierzęcia nie przekracza tutaj granic zwyczajnej ludzkiej kurtuazji. Francuzi w niczym nie lubią przesady, więc nie znieśliby jej również w stosunku do zwierząt. Paryż — to nie Assyż, gdzie dotąd jeszcze żyje tradycja największego przyjaciela zwierząt, świętego Franciszka. Na ziemi umbryjskiej, pamiętającej wzniosłe kazania do „braci ptaków" i przymierze z „bratem wilkiem" — nikogo nie dziwi okazały nagrobek, wystawiony w ogrodzie publicznym psu, co wiernie służył swemu panu, ani epitaphium dla tego psa:

Latrai a ladri ed agli amanti taqui
Onde a messere ed a madama piaqui.

(Szczekałem na złodziei, milczałem przy kochankach, przez co miły byłem memu panu i pani). W Paryżu nie wystawiono by psu takiego pomnika, chyba na psim cmentarzu w Neuilly. Tutaj rzeźbi się zwierzęta tylko w celach czysto dekoracyjnych (jak na przykład przed Trocaderem), lub stawia się w charakterze towarzysza na pomnikach wielkich ludzi, którzy zwierzęta kochali, opisywali lub nieśli im pomoc. Piękny jest lis na pomniku La Fontaine'a, który kazał zwierzętom wyrażać ludzkie namiętności i ludzką głupotę. Na wielkim pomniku Pasteura wyrzeźbione są krowy. W jednym tylko miejscu na ulicach Paryża widok rzeźbionych zwierząt odraża swym cynicznym symbolizmem. Na portalu rzeźni Vaugirard, największego *abattoir*'u na lewym brzegu Sekwany, stoją na straży śmierci własnej rasy — dwa olbrzymie, w śpiżu wykute, woły. Nie wiadomo jaka jest intencja tych posągów. Czy mają one pędzonym na ubój wołom w ostatnich chwilach życia przypomnieć ich własną wspaniałość, która tu oto się kończy, czy też mają być hołdem spożywcy, złożonym przedmiotowi konsumpcji. Szczególnie bolesny jest w Paryżu widok zwierząt, prowadzonych na rzeź. Tu, gdzie koń na ulicy, należy już do rzadkości, nieraz spotyka się w okolicy rzeźni stare, wychudzone szkapy, jak pogrzebowym, zrezygnowanym krokiem, z opuszczonym łbem idą zdane na niełaskę człowieka, któremu już na nic lepszego przydać się nie mogą.

Ale pięknie wygląda samotny, bystry konik, gdy nagle wyłoni się na placu Etoile spośród wirującego kłębowiska samochodów i tramwajów. Toruje sobie drogę dzwoneczkiem, umieszczonym u pięknej szyi, połyskującej własną, naturalną maścią pośród lakierowanych tułowiów maszyn. Ciągnie czarną zgrabną karetkę lśniącą tym samym żałobnym połyskiem, co uroczysty cylinder siwego stangreta, który na wysokości kozła niby na wysokości tronu, dzierży w białych rękawiczkach lejce i cieniutki, pionowo jak lanca osadzony bicz. Bicz ten jest równie nieruchomy, jak twarz i cała postać stangreta, stanowi raczej starodawny symbol władzy, niż przyrząd do zacinania opieszałego zwierzęcia. Oba te anachronizmy: dumny stangret i dumny koń, z pogardą patrzą na ów szalony świat, którego już nie rozumieją i nie pragną rozumieć. Przez okienko karety ukaże się siwa głowa staruszki w niemodnym kapeluszu, zapewne jakiejś arystokratki z Faubourg St. Germain. Dama ta nigdy nie pogodzi się z metalowym wehikułem 20-wieku, jak nigdy nie pogodzi się z Trzecią Republiką i w ogóle z nowym porządkiem świata. Ta trójka:

dama, wierna tradycji swojej młodości, oraz koń i stangret, wierni damie, przemykają pośród krzykliwych aut, jak trzy zjawy, trzy wyrzuty, trzy wspomnienia odległej epoki, która w czarnym, lśniącym pudle karety, niby w czarnej trumnie wybrała się na popołudniową przejażdżkę po obcej i nieżyczliwej współczesności. Jak trzy cienie elizejskie suną te trzy przeżytki dawnego świata po gładkim asfalcie Pól Elizejskich Paryża.

Co noc składa ziemia, ta prawdziwa ziemia, gnojona i pracą ludzkich rąk uprawiana, wizytę kamiennemu miastu. W okolicy Wielkich Bulwarów zjawiają się po północy duże, jednokolne wózki ze stosami zgilotynowanych głów kapuścianych i sałat. Kartofle, marchwie, kalafiory, zwożone w nieprawdopodobnej ilości z podparyskich ferm, roztaczają wśród nocy woń ziemi i regenerują zużyte za dnia powietrze. Jeden za drugim, jeden za drugim ciągną te wózki zaprzężone w białe, gigantyczne koniska z długimi grzywami, i ciężkim truchtem kierują się ku „brzuchowi Paryża", ku Halom. Jak janczarska kapela, grająca w takt marsza pogrzebowego, rozbrzmiewają na szyjach tych przedpotopowych koni dzwonki i dzwoneczki.

Jeszcze na niektórych ulicach i w zaułkach starej Dzielnicy Łacińskiej, za kościołem St. Severin, spotkać można w porannych godzinach koziarza, który w otoczeniu kilku kóz wygrywa na okarynie stare, pasterskie pieśni. Tak wygląda pradawna reklama koziego sera i koziego mleka. Ale dni tej romantycznej sceny na paryskim bruku są już policzone. Prefektura już wydała zakaz i wyznaczyła termin, po którym przez wzgląd na niebezpieczeństwo życia i wzmożony ruch samochodowy — nie będzie wolno kozom przechadzać się ulicami Paryża. Niechaj kozy wezmą sobie przykład z owej uśmiechniętej krowy, z *La vache qui rit,* reklamującej swój ser na afiszach, rozlepionych na stacjach Métro. Z czego właściwie śmieje się ta krowa, z kolczykami z pudełek od sera w uszach? Ze swojej czy też z ludzkiej głupoty?

Pochylone nad pasztetem z własnej wątroby dumają dwie stare gęsi w starodawnych czepkach na głowie i delektują się smakiem własnego mięsa. Na wszystkich stacjach Métra można oglądać te dwie stare, alzackie matrony gęsie.

Przypięte do okien najwyższych pięter Faubourg St. Antoine, dzielnicy Wielkiej Rewolucji, za Bastylią, wiszą wysoko w powietrzu klatki z kanarkami. Hodują je episjerki oraz wdowy po episjerach i *concierge*'ach tej, niegdyś krwawej, dzielnicy. Cała krew, wszystka zawziętość i mściwość dawnego plebsu paryskiego już się wyczerpała. Dzisiaj wygwizduje ona łagodne rulady gardziołkami kanarków. Te ptaszki — to żywe symbole ugłaskanego żywiołu mieszczańskiej rewolucji, obchodzącej wesoło swą

rocznicę 14-go lipca każdego roku. Kanarki z Faubourg St. Antoine żyją w wielkiej zgodzie z dumnym ptakiem herbowym Republiki, z kogutem, co zdobi zielone pudełka monopolu zapałczanego.

Poobiednią porą potomkowie dawnych jakobinów głaszczą sierść ugłaskanych potomków tygrysich: kotów, mądrych Hamilkarów Sylwestra Bonnarda z powieści France'a, które ze schowanymi pazurami drzemią na kominkach, zapomniawszy o istnieniu słynnych szczurów paryskich.

Sekwana w Paryżu

Zahipnotyzowany grą świateł na placu Concorde, perspektywą Luwru, ogrodów tuileryjskich i Pól Elizejskich — obcy przechodzień szybkim krokiem mija Sekwanę. Bardziej go kusi zagadkowy, a tyle przygód obiecujący szum i blask Wielkich Bulwarów, niż nocny szum tej poważnej rzeki, której ciemną taflę przerywają raz po raz długie i zygzakowate smugi świateł, padających z latarń mostowych. Nie przeczuwa nawet obcy przechodzień, ile żywych egzystencji przepływa dniem i nocą tuż pod samym Luwrem, ile tysięcy ubogich żywotów upływa w ciężkiej pracy na kilka kroków poniżej królewskich pałaców i muzeów.

Czasem syrena holownika przeciągłym rykiem zatrzyma przechodnia na moście i każe mu przechylić się przez kamienną lub żelazną balustradę i spojrzeć w dół na wodę. I niespodzianie ujrzy przechodzień przez uchylone drzwi kabiny przepływającej barki — wiszącą lampę naftową z okrągłą porcelanową umbrą i ujrzy stół, zasłany białym obrusem i całą rodzinę, zebraną dokoła stołu. Jak spokojnie spożywa ona wieczerzę! Dziwny to widok płynącego życia rodzinnego i płynącego odpoczynku po pracy. Przywykliśmy wszak do odpoczywania w stanie nieruchomym i na jednym miejscu. Śród starych desek barki żyją całe rzesze flisaków i zachowują pozory życia domowego. Nic ich nie obchodzi, co się dzieje na górze, na lądzie. Mało dbają o to, czy przypadkiem ktoś z mostu lub z bulwarów nadrzecznych nie śledzi ich codziennego trybu życia. W dzień pracują na wodzie, a wieczorem odpoczywają, jedzą lub śpią. Ruchome ich mieszkania nie budzą zazdrości ludzi osiadłych, zamieszkałych w nieruchomych martwych skrzyniach, zwanych domami. Niekiedy jednak te płynące, ciasne ogniska rodzinne dają nam złudzenie wolności, do której tęsknią nawet niektórzy posiadacze will i zameczków. Romantyzm

takiego życia uświadamiają sobie jedynie ci, którzy patrzą na nie znad rzeki, flisakom na Sekwanie obcy jest zapewne wszelki romantyzm. Nie zdają sobie sprawy z uroku nocowania dziś pod Luwrem, jutro w Lasku Bulońskim, a pojutrze w Hawrze lub w Rouen. Ich dola, płynąca po Sekwanie razem z ich łóżkiem, razem z portretami ojców na ścianie, z klatką, w której mieszkają kanarki, z gramofonem, ta ich wędrowna dola nie należy do lekkich. Paryż bowiem uchodzi za jeden z największych portów handlowych Francji, a ta piękna Sekwana, malowana tylekroć przez impresjonistów, spełnia jeszcze inne zadanie ponad to, iż dostarcza materiału do romantycznej zadumy. Na jej, wąskim stosunkowo, korycie dniem i nocą wre wytężona praca. Na jej brzegach i quai's od świtu do zmroku ładują i wyładowują ciężary

Nie, Sekwana nie jest rzeką od parady i nie przecina centrum Paryża w celach dekoracyjnych. Nie jest ona, jak Ren, wątkiem legendy, w jej ciemnych nurtach nie pluskają nimfy, na jej dnie nie ma złotego skarbu Nibelungów. To trzeźwa, pracowita i skromna rzeka. Nie kąpią się nimfy w jej falach, lecz żywi ludzie w upalne dnie i to w samym środku miasta, zaś na dnie Sekwany w Paryżu, a raczej pod dnem, pędzą z hukiem żelazne smoki elektryczne, naładowane żywymi ludźmi: Métro. Tak jest: wodnik z dna Sekwany nazywa się Métropolitain.

Sekwana jest bezwstydna i nie cierpi uroczystości. Jest naga, jak sama prawda życia i pracy. Praca na niej nie skupia się za rogatkami miasta, lecz „szpeci" widok pryncypalnych bulwarów i mostów. Pod mostem Concorde mieści się port dla kamieni, cegieł i piasku, pod samym Luwrem znajdują się *établissements des bains,* i w centrum stolicy starego świata miłośnicy sportu wędkowego całymi godzinami łowią ryby.

Postanowiłem przejechać się parowcem-tramwajem wzdłuż całej Sekwany w Paryżu, żeby poznać, niejako w przekroju, różne fazy życia na rzece i nad rzeką. Wsiadam na statek w Suresnes. Suresnes — to malownicza *banlieue,* u stóp Mont Valérien i przy końcu Lasku Bulońskiego. Budka stacyjna kołysze się już na pontonie. Parowiec-tramwaj nadpływa biały, z nieodłączną reklamą bulionu „Kub" na swym tułowiu. Grubym powrozem cumują go do słupka. Po chwili odcumowują i płyniemy z zachodu na wschód. Lasek Buloński miłą zielenią częstuje nasze oczy. Przy samym Lasku stoją na kotwicy dwa zgrabne prywatne parowce z angielską flagą: „Union Jack" na rufie. Lśnią białym lakierem, brązową politurą drzewa, zalane słońcem pachną z daleka wytwornością, sportem, zdrowiem i pieniądzem. Urodziwe, wygimnastykowane, opalone panie w trykotach uwijają się na pokładzie. Jakieś wesołe, młode towarzystwo odbyło wycieczkę z Anglii na

własnych jachtach. Słychać śmiech i wesołe okrzyki. Przypomina to sceny z filmów amerykańskich. W pobliżu St. Cloud, na jakiejś starej barce, wzniesiono barak, a na baraku widnieje duży napis: *Art Japonais*. Ruchoma wystawa sztuki. W mniemaniu przedsiębiorców tej wystawy — egzotyzm sztuki spotęgowała okoliczność, że pokazują ją na wodzie i z dala od miasta. Zachodnie peryferie Paryża — jak na całym świecie zresztą — są wytworne i zamieszkałe przez ludzi zamożnych. Na całym świecie pieniądz ciąży ku zachodowi, a ku wschodowi — ubóstwo. Ubóstwo jednak ma swoją oazę i w tych zachodnich stronach. Zaczyna się już przed Sevres. Tu ukazują się pierwsze baraki wodne. Na starych, nieużytecznych i zbutwiałych barkach suszy się podarta i łatana bielizna, zasmarkane dzieciaki w kusych koszulach, kręcą się po ex-pokładach i przekomarzają się z parszywymi kundlami, które obszczekują nasz dumny parowiec. Niektóre psy uwiązano na łańcuchu, zapewne z obawy, iżby wściekłości swej nie gasiły w wodzie. Prawie na wszystkich tych ubogich barkach stoją doniczki z kwiatami, wystawione na słońce.

A oto Sevres ze słynną manufakturą porcelany. Fasada wychyla się znad brzegu, ukazując barwną mozaikę nad głównym portalem. W medalionie nad portalem widać piękną, siwą, upudrowaną głowę kobiety w wysokiej koafiurze burbońskiej: może to ta sama głowa królewska, która spadła pod nożem gilotyny z woli paryskiego ludu. Im bliżej miasta, tym więcej mija nas barek, obładowanych węglem, cegłą i piaskiem. Wszystkie, nawet najbardziej niepozorne, noszą efektowne nazwy: Jourdain, Ste Hélène, Neptune... Nawet one są dumne z tradycji Cesarza, który nazwał Sekwanę wielką ulicą między Paryżem, Hawrem a Rouen.

Za Bellevue opuszcza nas zieleń i zaczynają się mury. Brzegi rzeki są tu już bardziej szerokie i coraz więcej na nich pracy. Piasek, żwir i węgiel podnoszą w tych stronach z pokładów liczne żurawie parowe, kierowane z małych ruchomych wagoników, w których siedzi człowiek w niebieskiej bluzie. Na przestrzeni całej rzeki, a zwłaszcza na wschodzie miasta pracują bez przerwy setki takich żurawi. Za Bellevue zaczyna się również wielki przemysł samochodowy. Najpierw Renault. Naprzeciw olbrzymich hal fabrycznych Renault'a leżą dwie duże wyspy: St. Germain i Ile Séguin. Nie są to wyspy szczęśliwości. To osady robotników Renault'a. Ponure koszary szczerzą ku nam swe ospowate mury, pełno również drewnianych baraków. Jedynie piękne topole na wyspach ożywiają nieco ten obraz brudu i nędzy. Na wszystkich drzewach rozpięto sznury, na których suszy się nieprawdopodobna ilość różnobarwnej bielizny. Z betonowej pochy-

łej grobli sterczy zeschnięty pień jakiegoś drzewa. Może i to niegdyś była topola. Nagle, z daleka, jak białe zjawy z tamtego świata, ukazują się kamienne kopuły i wieże bazyliki Sacré Coeur na Montmartrze. Z tej odległości bazylika wygląda raczej jak olbrzymi, w powietrzu zawieszony meczet. Również i Eiffel zarysowuje się przed nami w czystym powietrzu, oraz dwie wieże Trocadéra. Arkadowy most w Auteuil — to rogatka właściwego Paryża.

Dotąd płynęliśmy w obrębie podmiejskich osiedli. Na moście widnieją inicjały Napoleona. Pod mostem przystań dla statków-tramwajów. Tu już ruch na rzece i nad rzeką wzmaga się i gorączkuje. Coraz częściej mijają nas holowniki, ciągnące za sobą, jak długi ogon, po pięć lub sześć barek, berlinek, tratw. Połączone linami, jedna za drugą, spłaszczone jak szczupaki, płyną te barki posłusznie i cicho. Przy sterze każdej z nich czuwa ogorzały łlisak, częściej jednak gruba baba w perkalowej sukni i w grubym słomianym kapeluszu. Wszędzie doniczki, dzieci i psy. Zduszony ryk syreny napełnia przestwór zagadką. Za Auteuil zaczyna się domena Citroëna. Tu jest jego Usine de Javel, w której rodzą się samochody. W nocy służy mu Eiffel swymi światłami. Mijamy most Mirabeau, którego przęseł strzegą dwie niewiasty z brązu. Po Citröenie — Peugeot, ale jakiś skromny i niepozorny.

Teraz za mostem Grenelle, na którym stoi kopia nowojorskiego posągu Wolności z pochodnią w ręku, zaczyna się wytworność, polityka, dyplomacja i wojsko. Rumaki i greccy wojownicy witają nas na białym kamiennym moście Jena, między Trocaderem Polem Marsowym i Eifflem. Mijamy piękną willę, w której mieści się polska ambasada i poznajemy Mickiewicza na placu Alma. Wieszcz-pielgrzym stoi wysoko ponad wszystką dyplomacją i elegancją tej dzielnicy, stoi złoty i natchniony, samotny i wielki i wznosi proroczo rękę, jakby nią błogosławił pracy obcych ludzi na obcej rzece. A praca wre tu wszędzie i nie ogląda się ani na lewo, ani na prawo, nie wstydzi się ambasad, ministerstw, paradnych salonów wystawowych, skwerów i przepychów. Nie przerywa swego toku w tej strefie monumentalnych gmachów, brązów, złota. Pozłacana latarnia na kopule Małego Pałacu, pozłacane skrzydlate rumaki na moście Aleksandra III, złocony dwugłowy orzeł carów na środku mostu. Tak przetrwały na Sekwanie dawne przymierza i nie istniejące już kurtuazje. Złota kopuła Inwalidów, pod którą spoczywa wielki Pobity pod Borodino i Moskwą, każe dumać o znikomości ludzkich sojuszów, zwycięstw i klęsk. Jesteśmy w samym centrum historii — pod mostem Concorde. Kto wie, czy w tym miejscu właśnie nie znajduje się centrum Europy i starej, łacińskiej cywilizacji. Symbolizują ją

kolumny Izby Deputowanych, naśladujące starożytność grecką i rzymską, naprzeciw nich wznosi się luksorski obelisk, smukły i pełen hieroglifów. Tak oto w tym punkcie przecinają się różne, odwieczne cywilizacje i kultury.

Most Concorde obecnie rozszerzają, nad wodą rozpięto skomplikowaną sieć drewnianych rusztowań, huczą parowe i elektryczne maszyny i uwijają się robotnicy. Nic ich nie wytrąca z równowagi i gorliwości. Na dole, na wodzie — praca, żegluga, a w górze — pałace, różne szanowne i uroczyste zakłady, w których uprawia się szlachetne złudzenia. Pałac Legii Honorowej, wspaniały dworzec d'Orsay, gdzie zajeżdżają pociągi suwerenów i dyplomatów, a naprzeciw — wielki Luwr. Nagromadzono w nim umarłe i wiecznie żywe, prawdziwe i wmówione piękności. Z całego świata zjeżdżają się ludzie oglądać te cudy, ale Sekwana obok szumi obojętnie i nie zwraca na nic uwagi. Udziela ożywczej kąpieli tym, którzy jej pragną. Tu Armia Zbawienia zakotwiczyła swój drugi i piękny statek-przytulisko pod nazwą „Catherine", tu Armia zbiera nocą bezdomnych spod mostów i zbłąkanych. Częstuje ich legowiskiem, herbatą i Biblią.

Dołem wciąż przepływają barki ciężarowe w jednym i w drugim kierunku. Na pokładach wietrzą się materace, tuż pod oknami Instytutu, gdzie pod Kopułą zasiadają Nieśmiertelni, z których połowa od dawna już nie należy do żywych. Stary Wolter patrzy z uśmiechem ze swego pomnika na ten gwarny świat, o którym miał tak kiepskie pojęcie. Na barkach dymią żelazne kuchenki, na jednej z nich zauważyłem maszynę do szycia. Ciągle jeszcze jesteśmy w strefie parady, elegancji, szyku, tradycji, kultury i sztuki. — *Secours aux noyés!* — wołają co pewien czas napisy na budkach przybrzeżnych. Władze ofiarowują tonącym bezpłatną pomoc. A oto zbliżamy się do siedliska władz na wyspie Cité, będącej kolebką Paryża. Wyspa ta przepoławia najstarszy i najpiękniejszy most paryski — Pont Neuf. Wielkie domy towarowe: Samaritaine i La Belle Jardinière mieszczą na swych mnogich piętrach tysiące artykułów codziennej potrzeby i zbytku.

Mijamy sprawiedliwość, skoncentrowaną na wyspie, zbrodnię i karę. W Pałacu Sprawiedliwości o tej porze kończą swoje przemowy wielcy obrońcy na korzyść wielkich zbrodniarzy i mali obrońcy na korzyść małych przestępców. Ale na rzece nic nie słyszymy z tych krasomówczych oracyj i nie słyszymy okrzyków ludzi skazanych na ciężkie roboty, ani skazanych na śmierć. Podziwiamy tylko piękną architeturę Pałacu i średniowiecznego więzienia Conciergerie. Piękny widok na rzekę musiała mieć z okien swej celi królowa Maria Antonina i pewno zazdrościła najbied-

niejszej żonie flisaka, trzymającej ster na barce. Mijamy Hôtel Dieu, gdzie trzysta matek o tej godzinie z jękiem wydaje na świat potomstwo. Nie słyszymy tych jęków na rzece. Nie słyszymy nic z tego, o czym debatują ojcowie miasta w Hôtel de Ville, nie słyszymy ani słowa z zeznań, składanych w prefekturze policji, cicho suniemy po ciemnej wodzie, okrążamy absydę Nôtre Dame i wjeżdżamy w sferę wina. Coraz częściej na barkach widać beczki zamiast cegieł i węgla. Od dawna już, bo od placu Concorde, ciągną się na obu brzegach Sekwany skrzynie bukinistów, ustawione szeregiem na kamiennych balustradach, oddzielających nas od lądu. Stare książki, sztychy i monety odprowadzają nas aż do Hal winnych. Widać pochylone głowy zaczytanych maniaków. Zapach starych książek i starego wina mile uderza o nozdrza miłośników obu tych rozkoszy.

Tu już wschód. Coraz mniej parady, coraz mniej złudzeń, za to coraz więcej pracy, statków i biedy. Komory celne, hale winne, olbrzymi dworzec towarowy Austerlitz i znów wino. Czuć je tu wszędzie. Czasem dojdzie nas ryk lwa lub skrzeczenie papugi ze zwierzyńca w Jardin des Plantes. Posąg świętej Genowefy na Pont de la Tournelle jest bardzo brzydki. Nagle brzegi Sekwany bieleją. Dzieje się to dzięki mące. Jesteśmy przy wielkich młynach. Tu już nie ma żadnej elegancji, ani złudzeń. Ubogie domy robotnicze, fabryki, kominy. Słychać, jak robotnicy w portach kłócą się z celnikami, słychać przekleństwa. Tu już nikt niczym się nie krępuje. Jesteśmy daleko za Bastylią. Zbliżamy się do wschodniego krańca Paryża, do Pont National. Olbrzymie porty zalegają prawie cały brzeg lewy i prawy i łączą się z dworcami. Dym zgęszcza się, wszystko od niego ciemnieje. Wkrótce będzie kres naszej wędrówki. Brzegi, ocembrowane dotąd kamieniem lub betonem, nagle obniżają się, domy stają się coraz niższe, aż do jednopiętrowych, znów widać niebo szerokie, aczkolwiek zakryte grubą warstwą dymu, a na brzegach zjawia się wątła zieleń, jak u nas nad Wisłą. Na murawach nadrzecznych uboga ludność podmiejska wypoczywa, łowi ryby, pary całują się, dzieci płaczą. W Charenton zamyka nam drogę śluza. Wysiadam. Głowę mam pełną obrazów. Płynęliśmy prawie dwie godziny, przepływaliśmy pod trzydziestu kilku mostami. Widzieliśmy kawał życia skoncentrowanego i stłoczonego na tej przestrzeni, widzieliśmy w miniaturze wszystkie ważniejsze instytucje cywilizacji współczesnej.

Z wdzięcznością opuszczam Sekwanę i czuję, że chwieję się na nogach. Mocny to był napój, uderzył mi do głowy. I nie jednolity napój — lecz różnokolorowy cocktail.

Paryż należy do tych miejsc na świecie, które znamy nawet wówczas, gdyśmy tam nigdy nie byli. Tak nam się przynajmniej wydaje. Zwłaszcza pisarze i artyści zwykli bez paszportu podróżować myślą do tej Mekki literatury i sztuki, o której u siebie w domu gromadzili różne wiadomości, ale więcej jeszcze złudzeń. Wszystko, co wiemy o Paryżu z opisów, z obrazów, z fotografii, z kina i z opowiadań — pozwala naszej wyobraźni skonstruować jakąś idealną panoramę Paryża oraz przeczuć tę jego kuszącą i tajemniczą atmosferę, w której każdy pragnąłby odnaleźć to, czego daremnie szukał gdzie indziej. I rzeczywiście wielu jest ludzi, którzy nigdy nie byli w Paryżu, a mimo to orientują się nie najgorzej w jego architekturze, zabytkach, ba, nawet znają rozkład ulic i bulwarów. Umieją powiedzieć, jakie sklepy na jakiej znajdują się ulicy, znają słynne magazyny, lokale rozrywkowe, kawiarnie. Musi zatem istnieć jakiś fluid, działający na odległość i promieniście rozchodzący się z placu Concorde lub z wieży Eiffla — na wszystkie strony świata, iż z wszystkich stron świata zbiegają się do Paryża marzenia tych, którzy pragną używać rozkoszy zmysłów i umysłu.

Często zdarza się, że Paryż oglądany w rzeczywistości rozczarowuje, jak każde spełnione pragnienie. Widocznie za wiele spodziewali się po nim rozczarowani. Przypuszczali zapewne, że gdzie jak gdzie, ale w Paryżu, w tym wymarzonym Paryżu nie będzie ani brudu, ani chorób, ani żadnych przykrości. Zdawało się im, że w Paryżu nic innego się nie robi, tylko śpiewa, tańczy, pije „absynt" i wino szampańskie, pisze wiersze, maluje i kocha. Tacy marzyciele po przyjeździe do Paryża krzywią się, gdy widzą, że ten słynny z radości Paryż wcale nie jest olbrzymim Luna-parkiem, chociaż na wielu ulicach i placach i to nawet w dni powszednie kręcą się przy dźwięku orkiestrionów karuzele i koła szczęścia. Przekonywują się ponadto, iż słynny ze sztuk plastycznych Paryż nie jest jednym wielkim muzeum, chociaż posiada około pięćdziesięciu muzeów. Stwierdzają również, że nie każdy brodacz jest malarzem, nie każdy człowiek w kaszkiecie i z czerwonym szalem na szyi — apaszem, a nie każda panna, spotkana na ulicy — midinetką.

Nigdzie nie spotyka się tak pospolitych ludzi, jak w Paryżu. Nie wiem, czy to zasługa demokracji i zdobycz tylu rewolucji, iż w tym mieście, słynącym z arystokratyzmu, na każdym kroku triumfuje również szablon. I w życiu prywatnym i w publicznym i w domu i na ulicy. Każda kawiarnia, każdy bar mniej więcej tak samo wygląda. Wszędzie takie same płócienne story z wyhaf-

towaną firmą, takie same urządzenia wewnątrz i takie same stoliki na tarasie, na których stoją takie same niebieskie syfony, oplecione metalową siatką. Każdy sklep z pieczywem ma ściany obowiązkowo pokryte lustrami, w oknach każdej apteki świecą nocą takie same olbrzymie, szklane, kolorowe kule.

A jednak rzeczywisty Paryż przewyższa najśmielsze marzenia. Tyle tutaj wdzięku, smaku, kultury i szlachetności. Ta tylko cecha zasadnicza odróżnia Paryż od innych stolic świata, że gdzie indziej wszystkie osobliwości i nadzwyczajności mają charakter wyjątkowy, niecodzienny, świąteczny. Włochy np. — to jak gdyby jedno wielkie święto; dziwimy się, że w Wenecji lub w Florencji ludzie chodzą ubrani tak samo, jak w całym świecie. Ale w Paryżu nawet najwznioślejsze rzeczy nie są odgrodzone od pospolitych, pomniki wielkich ludzi mają przeważnie naturalny, ludzki wzrost, największemu poecie na paryskim pomniku można uścisnąć jego kamienną dłoń, której nie chowa w obłokach. (Mickiewicz — stanowi wyjątek).

Piękno Paryża dostępne jest dla każdego a przeznaczone jest nie dla wybrańców boskich, lecz dla zwykłych ludzi. To piękno nie budzi grozy, nie onieśmiela, lecz zachwyca. O pięćdziesiąt kroków od grobu Napoleona, na Esplanadzie Inwalidów, robotnicze drużyny sportowe kopią piłkę, uliczni akrobaci podnoszą ciężary i zbierają monety. Kto nie gustuje w tak pojętej zasadzie wolności, równości i braterstwa, wypisanej na każdym gmachu publicznym, kogo razi ta swoboda, ten nie będzie się czuł dobrze w tym mieście, gdzie wszystko ze sobą sąsiaduje. W Lasku Bulońskim wolno każdemu położyć się na trawie, we wszystkich wielkich ogrodach publicznych wolno przenieść krzesełko tam gdzie przyjdzie ochota usiąść, a nie tylko tam, gdzie magistratowi spodobało się raz na zawsze postawić ławkę. Taki jest Paryż!

Jeden z najznakomitszych krytyków współczesnych Albert Thibaudet w książce pt. „Republika profesorów" w ten sposób określa różnicę między Paryżem a prowincją: „Francja jest krajem" — powiada — „gdzie literatura ma na imię Paryż, wyłącznie Paryż, polityka ma natomiast na imię: prowincja, nic innego tylko prowincja". Przekonałem się naocznie o prawdzie słów mądrego pana Thibaudet.

Kiedy po raz pierwszy znalazłem się na ulicy paryskiej w towarzystwie przyjaciela, który wziął na siebie wdzięczną rolę przewodnika (nie ma bowiem wielu rzeczy tak miłych, jak pokazywanie Paryża przyjaciołom, o czym przekonałem się później kiedy z kolei i mnie przypadła ta rola) — otóż na ulicy paryskiej, ściśle mówiąc na bulwarach nad Sekwaną, przyjaciel ów

tak mi powiedział: „Zobaczysz, w tym mieście literaturę czuć w powietrzu".

Była już późna noc, miasto było wyjątkowo ciche, całodzienny zapach benzyny rozwiał się już w mrokach i w powiewach nocy, szliśmy wzdłuż Sekwany obok Luwru, Nôtre Dame, Pałacu Sprawiedliwości, mijaliśmy różowe, senne, jakby urzeczone latarnie, przechodziliśmy przez stare kadłuby mostów, na których w dzień szaleją trzody rozdrażnionych samochodów. Cisza była tak wielka, spokój tak głęboki, że zdawało mi się, iż słyszę głosy wszystkich wieków, co minęły tę rzekę i to miasto, nam je zostawiając, abyśmy je wraz z naszym czasem minęli, ustępując miejsca przyszłym ludziom i czasom. Widziałem wielkich poetów, zastygłych w kamiennych pozach, widziałem domy i miejsca, które znałem już z książek i z opisów. W istocie nie omylił się mój przyjaciel. Literaturę czuć tu w powietrzu. W całym Paryżu nie ma piędzi asfaltu, po którym nie chodził jakiś poeta lub zjawa, wywołana jego piórem.

Paryż, jako miasto, podzielony jest na dwadzieścia okręgów, literatura paryska również. Ludzi Anatola France'a np. trudno spotkać na północy miasta, kręcą się oni przeważnie w Dzielnicy Łacińskiej i gnieżdżą się w zaułkach między Instytutem a kościołami St. Germain de Prés i St. Sulpice. Bohaterowie literatury francuskiej są bowiem patriotami lokalnymi swego okręgu i niełatwo dadzą się przeszczepić na inny grunt.

W każdym prawie mieście Europy ulice nazywają się podług poetów i literatów, ale może nigdzie nazwiska pisarzy nie przylegają tak dobrze do ulic, jak tutaj, gdzie żyło, pracowało, męczyło się, kochało, błyszczało i umierało w chwale i nędzy tylu poetów i to nie tylko francuskich. Każdy naród miał tu kogoś ze swych wielkich ludzi, z każdego cmentarza paryskiego można by ekshumować jakiegoś geniusza. Tu leżą Henryk Heine, Oskar Wilde, do niedawna leżał i Słowacki. Ulica Adama Mickiewicza na przykład w Łodzi, nie wiele ma wspólnego z Mickiewiczem. W Paryżu natomiast, jakkolwiek takiej ulicy nie ma, a jest tylko jego nowy pomnik na placu Alma, istnieje stara, spadzista ulica d'Amsterdam, w batignolskich stronach, gdzie Mickiewicz mieszkał. Czujne ucho usłyszy jeszcze dzisiaj echo kroków profesora z College de France na tym bruku, z którego myślą uciekał na Litwę.

Tysiące książek starych i nowych, pożółkłych i zakurzonych oprawnych w drogocenną skórę i tysiące nędznie zbroszurowanych bibuł, tysiące białych kruków sztuki pisarskiej i drukarskiej, za które płacić trzeba tysiącami franków, a nawet dolarów, obok wydawnictw groszowych, natarczywie narzucają się naszym oczom

na wszystkich prawie ulicach. Zszeregowane równiutko, jak bataliony karnych błyszczących gwardzistów, stoją za szkłem drogie, zbiorowe wydania ze złoconymi brzegami. Porozrzucane niedbale, walają się, poniewierają na stołach przed księgarniami, jak owoce, jak jarzyny, wystawione na świeże powietrze: książki, książki, książki... Tysiące rąk przerzuca je swobodnie, tysiące oczu zagląda bokiem do nierozciętych kartek. Czytamy za darmo bez przymusu kupna. Nikt pozornie o te książki się nie troszczy, nikt ich nie pilnuje, ale też nie zdarza się, żeby je kto ukradł. Tysiącami leżą książki w zielonych skrzyniach na kamiennych parapetach wzdłuż obu brzegów Sekwany. Tysiące miłośników przyciągają te nadrzeczne stragany literatury. Dostać tam można wszystko: od średniowiecznych, iluminowanych kancjonałów, do ostatnich nowości, od mów pogrzebowych Bossueta do Dekobry. Widzimy więc, że nawet tutaj w skrzyniach bukinistów panuje wolność, równość i braterstwo.

Wielu sławnych pisarzy zrywało kwiaty z tego nadrzecznego ogrodu książek. Tu Anatol France niejedną spędził godzinę: tu zresztą urodził się i długie lata przeżył w tych stronach, na quai Malaquais, i z okien swych widział kopułę Instytutu, siedzibę Nieśmiertelnych, których poczet sam wzbogacił. Tu stoi najpiękniejszy pomnik paryski, statua Voltaire'a, a to wszystko łączy się w jedną melodię: i Sekwana i książki na jej parapetach i France i Voltaire i Luwr naprzeciwko, i całe to jedyne powietrze. O, tak, literaturę czuć tu w powietrzu i to nie zawsze w świeżym powietrzu nad Sekwaną. Czuć ją również i w podziemiach, w stęchłej i dusznej atmosferze Métra, gdzie o każdej porze widzi się ludzi zaczytanych. Książka w Paryżu jest artykułem pierwszej potrzeby, jak wino i owoce, jeśli nie jak chleb. Ma ona, jak gazeta, jednolitą cenę, od 12 do 15 franków za tom. Prawie każdy czyta książki. W sieni każdego domu paryskiego znajduje się loża czy też mieszkanie *concierge*'a. Drzwi, prowadzące do niego, są oszklone, żeby mógł widzieć wchodzących. Co przede wszystkim rzuca się nam w oczy przez te wielkie drzwi? Półki, czasem nawet szafy z książkami.

Opowiem dwie sceny, których świadkiem byłem na ulicach Paryża. Jedna — przed Operą. W nocy 19 marca, w półpoście, *mi-carême*, odbywa się w Operze tradycyjny bal maskowy. Przed Operą tłumy ludzi. Oglądają wytworne samochody, z których wysiadają wytworne kostiumy i piękne damy. Policjanci, rozstawieni po parysku, to znaczy swobodnie z papierosem w ustach, pilnują porządku, którego pilnować właściwie nie trzeba, bo porządek w Paryżu sam siebie pilnuje. Stałem w tłumie tuż obok dwóch policjantów, którym widocznie nudziło się. Rozmawiali

o zaletach stylu André Maurois. Ileż to wody w Wiśle upłynie, zanim dwaj warszawscy policjanci rozmawiać będą na przykład o moim stylu! Innym znów razem przed kawiarnią Clôserie des Lilas w pobliżu Obserwatorium, uliczny mówca wygłaszał humorystyczną mowę, po czym obchodził stoliki i zbierał pieniądze za swój krasomówczy popis. Jakaś para amerykańska uparła się i nic nie chciała mu dać. Wówczas mówca z udanym oburzeniem zaczął recytować wyjątki z molierowskiego „Skąpca". Kiedy i to nie pomogło i Amerykanie nadal trwali w uporze, zagroził im, że wezwie policjanta i każe ich aresztować za to, że przyjeżdżają na ziemię, gdzie panuje gallijsko-łacińska kultura, bawią się i śmieją z łacińskiego dowcipu, a nie chcą za to płacić. W istocie tuż obok stał policjant i pękał ze śmiechu. Mówca sprowadził go do stolika Amerykanów, a policjant dał się wciągnąć w grę i jął tłumaczyć Amerykanom, że skoro się ubawili, powinni za to dać parę groszy. Cała kawiarnia, pełna międzynarodowej młodzieży i artystów uczciła policjanta brawem, a zawstydzeni Amerykanie czym prędzej opuścili lokal. Na takie żarty można pozwolić sobie tylko w Paryżu, bo to są wolne żarty. No i cóż, czy tu nie czuć literatury w powietrzu?

Ponurość współczesnej prozy francuskiej

Wiele fałszywych monet znajduje się w obiegu w intelektualnym życiu Polski, zwłaszcza po wielkiej wojnie. Kursują one swobodnie na prawach rzetelnej waluty — wśród całkowicie zdezorientowanej publiczności, która tak już do nich przywykła, że niekiedy stawia opór próbom wycofania ich z obiegu. Z drugiej strony jednak sama publiczność czuje, iż posługiwanie się fałszywą monetą utrudnia swobodną wymianę wartości duchowych i skazuje ją na samowystarczalność. Do ulubionych falsyfikatów należy komunał o lekkości i beztrosce literatury francuskiej. Bóg raczy wiedzieć, skąd się wywodzi ten — powiedzmy delikatnie — przesąd. Postaramy się naprowadzić na ślady jego pochodzenia, gdyż w tak szeroko rozpowszechnionym fałszu niewątpliwie tkwić musi jakieś ziarenko prawdy.

Fałszywy ten sąd pochodzi zapewne z czasów, kiedy to na naszym życiu intelektualnym przemożnie ciążyły wpływy rosyjskie, skandynawskie i niemieckie. Dotarły one nawet do Francji, na ogół tak niechętnej postronnym wpływom i zmusiły „lekkich",

w naszym mniemaniu, pisarzy do opuszczenia tradycyjnych skorup.

Wyobraźnia nasza w latach, poprzedzających wielką wojnę, przepełniona była demonizmem i tragizmem rosyjskiego i skandynawskiego pochodzenia. Krwawe tragedie rodzinne, oparte przeważnie na nieporozumieniach małego formatu, stanowiły naszą codzienną godziwą rozrywkę, grzebaliśmy w trzewiach „Bytu", rozsupływaliśmy krwawe węzły, odgadywaliśmy tajemne symbole, biadaliśmy nad fatalizmem dziedziczności, i w każdej panience biurowej widzieliśmy dziecko szatana.

Literatury północne karmiły nas bigosem, przyrządzonym z siedmiu grzechów głównych, podlanych krwią, a wędzonych w dymie opiumowym i w dymie pożarów. Tej literaturze, która czadziła nasze dusze, najskuteczniej za pośrednictwem sceny, zaczęli niektórzy dyrektorzy teatrów przeciwstawiać rzeczywiście lekką komedię, w której zdrada małżeńska np. nie była powodem do samobójstwa, lecz co najwyżej do rozwodu, łatwo osiągalnego we Francji od czasów odłączenia kościoła od państwa. Co prawda w krajach katolickich niesnaski małżeńskie zawsze były pogodniej traktowane w literaturze, niż w krajach protestanckich, gdzie wyolbrzymiano je do edypowych rozmiarów. Dzięki wielkim talentom komediowym panów de Flers'a i Caillaveta, popartym autorytetem Akademii, komedia francuska rychło zawojowała polskie sceny, przemęczone długoletnim dźwiganiem na swych deskach demonów i upiorów. Śmiech i nieszkodliwe szyderstwo, wywołane za pośrednictwem francuskich sztuk, były — jak się to mówi — zdrowym śmiechem a nie krwawym. Ze stanowiska higieny śmiech ten miał nawet znaczenie lecznicze w odniesieniu do duszy polskiej, schorzałej od rozpamiętywania potrójnej niewoli politycznej. Śmiech ów był wolny od konwulsyjnych drgawek, nie był to śmiech histeryczny, ani owo — „he, he!" — Przybyszewskiego, ani groźny ryk operowego Mefista, którym w owym czasie czarował niezrównany w tej roli Adam Didur. Prawda, iż masowo produkowane komedie bulwarowe i farsy, które zaczęły zalewać nasze sceny, miały mniejszy „ciężar gatunkowy" od genialnych, choć dusznych i beznadziejnych wizji scenicznych Ibsena, Björnsona, Tołstoja, Andrejewa, Gorkiego, Hauptmanna, Wedekinda i Przybyszewskiego.

Gdy się cofniemy pamięcią o dwadzieścia lat wstecz, wiele rzeczy wyda nam się zagadką. Przede wszystkim zdziwi nas to, dlaczego w tej epoce powszechnej — zdawałoby się — sytości, zadowolenia, niemal gnuśności, tak bardzo lubowaliśmy się (w literaturze i w teatrze) w grozie oraz w tragediach, których osnowę stanowiły rozdmuchane do nieprawdopodobnych rozmiarów błahostki. Trudno nam dzisiaj pojąć, jak można było robić

tragedię np. o to, że ktoś miał ojca pijaka. Może wojna tak nas zmieniła? W epoce niezmąconej wygody chodziliśmy (tak przynajmniej nam się dziś wydaje) pewną stopą po ziemi, nie przeczuwając, iż w niedalekiej przyszłości zatrzęsie się ta ziemia w posadach. Opłakiwaliśmy trupy na scenie, nie wiedząc o tym, ile prawdziwych trupów spośród najbliższych ludzi przyjdzie nam grzebać na „teatrach wojny". Tak, w owym czasie trzeba nam było sztucznej grozy w braku prawdziwej. Widocznie strach niezbędny jest człowiekowi do życia, tak samo jak zadowolenie i poczucie bezpieczeństwa, więc skoro go nam nie dostarcza samo życie, musi go dostarczyć sztuka.

Niezależnie od elity twórczej we Francji, posępnej i poważnej jak wszędzie w owym czasie, kwitła na Wielkich Bulwarach tradycyjna wesołość komediowa, znajdująca więcej miłośników niż literackie przybytki nastrojowej grozy. I ta właśnie komedia, zadomowiwszy się u nas wraz z lekką bulwarową powieścią, niejednokrotnie pierwszorzędnych autorów — wpłynęła na ustalenie się opinii o „szampańskiej" lekkości całej literatury francuskiej. Wesołe, paryskie dziewczęta, pocieszni markizowie i wicehrabiowie, łysi dyplomaci z monoklami, oszukiwani przez żony, wygnali wkrótce z naszych scen Wodnika z „Zatopionego dzwonu", który z głębi tekturowych studzien straszył nas i nasze dzieci okrzykiem: „Brekekekkeks! Wielki harmider, wesoła pustota zapanowały tam, gdzie wczoraj jeszcze ibsenowski Oswald błagał ustami wspaniałego Karola Adwentowicza: „Mamo, daj mi słońce!". Norweskie demony i furie, importowane jak śledzie znad dalekich cichych fiordów, gdzie nie udało się im przerazić poczciwych pulchnych pastorów i handlarzy ryb, — zapakowano z powrotem do beczek. Pozwolono nam śmiać się z byle czego.

Oto, zdaje mi się, początek legendy o lekkości francuskiej literatury. W rzeczywistości literatura ta — mówimy o poważniejszych jej gatunkach — nigdy nie była lekka. Jedynie czar i doskonała swoboda francuskiego stylu potrafiły najcięższe tematy uczynić strawnymi. Francuski styl podobny jest w tym do francuskiej kuchni. Dzieła największych mistrzów prozy: Balzaka, Wiktora Hugo, Stendhala trudno zaliczyć do pogodnych i optymistycznych, chociaż nie wywołują one takiego przygnębienia jak powieści Dostojewskiego. Późniejsi romansopisarze, którzy zaważyli na psychice całej czytającej Europy — to zdecydowani pesymiści. Ani Flaubert, ani Maupassant, ani Zola nie szczędzili czarnych barw przy odmalowywaniu prawdziwego oblicza tego świata. Zwłaszcza Flauberta nie radzimy czytać ludziom, skłonnym do depresji. Czyż mogą być beznadziejniejsze krajobrazy duszy ludzkiej od tych, jakie dał Flaubert w „Madame Bovary" i w

„Education sentimentale"? Przygnębienie ogarnia nas przy lekturze tych powieści. Każdy szczegół z życia normandzkiej prowincji, każdy epizod z życia Paryża w latach, poprzedzających wiosnę ludów — zieje beznadziejnością, nudą, rozpaczą, czujemy się upokorzeni małością ludzką, którą tak mistrzowsko umiał wyrażać słowami ten wielki pisarz. Flaubert zostawia swego czytelnika bez pocieszenia. Zostawia go samotnego, wydaje na pastwę czarnych myśli, których on, Flaubert, był siewcą.

Tragiczne doświadczenia wielkiej wojny kazały francuskim powieściopisarzom podejmować tradycje Flauberta, wzmocnione o ciągle aktualny we Francji wpływ Dostojewskiego. Wojna, jakkolwiek zwycięska, przypieczętowała beznadziejność francuskiego pesymizmu indywidualnego — pesymizmem społecznym. Ukazała kruchość i niepewność cywilizacji. Wielkie rozczarowania bowiem idą w parze nie tylko z klęskami na polach walki. U narodów dojrzałych i duchowo odważnych — nawet zwycięstwa bywają źródłem moralnej depresji. Francuzi są nazbyt humanistami, iżby sumienie ich po wielkiej rzezi mogło być czyste. Ta nieczystość sumienia, ta okropna rozterka znalazła swój godny i piękny wyraz w beletrystyce wojennej, liczącej przeszło 500 dzieł; lecz najtragiczniejsza jest literatura powojenna. Jest to literatura rozczarowania, zniechęcenia, samoudręki. Pokolenie trzydziestoletnich pisarzy stawia tu nagrobki własnej epoce: są to niekiedy nagrobki granitowe, o klasycznych proporcjach. Prekursorem tych młodych mistrzów był Marcel Proust, ostatni wielki epik na przełomie XIX wieku. Z wszystkich nurków, którzy zapuszczali się na dno bytu indywidualnego i społecznego — Proust był najodważniejszy i najbardziej szczery. Wydobył na światło dzienne niejednego demona i niejedną zmorę. Nie były to już owe demony teatralne z fantastycznych baśni symbolistów, lecz potwory drzemiące w każdym z nas i nie dające się ujarzmić. Pisarze z epoki Prousta, jak: Gide lub młodsi: jak Duhamel i Mauriac przygnębiają nas również. Nawet pisarze katoliccy nie znajdują rozgrzeszenia na nasze codzienne grzechy. Infernalna książka Georges'a Bernanos'a: „Sous le soleil de satan" — to chyba najgroźniejsza wizja potępienia od czasów Dantego. Wszystkie tortury, zadawane naszemu sumieniu przez Ibsena i Dostojewskiego powtarzają się, lecz w jakże powiększonym formacie, u najmłodszych. Taki Julien Green np., Francuz amerykańskiego pochodzenia, osiąga rekord ponurości i beznadziejności. Klasyczne jego powieści nie dopuszczają nawet jednego jasnego promyka. Wszyscy jego bohaterowie są źli, ciemni, nieszczęśliwi, cały świat, widziany przez Greena, jest wielką czarną gehenną, a posępne piękno tego świata jest tak czyste i doskonałe, jak czysty

i doskonały był ongi błękit Fra Angelica. Ponure są utwory Emanuela Bove'a, Marcela Arlanda, Jeana Cocteau („Les enfants terribles"), Jacques de Lacretelle'a („La vie inquiète de Jean Hermelin"), Ireny Niemirowskiej, André Chamsona („Le crime des justes"). Ci pisarze stanowią elitę nowej Francji, Francji zwycięskiej. Doskonale beznadziejna jest nadzieja piśmiennictwa francuskiego. I pomyśleć, że te ciemne anioły biją skrzydłami w kraju przysłowiowego słońca, radości i uśmiechu! Jedyny chyba Giraudoux zachował tradycje gorzkiego uśmiechu, którym Voltaire i Anatole France odprowadzali do grobu swoje epoki. Mimo wszystką ponurość — zdrowie i siła przemawiają z książek młodych Francuzów, a nie chorobliwość i mdłość. Jest coś oczyszczającego w tych torturach, za pomocą których wymuszają oni prawdę — z zakłamanego świata. Przede wszystkim są to ludzie nieustraszonej odwagi i rzetelności. Nie było od czasów Flauberta bardziej uczciwego stylu i języka. Po fałszywych egzaltacjach przedwojennych modernistów, po nieznośnej stylizacji epigonów romantyzmu — ta nowa, choć ponura trzeźwość działa ożywczo i raczej kojąco. Nasza młodzież literacka wielu cnót mogłaby pozazdrościć swym francuskim kolegom, lecz najbardziej cnoty — prawdomówności.

Chartres

Karolowi Stromengerowi

Słoneczny żar oślepia oczy, znużone rozgrzaną pstrokacizną paryskich ulic i wyolbrzymia potworny ryk oszalałych samochodów. Ciało storturowane upałem i dusznością oraz dusza udręczona własną niemocą chętnie pozwalają się nieść pociągowi, który w błyskawicznym tempie mknie z Wersalu w kierunku Chartres. Za Wersalem, za St. Cyr, ukazują się pierwsze, od tylu miesięcy niewidziane łany zbóż. Kłosy, jeszcze zielone, łagodnie falują po obu stronach pociągu, a on, jak dziki zwierz, wypuszczony z żelaznej, rozpalonej klatki paryskiego dworca, z radością rzuca się w wonną zieleń, w cichy szum wolności, unosząc z sobą nasze płuca spragnione powietrza, oczy łaknące spokoju i serca głodne piękności.

Zawsze odnosiłem się sceptycznie do owych słynnych, urzędowych piękności, oznaczonych w Baedeckerze trzema gwiazdkami. Stosunek mój do sławnych z urody miejsc na świecie aż

nadto często paczyły ordynarne zachwyty nudnych ludzi, i wyznaję, iż w drodze do Chartres wstydziłem się trochę, iż udaję się tam szlakiem utartego komunału. Zdarza się, iż ze zdrowej przekory wmawiamy w siebie, że Wenecja wcale nie jest tak piękna, jak to uważają nasi znajomi i nauczyciele geografii, a ta przekora, zwłaszcza gdy płynie z szczerego przekonania, pozwala nam niekiedy zatriumfować nad komunałem. Często jednak, i to nawet bardzo często, zdarza się, iż ludzie, których zachwyt zniechęca nas do zachwycania się, mają rację. Przedmiot ich zachwytu, oglądany „na żywo", skonfrontowany z naszym własnym smakiem, okazuje się nie tylko rzeczywiście piękny, ale niekiedy nawet przerasta nasze oczekiwania.

Jadę do Chartres. Katedrę w tym miasteczku uważają bakałarze za najpiękniejszą we Francji.

Pociąg, pijany wolnością, w zręcznych lansadach mija zgrabne zameczki, piękne parki i stawy, mija Rambouillet, letną stolicę prezydenta Republiki, mija Maintenon i zatrzymuje się w Chartres. Już z okien wagonu widać dwie olbrzymie smukłe wieże, wykłuwające się strzelistymi iglicami spośród malowniczo rozmieszczonych, ale dość pospolitych budynków. Te wieże z daleka nie mają w sobie nic imponującego. Z pociągu, zdążającego do Żyrardowa, też widać dwie duże gotyckie wieże, tylko z tą pozornie różnicą, iż są one z czerwonej młodej cegły, a nie ze starego szarego kamienia. Opuszczając halę dworca, przekonywam się, że to jednak nie Żyrardów. Z ubogim miasteczkiem tkackim na Mazowszu ma Chartres tylko tyle wspólnego, iż podobnie jak tam, tak i tu, kościół nieproporcjonalnie przerasta swoimi rozmiarami karłowate otoczenie domków. To Guliwer wśród karłów.

Ledwo stanąłem na wzgórzu katedralnym, zdałem sobie sprawę, iż nie ma mowy o tym, iżbym mógł opisać potęgę i nieludzką piękność tej świątyni. Można ją chyba przerysować ołówkiem lub kredką. Zdaje mi się, że w żadnym języku nie ma słów, które zdołałyby choć w części oddać zarysy tej wielkości, elewację tych łuków, sklepień, wiązań i kontrefortów, muzykę naw i transseptu, magiczną grę rozet i witraży. Do pewnego tylko stopnia udało się to Huysmansowi. Dwaj Polacy, którzy godni byli przerysować linie tej katedry, już nie żyją. Tylko natchnione ołówki Stanisława Wyspiańskiego i Stanisława Nowakowskiego były do tego powołane. Piękny obraz Utrilla sygnalizuje zaledwie rzeczywiste zjawisko katedry. Nas stać najwyżej na opis własnego wspomnienia, na relację własnej relacji do tego, co widzieliśmy. Nawet nie wiem, od czego zacząć. Od architektury

czy od rzeźb i witraży, od wrażenia szczegółów, czy od wrażenia całości?

Katedra w Chartres — to cały, zamknięty w sobie świat. Żeby ten świat choć w przybliżeniu ogarnąć — na to trzeba by spędzić tutaj co najmniej tydzień. Nie, nawet wspomnienie tej katedry przerasta moje siły i ubogą wiedzę. Nie znam również technicznej nomenklatury tego budownictwa. Ale wiem jedno: nie tylko to jest ważne, co wynosimy z Chartres, ważne jest również to, cośmy z sobą przynieśli, a przede wszystkim, skąd przybywamy. Od tego zależy wartość i siła, z jaką katedra na nas oddziaływa. Cokolwiekbyśmy tutaj z sobą przynieśli, skądkolwiekbyśmy przybyli, — wszystko zmaleje w obliczu tej wielkości. I nasz ból i nasza radość i pycha i miłość własna. Stoimy pośrodku tłumu kamiennych postaci — pełnych nie tylko życia i cierpienia, mądrości i światłości: — wszystkie je przepełnia jednocześnie to, co jest żywotów ludzkich uwieńczeniem, tęsknot ludzkich spełnieniem, nagrodą za cnoty i karą za przewiny.

Stanęliśmy jak Dante *in mezzo del cammino,* skąd widzimy i piekło i czyściec i niebo. Jesteśmy niejako w stolicy, w samym centrum owej strefy, gdzie myśl ludzka o Bogu graniczy z myślą samego Boga o człowieku. Jeżeli gdzie, to tu w Chartres, moglibyśmy dowiedzieć się, co o nas myśli nasz Stwórca, o ile w ogóle jesteśmy godni tego, żeby o nas myślał. A gdy zważymy, że to wszystko: te figury świętych, męczenników, aniołów i cherubinów, judzkich królów i greckich mędrców i te szkła malowane i ten kolosalny kamienny gmach — ludzkie wzniosły ręce, poczujemy się głęboko wzruszeni ową wielką łaską, która naszym braciom sprzed wieków objawiła się i pozwoliła na ludzki obraz i ludzkie podobieństwo kształtować boskie oblicze.

Ci Francuzi i te Francuzki z północnych departamentów, o typach przeważnie gallijskich i normandzkich, ludzie którzy bezimiennym Francuzom — rzeźbiarzom służyli za modele, mają w sobie tyle surowości i tyle nieziemskiej powagi, iż wierzyć się nie chce, że naprawdę są ludzkim dziełem. Matka Boska, szyjąca (na płaskorzeźbie pokrywającej ściany „Tour de Choeur" w prezbiterium) — to młoda matrona normandzka, a jednak nikt, kto na Nią spojrzy, nie będzie wątpił, iż szyje pieluszki dla Boskiego Syna. Taki już los Świętej Rodziny, znanej nam z rzeźb i fresków: są Włochami, Flamandami, Francuzami, Hiszpanami, Polakami i noszą stroje kraju i epoki, w której żyli Jej twórcy. Tylko bizantyjskie malarstwo zdaje się być wolne od regionalizmu. Wiele cech bizantyjskich mają postacie, sztywnym szeregiem ustawione u portali gotyckiej katedry. Twarze ich jednak są nie-

mal naturalistyczne, jak twarze malowane w Assyżu i we Florencji przez Giotta.

Zdaje się, że geniusz zachodniego chrześcijaństwa obrał sobie stolicę w Chartres. Trudne jest piękno tej gotyckiej architektury i rzeźby, trudne i nieuśmiechnięte. W francuskich sklepieniach, łukach i kontrefortach na próżno szukamy wdzięku kolorowych italskich, zwłaszcza toskańskich struktur. Tu mury, ani wewnątrz, ani zewnątrz nie są powleczone freskami, tu aniołowie nie mają kolorowych skrzydeł, a święci nie mają złotych aureoli nad głowami. Niebo tu nie jest błękitne, lecz chmurne i ołowiane. Nagi i szary jest francuski gotyk, jedynie witraże mienią się barwami tęczy, wśród których przeważa fiolet.

Nagi i szary jest ten gotyk, jak sama prawda, którą ucieleśnia, jak proch ziemi, z którego nasze ciała powstały i w który z powrotem się obrócą. Surowa, groźna, a niesłodka, nie igrająca, jest prawda gotyckiego Boga. Oto On: stoi pośrodku południowego portalu z księgą w ręku: to Chrystus nauczający. Nagie stopy oparł na ciele lwa i na ciele smoka, ale wiedzę Swoją oparł na miłości. Tak wyobrażają sobie często Chrystusa rzeźbiarze średniowieczni, pamiętni słów psalmu XC: „Super aspidem et basiliscum ambulabis et conculcabis leonem et draconem". Ale widzimy Go jeszcze w innych postaciach: Króla i Sędziego. Król zasiada w pełnym majestacie na tympanonie portalu zachodniego, powyżej Chrystusa-nauczyciela, w towarzystwie Matki Boskiej i Jana, najmilszego ucznia. Oboje apelują do Najwyższego Miłosierdzia, prosząc o łaskę dla oskarżonej ludzkości. Sześciu aniołów zgrupowało się wokoło tej centralnej sceny. Każdy z nich trzyma insygnia Męki, żeby przypomnieć sądzonym, iż Ten, który dzisiaj sądzi, sam kiedyś był skazańcem i oddał za nich życie. Jeden anioł, tuż przy świętym Janie, trzyma bicz oraz prymitywną kolumnę, do której był przywiązany Jezus w pałacu namiestnikowskim. Anioł, umieszczony za Dziewicą, dzierży lancę. Inni aniołowie niosą cierniową koronę, gwoździe, całun, krzyż i chustę św. Weroniki. Potem szeregi cherubinów i serafinów; gotyckim, połamanym półkolem otaczają Sąd. Potem szeregi alegorycznych postaci i cnót, władz, potęg rządzących, znów archaniołowie i aniołowie — aż do tych z trąbami, którzy umarłych zwołują. Na dźwięk trąb umarli podnoszą się z grobów, jedni biją się w piersi, inni za pomocą gestów usiłują wykazać swoją niewinność. Archanioł Michał waży dusze. Widać potępionych których złe demony porywają do piekieł. Widać bezwstydne ciała ludzkie, porywane przez potwory. Po drugiej stronie fryzu aniołowie wiodą sprawiedliwych do raju. Widać łono Abrahama, na które aniołowie kładą dusze niewinnych.

Moglibyśmy tak bez końca wymieniać szczegóły tego Sądu, a jest to zaledwie opis części tympanonu i fryzu jednego z trzech portali. A czyje pióro odda linie majestatycznych ciał i twarze sztywnych świętych, królów i królowych, męczenników i wyznawców, w długich szeregach strzegących wrót i portyków?

Każda z tych postaci posiada nie tylko własną twarz i własne ciało wyrzeźbione w kamieniu. Każda z nich nosi w sobie ów najwyższy sens, którego zrozumienie przekracza już granice ludzkiego rozumu i tylko niekiedy sercem możemy się go domyśleć. A kto z żywych zrozumie anioła, którego pierś okrywa tarcza zegara słonecznego? Może tą tarczą sama wieczność zasłania się przed doczesnością? Co się śni świętemu Marcinowi? Co mieści się w spojrzeniu, którym święta Anna obdarza swe dziecko na ręku? Co mówią zbolałe wargi człowieka, którego głos wołał na puszczy, Jana Chrzciciela, i do kogo mówią? A kto wytłumaczy gest ręki Boskiej w chwili, gdy Adama powołuje do życia? Oto ręka, która wie, co czyni, jedyna ręka, która to wie. I tak bez końca moglibyśmy stawiać pytania, na które odpowiedź zawarta jest w tych „żywych kamieniach", chociaż nie umiemy jej odczytać.

A teraz cóż nam pozostaje? Nerwowo, w pośpiechu przyjeżdżamy od kruchych i wątpliwych prawd i reguł naszego bytu do tej olbrzymiej, tyle lat trwającej i w głazy zaklętej prawdy. Po cośmy tu przyjechali? Nakarmić oczy pięknością? Zapewne, spojrzenia nasze nie splugawią czystości tej katedry. Nie ma obawy: katedra wytrzyma nasz wzrok, jak wytrzymała wszystkie pożary, które ją nawiedziły w ciągu wieków, wojny i rewolucje. Po tych kamieniach ześlizgnęły się miliony ócz ludzkich, zachwyconych i sceptycznych, a katedra trwa niewzruszona. Ale co z nami się stanie, jeśli my nie wytrzymamy na sobie spojrzenia katedry? Co będzie, jeśli oczy tych rzeźb, te święte gesty rąk — urzekną nas i już nie puszczą od siebie? Co uczynimy wówczas? Czy mamy zrzucić z siebie wszystką pychę, zapomnieć o tym, co trawi i spala nas na popiół i zostać już tu na zawsze? Czy też mamy udać się na dworzec i wrócić tam, skąd przybyliśmy i zabrać sobie na pamiątkę kilka fotografii katedry, które zawiesimy nad naszymi biurkami i łóżkami?

Nad wieżami katedry krążą aeroplany wojskowe. W pobliżu, na przeciwległym wzgórzu znajdują się hangary. Nad wielowieczną elewacją tych łuków, nad krótkotrwałą elewacją naszych małych serc — wzbijają się maszyny, w których siedzą ludzie. Jak postąpić, żeby było najlepiej? Może wejść do tej angielskiej herbaciarni naprzeciw południowego portalu katedry i posiedzieć tu aż do Ostatecznego Sądu, kiedy figury z tympanonu, który

widać przez okna herbaciarni, przestaną być kamieniami? Tak chyba będzie wyglądał Sędzia, który policzy nasze cnoty i zbrodnie, pomści nasze krzywdy i wynagrodzi Sprawiedliwych. Czy tu mamy Nań czekać, w tej herbaciarni, czy wrócić tam, skąd przyszliśmy?

Kamienni aniołowie mają skrzydła, żywi ludzie mają tylko aeroplany. Uciekajmy stąd.

Szkic z Normandii

Nie umiałbym odpowiedzieć na pytanie, co mnie już drugi rok z rzędu pędzi latem do małej wioski, Ste Honorine des Pertes, położonej nad kanałem La Manche. Czy cisza mnie tu ciągnie i wielkie złudzenie wolności, czy wyjątkowo łagodny klimat, czy też utajona świadomość, że ziemia ta wydała Flauberta i Maupassanta i na każdym kroku można tu sobie odtworzyć pejzaże i sytuacje z ich dzieł, czy też wreszcie samo morze wzywa mnie na swój, dziwnie sielski, brzeg? — Doprawdy — nie wiem. Wiem tylko tyle, że przywiązałem się do tego, mało przez turystów uczęszczanego kawałka zielonej ziemi, do tych sadów pełnych jabłoni i do tej surowej powagi, którą tchnie cała normandzka atmosfera. Ostatnią stacją kolejową w drodze do nadbrzeżnych osad, rozsianych między Cherbourgiem a Arromanche, jest Bayeux. Miasteczko to ma bardzo dawną tradycję. Niegdyś była tutaj stolica Wilhelma Zdobywcy, o czym świadczy kolorowa legenda, którą podobno własnoręcznie wyhaftowała jego żona, Matylda. Wspaniała katedra gotycka, jakkolwiek skromniejsza od katedr w Chartres i Rouen — dominuje swymi wieżami nad miastem i nad całą zieloną równiną. Trudno określić, na czym polega piękno tej zieleni. Zieleń to dziwnie intensywna, nasycona, niekiedy nawet ponura. Owszem, cały ten pejzaż, zwłaszcza przy chmurnym niebie, wszystkie te szare kamienne domki, kościółki i zamki — czynią ponure wrażenie. Nic nie ma tu ze słodyczy i miękkiej melodii południowo-francuskich krajobrazów; nawet w słonecznym powietrzu wisi coś groźnego, niemal tragicznego. Tragiczny spokój — oto najtrafniejsze określenie zespołu wrażeń, które nam daje normandzka przyroda. Morze jest tu na ogół spokojne, monotonne i letnią porą wcale nie skłonne do owych romantycznych ekscesów, które budzą podziw turystów nad Oceanem w Bretanii. Jest to morze pełne umiaru, powagi i godności, a na jego powierzchni, której kolor, jak wszędzie, zależny jest od kolorów na niebie, nie

widać wielkich parowców ani wytwornych jachtów. Nerwowe błyski latarni morskiej w Cherbourgu i Hawrze wskazują w ciemne noce drogę skromnym żaglówkom rybackim, wracającym z połowu do Port-en-Bessin. Ta cicha i niewielka przystań ma również swą tradycję w literaturze i w historii. Kilkakrotnie wspomina ją Flaubert w niedokończonej powieści „Bouvard i Pecuchet". Nad portem, na „falezie" dumnie sterczy kamienna baszta, którą budował marszałek Vauban; dziś w jej szczelinach kwaterują nocą krzykliwe mewy.

Niezmiernie piękne, stare, kamienne molo, gdzie w słoneczne dni suszą się tłuszczem przepojone sieci, wrzyna się głęboko w morze. Bardzo malowniczo wygląda na tle jasnego nieba las masztów, kołyszących się w basenie. Kolorowe głowy tych masztów z krzyżami na szczycie, kiwają się uroczyście wraz z latarniami, umieszczonymi nieco niżej. W czasie odpływu, gdy basen portowy jest zupełnie wyschnięty, łodzie pochylają swe kadłuby bezsilnie, biernie, jak zwłoki ze smutnie zwieszonymi głowami i pokornie czekają, aż je w godzinie przypływu wskrzesi woda. Ale na pełnym morzu, w najbardziej burzliwe noce, umieją one dzielnie walczyć z żywiołem i prężyć, jak tarcze — swe brunatne żagle. W takie noce widać z brzegu ich rozpaczliwe zmagania, widać, jak maszty kładą się poziomo na wodę wraz z płonącymi latarniami. W takie noce przydać się może błogosławieństwo biskupa z Bayeux i Lisieux, który regularnie co trzy lata przybywa tutaj z orszakiem duchowieństwa i wypływa na pełne morze z święconą wodą.

W spokojne wieczory, zanim słońce zapadnie, kiedy szmaragdowa tafla wód łączy się z szmaragdowym niebem w jedną nieskończoność tak, iż zacierają się granice obu tych żywiołów, na krańcach widnokręgu rysują się nieruchome, samotne żaglowce z rozpiętymi żaglami, jak fantastyczne motyle. Stoją tak godzinami w wielkiej ciszy i nie drgną. W tej zaczarowanej nieruchomości nieba, morza i statków jest coś tak tragicznego i świętego, iż czujemy, jak serce nam bić przestaje. Przez moment czujemy wieczność.

Docześni mieszkańcy tych wyżyn nadmorskich nie mają w sobie nic malowniczego. Ani w stroju, ani w obyczaju, ani w temperamencie. To bardzo twarda i nieużyta rasa Gallów i Normanów, zimna, skupiona i wyrachowana. Nigdy pieśń nie zabrzmi na tych zielonych łąkach, gdzie dniem i nocą pasą się duże krowy, z których pochodzą: słynne masło, słynne sery i śmietana. Ryk tych krów i zawodzenie osłów przerywają niekiedy monotonną ciszę lądu, a nad morzem głos mają — tylko mewy. Dzieci tutejsze również są poważne i nie umieją śpiewać. Człapią w

drewnianych sabotach po asfaltowych drogach, pozdrawiają uprzejmie, chórem wołają nazwisko przechodnia, a chociaż odżywiane są dobrze i na ogół zdrowe — czynią wrażenie upośledzonych.

Chłop tutejszy — to przede wszystkim sadownik, produkujący z kwaśnych małych jabłek — powszechny na tej ziemi — cidre. Z jabłek również robi się świetną wódkę Calvados. Nazwa jej pochodzi od nazwy departamentu, a smak jej przypomina śliwowicę, od której jednak jest słabsza. Cidrem zapijały się długie pokolenia tego ludu, zapewne jeszcze od czasów Wilhelma Zdobywcy, i stąd, jak twierdzą znawcy — pochodzi tępota tego ludu, nieużytość i brak wyobraźni.

Wieczorem spotkać można poważne kobiety na osiołkach, objuczonych paszą. Po obu bokach zwierzęcia połyskują olbrzymie, okrągłe, mosiężne dzbany z mlekiem. Kobiety te nigdy się nie śmieją. A nieraz w polu zjawia się stara baba z obliczem, jakby wykutym z tutejszego ponurego kamienia. W białym czepku, z kosą w ręku, samotna, bezzębna, z oczyma głęboko wpadniętymi — wygląda jak śmierć. Wszystko tu żyje i umiera w zwolnionym tempie. Nieruchomość, powolność, spokój. Wzdłuż owych pięknych falez czyli pagórków nadbrzeżnych, pokrytych gęstą trawą lub łanami zbóż — całymi godzinami można iść i nie spotkać żywej duszy. Stare opuszczone domy z kamienia, których właściciele dawno umarli bezpotomnie, sterczą bez dachu wśród zieleni, jak zwaliska grobowców. Do nikogo nie należą, nikogo nie kuszą. Jednak nie straszą: — tak bujna porasta je zieloność. Lasów tu nie ma, ale gęsto skupione farmy czynią z daleka wrażenie lasu. Wegetacja sięga aż do samego morza. Nad samym morzem kwitną późną wiosną jabłonie, nad samym morzem rośnie owies i pszenica. Nigdy wiatr od morza nie kołysze drzew położonych w głębi wsi, osłoniętych falezami. Tylko zachodni wiatr lądowy zwiastuje deszcze i burze. O sto kroków za morzem nie czuje się już jego obecności, jedynie zapach jodu, który tak obficie wydzielają algi — dociera niekiedy do sadów.

Czasem wędrowny teatr odwiedza te wioski, oddalone od kolei o kilkanaście kilometrów. Na asfaltowych szosach jawią się wówczas zielone wagony wagantów, którzy rozbijają namiot na głównym placu lub w szczerym polu. Dyrektor teatru jest jednocześnie pierwszym i niekiedy jedynym członkiem swej orkiestry i rozczulająco fałszywie gra na trąbie stare, zapomniane już w Paryżu melodie. Wyświetla on również osobiście jakiś przedwojenny, zblakły film miłosny lub cowboyski, własnoręcznie kręci korbą i własnym głosem tłumaczy pozbawionym wyobraźni widzom treść obrazu. Żona jego jest jednocześnie kasjerką teatru, pierwszą naiwną i pierwszą balleriną, a córeczka ich, sześcio- czy

ośmioletnia, deklamuje, śpiewa i w czasie antraktu budzi współczucie widzów, przechadzając się wśród nich z tacą na pieniądze. Rankiem dnia następnego, na miejscu, gdzie wczoraj huczała trąba, huczały śmiechy i rozbrzmiewały pieśni, gdzie acetylenowe lampy niosły światło w ciemne mroki — z Melpomeny nie ma już śladu. Chyba tylko tyle, ile zostawią konie, ciągnące po normandzkiej ziemi ubogie wozy Tespisa.

Język polski w Ste Honorine des Pertes

Od dawna już pragnę pisać o zjawisku, które uświadomiłem sobie latem 1929, w Ste Honorine des Pertes, w departamencie Calvados, nad kanałem La Manche. Jest to fenomen wysoce niedemokratyczny, o tak, nawet godzący w samo sedno demokracji i zadziwia tym bardziej, że objawia mi się w Francji.

Trzeba mi było, po tylu latach obcowania z językiem polskim, wybrać się aż tu, na falezy Normandii i spędzić z nim sam na sam osiem miłych tygodni po to, aby poznać dziewictwo tego języka i zapałać doń miłością. Jestem pewien, że tutaj nikt prócz mnie języka polskiego nie zna, a ta pewność wystarczy, żeby ten język urósł w moich oczach, w moich uszach, ba, nawet pod mymi palcami, do mitycznych, gigantycznych rozmiarów i stał się zjawiskiem przyrody takim, jak morze. W obliczu morza właśnie oraz nieba (obcego morza i obcego nieba, jakby powiedzieli „rodacy") każde słowo codziennej naszej mowy zaczyna brzmieć niecodziennie, świątecznie, niby jakaś orficka muzyka, niedostępna dla niewtajemniczonych. W godzinach przypływu przynoszą fale z wybrzeża Anglii całe masy słów polskich, potrzebnych mi do pisania. Odnajduję je dopiero w godzinach odpływu, na brzegu, pośród alg, pośród muszelek i krewetek. Słowa polskiej mowy, naniesione przez morze są mokre, pachną głębią, jodem i solą. I każde z nich brzmi legendarnie. A w Ste Honorine zaczynają mnie czarować słowa takie, jak: po cichutku, po malutku, nagle odkrywam ich wtórny sens, ten który mieści się poza użytkową powłoką każdego wyrazu. Tylko wśród ludzi, którzy nawet nie wiedzą, jakim językiem w Polsce się mówi, odczuwam jeszcze radość z tego, że jestem polskim pisarzem. Nie na darmo modliłem się przed Ostrą Bramą w Wilnie:

„Tak mnie przenieś cudem na o b c z y z n y łono".

Tak, nie ma już dla mnie żadnej wątpliwości, w Ste Honorine, latem 1929 roku zdobywam przekonanie, że język polski jest wyłącznie organem tak, z przeproszeniem, zwanej duszy mojej, czymś w rodzaju prałata jego świątobliwości mego umysłu, lub po prostu narzędziem, którym jedynie ja mam prawo się posługiwać, idiomem, którym jedynie ja mam prawo dawać o sobie znać. W Ste Honorine przepada dla mnie nagle owych dwadzieścia milionów ludzi, którzy w granicach Rzeczypospolitej Polskiej oraz na emigracji, od świtu do późnej nocy i nawet we śnie mówią, myślą, czują, kłamią, besztają, uwielbiają, kapryszą, handlują, szachrują, aresztują, piszą, bronią, oskarżają, świadczą, deklamują, śpiewają, sprzedają, kupują, nauczają, klną, uwodzą, szaleją, rozpaczają, pochlebiają, znieważają siebie i drugich — po polsku.

Tam, w kraju, bywało, nieraz mi obrzydł ten język. Zbyt często słyszałem go w ustach mych wrogów. Za wiele przykrości doznałem w tym języku. Zwłaszcza w Warszawie czułem niekiedy fizyczny wstręt do niego. Krzyczał na mnie z ohydnych szyldów na ulicy Marszałkowskiej, ślinił mnie z ohydnych gazet, każdy sutener w okolicy Dworca Głównego płynnie nim włada. Stanowczo za dużo polszczyzny w kraju! Używają jej tam do wszystkiego! Nawet kat w Polsce mówi po polsku! A w Ste Honorine des Pertes język polskich katów, sutenerów i poetów jest tylko językiem poetów. I nie służy mi nawet do porozumiewania się z ludźmi, lecz z tą płynną substancją, która — o ile dusza istnieje, jest moją duszą. Żyje tutaj tylko po to, aby przeprawiać mój umysł przez plątaninę bezładnych myśli do jasności. A istnieje w ogóle tylko w formie pisanej.

Jakiż on czysty — w Ste Honorine, jaki mądry, wzniosły i zdrowy! Nie ma on tu już nic wspólnego z mieszczaństwem, niejeden wyraz został z niego raz na zawsze usunięty np.: przebój, forsa, dźwiękowiec, bujda, bubek, facet itp.

Jest to więc język abstrakcyjny, jak greka lub łacina i przez to najbardziej konkretny dla tzw. twórcy. Niechaj się stanie „martwym" w życiu narodów, byle by tylko żywy został w poezji. Ileż to razy, później w kraju, musiałem tzw. duchem uciekać do Ste Honorine, żeby słowo, codzienne polskie słowo z ulicy, z kawiarni, z gazety, słowo moich bliźnich, sąsiadów, moich wrogów — przetworzyć na słowo mego wewnętrznego honoru, mojej prawdy! Tylko przetwory słowne mają jeszcze jaką taką wartość w literaturze. I muszę wyjeżdżać zagranicę, do odludnych wiosek normandzkich, żeby się kształcić w polskim języku. Brak kontaktu z czytelnikiem, abstrakcyjność czytelnika uszlachetnia zarówno pisarza, jak i czytelnika. Czyni go idealnym

odbiorcą naszych słów, czytelnikiem dla którego w ogóle warto pisać. W interesie literatury polskiej powinny istnieć osobne towarzystwa emigracyjne dla pisarzy.

Polskie słowa leżą, walają się na asfaltowej szosie z Ste Honorine do St. Laurent. Jeśli morski wiatr rzuci kiedy kawałek polskiej gazety na murawę fermy pana Lecomte, wiem, że będzie to strzęp gazety, która do mnie przyszła. Poznaję strzępy moich własnych rękopisów, które podarłem i rzuciłem do kubła. Madame Berthe, sprzątając mój pokój, wylała je wraz z wodą na ulicę. Chociaż woda zamazała atrament, poznaję gorycz mego serca, wylaną razem z pomyjami na asfalt departamentalnej szosy. Język polski zostanie tutaj po mnie, przeleży się na tej szosie niby *membra disiecta* mojej duszy i przetrwa może do przyszłego roku, aż pożółkłe skrawki papieru, zapisane obcym językiem odnajdzie jakiś francuski letnik w drodze na plażę i powie do swej towarzyszki:

— *Voyons, c'est drôle ça! Quelle langue ça pourrait être, suédoise?*

W o j n a w V i n c e n n e s

Przez pół roku blisko udawałem się w godzinach popołudniowych do zamku Vincennes pod Paryżem w poszukiwaniu materiałów do pewnej pracy. Przeszło 100 tysięcy tomów w najróżniejszych językach, niezliczoną ilość gazet, periodyków, map, plakatów i fotografii zebrano tu i ułożono systematycznie w celu ułatwienia analizy, dokumentacji, apoteozy oraz potępienia owego słynnego faktu, któremu Polska zawdzięcza niepodległość, a dwadzieścia milionów ludzi — śmierć i kalectwo. Mowa o Bibliotece i Muzeum Wielkiej Wojny. Zbiory biblioteczne zawdzięczają swój początek darowiźnie małżonków Henri Leblanc, dziś są one własnością Republiki, oddaną pod opiekę Ministerstwa Oświaty. Dyrektorem tych instytucji jest znany historyk, profesor Camille Bloch. Trudno o bardziej odpowiednie umieszczenie tych kolekcji. Wojnę i krew czuć tu w powietrzu i to w wyjątkowo czystym powietrzu, zasilanym z lasu w Vincennes.

Gigantycznych rozmiarów Château de Vincennes, dziś twierdza — to cały kompleks pałaców, bastionów, koszar, coś jak gdyby Wawel lub Akropolis. W obrębie twierdzy wznosi się również piękna gotycka kaplica, przypominająca Sainte Chapelle z Pałacu Sprawiedliwości. Szary, groźny, olbrzymi, podłużny i prostokątny jest mur z kamienia, który oddziela zamek od ożyw-

wionej ulicy. Między nim a ulicą leży jeszcze zielony skwer oraz głęboka, na dwa piętra wykopana fosa. Wysoka, gotycka, prostokątna wieża z zegarem, wyższa od Bramy Floriańskiej w Krakowie — mieści w sobie główny portal. Aby przez tę wieżę dostać się do twierdzy, trzeba przekroczyć drewniany most nad fosą. Nie jest to już most zwodzony, lecz z pewnością jego następca. Wiele trupów zapełniało chyba tę fosę w przeszłości. Dziś u głowy mostu, na wysokim maszcie wisi wysoka tarcza z materiału, imitującego złoto. Na tarczy widnieje złoty napis: Musée de la Grande Guerre. Ogarnia nas złudzenie, że stoimy przed namiotem wodza jakiegoś wojowniczego szczepu. Ale złudzenie to mija natychmiast. Tuż obok masztu, przed drewnianą budką, malowaną w niebieskie, czerwone i białe kolory, stoi na warcie mały, niepozorny i uśmiechnięty posterunek. Ani stalowy hełm, ani duży karabin z jeszcze większym bagnetem nie zdołają mu nadać marsowej postawy. To raczej harcerz niż żołnierz. Cywilną ma twarz pod tym groźnym hełmem i cywilne ruchy, i nawet, gdy prezentuje broń przed przechodzącym oficerem wydaje się, iż czyni to raczej dobrowolnie, nonszalancko niż z musu. Postać jego nie harmonizuje z surową dekoracją, na której tle się odcina. Rzekłbyś, że tylko na niby strzeże wrót tej okrutnej twierdzy, z którą łączy go nie twardy obowiązek, lecz niewinny kaprys. Stoi na straży kamiennej warowni, jak żywy przeżytek idei, która właściwie już nie istnieje. Nie, francuski piechur nie jest przedstawicielem militaryzmu. Obowiązki swe spełnia z uśmiechem (tak się przynajmniej wydaje postronnemu obserwatorowi), lecz sumiennie i z poczuciem odpowiedzialności przede wszystkim wobec samego siebie, jak sportsman-amator. Mniemanie to potwierdza również barwny afisz na bramie twierdzy, werbujący młodzież francuską do ochotniczego zaciągu w szeregi pułków kolonialnych. Bogato ilustrowany egzotycznymi figurami, afisz ten bardziej przypomina reklamę jakiegoś przedsiębiorstwa turystycznego niż oficjalną odezwę ministerstwa wojny. Sierżant, bezpośredni przełożony młodego żołnierza, 24-godzinny komendant warty fortecznej, również nie wygląda groźnie. Swobodnie, z papierosem w ustach rozmawia sobie z jakąś uszminkowaną damą i wcale nie troszczy się o to, co się dzieje za jego plecami. Reszta warty wałkoni się w kordegardzie, umieszczonej wewnątrz wieży pod ciemnym sklepieniem. Drzwi od wartowni są otwarte, bucha przez nie śpiew i ów specyficzny odór, po którym na całym chyba świecie poznać można obecność żołnierzy. Naprzeciw drzwi wisi olbrzymie lustro, zapewne dla wygody komendanta warty, żeby mógł, nie opuszczając swej kanapy, obserwować wchodzących i wychodzących. Tuż obok lustra w patetycznej pozie stoi kamienna nieruchoma postać

wielkiego żołnierza z dawnych czasów, kiedy to armia francuska była jeszcze wielką ideą, chadzała w szamerunkach i pióropuszach, poprzedzana orłami, jak rzymskie legiony. To posąg barona Daumesnil, zwanego „Jambe de bois", drewnianą nogą. Jako napoleoński generał stracił Daumesnil nogę w bitwie pod Wagram. Później przez długie lata był gubernatorem twierdzy Vincennes. W r. 1814 oblegały ją wojska szóstej koalicji, tej samej, która zmusiła Napoleona do abdykacji. Wówczas to Daumesnil, wezwany przez oblegających do oddania twierdzy, wypowiedział słynne słowa: „Oddajcie mi wpierw moją nogę!" — W rok później oparł się również Blücherowi, a w r. 1830, kiedy wzburzony lud paryski zażądał od niego wydania znienawidzonych ministrów Karola X., zamkniętych w donżonie, chciał Daumesnil podłożyć ogień pod prochownię i wysadzić całą fortecę w powietrze. To francuski Sowiński i Ordon w jednej osobie. Dziś patetycznie sterczy z drewnianą nogą, wykutą w kamieniu, niby wieczny *concierge* tego gmachu, gdzie kwaterują oddziały niskich, krępych, skośnookich Anamitów. W godzinach wieczornych spotkać można tych młodych buddystów w niebieskich mundurach francuskiej piechoty, jak w drewnianych kłapiących trepkach śpieszą z menażkami do kuchni fortecznej po ryż. W tych starych, gotyckich murach czują się zapewne lepiej niż we własnym kraju. Tu — zdaje się, — nikt się nad nimi nie znęca. Śmieją się wesoło, palą papierosy i wcale się nie trzęsą na widok przechodzących obojętnie oficerów, których skóra nie zawsze jest biała. Do twierdzy Vincennes przydzieleni są również murzyńscy oficerowie. Na całym rozległym dziedzińcu nie słychać wrzasków kaprali, które w niektórych krajach dopomagają do umocnienia dyscypliny wojskowej. Swobodnie spacerują tu różni żołnierze, biali i kolorowi: grają w piłkę nożną, śpiewają i pogwizdują melodie z nieśmiertelnej „Rose-Marie".

Całe to wojsko mocno pachnie cywilem i przypomina drużynę sportową. Mieszczą się tu różne szkoły i kursy wojskowe, głównie artyleryjskie i saperskie, ruch jednak panuje niewielki na tym olbrzymim obszarze. Na prawo od wieży frontowej dominuje nad całym dziedzińcem i nad wszystkimi budynkami grozę budzący donżon. Tak musiała kiedyś wyglądać Bastylia. Wielu sławnych więźniów siedziało w tych monumentalnych murach: książęta Condé, kardynał de Retz, Mirabeau i sam Ludwik XVI. W Vincennes wykonywano również historyczne egzekucje. Tu, na rozkaz Napoleona, rozstrzelano w nocy 20 marca 1804 roku młodziutkiego księcia d'Enghien, którego szczątki spoczywają w gotyckiej kaplicy twierdzy. Jeszcze w dzisiejszych czasach na terenie twierdzy rozstrzeliwują skazańców wojskowych. Ale Vincen-

nes szczyci się również inną tradycją, nie tylko przelewem ludzkiej krwi. Najdawniejsi królowie zwykli byli w tych stronach przelewać dla przyjemności krew poddanych sobie zwierząt, zamieszkujących gęsty ongi, dziś przetrzebiony Bois de Vincennes. Tu mieli swój zameczek myśliwski. Katarzyna Medycejska kazała zbudować ów piękny pałac, zwany Pavillon de la Reine, gdzie w r. 1661 umarł Mazarini.

Do tego pałacu kierujemy kroki. Tam jest dzisiaj Ona, strzeżona przez kustoszów, bibliotekarzy, skryptorów. Leży spokojnie w szafach, w gablotkach: Wielka Wojna. Można się jej wyuczyć na pamięć, odtworzyć wszystkie jej szczegóły, o ile w ogóle dadzą się odtworzyć. Można je tu przestudiować w ciszy, w skupieniu. Odpowiednie napisy zabraniają głośno rozmawiać. Przez otwarte okna słychać śpiew ptaków, a łagodne promienie słońca odbijają się w szybach, za którymi leżą pamiątki z pól bitew, z obozów koncentracyjnych, z okopów. Leżą milczące, spokojne, blakną i żółkną posegregowane, uporządkowane, opatrzone numerkami, jak okazy przedpotopowej flory i fauny. Uśpione Marsylianki, Wacht am Rhein'y, zwinięte jak sztandary. Zniszczone, zmięte, potargane insygnia władzy. Orły ze złamanymi lub stulonymi skrzydłami i upokorzone, ugłaskane lwy. Oto błyszczy kask oraz epolety wielkiego księcia badeńskiego Maksa. Odebrano mu ten błyszczący szych, metalową dostojność, w chwili pojmania go do niewoli, a teraz leży ona obok bębna jakiegoś pruskiego pułku grenadierów. Tuż obok gabloty z insygniami księcia badeńskiego woła ze ściany, grubymi literami powiększona: „Pieśń nienawiści do Anglii" pióra Ernesta Lissauera. Nienawiść ta już dawno nie istnieje, ale w tym francuskim muzeum krzyczy ohydą pięknie wierszowanych słów i trwa. Oglądamy plakiety, medale, popiersia, portrety popularnych w czasie wojny władców, wodzów i mężów stanu. Na ogół starano się o obiektywizm, przeważa jednak apoteoza własnych i sprzymierzonych generałów. Jest tu również Piłsudski i Haller. Kolekcje guzików, epoletów i odznak wojskowych każą myśleć o ludziach, na których ongi były naszyte. Co się stało z tymi ludźmi? Ilu z nich jeszcze żyje? Czy poznaliby medale, które niegdyś zdobiły ich piersi? Czy poznaliby czapki, które wówczas nakrywały ich głowy?

Niezwykle wymowna, nieraz grozę budząca jest bogata kolekcja afiszów i proklamacji. Zebrano tu setki ogłoszeń od chwili wybuchu wojny aż do zawieszenia broni. Znajdujemy więc odezwy mobilizacyjne prawie wszystkich państw walczących, rozkazy gubernatorów wojennych, skierowane do podbitej ludności, zarządzenia karne i administracyjne. Osobny dział stanowią afisze, wzywające do subskrybowania pożyczek wojennych. Niektóre

plakaty austriackie i niemieckie odznaczają się wysokim poziomem artystycznym i dobrym smakiem. Najbardziej patetyczne są afisze włoskie. Najdowcipniejsze — rosyjskie. Wisi również przed nami bardzo obfity i bardzo pstry materiał agitacyjny, usiłujący „podtrzymać ducha" jak to się w owych czasach nazywało, przy pomocy wyolbrzymiania własnych cnót, zalet, i sukcesów kosztem przeciwnika, który zawsze był brzydki, karykaturalny, zbrodniczy i śmieszny. Wiele materiału znajdzie w tych ilustrowanych afiszach badacz fenomenu: „kłamstwa podczas wojny".

Najbardziej przykre i poniżające wrażenie czynią jednak rozkazy i obwieszczenia komendantów miejscowości okupowanych. Ze zrozumiałych względów mamy tutaj tylko materiał niemiecki, jako że Francja podczas wojny nie okupowała żadnych terenów wroga. Przykro być musi uczciwym Niemcom, dość licznie zwiedzającym muzeum, gdy czytają odezwę niejakiego majora von Moehringa, który w roku 1914 był komendantem placu w Valenciennes. Słowa jego uwiecznione w druku i przechowane w tym muzeum chwały i hańby, brzmią tak, jakby je nie człowiek napisał, ale jakaś istota wyższa, od której zależy byt i niebyt ludzi, zwierząt i miast. Jak Pan istnienia zachował się ów major von Moehring. Prawdopodobnie chodziło o ukaranie marnej mieściny Orchies za „franctireurstwo". Zapewne jej mieszkańcy strzelali z okien lub zza węgłów do wkraczających wojsk niemieckich. Posłuchajmy, jak na to odpowiedział major von Moehring: ...„w konsekwencji kazałem miasto całkowicie zburzyć. Orchies, niegdyś miasto liczące 5.000 mieszkańców już nie istnieje. Budynki wraz z ratuszem znikły z powierzchni ziemi i nie ma już żadnych mieszkańców".

Kogo właściwie zawiadamia o tym fakcie major von Moehring, skoro ani jeden z mieszkańców Orchies już nie istnieje? Czy składa w ten sposób raport o swym czynie Panu Bogu w niebie? I na jakim miejscu kazał umieścić ten afisz, skoro w mieście Orchies nie ma już ani jednego muru? Zapewne kazał wbić specjalny słup z afiszem w gruzy miasta.

Jak wyglądały oczy, co czytały ten afisz w dniu rozlepienia? Były to zapewne oczy mieszkańców sąsiednich, oszczędzonych miast. Infernalne wizje snuły się przed tymi oczyma, a pan major Moehring urósł w nich do rozmiarów Sędziego Ostatecznego Sądu, w którego mocy jest znosić miasta z powierzchni ziemi. Biedny major Moehring! Jeśli żyje jeszcze, jest pewno dzisiaj agentem jakiejś fabryki wyrobów gumowych lub w jakimś tatersalu uczy konnej jazdy wzbogaconych na wojnie fabrykantów amunicji. Ma pewno żonę i dzieci, którym od czasu do czasu pokazuje swe ordery. Któżby z jego znajomych przypuszczał, iż to on właśnie

zniósł z oblicza ziemi miasto Orchies? A może dusza tego miasta tłucze się po nocach w jego mieszkaniu i spać mu nie daje?

Wiele podobnych druków zdobi to muzeum. Wyroki śmierci suto są naszpikowane nazwiskami kobiet. Rozpacz, ból, wściekłość, upokorzenie i pycha wydzierają się spoza milczących witryn i wołają o pomstę. Zebrano tu jednak i groteskowe obrazy ludzkiej głupoty, pychy i zaślepienia. Widzimy owe śmieszne talerze, przyciskacze, popielniczki, łyżeczki, broszki niemieckie i austriackie, pełne przekleństw w kierunku koalicji, pogróżek i drwin, pełne wierszyków patriotycznych, wysławiających potęgę własnych monarchów i wodzów.

Najsłabsze wrażenie wywołują bardzo liczne obrazy batalistyczne, niejednokrotnie dzieła słynnych malarzy. Bardziej przemawiają rysunki i szkice z okopów i obozów jeńców, lecz najbardziej sugestywnie działają kalejdoskopy, pełne autentycznych fotografii, powiększonych i uplastycznionych specjalnymi szkłami.

Trudno zaiste powiedzieć, na jaką intencję zinwentaryzowano tę całą minioną grozę. Czy wojna należy już do przeszłości, iż ślad i pamięć po niej konserwuje się w muzeach? Czy przyszłe pokolenia będą mogły tylko tutaj ją oglądać — bo w „życiu" już jej nie będzie? Chętnie ulegam złudzeniu, iż kiedyś przychodzić będzie do Vincennes szczęśliwa, nienarodzona jeszcze młodzież, z tym samym uczuciem i tą samą ciekawością, z jaką my odwiedzamy muzea, poświęcone zabytkom archeologii i prehistorii. Będzie się gapić na karabin i na mundur z tym samym zdumieniem, z jakim my oglądamy dzisiaj szkielety mamutów lub ichtiozaurów. W uczonych encyklopediach szukać będzie znaczenia słów takich, jak: nieprzyjaciel, armata, bitwa, atak na bagnety. Ani we własnej świadomości ani w bujnej wyobraźni nie znajdzie już ta młodzież komentarza do tych umarłych pojęć i gorzkimi łzami opłakiwać będzie nie śmierć zabitych ojców, lecz dwóje, otrzymane w szkole za niedostateczne wiadomości o wojnie.

— Proszę pana profesora, to stanowczo za trudne dla czternastoletniego chłopca. Skąd on ma wiedzieć, co to jest granat lub bagnet? Przecież takich rzeczy nigdzie nie widział.

W ten sposób na „wywiadówce" przyszłości usprawiedliwiać będzie swego syna zatroskana matka tak, jak dzisiejsze matki uskarżają się na przeciążenie dzieci wiadomościami z historii starożytnej. Wówczas muzeum w Vincennes spełni zaszczytną misję wychowawczą, jako zbiór curiosów z zamierzchłych czasów 1914-1918. Słodko nam pomyśleć, że już nasze wnuki mogłyby dostawać złe cenzury z wojny. My niestety zdaliśmy ją na celująco i *summa cum laude*. Wielu z nas nawet otrzymało swe dyplomy z wojny *sub auspiciis imperatoris*.

Z WALIZY JUGOSŁOWIAŃSKIEJ (1932)

Notatki fałszywego reportera

I

Wielkiej uprzejmości znakomitego pisarza chorwackiego prof. Juliusza Benesića oraz p. Maresa, attaché prasowego przy Poselstwie Królestwa Jugosławii w Warszawie zawdzięczam w tych ponurych czasach kilka miłych tygodni, które rozszerzyły moją ubogą wiedzę o świecie o jeszcze jeden horyzont, i to horyzont wyjątkowo pogodny i błękitny. Wszędzie bowiem źle, ale w domu najgorzej. Troski obcych ludzi, wyrażane obcym, nie całkiem zrozumiałym językiem, mogą dla podróżnika przedstawiać nawet pewien urok, pod warunkiem, że podda się on czarowi nowości. Taka jest magia przestrzeni. Otóż dzięki uprzejmości wspomnianych panów podróżowałem sobie po Jugosławii nie tyle jak król, ile jak dziennikarz, czyli pierwszą klasą za darmo. Nie wiem, co to jest, że na całym świecie ludzie, niekoniecznie nawet świadomi słowa pisanego, bardziej szanują dziennikarza niż literata. Powiedzieć o sobie: *journaliste* jest w podróży o wiele bezpieczniej, niż powiedzieć: *écrivain*, a już całkiem nie wypada przyznać się do tego, że się jest poetą. Literat to figura mniej lub więcej podejrzana, podczas gdy dziennikarz, a zwłaszcza reporter budzi respekt, niekiedy nawet lęk.

Pomny tych prawd, starannie ukrywałem w Jugosławii główne i wysychające źródełko moich dochodów i nie robiłem użytku ani z legitymacji PEN-Klubu ani Zaw. Związku Literatów, natomiast często korzystałem z przywilejów reportera. Nie miałem przy tym — szczerze wyznaję — żadnych skrupułów. Bo, czy współczesny literat, opisujący tzw. rzeczywistość, z wszystkimi jej szczegółami, nie jest reporterem? Reporterem sentymentalnym, lub intelektualnym?

Korzystając z praw reportera mam spełnić jego obowiązki. Ale czy potrafię? Czy wolno reporterowi przyznawać się publicznie do prywatnych uczuć? Dobry reporter polski powinien w niektórych krajach „ościennych" programowo krzywić się na wszystko, w innych natomiast, na każdym kroku — rozpływać się z zachwytu. Serce jego bić powinno w takt obowiązujących paktów i traktatów. Zdaje mi się, że w Jugosławii serce dziennikarza ma, jeśli tak można się wyrazić, wolną rękę. Jugosławia nie jest w stosunku do nas państwem „ościennym". A szkoda. Taki sąsiad mógłby nam się przydać. Szkoda, że na miejscu stacji Niegorełoje nie leży Maribor. Mielibyśmy pod bokiem Alpy i Adriatyk, moglibyśmy szmuglować doskonałe wina i wiele innych pożytecznych rzeczy, których za mało u nas, lub też nie ma wcale. Co prawda, jedną rzecz miał Maribor wspólną z Niegorełojem, a mianowicie: komunizm. Wyraźnie powiadam: miał, bo dziś już nie ma. Oficerów, którzy ten nielubiany kierunek szerzyli na terenie mariborskiego garnizonu, przewieziono do Beogradu, gdzie ich skazano bądź na długoletnie więzienie, bądź na śmierć. Być może, że ci oficerowie wcale nie byli komunistami, lecz mieli na sumieniu inne grzechy, o które tak łatwo w bałkańskim kraju monarchicznym. Ale byłbym fałszywym reporterem, gdybym wyroku skazującego ich za komunizm nie uznał za dostateczny dowód na to, że byli komunistami.

Gdy się przyjeżdża na stację Maribor trudno uwierzyć, że w tej uśmiechniętej, malowniczej dolinie alpejskiej, w dolinie Drawy dla ścisłości, pośród wzgórz pokrytych jodłami, gdzieniegdzie winogradem, może się krzewić obok paproci, tymianu oraz innej flory alpejskiej, (wyszczególnionej w każdym przewodniku turystycznym) — również i komunizm. Na głównych szlakach turystycznych taka rzecz psuje pejzaż. O wiele odpowiedniejszym terenem pod komunizm są monotonne krajobrazy nizinne, piachy lub stepy, które profesorowie geografii nazwali — o ile pamięć mnie nie myli — niżem sarmackim. Ale po co sobie psuć zgrzytami piękną podróż, ledwie rozpoczętą?

Refleksje na temat wzajemnego stosunku pejzażu i komunizmu snułem dopiero w powrotnej drodze. Jadąc w pierwszą stronę byłem nieświadom procesu mariborskiego, niby małe dziecię. I jak małe dziecię wychylałem się przez okno wagonu w poszukiwaniu niewinnych i malowniczych wrażeń wzrokowych. Przyrodę bowiem zawsze ceniłem i cenię bardzo wysoko.

Wspominam o komunistycznych oficerach mariborskich dlatego, ponieważ wydaje mi się, że ledwo znalazłem się na jugosłowiańskiej ziemi, mimowoli byłem świadkiem sceny historycznej. Opowiem ją pokrótce własnymi słowami. W piękne czerw-

cowe popołudnie pociąg mój, sumiennie obszukany przez żandarmów i celników, dobiega do Mariboru. Żandarmi są mili dla dziennikarzy: dziennikarza i żandarma łączy coś, jak gdyby braterstwo broni. Natomiast na widok celników, szperających w bagażu bliźniego, zaczynam rozumieć jeden z głównych zarzutów w słynnym ongi procesie jerozolimskim: „Jadał razem z celnikami" Ale nie tykajmy tematów religijnych. Otóż w piękne czerwcowe popołudnie pociąg dojeżdża do Mariboru. Z duszą uroczyście przygotowaną na przyjęcie Południa stoję przy oknie. Naraz dolatują do moich uszu skoczne dźwięki starego, dobrze mi znanego marsza austriackiego. Jak to? Przecież granicę republiki austriackiej przekroczyłem przed kwadransem? (Przekroczyć jest wyrażeniem nieścisłym, gdy mowa o pociągu, gdzie pasażerowie znajdują się przeważnie w pozycji siedzącej, lub tak jak ja — stojącej przy oknie). Za chwilę, gdy pociąg wjechał na peron, przekonałem się, że stary, kochany marsz austriacki grała jugosłowiańska orkiestra wojskowa. W tej samej chwili buchnął na mnie słynny południowy upał. Być może, że po tamtej stronie granicy było równie gorąco, jak tu, ale moja lojalność wobec Baedeckerów jest tak wielka, że prawdziwy upał odczuwam dopiero po „przekroczeniu" oficjalnych granic krajów południowych.

W podniosłym nastroju skłonny już byłem mniemać, że to na moje powitanie (na powitanie polskiego dziennikarza) wyszło Południe z muzyką na dworzec, ale okazało się, że jestem w błędzie. Cały bowiem peron przepełniony był oficerami w lekkich, białych, prawdopodobnie świeżo upranych mundurach. Białe mundury i białe czapki jeszcze bardziej potęgowały wrażenie Południa. Kazały myśleć o palmach, kaktusach, agawach, o rozgrzanych portach, które niebawem miałem zobaczyć. Oficerom towarzyszyły piękne i eleganckie damy o tęsknych, głębokich oczach. Kolorowe parasolki chroniły te kuszące owoce Południa od żaru Południa, ale nie ochroniły od ciekawości pasażera z Północy. Oficerowie z damami i z dziećmi stali w grupkach, swobodnie rozmawiając, szczególnie ożywiona była grupa, złożona ze starszych oficerów. Okazało się, że asystuję przy pożegnaniu pewnego generała, opuszczającego garnizon mariborski na skutek przeniesienia do Beogradu. Nie wiem, czy przeniesienie to było karą czy nagrodą, w każdym razie wówczas, w pociągu, wiozącym mnie do Jugosławii, nie myślałem o tym, Scenie pożegnania przypatrywałem się raczej od strony sentymentalnej. Gdy pociąg ruszył, w oknie wagonu stał wzruszony generał i machał czapką, stała generałowa i powiewała chustką, a piękna córka jeneralska nie powiewała chustką, gdyż ocierała nią łzy, obficie z oczu płynące. A na peronie stała stłoczona gromada

oficerów, którzy przeciągle salutowali, aż w końcu, gdy pociąg już oddalił się nieco, zaczęli i oni wymachiwać czapkami, łamiąc zapewne dyscyplinę. A muzyka wciąż grała austriackie marsze.

W cztery tygodnie później, kiedy na stacji Maribor z żalem żegnałem Jugosławię, uległem staremu nałogowi snucia domysłów, łączenia niepowiązanych na pozór faktów, — i w niewinnym może przeniesieniu owego generała dopatrywałem się związku z aferą komunistyczną w jego garnizonie. I przyszło mi na myśl, że może łzy co płynęły z pięknych oczu generalskiej córki nie wytrysły z żalu za zgrabnymi porucznikami, którzy tak szarmancko całowali na peronie jej ręce, lecz za którymś z aresztowanych komunistów. Nawet reporter daje się niekiedy unieść asocjacjom literackim w nie najlepszym guście

Jedziemy dalej. Pociąg wiozący moją ciekawość i zapłakaną córkę generała pędzi wśród łagodnych, zielonych, to znów dzikich i majestatycznych pasm alpejskich, dolinami rzek, których nazwy znajdzie czytelnik w każdym przewodniku, dlatego nie będę ich tu wymieniał. Na szczytach gór sterczą coraz piękniejsze ruiny, upał się wzmaga, a ja żałuję, że nie mogę pierwszego etapu mojej podróży odbyć w miejscowości Rogaska Slatina, gdzie wytryska cudowna woda mineralna, którą piję z wdzięcznością w wagonie restauracyjnym.

Droga do Zagrzebia jest tak piękna, że nie czuję się godny nudzić czytelnika jej opisem. Dziwnie wyglądają winnice na tle wysokogórskim. Szczęśliwy musi być naród, u którego nawet w górach dojrzewa wino, chociaż nie samym chlebem i winem człowiek żyje. W miarę, jak zbliżam się do Zagrzebia, rośnie we mnie uczucie cudzej szczęśliwości i to tak dalece, że zapominam o nieukojonym żalu generalskiej córki. Świat, oglądany z okien tego pociągu jest dla mnie piękny i piękne jest życie, skoro ludzie na schludnych stacyjkach tak spokojnie się uśmiechają i mają takie syte, zadowolone, inteligentne twarze. Być może, dla córki generała świat jest padołem płaczu, ale w tym upale łzy zapewne szybko wysychają. Pośpiesznie uczę się języka chorwackiego z dołączonego do mego przewodnika samouczka i dowiaduję się, że — proszę — znaczy: *molim, a* dziękuję — *hvala*. Chwała! Jacy uprzejmi jesteśmy w podróży, przede wszystkim interesują nas dobre maniery. Należy gościnnego tubylca zaskoczyć znajomością choćby kilku słów z jego mowy, to mu sprawi przyjemność.

W różowym nastroju jadę do Zagrzebia. Nie wiem, co mnie tam czeka, jedno tylko jest pewne: że będę tam o coś prosił i za coś dziękował. Dzień dobry — znaczy: *Dobar dan*. Do widzenia — po prostu: *Do widżenia*. To na razie wystarczy. Zresztą

austriackie marsze, wygrywane na stacji Maribor każą się spodziewać, że język niemiecki nie wyszedł jeszcze w tym kraju z obiegu. Przynajmniej w tej jego części, która kiedyś należała do dawnej c. i k. Monarchii. Chociaż — jak się okazało — nie tak całkiem: „z Habsburgów tronem złączon jest na wie-e-eki Austryi los". Nie całkiem na wie-e-ki.

II

Jesteśmy w Zagrzebiu. Mógłbym o tym mieście powiedzieć, że jest jednym z najmilszych, najpiękniejszych i najczystszych w Europie, ale sceptyczny czytelnik mi nie uwierzy. Więc zamiast wychwalać stolicę Chorwatów, zacznę od tego, czego w Zagrzebiu nie ma, przez co wierny zostanę duchowi negacji, który jest Duchem Świętym naszych czasów. Nie ma w Zagrzebiu kocich łbów na ulicy, nie ma kurzu... ale, czy chodzi o to, by utartym zwyczajem dziennikarskim skarżyć się na Warszawę? Kobiety nie znoszą, gdy się je porównywa z innymi. A Warszawa jest kobietą, nie tylko jako rzeczownik rodzaju żeńskiego. Jest kobietą wprawdzie do pasa tylko, a dalej rybą, czyli stworzeniem, należącym do świata zwierzęcego i podziwiać należy trafność człowieka, który wymyślił ten figlarny herb, jednak nie należy drażnić jej kobiecej, czyli ludzkiej połowy, która — jak to wiadomo z każdego warszawskiego tramwaju — jest naga i uzbrojona. Nie porównujemy. Otóż Zagrzeb — to bardzo miłe miasto, tak miłe, że człowiek nawykły do spokoju, ale nie do nudy, do atmosfery, sprzyjającej tzw. pracy umysłowej, człowiek spragniony życzliwych twarzy na tle pięknej architektury, zwolennik ożywionego choć nie przesadnego życia towarzyskiego — czuje się tu od pierwszej chwili w domu. Nie tak jak w mieście, którego nie porównujemy. W mieście, którego nie porównujemy, powietrze jest jakby przesycone czymś, co pachnie katastrofą, zbrodnią, nieszczęściem. Być może, że w Zagrzebiu też czasem ktoś kogoś morduje, okrada, jest to nawet prawdopodobne, (sam widziałem okazały gmach Sądu), jednak życie uliczne, te roześmiane, pogodne, inteligentne twarze, zwłaszcza w godzinach wieczornej promenady, wskazywałyby raczej na powszechną, choć spokojną i wytworną radość życia. Mieszczańska młodzież Zagrzebia nie robi wrażenia dziczy, mimo, że uprawia sporty i prawdopodobnie — politykę. W całej Jugosławii nie widziałem ani jednej czapki korporanckiej, mimo że ten kraj posiada trzy uniwersytety i cały

szereg szkół wyższych. Czego jeszcze nie ma w Zagrzebiu? Brzydkich kobiet. Mógłbym zaryzykować twierdzenie, że Jugosłowianki to najpiękniejsze kobiety świata, ale nikt mi nie uwierzy. I słusznie, bo nie znam całego świata. Zatem trzymając się ducha negacji, powiem tylko tyle, że nigdzie w Kraljewinie Jugosławii, z wyjątkiem może Sarajewa, nie widziałem wystających kości policzkowych, ani skośnych, w głębi orbit schowanych oczu, ani obrzękłych warg, ani groteskowych nosów, ani krzywych nóg... ale, na miłość boską, czy do obowiązków sentymentalnego lub intelektualnego reportera należy znajomość anatomii? Harmonijne rysy twarzy, zgrabne tułowie, wytworne ruchy i piękne, melodyjne głosy — oto co w Zagrzebiu i w miejscowościach dalmatyńskich prześladuje wrażliwego podróżnika na każdym kroku i napełnia go otuchą i wiarą w przyrodniczą wartość rodzaju, do którego sam należy. Podczas gdy w krajach Europy Środkowej kobiety nadrabiają brak urody krygowaniem się, mizdrzeniem, nadużywając szminki i kredki i naśladując obroty gwiazd filmowych, tamte, Jugosławianki, zachowują naturalną prostotę, a piękność ich ciała przydaje im uduchowienia. Nigdzie może nie spotyka się takiej doskonałości, niemal klasycznej, w budowie ludzkiego ciała, takiej pełni i harmonii linearnej. W tym kraju nos ludzki osiąga maksimum proporcji, a osadzony jest między oczyma o pełnym blasku i kolorze, między oczyma tak dużymi i słodkimi, jakby i one były owocami Południa. Człowiek z Północy, skłonny do samokrytycyzmu, rychło paść może w tym kraju ofiarą tego, co prof. Adler nazwał: Min-ko. *Minderwertigkeitskomplex*. Może się poczuć stworzeniem niedokończonym, niedociągniętym, śmieszną i litości godną karykaturą stworu, którym mógłby być gdyby bogowie słońca, morza, zdrowia i wesela byli łaskawsi. Istnieją miejsca na świecie tak ponure, iż dziwimy się, jak tam ludzie w ogóle mogą się rozmnażać. Rozmnażanie bowiem uważane bywa za konsekwencję wzajemnej nieprzytomności osobników ludzkich odmiennej płci, czyli tzw. miłości. Gdyby miłość zależała tylko od urody partnerów tej pięknej i ciekawej gry, oraz od piękności krajobrazu — największym przyrostem ludności powinny się cieszyć południowe departamenty Francji, a nie północne województwa Polski. W Zagrzebiu, a zwłaszcza w nieprawdopodobnie pięknym i fantastycznym Dubrowniku (Raguzie) dziwimy się, gdy wypadnie nam przejść obok starych, zużytych kobiet.

Kiedy byłem w Raguzie i przechadzałem się skalistym brzegiem morza, gdzie rosną agawy i kaktusy, w rozgrzanym do obłędu powietrzu majaczyły mi się ciała tak pięknych dziewcząt i młodzieńców, iż zdawało mi się, że miłość jest specjalnością

Raguzy, że tylko tutaj mają ludzie prawo ją wykonywać, jak ongi na Cyterze. A te piękne kobiety i ci szlachetni młodzieńcy wydali mi się, jakby umyślnie do tego stworzeni, niby kapłani Wenery. To doskonali artyści miłości, wobec których my inni, jesteśmy niegodni tej wielkiej gry. Jesteśmy tylko dyletantami, jeśli nie fuszerami.

W tym kraju najlepiej nie zwracać na siebie uwagi. Ten kraj graniczy z Grecją, a ciała tych ludzi graniczą z greckim ideałem piękna. Ale, jak wytłumaczyć zagadkę: dlaczego w pewnych stronach świata udają się same dorodne, źrałe, dostałe okazy gatunku Homo sapiens, a w innych przeważnie są już zdegenerowane? Czemu przypisać krzywdę, że tylko na pewnych odcinkach naszej matki-ziemi koncentruje się i uroda ludzka i piękno przyrody? Czemu my, na Północy, mamy nie tylko zaflegmione głosy, ale i zaflegmione dusze, chmurne i nieprzystępne, a oni, Słowianie Południa, śpiewają nawet wtedy, gdy płaczą? Istnieją narody niewyspane, wiecznie w złym humorze, kłótliwe (co prawda narody bałkańskie nie grzeszą zbytnią zgodliwością) i narody wypoczęte, aż do swawolności. Istnieją narody uśmiechnięte nawet w nieszczęściu i narody, wyglądające, jak senne upiory.

Cóż dziwnego, że w krainie pięknych ciał, żyje i tworzy największy może współczesny rzeźbiarz Ivan Mestrović? Piękno tych ciał można jeszcze lepiej zrozumieć poprzez marmury i brązy Mestrovića lub na odwrót. Jeśli podróżujący reporter, z natury swego zawodu skazany jest na obserwację zewnętrznych tylko zjawisk, wystarczy, żeby odwiedził wystawę zbiorową Mestrovića, a pozna to, co jest duszą południowych Słowian. Odwieczne zagadnienie stosunku duszy do ciała nigdzie może nie znalazło tak wymownej odpowiedzi, jak w tych milczących rzeźbach. W Zagrzebiu sprzyja mi szczęście. Bo do szczęśliwych trafów należy zaliczyć możność obejrzenia zbiorowej wystawy Mestrovića. Udaję się na nią w towarzystwie prof. Benesića.

Trudno uważać za zwykły przypadek, że dom, w którym mieszka ten wielki ambasador literatury naszej w Jugosławii, stoi tuż obok konsulatu polskiego. Wcale nie zdziwił mnie Biały Orzeł w sąsiedztwie tej siedziby. W domu tym dwukrotnie miałem sposobność przekonania się, że starochorwacka gościnność w niczym nie ustępuje staropolskiej. Zdaje się, że wszystkie narody słyną mniej więcej z tego samego. Kim jest Juliusz Benesić — wiemy, w każdym razie powinniśmy wiedzieć. W tym roku przecież obchodzono w Warszawie uroczyście 30-lecie jego pracy dla Polski. Na ślady tej pracy natknąć może się podróżnik w każdym większym mieście Jugosławii, gdzie ludzie czytają książki drukowane latinicą. W każdym obcym mieście mam zwyczaj ogląa-

dania wystaw księgarskich. Książki naszych autorów w tłumaczeniach Benesića widziałem w Zagrzebiu, w Suszaku, w Splicie, w Dubrowniku i — jeśli się nie mylę — w Sarajewie. Oto nareszcie kraj, gdzie nas traktują serio! W Jugosławii literatura polska nie jest literaturą „za dopłatą", jak np. we Francji, gdzie do niedawna każdy polski tom wydany nakładem N.R.F. kosztował naszą propagandę 12.000 franków (płaconych wydawcy). Być może, że dla Jugosłowian lektura polskich autorów nie jest aktem pobłażliwej kurtuazji, lecz wynika ze szczerego zainteresowania. Jugosłowian nie obowiązują względy, wynikające dla Francuzów z traktatu wersalskiego, i możemy być przekonani, że krytyk chorwacki, wychwalający polskiego autora, czytał książkę, o której pisze, a honorarium za swoją recenzję otrzymał w redakcji pisma, która tę recenzję zamieściła, a nie z funduszów dyspozycyjnych poselstwa polskiego.

Lista powodów mojej wdzięczności wobec p. Benesića jest długa. Zaprowadził mnie do Muzeum Etnograficznego, gdzie mogłem podziwiać wspaniałe zbiory sztuki ludowej, hafty, kilimy, filigrany oraz stroje tak bogate i malownicze, że aż nieprawdopodobne. Nie chce się wierzyć, że żywi ludzie chodzą w tych strojach, znanych u nas z blaszanych pudełek tytoniu Pursiczan. Byliśmy również w teatrze na „Hamlecie". Osiemdziesięcioletnia pani Strozzi grała królowę Gertrudę. Fascynujący głos tej staruszki wibrował wszystkimi odcieniami namiętności i pozwalał zapomnieć o jej wieku. Temperament tej wielkiej tragiczki czynił ją ponętną nie tylko w oczach Klaudiusza, ale i w oczach widowni. Natomiast rodzony syn pani Strozzi, grający jej syna w tragedii, nie zdołał nas zachwycić ani głosem ani mimiką. Raczej budził w nas sceptycyzm co do dziedziczności talentów.

Dzięki panu Benesićowi i świetnemu krytykowi p. Livadićowi, staje się dla mnie Zagrzeb miastem bliskim po dwóch dniach pobytu. Wcale nie chce mi się stąd wyjeżdżać. Mógłbym tak bez końca kręcić się po plantacjach i gapić na piękne kobiety. Ale reporterowi nie wolno próżnować: musi uczyć się rzeczy pożytecznych. Więc na przechadzkach uczę się historii chorwackiej z pięknych gmachów, z nazw ulic, z licznych pomników. Trzeba przyznać, że pomniki w Zagrzebiu są wyjątkowo ładne. Nic dziwnego, skoro autorem kilku z nich jest sam Mestrović. Na ogół pomniki współczesne są plagą miast. Pod tym względem Jugosławia stanowi chlubny wyjątek. Nie tylko Zagrzeb, ale wiele innych miast posiada na swych placach autentycznego Mestrovića. Dobrze to świadczy o magistratach jugosłowiańskich.

Są jednak i brzydkie pomniki w Zagrzebiu. Kilka razy

dziennie przechodzę obojętnie obok groźnego konnego bana Jelacića, na głównym placu miasta, nazwanym na jego cześć. Równie obojętnie przechodzę obok faktu, że ban Jelacić walczył w r. 1848 przeciw Węgrom i naszemu Bemowi. O wiosno ludów! Reporter polski, podróżujący w skwarnym lecie 1932, może sobie pozwolić na wielkoduszność i przebaczyć dawnym „wrogom".

Ale trzymajmy się zdecydowanych i wypróbowanych przyjaciół, czyli prof. Benesića. Podejrzewałbym go o to, że — aby mnie po królewsku ugościć — postarał się o przedłużenie wystawy Mestrovića specjalnie dla mnie o jeszcze jeden dzień. Akurat bowiem w dzień mego przyjazdu do Zagrzebia wystawa miała być zamknięta. Ale tak zarozumiały nie jestem, nawet w roli dziennikarza i przedłużenie wystawy nie o jeden, lecz o kilka dni uważam za szczęśliwe zrządzenie losu.

III

Widzę, że moja waliza wrażeń nie domyka się. Im więcej z niej wypakowuję, tym jest pełniejsza. Obawiam się, że wcale nie wygrzebiemy się z tego uroczego Zagrzebia. Więc idźmy już nareszcie na tę wystawę Mestrovića, koło której krążymy jak ćmy dokoła lampy.

W chwili, gdy z prof. Benesićem zamierzam wejść do Pawilonu Sztuki zatrzymuje nas jakiś wieśniak. Nie znam na tyle języka chorwackiego, żeby zrozumieć, o co mu chodzi, ale w krótkiej rozmowie, jaką ten chłop prowadzi z moim towarzyszem, często powtarza się słowo: Mestrović. Okazuje się, że interesuje go pomnik, stojący przed Pawilonem. Wiadomo mu, że jest dziełem Mestrovića, ale kogo wyobraża? Przy tej sposobności i ja dowiedziałem się, stoimy pod pomnikiem malarza Medulića. W jakim wieku żył ten malarz — nie powiem, ale w tej chwili jest to obojętne. Trudno posądzać prof. Benesića o to, iż umyślnie zamówił tego chłopa, żeby mi zaimponować inteligencją chorwackich wieśniaków. Byłem jednak rzeczywiście zdumiony. Zdumienie znacznie się zmniejszyło, gdy dowiedziałem się, że sam Mestrović pochodzi z ludu. Kiedyś w Rzymie podziwiałem zamiłowanie jakiejś chłopskiej pielgrzymki z Sycylii do rzeźby. Było to w kościele San Pietro in Vincoli przed słynnym Mojżeszem Michała Anioła. Grupa wieśniaków i wieśniaczek dokładnie studiowała muskulaturę marmurowego prawodawcy

Izraela, a że był już wieczór i w kościele panował mrok, oświetlała sobie Mojżesza, kawałek po kawałku, przy pomocy świecy. W Rzymie takie rzeczy mogą być naturalne, ale gdzie Rzym, a gdzie Zagrzeb? Winszuję p. Benesićowi takich chłopów i wchodzimy do środka Pawilonu. Tu otoczył nas, mało — otoczył — osaczył nas tłum marmurowych, brązowych, drewnianych postaci, patetycznych, ekstatycznych, gigantycznych i średniego wzrostu. Jedne były odziane, inne nagie, jedne jasne, inne ciemne. Surowi święci, słodkie i tragiczne Madonny, i nagie pogańskie ciała bachantek. Oblicza zastygłe w mistycznej ekstazie i zwykłe twarze śmiertelników. Olbrzymia głowa Goethego w brązie i głowa Mojżesza w marmurze. Ważyć się na nowego Mojżesza po Michale Aniele — na to trzeba mieć nie tylko własną koncepcję, trzeba mu przeciwstawić i siłę. Mojżesz Mestrovića, ta biała głowa i ręka z podniesionym palcem wytrzymują porównanie. Te palce w dziełach Mestrovića! Można by osobne studium o nich napisać. Ich ekspresja jest niekiedy wymowniejsza od wymowy twarzy. Przeważnie są one boleśnie zdeformowane, powykręcane, nawet u postaci harmonijnych. Jest rzeczą zdumiewającą, jak doskonale umie Mestrović godzić patos z gracją, zmysłowość z średniowiecznym niemal uduchowieniem. Patrząc na jego grupy figuralne o tematach religijnych, myślimy jednocześnie o gotyku i o klasycyzmie. I opuszczamy w końcu ten przybytek żywych kamieni, od których nie możemy się oderwać. Jesteśmy już na ulicy, a wciąż ścigają nas kamienne zjawy, wyciągają swe bolesne ręce: nie mogę im umknąć. Najbardziej urzekła nas nieludzka już uroda marmurowej nagiej kobiety, wypoczywającej „Po kąpieli". To ciało, ta głowa, ten uśmiech i to spojrzenie powinny przetrwać wszystkie kataklizmy zagrażające naszej cywilizacji. To jest Venus jugosłowiańska, tak jak mówimy o Wenerze milońskiej i kapitolińskiej. Choćby tylko dla obejrzenia tej jednej rzeźby warto udać się do Jugosławii.

Reporterze, co się z tobą dzieje? Gdzie twoja zawodowa oschłość? Nie ma już reportera, przepadł na wystawie Mestrovića.

Odnalazł się szczęśliwie wieczorem, na obiedzie PEN-Klubu, w hotelu ESPLANADE. Stawił się tam eskortowany przez pp. Benesića i Livadića. Ale w PEN-Klubie śmiało mógł już odkryć przyłbicę i przestać udawać dziennikarza. PEN-Klub jest przecież — jak ogólnie wiadomo — stowarzyszeniem ludzi, robiących w „czystym" pięknie. To kolekcja żywych kandydatów na kamienne pomniki. Skoro znów mowa o pomnikach, muszę nadmienić, że na obiedzie penklubowym miałem zaszczyt poznać pewnego literata, który jest wnukiem jednego z ważniejszych po-

mników tego miasta: poety Preradovića. Niestety nie mogłem zapamiętać wszystkich głośnych nazwisk uczestniczących w obiedzie. Jedzenie było wyśmienite. Moje zbliżenie do członków zagrzebskiego PEN-Klubu ułatwiła znakomicie okoliczność, że ani ja nie znałem ich dzieł, ani oni moich. Porozumienie na płaszczyźwzajemnej ignorancji jest równie wartościowe, jak na podstawie dokładnej znajomości. W każdym razie łatwiejsze do osiągnięcia. Ceniliśmy się *a priori* i bez zastrzeżeń. Nad biesiadnym stołem unosił się duch pani Zofii Nałkowskiej. Wszyscy obecni znali wszak i podziwiali jej sztuki, wystawione w tutejszym teatrze.

Sympatycznego, rzutkiego sekretarza Klubu podejrzewam o chęć połączenia słodkiego z pożytecznym, tzn. obecności wielkiej działaczki penklubowej z Wiednia, pani Grety von Urbanitzky z moją skromną obecnością. Przy czym stroną słodką byłem ja. Pani von Urbanitzky bowiem, niby Wernyhora z „Wesela", Wernyhora w spódnicy, przywiozła zagrzebskim penklubowcom wielką i ważną nowinę. W orędziu, trwającym blisko godzinę, obwieściła donośnym i wypróbowanym na bankietach głosem, że od tej pory odbywać się będą w Wiedniu częste kongresy i bankiety regionalne. Siedziałem po jej prawicy zasłuchany, mały i niepozorny. Co chwila z ust wysłanki Wiednia padały wielkie nazwiska: Galsworthy, Salten, Crémieux... Na sam ich dźwięk trząsłem się w posadach i jeszcze bardziej kurczyłem się. Ale jedzenie było rzeczywiście znakomite.

Ja też coś bełkotałem z pucharem małmazji w dłoni, ale bardzo krótko i nie bardzo zajmująco. Popełniłem przy tym wielką gaffę, nie wspominając nawet słówkiem o p. Benesiću, najważniejszej dla mnie osobie w Zagrzebiu. Nie — *Mesdames, Messieurs* — stanowczo nie nadaję się na mówcę bankietowego. Po części obiadu o zabarwieniu oficjalnym nastąpiła nieoficjalna. W tej części obiadu ośmieliłem się nawiązać rozmowę z moją sąsiadką z lewej strony, przede wszystkim na temat wspólnych znajomości. Dowiedziałem się, że p. von Urbanitzky jest z Kaziem Wierzyńskim na „ty", natychmiast pochwaliłem się, że ja też. Jedzenie w dalszym ciągu było znakomite. I tak ucztowalibyśmy do białego świtu, gdyby nie to, że nazajutrz trzeba było wcześnie wstać, spakować manatki i udać się w dalszą drogę.

Droga z Zagrzebia do Suszaka jest równie, a może jeszcze bardziej malownicza, niż droga Wiedeń — Zagrzeb. Dziwne jest nagłe przejście krajobrazu alpejskiego w krajobraz krasowy. Niespodziewanie nikną lasy na zboczach gór, niknie wszystka zieleń i zaczynają się nagie, wapienne, posępne skały. Pociąg, w miarę obniżania się poziomu, pędzi ze zwiększoną szybkością, upał się wzmaga i czuć już pobliże morza chociaż go jeszcze nie widać.

Coraz częściej na tym skalistym pustkowiu ukazują się tamy, wzniesione z białego kamienia w pobliżu rzadkich osiedli ludzkich. Mają one chronić te osiedla przed groźnym wiatrem północy: borrą.

Tak samo nagle, jak zniknęły lesiste pasma tzw. Górskiego Kotaru, ukazuje się Adriatyk. Widziany z wysokości czyni zrazu wrażenie kompleksu kałuż sennie rozlanych między nagimi górami. To jeszcze nie jest pełne morze, to początki zatoki Kwarner. Liczne wyspy i wysepki przerywają błękitną taflę i szarpią ją na fantastyczne szmaty. Począwszy od stacji Crkvenica-Plase pociąg w szybkim tempie zjeżdża w dół, przebijając liczne tunele. Okręty wyglądają z góry, jak małe zabawki dziecinne. Jeszcze jeden olbrzymi serpentynowy tunel — i jesteśmy nad samym brzegiem morza, w Suszaku. Tu zaczyna się morski rozdział naszej podróży.

Na małym parowcu „Slavija" odpływam z portu w Suszaku w kierunku wielkiej wyspy Krk (Veglia — za czasów austriackich). Upał jest tropikalny, choć to dopiero połowa czerwca, tak iż chronię się pod rozpiętą na górnym pokładzie zasłonę płócienną. Stateczek cicho i wolno sunie w kierunku wyspy. Wysokie i aż posiniałe od refleksu błękitnego nieba pasma gór na brzegu, który opuściliśmy i na włoskiej wyspie Cherso, potęgują złudzenie, że jesteśmy nie na morzu, lecz na jakimś „dalekim, cichym fiordzie", przeniesionym na Południe. Z dolnego pokładu, dolatuje żałosny bek kóz. Wiozą je wieśniaczki, z targu zapewne. Na górnym pokładzie dwaj czescy klerycy na przemian czytają brewiarz i piją lemoniadę. Na ich bladych obliczach maluje się błogość i spokój, jaki dać może tylko pewność, że Bóg istnieje. Że nie tylko istnieje, ale stworzył świat w Sobie wiadomym celu, a ta wspaniała panorama, to niebo, te góry, to morze, oglądane po raz pierwszy z pokładu „Slaviji" — oto jeszcze jeden z niezliczonych dowodów Jego doskonałości. Jest za co dziękować Stwórcy na linii morskiej Suszak-Aleksandrovo, jest za co modlić się z brewiarza. Skłócony z sobą i ze światem reporter zazdrości w to skwarne popołudnie dwom chudym klerykom czeskim i żałuje że książeczka, którą trzyma w ręku nie jest brewiarzem, ani Psałterzem, ani Koranem, tylko: Griebens Reiseführer — DALMATIEN. W dzisiejszym świecie tylko jeszcze klerycy i uczniowie szkół kadeckich mają w sobie wielki spokój i beztroskę: jedni i drudzy dobrowolnie chcą służyć potęgom, które ten świat zbawią lub zniszczą.

Cicho sunie stateczek po wodzie koloru farbki, na rufie nieruchomo zwisa trójkolorowa flaga Królestwa Jugosławii, a ile razy zaryczy syrena, tylekroć kozy odpowiadają jej trwożnym bekiem.

IV

Wcale mi nie wstyd otwarcie przyznać się do tego, że podróż jaką odbyłem na parowcu „Prestolonaslednik Petar" wzdłuż całego niemal wschodniego wybrzeża Adrii, od Suszaka do Dubrownika, była moją pierwszą w życiu, większą podróżą morską. Do tej pory „płynąłem" tylko na krótkich szlakach, na małych parowcach żeglugi przybrzeżnej, na motorówkach lub na rybackich kutrach. Świadomość, że w 36-tym roku życia mam po raz pierwszy spędzić 28 godzin tego życia, spać, jeść i golić się na wielkim parowcu — odmładza zblazowaną duszę lądowego reportera i czyni ją podatną na wzruszenia podobne tym, jakich ongi doznawał przy lekturze żeglarskich książek dla młodzieży. Co prawda — dzięki kinematografii nie ma już wielu sensacji w tym życiu, których smak byłby nam zupełnie obcy, nie ma już prawie takich dźwięków, których nie słyszelibyśmy oddanych na aparaturze Western Electric. Można spokojnie siedzieć, w przyciemnionej sali „Sokoła" w Sądowej Wiszni, i słyszeć łoskot fal Oceanu. Uczestnictwo bywalca kinowego w tym, co się dzieje na Oceanie jest wprawdzie zredukowane do udziału tylko dwóch jego zmysłów: wzroku i słuchu, nie należy mu jednak z tej racji, iż siedzi w sali „Sokoła" w Sądowej Wiszni, odmawiać wyobraźni, kompensującej uczestnictwo pozostałych zmysłów. Ustami wyobraźni — jeśli wolno się tak wyrazić — spijał on już nieraz miód z szminkowanych warg amerykańskich gwiazd. Mimo to stać nas jeszcze na odrobinę ciekawości wobec zjawisk, z którymi spotykamy się bezpośrednio.

Nie byłbym gorącym wielbicielem Conrada, gdyby „Prestolonaslednik Petar", czyli „Następca tronu Piotr" nie budził we mnie ciekawości, jako żywy organizm, obdarzony nie tylko zgrabnym metalowym, drewnianym i szklanym ciałem, ale i własną duszą. Ciało jego jest dziewiczo białe i gładkie, aż dziw, że się nie opaliło w tym gorącym klimacie. Jedynie gruby, pękaty komin polakierowany jest na czarno. Na kominie, na czerwonym tle, widnieje coś w rodzaju gwiazdy, czy rozety — to godło towarzystwa, do którego okręt należy: „Jadrańskiej Plovidby". O duszy jego trudno coś powiedzieć po tak pobieżnej i krótkiej znajomości, wiedzą o niej zapewne coś nie coś — kapitan, oficerowie i załoga. W każdym razie „Prestolonaslednik" robi wielce dystyngowane wrażenie. Nic dziwnego, skoro urodził się i wychował w Anglii. Nie ponosi go temperament, nie rzuca się, nie kołysze, w każdym calu gentleman. Dumni mogą być z niego konstruktorzy z angielskich doków.

Rzeczywiście jest luksusowo urządzony. Przynajmniej według pojęć człowieka, który pierwszy raz w życiu znajduje się na pokładzie wielkiego parowca i porównywa go z okrętami, znanymi z filmów. Kajuty, sala jadalna, bar, salon muzyczny, palarnia, hall, w którym wisi portret młodziutkiego następcy tronu Królestwa Jugosławii, w chłopięcym marynarskim ubraniu i cały żywy, uśmiechnięty inwentarz, z budzącym respekt nadstewardem na czele, — wszystko to pachnie komfortem, pieniądzem i może — jak głosi prospekt „Jadrańskiej Plovidby" — zaspokoić najwybredniejsze wymagania. Ja ich nie mam, jestem frycem na tym „parobrodzie" i z trwogą zerkam w stronę wspaniałego nadstewarda, który już w niejednej sali jadalnej dyrygował ceremoniałem wytwornego żarcia. Ja się nie liczę, ale na pokładzie znajduje się kilku starszych Anglików, w przepisowym, znanym z filmów stroju. Towarzyszące im damy mają takie miny, jakby na mój widok chciały krzyknąć: *Shocking!* Anglicy na tym okręcie czują się jak u siebie w domu, i słusznie, jest to przecież okręt angielskiej roboty. Angielscy turyści na wszystkich pokładach zachowują się jak u siebie w domu, tzn. nie okazują najmniejszego zainteresowania ani okrętowi ani współpasażerom. Zdaje się, że nie interesuje ich nawet Adriatyk i cała ta romantyczna panorama wysp i wysepek. Przeważnie siedzą w barze, piją „turską" kawę, lub whisky and soda i grają w karty.

Nie można tego powiedzieć o mnie. Parowiec i morze jest dla mnie tak wielką sensacją, że nie staram się robić znajomości, ani nie czytam. Interesuje mnie każdy szczegół na „Prestolonasledniku" i z trudem udaje mi się ukryć przed stewardami fakt, że ta podróż jest dla mnie nowością. Jak uczniak zaglądam do do każdego kąta na pokładzie i pod pokładem. Najbardziej intryguje mnie i kusi bijące, a raczej dudniące serce tego organizmu: kotłownia.

Na przekór wszystkiemu, co napisano o tych czarnych piekłach białych luksusowych parowców, o piekłach, gdzie nadzy i siódmym potem oblani palacze w smrodzie i zaduchu spełniają swój najcięższy trud przy rozżarzonych piecowiskach, przekonywam się, że hala maszyn „Prestolonaslednika" wcale nie jest taka groźna. Każdy pasażer może ją przejrzeć na wylot z pokładu — I-ej klasy, nie jest to bowiem przestrzeń ciemna i zamknięta, lecz zupełnie widna, oddzielona kratami od górnego pokładu, z którym łączy się bezpośrednio schodami. Dopływ powietrza do kotłowni jest nieograniczony, i gdyby nie to, że kotłownia ze względu na piece i maszyny znajduje się na spodzie parowca — można by ja nazwać halą maszyn na świeżym powietrzu. Tak humanitarna jest dzisiejsza technika angielska! Palacze nie są tu

owymi „kosmatymi małpami", odciętymi od świata, o których znakomity dramatysta amerykański Eugeniusz O'Neill napisał wstrząsający dramat, a chociaż od próżnujących pasażerów na pokładzie pierwszej klasy dzieli ich trzypiętrowa przepaść, przepaść nie tylko w fizycznym znaczeniu, nie czynią wrażenia pariasów, pozbawionych kontaktu z ludźmi, którym służą. Przez co nie chcę powiedzieć, że ich los jest godny zazdrości. W każdym razie myślę o nich czulej, niż oni o takich, jak ja.

Myśl o palaczach staje się szczególnie uporczywa w nocy, kiedy samotny i nagi leżę w ciemnej, dusznej, pozbawionej okienka kabinie i walczę z bezsennością. Strumień chłodnego powietrza wieje i syczy z wentylatora bez przerwy, ale i bez skutku. Poza tym jest cicho, nie słychać szumu fal, od których dzieli mnie gruba warstwa stali. Kołysanie jest nieznaczne, tylko pod sobą czuję ów bezustanny, jakby podziemny stukot maszyn. To oni czuwają wśród nocy i pracują, żebyśmy spokojnie leżąc w kabinach, na czas dopłynęli do celu naszej podróży. Moją bezsenność skłonny już byłem uważać za coś w rodzaju sprawiedliwej grzywny sumienia. Ale co przyjdzie palaczom z tego, że ja nie śpię? Z niesmakiem odpycham od siebie te nieprzystojne myśli, ten sentymentalny osad literacki, pokutujący na dnie wielu dusz, wychowanych w polskim cierpiętnictwie. Na próżno. Ubieram się, wychodzę na pokład i resztę nocy spędzam na leżaku. Świeży oddech morza i gwiazdy na niebie przywołują do porządku niesforny umysł reportera i uspokajają jego sumienie. Świat znowu jest piękny i pełen harmonii.

Płyniemy po cichej tafli wód i mijamy dziesiątki, setki wysp i wysepek. W dzień, w rozżarzonym słońcu wyglądają te wyspy z daleka, jak olbrzymie górskie fortece. Jedne są zaludnione, zabudowane starą architekturą, połyskują wieżami, jak np. Rab lub Korczula, inne są bezludne, (przynajmniej takimi wydają się od strony, którą płynie nasz okręt), lecz pokryte zielenią, gajami oliwnymi, lub najczęściej karłowatymi krzewami, tzw. *macchią*. Ale największe wrażenie wywierają wyspy zupełnie nagie, skaliste, żółte, na których nie widać ani domków, ani ludzi, ani zwierząt ani żadnej roślinności. Całymi godzinami płynie okręt wzdłuż tych dzikich, posępnych pustyń. Tylko mewy niekiedy przysiadają z piskiem na nadbrzeżnych cyplach. Widziałem, jak na jednej z wysepek, bezludnej, lecz pokrytej czymś w rodzaju trawy, pasły się krowy. Bez lęku podchodziły na sam brzeg wysepki, i zdawały się nie trawę skubać, lecz zieloną wodę. Obraz samotnych krów na płaskiej, samotnej wyspie miał w sobie coś mitycznego. Przypominał się Böcklin. Raz jeden tylko, w czasie

małej burzy, przed samym już Dubrownikiem, widziałem na skłębionych falach ogony delfinów.

W nocy na wysepkach wybłyskiwały światła morskich latarń, zielone i czerwone, mrugały na okręt raz z lewej raz z prawej strony i opisując na wodzie szerokie koliska, odprowadzały nasz okręt aż do granic pola ich zasięgu. Jedna po drugiej podawały go sobie z rąk do rąk.

Z całego inwentarza parowca, najdłużej przykuwają moją uwagę łodzie i koła ratunkowe. W sali jadalnej, podczas obiadu czynię potajemny przegląd wszystkich obecnych na statku kobiet i dzieci, które w razie — nie daj Boże — czego, miałyby pierwszeństwo. Parę bab płynie na „Prestolonasledniku", wobec których nie miałbym żadnych skrupułów. Z czystym sumieniem ofiarowałbym je Neptunowi. Ale nie ma obawy. Okręt tak spokojnie płynie po gładkiej powierzchni morza, że nie chce się wierzyć w prawdziwe przeznaczenie tych błyszczących, nakrytych pokrowcami łodzi i lakierowanych biało-czerwonych kół. To tylko nieodzowna formalność lub tradycja. Oficerowie i stewardzi są uśmiechnięci, brzegi są tak blisko, któżby myślał o niebezpieczeństwie?

Z pewnością nie myśli o nim eleganckim pan w korkowym hełmie, bez ustanku lornetujący i fotografujący morze. Morze i w ogóle cała przyroda jakby umyślnie dla niego robią „przyjemną minę" i uśmiechają się jak na kolorowych pocztówkach. Kim jest ten pan? Jest to człowiek-komplet. Wyekwipowany we wszystko, co jest potrzebne gentlemanowi w podróży na Południe, wygląda jak ilustracja z żurnalu mód męskich, jak idealny przykład dobrego tonu. Kiedy nie lornetuje matki-natury i nie fotografuje jej wdzięków przechadza się po pokładzie krokiem bohatera z przedwojennych filmów lub wyciąga się na leżaku i bierze do ręki ilustrowany magazyn angielski. Gdy zapada mrok zdejmuje hełm i kładzie kaszkiet. Do obiadu przebiera się w czarny garnitur wieczorowy. Nosi binokle lub monokl, zależnie od okoliczności, które na zawsze pozostaną jego tajemnicą. Gdybym nie zawarł z nim znajomości, do czego byłem zmuszony, gdyż po wylądowaniu w Dubrowniku znaleźliśmy się obok siebie w aucie hotelowym, gdybym nie spędził z człowiekiem-kompletem dwóch, zresztą interesujących wieczorów, nigdy bym nie uwierzył, że mam przed sobą żywego człowieka. Poruszał się jak marionetka, każdy jego ruch był dokładnie wystudiowany. Wiózł ze sobą na czterotygodniowy pobyt nad morzem pięć waliz i mniejszych walizek. Mówił wszystkimi językami, znał się na wszystkich potrawach, winach i tytoniach, znał wszystkich modnych autorów, śpiewał i gwizdał wszystkie melodie, uprzedzając

o dwa takty orkiestrę w ogrodzie hotelowym. Miał pieniądze, miał świetną posadę, zdecydowany „światopogląd" — nawet dobre serce i trochę rozumu. Był aptekarzem we Wiedniu i w bardzo delikatny i taktowny sposób dał mi do zrozumienia, że jest zwolennikiem Hitlera. Chował się w klasztorze jezuickim, podczas wojny był austriackim kapitanem rezerwy, z rozrzewnieniem wspominał te czasy.

Mądry hotelarz w Dubrowniku, rodak nasz, p. Horovitz, wieloletni marynarz wojenny i doświadczony znawca ludzi oraz ich fizjognomii, utrzymywał z całą pewnością, że człowiek-komplet jest Żydem. Człowiek-komplet wspaniale pływał, wiosłował i tańczył. Miał tyle lat, co ja, wyglądał o dziesięć lat młodziej. Był wobec mnie uprzedzająco grzeczny, powiedziałbym delikatny, rzadka zaleta u mężczyzn naszych czasów, i dlatego na nim kończę te luźne wspomnienia, podnosząc go do godności efektownego finału.

O pewnym moście

Słabość do mostów została mi jeszcze z dzieciństwa. Jako mały chłopak potrafiłem godzinami stać przy oknie wagonu i czekać na owe głuche, podziemne wstrząsy, zwiastujące zbliżanie się mostu. Przywierałem cały do okien, umyślnie zamykanych przez konduktora w chwili, gdy pociąg, zwalniając pędu, wtaczał się na niewidzialny grzbiet żelaznego smoka, który — jak się o tym później przekonałem — nie był dziełem czarowników, lecz inżynierów. Po dziś dzień fascynuje mnie rytmiczna gra żelaznych łuków, wyskakujących nagle, jeden po drugim, z niewidocznych głębin i z głuchym dudnieniem walących się na siebie, aby po kilku minutach równie nagle zapaść się w uciekającej przestrzeni i w ciszy.

W każdym obcym mieście, gdzie jest rzeka, zaraz pierwszego dnia po przybyciu udaję się na zwiedzanie mostów. Chyba, że jest ich tyle, ile na Sekwanie w Paryżu. Być może, że ta moja choroba pochodzi stąd, iż spędziłem dzieciństwo w miejscowościach pozbawionych rzeki. Mam zapewne „kompleks mostów". Ciekaw jestem, czy i na Styksie są mosty?

Most, który przykuł moją uwagę pewnego czerwcowego dnia 1932 r. nie jest ani okazały, ani piękny ani ważny. Nie łączy brzegów żadnej rzeki o wielkiej historycznej nazwie, w ogóle trudno powiedzieć o tym moście, że łączy. Z wszystkiego, co na nim widzimy, możemy raczej wnioskować, że stoi głównie po to,

aby dzielił. Nawet ów skromny strumyk, bez którego nie byłoby naszego mostu, dzięki niemu właśnie szczyci się aż dwoma nazwami. Po jednej stronie mostu, po zachodniej, nazywa się Fiumara, po drugiej: Rjecina. Tanim kosztem można dokuczyć ludziom po jednej i drugiej stronie, zamieniając te nazwy. Zarówno Fiumara, jak Rjecina wpada do morza Adriatyckiego i to dokładnie w tym samym miejscu, czyli o jakich 500 metrów od mostu. Ale morze to po zachodniej stronie nazywa się (zapewne na cześć słynnego dansingu warszawskiego) — Adria, po wschodniej zaś — Jadran. Żelazny mostek na małym strumyku, obdarzonym dwiema nazwami i wpadającym do morza o dwóch nazwach, dzieli w dyskretny, choć stanowczy sposób portowe miasto Fiume od portowego miasta Suszak. To sąsiedztwo „o miedzę", o wodną miedzę, dwóch miast portowych wygląda bardzo zabawnie, spowodowały je jednak wyższe względy. Miasto Suszak, będące przed wojną przedmieściem Fiume należy dziś do królestwa Jugosławii, podczas gdy Fiume — do królestwa Italii. Przed wojną Fiume należało do Węgier.

W ten upalny czerwcowy ranek siedziałem na tarasie najwytworniejszej kawiarni w Suszaku i przez dwie godziny obserwowałem ruch na granicznym moście. Centrum Suszaka znajduje się bowiem tuż nad samą granicą królestwa. Od strony jugosłowiańskiej stoją na środku mostu dwaj potężni żandarmi w szarych mundurach, z karabinami na ramieniu, tacy sami, jakich widuje się w tym kraju na każdej stacji i w każdym pociągu. Obok nich kilku celników w zielonych mundurach. Parę kroków za nimi sterczą dwaj lub trzej zgrabni karabinierzy włoscy, zgodnie ze swą nazwą — bez karabinów. Nie mają również na sobie owych malowniczych fraków i trójgraniastych, napoleońskich kapeluszy, co czyni z nich zawsze miłych statystów w Wenecji: tak świetnie harmonizują z dekoracją placu św. Marka. Nie, *carabinieri reali* na moście granicznym we Fiume nie są od parady, lecz od kontroli przepustek i paszportów. A ponieważ mają do czynienia ciągle z tymi samymi ludźmi, których znają chyba na pamięć, a nie z cudzoziemskimi turystami, których trzeba na każdym kroku olśniewać, więc mogą sobie pozwolić na ten domowy, mniej barwny i błyszczący strój. Białe, szerokie bandolety, przewieszone z fantazją przez pierś oraz wysokie czapy wyglądają też bardzo malowniczo. Za karabinierami, w przyzwoitym oddaleniu, kręci się kilku włoskich celników w kapelusikach typu *alpini*, z kokieteryjnym piórkiem. Jakiemu rodzajowi ptactwa wyrywa się we Włoszech pióra z ogonów dla ozdoby celników — nie umiem powiedzieć. Swoją drogą, w kraju świętego Franciszka powinno się nawet srokom zostawiać ogony w spokoju.

Od wielu lat zastanawiam się nad stosunkiem ptasiego upierzenia do wojskowości. Czasów Brunhildy i Walkiryj, które zdobiły swe hełmy skrzydłami, ani starożytnych Gallów nie pamiętam. Z wielu podręczników i obrazów wiadomo mi o pióropuszach rycerstwa, o skrzydłach husarii (bez których nie byłoby zwycięstwa pod Wiedniem), na ogół przeważają orły, sokoły, jastrzębie, a więc ptaki drapieżne, słyszymy jednak w dziejach militaryzmu również i o piórach czapli. Tylko gęsie pióro jest pacyfistycznym symbolem poezji. W nowszych czasach największym powodzeniem cieszy się kogut. Sam o mało co nie zostałem przyozdobiony kogucimi piórami, jako cesarsko- i królewski jeger. Ale nie doszło do tego, bo była wojna, a na wojnę szły jegry w zwyczajnych czapkach koloru feldgrau. W każdym razie pióra drobiu są ozdobą bohaterów. Przepraszam za tę dygresję i wracam na most Fiume-Suszak.

Oprócz czterech żywych barier granicę na moście wyznacza jeszcze wysoki maszt z czerwono-biało-zieloną flagą od strony Fiume. Z jednej i drugiej strony stoją budki oraz budynki urzędów paszportowych i celnych. W godzinach rannych ruch na moście jest bardzo ożywiony. W obie strony ciągną wozy i samochody ciężarowe, ludzie na rowerach, na motocyklach, niektórzy z ręcznymi wózkami, na których przewożą widocznie jakieś towary, przez co dają celnikom sporo zajęcia. Żandarmi i celnicy legitymują przechodniów mostowych po jednej i po drugiej stronie, sprawdzają przepustki i dowcipkują. Zauważyłem kobiety wyruszające z jednego państwa do drugiego z koszykiem. Może na targ? Jak sobie w powrotnej drodze radzą z ojczystymi celnikami — to już ich sprawa. Wyglądają bardzo sprytnie i nie brak im urody. Ani po jednej, ani po drugiej stronie mostu. Jakie one do siebie podobne! Nigdybym nie przypuszczał, że Włoszki i Jugosłowianki mogą tak samo wyglądać. Wszystkie te Marice, Jelice, Dragice mówią we Fiume językiem Dantego, zaś signory i signoriny w Suszaku — językiem Gundulića.

Zdarzyć się może, że dzieci, zamieszkałe we Fiume odwiedzają swych rodziców zamieszkałych w Suszaku, przy czym dzieci są Włochami, a rodzice Chorwatami. Ale może się również zdarzyć, że ktoś, kto mieszka w Fiume, pracuje w Suszaku. Dwa razy dziennie musi zatem przejść przez most graniczny, a co robi z pieniędzmi, jak wobec ograniczeń dewizowych przeprawia swą „kasę" do domu, pozostawić musimy jego sprytowi.

Zawsze miałem wielki respekt przed historią. Nie często wszakże nadarza się sposobność obserwowania jej kaprysów równocześnie po obu stronach granicy dwóch, niekoniecznie zaprzyjaźnionych, państw. Zazwyczaj stykamy się z panią Klio tylko w

obrębie jednego państwa: nazywa się ona wówczas historią ojczystą. Co za rozkosz widzieć dwie historie ojczyste naraz i to w ciągu jednego przedpołudnia! Co za rozkosz w ciągu jednego przedpołudnia być aż w dwóch państwach! Po jednej stronie mostu lokal publiczny, w którym siedzę, nazywa się *kafana*. Taki sam lokal po drugiej stronie nazywa się — *café*. Tutaj, jedząc lody, jem *sladoled*, tam — *gelati*. Tutaj płacę za nie sześćdziesięcioma metalowymi głowami młodego pana w mundurze wojskowym, w binoklach i z wąsikiem, tam powinienem za to samo zapłacić jedną lub dwiema metalowymi głowami starszego pana, też w mundurze i też z wąsikiem, ale bez binokli. Tutaj, w kafanie czytam gazetę w słowiańskim języku i dowiaduję się, że ludzie, mieszkający po tamtej stronie mostu nie są sympatyczni. Między innymi przeczytałem w francuskim dzienniku, wychodzącym w Belgradzie, że niedawny gość Nieznanego Żołnierza w Warszawie, przyjaciel Polski i przyjaciel Mussoliniego p. Coselschi (Kozielski) popełnił wielki nietakt, twierdząc na jakimś zebraniu, że powinno się zabrać Jugosławii miasto Split. Dziennikarz belgradzki, omawiający tę pogróżkę, jest zdania, że wobec tego Jugosłowianie powinni Włochom zabrać Triest. W suszackiej kafanie są również i gazety włoskie, przede wszystkim „Corriere della Sera", i nieprzyjemnie musi być jugosłowiańskim czytelnikom tych pism, gdy czytają w nich o sobie. Co prawda, w kafanie słyszy się dość języka włoskiego. Rozmawiają nim przeważnie ludzie starsi. Młodzież mówi po chorwacku.

Po pewnym czasie płacę (metalowymi głowami młodego itd....), wstępuję do księgarni tuż obok, gdzie na wystawie widnieją drukowane portrety króla Aleksandra, królowej Marii i młodziutkiego następcy tronu — w suto dekorowanych galowych strojach. Kupuję sobie widokówki oraz znaczki pocztowe, czyli wydrukowane głowy tego samego króla. Napisawszy kartki i wrzuciwszy je do skrzynki, kręcę się koło mostu i obserwuję spokojnych ludzi „przekraczających" granicę w jedną i w drugą stronę. Żadnych incydentów granicznych, nikt nikomu nie skacze do gardła. Żandarmi, karabinierzy i celnicy obu państw są w doskonałych humorach i bardzo uprzejmie traktują zarówno własnych obywateli, jak i cudzoziemców. Zdaje się jednak, że żandarmi i celnicy jugosłowiańscy unikają, przynajmniej w służbie, osobistych stosunków z karabinierami i celnikami włoskimi. Z pewnością łączy ich sympatia, zawodowe koleżeństwo i kto wie, czy poza służbą nie chodzą razem na wino do jakiegoś neutralnego szynku. Ale gdzie istnieją neutralne szynki? Interesy żandarmów i karabinierów są mniej więcej takie same, ale interesy celników obu państw rozchodzą się. To co martwi celnika

Jego Królewskiej Mości króla Aleksandra I, a mianowicie szmugiel z Włoch, cieszy celnika Jego Królewskiej Mości króla Wiktora Emanuela III. I na odwrót.Przypuśćmy jednak, że te dwie partie umundurowanych ludzi wcale się nie znają i nigdy ze sobą nie rozmawiają. Jak długo mogą tak wytrzymać naprzeciw siebie, oddaleni o kilka kroków i udawać wrogów? Jeśli nie będzie nowej wojny, zestarzeją się po obu stronach i umrą, nie zamieniwszy ze sobą słowa, a przecież byli to najbliżsi sobie ludzie. Miejsca ich zajmą nowe pokolenia żandarmów i celników, karabinierów i celników, i warować tak będą aż do dnia Ostatecznego Sądu, kiedy to, jak powiada Pismo „wypełnią się czasy" i będzie już wszystko jedno, czy ludzie mają w porządku paszporty, czy nie. Abstrakcyjna linia na moście, będąca niczyją własnością, przestanie być granicą dwóch narodów, kultur, języków, przemysłów i handlów. Ale do dnia ostatecznej rozprawy sądowej jeszcze chyba daleko. Nawet przedwstępne badania śledcze jeszcze się nie zaczęły. I stoję tak w skwarny, południowy ranek na ziemi jugosłowiańskiej — a cień mój pada już na ową ziemię, z której swego czasu „marsz, marsz, Dąbrowski do Polski".

◆

Most kusi mnie tak bardzo, że postanawiam go przejść. Zdawałoby się, że nic łatwiejszego: wystarczy tylko pokazać paszport odpowiednim uniformom po jednej i po drugiej stronie. Ale tak nie jest. Przebywam w Jugosławii, więc muszę się wystarać o wizę jugosłowiańską na powrót. Wiza do Włoch nie jest mi potrzebna.

Godzina dwunasta. Na moście panuje wielki ruch. Z jednego i drugiego kraju ludzie idą zagranicę na obiad. Nad moją głową tymczasem zbiera się ciężka chmura. Będzie burza. W fizykalnym, nie w historycznym znaczeniu. Ale jestem pełen infantylizmu: na dnie duszy żywię nadzieję, że ta ciężka ołowiana chmura, co wisi nad naszymi głowami, zatrzyma się na samej granicy Włoch. Jakżeby miał padać deszcz w przysłowiowo słonecznej Italii? Z tą nadzieją wsiadam do autobusu i jadę wysoko w górę do świeżo wybudowanej dyrekcji policji. Płacę dziesięć dinarów i zdobywam prawo „przekroczenia" granicy jugosłowiańskiej na moście wraz z obowiązkiem powrotu w ciągu tego samego dnia. Chmura pęcznieje i ciemnieje coraz bardziej. Mam na sobie jasne, nowiusieńkie ubranie. Kapelusz i parasol zostawiłem na wyspie Krk, w miejscowości Malinska, dokąd płynie się ze Suszaka dwie godziny parowcem. Tam mieszkam. Nie pierwszy raz ulegam dziecinnemu złudzeniu, że we Włoszech nie może padać

deszcz. Dwukrotnie, jadąc koleją przez Alpy austriackie w ulewnym deszczu, spodziewałem się, że na stacji granicznej Tarvisio zastanę pogodę. W obu wypadkach pomyliłem się. A oto po raz trzeci w życiu przekonywam się, że deszcze i burze kpią sobie z ludzkich granic i przekraczają je nielegalnie. Leje. Nie cofam się jednak, lecz nastawiam kołnierz i poddaję się operacjom granicznym. Przede wszystkim wyciągam paszport z kieszeni. Jugosłowiański żandarm, w pelerynie z nastawionym kapiszonem, nie boi się deszczu. I nie byłby żandarmem, gdyby miał względy dla moknącego cudzoziemca bez kapelusza i parasola. Deszcz kompletnie zamazał moje nazwisko na paszporcie, tak długo odczytywał je żandarm. Potem oddał mnie w ręce celnika. Ten — również chroniony od deszczu peleryną i kapiszonem, powoli sprawdzał zawartość mojej portmonetki, by się przekonać, czy nie „wywożę" za wiele banknotów i metalowych głów króla Aleksandra I, do kraju, gdzie jest w obiegu metalowa głowa króla Wiktora Emanuela III. W Jugosławii bowiem istnieją, podobnie jak w szeregu innych państw, ograniczenia dewizowe. Nie ma obawy: kwota, którą mam przy sobie, jest o wiele niższa od maksymalnej sumy, jaką wolno wywieźć z Jugosławii. Poza tym zawartość moich kieszeni nie interesuje jugosłowiańskiego celnika. Mogę w nich wywieźć nawet fortepiany, owszem, to celnikowi Jego Królewskiej Mości króla Aleksandra sprawi tylko radość, bo to eksport. Z tego samego powodu nie bada celnik dwóch książeczek, moknących w moich rękach: „Grieben's Reiseführer: Dalmatien" i „Metoula's Sprachführer: Kroatisch".

Serce mi bije, gdy przechodzę przez „niczyją ziemię" na moście, czuję się tak, jak czuć się musi dezerter, przekraczający linię obstrzału między dwoma wrogimi okopami. I ląduję szczęśliwie przed pierwszą linią Włochów. Uśmiechnięci, zgrabni karabinierzy prowadzą mnie do swego budynku, gdzie muszę się wyspowiadać z tego, jakie było panieńskie nazwisko mojej matki i z podobnych grzechów. Urzędnicy włoscy zapisują to w grubych księgach. Są bardzo uprzejmi, ja również. Ułatwiam im ciężką pracę i na karteczce piszę miejsce mego urodzenia oraz powiat: Radziechów. Piszę to ołówkiem wielkimi literami, jak dla małych dzieci. Z wielką powagą i namaszczeniem. W pełni zdaję sobie sprawę z doniosłości i wagi faktu, że miejsce mego urodzenia, powiat i województwo, muszą być zapisane w księdze meldunkowej policji granicznej na moście we Fiume, na wieczną pamiątkę innego faktu: zjedzenia przeze mnie porcji lodów czyli *gelati* we włoskiej kawiarni. Po spełnieniu tych obrzędów, w ulewnym deszczu podchodzę do włoskiego celnika, którego rozbrajam (moralnie, moralnie!) tym, że mówię po włosku. Wierzy

mi na moje włoskie słowo, że niczego nie szmuglu̇ję na auzońską ziemię. Tak przeszedłem szczęśliwie przez wszystkie fazy mostu.

Najpiękniejsze nawet miasta trudno zwiedzać w ulewie. Chronię się do pierwszej z brzegu, ściślej mówiąc na brzegu, kawiarni, zjadam porcję lodów czyli *gelati* i mimo wszystko płacę siedmiu metalowymi twarzami króla Aleksandra, gdyż nie mam przy sobie twarzy króla Wiktora Emanuela, a nie opłaci mi się chodzić do kantorów wymiany. Przeglądam parę gazet w nadziei, że znajdę w nich coś złego o ludziach, mieszkających na drugim brzegu, pokrzepiam serce niezliczonymi fotografiami pochodów milicji faszystowskiej, kupuję widokówkę, kupuję znaczek pocztowy i dziwię się, że na tym znaczku nie ma głowy starszego pana w mundurze i z wąsikiem. Jest za to głowa starszego pana w cywilu i z siwą brodą. To poeta Carducci. Marka jubileuszowa. Poczta jugosłowiańska nie puszcza poetów w obieg, zadowala się wyłącznie obliczem swego monarchy, a czyni to słusznie, jako że w tym państwie poezję uprawia się w trzech językach: w serbskim, chorwackim i słoweńskim, przy czym poeta serbski nie jest równocześnie poetą chorwackim. Bezpieczniej dać króla na znaczku pocztowym, skoro jest to król i Serbów i Chorwatów i Słoweńców.

Na próżno czekam, aż ustanie deszcz. Ale ze zwiedzenia Fiume nie rezygnuję. W końcu zapuszczam się w deszczu w głąb miasta i znów ląduję w kawiarni, nie bez nadziei, że może się jednak wypogodzi. Nie wypogodziło się. O wpół do trzeciej odpływa ze Suszaka mój parowiec. Trzeba wracać i to szybko. We Fiume nie ma podcieni, jak w innych miastach włoskich, np. w Padwie i w Bolonii. Przemykam się więc pod murami, jak zbrodniarz przed pościgiem. Czasem mijam wystawy sklepowe, pełne parasoli, nie mam jednak tyle pieniędzy przy sobie, by kupić nowy parasol. Zresztą szkoda by było na ten jeden raz i, kto wie, czy jugosłowiańscy celnicy nie poznaliby po nim, że jest świeżo kupiony we Włoszech. Myśl o pożyczeniu parasola we Fiume graniczy z poezją. Nikogo tutaj nie znam, jestem w tym mieście podwójnie obcy: raz, jako cudzoziemiec, a po wtóre: jako cudzoziemiec, będący gościem w Jugosławii. Jak to? Włoski parasol miałby być wypożyczony obcemu przybłędzie, który bawi we Włoszech tylko kilka godzin? Włoski parasol miałby powędrować do wrogiej Jugosławii, a potem przez jakąś okazję z powrotem do Włoch, do swego właściciela? A gdzie pewność, że parasol w ogóle będzie zwrócony? Zaufanie człowieka do człowieka kończy się niekiedy na granicznych mostach, tam, gdzie stoi ostatni policjant, który ma prawo ścigać złodzieja w obrębie jednego państwa. Rewindykowanie włoskiego parasola w Jugosła-

wii za pośrednictwem placówek konsularnych byłoby nazbyt skomplikowane. W obrębie jednego kraju istnieją różne sankcje, będące podporą ludzkiej nieufności, ale nad tym, czy te same sankcje sięgają poza most na Rjecinie-Fiumarze — z pewnością nie zastanawiałby się dobry człowiek z Fiume, który by się nade mną zlitował i pożyczył parasol. Filozofując, łatwiej znoszę gniotące uczucie osamotnienia oraz strugi deszczu na sobie. I po raz drugi przekraczam granicę. Uprzejmi karabinierzy skierowują mnie wraz z paszportem do budynku policyjnego, gdzie otrzymuję pieczęć z napisem: *Uscita.* Celnicy włoscy nie badają mojej portmonetki. Z radosną dumą oświadczają, że we Włoszech nie ma ograniczeń dewizowych i wolno wywozić za granicę każdą sumę. Celnicy jugosłowiańscy jednak, ci sami, którzy dwie godziny temu sprawdzali tylko moje pieniądze, nie szukając u mnie „towaru", teraz okazują wielkie zainteresowanie dwiema przemoczonymi książeczkami pod moją pachą; „Grieben's Reiseführer: Dalmatien" i „Metoula's Sprachführer: Kroatisch".

W przeciągu dwóch godzin książeczki te z eksportu stały się importem. Z wielką dokładnością przeglądają celnicy jugosłowiańscy mapki własnego kraju i sprawdzają niemieckie tłumaczenie słów własnego języka. Niektóre karty książeczek budzą w nich nieufność tak, jakby we wnętrzu papieru ukryte były jakieś wodne znaki i tajemnicze szyfry. Przechodzę nareszcie przez ostatni etap granicy i, wzbogacony o cztery nowe pieczęcie na paszporcie, pędzę do przystani. Tak oto doznałem jednego z wielu skutków wojny oraz skutków bohaterskiego czynu boskiego Gabriela d'Annunzio, który na własną rękę zrewidował traktat pokojowy w Trianon. Nie mogę jednak opędzić się wrażeniu, że most we Fiume jest z gatunku tych mostów, które należałoby za sobą spalić.

Apteka w Dubrowniku

Poświęcam kolegom z PEN-Klubu udającym się na kongres.

Niebo i ziemia, słońce i morze, góry, architektura, rzeźba, stroje, zapachy, palmy, kaktusy, agawy, pomarańcze i wino, muzyka i kobiety sprzysięgły się chyba w tym mieście, żeby najzacieklejszych abnegatów nawrócić na doczesność. Naprawdę, ten Dubrownik — to już nie miasto, nie port, nie plaża, nie

zabytek, tylko ośrodek propagandy zdrowia i radości istnienia. Wszystkie pogańskie bóstwa rozkoszy — tu powinny mieć swe świątynie. Mimo to zdarzyć się może, że w Dubrowniku nagle zaboli głowa, zwłaszcza gdy odkryta, znosi orgie dubrowackiego słońca. Ból, ordynarny, fizyczny ból, wydaje się w tym raju niemal nieprzyzwoitością. I z przykrym zdziwieniem odkrywamy w Dubrowniku — cmentarz. Cmentarz w czynnej służbie, nie w stanie spoczynku. Stare, od wieków emerytowane cmentarze — owszem; dodają tylko uroku średniowiecznym miasteczkom i są dobrze notowane w przewodnikach turystycznych. No, ale od migreny do cmentarza jeszcze bardzo daleko. Blisko natomiast do apteki.

Kilka jest aptek w tym mieście. Lecz cudzoziemiec mieszkający w jednym z wielkich hoteli na drodze z Gružu (Gravosy) do właściwej Raguzy czyli Dubrownika, w razie potrzeby, ma najbliżej do apteki w klasztorze franciszkańskim. Wystarczy tylko przejść przez bramę Pile. Klasztor stoi tuż przy renesansowym kościółku Św. Spasa, naprzeciw studni św. Onufrego. Do apteki dostać się można tylko wewnętrznym dziedzińcem starego klasztoru. Trzeba przejść przez bardzo piękny arkadowy krużganek, gdzie romańskie łuki wspierają się na smukłych bliźniaczych kolumienkach o rzeźbionych głowicach, z których każda posiada inny ornament. Krużganki zamykają kwadratem bujny wirydarz, pełen wysokopiennych i wachlarzowatych palm, pomarańcz i agaw. W samym środku wirydarza, na wysokim cokole stoi święty Franciszek z Assyżu. Wielki spokój, coś jakby wieczysta siesta, zalega szare mury, arkady i drzewa, i nawet brat Słońce jest tutaj pokorniejszy niż na zewnątrz i nie praży tak mocno. Mistyczny charakter tego miejsca niewiele różniłby się od charakteru analogicznych — „chiostrów" w konwentach północnej i środkowej Italii, gdyby nie apteka. Należy ona do najstarszych w Europie, bo założono ją w roku 1307. Mistycyzm i farmacja — to rzeczy bardzo różne, i nie chce się wierzyć, żeby mogły żyć ze sobą w zgodzie i w tym samym miejscu. Zdawałoby się raczej, że wzajemnie się wyłączają. Wystarczy jednak przekroczyć próg apteki, by się przekonać, że tak nie jest, mimo, iż urządzenie jej na pozór niczym się nie różni od urządzeń w innych, świeckich aptekach. Ta sama synteza zapachów, ostrych, drażniących i słodko-mdłych, ten sam typowy, zupełnie współczesny inwentarz. To nawet trochę rozczarowuje. Wolelibyśmy ujrzeć coś, co wywołałoby w nas wizję średniowiecza. Na miejscu pospolitych i wcale nieefektownych półek ze słojami i szufladkami wolelibyśmy może jakieś stare rekwizyty, jakieś retorty i alembiki, przywodzące na myśl laboratorium Fausta. Nic podobnego tutaj

nie widać. I gdyby nie mnich w habicie Braci Mniejszych... Właśnie ten mnich. To... brat-pigularz. Magister farmacji. Stoi za aptekarską ladą, przyrządza i sprzedaje leki, mające przynieść ulgę bratu Osłu, jak zwykł był ludzkie ciało nazywać — Święty Franciszek. Patrzę na brata pigularza. Właśnie chustką wyciera białą porcelanową miseczkę, jakby to było któreś z naczyń potrzebnych do Mszy Św. Stoi za ladą tak, jakby to był stół w zakrystii. Szafki pod ścianami i półki, na których stoją szeregi słojów, napełnionych różnobarwnymi płynami, czynią w tej chwili wrażenie tajemniczych tabernakulów. A przecież jesteśmy w aptece, w tym arsenale morderczej walki ziół, trucizn i połączeń chemicznych z wszelkimi katarami, zapaleniami, infekcjami i nawet z samą siostrą Śmiercią. Nie pierwszy raz mi się zdarza, że na widok słojów, pełnych kwasów, soli i olejów, pełnych trucizn, o smaku słodkim i łagodnym, tudzież nieszkodliwych, ale bardzo gorzkich piołunów, na widok tego potencjału zdrowia, co leży w szufladkach z emaliowymi szyldzikami, myślę sobie: Mój Boże, ileż wyroków Twoich tutaj się udaremnia, lub tylko odwleka! — Takie myśli, gdy nawiedzały mnie w świeckich aptekach, położonych przy gwarnych ulicach wielkich miast, przechodziły szybko i gładko. Ale tu, w tej klasztornej ciszy nie mogę opędzić się myśli, czy ten brat-pigularz aby nie bluźni, przyrządzając i warząc mikstury, proszki, maście i syropy, żeby je za pieniądze sprzedawać ludziom na pognębienie trapiących ich chorób? Tak, jakby umartwienie i męka ciała nie były zesłane od Boga i nie wychodziły duszy na zdrowie? Jak można pogodzić wiarę w marność i nieczystość wszelkiego mięsa z konserwacją tego mięsa?

W tej aptece sakramentalne formułki łacińskie, wypisywane przez kler medyczny w całym cywilizowanym świecie na końcu recept, nabierają zgoła innego brzmienia.

— *Misce ut fiat pulvis!* —

— *Misce ut fiat unguentum!* —
— *Misce ut fiat liquor!*

— *Misce ut fiant pillulae!* —

Mieszaj, aby się stał proszek! (płyn, maść, pigułki!) Czy w tej aptece nie brzmi to jak werset liturgiczny? Aż dziw, że pigularz w habicie nie odśpiewuje sobie recept w melodii gregoriańskich sekwencji! — *Misce frater!*

A ta waga, po co tu stoi? Aby ważyć grzechy ludzkie, czy tylko aby sprawdzać ciężar ludzkiego ciała, siedliska tych grzechów? Wszystko znajduje się tu na składzie, jak w każdej innej aptece na szerokim świecie. Wszystko tu kupić można: od smoczków, korzeni fiołkowych i lewatywek dla niemowląt, poprzez proszki do zębów, miętówki, aspiryny, chininy, piramidony, bromy, srogie arszeniki i strychniny aż do tych ostatecznych ampułek z kamforą i balonów z tlenem, co konającym przedłużają agonię. Ciekaw jestem, czy w jakiejś skrytce nie chowają tu świętych olejów do ostatnich namaszczeń. Miałbym ochotę zapytać brata-aptekarza, czy przypadkiem nie przechowuje gdzieś owej sztaby żelaznej, która, rozpalona do czerwoności, miała ongi w Sienie przywrócić wzrok ślepnącemu Ojcu Serafickiemu. I miałbym ochotę jeszcze o coś zapytać brata-aptekarza: gdzie np. trzyma lekarstwa na chore dusze. Na zatwardzenie serca, na zapalenie sumienia, na skostnienie, na opętanie. Ale nie pytam, bo wiem, co by mi odpowiedział: — Pan się pomylił, to nie tu. Po leki, których pan szuka, wchodzi się innymi drzwiami, na tym samym krużganku. Tam, gdzie jest klauzura, nad którą widnieje symbol Braci Mniejszych: dwa skrzyżowane ramiona, dwie dłonie, przekłute stygmatami.

SIESTA W OBCYM MIEŚCIE

W upalne, sierpniowe rano wysiadam z autobusu na rynku obcego miasta. Pragnę tu spędzić cały dzień aż do zmroku. Słońce jest jeszcze nieśmiałe, lecz już przygotowuje się do orgii, już stroi swe instrumenty. W przeczuciu tej orgii rozglądam się za cieniem. Obiecują mi go hojnie gęsty park, ciemniejący z dala na wzgórzu oraz sczerniałe od starości arkady rynku. Przywodzą one na myśl podcienia miast północnych Włoch. Ale w tej chwili można jeszcze oddychać młodym porankiem i nieograniczoną swobodą. Nikt mi nie towarzyszy, nikt nie przeszkadza, z nikim, prawdopodobnie nie będę rozmawiał przez cały dzień. Nikogo w tym mieście nie znam, nigdy tu jeszcze nie byłem. Przybywam jako turysta, bez wytkniętego celu, żaden mnie tutaj nie sprowadza interes. Ta świadomość napełnia błogością i pozwala cieszyć się wszystkim, co w miejscu stałego zamieszkania jest mi co najmniej obojętne. Choć nigdy nie wiadomo, jakie potrzaski zastawia na nas przeznaczenie za rogatkami obcych miast.

Obce miasto, a raczej miasteczko, leży w Polsce, lecz pachnie zagranicą. Zagranica nie jest tylko przenośnią mojej wrażliwości. O kilkadziesiąt kroków od rynku mieszkają już obywatele innego państwa. Dzieli ich od nas przechodząca środkiem miasta rzeczka, tudzież most. O takich rzekach i granicznych mostach już kiedyś pisałem, nie będę więc powtarzał tego, co o nich myślę. Przez cały dzień ani razu nie poczułem ochoty przeprawienia się na drugi brzeg: miasto było mi dostatecznie obce i po naszej stronie. Obcość tę odczułem od pierwszej chwili. Wytwarza ją tutaj nietyle odległość ile czas. Dawnym czasem parują tutaj mury i bruk i kawa i ludzie. Nie tak dawnym, żeby warto o nim mówić w przewodniku turystycznym, ale bardzo zamierzchłym, jeśli chodzi o żywą ludzką pamięć. Istnieją miasta, gdzie na-

tychmiast po przybyciu czujemy bieżący rok. Opuszczając np. dworzec warszawski — trudno się omylić. Już na peronie czujemy smród kryzysu i bezrobocia.

W całej Polsce jest teraz rok 1933, w tym obcym mieście majaczy mi się rok 1910. Dokądkolwiek kieruję kroki, owiewa mnie przedwojenny spokój austriackiej prowincji. Całe miasto pachnie dawnym Pursitchanem. Także zapachy, ciągnące z chłodnych wnętrz sklepów korzennych, sukiennych, galanteryjnych, z kawiarń, aptek, restauracyj, — wskrzeszają przedwojenność. U wejścia do magazynów nowoczesnych mód siedzą bezczynnie starsze damy, które chciałoby się mieć za ciotki. Starannie uczesane w staromodne koki, w zeszłowiecznych, lecz schludnych sukniach, uśmiechają się tym suwerennym, patrycjuszowskim uśmiechem, który zdaje się jednocześnie zapraszać do kupna i usprawiedliwiać poniżającą jakoby konieczność handlowania. Nie zdziwiłbym się, gdyby któraś z tych dam, mówiących przeważnie po niemiecku z wiedeńską modulacją, — zaprosiła mnie słowami: „— Wejdź, synu, i weź sobie coś ładnego na pamiątkę"

W roku 1933 bardzo już tęsknimy za dawnymi latami. Skłonni jesteśmy przebaczyć tym latom niejedną krzywdę, które nam wyrządziły, niejeden grzech, którego skutki tak dotkliwie dają się dziś we znaki. „Dziś" — to nieścisłe określenie. Wczoraj jutro, ale nie dziś. Dziś jest dobre, łagodne, dziś jest rokiem 1910. Cały ten rok skurczył się do jednego dnia. Jakie szczęście, że przyjechałem do obcego miasta tylko na jeden dzień. Ten dzień stanowi jak gdyby fermatę między przeszłością a przyszłością, ten jeden dzień przerywa ciągłość dziejów, ewolucję czasu i wyważa moje życie z zawiasów. Dlatego nie wolno mi zostać tu dłużej niż do wieczora. Kto wie, co by się stało, gdyby mi przyszła ochota przenocowania w starym hotelu „Pod Brunatnym Jeleniem", gdzie tylu książąt i suwerenów zatrzymywało się na krótki popas, gdzie spała Maria Teresa, Suworow i książę Józef? Kto wie, czy nazajutrz i tutaj nie dopadłby mnie koszmar, przed którym uciekam? Koszmarne były dnie, co poprzedziły mój przyjazd do obcego miasta i zapewne straszne będą dnie, które nastąpią.

Taki spokój, taka łagodność ogarnia mnie na tych cichych i czystych ulicach, że trudno mi uwierzyć, iż właśnie tutaj, opodal, w gmachu gimnazjum państwowego, gnieździł się w latach 1914-1918 austriacko-węgierski mózg wojny, „AOK", Naczelna Komenda Armii. Stąd, z tego zacisznego ustronia, poprzez bujną zieleń i wonne kwiaty, szły na wszystkie fronty rozkazy, podług których setki tysięcy żywych ludzi przemieniało się w trupy. Nie

czuć zapachu krwi w tych pięknych ogrodach, nie słychać westchnień pomordowanych żołnierzy. Tylko trzmiele i pszczoły brzęczą monotonnie i mącą ciszę letniego południa.

Żar niebieski wytoczył już swe najcięższe kalibry i prostopadłą salwą praży kamienny, biały bruk. Trzeba przed nim uciekać. Krokiem pijaka wlokę się po rozgrzanym do białości roku 1910. Na trafikach i gmachach państwowych nie ma już czarno-żółtych szyldów, znikły cesarskie orły, zastąpiły je inne. Ale nie szyldy, nie orły znamionują czas. Z prawdziwej granicy, za rzeką, z Czechosłowacji, odzywają się gęste, ciężkie dzwony. Przypływają falami do Polski i łączą się z graniem dzwonów po tej stronie rzeki. Czas i kościół czynią swoje ponad granicami państw.

Idę się schronić przed upałem do zamkowego parku. Głucho, sennie, kojąco, jakimś młyńskim rytmem dudni bez przerwy zamkowy browar. Siadam na ławce, pod olbrzymimi drzewami, naprzeciw starej piastowskiej wieży. Byle tylko nie spotkać dzisiaj nikogo znajomego, byle to sielankowe sam na sam z obcym miastem doprowadzić szczęśliwie do końca! Przez chwilę niepokoję się, albowiem wszędzie gdziekolwiek jeździłem — spotykałem znajomych. Jak mam się zachować gdy znienacka, z piastowskiej wieży wyskoczy taki znajomek? Co mam odpowiedzieć na pytanie: „A pan co tu robi?". Mam wyznać całą prawdę i przepłoszyć nią natręta, czy też lekkomyślnie położyć kres cudownej fascynacji obczyzny, dawności, roku 1910 — i spędzić resztę dnia w towarzystwie ludzkim?

Nie, nic mi nie grozi. Dobre duchy czuwają nade mną. Park jest prawie pusty, cichy, kołysany szumem wysokich drzew i rytmicznym pomrukiem browaru. Czasem przejdzie mimo panienka z warkoczami i otwartą książką. Uczy się — widać — do poprawki. Jaka ona podobna do uczennic lwowskich z roku 1910! Obok na sąsiedniej ławce ucina sobie poobiednią drzemkę strażnik tego parku. Śpi w czapce, obramowanej zielonym otokiem. Wygasła fajka zwisa mu z ust, za chwilę upadnie na ziemię. Godzinami, dniami, latami mógłbym tak siedzieć bez ruchu i czekać, aż dziewczynce, bawiącej się tam w dole, wyrosną warkocze, aż wszystkie dzieci tutejsze przemienią się w abiturientów tego gimnazjum, gdzie nocami z pewnością straszy wielką wojną. Czuję się tutaj bardzo bezpieczny, opuściły mnie wszystkie troski, sam jestem dzieckiem, któremu jeszcze bardzo daleko do matury. Nie, nie ruszę się z tej ławki, z tego cienia, z tego wzgórza, niech przyjdzie jesień, niech przyjdzie zima, niech zasypie mnie żółtym listowiem i białym śniegiem. Nie chcę wracać do mego życia,

rezygnuję z moich przyszłych losów. Co mi po nich? Tu chcę czekać na śmierć. Ten obcy park jest jak olbrzymi schron, gdzie nie dosięgną mnie trujące gazy współczesności.

Kilka godzin przesiedziałem na ławce, aż spędziła mnie z niej konieczność wyjazdu z obcego miasta. Gdy wracałem z parku między ludzi — wszyscy na ulicach wydali mi się rycinami jakiejś barwnej księgi przygód, w których ja nie biorę udziału. Wszystko w tym mieście wyglądało oleodrukowo, jakby nie na serio. Przechodziłem obok okazałego sądu, gdzie nikt nikogo na serio nie obwinia, nikt nikogo nie sądzi. Tuż obok — olbrzymie więzienie stoi również na żarty. W tym mieście przecież nie ma złoczyńców. I nawet cmentarz istnieje tu tylko dla urozmaicenia krajobrazu. Bo w obcym mieście nikt nie umiera.

Na jednej z bocznych ulic, wiodących do rynku, zatrzymuje mnie napis, wyryty greckimi zgłoskami w ciemnym murze starego budynku, który przylega do rokokowego kościółka: „Psyches hiatrejon". A więc tutaj. Nareszcie znalazłem to, czego daremnie szukam od tylu lat. Wcale mnie to nie dziwi, że właśnie w tym mieście istnieje lecznica dusz. „Psyches hiatrejon". Zatrzymuję kilku przechodniów, lecz żaden nie potrafi mnie objaśnić, co się znajduje w tym domu. Zaglądam w okna, może coś zobaczę. Widzę firanki, doniczki z kwiatami, gąsior z sokiem malinowym. Co to znaczy? Zwyczajne ludzkie mieszkanie? Miałżebym jeszcze raz odejść z niczym, z pustymi rękami? Co oznacza ten grecki napis na murze polskiego miasta? Czemu zwodzi mnie nadzieją uzdrowienia duszy? Czemu językiem Ajschylosa obiecuje uspokoić furie, które są we mnie i w takich, jak ja? Czyżby w tym domu mieścił się ongi tylko zwyczajny szpital wariatów? Nigdy nie byłem wariatem.

Pod wieczór, gdy orgia słońca ucichła, dane mi było ujrzeć coś, czego temu miastu nigdy nie zapomnę. Ilekroć informowałem się o jego zabytki i rzeczy godne widzenia, polecano mi obejrzeć nowy pomnik któregoś z kolorowych piastowych Leszków. Nienawidzę pomników. Nawet tych, które kiedyś mnie wystawi tzw. potomność. A jednak urzekło mnie w tym mieście brązowe popiersie tęgiego mężczyzny, któremu jakaś brązowa dama, podsuwa pod kartoflasty nos wawrzyn czy też inne symboliczne ziele. Gdy z daleka zobaczyłem postument na pięknym skwerku przy owym właśnie gimnazjum, gdzie niegdyś znajdował się „c. i k." mózg wojny, chciałem skręcić w inną stronę. Myślałem że to jakiś działacz śląski, czy zasłużony burmistrz. Ale coś instynktownie ciągnęło mnie do pana w brązie. Rysy jego z daleka wydały mi się znane. Czyżbym się omylił? Nie, nie mylę się: — to

on, wielki dobroczyńca nie tylko mieszkańców tego miasta, ale wszystkich miast świata, w których rozbrzmiewa pieśń. To książę, to król, którego poddani rozproszeni są po całym świecie i mówią wszystkimi językami, przy czym prawdziwy ich język ojczysty obywa się bez słów. To jeden z najniezawodniejszych lekarzy chorych dusz. Złote niegdyś litery na kamiennym postumencie, dziś wyblakłe, rozpraszają wszelkie wątpliwości:

FRANZ SCHUBERT
gestiftet vom Männergesangsverein Teschen im Jahre...

Nie pamiętam daty ufundowania. Zdaje się, że był to rok 1882. Chwała męskim śpiewakom Cieszyna za to, że utrwalili w śpiżu swą cześć dla Schuberta. Brzydki to i pretensjonalny pomnik, lecz bardziej przez to rozczulający. Dlaczego nikt nigdy nie wspomniał mi o tym, że na polskiej ziemi stoi pomnik austriackiego kompozytora? Fakt, że stoi tam, gdzie stał za cesarskich czasów, przynosi chlubę polskiemu zarządowi miasta. Niechaj stoi nadal. niech stoi tak długo, póki, wielka muzyka będzie „psyches hiatrejon".

W ratuszu obcego miasta mieści się policja. W oknie komisariatu wystawiają na pokaz publiczny najrozmaitsze przedmioty, znalezione lub pochodzące z kradzieży. Widziałem zniszczony kaszkiet, rękawiczkę, lornetkę. Czy przypadkiem nie wystawiono tam po moim wyjeździe czegoś, co nie da się bliżej opisać, albowiem nie jest ani z sukna ani ze skóry, ani z drzewa, ani ze szkła, czegoś, co nie posiada określonego kształtu a mimo to jest bardzo konkretne? Bo zdaje mi się, że zgubiłem coś w pięknym Cieszynie.

„JENSEITS"

Późnym latem 1934 r. spędziłem parę tygodni nad granicą Polski i Prus Wschodnich. Granicę tworzy tu mała rzeczka Drwęca. Jej nierówny, kapryśny bieg pośród wesołych łąk i gęstych lasów użycza oku i uchu wielu zabawnych złudzeń. Tak, stojąc na polskim brzegu Drwęcy i spoglądając na masywy drzew, siniejących na dalekim widnokręgu, nie wiemy gdzie one właściwie są: czy po naszej, czy po pruskiej stronie. Strzelista wieża kościoła w R., dominująca nad rozległym horyzontem, potęguje w nas — osobliwie o zachodzie słońca — przyjemne poczucie dali, i myślimy, że ten kościół wykwita gdzieś z głębi Niemiec, podczas gdy w rzeczywistości stoi na terytorium polskim. Natomiast tuż, o parę kroków przed nami, wyraźnie słychać melodię, a nawet słowa piosenki, śpiewanej przy grabieniu pruskiego siana, słychać cykanie pruskich pasikoników i klekot bocianów, które swą posępną powagą oraz biało-czarną szatą przypominają komturów i wielkich szpitalników dawnego Zakonu Krzyżowego. Polskie pszczoły latają nielegalnie na drugi brzeg Drwęcy i u pruskich kwiatów zaopatrują się w surowiec, potrzebny im do fabrykacji staropolskiego miodu. A gdy wśród ciszy, wypełniającej całe to nadrzeczne pustkowie, brzęknie kosa, ostrzona na kamiennej osełce, nawet ucho, wyszkolone w tropieniu podejrzanych dźwięków, nie rozezna obywatelstwa niewidocznego kosiarza, zakrytego drzewami.

Dwie potężne ściany lasów sterczą naprzeciw siebie, jak dwie wrogie fortalicje, proporcjonalnie oddzielone od rzeczki łąkami, jakby je tu postawiły w zgodnym porozumieniu dwa nieprzyjacielskie sztaby, dbające zawczasu o naturalne kryjówki dla swych pieszych wojsk i o wygodne przedpola, na których te wojska mogłyby się spotkać.

Nad tą cichą rzeczułką, nad tą sielankową granicą, miewałem niekiedy przywidzenia. Zdawało mi się, że z pruskiego lasu wy-

pełzają ludzie w stalowych hełmach i czołgają się ku Drwęcy. Słyszałem trzask zamków karabinowych i widziałem całą tę uroczą dolinę — zasnutą kłębami dymu. Takim przywidzeniom ulega miłośnik ciszy tam gdzie ta cisza osiąga swe największe natężenia.

W rzeczywistości rzadko w tych stronach widzi się człowieka uzbrojonego. A jeśli wśród drzew błyśnie kiedy karabin — z pewnością należy on do jednego z trzech lub czterech strażników pogranicznych, obchodzących służbowo swój rejon, na którym od wielu lat na próżno czatują na przemytnika.

Chyba, że tym przemytnikiem jestem ja. „Jestem" — to może niecałkiem ścisłe określenie, raczej byłem nim w poprzednim życiu. Bo jakież inne skłonności, jakie obciążenia dziedziczne mogłyby sprawić, że bezustannie coś mnie gna ku granicom? Czy tylko przypadek znów sprowadza mnie, już trzeci rok z rzędu, w takie miejsce, gdzie jeden świat się kończy a drugi zaczyna? W r. 1932 medytowałem o sprawach granicznych na moście, dzielącym jugosłowiańskie miasto Suszak od włoskiego Fiume. W r. 1933 dumałem na podobnym moście, łączącym polski Cieszyn z czeskim Cieszynem. Celnikiem chyba w poprzednim wcieleniu nie byłem, mimo iż uwielbiam ten gatunek ludzki, z którego się wywodzi wielki „douanier" Rousseau. Tak, czy owak: kuszą mnie wszelkie granice, hipnotyzują, przyciągają jak magnes. I nie tylko polityczne lub terytorialne. W równej mierze urzekają mnie granice dobrego i złego, ciała i duszy, bytu i niebytu.

Nie spodziewałem się jednak, że akurat nad Drwęcą ulegnę fizycznej nieomal fascynacji zaświatów. Bo ta granica pachnie trochę zaświatami. Po drugiej stronie rzeczki zaczyna się obszar wielkiej obcości, naelektryzowanej nienaskim mistycyzmem krwi, naładowanej grozą zorganizowanego obłędu. To jest już „tamten świat" w stosunku do mojego świata, gdzie życie i godność człowieka bądź co bądź posiadają cenę, zapisaną na ziemi i w niebie.

Magnetyzm granicy, kuszenie zaświatów działa na mnie ze szczególną siłą właśnie tu, gdzie wszystko jest takie spokojne, sielskie, kojące. Gorzkie uroki wydziela ta ziemia o glebie bogatej, lecz dziwacznej. Obok urodzajnej glinki — beznadziejne piachy. Lasy tutejsze szumią i jodłą i dębem. Są w tych lasach miejsca, gdzie poziomka kwitnie późną jesienią, a parę kroków dalej, w oplocie cierniowych lian, dojrzewa jeżyna. Piękne to lasy chociaż zanadto cywilizowane. Ciągną się równolegle do granicy i wzdłuż toru kolejowego, który raz biegnie w głąb Polski wysokim nasypem, to znów głębokim parowem. Te czyściutkie, symetrycz-

ne, pedantyczne lasy wydają się być dziełem geometrów. Dukty, halizny i polanki rozplanowane są tutaj niczym arterie i place jakiejś współczesnej południowo-amerykańskiej metropolii. Co parę kroków, na krawędzi leśnych dywizyj sterczą białe, kwadratowe kostki kamienia z czarnym krzyżem na grzbiecie, niby na płaszczu Krzyżaka.

Pobliże Malborga i Tannenberga, gdzie niedawno uroczyście pochowano starego marszałka Hindenburga, oddziaływa na imaginację. Nocne granie żab, niezwykle intensywne w tych stronach, budzi makabryczne skojarzenia. Może to z niedalekich jezior mazurskich niesie się nocami skarga potopionych pułków rosyjskich? W bezgwiezdne noce przelatują po polskim niebie miotły reflektorów. To ćwiczy Reichswehra z garnizonu Deutsch-Eylau. Tu straszy nie tylko duch starego Malborga. Tu, Norny i bogowie Walhalli gotują jakieś nowe heldensagi. A jednak w ciche noce letnie zalatuje czasem z tamtej strony Drwęcy ostra woń kategorycznego imperatywu. Płynie poprzez wieki ponad sosnowymi lasami, płynie od tego miasta, gdzie pewien starszy pan w pudrowanej peruce z harcapem, zakończonym kokardą, przekonywał świat o możliwości wiecznego pokoju.

„Prawo człowieka" — głosił — „musi być święcie szanowane, chociażby potęgi panujące miały przez to ponieść jak najcięższe ofiary". (Immanuel Kant: *Zum ewigen Frieden. Anhang. Ueber die Misshelligkeit zwischen der Moral und der Politik in Absicht auf den ewigen Frieden).*

Takie to echa zamarłych czasów, takie pogłosy umarłej mądrości napędza do uszu nocny wiatr, dmący z zaświatów.

◆

W obrębie majątku B., gdzie gościłem tego lata, można przejść granicę w dwóch miejscach. Właściwie tylko w jednym, bo drugie przeznaczone jest wyłącznie dla pociągów. To drugie przejście jest niedużym mostem żelaznym na Drwęcy, oddalonym o kilka kroków od domku ostatniego polskiego dróżnika. Wiele do roboty dróżnik ten nie ma, gdyż kolej miejscowa (parę małych wagoników) z Działdowa do Deutsch-Eylau idzie tylko raz dziennie w jedną i w drugą stronę. Toteż szyny są tu zardzewiałe, aż czerwone od rdzy, a krowy dróżnika swobodnie popasają na samym torze. Niekiedy, gdy Drwęca nie jest zbyt głęboka, przechodzą sobie na drugą stronę, skąd dzieci dróżnika z wielkim krzykiem pędzą je z powrotem do Polski.

Pewnego dnia, o takiej upalnej godzinie, kiedy słońce stoi wysoko, a człowiek nie rzuca już swego cienia, o godzinie, kiedy

wśród ciszy rozgrzanych łąk chodzą południce i wabią nas ku zgubie, znalazłem się na granicznym moście kolejowym. Nie wiem, czy to południce mnie tu wciągnęły, czy też uległem wewnętrznej pokusie, dość że wyzwałem zaświaty i przekroczyłem most poza słupki, znaczące kres polskiego posiadania. Pusto było dookoła, nikt mnie nie widział ani z tej, ani z tamtej strony, a co do krów dróżnika — miałem pewność, że nie zrobią na mnie doniesienia ani u polskiej, ani u niemieckiej władzy. Stałem na rozpalonych kamykach, stałem na rozgrzanych zardzewiałych szynach i poczułem, że nastąpiłem butami na coś niebezpiecznego. Była to owa „krwawiąca rana", owa *blutige, brennende Wunde,* o którą krwawić się będą narody. Byłem tak zaaferowany moim ryzykownym krokiem oraz świadomością, że oto jak Odysseusz za życia wstępuję w zaświaty, że nie pomyślałem nawet o tym, co mi grozi. A groziło. Nagle spod ziemi mogli wyskoczyć niewidzialni strażnicy, całe centurie szturmowców mogły wyleźć spod mostu, schwytać mnie i uprowadzić w głąb „Jenseits". Lecz w następnej chwili zapomniałem o swojej osobie. W tej ciszy południa, na rozpalonym moście żelaznym, pośród śpiewu skowronków i wonnych kopic siana, padł mój wzrok na graniczny słup. Były tam wyryte czarnymi łacińskimi głoskami te słowa:

TRAITÉ DE VERSAILLES
28. VI. 1919.

Naraz ujrzałem Wersal, kremowo-różowe miasto, park i sadzawki, posągi i schody kamienne, błyszczące amfilady złoconych sal i ową Galerię Zwierciadlaną między Salonem Wojny a Salonem Pokoju, tę długą, uroczystą galerię o siedemnastu oknach z plafonami, pokrytymi malowidłami Le Brun'a, gdzie w starych lustrach oglądali swe własne głowy — przedstawiciele Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch, Japonii, Belgii, Boliwii, Brazylii, Chin, Kuby, Ekwadoru, Grecji, Gwatemali, Haiti, Hedżasu, Hondurasu, Liberii, Nicaragui, Panamy, Peru, Polski, Portugalii, Rumunii, Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców, Syjamu, Czechosłowacji i Urugwaju. Siedzieli stłoczeni, spoceni, i nie śmiąc spojrzeć w oczy blademu hrabiemu von Brockdorff-Rantzau woleli widzieć go w lustrze, jak drżącymi ze wzruszenia rękami przyjmuje z rąk Georges'a Clemenceau grubą książkę in 4-o, w białej okładce o tytule w dwóch językach: „Condition de Paix", „Condition of Peace".

Widziałem ich wszystkich: czcigodnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Woodrowa Wilsona, czcigodnego Roberta Lansinga, Sekretarza Stanu, wielce czcigodnego Davida Lloyd

George'a, M.P., pierwszego Lorda Skarbu oraz premiera, wielce czcigodnego Andrew'a Bonar Law'a, M.P., Lorda Pieczęci Prywatnej, Generał-majora, Jego Wysokość Maharadżę Sir Ganga Singh Mahadur, maharadżę Bikaneru, G.C.S.I. (wielki krzyż Gwiazdy Indii), G.C.I.E. (wielka komandoria orderu Cesarstwa Indyjskiego), G.C.V.O. (wielki krzyż orderu Wiktorii), K.C.B. (komandoria Orderu Łaźni), i widziałem rudą grzywę naszego Paderewskiego i sztywny profil Romana Dmowskiego... A ponad łąkową ciszą południa nad Drwęcą rozlegał się ryk starego tygrysa Francji Georges'a Clemenceau, protagonisty tego wersalskiego igrzyska. Spoza sztucznych zębów ciskał w twarz hrabiego von Brockdorff-Rantzau kamienie słów:

„Nadeszła godzina surowego uregulowania rachunków. Prosiliście nas o pokój. Jesteśmy gotowi wam go udzielić".

Ryk krów dróżnika na polskiej szkarpie, które dziewczynka właśnie zaganiała gałązką brzeziny, zagłuszył głos tygrysa. Czym prędzej umknąłem z mostu i nawet nie spojrzałem za siebie w obawie, żeby południce, parafrazując żonę Lota nie zamieniły mnie w słup graniczny.

W jakiej jaskini będzie zawarty przyszły pokój?

◆

Jeszcze raz w ciągu tego lata dane mi było przez mgnienie oka otrzeć się o zaświaty. Mój gospodarz, właściciel majątku B., z pochodzenia Wielkopolanin, był kapitanem rezerwy wojska polskiego. Majątek B. przed wojną należał do jakiegoś Niemca. Otóż kapitan (nazywajmy go tak jak go wszyscy w B. nazywali) znalazł się tutaj jako jedna z konsekwencyj traktatu wersalskiego. Jego gospodarstwo rolne cierpiało w tych czasach z powodu kryzysu ekonomicznego. Lecz kapitan należał do tych dzielnych ludzi, którzy potrafią walczyć nie tylko z nieprzyjacielem na polu bitwy, ale i z wszystkimi przeciwnościami losu. Z wdziękiem i prostotą orał i bronował razem ze swymi fornalami. Pewnego wrześniowego popołudnia zaproponował mi przejażdżkę na stację kolejową, gdzie mieścił się również urząd pocztowy. Miał tam do odebrania większą przesyłkę pieniężną. Niewiele już czasu nam zostawało, gdyż pocztę zamykali o szóstej. Musieliśmy się spieszyć. Była miła, spokojna przedwieczerz, gdy wsiedliśmy do bryczki zaprzężonej w konia, który jeszcze godzinę temu szedł w kieracie. Powoził kapitan. Jechaliśmy białą równą szosą, wiodącą do oficjalnego punktu granicznego, gdzie stoją oba szlabany, zabudowania naszej i niemieckiej policji, oraz celników. Przed nami — nieprzejrzane lasy, po prawej ręce też

mieliśmy las, przerywany symetrycznie wrzosowiskami. Z lewej strony szosy — rzadko zaludnione przysiółki. Szeroko rozkładała się wieczorna cisza Słońce ocierało się już o czuby lasów. Na szosie bawiły się dzieci, gęsi uroczyście maszerowały na nocny spoczynek, ciężkie maciory, przerażone naszym pojazdem, uciekały z kwikiem. Wegetatywne życie lasu i wsi delektowało się samym sobą.

— „Wczesna zima będzie w tym roku" — rzekł kapitan i wskazał biczem na wrzosowisko. Potem przez całą drogę milczeliśmy, żeby nie płoszyć ciszy.

Naraz kapitan, który rzadko się denerwował, spojrzał na zegarek i zaciął konia. Mogliśmy już nie zdążyć po te pieniądze. Poprawiłem czapkę na głowie. W owej chwili, nasyconej ciszą i pogodą, usłyszeliśmy za sobą nadciągający huk i dzikie trąbienie. W tumanie kurzu pędził za nami jakiś samochód w tempie zgoła niezwyczajnym na tej szosie, gdzie bawiły się dzieci i spacerowały prosiaki. Wściekłe trąbienie zbliżało się coraz gwałtowniej.

— Co za wariat? — zawołał kapitan, z trudem powstrzymując konia, nawykłego do kieratu, lecz nie do ruchu samochodowego. Siłą trzeba go było hamować, żeby się nie spłoszył.

— Co za wariat? — powtórzył kapitan.

Trąbka samochodu darła się panicznie, alarmując całą przyrodę i nas. Tak trąbią pędzące sikawki pożarne i pogotowia ratunkowe. Nim zdążyliśmy odwrócić głowy, minął nas w kurzawie dymu i w odorach spalonej benzyny elegancki, kryty samochód. Kapitan szamotał się z koniem, który poczuł snać walącą nań z hukiem siłę nie z tego świata. Udało mi się zajrzeć do środka samochodu. Siedział tam siwiutki ksiądz w komży, w ornacie z fioletową stułą. Śpieszył do umierającego. Nastąpiło zderzenie i krótkie spięcie dwóch pośpiechów: naszego, aby zdążyć po pieniądze i staruszka-księdza w samochodzie.

Po chwili tafla wieczornej ciszy, skłócona na moment wrzaskiem i pędem wściekłej maszyny, wróciła do poprzedniego stanu. Kurz opadł, sinawe dymy rozwiały się, zapach benzyny uległ zapachom leśnego wieczoru, huk i trąbienie oddalały się coraz szybciej. Przyroda odzyskała swój spokojny rytm. Nasze serca go już nie odzyskały. Jakaż to dusza ludzka niecierpliwiła się tam za lasami, po drugiej stronie granicy Polski i Niemiec i nad samą granicą wieczności? Po drugiej stronie granicy, wytyczonej w Wersalu przez ludzi i nad granicą, wyznaczoną ludzkim istnieniom przez Boga? Czy aby ksiądz zdąży jeszcze w porę? Tam, za lasami, coraz bardziej mroczniejącymi, — jest śmierć. Czy śmierć poczeka na przybycie tego samochodu? Czy staruszka w ornacie

przepuszczą ludzie ze spaczonym krzyżem swastyki na ramieniu? Czy Sakramentom, wiezionym przez kapłana katolickiego, oddadzą należne Im honory? Czy nie będą szukali kontrabandy w samochodzie wiozącym z polskiej strony — czyjejś biednej duszy ostatnie pocieszenie? Czy aby stary ksiądz zdąży?

Musimy się bardzo śpieszyć, bo już za chwilę — szósta. Mogą zamknąć pocztę. Kapitan walił konia, a nie pozwalał robić tego fornalom. Dojeżdżając do budynku stacyjnego, z niepokojem patrzyłem na lasy po tamtej stronie granicy. Czy ksiądz zdąży? Myśmy na szczęście zdążyli.

W drodze powrotnej zdawało mi się, że nad pruskimi lasami unosi się ku górze malutki obłoczek, biały jak ludzka dusza, oczyszczona z grzechów.

DROGA W „ŚWIAT"

Przed końcem świata

Odkąd młodzieńcze zapały osmaliły skrzydła mojej Muzie — nie lubię spisywać wrażeń „na gorąco". Sprawy, o których mam opowiadać, muszą najpierw ostygnąć, przywiędnąć, przegrzmieć. Melancholijna woń przemijania — oto ulubione perfumy mojej Pani Muzy. Skazała mnie ona na ustawiczne odgrzewanie przebrzmiałych spraw. Odgrzewam je więc na swej maszynce — powiedzmy: spirytusowej, *spiritus* bowiem *flat ubi vult*. Skwarne lata, duszne sierpniowe noce, wspominam najchętniej w zimowy czas, w sielskiej ciszy podkarpackiej. Przy akompaniamencie świerszczyków i żab wywołuję z pamięci obłędne zgiełki dalekich metropolii. Dlatego łaskawy czytelnik zechce mi wybaczyć, że dopiero dziś dzielę się z nim wrażeniami z podróży odbytej zeszłej wiosny i lata.

Cierpię na głód świata. Trochę świata już zjadłem, ale im więcej go jem, tym więcej jestem głodny. Dawniejsze wojaże i perygrynacje miały zawsze posmak podróży poślubnej. Jechało się w świat naprzeciw radości. Dzisiaj nawet dobrowolne podróże bywają ucieczką. Uciekamy nie tylko od siebie, od naszych trosk, od utrapień lokalnych, uciekamy również przed ścigającym nas koszmarem jutrzejszego dnia. Jest to ucieczka daremna. Bo czyż można od przyszłości, a więc od czasu, uciec w przestrzeń?

Odwieczny szlak wiodący od mroku ku światłu, od smutku ku radości, to droga z północy na południe. Ludziom przywiązanym do starych cywilizacji, wydaje się, że znajdą pokrzepienie u jej źródeł, leżących wbrew prawom przyrody przy ujściu wielkich rzek do Morza Śródziemnego.

Wybrałem się więc nad Morze Śródziemne. Tam oddech ziemi bywa lżejszy, tam łatwiej dojrzewają myśli.

Opuściłem Warszawę w pierwszej połowie marca. W owych dniach wojska Trzeciej Rzeszy obsadziły Nadrenię. W przeddzień wyjazdu widziałem po raz pierwszy „Dzisiejsze czasy" Chaplina. Oba te fakty, pozornie nie mające żadnego związku: remilitaryzacja Nadrenii i film Chaplina, zadecydowały o mojej marszrucie. Postanowiłem ominąć kraj, będący jednym wielkim obozem koncentracyjnym sił, którym przeciwstawia się Chaplin. Przez Austrię i Szwajcarię jechałem do południowych departamentów kraju, gdzie pachną nie tylko pomarańcze i cytryny, ale gdzie również i ludzka myśl o każdej porze roku wydziela aromat prawdy. Jechałem do Francji, do tego obozu koncentracyjnego Pana Boga, jak swoją ojczyznę nazwał Morand. „Czy Bóg jest Francuzem?". To pamiętne pytanie zadał parę lat temu pewien dziennikarz niemiecki, dziś wierny wyznawca całkiem innego bóstwa. W owych dniach koszmar przyszłości nabierał już całkiem wyraźnych rysów wojny. Wyjechałem z Polski ze źle tajonym uczuciem, że tak prędko nie wrócę. Gdzie mnie dopadnie koszmar? W którym miejscu runie na mnie wojna? W Austrii? W Szwajcarii?

Nie jechałem sam. Miałem przy sobie nieodstępnego towarzysza. Na szczęście, paszport nie był mu potrzebny. Żadne państwo nie żądało od niego wizy. Nawet nie musiał być wpisany do mojego paszportu w rubryce: „osoby towarzyszące". Albowiem wcale nie był osobą. Towarzyszem tej podróży przed końcem świata było moje nieczyste sumienie. Tak jest: nieczyste, dlatego że w tak ciężkich czasach przedsięwziąłem tę kosztowną podróż, nieczyste, ponieważ czułem się odpowiedzialny za wszystek ciężar tych czasów. „Dzisiejszych czasów".

Omijam Niemcy, żeby nie patrzeć na oddziały Reichswehry w żelaznych hełmach, maszerujące po żelaznych mostach Kolonii, żeby nie słyszeć brandenburskiego marsza triumfalnych orkiestr pułkowych. Żeby nie słyszeć dudnienia czołgów, które będą miażdżyły takich jak Chaplin, takich jak ja. Jeszcze mi w uszach pobrzmiewa sentymentalna „Titina", pierwsza pieśń „wielkiego niemowy ekranu", symboliczna „Międzynarodówka" wszystkich słabych i ubogich tego świata, który się kończy. Słowa tej pieśni pozbierał sobie Chaplin z języków wielu ludów na znak, iż ubodzy wszystkich ludów są rodakami i braćmi.

Nie po to uciekam przed koszmarem wojny, nadciągającej z łoskotem żelaza i brzęczącej jak pusta miedź, żeby dobrowolnie oglądać ją tam, gdzie w moim mniemaniu lada dzień może się urodzić. Jak już wspomniałem, przez całą drogę z Warszawy do Wiednia nie opuszczała mnie myśl, że mogłem być odcięty od kraju. A jeśli nawet będzie mi dane powrócić, czyż mogłem opędzić się wrażeniu, że jest to moja ostatnia podróż w „świat"?

Ostatnia przed jego końcem? Z takim uczuciem wyjeżdżać, to tak jak gdyby się jechało pożegnać umierającego. Widziałem już w wyobraźni zagładę wielkich stolic Europy, widziałem najpiękniejsze miejsca na ziemi zburzone, zbombardowane, zagazowane. Wszystko bowiem, co w ostatnich latach na świecie zrobiono, było mniej lub więcej planową rozbudową zagłady. Jechałem ku miejscowościom, ku krajobrazom, które znałem już z dawniejszych podróży, ale miałem również zobaczyć wiele miast po raz pierwszy w życiu. Zmierzałem ku nim, aby je powitać i jednocześnie pożegnać. Zagrobowym, pośmiertnym światłem fosforyzowały odległe Paryże, Marsylie, białe miasteczka Prowansji. Już na Dworcu Warszawskim — pośród żelaznych żeber niedokończonej hali peronu, miałem wrażenie, że pociąg, do którego wsiadam, zawiezie mnie ku próchnu „świata" i że tam, gdzie wysiądę, czekają mnie już tylko zjawiska pozbawione życia, a w każdym razie pozbawione radości. W każdym miejscu dzisiejszej Europy jesteśmy pogrobowcami samych siebie, my, posępni skazańcy, obarczeni grzechem przeciwko nadziei. Od wielu lat jesteśmy nią ciężarni, a choć wcale nie życzymy sobie szczęśliwego rozwiązania, boimy się sztucznych poronień. Dnia 7 marca 1936 roku, nad Renem — płód poruszył się w łonie matki.

Towarzysze podróży

Ledwo pociąg ruszył, mój towarzysz, ten bez paszportu, usnął. Widocznie stukot kół, kołysanie pociągu oddziaływa na ludzkie sumienia usypiająco. Na moje szczęście spał do samego Wiednia. Okazało się za to, że mam w przedziale dwóch innych towarzyszy. Siedzieli naprzeciw mnie i rozmawiali po niemiecku. Jeden z nich był rosłym, barczystym mężczyzną w średnich latach, o twarzy typowo nordyckiej, wygolonej, o mocnych szczękach i drapieżnych zębach. Bardzo elegancko ubrany, wyglądał jak powojenny dyplomata. Drugi był szczupły, mały, mniej pewny siebie, mniej władczy. Twarz jego zdobił mały wąsik oraz faworyty. Jakiś agent, szpieg, w każdym razie osobnik lżejszego kalibru. Tamten, wysoki, rozmawiał z nim jak z podwładnym, wydawał ważne polecenia, dyspozycje. Musiał to być chyba — po co obwijać w bawełnę? — jakiś Gauleiter. Rozmawiali przyciszonym głosem, od czasu do czasu spoglądali nieufnie w moją stronę. Widocznie obecność moja nie była Niemcom na rękę. Mimo iż rozmawiali półgłosem, zdołałem w mowie „Gauleitera" rozpoznać akcent berliński. Obok niego piętrzyła się cała góra gazet, ilustrowanych tygodników. Same wydawni-

ctwa Trzeciej Rzeszy. Na wierzchu leżały „Münchner Neuste Nachrichten"

Tak, pomyślałem sobie, omijam Trzecią Rzeszę, a ona jedzie ze mną z Warszawy do Wiednia. Nie dobry to omen. Ci dwaj panowie, to tajni emisariusze polityczni, szef i pomocnik — udają się z jakąś misją do Papena. Trzeba wobec tego mieć się na baczności, a zwłaszcza unikać rozmów na tematy polityczne. Kto wie, czy nie są to funkcjonariusze Gestapo? Ostentacyjnie wyciągnąłem marcowy zeszyt „Nouvelle Revue Française" i zanurzyłem się w mowie latyńskiej. Czytałem miesięczne „Propos" Alaina.

W Koluszkach towarzysz „Gauleitera" skromny młodzieniec z wąsikami i baczkami pożegnał się i wysiadł. Pożegnał się po ogólnoludzku, bez „Heil Hitler" — podał rękę „Gauleiterowi". Naturalnie, w Polsce krępują się — pomyślałem sobie. Teraz zostałem w przedziale sam z groźnym „Gauleiterem". Moje nieczyste sumienie obudziło się, lecz po chwili przewróciło się na drugi bok i w dalszym ciągu chrapało. Na szczęście Niemiec tego chrapania nie słyszał. Nie zwracał zresztą na mnie żadnej uwagi. Czytał „Weltspiegel", oglądał fotografie swego Führera i towarzyszy partyjnych. Ja czytałem już Thibaudeta. Milczenie między nami panowało idealne, klasyczne, maeterlinckowskie milczenie. I trwało aż do granicy czechosłowackiej.

„Gauleiter" sam siebie demaskuje

Na stacji granicznej Petrovice u Bohumina kazano nam wysiąść w celu zadeklarowania pieniędzy w urzędzie policyjnym. Pierwszy wysiadł Niemiec, ja zostałem w przedziale aż do jego powrotu. Tymczasem do naszego wagonu weszli funkcjonariusze policji czeskiej i skonfiskowali wszystkie dzienniki, które „Gauleiter" zostawił na ławce. Gdy wrócił i z oburzeniem zauważył brak gazet uznałem za swój współpasażerski obowiązek poinformować go o tym, co zaszło. Oburzenie Niemca nie miało granic. „To niesłychane!" — krzyczał. — Tego nauczyli się od Niemców! U nas w Ameryce tego nie ma! U nas jest demokracja i każdy ma prawo czytać, co mu się podoba. Ja mam już dosyć tych niemieckich metod! Dziewięć dni trzymali mnie ci hitlerowcy w areszcie. To było okropne! Uciekłem z Berlina przez Gdańsk do Polski!".

W toku dalszej, bardzo interesującej rozmowy, która trwała do samego Wiednia, okazało się, że mój „Gauleiter" jest amerykańskim dziennikarzem, przedstawicielem pewnego protestanc-

kiego pisma. W piśmie tym opublikował ostre artykuły o stosunkach w Berlinie, za co hitlerowcy osadzili go w więzieniu. Tylko dzięki interwencji dyplomatycznej wypuścili go po dziewięciu dniach z tym, że w ciągu 24 godzin wyjedzie z Niemiec. Jechał więc teraz do Szwajcarii, do Berna, gdzie miał rodzinę. Ten młody człowiek, który wysiadł w Koluszkach był łódzkim Niemcem. Należał do tej samej sekty protestanckiej, co Amerykanin, który rzeczywiście mówił po niemiecku jak rodowity berlińczyk. Matka jego była Niemką, studiował w Niemczech i przed rokiem 1933 stale mieszkał w Berlinie. Okazało się również, że nie powinno się sądzić ludzi po wyglądzie ani po wymowie. Moje zdolności rozpoznawcze poniosły — zresztą nie pierwszy raz — sromotną klęskę. Odkąd zawarłem znajomość z amerykańskim dziennikarzem, ofiarą Trzeciej Rzeszy, wydawało mi się, że ma wygląd typowego Amerykanina, i nawet przez dłuższy czas doszukiwałem się w jego rysach podobieństwa do jednego z aktorów filmowych.

Wien, du liebe Kaiserstadt!

Wem Gott will rechte Gunst erweisen
Den schickt Er in die weite Welt,
Dem will Er seine Wunder weisen...

Piękny ten wiersz austriackiego romantyka Józefa Eichendorffa nieraz powtarzałem w czasie moich dawnych wędrówek po Alpach, wędrówek z lekkim sercem i ciężkim plecakiem. Tu, w Wiedniu, znów mi się przypomniała pierwsza strofka. Ciągle jeszcze spotyka się na ulicach tego miasta zgrabnych młodzieńców z plecakami, z mandolinami, ozdobionymi kolorowymi wstęgami. Tzw. „wędrowne ptaki".

Przyjechałem do Wiednia, aby odnaleźć tu siebie samego sprzed lat dwudziestu, kiedy też byłem czymś w rodzaju „wędrownego ptaka" i obszedłem wszerz i wzdłuż cały Wienerwald, wierząc w Boga i wierząc w człowieka, któremu Bóg objawia swoją łaskę, każąc mu wędrować po dalekim świecie. O Boże, jak rzadko dziś ukazujesz wędrowcom swoją łaskę. Dziś uciekamy w świat w poszukiwaniu pracy, uciekamy przed widmem głodu, nędzy, zidiocenia, przed Gomorą i Sodomą, przed Twoją zasłużoną karą. Wiemy już, z pewnością wiemy, że od przyszłości niczego nie powinniśmy się spodziewać prócz śmierci w męczerniach, prócz śmierci, której cel znany jest tylko Tobie i kilku mężczyznom niskiego pochodzenia i aż nazbyt wysokich

bo Twojego majestatu sięgających ambicji. Odwróćmy się więc od przyszłości i spójrzmy na czasy minione. Tu kochało się pierwszą, męską miłością muzykę, piękne dziewczęta, piękne książki, kochało się urodę życia, chociaż śmierć była nam równie bliska, jak dziś. Ale wówczas kochało się nawet śmierć.

Pragnąłem więc w tym Wiedniu odnaleźć ślady moich stóp, ślady moich rąk i uścisnąć ręce tych nielicznych przyjaciół młodości, których oszczędziła tamta wojna.

Wiedeń przed restauracją

Ostatnim razem, gdy byłem w Wiedniu, zauważyłem, że republika austriacka usiłuje zatrzeć i usunąć wszelkie widome pozostałości c. i k. monarchii. Zaciężni ochotnicy austriackiego wojska byli umundurowani na wzór przedhitlerowskiej Reichswehry, mieli okrągłe czapki niemieckiego kroju. Dawne cesarskie i królewskie mundury można było oglądać tylko w muzeach. Dzisiaj wszystko, przynajmniej zewnętrznie stara się upodobnić do epoki, która skończyła się w r. 1918.

Wiedeń w tych dniach marcowych 1936 r. jak gdyby cały oddychał powietrzem Restauracji. Odbywały się doroczne Targi Wiedeńskie, więc hotele były przepełnione.

Zajechałem do bardzo starego hotelu, mającego jeszcze wszystkie znamiona zajazdów z epoki dyliżansów pocztowych. Nazywa się „Hotel König von Ungarn". Stoi w wąskiej cichej uliczce w pobliżu tumu św. Szczepana. Olbrzymia brama wjazdowa pamięta lepsze czasy niż dzisiejsze, cuchnące benzyną. Hotel „Król Węgierski" opalany jest wonnym drzewem, wyrąbywanym na stokach Alp. W moim pokoju znajduje się piec bardzo starego typu. Okrągły, gliniany, na szczycie ma wazon empirowy. Takie piece widuje się na starych rycinach, przedstawiających wiedeńskie salony, w których Schubert gra swoje utwory wobec wytwornych panów w kolorowych frakach i „Vatermörderach" i wobec grona pięknych dam w biedermeyerowskich sukniach i koafiurach. Miło gwarzy ogień drzewny w tym starym piecu, jego monotonne westchnienia przerywa co kwadrans, co pół godziny, co godzina, poważny dzwon zegara na tumie. W tym starym piecu z pewności diabeł nie pali. Diabeł pali tylko węglem.

Gdy staromodny garson otworzył przede mną drzwi wyznaczonego mi „numeru", stwierdziłem nie bez zdziwienia, że nie będę tu mieszkał sam. Pokój mój bowiem był zajęty przez bardzo dostojne persony. Nad staromodną sofą wisiał olbrzymi portret Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości, Franciszka Józefa. Tak oto

sam „król węgierski" miał czuwać nad spokojem moich wiedeńskich nocy, niczym ikona. Nie koniec na tym. Każdy pokój w tym hotelu miał swoją osobną nazwę na cześć jakiegoś wysokiego gościa, który niegdyś ten pokój zajmował. Wszyscy ci goście rekrutowali się z wyższych sfer wojskowych dawnej c. i k. armii lub z węgierskiej arystokracji. W każdym pokoju wisiała fotografia jego patrona. To były many hotelu „Król Węgierski", jego lary i penaty. Nad moim nocnym stolikiem czuwał zażywny, wąsaty pułkownik huzarów — na pięknym rumaku. Źle dobrano mi pokój, jestem bowiem związany raczej z c. i k. piechotą, ale nie z kawalerią. Mimo to odniosłem wrażenie, że stary cesarski Wiedeń, że c. i k. monarchia godnie rewanżują mi się tym hotelem, (do którego zajechałem całkiem przypadkowo), za wszystko, co napisałem o tej przebrzmiałej, zdawałoby się, materii. Zresztą, czyż mogło być inaczej? Było dla mnie rzeczą zupełnie oczywistą, iż przyjechawszy do Wiednia jako autor „Soli Ziemi", od razu wsiąkłem w atmosferę, którą przez tyle lat oddychałem.

Na ulicach Wiednia spotykałem wyższych i niższych oficerów, podoficerów i zwyczajnych żołnierzy, ubranych niemal identycznie jak ja byłem ubrany przed dwudziestu laty. Co prawda żołnierze republiki, wzdychającej do monarchii, nie mają na czapkach inicjałów cesarskich, ale trzeba się bardzo dokładnie przyjrzeć tym guzikom, żeby się nie pomylić. Młode paniczyki w jednoroczniackich *extra* uniformach paradują po niedzielnym Wiedniu tak samo beztrosko, jak moi koledzy, z których większość już dawno zgniła we włoskiej, polskiej, ukraińskiej i serbskiej ziemi. Nawet naszywki jednoroczniackie na rękawach są takie same jak przed dwudziestu laty.

A jednak wiele z mojej pracy poszło na marne. Łudziłem się, że te kształty, te barwy, te mundury będą żyły jeszcze tylko na kartach moich książek... Najnowszy duch w Austrii powracający do starego ducha, niszczy mój mit, odbarwia moją legendę.

Za wystawami wielu sklepów z papierem, wielu trafik, wywieszono ostentacyjnie widokówki z arcyksięciem Ottonem w mundurze pułkownika oraz liczne fotografie innych członków cesarskiej rodziny. Widziałem Ottona małym chłopcem z długimi blond lokami, jak dreptał na pogrzebie starego cesarza, prowadzony za rączkę. To było przed dwudziestu laty.

Rozważania numizmatyczne

W tym okresie oficjalny Wiedeń żył nie tylko pod znakiem restauracji Habsburgów. Na każdym kroku odczuwało się tutaj

również mocny powiew katolicyzmu. Odświeżona przez rząd związkowy gloria Kościoła rozbłysła w rosnącym cieniu ofiar krwawej zimy 1934 roku. W ciągu całej historii Wiednia nigdy jeszcze tyle trupów nie leżało na jego pięknych ulicach. Odkąd Wiedeń Wiedniem nigdy w jego murach nie było tak zaciekłej walki bratobójczej. Nawet w marcu 1848 roku. W zgrabnym rytmie tych ulic czujne ucho dosłyszy dziś jeszcze złowrogi pomruk dział masakrujących oddziały robotnicze. Odsiecz Wiednia w roku 1934 — pognębienie niewiernych synów Marksa — to chyba najtragiczniejsze, najbardziej krwawe wypadki, rozegrane w tym mieście od czasów tamtej kahlenberskiej odsieczy. Ale tam Turek był najeźdźcą, tu pohańcem był brat, krew z krwi, kość z kości tego ludu. Zima r. 1934 chyba raz na zawsze rozwiała operetkową legendę Wiednia. „Die schöne, blaue Donau" dzieli właściwą stolicę od Floridsdorfu, jak Wisła dzieli Warszawę od Pragi. We Floridsdorfie toczono najzaciętsze walki. Nie tak rychło „piękny, niebieski Dunaj" zapomni o czerwonej krwi Wiedeńczyków, wytoczonej przez Wiedeńczyków. Niechaj umarli grzebią umarłych, a żywi niech nie zapominają. Dunaj jest żywy.

Zwycięski katolicyzm neoaustriacki narzuca się nawet tam, gdziebyśmy się go najmniej spodziewali. Nie jestem numizmatykiem i większą wagę przykładam do wewnętrznej wartości pieniądza niż do jego zewnętrznej postaci. Widziałem jednak wiele monet i najrozmaitszego kształtu. Były to przeważnie wytłoczone w srebrze, złocie, niklu, miedzi — twarze i popiersia pięknych i brzydkich kobiet, starych i młodych mężczyzn, lalkowate, zalotne profile symbolicznych niewiast, popularne głowy panujące, głowy bohaterów narodowych, różne „wolności" w czapkach frygijskich, emblematy, herby, orły, lwy... Widziałem nawet piękny profil żony mojego przyjaciela, świetnego poety polskiego, Ludwika Hieronima Morstina, ale Matki Chrystusowej na żadnej monecie jeszcze nie widziałem. Dopiero tu, w Wiedniu przekonałem się, że i to jest możliwe. Austriacką monetę pięcioszylingową zdobi reprodukcja cudami słynącego posągu Matki Boskiej z Maria Zell. Napis na monecie głosi, że jest to Magna Mater Austriae. Tak więc docześni, ach jakże docześni, władcy tego świata uczynili z monety obiegowej *devotionalium*. Połączyli w jednym symbolu dwa, tak zdawałoby się, wrogie imperia: Mamony i Królestwa nie z tego świata. Ciekaw jestem, z jakiego paragrafu karze się w tym kraju fałszerzy pieniędzy, podrabiających monety pięcioszylingowe. Popełniają wszak jednocześnie dwie zbrodnie: fałszerstwa i bluźnierstwa.

Wzmianka o Bassermanie i Jezuitach

„Niechaj inni pokonywują świat jak Aleksander... Od nas wymaga się trudniejszej rzeczy: pokonania samego siebie". Takie jest motto dramatu, którego obejrzenie zawdzięczam wzmożonej akcji katolickiej — w Austrii. Dramat napisał Amerykanin, a więc obywatel państwa, gdzie katolicyzm nie jest religią oficjalną i dzięki temu ma możność rozwijania się w głąb jak w Anglii, Francji i Szwecji. Dramat Emmeta Lavery pt. „Pierwszy Legion" był jedynym naprawdę współczesnym widowiskiem katolickim na wysokim poziomie, jakie kiedykolwiek widziałem na scenie. W jedenastu obrazach sztuki Lavery'ego występują sami mężczyźni. „Dom kobiet" Nałkowskiej *à rebours*. Rzecz dzieje się w współczesnym klasztorze Towarzystwa Jezusowego. Występują niemal wyłącznie Jezuici. Autor niezwykle delikatnie, taktownie i plastycznie porusza zagadnienia wiary i odszczepieństwa, egzaltacji religijnej i zwątpienia, z odwagą i talentem dotyka otwartych ran, przeciwstawia kontrasty, pokazuje na scenie konfesjonały, a końcowy triumf wiary i ortodoksji nie jest tanim i z góry przewidzianym zwycięstwem. Sztuka Lavery'ego (grana zresztą później w teatrze krakowskim, nie wiem z jakim sukcesem), w Wiedniu zdobyła ogromne powodzenie dzięki wspaniałej kreacji Bassermana w roli ojca Duquesne, rektora klasztoru, oraz doskonałej grze całego zespołu „Teatru in der Josephstadt", występującego gościnnie w „Raimundtheater". Myślę, że i w Warszawie można by zagrać tę ciekawą i bardzo sceniczną sztukę z równym pożytkiem dla naszej prawicy jak i lewicy, dla wierzących i dla ateistów. Jaracz na przykład mógłby świetnie odtworzyć rolę Rektora, albo Junosza Stempowski.

Dwa spotkania w kawiarni

Dawno już nie spotkałem na drogach mego żywota Boga-Ojca, wcielonego w człowieka. Gdzieżby indziej, jeśli nie w Wiedniu, powinien On teraz przebywać? W towarzystwie najwierniejszego przyjaciela moich wiedeńskich lat poszedłem do kawiarni, do której chodziłem stale w latach 1914-1916. Dziś bardzo wiele tu się zmieniło. Przede wszystkim ulotnił się niespokojny duch tego lokalu wraz z międzynarodową, pstrą bandą niegdysiejszych gości: malarzy i poetów ekspresjonistycznych, kubistów i anarchistów, pacyfistów, socjalistów i komunistów. Tu pod własnym gipsowym popiersiem siadywał niegdyś król operetki wiedeńskiej, Franz Lehar w gronie kolegów: Kalmana, Eisle-

ra, Falla. Znałem w tej kawiarni każdy stolik i każde niemal krzesło mnie znało. Bo chyba na każdym z tutejszych krzeseł siadywałem w ciągu dwóch lat. Przychodziłem tutaj codziennie. Pomarli już starzy kelnerzy tzw. oberzy, — dawni pikolacy z kolei sami zaawansowali na oberów. Popuchły im karki, wyrosły brzuchy, posiwiały włosy. Lokal przemalowano, urządzono na nowo, uwspółcześniono oświetlenie. Wiele zmieniło się w tej kawiarni, rewolucyjnej czasu wojny, został tylko ten sam gospodarz (zgolił wąsy) i ta sama, zupełnie zębem czasu nietknięta matrona, strzegąca ubikacji poświęconych higienie. Ani ona ani gospodarz mnie nie poznali, chociaż powinni byli poznać. Bardzo mnie to zasmuciło. W tej kawiarni najdotkliwiej odczułem zwycięski, brutalny przemarsz lat po moim biednym ciele. Na „moich" krzesłach, przy moich stolikach siedzi teraz obca, nowa młodzież w moim wieku sprzed dwudziestu lat. Trudno.

Ale za to ujrzałem „Boga-Ojca". Był nim już przed dwudziestu laty. Bo czymże jest dwadzieścia lat nawet dla człowieka ozdobionego tą nazwą? Przyszedł dziś ze swoją długą, rozwianą, druidyczną brodą. Wówczas była czarna, dziś jest już siwa. Olbrzymia jego postać stała się jeszcze bardziej majestatyczna, chociaż pochyliła się nieco pod brzemieniem tylu lat. I jakich lat! Takie lata mogłyby przygarbić nawet prawdziwego Boga-Ojca. Oczy wiedeńskiego Boga-Ojca nic nie uroniły ze swego pięknego, dobrego, zaiste ojcowskiego blasku. Usiadł w rogu sali tak jak dawniej siadywał, i zaraz otoczył go wieniec nie tyle kaplic, ile młodych kobiet, które wciąż jeszcze czarował. Zapewne tłumaczył im dziś jak przed dwudziestu laty, tajemnicę tworzenia. Bo wiedeński „Bóg-Ojciec" jest twórcą i to nie byle jakim. To jeden z najwybitniejszych malarzy austriackich, profesor H... (olitzer).

Tak oto siedziałem w mojej starej kawiarni ze starym przyjacielem. Wspominaliśmy dawne dzieje, dawne klęski i dawne triumfy. Śmiertelny sobowtór Nieśmiertelności uśmiechał się do nas życzliwie ze swojej sofki. W tej kawiarni zawsze wszyscy do wszystkich uśmiechali się życzliwie. Naraz wszedł jakiś bardzo wysoki i bardzo chudy pan, znany w całym świecie z licznych fotografii w gazetach i z filmów. Przyjrzałem się mu bliżej i byłem pewien, że się nie mylę. To on, to jego niezwykła postać, jego długie włosy, jego sztywny podwójny kołnierz. Brakowało mu tylko na głowie olbrzymiego ochronnego turbanu. Spojrzałem na przyjaciela pytająco. Zaraz odgadł, o co mi chodzi i rzekł:

— Tak, ale to nie ten, którego masz na myśli, to jego brat! Nie mogłem uwierzyć. Wysoki, chudy pan był, według mego przekonania, tym właśnie profesorem Piccardem, który zdobył stratosferę. Twarz, wąsiki, łysina, i okalające ją długie włosy,

okulary, kołnierz, chudość, wzrost, wszystko się zgadza. Sama natura lub też Bóg, (o ile stratosferycy tej miary co Piccard wierzą w Boga) obdarzył go tym nienormalnie dużym wzrostem, żeby miał bliżej do stratosfery. Chciałem się założyć, że to on.

— Nie, to jego brat — upierał się przyjaciel.

Skinąłem na „obera", jednego z tych, którzy za moich lat byli jeszcze pikolakami. Nie poznał we mnie starego bywalca. Trudno. Zapytałem, czy wysoki pan, to profesor Piccard, ten od stratosfery. Kelner powiedział to samo, co mój przyjaciel, że to jego brat. Nie dałem się przekonać. Tak duże podobieństwo wydawało mi się niemożliwe, nawet u bliźniąt. Wobec tego przyjaciel zaproponował mi, żebym podszedł do Piccarda i zapytał go wprost, kim właściwie jest.

— A jeśli ci odpowie, że nie jest tym od stratosfery, — dodał z uśmiechem — nie musisz mu wierzyć. Ty wiesz przecież lepiej od niego, kim on jest, bo jesteś poetą.

1936

ABBAYE DE ROYAUMONT

I

Gdyby mnie zapytano, czego najwięcej pragnąłem w tych latach obłędu i udręki, odpowiedziałbym: ciszy. Szukałem jej w sobie i tropiłem ją na zewnątrz siebie. I nie po to, by na jej łonie ułożyć się do spoczynku, lecz aby móc jak biblijny Jakub, w spokoju walczyć z aniołem.

W dawniejszych latach wszędzie można było znaleźć oazy ciszy. Dziś trzeba jechać bardzo daleko, żeby uciec od miejsc codziennej troski i od swojego czasu i w ogóle od siebie. Żyjemy w epoce schronów, betonowych schronów dla ciał. Mają one ocalić człowieka od ogni niebieskich, wznieconych ludzką ręką. Gdzie atoli znaleźć schron dla duszy, osaczonej stokroć gorszymi gazami i ogniem piekielnym?

Na północnym krańcu departamentu Seine et Oise, 35 km za Paryżem, niedaleko Chantilly, stoi już od siedmiu wieków wspaniały, potężny i wcale nie podziemny i nie betonowy, lecz kamienny, gotycki schron dla dusz spragnionych ciszy, dla twórczych umysłów żądnych medytacji. Budował go osobiście św. Ludwik, król Francji, a budował dla zakonu Cystersów. Dziś nie ma już we Francji Cystersów, są za to rozsiani po całej ziemi świeccy spadkobiercy mniszego ideału, poszukiwacze prawdy pod wieloma postaciami, prawdy, która rzadko dojrzewa wśród wrzawy. Dla tych ludzi stworzył ośrodek ciszy i skupienia p. Henri Gouin, obecny właściciel zeświecczonego opactwa, znany miłośnik muzyki.

Więc aż tak daleko trzeba jechać po ciszę, po ten, tak pięknie w języku polskim zwany „święty spokój?. Czy nie ma go gdzieś bliżej? Są, są i u nas wspaniałe cisze, leśne i górskie i sielskie, ale dostęp do nich bywa niekiedy trudniejszy niż do starego klasztoru w Royaumont. To, co się dzieje dokoła naszych cisz, nie zawsze daje ukojenie. Nędza wsi polskiej w najcichszą

noc krzyczy do gwiazd i zanieczyszcza sumienie gościa. Cisza wsi w Ile-de-France jest łaskawsza. Można ją chłonąć, można się nią upijać z czystym sumieniem. W tych stronach nikt nie głoduje, w tych lasach nie czyha żadne zło. Mieszkają tam po ludzku ludzie syci i uśmiechnięci. Nieraz z ust Francuzów słyszałem wyrzut pod ich własnym adresem: *Nous sommes trop heureux.* Jesteśmy zanadto szczęśliwi, i dlatego niewiele nas obchodzi niedola reszty świata. Tak więc łowca ciszy może się czuć bezpieczny moralnie i fizycznie w tych rozległych lasach, na tych żyznych polach, nad pięknymi brzegami Oise'y. Nie straszy go tutaj widmo niczyjej krzywdy ani w dzień, ani w nocy. Na asfaltowych szosach, błyszczących jak lustra, po których pędzą samochody, na samotnych ścieżkach polnych — napaść go może tylko „skrzydlaty złoczyńca". Innych tu nie widać. Dzieci wiejskie nie ciskają kamieniami w przelatujące samochody. Chociażby dlatego, iż mogłyby trafić własnych ojców, siedzących przy kierownicy. Tak, ta świadomość powszechnego dobrobytu daje błogi spokój. Kontemplacja ciszy, przyrody i sztuki nie odbywa się tutaj kosztem niczyjego upośledzenia. W tych stronach można jeszcze niekiedy cieszyć się z tego, że się jest człowiekiem.

W szkole powszechnej oddalonego stąd o dwa kilometry miasteczka Asnières sur Oise uczą się przeważnie dzieci robotników z dwóch fabryk zabawek gumowych. W jednej z klas widziałem wypisane na tablicy zdanie z Flauberta. Pan nauczyciel, pełniący tu jednocześnie funkcje sekretarza gminy, oświadczył mi z prostotą, że zwykł swych sztubaków kształcić na najlepszej francuskiej prozie.

Przechadzam się wśród jesiennych pól, na których starsze, starannie uczesane damy w rogowych okularach udają wieśniaczki. Wybierają z tej żyznej ziemi olbrzymie buraki, a czynią to w rękawiczkach. Oto dlaczego musimy niekiedy przejechać setki kilometrów, żeby trochę ciszy nabrać w serce. I jeszcze jedna okoliczność na to się składa: to czas. Wspomnienie wieków, które ominęły te mury, sklepienia, ogrody i całą Ile-de-France. Jesteśmy tu na jednym z większych cmentarzysk czasu. Dlatego smutna jest tutejsza cisza, smutna jak wszystko, co stare. Sędziwa cisza.

II

W skromnym moim życiu nic nie jest przypadkowe. Gdy spoglądam za siebie wstecz, widzę, iż każda ważniejsza chwila

w tym życiu podlegała konieczności, tzn. woli sił, znających sens i cel nawet takich spraw, które ja uważałem za bezcelowe. W czerwcu 1938 r. przebiegałem w myśli wszystkie możliwości znalezienia jakiegoś azylu do pracy. Nazbyt długo tułałem się po różnych letnich pensjonatach, pośród cudzej nudy, wrzaskliwej i nietolerancyjnej. Czym tylko mogłem, starałem się ugłaskać, przekupić hałaśliwe moce. Niedawno w Zakopanem sędziowałem nawet młodocianym footbalistom, rozgrywającym zawody pod moim oknem. Przypomniałem sobie młode lata, kiedy sam kopałem piłkę, i z torebką cukierków w ręku sędziowałem, żeby niepostrzeżenie, niby nowy szczurołap z Hammeln, wyprowadzić hałasujące bractwo poza strefę mojego mieszkania. Osiągnąłem przez to skutek wręcz odwrotny do moich zamierzeń. Footbaliści przychodzili teraz umyślnie grać pod moje okna, w nadziei, iż za każdym razem wyjdę do nich z cukierkami. „Pan chyba tylko w jakimś klasztorze znajdzie spokój" — szydzili ze mnie ludzie niewrażliwi na hałas. Mieli słuszność: marzyłem o klasztorze. Aż oto w czerwcowym numerze „Nouvelle Revue Française" z ub. r. przeczytałem artykuł znakomitego krytyka i autora dramatycznego Gabriel Marcela pt. „Royaumont".

„W niedzielę dn. 15 maja — pisze Marcel — odbyła się inauguracja Foyer de l'Abbaye de Royaumont, ośrodka pracy lub wypoczynku, przeznaczonego dla artystów i intelektualistów... Nigdy może swoboda tworzenia, swoboda myśli nie była tak powszechnie zagrożona jak dziś i to nie tylko przez arogancki obłęd państw totalnych, lecz i przez prosty układ warunków gospodarczych, które coraz bardziej wymykają się kontroli zdrowego sensu. Łatwo można sobie wyobrazić, jakie możliwości przedstawia dla artystów lub pisarzy, szarpanych troskami codziennymi i nazbyt często wyrywanych z samych siebie, pobyt w tym opactwie, założonym przez św. Ludwika, w opactwie, którego nie zdołał zniszczyć wandalizm rewolucji, a którego ducha uszanowała dyskretna i inteligentna odbudowa".

W dalszym ciągu Marcel rozpatruje ideę Royaumont. „Istnieje dziś tylko jeden problem, mianowicie: odbudowanie indywiduum. Nie tylko trzeba mu zwrócić odwagę i siłę, żeby mogło istnieć, lecz trzeba je również odżywić od wewnątrz przez zanurzenie go w takim środowisku duchowym, gdzie by się połączyło z własną głębią"...

Tego właśnie pragnąłem. Zanurzyć się w takim środowisku duchowym, gdzie bym mógł się połączyć z własną głębią. Piękne słowa francuskiego pisarza, którego zawsze czytałem z podziwem, kusiły z daleka jak syreni śpiew. Royaumont stało się dla mnie marzeniem o ziemi obiecanej. Nie wiedziałem, że to marzenie

miało się rychło spełnić. W połowie sierpnia, dzięki moim francuskim przyjaciołom, otrzymałem niespodzianie zaproszenie do Royaumont. Dowiedziałem się również, że wszystkie muzy współczesnej Francji patronują przybytkowi cysterskiej ciszy. Prospekt zapewniał, że z murów opactwa wygnano wszelką propagandę polityczną czy religijną, a każdy może prowadzić tam taki tryb życia, jaki mu się podoba, pod warunkiem, że uszanuje pracę i wypoczynek sąsiada. Lube syreny, jak tu nie ulec waszej pieśni? Uległem. Lecz jak w starych baśniach i legendach droga do upragnionego celu prowadzi przez liczne przeszkody, tak i mnie nie od razu było dane dotrzeć do Royaumont. Na mojej drodze stanął z granatem w ręku wrześniowy Ares. Linia Siegfrieda, linia Maginota. Ares wstrząsnął światem i jeszcze bardziej pogłębił pragnienie ciszy. Dopiero gdy monachijskie wróżki zażegnały chwilowe niebezpieczeństwo, przypłynąłem między Scyllą a Charybdą i szczęśliwie dobiłem do suchej przystani na Ile-de-France.

III

Obiektywny opis tzw. cudów przyrody i sztuki wydaje mi się niemożliwy. Royaumont ma nie jeden wygląd, lecz tyle, ile oczu je ogląda. Ważna jest również okoliczność, skąd te oczy przybyły i po co. Magia wczesnego gotyku inaczej zapewne działa na Paryżanina, spoufalonego od dziecka z Ste Chapelle i Nôtre-Dame, a inaczej na przybysza z młodszych stron świata. Na pozór wszystko wygląda jak na fotografii. Nigdy nie ufałem fotografiom. Umieją one narzucić złudzenie ciszy nawet tam, gdzie w rzeczywistości panuje piekielny huk. Kto zna Paryż tylko z pocztówek nie zna Paryża. Na pocztówkach cichy jest nawet plac Opery. Nieprawdziwy jest również Paryż bez zapachu benzyny. Przeto wydaje mi się, że wszelka wizja jest jak gdyby pozbawiona duszy, jeżeli odejmiemy od niej wrażenia słuchowe i zapachy.

Tylko zespół wszystkich wrażeń zmysłowych może dać właściwe pojęcie o tym, jak naprawdę wygląda Abbaye de Royaumont jesienią i zimą, a te pory pogłębiają majestat ciszy. Royaumont zimą to wielki rezerwat milczenia, po prostu jakaś forteca ciszy. Cisza nie tylko broni się tutaj za grubymi murami i starą tradycją, lecz sama atakuje, osacza i podbija. Tym bardziej, że droga ku niej prowadzi przez najhałaśliwsze, najbardziej męczące dzielnice północne Paryża. Trzeba minąć Villette, gdzie znajdują się wielkie rzeźnie, „Marché aux Puces", siedlisko naj-

parszywszej tandety, wśród której czasem można wyłowić rzadkie dzieła sztuki. Potem długo jedzie się przez posępne, zadymione miasta fabryczne St. Denis i Pierrefitte. Aż dopiero gdzieś za Ecouen uśmiechnie się do nas zieleń i pozwoli otrząsnąć się z przygnębienia. Oczom ukazuje się szeroki rozświetlony widnokrąg i lasy. Teraz już same nazwy starych, kamiennych, jakby pogrążonych w letargu miasteczek: Belloy, Luzarches i Viarmes, brzmią dla polskiego ucha po gotycku. Tęczują w nich barwy witraży. Najskromniejsza mieścina pyszni się tutaj gotyckim kościołem. Przecież Ile-de-France jest kolebką architektury gotyckiej. Gdy wjeżdżamy w okolice Royaumont, jesteśmy już trochę przygotowani na przyjęcie cudu, jakim jest wewnętrzny, arkadowy dziedziniec klasztorny i wielki refektarz mnichów. A patrząc na jesienny pejzaż Ile-de-France zaczynamy rozumieć tajemnicę francuskiego impresjonizmu. Rozumiemy, kim był Pissarro. Pożółkła zieleń liściastej gęstwy w lasach i parkach wygląda w ciszy i w znieruchomieniu niby jakiś żywy, suty, spłowiały gobelin. Miękko wjeżdżamy w ten gobelinowy czar. Nieruchome wody stawów i sadzawek raz jeszcze odbijają te żywe płótna Pissarra. Wszystko przenika milczenie. Nawet szum samochodu gubi się w puszystości gobelinu. Nie zdziwiłbym się, gdyby na moje powitanie wyjechali konno rycerze i damy w wysokich stożkowatych nakryciach głowy, paziowie i sokolnicy. Co prawda pałac, przylegający do klasztoru, dawna rezydencja opatów, pochodzi z XVIII w. Lecz atmosferę w Royaumont wypełnia gotyk. Filary przyporowe arkad *cloître*'u bujnie oplata czerwony, jesienny winograd i wiecznie, jakąś skórzaną zielenią, zielony bluszcz. Pośrodku wirydarza między krużgankami, których strzegą sztywne tuje, szemrze fontanna. Sadzawka, ujęta w ośmioboczną cembrowinę, jest zielona od mchu, pokrywającego jej dno. Na tym zielonym, jakby pluszowym, tle uwijają się czerwono-złote ryby. Co za uczta dla malarza taki widok! Zwłaszcza zimą, gdy migotliwa czerwień milczących ryb stanowi jedyny kontrast z powszechną szarością. Te ryby, to żywe symbole ciszy, na której połów się wybrałem. Jedyne zwierzę-ssak, należące do inwentarza Foyer, jest również nieme. To duży, brunatny, dobrotliwy pies z rasy chińskich eskimosów *chow-chow*. Na imię mu Kito. Zachowaniem swym przypomina Chińczyka Wanga z powieści Conrada „Zwycięstwo". Tak samo jak Wang potrafi niepostrzeżenie zjawiać się i dematerializować.

Drugim arcydziełem obok *cloître*'u jest wielki kolumnowy sklepiony refektarz mnichów, gdzie obecnie letnią porą odbywają się wspaniałe koncerty starej muzyki. Znajdują się tam potężne nowoczesne organy. Tuż obok, w przepięknej sali, gdzie dawniej

mieściły się kuchnie klasztorne, widziałem dziwny instrument muzyczny, znany mi dotąd z literatury, a mianowicie z noweli Maupassanta „La maison Tellier". Jest to *le serpent* czyli wąż, instrument dęty, gdzieniegdzie używany jeszcze dziś w kościołach fracuskich.

Pan Gouin napisał niezwykle interesującą monografię Royaumont, z której poznajemy dzieje wszystkiego, na co tu patrzymy oraz historię miejsc i budowli, pożartych już przez wieki. Tu i ówdzie sterczą gigantyczne kikuty kamienne — niedogryzki czasu. Przede wszystkim piękna, smukła, choć obtłuczona wieża nieistniejącego już kościoła opackiego, wieża północnego *croisillon*, zakończona ośmiokątną iglicą z kwiatonem w kształcie lilii. Ten kościół, zbudowany razem z opactwem w r. 1230 przez młodocianego króla Ludwika IX (kanonizowanego w r. 1297), uległ zburzeniu w czasie wielkiej rewolucji. Nie zniszczyli go sankiuloci, lecz z nadmiaru oportunizmu rozebrał go prawowity właściciel Royaumont, markiz de Travannet. Na szczęście zachowała się jedna ze szczytowych ścian głównej nawy, przylegająca do *cloître*'u. Przez dziewięć pustych „oculi", okrągłych dziur po rozetach, przelatują o zmroku nietoperze. Na miejscu kamiennej posadzki kościoła bieleją wśród zieleni głowice kolumn. Ongi wspierały się na nich sklepienia naw i absydy. Tym sposobem ocalony został kontur kościoła Notre Dame de Royaumont. W parku i w przedsionku Foyer, niby w westybulu jakiegoś muzeum leżą w kurzu odłamki kolumn, kielichowate ozdoby i kwiatony, które niegdyś bodły niebo i błękit. I zdaje się, że urodzajna ziemia Ile-de-France rodzi kamienne kwiaty.

Bujna przeszłość opactwa Royaumont obok historycznej prawdy zawiera sporo legend. Oczywiście najwięcej ich dotyczy św. Ludwika, który często przebywał wśród Cystersów. Tu pochowano też jego synów i wnuków. Po pięknych, monumentalnych grobowcach rodziny królewskiej nie ma już śladu. Jednym z opatów Royaumont „królewskiej góry" *(Mons Regalis)* był również kardynał Mazarini. W r. 1651 zrzekł się tej godności na korzyść ks. Henryka Lotaryńskiego, hr. d'Harcourt. Grobowiec ks. Henryka stał właśnie w tym miejscu, którędy dziś wchodzi się do Foyer od strony wieży. Przechodzi się pod sklepieniem, na którym pozostały jeszcze kamienne strzępy barokowej draperii z lotaryńskimi krzyżami. Strzępy z kamiennego baldachimu nad grobowcem, będącym dziełem Coysevoxa. Według jednej z legend tu właśnie, w Royaumont oddał ducha autor „Manon Lescaut", abbé Prevost. Po zburzeniu kościoła i wygnaniu mnichów, markiz de Travannet zainstalował w murach opactwa przędzalnie bawełny. Z tych zapewne czasów pochodzi turbina

wodna, wiecznie w ruchu, niby *perpetuum mobile,* monotonnym turkotem i szumem, w dzień i w nocy potęgująca doskonałość ciszy. W czasie wielkiej wojny był tutaj lazaret, utrzymywany przez „Damy Szkockie". Ale teraz w czasie „wielkiego pokoju", w trzydziestu celach dawnego dormitorium Cystersów mieszkają ludzie, którym ten „pokój" nie daje spokoju. Jakież to burze i nawałnice i pożary przywożą ze sobą do tych cel, zamienionych na pracownie, ludzie, którzy dzięki szlachetnej inicjatywie pp. Gouin znajdują łaskę ciszy i skupienia! W tych murach, pod tymi arkadami, zapewne niejedno już serce odzyskało spokojny rytm i niejedna mądra narodziła się myśl.

IV

Ze świecą, z wszystkimi świecami z kapliczki „Sacré Cœur" nie znaleźlibyśmy odpowiedniejszego dyrektora tej instytucji niż p. p. Bernard Champigneulle. To nie tylko dyrektor Foyer, ale zarządca samej ciszy. Uosobienie taktu, kultury i życzliwości. A czy można sobie wyobrazić, że tym wszystkim kieruje jakiś olbrzym o tubalnym głosie? Tacy nadają się na dowódców obozów koncentracyjnych. Royaumont jest też obozem koncentracyjnym, ale koncentrują się tutaj myśli i talenty. Pan Champigneulle zna się równie dobrze na sztukach pięknych, literaturze i muzyce jak na ludziach. W tym kraju, gdzie konwersacja też jest sztuką piękną, mało kto potrafi tak jak p. Champigneulle organizować rozmowy i spotkania. Sam cichy i łagodny jak ten anioł (chyba Anioł milczenia?), którego figurę umieścił w klatce schodowej, p. Champigneulle reprezentuje i osobą swoją i pracą — wszystko, co jest najlepszą tradycją francuską. Z zawodu krytyk, jest w swych poglądach i gustach całkowicie niezależny. Rozmiłowany w starej muzyce, prowadził kursy historii muzyki w Radio-Paris. Obecnie należy do kierownictwa Tow. Koncertów w Wersalu (w ramach tzw. „Saisons Nationales d'Art Français"). Wyborny znawca sztuk plastycznych, jest stałym referentem tego działu w „Mercure de France". Był zawsze awangardzistą i pilnie śledził nowe prądy. W dzisiejszej sztuce, zdaniem Champigneulle'a, tylko dwie formy wyrazu ocalały z powszechnej konfuzji: rzeźba i rytownictwo. Rzeźbę uważa Champigneulle za najbardziej tradycyjną sztukę Francuzów, którzy uprawiali ją na dwieście lat przed Włochami. W malarstwie szczególnie wyróżnia sztukę flamandzką. Dowodem jego zawsze żywych zainteresowań jest świeżo wydana książka pt.

„L'inquiètude dans l'art d'aujourd'hui". Będąc prawdziwym humanistą w życiu i w sztuce, ten wytworny Lotaryńczyk ma wielkie uznanie dla sztuki dekoracyjnej i użytkowej. Doskonale zna się na meblach z wszystkich epok. Jak wspomniałem wyżej, zna się niezgorzej i na ludziach. Mówi zawsze głosem ściszonym, a słowa poprzedza miłym uśmiechem. Jego francuszczyzna jest tak piękna i wykwintna, że powinno się ją nagrać do linguafonu. Niewątpliwie św. Ludwik byłby rad, gdyby widział człowieka, który dziś rządzi w jego murach. Honory tego dostojnego domu godnie pomaga czynić p. Champigneulle, jego miła małżonka, której gorąca wiara wyraża się na zewnątrz w pogodnym i życzliwym dla wszystkich usposobieniu.

Obok pp. Champigneulle rządzi tutaj ciszą jeszcze jedna osobistość. Siedzi wysoko na dachu, akurat nad moją celą i co kwadrans daje o sobie znać. To — dzwon. Stary mechanizm zegarowy sapie i wzdycha, jak gdyby przeciągał się w stawach, kości mu trzeszczą, gdy bierze rozpęd przed uderzeniem. Dobywa z siebie dźwięk piękny, poważny, uroczysty. Dzwon kraje ciszę, tnie wieczność na kwadransy. Pewnej nocy, gdy nie nakręcony, przestał bić, nie mogłem zasnąć. To wieczność stanęła. Wieczność nie ujęta w karby dyscypliny, jest nie do zniesienia. Podobnie jak całkowita samotność. A zdarzyło mi się, że przez dwa dni byłem niemal zupełnie sam w Royaumont. Zostałem sam na sam z ciszą. To było okrutne. Wszelkie spotkanie z ideałem jest okrutne. A zresztą, jak powiada Valéry, „człowiek samotny obraca się zawsze w złym towarzystwie". Dotyczy to naturalnie tylko ludzi niereligijnych. Duch św. Ludwika i Duch, który użyczył królowi Ludwikowi świętości, zawsze towarzyszy w tych murach człowiekowi samotnemu. Nie jest wszakże rzeczą łatwą znaleźć się w wyłącznym towarzystwie tego Ducha. „Kwiatki św. Franciszka" opowiadają o spotkaniu św. Ludwika z bratem Idzim w Perugii. (To tylko legenda, bo św. Ludwik nigdy nie był we Włoszech). Legenda jest tak piękna, iż nie mogę się oprzeć pokusie przytoczenia jej:

„Przybywszy do bramy klasztoru braci, jako pielgrzym biedny i nieznany pytał z naleganiem wielkim o brata Idziego, nie mówiąc odźwiernemu, kim jest. Udaje się tedy odźwierny do brata Idziego i mówi, że jest u bramy pielgrzym, który oń pyta. A Bóg natchnął brata i objawił mu, że to król Francji. Natychmiast z gorliwością wielką wychodzi brat z celi i biegnie do bramy. A choć nie pytał o nic więcej i chociaż nigdy nie widzieli się z sobą, uklękli obaj w czci największej, padli sobie w ramiona i ucałowali się tak poufale, jak gdyby przez dłuższy czas w wielkiej byli ze sobą

przyjaźni. Jednak przez cały czas nie mówił ni jeden ni drugi, jeno trwali w uścisku wśród oznak miłości serdecznej, w milczeniu. Kiedy w sposób powyższy spędzili szmat czasu, nie rzekłszy sobie ni słowa, rozstali się z sobą. A św. Ludwik udał się w podróż, a brat Idzi wrócił do celi. Kiedy król odszedł, zapytał jeden z braci któregoś z jego towarzyszy, kto był, który tak długo ściskał się z bratem Idzim. A ów odrzekł, że to był Ludwik, król Francji, który przybył, by ujrzeć brata Idziego. Przeto, kiedy rzekł o tym innym braciom, ci bardzo się zmartwili, że brat Idzi nie rzekł doń ni słowa. I smucąc się, rzekli: „O, bracie Idzi, czemuś był tak niegrzeczny, że do króla świętego, który przybył z Francji, by cię widzieć i usłyszeć od ciebie kilka słów dobrych, nie rzekłeś nic zgoła?". Odparł brat Idzi: „Bracia najdrożsi, nie dziwujcie się temu. Dlatego nie mogliśmy ani ja jemu, ani on mnie rzec ni słowa, bo światło mądrości boskiej objawiło mi i ukazało serce jego, a jemu moje. I patrząc tak, za sprawą Boga w serca swoje, poznaliśmy o wiele lepiej, co ja chciałem rzec jemu, a on mnie, niż gdybyśmy byli mówili ustami i z większą pociechą, niż gdybyśmy chcieli głosem wyrazić, cośmy w sercu czuli. Dla niedoskonałości języka ludzkiego, który niezdolen jest jasno wyrazić ukrytych tajemnic Boga, byłoby to nam raczej zmartwieniem niż pociechą. Przeto wierzajcie, że przeciwnie król odszedł ode mnie rad i pocieszony w swej duszy" („Kwiatki św. Franciszka z Assyżu", rozdział XXXIV, przekład Staffa).

Tak więc św. Ludwik może uchodzić za patrona ciszy.

Gdy pragniemy rozmawiać, schodzimy do salonu na parterze. Tam pod wielkim renesansowym gobelinem, przedstawiającym spotkanie Jakuba z Ezawem, stoi duże polichromowane popiersie Henryka IV. Ten król, jak wiadomo, nie gardził doczesnością, a ten salon to chyba najbardziej świeckie miejsce w Royaumont. Tu, przy kominku, zawiera się znajomości, przechodzące niekiedy w przyjaźń. Tu prowadzi się dysputy. Tu też rozlega się jedyny w Royaumont krzyk. Oczywiście nie czynią go ludzie, nawet gdy są licznie zebrani w salonie. To krzyczą — gazety: prawe, lewe, umiarkowane, w dużej ilości zgodnie ułożone obok siebie na stole. „Action Française" przy „L'Ordre", „Journal des Débats" obok „Le Petit Parisien", „La Petite Gironde" obok „Vu". Są oczywiście wszystkie niemal czasopisma literackie i artystyczne. Ale one krzyku nie czynią. Wrzeszczą dzienniki, nienawiścią zbiorową i indywidualną. Z nich rodzi się poranny niepokój, zakłócający przelotnie atmosferę w Royaumont. Pewnego jesiennego dnia z wszystkich dzienników wyjrzała smutna twarz starca w baskijskim berecie, w okularach i z patriarchalną białą brodą. Umarł wielki poeta Francis Jammes, *cette réussite*

de Bon Dieu, jak go nazwał Gide. Zmarł w swej pirenejskiej samotni w Hasparren, w sam dzień obłóczyn najstarszej córki. Spośród krzykliwych wiadomości o „naturalnych aspiracjach Włoch", spojrzała na mnie bolesna twarz poety, któremu tyle zawdzięczałem w młodości. Gdzież, jeśli nie tutaj, rozpamiętywać jego dzieło? W mglistej ociemie zadusznego dnia ofiarujmy mu łzę, tę „wodę serca", jak nazwał łzy — św. Ludwik.

Zimowy pejzaż Ile-de-France niewiele różni się od jesiennego. Tylko liściaste drzewa stoją nagie. Za to owija je gęsto powojnik, a między gałęziami, jak niezapalone lampiony, wiszą pękate jemioły, te pradawne godła Gallów. Cały pejzaż, lekko przyprószony delikatnym pudrem, zapakowany w mgłę, jakby w przejrzystą watę. Nie przykrywa go — tak jak u nas — warstwa zimna, mrozu, śmierci. To tylko drzemka poobiednia a nie zimowy sen. Na cichej wodzie Oise'y bezgłośnie płyną „penisze", a ich syreny jęczą żałobnie przez mgłę. Gdy pada deszcz przechadzamy się pod sklepionymi krużgankami. Przejść pięć razy dookoła całego *cloître'*u, to tyle, co przebyć kilometr. Szmer fontanny wzmacniają cysterskie gargule, chlustające deszczówką. Lecz nawet zima, normalna tutejsza zima nie zdoła zabić przyczajonych, stulonych fiołków. Zieleń nieco przybladła, lecz trwa. Zima na Ile-de-France też jest gotycka. Mury jeszcze bardziej poszarzały, jakby trochę popuchły, a kontreskarpy, z których opadły liście winogradu, zdają się wyrastać wprost z ziemi. Z pewnością gdzieś głęboko w ziemi mają swe kamienne korzenie.

W naszej jadalni, która mimo nowoczesnych adaptacyj, zachowała styl i charakter refektarza, wisi również gobelin. Przedstawia drabinę Jakubową. Po szczeblach wspina się anioł. Dziwi mnie, dlaczego anioł wspina się po drabinie jak człowiek, skoro ma skrzydła. Gdy przyjechałem do Royaumont, anioł znajdował się na pierwszym szczeblu. Po pewnym czasie zauważyłem, że wspiął się na trzeci szczebel. Niewątpliwie w dzień mego wyjazdu zniknie całkowicie z gobelinu, będzie już w niebie. Cudowna jest gra świateł w tej jadalni — gdy słońce świeci. Niebieskie brzegi witraży zabarwiają jakąś nieziemską farbką oblicza ludzi, którzy siedzą w słupach blasku przy długim stole: wygląda to niby biesiada prześwietlonych duchów. Duchów w aureoli.

Niekiedy mi się wydaje, że ten kamienny klasztor nie stoi na miejscu, lecz płynie. Płynie pośród ciszy, jak gdyby kamienna arka Noego wśród potopu nieczystych wód, zalewających świat. Kto jest tutaj Noem? Chyba Jules Supervielle, wielki i szlachetny poeta, długi, chudy, kościsty, z twarzą dobrotliwego hiszpańskiego korsarza. Któż jest Noem, jeśli nie on, autor „Arki Noego"?

Semem oczywiście jestem ja. Chamów tu nie ma. Jafeci są w koloniach. Świat zwierzęcy reprezentują wyżej wspomniane ryby pod fontanną, no i pies Ki-to.

Potop biblijny trwał czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Jak długo będzie trwał nasz potop i gdzie będzie nowy Ararat? Jedno tylko jest pewne: po tym potopie chyba sam Duch św. przyniesie w dziobie oliwną gałązkę pokoju.

1938-1939

WŁODARCZYK NIE PRZYJECHAŁ?

Dowiedzieliśmy się wówczas z radością, że Misio przyjechał, że Zdzisio przyjechał, że Lolo w Rumunii, a Polo już we Włoszech. Szczęśliwie już przyjechali Henio z Zosią i z przyjacielem Zosi, Moniek z Estusią, Miecio z Fusią i Pusio z Kicią. A wszyscy — z dobrego towarzystwa.

Ja też w owych dniach kręciłem się po kawiarniach w płonnej nadziei, że od tej uciekinierskiej śmietanki dowiem się o losie mojej najbliższej rodziny, która została tam, gdzie padały bomby, waliły się domy i umierali ludzie i zwierzęta. Nikt z śmietanki nie umiał mi powiedzieć, co się z moją rodziną stało. Każdego dnia dowiadywałem się o przyjeździe tzw. ważniaków, czyli ludzi „znanych".

— A Włodarczyk nie przyjechał? — pytałem nowoprzybyłych z uporem maniaka.

— Kto to jest Włodarczyk? — odpowiadano mi solidarnym zapytaniem.

Nikt o nim nie słyszał.

Przyjechali ludzie o słabych nerwach i silnych nerwach, starcy i dzieci, ludzie, którzy bali się śmierci i niewoli, lub tylko niewoli, a śmierci — nie. Przyjechali ludzie, którzy za swój uczciwy, bezinteresowny patriotyzm niechybnie zostaliby przez Niemców rozstrzelani lub w najlepszym wypadku odesłani do obozów koncentracyjnych. Przyjechali atoli na bruk paryski i tacy, których jeszcze w pierwszej połowie marca 1939 r. olśniewał berliński asfalt. Przyjechali również i to całkiem słusznie — poeci i publicyści, którzy nienawidzili niewoli i Niemców, a z nimi ludzie, którzy uwielbiali hitleryzm. Na szczęście przyjechały także osobistości, które stanowią całą naszą nadzieję na rychłe odzy-

---

Początek tego artykułu uległ konfiskacie cenzury wojennej w Paryżu.

skanie wolności, ale przyjechali również płatni patrioci, nieraz grubo płatni, którzy przyczynili się do katastrofy.

— A Włodarczyk nie przyjechał?

— Kto to jest Włodarczyk?

Nikt o nim nie słyszał.

Płatni patrioci od razu wzięli się do roboty. W swoim czasie brali w gimnazjum dwóje za nieznajomość Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Wobec tego postanowili teraz założyć we własnym zakresie nową emigrację paryską, o charakterze neoromantycznym. Na szczęście lub może na nieszczęście, pewien kontyngent tych męskich, „czołowych", jak to pięknie ich nazwał Hieronimko — „uciekinierów", został już wcielony do nowej armii polskiej.

Uświadomiłem sobie od razu, że nowa emigracja polska, ta sprzed 17 września, posiada tylko jedną wspólną, choć przypadkową cechę. Cecha ta zapachniała mi od pierwszej chwili. I dziwny to był zaiste fenomen węchowy: śmietanka, którą czuć benzyną. „Ludzie z benzyną" — taką nazwę proponuję historii — na określenie pierwszej kadrówki emigracji polskiej w pierwszej połowie września 1939.

Nikt z „ludzi z benzyną" nie słyszał o Włodarczyku. O ile mi wiadomo, nikt też w Paryżu o Włodarczyka nie zapytał. Nie był to bowiem człowiek „znany". Ja go znałem, ale człowiek, którego ja znam, nie należy jeszcze do znanych. Znał Włodarczyka również bohaterski prezydent Stefan Starzyński. Znał go dobrze, gdyż zatrudniał go w charakterze stróża w tej części Alei Szustra, gdzie z prezydentem Starzyńskim miałem zaszczyt sąsiadować o trzy domy.

Poza tym Włodarczyk nie piastował w Polsce żadnej godności, ani odpowiedzialnego stanowiska. Nie był przeto odpowiedzialny ani za dojrzałość Polski do zwycięstwa ani za dojrzałość do klęski. Odpowiadał tylko za porządek i czystość kilku domków i ogrodów po parzystej stronie Alei Szustra. Gdyby tak niespodzianie zjawił się w Paryżu — nikt by nie musiał go weryfikować. Nie skusiłaby go żadna urzędowa posada. Najwyżej stałby w ogonku po zasiłek z Opieki Społecznej. Ale nie ma obawy: nie przyjedzie. Nigdy, o ile wiem, nie posiadał samochodu, ani benzyny, z której pomocą uciekli od zagłady, od wroga i od Włodarczyka ci, którzy za los Włodarczyka byli odpowiedzialni przed Bogiem i przed sejmem, gdyby takowy w rzeczywistości istniał.

— Włodarczyk nie przyjechał?

— Kto to jest Włodarczyk?

Włodarczyk był dobrym Polakiem. Dobrym katolikiem. Tęgim moczymordą. Niezłym robotnikiem. Płacił podatki, z wojska

był zwolniony jako ciężki gruźlik. Zresztą za stary był na wojsko. Zamiatał trotuary, zajmował się ogródkami przy Alei Szustra na rogu Alei Niepodległości w świętej pamięci stolicy Rzeczypospolitej Polskiej w ostatnich latach jej niepodległości.

Dowiedziałem się niedawno, że Włodarczyk już nie żyje. Umarł jak wielu gruźlików i alkoholików w czasie tej srogiej niemieckiej zimy. Dowiedziałem się również, że w Alei Szustra zginęło od bomby dziecko gazeciarza, z którym ongi każdego ranka dzieliłem się wiadomościami politycznymi, czerpanymi z towaru w jego budce. Jest rzeczą oczywistą, że tacy ludzie, jak śp. Włodarczyk oraz gazeciarz z mojej ulicy zostali tam, gdzie padały bomby i stało się nieszczęście i stała się niewola i stał się głód. Ich i dziś nękają wszystkie plagi, cielesne i moralne, na nich czyhają wszelkie gatunki śmierci, im giną dzieci. Ich Niemcy rozstrzeliwują za upór, za cichą lecz twardą miłość rodzinnej ziemi, o której inni, nie oni, śpiewali, że jej nigdy nie rzucą. Śmierć Włodarczyka, śmierć dziecka gazeciarza nie jest notowana w kronikach oficjalnej martyrologii, ani kolportowana po ambasadach. Ich trupy obejmuje wspólna cyfra bezimiennych ofiar. Jeśli kiedy powstanie złota księga tych ofiar i ujawni ich nazwiska — niewątpliwie będzie tam również wpisane czerwoną krwią, wyprutą spod czarnej skóry, nazwisko pana Diac'a, jedynego — zdaje się — autentycznego Murzyna warszawskiego, który był szatniarzem w kawiarni „Zodiak". Zginął on w obronie Polski wówczas, gdy niejeden z domorosłych rasistów, którym Diac przed wojną pilnował palt, salwował się ucieczką.

A jeśli serce, spod którego wydobywam teraz te gorzkie słowa, jest jeszcze coś warte i zasługuje na bicie w przyszłej wolnej Polsce — to niechaj bije gorącym braterstwem dla „szarej" (piękna mi szarość!) rzeszy Włodarczyków i Diaców.

Włodarczyk nie przyjechał?

— Przyjechał, przyjechał! Znamy go tutaj dobrze! — odpowiedziałby zapewne święty Piotr, rozdawca bezpłatnych wiz dla najbiedniejszych uciekinierów z Polski i z tego świata.

Visa de l'éternel séjour accordé pour Monsieur Włodarczyk, citoyen polonais.

1940

PŁASZCZ

Pamięci Władysława Korsaka

O płaszczu będzie mowa, a wielki cień Gogola niech się nie zżyma na mnie za to, że podszywam się pod jego nieśmiertelny „Płaszcz". Mój płaszcz nie jest nieśmiertelny, wręcz przeciwnie: jest już mocno podniszczony i bliski kresu chlubnego żywota. I nie jest on arcydziełem literatury rosyjskiej ani nawet arcydziełem sztuki krawieckiej, lecz zwyczajnym sobie, bardzo pospolitym dziełem rąk amerykańskiego krawca lub raczej maszyn amerykańskiej wytwórni odzieży. A mimo to, tym płaszczem właśnie rozpoczynam mój cykl powitalny na cześć Ameryki, gdyż w nim, w tym płaszczu witałem Amerykę. Noszę go na sobie z dumą jako widomy symbol ludzkiego braterstwa. Symbol tym cenniejszy, iż rzecz dzieje się w czasie, gdy braterstwo ludzi bardzo już zaczyna szwankować.

Mój płaszcz odbył dwukrotnie drogę przez Ocean. Raz jechał do Europy statkiem towarowym, w towarzystwie tysiąca innych darów amerykańskich, przeznaczonych dla polskich uchodźców. A teraz powrócił do Ameryki tą samą drogą transportowcem „Siboney", odświeżony, przenicowany, odmłodzony w Lizbonie rękami osiadłego tam od wielu lat Żyda polskiego, rodem z Węgrowa obok Sokoła Podlaskiego.

Chroni on teraz moje grzeszne ciało na cnotliwej ziemi amerykańskiej, chroni nie od grzechów, ale od amerykańskiego zimna. Nie przysłał mi go ani Morgan ani Vanderbildt ani Ford ani inny zawodowy dobroczyńca ludzkości, lecz człowiek zupełnie nieznany. Wiem o nim tylko tyle, że Polak i chyba nie opływający w dostatki. Ani ja jego nie znam, ani on mnie. Dlatego właśnie bardzo mnie zainteresowała jego osoba. Nigdy chyba nie dowiem się, kim jest mój płaszczodawca, ani on się nie dowie, kto obecnie nosi jego sukienny dar. Chociaż — kto wie, może spotka mnie on kiedyś na ulicy i pozna swój rodzony płaszcz?

Ciekaw jestem jak wygląda mój prawowity poprzednik, jak prezentował się w tym płaszczu, jak długo go nosił? To są na ogół drugorzędne szczegóły; dla pisarza wszakże, zajmującego się badaniem p o d s z e w k i ludzkiego bytu, zawsze niezmiernie ciekawe. Istnieją bowiem między człowiekiem a człowiekiem węzły bliskie, więcej niż bliskie, intymne, tak intymne, jak odzież, a jednak anonimowe i niezbadane. Trudno się zatem dziwić, że snuję domysły na temat człowieka, który przede mną nosił mój płaszcz. W jakich szafach, w jakim mieszkaniu wisiał ten płaszcz, zanim do mnie zawędrował, w jakich sytuacjach uczestniczył razem ze swym „panem"? Jakich smutków, jakich radości był świadkiem? Nie wiem i nie odgadnę. Wiem tylko tyle, że należał do amerykańskiego Polaka i że jest ciepły. Gdyby przyjęcie, jakiego doznałem po wylądowaniu w Ameryce, było choć w części tak ciepłe, jak ten płaszcz... no, ale gryzę się w język, bo tematem tego szkicu jest to, jak *ja* witam Amerykę, a nie jak *ona* mnie witała. Witam Amerykę serdecznie, z wielką wdzięcznością, chociaż bez entuzjazmu. Trudno żądać entuzjazmu od niedobrowolnego uchodźcy, człowieka w sile wieku, któremu nieszczęście jego ojczyzny kazało szukać przytułku na obcym kontynencie. Witam Amerykę z uśmiechem wdzięczności, ale nie jest to beztroski uśmiech reklamy pasty do zębów. W kącikach ust, którymi uśmiecham się do Ameryki, jest jeszcze żal za Polską, za Francją za Europą, a oczy, którymi szeroko wpatruję się w nowy świat, w nowe życie, w nową nadzieję, jeszcze nie są całkiem suche. Spoglądam nimi w kamienne oczy posągu Wolności i pragnę, żeby ta Wolność wiecznie trwała na piedestałach Stanów Zjednoczonych jako piękny symbol i słuszna duma, a nam, wygnańcom z świata, któremu wolność zrabowano, słodka otucha! Już w Europie czułem się wolniejszy w amerykańskim płaszczu. Jakoś lżej się w nim chodziło po bruku Lizbony, jak gdyby już się chodziło w amerykańskiej skórze.

Płaszcze, płaszcze, spodnie, marynarki, koszule, skarpetki, setkami, tysiącami przysyłała Polonia amerykańska dla polskich rozbitków. Czego tam nie było wśród owych hojnych darów! Nawet smokingi i kamizelki frakowe, nawet balowe złote pantofelki i mundur amerykańskiego żołnierza.

Większość rzeczy, przysłanych do Lizbony pójdzie lub już poszło do Polski, gdzie sroższy panuje mróz niż na biegunie północnym. Spora część darów poszła do obozów hiszpańskich, gdzie rząd generała Franco internował polskich uchodźców z Francji. Do Francji też wysłano wiele, a resztę rozdano między uchodźców, znajdujących się w Portugalii w tym przedsionku nadziei na powitanie amerykańskiej wolności.

Kłaniam się jej nisko. Nie kamiennej statui, której przy wjeździe do portu nie widziałem, lecz żywej wolności. Kłaniam się jej w moim nicowanym amerykańskim płaszczu. Pozdrawiam Amerykę i pozdrawiam amerykańską Polonię oraz wszystkich rodaków, którzy przysłali nam z Ameryki tyle odzieży. Wiem, że nie są to Morgany, ani Vanderbildty, ani Fordy. Są to zapewne robotnicy i rolnicy, którzy sami niegdyś przybyli do Ameryki w skąpym i łatanym przyodziewku lub też synowie tych robotników i rolników albo ich wnuki. I dlatego nie wstydzę się swego darowanego płaszcza i, jak Charlie Chaplin, przyjaciel wszystkich poetów i biedaków, noszę go z dumą, i ze świecących, wytartych rękawów wyciągam obie ręce na powitanie amerykańskiej wolności i amerykańskiej Polonii.

1941

DO JAKIEJ AMERYKI JECHAŁEM

Nie będę owijał w bawełnę (której plantacje poznałem po raz pierwszy z „Chaty wuja Toma" pani Harriet Beecher-Stowe), że nie mam w Ameryce żadnego wuja. Ani bogatego ani biednego. Nie mam ciotki, ani w ogóle żadnych krewniaków. Nawet nie mam zamożnych przyjaciół. Jestem tutaj klasycznie obcy. Nie przyjechałem do żadnej organizacji, która by stanowiła opiekuńczy surogat rodziny, ani do żadnej partii, która by mnie uważała za „swojego człowieka". Przyjechałem do samej Ameryki, a więc jednak do wuja. Do Wuja Sama. Wuj Sam ma setki milionów siostrzeńców i nic dziwnego, że nie bardzo rozczulił się moim widokiem.

Nie przyjechałem do miliarderów, ani do gangsterów, ani do gwiazd filmowych. Jechałem do Ameryki ludzi wolnych: białych i czarnych i żółtych oraz do potomków „Ostatniego Mohikanina". Przewodnikami moimi w tej dalekiej podróży, wynikłej ze smutnej „konieczności dziejowej" byli poeci i pisarze, którzy czarowali nasze europejskie dzieciństwo i naszą młodość. Było ich sporo, lecz wymienię tylko najważniejszych. Najpierw: wspomniana wyżej pani Beecher-Stowe, potem Fenimore Cooper i Samuel L. Clemens czyli Mark Twain. Później przyłączyli się do nich wielcy poeci: Walt Whitman, Edgar Allan Poe i Ralph Waldo Emerson. Dzieła ich czytaliśmy na ławkach Ogrodu Jezuickiego we Lwowie, w Stryjskim Parku i na Wysokim Zamku, skąd rozlega się wspaniały widok na Zniesienie, i zaczyna się już tzw. płyta podolska. W tym krajobrazie objawiła się nam Ameryka, piękna, patetyczna i bohaterska, ukoronowana nazwiskami Waszyngtona i Franklina, Laffayette'a, Kościuszki i Pułaskiego.

Niedawno, w pewnym towarzystwie pań amerykańskich z uniwersyteckim wykształceniem, które tak gościnnie przyjmowały pisarzy europejskich, przybyłych do Stanów Zjednoczonych na

skutek pożaru Europy, wywołałem zdumienie znajomością (moim zdaniem, wielce powierzchowną) arcydzieł literatury amerykańskiej. Miłe panie nie wiedziały o tym, że u nas każde niemal czytające dziecko poufaliło się z Indianami i paliło „fajki pokoju", zanim po kryjomu zaczęło palić papierosy. Nazwiska wodzów czerwonoskórych plemion były za czasów naszego dzieciństwa co najmniej tak popularne, jak dzisiaj nazwiska ludzi, którzy też są wodzami, lecz pod względem rycerstwa, ustępują swym „dzikim" kolegom.

Nie będę owijał w bawełnę, że Ameryka znana nam z dawnej literatury, jest krajem romantycznym i mało podobnym do swego sobowtóra, którego znamy z emigranckiej rzeczywistości. Więc proszę się nie dziwić, że na stare i mocno już przez robaka nadgryzione lata — zachowałem resztki sentymentu dla Ameryki mojego dzieciństwa i ją właśnie, tę krainę wolności, prostoty i braterstwa pragnęły ujrzeć me oczy po wylądowaniu w New Jersey. Czy to, co ujrzały odpowiada wizji, utworzonej z lektury, o tym na razie nie chciałbym jeszcze mówić; myślę, że dopiero po roku pobytu w Stanach i po poznaniu innych części kraju poza Nowym Jorkiem, zdobędę prawo publicznej na ten temat wypowiedzi. W tej chwili spędzam jeszcze miodowe z Ameryką miesiące i obserwuję ją z zaciekawieniem, pełnym życzliwości na kredyt. A wiadomo, że w miodowych miesiącach nawet małżeństwa w rozsądku bywają zaślepione. Moje małżeństwo z Ameryką zawarte zostało z rozsądku, doświadczenie zaś uczy, że takie małżeństwa rzadziej kończą się rozwodem, niż małżeństwa z miłości.

„Leaves of Grass" Walta Whitmana — są pierwszą książką, jaką sobie tutaj kupiłem w języku angielskim, mimo, że języka tego prawie nie znam. Czytałem ją wiele razy po polsku i w innych tłumaczeniach. Księga to wspaniała, w której natchnionymi usty sławiona jest Demokracja. Zaczynam więc mój pobyt w Ameryce od konfrontowania oryginału pism wielkiego barda Ameryki z tym, co mi zostało w pamięci z doskonałych przekładów Stanisława Vincenza i Stefana Napierskiego. Niechaj więc w oryginale spełni się dla mnie słowo Amerykanina, który swą kosmiczną miłością zalał ten kontynent oraz wszystko, co na nim żyje, pracuje i aż do śmierci walczy o wolność. Z prawdziwym wzruszeniem odczytuję sobie na głos sakralne już niemal wersety, których jeszcze nie umiem poprawnie wymawiać:

„Americanos! conquerors!
Marches humanitarian,
Foremost! century marches!

Libertad! masses!
For you a programme of chants,
Chants of the prairies.
Chants od the long-running
Mississippi and down to the
Mexican sea.
Chants of Ohio, Indiana, Illinois,
Iowa, Wisconsin and
Minnesota..."

Upajam się patosem tych pieśni jak za młodych lwowskich lat na Wysokim Zamku. Poezja — to jedyny dziś napój wyskokowy, którego lekarze pić mi nie zabronili. *I hear America singing, the varied carols I hear.*

Nikt inny tylko Walt Whitman ośmielił mnie, by na pytanie konsula Stanów Zjednoczonych w Lizbonie: „Co pan będzie robił w Ameryce?", odpowiedzieć, „to, co pańscy przodkowie, to znaczy: zamiatać ulicę". Konsul europejski czułby się zapewne obrażony taką odpowiedzią, ale ziomek Whitmana powinien być dumny z tego, że jego przodkowie zamiatali ulice. Winien być dumny nawet wówczas, gdy ulic nie zamiatali, lecz przeciwnie: zaśmiecali je. Od zamiatacza ulic do konsula droga jest daleka i wstydliwa jedynie dla tych, którzy demokrację mają w programach politycznych, na wynos, ale we własnej rodzinie jej nie praktykują. Taką odpowiedzią pragnąłem raczej przypodobać się Amerykaninowi niż mu ubliżyć. Jednak do tej odpowiedzi w ogóle nie doszło, gdyż konsul wcale mnie nie zapytał, co zamierzam robić w Ameryce. W ogóle o nic mnie nie pytał, gdyż stosując się do pewnej depeszy z Waszyngtonu — niezmiernie uprzejmie dał wizę na moim paszporcie.

1941

MÓJ PIERWSZY ROK W AMERYCE

Na powyższy temat mówiłem niedawno w Klubie Polskim Uniwersytetu Columbia. Było to jak gdyby poufne sprawozdanie w kółku rodzinnym. Większość bowiem słuchaczy składała się z sympatycznej młodzieży, którą nasz wypróbowany przyjaciel, profesor Coleman, potrafił tak pięknie zapalić do studiów języka i literatury polskiej. Ta młodzież amerykańska polskiego pochodzenia była pierwszym elementem, z którym rok temu zbliżyłem się w Ameryce — jako pisarz. Nic więc dziwnego, że z takim audytorium chętnie podzieliłem się spostrzeżeniami, poczynionymi, zresztą dość powierzchownie, w ciągu mego pierwszego roku życia na tej gościnnej ziemi. Na wstępie musiałem bronić mojej niekompetencji i usprawiedliwiać moją ignorancję. Poza bardzo pobieżną znajomością Nowego Jorku i okolic właściwie nic z Ameryki nie widziałem. A każdy rozsądny Amerykanin ostrzegał mnie przed wydawaniem opinii o tym pięknym i przerozległym kraju na podstawie nawet dokładniejszej, niż moja, znajomości Nowego Jorku. Toteż trudno mi odpowiadać na często zadawane pytanie: *How do you like America?* Pytanie to jest żenujące nawet wówczas, gdy widziało się o wiele więcej, niż ja. Jest to bowiem pytanie retoryczne. My, wojenni uchodźcy w tym kraju, jesteśmy jak rozbitek, któremu miłosierny los zsyła ratunek w postaci szlachetnego rybaka. Nasz okręt uległ zniszczeniu wskutek burzy dziejowej. Rozbitek poszedłby na dno, gdyby nie ów szlachetny rybak, który ulitował się nad tonącym, podpłynął doń w swej barce i zadał mu szereg pytań, np.: „Czy jest pan anarchistą, a jeżeli tak, to dlaczego? Czy jest pan dziewczyną lekkich obyczajów, a jeżeli tak, to dlaczego?". Następnie po otrzymaniu wymaganej odpowiedzi, rybak na pełnym morzu, zrobił tonącemu odciski palców, po czym rzucił mu koło ratunkowe i wciągnął do swojej barki. Dowiózł go do brzegu, zaprosił do domu, nakarmił, przyodział, ogrzał i dał ciepłe posłanie. Nazajutrz, gdy szczęśliwy rozbitek

już nieco odpoczął, gospodarz pokazał mu swoją córkę i wziąwszy go na bok, zapytał triumfalnie: „Jak ona się panu podoba?". Na takie pytanie cóż ma odpowiedzieć biedny rozbitek? Możliwa jest tylko jedna odpowiedź, choćby córka rybaka była kulawa i garbata.

Pytać się uchodźcy, jak mu się podoba kraj, który go przygarnął, jest taką samą niedelikatnością, co negatywna odpowiedź tego uchodźcy. Na wszystko bowiem, co mu się nie podoba, musi zamknąć oczy, nie chcąc uchodzić za czarnego niewdzięcznika. Będzie mógł je otworzyć dopiero po otrzymaniu praw obywatelskich tego kraju lub też w chwili, gdy przestanie korzystać z jego gościny. Póki jest gościem winien zachowywać się jak gość, któremu pewnych rzeczy po prostu nie wypada widzieć. (Marian Anderson bardzo pięknie śpiewa).

Moje spostrzeżenia i doświadczenia amerykańskie są nad wyraz ubogie. Ubóstwo to wynika z samej sytuacji uchodźczej. Nie przyjechałem tutaj jako wolny turysta, który ma czas, środki i tzw. głowę do dokładnego zwiedzania nowego i olbrzymiego „terenu", ani jako pisarz, który postawił sobie za cel opisanie Ameryki. Wręcz przeciwnie. Tym tłumaczy się fakt, że tak mało widziałem. W latach dawniejszych, gdy miałem mniej więcej ustaloną egzystencję w własnym kraju, nieraz wyjeżdżałem zagranicę i w ciągu kilku tygodni poznawałem obcy kraj tak, iż mogłem o nim pisać. Znam Manhattan gorzej niż np. Jugosławię, w której byłem przez parę zaledwie tygodni, znam gorzej nie dlatego, że Manhattan jest trudniejszym do poznania „terenem", lecz dlatego, że po Jugosławii podróżowałem po to, aby ją opisać. Nic innego podówczas nie robiłem od rana do późnej nocy, tylko zwiedzałem i zbierałem informacje, a krótkość przeznaczonego na to czasu była raczej okolicznością sprzyjającą. Co innego, gdy się przyjeżdża jako ofiara wojny, na czas niewiadomy, może na zawsze. Wtedy krajoznawstwo odkłada się na później, zwłaszcza gdy kraj jest tak wielki i gdy na stare lata trzeba w nim zaczynać od początku nowe życie. I nie wolno również zapominać o tym, że każdy z uchodźców prowadzi tutaj podwójne życie: jest jednocześnie i tu i daleko, daleko za oceanem. Niechaj gościnni gospodarze nie biorą nam tego za złe. Więcej: przewiduję, że w miarę przeciągania się tej wojny u wielu z nas, choćby nawet zostali obywatelami amerykańskimi, to podwójne życie przybierze charakter bardziej gwałtowny i u niejednego może zakończyć się tragicznie. Nie zapominajmy również, że znaleźliśmy się tutaj wskutek wykolejenia. Europa, a przynajmniej jej nieszczęsny kontynent, wykoleił się w r. 1940. Na tę ziemię wolności przybywali nieraz wykolejeńcy, ale byli to przeważnie wykolejeńcy z własnej winy, na

własny rachunek, a nie na rachunek historii. Dlatego łatwiej zapuszczali korzenie w tej gościnnej glebie. Z nami — inaczej, chociaż w każdym wykolejeniu dziejowym tkwi cząstka naszej własnej, indywidualnej winy. Zdaje się, że po raz pierwszy Ameryka stała się terenem emigracji politycznej na wielką skalę. Oblicze tej emigracji z natury rzeczy musi być nieco inne, niż emigracji zarobkowej i dobrowolnej. Nikt, z nas, licznych europejskich pisarzy-emigrantów, nie przyjechał tutaj celem poprawy własnego, materialnego bytu. Każdy natomiast przybył tu, aby ocalić swą twórczą swobodę, twórczą godność, tak brutalnie deptaną dziś na tych ziemiach, w których ta twórczość zakiełkowała. Uciekliśmy z Europy nie tyle ze strachu przed fizyczną niedolą, przed głodem materialnym, ile od głodu duszy, od poniewierki umysłu, od wykoślawienia charakteru. I dlatego czujemy i winniśmy manifestować głęboką wdzięczność dla kraju, w którym myśl i twórczość ludzka nie tylko są wolne, lecz dopiero wówczas cieszą się szacunkiem, gdy są wolne. Wielkie uwielbienie mam dla twórców tej atmosfery, w której żaden, żaden pisarz nie musi być dworakiem. Pisarz, który by z własnej i nieprzymuszonej woli usiłował nim być, straciłby mir nie tylko u nie istniejącego zresztą „dworu", ale w całym oświeconym narodzie amerykańskim, co wydał Walta Whitmana, a wydał go nie na śmierć głodową, lecz na radość światowej poezji i demokracji.

I dlatego na pytanie: *How do you like America?*, zwykłem odpowiadać: „Jestem pisarzem". A ludzie domyślni rozumieją, co przez to chciałem powiedzieć.

II

Od Ameryki wymagamy na ogół więcej niż od nas samych. W ostatnich dziesiątkach lat spora część ludności Europy żyła w tak niezdrowych warunkach, iż Ameryka wydawała się najwyższym arbitrem moralnym na kuli ziemskiej. U europejskich miłośników fikcji, zwanej ziemską sprawiedliwością, symbolami tej sprawiedliwości byli niejednokrotnie prezydenci Stanów Zjednoczonych. Ilekroć na starym lądzie działo się coś niedobrego, gdy ucisk zdobywał sankcję prawa, wielu pokrzywdzonych oglądało się w stronę statui Wolności na Bedloe Island i mówiło: „Co na to Ameryka powie?". Ameryka była też tą daleką instancją, przed którą wstydzili się ludzie odpowiedzialni za sumienie swych społeczeństw. Niewątpliwie tę wysoką rangę zawdzięcza Ameryka

zdobyczom demokracji, wywalczonym w czasie wojny domowej. Wspaniała postać Abrahama Lincolna zasługuje na podziw całej ludzkości, godnej swobody. *Noblesse oblige!* I dlatego wszystko, co w tym kraju pozostawia do życzenia, uderza nas z większą siłą, niż w Europie, gdzie pesymizm był niejednokrotnie obowiązującą filozofią życia, a niewiara fundamentem wiary.

Tutaj wzniosłe hasła brało się *à la lettre* i dlatego można tu zauważyć duże zaufanie nie tylko do litery prawa, ale i do wszystkich instytucji opartych na prawie. Stany Zjednoczone, o ile zdołałem zaobserwować, są chyba najmniej policyjnym krajem w świecie. Życie narodu jest minimalnie krępowane. W tak olbrzymim mieście jak Nowy Jork prawie nie widać urzędów. Rejestracja do wojska odbywa się w szkołach, a w urzędach pocztowych składa się zeznania podatkowe i zapisuje wrogich cudzoziemców.

Nasza europejska urbanistyka chlubi się wielką ilością monumentalnych budowli, poświęconych utrapieniu człowieka pod względem fizycznym, moralnym i materialnym. Umowa społeczna, oparta na wolnej i przeważnie dobrej woli zarówno administracji jak i „stron" nie sprzyja rozwojowi budownictwa świeckiego. Czyni miasta mniej malowniczymi, ale za to umila życie obywatela.

Mimo to błędne byłoby mniemanie, że jesteśmy w raju. Opinię raju urobili Ameryce ludzie, dla których życie gdzie indziej było przeważnie piekłem. Należę do tych, którym cały świat przed wrześniem 1939 wydawał się czyśćcem i dlatego nie mam do Ameryki pretensji o to, że nie jest rajem, a do Amerykanów, że nie są aniołami. Jest wprawdzie miasto Los Angeles, w którego pobliżu skoncentrowano kobiety piękne jak anioły, ale uczynił to nie Pan Bóg, lecz przemysł filmowy. Anioły z Hollywood występują zresztą najczęściej w roli diablic.

Czyściec europejski idzie tutaj za nami i oby nim pozostał po kres wszystkich dni. Nie tak daleki, jak się zdaje.

W czasie pierwszej wojny światowej uważaliśmy Amerykę za coś w rodzaju *deus ex machina*. Za bóstwo, które w momencie decydującym wkroczy na teatrum wojny i przechyli szalę wypadków na naszą korzyść. Rzeczywiście akcja prezydenta Wilsona i pojawienie się korpusu ekspedycyjnego na froncie francuskim były jak gdyby interwencją wyższych, nadprzyrodzonych mocy. O taką interwencję błagał Amerykę premier Francji, Paul Reynaud, w pamiętnym końcu czerwca 1940. Miał przed zapłakanymi oczami wizję Ameryki wszechmocnej, miłosiernej, szlachetnej, nietykalnej i nieśmiertelnej jak bóstwo, jak *deus ex machina*.

Dzisiaj Ameryka sama znalazła się w wojnie o swój byt. Nadszedł moment, kiedy *deus ex machina* sam został zaatakowany i przeszedł do roli pierwszego protagonisty. Ta ludzka rola zbliżyła Amerykę z resztą świata, więcej: przyczyniła się do zbawiennego zespolenia całego świata, w którym człowiek nie zrzekł się jeszcze ani praw boskich ani zdrowego rozsądku. Piękną rolę ma do odegrania Ameryka w tej tragedii, w której działa nie jako bóstwo, lecz jako człowiek wśród ludzi.

III

Przejdźmy jednak do spraw mniej patetycznych. Jak każdy Europejczyk miałem i ja w Europie mylne wyobrażenie o Ameryce. Wydawało mi się, że zastanę jeśli nie raj, to mały edenik, w którym na miejscu drzewa poznania rosną wspaniałe warsztaty mechaniczne. Jeszcze w Lizbonie, myślałem, że co drugi człowiek musi być tutaj znakomitym rzemieślnikiem, rozmiłowanym w majstrowaniu. Grubo się zawiodłem. Naprawa zegarka trwa tu przeciętnie trzy miesiące i w większości wypadków kończy się odebraniem zegarka zepsutego. Myślałem, że tu, gdzie wyrabia się tyle przedmiotów użyteczności codziennej, przedmioty te będą w lepszym gatunku, niż u nas. Niestety — w tym klimacie wszystko psuje się szybciej, a co się tyczy naprawy np. instalacji wodnych w mieszkaniu, kaloryferów itp. przekonałem się, że tzw. panowie „plumberzy" są tylko na pozór specjalistami od tych rzeczy. Leczyli moje przypadłości cielesne np. chorą wątrobę, usiłowali również leczyć moją duszę oraz pozostałe organy. Kaloryferów jednak nie udało im się naprawić przez długie tygodnie, w których miałem zaszczyt (zresztą nie na mój koszt) widywać tych panów niemal codziennie. Gdy kupiłem sobie ołówek za 49 centów, już nazajutrz zaciął się i był do niczego. Sprzedawca, do którego udałem się z prośbą o naprawę, wielokrotnie powtarzał w tonacji crescendo: *It is a good pencil!* — aż wpadł w gniew i omal nie wyrzucił mnie za drzwi. Wiele czasu upłynęło, nim zrozumiałem, że zadaniem tego ołówka wcale nie było spisywanie mych arcydzieł, lecz najszybsze zepsucie się, w interesie jego fabrykanta. To samo było z instalacjami w moim domu, który nie grzeszył ani nowością, ani drożyzną. Dom był stary i takież były jego urządzenia. Należało go zatem zburzyć, a kto jest romantykiem, przywiązanym do starzyzny i taniości, niech ginie razem z tandetą. Tu się produkuje,

a nie konserwuje. Tu trupów się nie galwanizuje, lecz co najwyżej balsamuje w popularnych zakładach rozrywkowych, zwanych „Funeral Home". O tych zakładach pozwolę sobie jeszcze pomówić. Na dziś pragnąłbym zaznaczyć, że sam się już psuję i obawiam się, że mnie tu nikt nie naprawi i podzielę los mojego ołówka. Wiadomo przecież: jestem produktem tanim, chociaż nie seryjnym. *I am a good pencil!*

Wszystko, co w tym kraju przeżywam, pełne jest sprzeczności i paradoksów, jak zresztą wszędzie w moim życiu. Ilekroć w Europie wyobrażałem sobie moje amerykańskie mieszkanie, widziałem siebie co najmniej na 30-tym piętrze. Rzeczywistość — jak do tej pory — wygląda zgoła inaczej. Pierwsza moja kwatera w Nowym Jorku mieściła się na parterze, druga — co prawda już poza Nowym Jorkiem — na pierwszym piętrze, a obecnie zawansowałem aż na drugie piętro. Nie tracę jednak nadziei. Jeżeli wojna ciągnąć się będzie dalej w tempie aliantów, to trumna z moimi doczesnymi szczątkami może zjechać windą z trzydziestego piętra, licząc optymistycznie, a skromnie: każdy rok życia o jedno piętro wyżej.

Skoro już jesteśmy przy tych smutnych sprawach, poświęćmy parę słów obserwacjom na temat tutejszej śmierci i stosunku do niej. Na ulicach Nowego Jorku nie spotkałem dotąd ani jednej osoby w żałobie. Zdaje się, że strój żałobny nie jest tu przyjęty ani u kobiet, ani u mężczyzn. Byłażby to nadmierna wstydliwość uczuć, niechęć do ostentacji, zabraniająca rodzinie zmarłego afiszowania żałoby? Lub raczej wzgląd na obce i obojętne otoczenie, któremu nie należy mącić *good time*'u i *keep smiling*'u? *Keep smiling* został tu wyniesiony na zawrotne szczyty perfekcji i zdaje się obowiązywać w każdej okoliczności życia tudzież śmierci. Natrafiamy w pismach na fotografie wdów po bohaterach wojennych: twarze opromienione tak czarującym uśmiechem, iż ktoś kto nie zna języka angielskiego i nie wie, o co chodzi, mógłby je wziąć za reklamę pasty do zębów. Z drugiej jednak strony daje się zauważyć pewna delektacja pogrzebami, oczywiście też w ramach *good time*'u i *keep smiling*'u. Pogrzebowość, że tak określimy tę gałąź użyteczności publicznej, zdaje się należeć w pewnych sferach do przyjemności życiowych. Również Polonia amerykańska szczyci się sporym kontyngentem entuzjastów zakładów pogrzebowych. Tłumaczy się to zapewne tym, że większość tych ludzi przyszło na świat w tak nędznych warunkach, iż pragnie go przynajmniej opuścić w przepychu i blasku. Świadczyłyby o tym liczne w pismach polskich, a szumne ogłoszenia „pogrzebowych" i „balsamatorów" oraz triumfalne zapowiedzi o otwarciu gościnnych podwoi każdego nowego zakładu. O jednym z takich

faktów czytaliśmy przed rokiem cały esej. M.in. esseista stwierdzał, iż nowootworzony „Funeral Home", którego właścicielką jest Polka, stanowi „cenną zdobycz dla miejscowego interesu i jest jeszcze jednym dowodem wielkiej żywotności obywateli ogólno słowiańskiego pochodzenia i świadczy wymownie, iż rasa słowiańska coraz bardziej wypycha w tył inne narodowości, zajmując należną jej od dawna, chlubną i czołową rolę w życiu publicznym".

Nie dawno zaś pewien młody rodak uzyskał dyplom balsamatora. Po ukończeniu przekładu Odyssei nie otrzymałem nawet połowy tylu życzeń, jakkolwiek też trochę się przyczyniłem do pogrzebania Homera w Polsce. A co się tyczy bankietu, jaki mi koledzy z P.E.N.-Klubu wyprawili w warszawskim hotelu Bristol z okazji nagrodzenia tego przekładu, lepiej nie wspominać o nim, bo w tej chwili przebywają w Nowym Jorku dwaj uczestnicy bankietu, z których jeden (nie będę niedyskretny i nie wymienię nazwiska Kazia Wierzyńskiego) był nawet członkiem zarządu P.E.N.-Klubu. W każdym razie wyobrażam sobie bankiet na cześć balsamatora o wiele... Ale nie bądźmy zazdrośni i małoduszni i przejdźmy do tematów pogodniejszych, w sensie staroeuropejskim.

Ulubieńcem publiczności wszystkich płci, stanów, wiar i kolorów skóry, jest tutaj stworzenie mityczne, często, (jak np. w moim wypadku) nieuchwytne, a zielone jak sama nadzieja i jak chorągiew Mahometa. W samym Nowym Jorku ma ono większą ilość wspaniałych świątyń, osobliwie w okolicach Wall Street, gdzie odbywają się dostępne tylko dla wtajemniczonych misteria przelewów i „endorsementów". Co do pojęcia „przelew", mam wrażenie, że od niego pochodzi, częsty w języku polskim zwrot: „u mnie się nie przelewa". Ale i niejedną krew przelewano w imię mitycznej zieleni. Jest ona snem nocy letnich, jesiennych, zimowych, wiosennych wielomilionowych rzesz, a fałszywe i zgoła obłudne byłoby mniemanie, że stanowi specjalność jedynie amerykańską. Błogość tego snu zależy nie tyle od jakości, ile od ilości. Kojarzy się zaś jego wartość przeważnie z zaimkiem dzierżawczym. Czyli, że jest zgoła czym innym w połączeniu z zaimkiem „mój", a najzgolej czym innym z zaimkiem „twój". W ciągu roku sprawozdawczego poznałem ludzi, którzy obojętnie słuchali wiadomości radiowych o zatopieniu okrętów, o pójściu na dno oceanu tysięcy żywych ludzi, zaczynali natomiast wzdychać i jęczeć, gdy przy tych katastrofach pojawiały się cyfry w połączeniu z imieniem zielonego bóstwa. Ze strachu, żeby go nie urazić, ze strachu, żeby się ode mnie nie odwróciło, wolę nie wzywać nadaremno tego wielkiego imienia. Niechaj łaskawy czytelnik sam je odgadnie.

IV

Przenieśmy się teraz ze sfery mitologii w sielankową dziedzinę niewinności. Szkoła. Nie przyjechałem tutaj sam, lecz z rodziną, której najmłodsza latorośl obowiązana jest do czerpania z kastalskich źródeł wiedzy. Dziecię to, w swej krótkiej spódniczce i jeszcze krótszej karierze naukowej miało sposobność korzystania ze światła w szkołach najrozmaitszych. Najpierw przez parę tygodni chadzało do szkoły polskiej w skrwawionej, zbombardowanej, wyziębionej i pognębionej Warszawie pod niemiecką okupacją. Zacna to była szkoła i zacna była ta „pani", która śpiewała z dziećmi pod okiem Gestapo polskie pieśni. Niechaj Bóg miłosierny da jej moc przetrzymania lat niedoli, a ty, dziecinko, nie zapomnij nigdy piosenek, które twego ojca do łez wzruszają! Następnie, po wielomiesięcznej przerwie, bo Niemcy zamknęli szkołę, i po długich, bardzo pouczających podróżach, uczęszczała moja córka aż do dwóch szkół powszechnych we Francji. Uczono tam wielu rzeczy mądrych i trudnych. Francuski powszechniak jest pepinierą przyszłych humanistów, a panują w nim metody starodawne. Po dziś dzień mam w uszach chóralne skandowanie tabliczki mnożenia w szkole mojej córki w Biarritz, potem po długich i jeszcze bardziej pouczających podróżach przyszła szkoła amerykańska. Było ich aż trzy, a to dzięki ojcowskiej pasji częstych zmian miejsca zamieszkania. Jeżeli szkoła polska w okupowanej Warszawie urabiała serca, a francuska — umysł, to szkoła amerykańska uczy radości życia. Do żadnej z tylu szkół nie chodziło moje dziecko z taką przyjemnością, jak w Nowym Jorku, w Nayacku i obecnie w Riverdale. A o wspaniałościach warunków w tych szkołach też lepiej nie mówić z uwagi na to, że przebywają teraz w Stanach Zjednoczonych dwaj byli polscy ministrowie Oświaty. Krótko mówiąc: szkoła amerykańska jest szczęściem dla dziecka. Dziecko wraca z niej do domu roześmiane, rozbawione, a nigdy upokorzone. Na wspomnienie szkoły, do której sam kiedyś chadzałem w ukochanym, niezapomnianym Lwowie, przechodzą mnie ciarki jeszcze tu, w Riverdale. Polska ta szkoła, pod austriackim zaborem, sąsiadowała z kryminałem policyjnym, zwanym po lwowsku „furdygarnią". Byliśmy, uczniowie, głęboko przekonani, że ta szkoła jest departamentem furdygarni dla nieletnich. Mentorem naszym był pewien starszy sadysta i alkoholik, przy tym — kaleka. Znęcał się nad nami jakbyśmy byli nie gośćmi z furdygarni, lecz z pobliskiego ciężkiego więzienia, ze słynnych „Brygidek".

Jeżeli, drodzy przyjaciele, zauważyliście u mnie jakieś cechy

nerwowości, pomyślcie, w jakiej szkole się chowałem: między furdygarnią i Brygidkami. Sama św. Anna, pod której wezwaniem była nasza szkoła, nieraz chyba płakała razem z nami, gdy nauczyciel wykonywał swe egzekucje grubą trzciną, która pod koniec miesiąca szła w strzępy od regularnego i nader wydatnego używania. Co pierwszy każdego miesiąca sadysta i alkoholik posyłał klasowego lizusa po nową trzcinę do sklepiku naprzeciw. Kupował je nie z funduszów szkoły, lecz z własnych; tak bardzo lubił bicie.

Gdy myślę o mojej nauce w szkole św. Anny i patrzę na moje dziecko wracające do domu z tej samej czwartej klasy, w której ja wówczas byłem, razem z moją córką śpiewam *God bless America* i żałuję, że nie mogę już być jej kolegą. Oto — głębokie źródło *Keep smiling*'u. Tam, gdzie dają dzieciom pogodne dzieciństwo, uśmiech i śmiech towarzyszą im potem przez całe życie, choćby to życie nie było — jak się u nas mówi — usłane różami. Myśmy z naszych galicyjskich szkół wynosili nie tylko znajomość tabliczki mnożenia, ale często i neurastenię, a niekiedy jeszcze skłonność do kłamstwa, do oszukiwania oraz rozliczne „fobie". Ze szkoły amerykańskiej, jak dotąd zaobserwowałem, wychodzą dzieci bez lęków, uczciwe i prawdomówne. Stanowczo za wiele łez lało się w moim świecie dziecinnym, a te łzy niejednokrotnie wykrzywiały obraz świata — na całe życie. W polskiej szkole, w okresie niepodległości było już inaczej. U tej samej św. Anny we Lwowie uczyli już nowi ludzie, lepiej wykształceni i lepiej płatni, niż za moich czasów. I o innym nastawieniu do pedagogicznego powołania. To prawda, ale mówię o szkole, do której chodziłem i porównywam ją z amerykańską szkołą mego dziecka, dla której nie mam słów wdzięczności.

V

Na zakończenie tych luźnych, arcyluźnych uwag i spostrzeżeń, godzi się pisarzowi wspomnieć o współczesnej literaturze kraju, który jest dziś obok Anglii ostatnim chyba przytułkiem wolnej, żadnymi oficjalnymi nakazami nieskrępowanej twórczości.

Literaturę amerykańską znam niestety jedynie z przekładów, a więc tylko z tego, co przypadło do smaku tzw. Europie zachodniej i kontynentalnej. Smak ten w licznych wypadkach spotykał się ze smakiem amerykańskim, owszem, ale z własnych doświadczeń wiemy, iż każdy naród uprawia przede wszystkim

twórczość, dostępną tylko w granicach narodowej wrażliwości. Zapewne i Ameryka ma swego Wyspiańskiego, który, podobnie jak nasz — w każdym tłumaczeniu wychodzi pomniejszony i rozśmiesza cudzoziemca tam, gdzie my zwykliśmy zalewać się łzami. Tak tedy olbrzymia dziedzina przebogatej twórczości amerykańskiej musi pozostać obca tym, którzy nie znają języka angielskiego i nie orientują się w historii oraz regionalizmach tego kraju.

To, co u nas w Europie nazywało się „życiem literackim" — tutaj zdaje się toczyć na bocznych torach i nie wpływa na zasadniczy nurt życia społecznego. Istnieją tu olbrzymie wydawnictwa, wychodzi mnóstwo poważnych czasopism, poświęconych literaturze i związanym z nią zagadnieniom, ale najlepsze z nich mało są znane szerokiej publiczności, pożerającej „magazyny", tygodniki oraz książki, zaawansowane do rangi *bestseller*'ów, czyli jedyne książki, które się kupuje. Inne książki, wydawane setkami miesięcznie, jako towar księgarski prawie wcale nie wchodzą w rachubę, a istnieją tylko dzięki wielkiej ilości bibliotek, szkół, klubów i dziwaków. Czasopisma literackie wychodzą przeważnie na prowincji, jako wydawnictwa uniwersytetów, np. bardzo poważna „Virginia Quarterly Review", „The Yale University Magazine", „Books Abroad", kwartalnik znakomity, wydawany w uniwersytecie stanu Oklahoma. W Nowym Jorku największe znaczenie ma „The Saturday Review of Literature", tygodnik, bardzo zresztą skromny. Szeroki ogół na terenie New Jorku otrzymuje co tydzień standaryzowane sprawozdania z bieżącego ruchu wydawniczego w postaci gratisowych dodatków literackich do niedzielnego „N.Y. Times'a" i „N.Y. Herald Tribune". Już choćby z lektury tych dodatków można się przekonać, jak rozległa jest współczesna produkcja książek w kraju o 130 milionach ludności, wolnej od analfabetów. I można się również przekonać, że największym powodzeniem cieszą się obecnie malowidła na tematy zaczerpnięte z historii Stanów Zjednoczonych, tudzież powieści regionalne. Jednakże i rodzaj „ogólnoludzki", eksportowany do Europy, jest niesłychanie bogaty i ciekawy. Zwłaszcza ostatnie dwudziestolecie może pochlubić się szeregiem naprawdę znakomitych autorów, jak: Eugene O'Neill, Sherwood Anderson, Sinclair Lewis, Thornton Wilder, John Dos Passos, Ernest Hemingway, William Faulkner, Erskine Caldwell, John Erskine, John Steinbeck i inni. Autorzy ci dokonali wielu doniosłych odkryć literackich, zwłaszcza w dziedzinie prozy beletrystycznej. Nieobciążeni konwencjonalizmem są oni niejednokrotnie pionierami w dziewiczych puszczach życia duchowego, tak jak przodkowie ich byli pionierami w sensie fizycznym. Obok śmiałych

nowatorów jak Dos Passos lub Faulkner widzimy tu Thorntona Wildera, mistrza opowieści w najlepszym stylu francuskim. Dyskretny humanizm tego pisarza i wyrafinowana prostota wyrazu jest jeszcze jednym z wielu przykładów, iż znajdujemy się w świecie pełnym niespodzianek i paradoksów i winniśmy wystrzegać się uogólnień. A obok Wildera żywiołowy, niepohamowany Dos Passos i anatolofransowski John Erskine. Jeżeli zważymy, że w krótkich stosunkowo odstępach czasu trzech pisarzy amerykańskich otrzymało nagrodę Nobla (O'Neill, Sinclair Lewis i Pearl Buck) już choćby to powinno nas skłonić do uznania współczesnej literatury amerykańskiej za jedną z najoryginalniejszych i najżywotniejszych w świecie.

O'Neilla uważam za najwybitniejszego obok Shaw'a i Maeterlincka, żyjącego autora scenicznego — przynajmniej w świecie naszej tzw. zachodniej cywilizacji. Twórczość jego niestety była w Polsce prawie nieznana. Osiągnęliśmy tam w ciągu ostatnich lat piętnastu w dziedzinie teatru naprawdę wysoki poziom — zacofania. A to dzięki najrozmaitszym cenzurom, które nie dopuszczały na scenę żadnej śmielszej myśli społecznej, filozoficznej i religijnej. (Pewien młody poeta polski napisał przed samą wojną ciekawy utwór pt. „Antygona". Utwór ten miał być grany w znakomitym teatrze „Ateneum", prowadzonym przez jednego z najgenialniejszych aktorów Europy, jakim był niewątpliwie Stefan Jaracz, dziś ofiara niemieckich obozów koncentracyjnych. „Antygonę" tę w całości skreślił jeden z licznych cenzorów warszawskich, dopatrując się w niej aktualnych aluzji).

Tak więc, rozporządzając wspaniałym materiałem aktorskim, reżyserskim i dekoracyjnym — teatr polski musiał pominąć O'Neilla. Zdaje mi się, że tylko jedna „nieszkodliwa" i słabiutka sztuka tego wielkiego dramatopisarza była grana w Polsce: „Anna Christie" — oczywiście bez powodzenia. Ani „Kosmata małpa", ani „Cesarz Jones" ani sztuki murzyńskie, jak: „Wszystkie dzieci Boga mają skrzydła" ani „Wielki bóg Brown" ani nawet niezwykle oryginalne misterium na miarę „Peer Gynta" — „Strange Interlude" nie były w Polsce wystawione. Jaracz palił się do „Kosmatej małpy", jakby specjalnie dla niego napisanej, był jednak bezsilny wobec strachu dyrekcyjnego przed cenzurą. Ten strach był aż nazbyt u nas pospolitym hamulcem rozwoju życia umysłowego w szerokich masach społeczeństwa i rykoszetem działał na samych twórców i artystów, którzy w końcu przyzwyczaili się do nietykania spraw „drażliwych", zapominając, że tylko sprawy drażliwe ożywiają życie umysłowe. Od tego strachu na szczęście wolna jest twórczość narodów anglosaskich, wśród których spędzamy smutny okres naszego wygnania. Tą

wolnością od lęku myślenia winniśmy wszyscy zarazić się i tu i w Anglii. Gdy będzie nam kiedyś dane wrócić do Polski, kto wie, czy tam nie zażądają od nas zastosowania metod, których powinniśmy byli się wyuczyć w Ameryce, metod swobodnego wypowiadania tego, co o świecie mamy do powiedzenia. Metody te zostały w Ameryce doprowadzone niemal do doskonałości dzięki ciążącym na każdym pracowniku słowa obowiązkowi szczerości jeśli nie odwagi.

Wezwaniem do swobody naszych mózgów i sumień na wzór amerykański kończę te pobieżne uwagi. Siebie zaś wzywam do dokładniejszego poznania kraju, którego zwycięstwo w tej wojnie będzie zwycięstwem nie tylko sił materialnych, ale i wolności.

1942

POD ZNAKIEM „KARTOFLI"

Może nie wszyscy Polacy, nawet ci, co zaliczają siebie do miłośników Mickiewicza, pamiętają jego młodzieńczy utwór pt. „Kartofla". Pisany w okresie grubo przedromantycznym, pod wpływem Voltaire'a utwór ten posiada wszelkie cechy wierszowanych rozpraw o charakterze dydaktycznym. Posługując się oryginalnym słownictwem z czasów nowogródzkiej szkoły, określa poeta „Kartoflę" jako „poemko we czterech pieśniach". Miał to więc być utwór duży i rozmiarami i wagą, utwór, gdzie elementy i motywy z mitologii klasycznej przeplatają się z pojęciami ze świata chrześcijańskiego. To, co z „Kartofli" posiadamy, dzięki Józefowi Kallenbachowi jest więcej niż łupiną, lubo tylko fragmentem kilkustronicowym. Zachował się również plan całości, z którego możemy sobie dokładnie uprzytomnić, o co Mickiewiczowi w „Kartofli" chodziło. Proszę nie myśleć, że miał to być poemat na wzór sielanek i bukolik, tak modnych w piśmiennictwie europejskim XVIII wieku. Przeciwnie: miała to być patetyczna, bohaterska i pouczająca opowieść o... odkryciu Ameryki. Z tej właśnie przyczyny wygrzebujemy dziś tę „Kartoflę" z popieliska zapomnienia i tendencyjnie podajemy ją nowej emigracji literackiej Polaków w Stanach Zjednoczonych. Przy tej sposobności pozwalamy sobie przypomnieć, że kartofle są pochodzenia amerykańskiego, o czym winni pamiętać nie tylko miłośnicy ziemniaków, ale również i miłośnicy wódki.

„Gdy poeta rośliny chwali i zaleca
Aż tu nagle kartofel odzywa się z pieca..."

Odzywa się z pieca i wskrzesza dzieje szaleńczej wyprawy morskiej Krzysztofa Kolumba. Gdy Kolumb ze swą galeoną znalazł się na pełnym morzu, obudził tą, niesłychaną w dziejach nawigacji, zuchwałością gniew samego Posejdona. Wiemy z „Odyssei",

że głównym zajęciem Posejdona czyli Neptuna było gniewanie się na żeglarzy. W „Kartofli" Neptun przypomina często zagniewanego Jehowę. Aliści w sprawę między Kolumbem a Neptunem wmieszało się niebo, pełne świętych Pańskich. I okazało się, że Kolumb ma w niebie więcej przeciwników niż zwolenników. Głównym jego obrońcą jest święty Dominik, zagorzałymi zaś wrogami są: święty Piotr, klucznik niebieski, oraz święty Stanisław Kostka, patron mojego c.k. VII gimnazjum we Lwowie. Święty Michał bezstronnie dzierży wagę. Niebieski sztab generalny, w swej większości przeciwny odkryciu Ameryki, kładzie na szalę poważne argumenty na niekorzyść Kolumba: krew niewinnie przelaną po odkryciu nowego kontynentu, krew tubylców. Święty Dominik atoli rzuca na drugą szalę argument chrztu tylu pogan oraz złoto i srebro. Argumenty strony przeciwnej są cięższe. Dopiero, gdy święty Dominik rzuca na szalę kartoflę, szala przechyla się decydująco na korzyść Kolumba. Okręt jego rusza w dalszą drogę i osiąga cel tudzież historyczną datę. Data ta winna być miła wszystkim szczęśliwym posiadaczom wiz emigracyjnych do Stanów Zjednoczonych. Dlatego, o Polacy amerykańscy, gdy jecie kartofle lub jak w swej dziwacznej a uroczej polszczyźnie pisał Mickiewicz: ziemlanki, wspomnijcie wielkiego wieszcza, który na początku swej chwalebnej działalności poetyckiej uczcił odkrywcę Nowego Świata. A was, drodzy koledzy, z tzw. niegdyś grupy „Skamandra", których w ten smutny czas dziejowych burz i nawałnic przywiozły okręty do ujścia Hudsonu, witam, jako o parę miesięcy starszy na tym lądzie przybysz, nie chlebem i nie solą, lecz Mickiewiczowską „Kartoflą". Ta „kartofla" niech stanie się naszym godłem pisarskim w Ameryce, której odkrycie wsławione zostało dziecinnym niemal jeszcze piórem największego poety polskiego. I wzywam was, koledzy, do założenia tu, w Nowym Jorku, polskiego klubu literackiego pod znakiem „Kartofli". Kaziu Wierzyński, Julku Tuwimie i Ty, wkrótce do nas przybywający Leszku — czyli Janie Lechoniu, niech was „Kartofla" błogosławi na tym gościnnym lądzie! Niech ona tutaj patronuje naszej pracy w polskim języku, którego czystości i rodzimego brzmienia musimy pilnować jak żandarmi. A kiedyś, gdy szczęśliwie powrócimy do ojczyzny, niech ta „Kartofla" zostanie drogocenną pamiątką z gościnnej ziemi, na której w swej botanicznej postaci po raz pierwszy została odkryta.

1941

STARA BIBUŁA

Janowi Lechoniowi

W jednym ze starych kajetów, które wlokę z sobą w tej tułaczce przez lądy i morza, leży zużyta, nieprzydatna, wielu atramentami przesiąknięta, gęstą bazgraniną nasycona — bibuła. Cierpliwie wzięła w siebie niejedną myśl przekreśloną, niejedną myśl poronioną, pokornie wchłonęła w swój negatyw niejeden „wzlot" młodej duszy, o której dzisiaj uwierzyć mi trudno, że była niegdyś — moja.

Czemuż w tych czasach wielkiej grozy, gdy świat się wali, gdy płoną już nie tylko lasy, ale całe kamienne metropolie, wspominam starą bibułę? Rupieć, którego nie mam serca — spalić?

Wszelka miłość własna lubuje się w pamiątkach, choćby i najbłahszych, jeśli zawierają ślad dawnego życia, jeżeli przechowują cząstkę minionej poufałości. Ale ta bibuła nie jest tylko pamiątką po dawnym życiu człowieka, który nią suszył swą pisaninę. Ten człowiek nigdy nie kochał się w sobie, mimo iż po dziś dzień podziwia obie wersje „Narcyza" Pawła Valéry. W tej bibule przechowuje on raczej żywe, aż boleśnie żywe wspomnienie pierwszej wizyty w mieście, które dla ludzi pewnego typu jest czymś więcej niż pięknym i starym miastem. W tej bibule jak gdyby zagnieździł się przed wielu laty — i rzekłbyś po dziś dzień siedzi ów jedyny zapach pewnej dzielnicy w owym mieście, dzielnicy, w której szczególnie skondensowała się uroda architektury i skupiły się wielkie nasilenia historii, legend i prawd, oraz zakłady, w których te prawdy głoszono.

Nie będzie grubą przesadą, a w każdym razie nie o wiele grubszą od tej bibuły, gdy powiem, iż skupia ona dla mnie wspomnienia nie tylko tego miasta i tej dzielnicy, tego placu i tych gmachów, ale wszystkiego, co mi raczyło objawić się wówczas, gdy ją kupowałem razem z kajetem. Niech ona sama powie, co ją czyni godną tego wspomnienia. To — wydrukowana na niej

nazwa firmy i adres i niejako stempel czasu. U góry czytamy: *Rentrée des classes, Octobre 1928.* A w poprzek, przez całą ćwiartkę bibuły: PAPETERIE DU PANTHEON, 9, rue Soufflot, PARIS (5).

Tak jest, ten zeszyt z bibułą kupiłem w połowie października 1928 r., w kilka dni po pierwszym przyjeździe do Paryża. Kupiłem ją w tym zaczarowanym punkcie cywilizowanego świata, zwanym: Górą św. Genowefy, la Montagne Ste Geneviève (Duhamel się kłania). Mieszkałem wówczas obok na placu Panteonu, w hoteliku o rozczulająco pretensjonalnej nazwie: „Des grands hommes". Jako przeciwwaga tych hotelowych nieśmiertelności, jako przypomnienie, iż droga do wiecznej chwały wiedzie przez śmierć, na parterze hotelu mieścił się zakład pogrzebowy. Jednakże stojąc w oknie mojego pokoiku na trzecim piętrze, nie widziałem trumien w oknie wystawowym tego zakładu. Widziałem tylko wspaniałe, klasyczne schody Panteonu, które zdawały się prowadzić nie do grobowych przybytków wielkich duchów Francji, którym ona tutaj gwarantowała nieśmiertelność, lecz do samych żywych krynic francuskiego piękna, francuskiej mądrości i francuskiej cnoty. Jeszcze dziś bije serce na wspomnienie owych pięknych październikowych dni pięknego roku 1928, owej liliowej mgły jesiennej, w której uczniowie szkoły Ste Barbe wracali z wakacji na nowy rok szkolny, a ja, łysy już nieco sztubak, zaczynałem stawiać pierwsze kroki w nauce francuskiej kultury. Pod moimi oknami stał pomnik Jana Jakuba Rousseau. Nigdy nie byłem wielbicielem tego genialnego ekshibicjonisty i pragnąłem raczej, żeby się zamienił z swoim brązowym kolegą po drugiej stronie Panteonu, z Corneille'em. Tak, w owym czasie, gdy moja bibuła była jeszcze dziewiczo czysta, sam czułem się jak szczęśliwa oblubienica w dniu zaślubin. Bo też rozpoczynały się wówczas moje miodowe lata, lata upojeń francuską mową, francuską myślą, francuskimi czarami.

Walery Briusow nazwał wspomnienie — skrzydlatym demonem. Wiele takich demonów bije skrzydłami w nasze wygnańcze noce: temu demon wyfruwa z fotografii, tamtemu z książki, innemu z ryciny, a mnie — ze starej bibuły kupionej tam, gdzie *aux grand hommes* ofiarowuje groby *la patrie réconnaissante.* Nostalgiczne dreszcze budzi to wspomnienie ulicy Soufflot i kolumn Panteonu i wszystkiego, co się z nimi kojarzy, a co — daj święta Genowefo! — niechaj jeszcze wróci.

Chociaż — już nigdy w Paryżu nie będę pierwszy raz.

1942

NOVI EBORACI

Cóż to za łacina? Brzmi jak nazwa encykliki papieskiej, lub wydanego na soborze dekretu. A widnieje nie tylko na sigillach kurii arcybiskupiej, ale i na pieczęciach i dokumentach wielu świeckich instytucyj Nowego Jorku, przeważnie — szkół akademickich, na ekslibrysach, na publikacjach naukowych. Bo Novum Eboracum — to po prostu Nowy Jork. Czyżby istniał już za czasów rzymskich, lub w średniowieczu? Na razie nic nam o tym nie wiadomo. Winston zaś Churchill dopiero po zakończeniu drugiej wojny światowej nazwał Stany Zjednoczone nowym imperium rzymskim. Miał chyba na myśli przyszłość, jeśli w ogóle miał na myśli co innego, niż grubsze dla Anglii dolary. Nas jednakże obchodzi teraźniejszość. W jej świetle — Novum Eboracum to nie tylko łacińska nazwa młodego, chociaż, jak na gust nasz, dosyć już wyrośniętego miasta, które przebiegły Holender Pieter Minuit kupił w r. 1626 u Indian z plemienia Irokezów, płacąc za całą wyspę Manhattan wyrobami włókienniczymi wartości 24 (dwudziestu czterech) dolarów. Za taką cenę Nowy Jork nie mógł długo być w Nowych Niederlandach Nowym Amsterdamem, już w r. 1664 przeszedł pod berło angielskiego króla jegomości, Karola II. I nawet nie przydał się Holendrom wał obronny, po którym została tylko miła dolarom nazwa: Wall Street.

Od starych, angielskich Yorków zapożyczona nazwa Novum Eboracum — to raczej znamię solidarności z tzw. cywilizacją, która swe wątłe blaski i coraz świetniejsze nędze dumnie wywodzi z masy spadkowej po Imperium Romanum. Toga praetexta okrywająca naszą nagość jest kupiona na licytacji i czuć ją pralnią chemiczną. Ale nawet w Hollywoodzie nie przestała być togą. A język łaciński nie przestał być łaciną nawet w tutejszych podręcznikach dla młodych dziewcząt, gdzie jedno z pierwszych ćwiczeń zawiera zdanie: *Nauta puellam expectat.* Marynarz czeka

na dziewczynę. Podręcznik ten obowiązywał i pewno dalej obowiązuje w jednej z najlepszych szkół Nowego Jorku, w której córka niżej podpisanego pobierała początkowe nauki „wyzwolone". Jest to szkoła klasztorna. Całe ciało pedagogiczne chadza tam w habitach. Ale nawet czcigodne siostry zakonne Novi Eboraci są bezsilne wobec potężnej, zgoła świeckiej instytucji, zwanej *date,* po naszemu: randka. A że w tych datach celują młodzi majtkowie floty U.S., zarówno wojennej, jak i handlowej, więc nic dziwnego, iż przypadło im tak poczesne miejsce w podręczniku łaciny dla ich potencjalnych partnerek. U nas miejsce to zajmowały: *Rosa est planta* — oraz: *Forma terrae est rotunda.* Co kraj, to obyczaj. Starsza połowa okrągłej ziemi słała młodzieży drogę życia komunałami o różach. Młodsza — jest pragmatystką, i w sposób najlepiej zrozumiały tłumaczy nieletnim łacinniczkom horacjuszowskie: *utile dulci.*

Łacina! Kraina czarów dostępna co prawda w dojrzalszym wieku, kiedy to *nauta,* stary, artretyczny wilk morski *non puellam sed vitam aeternam expectat.* Łacina, pocieszycielka spragnionych jasnej myśli i foremnie ciosanych zdań. *Magna mater* ludzkiej roztropności w świecie, którym rządzi abrakadabra. Sterniczka szalup, w których, rozbitkowie, płyniemy ku naszym Acherontom. Niekruszejąca skała w świecie, gdzie wszystko jest kruche. Na takiej skale słodko jest nawet rozbić sobie głowę.

Nie opuszczała nas łacina na szlakach wojennego tułactwa. Ani w Galli, podzielonej *in partes duo:* na okupowaną i nieokupowaną. Ani w Hiszpanii, ani w Lusitanii. Wszędzie biegła przed nami torując drogę. Jednym — do życia, do chwały, do Ameryki, innym — do kryminału, do obozu, do zagłady. Świeciła nam w zaciemnioej gwoli *Défense passive* — Lutetiae Parisiorum (ach, *fluctuat nec mergitur* chociażby dalszych 2000 lat!), migotała jak świeca u wezgłowia konającego w black-outowanej Marsylii, Massiliae Phoceorum, w tychże Focejczyków Nicei, w kraju hardych Basków, i w neutralnej, lecz słabo oświetlonej Caesareae Augustae nad rzeką Iberus, czyli w Saragossie nad Ebro. Najbardziej pożyteczna okazała się w Felicitas Julia, to jest w Lizbonie. Temu przyjemnemu miastu zafundowała legenda jeszcze piękniejszą nazwę: Olisipo, albo Ulisipo. Miał je bowiem założyć w czasie swych morskich wędrówek nasz stary i wypróbowany przyjaciel: Ulisses *(Uxor fidelis nautam expectat!).* Z wszystkich tzw. romańskich języków najbliższy łaciny wydał nam się właśnie portugalski). Pisany, nie — mówiony, gdyż w ustach Portugalczyka dźwięczy on mocno z arabska, choć mniej w nim charczenia niż w hiszpańskim. Sporo też brzmień chińskich pokutuje w lizbońskiej mowie: takie to trwałe pamiątki przywieźli sobie z dalekich

podróży nieustraszeni żeglarze, odkrywcy nieznanych lądów. Ilekroć nam w Portugalii brakło tubylczych słów, sięgaliśmy na chybił trafił po okruchy cycerońskiej łaciny, którą nam w tępy łep wbijali zacni belfrzy w przedpotopowych czasach, w przedpotopowym mieście Leopolis *(semper fidelis)*.

Tak, tak Gerwazeńku. Łacina — to szczepionka, którą otrzymaliśmy w dzieciństwie, nie wiedząc, czy, kiedy i przeciw jakiej przyda się nam zarazie. Szczepionka — powiedzmy przeciw zdziczeniu. Podobno niektórzy oficerowie S.S. zatrudnieni w obozach eksterminacyjnych, w chwilach wolnych od zajęć czytali sobie liryki Catulla, Tibulla i Propercjusza.

Lecz wróćmy do czasów przedpotopowych. W czasach, poprzedzających generalną próbę potopu, a więc przed r. 1914, w tym, jak dziś niektórym ludziom się majaczy — złotym wieku ludzkości, nie mógł w galicyjskich miastach i miasteczkach „rekomendować" listów na poczcie, ani nadawać depesz, ani podatków ściągać z bliźnich człowiek, który nie czytał w oryginale liryków, epików i prozaików rzymskich, a także epików, tragików i filozofów greckich. Takie były to czasy! W zamian za godność cesarsko-królewskiego urzędnika o nader skromnym uposażeniu musiał biedak najpiękniejsze lata swego życia ofiarowywać Państwu które nękało go Owidiuszem, Wergilim, Horacym, Liwiuszem i Tacytem, a nadto — Homerem, Xenofontem, Platonem i *last but not least* — Sofoklesem. Takie Państwo chlubiło się przynależnością do kultury zachodniej i nieraz w jej imieniu knuło ludobójcze intrygi przeciw innym Państwom, które chlubiły się mniej więcej tym samym. *Disce puer latine* — mówiło Państwo synom ubogich mieszczan, wyrobników, sklepikarzy, a szczególnie synom wieśniaków — *ego te łaciam mości panie*. *Mości panie* kapitanie, panie podoficjale, panie nadkomisarzu, panie radco. Tak mówiło Państwo. Był to bowiem nasz złoty wiek ludzkości, aczkolwiek nieco różny od tego, o którym śpiewał Hezjod:

„Żyli ci ludzie jak bogi, beztroską radując się duszą,
Trudów i udręk nie znając: nie gnębił ich bezwład starości:
Zawsze do siebie podobni czerstwością ramion i kolan
Uczt używali bez końca, dalecy od wszelkiej niedoli"...[1]

Żyli atoli ludzie, którzy całą tę *auream aetatem* sprzed r. 1914 uważali za tzw. lipę. Jej złoto wydawało im się fałszywe.

1. Ten urywek z „Prac i dni" przełożył prawdopodobnie prof. Tadeusz Zieliński. Przytaczam go z jego książki „Z życia idei". Autor pominął przy tym urywku nazwisko tłumacza. Wszelkie inne tłumaczenia fragmentów poetyckich w niniejszym artykule — są moje. (J.W.).

Po prostu — tombak. Toteż odważniejsi biedacy, lub synowie biedaków z galicyjskich i nie tylko galicyjskich miast, miasteczek i wsi dzielnie opierali się syreniej melodii Państwa, nęcącego złotym kołnierzem lub złotymi epoletami. Wytrwale natomiast ciułali guldeny czyli złote reńskie, potrzebne na sifkarty, a gdy ich dosyć naciułali, pakowali mizerne manatki i wsiadali do pociągów, które dowoziły ich do jednego z portów hanzeatyckich. Od Syren Homera znacznie milsze im były syreny parostatków linii Hamburg — Ameryka. Odszczepieńcy złotego wieku ludzkości schodzili w milczeniu pod pokłady czwartej klasy i dusili się tam tygodniami, aby wreszcie wylądować na placu Baterii — Novi Eboraci.

Tu zaczynała się nowa ziemia płynąca mlekiem skondensowanym i pasteuryzowanym oraz sztucznym miodem. Ziemia obiecana wszystkim, co się zbuntowali przeciw swemu losowi. Wszystkim miłośnikom wolności, której z różnych przyczyn państwa Europy im odmawiały. Na szczęście: *terra est rotunda.* Karmi nadzieją nawet tych pasierbów swoich, którym Jules Vallès wypisał tę, tak drogą Maupassantowi dedykację:

A tous ceux, qui nourris de grec et de latin, sont morts de faim! (Tym wszystkim, co wykarmieni greką i łaciną — umarli z głodu). Głodnym, co tu przyjechali dla chleba, panie, dla chleba, starczyło do życia doczesnego akurat tyle łaciny, ile im jej doktor na recepcie wypisał, a do wiecznego — jeśli byli katolikami — tyle, ile wraz z przygarścią obcej ziemi rzucił im na trumnę ksiądz odprawiający egzekwie. Ale po co wspominać śmierć w Arkadii, gdzie się ją wstydliwie ukrywa? W tej Arkadii, zelektryfikowanej do znaku, gdzie nawet śmierć ma swoje salony kosmetyczne. Na tej ziemi nowego życia gdzie nie samym tylko chlebem człowiek żyje. I nie samym słowem — zdycha.

Chleb i słowo

Słowo, zwłaszcza żywe, nie jest w Novi Eboraci w dużej estymie. Używa się go najczęściej w celach zarobkowych. Rzec można, że słowo jest tu w niewoli u chleba. Wychodzi z ludzkich ust ubogie, koślawe, nieśpiewne, bez żadnych ozdób, do cna wyssane z wszelkich soków niby guma do żucia. Nie cieszy uszu, w które włazi jak natrętny owad, nie zaleca się wyobraźni. A jednak pełno w nim łaciny. I to nie tylko w ustach miliona już blisko rezydentów Nowego Jorku, których językiem ojczystym jest hiszpański, włoski lub portugalski. (Ostatnimi czasy ogromnie wzmógł się napływ wychodźców z ubogiego Porto-Rica i Meksy-

ku tak, iż o pewnych porach, np. po fajerancie cały niemal Broadway rozbrzmiewa metalicznym *staccato* białych, oliwkowych, czekoladowych i czarnych Amerykanów i Amerykanek „łacińskich". Przydaje to ciepła, blasku i koloru temu, i tak już dosyć egzotycznemu miastu).

Nie, Novi Eboraci nie okazują szacunku starym, uświęconym postaciom ludzkiej mowy. Każdy z tylu języków, które się tu słyszy — brzmi jak żargon danego języka. I nie tylko rozliczne slangi Manhattanu, Brooklynu i Bronxu, ale i „czysta" angielszczyzna, nawet drukowana, kłująca oczy z reklam i ogłoszeń, pełna jest takich dziwo-nowotworów jak: *super-duper, scissorfrenia* (zapewne jest to szał zachwytu, wywołany nadzwyczajnymi nożyczkami), *socialarium* (lokal, gdzie kwitnie płatne życie towarzyskie), *ritualarium* (żydowska kąpiel rytualna czyli mykwa), *aquatennial* — festiwal na wodzie. Wyraz złożony z *aqua* i z odwłoku słowa: *centennial)*. Ostatnią nowością repertuarową w jednym z popularnych teatrów nowojorskich jest widowisko pt. „Borscht-capades) (borscht — barszcz, capades — od słowa: eskapada). Wzdłuż wszystkich autostrad zapraszają podróżnika motele, czyli hotele dla motorzystów. Pewna wybitna musztarda parę razy dziennie zachwala przez radio swe smaki, jako tantalizing. Biedny Tantal. A może lepiej czuje się w amerykańskiej musztardzie, niż u Homera w Nekyi? W największych dziennikach ogłaszają się *classic shirts* i *dramatic dresses*. Niemal wszystko, co można kupić, jest *tremendous, stupendous, gorgeous*. Tak jak przy budowie wieży Babel jesteśmy świadkami masowego pomieszania nie tylko języków, ale i pojęć, proporcji, hierarchii. Patrzymy na dezintegrację wszystkiego, co w starym świecie Weimaru i Buchenwaldu, Forum Romanum i Fosse Ardeatine, Luwru i obozów koncetracyjnych, Pétaina i Lavala uchodziło za dobry smak w dziedzinie wysłowienia. Stanęliśmy jak gdyby na ostatecznym rozdrożu, gdzie trzeba wybierać albo piękny gest i piękne słowo — wraz z kryjącym się pod nim fałszem, obłudą i okrucieństwem, albo też za cenę wyrzeczenia się tych piękności przyjąć surową, kwakierską, niekiedy purytańską prawość — i ratować to, co w nas jeszcze jest do uratowania. Niejeden humanista z Europy, niejeden filolog klasyczny zawdzięcza życie oraz nowy warsztat pracy w Stanach Zjednoczonych — lekceważącym piękne języki i piękne formy „barbarzyńcom", którzy z narażeniem własnego życia wyciągali go z otchłani poniżenia, położonych nad Morzem Śródziemnym i po brzegi tego Morza przesiąkniętych łaciną. O tym, rozbitkowie, powinniśmy pamiętać, ilekroć Novi Eboraci razi nas brak łaciny, umiaru, form. I gdy narzekamy na brak duszy. Szerokie masy emigran-

tów chlebowych, wymieszanych w słynnym *melting-pot*'cie łatwo zatracają powaby swej ojczystej mowy. Jak gdyby sam smak dobrego chleba zabijał inne bardziej subtelne smaki. Ten kontrast narzuca się ze szczególną mocą, gdy w Nowym Jorku czytamy polskie książki o charakterze regionalnym. Np. „Komorników" Orkana. Prześliczna gwara, którą posługują się podhalańscy bohaterowie tej posępnej opowieści jest językiem głodomorów. Oni — ten język wyhodowali na jałowej, ugornej ziemi. Nieopodal Nowego Jorku w miejscowości Passaic żyje zapewne niejeden krewniak orkanowych komorników. Żyje, a nie — wegetuje. Ubiera się tak samo jak inni Amerykanie i jada tak samo jak oni. Porzucił swój barwny strój, w którym występuje czasem na uroczystościach, oszpecił swój piękny język i zgubił cały folklor. W tej uprzemysłowionej Arkadii nie ma już „ludu", a folklor białych wydaje się raczej sztuczny i anemiczny. W zamian za biały pszenny chleb, obfitą okraszony omastą — odbiera Ameryka biednemu emigrantowi z Europy wszystko, co dla postronnej publiczności stanowiło ongi jego urok. Odbiera mu gwarę, gasi pieśń. Nie czyni tego — broń Boże — umyślnie, z wyrachowaniem lub na złość, jak to w dawnej Europie było nieraz w zwyczaju „wyższych kulturalnie" nacji, korzystających z siły roboczej narodów „zacofanych". Na nowej ziemi odbywa się to automatycznie, bez żadnego nacisku i czasem nawet bez wiedzy emigranta, który przekłada tzw. „awans społeczny" nad piękno mowy i obyczaju.

Zniekształcony język ziemi obiecanej jest językiem sukcesu lub nadziei na sukces. W starym orkanowym języku śpiewa się gorzkie żale. I tylko łzy tych, którym tu się nie poszczęściło mają autentyczny smak ojczystego piołunu. Jeżeli jest prawdą, że to, co zwiemy ludzką duszą, najlepiej w cierpieniu się objawia, być może, iż człowiek biały roni tu swoją duszę, wypaca ją z siebie w tej ustawicznej ucieczce od cierpienia, w pogoni za szczęściem, będącej naczelnym przykazaniem w dekalogu tutejszego życia. Człowiek czarny — jak świadczą jego poezja i jego pieśń — dosyć głęboko jeszcze tkwi w cierpieniu i duszy swej nawet w tańcu nie wypocił. Cierpienie, porażka, klęska nie są tu w modzie. Jeden z największych hellenistów europejskich, wykładający w jednym z największych uniwersytetów amerykańskich, zapytał raz pewnego studenta, co myśli o Sokratesie. — Sokrates mnie nie interesuje — odparł student — ponieważ był to człowiek, któremu się nie powiodło. *(Because he was an unsuccesful man)*. Czy nie mógł znaleźć sobie lepszego zajęcia? — W świecie, gdzie sukces stał się miernikiem wszelkich wartości, a więc i moralnych, nawet Sokrates musi być oglądany z perspektywy odmien-

nej niż ta, do której nawykliśmy w starym świecie. Tam obok innych, łatwiejszych kultów, uprawiało się kult bohaterów, którym w *życiu* wybitnie się nie wiodło. Jak np. Prometeuszowi, o którym pomówimy innym razem, gdyż spotykamy go dość często w samym „sercu" Novi Eboraci. Owemu studentowi zaś trudno nie przyznać racji, że kariera życiowa Sokratesa skończyła się raczej fatalnie. Bądź co bądź cykuta — to nie coca-cola.

Skoro jesteśmy już przy napojach — wróćmy do chleba, panie, do chleba. Oprócz chleba zyskuje tu na ogół ubogi „lud" coś równie niezbędnego do życia, jak chleb. Delicje europejskiego humanizmu, którego upadku niżej podpisany nie przestaje opłakiwać, były wszak dostępne jeno cienkiej warstwie ludności, tzw. inteligencji. Wraz z gramatyką czy prozodią łacińską przesączał się humanizm — co tu ukrywać? — tylko w uprzywilejowane istoty. Głębsze zaś skutki obcowania z autorami antycznymi, oraz z ich naśladowcami wyczuwało się u nielicznych zaledwie jednostek. Przynajmniej u nas, w województwie lwowskim. Bo to, że nieśmiertelny pan Jan Zagłoba, herbu Wczele, wygrażał się skurczybykom: „Jam szlachcic, *loquor latine!*" nie pozbawia tej sympatycznej postaci dość grubawego i typowego naskórka. Humanizm amerykański obejmuje również, a może — przede wszystkim skurczybyków. Gwiżdżą oni na wszelkie gramatyki i prozodie. Nawet na angielską. Humanizm obrządku amerykańskiego zasadza się na przezwyciężeniu głodu, chłodu i brudu i na dążeniu wszystkich do zachowania lub do zdobycia tego właśnie, co twórcy humanizmu europejskiego rozumieli przez — godność człowieka. Czyż w pismach autorów starożytnych nie chodzi o nią przede wszystkim? I o duszę ludzką, będącą wciąż jeszcze tragiczną i jak morze Egejskie, niezgłębioną tajemnicą? *Et tout le reste est littérature* — jak powiedział ów bardzo łaciński poeta, który z rynsztoku potrafił wydźwignąć się omal do świętości. Prawda, że tak pojęty humanizm do niedawna dotyczył w tym kraju jedynie ludzi o skórze białej. Ale tylko ślepy lub człowiek złej woli niedowidzi faktu, że od czasów Chaty Wuja Toma, od wojny domowej, norwidowskiego Johna Browna i Lincolna — aż do Ralpha Bunche humanizm amerykański w dość szybkim tempie zaczyna ogarniać również ludzi o ciemnej pigmentacji. I nie bez wzruszenia niżej podpisany miłośnik humaniorów, urodzony w łże-złotym wieku ludzkości — za przeproszeniem Lorda Curzona — na pograniczu Galicji i Wołynia, składał Novi Eboraci przyrzeczenie wierności Stanom Zjednoczonym na ręce, które były czarne.

Ale jako niepoprawny Europejczyk, *nourri de grec et de latin*, uśmiecha się szyderczo na widok tak jaskrawej samowoli, jak

„tonite" (zamiast: *to-night)*, „hygrade" (zamiast *high-grade)* a nawet „u" zamiast — *you*. Podobne wybryki można tłumaczyć nie tylko brakiem hamulców i respektu, ale i pędem do emancypacji, do uwolnienia całego stylu życia, a więc i języka spod jarzma praw, uświęconych ongi na wyspach brytyjskich. Parę grubych i wielce pouczających tomów na temat „The American Language" napisał nb. ortodoksyjną pisownią — znakomity krytyk z Baltimore — Henry Louis Mencken. Można też owe skażenia mowy oraz dość znaczną ostatnimi czasy rozwiązłość kulturalną pojmować jako reakcję na purytanizm, wciąż jeszcze promieniujący ze starych poważnych ośrodków amerykańskiej wiedzy. Kulturę bowiem, całkowicie „gotową" przywieźli tutaj w XVII wieku (głównie do stanów Nowej Anglii tj. Massachussets, Connecticut, New Hamsphire, Vermont, Maine i Rhode Island) — pierwsi koloniści angielscy, tzw. ojcowie-pielgrzymi, lub ojcowie-założyciele. Razem z nimi przyjechali pierwsi pisarze amerykańscy, którzy w większości też byli purytanami. Kilku zaledwie miało odwagę występowania przeciw purytanom. Ale jedni i drudzy podlegali surowym rygorom stylu, języka i smaku, jakie obowiązywały w renesansowej i barokowej Anglii. W swych żarliwych pismach na tematy obyczajowe i religijne, lub też w żartobliwych pamfletach i ciętych polemikach, czy też wreszcie w utworach poetyckich — niewiele różnili się ci ojcowie założyciele literatury amerykańskiej od humanistów angielskich tego stulecia. Styl ich był makaroniczny, język gęsto szpikowany łaciną i greką i nawet w dziełach o treści teologicznej tłoczno jest od postaci z pogańskiej mitologii i historii Greków i Rzymian. Jeśli Nowa Anglia była kolonią korony brytyjskiej — to jej literaturę można by nazwać — kolonią Antyku. Ale ojcom-pielgrzymom nie tylko starożytność imponowała. Panowie purytanie ze stanu Massachussets tak przejęli się tradycjami europejskimi, że chcieli na nowej ziemi odwalić na chybcika — nawet średniowiecze. Urządzili więc z końcem XVII w. w miejscowości Salem słynne polowanie na czarownice *(Salem witchhunt)* i w rezultacie powiesili dziewiętnaście Bogu ducha winnych kobiecin, jedną zaś — zadusili. Epizod ten odbił się dość dużym echem w świeżo importowanym piśmiennictwie. Tu moglibyśmy popisać się znajomością wczesnej literatury amerykańskiej, lecz wolimy czytelnika, który się nią interesuje, odesłać do świetnej dwutomowej „The Oxford Anthology of American Literature", skąd czerpiemy daty i cytaty. Trudno nam jednak nie wymienić największego z pisarzy kolonialnych, fanatycznego purytanina, humanisty, którego nie powstydziłby się żaden europejski naród. Był nim Cotton Mather (1663-1728), syn Increase Mather'a, pre-

zydenta najstarszego w Stanach uniwersytetu Harvard (w którym literaturę polską wykłada obecnie Wiktor Weintraub). Ten Cotton Mather był słynnym kaznodzieją w Bostonie i niczym nasz Kraszewski napisał przeszło 450 książek, pełnych wszelkiej wiedzy, łaciny i greki. Oto tytuły kilku z nich: „Winter Meditations" (już w pierwszym zdaniu Wstępu mamy tam cytat z „Atlasu Chin" geografa Martiniusa: *Maius in hac provincia frigus est quam illius poscat poli altitudo)*, „Magnalia Christi Americana", „Galeacius Secundus", „Manuductio ad Ministerium", gdzie kandydatom do stanu kapłańskiego zaleca autor lekturę Homera i Wergilego, gdyż *I cannot wish you a soul that shall be wholly unpoetical.* My też nikomu nie życzymy duszy całkowicie wypranej z poetyczności, tytuły zaś i wyjątki z dzieł amerykańskiego humanisty przytaczamy tu na użytek uchodźczej inteligencji, której często się wydaje, że tylko ona jedna zaprzepaściła tzw. „puściznę" po starożytnych Grekach i Rzymianach. Prawie wszyscy poeci pomienionego okresu, z takimi gwiazdami na czele, jak Benjamin Tompson (1642-1714) i Francis Pastorius (1651-c. 1720) błyszczą w pełnej gali klasycyzmu. Nawet satyrycy. Zuchwały anty-purytanin Thomas Morton (zm. w r. 1647) zamieszcza w swym „New English Canaan" — skierowanym przeciw Ojcom-Pielgrzymom — poemat, zaczynający się od strof:

„Rise, Oedipus, and if thou canst, unfold
What means Charybdis underneath the mold,
When Scylla solitary on the ground
(Sitting in form of Niobe) was found
Till Amphitrite's darling did acquaint
Grim Neptune with the tenor of her plaint"... itd.

Dwa stulecia z okładem trwała ta tradycja, zanim literatura Stanów Zjednoczonych zamerykanizowała się, to znaczy — zanim świadomie przestała być kolonialną przyczepką literatury angielskiej. Emancypacja wyszła jej na zdrowie. Miejsce uczonych nudziarzy zajęli krwiści prymitywi, którzy pełną, choć nie zawsze zgrabną garścią czerpali z nieprzebranych, nietkniętych, idealnie barbarzyńskich bogactw własnej ziemi. Nim to jednak nastąpiło przeżyła Nowa Anglia XIX w. swe apogeum w postaci tzw. „renesansu", którego koryfeuszami byli R.W Emerson, Henry David Thoreau, Henry Wadsworth Longfellow, John Greenleaf-Whittier, James Russel Lowell, oraz inni, mniej głośni. William Cullen Bryant (1794-1878) autor poematu filozoficznego pt. „Thanatopsis" przetłumaczył Iliadę i Odysseję. I nawet prześci-

gający ich wszystkich talentem, wyobraźnią i wpływem na potomność nie tylko amerykańską — E.A. Poe miał grekę i łacinę w swej śmiertelnie zatrutej krwi.

Gwałtowny odwrót od Hellady i Romy, od umiaru i harmonii, od poprawności mowy i pisma — nastąpił również z innych, głębszych powodów. Czyż motorem tutejszego życia nie jest ustawiczna zmiana? Zmiana wszystkiego, co da się zmienić? A więc: mieszkań, urządzeń, samochodów, zawodów, przyjemności, a nawet uczuć? Uczucia w Stanach Zjednoczonych są przenośne, jak konta bankowe, jak gotowe, tzw. „prefabricated" domki. Uczucia. Trwają tak długo dopóki się nie sprzykrzą. Bo i one są tu oparte na pragmatyzmie. Któryż to Amerykanin naprawdę *kocha* swoją pracę? On tylko kocha, lubi, szanuje — płynące z niej korzyści. Bez żalu rzuca swój zawód, jeśli przestaje mu się opłacać. W starym świecie ani treść ani formy życia nie ulegają tak szybko znudzeniu. Nigdzie też w Europie nie spotyka się tylu ziewających ludzi jak Novi Eboraci. Ziewają nautowie na datach z puellami, ziewają melomani na koncertach Toscaniniego, ziewają studenci, których nie interesuje Sokrates i ziewają studenci, co Sokratesa wielbią chociaż był to *an unsuccesful man.* Ziewanie Novi Eboraci należy do dobrego tonu i mało kto fatyguje się, aby zakryć przy tym usta. Co prawda w tym Eldorado sztucznego uzębienia nie wiadomo, czy ziewanie jest wyrazem znudzenia, tak typowego dla społeczeństwa, chlubiącego się młodością, czy też demonstracją arcydzieł dentystycznych. Być może zresztą, że i wyrywanie zdrowych zębów też tu wynika z tego amokowego pędu do zmiany. Do zmiany wszystkiego, a więc i własnego wyglądu, imienia, nazwiska, żony, męża, religii. Wszystko, co nowe, co pachnie świeżym pokostem ma czar i walor. Pierwsi uchodźcy z Europy mogli Novi Eboraci nabywać za grosze po mniej reprezentacyjnych antykwarniach — białe kruki, pierwsze wydania dzieł autorów europejskich z XVII i XVIII wieku. Byle by okładki były dosyć zniszczone, a złocenia liter — bez blasku. Nikt tu nie płacze po babcinych komodach. Nawet wnuki. Oddają je za darmo Armii Zbawienia, a ta je za bezcen sprzedaje takim, jak niżej podpisany. — Któż by więc płakał po starej pisowni, po starych manierach, po starej Helladzie i Romie? Novi Eboraci człowiek w ogóle rzadko płacze, a jeśli płacze — to ukradkiem, żeby nikt nie widział. Poeci tu nawet nie płaczą, ani zjawy przez nich wywołane. I tylko nocami budzą nas czasem *lacrimae rerum novarum.*

Skoro znów mowa o poetach — czas powiedzieć, iż jednym ze sprawców emancypacji kultury amerykańskiej był wielki Walt Whitman. Z czystym sumieniem można go również obwinić o

nieznośną konfuzję, która do niedawna panowała w poezji, z niego się wywodzącej, ale pozbawionej whitmanowskiego polotu i szerokiego oddechu. Nie wymieniamy nazwisk tych, którzy z poezji uczynili urytmizowaną, szlachetną publicystykę. Któż jeśli nie Whitman — ogromnym głosem wzywał do rozbratu z „puścizną" — kto podszczuwał do frondy i dobrowolnego barbarzyństwa, jeśli nie on, autor „Song of Exposition" (z r. 1871).

„Przyjdź, Muzo, wywędruj z Grecji i Jonii,
Przekreśl, proszę cię, te grubo przepłacone rachunki,
Tę rzecz trojańską, ten gniew Achillesa, eneaszowe te i odyssowe
[tułaczki,
Na skałach twego ośnieżonego Parnasu wywieś afisze:
[„Przeprowadzka" i „Do wynajęcia".
To samo powtórz w Jerozolimie — rozplakatuj wysoko na
[jaffskiej bramie i na górze Moriah;
To samo na murach twych gotyckich, europejskich katedr,
[niemieckich, francuskich i hiszpańskich zamków
O poznaj lepszą, świeższą i ruchliwszą domenę — rozległa
[dziewicza dziedzina na ciebie czeka, ciebie wzywa.

A dalej:

Potężniejsza od grobowców Egiptu,
Piękniejsza od świątyń Hellady i Romy

Pyszniejsza niż strzelista i posągów pełna katedra mediolańska
Bardziej malownicza od nadreńskich zamków — fortalicji
Będzie ta, którą wznieść właśnie zamyślamy, aby to wszystko
[przerosła,
Twoja katedra — o święty Przemyśle — nie grobowiec,
Jeno twierdza życia i praktycznych Wynalazków"...

Słowo Whitmana stało się ciałem. Cielskiem tak monstrualnym, tak przerośniętym, iż rychło obudziło w poetach XX wieku nostalgię za umiarem, za sielską harmonią, za łąkami, za gajami oliwnymi, za starym Olimpem i starym Parnasem. I znów zaroiła się amerykańska liryka od greckich bogów, bogiń i nimf, które jak Isadora Duncan — bosymi stopami zaczęły hasać po asfalcie amerykańskich metropolii. Powstał neo-makaronizm Ezry Pound'a. Jego uczeń T.S. Eliot, autor „Gerontion" nazwał go *il miglior fabro*. Pisma tych poetów wierszem i prozą nie są dostępne czytelnikom bez wykształcenia klasycznego. Np. „Hugh Selwyn

Mauberley" Pound'a, gdzie znajdujemy taką apostrofę (w tekście oryginalnym druga linia jest wydrukowana greckimi literami):

O bright Apollo,
tin andra, tin heroa, tina theón
What god, man, or hero
Shall I place a tin wreath upon"...

Nie żałują też sobie ci poeci tęgich haustów po francusku i po włosku. Jak gdyby im chodziło o wywołanie efektu: jakież to nie-amerykańskie! Szczerością swego zgrecyzowania przewyższa ich może Hilda Doolittle, jak nasz Krasiński znana pierwotnie z inicjałów imienia i nazwiska: H.D. Otóż ta, za amerykańską Safonę uchodząca poetka, nie tylko pisze wiersze strofą saficzną, nie tylko przetłumaczyła eurypidesowego „Iona", ale zdaje się uznawać wyłącznie grecką tematykę. Oto tytuły jej utworów: „Lais", „Oread", Lethe", „Helen". „Hippolitus Temporizes". Urzeczona Helladą H.D. komentuje swą twórczość w „A Note on Poetry" (1938). Może to być również komentarz do twórczości kolegów. Na serię patetycznych pytań, rzuconych w pięknym poemacie „The Islands", a zaczynającą się od:

What are the islands to me,
What is Greece...

odpowiada poetka w „Note on Poetry": „They are, I suppose an inner region of defence, escape; *these are the poems of escapism"...* (podk. nasze). Święte słowa: oto jest poezja ucieczki. Od czego? Od tego właśnie, co z taką siłą powołał do życia Walt Whitman, a co stało się monstrualnym cielskiem. Ucieczką od dzisiejszej „rzeczywistości". Ucieka od niej do Grecji kalifornijski poeta Robinson Jeffers, coś w rodzaju amerykańskiego Hofmansthala, i nawet spóźniony naśladowca Apollinaire'a i Pierre'a Reverdy: e.e. cummings, uporczywie unikający wielkich liter i znaków przestankowych, zatytułował swój, ciekawy zresztą zbiór poematów, wydany w r. 1951 greckim pozdrowieniem: „Chajre". W r. 1933 wyszedł jego tom pt.: „Ejmi".

Dziś poezja białych stanowi w Ameryce Północnej rezerwat, *an inner region of defence,* niezależny od życia tej połaci świata To — bujny, niekiedy nawet piękny park narodowy, lecz od narodu amerykańskiego odgrodzony wysokim żywopłotem niesamowitych skojarzeń, wyszukanych metafor i obrazów oderwanych od prawdziwego życia mas. W tę niebezpieczną, a kuszącą gąszcz

zapuści się niekiedy *homo americanus,* znużony ustawiczną pogonią za sukcesem. Ale łatwo tam może wpaść w oparzeliska, w *paludes* przerafinowanej morbidezzy. Powtarzamy: tu chodzi o poezję białych, oschłą na ogół i zimną jak lód. Bogata poezja czarnych z innych wytryska źródeł, bliższych życiu i bardziej ludziom potrzebnych. Nie wstydzi się ona podejrzanych wilgoci i nie ucieka na lodowce intelektu. Czarna pieśń jest gorąca od krwi i łez ludzi, którym w życiu się nie powiodło.

Łzy burmistrza

W chwili, gdy to piszemy, lub prawie w tej chwili, białoskóry *mayor,* czyli burmistrz Nowego Jorku — zapłakał. Zapłakał publicznie, lubo z dala od pięciu ogromnych gmin, których jest naczelnikiem. Z dala od Manhattanu, Bronxu, Queens'u, Brooklynu i Richmondu. Z dala od obu wielkich rzek: Hudsonu i East River, które w New Jorku wlewają się do Oceanu Atlantyckiego i z dala od trzeciej, mniejszej rzeki, Harlem. Płakał z dala od wszystkich tych wspaniałych mostów, autostrad i tuneli, portów, zatok i doków, z dala od kolei podziemnej i nadziemnej, co okropnym hukiem i szczękiem pędzącego żelaza głuszy w człowieku nawet ochotę do płaczu. Tak jest: włodarz tej nieprzejrzanej kolosalności, co drapaczami chmur urąga niebu i ziemi i wodom, opiekun współżycia i zdrowotności siedmiu milionów ośmiuset trzydziestupięciu tysięcy ludzi białych i kolorowych, zwierzchnik szkół, i policji, która czuwa aby współżycie takich mas ludzkich było znośne: Vincent Impelliteri, zwany popularnie — Impy, zapłakał.

Vincent Impelliteri, w przeciwieństwie do Sokratesa, jest człowiekiem, któremu się w życiu powiodło. I właśnie dlatego zapłakał w małej, sycylijskiej mieścinie Isnello, niedaleko Agrygentu, w której się urodził. Rodzicom jego nie wiodło się w życiu na tej ziemi, umiłowanej od bogów, bogiń i Muz. Demeter, bogini zboża i urodzajów, tak niegdyś na Sycylii czczona (po dziś dzień syty turysta podziwia w Segeście ruiny jej świątyni) w roku Pańskim 1900 wielu Sycylijczykom poskąpiła swych łask. Więc kto mógł, pakował ubogie manatki i za uciułane liry kupował sifkarty na parostatki, odpływające z portów Palermo, Catanii, Taranto, ale najczęściej z Neapolu — do ziemi obiecanej biedakom.

Z jednorocznym synkiem Vincenzino wylądowali państwo Impelliteri na placu Baterii — Novi Eboraci. Od tego czasu upły-

nęło już pół wieku: Vincenzino jest Vincent'em i burmistrzem Nowego Jorku. Pierwszy to raz odwiedził on dzisiaj swe rodzinne gniazdo, przylepione do olbrzymich, nagich i jak Novum Eboracum — zimnych skał. 4000 mieszkańców żyje dziś w Isnello, przeważnie z wypasu owiec i produkcji sera. Ex-Vincenzino odwiedził, rzecz prosta, dom, w którym się urodził. W kuchni, gdzie jego matka gotowała skromne posiłki, po dziś dzień nie ma pieca. Ogień rozpala się na kamiennym palenisku, pamiętającym może czasy tyranów syrakuzańskich, Hieronów. Człowiek, któremu „podlegają" miliony elektrycznych i neonowych świateł ujrzał światło dzienne w domu, gdzie jeszcze dzisiaj światłem nocnym jest lampa naftowa. W całym Isnello nie ma więcej niż 12 wanien, a pierwszy telefon założono dopiero dwa miesiące temu, i to z dotacji jakiegoś dobroczyńcy.

Burmistrz Nowego Jorku wysłuchał Mszy św. w kościele, gdzie mu w r. 1900 udzielono sakramentu chrztu. Kościół ten zbudowano w r. 1490. Tak starej świątyni nie posiada żadna z pięciu gmin Novi Eboraci, gdzie stoją tysiące domów modlitwy wszelkich wiar, wyznań, obrządków, sekt i herezji. I whitmanowska „katedra świętego Przemysłu".

Na powitanie marnotrawnego syna, który po pięćdziesięciu latach nieobecności opromieniony chwałą, trafił nareszcie, choć na jeden dzień, do Isnello, wyszedł również w odświętnych sukienkach miejscowy sierociniec żeński. Stanęły sierotki dwurzędem na starym kamiennym placyku i zaśpiewały burmistrzowi Nowego Jorku piękną, starą, sycylijską pieśń. W ich głosach ożyła może dusza tej greckiej i łacińskiej ziemi, zadrgały może te same rytmy, którymi oddycha poezja bukoliczna syrakuzańskich Greków: Theokryta i Moschosa. Może w pieśni sierot było coś, co przypominało przejmujące zawodzenie, którym Moschos wzywał sycylijskie Muzy do opłakiwania wielkiego Biona:

„Archete, Sikelikaj, to penteos archete Moizaj"

Po polsku:

„Zacznijcie, o sycylijskie, wasz tren zacznijcie, o Muzy"

Może. Dość, że Vincent Impelliteri nie mógł powstrzymać łez i wszyscy w Isnello to widzieli. Na pamiątkę tej, całe życie marzonej chwili złożył gość na ręce swego kolegi — burmistrza Isnello większą sumę, za którą magistrat ma wybudować pierwszą w miasteczku publiczną łaźnię z tuszem. O takiej chwili

marzą wszyscy, co głodni i poniewierani opuszczają rodzinne strony i gdzieś w dalekim świecie osiągają dobrobyt, zyskują imię, a nawet chwałę. Jak Vincent Impelliteri, który przywiózł do Isnello na krótki pokaz swój wielki, amerykański sukces. Odwzajemniając zaszczyt, serce i dolary uboga mieścina ofiarowała mu srebrną szkatułkę, pełną sycylijskiej ziemi. Pewno w tej intencji, żeby po najdłuższym życiu i jeszcze większych sukcesach emigrant Vincenzino nie spoczął w ziemi z gruntu mu obcej.

1951

POE W BRONXIE

„I ujrzałem wszystkie uciski, które się dzieją pod słońcem, a oto widziałem łzy uciśnionych, którzy nie mają pocieszyciela, ani mocy, aby uszli rąk tych, którzy ich ciemiężą; a nie mają, mówię, pocieszyciela. Dlatego ja umarłych, którzy zeszli, więcej chwaliłem, niżeli żywych". (Eccles. 4,1-2).

W drodze powrotnej z wakacji wjechaliśmy pod wieczór w zachodnie, willowe przedmieścia Baltimore. Pięknie zadrzewione parki, kwitnące nawet teraz, u schyłku lata, ciągnęły się po obu stronach szosy, ale ich gęstwa, zamiast zmniejszać — potęgowała duszność powietrza i otępienie pasażerów. Z głowami na wygodnych oparciach siedzieliśmy wyciągnięci nieruchomo i milcząco, jak mumie. Zbliżając się do miasta, autobus zwolnił biegu. Zrobiło się jeszcze duszniej, lecz okien nadal nie wolno było otwierać. Nie wolno też było wozić zwierząt, więc nasza kotka Sadi jechała nielegalnie pod moim siedzeniem, zamknięta na wszystkie spusty w swej wędrownej walizie z okratowanym okienkiem. Tłukła się w tej więziennej karetce dla psów i kotów, jak ów żywcem pogrzebany człowiek z noweli Poego „Premature Burial". Darła się straszliwie, ale na szczęście hałas silnika i pęd autobusu głuszyły jej wrzask.

Zaciekawiony majestatycznością tylu parków, w których naraz zniknęły wille, uniosłem się w fotelu, aby lepiej widzieć. Zamiast budynków ujrzałem grobowce. Jechaliśmy wśród cmentarzy. Wszystkie nagrobki — bogate i biedne, z aniołami, lub bez aniołów — cechowała ta sama monotonia i ubóstwo wyobraźni. Naraz coś mnie tknęło, coś mnie gwałtownie wyrwało z otępienia. Jak gdyby ciężkie skrzydło trzepnęło mnie po oczach. Otworzyłem je szeroko, przenosząc wytężony wzrok z cmentarza po lewej stronie na cmentarz po prawej i znów z powrotem

— na cmentarz po lewej. Tyle cmentarzy, więc chyba tutaj, za jednym z tych ogrodzeń, — Sadi, przestań się drzeć, niedługo skończy się twoja męka! — na jednej z tych nekropolii musi leżeć autor „Czarnego kota". Jedyny nieśmiertelny w tłumie umarłych, co zgnili lub jeszcze gniją na tych cmentarzach. Przecież sto i dwa lata temu umarł w Baltimore i w Baltimore pochowano go nie raz, ale dwa razy. Ale na którym cmentarzu? W domku Poego, w New Yorku, w dzielnicy, zwanej Bronx, widziałem na fotografii dość okazały pomnik, jaki mu baltimorscy nauczyciele zafundowali w dwadzieścia sześć lat po śmierci. A może Poe nie leży na żadnym z tych cmentarzy, wśród których jedziemy? Pewno w Baltimore są jeszcze inne, starsze, przykościelne. Zapomniałem już, jak się nazywa ten, gdzie go pochowano. Może zapytać którąś z mumii? Boję się budzić mumii. Pomyślą, że oszalałem, a ja nie wiem, jak amerykańskie mumie reagują na widok szaleńca. A jeśli żadna z nich o Poem nigdy nie słyszała?

Świadomość, że mogłem znajdować się o kilka kroków od prochów Poego, nie dawała mi spokoju. Czyżby Israfel, ukochany jego anioł, trącił mnie w autobusie swym skrzydłem? Israfel, anioł z Koranu, anioł „którego serdeczne żyły są strunami lutni, a z wszystkich stworów Boskich najsłodszy ma głos"? To on będzie trąbił na zmartwychwstanie mahometańskich ciał. Israfel, anioł muzyki. Ciekaw jestem, czy na tych cmentarzach leży jakiś mahometanin.

Skończyły się cmentarze, skończyło się egzotyczne miasto Baltimore z tymi olbrzymimi kolumnami na placach (jedna z nich przypomina kolumnę Vendôme, tylko kto tam sterczy na szczycie? Chyba nie Napoleon?), jedziemy koleją do Nowego Jorku. Powietrze w przedziale jest rozkosznie chłodzone, moja biedna Sadi wyjęta z więziennej karetki, uspokoiła się (i zaziębiła), ale z nami jedzie już Edgar Allan Poe, jego śmierć, jego grób.

Jego życie jest mniej więcej znane, dzieła — też. Lecz dopiero w stulecie jego śmierci (1949) wyświetlono dość tajemnicze okoliczności tej śmierci[1]. Wiadomo, że był ciężkim alkoholikiem. Poślubiwszy w r. 1836 trzynastoletnią krewną Virginię Clemm, przestał pić, jednokowoż pięć lat później, gdy Virginia zapadła na gruźlicę, znów uległ staremu nałogowi. Po śmierci żony w r. 1847 był już ruiną. Lecz, Israfel, jego opiekuńczy anioł, potrafił nawet z ruiny wydobyć cudowne dźwięki. Rozbrzmiewają nimi ostatnie poetyckie utwory Poego: „Ulalume",

1. Wszystkie dane, dotyczące ostatnich dni życia, śmierci, pogrzebów i nagrobków Poego czerpię z cennej pracy Philipa Van Doren Sterna, ogłoszonej na podstawie gruntownych badań w „Saturday Review of Literature" z 15 października 1949 pt. „The Strange Death of Edgar Allan Poe".

„Dzwony", „Eldorado", „Do mojej matki", „Annabel Lee". Wszystkie — napisane w domeczku w Bronxie. Nie potrafił jednak Israfel uchronić poety od okresowych napadów szału, utraty przytomności, zaników pamięci, koszmarnych halucynacji. Już inny anioł, jak jastrząb, szybował nad śpiewającą ruiną. I spadł na nią w pierwszych dniach października 1849, w Baltimore właśnie, gdzie chory Poe zatrzymał się w powrotnej drodze do Nowego Jorku z odczytów — w Richmond (Virginia). W Richmond miał on też poślubić, 17 października, bogatą wdowę, w której kochał się z wzajemnością jeszcze za młodych, studenckich lat w tym mieście. Wówczas rodzice panny przeszkodzili jej małżeństwu z sierotą po wędrownych komediantach, którego usynowił z litości solidny eksporter tytoniu John Allan. Wbrew jej woli wydali siedemnastoletnią pannę za człowieka statecznego i bogatego. Teraz ślub wdowy z czterdziestoletnim wdowcem mógł odbyć się bez przeszkód. W nędzarskim życiu satanisty z Bronxu, prekursora „dekadentów" i wszystkich „poètes maudits" Europy, miał ten ślub zapoczątkować nową, szczęśliwą fazę. Dzięki pieniądzom wdowy Sary Elmiry Shelton miało się też spełnić wielkie marzenie jego życia: własne pismo literackie. Ślub nie odbył się z powodu nieobecności pana młodego. Spity na umór przez agitatorów w szynku Ryan'a, 3 października, kiedy to w Baltimore były wybory do Kongresu i legislatury stanowej, a ten szynk służył za lokal wyborczy, w cztery dni później zakończył życie w Washington College Hospital. W potwornych męczarniach. Lekarz, który go tam pielęgnował i był przy jego śmierci, opisał w liście do p. Marii Clemm, teściowej poety, ostatnie jego chwile. Przed samym skonem odzyskał przytomność i wezwał Boga na pomoc.

Poniewierany za życia nie uniknął poniewierki po śmierci. Gdy w r. 1860 pewien kuzyn zamówił mu nagrobek — na parę dni przed postawieniem kamienia na cmentarzu wykoleił się pociąg tuż przy składach kamieniarza i do szczętu roztrzaskał ten nagrobek. Aż dopiero w r. 1875, staraniem wspomnianych już nauczycieli — ekshumowano zmurszałą trumnę i wraz z trumną teściowej przeniesiono do lepszego grobu. Do tego, który na próżno starałem się wypatrzeć z okien autobusu. Na poświęcenie marmurowego pomnika zaproszono najwybitniejszych poetów Ameryki i Wielkiej Brytanii. Przyjechał tylko jeden: Walt Whitman. Właśnie — Whitman, którego życie i, jak oba oceany Ameryki, rozlewna, rozhukana poezja, wielkim głosem sławiąca wszechświat i nowe czasy, jest zaprzeczeniem zdyscyplinowanej morbidezzy i czarownych trucizn, jakie ściszonym głosem wlewał w młodą szczęśliwą Amerykę ten abnegat życiowy, maka-

bryczny esteta, wizjoner mąk tudzież wszelkich postaci niedobrej śmierci, co leżał pod tym kamieniem.

Dziesięć lat później znów rozkopano nieszczęsną mogiłę, aby prochom poety dodać do kompanii — kosteczki jego ukochanej żony. Dziesięć lat bowiem przeleżały te kosteczki w tekturowym pudle pod łóżkiem jednego z biografów Poego.

Nie udało mi się w Baltimore zobaczyć jego kamiennego nagrobka. Ale mam u siebie w domu, inny, godniejszy i może trwalszy od marmuru. To Stefana Mallarmé sonet „Le tombeau d'Edgar Poe", zaczynający się od tej pysznej strofy:

„Tel qu'en Lui-même enfin l'éternité le change
Le Poète suscite avec un glaive nu
Son siècle épouvanté de n'avoir pas connu
Que la mort triomphait dans cette voix étrange!"
(Jakim go wreszcie wieczność w Nim samym przemienia
Poeta mieczem nagim swój wiek drżący z trwogi
Budzi, który nie pojął, że triumf złowrogi
Śmierć obwieściła w głosie tym obcego brzmienia).

(Przekład Mieczysława Jastruna)

◆

Biały domek w Bronxie, gdzie Poe spędził trzy ostatnie lata życia i skąd wyjechał po śmierć — znam dobrze. Często obok niego przejeżdżam, czasem go odwiedzam. Stoi zagubiony jak wymarła wysepka na środku morza. Z wszystkich stron opływa go hałaśliwe życie, wali weń zmotoryzowana gonitwa za dolarem, za sukcesem, za szczęściem, oczadza go swąd spalonej benzyny. A on trwa, cichy, nietutejszy, obcy temu życiu i tym długim beznadziejnym pierzejom czynszowych kamienic, co go przytłaczają, mimo iż stoi w parku. Wciąż jest taki sam, jak sto lat temu, gdy nie było tu jeszcze największej arterii komunikacyjnej Bronxu, Grand Concourse, lecz był las. Z tego lasu Fordham pozostało trochę drzew, w sam raz, aby mógł powstać nieduży park miejski imienia Poego.

Sto lat temu domek ten nie był tak cichy jak dziś, choć zewsząd otaczała go sielska cisza. Groźne działy się tutaj rzeczy. Tu męczył się najniespokojniejszy z niespokojnych duchów Nowego Świata. Tu umierała jego młoda żona. Tu, w starannie utrzymanym ogródku, wśród wiśniowych drzew i kwitnących dalii, ukrywało się genialne straszydło Ameryki. Gdy ona rwała się do życia i od oceanu do oceanu szczerzyła w śmiechu swe

zdrowe pionierskie zęby, wtedy, akurat wtedy Poe chciał mrozić jej gorącą krew „Maskami Czerwonej Śmierci" i „Morderstwami na rue Morgue". Płynął pod prąd. Wszedł do literatury amerykańskiej w „erze dobrego samopoczucia", jaka zapanowała za prezydenta Monroe. Potem, wśród orgii zdrowia i tężyzny, gdy zwycięskie w wojnie meksykańskiej Stany gruntowały swą materialną potęgę i przyciągały masy emigrantów z Europy, gdy rozwój komunikacji parowej na lądzie i na wodach — przyśpieszył industrializację — w poprzek tej triumfalnej drogi, na krańcach lasu Fordham ustawił się sztorcem chory czarny magik i z tego domku straszył wizjami niszczycielskich wynalazków. Dziś ten domek jest już tylko muzeum. Można je zwiedzać codziennie do godziny piątej. Potem pustoszeje, chyba że krząta się jeszcze po nim starsza dama, pilnująca go z ramienia „Bronx Society of Arts and Sciences". Dama ta mieszka tu na mansardzie, jak ongi teściowa Poego, lecz nigdy nie widziałem tam w nocy — światła. Widmowy domek, na krańcach nie istniejącego już lasu — śpi. W księżycowe noce wydaje się niekiedy, że płynie.

Ten Biały Dom poezji amerykańskiej wygląda dziś niemal tak samo, jak wtedy, gdy zamieszkiwał go Poe z chorą żoną i kochającą teściową. Co prawda — dziś niewiele tu znajdujemy autentycznych przedmiotów, które były jego własnością. Ot — fotel na biegunach w saloniku, a malutką sypialnię wypełnia prawie całkowicie klonowe łoże boleści i śmierci biednej Virginii. Tu trzęsło się biedactwo z zimna, a w braku ciepłych kołder, grzał ją mężowski szary płaszcz i duży — słyszysz Sadi? — szyldkretowego koloru kot. To łóżko, schludnie zasłane, za każdym razem wywiera na mnie wstrząsające wrażenie. I nieraz opędzam się myśli, że jakiś włóczęga, nie mogąc znaleźć noclegu, zakradnie się tu kiedyś i wyśpi w łóżku Virginii Poe. Wisi tu również nad małą komódką sczerniałe jej lustro, lecz darmo w nim szukam odbicia, cienia chociażby jej anielskich lic. Reszta inwentarza — to graty z epoki Poego, pozbierane, gdzie się dało, trochę pamiątek, książek, autografów. Wszystko razem — nie bardzo ciekawe. Jako budynek — „Poe Cottage at Fordham" — to drewniany, biedny domeczek z galeryjką i filarkami. Na zewnętrznej ścianie od strony Grand Concourse czernieje wprawdzie wymalowany kruk, ale wiemy już na pewno, że Poe pisał swego „Kruka" gdzie indziej. Całe muzeum, składające się z sypialni, salonika i kuchenki można obejrzeć w parę minut. Zresztą mało kto ten domek zwiedza. Przeważnie cudzoziemcy lub mieszkańcy innych dzielnic Nowego Jorku. Sam Bronx, jakby ignorował jego istnienie, jakby z rozmysłu omijał tę wygasłą

kuźnicę diabła. Nigdzie też nie czuć tu jego obecności. Dawno już stąd wyparowała, chociaż w sąsiedztwie znajduje się parę lokali pod jego wezwaniem. Jest np. *„Poe Park Tavern"*, jest (a raczej był, bo już go nie widzę) szynk *„Poe's Raven"*, nad którym kiwa się neonowy kruk. Jest „bar and grill" pod urzekającą nazwą: *„Poe Cozy Nook"* (Przytulny kącik Poego). Jest *„Poe Beauty Parlor"*. Ale najbardziej zadziwia zakład pod firmą *„Poe French Cleaners"*. Cóż to za Francuzi? Może Baudelaire i Mallarmé? Boć to oni oczyścili reputację Poego i sprezentowali go światu w swej błyszczącej francuszczyźnie, zanim ów świat zasmakował w angielskim oryginale. Nie — to jest jednak pralnia chemiczna. Najniesamowiciej atoli działa tu brak „genius loci". W innych stronach świata, miejsca, gdzie żyli ludzie tacy jak Poe — fascynują już na odległość. Pamiętam, jak mi waliło serce, gdy pociąg zbliżał się do stacji Alcala de Henares. Tu — nic. Absolutnie nic nie emanuje z białego domku i nic nie udziela się otoczeniu. Jakby istniała jakaś zmowa przeciw duchowi udręczonego poety. Nikt tu nie zatrzymuje się, aby podumać nad — chociażby — protoplastą tak lubianych i w Bronxie powieści kryminalnych. Doskonała obojętność otacza ten domek: obojętność ulic, obojętność czasu, obojętność ludzi.

Jacyż to ludzie? Gdyby Poe, wynalazca imaginowanych tortur, mógł przeczuć, kto osiedli się kiedyś masowo w tej właśnie części półtoramilionowego dziś Bronxu! Jacy starcy i jakie staruszki zgarbione, koślawe, w chustkach na głowie, a czasem na perukach, o twarzach jak wyciśnięte cytryny będą przychodzili grzać się na ławkach przed jego domkiem! Nic się tu nie pali, a jednak — od pewnego czasu — czuć spaleniznę w powietrzu. Zalatuje nią od jakichś dalekich, bardzo dalekich i może już zgaszonych pieców. Gdyby mógł wiedzieć! Duchy siedzą dokoła domku Poego. Cała żydowska Galicja sprzed pierwszej wojny. Cała sobotnia sosjeta z Ogrodu Jezuickiego we Lwowie. Opodal sto: nawet podobny pawilon z greckimi kolumnami. Jak tamto „rondo" — gdzie bawiły się w chowanego niepochowane, spalone żydowskie dzieci. Jest, jest Lwów i Buczacz, Tarnopol i Kopyczyńce. Cała Treblinka i cały Majdanek. Siedzi na tych ławkach. Wyraźnie czuć woń spalenizny. Kruki krążą nad ławkami i kraczą nad ludźmi i kraczą nad niewidocznym, lecz wszechobecnym popiołem.*Nevermore. Nevermore.* Czym jest „Zagłada rodu Usherów" wobec tamtej zagłady? Czym są wymyślne katusze, którym w Toledo poddano więźniów świętej Inkwizycji w porównaniu z tym, co przeszli ci ludzie sprzed domku autora noweli „The Pit and the Pendulum" (Studnia i wahadło)? Oni — czy też ich krewni? Przecież to wszystko jedno. Mógłże Poe,

twórca tylu „fantazji naukowych" nie przewidzieć komór gazowych, wagonów śmierci, abażurów z ludzkiej skóry? *Nevermore. Nevermore.* Świat przeszedł obok „naukowej" zagłady Żydów polskich tak obojętnie, jak te młode potomkinie wymordowanych, spalonych, żywcem pogrzebanych przechodzą z wózkami swych dzieci obok domku Poego. One nie czują zapachu spalenizny, ale pewno wiedzą, kim był Poe.

Starcy i staruszki, wysiadujący w tej alei duchów nie wiedzą kim był Poe. To przeważnie pensjonariusze z pobliskiego *„Bronx Home for Hebrew Aged"*. Ludzkie skamieliny ze sztucznymi zębami. Rozmawiają językiem, którym niegdyś rozbrzmiewały żydowskie zaułki polskich miast i miasteczek. Są to rozmowy umarłych. Umarli plotkują. Niekiedy ożywia się zwiędły pergamin ich twarzy, zmarszczki się wygładzają i z ust duchów padają stare żydowskie błogosławieństwa: „Gezynd soll er sein!" (Żeby zdrów był) lub „Long soll er leben!" (Żeby długo żył!) W Bronxie bowiem długie życie uchodzi za szczęście, jest Boską nagrodą za cnoty, tak jak śmierć jest karą za grzechy.

Zaglądam duchom w oczy. Są martwe, lecz na ich dnie czai się jeszcze lęk. O co? O życie? Czy o tego dolara, którego może nie dość uciułali na czarną godzinę pracą długiego żywota? Leży sobie ten dolar wygodnie tuż obok w „DOLLAR SAVING BANK", co zgrabną wieżą dominuje nad krajobrazem i nęci nocami blado-niebieską neonową reklamą i oświetlonym zegarem.

Ten krajobraz jest wyjątkowo nudny, mimo, iż od strony Kingsbridge Road stara się go uromantyzować zwalista, czerwona forteca nie forteca, rajtszula nie rajtszula, kryminał nie kryminał, z mnóstwem baszt, wieżyczek, strzelnic, krenelaży. Jakieś fałszywe średniowiecze w którym lubowało się tu budownictwo wojskowe przy końcu XIX wieku. To — zbrojownia, *armory*. Jest ich w Nowym Jorku kilkanaście. W tej stacjonował przed pierwszą wojną 258 pułk Artylerii Polowej, a takie sąsiedztwo z domkiem Poego ma nawet sens. Wiadomo bowiem, że w młodości sługiwał on wojskowo pod nazwiskiem Edgar A. Perry i dosłużył się stopnia starszego sierżanta — w artylerii właśnie.

Bronx — to nie tylko wilegiatura duchów i starców z przytuliska. Po Grand Concourse chodzą nie tylko ofiary lub niedoszłe ofiary ucisków i pogromów. I nie jest to wyłącznie świat Żydów, choć może największy dziś rezerwat polskiego i rosyjskiego żydostwa. Obok ludzkich skamielin z epoki przedpotopowej (tj. sprzed r. 1914), na których widać jeszcze ślady wieloletniej nędzy — spotyka się tu liczne ofiary dobrobytu, męczenników sytości, opętanych manią zakupów.

Bronx jest siedliskiem żydowskiego szczęścia, spełnieniem

snów, rajem doczesnym lub co najmniej przedsionkiem raju. To paradisus Judaeorum na ziemi. Są tu nawet dzikie zwierzęta jak w raju biblijnym. I to w imponującej ilości. Bronx Zoo należy do najwspanialszych zwierzyńców w Ameryce, a jest tak duży, że jeździ się po nim specjalną kolejką. W raju biblijnym pramatkę rodu ludzkiego kusił wąż z drzewa poznania. W raju ziemskim na Grand Concourse szatan kusi z wystaw sklepowych. Też jest wężem, ale gumowym, lub z wszechmocnego plastyku. — Kup nowy odkurzacz! — syczy — Kup nową lodówkę! — Kup nowy aparat telewizyjny! Wyciągnij wszystkie oszczędności z Dollar Saving Banku, zapożycz się, sprzeniewierz, ale kup, kup, kup sobie nowego Chryslera lub Buicka! — Jak oprzeć się kuszeniu szatana? Jak mu nie ulec? Takiego diabła nawet Poe nie wymyślił.

Istnieją w New Yorku jeszcze inne skupienia Żydów ze wschodniej Europy, ale Bronx — to jasna i chędoga domena awansu, postępu, sukcesu. Biedota wyznania mojżeszowego wciąż jeszcze tkwi w slumsach Manhattanu, na Lower East Side. W Bronxie — galicyjski, czy rosyjski Żyd-emgirant na nowo poczuł się u siebie w domu. Na Lower East Side był sublokatorem Biedy. Tam niegdyś powstał i obie wojny światowe i wszystkie pogromy, rewolucje i eksterminacje przetrwał gorzki antagonizm między Żydami rosyjskimi a galicyjskimi. Galicyjscy po dziś dzień uchodzą za coś gorszego. Synonimem „Galicjanera" jest „A Besztrufter", czyli — pokarany.

Kto na Lower East Side nosił stare, pentateuchowe imiona: Izaak, Mojżesz, Salomon, Mordechaj lub Symcha, Lejb, Chaim, Mendel, tu w Bronxie, w miarę życiowych awansów zmienił je na: Milton, Morton, Sidney, Seymour, Leslie, Kenneth, Mortimer. Szekspir i szkockie ballady wyparły Pismo święte. Samuelów, Dawidów, Lemuelów, Kalebów dawno już przejęła protestancka Nowa Anglia. „Pokarani" — nie zawsze czują się pokaranymi. Ale najszczęśliwsi nawet spacerują dziś po raju jakby zawstydzeni. Zawstydzeni tą NIELUDZKOŚCIĄ, jaka za wielką wodą stała się ich braciom, siostrom, a niekiedy — dzieciom. Raz w miesiącu do każdego niemal domu w bronxowskim rezerwacie dzwonią panowie, którzy przedstawiają się: „Eksterminator!" Ofiarują swe usługi i trutki na tak trudne tu do wytępienia karaluchy i mrówki. Więc po rezerwacie chodzą ludzie zawstydzeni, choć oszczędzeni, niepocieszeni i pocieszeni. I tacy, którzy już o niczym nie chcą wiedzieć, a spokój sumienia okupują regularnymi ofiarami na cele dobroczynne, np. na „Bronx Home for Hebrew Aged". Lubią oni fotografować swe szczęście. Więc pełno jest na Grand Concourse zakładów fotograficznych. W

witrynach — efektowne zdjęcia z uroczystości rodzinnych: z konfirmacji, ślubów. Panna młoda jak jagoda w welonie w prześlicznej atłasowej sukni smakowicie całuje wyfraczonego oblubieńca, lub wkłada mu do rozdziawionej jamy ustnej o nieskazitelnym uzębieniu — kawał weselnego tortu. Ślub został zawarty w jednej z pobliskich synagog, w czasie ceremonii grały organy, a uczta odbyła się w specjalnej sali — w gmachu synagogi. Tam również tańczono przy dźwiękach zjudaizowanego nieco jazzbandu. Widzimy też fotografie młodych przystojnych, postępowych i reformowanych rabinów i kantorów. Gładko ogoleni, błogo uśmiechnięci, zadają kłam naszym wyobrażeniom o służbie Bożej. Wyglądają raczej jak footbaliści. W ich dowcipnym wejrzeniu nie ma iskry mistycyzmu. Pijani Bogiem, niezasymilowani i niereformowani hasydzi lub asceci, którzy w Sądny Dzień, w Sabat Sabatów, pokutują nie tylko za własne grzechy, ale i za niewinność sześciu milionów Pokaranych męczeńską śmiercią — nie fotografują się. Takich, jak oni, malował El Greco.

◆

W wigilię Sądnego Dnia wybrałem się na przechadzkę po Bronxie. Domek Poego, jak zawsze, stał pusty po piątej godzinie, ale i wszystkie ławki stały puste, chociaż do zachodu słońca było jeszcze daleko. Skamieliny wcześniej niż zwykle spożywały dziś wieczerzę i obfitszą niż zwykle. Gdy pierwsze zabłysną gwiazdy zacznie się wielki 24-godzinny post. Rozpocznie się Jom Kippur, Dzień Pojednania. Słowo: pojednanie znaczy dziś — pogodzenie się z kimś, przeproszenie. Ale jego pierwotny sens był głębszy: chodziło o zjednoczenie się, o połączenie, o wejście w stan komunii. Właśnie żydowski Bronx przygotowuje się do dorocznego pojednania z Bogiem, który w ciągu tej doby osądzi każdą duszę i — albo przyjmie jej skruchę albo odrzuci. Hebrajski wyraz: Kipper oznacza — nakrywać, wymazywać. Jom Kippur — to dzień wymazywania grzechów. Wedle dawnych wierzeń, w ten dzień właśnie szatan oskarża przed Bogiem ludzkie dusze. Atoli Talmud babiloński uczy, że jest na odwrót: Jom Kippur to jedyny dzień w roku, kiedy prokurator z piekła jest wobec Izraela bezsilny. W każdym razie do jutra zapadną w niebie ostateczne decyzje: kto w tym roku umrze, czyja dusza zostanie strącona w otchłań Gehenny, do Tehom, gdzie zajmie się nią Dumah, książę ciemności, a komu w nagrodę za cnoty i pobożność będzie przedłużone życie na rok następny. Niełatwo jest Żydowi ustrzec się grzechu, a święta Tora wymienia 613 przykazań pobożności. Ileż łatwiejszy los ma np. grzesznik katolic-

ki. Jemu w każdej chwili służy pomocą Sakrament pokuty. Ponadto ma Kogoś, kto jego grzechy odkupił własną śmiercią. A penitent żydowski? Cały rok musi dźwigać ciężar grzechów — aż do Sądnego Dnia. Żaden rabin nie udzieli mu absolucji. I nigdy nie wiadomo, czy Bóg mu odpuścił, czy nie. Karany zaś bywa Żyd już tu na ziemi i nie tylko on sam, ale i jego potomstwo — do szóstego pokolenia. Sam, sam, straszliwie sam staje Żyd co roku przed Najwyższym Sędzią, staje w śmiertelnej koszuli — i nawet nie wolno mu ograniczyć suplikacji do własnej osoby. Musi modlić się i pokutować za cały naród izraelski.

Już niebo mrocznieje i z bram Grand Concourse wysuwają się odświętnie odziani Mojżesze, Izaaki, Chaimy — z Sarami, Ryfkami, Deborami. Znikają w bocznych ulicach — kierując się do ortodoksyjnych bóżnic i bóżniczek, schowanych gdzieś dalej, w mniej reprezentacyjnych częściach Bronxu. Będą pościli przez całą dobę i nawet wody do ust nie wezmą. Inaczej — Miltony, Sidneye, Seymoury. Są już bardziej zróżniczkowani w swym stosunku do Boga. Jedni poszczą całkowicie, jak ich ojcowie, inni — tylko częściowo (rano filiżanka kawy i kawałek chleba z masłem — na cały dzień to niewiele) ale są tacy, którzy w ogóle nie poszczą i nie mają pewności czy Bóg istnieje. Mimo to na Nowy Rok i na Sądny Dzień chodzą do synagogi, bo muszą pokazać się innym. W całej Ameryce jest silnie rozwinięty zmysł kongregacji: należenie stanowi jak gdyby jedenaste przykazanie i biada temu, który nigdzie nie należy. Poe nigdzie nie należał.

Powoli, poważnie, z aksamitnymi woreczkami pod pachą, z woreczkami, na których wyhaftowana jest gwiazda Dawida, z zawiniątkami, nawet z papierowymi torbami — postępowi Żydzi Bronxu idą się modlić. Wydaje się, że w tych zawiniątkach niosą nie modlitewniki i do rozmiarów ręcznika zredukowane tałesy czyli śmiertelne koszule — jeno same grzechy, całoroczny plon grzechów, które zdeponują w synagodze na wieczne nieodebranie. Dopalają ostatniego przed postem papierosa. Postępowe penitentki są umalowane, jak co dzień. Wyzbyły się przesądów i wiedzą na pewno, że reformowany Bóg jest wyrozumiały ustom uczerwienionym pomadką Heleny Rubinstein, byle by z tych ust płynęły ku Niemu szczere modły i byle by w Sądny Dzień nie przyjmowały pożywienia. Bądź co bądź jesteśmy w r. 5712, licząc od Stworzenia Świata.

Nie dla wszystkich w Bronxie jest miejsce w autentycznych synagogach. Podobnie jak niegdyś w Polsce, część wiernych musi w Wielkie Święta modlić się w zaimprowizowanych domach Bożych. Na ten cel wynajmuje się odpowiednio obszerne sale świeckiego skądinąd autoramentu. Tak tedy część mieszkańców

ziemskiego raju udaje się na nabożeństwo do innego „Raju". Do „Raju Loew'a" — „Loew's Paradise". Jest to największy kinoteatr na Grand Concourse. Przepychem i blaskiem przypomina, a kto wie — może i zaćmiewa komnaty Gan Edenu. Nie tutaj wszakże odprawia się nabożeństwo w Sądny Dzień, lecz w przyległej do kina sali bankietowej, też pod firmą „Paradise". I tu wpuszczają tylko za biletami. Jak na raj żydowski przystało — wejścia pilnują policjanci-Żydzi. Sprawdzają bilety. Za wstęp do „Raju" w raju płaci się dolarami. Do raju Gan Eden — całym życiem. Ale i w „Paradise" można wymodlić sobie łaskę przebywania po śmierci w kręgach Szechiny, czyli światłości Boskiej.

W wigilię Sądnego Dnia na Grand Concourse, niedaleko „Poe Cozy Nook" leżał na chodniku nieruchomy, krwią zalany — człowiek. Spokojnie i obojętnie mijali go ludzie z aksamitnymi woreczkami. Ani jeden się nie zatrzymał. Policjanci zaś pilnowali wejść do domów modlitwy. W pobliżu stał jakiś człowiek bez kapelusza, bez surduta, z podwiniętymi rękawami. Gdy moja żona zwróciła mu uwagę na leżącego, spojrzał na nią z pogardą i, żując gumę wycedził:

— *So what?* No to co?

— Przecież on krwawi!

— No to co, że krwawi? Niech zdechnie! O jednego pijaka będzie mniej!

Wnioskując z wyglądu, ani pijak, ani człowiek, który go potępił, nie byli Żydami. Ci coraz szybszym krokiem zdążali do domów modlitwy, bo już na wieży Dollar Saving Banku świecił neonowy zegar, lada chwila ukażą się gwiazdy. A jak ten człowiek nieznany, co krwawił na bruku niedaleko „Przytulnego kącika Poego" — tak przed stu i dwoma laty leżał w Baltimore, na podłodze tawerny Ryana inny pijak, równie jak ten wzgardzony i nędzny. Przed śmiercią zawołał „Panie, pomóż mojej biednej duszy!".

Przeto, o Panie, co sądzisz dusze Żydów i nie-Żydów, bądź miłościwy mieszkańcom Bronxu.

1952

III

1

III

MÓJ LWÓW

„To wszystko serce moje piastuje i pamięta
I jak tam chleb smakował i kędy rosła mięta,
Jak dusza tam się czuła radośnie wniebowzięta,
I jak ta ziemia droga, i jak jej pamięć święta".

Leonard Podhorski Okołów
(„Ojcowizna")

I

Tytuł tej gawędy, narzucony przez wydawców, rozgrzesza autora z zarzutu mówienia w niej o sobie. Zdawałoby się, że nie ma nic milszego od kąpieli w ciepłych strugach wspomnień, od wdzięczenia się do minionych lat. Ułudna to błogość. Bo nagle z dna pamięci wypłyną na powierzchnię świadomości monstra, o których wolelibyśmy zapomnieć. Czatuje też na wspominkarza stokroć gorsze niebezpieczeństwo, jakim jest samouwielbienie. Słabość bowiem do owych miejsc na świecie, gdzie upłynęły nam młode lata często jest tylko zamaskowaną miłością własną. Nie do Lwowa tęsknimy po latach rozłąki, lecz do siebie samych we Lwowie. Nie ma też groźniejszego fałszerza tzw. rzeczywistości, niż pamięć. Fałszuje ona wszystko: ludzi, pejzaże, wydarzenia, nawet — klimaty. Wiadomo np., że letnią porą w Zakopanem przeważnie pada deszcz. Jednakże nostalgiczna pamięć ukazuje zakopiańskie lato w pełnej glorii słońca, lub w przedwieczornym, różowo-liliowym rozżagwieniu Tatr. Pamiętamy Zakopanemu tylko pogodne dni tak, jak umarłym przyjaciołom — tylko zalety. Powinniśmy więc każdy obraz świata, odbity w pamięci, też uznać za rzeczywistość. Za rzeczywistość naszej duszy. A wtedy będzie już obojętne, czy Lwów był naprawdę taki, jakim go tu wspominamy, czy inny.

Słyszę głosy tysiąca cieni. Słyszę śmiech cieni: ludzi umarłych i ludzi żywych, ale tak już dalekich, że na pamięć naszą tylko

cień rzucają. Wielu kształtów już nie rozpoznaję. Zatarły się w pamięci, zlały się z innymi w nieforemną, choć malowniczą masę, z której, poprzez zwały minionego czasu, wydziera się bardzo intensywny zapach białego bzu i ściga mnie aż tutaj. Wołają też na mnie uporczywe dźwięki, np. zgrzyt tramwaju, skręcającego z ulicy Ruskiej — obok cerkwi Wołoskiej — w Podwale. Bezładne to zbiegowisko wspomnień-kalek, wspomnień-upiorów pcha się pod pióro niczym tłum *displaced persons* do kuchni UNRRY. Każda zjawa przeszłości jest bezdomna, głodna, zziębnięta, aż jej nie przygarnie, nie ogrzeje litościwe słowo. Ale nawet wówczas nie będzie ona jeszcze na swoim miejscu.

Tak oto wywołuję ducha dawnego Lwowa na coś w rodzaju miniaturowych „Dziadów". Nie bójcie się tego ducha. Nasze „Dziady" odprawimy na wesoło, gdyż nie przystoi celebrować miasta pogody, jakim je dziś widzi, słyszy, i niemal rękami dotyka — nostalgia.

II

Mój Lwów! Mój, chociaż wcale się tam nie urodziłem. Z dokładnych obliczeń wynika, że wszystkiego spędziłem we Lwowie osiemnaście lat. Nie tak wiele, jak na człowieka, który słusznie, czy niesłusznie uchodzi za Lwowianina i sam się tym chlubi. Co prawda, były to lata chłopięce i lata pierwszej młodości, a więc decydujące o całym późniejszym życiu. I zapewne, gdyby nie tzw. wielka wojna, jakże malutka w porównaniu z ostatnią, po dziś dzień siedziałbym sobie na Wałach Hetmańskich lub na Wałach Gubernatorskich, jako jeszcze jeden centuś, jeszcze jeden emeryt któregoś c.k. gimnazjum z językiem wykładowym — polskim. Grzecznie by mi się kłaniali siwi i łysi panowie, których niegdyś za karę stawiałem do kąta; lecz dawnym moim uczennicom kłaniałbym się pierwszy, a nawet niekiedy całowałbym ręce tych poważnych matron. Albo, karmiłbym preclami (z solą zakrzepłą na chrupkiej glazurze) nieistniejące już rybki w od dawna osuszonym, malarycznym stawku na dole parku Kilińskiego. Nawet lwowscy szewcy nigdy tego parku tak nie nazywali, gdyż jest to po prostu — park Stryjski. Albo spacerowałbym sobie każdego rana, na czczo, z gołą głową, w słotę i w skwar, zimą i latem — po alejach Wysokiego Zamku, nad fantastycznie zadrzewionymi przepaściami, jako rzeczywisty członek „Klubu Idiotów". Gapiłbym się też niekiedy na spódniczki z falbankami

i słuchał c.k. muzyki wojskowej w ogrodzie Jezuickim. Oficjalna nazwa tego starego i zaczarowanego ogrodu w samym sercu miasta brzmi: Pojezuicki. Ongi, przed wolteriańskimi edyktami cesarza Józefa II, była to domena Towarzystwa Jezusowego. Lecz pokażcie mi Lwowianina, co by wykrztusił z siebie taką skomplikowaną nazwę! — Dokąd idziesz? — Do ogrodu Pojezuickiego! — Przepraszam, ale nawet sam burmistrz Ciuchciński nie ośmieliłby się tak powiedzieć. Podobnie nikomu we Lwowie nie przeszłaby przez gardło świeża stosunkowo nazwa tego samego ogrodu: „Park im. Tadeusza Kościuszki". Nie, żeby Lwowianie mieli coś przeciw Naczelnikowi, tylko z wrodzonej niechęci do solenności, tak lubianej w innych stronach Polski.

Od czasu do czasu chodziłbym sobie pokibicować młodszej generacji przy kwitnącej na bardziej zakazanych przedmieściach grze towarzysko-sportowej, zwanej: kiczki. Za moich młodych lat uprawiano tę grę ze szczególną pasją na stokach Hycla Góry, zwanej od parady „Górą Stracenia Teofila Wiśniowskiego i Józefa Kapuścińskiego". Już sam fakt, że zaszczytnie pamiątkowe miejsca inaczej, bardziej poufale, nazywały się w życiu Lwowa, a inaczej w przewodnikach turystycznych, świadczy o wspomnianej powyżej niechęci do wszelkiej pompy. Uroczystym durniem nazywano u nas każdego, kto nazbyt serio traktował siebie i swoje zajęcia. A więc, gdyby nie pierwsza „światowa", oraz jej następstwa, siedziałbym sobie do końca tzw. ziemskiej wędrówki na jednej z magistrackich ławek król. stoł. miasta Lwowa. Bo niektórzy Lwowianie odbywają tę wędrówkę w pozycji siedzącej. Niekoniecznie zaraz — w Brygidkach.

Gdzie jesteście ławki lwowskich, parków, sczerniałe od starości i deszczu, chropawe i popękane, jak kora średniowiecznych, oliwnych pni? Pokolenia scyzoryków ryły na was imiona kochanek, jedyne dziś może pamiątki po starowinach, pochowanych na Janowskim lub Łyczakowskim cmentarzu. Gdzie jesteście dzisiaj? Kto i w jakim języku wyrzyna dziś na was inicjały miłości? A może którejś z tylu srogich wojennych zim rozkradziono was na opał i w płomieniach, co was pożarły, syczały czyjeś serca? Nie rozczulajmy się nad ławkami, bo okaże się, że nie nad nimi, lecz nad sobą się rozczulamy.

Opuściłem Lwów jesienią 1922 r. Czyli, że „mój Lwów" był głównie Lwowem z czasów zaboru austriackiego, stolicą „Królestwa Galicji i Lodomerii z Wielkim Księstwem Krakowskim, Księstwami Zatorskim i Oświęcimskim". Co? Tak jest — Oświęcimskim. (Czarno się robi dziś przed oczyma na dźwięk tego słowa). Następnie „mój Lwów" to — wojna polsko-ukraińska w latach 1918-1919 i pierwsze, krwawiące jeszcze lata odzy-

skanej niepodległości. Później, co najmniej raz w roku, przyjeżdżałem tam w radosną gościnę. A jechałem z bijącym sercem, (o ile coś podobnego w ogóle posiadam) jak staromodny oblubieniec do ślubu. Niecierpliwie wyczekiwałem w oknie wagonu, aż ukażą się podmiejskie lasy, a potem z falistej zieloności wyskoczą jedna za drugą, tak bliskie sercu (o ile je posiadam) wieże św. Jura, św. Elżbiety, Ratuszowa, Katedralna, Korniaktowska, Bernardyńska. I kopuła Dominikanów i kopuła Teatru Miejskiego i Kopiec Unii Lubelskiej i łysa Piaskowa Góra. (W latach okupacji niemieckiej piaski tej góry wchłonęły krew tysięcy męczenników). Rzadko bywałem przytomny, gdy pociąg zwalniał pędu i triumfalnie wjeżdżał do jednej z bliźniaczych, jak syjamskie siostry, przywartych do siebie hal wjazdowych — do jednej z tych półkoliście i bardzo harmonijnie sklepionych, szklanych hal Dworca Głównego. Na wiele już stacji zajeżdżałem w tej męczącej podróży, zwanej życiem, lecz żadna, z wyjątkiem może Gare du Nord w Paryżu, nie budziła we mnie takiego podniecenia, takich „metafizycznych dreszczów", jakby powiedział śp. Stanisław Ignacy Witkiewicz. Dworzec Główny był chlubą każdego Lwowianina. Doskonale pamiętam, jak się budował na początku naszego kochanego, dwudziestego stulecia. Pędrakiem, chodziłem w towarzystwie tzw. bony doglądać robót przy wznoszeniu tego cudu techniki i architektury, który miał zaćmić samą nawet Panoramę Racławicką. I zaćmił. Bo w całej ówczesnej Galicji i Lodomerii z Wielkim itd. nie było równie bogato i rzęsiście oświetlonego gmachu. W późniejszych latach Dworzec Główny służył mi nieraz za refugium przed matematyką i fizyką. Jesteśmy snać *refugee* przez całe życie: od kołyski do grobu zawsze przed czymś uciekamy. Podówczas wiałem tylko „poza szkołę", lub wyrażając się bardziej po lwowsku: chodziłem *hinter*. Tramwajem ŁD jeździłem z Łyczakowa na Gródek i, zamiast brać dwóje w którejś tam klasie c.k. VII gimnazjum przy ulicy Sokoła, spędzałem bardzo mile poranne godziny w wytwornej poczekalni II klasy kolejowej. Nie była to poczekalnia, lecz istny salon, pełen kandelabrów, luster, złoceń, oraz miękkich, pachnącą skórą obitych kanap i kozetek. Pachniała ponadto dalekością świata, czarem obczyzny. Czekało się tu nie tylko na odejście pociągu, lecz jak gdyby na samo szczęście, do którego kasy dworcowe biletów w owym czasie nie sprzedawały. Poczekalnia pierwszej klasy w ogóle nie była dostępna śmiertelnikom poniżej ekscelencji lub Baczewskiego. A zatem w poczekalni II klasy, pod opiekuńczym, naturalnej wielkości, portretem arcyksięcia Karola Ludwika w paradnym mundurze oficera ułanów i z blond brodą, czytałem sobie tzw. szerloki, czyli zeszytowe

edycje arcydzieł piśmiennictwa detektywnego. Nabywało się tę, jak mawiali rodzice i wychowawcy, „niezdrową lekturę" bądź w koleżeńskim handlu wymiennym, bądź u samych kastalskich źródeł wszelakich we Lwowie lektur, czyli w antykwarniach ojca Bodeka, syna Bodeka, ojca Menkesa, syna Menkesa, tudzież ojca, syna i wnuka Iglów. Ach, wy ojcowie, synowie i wnuki lwowskich antykwarzy, godnie rozsiadłych dynastiami wzdłuż całej parzystej strony ulicy Batorego! Jakąż nieludzką śmiercią przyszło wam ginąć w haniebnych latach masakry Żydów polskich.

Lecz wróćmy do naszych powrotów ze „świata" na Dworzec Główny, który ponoć już nie istnieje. Po przełomowym w moim życiu roku 1922, długa stosunkowo droga z Dworca na Łyczaków była mi jak gdyby szlakiem pokuty. Wzdłuż tego szlaku gryzły mnie wyrzuty: jak można było wyprowadzać się na stałe z tak pięknego i przychylnego miasta? Lecz gdy w końcu wjeżdżałem „jednokunką" w swojską ulicę Hofmana Opata, — sumienie się uciszało. Czułem się jak pątnik, któremu za odbytą pielgrzymkę odpuszczono wszystkie grzechy. Bo na ulicy Hofmana Opata witali mnie stróże, zarówno tych kamienic, w których mieszkiwałem (Hofmana 3, Hofmana 6, Hofmana 9, Hofmana 20, Hofmana 30, i narożnego domu przy ulicy Bonifratrów 2) tudzież tych, gdzie moja stopa, jako żywo, nigdy nie postała. Sienie wszystkich owych „realności" silnie czuć było naftą, którą witający mnie stróże polerowali na glanc drewniane klatki schodowe. Mimo to unosiła się w nich obficie woń kocurów. Niech mi będzie wolno w dalszym ciągu roztkliwiać się nad sobą. Otóż na ulicy Hofmana Opata i na jej przecznicach: Bonifratrów, Gołąba i Mikołaja Reja — witali mnie osiadli w tych stronach koncypienci adwokaccy, mundanci i solicytatorzy, profesorowie gimnazjalni, radcowie Dyrekcji kolejowej, a także Prokuratorii Skarbu, witali emerytowani nadradcowie śp. c.k. Namiestnictwa, czynni radcowie Województwa, kanceliści Magistratu, kominiarze, handełesi i listonosze, wybitny pisarz ukraiński Mychajło Jackiw, szewc Szapowałek, szynkarz Engelkreis, nierządnica Genia Smoczek, episjer czyli po lwowsku: grajzlernik Schwarz, grajzlernik Pafnucy Duma wraz z piękną żoną i takimiż córkami. Siwowłosa episjerka „Justianka", matka śp. Kazimierza Justiana, utalentowanego artysty teatrów warszawskich, zadawała mi zawsze to samo pytanie: „Co tam w Warszawie mówią o moim Kaziu?". Przeżyła, biedactwo, swego ukochanego Kazia, i rychło przestali o nim mówić w Warszawie.

Tak, tak, witali mnie na Łyczakowie łyczakowscy ludzie, bo byłem łyczakowskie dziecko, aczkolwiek urodziłem się pod samą granicą Wołynia. Wszystkie te moje powroty na łyczakowski

bruk miały coś z powrotu syna marnotrawnego. Ci ludzie zaś, zapewne, czuli do mnie żal o to, że, mogąc sobie spokojnie bel-frować we Lwowie, pachnącym jak jeden wielki „ogród zdrowia", wolałem jechać do jakiegoś podejrzanego teatru w Łodzi, o której wszystko można powiedzieć, tylko nie to, że pachniała. Może też mieli do mnie żal, że zamiast uszczęśliwić którąś z dorodnych, o i jeszcze jak dorodnych, łyczakowskich panien, wszedłem w związek małżeński z „królewianką". Ale, kto wie, czy na dnie tych wylewnych powitań nie kiełkowało ziarenko nadziei, że w końcu się namyśliłem, poprawiłem, nawróciłem i już więcej ze Lwowa nie wyjadę. Do rozwodu jednak nikt mnie nie namawiał. Tak, byłem marnotrawnym synem Lwowa.

Do ordynku niesforne wspominki! Nie rozpierzchać się, bo zawołam policaja w czarnym ceratowym czaku, z metalowym półksiężycem pod brodą i z zakrzywionym pałaszem. Gwizdnę i z otchłani czasu zleci się cała zgraja tych „dziadów", czyli „droniów". Najpierw komisarze ze złotymi szpadami, w czarnych „szlusrokach" ze złotymi guzikami i złotymi epoletami. Nie wszystko złoto, co się świeci, ale fakt faktem, że ci c.k. Polacy-szwarcgelberzy wyglądali bardzo szykownie, niczym oficerowie marynarki wojennej. Wśród komisarskiej elity Lwowa wyróżniał się nadkomisarz Tauer z czarnym podkręconym wąsikiem, specjalista od rozpędzania przedwyborczych demonstracyj. Za nim idą słynni ajenci czyli rewizorzy, czyli zwyczajnie: szpicle. Ubrani są po cywilnemu, za to na głowach noszą sztywniaki, habigi, ba, nawet cylindry. Przewodzi im wielki Baziuk, „Baziuk sam", postrach bandytów i hołodrygów. Za nim, w pewnym oddaleniu, postępują: Przestrzelski, Janklewicz, Lieblich i Ginzberg, któremu w roku 1918 ukraiński granat urwał głowę razem z cylindrem. Inspektor Ginzberg, specjalista od przerażania i rewidowania żeńskiej służby domowej, podejrzewanej w każdym lepszym domu o kradzież srebra, batystowej bielizny, mydeł Ihnatowicza, oraz innych krajowych wyrobów kosmetycznych, miał piękną córkę. O tych to herosach lwowskiej kryminalistyki składali uliczni bardowie długie i rzewne ballady, śpiewane nie tylko po celach furdygarni czyli aresztów policyjnych przy ulicy Jachowicza, nie tylko w więzieniu karnym czyli Brygidkach i nie tylko w ciupie „na Batorego". Jak długa i szeroka ziemia czerwieńska i gdziekolwiek na tej ziemi stały mamry lub przyzwoita mordownia, wszędzie niosła się gędźba o wąsalu Baziuku, poskromicielu dzielnego „dezentera" Jóźka Marynowskiego, lub o walce policierii z bandytą Białoniem. Dziwna rzecz, ile miejsca w folklorze tego miasta zajmuje policja, sąd i kryminał. Bo też nigdzie chyba morderstwa, kasiarstwa a nawet drobniejsze, bardziej kieszonkowe

delikty, nie były owiane takim romantycznym czarem, jak w tej śpiewającej stolicy batiarów i nadradców, co żyli, choć nie najlepiej, z wsadzania batiarów do kozy. Istota lwowianizmu, którą usiłuję tu z grubsza naszkicować, to przedziwna mieszanina wzniosłości i łobuzerii, mądrości i kretynizmu, poezji i pospolitości. Cierpki jest smak lwowszczyzny i przypomina smak tego niezwykłego owocu, co dojrzewa jakoby jedynie na przedmieściu Kleparów i zowie się: czerecha. Ni to wiśnia, ni czereśnia. Czerecha. Nostalgia lubi fałszować także i smak, karząc nam dziś odczuwać samą tylko słodycz Lwowa. Znam jednak ludzi, którym Lwów był czarą goryczy.

III

Jak gawrosz stanowił niegdyś typowy okaz ludzkiej fauny Paryża, tak najpospolitszym przedstawicielem człowieczej fauny Lwowa jest dziecko ulicy, znane w całym cywilizowanym i niecywilizowanym świecie pod madziarską nazwą batiara. Mylne wszakże byłoby mniemanie, że każdy batiar jest dzieckiem ulicy, a za ojca ma rynsztok. Batiary rodziły się również w patrycjuszowskich pałacach, a często w szlacheckich dworach. Niejeden z nich później trząsł parlamentem wiedeńskim lub chadzał w profesorskiej todze, pobrzękując dziekańskim, ba, nawet rektorskim łańcuchem, a nie — kajdankami. A po łacinie gadał — no trudno — z akcentem górno-łyczakowskim lub zamarstynowskim, co przecież nie mogło razić cieni starożytnych Rzymian, skoro nie wiemy, jak brzmiała antyczna łacina. Kto znał śp. profesora Wilhelma Bruchnalskiego, jednego z najznakomitszych polonistów lwowskiego uniwersytetu, lub śp. profesora Zygmunta Łempickiego, któremu Niemcy wynagrodzili śmiercią w Oświęcimiu długoletnie nauczanie w Uniwersytecie Warszawskim ich języka i literatury, nie zarzuci mi przesady. A skoro już wspominamy męczenników tej wojny, winniśmy złożyć hołd arcylwowskiej postaci, zbliżonej do batiara, jaką był śp. profesor Kazimierz Bartel, wielki „ktoś", uczony, mąż stanu i patriota. Kawał batiara tkwi w samym mieście, w całej jego fizycznej i moralnej strukturze. Wzniesienia i zapadłości, egzaltacja i przyziemność, balsamiczne wonie i pełtewny cuch. Przeczysty włoski renesans, kościelny i świecki, dzieła Pawła Rzymianina i Pietra Italo-Krasowskiego, równie bogaty barok, a obok wiedeńska secesja i koszarowa tandeta. Miasto — batiar jest nieobliczalne. Nie wiadomo kiedy przejdzie od patosu do groteski, od bohaterstwa do „strugania funia", od

pogrzebu w trzy pary farbowanych na czarno koni Kurkowskiego do — mitycznego „balu weteranów", zakończonego o północy zjawieniem się dwóch cywili, którzy nic nikomu nie mówili, światła pogasili i tylko w mordę bili.

Obok batiara zasłynął także lwowski kołtun. Typ to, jak wszystko, co lwowskie, złożony i trudny do zdefiniowania. Bo, co to jest kołtun? Dosłownie: choroba uwłosienia, spowodowana brudem. Po łacinie: *plica polonica*. W przenośni: człowiek nieoświecony, nieokrzesany, zacofany. Skrzywdzilibyśmy lwowską kołtunerię tą definicją. Albowiem nasz kołtun — to przede wszystkim członek bractwa kurkowego „Strzelnica". Większość braci stanowili co prawda niebardzo biegli w humaniorach majstrowie i starsi różnych cechów, nie wyłączając rzeźnickiego, lecz obok nich należeli do „Strzelnicy" także ludzie wykształceni, delikatni, a nawet, jak się przekonamy — uczeni. Na ogół lwowski kołtun — to poczciwy gbur, niewybredny łyk, bohater sztuk Gabrieli Zapolskiej. Przy tym patriota, przeważnie lokalny, z odcieniem tromtadracji. W patetycznych momentach bywał kołtun skłonny do wielkich ofiar — z cudzego życia i mienia. Niekiedy nawet z własnego. Dużą rolę za mojej pamięci odegrała kołtuneria strzelnicowa na lwowskim ratuszu, dostarczając miastu kilku wybitnych burmistrzów, jak: kowal Michał Michalski, blacharz Stanisław Ciuchciński i drukarz Józef Neumann. Rozumie się, że „Strzelnica" majoryzowała ławy radnych miejskich. Co roku wybierali bracia kurkowi swego króla i, wbrew temu, cośmy rzekli o niechęci Lwowa do pompy, — występowali na uroczystościach nadzwyczaj strojnie i szumnie: w kontuszach, przy karabeli, jak herbowa magnateria. Strój ten był od dawna przywilejem lwowskiego patrycjatu i niejako oficjalnym umundurowaniem prezydentów i wiceprezydentów miasta, bez względu na ich pochodzenie i wiarę. Jednym z trzech wiceprezydentów zawsze bywał Żyd, który na galówki też kładł czarny kontusz i przypasywał karabelę. Nikt się temu nie dziwił i nikogo to nie gorszyło.

Z wszystkich specymenów klanu kołtunów kurkowych najlepiej utkwił mi w pamięci radny Walery Włodzimirski. Z zawodu chemik, miał swoje laboratorium na parterze starej kamienicy przy ul. Jagiellońskiej — naprzeciw „Pawilonu szampańskiego". Chodziłem tamtędy do szkoły i nieraz ulegałem pokusie zajrzenia przez niskie okna — do środka. To, com widział, po dziś dzień kojarzy mi się raczej z alchemią, niż z chemią. Była to bowiem pracownia Fausta. Olbrzymia, nie pamiętam już czy sklepiona sala, zapchana stołami, szafami, półkami, na których gęsto połyskuje szkło najfantastyczniejszych kształtów. Dziwacznie po-

skręcane rury, leje, naczynia połączone, brzuchate banie, butle, metalowe zbiorniki, retorty i próbówki puste lub napełnione cieczą najrozmaitszych barw. A w tajemniczej głębi dymią piece, piecyki, sapią miechy, a wszystko — w nieziemskim, płowym świetle gazu. Czasem buchną jakieś niesamowite ognie i odbiją się wielokrotnie w bateriach szkła. Kłęby pary na moment wszystko zakryją, aby następnie odsłonić całe to czarnoksięstwo, wśród którego uwija się jedyna ludzka postać — niskiego wzrostu, w tużurku, o twarzy rumianej, ozdobionej dużymi, czarnymi, cesarskimi bokobrodami. Niekiedy przytknie do ust długą szklaną piszczałkę, rzekłbyś: zagra jakąś czarodziejską dumkę i obudzi uśpione w słojach trucizny i wyzwoli uwięzione śmierci, które zaczną się wić, jak węże, zaklęte graniem derwisza. Lecz nie przypominam sobie, żeby jakowyś dźwięk wyszedł z lewara, choć magik Włodzimirski dął zapamiętale, aż mu policzki spęczniały, a czarne bokobrody rozpostarły się na boki, niby skrzydła egzotycznego ptaszyska. Jeszcze chwila: a oderwą się od twarzy i ulecą w powietrze. W takiej chwili utożsamiałem Włodzimirskiego z czarodziejem Fregolo, który, obok, w sąsiednim domu, w kinie „The Dreamland", przy dźwiękach fisharmonii wyskakiwał na płótno z bajecznie kolorowych kwiatów i przepadał w fosforycznej chmurze dymu. Był to jeden z miraży owej poetycznej fazy młodej, podówczas, kinematografii. Tak, radny Walery Włodzimirski był niewątpliwie lwowskim Faustem. A to, że często pokazywał się publicznie w czarnym kołpaku z piórkiem, w kontuszu, z karabelą i z dużym pozłacanym kogutem na piersi, — przydawało mu ponadto podobieństwa do polskiego czarnoksiężnika Twardowskiego. Zwłaszcza ten kogut. Czar prysnął, kiedy, pewnego dnia, kazano mi zanieść do Włodzimirskiego zawiniętą w papier butelczynę z nader osobistym płynem. Bo, co tu dłużej ukrywać? Nasz Faust wszystkim niemal pacjentom tej dzielnicy miasta robił analizy, zanim nie wzięli się do tego aptekarze, czyli jak ich w dawnych nazywano wiekach — aromatariusze.

Skoro już mowa o aptekach, wspomnijmy przynajmniej te, co przyczyniły się zarówno do zdrowotności Lwowian, jak i do malowniczości lwowskiego pejzażu. Prawie każda miała swojego patrona, pięknie uwidocznionego na szyldach i wywieszkach. Dobór patronatu nad tymi arsenałami zdrowia świadczył niekiedy o dużej wyobraźni magistrów farmacji, których, nie wiedzieć czemu, pomawiano o brak wyobraźni. Bo jeśli np. apteka u zbiegu ulic: Zielonej i Wincentego Pola polecała swe preparaty czy klientów opiece Matki Boskiej — wszystko w porządku. Nie tylko we Lwowie modlili się do Niej ludzie o uzdrowienie.

Tak samo nie trzeba tłumaczyć nazwy apteki „Pod Duchem Świętym", lub „Pod Opatrznością Boską" (wywieszka: olbrzymie oko w trójkącie). Dlaczego jednak pan „aromatariusz" Antoni Ehrbar wybrał na patrona swej apteki na dolnym Łyczakowie vis-à-vis kościoła Klarysek — akurat rzymskiego cesarza Tytusa? Chyba nie na złość Żydom, którym ten cezar zburzył Jerozolimę? Owal jego widniał z obu stron wejścia do apteki, na kolorowych, na szkle malowanych medalionach, ponadto samo wejście wieńczyło popiersie imperatora z jakiejś imitacji brązu, czy z gipsu, pofarbowanego na brąz. Żeby zaś żadnych nie było wątpliwości, czytaliśmy aż w trzech językach, że to jest apteka „Pod rzymskim cesarzem Tytusem" — *Zum römischen Kaiser Titus — Sous (!) l'Empereur Titus (!)*. Gwoli jakim Francuzom skaleczono na Łyczakowie ich język, trudno odgadnąć, gdyż za moich lat nie tylko na Łyczakowie, ale w całym Lwowie niewielu mieszkało Francuzów. Było wprawdzie trochę rodowitych „Paryżanek" do wychowywania dzieci w tzw. lepszych domach, ale połowa z nich urodziła się raczej nad Pełtwią, niż nad Sekwaną; „zważywszy", że i sam konsul Trzeciej Republiki, piękny pan o siwej, patriarchalnej brodzie, był Polakiem i nazywał się Żebrowski. Był to, rzecz prosta, konsul honorowy, bo z niehonorowymi Lwów stosunków dyplomatycznych nie utrzymywał.

Dużą popularnością cieszyła się, tak u chorych jak u zdrowych, apteka „Pod Węgierską Koroną" na placu Bernardyńskim. Nazwa nie wymaga komentarzy, skoro „Polak, Węgier — dwa bratanki" (ale czyje?). Należała ta piękna apteka do radnego miejskiego i członka „Strzelnicy" Dra Jana Piepes — Poratyńskiego. Z biegiem lat, Piepes, żenująca pozostałość po zacnym dziadku, który wcale nie był Poratyńskim, gdzieś przepadł, — a został się jeno sam Poratyński, mężczyzna okazały, z dużą, czarną i pod każdym względem reprezentacyjną brodą. Szczególnie majestatycznie prezentował się on w kontuszu na procesji Bożego Ciała w pobliżu długo — i siwowłosej, lecz wzrostem niepokaźnej „świętej Tulii". Nazywano tak powszechnie znanego z dewocji rektora politechniki i radnego miasta — Maksymiliana Thullie. Lecz nietyle z cnót i urody właściciela słynęła apteka „Pod Węgierską Koroną", ile z najpiękniejszej szyby wystawowej w całej Galicji, Lodomerii, z Wielkim itd. Była ona tak piękna, że żadnych towarów aptecznych za nią nie pokazywano. Samą siebie ta szyba wystawiała na pokaz. Na tym, potężnych rozmiarów, szkle, wartości trzystu koron, nie tylko węgierskich, lecz austriacko-węgierskich (widzę, że powoli zaczynam myśleć w kategoriach amerykańskich), — otóż na tej 300 koronowej superszybie, specjalnymi kwasami wytrawiono na matowo prześliczną

koronę świętego Szczepana, patrona Węgier, ponadto — przeróżne secesyjne nenufary i girlandy, składając tym sposobem hołd smakom, panującym na początku naszego lubego stulecia. Gdy pewnego razu jacyś wandale stłukli to ubezpieczone, zresztą, arcydzieło sztuki szklarskiej, cały „kulturalny" Lwów poruszony był do głębi, i gazety pisały o tym tak szeroko, jak wiele lat później o pięknej Gorgonowej, co w samych Brzuchowicach zabiła swą pasierbicę, Lusię Zarembiankę.

Apteka i kryminał — to na ogół dość odległe pojęcia, lecz nie na placu Bernardyńskim. Bo od apteki (Piepes) Poratyńskiego do Sądu Karnego, z przyległym doń więzieniem, jest tylko parę kroków. Wystarczy przejść plac i udać się tam, gdzie stoi studzienka z nagą i skrzydlatą nimfą. Więc podumajmy sobie chwilkę nad specjalnością Lwowa, jaką były tzw. sensacje, czyli zabójstwa, „względnie" morderstwa. Piękne to były czasy, gdy parę razy na rok ktoś kogoś w naszym mieście przenosił do wieczności. Dla wyznań chrześcijańskich wieczność mieściła się przeważnie na cmentarzu Łyczakowskim. Lubiano u nas mordować bądź członków własnej rodziny, bądź też cudzej. Zdarzały się jednakże morderstwa niedoszłych członków rodziny własnej i to wcale nie z nienawiści do nich, lecz wprost przeciwnie. Krwią płaciły te ofiary za odmowę czy niemożność połączenia się węzłami krwi z osobą zabójcy. Taki właśnie wypadek przeszedł do potomności na skrzydłach pieśni o Lewickim. (Z tych prawdziwych, pacykowskich Lewickich). Z miłości zamordował on jedną zamężną aktorkę. Całej pieśni już nie pamiętam, lecz strzępy jej, chodzące, a raczej tańczące mi po głowie na nutę „Hajda Trojka" też zasługują na przytoczenie. Np.:

„Widzisz Lewicki, co miłość może:
W mogile ciemnej kochanki trup,
Tobie na szyję kat stryczek włoży
I szubienicy wnet ujrzysz słup".

lub:

„Nie trza ci było kochać mężatki,
To byś ty teraz wolny był,
Nie widziałbyś ty więziennej kratki —
I cieszyłbyś się zdrowiem w pełni sił"[1].

Kto się krzywi na moje zamiłowanie do lwowskiej pieśni batiarsko-kryminalnej, niech raczy pamiętać, że w pierwszych

1. Ostatni wiersz sam wymyśliłem, bo zapomniałem, jak brzmi w oryginale i nawet znakomity Lwowiak i znakomity malarz Zygmunt Menkes nie mógł mi go przypomnieć.

latach naszego kochanego wieku — w gimnazjum przy ulicy Sokoła — miałem zaszczyt być uczniem śp. Adama Zagórskiego, największego w Polsce znawcy literatury i muzyki tego gatunku. Kto by mi zaś wyrzucał, że jeno w imponderabiliach się lubuję, błahostki wyolbrzymiam, a lekce sobie ważę szacowną tradycję, historię, geografię, architekturę, słowem — kulturę *Leopolis semper fidelis,* że nic nie mówię o Lwowie" pomnożycielu polskości", o Lwowie „troistym", jak go nazwał prześwietny burmistrz tego grodu w XVII w., a przy tym niezgorszy, choć od brata Szymona gorszy poeta Józef Bartłomiej Ozimek, zwany Zimorowiczem — kto by mi brał za złe, że jakoby milczeniem pokrywam „Śluby Jana Kazimierza", Ossolineum, Colosseum, Muzeum Dzieduszyckich, Lubomirskich, Stauropigię, panoramę racławicką — ten, po pierwsze: nie ma racji, a po wtóre zapewniam go, parafrazując Terencjusza, że: *Leopoliensis sum et nihil leopoliensis a me alienum puto.* Lecz wyznaję, iż dla dziecięcej mej wrażliwości: przyjazd cyrku Bufallo Billa (w roku 1905, jeśli mnie pamięć nie myli), lub wieszanie mordercy Czabaka — to wydarzenia równie epokowe, jak przyjazd cesarza Franciszka Józefa, zabójstwo namiestnika, hrabiego Andrzeja Potockiego, lub obrzucenie jajami jego następcy, Michała Bobrzyńskiego. Stało się to w czasie promocji Juliusza Kleinera, promocji *sub auspiciis Imperatoris.*

Jako najzabawniejsze z tych wydarzeń wspomnijmy wizytę monarchy-starucha, miłościwie złożoną Lwowowi w roku 1903 przy sposobności „manewrów cesarskich" w rejonie Szczerca. Wtedy to zabłysnął wzmiankowany już burmistrz Ciuchciński. Prezydialną obleczon chwałą, siedział obok samego c. i k. apostolskiego Majestatu, siedział w pluszowej loży „cesarskiej" Teatru Miejskiego na przedstawieniu „Aidy" czy „Strasznego Dworu". Tym, bądź co bądź, niecodziennym faktem, czuł się nieco zażenowany. (Kto by się nie czuł?). Tym bardziej, że Jego Cesarska i Królewska Mość łaskawie chwaliła lwowską operę. Wzruszony uznaniem, spływającym nań z najwyższych ust, wybełkotał Ciuchciński historyczne słowa:

Jawohl, Majestät! Die Sänger sind gut, nur die Chóren sind schlecht.

Honni soit qui mal y pense!

IV

Nie ma Lwów legendy, złączonej z jego narodzinami, jak Wilno i Kraków. Żadne Mendogi, żadne Gedyminy nie zmie-

niały mu pieluch. Żelazne wilki nie kołysały go do snu mitologicznym wyciem. Prawda, że godłem miasta jest lew. Wypełnia nawet całą jego nazwę i — do pewnego stopnia — istotę. Grzywą i groźnym rykiem, który w dzień Sądu Ostatecznego czy atomowej bomby usłyszą tylko głusi, przypomina on znak firmowy wytwórni Metro-Goldwyn-Meyer. Lecz nie jest to lew legendarny. To zupełnie historyczny herb grodu, który w XIII w. po Chr. założył książę halicki — Lew. Królewien — topielic w stylu krakowskiej Wandy Lwów też nie posiadał. Może dlatego, że nie ma rzeki. Starsi ludzie oraz geografowie utrzymują co prawda, że Lwów leży nad rzeczką Pełtwią. Ale kto ją widział? Ja i moje pokolenie już jej nie oglądało, co najwyżej wąchało. W paru bowiem miejscach północnej peryferii miasta, za Wysokim Zamkiem i tam, gdzie ongi terkotał „Babi Młyn" — usiłuje Pełtew wydostać się spod ziemi, którą zasypał ją magistrat. Dawnymi czasy płynęła pono samym środkiem dzisiejszych Wałów Hetmańskich, lecz taka złowonna była, a przy tym płytka, iż nie tylko żadna królewna z pobudek patriotycznych, ale nawet zwyczajna kuchta z prywatnych przyczyn nie ryzykowałaby skoku w jej podejrzane nurty. Zasypano więc biedną Pełtew za pamięci naszych ojców, zdegradowano ją do roli kanału. Płacze teraz pod ziemią, lecz płynie i to pod samym Teatrem Miejskim, podobnie, jak jej paryska kuzynka, żywcem zakopana, rzeczułka Bièvre, co toczy swe fale pod gmachem Opery. Ciekawe jest powinowactwo, a nawet zewnętrzne podobieństwo obu tych teatrów w dwóch miastach świata, najbliższych memu sercu. O ile takowe posiadam.

Dobrze, no to nie ma Lwów ani przyzwoitej rzeki, ani legendy. Właściwie po co mu rzeka? Urbaniści i turyści powiadają, że gdyby Lwowowi zafundować rzekę, byłby drugą Florencją. Moim zdaniem Lwów ma więcej zieleni od Florencji, chociaż mniej renesansu. Ponadto przypomina Rzym, bo jak Rzym rozłożył się malowniczo na wzgórzach i szemrze w Rynku czterema studniami, nad którymi stoją bardzo udane posągi: Diany, Amfitryty, Neptuna, i Adonisa. Ma również Lwów swoją Santa Trinità dei Monti: to kościół Karmelitów, do którego też prowadzą wysokie schody. Co się zaś tyczy zubożenia krajobrazu brakiem rzeki, niewiele jest na świecie miast, równie ciekawych właśnie pod względem hydrograficznym. W gimnazjum przy ulicy Sokoła uczono mnie, że na tzw. Kortumówce, gdzie była strzelnica (nie ta od kołtunów, lecz od austriackiej infanterii) dzieją się dziwne rzeczy. Stoi tam sobie domek maleńki, ale bardzo a bardzo ważneńki. Bo, gdy lunie deszcz, to para rynien na jednym rogu domku odprowadza wodę do strumyka, co wpada do potoku, co

wpada do rzeczułki, co wpada do Bugu, co wpada do Wisły, co wpada do morza Bałtyckiego. Deszcz natomiast, spływający z rynien na drugim końcu domku, podobną kombinacją, zasila rzekę Dniestr, co wpada do morza Czarnego. Tym sposobem Lwów leży jednocześnie nad morzem Czarnym i Bałtyckim. I po co mu rzeka?

Nazwa Kortumówki niewiele dziś mówi; niegdyś mówiła więcej. Wzięła się od Ernesta Kortuma, pierwszego właściciela tych zalesionych wzgórz, oraz dworku, pod którym przechodzi dział wód. Zjechał ów Kortum do Lwowa zaraz po trzecim rozbiorze Polski, jako gorliwy sługa cesarza Austrii, Franciszka I, bywszy poprzednio gorliwym sługą na dworze króla Stanisława Augusta. Takie rzeczy się zdarzają i nie warto o nich mówić. Mówimy o Kortumie, ponieważ upamiętnił się nienawiścią do Polaków i nienawiścią do Żydów. A jak to nieraz bywa z ludźmi, co nienawidzą ludzi, kochał on wzniosłe ideały ludzkości. Odegrał więc wybitną rolę w dziejach lwowskiej masonerii, jako założyciel, wspólnie z drugim Niemcem, Fesslerem, loży „Zum Biedermann". W ostatnich latach Rzeczypospolitej i w następnych roił się Lwów od braci fartuszkowych, zgrupowanych w lożach takich, jak: „Trzy boginie", „Pod prawdziwą przyjaźnią", „Doskonała równość" i podobne.

O istnieniu lóż wolnomularskich słyszałem już we wczesnej młodości. Duże nawet wrażenie uczynił na mnie strój oraz insygnia mistrza dawnych farmazonów polskich, wystawione w gablocie Muzeum książąt Lubomirskich. Nieomal takie wrażenie, jak pancerz i skrzydła husarza spod Wiednia. Czym się zajmowała husaria — wiedziałem. Biciem pohańca. Ale, co to za mularze, co i gdzie murują i dlaczego siedzą w lożach — nie przestało mnie intrygować nawet w dojrzalszych latach. Bo loże znajdują się w teatrach i mogą być: cesarskie, prezydenckie, boczne, prosceniowe, Kasyna Narodowego... Żadnych mularzy tam nie widywano, od czasu gdy ukończyli budowę. A jeśli już który wybrał się do teatru jako widz, najczęściej kupował sobie bilet na galerię. „Panowie" zaś, co chodzili na premiery do lóż — kładli na siebie raczej fraki niż fartuszki. Jakaś bardzo tajemnicza historia. Szukałem tych lóż fartuszkowych po wszystkich piętrach nowego Teatru Miejskiego, starego Teatru Skarbka, w żydowskim Teatrze Gimpla, w ukraińskim im. Tarasa Szewczenki. Na próżno. Lecz zauważyłem, że w pewnych kołach towarzyskich Lwowa szeptano o lożach masońskich, jak o czymś gorszącym. Toteż w wieku, kiedy jesteśmy szczególnie wrażliwi na sprawy szeptane, domyślałem się, że chodzi tu po prostu o loże w surowo mi zabronionych teatrzykach *varieté,* w tzw. tinglach: Zehnguta,

w hotelu „Bristol" i u Franza Moszkowicza w „Casino de Paris". Tam, nocami odbywają się wyuzdane orgie z udziałem socjalistów, nihilistów i nagiej duszy Stanisława Przybyszewskiego. Apage Satana!

Lecz kto w Boga wierzył, mógł się we Lwowie modlić a modlić. Boć obok czerechy kleparowskiej i działu wód na Kortumówce, trzecią osobliwością naszego miasta są aż trzy katedry. Trzy katedry: łacińska, grecko-unicka, ormiańska. Każda czym innym wspaniała, każda wzniesiona w innym stylu, w innym wieku. Beniaminkiem jest tu niewątpliwie najmłodsza; grecko-katolicka cerkiew metropolitalna św. Jura. Godna wyróżnienia i przez to, że w XVIII w. zbudował ją nie żaden Włoch, tylko Polak, w dodatku komendant Kamieńca Podolskiego. Nazwisko co prawda miał nie bardzo polskie: Jan de Witt. Jakim on tam był komendantem Kamieńca Podolskiego — trudno dziś dociekać, ale że architektą był nie byle jakim, przyzna każdy, kto widział obie jego lwowskie kreacje: kościół Dominikanów i katedrę św. Jura. Umiał de Witt wybrać dla niej prześliczne wzgórze i umiał zestroić rokokową architekturę z przyrodą i powietrzem. Kolosalny, zamczysty, forteczny, a jednocześnie lekki, pełen gracji, niemal polotny jest ten święty Jur. I płynie nad naszym miastem i płynie nad naszą młodością, jak nadobłoczny okręt weselny. Szczególnie zachwyca wiosną, gdy się unosi ponad bujną zielenią parków i kwieciem osypanych sadów, co łagodnymi stokami owijają się dokoła dolnych kondygnacyj katedry. Okadzona wszystkimi wonnościami szczodrej lwowskiej primavery — podrywa się ta świątynia ku obłokom niby symbol niebiańskiego triumfu nad udrękami ziemskiego bytowania. W mrocznym jej wnętrzu sławne chóry ukraińskie śpiewają akafisty u złoconych „carskich wrót". I nawet ludzkie głosy są tu jakieś pozłacane, bizantyńskie. Głębokie, ciemne basy zdają się płynąć z samego dna owej przepastnej studni, gdzie każda ludzka dusza rozprawia się ze swymi grzechami. Z dna studni, skąd Jochanan wołał przed śmiercią, kim jest i czyje przyjście zwiastuje. A tuż obok, na murawie, na katedralnym wzgórzu, wesoło papasają konie. Myślałem, że to odwodowe rumaki samego świętego Jerzego, patrona katedry, posilają się runią miejskiej łączki, lecz omyliłem się. To były konie ze stajni arcybiskupiej i chodziły w ekwipażu J.E. Metropolity Szeptyckiego, wnuka Aleksandra Fredry.

Kiedym pierwszy raz w życiu stał u wejścia do Watykanu, przypomniał mi się lwowski święty Jur. Nie chciałbym urazić Stolicy Apostolskiej, ale czytelnik już się domyślił, co mi się lepiej podobało.

Nie piszemy Baedeckera, lecz trudno nie wspomnieć o katedrze łacińskiej, tym dziwotworze pod względem stylu i kształtu. Zasadniczo gotycka, budowla ta uległa w XVIII w. barokowi. Prosperowała tu w owym czasie „fabryka metropolitańska", arcybiskupa Wacława Hieronima Sierakowskiego, który przez długie lata zatrudniał rzesze miejscowych i zagranicznych architektów, rzeźbiarzy, malarzy, „marmoryzatorów", i „mozaistów", aż nadał katedrze wygląd dzisiejszy. Umiarem i harmonią wyróżnia się w niej czysto renesansowa kaplica z grobami braci: Pawła i Marcina Kampianów. Obaj byli lekarzami, a Marcin nawet poprzednikiem Ciuchcińskiego na ratuszu. Pozazdrościli Kampianom pośmiertnych splendorów inni dwaj bracia-mieszczanie z XVII w.: znów doktor medycyny Dziurdzia (Jerzy) i Paweł Boimowie, jak świadczy imię Dziurdzi — gente Wołoszynowie. No, i wystawili sobie na wieczne odpoczywanie jeszcze paradniejsze mauzoleum w najbliższym sąsiedztwie katedry. Trudno opisać oszałamiające bogactwo tej „kaplicy ogrójcowej", nazwanej tak od głównej, nad ołtarzem, płaskorzeźby, przedstawiającej Chrystusa w Ogrójcu. Kapią po prostu „Boimy" od kamiennych ludzi, aniołów i świętych, od inkrustacyj i sztukateryj, i to nie tylko wewnątrz, bo i cała fasada wygląda jak czarny kamienny tort lub szkatuła maharadży. To — robota niemieckich artystów. Kto by jednak chciał nadwyrężyć szyję, nie pożałuje tego, bo przy oglądaniu wnętrza kopuły i latarni naprawdę przypomni mu się Florencja i majoliki della Robbiów.

Boimów trochę się lękałem w latach, gdy formują się w nas lęki. Była tam wówczas bardzo elegancka kostnica z wyfraczonymi nieboszczykami w otwartych trumnach. Raz wszakże wszedłem umyślnie, aby zobaczyć zmarłego na gruźlicę poetę Adama Dobrowolskiego. W antologiach z tej epoki znajdujemy jego płomienny wiersz pt. „Evviva vita!". Autor tej apoteozy życia dożył najwyżej 30 lat.

Wypadałoby teraz powiedzieć coś niecoś o katedrze ormiańskiej, lecz wolę cicho siedzieć z obawy przed człowiekiem, który zna na pamięć każdy jej cal, a przebywa obecnie i naucza w Waszyngtonie. To twórca słynnych fresków w katedrze ormiańskiej — prof. Jan Henryk Rosen.

Więc niechaj nas rozmarzy wspomnienie kościoła Bernardynów, wizja tej niezapomnianej sylwety na tle lwowskiego nieba, które nostalgia oczyściła z chmur. Masywną fasadę wieńczy architraw z tryglifami i metopami, dźwigający wydatne gzymsowanie, na którym wspiera się cudo wdzięku i rytmu: wysoki, barokowy fryz. Przy każdej esownicy po obu bokach trójkątnego fryzu stoi jak gdyby na warcie kamienny mnich. Efekt tych mnichów, zwłasz-

cza na tle jasnego nieba przy księżycowej pełni — jest naprawdę niezrównany. Wysoko przed kościołem, na kolumnie, której podwójny cokół zdobią kamienne rokokowe latarnie, — klęczy z podniesionymi rękami błogosławiony Jan z Dukli. Kołyszą się pod nim rozkwitłe kasztany. Różowe i białe kwiaty sterczą jak pęki świec, zapalonych do modlitwy błogosławionego, modlitwy o wybawienie Lwowa. Obok, za klasztornym murem, pachnie sad. Znowuż sad w środku miasta. Ptaki świergolą na gałęziach, a z drugiej strony sadu, od ulicy Wałowej, słyszę gwar setek głosów. To w filii naszego gimnazjum u Bernardynów jest właśnie duża pauza. Dzwonią, ale nie w kościele. To dzwoni w szkole stary tercjan Bazyli, i pauza się skończyła i młodość się skończyła i spokój jest u Bernardynów i na ulicy Wałowej. Tylko w nas go nie ma.

Mógłby kościół Bernardyński uchodzić za najpiękniejszy we Lwowie, gdyby nie miał z pół tuzina konkurentów. W niedalekim sąsiedztwie stoi klasycznie renesansowa cerkiew Uśpienia Bogurodzicy, czyli Wołoska. Wołoska, bo swe czarujące istnienie zawdzięcza hojności hospodara wołoskiego Mirona Mohyły, co schronił się we Lwowie przed Turkami. Z cerkwią styka się wysoka wieża, uchodząca za najurodziwszą, jaką w stylu Odrodzenia wzniesiono na polskich i ruskich ziemiach. Ufundował ją Grek kreteński — Korniak czy Korniakt. Z niej to rozbrzmiewa najpotężniejszy lwowski dzwon, Kiryło. A w dziedzińcu Instytutu Stauropigijskiego wstydliwie ukrywa się przybudówka cerkwi Wołoskiej — szlachetna w swej surowości kaplica Trzech Króli, z iście florentyńską loggią. Swoim zwyczajem woli Lwów tę kaplicę nazywać bałabanowską, od nazwiska fundatora Bałabana, też Greka.

Bałabany, Korniakty, Mohyły, Boimy, Kampiany — cóż to za pstrokata zbieranina? To jest właśnie Lwów. Różnolity, wzorzysty, olśniewający, jak wschodni kobierzec. Grecy, Ormianie, Włosi, Saraceni, Niemcy, lwowieją przy tubylcach polskich, ruskich i żydowskich, a lwowieją „na fest". A cóż to za lew skrzydlaty tak wyzywająco spogląda znad bramy domu w Rynku nr 14? Usadowił się naprzeciw samego ratusza i drażni oba lwy, strzegące wejścia do magistratu. Pewno dlatego taki dumny, że magistrackie lewki to analfabeci, to kołtuny, a on — lew uczony. Albowiem oparł się na otwartej księdze, w której napisano:

PAX TIBI MARCE EVANGELISTA MEUS.

(Pokój ci Marku, ewangelisto mój!) Co to jest? Od tego Lwa i od tej łaciny powiało naraz zgniłą wodą, podróżą poślubną, rybami, mątwami, winem, oliwą i glicyniami — i słyszymy na lwowskim Rynku coraz głośniejsze uderzenia wioseł o ciche fale.

Słyszymy przeciągły gwizd — to *vaporetti* przybijają do kołychliwych pontonów — przystanków, chmary gołębi biją skrzydłami huczne brawa Ferdynandowi Feldmanowi w roli Shylocka i opadają na dach Prokuracyj. „Ach zejdź do gondoli!"...

Skąd ta Wenecja nad zasypaną Pełtwią? Skąd się przypętał lew świętego Marka? Przysłała go tu ongi Republika wraz ze swoim przedstawicielstwem handlowym i posadziła nad bramą kamienicy Massarich. Widocznie jej się to opłaciło, skoro w dawnych wiekach był Lwów ważniejszym ośrodkiem handlu zagranicznego niż za naszych czasów, kiedy to prof. Henryk Grosman wymyślił Targi Wschodnie na Placu Powystawowym.

Mógłbym wymienić jeszcze wiele kamiennych osobliwości Lwowa, chociażby synagogę Złotej Róży przy ulicy Blacharskiej. Kiedyś nawet namawiano mnie, żebym napisał dramat o tej „Gildene Rojze", co w zgoła szekspirowskich okolicznościach ocaliła renesansową synagogę od zburzenia. A któryż miłośnik sztuki może przejść obojętnie ulicą Żółkiewską i nie wstąpić do starej cerkwi światoji Piatnyci? I nie obejrzeć tam wielkiego ikonostasu z XVII w. z siedemdziesięciu obrazami w stylu bizantyńskim? Przy tzw. diakońskich drzwiach były „praznyczki", czyli obrazy, podawane wiernym do całowania w dni odpustowe... O, Boże! Boże Polaków, Ukraińców, Ormian, Boże lwowskich Żydów, wytępionych do szczętu! Bez końca mógłbym wspominać przybytki, które Ci, tak hojnie w tym mieście wznoszono, ale czas nagli do bardziej świeckich spraw. Świece się dopalają we wszystkich kościołach i bożnicach, noc się przesila, i rychło na Strzelnicy zaczną piać duchy wszystkich kogutów, co zdobiły piersi lwowskich królów kurkowych.

Królów! Królowie! Królewsko-stołeczne miasto Lwów znało innych królów, nie tylko kurkowych. Kazimierz Wielki bardzo sobie ten gród ulubił, odbudował po zgorzeli, wielu przywilejami obdarzył. Królowa Jadwiga nadała miastu dyplom, w którym czytamy, że „żadnemu mieszkańcowi ani w mieście ani za miastem żaden gwałt lub uszkodzenie stać się nie ma i wszyscy, tak Rusini, Ormianie, Saraceni jakoteż Żydzi przy swych prawach zachowani być mają". Król Jan Kazimierz 1 kwietnia 1656 r. złożył w Katedrze Łacińskiej swoje pamiętne śluby... A jeśli się zastanawiamy nad skłonnością Lwowian do całowania rączek lub przynajmniej do mówienia: „całuję rączki", — to, kto wie, czy genezy tego obyczaju nie należy szukać w roku 1658, kiedy to Sejm uchwalił dla posłów mieszczaństwa lwowskiego nie tylko przywilej głosowania na sejmach, ale i całowania ręki królewskiej.

No, ale skończmy już z całowaniem i z królami, bo jeszcze mnie posądzą o sympatie rojalistyczne, a ja tylko jednego króla we Lwowie pamiętam: Wasińskiego, króla włamywaczy. Nigdy mu ręki nie całowałem.

Od królów znacznie ważniejsi byli u nas burmistrze. O Zimorowiczu wspominaliśmy już, o Ciuchcińskim również, aliści burmistrzowali nam mężowie zgoła innego kalibru, takiego, co w pełni usprawiedliwia obecność lwa w pieczęci miasta. Np. Marcin Grozwajer. W roku 1648 odegrał on, choć z większym powodzeniem, rolę prezydenta Warszawy, Starzyńskiego. Dowodził mianowicie obroną Lwowa, zagrożonego i od Kozaków Chmielnickiego i od Tatarów Tuhaj-beja. Sam Grozwajer pisze, że Chmielnicki zażądał „abyśmy Żydy wszystkie wydali, jako tych, którzy tej wojny są przyczyną". Jak widzimy, przyczyna wszystkich wojen i wszelkiego na świecie zła nie zmieniła się od Chmielnickiego do Hitlera. Pisze Grozwajer w dalszym ciągu: „daliśmy respons, że Żydów wydać nie możemy dla dwóch przyczyn: pierwsza, że nie naszemi, ale królewskimi Rzplitej są poddanemi, druga, że z nami równo wszystkie koszty i niewczasy ponoszą gotowi będąc z nami po społu i dla nas umierać". W XVIII w. inny znów burmistrz, Marcin Solski, nie chciał uznać austriackiego zaboru. Wystosował on do pierwszego cesarskiego gubernatora Lwowa, grafa Pergena, oraz do generała grafa Hadika, memoriał, w którym dowodził (za Emilem Kipą cytuję *ipsissima verba* Solskiego): „że miasto Lwów nie może przysięgać nowemu władcy, skoro przysięgało Najjaśniejszemu Królowi Polskiemu". W roku 1914, gdy Rosjanie zajęli Lwów, a strzelnicowy prezydent Neumann uciekł do Wiednia, cały ciężar odpowiedzialności i opieki nad miastem wziął na swoje barki piękny, siwobrody wiceprezydent dr Tadeusz Rutowski. Wykorzystywał on swoją lekką głuchotę, ilekroć nie chciał słuchać rzeczy, których słyszeć nie chciał. Toteż Rosjanie, opuszczając Lwów, wywieźli go w głąb carskiego imperium, jako zakładnika. A gdy na krótko przed śmiercią wrócił do Lwowa, stał się przedmiotem powszechnej adoracji. Tak, nie tylko kołtunów mieliśmy na Ratuszu, strzeżonym przez kołtuniaste lwy.

V

Zanim od kamiennej fauny Lwowa przejdziemy do kreatur z krwi i kości, poświęćmy ciepłe słówko ludziom z kamienia

i brązu, którzy niejednej zakochanej parze służyli za „umówiony jawor". Z wieku i urzędu należy się pierwszeństwo Sobieskiemu na Wałach Hetmańskich, tym bardziej, że jest to jedyny w naszym mieście przedstawiciel kamiennej konnicy. Krwisty rumak, zdarty królewską ostrogą, staje dęba na zadnich kopytach, a podpiera się potężnym ogonem, sięgającym cokołu, na którym leży rozwalone tureckie działo. Przednimi nogami bojowy ten wierzchowiec rzuca się heroicznie na Galicyjską Kasę Oszczędności. Sam zwycięzca spod Wiednia do złudzenia przypomina (zwłaszcza Ukraińcom) Bohdana Chmielnickiego. Buzdyganem pokazuje nieprzyjaciela niewidzialnym hufcom, których należy się domyślać w tyle, w słusznie tak nazwanej kawiarni „Wiedeńskiej". Rzadko pomnik Sobieskiego patronował amorom. Raczej garnęły się ku niemu roje wyznawców innego bóstwa: Merkuriusza, który tu, na świeżym powietrzu, pod lipami i kasztanami, miał jedną z licznych filii swej świątyni tj. Czarnej Giełdy. Lecz opodal, na placu Mariackim, niepodzielnie triumfował Apollo. Na wysokim piedestale, u stóp strzelistej różowej kolumny, skromnie przystanął Mickiewicz. Szeroka bunda pielgrzymów tradycyjnie okrywa jego wątłe barki. Głowa odkryta. Nikt jeszcze nie widział Mickiewicza w kapeluszu. Jakaś skrzydlata, przystojna, na pół rozebrana kobieta sfrunęła z dachu kamienicy Sprechera i, przylepiwszy się w locie do kolumny, podaje zdumionemu wieszczowi ów antyczny instrument, na którym ani on, ani żaden inny literat nigdy nie grywał, a który to instrument nawet ludzie z wyższym wykształceniem fałszywie nazywają lirą. Pomnik Mickiewicza też nie nadawał się do miłosnych spotkań. Był za to ulubionym punktem zbornym dla wszelkiego rodzaju manifestacji. Patriotyczne pochody tu zwykle się rozwiązywały po wysłuchaniu płomiennych mów. W tyle, za kolumną, na dachu domu, gdzie mieścił się skład lamp naftowych Dittmara i Ski — ledwo nastawał zmrok — zapalała się i gasła, zapalała się i gasła pierwsza we Lwowie elektryczna reklama: kinoteatru „Bajka". Duże żarówki, ułożone w kształt liter B, A. J, K, A, zapalając się i gasnąc, zapalając się i gasnąc, tworzyły świetlny akompaniament pod kadencje mówcy, co potężnym rykiem zapewniał tłumy:

„My zaważymy na szali dziejowej!"...
— BAJKA —
„Jeżeli kasyno końskie myśli, że i tym razem wygra wybory do Sejmu, to się grubo myli!".
— BAJKA —

Tu śpiewano wszystkie chorały narodowe i socjal-rewolucyjne, tu w dzień jubileuszu Romanowych uroczyście spalono

portret Mikołaja II. Nazajutrz J.E. c.k. namiestnik musiał przepraszać rosyjskiego konsula.

Pomnik Agenora hr. Gołuchowskiego u wylotu Ogrodu Jezuickiego i ulicy Trzeciego Maja bardziej odpowiadał zakochanym niż politykom i czarnogiełdziarzom. Niektórzy politycy wprost nienawidzili go, i co pewien czas dawali upust swej nienawiści, odłupując twórcy „dyplomu październikowego" to ucho, to nos, to inną, łatwą do oderwania część ciała lub garderoby. Naprzeciw Muzeum Przemysłowego, na Wałach Hetmańskich, stał w krzaczkach niepozorny, lecz w zbroję zakuty hetman Jabłonowski. W mniemaniu, iż znakomitemu hetmanowi bardziej będzie do twarzy naprzeciw kościoła Jezuitów — przeniósł go rzutki magistrat, już za polskich czasów, na plac Trybunalski. Miał jednak pecha ten hetman. Pewnej ciemnej nocy ukradli go jacyś nieznani figlarze, zostawiając na placu jeno pusty cokół. Lecz, od czego jest sławna policja? W krótkim czasie udało się jej odnaleźć rycerza, którego z powrotem ustawiono na placu Trybunalskim, i na pocieszenie pozłocono niczym orzeszek na choinkę. Z innych naszych pomników warto wymienić Franciszka Smolkę na placu Smolki. Sterczał tam jak niezłomny symbol parlamentaryzmu i demokracji: odwrócony tyłem do Kasyna „końskiego", gdzie podolscy oraz inni hrabiowie rżnęli w karcięta. Mieszczaństwo rżnęło w to samo w Kasynie Miejskim przy ulicy Akademickiej. Na skwerku stał tam skromny biuścik hrabiego, pisującego piękne wiersze. Cała Polska śpiewała i chyba śpiewa po dziś dzień bolesny chorał do jego słów: „Z dymem pożarów". Wspomnienie popiersia Kornela Ujejskiego kojarzy mi się z zapaszkiem rozbratli, smażonych nieomal codziennie w kuchni Kasyna dla członków i zaproszonych gości. Trochę dalej, na placyku swojego imienia, siedział w fotelu, z gęsim piórem w ręku największy z hrabiów w polskiej literaturze scenicznej. Siedział jakiś obrażony — pewno na tych aktorów, co naprzeciwko, w kawiarniach „Roma" i „Szkocka" zupełnie dobrze grali w szachy, a zaś jego komedie w Teatrze Miejskim... ach, bądźmy pobłażliwi cieniom.

Lecz nie tylko hrabiom i poetom stawiał Lwów posągi. Miał i szewc Kiliński swój monument w Stryjskim parku, którego żaden Lwowianin nie ośmielił się nazwać parkiem Kilińskiego. Miał i sukmanny bohater spod Racławic w parku Łyczakowskim, zwanym oczywiście na jego cześć parkiem Bartosza Głowackiego. Ale dajmy już spokój hrabiom, bohaterom i poetom z brązu i z kamienia. Pomyśli kto jeszcze, że w „moim Lwowie" wcale nie było żywych. A przecie hrabiów mieliśmy — zatrzęsienie, bohaterów bez liku, a poetów coś kilkunastu. Pierwszego w ży-

ciu, ruszającego się, poetę poznałem w przepełnionym pociągu, tzw. bummelcugu, odwożącym niedzielnych wycieczkowiczów z Brzuchowic do Lwowa. Nawet w korytarzu był taki tłok, iż o mało co nie pogniotłem dostojnego staruszka z siwą, lecz pięknie przystrzyżoną brodą. Spojrzał na mnie dobrotliwie i łaskawie jął wypytywać: jak się nazywam, do jakiej szkoły chodzę, czym chciałbym zostać, co czytam itd. — Inspektor jakiś — pomyślałem sobie — radca dworu Dworski, licho go tam wie. Miałem wówczas trzynaście lat i nie ufałem dobrotliwym starcom, zadającym dziatwie niedyskretne pytania. Nagle staruszek zapytał wręcz: „A wiesz ty, kto ja jestem?". Nie miałem pojęcia. Lękliwie zaprzeczyłem głową.

„A nie uczyłeś się na pamięć moich wierszy?".

Ogarnął mnie paniczny strach: a nuż trzeba będzie coś zarecytować. Lecz w okamgnieniu strach ustąpił ciekawości, kto to może być. Myślę, myślę, — Maria Konopnicka! — błysnęło mi w mózgu, bo najwięcej wierszy i tzw. „ustępów" w naszych czytankach zawdzięczaliśmy tej poetce. Lecz zdrowy instynkt ostrzegł mnie w porę i powstrzymał od powiedzenia jej nazwiska na głos. Maria Konopnicka, bądź co bądź, była kobietą, a ten stary pan raczej nie. Więc kto to jest? Myślę, myślę. Oprócz Konopnickiej nie żałowano nam w szkole tasiemcowych poematów Syrokomli.

— Pan Syrokomla? — wybełkotałem rozanielony.

Staruszek spochmurniał. Z jego świętomikołajskich oczu zniknęły ciepłe, dobrotliwe blaski. Tylko jego szkła połyskiwały jak lód.

— Nie! — rzekł surowo. — Zgadnij!

Czułem, że lecę w przepaść, że tonę. Naraz jak deski ratunku uczepiłem się brody, siwej, przystrzyżonej brody i okularów. Już je kiedyś widziałem: widziałem w pismach ilustrowanych, chociaż twarz była bardziej pociągła. Ależ to on! To na pewno on!

— Pan Sienkiewicz? — wyszeptałem zaświatowo.

Miły wujaszek przeobraził się teraz w strasznego dziadunia:

— Wstyd coś takiego mówić. Sienkiewicz nie pisze wierszy. A znasz ty wierszyk: „Kto ty jesteś? — Polak mały!"?

Znam, znam i jednym tchem dopowiadam drugą zwrotkę: „Jaki znak twój? — Orzeł biały". Jestem uratowany, aczkolwiek w dalszym ciągu nie mam pojęcia, kim jest autor. Lecz on już się udobruchał. Jego próżność, żywo reagująca nawet w tak podeszłym wieku, została już zaspokojona. Nie przypuszczał, iż mogę nie znać jego nazwiska, skoro umiem na pamięć jego sławny utwór.

— Przyjdź do mnie, synku do Ossolineum — rzekł znów życzliwie — dostaniesz ode mnie książeczkę!

Po przyjeździe do domu natychmiast zajrzałem do wypisów polskich i stwierdziłem, że miałem zaszczyt jechać z Brzuchowic z Władysławem Bełzą. Nigdy go w Ossolineum nie odwiedziłem.

Takie było moje pierwsze zetknięcie się z żywym poetą. Zawieranie znajomości z innymi było już mniej ambarasujące. Przynajmniej dla nich. Stopniowo poznałem prawie wszystkich, którzy we Lwowie mieszkali, a więc: ociemniałego Stanisława Barącza, współpracownika „Chimery", tłumacza „Fausta", i wiecznego młodzieńca Stanisława Maykowskiego, polonistę, który masowo produkował wiersze i odczytywał je licznym wielbicielkom w gimnazjum Strzałkowskiej, po czym je wrzucał (wiersze, nie wielbicielki) do olbrzymiego kufra czy wora, skąd tylko niektóre wędrowały do redakcyj miejscowych pism. Lubiłem dyskutować z poważnym góralem Józefem Jedliczem, tęgim lirykiem i recenzentem teatralnym. Przetłumaczył on pięknie „Ptaki" Arystofanesa. Znałem oczywiście Henryka Zbierzchowskiego i po dziś dzień żałuję wybryku, jakiego dopuściłem się w młodzieńczym rozzuchwaleniu, pisząc mu za życia nekrolog, drukowany w poznańskim „Zdroju". Starzejący się Zbierzchowski odpowiedział mi ciętym wierszykiem w piśmie satyrycznym „Szczutek", co mi raczej pochlebiało. Okrutni jesteśmy w młodości. Nie pobłażamy zwichniętym karierom. Zawiedzione ambicje, przedwcześnie, walką o byt steranych kolegów, są dla nas tematem do drwin. I zanim życie nas samych porządnie nie trzepnie po łbie — domyślamy się nawet, ile smutnej rezygnacji jest w poecie, który dla tzw. chleba, a czasem — jak w tym wypadku — i wina, tudzież pokrewnych napojów, musi codziennie pisać wierszyki do „Gazety Codziennej" lub „Ikaca". Rychło Zbierzchowski puścił w niepamięć mój sztubacki kawał i bardzo serdecznie pisał o mnie w tej samej gazecie, gdzie ogłaszał wierszyki, które wykpiłem w nekrologu. Teraz naprawdę nie żyje i już nie może czytać tych słów, którymi go żegnam i przepraszam jego bujną, cygańską, a tak lwowską duszę.

Leopolda Staffa, tego łyczakowskiego Florentyńczyka z epoki Wawrzyńca Wspaniałego, widziałem we Lwowie raz jeden tylko. Było to, zdaje się w roku 1912, gdy kłaniał się przed kurtyną Teatru Miejskiego, wywoływany na premierze swego dramatu pt. „Wawrzyny". Marzenie, aby go osobiście poznać, spełniło się dopiero wiele lat później — w Warszawie. Tamże poznałem zwarszawiałych Lwowiaków: Karola Irzykowskiego, Kornela Makuszyńskiego i Feliksa Przysieckiego. Co prawda, przed pierwszą

wojną widywałem Przysieckiego we Lwowie niemal codziennie, gdy zdążał do redakcji „Wieku Nowego", sąsiadującej z naszym gimnazjum przy ul. Sokoła. Nie przeczuwałem nawet, że ten długonosy elegant, ten laskonogi reporter w organie Laskownickiego, jest jednym z najrzetelniejszych poetów lirycznych, jakich Polska miała.

Bożyszczem mej młodości był wszakże zamieszkały we Lwowie kujawianin, Jan Kasprowicz. Kiedym w roku 1920 po raz pierwszy ściskał jego rękę, myślałem, że lwowska ziemia pode mną się zapadnie. I dziwiłem się, że ten krępy brzuchacz o pomarszczonej, jakby pergaminowej twarzy smutnego Satyra, z czołem, sklepionym jak kopuła Dominikanów, którą przepoławia czarny, jak sadza, lok, że ten gruby Marchołt o gotyckich brwiach Mefistofelesa, spod których spoglądają oczy pastuszka — nie grzmi i nie huczy jak dzwon Kiryło, lub jak organy w katedrze. Dziwiłem się, że Kasprowicz w ogóle jest człowiekiem i ludzki wydaje głos. Czasem, gdy się doń zbliżałem, miałem wrażenie, że to chodząca góra, jakiś pomniejszy tatrzański szczyt, i zdawało mi się, że słyszę szum siklawy i sypiący się piarg. Żywiołem był Kasprowicz, lawiną na lwowskim bruku i mitem, chodzącym na wino do handelków śniadankowych. Gdzież są te czasy, gdzie te miejsca, w których nawet osoby poetów tak magicznie oddziaływały na młodzież?

Z rówieśników literackich najbliższy mi był Jan Stur. Kolega z tej samej szkoły, o klasę wyżej, zasługuje on na obszerniejsze wspomnienie, niż mogę mu tutaj poświęcić. Poeta natchniony, mistyczny, niezawsze zrozumiały, prorok opętany, apostoł bezwzględny — pisywał długie poematy nie tylko po polsku, lecz i po francusku i po niemiecku. Debiutowaliśmy jednocześnie w Poznaniu i tego samego dnia wyszły nasze pierwsze książki. Można Stura uważać za kontynuację Przybyszewskiego, ale i za prekursora wielu, modnych dziś, poetów. Przez parę lat walczył po bohatersku o to, co wówczas nazywało się nową sztuką, o ekspresjonizm i chrześcijański pacyfizm. Pisał też żarliwe eseje, wskrzeszające Tadeusza Micińskiego i Sar Peladana. Miażdżył naturalizm, realizm, karcił kabaretowe odnogi warszawskiego „Skamandra". Miotał się, jak szlachetny płomień, uwięziony w drobnym i chorym ciele. Aż zgasł na gruźlicę, przeżywszy 28 lat. Z tą śmiercią skończyła się moja młodość.

Tego samego roku, co Jana Stura, zakopano na Łyczakowskim cmentarzu jego przeciwnika, starszego nieco, bardziej umiarkowanego poetę i dziennikarza, Jana Gellę. Obaj toczyli gwałtowne spory i, o mało co, nie doszło do pojedynku. W parę lat potem dogonił ich w śmierci trzeci Jan — Zahradnik. Fenomenalnie

uzdolniony liryk, pupil Maykowskiego, już jako uczeń gimnazjalny drukował wiersze w „Słowie Polskim". Jego wrażliwość i dojrzałość były po prostu podejrzane w tak młodym wieku: nie rokowały długiego żywota. I zmarnował się, zapił — ten ulubieniec bogów — i poszedł na galopujące suchoty, napsuwszy jadowitymi artykułami, niejednemu pisarzowi, krwi. Pamiętam ów świt wiosenny, kiedy po całonocnej libacji odprowadzałem Zahradnika, naonczas ucznia VII klasy, do konwiktu OO. Zmartwychstańców przy ulicy Piekarskiej. Stosowano tam wobec wychowanków surowe rygory. W pijackiej desperacji chciałem przekupić brata-furtiana, żeby nie doniósł przełożonym Ojcom, gdzie i jak uczeń Zahradnik spędził noc. Biedny Zahradnik!

Tak, cała nasza pamięć powoli staje się cmentarzem. Gdzie ją ruszyć — groby. Groby tych, co zmarli śmiercią „naturalną", uroczyście pogrzebani i suto opłakani. A jak strasznym garbem wyrosły na pamięci nie wiadomo gdzie i przez kogo wykopane, zbiorowe mogiły ofiar ostatniej rzezi! Nad nimi nie płakał nikt. W roku 1939 zginął we Lwowie poeta, Stanisław Rogowski. Potem męczeńską śmierć ponieśli poeci i pisarze: Halina Górska, Aleksander Dan, Tadeusz Hollender, Józef Kretz-Mirski, Włodzimierz Jampolski i mój uczeń z gimnazjum, Karol Dresdner. Nie chcąc iść, do ghetta pozbawił się życia Henryk Balk. Niechaj lwowska ziemia lekką im będzie, jeżeli doznali łaski leżenia w ziemi.

Osobne *ultimatum vale* należy się Ostapowi Ortwinowi. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało: Katzenellenbogen i śmieszyło ludzi, słabo orientujących się w niemieckim średniowieczu. Stoi nad Renem, jeśli go nie zbombardowano, warowny zamek grafów Katzenellenbogenów z XIV w. Jako „sponsor" największego Niemca w średniowiecznej liryce, Herr Waltera von der Vogelweide (1170-1230), występuje również jakiś Katzenellenbogen. Ostap Ortwin nie był hrabią, lecz trudniej o bardziej arystokratyczną postać i duszę. A co się tyczy sponsorowania poetom, po prostu tym się trudnił. Odkrył Staffa, utorował Stanisławowi Brzozowskiemu drogę do sławy, a zwłaszcza do zrozumienia. Był znakomitym krytykiem, ale nie chciało mu się pisać. A jeśli nawet chciał, nie miał na to czasu, ponieważ bezustannie czytał. Czytał wszystko: od Spenglera i Bendy aż do artykułów wstępnych w każdym piśmie codziennym. Swoje opinie zwykł był wyrażać głośnym krzykiem, od którego trzęsły się duże szyby kawiarni „Roma". Tam przeważnie siadywał w godzinach, wolnych od pracy zarobkowej. Przed pierwszą wojną był redaktorem wydawnictw Połonieckiego, w czasie wojny austriackim sędzią wojskowym, potem majorem w polskim korpusie sądowym, potem

urzędnikiem Targów Wschodnich. Każde zajęcie traktował poważnie i śmiał się z wszystkich i z samego siebie. Tak jak on, chyba tylko olimpijscy bogowie umieli się śmiać. Ortwin, ostatni prezes lwowskiego Związku Literatów, był, zdaje się, jedynym polskim pisarzem pochodzenia żydowskiego, przed którym cofały się z rewerencją bałwany antysemityzmu. Zdawało się, że w ogóle jest nietykalny. Wysoki, barczysty, siwy, smagły, z krzaczastymi brwiami i czarnym kozackim wąsem, już samą swoją prezencją paraliżował zapędy kanalii. Beształ policjantów, którzy go chcieli legitymować za głośne po nocach wygrażanie się futuryzmowi na sennych ulicach Lwowa. Zbesztani policaje salutowali go jak najwyższego swego zwierzchnika.

Chodził po Lwowie sobowtór Ortwina, niejaki inżynier Piotrowski. Nawet tak samo się ubierał. Ilekroć obaj sobowtórzy mijali się na ulicy, zdejmowali identyczne czarne kapelusze z szerokim rondem. Tak przez wiele lat składali sobie ukłon, chociaż wcale się nie znali. Pozdrawiali tylko swoje podobieństwo oraz świadomość sobowtórstwa. W roku 1942 okazało się, że Ortwin nie jest nietykalny. Wielką i rogatą duszę wypędzili Niemcy z tej „pańskiej" postaci. Jeżeli w zaświatach są kawiarnie, z pewnością w jednej z nich siedzi teraz Ostap Ortwin, zgarbiony nad stosem gazet, tym stosem ofiarnym, na którym za życia złożył własne pisarskie ambicje. I śmieje się głośno spoza płachty „Czasu" lub raczej jakiejś „Bezczasowości", i czyta, czyta, krzyczy, gromi, i śmieje się z nas wszystkich, aż strop niebieski się trzęsie.

VI

Zejdźmy z nieba na ziemski padół, skoro do knajpy nas ciągnie. Niemało ich tam było we Lwowie, a każda inną roztaczała aurę i gości gromadziła odmiennych. Na ogół przeważały kawiarnie typu *viennois* z trzema szklankami zimnej wody, podawanej do małej filiżanki kawy, lokale z mniej lub więcej powabnymi kasjerkami za kontuarem, które wydzielały kelnerom kontramarki, łyżeczki i cukier. Kelnerzy oraz „oberzy", czyli płatniczowie, rekrutowali się najczęściej z niemieckich kolonistów i nazywali Bechtloff „względnie" Bisanz. O każdej porze dnia można było wejść do którejkolwiek z większych kawiarń i zawołać: Panie Bisanz!", a z pewnością zgłaszał się przysadzisty jegomość w smokingu i uprzejmie odpowiadał: „Służę panu

radcy" (hrabiemu, dziedzicowi, profesorowi, doktorowi) „Panie Binsanz! Płacić!" — „Panie ober! Melanż!" Panie Bechtloff kapucyna! — Oto echa zatopionych czasów.

Istniały we Lwowie kawiarnie, gdzie uczęszczali sami tylko mężczyźni. Pojawienie się białogłowy w takiej np. „Europejskiej" u zbiegu ulic Jagiellońskiej i Trzeciego Maja było niepokojącą rzadkością, chociaż już w owych czasach niektóre damy zabierały się do interesów. Za to w innych, bardziej wykwintnych, kawiarniach pełno było kobiecości, najrozmaitszych odcieni i lat i strojów. *Odor feminae* nadawał tym lokalom drażniący, wielkoświatowy aspekt i zapraszał zarówno do marzeń jak i do trzeźwych medytacji nad posagiem. Wymieńmy tu przede wszystkim artystyczną kawiarnię „Sztuka" na piętrze w pasażu Andriollego, gdzie przyciemniano nastrojowe światła, kiedy długowłosy skrzypek Wasserman grał „Träumerei" Schumanna. Sławną literacką kawiarnię Schneidra pamiętam jakby przez mgłę. Przed zdemolowaniem domu, gdzie się mieściła, raz jeden tylko tam zaszedłem, i to nie jako gość, lecz w prywatnej sprawie do płatniczego, który był ojcem naszego kolegi, Kazia Purskiego. Kazio Purski zmarł na suchoty w drugiej lub trzeciej klasie. W późniejszych latach, już jako bywalec kawiarniany, często spotykałem ojca Purskiego przy kelnerskiej pracy w różnych lokalach, lecz widzę go dziś jeszcze, jak płacze nad trumną syna.

Niesamowite wrażenie sprawiali na mnie znajomi kelnerzy z „Romy", gdy jako goście siedzieli przy stolikach np. kawiarni „Renaissance" i kazali sobie usługiwać zatrudnionym tam kolegom. Nosili wyzywająco jasne marynarki i kolorowe krawaty. To był ich odświętny strój. Czarne robocze smokingi i fraki wypoczywały w domu i wyparowywały z siebie powszedni mozół.

Z kawiarnią „Renaissance" łączy się pewne wydarzenie, które dziś jeszcze napełnia mnie dumą. Zawsze byłem wielbicielem renesansu, ale to, com przeżył w kawiarni „Renaissance" przy ulicy Trzeciego Maja i Kościuszki — kwalifikuje mnie raczej na postać średniowieczną. W kawiarni tej bowiem odparłem zwycięsko kuszenie szatana. W czasie mej krótkiej kariery belferskiej musiałem niekiedy — mimo wrodzonej łagodności — walić dwóje zarówno uczniom jak i uczennicom. Wspomniany wyżej szatan, postać zresztą mało średniowieczna, a jeszcze mniej renesansowa, wcielił się wtedy w pewnego koncypienta adwokackiego. *Advocatus diaboli* nie zawsze sam jest diabłem, ale ten koncypient adwokacki niewątpliwie nim był. Zaprosił mnie na wieczór do kawiarni „Renaissance", znanej z dobrej kuchni i bogatej piwnicy. Nie przeczuwając zasadzki, przyjąłem zaproszenie. Przyszedłem, gdy wielka orkiestra pod dyrekcją słynnego Schwarz-

manoffa stroiła już instrumenty do potpourri z „Toski". Ledwo siadam ze znajomym koncypientem przy marmurowym blacie, spodziewając się najwyżej kawy z ciastkiem, zjawiają się bizance i z podejrzaną uniżonością nakrywają stół śnieżnobiałym obrusem. Inni przynoszą srebrne nakrycia, stawiają półmiski z zimnym mięsiwem, tudzież rybami po żydowsku i po aryjsku; specjalni zaś oberbizance otwierają flachy z wódką, z piwem, — jeszcze chwila — postawią wiadra z butelkami zamrożonego szampana, i będą strzelały korki...

Zaczęła się biesiada. Od wódeczki do szyneczki, od befsztyczka do sznycelka, i wylazło szydło z worka. W rozmowie z koncypientem wyszło mianowicie na jaw, że córka jednego z właścicieli „Renesansu" jest moją uczennicą w gimnazjum i za niechęć do „Pana Tadeusza" słusznie spodziewa się ode mnie złej noty. Ta uczta zaś była tylko przygotowaniem artyleryjskim do generalnego szturmu, jaki zamierzał przypuścić do mnie szatan-koncypient, ofiarowując mi łapówę za dobrą notę. Podobne rzeczy praktykowano w dawnej Galicji, Lodomerii z Wielkim itd., więc w pierwszych latach niepodległości łudzono się, że i nadal będzie je można praktykować. Nie bez słuszności liczono na to, że ciało nauczycielskie, jak wszelkie ciało, — jest mdłe i grzeszne.

Wprawdzie nie cisnąłem w diabła kałamarzem, jak Marcin Luter, ani nawet kielichem, lecz czytelnik domyśli się, z jakim oburzeniem rzuciłem śnieżnobiałą serwetkę i zawołałem: płacić! Wszelako szatan nie dał mi płacić, a że nie chciałem szamotać się z nim w przepełnionej sali przy dźwiękach potpourri z „Madame Butterfly", wybiegłem z lokalu, nie zapłaciwszy rachunku. Jeszcze dziś, prawie ćwierć wieku potem, nie mogę zasnąć, ilekroć o tym myślę. Usypiam dopiero, gdy sobie przypomnę, że bądź co bądź renesansowej uczennicy wlepiłem dwóję — wyrażając się po lwowsku — jak „drut".

Dzisiaj i ona i jej ojciec i koncypient-kusiciel — to niezawodnie już cienie. Słyszę ich śmiech. Słyszę upiorny klekot kościanych kamyków domina w kawiarniach, startych z oblicza ziemi. Duchy gości przywołują duchy pikolaków i każą podawać gazety, w których nic innego nie wydrukowano, prócz nie kończących się spisów wymordowanych obywateli miasta Lwowa. Umarli grają w karty, umarli grają w bilard. Na stołach, obitych zielonym suknem, ludzkie czaszki stukają o czaszki, jak bilardowe kule. Cienie kasjerek dzwonią łyżeczkami o metalowe tacki, na których cienie bizanców roznoszą słodki napój zapomnienia.

Majaczą mi się także lokale pośledniejszego gatunku: szynki z hałaśliwymi orkiestrionami, piwiarnie, gdzie spotykali się dorożkarze i nożownicy i gdzie, z obawy przed gośćmi, co kradną,

— metalowe kubki były trzymane na łańcuchu, jak psy. Raz na łańcuszek! Kolorowymi szyldami, obrazkiem jegomościa, co smacznie zajada tłustą gęś, wabią te szynki i przyciągają głodnych i spragnionych. Zalecają śliwowicę syrmską, krupnik gorący i sławne lwowskie „rozolisy". Wymalowani na blasze opoje, brodaci królowie Gambrinusy, z koronami na bakier, siedzą okrakiem na beczkach i pękają ze śmiechu. Pieniste piwo leje się z olbrzymich kufli w ich rękach i leje się poprzez historię pobitych narodów — jak obiata dla bogów zagłady. Gdzie indziej wąsaty Zagłoba z brzuchem jak beczka, moczy sprośną mordę w okocimskim piwie, i słyszę apokaliptyczną czkawkę i czuję ciągnące z wnętrza szynkowni wyziewy fuzla, kwargli i ogórków, co w olbrzymich słojach stoją w oknie obok gąsiorów z wiśniakiem i kiszą się na koprze, aż skisną, jak my skiśniemy na tej smutnej obczyźnie... To znowu wdycham szlachetny aromat dalmatyjskich win w handelku firmy „Didolić i Prpić" przy ulicy Czarnieckiego. Didoliło się tam i prpiło złotoperlistą zlataricę i myślało się przy tym o słonecznym Dubrowniku.

Po całym świecie prześladują mnie też zapachy lwowskich cukierni, owocarń, handlów kolonialnych, sklepów z herbatą i kawą, Edmunda Riedla i Juliusza Meinla. Prześladują — to nie jest właściwe słowo, bo prześladowanie jest przykre, a te zapachy są rozkoszne, choć pobudzają do łez. Ilekroć ze „świata" wracałem do Lwowa, zawsze jego zapachy zastawałem na tym samym miejscu. Więc pewno i dziś jeszcze tam są, bo najtrudniej jest zabić czy wygnać zapachy. Doprawdy nie wiem, czy to już starość, że straciłem węch na uchodźczą woń kwiatów i drzew, czy tutaj rzeczywiście nic nie pachnie? A przecież lwowskie parki przywędrowały tu za mną z wszystkimi drzewami, kwietnikami i rabatami. I lwowskie apteki, szynki i owocarnie przepłynęły ocean i po tylu latach trwają jeszcze we mnie, wciąż żywe i błogie. Nawet samo ich wspomnienie pachnie. A może to wcale nie jest zapach Lwowa i jego czarownej flory, jeno zapach naszej młodości?

Pijmy nektar z kielichów, które nam podsuwa oszukańcza pamięć, i niech nas do utraty zmysłów oszołomi feeria lwowskich woni. Aliści tameczna flora — to nie tylko botanika. Tam nawet dźwięki pachną. Pachną egzotyką nawet nazwiska. Posłuchajmy: Stec, Mryc, Kipa, Tepa, Uhma, Ohly, Pazdro, Kysiak, Schubuth, Quest, Nahlik, Krzehlik, Nowosad, Najssarek, Pitołaj, Sałaban, Kadernożka, Dokupil, który miał córki Dokupilanki. Dalej: Beacock, Passakas, Garapich, Romaszkan, Mikolasch, Chamajdes, Czaczkes, Korkis, Kikenis. Koło cmentarza Łyczakowskiego wykuwali granitowe nagrobki kamieniarze: Giovanni Zuliani i Syn.

Na górnej ulicy Kopernika, pod samą „remizją" tramwajów elektrycznych, mieli swoje warsztaty trzej ślusarze: Oprysk, Czepil, Pludra. Długo zastanawiałem się, co to za choroba, którą czepił pan Oprysk, a w krytycznych latach — pod wpływem muzy Hipochondrii — nawet obawiałem się, że ją sam czepię. Sąsiedztwo Rumunii zapewne wpłynęło na egzotyczny kształt imion zdrobniałych, jak: (wrodzona skromność każe mi zacząć od własnego) — Józiu, Biziu, Buziu, Filu, Fulu, Milu, Dziuniu, Maniu, Luku (od Ludwik), Poldziu (Staff), Weku (nie wiem, od czego). Rozumie się, że we Lwowie pijano winu i piwu.

Lwowska ziemia dobra była również pod hodowlę osobliwych flanc, chodzących na dwóch nogach. Nie mam na myśli jedynie flanc kawiarnianych. Typy i typki, dziwadła i bziki ubarwiły nam dzieciństwo malowniczym cyrkiem, cyrkiem za darmo, który tyle zabawy dawał, co straszył. Pamiętam, acz bardzo pobieżnie „durnego Jasia", mistrza ceremonii na każdym lepszym pogrzebie. Pamiętam Hamaj-kicia, starego człowieka, co chodził po Corsie (czytaj korzie) i zatrzymywał przechodniów słowami: „Hamaj kiciu!" Aż do mego wyjazdu stał pod kościołem Bernardynów ślepy, ospowaty dziadek Ignaś i straszliwie rzępolił na skrzypcach. Co pewien czas batiary kradły mu te skrzypki. Wtedy Ignaś przenosił się w inne miejsce, a na jego piersi wisiała tekturowa tabliczka. Jakaś miłosierna ręka wypisała na niej prośbę o pieniądze na kupno nowego instrumentu. A gdy się uzbierały, ślepy Ignaś znowu grał i znów mu skrzypeczki kradły batiary. I tak, *da capo al fine*. Po pierwszej wojnie uwijał się na Corsie pewien psychopata wojenny w kurtce oficera austriackich ułanów. Wykrzykiwał, salutował, komenderował, a w czasie rewii wojska polskiego pod kolumną Mickiewicza wyskakiwał z tłumu gapiów przed maszerujące szeregi i przeszkadzał generałom, którzy odbierali defiladę. Później przyjechał z Chodorowa „biedny Lajbuś", aby śpiewać na ulicach Lwowa bardzo smętne piosenki polsko-żydowsko-ukraińskie. Tematem ich były przeważnie niesnaski w rodzinie Lajbusia i zawiedzione nadzieje. Śpiewał o tacie, który ma dolary, o mamie, która ma kolczyki, a on, biedny Lajbuś „chodzi bez buciki".

Na pulchnej lwowskiej glebie pleniły się też kwiatuszki innego gatunku, nie tylko sami nieszczęśliwcy i pomyleńcy. Był np. krawiec męski nazwiskiem Sozański, mistrz od nicowania starych ubrań i wywabiania plam. Raz mu zaniosłem swoje sumienie, na którym zauważyłem kilka plamek, ale Sozański nie potrafił ich wywabić. Ten człowiek o najbrzydszym we Lwowie uzębieniu, na wszystkie uroczystości narodowe przebierał się w czamarę, w

której wyglądał bardzo interesująco. Nie on jeden zresztą miał czamarę. Kilku sędziwych Polonusów stale nosiło się z waszecia np. ów współwłaściciel „pokoju do śniadań" p.f. Musiałowicz i Janik, z nosem zniekształconym od lupusu. Nie pomnę już, czy to był pan Musiałowicz czy raczej pan Janik. Zaraz naprzeciw „Musiały", od strony ulicy Jagiellońskiej, siedział w czamarze przez cały boży tydzień siwiuteński, barczysty rytownik. Siedział przy oknie swego zakładu i, ze szkiełkiem zegarmistrzowskim w oku, grawerował sygnety tudzież herby i monogramy na srebrze stołowym szlachty, co ubierała się jak każdy adwokat. Lecz nikt z tych czamarzystów nie prezentował się tak bujnie, jak krawiec Sozański. Spotkał go raz na ulicy mecenas Rafał Buber wybitny pepesowiec i wierny przyjaciel Stanisława Brzozowskiego: — Czemu się pan tak wystroił, panie Sozański?

— Ta idę na wyżerkę, sześćdziesiąty trzeci rok!

Rocznica powstania styczniowego była we Lwowie obchodzona nie tylko wyżerkami. Tego dnia wznioślejsze sentymenty Lwowian skupiała na sobie liczna, choć topniejąca z każdym rokiem, gromadka weteranów z 1863 r. Na ogół trzymali się całkiem nieźle, lecz sporo już między nimi było spróchniałych drzew. W pochodach patriotycznych kroczył na ich czele skromny, lecz czerstwy cywil, pan Izydor Karlsbad. Tak się bowiem złożyło, że z osiadłych we Lwowie powstańców najwyższą rangę, kapitana, piastował Żyd. To on prowadził oddziałek. Za Karlsbadem maszerował z sztandarem bardzo malowniczy chorąży, szlagon w kontuszu i w zawadiacko nałożonej konfederatce z białą kitką. Reszta powstańców przeważnie wspierała się na laskach i jak gdyby wzajemnie grzała stare kości i czcigodne blizny. Między nimi wyróżniał się jakiś olbrzym o długich, wcale jeszcze nie siwych kudłach, i ostrych rysach na wygolonej, czerwonoskórej twarzy. W zgrzebnej koszuli, z szerokim pasem, nabijanym metalowymi guzami, wyglądał ten Litwin, jak puszczański dąb, jak wódz szczepu Indian lub harnaś Skoczylasa. Wielu uczestników powstania nie miało już rodzin, ani domu, ani sił do pracy, niektórzy mieszkali w fundacji Domsa, przytulisku dla „literatów, artystów i kupców". Nad bramą tej filantropijnej rudery kazał szlachetny fundator wymalować dużymi literami napis: DES LEBENS AUSGANG. (Koniec życia). Żeby nie było żadnych złudzeń. Żeby starcy, uszczęśliwieni tym „dachem nad głową" — broń Boże — nie wyobrażali sobie, że te charytatywne progi opuszczą żywi, i zabłyśnie im jeszcze światełko domowego ogniska. W fundacji Domsa „wyszło" życie artysty malarza Seweryna Obsta, co chodził po Corsie z siwą brodą, i w aksamitnym berecie na długich lokach, opadających na olbrzymią pelerynę.

Seweryn Obst wyglądał jak figura z „Cyganerii" Murgera, i pierwszy w Polsce malował Huculów i Huculki na koniach.

Des Lebens Ausgang! Exitus vitae. — Nie urodziłem się we Lwowie, lecz przez dłuższy czas umizgałem się do myśli, że spędzę tam ostatnią, polską jesień mego życia, i cichutko sobie tam kiwnę. *Point de rêveries!* Lecz nie wyrzekam się marzenia, że za wszystko com tu na ziemi dobrego zdziałał, czy napyskował, za ten — jakby powiedział nieodżałowany Boy-Żeleński — klawisz, nb. połamany klawisz, który przysporzyłem ojczystej gwarze — dostanę kiedyś ulicę we Lwowie. Nie — żadną tam pryncypalną ulicę z pałacami, bankami, sądem, kryminałem, szkołą, izbą handlowo-przemysłową lub turecką łaźnią. Broń Boże! Mnie wystarczy mała, nieskanalizowana uliczka o dziesięciu numerach: jakiś ciasny zaułek pod Wysokim Zamkiem, np. Sieniawa. A co by komu szkodziło przemianować ulicę Miodową — na Józefa Wittlina? Niechaj wnuki mych rówieśników, młodzieńcy, których bynajmniej nie podejrzewam o czytanie moich pism, znają moje nazwisko chociażby z nazwy uliczki, gdzie będą sobie używali doczesnych uciech, czyli po tutejszemu: będą mieli *good time*. Niech to będzie „rue de la Gaité" Lwowa przyszłości.

A jeśli to skromne marzenie spełnić się nie może, mam w zanadrzu — inne. Na całym świecie pełno jest tzw. sadystów. Każdy wykształcony człowiek, wie, że są to ludzie, którym sprawia przyjemność dręczenie bliźnich. I wie, że słowo: sadyzm pochodzi od nazwiska literata francuskiego hr. Donatien Alphonse François de Sade, czyli krótko — markiza de Sade. Był on nie tylko okrutnikiem w literaturze, ale i w życiu, za co go skazywano na śmierć, ułaskawiano i więziono. Szalała we Francji rewolucja, terrory i termidory, gilotyna ścinała innym arystokratom głowy, a nasz markiz spokojnie pisał książki pt. „Juliette", „Justine", „Les crimes de l'amour", „Philosophie dans le boudoir" i podobne. Równie popularny jak sadyzm jest masochizm. Masochista, to sadysta *à rebours*. Lubi być dręczony. I, albo sam to czyni, albo każe to robić innym, za co w świecie, którym rządzi pieniądz, płaci się określoną należytość. W przedhitlerowskim Berlinie sam widziałem panienki, spacerujące po ulicach w wysokich, lakierowanych butach i w czerwonych krawatach. W klasycznej krainie uniformów taki był mundur kobiet, wynajmowanych do smagania masochistów. Bardzo pięknie — powie cierpliwy czytelnik — ale, co to wszystko ma wspólnego ze Lwowem i z pańskimi marzeniami? — Bardzo wiele. Bo, po pierwsze: masochizm też pochodzi z literatury, a po wtóre: można masochizm uważać za produkt lwowski. Nie, żeby w tym mieście urodzili się pierwsi samodręczyciele, tylko dlatego, że od roku

1848 po tzw. wiośnie ludów, ciężką służbę dyrektora policji pełnił tu jednooki pisarz austriacki, Sacher-Masoch[1]. Pisał on powieści, których nikt dzisiaj nie czyta. Ja też ich nie czytałem, ale mówiono mi, że strasznie w nich dużo masochizmu. Wobec tego nie tracę nadziei, że moje skromne nazwisko będzie uwiecznione w podobnej formie. Może kiedyś powstanie jakieś nowe, niewinne zboczenie, którego adepci będą jedynie naśladowcami zmyślonych przeze mnie postaci. Będzie się o nich mówiło: to wittliniści! tak, jak się mówi: to sadyści lub masochiści.

Zgorszony czytelnik rozpogodzi się może przypomnieniem faktu, że przed Sacher-Masochem żył i działał we Lwowie inny Austriak, nazwiskiem — Mozart. Wprawdzie nie Wolfgang Amadeusz, ale jego rodzony syn i również muzyk. Przez szereg lat dyrygował on tu chórem Cecyliańskim.

Tak więc pełno osobliwostek znajdujemy w kronikach naszego miasta. Lecz największą osobliwością, jest coś, co kwitło za moich młodych lat, a dzisiaj już zamiera na naszym globie: to koleżeństwo. Miałem kolegów-bandytów i kolegów-policjantów. Kilku kolegów księży, m.in. ks. Rękasa, znanego w całej Polsce z radiowych audycyj dla chorych. Przez jakiś czas kolegowałem z synem lwowskiego hycla p. Zygla. Nie sztuka się lubić, gdy się należy do tego samego klanu, narodu, partii, kiedy nas łączą te same umiłowania i wstręty. Miłość, przyjaźń i koleżeństwo zaczynają się dopiero tam, gdzie wykwitają na tle jaskrawych nieraz różnic i przeciwieństw. Nie chcę dotykać ran na żywym ciele tych wspomnień i dlatego nie mówię o roku 1918. Rany te zamierzam sumiennie rozdrapać piórem przy innej, mniej elegijnej sposobności. Trudno mi jednak przemilczeć, jak to w czasie bratobójczych walk polsko-ukraińskich, które nie tylko samo miasto przecięły na dwie wrogie części, dawny mój kolega gimnazjalny, Zenon Rusin, w on czas ukraiński „chorużyj" zatrzymał działania wojenne przed ogrodem Jezuickim, abym ja mógł poprzez front dostać się do domu. Harmonia panowała wśród moich kolegów, choć wielu z nich należało do różnych, skłóconych z sobą nacyj i wyznawało odmienne wiary i poglądy. Endecy kochali się z Żydami, socjaliści z konserwatystami, starorusini, moskalofile, z ukraińskimi nacjonalistami. Komunistów w tym czasie jeszcze nie było, lecz gdyby byli, z pewnością kochaliby się nawet z socjałami. Bawmy się w sielankę. Bawmy się, że od czasów naszego dzieciństwa nic złego we Lwowie ani w świecie

1. W kilka lat po ogłoszeniu „Mego Lwowa" zawiadomił mnie Stanisław Vincenz, że pisarz był synem dyrektora policji. Informację tę Vincenz otrzymał od córki pisarza.

się nie wydarzyło, bo i złe wiadomości, oglądane na rycinach Harasymowicza w „Wieku Nowym" tchnęły beztroską i humorem. Przez dłuższy czas skłonny byłem wszystkie lwowskie bolączki traktować z pobłażaniem, zapominając, że mój Lwów i cały świat jest jedną wielką bolączką. Lecz bawmy się w sielankę. W ogóle bawmy się i zamknijmy oczy.

◆

Zamykam oczy i słyszę, jak biją lwowskie dzwony, a każdy bije inaczej. Słyszę plusk fontann na Rynku przy szumie pachnących drzew, które obmył z kurzu wiosenny deszcz. Zbliża się godzina dziesiąta i robi się tak cicho, że po krokach, śpieszących się do domu przed „szperką" — poznaję, kto idzie. Poznaję kroki ludzi, którzy już dawno przestali chodzić. To cienie stukają tak obcasami po wytartych płytach trotuarów.

Zamykam oczy i widzę tłumy, snujące się po Corsie. Płyną od Teatru Miejskiego, ulicą Legionów, do Kasy Oszczędności, i płyną dalej pod pasaż Mikolascha. Szeroką strugą rozlewają się na placu Mariackim, mijają hotel George'a, i skręcają w ulicę Akademicką aż do końca, do apteki Pileckiego. Tam zawracają, i powoli, rytmicznie, spokojnie odfalowują z powrotem pod Teatr Miejski. Umarli spacerują z żywymi. Umarli zatrzymują żywych, proszą o ogień do papierosa. Lowelasi przywalają się do dam w tiurniurach, do dam, które od dawna są już cieniami. Promenada cieni. Zbratani w śmierci wrogowie ujęli się pod ręce jak przyjaciele. Zatrzymują się na rogach, gdzie w dymiących piecykach pieką się kasztany. Nad piecykami płoną naftowe latarnie z wymalowanym na szkle tyrolczykiem i czerwonym krzyżem. Oficerowie austriackich dragonów, z monoklami w pustych oczodołach, dzwonią ostrogami. Właśnie wyszli z cukierni Sotschka na placu Mariackim i salutują szeleszczące jedwabiem szansonistki. Ukraińscy siczowcy z roku 1918 idą pod rękę z polskimi obrońcami Lwowa, z „orlętami". Duchy Sokołów promenują obok żydowskich footbalistów z drużyny „Hasmonea". Tłum rośnie. Z bocznych ulic dołączają się strażacy, sługi „co stojały na bramie i buły piskate" i panny, co na reunionach z samym Grottgerem tańczyły lansjera i primadonny, co występowały w pierwszych operetkach Offenbacha. Cała złota młodzież, jaką w ciągu stuleci widział Lwów, wyroiła się na Corso. Czarna fala wylewa się na jezdnię i wali pod pomnik Mickiewicza. Z tłumu odrywa się fircyk w pudrowanej peruce i kusym fraczku. Staje pod kolumną Mickiewicza, gdzie już na stopniach ustawił się cały „Cäcilienchor". Syn Mozarta kłania się żywym i umarłym. Daje znak pa-

łeczką i plac Mariacki, szczelnie wypełniony milczącą ciżbą, rozbrzmiewa pieśnią z r. 1914: „W dzień deszczowy i ponury"... Wówczas na dachu domu Dittmara i Ski zapala się świetlny transparent: „BAJKA". Zapala się jeden raz i gaśnie. Naraz słychać przeraźliwe świstanie. To Sacher-Masoch z nadkomisarzem Tauerem dali sygnał konnej policji, schowanej w ulicy Wałowej. Rozlega się stuk kopyt, walących o bruk: policja szablami rozpędza tłum. Ścigane cienie pierzchają bezgłośnie na wszystkie strony, lecz zaraz skupiają się z powrotem, zbijają się, gęstnieją — i znów na Corsie panuje normalny ruch, miarowe falowanie, beztroska promenada. Milczące cienie suną pod Teatr Miejski, skąd zawracają, aby znów popłynąć na Akademicką. I tak bez przerwy: tam i z powrotem — tam i z powrotem — w nieskończoność — aż po kres wszystkich dni.

Riverdale, New York. 1 maja 1946.

PIERWSZE WRAŻENIA Z TEATRU

(Odpowiedź na ankietę „Wiadomości")

Łaskawi czytelnicy książeczki pt. „Mój Lwów" może przypominają sobie, co sądzę o ludzkiej pamięci i oszukańczych jej machinacjach. O, to jest groźna fałszerka! Z nieprzebranych swoich zapasów wyciąga na wierzch to tylko, co może się przydać jej „panu". Resztę trzyma w ukryciu, w głębokich piwnicach i chłodniach, do których posiadają skomplikowane klucze tylko kapłani psychoanalizy. Artyści też je odmykają, lecz wytrychami.

Chcąc zatem uprzytomnić sobie po latach (lepiej nie precyzujmy — po ilu!) co czułem, gdym pierwszy raz był w teatrze, muszę od pamięci brać wszystko, co mi daje, a brać z dobrodziejstwem sfałszowanego przez nią inwentarza. Proces odmrażania tak dawnych wspomnień utrudnia mi jeszcze i ta okoliczność, że znam teatr nie tylko jako widz, a więc od zewnętrznej strony wszelkich jego kurtyn i ramp. Byłem przez pewien czas tzw. kierownikiem literackim Teatru Miejskiego w Łodzi, więc nałykałem się do syta kurzu desek scenicznych i nawąchałem się drażniących woni kulis, dekoracji, rekwizytów, przeróżnych farb, klejów i szminek, którymi nas odurza pani Melpomena. „Dreszcze metafizyczne" trzęsły mną i na widowni i za sceną. Późniejsze dreszcze zmieszały się z wcześniejszymi tak, iż trudno mi je dziś oddzielić i rozsegregować. Nie ręczę ani za autentyczność, ani za chronologię mych pierwszych w teatrze wzruszeń. Tym bardziej, iż pierwszy spektakl w życiu oglądałem nie w teatrze, lecz w cyrku. We Lwowie, na placu Solarni (Górne Grodeckie). Tę starodawną nazwę późniejszego placu Arcybiskupa Bilczewskiego pamiętają chyba tylko Lwowianie po pięćdziesiątce. Skasowano ją niedługo po wybudowaniu wielkiego, czerwonego i gotyckiego kościoła św. Elżbiety, co, według mych obliczeń, nastąpiło około roku 1908. Zanim jednak rozpoczęto tę budowę

która wlokła się przez wiele lat, rozległy plac Solarni stał pusty i bardzo był dogodny targowiskom i cyrkom.

Wspaniały, rzecz jasna, wędrowny cyrk, do którego zabrano mnie przed rokiem 1903 w nagrodę za notoryczną grzeczność, pociągał już samą nazwą: *Truzzi*. Fascynowała mnie ona na długo przed widowiskiem, a wyznam szczerze, że wymawiałem ją: *Turcji*. Cyrk braci z Turcji. Spodziewałem się, że owi bracia uraczą mnie czymś o posmaku orzechów tureckich, rahatłukum, lub „tureckich miodków", sprzedawanych przez pasażem Mikolascha, a odrąbywanych dłutem i młotkiem z twardego jak skała, lepkiego, kremowego łomu. Na domiar myślałem, że w tym cyrku zobaczę sułtana Abdul-Hamida, i chociaż *in effigie* zaznam rozkoszy, które sobie imaginowałem, przechodząc obok lwowskich „łaźni tureckich". Grubo się omyliłem.

Impreza braci Truzzi była, jak to w późniejszych stwierdziłem latach, cyrkiem typowym. Z klownami, augustami, akrobatami, woltyżerkami i tresowanymi zwierzętami. Najsilniej utkwiły mi w pamięci przepiękne konie o ciemnej, połyskliwej maści, tudzież dwaj rośli panowie we frakach, którzy do tych koni, wodzonych na długich białych lejcach strzelali z ogromnych biczysk. Stawali frontem do koni, ustawionych rzędem i strzelali, głuszące trąby cyrkowej orkiestry. Tym sposobem zmuszali zwierzęta do podnoszenia wysoko przednich nóg, a nawet do odtańczenia walca. To byli sami bracia Truzzi. Wyobraźnia, naładowana późniejszymi reminiscencjami z cyrków, chce mi teraz podsunąć wąsatych poskramiaczy lwów i tygrysów, w czerwonych huzarskich bluzach, szamerowanych złotem. Pięknie dziękuję. Zdaje się, że w cyrku Truzzi w ogóle dzikich zwierząt nie było. Po przedstawieniu, gdy oszołomiony, ale i rozczarowany upominałem się o Turków, wytłumaczono mi, że bracia Truzzi są Włochami. Pogodziłem się z losem, zwłaszcza, że nazwisko dyrektorów cyrku brzmiało i bez Turków dosyć egzotycznie. Tak oto pierwszy raz w życiu urzekli mnie Włosi. Jeżeli kiedyś dosłużę się prawa mówienia *coram publico* o własnym dzieciństwie, (któż go nie miał?) opowiem, jak to się stało, że pierwsze słowa, których nauczyłem się czytać i pisać, były — włoskie. Ale już dzisiaj mogę zapewnić Szanowną Potomność, że były to słowa przyzwoite.

Wróćmy do tematu. Miałem chyba nie więcej, niż lat sześć, gdy pewnego wieczora ojciec mój długo i solennie się przebierał. Cały dom ogarnęło podniecenie. Wreszcie ojciec pojawił się w tzw. stroju wieczorowym. Tu mógłbym powiedzieć, że wyglądał, jak jeszcze jeden brat Truzzi, ale byłoby to spostrzeżenie *ex post*, gdyż w cyrku Truzzich byłem znacznie później.

Okazało się, że ojciec wybiera się do teatru na jakiegoś Lohengrina. Koniecznie chciałem, żeby mnie wziął z sobą, ale ojciec kategorycznie odmówił. Kazał mi iść spać, tłumacząc, że jestem za młody na to, aby chodzić na przedstawienia wieczorne. Jak będę grzeczny, pozwoli mi kiedyś pójść na niedzielną popołudniówkę. I nie było apelacji. Błagałem, płakałem, spazmowałem. W końcu ojciec, widząc, że się nie uspokoję, jął mnie zapewniać że Lohengrin nie sprawi mi żadnej przyjemności. Jest to bardzo smutna sztuka, w której występują same straszydła, same „bobaki" i przez cały czas płaczą. W mgnieniu zapłakanego oka ujrzałem tzw. oczyma duszy — karnawałowe maszkary, wywieszone w oknie pewnego sklepu przy placu Trybunalskim. Teatr bowiem kojarzyłem zawsze z maskami i nie wyobrażałem sobie, żeby aktorzy mogli grać bez masek. Z pustych oczodołów wyciętych w tekturowych larwach, z których zeschnięta farba opadała jak tynk, lały się strumienie łez. Słyszałem wyjące straszydła i zmory. Rzeczywiście: to nie mogło mi sprawić żadnej przyjemności. Uciszyłem się. Ojciec poszedł do teatru, ja — do łóżka. Lecz świadczę się Dionizosem, że od owej nocy nieraz łamałem sobie głowę, po co ludzie dorośli chodzą dobrowolnie patrzeć na rzeczy przykre i smutne, na cudze męczarnie, na szlochające zmory. I jeszcze ubierają się, jak na wesele, albo na bal. Takie były moje prywatne „narodziny tragedii".

Możliwe, że dzięki polityce mych wychowawców, zmierzającej do uchronienia mnie od przedwczesnego nasiąknięcia tragicznością — pierwsze popołudniówki, na które pozwolono mi iść, nie zawierały ze stanowiska patriotyczno-etyczno-estetyczno-pedagogicznego żadnych elementów wartościowych. I aczkolwiek powabniej byłoby teraz skłamać, że pierwszą sztuką, która wywarła na mnie niezatarte wrażenie była „Obrona Częstochowy" lub „Kościuszko pod Racławicami", wolę powiedzieć prawdę. To była wiedeńska operetka, nie pamiętam już, czy „Słodka dziewczyna", czy „Posłaniec 6666", gdyż obie widziałem w tym samym mniej więcej czasie, w świeżo wybudowanym Teatrze Miejskim. Z obu tych operetek nie wiele mi zostało w pamięci: strzępy kilku wyblakłych obrazów, ułomki zwietrzałych melodii i widzę jakiś bajeczny ogród, oświetlony lampionami. Snują się po nim słodko śpiewające damy z parasolkami w sukniach, sięgających stóp i w kapeluszach, jak rzeszota, na których piętrzą się ogrody Semiramidy. Potem inna scena zbiorowa, również w ogrodzie. Cały zespół obojga płci kręci się i kołysze, trzymając zapalone latarnie na długich tykach i śpiewa rzewny refren. Pamiętam z niego tylko jedno słowo: „Ziller, Zillerthal". To — „Słodka Dziewczyna". „Posłaniec 6666" był raczej kroto-

chwilą niż operetką. Więcej w niej krzyku niż śpiewu. Rozkoszna błazenada, w której grają wielkie sławy: Ferdynand Feldman i Andrzej Lelewicz.

Feldman, łysy brzuchacz, miał talent uniwersalny. Równie doskonale grał Shylocka i Napoleona, co austriackiego kaprala w „Posłańcu 6666". Tu szalał po prostu. Pod wojskową furażerką miał perukę, przyprawił też sobie iście kapralskie wąsy.Lelewicz, komik operetkowy dużej klasy, grał rolę tytułową. W cywilnym palcie mierzył do Feldmana z olbrzymiej rury od pieca. Nie wiem już, który z nich co pewien czas wznosił jedyny, jaki zatrzymałem w pamięci, okrzyk: „Sakramenckie zatracenie półwidło!". Z akcentem na pó. Z czeska. Za każdym razem po tym okrzyku wybuchały na widowni tzw. salwy śmiechu. Poza tym z „Posłańca 6666" pamiętam jeszcze olbrzymi efekt, jaki wywołał u mnie Feldman, zapalając na scenie prawdziwego papierosa prawdziwymi zapałkami i z prawdziwego nosa puszczając kłęby prawdziwego dymu. Było to jawne pogwałcenie moich wyobrażeń o teatrze, gdzie wszystko powinno być sztuczne i dziać się na niby.

Rozumie się, że urzekał mnie sam gmach Teatru Miejskiego i to nie tylko w dzieciństwie. Była to wspaniała budowla z marmurowymi schodami i prześlicznym foyer. Pluszowa widownia, parkiet, loże, balkony, galerie, paradyz, grzały serce ciemną purpurą i złoceniami. Intrygowały rzędy zagadkowo uśmiechniętych kariatyd czy sfinksów pomiędzy lożami. Zachwycał złocony plafon z medalionami. Na środku plafonu królował przepyszny żyrandol, obrośnięty gronami lamp, jak wielobarwna kiść jakiejś fantastycznej winorośli. A wolnoż pominąć kiczowatą wspaniałość kurtyny Siemiradzkiego, no i tej żelaznej z wymalowaną na niej panoramą Lwowa? Toczyła się ta kurtyna w górę i w dół powoli, z pomrukiem złowrogim, jakby sam Dzeus na lwowskim Olimpie chmury gromadził. Tajemne fluidy emanowały z budki suflera, a wgłębienie dla orkiestry, ten magiczny rów, napełniony muzyką, rów, oddzielający widownię od sceny, jawę od snu, bywał niekiedy fosą między oblężoną warownią a nieprzyjacielem. Czuję, że wszystko już plączę i wpadam w rewiry wspomnień nie dziecka, lecz „człowieka teatru". Na to nie ma rady. Więc wspomnę ów mistyczny prawie moment, gdy na widowni gasną światła, a zapalają się kinkiety u rampy. Bije ostatni gong i z zaziemskim szumem podnosi się kurtyna. Jest to chwila tak patetyczna, tak brzemienna magią, iż na samo jej wspomnienie przechodzą mnie ciarki. Ileż to jednak razy szkoda mi było tego patosu, co poszedł na marne? Kurtyna podnosiła się majestatycznie, aby odsłonić jakieś płaskie trójkąty małżeń-

skie, lub podejrzane wzniosłości. Irytowało mnie, że gong bił tak samo uroczyście, baśniowo, niby dzwon zatopionej katedry, zwiastując rozpoczęcie „Dziadów" lub „Legionu", jak na „Zażartym automobiliście" lub na farsie „Ach, to Zakopane". Bywały w teatrze takie wieczory, kiedy jedyną tam sprawą na serio, pełną godności i piękna była praca maszynisty. I ten gong i ciemność na sali i szum kurtyny.

A jak nie wspomnieć gorączki przed premierą? Tej, do ostatnich granic sprężonej tremy całego personelu: od dyrektora do pomocnika fryzjera? I tego lęku, z jakim przez okrągłą szybkę w kurtynie patrzyłem na widownię, która nie dosyć tłumnie się zapełniała? Ale choćby na sali były kompletne puchy, nadchodził moment nieodwołalny, kiedy inspicjent wołał: „Góra!" To tak, jakby dowódca plutonu egzekucyjnego komenderował: „Ognia!". Wtedy już nie ma ratunku: gong bije, maszyniści ciągną sznury... Tak kiedyś Wielki Inspicjent nad nami wszystkimi zawoła, i skończy się krótki antrakt, zwany życiem.

1951

WIDOK Z OKNA

Antoninie i Tadeuszowi Sołowijom

Widok z okna moich przyjaciół w Montrealu, zimą roku 1955, działa magicznie na wyobraźnię uchodźcy, który przyjechał tu na kilka dni z Nowego Jorku, gdzie siedzi kołkiem od lat czternastu, a więc od czasu, gdy opuścił Europę i już jej potem nie widział. A jeśli ten uchodźca najlepsze (?) lata młodości spędził we Lwowie i wciąż nosi w sobie obraz tego miasta, coraz bardziej żywy, choć coraz mniej „realny", widok z okna gościnnego domu przy ulicy Sherbrooke West, może w nim obudzić takie skojarzenia, że czas przestanie być czasem, Kanada Kanadą, i naraz w Montrealu ukaże się — Lwów.

Jakiż to widok? Przede wszystkim — śnieg. Takiego śniegu nie ma w New Yorku. Tam, w najsroższe zimy pojawia się on tylko na krótkie, gościnne występy, lekki i zwiewny jak baletniczka. A jeśli niekiedy śnieżyca grubszego kalibru zasypie na dobre ogrody i asfalty, staje się dopustem, któremu wszyscy złorzeczą. Zamiera wtedy na przedmieściach komunikacja naziemna, przestają chodzić autobusy i gaśnie elektryczność. W tym, doszczętnie zelektryfikowanym bycie daje to już przedsmak niebytu, do którego — jak wiadomo — w stanie New York przenosi się skazańców też za pomocą elektryczności. Trwa to jednak niedługo, dzień lub dwa, i egzekucje w Sing-Singu mogą odbywać się bez przeszkód. Deszcze zmywają śnieg, a porywiste wiatry z Atlantyku osuszają ulice i autostrady, nie zostawiając śladu błota, do którego zatęskni czasem tzw. tułacz, spragniony swojszczyzny. Tylko w ogrodach długo jeszcze dogorywają bałwany śnieżne.

W Montrealu sam śnieg i błoto pachną Lwowem. Czujemy, że ten śnieg nie wypadł sroce spod ogona: jest w nim coś czcigodnego jak w brodzie św. Mikołaja. Widać po nim od razu, że nie od wczoraj pokrywa grubą warstwą chodniki, a nawet

jezdnie bocznych uliczek o pięknie brzmiących francuskich nazwach. I domyślamy się, że jeszcze długo zamierza tu leżeć, jak przystało na prawdziwy żywioł zimy, żyjący w zgodzie z kalendarzem gregoriańskim. Najlepiej chyba czuje się ten śnieg na ulicy Côte des Neiges.

Błotnista kasza na większych „arteriach" Montrealu też usposabia nostalgicznie. Jak we Lwowie, tak i tutaj brzegi chodników oszańcowano zlodowaciałym śniegiem, ale nie sądzę żeby za takimi szańcami mogli się bronić od dzikich Irokezów francuscy kolonizatorzy Kanady, lub ich indiańscy, ochrzczeni sprzymierzeńcy. Do tego celu służyły im raczej owe dwie okrągłe, pseudo-średniowieczne baszty o stożkowatych daszkach, groźnie sterczące w zaśnieżonym parku, na który patrzę z okna moich przyjaciół. Nie one przykuwają mój wzrok. Przeciwnie: te baszty wyraźnie mi zawadzają. Są intruzami w urzeczeniu, któremu ulegam. Duchy Czerwonoskórych kłócą się z duchem Lwowa, jakkolwiek powieści Karola Maya były niegdyś bardzo popularne wśród młodocianych Lwowian. A do najciekawszych wydarzeń w moim lwowskim dzieciństwie (jak to już na innym miejscu wspomniałem) należy krótka niestety wizyta cyrku Buffalo Billa z tysiącem cowboyów oraz pieszych i konnych Indian, z których jak głosiła ówczesna plotka, ten i ów pochodził z Tarnopola.

Nie, nie to mnie dziś urzeka. Natomiast z okna moich przyjaciół mógłbym wpatrywać się bez końca w zaśnieżony stary park za tymi basztami, w bezlistne wysokie drzewa, zapewne wiązy, których czarne pnie i ślicznie na śniegu zarysowane konary przywodzą na myśl ogród Ossolineum, od strony Cytadeli. Daremnie czekam na wrzask lwowskich gawronów na gałęziach tych drzew. „Jedźmy, nikt nie woła!". Ale kamiennym, bezgłosym wołaniem ciągnie mnie ku sobie okazały, poważny, pałacowo-koszarowy gmach w głębi parku. Śnieg jeszcze mocniej uwydatnia szaro-siną, prawdopodobnie sztuczną patynę fasady o nagim, surowym licu. Żadnych dziwactw, żadnych gzymsów, nawet żadnych mansard, aczkolwiek bez Mansartów i Libéral Bruant'a nie byłoby chyba tej budowli w neoklasycznym stylu, jaki zapanował w Francji z końcem XVII i trwał przez cały wiek XVIII. Wole oko pod załamaniem dachu nad frontonem martwo spogląda pustym oczodołem. Harmonijna elewacja czterech (jeśli się nie mylę) pięter frontonu i bocznych skrzydeł, długie równe rzędy prostokątnych okien w białych ramach, łagodnie zaokrąglona absyda dość dużej kaplicy, wbudowanej w gmach, skromna figura Madonny w parku: doprawdy w tym wszystkim nie ma nic nadzwyczajnego. I ta właśnie *zwyczajność*, jakże odmienna od nowojorskiej, tak bardzo cieszy i zachwyca. Cały widok tchnie

dawno nie zaznanym poczuciem bezpieczeństwa. Przemawia jakąś na pół zapomnianą mową, będącą może ojczystym językiem spokoju, rozumu i ładu. Coś leczniczego wieje z tych murów i przenika do zamrożonych pokładów uchodźczej duszy. A nie ma w tym widoku nic nadzwyczajnego. Tysiące podobnych budowli obojętnie mija turysta we Francji. Prefektury, licea, „Hôtels Dieu", koszary „saperów-pompierów" tak wyglądają przeważnie. Ale tutaj, w tej Francji dla niezamożnych zbiegów z Europy, którzy ją widują tylko w kinie albo w odległych już wspomnieniach, sino-szary gmach w zaśnieżonym parku jest nieomal Pałacem Luksemburskim, Ecole Militaire, La Salpêtrière, L'Observatoire... Ta sama krew w nim płynie. Błękitna choć mocno rozcieńczona.

Pięknie, ale gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Paryż, a gdzie Lwów? I czemu ten widok właśnie tak mocno pachnie Lwowem? Więcej — Łyczakowem! Skąd nagle Łyczaków w stylu francuskim z XVIII wieku? I w ogóle, skąd wzięły się te majaczenia?

W latach międzywojennych, ilekroć z tzw. świata, a osobliwie z Paryża przywiewało mnie do Lwowa, lubiłem chodzić na Łyczaków, aby pogapić się na gmach Szpitala Powszechnego. Była to może najbardziej paryska z tylu monumentalnych budowli świeckich dawnego Lwowa. Postawą, elegancją, stylem, który niczego nie małpuje, wdzięcznym układem płaszczyzn, karnacją, jeśli tak rzec można, murów, oraz czymś jeszcze, czego dziś nie umiem już określić, przenosił ten szpital na Łyczaków atmosferę burbońskich dzielnic Paryża. Schowany na uboczu jak Place des Vosges, stanowił odrębny, zamknięty w sobie świat. Od frontu obejmował kamiennymi ramionami nieduży płaski skwer, za to tyły Szpitala Powszechnego królowały na wzgórzu (może to był sad?), staczającym się terasami w rozległy teren, który letnią porą cały stał w kwiatach. W ciepłe noce spływały stąd odurzające zapachy w uśpione uliczki, gdzie w nisko-czynszowych domach spali przeważnie emeryci lub wdowy po emerytach. Przez otwarte okna wlewały się im do łóżek, do snów, niepokojące i błogie wonie, a fundował je całkiem gratis p. Jan (o ile pamięć mnie nie zawodzi) Klimowicz, właściciel najpiękniejszych we Lwowie kwiaciarń. Tu, na Łyczakowie miał on swoje „zakłady ogrodnicze". Lepszego miejsca znaleźć nie mógł. Cała ta bowiem dzielnica, zwłaszcza od strony Piekarskiej była zapchana urągającymi wszelkim wonnościom życia szpitalami, klinikami, prosektoriami i kostnicami. Aż po samą ostateczność wszystkiego, co ziemskie: cmentarz Łyczakowski.

Ten oto, osiemnastowieczny gmach przypłynął do mnie

przez Atlantyk, wynurzył się z otchłani czasu i stoi w parku za basztami „Fortu Panów" w Montrealu. Co prawda — w zmienionej postaci. Bo, po cóż ukrywać, że łyczakowski Szpital Powszechny był piękniejszy (przynajmniej na zewnątrz) i bardziej efektowny? Jego autentyczna siwizna, zgrabne attyki wieńczące oba skrzydła boczne i kamienne rokokowe latarnie na szczycie tych attyk — miały w sobie coś wielkopańskiego, chociaż „wielcy panowie" rzadko tam przychodzili chorować. Nie mogę pojąć, dlaczego ten tzw. klejnot starego budownictwa tak uporczywie pomijali milczeniem zawodowi miłośnicy Lwowa oraz krzewiciele jego piękna. W licznych, znanych mi publikacjach, opisujących i sławiących Lwów nie znalazłem ryciny, fotografii, ani nawet poważniejszej wzmianki o dawnym klasztorze Pijarów, zamienionym (prawdopodobnie za Józefa II) najpierw na szpital wariatów, a później na — powszechny.

Pijarzy! Zanim dowiedziałem się kim byli i jaką rolę odegrali w dziejach naszej kultury, miałem o nich bardzo osobliwe wyobrażenie. Sam dźwięk słowa: Pijar nasuwał niesamowite obrazy. Był kombinacją piania i pijaka. Budził zgrozę, tym bardziej, że zdaniem tzw. ludzi normalnych we Lwowie i w całej Galicji wschodniej, wszyscy inni ludzie, a więc pomyleni nadawali się „do Pijarów". Bałem się spacerować w pobliżu tego gmachu, gdzie niektóre okna były okratowane jak w kryminale, bałem się, choć dawno już przeniesiono stąd chorych umysłowo do specjalnie dla nich wybudowanego zakładu w Kulparkowie. Zdawało mi się, że z tych starych, tak mnie w dojrzalszym wieku fascynujących murów wydziera się nieludzkie, koguciodiabelskie pianie obłąkanych pijaków, słowem: Pijarów.

Teraz w Montrealu zapada „liliowy", zimowy, paryskolwowski zmierzch. W gmachu naprzeciw nierównomiernie zapalają się światła, raz tu, raz tam. Martwe przedtem okna ożywiają się jakimś, nieznanym mi życiem. Staram się odgadnąć, co to za życie. Żadnych postaci w pasiastych płaszczach szpitalnych nie widać. Ani łóżek z tabliczkami. W ogóle nic nie widać. Gmach jest za bardzo oddalony od ulicy. Na Łyczakowie było inaczej. Tam bardzo dobrze widziało się „ogólne sale" na parterze, żelazne, na biało lakierowane łóżka, a nawet wyglądające z okien męskie i żeńskie postacie w bieliźnie. W niektórych oknach na górnych piętrach migotał blado-niebieski odblask lampek nocnych. Zapewne były tam „separatki" dla umierających, których wkrótce przeniosą do pobliskiego Instytutu Anatomii. I nie będą to już nawet zwłoki, lecz rozczłonkowane preparaty. W najlepszym wypadku karawanami najtańszej kategorii zawiozą ich na cmentarz, ale nie Łyczakowski, mimo, iż jest pod ręką. To cmen-

tarz pański. Biedotę chowało się na drugim końcu miasta, na cmentarzu Janowskim, który był dla Lwowa tym, czym dla Warszawy — Bródno.

Nie, to na co patrzę z okna moich przyjaciół nie może być szpitalem. Żadne tu nie zajeżdżają ambulanse, nie kręcą się medycy w białych kitlach, ani „siostry miłosierdzia" w czepkach, ani szarytki w kornetach. Tylko figura Madonny w parku, na śniegu wydaje się podobna do tej, co stała (i może jeszcze dziś stoi) w kolorowym dużym oknie nad główną bramą Szpitala Powszechnego, Królowa — Matka wszelkiego miłosierdzia. Z powodu śniegu i mrozu nie ulegam halucynacjom zmysłu powonienia. Nie czuję więc karbolu, którego drażniący zapach, na przekór „zakładom ogrodniczym" Klimowicza dość mocno zalatywał latem z otwartych okien „Pijarów". (W owym czasie, gdy Pijarzy byli piejącymi wariatami, słowo: karbol było połączeniem kary i bolu. Bolu, nie — bólu. Bo tak je wymawiano w tamtych stronach świata).

A więc czatuję przy zamarzniętym oknie na zjawy z zaświatów. Emigrant, „bywszy człowiek", pośród tysięcy „bywszych ludzi", nie chcących, czy nie umiejących żyć teraźniejszością. Niejeden z nas stara się przezwyciężyć w sobie tę bywszość i czasem to się udaje. Ale częściej — nie. Dla wielu bowiem uchodźców mojego pokolenia obecne życie nie jest i nie może być prawdziwym życiem, mimo że temu lub owemu „powodzi się" nawet lepiej, niż w Polsce przed wojną.

Niejeden z tych niewolników sukcesu, a tym bardziej ktoś komu powodzenie nie dopisuje, robi to samo co ja w tej chwili. Wpatruje się maniakalnie w obcy świat, w obce kształty, obrazy, wsłuchuje się w dźwięki, wchłania wonie, aby w ten sposób odnaleźć mamidło własnego świata, który utracił. Żeby ujrzeć chociażby strzępy kulis, w jakich toczyła się ongi, nie zawsze sielankowa akcja „normalnego" życia. Psychoanaliza mogłaby znaleźć nowy teren badań: duszę uchodźcy, bądź co bądź inną, niż dusza tubylca.

Śmiejecie się koledzy-pisarze w kraju? Czy też współczujecie mi, że poddaję się „chorobliwym" przywidzeniom? Że rozrzewnia mnie cudze błoto i śnieg? Wy, tam, na rodzinnej ziemi, czy na ziemiach danych wam w zamian za odebrane, macie pod dostatkiem własnego błota i śniegu i „prawdziwego", ach, arcyprawdziwego życia! Was wzruszają nowe, triumfalnie, z ruin, dźwignięte mury nowej Warszawy. Ale może i was czasem nachodzą zjawy, i w obecnej Polsce szukacie śladów dawnej? Tej która była i wasza i nasza? I zazdrościcie nam tej swobody, z jaką możemy „opiewać" nasze przywidzenia? Może i wy tęsknicie

do niegdysiejszych śniegów, jak ja w Montrealu, na ulicy Côte des Neiges? *Des neiges d'antan?*

No tak. Usiłuję odtworzyć sobie emocje, jakie miewałem niegdyś, przechodząc obok Szpitala Powszechnego we Lwowie. O b o k ! Zdrowy człowiek, przechodzący o b o k cudzych boleści, cudzego umierania, cudzej nadziei. Niezbyt to moralna „postawa życiowa". Dzisiaj jestem ciekawy czegoś zupełnie innego. Np. czy tam wciąż jeszcze jest szpital? Jeśli tak, kto tam leży? Kałmucy, Kirgizi, Uzbekowie? Kogo w tej chwili zdejmują ze stołu operacyjnego? Czyją amputowaną nogę wrzucają do kubła? Czy znajduje się między tymi ludźmi jeszcze jakiś stary, autentyczny Lwowianin? Polak, Ukrainiec? I jak oni tam ze sobą żyją? Chyba dobrze. Jedyna, prawdziwa międzynarodówka w tym świecie — to międzynarodówka cierpienia.

Żywej zawartości Szpitala Powszechnego bliżej nie znałem. I może dlatego zachowuję tak miłe wspomnienie o jego zewnętrznej powłoce. Niejeden w świecie przybytek grozy, nieszczęścia, upodlenia, oczarowuje „estetę", który zamyka oczy na to, co dzieje się wewnątrz. Bardzo piękne bywają niekiedy leprozoria, domy wariatów, więzienia, miejsca tortur i kaźni. Tak samo rzymskie Mauzoleum Hadriana, które pod obecną nazwą Zamku św. Anioła długo służyło Państwu Kościelnemu za kryminał. Nawet w „Tosce" rozstrzeliwują Cavaradossi'ego na dziedzińcu tego Zamku. Ostatnie godziny życia wydzwaniał mu ten sam zegar, który dziś jeszcze tam bije. Ale po co szukać daleko? W renesansowym Zamku lubelskim nadal pewno „gniją" więźniowie. Podli jesteśmy, miłośnicy piękna za wszelką cenę.

Gdy patrzymy na neoklasyczny budynek w Montrealu nie grozi nam to przykre samopoczucie. Tu, po północy, we wszystkich prawie oknach gaśnie światło. Nie oświeca ono żadnych łóż boleści, ani śmierci. Na wydeptanych w śniegu drogach, wiodących przez park do bram gmachu, człapią skulone postacie w czarnych długich strojach, sięgających im do zabłoconych kaloszy. Z daleka wyglądają te postacie jak staromodne kobiety w żałobie. Ale to nie są kobiety. Pod czarnymi męskimi kapeluszami o szerokich rondach rumienią się na mrozie czerstwe twarze młodych mężczyzn. Niektóre są blade, chude, ascetyczne.

Nie, to nie jest szpital. Ani powszechny, ani wariatów. I nic go nie łączy z dość wielkim i jak się zdaje bardzo nowoczesnym szpitalem, wybudowanym niedawno na górze ponad nim. Chyba to tylko, że całym sensem swojego istnienia on też wyzywa śmierć. Śmierć duszy. Patrzę bowiem na kanadyjską pepinierę rzymsko-katolickiego kapłaństwa, na „Grand Séminaire de St.

Sulpice", czyli „Collège de Montreal". Na koszary kadetów Pana Boga. Młodzi, zdrowi na ciele i na duchu, wyruszą stąd niebawem w świat, na ów od prawieków toczony i wciąż nie rozstrzygnięty bój z szatanem i jego pychą. Tymczasem snują się, wolni od zajęć, po zaśnieżonym parku, w pojedynkę, lub parami, i w nastawione kołnierze chowają zmarznięte uszy. Maluczko, a w te uszy zaczną się sączyć wszelakie brudy ludzkiego serca. Potrafiąż ci młodzieńcy, uzbrojeni w Sakramenty, dokonać cudu żeby dusza grzesznika stała się bielsza ponad śnieg, który zamiatają teraz swymi długimi sutannami?

Rozmaite asocjacje i obrazy przywołują słowa: Saint Sulpice. Stary placyk w Paryżu, w Dzielnicy Łacińskiej, niedaleko Pałacu Luksemburskiego i Odeonu. Kościół, zaczęty za Ludwika XIV, a ukończony w latach 1733-1749. Florencki architekt, twórca tego kościoła z fasadą o dwu kolumnadach: dorycką i jońską, umieszczonych jedna nad drugą zasłużył sobie na ulicę tuż obok, ochrzczoną jego nazwiskiem. Rue Servandoni. Dwie słynne wieże, z których tylko jedną zdołano wykończyć, przezwali mieszkańcy tej dzielnicy — lornetką. Kto wie, czy przez tę lornetkę nie można oglądać nieba? Konwent zamienił kościół St. Sulpice na Świątynię Zwycięstwa. Tu też w r. 1799 podejmowano bankietem generała Bonaparte. Lecz najbardziej interesuje nas w tej chwili „le grand Séminaire de St. Sulpice", które swym ciemnym masywem zamyka całą południową stronę placu. Na dźwięk „Saint Sulpice" odzywa się też w uszach daleki szum wspaniałej fontanny o trzech basenach i czterech posągach wielkich kaznodziejów XVII i XVIII wieku: Bossueta, Fenelona, Fléchiera i Massillona. Trudno pogodzić się tym, że woda w basenach nie jest wodą święconą. Przypomina się też stary Anatol France, ze swym wolteriańskim, nieraz uszczypliwym komentarzem do wszystkiego, co zawiera pojęcie: St. Sulpice. I ukazują się liczne, skupione w tych stronach sklepy z dewocjonaliami, nie zawsze w najlepszym smaku.

Bardzo mnie zaciekawia życie wewnątrz montrealskiego seminarium Św. Sulpicjusza. Co wyrośnie z tych młodych ludzi, którzy tutaj dojrzewają do Sakramentu kapłaństwa? „Godność kapłaństwa" pisze kardynał Gasparri w swym „Katechizmie katolickim" jest nader wielka, bo kapłan jest sługą Chrystusa, szafarzem tajemnic Bożych, pośrednikiem między Bogiem a ludźmi, mającym władzę nad ciałem Chrystusowym, zarówno realnym jakoteż mistycznym". I przytacza Gasparri list papieża Piusa XI *Officiorum ac munerum* (1.IX.1922 r.); w którym były nuncjusz warszawski powołuje się na słowa św. Pawła (Do Żydów 5,4): „A nikt się nie poważa brać tej godności, jeno kto jest wezwan od Boga jako Aaron".

Czy wszyscy młodzieńcy studiujący w tym gmachu są wezwani od Boga jako Aaron? Ilu z nich marzy o wysokich godnościach w hierarchii, o pierścieniu z ametystem, o infułach i pastorałach, a nawet o kardynalskiej purpurze, a ilu zamiast złotego krzyża na piersi pragnie dźwigać niewidoczny krzyż wyrzeczenia, ofiary i ascezy? Ilu z nich wierzy w to, że ich powołanie przyczyni się do zbawienia rodzaju ludzkiego i dzięki ich pracy Sąd ostateczny nie będzie sądem straszliwym?

Patrzę na te sino-szare mury, na rzędy oświetlonych okien i staram się odgadnąć, za którym z tych okien kiełkuje już ziarno świętości. Czy są tam żarliwcy, bezkompromisowi apologeci czy mistycy na miarę księży Bernanosa i Coccioli'ego, osaczeni siłami piekła, którym pragną stawiać opór, choćby za cenę własnego życia lub za cenę własnego zbawienia? Jak abbé Donissan z „Sous le soleil de Satan"? Czy tylko kandydaci na poczciwych proboszczów wiejskich, o tzw. gołębim sercu, wyrozumiali przyjaciele ludzi, nie gardzący smacznym obiadkiem i partyjką wista? Ponurzy katabasi, rozsmakowani w grzechach, od których sami czują się wolni i straszący piekłem tych, co już piekło mają za życia? Czy też łagodni pocieszyciele strapionych, pomni, że *Caritas Christiana* nieraz więcej znaczy od rygorystycznej obsługi sakramentaliów? Tacy, którzy posiędą łaskę ratowania grzeszników nie tylko od wiecznego potępienia, ale i od rozpaczy za życia i łaskę słowa, aby penitent, usłyszawszy formułę rozgrzeszenia podniósł się z klęczek z uczuciem ulgi i naprawdę odszedł w pokoju? Jako Aaron! Zapewne są tam i tacy. Jak wszędzie.

A może działa tu jeszcze *genius loci* i namawia seminarzystów do pójścia w ślady owych Jezuitów francuskich, którzy w r. 1659 przybyli w te strony jako misjonarze razem z ascetycznym monsignorem Franciszkiem Xawerym de Laval-Montmorency? Wielu z nich poniosło męczeńską śmierć z rąk pogańskich Irokezów i Huronów, osiadłych w dolinie rzeki św. Wawrzyńca. W sierpniu roku Pańskiego 1689 napadli Irokezi na pobliską osadę Lachine i zmasakrowali około dwu setek kolonistów. Niedaleko tej miejscowości, na brzegu rzeki, św. Wawrzyńca, przy Lachine Rapids pokazują grób świętobliwej Kateri Tekakwitha, Indianki z plemienia Mohawk. Nawrócili ją ci pierwsi misjonarze. Może z baszt „Fortu Panów" emanuje pokusa męczeństwa?

W śnieżnej zadymce majaczą ustrojone w barwne pióra głowy Irokezów. W uszach grają mi równie jak przybrania ich głów malownicze nazwy licznych szczepów z grupy etnicznej Algonquin: Nipissing, Nescapee, Temiskaming, Ottawa, Mississanga. Sam śnieg staje się kolorowy od tych piór i nazw. Czerwonoskór-

cy, jak w cyrku Buffalo Billa wymachują tomahawkami, strzelają z łuków, mierzą prosto w oświetlone elektrycznością okna Wielkiego Seminarium Św. Sulpicjusza. Aż zamieć się ucisza, przypada do białych, nieruchomych całunów i znów jest Lwów.

Za chwilę z wszystkich bram Seminarium wyroją się jak z uli setki kleryków w białych komżach narzuconych na czarne sutanny i płaszcze. Z obnażonymi głowami, z brewiarzami w czerwonych od zimna rękach ustawią się w alejach parku, po czym wyjdą parami na ulicę Sherbrooke West, a stamtąd prosto na Piekarską. Dwa długie, wyciągnięte szeregi kleryków obramiają czarno-białym ruchomym ściegiem zabłoconą jezdnię ulicy Piekarskiej. Posuwają się wolno, rytmicznie, procesjonalnie, Stłumionym nosowym głosem śpiewają na mrozie jakąś łacińską „kruczą" pieśń. Bo to jest pogrzeb. Bardzo uroczysty, staro-lwowski pogrzeb. Kłęby zziębniętej pary buchają z otwartych ust śpiewających. Już odezwały się żałobne dzwony w kościołach i kaplicach górnego Łyczakowa.

Znów zaczął padać śnieg. Cicho, monotonnie, sennie jak w zakończeniu noweli Joyce'a „The Dead". Pada nieustannie, grubymi płatkami, i pokrywa dachy „Fortu Panów" i zasypuje ogrody Klimowicza i Szpital Powszechny i cmentarz Łyczakowski, na który w tej chwili wkracza czoło pochodu pogrzebowego: alumni Wielkiego Seminarium w Montrealu. I zasypuje nas, ostatnich, najostatniejszych Mohikanów.

1955

KILKA SŁÓW O MUCKU

Tego lata pętał się koło mnie przez kilka tygodni pies, chyba najbardziej godzien litości ze wszystkich psów, jakie w życiu widziałem. Gdyby Dostojewski pisał o psach, niewątpliwie Mucyk zostałby jednym z jego bohaterów. Jest to pies nie tylko poszkodowany na ciele. Dusza jego, to jedna wielka rana. Istnieją psy w ludzkim rozumieniu piękne, dobre, mądre lub też brzydkie, głupie, złe. Do żadnej z tych kategorii Mucyk nie należy. Na ogół psy zjednywają nas od razu lub też z miejsca od siebie odstręczają. Są to psy jak gdyby prostolinijne, lub przynajmniej na pozór nieskomplikowane. Po powierzchownym zapoznaniu się z nimi, wiemy mniej więcej z kim mamy do czynienia, a jeśli nawet uczynią coś, czegośmy się po nich nie spodziewali — skłonni jesteśmy te lekkie lub poważniejsze odchylenia od uznanego przez nas typu poczytywać za kaprysy lub wybryki.

„Rozgryźć" typ Mucka potrafiłby tylko jakiś tęgi psi psychoanalityk. Ja poprzestanę na zanotowaniu kilku znamiennych rysów jego natury.

Towarzystwo Mucka bywa dla ludzi nieżżytych z nim niezwykle męczące. Wszystkie nasze zmysły reagują na jego obecność — źle. Mucyk jest mały, suchy, o sierści nominalnie białej, w rzeczywistości szarej, brudnej, koloru jesiennej chmury. Włos tego ostrowłosego francuskiego foxa dawno już stracił wszelką ostrość. Patrząc na Mucka ma się wrażenie, że jest to żywa, poruszająca się, mocno już zużyta i wyliniała wycieraczka do butów. Wysmarowany stale, szczególnie na grzbiecie jakąś złowonną maścią leczniczą, wiecznie lepki, wilgotny, zbolały, rozdrgany i rozdrażniony, ociera się nerwowo, histerycznie o ludzkie kolana, niby świnia o płot. Widocznie maść działa świerzbiąco. Ludzie niechętnie przystają na te fizyczne kontakty, niosące psu ulgę, i usuwają się od niego z odrazą. Szczególnie niemiły jest dotyk jego przednich kościstych, patyczkowatych, pozbawionych wszelkiej miękkości, zimnych łap. Ma się wrażenie, że są to

sztucznie ożywione, odcięte łapki zajęcze czy królicze. W niektórych domach używa się takich łapek do ścierania kurzu. Łapy te „proszą" w jakiś niepokojący, histeryczny sposób. Coś nieprzyzwoitego jest w przymilności Mucka i coś niesamowitego zarazem. Jakby to nie był pies, zwierzę domowe, lecz stworzenie nie z tego świata lub ze świata powieści Ewy Szelburg-Zarembiny. Najpiękniejsze w Mucku są jego oczy, ciemne, głębokie, gorejące. Przypatrzywszy się tym oczom bliżej — znajdujemy w nich cierpienie i obłęd. Podczas gdy wszystkie cechy ujemne biednego Mucka budzić mogą odrazę i litość, głos jego może doprowadzić do rozpaczy. Pół biedy gdy tylko szczeka. Ale jego wycie, będące niekiedy ludzkim spazmatycznym płaczem, mieści w sobie całe piekło obłędu. To nie jest normalne wycie psa, lecz syntetyczny lament samej szpetoty i upośledzenia. Ludzkim, jednotonnym dyszkantem szturmuje ten „parszywy pies", Bóg jeden wie, jakie nieba czy piekła. Bóg jeden wie, jakiej łaski się doprasza, z jakich tortur pragnie się wyzwolić. Zawodzi tak zapamiętale i przeraźliwie, jakby się upominał o sprawy stokroć ważniejsze niż jego własny, nieszczęsny los. Najstraszliwszą torturą Mucka jest muzyka. Nienawidzi jej wszystkimi strzępami swej pokiereszowanej duszy i ostatnimi zasobami strun głosowych. Czarne pudło, zwane przez ludzi fortepianem, to dla niego kaźń. Mucyk jest śmiertelnym wrogiem każdej melodii, poważnej i skocznej, Beethovena i Chopina, Golda i Petersburskiego. Walczy z muzyką do upadłego, do kresów wytrzymałości swojej i naszej membrany.

W czasie gry na fortepianie lamentuje zgodnie z tonacją tej gry, niektórzy utrzymują, że śpiewa. O, nie jest to śpiew, lecz skowyt pijaka prowadzonego do komisariatu. I nie ma tu kompromisu: albo on musi ulec, albo muzyka. Najczęściej ulega on. Wyrzuca go się z domu, w którym Beethoven, Mozart lub Debussy uszczęśliwiają ludzkość kosztem psiego bólu i hańby.

Wiele dałbym za to, żeby móc odgadnąć, co się dzieje w Mucku gdy słucha muzyki. Jak wspomniałem wyżej, nie jestem psim psychoanalitykiem, lecz mam wrażenie, że reakcja Mucka na muzykę zarówno instrumentalną jak wokalną, to protest pokraki przeciw samemu Pięknu.

Mucyk ma osiem lat. Nie zauważono u niego do tej pory miłosnego popędu. Organizm jego widocznie sam zrezygnował z przywileju rozmnażania się i rozkoszy. Nie wiem, czy zwierzęta są obdarzone świadomością własnej urody i szpetoty, wydaje mi się jednak, że Mucyk musi wiedzieć o tym, jak bardzo jest szpetny. Musi wiedzieć o tym, że żadnej suczce nie sprawi rozkoszy. A psich lupanarów, o ile nam wiadomo, nie ma.

Jak się odnosi do ludzi? Na ogół lojalnie. Jest posłuszny i zdyscyplinowany. Wchodzi tylko tam, gdzie mu wchodzić wolno, ale przyjazny stosunek ludzi do innych, normalnych psów, sprawia mu wyraźną przykrość. W tym nie ma nic szczególnego. Wszystkie psy domowe są zazdrosne. Mucyk jednak musi wyczuwać, że ludzie go się brzydzą. Nie ma wszakże żalu do tych, co go odpychają. Przeciwnie. Jak każda istota upodlona, gardzi tylko nieszczęśliwszymi od siebie. Wobec całych spodni i czystych butów zachowuje się przyzwoicie. Rzuca się tylko na żebraków, na głuchoniemych, obszarpanych włóczęgów. Niekiedy i na bose chłopskie dzieci. Silnych, zdrowych, sytych i, w mniemaniu jego, szczęśliwych — szanuje.

Trzeba mu wiele ludzkiej czułości, skoro miłość cielesna dlań nie istnieje. Potrafi desperacko napraszać się o pogłaskanie. Oprócz jego szlachetnej pani, która traktuje go na równi z innymi, normalnymi psami, mało kto zdobędzie się wobec niego na czuły gest. Pogłaskanie Mucka, przytulenie go do siebie, to ofiara. Ma się potem błogie uczucie spełnienia miłosiernego uczynku, który kiedyś będzie policzony tam, gdzie liczą nasze dobre i złe uczynki. Świętym Franciszkiem z Assyżu, całującym trędowatego, można się poczuć, biorąc Mucka na kolana.

Skąd wzięła się ta niedola? Jako szczeniak był Mucyk dobry i piękny. W pierwszym roku życia przejechała go bryczka. Przetrąciła mu kręgosłup. Paraliż tylnych nóg. W owym czasie Mucyk wstydził się i płakał, gdy robił pod siebie. Nikomu nie pozwalał siebie dotykać, nawet własnej pani. Gryzł ją, chociaż zaraz robiło mu się przykro.

Dzisiaj Mucyk też potrafi niespodziewanie ugryźć. Gospodarze uprzedzają o tym każdego gościa. Poniektóry gość życzy Muckowi śmierci. Podobno ma ona być lepsza od „takiego życia". Lecz w Mucku jest wiele życia. Lubi leżeć na olbrzymiej skórze, ściągniętej z zastrzelonego dzika. On i ta skóra służą niekiedy obcym ludziom do wycierania nóg.

Dla Marii Sołowijowej

1936

IV

ORFEUSZ W PIEKLE XX WIEKU

Na pomnikach i nagrobkach poetów oglądamy nieraz wykutą w brązie lub marmurze — harfę albo lirę, skrzyżowaną malowniczo z gałązką wawrzynu, gałązką palmy lub gęsim piórem. Mają to być insygnia władzy poetów, władzy rzeczywistej lub urojonej, tak wyglądają herby ich niedziedzicznego szlachectwa. Starodawny instrument muzyczny, którego dźwięk jest nam już prawie nieznany. Przywykliśmy również każdego człowieka, który swe myśli wyraża mową wiązaną, nazywać śpiewakiem, pieśniarzem, piewcą. Mówimy, że w swych książkach coś śpiewa, wyśpiewuje. W rzeczywistości nigdy nie słyszeliśmy śpiewającego poety, co najwyżej byliśmy świadkami jak swe wiersze recytował. Byłby to więc tylko przesadny zachwyt, który każe nam pracę literacką, wykonaną przeważnie w pozycji siedzącej, przy stole i z zamkniętymi ustami, nazywać śpiewaniem?

A jednak Iliada zaczyna się od słów: „Menin aejde tea" — „Gniew śpiewaj, Bogini"... a Eneida od słów: „Arma virumque cano", — „Broń śpiewam i męża...".

Jakoś trudno jest przypuszczać, że obaj starożytni poeci chcieli świadomie wprowadzić potomność w błąd, nazywając śpiewem coś, co jest tylko mową wiązaną. Natomiast żaden ze znanych nam, współczesnych poetów nie śpiewa, a jeśli się zdarzy, że jakiś kompozytor napisze muzykę do jego słów, to przeważnie słowa te schodzą na drugi plan, stają się zupełnie obojętne, zwłaszcza jeżeli muzyka jest dobra. A zatem na nagrobkach i pomnikach współczesnych poetów zamiast harfy i liry powinno się umieszczać małe Remingtony lub Underwoody, skrzyżowane romantycznie z wiecznym piórem Watermana lub Parkera. Te narzędzia, nie uwłaczając czci dzisiejszego poety, z większą ścisłością służyć by mogły za insygnia jego pracy. Wieczne pióro z większym prawdopodobieństwem toruje dziś poecie drogę do wieczności, niż przestarzały zabytek instrumentalny, którego za życia nigdy nie miał w ręku.

Ale coś musi być w tym, że poezję łączymy z muzycznymi instrumentami. Prawie każdy rodzaj sztuki wierszowanej nosi po dziś dzień grecką, lub włoską nazwę, określającą raczej dźwiękową stronę utworu, jego muzyczną postać, a nie semantyczną, czysto literacką. Oda, hymn, elegia, rapsod, psalm, canzona, sonet — to wszystko pojęcia raczej dźwiękowe. Jedynie sekstyna, tercyna, oktawa i aleksandryn wyrażają bezdźwięczną, kwantytatywną stronę wiersza. Są określeniami metrycznymi. Domyślamy się więc z tego, że poezja w dzisiejszej postaci musi być szczątkowym organem jakiegoś, nie istniejącego już kunsztu, który wraz z muzyką tworzył niegdyś jedną całość. Współczesna książka, zapełniona wierszami, byłaby w stosunku do dawnej poezji tym, czym w muzyce są nuty. Żonglerzy, trubadurzy i truwerzy, minestrele i minnesaengerzy byli poetami i muzykami w jednej osobie. Na dworach średniowiecznych, przy zimowych kominkach, w klasztornych refektarzach, poezja nie była czytana, lecz śpiewana.

Dzisiaj nikt nie wymaga od poety, żeby był tenorem lub barytonem. Nikt nie czyni mu wyrzutów, jeśli czytając swe wiersze, nie towarzyszy im brząkaniem na cytarze lub formindze. Ale w owych dalekich czasach, gdy poezja była tak powszechna jak kino, w owych szczęśliwych, jak się nam dzisiaj wydawać może — czasach, kiedy poeci mogli być analfabetami, kiedy nie było druku ani książek, w owych legendarnych czasach króla Dawida, harfiarza, czy też ślepego Homera, nie było jeszcze rozbratu między poezją a muzyką. Wówczas strofa wiersza była rzeczywiście strofą, a nie tylko — jak dziś — hamulcem dla rytmu. Wówczas wewnętrzna melodia wiersza ściśle odpowiadać musiała melodii frazy, śpiewanej pełną piersią. I dlatego w czasach owej harmonijnej unii — jeden był dla poezji i muzyki bóg: Apollo który sam grał na formindze i przewodniczył wielkiej akademii złożonej z samych kobiet: z dziewięciu Muz.

Dzisiaj poezja, odłączona od swej prawowitej siostry, jest zjawiskiem wtórnym, dziwacznym. To dostojny kaleka, ukrywający swe braki pod purpurowym płaszczem wyszukanych słów. Dawna poezja apollińska była w słowach prosta, a cała jej zawiłość wyrażała się w muzyce, w tej jedynej ludzkiej mowie bliskiej doskonałości, ponieważ potrafi ona oddać mniej więcej wszystko, co się dzieje w ludzkiej duszy. Muzyka, wszystkimi fletami i piszczałkami wygwizduje i wyszydza ludzki rozum ułomny i bezradny w porównaniu z jej doskonałym szaleństwem i uroczym kłamstwem, w którym więcej jest prawdy, niż w najmądrzejszych definicjach, wybełkotanych słowami. Jeżeli istnieje Bóg i pozwala człowiekowi od czasu do czasu porozmawiać z Sobą to na ten cel nie użyczył mu mowy, która służy do porozumie-

nia się ludzi z ludźmi w ziemskich sprawach, do porozumienia się, lub częściej do nieporozumień. Jeżeli Bóg niekiedy raczy słuchać tego, co pragnie powiedzieć człowiek, to dał mu na ten cel właśnie muzykę i poezję, tę niewierną schizmatyczkę muzyki. I dlatego ludzie, którzy niezależnie od swych ludzkich, ziemskich wartości, niezależnie od umysłu, od cnót, od charakteru, umieją przybliżać niebo do ziemi, lub też ziemię podnosić o kilkaset metrów do nieba, nazywamy ludźmi z Bożej łaski. Ci ludzie często sami nie wiedzą, co mówią, kiedy mówią, co wyśpiewują, gdy śpiewają, nie wiedzą skąd w nich ta siła urzekania. Już dawno i na wieki umilkły formingi, cytary, bardony, lutnie i gęśle. Płyty gramofonów nie przechowały nam ich dźwięku, bo płyt jeszcze wówczas nie było. Później ludzie wymyślili nowe, bardziej skomplikowane i bardziej wymowne narzędzia gry, — jeden tylko instrument został na świecie z tych najdawniejszych czasów, to ten, na którym jeszcze Orfeusz zaklinał bóstwa śmierci, by mu oddały żonę. To głos ludzki, *vox humana.*

Nikt od człowieka, z Bożej łaski obdarzonego cudownym głosem, nie wymaga nadzwyczajnego rozumu, którego — może niesłusznie — wymaga się od poetów. Przysłowiowy u tenorów brak rozumu często milszy jest słuchaczom, złożonym nawet z samych mędrców, niż wszystkie pisane mądrości. Śpiewak nie winien temu, że głosowi jego dane jest wyrażać głębie, których sam nawet nie przeczuwa. Co nas obchodzą słowa pieśni śpiewanej? Dziś przywiązujemy wagę już tylko do słów pieśni czytanej oczami, do czystej poezji, tego surogatu dawnej gędźby. W pieśni śpiewanej natomiast obchodzi nas tylko czysta muzyka, sam alkohol duszy, wolny od przypraw rozsądku. Jakże obojętne są nam teksty pieśni, owe straszliwe „sny i łzy", to „serce w rozterce", ten „maj i raj". Nie zważamy na niedorzeczności libretta, gdy słuchamy oper boskiego Mozarta. Toteż oklaskując śpiewaka, nie jemu jako człowiekowi, lecz samemu Panu Bogu bijemy brawo, Bogu, któremu podobało się uczynić ze śpiewaka pomost między Sobą a nami.

Ileż to podstępnych chwytów za serce i perfidnych, delikatnych, niedostrzegalnych dla czytelnika manewrów logicznych wykonać musi poeta zanim mu się uda przy pomocy słów, używanych przecie i w codziennym życiu, osiągnąć choć w przybliżeniu to, co osiąga muzyk już przez sam materiał, z którego czerpie. Głosu skrzypiec, fletu, klarnetu, oboju, waltorni, ani brzmienia fortepianu, nie wypożycza się z mowy ludzkiej tak, jak to czyni poezja. Głosy te istnieją tylko dla muzyki i są tajemnicą instrumentów, tajemnicą substancji, z których te instrumenty zrobiono, tajemnicą jelit jagnięcych, z których wyrabia

się struny, tajemnicą włosia, napinanego na smyczki, tajemnic przewodów, kanałów, skrętów i zakrętów, otworów i wydrąże w drzewie i blasze, którymi przeciska się ludzki oddech. T tajemnicę wyzyskać, na niej budować — oto zadanie kompozy tora. Ale największą tajemnicą jest ludzki głos.

Odkąd poezja i muzyka rozstały się i poszły własnymi dro gami, coraz bardziej stają się sobie obce. Poeci liryczni bez lir układają swe wiersze już nie dla ucha, lecz dla oka, słuchow formy wiersza nie rozwijają się, rzadko odświeża się je nowym wynalazkami lub nawrotami do dawnych technik, np. do asc nansów. Coraz częściej formę liryczną wypełniają w poezj europejskiej, a może bardziej jeszcze w poezji amerykańskie — tematy nieśpiewne, niekiedy są to jak gdyby rytmicznie skan dowane reportaże. Pieśń, odstąpiona całkowicie muzyce, opuszcz poezję, do której wdarły się intelekt i spekulacja, i oto Orfeusz wygnany z poezji, rozszarpywany przez zawiedzione bachantki zdołał się uwolnić z ich rąk i schronił się do muzyki. Nie za pomniał jednak skąd przyszedł. Niekiedy wykrada się poza gra nice tonów i w tęsknocie za słowem, potajemnie odwiedza poe tów. Przypomina im, że mają wspólnego z nim ojca: Apollina Niektórzy poeci przyjmują go życzliwie, ale są i tacy, którzy ni chcą go już znać. Opierają się oni widocznie na innej wersj antycznego mitu, według której Orfeusz wcale nie był synem Apollina, lecz króla trackiego Eagra. Ale nawet i w tym wypadku matką mu była muza Kaliope.

Poeci zarzucają wygnanemu Orfeuszowi, że nadto skwapli wie wyprawia się z Argonautami po złote runo. Dzisiejsza Kol chida bowiem nazywa się Ameryka, a złote runo, które tak nęc Orfeusza, jest z papieru i nazywa się: dolar. Mityczny Orfeus śpiewem swym dzikie bestie ugłaskał, iż przycupnęły do jego stóp, i pokornie jego pieśni słuchały. Dzisiejszy Orfeusz nie m już tej mocy. Nie potrafi nawet poskromić dzikiej bestii, zamkniętej w klatce ludzkiego serca. Niczyja pieśń nie powstrzymała od wybuchu wulkanów ludzkiej nienawiści, nie zamknęła armato ich paszcz, nie unieruchomiła tanków, nie przeszkodziła bombo zapalać miasta. Niczyja pieśń nie rozsadziła komór gazowych, ni zmiotła z powierzchni ziemi: Dachau i Bergen-Belsen, Oświęcimia Majdanka i Treblinki. Piekło mitycznego Orfeusza znajdowało si pod ziemią. To był Hades, gdzie mieszkali umarli. Piekło dzi siejszych Orfeuszów — ach, nadto dobrze je znamy — to ziemia zamieszkiwana przez żywych ludzi. Nasi Orfeusze, poeci bez li i muzycy bez władzy, też niekiedy wyrywają nam dusze z tego piekła, w którym żyjemy. Ale głos ich jest za wątły, żeby mógł zagłuszyć zabójczy łoskot doczesności, piekielny ryk morderczyc

maszyn. Dawny Orfeusz pieśnią swoją pokonywał jedynie dźwięki przyrody. Dziś — musi przekrzyczeć, nawet w czasie pokoju, straszliwe piekło dźwięków sztucznych, będących dziełem człowieka. Dawniej melodia, przedzierając się do wieczności, musiała pokonać grzmoty Dzeusa, nawałnice Posejdona, stuk kopyt, turkot kół, ryk bydła i szczęk oręża. Można by napisać historię ewolucji dźwięków na świecie. Jak bardzo się one zmieniają! Jest ich coraz więcej i są coraz głośniejsze. Najmocniejsze dźwięki starożytności były sielankowe w porównaniu z niewinnymi odgłosami współczesnego miasta. Żelazo, szkło, kamień, motor i elektryczność zmówiły się, zawarły między sobą przymierze, żeby ogłuszyć człowieka i nie dopuścić łagodniejszych dźwięków do jego uszu. Syreny samochodów ostrzegają nas przed śmiercią pod kołami nie tak słodkim głosem, jakim niegdyś syreny wodne wabiły ku śmierci Odysseusza. A co mówić o syrenach, ostrzegających przed atakiem lotniczym!

Pośród ogłuszającego ryku miast, pośród huku machin wysoko na niebie, przedziera się Orfeusz czasu wojny i czasu pokoju — do ludzkich serc. Unika dnia, woli noc, kiedy piekło „normalnego" życia ucisza się nieco, woli on sztuczne światło elektrycznych żyrandoli od słonecznego blasku swego ojca, Apollina. Woli gęste, przesycone sztucznymi zapachami powietrze sal koncertowych, od naturalnych zapachów ogrodów i łąk. Jak nocny kwiat otwiera Orfeusz kielich swej pieśni i zamyka się z powrotem wśród zgiełku dnia. Pomaga nam przez godzinę, przez dwie, pokonać strach, pokonać śmierć, pokonać czas, co nieuchronnie wiedzie nas do śmierci, zapełniając czas sztuką, która odbywa się w czasie. Orfeusz pozwala na krótko wyłączyć rozum tak, jak się wyłącza elektryczność, pozwala nam, uwięzionym w przestrzeni, odpocząć w czasie. Chętnie gasimy to wątłe, ach jakże wątłe światełko rozumu, które oświeca nasze ciemne dzienne sprawy, wyłączamy zmysł wzroku, zamykamy oczy, podwajając tak wrażliwość uszu.

Jest noc, jest cisza, słuchajmy Orfeusza.

1930-1942

PUSTY TEATR

I

Nigdy u nas nie rozprawiano tyle o tym, jaki powinien być teatr, na czym polega jego zdrowie, nigdy tak skwapliwie nie konstatowano rzeczywistych czy urojonych chorób teatru, ile w ostatnich latach suszy w dziedzinie polskiej twórczości dramatycznej. Jest to objaw zrozumiały, że w chwili, kiedy umysły ludzkie są pochłonięte obserwacją realnej, dokonanej już twórczości, nie ma w nich miejsca na mniej lub więcej owocne, czy też jałowe dysputy na tematy zasadnicze: być albo nie być. W ostatnich kilku latach zdążyliśmy przeczytać aż nazbyt wiele recept, zalecających niechybne i niezawodne remedia na uzdrowienie starej ciotki Melpomeny, tak, iż odczytywanie tych recept, prostych i zawiłych, odcyfrowywanie nie zawsze czytelnych znaków zajęło nam tyle czasu, iż zapomnieliśmy zupełnie o tym, że należy pójść do apteki.

W ogóle apteka stała się instytucją zgoła nierealną, a naszej poczciwej, a tak ukochanej ciotce postawili tymczasem bańki i pijawki — znachorzy i cyrulicy — zaradniejsi od uczonych lekarzy. Obfitość recept odsunęła na drugi plan zainteresowanie osobą pacjenta, który zdaje się zdrowieć spontanicznie, otoczony troskliwą opieką domową.

Nie mamy tylu nowych dramatów, ile by nam było potrzeba do realizowania wszystkich „koncepcji" teatralnych, rodzących się w naszych głowach. Dlatego skłonni jesteśmy zajmować się szczegółowo wszystkimi imponderabiliami i ustawicznie suszymy sobie głowę nad tym, co by było, gdyby było. Rewolucję w teatrze zaczynamy od wszystkiego, co leży na linii najmniejszych oporów; rewoltujemy więc krzesła, fotele, budki suflerskie, opornice, kurtyny (lub zrywamy kurtyny w zupełności), buntujemy i nawracamy aktorów, każąc im zamieniać się

w yogów, to znów w akrobatów cyrkowych, wbijamy gwoździe w poczciwe głowy inspicjentów, każemy komikom śpiewać arie bohaterskich tenorów, uczymy ich moralności i sztuki milczenia. Naiwne subretki przerabiamy na namaszczone sakramentalnymi olejkami Pytie i Sybille, słowem: gwałcimy drzewo, płótno, głos ludzki i ludzki gest — dla osiągnięcia celów, z których sobie jasno nie zdajemy sprawy. O wszystkim myślimy w pogoni za innowacją, tylko nie o tym, co zdawałoby się najważniejsze: o dramaturgii. Zastrzegam się, że nie pragnę uszczuplić zasługi inscenizatorów i reżyserów, z których dziełem liczyć się musimy, jako z czymś dokonanym. Pomysł reżysera jest taką samą prawdą, jak pomysł poety dramatycznego. Lekceważę natomiast apodyktyczne tezy teoretyków, do których sam zresztą należę, lekceważę je *a priori,* wiedząc z własnego doświadczenia, że należą do sfery gadulstwa. Przy okazji pracy nad realizacją chórów tragicznych Ajschylosa, przekonałem się, że moja uczona teoria, będąca wynikiem gabinetowych rozważań, nie wytrzymuje moich własnych praktycznych inwencji. Rezultaty, osiągnięte przy pracy nad chórami tragicznymi podyktowały mi całkiem nową teorię, która, jako wynik doświadczenia, bije na łeb wszystko, com sobie na zimno wykalkulował. Jest jakiś suchy, bezserdeczny cynizm we wszystkich niemal teoretycznych programach naprawy rzeczypospolitej teatru. Cynizm ten słusznie spotyka się z szyderstwem realnych pracowników, mających za sobą trudy doświadczeń i rozczarowań.

Nie o to mi jednak chodzi. Zależy mi w tym szkicu przede wszystkim na wykreśleniu granic styczności utworu dramatycznego z teatrem, a bynajmniej nie na ich ustaleniu.

Na szczęście granice wrażliwości ludzkiej są przesuwalne, toteż i granice estetyczne mogą się unicestwić same w sobie, w każdej chwili, osobliwie zaś w tym radosnym momencie, kiedy nowy autor przychodzi do nas z nową sztuką i żąda od nas nowych metod realizacji. Byłem zaskoczony na festiwalu teatralno-muzycznym we Wiedniu mnogością form realizacji scenicznej, przygotowanych, jak pieluszki dla dziecka, mającego się dopiero urodzić. Najrozmaitsze widziałem projekty: widowni, scen, maszynerii, a wszystko to dla jakiegoś mistycznego noworodka. Przypuśćmy nawet, że ludzkość znajduje się już w ósmym miesiącu tej, ze wszechmiar błogosławionej, ciąży, to jednak grozi jej nieszczęście poronienia, lub wydania na świat potworka tak nieciekawego, iż nie opłacało się dla niego tracić tyle dobrej i rzetelnej energii. Nie widziałem we Wiedniu żadnego „nowego" utworu, wystawionego w tych nowych warunkach, któryby mnie zaciekawił, natomiast wprawiła mnie w podziw realizacja

„Literatury brukowej" (Kolportage) Georga Kaisera, dla której przygotowano kołyskę i uszyto pieluchy dopiero po arcyszczęśliwym rozwiązaniu. Noworodek, jakim jest nowa twórczość dramatyczna w Europie, sam swoim kwileniem dyktuje mamkom prawa, a o dezyderata swoje potrafi się upomnieć niedwuznacznie i dobitnie. Przy wystawieniu sztuki Kaisera okazało się potrzebne do pomocy kino, a szereg wyśmienitych pomysłów reżyserskich i malarskich wynikał organicznie z samego dzieła. Jest przeto rzeczą jasną, że tzw. teatr przyszłości zależny jest od dramatu przyszłości, a jaki ten dramat będzie, czym ma być, czym powinien być, czym może być, czym musi być, o tym nikomu z nas nie przystoi mówić.

Jest wielką nieprzyzwoitością wkraczać w kompetencje Pana Boga i przewidywać oraz określać przyszłość na tej tylko podstawie, że już nam się sprzykrzyła teraźniejszość. Wszystkie wielkie akty twórcze, które już dziś włączyliśmy do inwentarza naszej estetyki, powstawały samodzielnie, były wielką dla nas niespodzianką, a cała nasza gadatliwa mądrość na temat przyszłości pochodzi stąd, że najedliśmy się i przetrawili, choć nie zawsze dostatecznie, owe, swego czasu niespodzianki.

Tajemnicą sztuki jest jej suwerenność, jej wytworny, pański gest, którym przywołuje nas ona ku sobie jak święty Graal: „Oto moja krew, oto moje ciało, spożyjcie je!" Jeśli nasze serca i oczy i uszy czegoś łakną, to przystoi im z góry dać votum zaufania dla twórców, będących krwią z naszej krwi i kością z naszej kości. Nie podadzą nam oni fałszowanego wina i chleba.

Za mało cierpliwi jesteśmy jako publiczność, za bardzo przywykliśmy do zgiełków politycznej walki, że z takim karczemnym hałasem wołamy o swoje prawa w przyszłości, której przecie nie znamy.

II

Szkic niniejszy powstał niezależnie od artykułów Witolda Wandurskiego pt. „Prawa publiczności", drukowanych w numerach: 4 i 46 „Życia teatru", toteż nie należy dopatrywać się w tym szkicu jakiejś polemiki z wysoko przeze mnie cenionym teatrologiem, reżyserem i, jak to najbliższa przyszłość pokaże, autorem dramatycznym, jakkolwiek nie mogę zgodzić się z jego, pełnymi temperamentu i swady wywodami. Wychodząc z założenia, iż pojęcie publiczności jest na ogół niejasne, stwierdzam, że

należy publiczność zignorować, ilekroć ma się poczucie ważności artystycznego zadania. Publiczność nie może wymagać od autorów, by pisali to, co się jej podoba, gdyż ta sama publiczność po otrzymaniu tego, czego się domagała, powie: „to nie jest nowe, to banalne!". Publiczność nie jest kobietą, jak twierdzi Wandurski, tylko dzieckiem, świadomym jedynie przeszłości. Jak dziecko, żąda publiczność niespodzianek, których wartość, znaczenie, sens wytłumaczą mu rodzice. Trzeba z góry przyjąć zaufanie dziecka do rodziców, wiarę w ich dobrą wolę i pomysłowość. Dziecko nie wie skąd biorą się jego zabawki, a cały prestiż rodziców polega na tym, żeby dziecka nie rozczarować. Pajdokracja w dziedzinie sztuki jest niedopuszczalna, podobnie jak w domu. Biada rodzicom, jeśli ich zaczną wychowywać dzieci, a po trzykroć biada, skoro dzieci zaczną uczyć rodziców, jak się robi dzieci. (Nieraz się zdarza co prawda, że dzieci są mądrzejsze od rodziców). Ostatecznie każdy z nas jest publicznością i każdy z nas był dzieckiem, a największa trudność leży w tym, że, jako twórcy, uzurpujemy sobie prawo rozkazywania. W tej dziedzinie co krok napotykamy na ostre nieporozumienia i zaiste ciężko jest powiedzieć, kiedy publiczność uznaje swych samozwańczych rodziców bez zastrzeżeń.

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Nie chodzi mi o życiowo-wychowawczą rolę twórczości teatralnej. Mówię jedynie o wychowaniu publiczności w stosunku do teatru i określam rolę wychowawców tudzież uczniów.

Nie tu miejsce na rozpatrywanie owych głębokich i subtelnych związków, zachodzących między zbiorowością a twórcą, bez których wszelka sztuka byłaby niemożliwa. Stwierdzam tylko głęboki tragizm i wielką samotność wszystkich twórców na tym świecie i pragnąłbym wskazać na bolesną przepaść między człowiekiem a człowiekiem. W tragicznej postawie autora wobec życia jednostki, czy wobec życia zbiorowego nie ma jednoznaczności, dlatego słowa: widz, słuchacz, publiczność kryją już w samym założeniu — nieporozumienie. Tragik i tragiczny komediopisarz na tej właśnie przepaści budują swoje gmachy, biorąc to nieporozumienie za podstawę zrozumienia ich utworu przez publiczność. Inaczej niemożliwy byłby Ajschylos, Sofokles, Shakespeare, Hebbel, Grabbe, Wyspiański, Ibsen, Kaiser, ani Arystofanes, Plaut, Molière, Shaw, Crommelynck, Sternheim. Jednoznaczna postawa wobec życia jest zaprzeczeniem wszelkiego tragizmu, a to, że twórca liczy się ze swoim tragizmem jest największą koncesją, jaką może dać publiczności. I tu właśnie stajemy wobec zagadnienia pustego teatru.

III

Od niepamiętnych czasów kojarzono pewien typ podniosłych widowisk scenicznych z religijnym popędem człowieka. Popęd ten jest niezależny od świadomości, intelektualnego wyrobienia oraz stopnia wykształcenia i wrażliwości. Ile razy przed oczyma naszymi rodziło się piękno, tyle razy wykłuwało się ze skorupy tuziemności, przypadkowości, zrozumiałości jakieś tajemnicze uczucie lęku, grozy, zagadki. Osuwały się wówczas grube osłony ze wstydliwego ciała rzeczywistości, opadały z posągu prawdy widoczne dla wszystkich pokrowce, a przed strwożoną źrenicą poczęły się wyłaniać tajemnicze kontury jakiejś drapieżnie cudownej zagadki. Im więcej egzotyczne są szaty i kostiumy, którymi największa boska i ludzka tajemnica, p r a w d a, przykrywać zwykła swe zabójcze powaby, tym mniej dziwimy się im, tym mniejsze nas ogarnia zachwycenie. Istnieje jakiś osobliwy kult człowieka dla samej nagości, której nigdy jednak oczy ludzkie w pełnym świetle nie ujrzą, ujrzeć nie mogą. Cichną wówczas języki, ale głośniej bić poczyna serce i dreszcz przechodzi nasze ciała, a od tego dreszczu mrocznieje nam w głowie. Całej nagiej prawdy nigdy nie widziało oko ludzkie, a od początku świata aż po dziś dzień wielka sztuka jest zajęta samym tylko obnażaniem. Toteż często się zdarza przy wypełnionej widowni teatru, że w chwili, kiedy dokonywać się zaczyna owa chemiczna przemiana, sprawiająca, iż czarne staje się białym, a białe czarnym, iż „tak" staje się „nie", a wszystko razem istnieje tylko w sferze „może", nagle zaczynają opróżniać się fotele w parkiecie, pustoszeją loże i galerie, gasną żyrandole, a publiczność najpierw pojedynczo, a później grupami, a na końcu tłumnie opuszcza widownię i przenosi się na scenę, zlewa się ze sceną. Niedługo jednak trwa to zrównanie sceny z widownią. Po krótkiej chwili cała publiczność zgromadzona na scenie, tłumnie ucieka ku wyjściu, pcha się wszystkimi drzwiami na świeże powietrze, wylega na ulicę, aby się zgubić, zagubić, zatracić w codzienności. Nie wytrzymała widoku obnażającej się prawdy. I teatr jest pusty. W takich chwilach poeta tragiczny osiąga swój największy triumf. W pustym teatrze ucieleśnia się doskonale cała wizja poety, którego prawda styka się już bezpośrednio z najwyższą racją, z jedyną racją, z Bogiem.

Najbardziej realistyczna sztuka, jeśli jest postawiona na krawędzi życia musi zetknąć się z takim punktem, gdzie „graniczy Stwórca i natura". Jedna tylko konfrontacja jest możliwa: człowieka z Bogiem, wszystkie konfrontacje człowieka z samym sobą prowadzą do obłędu.

Największą tajemnicą dla człowieka nie jest to, jak wyglądają światy, leżące po za nim, tylko jego własna twarz. Szmery i tętno naszego własnego serca najbardziej nas dziwią i przerażają i dlatego wbrew wszelkim pozorom człowiek jest najbardziej obcy samemu sobie i przez tę obcość staje się bliski bliźniemu. W pustym teatrze jedynie (przy zapełnionej widowni) możliwe jest odegranie owego misterium i tej tragikomedii o człowieku, kiedy konflikty i perypetie mają już jeden niedwuznaczny sens. W obecności choćby jednego tylko widza, nawet gdyby tym jednym widzem był sam autor sztuki, widowisko staje się arlekinadą, szaradą, barwną i ruchomą oraz n i e p o r o z u m i e n i e m . Jak długo istnieć będą nieporozumienia i różnice w pojmowaniu tego, co nas otacza, jak długo słowo ludzkie będzie miało tyle znaczeń, ile ust je wymawia i uszu odbiera, dopóty teatr będzie budą jarmaczną i czarnoksięskim pudłem.

Nie należy żadnego człowieka pozbawiać możności uczestniczenia w dramacie i odnalezienia się w nim. A pozbawiamy go tego stawiając jednoznacznie sprawy, które go najbliżej obchodzą. W chwili kiedy widz odpowie na pytania, wychylające się ku niemu z tak zwanej treści widowiska, teatr umrze. Wszystkie piękności, poza pięknością tragiczną, można odnaleźć skuteczniej w innych dziedzinach sztuki. Istnieją przecież sztuki, tłumaczące się jaśniej, niż teatr tragiczny. Ale ktokolwiek pragnie wyjść z przybytku Melpomeny, z słodkim balastem poezji, musi być przygotowany na to, że ujrzy tam błazeństwo będące najwyższą mądrością, lub najwyższą mądrość, będącą błazeństwem.

Teatr poezji tragicznej, teatr dla ludzi, był i będzie przybytkiem tajemniczych obrzędów, gdyż teatr, w którym widzem i sędzią wszystko rozumiejącym jest Bóg, musi być pusty.

Cały świat jest olbrzymią sceną, na której odgrywamy tragikomiczne misterium naszego życia przed jednym, jedynym widzem. Ten Widz przygląda się nam od wieków ze swej samotnej, królewskiej loży. On nas nie oklaskuje.

1924

ŚWIĘTY AUGUSTYN I TEATR

W tej rozpaczliwej ucieczce przed pustką, która z każdym dniem coraz bardziej zagraża bezbronnej a raczej rozbrojonej duszy współczesnego Europejczyka, jakże chętnie cofamy się pamięcią do minionych czasów, na zapomniane już ostoje, na zasypane pozycje obronne, skąd niegdyś tak mężnie stawialiśmy opór nacierającym wrogom. Z wdzięcznością odnajdujemy porzucone szlaki, którymi myśl ludzka dążyła ku upatrzonym celom i raz jeszcze usiłujemy powtórzyć próbę obciążenia prastarych mostów, zawieszonych nad przepaściami naszego bytu. Czujemy wszak, że w każdej chwili możemy w nie runąć. W pismach mędrców, którzy żyli setki i tysiące lat przed nami, szukamy odpowiedzi na trapiące nas dziś pytania i stwierdzamy przy tym ze zdumieniem, jak bardzo względnym pojęciem jest czas, skoro ci dalecy i umarli wydają się nam dziś tak bliscy i żywi. Oto minęło niedawno tysiąc pięćset lat od śmierci świętego Augustyna, biskupa Hippony. Czasy, w których żył i pisał ten wielki Ojciec Kościoła pod niejednym względem przypominają nasze. Cywilizowany świat łaciński przechodził wówczas równie groźne przesilenia i wstrząsy, jak my dzisiaj, podstawy, na których opierała się tyloletnia kultura umysłowa Rzymu, stawały się coraz bardziej kruche i niepewne, stara religia dla większości jej wyznawców była już tylko martwym konwenansem, a młoda, chrześcijańska nazbyt surowa na owe miękkie czasy, iżby mogła wywrzeć wpływ na moralność mas. Masy skłaniały się raczej ku sekciarstwu, wielkim powodzeniem cieszyła się zwłaszcza doktryna manichejska. Na tym tle występuje święty Augustyn, urodzony w Północnej Afryce, skolonizowanej przez Rzym. Był synem rzymskiego urzędnika, poganina, który dopiero pod koniec życia przyjął chrzest. Matka Augustyna była Numidyjką, gorącą katoliczką. Później Kościół ją kanonizował. Sam Augustyn nawrócił się dopiero w 33. roku życia. Stało się to w Mediolanie za pośrednictwem św. Ambro-

żego. Do Mediolanu przybył Augustyn z Rzymu, jako profesor retoryki. Nie trzeba dodawać, że całe wykształcenie, które odebrał zarówno w Kartaginie, jak i w Rzymie, było na wskroś pogańskie. Wychował się na filozofach sceptycznych i na Platonie. Na długim i pełnym wielu przygód duchowych życiu świętego Augustyna wycisnęły piętno losy obu moralności: rzymskiej i chrześcijańskiej. Augustyn przeżył upadek Rzymu, najazd Alaryka i Wandalów, był w Afryce świadkiem końca starożytności i początku średniowiecza.

Nie wiemy, jakie losy spotkają naszą cywilizację. Może zawali się z trzaskiem jeszcze za naszych dni, grzebiąc nas pod swymi żelazo-betonowymi gruzami, a może doczekamy się jej odrodzenia w jakiejś nieprzewidzianej formie. Nasze położenie kulturalne ma wybitnie schyłkowy charakter, więc nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie pisma człowieka, który przetrwał jeden z największych kryzysów cywilizacyjnych i na własne oczy widział, jak jeden świat umiera, a drugi się rodzi. Każdy zresztą, kto interesuje się sprawami własnej duszy z pożytkiem zajrzy do pism świętego Augustyna. Słusznie powiada świetny znawca spraw religijnych, Paweł Hulka-Laskowski, omawiając zbiorowe pisma Ojców Kościoła, wydane pod redakcją profesora Sajdaka: „Człowiek myślący nie ma po prostu psychologicznej możliwości obejścia pewnych spraw. Wierzący musi wiedzieć, w co wierzy, a sceptyk musi wiedzieć, czy słusznie powątpiewa".

Mamy zamiar mówić tylko o „Wyznaniach" świętego Augustyna, a nie o jego dziełach teologicznych. „Wyznania" są pierwszą spowiedzią publiczną w literaturze świata. I to — nie spowiedzią zwykłego grzesznika, ubogiego duchem, lecz wielkiego erudyty i filozofa. Pierwszy raz przemawia tu pisarz łaciński bezpośrednio, zwierza się w pierwszej osobie. Tego jeszcze nie było. Nawet Juliusz Cezar w swych „Pamiętnikach z wojny gallickiej", w których wielbił własne czyny, ani razu nie użył zaimka: ja. Święty Augustyn zwierza się w pierwszej osobie i to nie z krwawych zasług, lecz po to, aby przed Bogiem ukazać swe klęski i oskarżyć własną duszę. Zwierzenia te, jako dzieło literatury, są tym cenniejsze, iż pochodzą od człowieka, który nie w młodości się nawrócił, lecz już w dojrzałym wieku, po licznych i twardych doświadczeniach bystrego umysłu. Porzucając Platona dla Chrystusa, wiedział Augustyn dobrze, co porzuca i z czym zrywa. Nie był to powierzchowny entuzjasta, lecz głęboki znawca zarówno porzuconej ideologii, jak i nowej. Jego „Wyznania" — to historia jego nawrócenia, dokładna analiza warunków, które go do tego kroku zmusiły. Jeśli chodzi o literackie znaczenie „Wyznań", można je uważać za pierwszą książkę, której naczelną zaletą jest

bezwzględna szczerość. Różne mogą być rodzaje szczerości pisarza. Może to być szczerość wobec ludzi, wówczas powstają arcydzieła obserwacji, osądu i ironii. Jest to jednak najłatwiejsza forma szczerości. Znacznie trudniej pisarzowi być szczerym wobec siebie nie oglądając się na ludzi. Wówczas trzeba zrzucić pychę z serca i zeznawać prawdę nie gładkim językiem słuchaczów, lecz zagmatwanym i bełkotliwym językiem własnej duszy. Mówić sobie samemu prawdę umiało w dziejach myśli ludzkiej — niewielu, a ci, którzy to umieli, uchodzili przeważnie za szaleńców. Istnieje wszakże jeszcze jeden rodzaj szczerości: wobec Boga. Jest to jak gdyby nieustanna, bo całe życie trwająca spowiedź *in articulo mortis*. Dusza takiego człowieka w każdej chwili gotowa jest stanąć przed Najwyższym Sędzią. Człowiekowi, obdarzonemu łaską takiej szczerości, nie zależy ani na wrażeniu, wywartym na innych ludziach, ani na tej uldze, jaką niewątpliwie sprawia spowiadanie się samemu sobie, nie, — ten najwyższy rodzaj szczerości dostępny jest jedynie świętym i męczennikom. Nie często się zdarza, żeby święci i męczennicy byli jednocześnie literatami. A jeśli jednak się zdarzy, wtedy świat zawdzięcza im takie książki, jak „Wyznania" świętego Augustyna. W tej książce mamy idealną syntezę wszystkich rodzajów szczerości i podziwiać trzeba autora, który z tą samą prostotą zwierza się Bogu i sobie i nam.

Obnażanie duszy bardzo jest dziś modne w literaturze. Skoro więc z tak dużym zainteresowaniem śledzimy obnażanie małych dusz, przyda się nam niekiedy spojrzeć i na wielką duszę, gdy raczy się przed nami obnażyć. Święty Augustyn nie był męczennikiem w patetycznym stylu pierwszych chrześcijan, nikt mu nie obcinał głowy. Nie był nawet ascetą w znaczeniu cielesnym: żył sobie spokojnie w Afryce, jako powszechnie szanowany kapłan. Jednakże próby, jakie przechodziła jego dusza, nie mniej były ciężkie od udręczeń ciała. Czytając „Wyznania" nieraz jesteśmy świadkami straszliwych tortur duszy, tym boleśniejszych, iż sama je sobie zadawała.

Natrafimy tam na rozdział o teatrze, nad którym warto pomedytować. Żaden teoretyk teatru nie wypowiedział głębszych i trafniejszych sądów. Pozwolę sobie przytoczyć urywek z tego rozdziału w pięknym tłumaczeniu Krystyny Wisłockiej-Remerowej: „Porywały mnie widowiska teatralne, pełne obrazów, odtwarzających moje nieszczęścia i zarzewi dla ogni, które płonęły we mnie. Cóż jest przyczyną, że tam człowiek rad boleje nad smutnymi i tragicznymi dziejami, których jednak sam nie chciałby przeżywać? A jednak widz gotów jest czerpać z nich smutek, a ból ten stanowi dlań rozkosz. I cóż to jest innego, jeśli nie marne szaleństwo? Bo tym silniej każdy się przejmuje, im mniej

sam jest wolny od tego rodzaju uczuć, choć własne cierpienie zwykło się nazywać nieszczęściem, udział zaś w cierpieniu drugich — współczuciem. Lecz cóż to jest współczucie, gdy idzie o cierpienia udane, teatralne? Słuchacza nie wzywa się tu na pomoc, lecz tylko zachęca do udziału w bólu, a im większy jest ów ból, z tym większą życzliwością odnosi się słuchacz do autora owych obrazów. Jeśli zaś owe niedole ludzkie, bądź to czerpane z przeszłości, bądź też zmyślone, są odegrane tak, że widz nie odczuwa wcale bólu, wówczas odchodzi znudzony i niezadowolony, jeśli natomiast bólu dozna, pozostaje na miejscu, przejęty, rozradowany. Kocha się zatem i łzy i ból. Jest jednak rzeczą niewątpliwą, że każdy człowiek chce się cieszyć, więc może, choć nikt nie pragnie być nieszczęśliwym, radby przecież współczuć, dla tej jednej przyczyny kocha i ból także". (Księga III rozdz. 2).

Jesteśmy na szczytach świadomości ludzkiej i na szczytach udręki sumienia. Trudno wprost uwierzyć, że słowa te zostały napisane przeszło tysiąc pięćset lat temu. O jakim teatrze mówi Augustyn? Znał tylko jeden — pogański, rzymski. Chodził na widowiska tragiczne w Kartaginie i w Rzymie, gdy był jeszcze poganinem. Innego teatru wówczas nie było. Nawrócony na wiarę Chrystusową gorzko sobie wyrzuca udział swego miłosierdzia w zmyślonych cierpieniach bliźniego. Wyrzuca sobie przyjemność, jaką miał z świadomości, iż zdolny był do współczucia teatralnej boleści. Nieco dalej powiada: „Bo wprawdzie współczuć z kimś nieszczęśliwym jest wywiązaniem się z obowiązku miłości, jednak kto jest istotnie miłosierny wolałby raczej, by w ogóle nie było przyczyny współczucia".

Jest to chyba najbardziej heroiczne męczeństwo sumienia, które się w tych słowach spowiada. Zarazem jest to druzgocąca krytyka teorii Arystotelesa o grozie, litości i oczyszczeniu w teatrze. Święty Augustyn odrzuca oczyszczenie własnej duszy przez spoglądanie na boleść drugich. Potępiając pogański teatr, pierwszy może określił niemoralność sztuki. Sztuka bowiem bywa niemoralna, tym niemoralniejsza, im głębiej sięga. Pamiętać należy, że Augustyn wychowany w tradycji rzymskiej nawet nie przeczuwał możliwości narodzin nowego teatru, którego ojcem miał zostać osiem wieków później święty Franciszek z Assyżu. Przez osiem wieków, od upadku Rzymu aż do jasełek świętego Franciszka w Greccio, na ziemiach dawnego imperium rzymskiego nie było żadnego teatru. Dopiero święty Franciszek stworzył nową moralność teatru, na którą może zgodziłby się św. Augustyn. Albowiem w misteriach religijnych średniowiecza nie ludzkie cierpienie było przedstawiane, lecz męka Chrystusa, a współczucie okazywane tej męce pociągało za sobą praktyczne następstwa. Co

się działo przez tych długich osiem wieków, pozbawionych teatru? O, bardzo wiele: w tym czasie dusza ludzka mocowała się z aniołem i z diabłem i tak bardzo była pochłonięta tą walką, iż nie stać ją było na zbytek ułudnych gier. Tych osiem wieków ascezy i pokuty wypełniły rzeczywiste a nie urojone widowiska pasyjne, a wieki, dzielące świętego Augustyna od świętego Franciszka — to okres zastygania, krzepnięcia i utrwalania się kształtów i figur nowej mitologii, z której wyłonił się teatr chrześcijański. Generalna próba tego teatru trwała osiem wieków, zanim podniosła się kurtyna, odsłaniającą nową tragedię ludzkości.

1930

„JESUS" BARBUSSE'A

W literaturze XX wieku modne są utwory „rewizjonistyczne". Celem tych utworów jest ponowne ustalenie stosunku do wielkich postaci dziejowych czy też do ludzi zmyślonych, zrodzonych w świecie idei. Ten typ książek jest znamienny dla epoki, która sama zbytnią oryginalnością nie grzeszy. Nadprodukcji geniuszów również nie mamy, a co się tyczy idei aktualnych — geneza ich prawie bez wyjątku sięga XIX wieku. I dlatego epoka nasza chętnie cofa się pamięcią do tzw. zamierzchłych dziejów, aby wydobyć z nich na własny użytek jakąś olśniewającą postać, godną uwielbienia lub potępienia. Chodzi o tzw. „oświetlenie z nowego punktu widzenia".

Takie literackie procesy rewizyjne bywają albo rehabilitacją, albo demaskowaniem. Jedno i drugie odbywa się zazwyczaj tak: bierze się jakąś olbrzymią postać z czasów odległych i na gwałt wynajduje się w niej aktualne cechy, a często nawet modne komunały. Agresywność naszej epoki, będąca w gruncie rzeczy świadectwem jej własnej niemocy kulturalnej, posuwa się do tego stopnia, że w swojej ciasnej chałupie lokuje ta epoka odgrzebanego wielkoluda i wcale nie dba o to, czy będzie mu tam wygodnie czy nie. Naszych „odnowicieli" rzadko opuszcza megalomania. Skoro rozporządzamy setką gotowych poglądów na świat i tysiącem „izmów", od socjalizmu począwszy a na uniwersalizmie skończywszy, po co trudzić się odgadywaniem duchowej pracy i tajemnicy bohatera sprzed wieków? Gdy bohater jest nam sympatyczny, czyż nie prościej wyuczyć go naszych formułek, naszego abecadła, i uczynić go wyznawcą naszej wiary? Lub, skoro jest nam niemiły i pragniemy zerwać laur czy aureolę z jego głowy, dlaczego nie wyuczyć go katechizmu naszych wrogów? A więc: gdy autor piszący np. o Chrystusie, jest katolikiem, więc i Chrystus jest katolikiem. Protestant czyni z Chrystusa protestanta. Hellenista stara się zrobić Zeń duchowego Greka, socjalista udo-

wadnia, że był prekursorem Drugiej Międzynarodówki, a komunista — Trzeciej. Itd.

Niestety znakomity epik „Ognia" nie ustrzegł się tej zwodniczej a uproszczonej metody i w swojej czarującej pod względem stylu książce o Jezusie dał nam głęboko ujęte wypracowanie na temat: *jak bym się zachowywał i co bym mówił, gdy bym był Jezusem.* Zużytkowawszy sporo ciekawych i nie zawsze dostępnych źródeł, postarał się Barbusse o to, żeby w „Jezusie" nie było nic irracjonalnego, a za to, żeby wszystko dało się wytłumaczyć społecznym racjonalizmem. I rzeczywiście: po przeczytaniu książki odnosimy wrażenie, iż jedynym celem Chrystusa na ziemi była rewolucja przeciw ustrojowi panującemu w Judei i w całym imperium rzymskim. Rewolucja, wprawdzie moralna, lecz przy umiejętnej agitacji łatwo dająca się zmaterializować. Jakkolwiek w utworze Barbusse'a wiele miejsca zajmuje sprawa duchowego odrodzenia i miejsca te zaliczyć nam wypada do najbardziej poetyckich, chociaż wiele słów poświęcił autor adoracji bliżej nieokreślonej Wolności — to jednak nieuprzedzony czytelnik łatwo wyczuje, że słowa te pisał człowiek mocno skrępowany dogmatami, których przekroczenie sprawiłoby mu przykrość. Autor „Jezusa" nie wierzy w Boga, więc przekonywa czytelnika, że i Jezus był ateistą. (Myśl to nie nowa i nie odosobniona. W ostatnich czasach podobną tezę wysunął filozof niemiecki, wyznawca Spinozy, Konstantin Brunner w olbrzymim dziele pt. „Unser Christus oder das Wesen des Genies"). Barbusse nie wierzy w miłość, więc i Jezus nie kocha. Wierzy natomiast Barbusse w Człowieka przez duże C, w Sprawiedliwość i Rewolucję. Oczywiście Jezus jest jego lojalnym współwyznawcą. Określając Chrystusa, jako zaciętego wroga wielkiej fikcji zwanej Bogiem, pozwala Mu Barbusse, więcej, surowo Mu nakazuje czcić inne fikcje i utopie, rzecz jasna, sympatyczne Barbusse'owi. Utożsamieniu poglądów Chrystusa z poglądami autora sprzyja znakomicie technika opowiadania w pierwszej osobie. Ból człowieka współczesnego, dręczonego walką klas, oddaje ta książka z przyciszoną pasją, niekiedy z klasycznym umiarem. Słowo Barbusse'a, lakoniczne, proste i ostre, ma w sobie patos szczytu. I osiąga cel, świadomie: zapominamy o tym, kto mówi. Słuchamy Barbusse'a. Głos krzywdy i tęsknoty do sprawiedliwości na świecie, jest w tej książce naprawdę przejmujący. A jednak najbardziej ortodoksyjny sceptyk i materialista nie przebaczy panu Barbusse wykroczeń przeciw logice. Skoro Barbusse stara się swój bolesny wykład oczyścić (z godną podziwu surowością) z irracjonalizmu, jakże mógł sam się wyłamać spod rygoru zdrowego rozsądku? Czemu w swojej kampanii przeciwchrześcijańskiej posłużył się tak

dziecinnym i melodramatycznym środkiem, jak ów sen Jezusa w rozdziale XXIX? Stojąc twardą stopą na gruncie historii, opierając się kurczowo na dokumentach, skąd dowiedział się Barbusse o tym, co się Chrystusowi śniło po spotkaniu z Pawłem na drodze do Damaszku? Jakim prawem wkracza racjonalista w nie dającą się skontrolować treść nie swoich snów, po to, aby z tych snów wznosić fikcyjną Apokalipsę na własną rękę? Więc jakże? Ustawicznie wbija nam autor w głowę, że nie ma rzeczy nadprzyrodzonych, że Królestwo Jego było z tego, po stokroć z tego świata, nakazuje nam wierzyć tylko w życie doczesne, w *namacalną jawę bytu,* po to aby nam później własnoręcznie wskazać czarnych aniołów, zjawiających się Jezusowi we śnie? Te apokaliptyczne wizje, opowiadane w pierwszej osobie, pachną siarką i alegoriami Flauberta z „Temptation de St. Antoine" I jak można budować gmach swoich zuchwałych dowodzeń przeciw metafizyce na rozmowach w cztery oczy, odbytych w czwartym wymiarze?

Co się tyczy samego Jezusa, jest On u Barbusse'a, jak na człowieka i tylko człowieka, zanadto prostolinijny. Oddywinizowanie Jezusa w celu zupełnego uczłowieczenia tego Syna Człowieczego, nie udało się Barbusse'owi. Nawet tak zwani zwykli śmiertelnicy, którzy nie w dziejach świata, ale w ściślejszym kółku rodzinnym spełniają jakąś misję, są bardziej skomplikowani od tego, bądź co bądź niezwykłego śmiertelnika. Odpędzając od siebie wszystko, co jest chociażby cieniem kultu Boskiego w odniesieniu do Jezusa, i zwalając na świętego Pawła całą odpowiedzialność za eksploatację Chrystusowej śmierci w celu założenia nowej religii, powinien był jednak Barbusse ukazać w Jezusie, w tym bądź co bądź Arcy-Człowieku, więcej załamań, wahań, sprzeczności, niż to uczynił. Człowiekiem przecież, miotanym sprzecznościami, jest bohater czterech Ewangelii.

Tyle pewności siebie, ile ma Jezus Barbusse'a, mają tylko nieomylni bogowie. Jezus Barbusse'a nigdy nie mówi: „Może, nie wiem", jest zadziwiająco apodyktyczny, rzadko się zastanawia, na wszystko ma gotowe odpowiedzi. To jest trochę podejrzane i pachnie tyleż samo kanonem, co dyscypliną partyjną. Nigdy nam ten Człowiek nie zrobi niespodzianki, i już z góry wiemy, co powie. Na terenie tej książki zachodzą minimalne zmiany w psychice bohatera. Już od samego dzieciństwa jest On nastawiony na doskonałość, nie licującą przecie z powagą człowieczego błądzenia i tragicznego szukania po omacku. Jezus Barbusse'a w ogóle niczego nie szuka. Wszystko znajduje na komendę literata. Biorąc charakterologicznie, mamy tu schemat pewnej, z góry określonej doskonałości, a nie żywego człowieka. Zależało również

Barbusse'owi na tym, żeby pozbawić Jezusa wszystkiego, co w Nim było łacińskie i greckie. To mu się częściowo udało. Pokazał młodego rezonera żydowskiego, który nie ma, czy nie chce mieć zrozumienia dla greckiej eschatologii. Dla Rzymu ma Chrystus tylko znaczenie przygodnego skazańca. Główny winowajca chrystianizmu, św. Paweł, nazwany przez Barbussowego Chrystusa, demagogiem, reprezentuje w tej książce kulturę grecką i rzymską w jednej osobie. Dzięki niemu powstaje mit Chrystusa, legenda Zbawiciela oraz obca samemu Jezusowi idea odkupienia przez śmierć. Jedynym prawdziwym uczniem Chrystusa, jest — wedle Barbusse'a — Magdalena. W istocie — to postać piękna i tragiczna i najwymowniej milcząca, w tej niegadatliwej zresztą książce. Także Judasz wywiera duże wrażenie dzięki literackiemu skrótowi, w jakim się jawi. Jan Chrzciciel może najbardziej odpowiada tradycji ewangelicznej. Jest dziki i owiany wichrem pustyni. Ale ustępy z Matką Jezusa należą do najwznioślejszej poezji, jaka w ostatnich latach wyszła spod pióra Francuzów.

1927

„ŚWIĘTY FRANCISZEK" CHESTERTONA

W ostatnich dwu latach nawiedziła rynki księgarskie zachodniej Europy istna powódź książek o świętym Franciszku. W odmętach wody, ujętej w mniej lub więcej ciekawe tamy stylu, postać Biedaczyny niezawodnie by utonęła, gdyby kilka wybitnych umysłów nie podjęło doraźnej lecz skutecznej akcji ratowniczej. Pośród zalewu historycznych przyczynków i katolickich apoteoz, z trudem unoszą się na powierzchni śmiałe szalupy pisarzy samodzielnych, którym udało się (niekiedy przy pomocy sztucznego oddychania) przywrócić świętego topielca do życia. Do najciekawszych prac, podjętych samodzielnie w celu ożywienia wielkiego apostoła ubóstwa z XIII w. należy studium Chestertona. (Czytałem je po francusku w tłumaczeniu Izabelli Rivière).

Chesterton jest przede wszystkim konstruktywistą. Szkicując postać i charakter św. Franciszka nie uniknął błędów, towarzyszących tej metodzie twórczości. Metoda ta często okazuje się zwodnicza, zwłaszcza w utworach biograficznych. Mimo to potrafił Chesterton ukazać Poverella w świetle tak jasnym, że samo to oświetlenie porywa nas niezależnie od oświetlonego przedmiotu. Zastanawiając się nad sposobami nowoczesnego ujęcia zjawiska, któremu na imię było: św. Franciszek, uważał Chesterton, że, w celu zbliżenia tego zjawiska do dzisiejszego czytelnika, należy je traktować nie jak bohatera przeszłości, lecz jako postać heroiczną naszych czasów. Rzecz prosta nie chodzi mu o kostiumy z epoki ani o zewnętrzne jej dekoracje. Nie robi tego na wzór przedstawienia „Hamleta" w smokingach i frakach. Pragnie on tylko oderwać św. Franciszka od podłoża wieków średnich, wyodrębnić świat jego idei a także przenieść ten świat na grunt współczesności. Dlatego stara się Chesterton pogodzić irracjonalizm św. Franciszka z racjonalizmem, ba niekiedy nawet z współczesnym sceptycyzmem. Zdarza się, że nawet względy religijne zostawia na uboczu i tytułuje św. Franciszka „jedynym prawdzi-

wym demokratą tego świata" oraz „pierwszym herosem humanitaryzmu". Znając katolicką ortodoksję Chestertona, stwierdzamy ze zdziwieniem tak daleko u tego autora posuniętą zdolność do ustępstw na korzyść niekatolickiego otoczenia, ale musimy przyznać, że ta droga najlepiej prowadzi do celu. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż Chesterton jest misjonarzem, ale misjonarzem, który nie chce pogan drażnić krucyfiksem zanim ich nie nauczy miłości tego krucyfiksu — „pogańskim" sposobem. Celem Chestertona jest nawracanie niewiernych nie szturmem i nie bezpośrednio, lecz przez podstawienie surogatu, łatwiejszego do przyjęcia, niż sam Chrystus. Nie ma pośród świętych Pańskich postaci, podobniejszej do Chrystusa i jednocześnie bardziej człowieczej w znaczeniu współczesnym niż święty z Assyżu. Patos jego świętości jest pozbawiony grozy, jego niecodzienność jest tylko sublimowaną codziennością, a czar świętego Franciszka jest bardzo świecki.

Chesterton chybiłby celu, gdyby jego misjonarstwo było mniej kompromisowe. Wielu nawracanych przez Chestertona Anglików zatyka sobie uszy na piękno nie z tego świata. Toteż Chesterton, jako misjonarz, używa raczej środków dyplomatycznych niż wojskowych. Bardzo delikatnie stara się on przemycić swoją wiarę i zachwyt, Odyssowym fortelem wprowadza do Troi racjonalizmu swego drewnianego konika. Co się stanie później — wiadomo. Z wnętrza konia wyskoczą niespodziewanie zbrojni Argiwi i zawojują najbardziej opornych przeciwników. Należy podziwiać spryt Chestertona, gruntowną znajomość przeciwnika i jego broń, którą to broń w krótkim czasie wytrąca mu z ręki. Człowieka wierzącego oblewa może rumieniec wstydu, gdy słyszy takie słowa: „Dzieje świętego można opowiedzieć, nie wspominając o Bogu tak, jak gdyby nas proszono, byśmy opisali żywot Nansena, nie wspominając o biegunie północnym". Takie stanowisko uważa Chesterton za możliwe, jakkolwiek je neguje, podobnie jak neguje stanowisko czysto teologiczne. Z właściwym sobie darem żonglowania paradoksami, mówi Chesterton o Bogu tam, gdzie najmniej się tego spodziewamy, ale znajduje takie definicje, które mogą rozbroić najzaciętszych ateistów. Wystarczy rzucić okiem na chestertonowskie określenie różnicy między filozofią a religią, między pogaństwem starożytnym a średniowiecznym chrześcijaństwem, żeby dać się ujarzmić jego kokieterii. Nawet w jego zagalopowaniach się, na przykład, kiedy mówi o inkwizycji jest tyle nieodpartej logiki, że trzeba być chyba G. B. Shaw'em, żeby nie złożyć broni.

Niektóre zdania Chestertona brzmią jak objawienia. Na przykład to, że święty Franciszek nie kochał ludzkości, lecz człowieka

i nie kochał chrześcijaństwa, lecz Chrystusa. Oto klucz do zrozumienia roli, jaką święty odegrał w dziejach. I rzeczywiście: przypatrując się z bliska misji świętego Franciszka, widzimy, że był to praktyczny święty, a nie teoretyk najszczytniejszej chociażby idei. Starając się wyjaśnić rolę Poverella jako reformatora społecznego, trafnie zwraca Chesterton uwagę na błąd, popełniany przez większość pisarzy, traktujących reformatorów niezależnie od tego, *co* reformują. Pisarze ci wyolbrzymiają sam czyn reformatorski, trzymając w cieniu przedmiot reformy, przez co fałszują historię i niepotrzebnie patetyzują swojego bohatera. W takiej metodzie widzi Chesterton robotę dziennikarską.

W rezultacie Chesterton stara się podnieść postać świętego Franciszka do poziomu *poematu,* najwdzięczniejszego poematu wieków średnich oraz do godności poety, który ten poemat stworzył za dotknięciem łaski Bożej. Chesterton gra na tzw. „uczuciach estetycznych", usiłując przemycić wartości religijne.

1927

POD SŁOŃCEM SZATANA

Powieść Bernanosa pod powyższym tytułem — to duża niespodzianka dla czytelników współczesnej beletrystyki francuskiej. Napisana w erze nadrealizmu i wyrafinowanych arcysztuczek stylu, pokrywającego niekiedy wewnętrzną czczość pokolenia — jest ona rękawicą, rzuconą w twarz temu pokoleniu. Nie zamszową, miękką rękawiczką dandysa (taką rękawiczkę raczyła niedawno niedbałym ruchem strącić delikatna, znużona dłoń Jean'a Cocteau w „Lettre à Jacques Maritain"), tylko czarną, żelazną rękawicą krzyżowca. Jej uderzenie boli i zostawia krwawą pręgę na twarzy. Nie powinniśmy już taić tego, iż mimo klasycznych pozorów współczesna literatura francuska skłania się ku nowemu rokoko. Gracja, z jaką najwybitniejsi pisarze cackają się z krwawą mitologią dnia dzisiejszego, niejednokrotnie przypomina gracje owych kawalerów z paryskich salonów, którzy w przededniu Wielkiej Rewolucji usiłowali cały Olimp i Hades ulokować w swoich lupanarach. Hedonizm i stylizacja najdrobniejszych szczegółów życia codziennego oraz maniacki narcyzyzm oduczyły współczesnych beletrystów kształtowania namiętności. Namiętności zajmują ich o tyle, o ile nadają się do fryzowania. Bohaterstwo znajduje u nich aprobatę tylko w wypadkach perwersyjnych. Jak każde rokoko tak i dzisiejsze lubuje się w drobiazgach, akcesoriach, kunsztownych perukach, pod którymi gnieździ się robactwo tępione pręcikami z kości słoniowej.

Georges Bernanos napisał książkę odartą z wszelkich akcesoriów. Książkę bez skóry. Książkę — mięso. „Sous le Soleil de satan" — to surowy, dymiący dokument krwawej rozprawy współczesnego świętego z szatanem. Świętość księdza Donissan nie jest aprioryczna. Ta świętość wynika z dokładnej analizy jego życia. Bez żadnych kruczków stylistycznych opowiedział Bernanos tę walkę z szatanem, a opowiedział z siłą, jakiej na próżno by szukać u jego paryskich kolegów. Bo też nie jest to książka „paryska"

w popularnym, akademickim czy bulwarowym znaczeniu tego słowa, ani w stylu „światowych" książek Moranda. To jest tylko książka francuskiej prowincji, podobnie jak powieści Stendhala i Flauberta. Kadzidlany mistycyzm Claudela w porównaniu z ponurym katolicyzmem Bernanosa jest gawotem dewotek. Kawalerowie nowego rokoko — owszem — nieraz zajmują się żywotami świętych. Wolą jednak świętych sprzed wieków, w których życiu znajdują wiele dobrych motywów dla swojej sztuki dekoracyjnej, albo wdzięczne pole popisu dla swych metafor. Powieść Bernanosa jest pozbawiona metafor. Święty z Lumbres, ów ksiądz Donissan, — to człowiek dzisiejszy, to człowiek z krwi i kości. Krew jego nie jest metaforą ani symbolem. Widzimy tę krew w kałużach, na podłodze jego izby i widzimy ją zakrzepniętą na ścianach celi, w której Donissan się biczował. Tu trzeba brać wszystko dosłownie. Dosłownie trzeba brać również i diabła. Diabeł nie jest symbolem, to handlarz koni, spotkany na polu pewnej okrutnej nocy. Święty z Lumbres jeszcze nie posiada swojej ikonografii. To nieociosany chłop, chodzący w ciężkich zabłoconych buciskach po dywanach wytwornej plebanii. Swymi manierami budzi on odrazę kleru, i nie ma w nim ani szczypty słodyczy, owego uroku „niebiańskiego", który zwykle pociąga literatów. Święty z Lumbres — to prawie cham, i trzeba doprawdy mieć tyle taktu, ile posiada go dziekan Campagne, ksiądz Menou-Segrais, żeby w młodym wikarym odnaleźć ślady Bożego palca.

Dzieło Bernanosa składa się z trzech części, pozornie nie związanych z sobą. Część pierwsza — to obszerny prolog, zatytułowany „Historia Mouchette'y". Mouchette, szesnastoletnia córka małomiasteczkowego piwowara, pana Malorthy, pada ofiarą lubieżności hrabiego Cadignan. Ciąża popycha ją ku zbrodni. Mouchette zabija uwodziciela, a jest to zemsta irracjonalna. Ciężarem swej zbrodni pragnie bowiem panna Malorthy podzielić się z drugim swoim kochankiem: lekarzem i liberalnym deputowanym, panem Gallet. Jednak doktor Gallet lekceważy jej zwierzenia, chcąc w ten sposób pokryć swoje tchórzostwo. Wie on bowiem, że tajemnica dziewczyny stanie się jego własną udręką. Przed taką spółką czuje doktor Gallet paniczny lęk. Lecz Mouchette nie może znieść zbagatelizowania jej czynu. Zbrodnia jest też poświęceniem. Nie wolno deprecjonować waluty zbrodni! Zbrodnia jest również wysiłkiem moralnym, chociaż moralnym *à rebours*, niejako poniżej zera moralności. Prócz Galleta nikt o morderstwie Cadignana nie dowiedział się. Wszyscy są przekonani, że było to samobójstwo, albo nieszczęśliwy wypadek. Dopiero w drugiej części, kiedy zjawia się ksiądz Donissan...

Druga część powieści nosi tytuł „Kuszenie rozpaczy". Kuria biskupia mianuje młodego księdza Donissan wikarym parafii kanonika Menou-Segrais. W tej właśnie parafii mieszka piwowar z swoją rodziną oraz obaj kochankowie Mouchette'y. Zrazu ksiądz Menou-Segrais uważa przyszłego świętego z Lumbres za prostaka i chce go ociosać. Aż pewnego wieczoru wigilijnego odkrywa w nim świętość. Na ciele niezgrabnego księdza dostrzega włosiennicę i ślady krwi po biczowaniu. Odtąd stary kanonik czuje, że role się zmieniły. Nie on, z całą swoją subtelną kulturą ma przewagę nad prostakiem, jeno prostak nad nim. Menou-Segrais nie tai przed wikarym swego odkrycia. Uszczęśliwia go przez to. Pod wpływem słów kanonika zachodzi zmiana w ponurym biczowniku. Mózg jego zaczyna pracować w harmonii z sercem, karmionym n adzieją świętości. Księdza Donissan ogarnia wielka radość, spotęgowana zadowoleniem z lektury dzieł teologicznych. I oto jest chwila, kiedy szatan, ten sam szatan, co kusił anachoretów średniowiecza, wkrada się po raz pierwszy do jego duszy, nawiedzonej łaską radości. W napływie tej nagłej radości ksiądz Donissan zaczyna podejrzewać dzieło szatana. I wnet ta radość staje się mu nieznośnym wrogiem, a spokój duszy-egoistycznym dosytem. Za wszelką cenę stara się teraz Donissan pozbyć tej radości, dobrowolnie chce utracić spokój. I tu jest początek jego tragedii, będącej również tragedią katolicyzmu. Nie jest przypadkiem, że szatan-kusiciel — zjawia się księdzu Donissan w postaci *handlarza koni*. (W dramacie Yeats'a pod tytułem „Księżniczka Kasia" diabły występują również w postaci kupców). Dusza katolika jest przedmiotem handlu. Za cenę cnót, spełnionych za życia kupuje sobie wierzący katolik zbawienie w życiu przyszłym. Za cenę grzechu — sprzedaje duszę do piekła. Ksiądz Donissan, cierpliwy spowiednik tysiąca grzeszników, dobrowolnie zrzeka się własnego zbawienia. Dlaczego? Chce przez swoje potępienie ułatwić grzesznikom niebo. Wierzy, że dobrowolnym oddaniem siebie szatanowi tak go zabsorbuje, iż szatan już nie będzie mógł bliźnich brać w posiadanie. Ofiara księdza Donissan staje się źródłem komplikacji. Pewnej nocy, w drodze powrotnej z kościoła, gdzie Donissan spowiadał grzeszników, zaszedł mu drogę handlarz koni. Najpierw wodził go ten kupiec dusz manowcami, długo kazał mu błądzić, kołować w tym samym miejscu, aż go nareszcie dopadł. Następuje wspaniała, groźna scena kuszenia. Szatan Bernanosa nie jest detalicznym sklepikarzem, skupującym małe duszyczki, płatne drobnymi grzeszkami. Nie! To kupiec na dużą skalę! Poluje tylko na najgrubszą zwierzynę. Prawdziwy szatan, wielki adwersarz Boga, nie kusi pospolitych grzeszników. Kusi świętych. Tylko okazane mu miłosierdzie może go pozbawić kupnej siły.

Ale ksiądz Donissan lituje się nad szatanem przelotnie. Miłosierdzie księdza jest znikome w porównaniu z nienawiścią, jaką on, towar, dyszy do swego kupca. Cała siła Donissana leży w jego żarliwej nienawiści grzechu i szatana. Ale w tej sile jest zarazem słabość i tragiczna omyłka. Straszliwa nienawiść szatana przesłania mu horyzont miłości. I nie wiadomo, co jest u Donissana silniejsze: miłość Boga czy nienawiść szatana. Albowiem w nienawiści wyczerpuje się cały, jak węgiel spala się na popiół, jedynie w nienawiści tkwi jego wiara. Dlatego nie ma on mocy ulżenia cierpiącym i nie potrafi wytępić znienawidzonego zła. Niszcząc grzech, niszczy równocześnie grzesznika. Po owej straszliwej scenie z handlarzem koni ksiądz Donissan spotyka Mouchette. Obdarzony przez szatana siłą jasnowidzenia, odgaduje jej zbrodnię, odczytuje wszystką jej treść. To tylko miłość jest ślepa, nienawiść — wszystko widzi. Zrazu ksiądz Donissan okazuje dziewczynie litość, ale na prawdziwie wielką litość zdobyć się nie potrafi. Natychmiast grzech Mouchette'y budzi w księdzu groźną nienawiść i tą nienawiścią Donissan zabije Mouchette. Po rozmowie z księdzem Mouchette odbiera sobie życie.

Jakże inaczej walczył Chrystus z grzechem! Jego miłość niosła przebaczenie. Tej miłości brak było przyszłemu świętemu z Lumbres. Jego wiara była tylko negatywem chrystianizmu. I dlatego proboszcz z Lumbres (w trzecim rozdziale) nie będzie miał mocy, którą jedynie przeczuwa, mocy wskrzeszenia zmarłego dziecka. Na niedoszłego cudotwórcę patrzą z oczu trupka tylko źrenice szatana. Zaślepiony długą, całe życie trwającą walką z szatanem nie dostrzega Donissan prawdy, którą posiadł ów dobry kamieniarz Jan Marie Boulainville, jego wyswobodziciel z kolistej drogi udręki, owej fatalnej nocy kuszenia. Prawdy, którą niegdyś ibsenowski Brand poznał w godzinie śmierci: Bóg jest *Deus caritatis*. Gdyby Chrystus tylko walczył z szatanem i gnębił go nienawiścią, zapewne nie uzdrowiłby chorych i nie wskrzesił Łazarza.

Stary Donissan umiera w konfesjonale, wyspowiadawszy rzesze grzeszników, sam niewyspowiadany. Umiera jak żołnierz z ognistym mieczem w ręku, żołnierz któremu nienawiść wroga kazała zapomnieć o własnej ojczyźnie. Nie mógł miłować ojczyzny ten, kto tak bez reszty zagubił się w nienawiści wroga. Oto tragedia katolicyzmu. Ale tragedia księdza Donissan jest tragedią zwycięzcy. Ogrom jego klęski bowiem, ogrom cierpienia i niestrudzona pasja w walce ze złem, wbrew jego woli, otworzyły mu niebo. Ksiądz Donissan został zbawiony przez swoją *nienawiść* i został zaliczony w poczet świętych, chociaż inni zdobywają aureolę miłością. Bo, jak powiada mądry ksiądz Menou-Segrais: „Praca,

którą w nas Bóg wykonywa, rzadko jest tym, na co czekamy. Prawie zawsze Duch Święty zdaje się działać na przekór i tracić czas".

W szczupłych ramach artykułu, muszę pominąć wiele fascynujących scen i epizodów, np. konfrontację racjonalistycznej umysłowości Francuzów, wcielonej w członka Akademii Saint-Marin (Anatola France'a) ze światem wiary, lub konfrontację indyferentyzmu duchowieństwa katolickiego ze świętością.

O książce Bernanosa można by całą książkę napisać.

1927

POCHWAŁA „SŁOWNIKA ETYMOLOGICZNEGO" BRUCKNERA

Już drugi raz przypada mi zaszczyt pisania elogium ku czci Aleksandra Brücknera i jego „Słownika etymologicznego języka polskiego". Nie czuję się powołany do naukowej oceny, opartej na filologicznej analizie tego olbrzymiego dzieła. Od tego są inni, godniejsi. Moim narzędziem jest w tym wypadku entuzjazm i niech mi będzie wolno użyć go bez miary.

Ukazanie się dzieła Brücknera w chwili, gdy w Polsce toczą się zajadłe spory o Akademię Literatury, nabiera szczególnej doniosłości. Przecie jednym z zadań Akademii ma być uprawa oraz inwentaryzacja naszego języka. Był u nas człowiek, którego serce zabiłoby triumfalnie na widok arcydzieła Brücknera. Niestety serce to już nie bije. Mam na myśli dobrego pasterza niesfornej trzody polskich słów: Stefana Żeromskiego. Z pokorą, godną średniowiecznego zelatora, z czcią nieomal religijną, pochylał głowę autor „Przedwiośnia" przed każdą pracą z zakresu kultury języka. Żeromski, który jak nikt inny, wiedział, kiedy słowo się rodzi, czym oddycha, czym się odżywia, jak się rozmnaża i dlaczego umiera. Każde umarłe słowo było dla Żeromskiego relikwią tym świętszą, im więcej w nim było urody za życia. Ale są słowa, których piękność dopiero po śmierci staje się widoczna. Takim słowom udzielał Żeromski łaski zmartwychwstania w swych dziełach. Przypomnijmy twórcę idei Akademii Literackiej przy sposobności doskonałego dzieła Brücknera!

Dzisiaj, któż, jeśli nie współcześni poeci, którzy na swych tarczach wypisali słowo „Słowo" przez wielkie „S", poeci, układające „Słowa we krwi" i „Modlitwy o słowo", któż jeśli nie oni, ci dionizyjczycy ekspresji i korybanci dźwiękowych bachanalii, — ma pojąć piękność i ważność Brücknerowego dzieła? Oto otrzymaliśmy na własność wspaniałe herbarium słów, w którym Brückner ułożył cztery tysiące żywych i umarłych roślin.

Przeważają nie słowa zasuszone i martwe, lecz żywe, pełne soków, słowa z korzeniami, głęboko uziemionymi w naszych sercach. Po wyrwaniu jednego takiego słowa z zielnika Brücknera widzimy wilgotne grudki ziemi, uczepione na koniuszkach słowa, jak gruzły zakrzepłej krwi. Nawet słowa nieżywe w tym słowniku żyją, udzieliwszy swych soków potomstwu. Pokolenia słów mijają nas tutaj z uśmiechem wieczności na ustach. Każde słowo mówi o sobie: *nom omnis moriar,* kładąc się do grobu. Cztery tysiące roślin oddycha tu gorącym uwielbieniem życia! Całe życie ludzkie zostało ujęte w oddzielne słowa i skatalogowane według dźwięków. Z tych czternastu zeszytów bije mocna woń zielna, a które słowa bezwonne są, mają kolorowe szaty, jak piwonie. Dąbczaki znajdujemy tu obok mleczów, wychuchane kwiaty cieplarniane obok ordynarnych chwastów. Niektóre słowa kłują przy dotknięciu jak głóg, inne parzą jak pokrzywa. Niczego nam Brückner nie oszczędził. W doborze materiału nie powodował się pruderią. Nie wstydził się pokazać prawdziwych rodziców każdego słowa, lubo niejedno słowo wolałoby się ich wyrzec. W tym traktowaniu słów ustanowił Brückner prawdziwie demokratyczne zasady. Słowa sędziwe, arystokratyczne, o paranteli, sięgającej wieków zamierzchłych, postawił bez ceremonii obok niemrawych gołowąsów w dziejach języka, lub obok nadętych nuworiszów. Nic nie szkodzi! Równość, wolność, braterstwo! Wszystko jedno, skąd się bierzesz słóweczko, czy z górnej dziedziny pojęć abstrakcyjnych, czy też należysz na przykład do inwentarza stajni: tu, w słowniku nie ma gradusów klasowych, tu wszyscy są równi, byle by tylko zaczynali się na tę samą literę.

Owszem, uszanował Brückner wszystkie związki krwi między słowami, uszanował nawet małżeństwa morganatyczne, uwzględnił kuzynostwa słów, ustanawiając primogenitury. Bezlitośnie zdemaskował dzieci z nieprawego łoża. Albowiem niektórym słowom zdaje się, że są czysto polskiego pochodzenia, słowa te udają nacjonalistów. Przed okiem Brücknera jednak nie ukryje się nawet najdrobniejsza domieszka krwi obcej. Iluż to Żydów na przykład odnalazł w różnych, rzekomo staropolskich wyrażeniach! Najwięcej jednak bękartów miał język polski z Germanią. Na to doprawdy nie ma rady. Żadne frymarki nie pomogą na ten frasunek. O nie, wobec żelaznej zasady alfabetu nie ma pardonu! Alfabet jest nieprzekupny i nie ma u niego protekcji. Umieszcza w jednym ordynku słowa wielkiej wagi, szlachetnego dźwięku i dostojnego znaczenia razem z słowami-ciurami, słowami-chamami, słowami-dubielami. Dystynkcja nie gra tu żadnej roli, absolutnie żadnej. Słowa stają obok siebie na baczność, każde pod swoją literą, jakby pod karabinem tego samego systemu.

Bogini „Marzana" oparła się na „masielniczce". Uważaj bogini, żebyś nie zatłuściła swojej białej szaty! „Chryja" znalazła się w pobliżu „Chrystyjanie". Bez zgorszenia! Tu prawdziwa demokracja! Przed obliczem wokalizmu nie ma różnic stanowych, klasowych, narodowych, religijnych, majątkowych nawet — etycznych, tu sens słowa musi dosłownie poddać się *literze*. Nie tyle literze prawa ile prawu litery!

Z najgłębszą wdzięcznością, przyjąć winni tę arcydzielną historię naszego wysłowienia, którzy ufają, za świętym Janem Ewangelistą, że „Na początku było Słowo, a ono Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo".

1927

PODRÓŻ DOBLINA PO POLSCE

Rzadko kiedy „tubylcy" czytają to, co o nich napisali znakomici podróżnicy. Tubylcy egzotycznych krajów — to przeważnie analfabeci. Z pewnością żaden szczep, opisywany w książkach Ossendowskiego, nie ma możności kontrolowania jego drukowanej o sobie opinii, przez co praca podróżnika ma tylko jednostronną wartość. Piękna książka Döblina „Reise in Polen" — to też pewnego rodzaju „Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów", z tą tylko różnicą, że ja, jako „tubylec" niniejszym krytykuję swój własny egzotyzm, w tej książce przedstawiony. Zapewne, nie tylko ciekawość kazała znakomitemu pisarzowi niemieckiemu obrać właśnie nas za przedmiot podróżniczej pasji. Gdyby mu chodziło tylko o egzotyzm, mógłby z łatwością zaopatrzyć się w większą ilość wiz i pojechać nieco dalej.

Alfred Döblin nie jest podróżnikiem w rodzaju Ossendowskiego lub Lepeckiego. To przede wszystkim poeta. Dla poety egzotyzm niekoniecznie zaczyna się za równikiem lub tam, gdzie jeźdźcy noszą ostrogi, przymocowane do bosych stóp. Dla poety — często spacer po rodzinnym mieście bywa egzotyczną przygodą, więc nie dziwmy się, że i Polska mogła przynęcić wyobraźnię Döblina, jakkolwiek z Berlina do granicy polskiej jedzie się zaledwie kilka godzin. Podróże są obecnie w modzie u niemieckich poetów. Wzmożony kult rzeczywistości nauczył ich oceniać każde zetknięcie się z realnym kształtem: geograficznym, etnicznym, architektonicznym, językowym, politycznym, kulturalnym itd. jako drogocenną przygodę duszy. A im mniej filatelistycznych osobliwostek zawiera przedmiot poetyckiej obserwacji, tym mniejsza banalność zagraża poetyckim rezultatom podróży. Każdy przyzna, że na przykład jazda do Meksyku kryje w sobie więcej niebezpieczeństwa dla twórczego patrzenia, niż wyprawa do Polski, gdzie na pozór wszystko jest podobne do środkowoeuropejskiego szablonu, chociaż w rzeczywistości jest to dżungla. Miałem przyje-

mność goszczenia u siebie Alfreda Döblina w czasie jego podróży po Polsce. Na pytanie, co go do nas skierowało, odpowiedział, że zrazu myślał tylko o Żydach, o tej egzotycznej masie, która na Zachodzie zatraciła już teatralno-kostiumową osobliwość, a tylko w Polsce i w Rosji zachowuje odrębny charakter. Plan ten jednak uległ zasadniczej zmianie.

Z chwilą przekroczenia granicy polskiej, uznał Döblin, że nie można z całokształtu życia jakiegoś kraju robić wycinków, lecz należy wszystko, co jest owym życiem, ująć w ramy jednolitej obserwacji. Wychodząc z takich założeń, zwiedził Döblin Warszawę, Wilno, Lublin, Lwów, Kraków, Zakopane, borysławskie zagłębie naftowe i Łódź, liznął trochę polskiej i ukraińskiej wsi, i po kilku miesiącach gorliwej żeglugi po ulicach, kościołach, synagogach, fabrykach, szkołach, muzeach, redakcjach, osiedlach ludzkich i nieludzkich, — wylądował nad wielką wodą w Gdańsku. Dopiero w Gdańsku uświadomił sobie wszystko, co widział a raczej przeżył w Polsce. Wszystkiemu, co widział, starał się Döblin nadać uczuciowe równouprawnienie, choć nieraz pierwotny impuls do podróży polskiej popychał go ku uważniejszemu śledzeniu Żydów. Tak na przykład w Wilnie niemal całkowicie pochłonął Döblina chasydyzm. Stronice, poświęcone rabinom-cudotwórcom, należą do najpiękniejszych w książce. Kierując się zasadą równouprawnienia, Döblin zaczepiał na powierzchni naszego życia wszystko i wszystkich, dawał się oprowadzać najprzygodniejszym przewodnikom, bezkrytycznie słuchał najnaiwniejszych bredni, wcale nie szukając obiektywnej prawdy. Informatorzy poety wtajemniczali go w sprawy niekiedy dla nich samych niejasne, niekiedy łgali bez ceremonii, niekiedy mówili świętą prawdę, ale o to właśnie chodziło Döblinowi: chciał życie naszego kraju ujrzeć nagie, odarte z wszelkich oficjalności, chciał je pochwycić na gorącym uczynku. To mu się znakomicie udało. Dzięki bezpośredniości wrażeń własnych oraz bezpośredniości informatorów zdołał wysłuchać z tętna Polski wszystko, czym biło jej serce, wszystkie jej namiętności i wszystką wolę istnienia. Szczęśliwie zaobserwował tę wypadkową barbarzyństwa i wysokiej, aż do wyrafinowania, subtelności ducha — ów konglomerat łaciny i cyrylicy: cały skład chemiczny polskiej rzeczywistości. W rezultacie stworzył jednolity w swoim chaosie obraz siły żywotnej, podsłuchał radosny rytm porodu, zrozumiał całą atmosferę powstawania nowego bytu z jej bolesnymi skurczami i nieuniknionymi starciami, i życie to pokochał. Jest bowiem Döblin fanatykiem życia bez względu na jego moralną wartość. I oto tajemnica tej podróży: człowiek z Zachodu, znużony starą kulturą, chce poznać kraj, którego kultura i życie odradza się, chce podpatrzeć

sam proces tych wtórnych narodzin. Döblina cieszy moment zmagania się wrogich żywiołów, upaja go powietrze, nasycone burzą. Lubuje się Döblin we wszystkim, co jeszcze nie jest gotowe i dlatego do nas przyjechał. A że w jego podróżniczej ambicji mieści się nie tylko zimny głód wrażeń, lecz i poetycka adoracja świata, o tym świadczą gorące ustępy książki, w których autor podziwia wiarę i zabobon naszych Żydów, wiarę tak bardzo odmienną od religijnych uniesień protestanckich „Bibelstunden". Nawet brud i nieład polskich miasteczek jest Döblinowi milszy od uregulowanej czystości Zachodu, do której my tak wzdychamy. Oto, co sam wyznaje przy końcu podróży, przechadzając się ulicami Gdańska: „Czy jestem zadowolony z tego, że tutaj chodzę? Tu jest porządek i czystość. Fasady nie kruszą się. Bruk na jezdni bez zarzutu. Tutaj w witrynach fotografów wiszą solidne, dobrze odżywiane twarze. Wszystkie są *behaglich* i z lekka, lub całkowicie przypudrowane zadowoleniem z siebie. *O Herzenstod!* (Po polsku może najlepiej oddać to słowo: „o żalu serdeczny"!) Czemu mi nagle wpada to słowo? Przecież nie jestem lirykiem! Uporczywie: o żalu serdeczny! Tępota, brak wyrazu bije z tych twarzy u fotografa! I nie tylko z twarzy w witrynie! O, jak dobrze trafione są te twarze. Ci co wloką się obok mnie na trotuarze są tacy sami: dzielne, pilne stworzenia, ale wszyscy tacy monotonni. Tacy monotonni! Nie widzę wśród nich żadnej osobowości! Oni mają w sobie coś z mrówek. Są masą, która się krząta i pracuje. Ale czy ta masa wie — poco? Mimo to krząta się. Jest w tym coś wegetatywnego, pustego. Muszę przymknąć oczy, nie chcę ich widzieć. Dlaczego nie chcę? Wstyd mi. Bo czuję się straszliwie osamotniony".

W Gdańsku.

Kto wie, czy w tych słowach poety nie mieści się cała tragedia cywilizacji? Budujemy, walczymy, krwawimy wszak o coś, co, gdy będzie osiągnięte, również i nas napełni znużeniem, smutkiem, pustką. Może za kilkaset lat i my będziemy uciekali do krajów, gdzie mieszkają ludzie o młodych namiętnościach, do krajów o wadliwej kanalizacji, do krajów, gdzie jeszcze jest analfabetyzm i palą się naftowe lampy?

Gdyż tylko w konwulsjach rodzenia, w brutalnej boleści, w śmiertelnym wysiłku jest wielki oddech życia, w którego pobliżu ludzie wolni nie czują się „straszliwie osamotnieni". Może życie, płynące betonowym korytem jest już tylko początkiem śmierci. Rozpaczliwa dynamika narodów Polski, rwących się do życia, oczarowała Alfreda Döblina.

1926

EPOPEJA W KINIE

Film, który za chwilę będzie tu wyświetlany jest nie tylko wielkim wydarzeniem w dziejach kinematografii: jako zjawisko artystyczne „Symfonia wielkiego miasta" przekracza sferę czysto filmowych zainteresowań, i tym niech się tłumaczy moja obecność przed ekranem.

Jest to doskonała okazja do przeprowadzenia w kilku słowach czegoś w rodzaju pasa granicznego, lub choćby tylko linii demarkacyjnej między kinem a literaturą. Żaden inny film nie ośmielałby nas do tego. Większość filmów bowiem posiada w sobie tyle pierwiastków pozafilmowych: malarskich, literackich, teatralnych, że doprawdy trudno by było na takich przykładach ustalać jakiekolwiek prawidła. Przy sposobności „Symfonii wielkiego miasta" można nareszcie zrobić uczciwe rozliczenie i oddać kinu, co kinowe, a literaturze — co literackie.

Od dłuższego czasu słyszy się skargi na kryzys literatury i teatru. Kryzys ten jest podobno wynikiem bujnego rozkwitu kinematografii. Trudno przeciwstawić się temu sądowi, skoro szeroka publiczność, która dawniej udawała się do teatru po dostępne jej sensacje lub znajdowała w lekturze pokarm dla swej wrażliwości, dzisiaj gremialnie przeniosła się do kina, gdzie znacznie tańszym kosztem może zaspokoić głód wrażeń. Zwłaszcza, jeśli chodzi o sentymentalną stronę życia, lub o fantastyczne awantury, żadna książka ani żadne przedstawienie teatralne nie jest w stanie wycisnąć takiej ilości łez z oczu ludzkiej masy, ile pierwszy, lepszy film. Skoro już mowa o płaczu, często kino jest dzisiaj jedynym miejscem, gdzie ludzie, którzy nie płaczą nawet na cmentarzu, nie mogą powstrzymać się od łez. Ale kino jest nie tylko niezawodnym prowokatorem łez, organizatorem zbiorowego współ-

Słowo wstępne wygłoszone na premierze filmu „Symfonia wielkiego miasta" w warszawskim kinie „Pan" na Nowym Świecie.

czucia, dyrygentem ogólnej sympatii lub oburzenia — potrafi ono również rozśmieszać tak prostymi środkami, jakich dziś już nie posiada żadna inna instytucja wesołości publicznej. W tych warunkach kino jest istotnie groźnym konkurentem teatru i literatury, osobliwie tej, cieńszego kalibru. Poeta niemiecki Hugo von Hofmannsthal nazwał kino współczesną pieśnią ludową. Prawdopodobnie chodziło mu o wpływ kina na masy, które, ongi spoufalały się z postaciami pieśni ludowej, a dziś powtarzają w głębi duszy refren melodii butów Charlie Chaplina i tragikomiczne zwrotki bufonad Buster Keatona. I rzeczywiście: filmowy uśmiech Liliany Gish, Dolores del Rio oraz innych bohaterek ekranu — stał się dzisiaj własnością ogółu na obu półkulach. Tutaj tkwi niebezpieczeństwo kina jako sztuki, niebezpieczeństwo, zagrażające literaturze i teatrowi. Często bowiem kino sentymentalizuje, zaczarowuje, umoralnia czy też demoralizuje widza tymi samymi środkami, co literatura i teatr.

Ostatnie wysiłki twórców filmowych zmierzają już do wywalczenia niepodległości filmowi i oswobodzenia go z balastu teatru i literatury. Wysiłki te, czynione w imię wydobycia na jaw czysto kinowych możliwości, otwierają jednocześnie przed literaturą nowe perspektywy, nowe parcele do zabudowania. Filmy tego typu, co „Symfonia wielkiego miasta" nie tylko nie zagrażają literaturze, lecz w pewnym stopniu gwarantują jej odrodzenie. Weźmy np. powieść. Prawdą jest, że film znacznie lepiej oddaje środowisko, maluje tło, pokazuje bitwy, wyścigi, pożary, trzęsienia ziemi, niż najlepsze opowiadanie. Film zmusza dziś powieściopisarza, aby zaniechał kopiowania zewnętrznej rzeczywistości, drobiazgowego opisywania sal balowych, sal restauracyjnych, obozów i kopalń, natomiast przekonywa go o konieczności odtwarzania spraw, które kryją się pod powierzchnią wydarzeń. Zadaniem współczesnego epika, zluzowanego w ten sposób przez kino, będzie więc opisywanie duszy środowiska, duszy ruchu, gwaru i ciszy, duszy bitwy, wyścigów itd. Współczesna epopeja maluje batalie i pejzaże wewnętrzne, ukryte pod świadomością.

W „Symfonii wielkiego miasta" witam pierwszą epopeję filmową, skomponowaną w całości bez pomocy pierwiastków literackich i teatralnych. Dzieło Waltera Ruttmana jest właściwie jednym wielkim zdjęciem z natury, z tą tylko różnicą, że dotychczasowe kroniki filmowe z Pathé-Journalu, „tygodnika Gaumonta" były wycinkami z życia, nie ujętymi w żadną kompozycję. Były to obojętne fotografie uroczystych sytuacji, jak gdyby wernisażu życia, przyjazdów par królewskich. „Symfonia wielkiego miasta" jest naprawdę symfonią. Jeśli nazwałem ją epopeją, to dlatego, że jak w każdej epopei, tak i tutaj najdrobniejszy szcze-

gół został potraktowany monumentalnie. Bohaterami epopei nie są tylko główne osoby działające. W prawdziwej epopei bohaterem jest wszystko, co otacza ludzi, a więc przyroda, martwa i żywa, przestrzeń i czas, słowem: atmosfera. W epopei wszystko jest równie ważne, każdy szczegół ma znaczenie. To odróżnia epopeję od kroniki. W „Symfonii wielkiego miasta" podziwiam celowość kompozycji. Zresztą film ten pod względem faktury jest bardzo podobny do niektórych odmian współczesnej powieści zachodnio-europejskiej, daje mianowicie gruntowną analizę szczegółów i nie ma tzw. fabuły. Jest epicznie obiektywny i sprawiedliwy. Ruttmann w swym filmie nie sugeruje nam żadnego uczucia, nie podnieca do płaczu, nie każe się przejmować dolą bohaterów. Krótkie dramaty filmowe sprzed lat dwudziestu, oparte w całości na pierwiastkach brukowo-romansowych, poprzedzają „Symfonię" dla kontrastu. W „Symfonii wielkiego miasta" nie tylko nie ma teatru, nie ma nawet aktorów. To jest najważniejsza zasługa Waltera Ruttmanna. Wszystkie osoby, oglądane w tym filmie, gdzieś nadal sobie żyją w tej samej postaci, w tym samym kostiumie, w jakim się tu ukazują. Ruttmann przez dwa lata chwytał na gorącym uczynku samo życie wielkomiejskie, chodził za nim krok w krok i przyłapywał je w momentach najmniej dekoracyjnych. W tym filmie nie ma żadnej komedii, żadnego przebierania się, żadnej blagi. Proszę zauważyć, jak szare i pospolite, jak codzienne są twarze bezimiennych bohaterów tej epopei. Wszyscy grają tylko tę rolę, jaką im życie wyznaczyło i grają dalej poza ekranem i grać ją będą aż do swojej autentycznej śmierci. Te telefonistki w centrali, które ujrzymy na filmie, zapewne jeszcze dzisiaj łączą zdenerwowanych abonentów berlińskich. Nie zaangażowano ich do operatorni filmowej, spełniają one rolę, którą im powierzyła walka o chleb powszedni. Tu reżyser sięgnął do największej rekwizytorni, sięgnął do dna samej prawdy życiowej i pożyczył sobie te zmęczone, frasobliwe egzystencje na wieczne nie oddanie. Proszę zauważyć powagę statystów, odchodzących do garderoby po skończonym przedstawieniu w autentycznym teatrze rewii. Ile smutku jest w tych ludziach, spełniających nakaz swego przeznaczenia.

Treścią tego filmu są dzieje współczesnego Berlina, od świtu do późnej nocy. W tym mieście wszystko jest praktyczne, panuje tu upiorny ład i przeraźliwa symetria, we wszystkim znać nieskazitelną celowość. Są inne stolice w Europie: Paryż, Londyn, Rzym, Wiedeń, a mury i ulice tych stolic są pełne osobliwego wdzięku. Są miasta radosne, jakby śpiewające, miasta-ogrody, miasta-kościoły, miasta-kaprysy, które ponad wszystkie pałace i kramy użyteczności publicznej i prywatnej, ponad wszystek han-

del i przemysł okazują jeszcze swą bezinteresowną urodę. Berlin tego nie ma. W Berlinie wszystko żyje i oddycha interesem. Berlin jest księżycem słońca: Nowego Jorku. Tu skoncentrowała się cała pycha współczesnego urbanizmu.

Zwolennicy nowoczesnej cywilizacji, tj. ludzie, którzy cieszą się widokiem wielopiętrowych gmachów, miłośnicy betonu, żelaza, maszyny, reklam świetlnych, znajdą w tym filmie istny Wembley. Natomiast wrogowie tej cywilizacji — bo i takich jest sporo — zobaczą w „Symfonii wielkiego miasta" syntezę bezduszności naszej epoki. Dla smakoszów nowoczesności film ten — to po prostu bulion! Ale człowiek, który nie gustuje w potrawach, przyrządzanych w piekielnej kuchni cywilizacji, z przerażeniem zapyta: do czego właściwie służą te wspaniałe wysiłki, na co pochłania się tyle energii? Dokąd pędzą te wszystkie pociągi, auta i omnibusy? Czy za całym tym jarmarkiem życia nie czyha przeraźliwa pustka, od której uciec nie można żadną koleją podziemną ani nadziemną.

Film Waltera Ruttmanna jest naprawdę epopeją dnia dzisiejszego, i to — tragiczną epopeją.

1928

DWIE POWIEŚCI WOJENNE

Cała dotychczasowa twórczość powieściowa Josepha Rotha jest bezlitosnym obrachunkiem człowieka powojennego z wojną. Pierwsze powieści Rotha: „Die Rebellion" i „Hotel Savoy" — to jak gdyby szkice przygotowawcze do syntetycznego dzieła o człowieku powojennym. Dziełem tym jest „Flucht ohne Ende" („Ucieczka bez kresu"). Książka tego typu byłaby w dzisiejszej Polsce niemożliwa, chociażby z tego powodu, iż wielka wojna dla większości Polaków wcale nie była nieszczęściem. Co prawda, nawet Polak uradowany faktem zdobycia niepodległości powoli zaczyna już zdawać sobie sprawę z klęski moralnej, etycznej i kulturalnej, jaką również i jemu, zwycięzcy, zadawała wojna — zanadto jednak pochłania go organizacja nowego bytu ojczyzny żeby mógł swobodnie i z czystym sumieniem zajmować się likwidacją moralnych szkód wojennych. W społeczeństwach zachodnich, zwłaszcza tych, których rządy przegrały wojnę, wysunęło się na pierwszy plan zagadnienie człowieka nie tego, który w wojnie przepadł, lecz tego, który ją przetrwał. Taki człowiek nie przejmuje się niepodległością swojego kraju, ponieważ wcale o nią nie walczył. Jest mu też obojętna sprawa ekspansji ekonomicznej, natomiast nie przestaje go prześladować widmo ruiny moralnej, przeto nie może on sobie znaleźć miejsca w nowych warunkach życia. Nawet walka klas, ów — zdaje się — jedyny pozytywny skutek wojny, nie może już wypełnić ewakuowanej, spalonej i stratowanej duszy dzisiejszego Europejczyka, jakkolwiek walka ta często bywa pomalowaną na czerwono deską ratunku, której chwyta się tonący w próżni. W tym wypadku Polak ma i tę przewagę nad Europejczykiem z Zachodu, że nie grozi mu kontrola afektów, wykonywana przez intelekt. Do zagadnień klasowych Polak odnosi się na ogół uczuciowo, po prostu: albo sympatyzuje z rewolucją, albo boi się jej jak ognia i szatana, i całą energię wkłada w te uczucia.

Co innego — Franciszek Tunda, oficer zawodowy armii austriackiej, Niemiec po ojcu, po matce — Żyd, bohater „Ucieczki bez kresu". To człowiek, który poszedł na wojnę bez żadnej idei i bez zastanowienia się, po co właściwie idzie. Poszedł na wojnę bez miłości ojczyzny: ta miłość była najwyżej serwilistycznym przywiązaniem do monarchy. Jedyną nadzieją Tundy w tej wojnie był jej koniec. Może i awans na kapitana, może order. Wiedeńskie rogaliki i kawa z pianką należały przed wojną do jego największych przyjemności, podczas wojny zaś urosły do rozmiarów nieosiągalnego ideału. Ale po wojnie straciły dlań wszelką wartość. W przeciwieństwie do typowego żołnierza polskiego, który niejako twórczo brał udział w wojnie, Tunda i miliony takich Tundów w całej Europie były materiałem, z którego wojna robiła, co chciała. Przeważnie — ofiary. Była to robota perfidna. Brała wojna w swoje ręce — zdrowe, na ogół bezmyślne manekiny fikcyjnego obowiązku i budziła w nich myśl, serce, uświadamiała ich duszę, nieraz świętą. Świdrem wojny ruszona trysnęła nagle na powierzchnię ziemi — całymi strumieniami ropa najczystszego człowieczeństwa. Razem z błotem i z krwią. Wówczas człowiek, który do tej pory nawet nie przeczuwał, czym jest razem ze swoją wielkością, nagle uświadomił sobie swoją małość i klęskę. Nic dziwnego też, że znienawidził swego nauczyciela: wojnę. Gdyby mógł wrócić z niej takim, jakim na nią poszedł, wszystko byłoby w porządku, ale skoro poznał, że za to pełne uczłowieczenie, za mądrość, za otworzenie oczu na prawdę, musi zapłacić całym sobą, ogarnęła go rozpacz. Nie ten tylko stracił na wojnie życie, kto zginął, stracił je również i ten, co wrócił z niej żywy.

Co się tyczy Tundy, należy on do tych nieszczęśników, którzy, straciwszy dom swego dzieciństwa, nie mają w ogóle gdzie wrócić. Świat, jaki ludzie ci opuścili, zawalił się raz na zawsze, rozpadł się w nicość: ów świat wiedeńskiej kawy i rogalików. A oni, bezdomni, uciekają z przerażeniem od upiornych ruin dawnego życia, wśród których sowy pohukują nocami. Tunda ucieka w nieskończoność, ucieka nie tylko z sybirskiego obozu jeńców i ucieka nie tylko od rewolucji, w której mimo woli bierze czynny udział. Tunda ucieka od swojej tęsknoty, z chwilą, gdy ona się spełnia. (O ile tęsknota w ogóle może się spełnić!) Ucieka od własnej ojczyzny, od zachodniej cywilizacji, która go odpycha smrodem rozkładu. Ucieka od własnego brata, kapelmistrza w nadreńskim mieście, wspominając z rozczuleniem przybranego brata, Polaka, Baranowicza, długoletniego zesłańca na Syberii. (Sympatie Rotha dla Polski i dla Polaków, których zna dobrze, widoczne są z każdej jego książki). Nawet od upragnionej, wyidealizowanej kobiety, której fotografię nosił na piersi przez całą

wojnę, niewolę i rewolucję, ucieka Tunda w chwili, gdy ujrzał ją w Paryżu. Dokąd tak ucieka? Ta ucieczka nie ma kresu. Nie ma wszakże takiej ceny, za którą można by Tundę odkupić. Nic mu nie powetuje strat, jakie poniósł raz na zawsze. Zmarnowanym życiem Tundy skarży się całe pokolenie ludzi, którym wojna obudziła duszę po to, aby ją unicestwił pokój.

Przytaczam końcowy rozdział tej świetnej powieści mojego przyjaciela młodości i towarzysza wojennego, Josepha Rotha. Streszcza się w tym rozdziale wszystka niedola zwyciężonych zwycięstwem i pobitych życiem. „To było 27 sierpnia 1926 r. o godzinie czwartej po południu. Sklepy przepełnione były ludźmi, w domach towarowych tłoczyły się kobiety, w magazynach mód obracały się manekiny, w cukierniach gawędzili próżniacy, w fabrykach wirowały koła, nad brzegami Sekwany iskali się żebracy, w Lasku Bulońskim całowały się zakochane pary. Dzieci w ogrodach jeździły na karuzeli. O tej godzinie przyjaciel mój Franciszek Tunda, lat 32, zdrowy i świeży, młody i silny mężczyzna, pełen najróżniejszych talentów, stał na placu przed kościołem Magdaleny, w samym sercu stolicy świata — i nie wiedział, co z sobą począć. Żadnego nie miał zawodu, żadnej miłości, żadnej ambicji, nie miał nawet egoizmu. Nikt w świecie nie był tak niepotrzebny, jak on".

Styl tej książki, spartańska prostota w sposobie opisywania skomplikowanych spraw, mogą być wzorem dla coraz bardziej załganej powojennej polskiej prozy. Książkę Rotha pod względem surowej prawdy, którą przedstawia, oraz wagi społecznej, można u nas porównać jedynie z „Przedwiośniem".

◆

Każdy naród, który czynnie przeżył wojnę światową, posiada w swym dorobku tzw. literaturę wojenną. Przeważnie są to pamiętnikarskie wrażenia i opisy osobistych doznań, podlane tzw. sosem patriotycznym lub pacyfistycznym. Sosy przeszkadzają epickiemu ujęciu tematu, redukując grozę do celów propagandowych. Homer nie był ani patriotycznym militarystą ani pacyfistą, dlatego i dzisiaj jeszcze jest niedoścignionym epikiem wojny. W literaturze polskiej, z przyczyn dość zrozumiałych, mamy do czynienia na ogół z samym tylko sosem, który w większej ilości jest nie do spożycia.

Bogatej literaturze wojennej Niemiec, która szczyci się tak świetnymi dziełami, jak „Menschen im Kriege" Andrzeja Latzki, dorównywającym siłą wyrazu „Le feu" Barbusse'a przybył jeszcze jeden utwór niepośledniej wartości. Dzieło Georga Von der Vrin-

ga pod tytułem: „Żołnierz Suhren" ma charakter pamiętnika. Jednak losy opowiadającego w pierwszej osobie chowają się w tej powieści dyskretnie za plecami losów innych żołnierzy i stanowią raczej komentarz psychologiczny do wspólnej przygody. Tok opowiadania jest tak spokojny, że sięga niemal granic prawdziwej epiki. Należy się zastanowić nad tym, czy cechą epika jest rzeczywiście obojętność wobec opisywanych faktów. Sądząc po Homerze, tym zimnym na pozór i uczuciowo niezaangażowanym sprawozdawcy, zdawałoby się, że tak. Śmiem jednak po dłuższym obcowaniu z Homerem, stwierdzić coś wręcz przeciwnego. Pozorna obojętność epika niczym innym nie jest, jak tylko spotęgowaną miłością do wszystkich opisywanych osób i przedmiotów. Tylko wielka miłość lub wielka nienawiść umożliwia epikowi wgląd w najdrobniejsze zakamarki życia i pozwala to życie sprawiedliwie wydobyć na światło dzienne i utrwalić na wieki.

Homer nie brał udziału w wojnie trojańskiej, mógł przeto kochać i cenić zarówno Greków, jak i Trojan. Stosunek jego do tych ludzi jest bardziej boski od stosunku olimpijskich bogów, niejednokrotnie pokaranych ludzkim zaślepieniem. Von der Vring był tylko człowiekiem i dlatego etyka jego nie jest homerycka. Zimna, bezinteresowna epopeja wojny światowej powstanie zapewne kiedyś po śmierci ostatniego jej uczestnika. Tymczasem pisarze europejscy, wynieśli z krwawej i bolesnej awantury drogocenny budulec, a wszystko, co tworzą, stanowi tylko materiał pod fundamenty przyszłej epopei.

Jednym z takich cennych materiałów będzie chyba „Soldat Suhren" dzieło rzetelnego talentu i głęboko czującego serca. Środki, jakimi operuje Von der Vring są niezmiernie proste, omal takie, jakich używa wielki poeta wojny, Georges Duhamel. Von der Vring daje wojnę na małym odcinku, nie przeładowuje powieści bitwami i wojciechostwem kossakostwem, za to sumiennie i precyzyjnie odmalowuje stany psychiczne towarzyszy broni, unikając wszelkiego natręctwa w stosunku do ich dusz. Jest w tej powieści rozdział, zatytułowany: „200 Gramm Zarathustra". Żołnierze niemieccy masowo czytali w okopach Nietzschego, przysyłanego im w specjalnych „wydaniach polowych". Muszkieter Suhren czyta na biwaku „Zaratustrę". Książka obciąża jego i tak już przeładowany chlebak o 200 gramów. Suhren oddaje ją jednemu z towarzyszy, a ten otwiera ją i odczytuje na głos zdanie: „Tako rzecze Zaratustra: ci nie potrzebni *(die Ueberflüssigen)* również wielce sobie ważą swoje umieranie; nawet najbardziej pusty orzech pragnie, aby go stłuczono".

Kto z żołnierzy jest tym pustym orzechem? Czyja śmierć się nie liczy? Żołnierze z niesmakiem odrzucają tę książkę, która

dla kultury ich narodu była w okresie przedwojennym ewangelią. Potem jeden z nich opowiada o ciężko rannym Rosjaninie. Zdziera on z siebie opatrunek i woła przerażającym głosem: „Ludzkości, pomóż mi!".

W tym przejmującym rozdziale Von der Vring zdołał uwiecznić obraz załamania się kultury umysłowej Niemiec. Czy tylko Niemiec? Czy aby żaden inny naród nie hodował w sobie ideału nadczłowieka?

1928

NA MARGINESIE KSIĄŻEK JOSEPHA ROTHA

Josepha Rotha wypada nam zaliczyć do rzędu tych dzielnych i autentycznych Europejczyków, których ojczyzna nie leży na mapie Europy. Nie leży ona w ogóle w przestrzeni, lecz w czasie. Posługuję się tu definicją Ilji Erenburga, który w „Wizie czasu" pierwszy — jak mi się zdaje — przeciwstawił staremu i nieco już zbanalizowanemu pojęciu ojczyzny terytorialnej, odgrodzonej od innych ojczyzn tego typu barierami celnymi, bastionami, słupami granicznymi, górami, rzekami, tradycjami, przesądami, interesami, różnicami mowy, zwyczajów, umundurowania i waluty — nowe pojęcie ojczyzny w *czasie,* ojczyzny, znajdującej się w ustawicznym ruchu, nie wiecznej jednak, lecz przemijającej wraz z życiem każdego z jej synów. I rzeczywiście, kontrola paszportów oraz widok ojczystego celnika nie zawsze wywołują w świadomości mieszkańca Europy miłe wzruszenia i nie zawsze wytwarzają w nim poczucie przynależności do świata, reprezentowanego przez straż graniczną i komorę celną. Wręcz przeciwnie: coraz częściej zdarza się, że te symbole „domu" zmuszają do medytacji nad słusznością ich istnienia. Są to bowiem zjawiska wtórne, względne i kwestionowane aż nazbyt często przez fachowców od granic terytorialnych. Gdzie indziej zatem szukać musi ojczyzny współczesny pisarz europejski, o ile w ogóle mu na niej zależy. Za przykładem Erenburga znajduje ją niekiedy w czasie, w epoce, która go wydała i skazała na symbiozę z sobą. Tej ojczyzny nie można opuścić ani za legalnym, ani za fałszywym paszportem, nie można z niej wyemigrować i naturalizować się w innym kraju, gdyż opuszczenie granic czasu równałoby się opuszczeniu granic samego życia. Owszem, zdarzają się fantaści i romantycy, którzy — jak to się mówi — duchem ulatują poza granice swego czasu, ale ciałem muszą i oni tkwić w czasie, o ile pragną, aby to ciało żyło i chodziło po ziemi. Żyć, to znaczy przebyć pewien odcinek czasu od narodzin do śmierci. Człowiek, który urodził się z koń-

cem XIX w. i przetrwał do dnia dzisiejszego, przeżył czas przedwojenny, przeżył czynnie lub biernie wojnę światową oraz jej skutki. Wojna toczyła się nie tylko na ziemiach i w granicach państw, niejednokrotnie zmieniając te granice, toczyła się również w czasie, aż nadto długim. Przeminęła, a lata, które po niej nastąpiły, są również wspólną własnością, wspólnym pokarmem dla intelektu i naszej wrażliwości. Te lata właśnie, poprzedzające wojnę, lata wojenne i powojenne, są prawdziwą ojczyzną naszej duszy, bez względu na to, czyśmy te lata spędzili w domu czy na obczyźnie. W tej patrii każdy myślący i czujący Europejczyk czuje się rodakiem, chociaż nie zawsze patriotą. Przeżywa te same wzloty i upadki, doznaje podobnych rozczarowań i upokorzeń, żywi podobne nadzieje i roi podobne plany. Są pisarze bardzo przywiązani do swojego czasu, nie mają mu nic do zarzucenia, potwierdzają go wraz z wszystkimi jego błędami i podłościami. Częściej jednak spotykamy, zwłaszcza na Zachodzie, pisarzy, którzy odnoszą się do swojej ojczyzny, jak zdrajcy. Mają do swej epoki straszliwe pretensje, zarzucają jej małość, obwiniają ją o upadek własnych dusz: to — moraliści, opanowani rozpaczą, ponieważ nie mogą się od swej nikczemnej ojczyzny uwolnić.

Jednym z najbardziej czynnych i nieubłaganych wrogów czasów przedwojennych, wojny i całej chaotycznej powojenności, jest Roth. To wróg szlachetny, sprawiedliwy, to wróg, że się tak wyrazimy, z pierwszej ręki. Wielu mamy dziś oskarżycieli publicznych naszego czasu, którzy występują z aktami oskarżenia, sporządzonymi przez kogoś innego. O bogatej twórczości Rotha pisałem już dwukrotnie. Wspaniała jej linia rozwojowa oraz fakt, że spolszczyłem trzy powieści Rotha: „Ucieczkę bez kresu", „Zippera i jego ojca", a ostatnio „Hioba", — skłaniają mnie do ponownego wypowiedzenia kilku uwag, tym bardziej iż materiał jest coraz obfitszy. Krytyka niemiecka i francuska często porównywa Rotha ze Stendhalem. Stendhal też był oskarżycielem swego czasu i dał nam wielką panoramę obyczajowości przednapoleońskiej, napoleońskiej oraz epoki Restauracji. Niekiedy nawet stylem przypomina Roth swego wielkiego poprzednika z tą tylko różnicą, że Stendhal, jako Francuz, miał po kim dziedziczyć styl, a Roth, jako pisarz niemiecki, sam musiał go sobie stworzyć. Drobiazgowa analiza elementów, składających się na życie duchowe, emocjonalne, społeczne i obyczajowe w latach przedwojennych, wojennych i obecnych znalazła w Rothcie — mistrza.

Analiza ta obejmuje przeważnie następujące tereny: Austrię, Niemcy, Francję i Rosję Sowiecką. Rozumie się, że najświetniejsze rezultaty dała na terenie Austrii i Niemiec. W literaturze nie-

mieckiej pierwszy Roth odmalował z niesłychanym realizmem moralną katastrofę, moralny *Zusammenbruch* uczestników wojny: zarówno tych, co w niej zginęli jak i tych, co z niej wrócili. W powieści „Rechts und Links" Roth przedstawił Niemcy okresu inflacji, a przedstawił z dokładnością wprost mikroskopijną, badając i demaskując duchowe bakterie, które zatruły egzystencję młodemu pokoleniu. Roth jest twórcą tzw. *Zeitroman* w powojennych Niemczech. Dlatego nazwałem Rotha wrogiem swego czasu i oskarżycielem z pierwszej ręki. Przyzwyczailiśmy się już do literatury niezadowolenia, tak popularnej dziś na całym Zachodzie, przeto obowiązkiem naszym jest wskazać na jednego z pierwszych, którzy mieli odwagę temu niezadowoleniu nadać artystyczny kształt. Roth stworzył w Niemczech szkołę nie tylko jako sędzia epoki, ale przede wszystkim jako artysta. Gorzka wzniosłość i szlachetność jasnej frazy Rotha udzieliły się całemu pokoleniu epigonów, które uczciwie zdaje sobie z tego sprawę, stawiając Rotha na czele w wszystkich antologiach i almanachach młodej prozy niemieckiej. To, że uczniowie Rotha zdobyli sobie nieraz większą od niego popularność, nie przesądza faktu pierwszeństwa. W „Rechts und Links", przedstawił Roth na dziejach pewnej rodziny mieszczańskiej tragedię współczesnych Niemiec. Po raz pierwszy uwydatnił konflikt między pokoleniem, które brało udział w wojnie, a pokoleniem, które wyrosło już na jej skutkach. Pierwszy też zauważył i odmalował zdziczenie i odduchowienie nowej młodzieży, która w tajnych związkach wojskowych przygotowuje nową wojnę i morduje Rathenauów. U nas pierwszy Słonimski w niedocenionym „Lekarzu bezdomnym" przedstawił tę młodzież w podobnym świetle. W ocenie swego czasu, w druzgocącym werdykcie wszystkich jego zbrodni, zachowuje Roth prawdziwie wzniosłą, choć wolną od patetyczności, postawę szczerego humanisty. Ten wolny i bezinteresowny sędzia równie surowo traktuje wszelkie prawice, jak i lewice zdziczałej i nieszczęśliwej ludzkości. Roth pierwszy w Niemczech postawił diagnozę choroby naszego wieku, a uczynił to czystą i szlachetną ręką. Jego krystaliczny i aż słony w swej ostrości styl oczarował Francuzów. Podziwienia godne jest u Rotha dozowanie elementów stylu: tyle gramów ironii na tyle gramów serca, tyle gramów uśmiechu na tyle a tyle łez — wszystko u niego daje w rezultacie harmonijną prostotę, tak rzadką u Niemców. Podobnie jak w duchowej substancji pism Rotha, tak i w jego stylu nie odnajdziemy nawet zabłąkanego ziarnka barbarzyństwa, modnego dziś wśród zbuntowanych pisarzy niemieckich. Wytworność Rotha ma w sobie coś suwerennego i każe myśleć o moralistach XVIII w. Tym, którzy sądzili, iż Roth jest tylko

zimnym analitykiem i wytwornym sceptykiem, sprawił on niedawno wielką i wspaniałą niespodziankę — „Hiobem". W tym arcydziele, jeśli tak rzec wolno, arcydziele pokory słowa, dał Roth — pieśń. Wielką pieśń o małym człowieku i wielkim Bogu. Jest to pieśń na starą i wschodnią nutę, a zaśpiewana najcichszym z głosów, niemal szeptem, budzi grozę i litość tak, jak owe najstarsze pieśni, ułożone przez ludzi, wierzących w cudy, które Bóg niekiedy raczy czynić na ziemi. Bóg „Hioba" — to *rex tremendae majestatis,* co ulitował się nad najnędzniejszym z ludzi, nad mełamedem-Mendlem Singerem z Zuchnowa na Wołyniu.

1930

NIEMIECKA BIOGRAFIA STENDHALA

Każdego, kto bada duchową atmosferę naszych czasów, uderzyć musiało niezwykłe powodzenie, jakim cieszą się pisane żywoty wielkich ludzi. Czyżby głód wielkości nagle ogarnął ludzi, skazanych na własną małość, jałowość wysiłku i marnowanie energii, iż tak żarłocznie chłoną życiorysy tych, których energia nie poszła na marne? Zapewne i naszym czasom nie brak geniuszów, świętych i bohaterów, wielkich awanturników i wielkich zbrodniarzy. Żyje Gandhi, żyje Einstein, ilustracje pism codziennych ciągle reprodukują podobizny wielkich pisarzy, artystów, wynalazców. Tygodniki dźwiękowe utrwalają ich głos, ich chrząkanie. A jednak odnosimy się do nich obojętniej niż do umarłych wielkości. Widocznie nie dowierzamy żywym, czyhamy na jakieś załamanie się ich potęgi, na jakiś gest, który pewnego dnia, choćby przed samą śmiercią, przekreśli nasz dotychczasowy podziw i zdemaskuje ich małość. Małość naszych czasów nie leży w tym, iż brak im wielkich ludzi, raczej w tym, iż nasze czasy nie potrafią się do nich ustosunkować. A wielcy ludzie gubią się w chaosie sensacji, które niekiedy sami stwarzają. Mimo to nie jest z nami chyba tak źle, skoro w braku zrozumienia dla żywych wielkości, poddajemy się czarowi wielkich nieboszczyków. A może zawsze tak było? Śmierć od najdawniejszych czasów miała przywilej powiększania każdego szczegółu z życia niezwykłego człowieka. Niewątpliwie w pasji zaczytywania się powieściami biograficznymi jest coś z duchowej nekrofilii, zrozumiałej zwłaszcza u starych ras, opłakujących dawną świetność. Być może, iż toniemy i dlatego tak kurczowo czepiamy się papierowych, zadrukowanych desek ratunku.

Na tych intelektualnych Zaduszkach spekulują zarówno literaci, jak i wydawcy. Zwłaszcza w Paryżu, gdzie jest tak dużo

cmentarzy wielkości, gdzie jest Panteon. Tam prawie co tydzień wychodzi spod prasy jakaś umarła wielkość. A wychodzi w formacie, zależnym od formatu umysłu, który ją wskrzesił. Trudno żądać, żeby na setki autorów, opowiadających żywoty wielkich ludzi, każdy z nich był Plutarchem lub Vasarim. Ale zdarzają się książki, godne najwyższych porównań. Strachey na przykład, Maurois, Mauriac nieraz osiągają poziom dawnych znakomitych biografów. U nas — Parandowski napisał niezwykle taktowną i pełną subtelności księgę nieszczęśliwego żywota Oskara Wilde'a. Na ogół jednak autorzy *vies romancées* rzadko umieją zachować przyzwoity dystans do przedmiotów swych opowieści. Tam, gdzie wskrzeszanie umarłych odbywa się masowo, trudno ustrzec się od ciężkich grzechów. Siedem jest grzechów głównych w współczesnej twórczości biograficznej:

1) zrównywanie bohatera z własnym poziomem;
2) traktowanie go z góry, protekcyjnie;
3) traktowanie go z dołu, z obkadzaniem;
4) udawanie, że wszystko w życiu i czynach bohatera jest dla piszącego o nim jasne, zrozumiałe i dające się racjonalnie wytłumaczyć;
5) watowanie pustych lub nieznanych okresów w życiu bohatera tak, żeby całe to życie wypadło harmonijnie i składało się z samych przygód.
6) ocena czynów bohatera na podstawie tego, co o nich później mówił „świat"; wreszcie:
7) pośmiertne uświadamianie bohatera o tym, że właściwie miał co innego na myśli niż to, co powiedział, napisał lub uczynił.

Wszystkich tych grzechów ustrzegł się świetny eseista niemiecki Rudolf Kayser, redaktor miesięcznika „Die Neue Rundschau" w książce pod tytułem: „Stendhal oder das Leben eines Egotisten". Ta książka to jeden z najciekawszych dokumentów historii francuskiego intelektu. Zarówno filozoficzna i społeczna interpretacja epoki, jak i powieściowe ujęcie zewnętrznych kolei życia Stendhala tłumaczą nam z wielką delikatnością tajemnice tej bardzo skomplikowanej duszy i twórczości. Kayser umiał odtworzyć i ocenić najbardziej trudne do oceny okresy z dziejów Francji, lata rewolucji, Napoleona, Restauracji, Ludwika Filipa, całą tę pstrą panoramę kostiumów i namiętności, którą egzaltował się i gardził Stendhal. Samotny, i szyderczy profil pana Henri Beyle'a z Grenobli ostrym konturem odcina się w tej książce od tła epoki, której ten egotysta odważył się przeciwstawić własny umysł. I widzimy w książce Kaysera jak bardzo ta epoka była podobna do naszej. W epoce Stendhala, z chaosu wojen i rewolucji rodziła

się ta sama mieszczańska demokracja, która ginie dziś w naszych oczach. Miłościwie nam panujący monarcha: Pieniądz, stawał się w owych czasach tym, czym jest dzisiaj, gilotyna usunęła ze świata ostatniego jego rywala: przywilej urodzenia. Dziś obie potęgi — demokracja i pieniądz, przeżywają śmiertelny kryzys, przy czym okazuje się, że duchowe reakcje epoki narodzin i epoki agonii są bliźniaczo do siebie podobne. Toteż dzisiaj Stendhal jest obok Flauberta najaktualniejszym pisarzem francuskim XIX w., a jego renesans nie jest kaprysem ani przypadkiem.

Tak zwany beylizm, oparty na sceptycyzmie filozoficznym, rodem z XVIII wieku, jest dziś równie współczesny jak psychoanaliza. Sceptycyzm Stendhala w odniesieniu do Francji ponapoleońskiej — to praojciec współczesnego sceptycyzmu intelektualistów powojennej Europy. Ucieczka Stendhala od znienawidzonej rzeczywistości mieszczańskiej do bonapartowskiej Italii, gdzie spędził młodość swej duszy i doznał porażenia ogniami miłości, muzyki i malarstwa, jakże podobna jest do naszych ucieczek od życia! Dziesiątki pseudonimów i kryptonimów miało zataić prawdziwą osobę pana Henri Beyle'a przed czytelnikami, których tak niewielu miał za życia. Nie szukał ich wcale, nie miał do nich zaufania. Jedynie nas obdarzył zaufaniem. Kilkakrotnie do nas się zwracał, przepowiadając lata, w których będziemy go wzywali. „Będę zrozumiany około roku 1900" prorokował. Potem znów: „Gram na takiej loterii, której główna wygrana polega na tym, że będę czytany w roku 1935". Za życia miał zaledwie jednego czytelnika, z którego mógł być dumny: Balzaka. Ale w czasie, gdy Balzak drukował w „Revue Parisienne" swój entuzjastyczny artykuł o „Pustelni parmeńskiej" życie Beyle'a miało się już ku końcowi. Sterany, zgorzkniały, otulony kocami, samotny konsul Francji czytał w papieskiej mieścinie Civittavecchià te słowa Balzaka: *„Pustelnia parmeńska* jest do tej pory czołowym dziełem ideowej literatury naszych czasów"... O tym, że wiele lat temu, w roku 1818 stary Goethe pisał w liście do Zeltera o młodzieńczej książce Stendhala „Rome, Naples et Florence": „Czyta się tę książkę z rosnącą przyjemnością, znajduje się w niej miejsca, których chciałoby się wyuczyć na pamięć" — nigdy się nie dowiedział. Sam ułożył sobie napis nagrobny, w którym wyparł się nawet swego francuskiego pochodzenia. Chciał przejść do potomności jako mediolańczyk i przekazać jej swoją miłość do północnych Włoch, do Mozarta, Cimarosy, Szekspira. „Żył, pisał i kochał"...

O tym, jak żył, pisał i kochał, dowiadujemy się z pięknej książki Kaysera, zbliżającej nas do człowieka, do którego za życia nie łatwo było się zbliżyć. Ta książka konfrontuje nas z Stend-

halem, nas, na których tak bardzo liczył. Z każdym dniem tracimy onieśmielenie w stosunku do tego, zimnego na pozór, pisarza. Coraz większe ciepło wieje ku nam z jego książek. Znakomite przekłady Boy'a uprzystępniły je szerszej publiczności w Polsce. Warto by również przetłumaczyć książkę Kaysera, z pewnością znalazłaby u nas wielu wdzięcznych czytelników.

1930

SETNY TOM BIBLIOTEKI BOY'A

Wspaniałą okazję powiedzenia kilku uwag o literaturze francuskiej, o Stendhalu, ojcu współczesnej prozy powieściowej i o zasłudze Boy'a daje nam wydawnictwo „Alfa", publikując setny tom przekładów, dokonanych w ciągu niespełna dwudziestu lat przez jednego człowieka.

Ten setny tom, a właściwie, licząc od końca: pierwszy (wydawnictwo „Alfa" inauguruje tym tomem zbiorowe wydanie całokształtu „Biblioteki Boy'a"), jest tak piękny i reprezentatywny zarówno dla literatury francuskiej jak i dla Boy'a, iż mamy tylko jeden żal do tej książki: o to, że jest niedokończona.

Zacznę od Boy'a, od jego wielkiej i mimo wszystko ciągle jeszcze nie dość ocenionej zasługi. Wyobraźmy sobie człowieka, który chciałby poznać naocznie arcydzieła malarstwa, rzeźby i architektury dawnych czasów. Kogoś, kto pragnie zobaczyć i Panteon rzymski, świątynię Westy, gotyckie katedry w Rouen, Reims, Chartres, paryską Nôtre Dame, kaplicę Sykstyńską i kaplicę z grobami Medyceuszów, ołtarz Mathiasa Grünewalda w Kolmarze, płótna Rembrandta, Leonarda da Vinci, rzeźby Rodina, obrazy Cézanne'a i Renoira. Taki człowiek musi wybrać się w długą podróż z Baedeckerem w ręku, musi dokładnie przestudiować Burckhardtów i Taine'ów, wydać sporo pieniędzy i zużyć wiele energii. Te drogocenne kamienie, freski i płótna trwają od wieków na swych właściwych miejscach, nie dających się powtórzyć i żadna, choćby najbardziej artystyczna fotografia[1], żaden film nie przekażą nam ich pełnej autentyczności. Chcąc obra-

1. André Malraux w swych pracach o sztuce znakomicie obalił ten mylny pogląd, wykazując, że niekiedy reprodukcja właśnie, zwłaszcza powiększająca daje właściwe pojęcie o dziele sztuki. Dotyczy to szczególnie malowideł na greckich wazach lub mozaik bizantyjskich. W obecnych czasach kolorowa fotografia osiągnęła taką doskonałość, iż wobec niej blednie często oryginał. (Przyp. autora w r. 1962).

zowo wyrazić zasługę Boy'a, możemy bez wielkiej przesady powiedzieć, że ten jeden pisarz sprowadził Luwr na polską ziemię. Ostatnio Anglicy, chcąc udostępnić uboższym warstwom swej ludności, nie mogącym podróżować, arcydzieła *stalugowego* malarstwa włoskiego, sprowadzili z Włoch pewną ilość dzieł starych mistrzów — do Londynu. Po prostu wypożyczyli te płótna z włoskich muzeów. Jednakże to, co zrobił Boy-Żeleński, sam jeden, umożliwiając skromnemu urzędnikowi poczty w Chabówce lub Zdołbunowie, urzędnikowi, który nigdy nie uczył się języka francuskiego — obcowanie z całym Villonem, Rabelaisem, Montaigne'm, Pascalem, Marivaux, Voltairem, z Racine'm, Mussetem, Balzakiem, Stendhalem i tylu innymi mistrzami wiersza i prozy francuskiej, jest zjawiskiem niebywałym w dziejach ludzkiej kultury. Boy-Żeleński żywcem przeniósł na swych barkach Luwr literatury francuskiej do Polski. Słowo w słowo powtórzył każdy wyraz francuskich mistrzów języka. I każdy wyraz wielkich poetów i mędrców Francji, przepuszczony przez umysł, wrażliwość i smak Boy'a, wyszedł na świat, jakby na nowo się urodził, jakby na nowo został stworzony w polskiej mowie. Od Villona do Verlaine'a: kawał czasu i kawał drogi! Ileż to przeróżnych stylów, manier, ileż ewolucji wysłowienia musiał oddać jeden Boy! Dla wiersza Rabelais'a trzeba było znaleźć po polsku niedwuznaczny odpowiednik. Molier także w Polsce winien był zachować prostotę i wdzięk swego tragicznego humoru. Balzak i Stendhal również i w naszej rozlewnej prozie musieli znaleźć pokrycie dla swej łacińskiej ścisłości. „Tristan i Izolda" Bédiera i u nas zażądali goliardowej gęśli. Wszystkiego dokonał Boy z dokładną precyzją. W ocenie jego zasługi trudno nam wybrać jakiś punkt zaczepienia, trudno oprzeć nasz zachwyt na jakiejś określonej predylekcji tłumacza. Boy bowiem równie trafnie oddaje czar naiwnych prymitywów, jak stylową rubaszność dworaków i trefnisiów, czy też wyrafinowaną wytworność i sceptycyzm intelektualistów. Tą samą wprawną i delikatną dłonią odlewa w gipsie polskiej mowy patetyczny brąz francuskiego stylu klasycznego (autora „Brązowników" przepraszam za to porównanie) i modeluje tanagryjskie figurynki mistrzów miniaturowej maksymy. Odnajduje Boy właściwy instrument polski dla madrygału i potrafi znaleźć w naszym języku odpowiednie narzędzie do interpretacji melodii romantycznej. Nigdy nie zmieni tonacji, tempa, nigdy nie zatraci pointy oryginału i nie zwulgaryzuje dowcipu. A jeśli zostaniemy już przy naszym porównaniu z Luwrem, to musimy podnieść jeszcze jedną zasługę: Boy nie tylko przywiózł Luwr do Polski, ale jednocześnie ułożył też przejrzysty i bardzo mądry przewodnik po Luwrze: są to jego studia i szkice z literatury francuskiej. Tak

więc nie tylko biedny urzędnik pocztowy z Chabówki, ale każdy, kto w Polsce interesuje się francuskim piśmiennictwem zawdzięcza Boy'owi niejedną wiadomość. Tak wygląda zasługa Boy'a na zewnątrz. Ma ona jednak głębsze znaczenie. Przekłady Boy'a zaczęły się ukazywać w czasie, kiedy literatura polska znajdowała się w niewoli egzaltacji i przerostu liryzmu. Smak polski cierpiał z powodu nadmiaru wzniosłych słów w beletrystyce, co nieraz utrudniało czytelnikowi wiarę w prawdziwość zdarzeń, opisywanych przez niektórych pisarzy. Wielka proza francuska: Balzak, Stendhal, Flaubert i Maupassant, unika uczuciowych komentarzy do ludzkich charakterów i czynów. Samym postaciom i samym faktom każą ci pisarze czytelnika przekonywać i wzruszać. Autorowie ci ograniczają się przeważnie do intelektualnej kontroli. Literatura francuska wydaje się może najmniej idealistyczna z wszystkich, znanych nam, literatur i chyba jest najmniej sentymentalna. Człowiek, jej bohater, nie jest niczym więcej, tylko człowiekiem, *ni ange ni bête* wedle słów Pascala. I dlatego szlachetność wielkich pisarzy francuskich nie jest identyczna z propagandą szlachetnych ideałów. Jest to gorzka szlachetność czystego intelektu i czystego stylu. Pisarze francuscy celują w opisywaniu ludzkich słabości i ułomności. Nie mają oni żadnych złudzeń co do moralnej wartości człowieka, któremu wyznaczają miejsce tylko w ziemskich granicach. Zawdzięczamy zatem Boy'owi w dużym stopniu zhumanizowanie naszego stosunku do nas samych, otrzeźwienie z aż nadto romantycznej nieprzytomności. Boy swymi przekładami skorygował również nasz smak, narzucając mu logikę, jasność i prostotę.

◆

Wspomnieliśmy na wstępie, że „Lamiel" Stendhala, to niedokończone arcydzieło powieściowe, może reprezentować francuską prozę. Jeszcze przed piętnastu laty mówiło się o Stendhalu, jako o pisarzu „zimnym". Styl jego, mający dziś tylu naśladowców, nazywano suchym, zwłaszcza w Polsce, gdzie jeszcze dzisiaj tylu jest zwolenników stylu „mokrego", lirycznego, łzawego. Przyjmowano z niechęcią pisarza, który osobiście nie angażował się w emocjach swych bohaterów. Nigdy Stendhal nie nalegał na czytelnika, aby ustosunkowywał się do jego bohaterów w sposób miły autorowi: osiąga on to bardziej pewnymi i bardziej skomplikowanymi środkami niż uczuciowy komentarz. Sympatyzujemy z Lamiel tak jak sympatyzujemy z Julianem Sorelem i Fabrycym del Dongo, ale nie dzieje się to z namowy autora. Pisarzy takich jak Stendhal pomawialiśmy o brak serca, rozumiejąc

przez „serce" prymitywny idealizm i niezdolność do obiektywizmu. Pisarz z sercem winien uprościć czytelnikowi zadanie, komenderując w odpowiednich miejscach lektury: — tu płakać!, teraz się śmiać!, tu pochwalić!, teraz potępić! — U Stendhala, jak u tylu innych wielkich pisarzy, nie zawsze wiadomo kiedy należy płakać, a kiedy śmiać się, a już całkiem nie wiadomo, kiedy pochwalić, a kiedy zganić. Nie jest przypadkiem, iż Żeromski uwielbiał Stendhala i czcił Conrada. Właśnie Żeromski, największy liryk wśród współczesnych powieściopisarzy polskich uwielbiał z przeciwnego bieguna, na którym stał, obu pisarzy „bez serca". Właśnie Żeromski, który, jak nikt inny u nas, umiał przebóstwiać swych bohaterów lub pogrążać ich w hańbie.

Świat, podany nam przez Stendhala, wolny jest od wszelkiego liryzmu. Stendhal uprawia *une prose pure,* że pozwolimy sobie strawestować formułkę ks. Brémond, zastosowaną do poezji. Można by powiedzieć, że ludzie Stendhala sami wytwarzają dokoła siebie ciepło, nieraz aż upalną atmosferę uczuciową, a nie ich twórca. Autor umieszcza ich na lodowatej prawie powierzchni świata. W swych powieściach nie ubolewa Stendhal nad głupotą i perfidią ludzką, lecz odgradza się od niej ironią, tą cudowną materią izolacyjną intelektu. Styl jego nazwałbym metalowym. Bywają style ogniste, wodniste, ziemiste, powietrzne, mgliste. Styl Stendhala ma dźwięk szlachetnego metalu i klarowny połysk. Jest zimny i twardy w dotyku.

Zaznajomienie szerszych warstw polskiego czytelnika z tym nieporównanym poetą miłości i swobody jest jedną z wielkich zasług Boy'a, i życzyłbym sobie ujrzeć jako sto pierwszy tom jego „Biblioteki" powieść Stendhala pt. „Lucien Leuwen". Tymczasem składam Boy'owi-Żeleńskiemu najserdeczniejsze życzenia. Niech żyje następna setka!

1930

JAN STUR

W miarę, jak oddalamy się od naszej młodości — coraz tłumniej, coraz natarczywiej oblegają nas zmarli towarzysze tej młodości. Nawiedzają nas w bezsenne noce lub w biały dzień napadają znienacka na jakimś zakręcie toczącego się życia, na jakiejś uliczce rodzinnego miasta. Umarli młodzieńcy wyskakują nagle z ciemnych bram, niespodziewanie odklejają się z pustych ławek w miejskich ogrodach i widzimy ich wyraźnie obok siebie: są jeszcze w tym samym ubraniu, w którym chodzili za życia, przed dwudziestu laty. Biada tym, co zostają przy życiu i odwiedzają rodzinne miasta, opuszczone w młodych latach! Na każdym kroku roją się te miasta od cieni! I nic bardziej zawstydzającego od owych wspomnień! Trudno powiedzieć, dlaczego czujemy się winni wobec cieni towarzyszów młodości, ale tak jest: wydaje się, że każdy rok, o który przeżyliśmy ich — jest popełnioną na nich kradzieżą. Być może, iż ci, których wczesna śmierć zabrała ze świata, żyją nadal w naszych wspomnieniach, że niejako kończą swój żywot w każdym z nas i zginą całkowicie dopiero z śmiercią ostatniego rówieśnika. Ale kto wie, może jest raczej odwrotnie: może to jakaś cząstka z nas razem z nimi umarła?

Niewielu ludzi w Polsce wie dzisiaj, kim był poeta lwowski, Jan Stur, zmarły przed dziesięciu laty na gruźlicę, w 28-ym roku życia. Pisma jego, stosunkowo dość liczne, również uległy zapomnieniu, chyba że jakiś spóźniony miłośnik ekspresjonizmu lub zawodowy historyk prądów literackich zajrzy niekiedy do pożółkłych książek, do zbiorów poezji „Anima nostra", „Tryumfy", „Człek wędrowny", „Z ksiąg prawdy", lub do pośmiertnego wydania „Pism". Artykuły i studia krytyczne Stura, cieszące się za jego życia większą od poezji poczytnością, ogłaszane były w poznańskim „Zdroju", w lwowskich pismach codziennych; ważniejsze ukazały się o książkach Tadeusza Micińskiego pt. „Kniaź Potiomkin", „Nietota", „Ksiądz Faust" oraz „Na przełomie".

W pierwszych latach naszej odrodzonej państwowości, kiedy kształtowały się nowe pojęcia o sztuce i jej zadaniach, odegrał Stur poważną rolę, jako teoretyk i najwybitniejszy apologeta ekspresjonizmu. Miał wielu uczniów i wyznawców na gruncie lwowskim i poznańskim, gdzie wzbudził zainteresowanie dla nowych kierunków w poezji nie tylko ekspresjonistycznej. Jako jeden z pierwszych we Lwowie pisał entuzjastycznie o tzw. „pikadorczykach", pierwszy szerzył na gruncie wschodnio-małopolskim zrozumienie dla nowej metafory i w ogóle nowej poetyki. Jego studium o „Oktostychach" Iwaszkiewicza jeszcze dzisiaj może zaciekawić teoretyka mowy wiązanej. Wielu ludziom w Polsce otworzył Stur oczy na uroki nowej Muzy. Jakkolwiek poezja świadomie ekspresjonistyczna istniała w Polsce przed wystąpieniem Stura (że wymienimy tylko Bederskiego, Zegadłowicza, Kosidowskiego, Olwida), a jej ewangelię pierwsi głosili — jeśli się nie mylę — Przybyszewski w rozprawie „Słowacki, ekspresjonizm i nowa sztuka", oraz Jerzy Hulewicz w artykułach wstępnych „Zdroju" — jednak Sturowi przypadło decydujące słowo przy formułowaniu zasad nowej wiary. Błędem i śmiertelną chorobą ekspresjonizmu, zarówno u nas jak i w Niemczech, gdzie się urodził, było to, że przy pomocy abstrakcyjnych, ultraindywidualistycznych środków pragnął reformować życie. Poezja ekspresjonistyczna, zbliżona technicznie do dzisiejszej „czystej" poezji, zarzucająca wszelki realizm, oderwana od realnego życia, którym gardziła — pragnęła temu życiu dyktować prawa. Nic dziwnego, że życie wyszydziło ją niemiłosiernie. Ekspresjonizm uważał za jedno z naczelnych swych zadań deformację potocznego sensu słów, przy czym jednak nie rezygnował z ambicji społecznych. Narzucał światu wiarę w ducha językiem, którym świat nie władał i którego nie rozumiał. Dzisiejsi pogromcy potocznego sensu w poezji, nie pragną swoją poezją reformować świata, i dlatego szanse ich są większe.

Ekspresjonizm, szczególnie ekspresjonizm Stura, był misją życiową, religijną i społeczną. Spełnić ją zamierzał przy pomocy słów i skojarzeń, pozbawionych sensu społecznego. Jedynie ci, co się poddali trudnej operacji wtajemniczenia w „summę" ekspresjonistycznej teologii, uwierzyli apostolstwu Stura. Z żarliwością średniowiecznych mnichów głosił Stur aspołeczność duszy ludzkiej, przy czym wymagał od społeczeństwa, żeby się tą nauką przejęło. Głosił zaświatowość. Jedną z niegodziwości śmierci, która zabrała nam tego fanatycznego poetę, jest to, że dopiero dzięki niej odnaleźliśmy klucz do zrozumienia zasadniczych motywów w jego twórczości. Śmierć współpracowała przy takich poematach Stura, jak „Człeka wędrownego tragedia radosna", to ona

dyktowała mu „Żywot w piekle" i „Powrót do raju". Same tytuły tych zawiłych i długich poematów, w których nie brak rzetelnej i, dla wyrobionego czytelnika, zupełnie zrozumiałej liryki, wskazują, pod jaką gwiazdą przyszły te poematy na świat. Nie była to gwiazda życia. Kult zaświatowości, pogarda ziemi, cała ta na pozór mglista metafizyka Stura stają się jasne w zimnym świetle śmierci. Z tych samych źródeł płynie jego religijność, a nawrócenie na katolicyzm było już tylko klasyczną konsekwencją duszy pragnącej sobie przygotować grunt pod żywot wieczny. Wczesna śmierć tłumaczy nam również technikę tego poety. Twórcy, których organizm fizyczny i psychiczny nastawiony jest na dłuższe życie, pracują cierpliwiej, wyrażają się nie przy pomocy szyfrów, lecz dojrzałych zdań. Przemawiają jaśniej, bardziej ziemsko, powiedzmy nawet — wulgarniej od tych, co umierają za młodu, starają się o bliższy kontakt z czytelnikiem, liczą się z jego wrażliwością i wyobraźnią. Stur przemawiał do czytelnika abstrakcyjnego. Przede wszystkim jednak toczył długie i męczące soliloquia. Zależało mu jedynie na tym, żeby głos jego dotarł tam, dokąd świadomie dążyła jego szlachetna i samotna dusza: do Boga.

Stałem za blisko Stura (kolegowaliśmy od najmłodszych lat szkolnych), żebym miał prawo wdawać się w zagrobową ocenę jego twórczości. Zawsze podziwiałem jego zapał, rozmach, szlachetność intencji, chociaż — wyznaję — nie wszystko, co pisał, było dla mnie jasne. Mimo równego ze mną wieku, Stur wydawał mi się o wiele starszy, dojrzalszy, bardziej doświadczony. Przekonałem się niestety, że dzieliła nas owa „smuga cienia", który na jego młodość rzuciła drążąca go śmierć. Odszedł ze świata, gdy jego rówieśnicy w poezji zataczali się, pijani szumiącą w nich młodością, odurzeni wzbierającą w nich siłą.

Nie można tutaj pominąć milczeniem faktu, że głośny w swoim czasie, dziś już zapomniany, spór „Zdroju" ze świeżo założonym „Skamandrem" był dziełem Stura. Stur oskarżał „Skamander" o to, co było siłą i urodą „Skamandra": o ziemskość. Uznawał w literaturze tylko sprawy ostateczne, finalne i lekceważył poetyckie manifestacje codziennego życia. Przeciwstawiał im kult zaświatowości, pragnąc w literaturze widzieć ekspozyturę empireum na ziemi. Podobny był w tym do romantyków z okresu towianizmu, do Micińskiego i niektórych metafizyków niemieckich. Był gorącym patriotą i równie gorącym pacyfistą. Wielbił mistyczne pisma Słowackiego, w ogóle wszystko, co było wieszczbiarstwem w naszej literaturze. Nie rozumiał ludzkich odruchów i porywów rozkwitającej młodości. Można by o nim powiedzieć, że był nieludzki, podobnie jak nieludzki bywał niekiedy Słowacki.

Nienawidził kierunków realistycznych, nie cierpiał starożytnego Rzymu, z przekąsem wyrażał się o Odrodzeniu. Natomiast ubóstwiał gotyk i średniowiecze. W poezji greckiej uznawał tylko jej żywioł dionizyjski. Toczył zaciętą walkę z Apollinem.

Ktoś, kto kiedyś będzie pisał dzieje wysiłków umysłowych w Polsce, owocnych czy też na pozór tylko owocnych i zmarnowanych, nie może przejść obojętnie obok skromnego nagrobka na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, pod którym leży ostatni, choć przez niewielu słuchany wieszcz polski, mag, pielgrzym. Razem z nich pogrzebano tam polski ekspresjonizm.

1933

GERHART HAUPTMANN

Nazwisko wielkiego poety teatralnego Gerharta Hauptmanna wskrzesza w naszej pamięci wiele wzruszeń i obrazów, dziś już bardzo odległych nietyle czasem, ile wypadkami, które ten czas wypełniły. Podobnie jak nazwiska Ibsena, Maeterlincka, Zapolskiej i Przybyszewskiego — przypomina nam ono naszą młodość. Wyżywała się ta młodość w urojonych światach owych pisarzy, buntowała się ich buntami, zanim się spaliła w ogniu prawdziwego życia, który dla wielu był ogniem śmierci. Między nami a naszą niedokończoną młodością, między nami a Hauptmannem, leży wojna. Na niejeden syreni śpiew przedwojennej poezji uczyniła nas ona głuchymi i nieczułymi, oduczyła nas snów o potędze, nie zdołała jednak zrobić z nas zdrajców. Dochowaliśmy wierności Hauptmannowi poprzez wszystkie kataklizmy, w których tyle dawnych bóstw runęło z piedestału. Hauptmann przetrwał kryzys naszego smaku teatralnego i literackiego, ponieważ nigdy nie był kaznodzieją i bezpośrednio nie głosił idei, które starzeją się prędzej niż ludzie. Za wiele nagiego i prawdziwego życia jest w jego twórczości, żeby ta twórczość miała się przeżyć. Hauptmann przetrwał niemal wszystkich swych rówieśników z ery naturalizmu i symbolizmu i przetrwał młodszych od siebie ekspresjonistów. Jeden chyba Wedekind wraz z nim przeszedł zwycięsko próbę czasu. Nowe życie nie tylko oszczędziło autora „Tkaczy", lecz odnalazło w nim swojego sprzymierzeńca, podobnie jak w sędziwej rysowniczce niedoli proletariatu, Käthe Kollwitz. „Tkacze" do dziś dnia zostały wielkim dramatem rewolucji. Być może, że „Dzwon zatopiony" podzielił czasu wojny los wszystkich dzwonów tzn. został przetopiony na armaty, i dlatego jego czysty dźwięk już nas tak nie czaruje. „A Pippa

Przemówienie wygłoszone na premierze „Doroty Angermann" w Teatrze Nowe Ateneum.

tańczy" dzisiaj chyba już tylko do murzyńskiej muzyki, jako zawodowa fordanserka. W naszych uszach wciąż jednak odzywa się jeszcze — jak echo młodych lat — okaryna Höllriegla, a z przepastnej i zasypanej studni niepamięci dochodzi nas niekiedy stłumiony skrzek Wodnika: „Brekekekekeks!".

Popełnilibyśmy wielką niesprawiedliwość, wobec poety, którego 70-ą rocznicę urodzin obchodzimy dziś na tej scenie, gdybyśmy jego bogatą i tak różnorodną twórczość rozpatrywali tylko pod kątem wspominek naszej minionej młodości. Ten retrospektywny sentymentalizm nie jest na miejscu w stosunku do pisarza, którego dzieło wyrosło nie tylko z romantycznej niechęci lat przedwojennych do tzw. szarzyzny życia. Nikt inny w Niemczech, tylko Hauptmann wprowadził tę szarzyznę na scenę i nadał jej kształty monumentalne. Prawie cała tzw. naturalistyczna twórczość Hauptmanna wyrosła z ludzkiej krzywdy. Młodość nasza minęła, minęły jej złudzenia, ale krzywda ludzka nie minęła i jakoś nie zanosi się na to, żeby miała rychło przejść do legendy. I dlatego autor „Tkaczy", „Przed wschodem słońca", „Furmana Henschla", „Róży Bernd", „Florian Geyera", „Kolegi Cramptona", „Doroty Angermann" jest przede wszystkim poetą ludu i poetą zmarnowanych egzystencji. Dzisiaj, kiedy prawie połowa ludzkości zmarnowała życie, dzieło jego nabiera szczególnej wagi i sensu. W swych realistycznych dramatach Hauptmann niezwykle precyzyjnie odtwarza skomplikowany mechanizm, miażdżący każdą jednostkę i każdą gromadę, która temu mechanizmowi ośmieli się przeciwstawić. Nie muszą to być jednostki wybitne, indywidualności nieprzeciętne, jak bohaterowie Ibsena. Właśnie ta przewaga bohaterów przeciętnych, czasem nawet poniżej przeciętności, odróżnia teatr Hauptmanna od teatru Ibsena.

Dzisiaj, po czterdziestu z górą latach od pojawienia się pierwszych dramatów Hauptmanna, nie ma pisarza teatralnego w Niemczech, który by się czegoś nie nauczył od autora „Doroty Angermann". Przede wszystkim — techniki malowania środowisk. Przed czterdziestu laty technika Hauptmanna była rewelacją. Rewelacją było traktowanie środowiska jako głównego bohatera dramatu. Ludzie Hauptmanna bowiem sami przez się rzadko są bohaterami tragedii. Ich charaktery służą jedynie ogólnemu układowi sił, przeważnie niszczących. Ludzie Hauptmanna to stworzenia biedne, bezsilne, które proszą się o to, by je skrzywdził los. Ale los u Hauptmanna rzadko posługuje się metafizyką: reprezentują go również ludzie z krwi i kości, przy czym ich krew jest zimniejsza od krwi ofiar, a kość jest twardsza od kości, które ten los łamie. Chyba tylko jeden „Florian Geyer" jest czynnym i mocnym bohaterem Hauptmanna, w którego dramatach wszy-

stko jest akcją. Samo tło, jak już wspomnieliśmy, uważać należy za głównego bohatera i to bohatera ruchomego: porusza się on w przestrzeni i w czasie, a porusza się przeważnie w kierunku fizycznej lub moralnej zagłady jednostki. Ale nawet zagłada w teatrze Hauptmanna jest życiem, życiem środowiska właśnie, które tuczy się kosztem swych ofiar.

Hauptmann był jednym z pierwszych pogromców koturnu. Kazał ludziom poruszać się naturalnie i mówić językiem czy gwarą swego środowiska. Już w pierwszych utworach przemówił niemiecki Kaliban gwarą śląskiego ludu i upomniał się o swoje prawa bez patosu i bez deklamacji. Ukazanie się żywych ludzi Hauptmanna na scenie, opanowanej przez namaszczone kukły historyczne Ernsta von Wildenbrucha, oraz fraki i cylindry z tzw. sztuk salonowych Paula Lindau'a i Oscara Blumenthala, przywitane było pod koniec ubiegłego wieku — gwizdaniem. Dlatego trzeba było dla tych ludzi stworzyć nowy przybytek, nowy teatr. Stworzył go Otto Brahm. Bez jego „Freie Bühne" ani Ibsen ani Hauptmann nie zdobyliby światowego znaczenia. Kim był Brahm? Nie był ani reżyserem, ani inscenizatorem, był tylko dyrektorem. Ale teatr naturalistyczny w Niemczech zawdzięcza jemu swój styl. O naturalistach teatralnych mówiono niegdyś, że usunęli czwartą ścianę w ludzkich mieszkaniach i uczynili nas świadkami codziennego życia przeciętnych śmiertelników. Jeden z pierwszych uczynił to Hauptmann. Ale było mu również dane zerwać sufit w śląskim przytulisku dla żebraków i wpuścić anioły do mrocznej izby, w której umierało dziecko ludu: Hanusia Mattern. Jedyny to raz Hauptmann, ten poeta ziemi — wprowadził niebo do teatru i stworzył arcydzieło poezji dramatycznej, za które chyba nazwisko jego przejdzie do nieśmiertelności. O ile, coś takiego, jak nieśmiertelność, w ogóle jeszcze będzie istniało.

1932

KSIĄŻKI O PRZEŚLADOWANIU ŻYDÓW

Uświęcone tradycją bezkarności, co pewien czas w dziejach cywilizowanego świata, powtarzają się pogromy Żydów. Ulubiona to i najwdzięczniejsza forma nienawiści bliźniego, miarkowanej niekiedy kulturą, religią, moralnością i prawem. Skala antysemityzmu jest bardzo rozległa: od niewinnych naukowych teorii, przez trzeźwą praktykę polityczną do najniższych popędów, takich na przykład, jak masowe mordowanie bezbronnych.

Żydów nienawidzono i poniżano od tzw. zarania ludzkich dziejów. Za co? Nie łatwo na to znaleźć wyczerpującą odpowiedź. Czyżby rzeczywiście okrucieństwa Żydów, popełniane w czasach potęgi ich małego państewka, były powodem nieustannej zemsty Jehowy, który na setne pokolenia przenosi swój straszny gniew? I czyżby Jehowa nie umiał sam, bez pomocy najrozmaitszych czarnych sotni wywierać na Żydach Swej zemsty? Ale nie wtrącajmy się do Boskiej jurysdykcji. Stojąc na gruncie czysto ziemskim, można by ułożyć kilkusetstronicowy spis powodów tej klasycznej niechęci wielu zbiorowisk ludzkich do jednego plemienia.

W tym spisie znajdzie się może kilka lub kilkanaście pozycji słusznych. Żydzi aniołami nie są, jakkolwiek pierwsi aniołowie rekrutowali się zapewne z Żydów. Pomijając antysemityzm w przeszłości, zróbmy pobieżny przegląd współczesnych jego bodźców. W chwili obecnej nienawidzi się Żydów za: odrębność, asymilację, produktywność, pasożytnictwo, zamożność, ubóstwo, postępowość, zacofanie, oświecenie, ciemnotę, zalety i wady. Bije się ich za to, że nie wyznają Nowego Testamentu, tudzież za to, iż autorami Nowego Testamentu byli Żydzi. Gardzi się nimi za chuderlawość i nienawidzi za wybitne sukcesy sportowe. Ponadto za: nacjonalizm, imperializm, kapitalizm, demokrację, liberalizm, socjalizm, komunizm, humanitaryzm, pacyfizm, militaryzm,

ekspresjonizm, surrealizm, neokatolicyzm, za nosy i wymowę, za Freuda i Einsteina, Heinego i Chaplina. Niewiele narodów oparło się pokusie bicia Żydów. Wędrowny puchar narodów, napełniony żydowską krwią, przechodzi z rąk do rąk. Ostatnio zdobyli go bezkonkurencyjnie Niemcy Trzeciej Rzeszy. Prześladują swoich, nielicznych stosunkowo Żydów za przegraną wojnę, za traktat wersalski, za rewolucję, inflację, kryzys i bezrobocie. Są to rzeczy powszechnie znane. Donośnie rozbrzmiewa głos niemieckiej emigracji wołający o pomstę do tzw. ludzi dobrej woli. Są to apele pod adresem wzniosłej fikcji, zwanej sumieniem świata. W którym miejscu świata usadowiło się to sumienie? W Paryżu? W Londynie? W Moskwie?

Do tego rodzaju manifestacji zaliczyć należy i powieść Liona Feuchtwangera pt. „Rodzeństwo Oppenheim". Mimo fabuły powieściowej, mimo doskonałej wieloplanowej konstrukcji i zmyślonych zapewne postaci — trudno ten utwór uważać za powieść. Jest to raczej zręcznie zbeletryzowana kronika wypadków, znanych z gazet. Jest to również bardzo wartościowy dokument rozgoryczenia autora-emigranta, którego książki spłonęły na Placu Opery w Berlinie, w maju 1933 roku. W szeregu plastycznych scen przedstawia tu autor losy zamożnej, mieszczańskiej rodziny, którą przewrót hitlerowski niszczy moralnie, fizycznie i materialnie. Rodzeństwo Oppenheim składa się z trzech braci: Gustawa, estety i filozofa, Marcina, kupca i przemysłowca, Edgara, profesora medycyny oraz siostry Klary, która poślubiła Żyda amerykańskiego, zamieszkałego w Berlinie. Wielką fortunę zawdzięcza rodzeństwo dziadkowi, który założył firmę, produkującą tanie meble. Dziadek był patriotą niemieckim. W czasie wojny 1870-1871 należał do dostawców dla armii pruskiej. Dostawiał z takim zapałem, iż sam Moltke dziękował mu za to odręcznym pismem. Pismo to, oprawione w piękną ramkę, wisi w głównym kantorze firmy na honorowym miejscu. Dopiero antyżydowskie ekscesy w Berlinie i bojkot żydowskich towarów zmuszają sukcesora starego patrioty do usunięcia tej laurki. W roku 1933 nie ma już w Niemczech feldmarszałków, którzy serio traktują patriotyzm żydowskich fabrykantów mebli. Są za to oddziały szturmowe, zabraniające niemieckim patriotom kupowania u Żydów.

Do przewrotu narodowo-socjalistycznego żyje sobie rodzina Oppenheimów w Berlinie jak w raju. Mieszka w luksusowych willach, wydaje wspaniałe przyjęcia, na których gromadzi się elita towarzyska obu ras. Delikatniejsi członkowie rodziny i firmy pielęgnują swe starzejące się ciała i nieprzeciętne umysły, oddając się z zamiłowaniem sztukom pięknym, sportom i wybrednej mi-

łości. Profesor Edgar Oppenheim jest kierownikiem wielkiej kliniki; jeden tylko Marcin zajmuje się produkcją i handlem mebli. Syna swego kształci w pierwszorzędnym zakładzie naukowym, na którego czele stoi przyjaciel rodziny, profesor François, wytworny wolterianin, liberał i humanista. Nadciągająca fala barbarii jeszcze przed hitlerowskim przewrotem, podmywa fundamenty komfortowego bytu Oppenheimów. Po przewrocie następuje zupełna ruina. Firma przechodzi w ręce „aryjczyka", jednego z drobnych i przeto zawistnych konkurentów (jako żydowska musiałaby w ogóle przestać istnieć). Konkurent ten jest naturalnie zażartym nacjonalistą i hitlerowcem. Profesor Edgar musi z miejsca opuścić klinikę, gdzie z wielkim pożytkiem pracował dla dobra niemieckiej nauki, esteta Gustaw ucieka zagranicę, gdyż podpisał pewien protest. Wraca on jednak do Niemiec z fałszywym paszportem i dostaje się do obozu koncentracyjnego, gdzie traci zdrowie. Złamany na duchu i ciele, umiera wkrótce po uwolnieniu z obozu. Przedtem jeszcze odbiera sobie życie najsympatyczniejsza postać powieści, młody Bertold, maturzysta, syn Marcina Oppenheima oraz Prusaczki czystej, aryjskiej krwi. Nie mógł wytrzymać szykan hitlerowskiego profesora. Obok Oppenheimów i obok przyżenionych do firmy pokazał autor w tej powieści szereg postaci ze świata handlu, sztuki i nauki. Żyją one w cieniu grubego pieniądza, tryskającego z Oppenheimowskich kanap i krzeseł. Smutna to, prawdziwa i uczciwa książka a jednak czegoś nam w niej brak. Zapewne — dystansu, co nie jest winą autora, piszącego pod wrażeniem świeżych i tragicznych wypadków. Niebardzo nas też porywa stosunek autora do zagadnienia ludzkiej krzywdy i hańby. Jest zanadto mieszczański. Niedola Oppenheimów, to przede wszystkim zwichnięte kariery, urażone ambicje, a potem dopiero — pohańbione człowieczeństwo. Ci syci i bogaci Żydzi niemieccy, którzy tracą zewnętrzny i wewnętrzny komfort wskutek antysemityzmu, nie są nam zbytnio sympatyczni. Jest w nich dużo pychy, tak iż niekiedy wydają się nam nie ofiarami barbarii, lecz tej pychy właśnie.

O ileż milsi są nam Żydzi wschodni, których poznajemy z przepięknej w swej prostocie książki Michela Matwiejewa: „Les traqués", lub pełni dostojeństwa męczennicy z książek Josepha Rotha. Opowiadanie rosyjskiego Żyda Matwiejewa, to pamiętnik ofiary pogromu na Ukrainie w czasie wojny domowej. Napisane najlepszą francuszczyzną, brzmi jak pieśń z samego dna niedoli, jak pieśń ludowa. Zaczyna się opisem rzezi, w której zginęło 8.000 Żydów. W jednym tylko mieście. Autor stracił wówczas ojca i jednego z braci. Sam zdołał opuścić miasto, przechodzące

z rąk do rąk jak piłka. Razem z żoną odpłynął do Egiptu. Ale tu początek jego odyssei. Używam tej przenośni świadomie, los bowiem Matwiejewa i jego rodziny przypomina niekiedy perypetie starożytnego tułacza. Tu i tam fantastyczny irracjonalizm trudności i przeszkód, tu i tam zależność od sił, zwanych wyższymi, ponieważ z przyczyn dla ludzi niepojętych zadają ludziom cierpienia. Z Egiptu udał się autor do Rumunii na spotkanie reszty rodziny, ocalałej z rzezi: a więc starej matki, brata, jego żony i dziecka. Z pomocą rumuńskich przemytników oraz pieniędzy, które autor, jako śpiewak, zarobił w Kairze koncertami — zdołali oni uciec do Rumunii przez zieloną granicę. Lecz tutaj właśnie wpadli w szpony sił wyższych, działających w tym kraju pod postacią wszechwładnej Siguranzy. W latach powojennych każdy zbieg z Rosji uchodził w oczach Siguranzy za bolszewika. Wiele tysięcy ludzi, winnych i niewinnych, poddano z tego tytułu wyrafinowanym torturom moralnym i fizycznym. Ludzie ci padają nie tylko ofiarą swego pochodzenia, lecz i antagonizmu dwóch zwaśnionych oddziałów Siguranzy: w Kiszyniowie i w Gałaczu. A gdy po uciążliwych staraniach przygodnych protektorów mają już odpłynąć z Rumunii w kierunku Palestyny, na dziesięć minut przed podniesieniem kotwicy zjawia się na pokładzie wysłannik Siguranzy i z powrotem ściąga wszystkich na ląd. I znów przesłuchania, podróże pod eskortą do głównego urzędu Siguranzy w Bukareszcie, powrót do Gałaczu, z biura, do biura, z więzienia do więzienia. W okresach względnej swobody obaj bracia dają koncerty, i wzruszają nimi swych prześladowców. W końcu odpływają do Palestyny. Lecz nie było im dane dopłynąć.

Tuż przed samą Jaffą dowiadują się, że nie wolno im lądować, gdyż w Jaffie odbywa się właśnie... pogrom Żydów. Zaczyna się nowa tułaczka po morzu Śródziemnym. Żaden port nie chce przyjąć ludzi bez ojczyzny i bez pieniędzy. Każdy okręt, na którym płyną, pragnie jak najprędzej pozbyć się tego niemiłego balastu. Aż dopiero statek francuski, na który przeładowano ich ze statku greckiego, wysadza ich na ląd w Marsylii. Kresem wędrówki jest Paryż. Tu „ludzie szczuci" odzyskują swe ludzkie prawa, znajdują pracę i zakładają dom. Nieszczęścia i niepowodzenia, jakie spotykają ich w Paryżu, należą już do gatunku ogólno-ludzkiej, „cywilizowanej" niedoli.

Siła wyrazu, prostota i plastyka, a zwłaszcza rytm, w jakim Matwiejew opowiedział wszystkie te perypetie stawiają go w rzędzie najlepszych narratorów francuskich ostatniego pokolenia. Piękną prozą odwdzięczył się Francji ten rosyjski Żyd za udzielenie gościny.

W starożytnej epopei bogowie krzyżują ludzkie plany, zastawiają na śmiertelników niebezpieczne potrzaski. Dzisiaj czynią to ludzie. Bezkarnie popełniają okrucieństwa w imię Państwa, Narodu, Rasy, Klasy, Bóg wie, czego. Tam był Posejdon, tu — Siguranza. O ileż łatwiej znosić tortury, zadawane przez niewidzialne bóstwa, niż przez bliźnich odzianych w uniformy i tytuły, upoważniające do torturowania. Starożytne mitologie miały więcej wdzięku, humoru i umiaru od potwornej pseudomitologii naszych czasów. Starożytni bogowie byli nie tylko źli, mściwi i okrutni, istniały również bóstwa ludziom łaskawe, miłosierne i wesołe. Dzisiejsze bóstwa poznać można głównie po tym, że dokuczają. Bóstwa Hellenów nie zawsze uchodziły za doskonałe. Były omylne a niekiedy i śmieszne. Posępne bóstwa naszych czasów ani same się nie śmieją, ani ludziom nie pozwalają się śmiać. Pozwalają natomiast maszerować i umierać. Czym dla dawnych bogów był dym ofiarny, tym dla dzisiejszych bożków jest m a r s z . Żaden z tych bożków nie wyskoczył z głowy Dzeusa ani z morskiej piany. Przeważnie rodzi ich ludzka krew i ta krew utrzymuje ich przy życiu. Nieśmiertelności im jednak nie zapewni.

Omawiając ostatnie książki, których tematem są pogromy i prześladowania Żydów, należy wymienić powieść Josepha Rotha „Tarabas". Znajdujemy tu wstrząsający opis pogromu Żydów w miasteczku położonym na ziemiach dawnego imperium carskiego. Ziem tych autor bliżej nie określa i nie nazywa. Pogrom w jego powieści jest dziełem sfanatyzowanych chłopów tudzież dezerterów z armii jakiegoś abstrakcyjnego państewka. Wybucha jako reakcja motłochu na rzekome zbeszczeszczenie cudownego obrazu Matki Boskiej. Bohater powieści, pułkownik Tarabas (typ w rodzaju naszego Bałachowicza), udziału w pogromie nie bierze, przeciwnie — posyła swoich ludzi w celu stłumienia go. Mimo to własnoręcznie wyrywa brodę rudemu Żydowi, spotkanemu na ulicy. Pułkownik Tarabas był przesądny i wierzył, że rudy Żyd, zwłaszcza spotkany w niedzielę rano przynosi nieszczęście. Fakt wyrwania brody biedakowi, niosącemu na cmentarz szczątki Tory, spalonej podczas pogromu, stanowi główną oś akcji całej książki. Po tym gwałtownym i niesprawiedliwym czynie, Tarabas doznaje nagle olśnienia. Porzuca wojsko, gdzie słynął z gwałtów i staje się wędrownym żebrakiem. Pragnie odpokutować za wszystkie morderstwa, które ma na sumieniu. Umiera niemal jak święty, uzyskawszy uprzednio przebaczenie rudego człowieka, którego skrzywdził. Temu człowiekowi oddaje Tarabas wszystkie swe oszczędności. Kształtując w ten sposób los swego bohatera, znalazł Roth głęboki wyraz

dla moralnego optymizmu. Jest to niespodzianka i nowość dla przyjaciół i wielbicieli tego, do tej pory, wybitnie gorzkiego i sceptycznego autora. Chociaż sceptycyzm Rotha załamał się już przed tym. W najpiękniejszej jego książce, w niezapomnianym „Hiobie".

1934

SOWIECKA LITERATURA LUDOWA

Wśród powieści sowieckich, wydanych po polsku przez „Rój", jest kilka arcydzieł, które różnią się między sobą treścią, układem i stylem, lecz mimo to dadzą się zaliczyć do jednego, być może, nowego typu beletrystyki. Mam na myśli „Cichy Don" Szołochowa, „Cuszimę" Nowikowa-Priboja oraz „Szlak Samurajów" L. Rubinsteina. Dawno już nie szedł ku nam z książek tak wielki spokój, taka powaga i dostojność. Ten spokój zdumiewa szczególnie w „Cichym Donie" i w „Cuszimie", gdzie opowiedziane są sprawy wcale nie spokojne. Życie dońskich kozaków nie jest i nie było sielanką, nie była sielanką wojna rosyjsko-japońska ani światowa. A jednak cicho, majestatycznie toczą się w czasie te dwie wielkie narracje, kołysane szumem wspaniałej rzeki, szumem oceanu i szumem skrzydeł anioła-śmierci. (Tego anioła niech mi darują marksiści, jeżeli z ich wyobraźni wygnano już aniołów). Czujemy w tych książkach nieustanną obecność żywiołów bytu i zniszczenia, stronice te przesyca wilgoć ziemi, wody i krwi.

Kto je pisał? Czy autorowie tych książek wyszli z ludu i dlatego tak trafnie oddali jego sprawy, czy też wywodzą się z tzw. inteligencji mieszczańskiej, a ich dzieła — to wynik wnikliwej obserwacji, intuicji, natchnienia? Gdyby tak było, podziwialibyśmy rzadki w dziejach piśmiennictwa przykład dobrowolnego wyrzeczenia się intelektualizmu, tej, jak niektórzy utrzymują, choroby wieku. Wątpliwości nasze rozpraszają u Nowikowa częste wzmianki o chłopskim jego pochodzeniu. Co do Szołochowa nie mamy żadnych wątpliwości. Jeśli nie sama powieść, to o przynależności jego do kozactwa świadczy wymownie fotografia, na której oglądamy pisarza w rubaszce i papasze, zawadiacko włożonej na hardą, chłopską głowę. Nie są nam obojętne personalia tych autorów, skoro nas interesuje zagadnienie ludowej twórczości w Z.S.S.R.

W krajach „burżuazyjnych" twórczość literacko-artystyczna warstw pracujących fizycznie też istnieje, lecz ceni się ją głównie od strony dekoracyjnej, egzotycznej, naiwnej, folklorystycznej. Istnieje nawet coś w rodzaju estetyki dożynek i chamstwa, oraz estetyki Kazimierza nad Wisłą, cuchnącego w cieniu Odrodzenia. Z życzliwym pobłażaniem zwykliśmy odnosić się do utworów „czarnego", lub po łowicku kolorowego „luda". Utwory te uważamy przeważnie za cenny materiał do obróbki przez „prawdziwych" artystów. Wyzyskujemy pieśni, zwyczaje, zwierzenia i motywy ludowe na użytek zblazowanych smakoszów. W dzisiejszej Rosji jest inaczej. Tam, zblazowani smakosze stanowią publiczność drugiej klasy. Pierwsza klasa publiczności, to masy ludowe, którym nigdy nie imponował własny folklor. Lud nie odczuwa czaru smrodu ani malowniczości gnojówek. W stosunku do gnojówki lud nie ma żadnych złudzeń. W dzisiejszej Rosji kształtuje się nowa egzotyka, egzotyka *à rebours*. Kto wie, czy młodzi adepci sztuki zdobniczej nie przerabiają tam — jako ciekawego ornamentu — motywu cylindra, tak, jak u nas przerabiano motyw parzenicy. A miłośnicy starych pieśni, śpiewanych przez „sfery niższe", zbierają, być może, w celach ludoznawczych, zabytki podkasanej muzy, ulubione kuplety dawnej burżuazji. Nie ręczę też, czy jakaś, mimo wszystko humanitarna poetka, przejęta niedolą wydziedziczonych, nie pisze wierszy w stylu Konopnickiej, np. „Jaś nie doczekał"... powrotu dawnego reżymu. Albowiem w tym kraju kto inny jest dzisiaj wydziedziczony, a kto inny był nim przedwczoraj. Tak zwane masy żądają tam traktowania siebie bez łezki i bez fałszu.

Patrząc na nowe powieści sowieckie pod tym kątem, tj. pod kątem głównego spożywcy, musimy w „Cichym Donie" i w „Cuszimie" uznać wysoki gatunek literacki. Ani tematyką ani technicznym opracowaniem dzieła te nie różnią się zbytnio od tradycyjnych wzorów. Prawdopodobnie obu autorom służyła za wzór powieściowa proza Tołstoja. Nieskomplikowana psychologia, dokładna opisowość, umiar w stopniowaniu efektów. Autorowie nie stosują tu nowych chwytów, nie wywołują u czytelnika niespodziewanych przeskoków myśli, unikają zaskakujących skojarzeń i wieloznaczności. Atakują zmysły z siłą i świeżością przyrody.

Beletrystyka sowiecka, znana nam do tej pory, wyglądała inaczej. Była to często ironiczna, satyryczna, tragiczna literatura zbuntowanych burżujów, a więc ludzi szamoczących się z sobą i z całym starym światem, który pragnęli w sobie zniszczyć. Pierwsi pisarze sowieccy, to rewolucjoniści, zdyszani walką, pijani zwycięstwem. A niekiedy nawet tym zwycięstwem rozczarowani.

Dlatego oddech mieli nieczysty, nierówny, rzężący, przechodzący niekiedy w śmiertelną czkawkę. Nie tylko w treści, ale i w stylu ich utworów wyrażała się rewolucyjna gorączka. W książkach Nowikowa-Priboja i Szołochowa nie wyczuwa się pasji buntowników. Panuje tam temperatura normalna. Pisali je ludzie nasyceni rewolucją, ludzie, dla których rewolucja stała się już tradycją. Książki ich można uważać za pierwsze owoce rewolucji *ustabilizowanej*. Stąd ich świeżość, bujność, siła, zdrowie, prostolinijność i jakby radość kształtowania. Pisarzom takim jak Nowikow-Priboj i Szołochow nadała zwycięska rewolucja nie tylko prawo głosu ale i nową godność, powiedziałbym nawet — nową pańskość. Proletariacką. Poznaje się tę pańskość po treści i po tonie. Rewolucja stanowi u nich naturalne, ideowe i dziejowe podglebie, nie widać jej na powierzchni. Ustabilizowana rewolucja pozwoliła swoim pisarzom odnosić się do niej samej z dystansem, którego brak u dawniejszych autorów sowieckich, piszących jeszcze na dymiącej barykadzie.

W „Cichym Donie" i w „Cuszimie" znajdujemy jasną odpowiedź na pytanie, dla kogo książki te były pisane. Dla wszystkich. Z tym samym zadowoleniem przeczyta je sowiecki chłop czy robotnik, co zachodnio-europejski „inteligent". Są to bowiem książki ludowe, w tym znaczeniu, co słynne, średniowieczne „Volksbücher" o doktorze Fauście, o Gryzeldzie, o księciu Erneście Szwabskim. Ludowe — w imię powszechności i ważności wzruszeń, które prowokują. Tematem utworów niedostępnych dla ludzi pracy fizycznej bywają nazbyt często wewnętrzne przygody jednostek wyjątkowych. Trudno wymagać od robotnika, żeby się przejmował losem Guermantesów. Przynajmniej na razie. Bo losy bohaterów Szekspira nie są mu już obojętne. Kto wie, czy kiedyś po wszystkich udanych piatiletkach, po nasyceniu głodu i niedostatków ciała, po skróceniu czasu pracy, nie zapanuje w Sowietach powszechny głód wrażeń luksusowych, których nie zaspokoi już lektura o sprawach pierwotnych. Może proletariusz, w trzecim pokoleniu, wychowanym w dobrobycie, dorośnie do lektury Valéry'ego i Gide'a? W obecnej chwili wszakże godziwą lekturę dla mas stanowią właśnie takie książki jak „Cichy Don" i „Cuszima". Pisarze w Rosji liczą się z wrażliwością swych czytelników i znają granice tej wrażliwości. Nb. — o ile granice ludzkiej wrażliwości w ogóle dadzą się wyznaczyć. „Cichy Don" i „Czuszima" nie wymagają od czytelnika wielkiego wykształcenia. Można te książki z równym pożytkiem odczytać nawet analfabetom. Tu dotykamy bardzo dla nas ważnego zagadnienia. Dla kogo właściwie piszemy? Dla garstki, o wykształceniu podobnym do naszego. Zwłaszcza na „bliskim Zachodzie" istnieje olbrzymia

dysproporcja między pisarzem-intelektualistą, a jego czytelnikiem. Żeby zrozumieć np. ostatnie wielkie dzieło Thomasa Manna „Józef i jego bracia", należy znać nie tylko Biblię, ale i astrologię egipską, chaldejską, babilońską. Najlepsze książki zachodnie pełne są aluzji do całej nieomal minionej i współczesnej kultury ludzkości. Kto temu sprosta? Przesubtelny Giraudoux jest na „Bliskim Zachodzie" prawie że nieznany. Jedyna jego powieść, świetnie tłumaczona na język polski przez Marię Kuncewiczową, „Bella", nie miała powodzenia.

Wykształcenie jednostki zdane jest na łaskę przypadku i pieniądza. Nie stanowi wszakże o ogólnym poziomie wrażliwości danego środowiska. Czym jest klasyczny chaos kulturalny, możemy się przekonać na własnym podwórku. Dopóki szlachta stanowiła u nas „kwiat narodu", kultura jej była żywa, płodna i wyraźna. Młodziutkie mieszczaństwo polskie nie ma za sobą Bastylii ani Dziewiątych Termidorów. Lutnię po Bekwarku zdobywało psim swędem, krakowskim targiem, często gęsto przy pomocy niemieckich, ormiańskich, greckich, no i żydowskich pośredników. Nie zdobyło się dotąd nasze mieszczaństwo na własny typ kultury i pewno już nigdy nie zdobędzie się. Pozbawione jąder ustawicznie zaszczepia sobie siły żywotne z obcych organizmów, małpując bez powodzenia szlachtę i stare burżuazje dogorywające w zasłużonej chwale. Jest to nekrofilia. W ośrodkach prawdziwej kultury mieszczańskiej mówi się dziś już tylko o *la mort de la pensée bourgeoise* i o *la mort de la morale bourgeoise* (Emmanuel Berl). Czy można sobie wyobrazić coś potworniejszego od umysłowości „strasznych mieszczan" mazowieckich, poznańskich, pomorskich? Chyba tylko — iperyt. Co za pretensjonalne śmietniki w tych głowach, pełne niestrawionych odpadków chrystianizmu, feudalizmu, haseł rewolucji francuskiej! Pisać dla tej sfery — to uprawiać jakąś posępną perwersję. Raczej należałoby z tej publiczności zrezygnować, a zwrócić się ku czytelnikom jutra i pojutrza tj. ku niezepsutym, skromnym i uczciwym masom pracującym. Głód i niedostatek materialny odsuwają chwilowo te masy od bufetów umysłowych, do których pchają się nawet bezrobotni. Nie przytępiły one jednak wrażliwości na rzeczy piękne, raczej ją zaostrzyły.

Nasze piśmiennictwo dla ludu na ogół hamowało jego umysłowy rozwój. Nie zapomnę ogłoszeń pewnej gazety polskiej w Paryżu, polecającej robotnikom-emigrantom lekturę niezliczonych senników i książek pornograficznych. Było to, co prawda, w zamierzchłych czasach względnej *prosperity* polskiego wychodźcy w Francji, mimo to ceny owych książek dochodziły niekiedy do dwudziestu pięciu franków. Zastanowiło mnie wówczas, dlacze-

go właśnie robotnik narażony na wynarodowienie, ma czytać same świństwa w ojczystym języku. Obok pornografii i sennikόw hojnie częstowano nasz lud bajeczkami dla grzecznych dzieci. Jego wiedzę o świecie kształtowano metafizycznie. Była to oczywiście „metafizyka dla niezamożnych". Zdaje się, że naszemu ludowi, zwłaszcza na wsi, ciągle jeszcze każe się wierzyć, że dzieci, które płodzi, przynosi bocian.

Literatura sowiecka dla mas wolna jest od bocianów. Rozumie się, że i od metafizyki również. Być może — kiedyś jeszcze do niej wróci. Lecz nie bawmy się w proroków tam, gdzie nowe życie rozwija się na podstawie zimnej kalkulacji. Życie to bardzo mocno stoi po stronie materii. Na ducha wstydliwie zarzuciło czerwoną zasłonę. Na razie dobrze mu bez ducha.

Przypatrzmy się teraz książkom, które pobudziły nas do powyższych dywagacji. Najpierw „Cichy Don". Zawiera on samą, jeśli tak rzec wolno, miazgę życia kozaków dońskich w czasie pokoju i w czasie wojny. Książka napisana z temperamentem ogiera aż kipi od namiętności ludzi na poły dzikich, na poły delikatnych i sentymentalnych. „Fabułę" jej stanowią dzieje rodziny Melechowów w „Chutorze tatarskim". Jest to rodzina zamożna jak niemal wszystkie nad Donem. Biologiczna strona jej bytu oddana została w powieści z niezawodnym mistrzostwem. Miłość, nienawiść, zazdrość, ziemia, chciwość — odwieczne ludzkie sprawy. A jednak wydaje się nam, że pierwszy raz o tym czytamy. Obok Kozaków wprowadził Szołochow do powieści wiele typów z innej sfery. A więc kupca Mochowa i jego namiętną córkę, Sztokmana, agitatora przyszłej rewolucji, właściciela ziemskiego nazwiskiem Listnicki, jego syna, oraz licznych esaułów, sotników w wojennej części powieści. Wszystkie te postacie kąpią się w blasku słońca i odbijają w wodach Donu. W drugim tomie mamy wojnę, szarżę kozaków na froncie galicyjskim i na Wołyniu, szpitale. Główny bohater Gregory Melechow, po zarąbaniu dwóch Austriaków, doznaje wstrząsu sumienia, traci dzikość, wojna napełnia go odrazą. Prawdopodobnie w dalszych tomach będzie protagonistą rewolucji nad cichym Donem.

◆

Lektura „Cuszimy" przypomina lekturę Xenofonta. To też jest „Anabasis" ale nie ku zwycięstwu, którego nadzieja zwykła towarzyszyć każdemu, nawet najsłabszemu wojsku, każdej flocie, wyruszającej do boju. Eskadrze admirała Rożdiestwienskiego od pierwszej chwili towarzyszy pewność zagłady. Jest to najcięższy balast z jakim płynie ta eskadra, złożona z około pięćdziesięciu

statków i dwudziestu tysięcy ludzi. Wszyscy marynarze i większość oficerów wie, że ta droga na Wschód jest drogą na stracenie. Tylko jeden dowódca pływającego miasta, zdaje się o tym nie wiedzieć. Ani jego okręty, ani załogi nie są przygotowane do walki. W ostatniej chwili, tuż pod nosem nieprzyjaciela zarządza Rożestwieński ćwiczenia bojowe, których rezultaty są opłakane. Dzieje tej ponurej wyprawy opowiedział z podziwu godnym spokojem, taktem i epicką plastyką jeden z nielicznych jej uczestników, którzy wyszli cało z bitwy pod Cuszimą. Autor służył na pancerniku „Orioł" jako podoficer prowiantowy. Widział jednak wszystko, co się działo na pancerniku w czasie długiej podróży i w czasie bitwy. Siła jego relacji jest tak sugestywna, że czytelnik po kilkunastu pierwszych stronach czuje się już członkiem załogi „Orła". Co więcej — my też czujemy się częścią składową okrętu. Wrastamy w jego żelazo, w aparaty, w działa, wieże pancerne, komory amunicyjne. Każdy wstrząs okrętu, każdy cios, wymierzony w jego olbrzymie cielsko, odbija się na naszej skórze. W tej książce osobliwie oddziaływa na nas zestrojenie dwóch rytmów: żeglugi i opowiadania.

Płynie „Orioł" i płynie opowieść. Nieubłagane prawo wiąże nas na „Orle" z admiralskim pancernikiem „Suworow", skąd Rożdiestwienski wymyśla nam przy pomocy sygnalizacji flagowej. Upokarzają nas jego niedorzeczne, wściekłe rozkazy. Płyniemy w szyku torowym, posłuszni woli obłąkańca. Postać jego odtworzył autor na podstawie własnych spostrzeżeń oraz spostrzeżeń marynarzy z innych okrętów. Płynąc z Nowikowem na „Orle" dzielimy jego sympatie, antypatie i obawy. Przyjaźnimy się z Wasią Drozdem, z brudnym, poczciwym palaczem Bakłanowem, z bosmanem Wojewodinem, a zwłaszcza z niezwykle sympatycznym, mądrym i szlachetnym oficerem, inżynierem Wasiliewem. Lubimy starszego oficera Sidorowa, lejtnanta Girsa, z szacunkiem odnosimy się do dowódcy „Orła", kapitana I rangi Junga. Nie cierpimy natomiast miczmana Wróbelka, lejtnanta Wrednego i wszystkich mniejszych i większych sadystów morskich z Rożdiestwienskim na czele. Solidaryzujemy się z każdym buntem, gdziekolwiek w eskadrze wybucha, krzywda bitych i maltretowanych marynarzy jest naszą krzywdą. Oprócz Rożdiestwienskiego scharakteryzował autor admirałów-subalternów: Felkersahma, Enquista i Niebogatowa. Niebogatow, dowódca III eskadry, która dopiero u brzegu Annamu przyłącza się do Rożdiestwienskiego, jest z wszystkich admirałów najsympatyczniejszy i najbardziej wartościowy.

Wyprawa na „Orle" trwała od 17 września 1904 r. do 14 maja 1905 r. Pół świata opłynęliśmy. Eskadra wyszła z macie-

rzystego portu w Kronsztacie, zatrzymała się w Libawie, potem mieliśmy bardzo przykry incydent z angielskimi rybakami, których barki nasz dowódca wziął za japońskie łodzie podwodne i otworzył na nie ogień. W wielu portach ładowaliśmy węgiel, przeważnie z niemieckich transportowców. Ładowaliśmy, ładowaliśmy bez końca, przepłynęliśmy cały Atlantyk, Ocean Indyjski, Spokojny. Najjaśniejszym epizodem tej podróży był dłuższy postój na Madagaskarze, aż na wodach japońskich spotkało nas to, co spotkać musiało. Celem połączonych eskadr: drugiej i trzeciej. było przedostanie się najkrótszą drogą do Władywostoku. Morza Japońskiego nie można było ominąć. Ale do Władywostoku, zdaniem autora i zdaniem najmądrzejszych oficerów eskadry, trzeba było dostać się przez cieśninę La Pérouse'a. Wszyscy się tego spodziewali. Rożdiestwienski wybrał jednakże najgorszą z trzech dróg: przez cieśninę Koreańską, z wyspą Cuszimą na środku. I przyjął tam bitwę, którą Nowikow-Priboj zalicza do czterech największych bitew morskich w dziejach ludzkości. Pierwszą stoczono pod Salaminą w roku 480-tym przed Chrystusem, drugą pod Lepanto w roku 1751 (tu autor popełnił małą gafę, umieszczając rok 1751 w średniowieczu). Trzecia, to Trafalgar w roku 1805, czwarta — Cuszima. Przebieg jej opisuje Nowikow drobiazgowo. Jakkolwiek centrum obserwacji stanowi oczywiście „Orioł", mimo to autor nie traci w czasie bitwy łączności z tym, co się dzieje w całej eskadrze. A dzieją się rzeczy straszliwe, przewidywane przez każdego rozsądnego marynarza. Z klęski cuszimskiej musiała potem carska władza zdać krwawy rachunek swojemu ludowi.

Runęło cesarstwo rosyjskie, z którym Japonia, sprzymierzona w latach 1914-1918 walczyła wspólnie przeciw Niemcom. Zwycięskie okręty admirała Togo zestarzały się w dokach, niezdolne do bojów. Wymierają uczestnicy wojny z lat 1914-1915, władzę w Rosji sprawują towarzysze zbuntowanych marynarzy drugiej eskadry. Nie zestarzał się jednak dawny antagonizm Japonii i Rosji. Wrogiem japońskiego cesarza jest nie tylko cesarz rosyjski. Jest nim sam lud. Stara nienawiść nie rdzewieje. Bujnie zakwita na tej samej mandżurskiej ziemi, gdzie krwawiły ongi armie Kuropatkina, Liniewicza i generała Nogi.

◆

Od roku 1904, rozrasta się w Europie legenda japońskiego żołnierza. Tę legendę burzy „Szlak Samurajów" L. Rubinsteina. Piękna ta i zwięzła książka należy już do innego gatunku niż omówione poprzednio. Pisał ją tzw. „intelektualista". Nie jest to

epopeja, lecz szereg nerwowych, dramatycznych scen z życia dzisiejszej armii japońskiej na froncie mandżurskim oraz w koszarach. Niektóre sceny „Szlaku" można pod względem napięcia zestawić ze słynną „Condition humaine" Malraux. Ta sama nerwowa atmosfera. Lecz ludzie są tutaj mniej skomplikowani niż u Malraux. I perspektywy węższe. Jest to książka prawdziwie marksowska. Uzbrojony w pewniki materialistyczne, autor zgrabnie demaskuje mistykę japońskiej armii, demaskuje rzekomy idealizm żołnierza, ukazując kruchość jego podstaw. Lekkim piórem wywraca oba fetysze: japońskiego boga i ojczyznę, która też jest bogiem. Zdaniem Rubinsteina żołnierz japoński, pochodzący, jak większość żołnierzy, z warstw ludowych, cierpiał w cywilu głód i dlatego tak chętnie służy w wojsku. Uprzywilejowana kasta oficerów narzuca żołnierzowi kult cesarza i ojczyzny. Wychowanie wojskowe opiera się na takich zasadach, jak np.: „armia cesarska oczyści świat ze śmieci". „Żółta rasa musi ocalić świat". „Amerykanie wymyślili humanitaryzm, a Rosjanie bolszewizm. Poglądy te są błędne. Świat ocali męstwo żółtej rasy. Chińczycy do żółtej rasy nie należą. Aby wyzwolić Chiny, trzeba wyzwolić Mandżurię. Aby wyzwolić Azję, trzeba wyzwolić Chiny. Wtedy pozostanie nam jeszcze dzieło wyzwolenia Indii, Australii, Europy".

Powyższe zasady głoszą nie tylko oficerowie instrukcyjni, ale i kapłani. W każdym pułku urzęduje „Komisja do walki z szkodliwymi myślami", w każdej kompanii ma ona swoich szpiegów i prowokatorów. Studentowi Isikawa, służącemu w kompanii samurajskiej, podrzuca do kuferka podoficer-prowokator tom pism japońskiego komunisty Sen-Katajamy. Wystarczający powód do rozstrzelania studenta. Mają tego dokonać jego właśni koledzy. Ale z dwóch wyznaczonych strzelców strzela tylko jeden. O tym, kogo zabił, dowiaduje się po egzekucji. Kompania należy do 71-go pułku strzelców kimedzyjskich. Otrzymała zaszczytną nazwę „kompanii samurajów" za operacje w Mandżurii. Dźwięk kompanijnej trąbki w myśl regulaminu ma kompanii na każdym kroku przypominać o błogości umierania. Lecz żołnierze kompanii samurajskiej pragną żyć. Szczególnie, gdy przekonywują się, iż cesarz każe im strzelać nie tylko do wrogów ojczyzny, ale i do bezbronnych chłopów chińskich i do własnych zbuntowanych obywateli.

Po bojach mandżurskich, po mandżurskich mrozach i tyfusie zostało przy życiu zaledwie siedemnastu żołnierzy. Z nich uwagę naszą przykuwają szeregowcy: Morita, dziecko tokijskiej ulicy, chłopi — Kawamura i Tanaka, oraz wspomniany student Isikawa. Wszyscy, którzy na końcu książki jeszcze żyją zostają komunistami

i giną od kul japońskiego kulomiotu. Przykład dał im najdzielniejszy lotnik japoński, oficer Takajanaghi, „Latający Ogień". Wskutek uszkodzenia aparatu dostał się on do niewoli chińskiej. Gdy po pewnym czasie udaje się mu stamtąd wydostać i wrócić do Japonii, musi on stanąć przed specjalną komisją. Komisja go uniewinnia, mimo to cały korpus oficerski go bojkotuje. Japońskiemu oficerowi nie przystoi być jeńcem, a skoro nim już jest, powinien albo opuścić armię, albo popełnić harakiri. Lotnik Takajanaghi nie chce opuścić armii i nie chce sobie rozpruwać brzucha. Pragnie żyć i latać dla chwały japońskiego cesarza. Hańba oficera okrywa również jego rodzinę. Skoro lotnik nie chce pozbawiać siebie życia, powinna w jego zastępstwie uczynić to — siostra. Mąż siostry, pułkownik Fudżinami, żąda tego wyraźnie, ale i pani Tsiriko bardziej ceni życie od obowiązków patriotycznych. Opuszcza nie świat, lecz swojego męża i łączy się z bratem, który po długich perypetiach decyduje się latać *przeciw* Japonii. Rozdziały, poświęcone lotnikowi, jego siostrze i pułkownikowi Fudżinami należą do najpiękniejszych w książce. Autor okazał się wirtuozem penetracji dusz tak złożonych i na pozór nieprzeniknionych jak dusze japońskich oficerów. Piękne są również rozdziały czysto żołnierskie.

Nie ulega wątpliwości, że „Szlak Samurajów" jest książką tendencyjną. Zadaniem autora było zapewne przekonanie sowieckiego czytelnika, że japoński diabeł nie jest taki straszny, jakim go malują w Moskwie. I że to, co uchodzi za jego siłę, jest właściwie słabością. Przyznać trzeba, że niezależnie od wartości agitacyjnych, książka Rubinsteina jest dziełem rzetelnego talentu.

Wszystkie omówione tu książki otrzymaliśmy w bardzo dobrych i sumiennych tłumaczeniach. Pierwszy i trzeci tom „Cichego Donu" przełożył Andrzej Stawar, drugi — Wacław Rogowicz. „Cuszimę" — Władysław Broniewski, a „Szlak Samurajów" Halina Pilichowska. Na szczególne uznanie zasługuje praca Rogowicza i Broniewskiego. Rogowicza znamy jako świetnego stylistę z jego własnych pism i z przekładów z języka francuskiego. Broniewski okazał się nie tylko subtelnym tłumaczem Jesienina, zawdzięczamy mu wiele miłych chwil przy czytaniu polskich „Martwych Dusz". Również przekład „Cuszimy" zdradza muzykalność poety, czułego na rytm prozy i dźwiękową kolorystykę słów.

1935

ŚMIERĆ BARBUSSE'A

Śmierć Barbusse'a jest dotkliwym ciosem nie tylko dla piśmiennictwa. Zasmucić musiała wszystkich, którzy nienawidzą wojny i buntują się na samą myśl o możliwości powtórzenia krwawej lekcji z lat 1914-1918. Lekcji, na której ludzkość tak niewiele się nauczyła. Słowo „ludzkość" dajemy w cudzysłowie, bo któż dzisiaj wymawia je bez ironii? Iluż niedobitków zdołamy dziś naliczyć pośród tych, którzy tak niedawno jeszcze wierzyli, że „człowiek jest dobry?". Wszyscy już wiemy, że człowiek nie jest dobry, i być może, słowo „ludzkość" w tym znaczeniu w jakim go używali humanitaryści, jest dziś już tylko archaizmem. Archaizujmy zatem świadomie. Ubył ludzkości jeden z najgorętszych, najodważniejszych bojowników o jej moralność. (Istnienie zbiorowej moralności pewno też należy już do anachronizmów). A ubył Barbusse w chwili, gdy ambitni miłośnicy Nieznanych Żołnierzy, ci nekrofile historii, marzą o nowej wojnie. Trupie jady podają naszym dzieciom w kapsułkach beztroskiej piosenki. W takiej chwili śmierć Barbusse'a, spowodowana chorobą, nabiera patosu bohaterskiej śmierci Jaurès'a. Trumna ze zwłokami francuskiego pisarza w drodze z Moskwy do Paryża przebyła niemal połowę naszego kontynentu. W milczeniu tej trumny był krzyk, ten sam krzyk, który z niesłabnącą siłą wydziera się z każdej stronicy niezapomnianej księgi „Ognia". Tym, którzy tej księgi nie znają, trzeba powiedzieć, że nie ma w niej mowy o ogniu prometejskim, lecz o piekielnym ogniu śmierci, dobytym ludzkimi rękami z fabrykatów Kruppa i Schneidera-Creusot.

Młodzi byliśmy wówczas, gdy do naszych uszu, ogłuszonych kanonadą, dotarły pierwsze echa Barbussowego krzyku. Byliśmy młodzi i, jak każda młodzież, chętnie dawaliśmy się karmić kłamstwem. Codzienne porcje kłamstwa, jakie nam przydzielano, przewyższały swą obfitością rację kukurydzianego, często spleśniałego chleba, oraz suszonych jarzyn, zwanych „drutem kolczastym".

Nażarci kłamstwem, napojeni goryczą, zwątpiliśmy już w istnienie prawdy, a tym bardziej w istnienie słowa, zdolnego tę prawdę wyrazić. Słowo prawdy o światowej rzezi padło pierwszy raz z ust żołnierza piechoty francuskiej Henri Barbusse'a. Było szorstkie, nieociosane, oblepione gliną okopów Szampanii, lepkie od krwi i cuchnące trupami. Narodziło się bowiem w okopach, w „Ogniu", a nie w pracowni literata. Siła tego słowa była wyzwalająca. Wszyscy, którzy je usłyszeli, doznali ulgi, a w zrozpaczonych duszach obudziła się nadzieja rychłego końca rzezi. Słowo Barbusse'a odarło wojnę z fałszywej biżuterii, jaką na nią włożyli nekrofile, i ukazało wszystką jej potworność. Zdawało się, że ukazanie prawdy na zawsze unicestwi fałsz, a literatura odniesie nareszcie istotne zwycięstwo, na które od wieków daremnie czeka. Niestety! Fałsz posiada potężnego sojusznika w kruchości ludzkiej pamięci. Wiedział o tym sam Barbusse, gdy w „Ogniu" nazwał człowieka maszyną do zapominania. W jasnowidzeniu, znamionującym wielkiego pisarza, przewidział, że ci, co przeszli przez piekło, rychło o nim zapomną, będą bagatelizowali jego grozę i będą umniejszali własne cierpienia. Lecz w roku 1917 nie przewidywał chyba, że u wielu kombatantów obudzi się po latach coś w rodzaju nostalgii za piekłem. Do tej pory znaliśmy tylko utajoną w każdej duszy ludzkiej nostalgię za utraconym rajem. Dziś wiemy, że istnieją ludzie, tęskniący do piekła. Bo jakżeż inaczej zrozumieć dawnych kombatantów, którzy marzą o nowej wojnie? Czyżby tamta wojna nie zaspokoiła do syta ich żądzy krwi? Kto wie, może obok niewyżytych w człowieku popędów erotycznych, pokutują niewyżyte instynkty mordowania? Takim ludziom jedna wojna nie wystarczy. Zdołali oni na nowo zapłodnić — pychą i obłędem przekwitłe łona nacjonalizmów i imperializmów. Opanowali „maszyny do zapominania" i nową młodzież, nieświadomą prawdy. Marsze „ognistych krzyży" i różnokolorowych koszul zagłuszają wszelki głos rozwagi. Ludzkość dzisiaj nie żyje, nie bytuje, lecz maszeruje. Dokąd? O to nie pytają ludzie, upojeni marszem. „Karabin i książka" — oto jedno z popularnych haseł dnia. Jaki karabin, wiemy, ale jaka książka?

W dziesiątkach milionów egzemplarzy wchłonęła „ludzkość" wojenną prawdę Barbusse'a, Romain Rolanda, Duhamela, Leonharda Franka, Remarque'a, Renna, Arnolda Zweiga, Sassoona, Aldingtona i wielu innych. Wchłonęła i nie wyciągnęła z tego żadnych wniosków. Kto wie, czy ilość przeczytanych egzemplarzy nie jest dowodem moralnego bankructwa sztuki pisarskiej? Ewangelie osiągnęły nakłady przewyższające o wiele milionów nakłady całej pacyfistycznej literatury świata, lecz ilu czytelników Kazania na Górze kocha bliźniego bardziej niż siebie?

Nad trumną Barbusse'a nie chcielibyśmy krakać, chociaż wiemy, że prawda Jezusa Nazareńskiego, o którym Barbusse napisał piękną, wzniosłą, lecz niezawsze bezstronną książkę, też została zapomniana. A jednak odżywa ta prawda w każdej zbuntowanej duszy, w każdym umyśle, w którym jest odrobina jasności. Nie bądźmy czcicielami zwycięzców. Aż nadto dobrze przekonaliśmy się o tym, jak rzadko zwycięża prawda. Nauczmy się nosić z godnością piętno klęski. Być zwyciężonym — to dzisiaj niestety jedna z najpiękniejszych dystynkcji człowieka. Na grobie wielkiego Francuza Henri Barbusse'a kładziemy w tej ciężkiej chwili jedno słowo, słowo, którym on, czasu wojny, podtrzymywał w nas słabnące siły, słowo: *clarté*.

W rodzinie wielkich słów wypowiedzianych przez poetów i jasnowidzów jakże bliskie pokrewieństwo łączy to piękne słowo z ostatnimi słowami umierającego Goethego: *Mehr Licht!*

1935

R.M. RILKE I JEGO „KSIĘGA GODZIN"

Miarą zdziczenia tzw. smaku artystycznego naszych czasów jest odległość dzieląca te czasy od poezji R.M. Rilkego. Dziesięć lat nie upłynęło jeszcze od przedwczesnej śmierci wielkiego poety, a już jego głos wydaje się nam zbłąkanym echem z bardzo odległego stulecia ciszy, skupienia, kontemplacji i ekstazy. To głos samotnej, męczeńskiej duszy, wołającej na puszczy. Głos duszy, która trzepotem kunsztownych strof dobija się do naszej oziębłej wrażliwości — niby głodny ptak zimową porą do zamarzniętej szyby. Czemu okno nasze nie otwiera się na jego przyjęcie? Może boimy się tego cichego ptaka? A może całkiem odzwyczailiśmy się od obcowania z duszami poetów — poprzez ich słowa? Czy rzeczywiście już nic innego nie wzrusza nas w poezji, tylko jej zastygła lawa, tylko uroda samej powłoki słownej?

Nikt nie ma prawa domagać się ujawnienia żywej duszy obcego człowieka. To jego tajemnica. Lecz skoro mowa o poezji, czymże jest ona, jeśli nie wibracją ludzkiej duszy? Sądząc z poezji, Rilke musiał mieć duszę wielką. I nie tylko z książek przemawia ta wielkość. Z licznych listów poety oraz z tego, co o nim napisali przyjaciele, rozsiani po całej Europie, dowiadujemy się z radością, że pisma Rilkego były zaledwie odblaskiem owej poetyczności, którą prześwietlona była cała jego postać i całe życie. Rilke nie był literatem w potocznym znaczeniu tego pojęcia, chociaż cały swój, jakże krótki żywot, strawił na służbie literatury. Postać jego całkowicie pokrywa się z wizerunkiem poety, jaki niekiedy wyobrażamy sobie w młodości. Poety romantycznego, tj. stworzenia wyższego gatunku, istoty uskrzydlonej, natchnionej, chodzącej wprawdzie po ziemi, lecz jakby o parę centymetrów unoszącej się ponad nią. Rilke był poetą totalnym, jeśli wolno użyć tego przymiotnika, tak popularnego dziś w kraju, gdzie wychodziły jego książki. Był poetą pośród ludzi i w samot-

ności. Wszystko w jego życiu nazwać możemy twórczością. Jeśli człowiek w ogóle potrafi kształtować swoje istnienie, Rilke kształtował je od najmłodszych lat. Gdy w piętnastym roku życia uciekł z austriackiej szkoły kadeckiej w St. Pölten, uczynił to pod nakazem Muzy, która, chociaż niewidoczna, już zarzucała nań swoje lasso. I czymże, jeśli nie całkowitym poetą okazał się w późniejszych latach, w Paryżu, kiedy starej żebraczce z Ogrodu Luksemburskiego wręczył białą różę. Ten akt pokory, poprzedzony głębokim ukłonem przed żebraczką, nie był ani pozą zblazowanego światowca, ani czczą egzaltacją pięknoducha, lecz naturalnym dopełnieniem i uwieńczeniem poematu o „Ubóstwie i śmierci" z „Księgi Godzin". Poetą był Rilke, gdy wędrował po świecie, gdy chodził do ludzi i do zwierząt, uwięzionych w Jardin des Plantes i do wielkich dzieł sztuki, uwięzionych w muzeach. Poetą był, gdy od ludzi uciekał i w starych zamkach, wieżach, pustelniach, zamykał się sam na sam z własną duszą. Dusza ta, wolna od wszelkiej buntowniczości, przecież należała do bojownika, jakkolwiek Rilke uciekał od wszystkiego, co jest szpetotą i brutalnością.

Robert Faesi, jeden z sumienniejszych komentatorów osobowości i sztuki autora „Księgi Godzin", zastanawia się nad tym, czy ta ucieczka, to wyczerpanie, przeczulenie, rezygnacja, nie jest przypadkiem oznaką szlachetnego dekadentyzmu, czy Rilke nie jest identyczny z owym potomkiem starego rodu duńskiego, Malte Laurids Brigge, o którym napisał przejmującą opowieść. Takie postawienie sprawy, wydaje nam się z gruntu fałszywe. Rilke napisał „Brigge" w młodości i być może, pewien okres jego życia znalazł w tej książce odbicie. Ale autor poetyckiej monografii szlachetnego dekadenta, żył dalej po napisaniu jej i dalej tworzył. Trudno nazwać schyłkowcem człowieka, zakochanego w miłości, ziemskiej i nieziemskiej, w miłości świętej Marii Magdaleny i portugalskiej mniszki Alcoforado. Nie jest schyłkowcem poeta, docierający do ukrytego sedna wszystkiego co trwa i przemija, poeta wpatrzony w każdy kształt, wsłuchany w każdy szept, odgadujący tajemnicę zapachów. Jeśli później uciekał od świata poznawalnego zmysłami, nie czynił tego z tchórzostwa: nie dezerterował od wroga, lecz usuwał się od tłumu przyjaciół. Zamknął się w celi anachorety po to, aby podjąć walkę najcięższą, na miarę Jakóbową. I zmagał się nie z jednym aniołem, lecz z hufcami anielskimi. Ustokrotniony Jakub.

Niedostępne zamki: Duino, zawieszony na skale nad Adriatykiem, Schloss-Berg w kantonie zurichskim i ostatnie asylum Rilkego w Château de Muzot w szwajcarskim Valais — to teatry jednej z najgwałtowniejszych wojen, jakie znają dzieje

literatury. W Château de Muzot pobił Rilke własną śmierć. A śmierci nie zwyciężają dekadenci.

Naturalnie, był Rilke naturą aspołeczną. Nie obchodziły go ustroje ludzkich gromad, chociaż bardzo go obeszły ofiary tych ustrojów. Czy był estetą? Niewątpliwie. Ale estetyzm jego wielce się różnił od smakoszostwa niektórych jego kolegów niemieckich z końca XIX w. Pięknoduchostwo autora „Maltego" było tragiczne, krwawe, nieomal śmiertelne. Jak każdy wielki artysta wywodzi się Rilke z cierpienia. Twórczość jego, nawet w owej młodzieńczej fazie, gdy wędrował po świecie i kumał się z wszystkimi wiatrami i burzami i bratał się z wagabundami w przydrożnych karczmach, — wykazuje wyraźne piętno życia klauzurowego. Rilke nigdy nie upijał się życiem jak Dehmel, lecz obserwował życie. A obserwacja, jak sam to często wyrażał w listach, prawdziwemu artyście nieraz sprawia ból. Nawet w tłumie ludzi bywał Rilke tylko anachoretą na urlopie. Nic dziwnego więc, że po latach wędrówki wycofał się, aby w kontemplacji jeszcze raz przetworzyć wszystko, co widział i czego doświadczył. Żywiołem jego była cisza. W tej ciszy, gorejącej nieraz jak ognisty krzak, ukazał mu się Bóg. Bóg nie przebywał wysoko w niebiosach, lecz tuż, tuż obok poety. Był jedynym sąsiadem samotnika, który przez wiele lat toczył z Nim nie kończące się dysputy na temat istnienia i przemijania. Bóg Rilkego był jak świerszcz za kominem. Niewidoczny towarzysz wszystkich jego godzin. Niekiedy nawet zamieniał się w naparstek, zgubiony przez dzieci. Boleść tych dzieci, z powodu zgubionego naparstka, który one w czasie zabawy nazwały Panem Bogiem, była prawdziwą boleścią serc, co naraz utraciły Boga.

Byłżeby więc Rilke średniowiecznym mnichem, zabłąkanym w XIX i XX w.? Nie, nie był mnichem. Mnich pokornie przyjmuje dogmaty swej wiary i regułę swojego zakonu. Rilke zawsze pozostał wolny. Na próżno by w jego dziełach doszukiwać się posłuszeństwa jakimkolwiek dogmatom. Rilke słuchał jedynie przykazań własnego artyzmu, spełniał jedynie postulaty swej trudnej dyscypliny tak, jak się tego nauczył u mistrza Rodina.

Czy był poetą katolickim? Zapewne, w jego „Księdze Godzin" znajdziemy sporo zwrotek, które by na to wskazywały. Szczególnie cykl wierszy pt. „Życie Marii" mógłby wejść do każdej antologii katolickiej. Oskar Walzel w głębokim studium o Rilkem niezwykle delikatnie porusza tę sprawę. Zapytuje bez ogródek, czy katolicyzm Rilkego nie jest przypadkiem romantycznym estetyzmem. Bo i romantycy często używają katolickich symbolów, co wcale nie znaczy, iż w te symbole wierzą. Życie i śmierć Chrystusa, życie Marii, żywoty świętych nieraz dostar-

czają artystom pięknych motywów do celów jedynie dekoracyjnych. Rilke nie wypożyczał sobie z Kościoła symbolów, w które nie wierzył. Katolikiem jednakże trudno go nazwać. Był tylko chrześcijaninem. Nabożna „Księga Godzin", złożona z trzech pieśni: „O Życiu mniszym", „O pielgrzymstwie" i „O ubóstwie i śmierci", to jakiś prawosławny gotyk. Ryzykuję taką definicję. Wiadomo bowiem, że religijność Rilkego była owocem jego pobytu w Rosji. Czar rosyjskiej wsi, pobożność rosyjskiego ludu, jego pokora i uległość, rosyjskie *bogoiskatielstwo,* kopuły i dzwonnice, sobory i klasztory miały dla rozwoju uczuć religijnych austriackiego poety znaczenie przełomowe i decydujące. Do końca życia uważał były kadet ze St. Pölten świętą Ruś za ojczyznę swej duszy. Ostatnie słowa, jakie przed śmiercią wypisał na kartce do przyjaciół, pielęgnujących go w chorobie — to były słowa rosyjskie, skreślone cyrylicą. W roku 1897 przed Wielkanocą złożył wizytę Tołstojowi. Prawosławna Wielkanoc — to najmocniejsze doznanie religijne jego życia. Wspomina o niej często i zawsze ze wzruszeniem. Wojnę rosyjsko-japońską odczuł jako swoją osobistą sprawę, bolał nad losem mużyka, mordowanego na Dalekim Wschodzie tak, jakby ów mużyk był jego prawdziwym rodakiem. W jednym ze swoich pięknych pism tak wyraża się o Moskwie: „To było miasto moich najstarszych i najgłębszych wspomnień, to była moja ojczyzna".

Gdy czytamy religijne utwory Rilkego, nieraz przypomina się nam Dostojewski, zwłaszcza Wielki Inkwizytor z „Braci Karamazow". Rilke docierał do Boga bez niczyjej pomocy. Niekiedy rozmawiał z Nim tak, jak rosyjski czerniec. Ale słowo poety, jego rytmy i wiązadła strof wywodzą się z gotyku. Pracowała tu zarówno niemiecka jak i francuska tradycja. Kult gotyckich katedr przejął Rilke od Rodina, któremu przez parę lat sekretarzował. Wiązania strof „Księgi Godzin" przypominają gotycką architekturę. Ostrołuki sterczą z ciemnych masywów, pną się ku górze wieżyczkami, iglicami bodą niebo. Ustawiczne fortissima, uporczywe nawroty głuchych inkantacji, szary, bezbarwny, kamienny patos słownych budowli Rilkego — to styl *flamboyant.* Ciemne i gęste płomienie dźwięków buchają ku niebu i kłębią się jak ciężkie chmury. To pomieszanie dwóch mistycyzmów: gotyckiego i prawosławnego sprawia, iż polski czytelnik często nie może złapać tchu. Duszno mu, albowiem w „Księdze Godzin" prawie wcale nie ma powietrza. Cyklopowe, starannie ociosane głazy walą się na nasze głowy i miażdżą nas.

Jakże inaczej przemawia religijny patos Kasprowicza! Narasta symfonicznie od wątłego sola kujawskiej fujarki po organy

w wiejskim kościółku i po ludowy chorał „Święty Boże, Święty Mocny". Patos Kasprowicza pachnie ziemią, z której wyrósł. U Rilkego organy huczą od pierwszej chwili i milkną dopiero przy końcu pieśni. Przytłacza nas ta muzyka. Treścią tych organowych debat jest ustawiczne pytanie: czym jest człowiek dla Boga i czym Bóg dla człowieka? Rilke zasypuje Boga wyrafinowanymi pytaniami, niczym sędzia śledczy. Maltretuje Boga, znęca się nad Nim. To znów przekomarza się z Nim, płaszczy się jak rosyjski chłop przed ikonami, aż ekstatycznie ulatuje pod katedralne stropy i zaplata rozetę na Ste Chapelle. Ciągle powraca do miejsca, z którego wyszedł, krąży, kręci się w magicznym kole urzeczenia zagadką boskości. Nigdy go nie opuszcza wizja śmierci.

Przepiękna i niezwykle oryginalna jest Rilkego koncepcja śmierci:

O Panie, własną śmierć, każdemu daj,
Daj umieranie, które z życia płynie,
Gdzie miał swą miłość, swój ból i swój raj.

Rzadko bowiem człowiek umiera własną śmiercią. Własna śmierć nie jest klęską, lecz ostatecznym celem, przystanią, darem, nagrodą, na którą trzeba zapracować. Złe moce przeszkadzają człowiekowi w osiągnięciu tego celu. Złe moce każą mu umierać śmiercią przypadkową w połowie drogi, pod płotem, na wojnie. Długo i zajadle targuje się Rilke z Bogiem o łaskę własnej śmierci dla każdego człowieka.

Panie, biedniejsi my, niż biedne zwierzę,
Co śmiercią własną kończy, chociaż ślepe...

Jest to jak gdyby błaganie o śmierć „świadomą". Podobnie jak śmierć sławi Rilke ubóstwo — ten przybytek Boga. Ale ubóstwo nie jest identyczne z nędzą, którą jedni ludzie narzucają drugim. Ludzie spaczyli ideę czystego ubóstwa, będącego prawdziwą wolnością. Bogactwo zhańbiło tych, którzy nic nie mają. To nie są ubodzy, tylko — „nie-bogaci". Wszystka nędza świata płynie z miast. Być może, gdyby poeta żył dzisiaj i widział nędzę polskiej wsi, nie upatrywałby szczęścia ludzkiego rodzaju w rolniczej i pasterskiej formie bytowania. „Pieśń o ubóstwie i śmierci" kończy się potężnym akordem ku czci świętego Franciszka z Assyżu.

„Księgę Godzin", jak zresztą większość wierszowanych i prozaicznych utworów Rilkego, przełożył Witold Hulewicz. Jego przekład — to owoc chwalebnego pietyzmu wobec oryginału.

Odznacza się muzykalnością i niemal wiernie oddaje skomplikowaną rytmikę oraz patos tych pieśni. Niedobory przekładu wynikają po części z odmiennego charakteru polskiej wersyfikacji. (Na przykład wielka ilość rymów męskich). Ale to nie są sprawy zasadnicze. Poemat bowiem, jak każdy ważniejszy utwór literacki, obok „treści" i „formy" (dla mnie forma utworu wierszowanego stanowi jego istotną treść) posiada jeszcze coś, co rozstrzyga o jego sile sugestywnej. Nazwijmy to temperaturą. Otóż temperatura wiersza Rilkego w przekładzie Hulewicza — jest nieco inna niż w oryginale. Być może, iż nie jest to wina tłumacza, lecz ciepłoty własnej języka polskiego. Język polski, nagrzany w danym utworze do pewnej wysokości, inaczej działa na naszą wrażliwość, niż język niemiecki w tym samym utworze i w tym samym stopniu nagrzania. I dlatego to, co po niemiecku jest ciche, po polsku bywa głośne, niemieckie *piano* brzmi po polsku *forte*. Zgęszczenia barw w jednym języku działają w drugim jak rozrzedzenia. Efekty powonieniowe, zależne od substancji słownej są nieprzetłumaczalne. Zdaje się, że tak trudne utwory, jak „Stundenbuch" Rilkego w ogóle nie dadzą się przełożyć na żaden język. Niemniej sumienna praca Hulewicza zasługuje na uznanie.

1935

EPOPEJA DÖBLINA O INDIANACH

Nazwisko Alfreda Döblina nie jest u nas obce, chociaż trzeba przyznać, że znakomity pisarz niemiecki zna Polskę lepiej, niż Polacy jego dzieła.

Przyjechał do nas zimą r. 1924 ze sporym ładunkiem życzliwości. A sprowadziła go ciekawość nowego życia w nowym państwie, bezinteresowna potrzeba poznania sąsiadów, o których w owym czasie nic dobrego nie chciano wiedzieć w Berlinie. Zapewne i zdrowa przekora umysłu, połączona z pasją do egzotyki kazała Döblinowi odbyć tę podróż literacką nie utartym szlakiem przez Niegorełoje do Moskwy, lecz właśnie do kraju, gdzie Wschód krzyżuje się z Zachodem. Kto zna twórczość Döblina temu nie wyda się dziwna jego podróż do Polski. Döblin zawsze stronił od oficjalnych zainteresowań i, jak każdy twórca godny tej nazwy, sam stwarzał „prądy", a nie ulegał gotowym. Żadna urzędowa propaganda, żadne „kulturalne porozumienie" nie maczało palców w atramencie, którym autor potężnej epopei przyszłości pt. „Berge, Meere und Giganten" napisał książkę „Reise in Polen". Opisuje tu Döblin przede wszystkim to, co widział na własne oczy, ale i uszy oddały mu niemałą usługę. Uważnie słuchały wszystkiego, co opowiadali przygodni informatorzy, równie życzliwie wchłaniały hałas naszych ulic, nie zawsze reprezentacyjnych, jak uroczyste granie wielkich dzwonów. Döblin w Polsce chwytał życie na gorącym uczynku, a więc tam, gdzie bywa ono nagie. Zaczepiał przechodniów, wypytywał nieznajomych i konfrontował najsprzeczniejsze sądy i poglądy. Notował zarówno nieprawdopodobne brednie, jak i świętą prawdę. W ten sposób powstał impresjonistyczny obraz Polski codziennej w miastach. Krwista, niekiedy czarodziejska wizja świata, w którym ścierają się różnorodne energie i namiętności. O nie właśnie Döblinowi chodziło.

Narody, ich dążenia i umiłowania, kulty i przesądy — to

drogocenne tworzywo dla poety. A mało jest wierszopisów, którzy by zasługiwali na nazwę poety w tak wysokim stopniu, jak ten prozaik. Döblin, to poeta integralny, twórca absolutny. Nie przetwarza rzeczywistości, nie opowiada jej „własnymi słowami", lecz tworzy ją na nowo jak demiurg. Na własną rękę dorabia mitologię i historię tam, gdzie jej nie ma, samowolnie uzupełnia luki w dziejach ludzkich zbiorowisk. Wymyślił Döblin szczegółową historię naszego globu po tysiącach lat od wojny światowej, aż po kres wszystkich czasów, aż do zamarznięcia całego globu.

Podobny rodzaj obserwacji co w „Reise in Polen" odnajdujemy miejscami w pierwszej powieści wielkiego cyklu o Indianach Ameryki Południowej, w „Die Fahrt ins Land ohne Tod". Tylko że w Polsce czuł się Döblin gościem i zachowywał dystans do przedmiotu obserwacji. Nie mieszał się do naszych spraw. Nad rzeką Amazonką gościem nie był. Był cząstką stworzonego przez siebie mitu, nie oddzielał swej osoby, bądź co bądź z XX stulecia, od prawieku czerwonego lądu, wraz z Indianami wierzył w Bochikę, boga słońca i tańczył razem z nimi na cześć umarłych — przy biciu bębnów.

„Podróż do krainy wiecznego życia" jest historią zagłady czerwonoskórych plemion. W tej historii jest jednak coś, co każe myśleć o starożytnych poematach np. o babilońskim „Gilgameszu". To patos i stosunek do przyrody. Nie znam współczesnego utworu epickiego, gdzieby przyroda była taką pełnią dźwięków, barw i zapachów, jak w tej Döblinowej księdze bytu i zagłady.

Nie łatwo streścić tę książkę, która niedługo ukaże się po polsku w przekładzie Lucjana Szenwalda. Niby liczne dopływy Amazonki rozwidlają się poboczne wątki opowieści, oddalają się, nikną, aby znów wypłynąć i potężnym szumem wpaść w szerokie łożysko akcji głównej. Jest to epopeja walki człowieka z człowiekiem, z demonami, z przyrodą. Po jednej stronie „barykady" stoją poganie i pogańskie bóstwa: czarny tygrys Walyarina, wąż Sukuruja; po przeciwnej stronie: biali chrześcijanie, w istocie czciciele wielkiego bóstwa: złota. W tej okrutnej walce jawi się także i Chrystus prawdziwy. Nosi go w sercu dominikanin Las Casas, pierwszy apostoł wśród Indiów, pierwszy biskup na ich zdobytej ziemi.

Ujmując się za pokrzywdzonymi tubylcami nie czyni z nich Döblin łagodnych jagniąt. Są oni równie okrutni jak biali, lecz mordują z niewinnością tygrysa. Mordują za darmo i bez cynizmu.

Zapuśćmy się na chwilę w gąszcz tej tropikalnej poezji. Odurzy nas ona samym językiem, w którym odzywają się pradźwięki dziewiczych lasów. Słychać w niej klangor skrzydeł

kondorów, wycie małp, syk węży — całą symfonię dżungli. Powieść składa się z trzech książek, z trzech patetycznych pieśni. Pierwsza, pod tytułem „Amazonki", roztacza upajający, dziki krajobraz czerwonego lądu, gdzie mieszkają legendarne „Baboludy". Mężowie tych niewiast zapuścili się na Wschód w poszukiwaniu krainy wiecznego życia. Prastary to sen Indiów o błogostanie. „W stronie wschodzącego słońca leży kraj, gdzie nie ma śmierci. Rośnie tam drzewo, z którego wolno rwać wszystkie owoce, jest to ojciec zwierząt i ludzi. Jeśli wdrapać się na to drzewo, unosi ono gałęzie ku górze i wypręża je wzwyż, a kto na nim usiędzie bywa wznoszony wyżej i wyżej ponad wierzchołki gór, aż do samego nieba. A w niebie mieszkają przodkowie, wielkie nasze duchy".

Tu, na ziemi, wszędzie jest śmierć. Poszukiwacze krainy wiecznego życia nie znajdują nieśmiertelności. Za to znajdują ludzi, również czerwonoskórych, i muszą staczać z nimi śmiertelne boje. A po powrocie do domu giną otruci przez własne zbuntowane żony. Toeza, żona naczelnika szczepu, pod nieobecność męża miała kochanka. Był nim czarny tygrys Walyarina, bóstwo leśne. Zdradzony mąż zabija Walyarinę, a za to muszą ponieść śmierć wszyscy mężczyźni. Odtąd kobiety występują zbrojnie, napadają na wsie i zabijają mężczyzn. Oto początek legendy o czerwonych Amazonkach.

Sporą część pierwszej księgi wypełniają wędrówki Cuzumarry, wysłańca wytępionego plemienia Inkasów. Plemię to, w przeciwieństwie do „Baboludów" i „Kaczoludów", miało wysoko rozwiniętą kulturę, ale uległo przemocy białych najeźdźców. Z garstką niedobitków płynie Cuzumarra od wsi do wsi, od plemienia do plemienia i podburza prymitywne ludy do walki z wspólnym wrogiem. Opieszałe plemiona słuchają tych opowieści ze zdumieniem, ale walczyć nie chcą. A gdy Cuzumarra przybywa ze swymi ludźmi do Amazonek, którymi rządzi księżniczka Inti-Cussi, ginie, spełniwszy rolę trutnia.

W księdze drugiej jesteśmy już bezpośrednio świadkami starcia obu światów: czerwonego z białym. Najjaskrawiej chyba zarysowuje się różnica między etyką tubylców, a etyką Europejczyków w scenie u Zippy, kacyka Cundinamarki, który jednemu z konkwistadorów, trawionych gorączką złota, zadaje takie pytanie: „Czy wy jadacie złoto i srebro? A może konie wasze lub psy jadają złoto i srebro?". Zippa nie może zrozumieć siły, która popycha białych do mordów i gwałtów. Nie może zrozumieć sensu zagłady Indiów. Kacyk Zippa składa głęboki hołdowniczy ukłon koniowi najeźdźcy. Widzi konia pierwszy raz w życiu i myśli, że jest to bóstwo białych ludzi. Armaty i strzelby wydają się tubyl-

com demonami, w których zamorscy ludzie zamknęli pioruny i grzmoty. O jakże się oddaliła kraina wiecznego życia!

Poznajemy po kolei konkwistadorów: Belacazara, Quesadę, Alfingera, Federmana. Wszyscy giną marnie. Quesada, gubernator króla hiszpańskiego, umiera na trąd. Belacazar kończy w więzieniu, gdzie wtrącono go za gwałty, jakich dopuścił się w Peru. Federman tonie po pijanemu. Był najłagodniejszy pośród okrutnych. Alfinger, trafiony w nogę zatrutą strzałą, długo walczy ze śmiertelnym jadem w organizmie, aż w końcu musi ulec.

Sumieniem białych jest bohater III księgi, Las Casas. To postać historyczna. Pozostawił on po sobie dokument w postaci „Traktatu o zburzeniu Indii". U Döblina zostaje on męczennikiem. Jako biskup-misjonarz bierze naukę Chrystusa dosłownie. Powoli zdobywa zaufanie tubylców. Zdobywa nawet ich serca. Za to go ściga Inkwizycja. Las Casas przechodzi na stronę czerwonoskórych, poniżonych i pokonanych i dzieli ich los. Ginie jednak nie na stosie św. Inkwizycji, lecz pod dzidami swych czerwonych przyjaciół. Kapitan uprowadza ich podstępnie na swoim statku i sprzedaje jako niewolników. Nadaremnie zrozpaczony biskup rozsyła listy do wszystkich księży na okolicznych wyspach. Czerwoni zostali sprzedani. Las Casas traci resztę zaufania u ludzi, którym głosił naukę miłości, i ponosi śmierć z ich rąk. Jego duszę zabiera rzeczny bóg, wąż Sukuraja. W podobny sposób ginie conradowski „Lord Jim".

Czytelnik tej przejmującej powieści zastanawia się, ile w niej jest tzw. historycznej prawdy, a ile poetyckiej fikcji. Jedna jest na to odpowiedź: każda prawda poety, to *Dichtung und Wahrheit*. Nie są to właściwie pojęcia przeciwstawne, bo rzetelne zmyślenie też jest prawdą. Przed dwoma laty wygłosił Döblin w Paryżu niezmiernie zajmujący odczyt pt. „Powieść niemiecka i my". „My", to pisarze emigracyjni. Dowodził on między innymi, że powieść historyczna może a nawet powinna unikać tzw. autentyzmu. Historycy budują swe sądy na „dokumentach", a więc mogą się mylić, natomiast poeta nie myli się nigdy, o ile wierny jest swojej wizji.

Jeżeli więc zagłada plemion indiańskich w rzeczywistości dokonała się całkiem inaczej niż w powieści Döblina, nie umniejsza to wyjątkowej wartości tej książki. Jest to wielka poezja o autonomicznej prawdzie.

1938

UWAGI O „PŁASZCZU"

Niespodzianką był dla mnie chłód, z jakim krytyka warszawska oraz wsłuchana w jej wyroki publiczność przyjęła piękną przeróbkę sceniczną Gogolowskiego „Płaszcza". Można kwestionować sam fakt przerobienia zwięzłej, małomównej noweli na przydługie nieco i hałaśliwe widowisko, można w ogóle nie godzić się z rozpowszechnionym dziś zwyczajem transponowania niemej prozy powieściowej na głośne rozmowy. Lecz cokolwiek temu „Płaszczowi" miałoby się zarzucić pod względem kroju, fasonu czy ideowej podszewki, jedno jest pewne: grzeje. Grzeje jak daleki jego krewniak z Ameryki: żakiet Charlie Chaplina. Przy tym budzi w nas najlepszy gatunek współczucia, przeraża bezmiarem ubóstwa duszy bohatera i podszczuwa do buntu. To — bardzo wiele. A były w widowisku momenty, kiedy ten szary szynel zahukanego, ogłupiałego gryzipióra Jego Carskiej Mości przemieniał się w płaszcz królewski. Sprawiła to w równej mierze poetycka magia Tuwima co i wspaniała gra Jaracza.

O tej grze można by napisać osobne studium. Dziwię się, iż żaden z naszych teatralnych augurów o to się nie pokusił. Czemu recenzenci dokładnie streszczają najlichsze sztuki, a nie analizują gry wielkich aktorów? Aktorów zbywa się w recenzjach zdawkowymi pochwałami, przeważnie tego typu: „był doskonały", „grał czarująco", „przeszedł samego siebie". Co to znaczy? Nic. Myślę, że i sztuka aktorów zasługuje na krytykę formalną, opartą na analizie elementów gry. (W każdym razie sztuka takich aktorów jak Jaracz). Krytyka muzyczna czyni to od dawna. Poważny sprawozdawca koncertowy musi nie tylko zanalizować utwór (o ile to jest nowość), winien on również poddać analizie wykonanie utworu. Tak, żeby ufający mu czytelnik był dokładnie poinformowany czym różni się doskonała gra Backhausa od doskonałej gry Alfreda Cortot. Jaracz jest też wirtuozem najwyższej klasy, a jego Baszmaczkin — to koncert. Jaracz porywa od pierw-

szej chwili, gdy stoi przy biurowym piecu i grzeje palce umęczone trzydziestoletnią katorgą przepisywania urzędowych kawałków. Od pierwszej chwili zaczyna się delikatna gra jego spojrzeń, psich, uległych, tępych, zgaszonych, to znów pełnych udanego lub rzeczywistego olśnienia. Na generała Gromotrubowa patrzy Jaracz tak, jakby to nie był człowiek, lecz sam *Rex tremendae maiestatis*. Oczom Jaracza towarzyszą dwa instrumenty. Są one równie precyzyjne jak oczy, gdy mają ujawnić sprawy zatajone w ludzkiej duszy. To ręce. Poruszają się one jak para zaszczutych zwierząt lub para stworzeń nieszczęśliwie zabłąkanych w tym wrogim, ludzkim świecie. Co począć z rękami? Gdzie je schować, żeby się tak nie męczyły na bezlitosnej powierzchni życia? Ramiona, z których te ręce wyrastają, też mają swoją wymowę. Uwięzione w dożywotnej turmie ciasnego, urzędniczego fraczka, kurczą się i zwężają w miarę rosnącego w Baszmaczkinie upokorzenia. Co za gorzka ironia: męczennik we fraku! Świadomie poprzestaję na oczach, rękach i ramionach Jaracza, a pomijam głos, którego działanie byłoby nie mniej plastyczne, gdyby był głosem z ciemności.

W drugim obrazie widzimy Baszmaczkina u krawca Piotrowicza. Wraz ze starym płaszczem przynosi doń Jaracz strzęp wyświechtanej nadziei na poprawę losu. Kurczowo czepia się tego strzępa tak, jakby razem ze zniszczoną garderobą można było wyłatać i odświeżyć życie. O radykalnej zmianie doli, o rewolucji, jaką jest wyrzucenie starego płaszcza, a uszycie nowego, Baszmaczkim nie myśli. W tym obrazie czujemy doskonale, o co chodziło Gogolowi. Płaszcz, to nie tylko niezbędna część zimowej garderoby, to symbol zależności *całego* człowieka od spraw materii. Płaszcz jest jedyną osobistą sprawą Baszmaczkina i dotyczy zarówno ciała jak duszy. To jedyny motor, puszczający w ruch siły ukryte w tym ludzkim łachu. I dlatego scena z krawcem, który nawet słyszeć nie chce o łataniu starego płaszcza, jest taka wstrząsająca. Czy nikt z widzów nie zauważył, że świetny artysta młodego pokolenia, Daniłowicz, odtwarzając rolę krawca, grał właściwie — diabła? Czymże, jeśli nie szatańskim kuszeniem, były jego namowy? Tylko diabeł mógł skłonić Baszmaczkina do tak ryzykownego, tak niebezpiecznego kroku, jak zamówienie nowego płaszcza. Tylko diabeł mógł — Bogu ducha winnego człowieka opętać płaszczem. Diabeł, wcielony w krawca, używa wszystkich swych wypróbowanych sztuczek i sposobów na usidlenie duszy. Przed mizerną wyobraźnią ofiary roztacza najjaskrawsze blaski i rozkosze życia, życia w nowym płaszczu, z futrzanym kołnierzem i srebrnym *appliqué*. To *appliqué* jest szczytem ziemskiego przepychu. Jakież perspektywy otwiera sza-

tan przed kaprawymi oczkami Baszmaczkina? Spacery na Newskim Prospekcie, możliwość zwrócenia na siebie uwagi pięknych dam, możliwość pomyłki świata wojskowego, który widząc na ulicy pana radcę w nowym płaszczu, gotów go jeszcze wziąć za oficera. Takie perspektywy mogą skopanemu człowiekowi zwrócić dawno utracony szacunek dla siebie samego. Mogą nawet zrodzić manię wielkości. Misternie diabeł zarzuca sidła na wijącą się przed nim duszę. A dusza nie tak prędko daje się schwytać. Nieświadomie przeczuwa — zagładę na dnie pokusy. Ciężko walczy z pokusą męczennik w kusym fraczku, w końcu ulega jej i decyduje się z 400 rubli rocznej pensji poświęcić 80 — na nowy płaszcz. Wydać 80 rubli na płaszcz, to bardzo wiele, za wiele jak na tytularnych radców ministerstwa, ale wcale nie tak dużo, gdy za te pieniądze można sobie sprawić nowe życie, pełne radości i chwały.

Wszystkie perypetie walki z szatanem genialnie pokazał nam Jaracz przy pomocy swego głosu i ciała. Wyglądał jak miniaturowy święty, kuszony na pustyni własnego ducha.

Trzeci obraz przynosi spełnienie. Baszmaczkin jest u siebie w domu. Nie poznajemy tego człowieka. Odmienił się wszystek — duchowo i fizycznie. Już bowiem żyje nowym płaszczem. Na razie — ideą nowego płaszcza. Dla tej idei gotów jest ponieść najcięższe ofiary. Radośnie składa jej ofiarę z cukru do herbaty. Czym jest cukier wobec wzniosłego faktu, że płaszcz, płaszcz się buduje? Czym jest cukier, czym masło, czym jaja, w ogóle — czym jest głód wobec świadomości, że Magnitogorsk, że Kuznieckostroj się buduje? Wielkie rzeczy dzieją się na świecie. Tu — płaszcz, tam — Magnitogorsk. Patrzymy na Jaracza i śledzimy poszczególne fazy tej pasjonującej budowy. Na początku trzeciego obrazu mamy już za sobą fazę sprawunku guzików. Powoli świat zmienia swój dotychczasowy wygląd. W tym obrazie Jaracz-Baszmaczkin jest już po drugiej stronie życia, jest tam, gdzie zacierają się rzeczywiste jego kontury a zaczyna się metafizyka. Aż nadchodzi upragniona chwila: zjawia się krawiec z płaszczem. Scena ta należy do najpiękniejszych w sztuce. Jaracz w nowym płaszczu wygląda jak szczęśliwa panna młoda w ślubnym welonie, jak zwycięski wódz, zatykający sztandar na zdobytym szańcu, jak król w czasie koronacji. A następuje teraz entuzjastyczna afirmacja istnienia. Słodko jest istnieć — w takim płaszczu. Świat rzeczywiście zmienił wygląd. Stał się łaskawy, zapachniał winem, uśmiechnął się dziewiczymi wargami trzech gąsek. Baszmaczkin jest szczęśliwy. Ani na chwilę nie chce rozstać się ze źródłem szczęścia. O wielkiej intuicji Tuwima świadczy scena, gdy na przyjęciu u jednego z kolegów ogarnia Basz-

maczkina lęk o los płaszcza, wiszącego w przedpokoju. Nie mogąc tego lęku opanować, Baszmaczkin przynosi swój ukochany płaszcz do salonu i sadza go obok siebie na fotelu.

Wypadki, które teraz nastąpią, będą już tylko logiczną konsekwencją scen poprzednich. Skoro płaszcz wypełniał człowiekowi życie, nic dziwnego, że utrata płaszcza równa się śmierci. Tę śmierć wymyślił Gogol. Lecz Baszmaczkin nie umiera bezpośrednio po kradzieży płaszcza. Umiera dopiero po utracie ostatniej nadziei odzyskania go.

Takie to widowisko wzruszało nas ze sceny teatru „Nowa Komedia". Tylko epilog w zaświatach wydał mi się zbędnym podkreśleniem tego, co w samej sztuce dość wyraźnie było powiedziane. Chrześcijański charakter „Płaszcza" narzuca się i bez cytowania ustępów z Kazania na Górze. Zresztą sztuka Tuwima może być oglądana z dwóch różnych punktów. Patrząc na Baszmaczkina po chrześcijańsku — współczujemy wprawdzie jego materialnej niedoli tudzież ubóstwu ducha, lecz jednocześnie mamy pewność, że Królestwo niebieskie stanie się jego udziałem. Niekiedy nawet bylibyśmy skłonni zachęcić go do jeszcze większej udręki: — Cierp, bracie, cierp na tej strasznej ziemi, drżyj przed ziemską władzą, rozmarzaj się własną kaligrafią i bądź tylko taki, jaki jesteś, a czeka cię za to wielka kariera w niebiesiech. Lecz widowisko może mieć inny aspekt. Przez cały drugi i trzeci obraz myślałem o dzisiejszej Rosji: Zupełnie mechanicznie nasunęło się skojarzenie budowy płaszcza z budową Magnitogorska. Niewątpliwie los Baszmaczkina można osądzić i po marksowsku. W tym wypadku sztuka Tuwima byłaby doskonałą ilustracją duchowego rozkładu drobnomieszczańskiej warstwy urzędniczej, szkolnym przykładem bankructwa osobistych ideałów tej warstwy, lub też dowodem ideowej pustki. Zaiste — straszne jest życie człowieka, wypełnione snem o płaszczu, straszne jest życie, które wraz z płaszczem można utracić.

1935

APOLLON I ASKLEPIOS

Literatura i medycyna — to na pozór dwa różne światy, obce sobie i dalekie. Stykają się tylko wówczas, gdy pisarz podniesie do godności tematu jakąś chorobę, lub uczyni „bohaterem" swego utworu lekarza, czy też na odwrót: gdy lekarz zainteresuje się zjawiskami patologicznymi w dziele literackim. Posiadamy w współczesnej beletrystyce sporo dzieł, zapłodnionych — jeśli tak rzec wolno — schorzeniami ludzkich ciał, że wymienię tylko dwa najsławniejsze: „Dr med. Arrowsmith" Sinclair Lewisa, powieść o amerykańskim bakteriologu, który w Indiach holenderskich przeżywa tragedię na tle walki z dżumą gruczołową, oraz Thomasa Manna „Górę Czarodziejską" — tę epopeję gruźlicy. Autorowie obu powieści odznaczonych literacką nagrodą Nobla, nie są lekarzami. Co prawda, Sinclair Lewis wydatnie skorzystał z przyjacielskiej pomocy Pawła De Kruifa, jeździł z nim razem po zachodnio-indyjskim archipelagu i dedykował mu „Arrowsmitha". Co się tyczy przeciwnej strony: znamy przenikliwe analizy skomplikowanych procesów literackich, dokonane przez lekarzy, zwłaszcza neurologów i psychiatrów. A jednak, przeważa mniemanie, że literaturę od medycyny więcej dzieli niż łączy. Ci, co tak pochopnie separują Apollina od Asklepiosa zapominają o bliskim pokrewieństwie obu tych bogów. Asklepios był przecież rodzonym synem Apollina, który zresztą uchodzi nie tylko za źródło słońca, przywódcę dziewięciu Muz itd., ale i za boga medycyny. To on zarządzał wszystkimi chorobami zakaźnymi, strzały z jego łuku niosły ludziom pomór, o czym świadczy pierwsza pieśń „Iliady".

Asklepios nie był zwyczajnym lekarzem. U schyłku ery przedchrześcijańskiej uchodził już nie tylko za uzdrawiacza ciał, ale i za zbawiciela *(soter)* dusz, i słusznie zauważa prof. Tadeusz

---

Szkic napisany dla czasopisma warszawskiego „Medycyna i Przyroda", w r. 1938, nie ma zakończenia. Fotokopia sporządzona dla autora w Waszyngtonie — jest zdeformowana.

Zieliński, że pierwsze wizerunki Chrystusa, to kopie rzeźby Fidiasza, przedstawiającej Asklepiosa. Nie bez pikanterii jest podanie, głoszące, że nimfa, której przypadł zaszczyt urodzenia Asklepiosa umarła w połogu. Genialny, boski noworodek nie znał jeszcze aseptyki i nie mógł uratować matki. Później, gdy dorósł, nie kontentował się samym leczeniem ludzi, ale wskrzeszał również umarłych. Podziemia Hadesu zaczęły się wyludniać. Rozżalony władca królestwa cieni postarał się o usunięcie niewygodnego przeciwnika: namówił Dzeusa, żeby zabił Asklepiosa piorunem. I tak się stało. Straszny, olimpijski dziadunio własnoręcznie utrupił wnuka.

Już choćby z tych mitologicznych kombinacji widzimy, jak bliskie istnieją związki między literaturą a medycyną. Związki krwi. Wdzięczne zadanie otwiera się tutaj przed badaczem grup krwi. Ci jednak, którzy za wszelką cenę pragnęliby oddzielić syna od ojca, ulegają starym nałogom filozoficznym, kopiącym przepaść między materią a duchem. Zapominają, że większość cierpień — to zjawiska psychofizyczne, że gdzie dusza cierpi, tam i ciało marnieje. I na odwrót. W schorowanym ciele, rzadko raduje się dusza. Chyba tylko dusze świętych i męczenników napełniają się radością wówczas, kiedy ciała ich doznają udręczenia. Tak zwany normalny człowiek cierpi chorobę cielesną także przy pomocy duszy. W obecnych czasach skondensowanego cierpienia ludzkości można by nawet zaryzykować nową definicję duszy: to taka rzecz w człowieku, która mu służy do cierpienia.

Zażywszy na noc pigułkę dobrej literatury, niejeden chory, nawet nieuleczalnie chory, spędza noc spokojnie, wzmocniony uncją otuchy. Tak więc Apollo odbiera cząstkę trudu Asklepiosowi. Szczęśliwi uzdrowieńcy, spędzający okres rekonwalescencji tam, gdzie Apollo świeci mocniej i czyściej, niechaj nie zapominają o ścisłej współpracy ojca z synem.

Przyjrzyjmy się bliżej praktyce lekarskiej, a dostrzeżemy, że lekarz — asklepiada robi właściwie to samo, co kapłan apollinowy — poeta. Obaj zaglądają do środka człowieka. Podobny jest gatunek zaufania, z jakim tzw. cierpiąca ludzkość odnosi się do medycyny i literatury. Wyobrażamy sobie niekiedy, że lekarze i poeci są od nas mądrzejsi. Więcej o nas wiedzą niż my sami i dlatego lepiej potrafią pokierować naszym ciężkim losem. Ufność pacjenta do lekarza, ufność czytelnika do autora, to najpiękniejsza, lecz zarazem i najryzykowniejsza forma obcowania w świecie wzajemnej nieufności, podejrzliwości i złej woli. Liczni lekarze i autorowie korzystają z tej ufności ponad miarę, dozwoloną rozsądkiem. Pozwalają oni nieświadomej, a cierpiącej ludz-

kości żyć w złudzeniu, iż naprawdę wszystko wiedzą. Pozwalają uważać siebie za cudotwórców. Nie są to najlepsi lekarze, ani najlepsi autorzy. Najlepsi nie kryją się z tym, iż tylko „coś niecoś tutaj wiedzą" (Tuwim), a resztę, to znaczy, cały sekret życia i śmierci lojalnie przypisują siłom wyższym. Uczciwi poeci i lekarze starają się człowieka przede wszystkim zbadać, zajrzeć do jego wnętrza, dotrzeć do źródła cierpienia i nazwać to, co dostrzegli. Potem usiłują opisać zmiany, zauważone w ludzkim organizmie. Potem dopiero zabierają się do leczenia. Samo wykrycie i nazwanie choroby — to już bardzo wiele, aczkolwiek dla pacjenta — za mało. W zamian za swoją ufność żąda pacjent od lekarza — nieomylności, lub po prostu cudu. Pacjent jest niecierpliwy, zwłaszcza, gdy za swoją wiarę w cud płaci pieniędzmi. Tu zaczyna się nieporozumienie. Tu kiełkuje ziarno niemoralności obu naszych zawodów. Cud opłacony przestaje być cudem, nawet, gdy się ziści. Degraduje siebie do roli zwyczajnego świadczenia. Na szczęście cechą cudów jest to, iż spełniają się rzadko. Spójrzmy na potworną samotność człowieka w wszechświecie, na samotność człowieka zdrowego pod promieniami Apollina, na samotność chorego pod promieniami Roentgena. Czyż sam fakt istnienia ludzi takich jak pacjent, tak samo jak on narażonych na choroby i śmierć, a jednak powołanych do niesienia ulgi w cierpieniu, nie jest cudem? Oto pogranicze medycyny i poezji. Raz jeszcze godzi się powtórzyć, że tam, gdzie człowiek cierpi, zaciera się różnica między ciałem a duszą. Nie wiem, jak jest z sztuką lekarską, lecz co się tyczy sztuki pisarskiej, często niesie ona ulgę przez sam opis cierpienia, nawet przez opis przesadny. To jest jej szczytna misja i społeczny sens. Być może, że na podobnej podstawie opiera się leczenie schorzeń duszy przy pomocy psychoanalizy. Podobno wykrycie podświadomych źródeł cierpienia niszczy samo cierpienia. O ile mi wiadomo, interniści nie doszli jeszcze do podobnych rezultatów. Samym rozpoznaniem raka nikomu jeszcze raka nie wyleczyli. Ale nie zniechęcajmy wielkich diagnostów. W świecie idei, w którym się poruszamy, milsze jest Asklepiosowi trafne rozpoznanie choroby, choćby pacjent na nią umarł, niż kogut, ofiarowany przez uzdrowieńca, leczonego na chorobę, której wcale nie miał. Oto rozkosze diagnostów, jakże blisko skuzynowane z twórczymi rozkoszami literatów. A skoro już mówimy o skuzynowaniu, poświęćmy parę słów lekarzom, którzy pół swego mózgu i połowę serca poświęcili literaturze jeśli nie całe serce i cały mózg. W odnośnych encyklopediach znajdziemy niewątpliwie sporo nazwisk prawowiernych synów Apollina, którzy, dzięki szczęśliwemu wybrykowi natury, byli jednocześnie synami Asklepiosa, czyli swoimi własnymi stryjami. Należą tu wielkie nazwi-

ska: Antoniego Czechowa i Artura Schnitzlera. Z żyjących chlubimy się w Polsce: Tadeuszem Boyem-Żeleńskim i Januszem Korczakiem. Sporo Francuzów uprawia jednocześnie obie sztuki. Nie mniej lekarzy znajdujemy we współczesnym piśmiennictwie niemieckim. Wybitną rolę odegrał w tym piśmiennictwie liryk dr Gottfried Benn i powieściopisarz dr Ernst Weiss. Dużą poczytnością cieszyły się książki szwedzkiego lekarza Axela Munthe.

Zatrzymajmy się jednak przy trzech współczesnych pisarzach europejskich, których twórczość ma znaczenie uniwersalne, gdyż zajmuje się człowiekiem, że się tak wyrazimy — od stóp do głów. Są to: niemiecki neurolog Alfred Döblin, francuski, o ile się nie mylę, internista: Georges Duhamel i francuski ginekolog Ferdinand Louis Céline (pseudonim doktora Destouches'a).

Döblin jest w tej trójce najstarszy. Liczy ponad sześćdziesiąt lat, lecz w życiu i twórczości zachowuje się jak młodzieniec: daje się ponosić temperamentowi, który go porywa jak kaskada. To poeta, twórca legend o dawnym i przyszłym świecie, filozof, naturalista, historyk, geograf, polityk, satyryk. Skala jego zainteresowań jest tak rozległa, iż mógłby nią obdzielić dziesięciu innych pisarzy. Pod względem języka, dzieło Döblina to niewyczerpana kopalnia, głęboki szyb, z którego autor wydobywa na światło dnia coraz to inną rudę. Döblin jest zawsze rewolucjonistą, nawet wówczas gdy sięga do prehistorii. Do roku 1933 praktykował w Berlinie, gdzie był członkiem pruskiej Akademii literatury. Obecnie żyje na emigracji, w Paryżu, i bierze czynny udział w życiu uchodźców z Trzeciej Rzeszy. Napisał około trzydziestu powieści, dramatów i nowel. Obdarzony niesamowitą wyobraźnią i wiedzą encyklopedyczną, stworzył szereg monumentalnych eposów o najdziwniejszej i najróżnorodniejszej tematyce. Do najważniejszych jego utworów należy dwutomowa powieść historyczna „Wallenstein", gdzie śmiałe odkrycia psychologiczne rywalizują z przepychem zewnętrznej scenerii. Historyczna prawda istnieje dla Döblina tylko o tyle, o ile zgadza się z jego poetycką koncepcją. Tam, gdzie się nie zgadza, Döblin uważa tę prawdę za kłamstwo. Olbrzymi utwór pt. „Berge, Meere und Giganten", to fantastyczna, lecz na głębokiej znajomości co najmniej dziesięciu nauk oparta wizja naszego globu — po tysiącach lat. Rzecz zaczyna się po wojnie europejskiej, a kończy się — dostaję zawrotu głowy na myśl, kiedy się kończy. Napisał też Döblin wielki poemat hinduski pt. „Manas", powieść chińską „Die drei Sprünge des Wan-Lu", kilka powieści współczesnych, obrazujących życie Niemiec przed i po wojnie. W tej serii do najsławniejszych należy „Berlin-Alexanderplatz", rzecz w ro-

dzaju „Ulyssesa" Joyce'a, niesłychane przedsięwzięcie językowe, istna dżungla ludzka, nieludzka, nadludzka, podludzka, wielka symfonia patetyczno-komiczna, instrumentowana na wszystkie narzędzia głosowe, jakimi rozporządza współczesne życie. Ostatnio wydał Döblin pierwszą powieść z większego cyklu historyczno-legendarnego o zagładzie czerwonoskórych plemion Ameryki Południowej i podłości białej rasy, która te plemiona wytępiła. Wielki artyzm Döblina, jego oryginalność, zdolność operowania fantastyką tak, jakby jej elementy należały do jakiejś ścisłej dyscypliny, czynią zeń w współczesnym piśmiennictwie niemieckim zjawisko jedyne, niepowtarzalne. Przed kilku laty mieliśmy zaszczyt goszczenia Döblina w Polsce. Pisarz zwiedził kilka naszych miast. Był również w Zakopanym. Owocem tej podróży jest piękna książka pt. „Reise in Polen", nacechowana prawdziwą życzliwością dla naszego kraju, któremu w oczach niemieckiego autora nie brak egzotyki.

Georges Duhamel może uchodzić za przeciwieństwo Döblina. Spokojny, opanowany, subtelny, mieszczański, wzniosły, członek Akademii Francuskiej, w czasie wojny światowej pełnił służbę lekarza wojskowego na froncie. Wykonał — jak sam podaje — przeszło tysiąc dwieście operacji. To, bogate w krew bliźniego, doświadczenie zaciężyło na całej jego twórczości i nadało jej szlachectwo. Nauczyło Duhamela współczucia każdemu cierpieniu i pobłażania każdej ludzkiej słabości. Jednocześnie napełniło go gniewem na wszystkie siły, zagrażające ludzkiej moralności. Z głębokiego współczucia wywodzi się integralny pacyfizm Duhamela. W przejmujących opowiadaniach, zebranych w dwóch tomach pt. „La vie des martyrs" i „Civilisation" opisał Duhamel osobiste przeżycia na wojnie, milcząc o sobie, a udzielając głosu swym pacjentom. W zetknięciu z cierpiącym żołnierzem, zaobserwował Duhamel najwyższe cnoty ludzkie, jak i najniższe upadki. Na szerokie wody artyzmu wypłynął wszakże w pięciotomowym cyklu powieści pt. „Vie et aventures de Salavin". Są to patetyczne i burzliwe, czasem groteskowe dzieje pewnego drobnomieszczanina paryskiego, który pragnie zostać świętym. Przenikliwą obserwacją stanów ekstatycznych na pograniczu obłędu zbliża się tu Duhamel do Dostojewskiego, ale nigdzie nie opuszcza go klasyczny umiar, nigdzie nie ponosi go namiętność. W każdej sytuacji, którą stwarza, jest Duhamel klasykiem. Ludzie jego zdolni są do najwyższych poświęceń i do najpodlejszych zbrodni. Wszelako autor, mimo iż jest moralistą, rzadko wybucha gniewem. Od rozpaczy ratuje się humorem i samym artyzmem. Pełnię tego artyzmu ujawnia Duhamel także w drugim cyklu powieści, nieskończonym jeszcze pt. „Chronique des Pasquier".

Dotychczas wyszło sześć tomów. Są to dzieje mieszczańskiej rodziny, rzuconej na tło wypadków historycznych, na razie w latach 80-tych i 90-tych. Przez powieści te przewijają się postacie, które w owym czasie odegrały ważną rolę w dziejach cywilizacji (Pasteur, Débussy). Jest to więc kronika nie tylko rodziny paryskiej, ale kronika samego Paryża między wojną 1870-1871 roku a wojną światową. W obu cyklach odnajdujemy czułą rękę nakreśloną i z lekka tylko zamaskowaną sylwetkę mistrza Duhamela z czasów jego medycznej młodości: Charles Nicolle'a.

Jakże odmienny jest Céline i jego świat. „Podróż do kresu nocy" — to Boska Komedia, ale bez „Czyśćca" i bez „Nieba". Inferno bez granic. Inferno lekarza, którego praktyka na peryferiach Paryża staje się źródłem tragedii. Céline, lekarz ubogich, nie zna współczucia ani dla świata, ani dla siebie samego. Świat, osobliwie świat współczesny, wojenny i powojenny — to dla Céline'a organizm w ostatnim stadium gangreny. Organizm słusznie skazany na nieuchronną zagładę. Céline uważa całe życie człowieka za „Śmierć na raty" *(Mort à crédit)*. Céline — to wielki prosektor w literaturze świata. Obie jego powieści: „Voyage au bout de la nuit" i „Mort à crédit" — to obdukcje, wykonane na żywym trupie ludzkości. Ostatnio wydał Céline swoją tezę doktorską pt. „Życie i dzieło Fr. I. Semmelweissa", poprzedzoną krótką, ale niezmiernie gwałtowną inwektywą przeciw komunizmowi i Rosji Sowieckiej. Czytając „Życie i dzieło F.I. Semmelweissa", przekonywamy się, że Céline, zanim znienawidził i przeklął ludzi, potrafił się wzruszać dolą i bohaterstwem tych, którzy pragnęli nieść ludziom ulgę. W jego oczach Semmelweiss właśnie padł ofiarą zawiści i podłości lekarzy, od których był mądrzejszy i szlachetniejszy. Obłędem i śmiercią zapłacił nieszczęsny odkrywca przyczyn gorączki połogowej za swą miłość do ludzi. Ta krótka rozprawa Céline'a brzmi jak wspaniała „Eroica" na cześć węgierskiego ginekologa.

KAROL SZYMANOWSKI I JEGO ŚMIERĆ

Śmierć nie patrzy na kalendarz. Nie zna różnicy między dniem powszednim a świątecznym. W samo święto Zmartwychwstania zabrała Karola Szymanowskiego.

W te dni krążyliśmy w Zakopanem dokoła góralskiego domu na Kasprusiach, zwanego willą „Atma". Nieduża czarna chorągiew powiewała z „Atmy", po prostu, bez patosu, jak gdyby swą domową żałobę chciała narzucić samym Tatrom i budzącej się wiośnie. Cisza była w przyrodzie. W tej ciszy wydawało się, że ze skromnych zabudowań gazdowskich, z „Atmy" i z przyległej do niej szopy czy wozowni, ulatniają się resztki owej niewidzialnej substancji, którą ta zagroda, dzięki Szymanowskiemu, napełniona była przez wiele lat. Jakiś wywar czarnoksięski, wywar z mocnych górskich dźwięków, napełniał swym nieuchwytnym aromatem rudą ziemię, uwolnioną od śniegu, i czuło się obecność artysty, który tu stworzył „Harnasiów", a w owej chwili leżał już trupem o tysiąc kilometrów stąd w deskach z szwajcarskich drzew. Duch tego artysty zdawał się błądzić jeszcze pod reglami, wydzieliwszy z siebie ową tajemniczą substancję, która nie jest ani ciałem stałym, ani płynem, ani lotnym gazem, lecz, jak przekonywał nieszczęsny Spandrell z Huxleyowskiego „Point Counter Point" — ostatecznym dowodem istnienia Boga. Ta dźwięczna substancja przedostała się już do nas, do naszych wnętrz, gdzie odtąd będzie działała niezależnie od partytur i koncertów. Oto najpiękniejsza forma przetrwania. Do puścizny muzyka bowiem nie trzeba podchodzić jak do obrazu, ani zaglądać jak do książki: żyje w nas melodiami, barwą dźwięków, przychodzi do nas sama, nieproszona, niewołana. W jakich to miejscach na świecie, w jakich okolicznościach życia zadźwięczysz mi w uszach, pojawisz się nagle na mych wargach i niby kolorowy ptak, o wielki Karolu, sfruniesz na mnie muzyką, która jest

samą wolnością w tym świecie spętania, w tym świecie kamieni u nóg?

◆

Tu na tej ziemi mogił i krzyżów (w ostatnich czasach — krzyżów zasługi) śmierć artysty bywa nie tylko klęską i zubożeniem, lecz jego awansem, rangą u potomności. Wiele refleksji na temat pewnych cech naszego usposobienia obudziła nieproporcjonalność przepychu żałobnych uroczystości ku czci Szymanowskiego — do roli, jaką ten wielki artysta odgrywał u nas za życia. Jesteśmy narodem jak gdyby wyspecjalizowanym w *żegnaniu*. W witaniu wielkich talentów, w dodawaniu im otuchy, nie mamy wprawy. Umiemy urządzać wspaniałe pogrzeby, niech mi wolno będzie podejrzewać nas o delektację tymi pogrzebami. Warto by się zastanowić nad sensem hołdów pośmiertnych i żałobnych obchodów. Komuż, jeśli nie samym sobie, odprawiamy słynne ze wspaniałości panichidy? Jest w tym coś ze zbiorowej nekrofilii. Bo wielki nieboszczyk, zgodnie z pojęciami przyjętymi w świecie chrześcijańskim, nie widzi, nie słyszy tego wszystkiego, czym go raczymy. Specjalnością naszą jest niedocenianie życia artysty, a przecenianie jego śmierci. Sobie, sobie przede wszystkim fundujemy te wonne kadzidła, spalane przeważnie w słowie drukowanym — ku czci zmarłego artysty. Można by zaryzykować paradoks, iż wyżywamy się w śmierciach. W tym biednym kraju, gdzie tylu ludzi żyje bez chleba i soli do chleba, tłum uliczny woła: *Panem et obsequia!* Nic dziwnego przeto, że tzw. rytm życia często nagina się u nas do rytmu śmierci. Wiele ulic w naszej stolicy robi wrażenie alei cmentarnych. Posłuchajmy przez radio przemówień, odczytów lub nawet zwykłych komunikatów, a zmrozi nas ponury ton pogrzebowych oracji.

Niewątpliwie pokutują w nas pewne zastarzałe uprzedzenia czy też przesądy, zwłaszcza w odniesieniu do muzyki. Ogół (a wiemy że ogół nie jest muzykalny) żyje w mniemaniu, iż poważna muzyka pochodzi wyłącznie od umarłych. Życiu, współczesności odmawia ogół wszelkiej magii. Kto wie, czy właśnie ten moment nie odegrał roli w nagłym wybuchu uwielbienia nieżyjącego Szymanowskiego u tych, którym jego muzyka była zawsze obca. Oczywiście fakt, iż była obca przemawia tylko na jej korzyść. Szeroki ogół tak się przyzwyczaił do patetycznych figur i gipsowych statuetek dawnych wielkich kompozytorów, iż nie potrafi sobie wyobrazić „czarodzieja tonów" z krwi i kości w postaci eleganckiego pana z wąsikami. W programach koncertów symfonicznych i kameralnych, w recitalach solistów przeważają dzieła wielkich

umarłych. Tak przecież wygląda w praktyce nieśmiertelność. Nie ma dnia ani wieczoru, żeby co najmniej w stu miejscach niemuzykalnej Polski nie grano równocześnie utworów Chopina. Skoro ogół wie o tym, że Chopin nie żyje, więc wyobraża sobie, iż kompozytorowie w ogóle nie żyją. Sceptycyzm wobec żyjących twórców istniał zawsze. Nigdy ludzkość nie ufała tym swoim dobroczyńcom, których miała sposobność oglądać w ich doczesnej ułomnej postaci.

Szczególnie pospólstwo miejskie kocha się w nieboszczykach, bez względu na to, kim oni byli za życia. Pełniąc wraz z trzema innymi panami straż honorową przy trumnie Szymanowskiego w konserwatorium warszawskim, miałem sposobność obserwowania objawów warszawskiej nekrofilii. Tłumy kumoszek, dozorczyń, bab, wykarmionych muzycznie różnymi hopsztyndrami, defilowały często z niemowlętami na ręku przed umarłym twórcą „Metop", „Pieśni Hafisa" i IV Symfonii. Jakież rozczarowanie malowało się na twarzach tych babin, gdy przekonały się, że trumna jest zamknięta, a zamiast nieboszczyka we fraku muszą oglądać żywego Mariusza Maszyńskiego, Jana Nepomucena Millera, mnie i jeszcze jakiegoś pana z konserwatorium. To pierwsze, zapewne jedyne zetknięcie się warszawskich nekrofilów z twórcą „Harnasiów" było niezwykle żenujące, jeśli nie koszmarne. Nigdy babiny nie dowiedziałyby się o istnieniu Szymanowskiego, gdyby nie to, że w sensie biologicznym przestał istnieć. Ale nie tylko o babiny chodzi. Sublimowany artysta, tego typu, co Szymanowski, Débussy, Mallarmé w każdym społeczeństwie jest ciałem obcym, ciałem astralnym, ciałem niebieskim. I nie trzeba się dziwić, że nie może znaleźć sobie miejsca na ziemi, skoro takiego miejsca, gdzie by czuł się „u siebie", wcale nie ma. Losem artystów tego typu nie są kariery życiowe, ani sytuacje społeczne. Ich los mieści się w innych wymiarach. Ładnie to określił Andrzej Towiański („O znaczeniu sztuk pięknych, szczególnie muzyki dla zbawienia człowieka"): „Prawdziwy artysta jest gwałtownikiem, porywającym skarby z królestwa niebieskiego, które gwałt cierpi". Tak jest — w tym znaczeniu cichy, wytworny, łagodny Karol Szymanowski był gwałtownikiem.

A ci, którym życie jego było równie drogie jak jego twórczość, zawsze z najgłębszym żalem wspominać będą jego przedwczesną śmierć. Tę śmierć, co wielu Polakom powiedziała, że był i — po części również — kim był.

1937

PAMIĘCI PIEWCY POWIŚLA

Z wszystkich dróg kamiennego świata miast, po których wypadło mi w tym życiu błądzić, najmniej czarowały mnie ulice Warszawy. Ich bruk, ich asfalt rzadko uskrzydlał me stopy. Wlokłem się po nim, jakby obciążony kamieniami, przy których pomocy los chciał mnie strącić na samo dno desperacji. Zawsze też w Warszawie głuchy byłem na to, co literaci zwykli nazywać melodią miasta. Właściwie dobrze słyszałem tę melodię, ale wolałem jej nie słuchać.

Być może, iż padłem ofiarą rozczarowań. Z rzeczywistą Warszawą nie łączy mnie żadne wspomnienie młodości. Wiele natomiast wspomnień łączy mnie z Warszawą, opisywaną przez poetów i powieściopisarzy. Dla młodzieży, wychowanej w przedwojennej Galicji, Warszawa była siedliskiem samych bohaterów, samych męczenników. Tu przez cały Boży rok spełniał się Listopad, tu trwała wieczysta mgła, mleczna, opalowa, rozbłyskująca ogniem karabinów, zdobytych owej nocy w Arsenale. Pożar na Solcu nie dawał się ugasić. W alejach Ujazdowskich szumiały nie samochody, nie tramwaje, lecz skrzydła Nik. Tak to wyobraźnia, obficie karmiona literaturą, zbudowała sobie z placów i ulic Warszawy fantastyczną scenerię dla widowisk, które w rzeczywistości były dramatami realistycznymi. To miasto przez długi czas było dla nas upoetyzowanym terenem powstań i „krwawych śród". Nawet brzmienia tak ponure, jak Pawiak i Cytadela, romantycznie drażniły ucho.

Nie można winić dzisiejszej, prawdziwej Warszawy, że jest tak bardzo niepodobna do swych odbić w literaturze. A może zamiast rozpamiętywać minione aspekty miasta, należałoby cieszyć się z teraźniejszego? W każdym razie oblicze Warszawy, jej kamienna — jeśli tak rzec wolno — cera, nie afiszuje minionych przeżyć, niechętnie zdradza swą głębszą treść, ukrytą pod skórą, pod brukiem.

Dziś Warszawa wydaje mi się najpiękniejsza tam, gdzie przypomina inne miasta. Niekiedy przystaję sobie u zbiegu ulic Kopernika i Tamki, aby przez chwilę oddać się złudzeniu, że jestem w Paryżu. Do parku Skaryszewskiego chodzę po iluzję Lwowa.

Tak, to dawni piewcy Warszawy — Słowacki „Kordiana", Wyspiański „Nocy Listopadowej", Prus, Gomulicki, Or-Ot — sprawili, że dzisiaj zawiedziony chodzę jej ulicami. Może córka moja, tutaj urodzona, odczuje kiedyś ich urok.

Nie rozczarował mnie Żeromski. Nie rozczarował mnie również piewca Powiśla: Uniłowski. Z siłą, jaką daje tylko miłość prawdy, ujawnił on romantyczną grozę czy też groźny romantyzm ponurego siedliska nędzy, co rozsiadła się nad brzegami jednej z najpiękniejszych, ale i najsmutniejszych rzek w Europie. Sugestia, jaką wywiera lektura „Dwudziestu lat życia", jest tak mocna, iż trudno nam już będzie chodzić po Powiślu samemu. Gdy zapuścimy się w tamte strony zawsze nam już chyba będzie towarzyszył mały tubylec z ulicy Leszczyńskiej, krew z krwi tego nędzarskiego plemienia, podwórzowy fabrykant papierosów, robionych z niedopałków: Kamil Kurant.

Warszawa widziana oczami tego dziecka jest Warszawą prawdziwą, beznadziejną, dzisiejszą. A że te oczy należały do artysty — to tajemnica pierwiastków autobiograficznych powieści Uniłowskiego, tajemnica, której nie śmiemy wentylować.

Wyznaję, że dopiero po przeczytaniu „Dwudziestu lat życia" zapragnąłem poznać bliżej powiślańską dzielnicę. Myślę, że nie byłem jedynym czytelnikiem tej książki, którego ona do tego nakłoniła. I stało się to, co staje się nieraz dzięki dobrej literaturze. Domy, podwórka i ludzie, płoty, zwierzęta i rzeka — wszystko przemówiło do mnie językiem Uniłowskiego. Dzięki niemu odkryłem osobliwy czar tego odcinka odartej z czaru Warszawy. I nieraz zapewne, gdy nocą wracać będziemy z teatru „Ateneum" w górę miasta, do tych dzielnic, które biednemu Kamilowi Kurantowi marzyły się, jako wyższe regiony ziemskiego bytu — zamajaczy nam w migotliwym świetle gazowej latarni na Solcu cień pisarza, który o tyle lat za wcześnie nas opuścił.

◆

Tysiące lat temu przywędrowały do Polski, wraz ze skandynawskimi lodowcami, głazy narzutowe, zwane w Skandynawii *rapakawi* — co znaczy „zgniły kamień". Lody stopniały, wody spłynęły, kamienie zostały. Nazywamy je kocimi łbami. Przed stu

laty takimi kamieniami opłacały furmanki myto przy wjeździe do miasta. Za czasów Mickiewicza wjazd do Wilna kosztował trzy kocie łebki. Służą one do brukowania ulic. Całe Powiśle wybrukowano kocimi łbami. Niekiedy ludzie wywierają z ich pomocą nienawiść na ludziach.

Jakaś ręka ludzka, zaufawszy prawu grawitacji oraz kruchości i podatności szkła, podniosła taki kamień z warszawskiego bruku i stłukła nim szybę, za którą wystawiono na pokaz publiczny podobiznę, książki i rękopis zmarłego piewcy Powiśla. Tak oto bruk warszawski, twardy jak wszelki kamień, pożegnał pisarza, który mu oddał swe serce.

1938

O FRANCISZKU FISZERZE

Trudno pogodzić się z faktem, że Franciszek Fiszer nie żyje. Wydawało się bowiem, że ten wulkan w ludzkim ciele nigdy nie wygaśnie, że „Franc" jest nieśmiertelny. Tyle życia w nim było. I jakiego życia!

W cieniu majestatycznej postaci, jak w cieniu rozłożystego dębu, który nikogo nie oniemieśla, nikogo nie przytłacza, czuliśmy się niekiedy, jak istoty karłowate, ułamkowe, zdefektowane, pozbawione ważnych, chociaż nieznanych nam nawet organów żywotności. Patrząc na Fiszera rozumieliśmy, ile brakuje nam do pełni człowieczeństwa, tak pięknie urzeczywistnionej w tym wspaniałym mężu. Na odległość buchały zeń ognie życia. Chodził po świecie, niczym potężny piec z krwi i kości. Piec, w którym spalały się, przetapiały i tężały szlachetne kruszce i energie.

Kim był właściwie ów brodaty olbrzym, który trzem pokoleniom artystów i poetów polskich towarzyszył niby pogodne, opiekuńcze bóstwo domowe? Powiedzieć, że — filozofem, z gatunku perypatetyków, lub czymś w rodzaju Sokratesa ziemi łomżyńskiej — to mało! Że poetą, który nie pisywał wierszy — też nie wiele! A nazwać go smakoszem, pochłaniaczem uroków życia i sztuki, byłoby dotkliwą krzywdą. Albowiem Fiszer nie tylko konsumował życie i nie tylko smakował cudze myśli — on bezustannie tworzył. Czym, jeśli nie twórczością, jest podniecanie ludzi do życia, myślenia, twórczości? Dziesiątki i setki ludzi pobudzał Franc swymi ideami, swą słynną metafizyką, swymi paradoksami i najprzedniejszym humorem. To był wielki twórca — nie wierszy, nie książek, nie obrazów, lecz — *atmosfery*, sprzyjającej powstawaniu dzieł sztuki.

Obecność jego wpływała pobudzająco na mózg i wyobraźnię. Franc był idealnym lekarstwem na zwątpienie artysty we własne siły. Po rozmowie z nim artysta wracał do pracowni, umocniony w przekonaniu, iż pracą swą spełnia ważną, wszech-

światową misję. Entuzjazm Fiszera dla poezji płynął z źródeł głębszych, niż nigdy nie zaspokojony głód wrażeń. Fiszer współtworzył każdy utwór, którym się zachwycał i który recytował potężnym basem. Do każdej zwrotki poety dodawał siebie, stwarzał jakiś nieuchwytny akompaniament, amplifikujący częstokroć zupełnie błahe słowa. Wystarczyło, żeby Franc wygłosił parę obojętnych zdań wierszowanych, które uważał za dobrą poezję, a zdania te rzeczywiście stawały się dobrą poezją. Niejednokrotnie Fiszer bywał dla obcych słów tym, czym w teatrze bywa oświetlenie dla malowanej dekoracji.

Zazwyczaj przewodził rozmowie toczącej się w jego towarzystwie. I tu sama obecność jego wystarczała, żeby błahostki nabrały wielkiej wagi. Zresztą trudno było przy nim mówić o rzeczach, które go nie interesowały. Przeważnie narzucał temat rozmowy, a choćby ów temat był nie wiem jak stary i zużyty, sto razy przemełty — w ustach Fiszera odmładzał się, odkwitał.

Rozmowa z Fiszerem, o ile był dobrze usposobiony, należała do przygód. Nigdy nie można było przewidzieć pointy, którą zakończy swój wywód. Największym jego wrogiem była nuda. Wobec człowieka, który go nudził, bywał okrutnie złośliwy. Ale złośliwość Fiszera, odznaczała się idealną bezinteresownością. W ogóle o Fiszerze można by powiedzieć, że posiadał bezinteresowną duszę.

Wiadomo, iż ostatnie lata życia spędził w niedostatku i wiadomo, że posiadał niegdyś dużą fortunę. Znałem go właśnie w ostatnich piętnastu latach. Zachowywał się jak wielki pan, jak król, czasowo pozbawiony królestwa. Ci, co go znali dawniej wiedzą, iż za swych dobrych czasów zachowywał się tak samo, jak pod koniec życia. Zawsze nosił wysoko swą Jowiszową głowę. Jak szczodry tytan podawał serdecznie olbrzymią rękę, tę rękę, która wedle jego własnych słów „pracą nigdy się nie zhańbiła". Wielu z nas darzył przyjaźnią. Był z nami na „ty". Coś wzruszającego było w bruderszaftach starca, zawieranych z ludźmi o pół wieku od niego młodszymi. Tą formą obcowania znosił nie tylko wszelkie różnice wieku i dystanse towarzyskie, tykanie wypływało u niego z głębokiej potrzeby młodości, przyjaźni, demokracji w tym znaczeniu, jakie demokracji nadał Walt Whitman. Każdy człowiek, choćby i smarkacz, który w opinii Fiszera nie był „idiotą", stawał się jego kolegą.

Gdyby wizyta Thomasa Manna w Warszawie nie nastąpiła po napisaniu „Góry Czarodziejskiej" moglibyśmy przypuszczać, iż właśnie Franciszek Fiszer służył niemieckiemu pisarzowi za model do Mynheera Peeperkorna. Te dwie potężne postacie są

łudząco do siebie podobne. Taki sam szeroki gest, taka sama swada i te same kaskady śmiechu, zalewające tragedię istnienia Zdaje mi się, że na pytanie: kim właściwie był Franc Fiszer?, najtrafniej odpowiemy definicją Peeperkorna: „To była osobistość wielkiego formatu".

W ostatnich latach przyjeżdżał Fiszer do Warszawy na dłuższy lub krótszy pobyt, z majątku ziemskiego pod Ostrołęką, gdzie, jak głosi legenda, przeważnie leżał w łóżku i pochłaniał góry książek. Ilekroć pojawiał się na warszawskim bruku, natychmiast bruk ten zmieniał farbę. Fiszer bowiem malowniczą swą postacią upiększał pejzaż starej Warszawy. Obecnością swoją cofał wstecz nasze czasy, przenosił je w jakiś idealny wiek Oświecenia. Wytwarzał wokół siebie nie każdemu dostępną strefę wolności ducha, którą dzieci nasze będą znały już tylko z literatury. Ten zapamiętały „metafizyk" a jednocześnie namiestnik Woltera na województwo warszawskie, stanowił klasyczne zaprzeczenie „szarego człowieka". Wszystko w nim i na nim było barwne, bujne, kwieciste, plastyczne, pełne blasku i rozmachu. Nieodstępny czerwony goździk w klapie jego zniszczonego surduta, to żywy symbol młodości, a jednocześnie symbol odrazy Fiszera do wszystkiego, co bezbarwne i płaskie. Kwiat ten zdawał się kiełkować w nim samym, gdzieś w gąszczu farbowanej brody. Z tą czerwoną wonną plamą na szarym tle naszej cuchnącej epoki, oddajemy Franciszka Fiszera wieczności.

Franciszek Fiszer nie tylko żył poezją, skonał również na jej łonie. Pewien katolik zapytał mnie, czy to prawda, że Fiszer, który uchodził za ateusza przyjął przed śmiercią Ostatnie Sakramenty.

— Nie wiem — odparłem — czy przyjął Święte Sakramenty Kościoła, ale wiem na pewno, że przyjął sakramenty świeckie. Albowiem w agonii szeptał wiersze. Zmarł opatrzony Poezją, która niekiedy też zbawia ludzkie dusze.

1938

LEKCJA STRUGA

Cień, w którym Andrzej Strug spędził dobrowolnie ostatnie lata swego życia, należał do najjaśniejszych miejsc w Polsce. Niejeden człowiek zmrożony beznadziejnością „czasów pogardy", grzał się w tym cieniu i odnajdował siły, niejeden charakter bliski załamania hartował się w autentycznym blasku tego cienia. Jasna głowa twórcy „Dziejów jednego pocisku", w ostatnich latach niestety widoczna przeważnie w pozycji leżącej, była dla wielu Polaków symbolem czuwającej prawości i źródłem otuchy.

W kraju, gdzie tchórzliwość cywilna zaczyna już niekiedy uchodzić za przyzwoitość, istniał Strug jako żywy przykład innej przyzwoitości, tej, która bywa synonimem odwagi. W piśmiennictwie, w którym zaczynamy oddzielać „człowieka" od pisarza w człowieku, trwał Strug i przetrwa jako wzór zgody między tym, czym się jest, a tym, co się pisze i głosi. Wysoką rangę pisarską zdobył sobie Strug językiem, który mu służył wyłącznie do mówienia prawdy. W innych czasach byłby to objaw naturalny, byłaby to cecha charakterystyczna naszego zawodu. Dziś jednakże musimy tę cechę specjalnie podkreślać. Stwierdziliśmy bowiem już niejednokrotnie istnienie w dzisiejszym świecie takich pisarzy, którym język służy nie tylko do wyrażania ich prawdy, ale i do podlizywania się kłamstwu. Zwłaszcza, gdy to kłamstwo płaci. Tak więc popularne powiedzenie o pisarzu, że „dobrze włada językiem", nabiera w świetle próchna naszych dni — dwojakiego znaczenia. Słusznie zauważył Leon Kruczkowski, pisząc o Strugu, że, gdy składamy hołd jego pamięci, sławimy jego cnoty i charakter, wówczas mówimy przede wszystkim o tym, czym nie był. Tak jest: Strug był *niezłomny*, *nie* ugięty, *nie* przekupny. Nie ubiegał się o zaszczyty, ani o tytuły. Służył swej prawdzie bezinteresownie, bez względu na okoliczności, w jakich ta prawda się znalazła. Nie zajmował się twórczością literacką dla kariery, jaką niektórzy pragną z po-

mocą tej twórczości zrobić. Nie uczestniczył w bankietach, piękną swoją głową nie zdobił salonów dyplomatycznych. Był wielkością wyniesioną przez własną zasługę. Żył za dziesięciu, a umarł za stu. Śmierć jego bowiem wytworzyła lukę większą niż ta, jaką zostawia po sobie jeden pisarz, choćby i bardzo znamienity.

Był to jeden z owych wielkich Polaków, z których dumny powinien być prawdziwy patriota. Patrząc na życie Struga, które było życiem bojownika, typu u innych narodów nie często spotykanego, można się rozkochać w polskości. Jeszcze jeden szlachcic, który ofiarował talenty i serce — proletariatowi. Wielu takich szlachciców zna niewybudowany dotąd Panteon polski.

Nic ludzkiego nie było Strugowi „moralnie obojętne". Żył pełnią życia tzn. pełnią krzywdy, krzywdy i jeszcze raz krzywdy, oraz tą odrobiną człowieczej doli, która nie jest krzywdą.

Znakomity pisarz francuski Jean Schlumberger zastanawiał się nad coraz bardziej dominującą cechą w literaturze francuskiej, nad cechą, którą nazwał *le misérabilisme*. Chodzi mu o biedę, o nędzę w najszerszym zakresie tego pojęcia, zarówno o nędzę i ubóstwo fizyczne, jak i moralne. Ileż tego mizerabilizmu w literaturze Polski porozbiorowej! Nędza niewoli politycznej i nędza metarialna, ubóstwo ducha, Pawiaki, Cytadele, Sybiry i kajdany, Konopnicka i Żeromski, „cierpiętnictwo". Wielki jest zaduch biedy na polskim Parnasie. Nasze Muzy chodziły i chodzą w podartych kieckach i mają ręce popękane od ługu. Strug był też mizerabilistą, ale umiał przezwyciężyć cierpiętnictwo. Świadczy o tym jego twórczość beletrystyczna, której bohaterami są działacze niepodległościowi i ludowi, świadczy o tym całe jego życie, którego bohaterem była jego wielka i szlachetna dusza. Dziwnie harmonijne wydaje się nam to życie, zwłaszcza na tle naszych stosunków, gdzie sporo wybitnych ludzi zrobiło nam niespodzianki pod względem moralnym. Między Strugiem-towarzyszem Augustem, a Tadeuszem Gałeckim, synem ziemiańskiego dworu, między ułanem Beliny, peowiakiem a senatorem-pacyfistą, nie ma dysonansów. To zawsze był jeden człowiek.

Straciliśmy w nim przede wszystkim ogromny autorytet moralny, więcej: Strug był nie tylko autorytetem moralnym, ale jak gdyby odczynnikiem *naszej* moralności pisarskiej, odczynnikiem, zabarwiającym sobą atmosferę, w której wypadło nam pisać i zmagać się z demonami ciemności. Dziedziczymy po nim zaszczytny obowiązek walki przeciw wszystkim ciemnym siłom, zagrażającym dobremu imieniu naszego piśmiennictwa, przeciw siłom, którym za wielki zaszczyt czynimy, nazywając je siłami, albo-

wiem są to wyolbrzymione produkty słabości, tchórzostwa i strachu.

Struga nie żegnamy. Żegna się kogoś, kto ubył na zawsze. Ze Strugiem ubyła tylko jego ziemska powłoka, tak bohatersko w ostatnich latach zmagająca się z chorobą i śmiercią. Ale to, co stanowiło istotny i, do pewnego stopnia, metafizyczny sens jego życia, zostało z nami. I oby rozmnożyło się w wielu Polakach.

1938

ODON VON HORVATH

Przed laty mniej więcej dziesięciu pojawiła się w Europie książka młodego podówczas Amerykanina Thorntona Wildera, pt. „Most San Louis Rey". Gdyby słowo „hałas" nie obrażało godności tej cichej i pokornej książki, można by rzec, że narobiła ona hałasu w środowiskach, rozmiłowanych w dobrej literaturze. Przetłumaczono ją również na język polski, ale nie wywołała u nas trwalszego rezonansu. Fabuła jej opiera się na prawdziwym zdarzeniu, na nieszczęśliwym wypadku, jaki — mówiąc gwarą gazet: „miał miejsce" w XVIII w. w stolicy Peru, Limie. Pewnego dnia urwał się tam most, rozpięty nad przepaścią, prastary, z wikliny pleciony most imienia świętego Ludwika Króla. W owym czasie istniały w Limie jeszcze inne mosty, wygodniejsze i bardziej bezpieczne. Toteż ludzie, drżący o swoje życie, starali się unikać mostu świętego Ludwika Króla. A jednak w chwili, gdy runął, przechodziło po nim pięciu śmiertelników różnego wieku, obojga płci i nierównej kondycji społecznej. Wszyscy zginęli tą samą śmiercią.

Thornton Wilder delikatnie i kunsztownie opowiedział dzieje tych pięciu ofiar. Przedstawił ich żywoty, ich tragedie, z których wynika, iż śmierć, jaką ponieśli, wcale ich nie zaskoczyła. Nie był to bezmyślny, nieludzki przypadek, lecz logiczna konsekwencja, nieomal naturalne uwieńczenie ich ziemskiej wędrówki. Takt wielkiego artysty nakazał Wilderowi wprowadzić do książki naocznego świadka katastrofy, w postaci Franciszkanina, brata Junipera. Braciszek ów postawił sobie za cel życia dowieść, że katastrofa nie była dziełem ślepego trafu, lecz spełnieniem Boskiej woli, i że ofiarą jej paść musieli właśnie ci ludzie i tylko ci ludzie, a nie inni. Na ten pasjonujący temat napisał Franciszkanin obszerny traktat naukowy, grube tomisko, które oczywiście spłonęło na stosie *auto-da fé*. Wilder napisał niewielką książkę, która utonęła w niepamięci polskich czytel-

ników. Sprzyja w niej autor koncepcji biednego brata Junipera, lecz mimo to zostawia lekko uchyloną furtkę dla sceptyków. „Albowiem jedni twierdzą, iż nie wiemy nic i jesteśmy dla bogów tyle, co owe muszki, które letnią porą chłopcy chwytają w locie i zabijają. Inni natomiast są zdania, że nawet wróbelek nie gubi jednego piórka, którego by nie musnęła dłoń Boga".

Książka Wildera przypomniała mi się przed kilku miesiącami na wieść o nagłej śmierci młodego pisarza niemieckiego (z pochodzenia Węgra) Odöna von Horvatha. Sądząc po jedynej znanej mi książce, należał Horvath do tych poetów, co „czyhają na Boga". Na elizejskich polach chrześcijaństwa dowiedział się już zapewne, dlaczego musiał zginąć w 37-ym roku życia na Polach Elizejskich Paryża. Dlaczego, tuż przed teatrem Marigny, uderzył go w głowę spadający konar kasztana.

Czy śmierć von Horvatha podobnie jak śmierć pięciu ofiar z mostu świętego Ludwika Króla dokonała się według Boskiego, z góry ułożonego, planu? Pięciu Limańczykom przyniosła ona wybawienie z życia pełnego udręki, nic nam natomiast nie wiadomo o tym, że i poeta niemiecki pragnął umrzeć. Byłoż to spełnienie powziętego w niebie zamiaru, czy tylko bezmyślny przypadek sprzymierzony z prawem grawitacji? Prawo grawitacji! Gdyby najwyższy dawca praw, którymi rządzi się przyroda, chciał, mógłby dla Horvatha uczynić wyjątek. Mógłby w ogóle znieść prawo powszechnego ciążenia i, zamiast konary strącać na głowy poetów, unosiłby je w górę, ku Sobie. Gdyby chciał, mógłby nakazać odwrót wszystkim przedmiotom, spadającym na ziemię, i odtąd cegły nie leciałyby z dachów na ludzkie głowy, a bomby, rzucone z samolotów, zmieniłyby kierunek i, zamiast zapalać chińskie i nie chińskie miasta gubiłyby się w przestrzeni międzyplanetarnej. Gdyby chciał... Ale któż z nas zasłużył na tak łaskawą zmianę orientacji w prawach ciążenia? Okazało się, że nawet szlachetni poeci, do jakich należał von Horvath na to nie zasługują. Kto wie, czy nie jest to przekleństwo ziemi, kara za jej grzech pierworodny, iż wszelki ciężar, który na nią spada z wysokości, miażdży i zabija wszystko, co żywoistne? I muchę i poetę?

Może Horvath nazbyt żarliwie szukał Boga w świecie, na którym diabeł patrzy już nawet z oczu tzw. dziatwy szkolnej, i dlatego Bóg raczył mu przyśpieszyć spotkanie z Sobą na Polach Elizejskich? I zesłał burzę na Paryż i zerwał *une branche maîtresse d'un maronnier,* jak doniosły dzienniki?

◆

Odön von Horvath zasłynął przede wszystkim, jako autor dramatyczny. Przed kilku laty otrzymał nagrodę imienia Kleista. Nie znam dramatów Horvatha. Czytałem tylko jego bardzo piękną powieść pt. „Jugend ohne Gott". Po tym utworze, niezwykle lapidarnym i pełnym umiejętnie dawkowanych napięć, poznać można natychmiast, iż pisał go wytrawny autor sceniczny. Na pierwsze spojrzenie jest to tzw. dokument epoki. Powieść obyczajowa z życia (i śmierci) współczesnej „dziatwy szkolnej" w jednym z nieokreślonych bliżej państw totalnych. Z lekka zaprawiona elementem detektywnym, przypomina miejscami utwory G.K. Chestertona, który, jak wiadomo, z dużym powodzeniem uprawiał wysokogatunkową beletrystykę kryminalną. I tu i tam w chwilach decydujących następuje interwencja sił najwyższych. W świat zbrodni, sądu, sensacji, wciska się element magiczny. Powieść Horvatha — to dziennik pewnego nauczyciela. Początkowo nauczyciel ów uprawia konformizm, niezgodny z jego sumieniem i, za cenę chleba powszedniego, uczy dzieci fałszu. Ale w pewnej chwili nawiedza go Bóg i obdarza odwagą cywilną, bez której nie zawsze można walczyć o prawdę. I nie wszędzie. Jakoż relacja Horvatha o moralnych niedostatkach młodzieży, dojrzewającej do śmierci za ideę „wielkiego Plebejusza", urasta do rozmiarów tragedii.

Okrucieństwo dzieci było już niejednokrotnie przedmiotem literackiego opracowania. Zwłaszcza w ostatnich czasach udało się literaturze zburzyć prastary mit o łagodności nieletnich ludzi. Dusza dziecięca uległa niejako „odbrązowaniu". Okrucieństwo dzieci bywa przeważnie bezinteresowne. Niewinność, „czystość" młodych duszyczek nie tylko nie przeszkadza okrucieństwu, przeciwnie jeszcze je potęguje. Współczesne piśmiennictwo angielskie posiada prawdziwe arcydzieło na ten temat. Mam na myśli powieść Richarda Hughesa „Orkan na Jamajce". Poznajemy tu radość dzieci z cudzego cierpienia na tle awanturniczej przygody. Gromadka niedorostków, dostawszy się na okręt korsarski, korzysta tam z przyjaznej wielkoduszności kapitana i całej załogi, a potem patrzy z przyjemnością na zadawane tym ludziom tortury i świadczy w sądzie przeciwko nim. Ten, nie pozbawiony uroku amoralizm wypływa ze szczerego okrucieństwa dziatwy, jest ściśle prywatny i nie służy żadnym wzniosłym celom. Inaczej — w powieści Horvatha. Tu widzimy, jak „państwo totalne" potrafiło wyzyskać przyrodzone dzieciom okrucieństwo, zorganizować je i skierować w pożądanym kierunku. W takim państwie nad wychowaniem młodzieży pracuje nie tylko szkoła, ale i wszechwładne radio i „zglajchszaltowana" prasa oraz ulica,

z ciągłymi paradami i nawet dom rodzinny, żyjący w ustawicznym strachu przed denuncjacją. Dzieci pozbawione Boga z łatwością denuncjują własnych rodziców. Dzieci, ta chora krew z krwi nadaremnie przelanej na wojnie, która zakończyła się klęską, dzieci — ta kość spróchniała z kości pogruchotanych tankami. W takich krajach rosną młodziankowie, dla których mord nie jest ani grzechem ani zbrodnią, ani nawet moralnym wysiłkiem, wymagającym namysłu. Uczniowie ze szkoły, którą opisał von Horvath, mają dusze tak spreparowane, iż są gotowi zabić każdego, kto im ukradnie aparat fotograficzny lub pamiętnik. Takie zabójstwa mogą się zdarzyć wszędzie, są to zabójstwa w afekcie, lub z zemsty. Nowością w tej ponurej dziedzinie jest mord, popełniony z czystej, niewinnej, bezinteresownej, nieomal naukowej ciekawości: jak wygląda człowiek umierający. Taki właśnie przypadek stanowi jądro akcji w „Młodzieży bez Boga". Od Lafcadia Vluiki z „Lochów Watykanu" Gide'a do książki Horvatha możemy zanotować poważny postęp.

Jest w tej książce scena, która kiedyś powinna znaleźć się we wszystkich podręcznikach szkolnych. Pewien uczeń umiera. Przed opuszczeniem tego świata pragnie ujrzeć jednego tylko człowieka: słynnego bramkarza ze słynnej drużyny piłkarskiej. Życzeniu temu staje się zadość. Bramkarz, bohater naszych czasów, przybywa w porę i u łoża konającego chłopca opowiada szczegóły z wielkich meczów, rozegranych na szerokim świecie. Chłopak umiera w zachwyceniu, ukołysany, pocieszony pieśnią o goalach i karnych rzutach. Takiej to pociechy religijnej *in articulo mortis* doznają dusze młodzieży bez Boga.

1938

LIS, GOETHE I STAFF[1]

Niemal od początku swego istnienia dokucza poezja zwierzętom, zapominając o tym, że i Pegaz jest zwierzęciem. Dokuczliwość to wprawdzie moralna, ale kto, jeśli nie poezja, obdarzyła zwierzęta duszami na podobieństwo duszy człowieka? Byłażby to nieustająca zemsta za raj utracony lub za wątrobę Prometeusza? Jakim prawem poeci każą zwierzętom być ludźmi? Długoż to jeszcze będą załatwiali swe międzyludzkie porachunki, moralne i polityczne, na skórze, na sierści, na upierzeniu niewinnych kreatur? Doszło już do tego, że nawet ludziom dalekim od wszelkiej poezji, służą zwierzęta za umowne znaki w potocznej mowie, za symbole charakterologiczne, za synonimy. Na przykład: tchórz. Iluż to ludzi wie, że tchórz jest również zwierzęciem? A co w odniesieniu do człowieka oznaczają gęś, krowa, byk, hiena (wyborcza), zajęcze serce — o tym wie każdy osioł. Ilekroć poetom braknie odwagi atakowania bezpośrednio jakiejś cząstki natury ludzkiej, czy ustroju politycznego, uciekają się do zoologii. Powstają wówczas wierszowane bajki zwierzęce, fraszki, całe eposy satyryczne. Takie traktowanie zwierząt nie jest honorowe. Jest to wyzyskiwanie niemożności porozumienia się z nimi. Brak protestu ze strony zainteresowanej biorą ludzie za zgodę. Powstaje wówczas jednostronna konwencja, przypominająca uchwały parlamentu pod rządem dyktatury. Bo któraż świnia zgodziłaby się dobrowolnie służyć człowiekowi za symbol jego świńskości? Szafujemy bezkarnie nie tylko życiem zwierząt, ale również ich moralnością. Opieramy się przy tym na kruchej podstawie, przypadkowo zaobserwowanych odruchów, obyczajów, a szczególnie — cielesnych cech. Sądy o charakterze zwierzęcia wydajemy przeważnie według tego, jak to zwierzę do nas się odnosi. Koń

---

1. J.W. Goethe. *Lis Przechera*. Przekład wolny Leopolda Staffa. Warszawa 1935.

jest dlatego stworzeniem szlachetnym, bo daje się okiełznać i ulega naszemu batowi. Kot jest fałszywy, ponieważ okazuje nam dozgonną obojętność. Pluskwa jest ohydna, albowiem pije naszą krew. My też pijemy krew, lecz mamy o sobie lepsze mniemanie niż o pluskwie. Dlaczego nie sądzimy zwierząt podług tego, jak zachowują się wobec siebie samych? Istnieją przecież gatunki czworonogich gentlemanów, które nie cieszą się naszą sympatią. Jakbyśmy wyglądali w świetle krytyki zwierząt, opartej na naszym do nich stosunku? Obawiam się, że kiedyś nadejdzie taki dzień, gdy zaczną nas demaskować ssaki, ptaki, gady i owady. Biada nam, gdy na Sądzie Ostatecznym przemówią zwierzęta, skazane tu, na ziemi, na ryk, na wycie, na milczenie! Zeznania ich mogą być dla nas wielce kompromitujące. Nie pomogą wówczas żadne ligi, żadne towarzystwa ochrony zwierząt, żadne „dni dobroci". Choćby i całe tygodnie, miesiące dobroci! Nawet „Przyjaciel Psa"[2]! Byle pchła wyśpiewa o nas całą prawdę. Nie od dziś zresztą zastanawiam się nad tym, czy zwierzęta, zwłaszcza tzw. „nieodstępni towarzysze człowieka", nie stanowią tajnego wywiadu Pana Boga. Za cenę krwawych ofiar, jakie ponoszą z naszych rąk, złożą kiedyś o nas wyczerpujący raport.

Ale wróćmy do poezji. Od czasów „Batrachomyomachii", przypisywanej Homerowi, od czasów Ezopa i Arystofanesa, aż po La Fontaine'a, Goethego, Krasickiego, Kryłowa, Jachowicza, Lemańskiego, Benedykta Hertza, zawsze to samo: zwierzęta skazane na człowieczeństwo. Pośród nich przez literaturę światową przemyka się lis jako symbol obłudy i chytrości. Satyryczne epos Goethego stanowi tylko jedno z ogniw długiego łańcucha poematów i bajek o lisie. „Lis-Przechera" urodził się w Francji. W XII wieku założył on w jakimś klasztorze dynastię utworów wierszowanych i prozaicznych, opiewających jego sztuczki i nieprawości. Z klasztornej nory wyszedł na świat w dwudziestu sześciu postaciach rymowanych, które razem stanowią cykl pod nazwą: „Roman de Renart". Potem powędrował do Niederlandów, gdzie pod ręką Hinreka van Alkmar przemienił się w poemat „Van den Vos Reinaerde". Tam schwytał go jakiś anonimowy kleryk niemiecki i przetłumaczył na swój język. Od tego kleryka pożyczył sobie lisa Gottsched (1752) i wydał go prozą. Aż dostał się w potrzask samego Goethego (1794), który wpakował go do poematu w dwunastu pieśniach. Kosztem lisa, „Reinecke Fuchsa", oraz całego zespołu zwierząt rozprawia się

2. Redaktor „Wiadomości Literackich", w których był drukowany niniejszy artykuł redagował również z zamiłowaniem periodyk pod tytułem „Przyjaciel Psa".

niemiecki wolterianin z ustrojem absolutnym, z klerem katolickim i w ogóle z ludzkością. Reinecke — to wcielenie ludzkiej obłudy, świętoszkostwa, przewrotności, chciwości, żądzy krwi, władzy i zaszczytów. To przebiegły i wyrafinowany zbrodniarz, morderca i rozpustnik. Ale i reszta zwierząt nie lepiej się prezentuje. Król-Lew jest kretynem, tchórzem i chciwcem. Wymierza sprawiedliwość zależnie od własnej korzyści. Zwabiony obietnicami lisa uwalnia go od kary śmierci, co więcej, mianuje go najwyższym dostojnikiem w swoim państwie. Tak to pan hofrat Goethe ukazał triumf podłości i niesprawiedliwości ludzkiej, zwycięstwo zbrodni i pognębienie cnót.

A zwierzęta cierpliwie to znoszą.

Goethe Goethem, ale jego pesymistyczny poemat w oryginale dzisiaj już nuży. Co innego polski, wolny przekład Staffa. Znać na nim łagodną rękę tłumacza, więc czyta się go z największą przyjemnością. Jest zabawny, żywy, świeży, dźwięczny i pogodny. Ciężki, nierymowany, piętnastozgłoskowiec Goethego zastąpił Staff lekkim, potoczystym rymowanym jedenastozgłoskowcem. Zabarwiwszy ją z lekka polskim folklorem, Staff zamienił piłę na wesołe opowiadanie. Goethowski Reinecke nazywa się u Staffa — Przechera, König Nobel — po prostu: Król-Lew, wilk Izegrim-Srogosz, niedźwiedź Braun-Marucha, borsuk Grimbart-Kosmacz, żuraw Lütke-Brodzicz. Itd. Nie pierwszy to utwór sławny w literaturze świata, wypadł w polskim przekładzie pięknej niż w oryginale.

1938

„OGRÓDEK" I HISTORIA

W tych dniach otrzymałem osobliwą książeczkę, pięknie wydaną przez farmakognostów i zielarzy. Jest to przekład średniowiecznego łacińskiego poematu o ziołach leczniczych, gęsiego pióra Walafryda Strabusa. Tytuł brzmi w oryginale nader skromnie: „Hortulus", po polsku jeszcze skromniej: „Ogródek". W innych czasach włączyłbym zapewne ten podarek, bez czytania, do nielicznych w mym księgozbiorze specymenów bibliofilskich. Dziś jednak, kiedy coraz częściej uciekam od spraw czysto ludzkich w dziedziny pozaludzkiej wegetacji i pozaludzkiej urody, przeczytałem tę książeczkę z dużą przyjemnością, zwłaszcza, że zaleca się miłą polszczyzną tłumacza, Henryka Szancera oraz instruktywną przedmową i objaśnieniami świetnego znawcy zielarstwa, Mieczysława Pronera. Utwór należy raczej do gatunku poezji dydaktycznej, tak bardzo wzgardzonej za moich młodych lat, kiedy to na sam dźwięk słowa: dydaktyka ogarniała nas niechęć.

Jakże zmieniła się nasza wrażliwość z biegiem czasu! Różne „podmuchy" i „powiewy" historii urabiają ludzką wrażliwość do tego stopnia, iż to, co przed dwudziestu laty po prostu nudziło, dziś nie tylko zajmuje, ale i zawiera mnóstwo czarów.

Bezsensowi i okrucieństwu obecnej fazy ludzkich dziejów zawdzięczam wzmożone zainteresowanie światem roślinnym. Stanowczo za wiele historii dane było zaznać mojemu pokoleniu nieszczęśliwych czterdziestolatków. Osobiście mam dosyć historii na całą resztę życia. Dość, dość już historii! Teraz przydałoby się więcej geografii, a zwłaszcza — botaniki! Wielki czas dowiedzieć się, jak nazywają się te ciche i wonne istoty, które radują nasze oczy, znużone pstrokacizną kolorów historycznych koszul. Czas zapoznać się bliżej z bytem tych milczących istot, które

---

Walafryd Strabus. *Ogródek* (Hortulus). Przełożył Henryk Szancer. Wstępem i przypisami opatrzył Mieczysław Proner. Warszawa, Franciszek Herod, 1938; str. 2 nl. i 74 nl.

otaczają nasze hałaśliwe byty, a niekiedy chronią nas od bólu i nawet od śmierci. Zdaje się, że u nas najlepiej wtajemniczona w psychiczne życie kwiatów jest Maria Jasnorzewska-Pawlikowska. Życie to obnaża się przed Jasnorzewską bez fałszywego wstydu i pozwala poetce współczującym okiem spojrzeć na zakryte przed nami tragedie. Jasnorzewska to Freud i Proust roślinnego świata, ale i nam niechaj będzie wolno dotknąć tych spraw ręką prymitywa. No i tzw. sercem. Oczywiście, czułość nasza do roślin zawiera więcej miłości własnej niż miłości tych roślin. Uciekamy wszak przed sobą, przed naszym czasem, przed ohydnym pejzażem historycznej rzeczywistości do ogrodów botanicznych i do parków, skoro nie stać nas na wycieczki poza obręb miast. Jeżeli tak dalej pójdzie, ogrody botaniczne w stolicach świata staną się pepinierami nowych rewolucji. Jasnorzewska napisze kiedyś nową „Marsyliankę". Znając chwalebne zamiłowanie poetki do precyzji, jesteśmy pewni, że jej „Marsylianka" będzie krótsza od tekstu Rouget de Lisle'a.

Po raz pierwszy przyłapałem siebie na zachwyceniu botanicznym przed dwoma laty w Marsylii. Na stoku wzgórza „Le Pharo", wcinającego się w basen „Starego Portu" niczym półwysep, przed gmachem Instytutu Medycyny Kolonialnej upozowały się fantastycznie krzaki wybujałego tamaryszku. Na tle wspaniałej scenerii nieba i wody, starych fortów i statków, tworzą te tamaryszki grupę, przypominającą Laokoona. Tych marsylskich tamaryszków, o Juliuszu Sakowski, nie zapomnę Ci nigdy! Jak maniak oddawałem się ich kontemplacji. Niemniej maniakalnie wpatrywałem się w czuby srebrzystych drzew oliwnych, wyglądających, jak miniaturowe miotełki z wysokości La Tourbie, nad Morzem Śródziemnym. A liść akantu, tego samego akantu, który tak wielką odegrał rolę w starożytnej architekturze, jako zasadniczy ornament głowic na kolumnach porządku korynckiego, — długo przechowywałem w walizie, tak długo, aż ta żywa, zielona relikwia Hellady zwiędła i starła się na proch. Mógłbym jeszcze poświęcić ciepłe słowo uschniętej dziś gałązce kamfory, przywiezionej przed laty z wirydarza umbryjskiego klasztoru: jej woń już dawno umarła, lecz pamięć tej woni trwa.

Po cóż atoli wspominać florę śródziemnomorską, kiedy i swojska spełnia to samo, antydziejowe posłannictwo. Myśląc o moim niewczesnym afekcie do świata roślinnego doskonale zdaję sobie sprawę, że jest to uczucie zastępcze, może nawet surogat celowo tłumionych uczuć. Trudno! Rośliny nas nie biją, nie znieważają, nie handlują naszymi duszami. Jeżeli niekiedy zabijają ludzi, czynią to niewinnie i bezinteresownie.

Szczególnie groźny był „powiew historii" przedwiośniem tego roku, kiedy to pierwsze kiełki ziół przedwczesnym słońcem wywołane z ziemi, zdawały się akcentować tragizm ludzkich spraw. Niejedno piękne życie człowieka, powiew ten zmiótł, niejedną piękną duszę przedwcześnie wysłał do raju. A raj — nie zapominajmy o tym — też jest ogrodem.

Znakomity poeta czeski, tłumacz Szekspira, Goethego, Puszkina, Heinego, były dyrektor Praskiego Teatru Narodowego, profesor Otakar Fischer, dnia 13 marca br. przeczytał w rannej gazecie wiadomość o pewnym „wydarzeniu „historycznym", i w chwilę potem zmarł na atak serca.

W tych samych dniach zginął Egon Friedell, „żywe godło Wiednia", jak go nazwał Alfred Polgar. Friedell filozof, uczony, artysta teatrów Reinhardta, postać na miarę renesansową, autor „Historii kultury nowożytnej", poeta perypatetyczny, wesoły i piękny, coś w rodzaju wiedeńskiego Franca Fiszera, popełnił samobójstwo pod wpływem „podmuchu historii".

„Róże zrywaj, gdy wojna, a lilie, — gdy miły trwa pokój!" — pisze średniowieczny poeta, benedyktyn Strabus.

Róże i lilie i cały rajski zielnik — pamięci Carla von Ossietzky'ego! Męczeństwo i bohaterstwo tego na pozór tylko publicysty godne jest fresków i być może kiedyś, gdy przeminą czasy upodlenia i ludzkość stawiać będzie świątynie swym świeckim męczennikom, znajdą się ściany, na których jakiś nowy Giotto uwieczni etapy męczeńskiego żywota Ossietzky'ego. Był to prorok niestety prawdziwy pośród tylu fałszywych. To, co przepowiedział, spełnia się w naszych oczach. Thomas Carlyle, mówiąc o bohaterskich pisarzach, przeciwstawia Johnsona, Burnsa i Rousseau — Goethemu. „Ci mężowie" powiada „nie zwyciężali jak on (Goethe), lecz dzielnie walczyli i padli". Ossietzky dzielnie walczył i padł. A spokój, z jakim ludzkość przyjęła jego męczeństwo dowodzi, iż w pełni zasłużyła na los, od którego Ossietzky pragnął ją uchronić. Ossietzky dowiódł swoim życiem, że najwyższą miarą pisarza (publicysty) w obliczu historii, jego godnością i bohaterstwem jest siła, z jaką przeciwstawia się on swoim czasom.

Chrońmy się przed powiewami historii, przed sirokkiem obłęd niosącym, przed tajfunem zbiorowych namiętności — chrońmy się do cichych ogrodów, choćby to były ogrody cmentarne.

Szałwia, ruta, Boże drzewko, piołun, szanta, koper, kosaciec, lubczyk, trybula, mak, mięta, polej, bukwica, rzepik — oto mieszkańcy Strabusowego „Ogródka", oto towarzystwo, godne

ludzkiej duszy, umęczonej historią. Każdemu z tych tworów Bożych wydzielił poeta-opat klasztoru benedyktynów w Reichenau — piękną grządkę heksametrów. Żył za panowania Karola Wielkiego. Karol Wielki był wielki, owszem, ale mała szałwia i ruta przetrwały jego czyny i zachowały od przeszło jedenastu wieków swą świeżość. Po dziś dzień zachowały swe postaci, w których wystąpiły jeszcze przed początkiem ludzkich dziejów. Piękno ich jest bezinteresowne, jak każde, prawdziwe piękno. Zanim człowiek zużyje te zioła dla swoich celów, musi je zabić. Wyrwać z ziemi, zasuszyć, utrzeć. Tak więc zagłada ziół poprzedza ich wartość leczniczą dla człowieka. Zagłada. Z tym słowem powracamy z botaniki do historii.

1938

O POWIEŚCI HISTORYCZNEJ I „FILIPIE II" KESTENA

Jedną z niespornych zasług narodowego socjalizmu, w każdym razie czymś co już dziś można ocenić jako zasługę — jest odrodzenie i rozkwit niemieckiej powieści historycznej. Na emigracji — oczywiście.

Po opuszczeniu rodzinnego kraju, sporo pisarzy niemieckich odwróciło się od teraźniejszości, uważając ją za niegodną swego pióra lub po prostu nie czując się na siłach do mówienia o niej bez przekąsu. Z „paryskiego bruku" lub z innego asfaltu dali nura — w przeszłość. Inni, bardziej niecierpliwi i bardziej nieprzejednani, postanowili od razu rozprawić się z swoim czasem. Na poczekaniu też spłacili dług sumienia ojczyźnie, z której musieli uciekać. Powstały tedy dzieła pisane na gorąco, przeważnie żółcią i krwią, beletryzowane akty oskarżenia. Wkrótce wyczerpał się materiał zebrany w opuszczonym terenie. Aby zatem móc w dalszym ciągu sądzić teraźniejszość, trzeba było szukać pouczających analogii w czasach minionych. Zaczęło się przetrząsywanie grobów na przestrzeni całych niemal dziejów ludzkości. Odwalono ciężkie, zwietrzałe płyty Eskurialów i mniej głośnych, zapomnianych krypt. Trupi zaduch wionął w twarze poszukiwaczy analogii dziejowych. Szczególnym powodzeniem cieszyły się u literackich ekshumatorów mumie wielkich gwałtowników. Wskrzeszali je i ożywiali, aby dać współczesności groźne memento, a także by pokazać dzisiejszym gwałtownikom, iż sławni ich poprzednicy, w ostatecznym rozrachunku, przeważnie ponosili klęskę. Pisarze nie ograniczali się jedynie do tzw. postaci ujemnych. Na pokrzepienie serc i na ratunek od zwątpienia malowali również wizerunki ludzi pięknych, bojowników o wolność, wielkich tolerantów i przyjaciół ludzkości.

Mnóstwem biografii, opartych na tzw. autentycznym materiale, zasiliła pisząca emigracja niemiecka drukowany Panteon wielkich ludzi. Nie trzeba atoli myśleć o popularnych *vies ro-*

mancées, gdy się wymawia nazwiska obu Mannów: Thomasa (wielki cykl powieściowy o biblijnym Józefie i jego braciach), Heinricha (cykl o Henryku IV, królu Francji) Döblina (wielka epopea indiańska), Alfreda Neumanna (cykl o Napoleonie III), Feuchtwangera („Wojna żydowska" i „Fałszywy Nero") i Hermanna Kestena (dwie powieści z dziejów Hiszpanii: „Ferdynand i Izabella" oraz „Filip II").

Są to dzieła poetów, a więc wyobraźni, umiejętnie wspartej znajomością materiałów historycznych, którym ci poeci nie ślubowali wierności. Przeciwnie: świadomie zdradzali panią Klio czyli tzw. historyczną prawdę. Istnieją bowiem o wszystkim, co się na świecie dzieje, co najmniej dwie prawdy: poetycka, zawsze niewzruszona i historyczna, dająca się obalić zależnie od źródeł, na jakich się opiera.

Hermann Kesten zwierzył mi się kiedyś w Paryżu, iż pisze powieści historyczne tak, jak Szekspir pisał „tragedie królewskie". To znaczy — że stwarza całkiem nowych ludzi. Zmyślenie poetyckie gra tu najważniejszą rolę.

Gdy czytamy jakąkolwiek powieść z gatunku, który Anglicy nazywają *fiction,* przyjmujemy zmyślony w niej świat, tak jakby on istniał w rzeczywistości. Zmyślone dzieje, sytuacje, żywoty — chcąc zdobyć wiarę i przychylność czytelnika — muszą zawierać wszystkie cechy prawdziwości. Rzeczą dobrego pisarza jest — dostarczyć tych cech. W tym sensie nie ma wielkiej różnicy np. między „Panią Bovary" Flauberta a „Wojną i pokojem" Tołstoja. Emma Bovary istnieje w naszej świadomości tak samo jak Napoleon z „Wojny i pokoju". To zaś, że w historii, „w życiu" Napoleon również istniał, a pani Bovary nie istniała, nie ma dla nas, jako czytelników znaczenia. Tołstoj dał życie swemu Napoleonowi na tych samych zasadach co Flaubert pani Bovary. Na dobrą sprawę obie te powieści można nazwać historycznymi, skoro odnajdujemy w nich „wierny" obraz epoki. Olbrzymi materiał, z jakiego czerpał Tołstoj, miał dlań tę samą wartość zapładniającą, co dla Flauberta krótka wzmianka w gazecie, która posłużyła mu za bodziec do napisania „Madame Bovary".

W czasie pisania „Króla Filipa II", jeździł Kesten po świecie z dużą skrzynią, pełną książek. Pozwoliłem sobie skrzynię tę nazwać „podróżną apteczką Hermanna Kestena". Obok niewielu materiałów hiszpańskich, zawierała ona całego Szekspira i całego niemal Goethego. Najbardziej atoli zajmuje nas fakt, że Kesten włóczył się po świecie ze swoją *własną wizją* Hiszpanii i Niederlandów za panowania Karola V i Filipa II. Wizja to tak potężna i tak plastyczna, iż my, oglądając ją w książce Kestena, bierzemy

ją za prawdę. W jakim stopniu prawda ta odpowiada prawdzie historycznej, interesuje wyłącznie badacza tej epoki. Jeżeli zadaniem historii jest m.in. to, iż pobudza poetów do pisania tak pięknych i porywających książek, jak „Filip II". Kestena — można, do pewnego stopnia, pogodzić się z jej istnieniem. Bo ostatecznie, cóż ma pozostać po tych wszystkich gwałtach, okrucieństwach i awanturach, z których przeważnie składa się malownicza część historii? Cóż, jeśli nie piękny, nieśmiertelny posąg śmiertelnego tyrana, który całe narody posyłał na śmierć, cóż, jeśli nie portret światłego władcy? Cóż, jeśli nie teatralna tragedia o królach i bohaterach? Książkę Kestena możemy z czystym sumieniem zaliczyć do wielkich pomników. *Toute proportion gardée,* jego portrety Karola V. i Filipa II są pisanymi odpowiednikami Tycjanów. Ten sam w nich blask i rozmach, to samo życie i smutek. Zwłaszcza Karol V, pokazany u schyłku żywota, u zmierzchu potęgi, przypomina wielkie malarstwo historyczne Włochów i Holendrów. Ten tragiczny władca umiera w klasztorze San Yuste, gdzie po abdykacji spędził resztę swych bolesnych dni. Przed samą śmiercią „brat Karol" wielokrotnie przyjmuje Komunię św., której już przełknąć nie może. Dławią go wszystkie grzechy żywota. W godzinę śmierci pan świata, w którym nie zachodziło słońce, wadzi się z Panem życia i śmierci. Kłóci się z Bogiem tak jakby Bóg był członkiem rodziny Habsburgów. Karol V pragnie zbawić grzeszną duszę. I cóż w takiej chwili, gdy dusza jego ma stanąć przed Najwyższym Sędzią, podaje na swe usprawiedliwienie? Jakież cnoty mają przeważyć szalę w stronę nieba lub przynajmniej czyśćca? Karol V przypomina Bogu jedyną swą przed Nim zasługę: to mianowicie, iż ocalił od wiecznego potępienia dusze kilkudziesięciu tysięcy heretyków, których żywcem spalił.

Filip II jest u Kestena równie żywy, ludzki, tragiczny i ponury jak jego ojciec. To krwawy pedant, biurokrata, zasuszony formalista, praojciec wszystkich odrabiaczy „kawałków". Bez końca pisze dekrety, listy, notuje wszystko, co mu donoszą zausznicy, zapisuje każdą błahostkę. Podobnie jak ojciec, uważa za swą dziejową misję uwolnić świat od heretyków. Pojęcie herezji w owych czasach było bardzo rozległe. Coś w rodzaju dzisiejszej „żydokomuny". Wszystko, co nie podobało się królowi i św. Inkwizycji było herezją. Każdy miłośnik kąpieli uchodził za heretyka. Nawet królowa Elżbieta, żona Filipa, nie ma prawa się kąpać. Wywołuje sztucznie chorobę po to, aby lekarze zalecili jej kąpiel. Walczono z nimi zatem i jako z poganami i jako z niepoprawnymi czyściochami.

Oczywiście tępienie herezji najlepiej udało się Filipowi w Hiszpanii. Gorzej poszło w Niederlandach, gdzie w imieniu króla sprawowała regencję jego siostra, Małgorzata parmeńska. Sporą część książki zajmuje opis powikłanej walki Niederlandów z Inkwizycją. Walka ta skończyła się wprawdzie egzekucją Egmonta, Wilhelma Orańskiego i Horna, ale i zwycięstwem protestantyzmu. Po dziś dzień protestantyzm jest w Holandii wyznaniem uprzywilejowanym. Walka Niederlandów o wolność sumienia posiada niejedną piękną kartę w niemieckim piśmiennictwie: świadczy o tym „Egmont" Goethego i „Die Geschichte des Abfalls der Niederlande" Schillera. Don Carlos też występuje u Kestena, ale wcale nie jako szlachetny idealista, jakim widział go Schiller. U Kestena jest to obłąkaniec i awanturnik. Na rozkaz Filipa truje go ks. Eboli. Ów ks. Eboli to jedna z najciekawszych postaci w powieści. Filip miał kochankę, piękną Annę Mendoza. Wydał ją za mąż za swego ulubionego pazia, którym był właśnie ks. Eboli (Ruy Gomez). Filip kochał go od dziecka. Wybłagał go sobie od śmierci, na którą skazał chłopca Karol V za to, iż w czasie zabawy ośmielił się uderzyć Filipa. Sceny z Anną i z jej mężem należą do najdelikatniejszych w książce.

Niepodobieństwem jest streścić tę poetyczną książkę: tyle w niej różnych wątków i napięć. Gdybym był polskim wydawcą, miałbym ambicję ogłoszenia „Króla Filipa II"" w tłumaczeniu, chociażby po to, aby poprawić smak naszych czytelników, spaczony rozlicznymi „powieściami biograficznymi", których wartość tkwi najczęściej w samym temacie. Powieści historyczne — to przeważnie tzw. „samograje". Nawet genialny autor „Madame Bovary", wróg wszelkiej łatwizny, uległ magii kostiumów teatralnych w najsłabszej swej powieści „Salammbo". Kesten poszedł inną drogą. Napisał „Filipa" na zasadzie powieści realistycznej, a nie „Salammbo". I mimo, iż w powieści jego roi się od królów, książąt i kardynałów w malowniczych strojach — czyta się tę książkę tak, jakby to byli „cywile". Albowiem dusze i charaktery są tu bohaterami, a nie płaszcze koronacyjne i zbroje. Tylko taka powieść historyczna warta jest trudu napisania i przeczytania.

1939

WSPOMNIENIE O JÓZEFIE ROTHCIE

Roth śmiałby się bardzo, gdyby słyszał mnie teraz, jak mówię o nim w New Yorku — łamaną angielszczyzną. Śmiałby się tak, jak tylko on umiał się śmiać. Lecz wcale nie do śmiechu są wydarzenia, które mnie i wielu z obecnych w tej sali zagnały do obcego miasta, w obcym świecie i każą mówić po angielsku. Roth przewidział te wydarzenia na długo, zanim się dokonały. Wydarzenia te stały się pośrednio powodem przedwczesnej śmierci wizjonera, jakim był niezapomniany autor „Antychrysta". Istnieją prorocy typu Jeremiasza: siadają na gruzach zburzonych świątyń i opłakują te gruzy. Roth należał raczej do gatunku Izajaszów, którzy z daleka widzą nadciągającą Apokalipsę i ostrzegają przed nią. Takich proroków zabiera Bóg ze świata w wigilię katastrofy.

Trudno jest mówić o umarłych przyjaciołach. Jest coś bezwstydnego w używaniu czasu przeszłego, gdy mówimy o ludziach, których życie było częścią naszego życia. A spory kawał biografii Rotha należy również do mojej biografii. Toteż z głębokim zażenowaniem mówię dziś o Rothcie, że był. To tak, jak gdybym mówił o moim lewym oku, że je kiedyś miałem, a o prawym, że jeszcze je mam. Czas przeszły nie tylko oddala nas od ludzi, o których w tym czasie mówimy, ale też czyni ich obcymi. Ponadto śmierć zmusza do dystansu i narzuca uroczysty ton. A wiemy, jak bardzo Roth takiego tonu nie cierpiał.

Joseph Roth należał do ludzi, których albo się kocha, albo nienawidzi. Jego postać niejako chemicznie neutralizowała obojętność. Miał Roth zatem wielu wrogów, lecz o wiele więcej

---

Odczytane po angielsku w New Yorku na akademii ku czci znakomitego pisarza austriackiego — w piątą rocznicę śmierci.

(Przekład niemiecki ukazał się w książce pt. „Joseph Roth, Leben und Werk, Ein Gedächtnissbuch, Verlag Gustaw Kiepenheuer, 1949, Köln und Hagen).

przyjaciół, o czym przekonaliśmy się w ostatnich, tragicznych latach jego życia.

Moja przyjaźń z nim trwała nieomal dwadzieścia pięć lat, a zaczęła się od nieprzyjaźni, która trwała, zdaje się, dwa tygodnie. Po raz pierwszy spotkałem Rotha w roku 1915, w uniwersytecie wiedeńskim. Był moim starszym kolegą na wydziale filozoficznym, i chodziliśmy razem na wykłady profesora literatury niemieckiej, Waltera Brechta. Wykłady profesora Brechta, w pierwszym roku pierwszej wojny światowej, cieszyły się dużym powodzeniem, zwłaszcza u słuchaczek. Mężczyzn na tych wykładach było mało, więc nic dziwnego, że natychmiast wpadali sobie w oko.

Roth wpadł mi w oko. Był bardzo chudy, schludny, dobrze ubrany. Jasne włosy rozczesywał przedziałkiem przez sam środek głowy: były zawsze gładko ulizane jakąś brylantyną. Wydawał się Roth typowym wiedeńskim lowelasem nb. ze sfer urzędniczych, tak zwanym „Gigerl". W swym pięknym, niebieskim oku, o spojrzeniu raczej ironicznym, nosił monokl. Ten monokl drażnił mnie. Dziś trudno powiedzieć, czy Roth nosił monokl po to, aby jeszcze lepiej widzieć świat, który wówczas wydawał mu się piękny i pełen czaru, czy też wstydził się swej miłości do świata, i monoklem, nadającym surowy wyraz twarzy, maskował zachwyt w oczach. W każdym razie monokl nadawał jego szpiczastej fizjonomii lekki grymas arogancji.

Przez ten monokl i ja wpadłem Rothowi w oko. Miałem wówczas dziewiętnaście lat i byłem słuchaczem pierwszego semestru filozofii. Zdawało mi się, że Roth umyślnie wpatruje się we mnie z ironią, aby mnie „sprowokować". W dawnym świecie ironiczne wpatrywanie się w nieznajomego człowieka było wielką obrazą i nazywało się „fiksowaniem". Cała fabuła pięknej powieści Arthura Schnitzlera pt. „Leutnant Gustl" opiera się na skutkach takiego „fiksowania". Nie byłem wprawdzie leutnantem, ale przyjechałem do Wiednia z rozwiązanego przez Austrię Wschodniego Legionu. I byłem dość drażliwy na punkcie tzw. honoru, szczególnie wobec Niemców. — Ten Niemiec z monoklem „prowokuje" mnie — myślałem. Może go drażni język polski, którym posługuję się w rozmowie z kolegami — Polakami. A może jest to jakiś „Christlich-Sozialer" ze stronnictwa Belohlavka? Na prowokację przez „fiksowanie" postanowiłem zareagować tak, jak w dawnej Austrii, a zwłaszcza w Wiedniu, zwykli byli reagować studenci pierwszego semestru. Miałem świeżo wydrukowane bilety wizytowe. Pod imieniem i nazwiskiem widniały skróty: *stud. phil.* Wiadomo, do czego takie bilety służyły w dawnym, idiotycznym, a jednak tak bardzo od naszego rozumniejszym

świecie, który zapadł się właśnie w owych latach. Byłem zdecydowany rzucić swoją kartę wizytową arogantowi z monoklem, o ile nie przestanie mnie „fiksować". Nawet uśmiechała mi się śmierć w pojedynku. Nie wątpiłem bowiem, że ten germański blondyn lepiej ode mnie włada bronią, zarówno białą jak i palną. Co do palnej — owszem, miewałem ją niekiedy w rękach czasu mej krótkiej służby w Legionie Wschodnim, ale była to broń ćwiczebna, którą Austria, w przewidywaniu rychłego snać z nami rozwodu, umyślnie dała Wschodniemu Legionowi po to, aby nie mógł z tej broni, do niej, do Austrii strzelać. W samej rzeczy trudno było wypalić ze starych karabinów Werndla, dobytych z pradawnych zbrojowni.

Broni białej do tej pory jeszcze nie znałem. Ze swych zamiarów pojedynkowych zwierzyłem się pewnemu koledze Polakowi, w nadziei, że on będzie moim sekundantem. Kolega ów, starszy ode mnie o parę lat, starał się sprawę zbagatelizować i nakłonić mnie do zostawienia monoklisty w spokoju. Po kilku dniach tenże kolega przedstawił mnie swemu przyjacielowi, również Polakowi, który robił już pracę doktorską. Nazwijmy go Stanisławem, skoro naprawdę tak się nazywa i znajduje się obecnie w New Yorku. Znów minęło parę dni. Któregoś dnia zapytał mnie Stanisław, czy nie pragnąłbym poznać pewnego, niezwykle utalentowanego liryka niemieckiego, który razem z nami słucha wykładów profesora Brechta. Liryk ten, dodał, jest jego kolegą szkolnym jeszcze z gimnazjum niemieckiego w Brodach. Tu muszę zaznaczyć, że urodziłem się w niedużej odległości od Brodów, lecz do gimnazjum niemieckiego w Brodach nie chodziłem. Za to mój ojciec i wszyscy czterej stryjowie byli wychowankami tej, słynnej z surowości, uczelni. Bardzo pragnąłem poznać liryka niemieckiego z Brodów. Nie chcę dłużej trzymać Państwa w napięciu, więc powiem od razu, że liryk z Brodów okazał się monoklistą, który mnie „fiksował". Prawda, że liryków niemieckich wyobrażałem sobie całkiem inaczej. Myślałem, że są podobni do liryków polskich, znanych mi przeważnie z Zakopanego, to znaczy, że noszą brody.

Pojedynek nie odbył się, za to rozpoczęła się dwudziestopięcioletnia przyjaźń. Okazało się, że Roth jest ulubieńcem profesora Brechta. Często odwiedzał go i pokazywał mu swoje wiersze, które profesor bardzo chwalił. Natomiast asystent Brechta, dr Heinz Kindermann nie lubił Rotha. Nikogo z nas, nie-Germanów nie lubił. Ledwo raczył odpowiadać na nasze pytania. Dziś, z tak już dalekiej perspektywy, wydaje mi się ówczesny dr Heinz Kindermann idealnym prototypem hitlerowca. O nim to napisał

Roth w latach uniwersyteckich bardzo piękną nowelę pt. „Der Vorzugschüler" (Prymus). Roth pisywał również nowele, chociaż główną „gałęzią" jego twórczości w owym czasie była liryka. Co prawda nieliczne tylko wiersze publikował w prasie wiedeńskiej. Niestety duża ilość rękopisów Rotha przepadła w moim zbombardowanym mieszkaniu warszawskim. Było między nimi kilka krótkich utworów lirycznych, które Roth posłał mi na zwyczajnych pocztówkach. Śpiewne były te wiersze, jak ukraińskie pieśni ludowe. Potem Roth wstydził się swej młodzieńczej poezji i nie chciał jej publikować w książce. Wielka szkoda, bo znajdujemy w niej już całego późniejszego Rotha, mistrza prostoty i precyzji. Wiersze Rotha przypominają niekiedy lirykę Moericke'go, którego uwielbiał.

Już w pierwszym roku wojny byliśmy obaj pacyfistami i po troszę anarchistami. Naszą wyrocznią był sławny Karl Kraus. Wojnę uważaliśmy za zbrodnię, narzuconą niewinnemu barankowi, jakim jest człowiek, wbrew jego prawdziwym skłonnościom. A narzucali mu ją cesarze, ministrowie i generałowie, wobec których człowiek, jako niewinny baranek, był bezsilny. Ale w miarę, jak wojna przedłużała się i zabijała na froncie coraz więcej przyjaciół, sprzykrzyły się nam kawiarniane przeciw niej bunty. Z pogardą patrzyliśmy na różnych zdrowych jak byki kindermannów, którym wojna nie przerywała kariery, podczas gdy nad Isonzo i Piave ginęli nasi koledzy, przeważnie z Galicji rodem, z Bukowiny, z Chorwacji, Dalmacji, Czech i Moraw. Więc, z jakichś, nie całkiem nam wtedy jasnych, pobudek, które jedynie Joseph Conrad umiałby nazwać, postanowiliśmy mimo awersji do wojny, wojska i monarchii, dobrowolnie wziąć udział w wojnie. Dobrowolnie, gdyż cesarsko i królewska armia dwukrotnie już nami wzgardziła i do służby w jej sławnych regimentach jako notorycznych cherlaków — nie dopuściła.

Była jesień roku 1916. Sytuacja żywnościowa w Wiedniu jeszcze bardziej pogłębiła nasze charłactwo. Mimo to postanowiliśmy iść na wojnę. Dużą zapewne rolę odegrała tu również „niezdrowa" literacka ciekawość. Jako ludzie, pochodzący z tego samego zakątka monarchii, byliśmy „przynależni" do tego samego pułku piechoty nr 80. Pułk ten walczył na froncie włoskim, a jego kadra uzupełniająca mieściła się podówczas w miejscowości Rima-Szombat, na Węgrzech, czyli po słowacku: w Rimarskiej Subocie. Nie chcieliśmy wszakże służyć w naszym „własnym" pułku. Mieliśmy wielu przyjaciół i kolegów w wiedeńskim 21-ym batalionie „feldjegrów", którego szkoła jednorocznaicka mieściła się w Wiedniu, w III obwodzie. Zależało nam też na

kontynuowaniu studiów uniwersyteckich w godzinach pozasłużbowych. Uprosiliśmy więc mojego stryja, który był pułkownikiem-lekarzem i wiele lat stacjonował w Wiedniu, żeby nam ułatwił przyjęcie do bardzo ekskluzywnego 21-go batalionu feldjegrów. Stryj zgodził się i zaprotegował Rotha i mnie u komendanta kadry, polecając nas jako gorących patriotów, którzy nie mogą już w cywilu wytrzymać. Komendant kadry dał stryjowi odpowiedź przychylną, lecz warunkiem przyjęcia nas do „obcej" formacji była zgoda naszego „własnego" pułku tzw. Heimatsregimentu, którym wzgardziliśmy. Tę zgodę można było uzyskać jedynie na miejscu, więc musieliśmy jechać na Węgry. Ponadto tam i tylko tam mogli nas rehabilitować pod względem fizycznym, więc musieliśmy w Rima-Szombat jeszcze raz poddać się badaniu komisji lekarskiej. Pojechaliśmy więc na Węgry i najedliśmy się papryki. Piekła nas jeszcze długo po powrocie do Wiednia.

Lekarz 80-pułku piechoty uważał nas za obłąkańców. Nie mógł pojąć, dlaczego z własnej woli pchamy się na wojnę. Po ojcowsku starał się nam to szaleństwo wyperswadować, tłumacząc, że stanowczo jesteśmy za słabi i trudom wojennym nie podołamy. Skoro koniecznie chcemy służyć w wojsku, możemy zostać „pisarzami" w jakiejś wojskowej kancelarii. Jako uczniowie Karola Krausa gardziliśmy takim pisarstwem. Uważaliśmy, że w czasie wojny jedynym miejscem, właściwym dla poetów, jest służba w „linii". Tam tylko można było zdobyć wiedzę o życiu i śmierci. Nawet, gdy jest się pacyfistą. I nalegaliśmy na poczciwego lekarza tak długo, aż nas uznał zdatnymi do służby frontowej. Triumfalnie wróciliśmy do Wiednia, do upragnionego, ekskluzywnego 21 batalionu feldjegrów. Po tygodniu uciążliwej służby rekruckiej w tym batalionie, mieliśmy dosyć i wojny i wojska. Zaznaliśmy tam wielu upokorzeń, nie tylko od przełożonych, zwłaszcza niższych stopni, ale i od kolegów typu Kindermanna. Za dużo było tam prymusów, karierowiczów i donosicieli. Atmosfera była dla nas nie do zniesienia. W szkole jednorocznych 21-go, elitarnego batalionu feldjegrów znęcano się nad słabymi i nieporadnymi, poniżano ludzką godność, deptano ją. Kwitły tam bezduszność i tępota, a wulgarność była niemal towarzyskim obowiązkiem. W późniejszych latach często wspominaliśmy z Rothem owe czasy. Szczególnie żywo tkwił w naszej pamięci Zugsführer Marek, który po latach okazał się miniaturą wielkiego Führera Niemiec. Nawet z twarzy był do niego podobny. W 21 batalionie feldjegrów sprzyjało nam również i szczęście. Tam bowiem poznaliśmy najszlachetniejszego chyba człowieka, jaki kiedykolwiek nawinął się na powikłanych drogach naszego życia.

I pozyskaliśmy jego przyjaźń. Był to śp. Ludwik Brudziński. (Jeżeli w Polsce żyją jeszcze siostry Brudzińskiego, niechaj wiedzą, że wspominam dziś obu moich nieżyjących przyjaciół — i jak relikwię przechowuję w sercu wdzięczną o nich pamięć).

Do końca życia uważał Roth Brudzińskiego za świętego. A wiemy, że Roth, zwłaszcza w ostatnich, tragicznych latach swego życia, o niejednym z dawnych przyjaciół wyrażał się cierpko. Brudziński też studiował filozofię w uniwersytecie wiedeńskim, skąd znałem go już przedtem, lecz dość pobieżnie. Dopiero w wojsku poznaliśmy go z bliska i odczuliśmy na sobie dobroczynne promieniowanie jego wielkiej duszy. *Der Brudziński wird nicht lange leben* (Brudziński nie będzie długo żył) przepowiadał Roth. „Tacy jak on nie mogą długo żyć w dzisiejszym świecie". I rzeczywiście — Brudziński umarł jeszcze przed końcem wojny, której nie mógł znieść. Sam podobno przyśpieszył swoją śmierć w czasie epidemii „hiszpanki". Nie przeżył nawet 24 lat. Lecz cofnijmy się o dwa lata, do Wiednia. W czasie naszej służby wojskowej odwiedzaliśmy Brudzińskiego w jego prywatnym mieszkaniu, w pobliżu teatru Johanna Straussa. Nie chcąc nas drażnić widokiem znienawidzonego munduru, Brudziński zawsze przyjmował nas w cywilnym ubraniu. Były to niezapomniane wieczory. Czytaliśmy nasze prace literackie. Brudziński studiował historię sztuki i archeologię. Napisał piękne rozprawy z tego zakresu. Roth czytał na tych zebraniach swoje wiersze i opowiadania, ja — dramaty nigdy niewydane i nigdzie niegrane. Brudziński był idealnym krytykiem. Jego ogromna wiedza nigdy nas nie przygniatała. Był od nas dojrzalszy, jak to nieraz ponad swój wiek dojrzali bywają ludzie, którzy młodo schodzą ze świata. Roth napisał o Brudzińskim piękny wiersz pt. „Der Gefangene" (Więzień). Było to w okresie wspólnego siedzenia w areszcie koszarowym. Pamiętam też spostrzeżenie Roth'a, gdyśmy patrzyli na śpiącego Brudzińskiego: „Widzisz, jak dookoła jego okropnej czapy roztacza się aureola?". Mam wrażenie, że postać hr. Chojnickiego w powieści „Radetzkymarsch" jest dość wyraźnym portretem Brudzińskiego.

Po kilkumiesięcznym „stage'u" w wiedeńskim batalionie feldjegrów — rozdzielono nas. Brudzińskiego i mnie za karę, że rozmawialiśmy z sobą po polsku przeniesiono do „gorszych", słowiańskich formacji. Postarali się o to nasi koledzy-kindermanni. Brudziński pojechał na Morawy, mnie odesłano do cieszącego się najgorszą reputacją „Hurrenbatalionu" feldjegrów nr 18 w okupowanym Kraśniku. Roth został w Wiedniu. Spotkałem się z nim dopiero na jesieni 1918 r. we Lwowie, przed samym rozpadnię-

ciem się Austrii. Niespodziewane to spotkanie nastąpiło u wspólnej przyjaciółki, starszej i chorej damy, którą obaj nazywaliśmy później naszą matką. Nieraz Roth przyjeżdżał do niej do Lwowa, czy to z Niemiec, czy z Francji. Niejedną ważną decyzję życiową lub literacką podejmował przy łożu tej chorej staruszki, której umysł był młody i świeży, jak umysły francuskich dam wieku Oświecenia.

Roth odwiedzał Polskę niejednokrotnie. Lubił nasz kraj. Niemal w każdej jego powieści jest coś z polskiego pejzażu i atmosfery i występują Polacy, Ukraińcy i polscy Żydzi. Powieść „Hotel Savoy" osnuta na tle Łodzi i łódzkiego hotelu „Savoy" powstała w pierwszych latach powojennych. Czarująca proza Roth'a ma jak gdyby podolski czy wołyński koloryt. Chciałbym też podkreślić, że piękne strony, świata, z których obaj pochodzimy, pociągały Roth'a dzięki bliskości dawnej granicy rosyjskiej. Fascynowała go ta granica dwóch odmiennych kultur, fascynowały tajemnicze postacie ludzi pogranicznych: przemytników, strażników, cały ów świat kontrabandy i dezercji tak, jak gdyby to była granica między życiem a śmiercią. Niezapomnianą postacią jest pojawiający się w kilku powieściach Roth'a — przemytnik nazwiskiem Kapturak.

W moim życiu odegrał Roth niejedną ważną rolę. Najbardziej wdzięczny mu jestem za Paryż. To Roth sprowadził mnie po raz pierwszy do Francji. On pokazał mi Paryż, po którym wędrowaliśmy całymi nocami. Początkowo mieszkałem w domenie Roth'a, w słynnym, dziś już nie istniejącym hotelu Foyot, przy zbiegu ulic Tournon i Vaugirard, naprzeciw Senatu. Tam, gdzie umarł Radiguet i gdzie mieszkał Rilke. Cały obszar między Pałacem Luksemburskim a Odéonem uważaliśmy za udzielne księstwo Rotha. Tam zapewne krąży dziś jego duch i laseczką przewraca Niemców.

Miałem wielu przyjaciół w życiu, ale tylko jeden Roth nazywał mnie przyjacielem swej duszy. Przez długie lata kończyliśmy nasze listy zdaniem, wyjętym z jednego z młodzieńczych wierszy Roth'a: *Hoch die Geige!* (W górę skrzypce!).

Hoch die Geige! Hoch die Geige!
Stille dummes Herz und schweige!

Tak zaczynał się ten wiersz.

W ostatnich, gorzkich latach swego życia kończył Roth króciutkie liściki słowami: *Nieder die Geige!*

Jeżeli istnieją Pola Elizejskie dla poetów, oby były podobne do Champs Elysées w Paryżu i obyśmy tam spotkali się kiedyś w miesiącu kwietniu, który autor pięknego opowiadania „April" tak lubił opisywać. Bo właściwą ojczyzną wielkiego poety austriackiego, co urodził się na słowiańskiej granicy dwóch monarchii, był Paryż: paryski bruk, po którym lekko stąpał na swych cienkich nogach, jak magik, postukując laseczką. Jak magik lub jedna z postaci E.T.A. Hoffmanna.

1944

POCHWAŁA FIKCJI POETYCKIEJ

(Z powodu 70-lecia Tomasza Manna)

Stary człowiek, który od kilku lat przywozi mi do domu (w Riverdale, New York) mój powszedni chleb, urodził się na Sycylii. Jest to człowiek pełen wdzięku. Mówi czystą, żadnym dialektem nie skażoną włoszczyzną, i wie o tym. Ze skromną satysfakcją poprawia moje błędy w swym ojczystym języku. Przy różnych sposobnościach wytrząsa z rękawa przysłowia i maksymy, z których niejedna pamięta jeszcze czasy, kiedy po Sycylii błąkali się greccy bogowie. Jakkolwiek wiele lat życia spędził w Ameryce na wypiekaniu, czy rozwożeniu chleba, świadom jest tego, że nie samym chlebem człowiek żyje. Świadczy o tym chociażby jego zainteresowanie moją pracą. Pewnego dnia zapytał mnie, czy znam „Boską Komedię". A gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, zadał mi pytanie, na które nie tylko we włoskim języku trudno mi odpowiedzieć: „Co pan myśli, czy Dante naprawdę był w piekle?".

Myślę, że tym kłopotliwym pytaniem dotknął on samej istoty poetyckiego myślenia, bez względu na to, czy wyraża się ono w tercynach, heksametrach, czy prozie. O cóż mu chodziło, gdy akcentował słowo: n a p r a w d ę ? Zapewne uległ on przy czytaniu lub słuchaniu „Inferna" tak mocnej sugestii, iż trudno mu uwierzyć, aby ktoś, kto własnymi nogami nie chodził po piekle i własnymi oczyma nie oglądał jego okropności, mógł tak szczegółowo opisać wygląd piekła, jego strukturę, urządzenia i mieszkańców.

Jeszcze parę lat temu, w każdym razie przed obecną wojną, może łatwiej bym znalazł zadowalającą mego Sycylijczyka odpowiedź. Może zaryzykowałbym twierdzenie, że żaden człowiek za życia w piekle nie był, piekło bowiem jest dostępne jedynie ludzkim duszom, a nie nogom. Kto wie, czy zainteresowawszy mego piekarza tym tematem, nie musiałbym mu tłumaczyć, że

piekło jest bardzo starym wynalazkiem mistycznych wizjonerów i mistycznych moralistów, i to — u wszystkich niemal narodów starożytności. Przeszło ono następnie do systematów eschatologicznych średniowiecza, którego poetyckim ukoronowaniem jest właśnie „Boska Komedia". I że we wszystkich obrazach piekła, jakie znamy z literatury i sztuk plastycznych — jest ono przedstawione jako miejsce wieczystej kary dla tych, co tu, na ziemi srodze grzeszyli, a sąd niebieski uznał ich za niegodnych czyśćca. Musiałbym też nadmienić, że Dante, opierając się na niektórych starożytnych i średniowiecznych wizjach, stworzył własne piekło, zaludnił je według własnego upodobania, a opisał je tak plastycznie, iż potrafił wywołać wrażenie, jakoby tam *naprawdę* był.

A zatem jest to gra umówiona między nim a nami. Zawsze dajemy poetom pewien kredyt na to, aby sprawy przez nich zmyślone opowiadali w tonie rzeczywistych wydarzeń. Może bym jeszcze Sycylijczykowi napomknął coś nie coś o halucynacjach, o stanach psychicznych na pograniczu snu i jawy, z całym uszanowaniem dla jego wiary.

W szóstym wszakże roku tej wojny, muszę gruntownie zrewidować swój pogląd na to, co jest piekłem i gdzie ono się znajduje.

Piekło dantejskie, jak wiadomo, znajduje się głęboko pod ziemią, a raczej we wnętrzu góry, pokrytej lasem, ową *selva oscura.* Mimo to — wszystkie jego okropności wydają się sielanką, co prawda koszmarną, w porównaniu z tym co obecnie dzieje się na powierzchni ziemi, szczególnie — mojej ziemi rodzinnej.

Do swego Inferna dostał się Dante wyjątkowo i dzięki wysokiej protekcji Wirgiliusza. Bawił tam zresztą niedługo, po czym zwiedził jeszcze Czyściec i Niebo. Do współczesnego piekła na ziemi nie trzeba żadnej protekcji. Kilka milionów ludzi, niekoniecznie obdarzonych talentem poetyckim, pochłonęło już to piekło, a zaledwie paru szczęśliwym wyjątkom udało się z niego uciec.

Znam osobiście człowieka, który uciekł z piekła. A co tam widział, opisał z talentem, w książce pt. „Story of a Secret State". Był on oficerem polskiej armii i pełnił służbę kuriera w polskim ruchu podziemnym w latach 1939-1942. Nazywa się Jan Karski. Przewodnikiem zaś po jednym z wielu kręgów piekła na polskiej ziemi, tzn. po jednym z tzw. obozów śmierci, nie był żaden starożytny epik, tylko nowoczesny, a przekupiony milicjant estoński, należący do drużyny wartowników tego obozu. Dzięki niemu Karski, również przebrany w mundur estońskiego milicjanta, mógł być naocznym świadkiem tzw. eksterminacji kilku

tysięcy Żydów. Był świadkiem w tym sensie, w jakim grecki wyraz: *martyros* znaczy: świadek. Widział na własne oczy, jak nieliczni ludzie uzbrojeni ładowali tysiące ludzi bezbronnych, nagich, zgłodniałych i oszalałych — do wagonów kolejowych, gdzie ci ludzie: mężczyźni, kobiety i dzieci, ginęli dusząc się jak muchy. Świadek dwóch takich „dantejskich" scen nie spotkał w piekle ani diabłów, ani strąconych aniołów. Czynności dręczycielskie wykonywali na ludziach sami ludzie. Uzbrojeni. Bez żadnej furii, lecz spokojnie, fachowo, jak mechanicy, znęcali się nad ludźmi nagimi i bezbronnymi. Po stu dwudziestu zaganiali ich do wagonów, mogących normalnie pomieścić najwyżej pięćdziesiąt ludzkich ciał, a gdy ciała układały się warstwami na podobieństwo śledzi w beczce, ludzie uzbrojeni zalewali pełne wagony — gorącym wapnem.

Niewątpliwie ludzie nadzy i bezbronni byli potępieni jak mieszkańcy dantejskiego Inferna, a potępił ich i skazał na konanie w męczarniach nie Bóg, tylko pewien człowiek, którego naukę głosi więcej niż czterech ewangelistów i więcej niż dwunastu apostołów.

Książka Karskiego, w której o tym czytamy nie jest wytworem jego wyobraźni, ani wyobraźni innych ludzi. Jest ona klasycznym zaprzeczeniem tego, co w krajach anglosaskich nazywa się: *fiction*. Ta *non fiction* nie jest wszakże sprawozdaniem obojętnego, żelaznym listem opatrzonego turysty po piekle. Znajdujemy w niej bowiem opisy tortur, które sam autor wycierpiał na własnym ciele i na własnej duszy. Przeżył on więc naprawdę okropności, które opisał, n a p r a w d ę także i w tym znaczeniu, które zapewne miał na myśli mój sycylijski piekarz.

◆

Takich książek mamy dziś bardzo wiele. Należą one do gatunku literackiego, zwanego reportażem. Gatunek ten osiągnął w ostatnich latach szczyty doskonałości, zarówno dzięki odpowiedniemu treningowi specjalistów, rozporządzających ulepszonymi metodami obserwacji, jak i dzięki niezmiernemu dziś bogactwu nieprawdopodobnych, a jednak prawdziwych wydarzeń, przekraczających niekiedy granice ludzkiej wyobraźni.

Spośród rozlicznych typów współczesnych reporterów, wybijają się reporterzy zawodowi i przypadkowi. Pierwsi — to poszukiwacze dramatycznych sytuacyj w świecie „zewnętrznym". Z premedytacją polują oni na niebezpieczeństwa, w celu dokładnego opisania ich. Pchają się tam, gdzie jest najbardziej gorąco,

włażą do tanków, pływają w łodziach podwodnych, uczestniczą w nalotach bombowych. Niejeden z tych śmiałków przypłacił własnym życiem pasję chwytania „życia" na gorącym uczynku. Ale czasy obecne sprzyjają również reporterom z przypadku. Są to ludzie, którzy nawet wbrew woli, stali się uczestnikami, a często i bohaterami dramatycznych wydarzeń.

Istnieją jednakże takie dzieła, jak np. „Le mie prigioni" Silvia Pellica, lub „Zapiski z martwego domu" Dostojewskiego. Obie te książki zawdzięczają swe powstanie temu, iż zarówno znany skądinąd poeta dramatyczny Pellico, jak i Dostojewski, zostali w podobnych okolicznościach skazani na śmierć, a po ułaskawieniu długie lata spędzili w więzieniu, czy też na katordze. Trudno obie te książki nazwać reportażami i trudno zaliczyć je do literatury czysto pamiętnikarskiej. Zwłaszcza w „Zapiskach z martwego domu" niełatwo jest ustalić, ile w nich „poezji", a ile „prawdy". (Obie te książki napisano w epoce, kiedy to poezja była ostro przeciwstawiana „autentyczności"). U Dostojewskiego widzimy wyraźnie, jak autor dał się ponieść przyrodzonym skłonnościom poety, czy beletrysty, który akcję książki organizuje tak, iż niekiedy deformuje tzw. prawdę życiową i tzw. rzeczywistość. Skłonności poetyckie kazały Dostojewskiemu szukać autentyzmu raczej w duszach ludzi, z którymi razem był na katordze, zamiast tę katorgę fotografować. Nie zrezygnował on też w „Zapiskach" z naczelnego prawa powieściopisarza, które określiłbym jako prawo *transfiguracji.*

Zdawałoby się, że rozwój reportażu stanowi dziś poważne niebezpieczeństwo dla powieści i noweli. Może też wydawać się, że dla uratowania obu tych rodzajów niezbędna jest kombinacja starych elementów poetyckiej fikcji z nowymi elementami reportażu. I rzeczywiście, poczyniono w tym kierunku parę znamiennych wysiłków, że wymienimy niektóre utwory André Malraux. Mimo to „czysta" powieść i nowela zwycięsko obroniły w naszych czasach swą niepodległość, pozornie lub rzeczywiście zagrożoną przez reportaż. Przykładem tego — twórczość beletrystyczna Tomasza Manna. Prawdziwy reporter nie ma ambicji transfigurowania postaci, które na swych drogach napotkał. Nie chce on też odtwarzać, a raczej przetwarzać procesów duchowych ludzi, z którymi się zetknął. Zadowala się on subiektywną lub obiektywną charakterystyką postaci, dokonaną przeważnie według przyjętych szablonów. Natomiast powieściopisarz „fikcjonista" widzi ludzi jak gdyby „pierwszy raz", czyli tak, jakby przed nim nikt jeszcze ich nie oglądał, choćby to były postacie znane każdemu dziecku z historii. To właśnie nazywam transfiguracją.

Powieściopisarz i nowelista mają nie tylko prawo, lecz i obowiązek insynuowania ludziom — najbardziej nieprawdopodobnych (w oczach reportera) i najbardziej irracjonalnych rysów charakteru i mają prawo przy pomocy „spreparowanych" ludzi urządzać najfantastyczniejsze widowiska. Tak robił Szekspir, i dlatego może jego dzieła są ciągle „ostatnim krzykiem", podczas gdy fotoreporterskie zdjęcia życia prywatnego i społecznego, pisane z początkiem naszego stulecia, trącą już myszką, o ile w ogóle czymkolwiek jeszcze trącą.

W ostatniej powieści Tomasza Manna, kończącej tetralogię „józefińską", pt. „Józef żywiciel", spotykamy np. naczelnika więzienia, niejakiego Mai-Sachme. Tego starożytnego Egipcjanina wyposażył Tomasz Mann w tak piękne i szlachetne cechy, jakich w „życiu" nie napotkał chyba jeszcze żaden więzień na przestrzeni całych dziejów ludzkości.

I jeszcze coś. Lektura dzieł poetyckiej wyobraźni sprawia nam często przyjemność, choćby tematy tych dzieł były okropne i odrażające. Zdaje się, że Fryderyk Schiller nazwał to *das Gefallen an schauderhaften Gegenständen.* W reportażach szukamy czego innego: zaspokojenia naszej ciekawości. A groza którą przedstawia reporter jest tylko grozą, obrzydliwość — tylko obrzydliwością.

Tak więc nie należy lekceważyć momentu delektacji, spowowanej sztuką poety. Delektacja jest często jedynym wskaźnikiem, czy w naszej lekturze mamy do czynienia z dziełem sztuki. Oczywiście wskaźnik ten jest bardzo zawodny, albowiem istnieją różne poziomy delektacji, uwarunkowane smakiem czytelnika. Mamy tu na myśli takiego czytelnika, któremu „Boska Komedia", „Ludzka Komedia", powieści Dostojewskiego i Tomasza Manna sprawiają wiele rozkoszy *moralnych, intelektualnych,* nie mówiąc o tzw. rozkoszy *estetycznej,* mimo że pełno w nich tematów odrażających.

Trudno powiedzieć, żeby książka Karskiego była „piękna". Jest ona tylko wstrząsającym dokumentem epoki, kiedy piekło przeniosło się z podziemi na ziemię. Lecz Piekło Dantego jest piękne i pozwala nam przeczuć niebo. Albowiem tylko poeta potrafi nadać metafizyczny aspekt grozie i szpetocie ludzkiego istnienia i ludzkiej śmierci, i przez to nawiązać kontakt między ziemią a tą sferą, do której mniej więcej każdy człowiek dąży, świadomie, lub nieświadomie, lub podświadomie, z pomocą religii, lub bez.

Zastanawiając się nad formą hołdu dla Tomasza Manna, doszedłem do przekonania, że najlepiej uczynię, jeśli w osobie autora „Buddenbrocków", „Góry czarodziejskiej" oraz tetralogii

o biblijnym Józefie, uczczę gatunki poetyckiej prozy, której Tomasz Mann jest mistrzem. Tym bardziej, że twórczość jego przypada na okres, w którym granice między zmyśleniem poetyckim a reportażem (chociaż byłby to reportaż psychologiczny) zaczynają się jakoby zacierać.

Tomasz Mann wiernie kontynuuje w naszych czasach dobrą tradycję europejskiej sztuki narracyjnej, którą rozpoczęli: Bandello, Boccaccio, Cervantes i Madame de Lafayette. Tomasz Mann należy do tych nielicznych pisarzy współczesnych, którzy jak niegdyś Dante Alighieri, wyrażają w swych utworach *jednocześnie* to, co w liturgii katolickiej nazywa się „visibilia et invisibilia". Samym artyzmem swej narracji potrafi on czytelnika storturowanego „prawdziwością" życia na naszej planecie — przenieść w równie prawdziwy, choć zmyślony świat harmonii. Zaś sztuka przenoszenia ludzi z jednego świata do innego jest tylko przywilejem bogów, oraz wielkich artystów. Takich, którzy *naprawdę* byli we wnętrzu ludzkich dusz. A tam jest piekło i czyściec i niebo.

◆

P.S.: Szkic niniejszy pisany był zimą 1945 r. i pierwszy raz ogłoszony w wychodzącym w Sztokholmie kwartalniku literackim „Die Neue Rundschau". Dlatego o wojnie i niemieckich zbrodniach mówimy tu w czasie teraźniejszym. Z tego też powodu tyle miejsca poświęcamy pierwszej naówczas, i, zdaje się, jedynej relacji świadka planowego mordowania Żydów. Wstrząsająca ta relacja stała się źródłem niejednej wersji literackiej, opublikowanej jeszcze przed ukazaniem się — książki Karskiego, z którym wielu pisarzy alianckich miało sposobność zetknięcia się w Londynie i w New Yorku. Nie byliśmy wówczas jeszcze miażdżeni lawiną grozy jaka po wojnie toczy się przez Ocean, ze wzrastającą siłą: nie znaliśmy jeszcze tak licznych dziś i tak wartościowych dokumentów Inferna w Polsce, całej tej literatury obozowej i okupacyjnej, która obecnie bogaci polskie piśmiennictwo.

UWAGI O „PANU TADEUSZU"

W ciągu ostatnich lat dwudziestu dwukrotnie mówiłem publicznie o „Panu Tadeuszu". W r. 1934, w stulecie arcypoematu, przemawiałem w auli Uniwersytetu Warszawskiego, a słuchali mnie przeważnie studenci i studentki, znający „Pana Tadeusza" doskonale. Dłuższe urywki recytował w sposób niezrównany śp. Mariusz Maszyński. Umiał na pamięć całego „Pana Tadeusza". Dziesięć lat później zginął okrutną śmiercią, jako jedna z tylu ofiar zemsty Hitlera za Powstanie Warszawskie.

W r. 1949 znów mówiłem o „Panu Tadeuszu", tym razem w New Yorku. Słuchali mnie przeważnie Amerykanie, dla których to dzieło było nowiną. Mówiąc do nich musiałem liczyć się z faktem, że literatura polska znana jest w tzw. świecie przeważnie z tego, że jest nieznana. Starałem się przeto w sposób najbardziej zrozumiały powiedzieć tym obcym ludziom dobrej woli, że „Pan Tadeusz" jest dla oświeconych Polaków księgą nieomal — świętą. Świętą, pomimo laickiej i bardzo świeckiej treści. I że napisał ją pod ciśnieniem nostalgii — wygnaniec dla wygnańców.

Zachowałem też w pamięci pewne, bardzo znamienne przeżycie. Zimą roku 1941, wraz z paru setkami innych uchodźców z płonącego kontynentu Europy, na lichym stateczku handlowym płynąłem ku brzegom Nowego Świata. Jechał z nami również pewien młody Polak, rodem z Poznańskiego, lecz obywatel amerykański. Stany Zjednoczone nie były jeszcze w wojnie, więc mógł opuścić Polskę legalnie. Ojca, który nie był obywatelem amerykańskim, zabrali mu Niemcy do obozu koncentracyjnego. W pierwszych dniach ciężkiej przeprawy przez Ocean młodzieniec ten bardzo chorował. Wszyscyśmy chorowali, i trudno było w tych warunkach zawierać znajomości. Dopiero, gdy Atlantyk trochę się uspokoił, pasażerowie zaczęli wychodzić na pokład. Wyszedł i mój Poznańczyk i poznałem go bliżej. Nie był żadnym „inteligentem". Był synem zamożnego chłopa, a w Ame-

ryce zamierzał zarabiać na życie goleniem i strzyżeniem bliźnich, bo już w Poznańskim nauczył się fryzjerstwa. Pewnego dnia spotkałem go na rufie z grubą księgą w ręku. Poprosiłem, żeby mi ją pokazał. Pokazał — „Pisma Adama Mickiewicza" w jubileuszowym nowogródzkiem wydaniu i z przedmową mego rodzonego profesora w c.k. VII-mym gimnazjum we Lwowie, śp. Tadeusza Piniego. Przyłączył się do nas jeszcze jeden Polak, zdaje się student, z Wołynia rodem. I czytaliśmy „Pana Tadeusza" — w trójkę. Samemu morzu, samemu niebu, samej wieczności rzucaliśmy wyzwanie:

Biada nam zbiegi, żeśmy w czas morowy
Lękliwe nieśli za granicę głowy...

Itd.

Latem pamiętnego roku 1944, na parę tygodni przed Powstaniem Warszawskim czytałem „Pana Tadeusza" mojej, dwunastoletniej podówczas córce — na werandzie polskiego pensjonatu w górzystym ustroniu stanu New York. Zwabieni głośnym czytaniem, letnicy i letniczki, uchodźcy i uchodźczynie przerwali partię brydża, plotkowanie, rzucili gazety i zaczęli zbierać się na werandzie. Przerwałem edukację córki, nie chcąc popisywać się publicznie. Na próżno. Współuchodźcy nalegali, żebym czytał dalej, więc ustąpiłem. Słuchali w takim skupieniu, jakbym czytał jakiś naprawdę sakralny tekst.

◆

Przenieśmy się jednak w odleglejsze czasy, kiedy to mogliśmy sobie pozwolić na trzeźwiejszy stosunek do wszystkiego, co dziś nam łzy wyciska.

Jak każdy przedmiot powszechnego i aż nazbyt upowszechnionego kultu, tak i „Pan Tadeusz" może się sprzykrzyć. Oczywiście w normalnym życiu na własnej ziemi. Najpiękniejsza modlitwa powszednieje od ciągłego powtarzania, i zwyczajny śmiertelnik przestaje słyszeć jej pierwotne, mistyczne brzmienie. Tylko święty, modląc się, za każdym razem ulega nowemu olśnieniu. Do szkół średnich, w spokojnych czasach przed pierwszą wielką wojną oraz w mniej spokojnych między obu wojnami, nie chodzili sami święci. W dawnej Galicji np. w każdej klasie czwartej przez pół roku odzierała szkoła „Pana Tadeusza" z wszystkich jego powabów i wyciskała zeń niemal wszystkie aromaty. Niżej podpisany nie należał do świętych. Ale mój żal do szkoły za to, że mi obrzydziła „Pana Tadeusza" nie jest tylko złym wspomnie-

niem ucznia czwartej klasy, który bardziej interesował się piłką nożną. Sam byłem we Lwowie nauczycielem języka polskiego i tak się złożyło, że przez kilka lat z rzędu musiałem „przerabiać" „Pana Tadeusza" z uczniami, którzy bardziej interesowali się piłką nożną oraz z uczennicami, bardziej zafrapowanymi tzw. przebudzeniem wiosny. To było już dosyć dawno, więc dziś, gdy o tym piszę, skłonny jestem pod wpływem rozrzewnienia sfałszować moje ówczesne prawdziwe reakcje. Ale nie dam się i zrekapituluję po krótce to, co wówczas czułem naprawdę. A zatem fakt faktem, że od tych moich belferskich lat unikałem „Pana Tadeusza" tak jak się unika świadka jakiejś niezbyt czystej sprawki. Dopiero w r. 1929 niespodzianie wydobyłem go sobie spod naftaliny. Stało się to w Paryżu, gdzie „Pan Tadeusz" przyszedł na świat. Olśniony jego pięknością, odurzony jego wonną zielenią, poczułem się tak, jak gdybym patrzył na wykopalisko. A patrzyłem z okna na Boulevard Brune, na Petit Montrouge i na pogrzeby ciągnące na cmentarz Bagnolet.

Dziwnie to brzmi zapewne, że do litewskiej epopei zaprowadził mnie z powrotem, jak syna marnotrawnego do domu ojca, nie kto inny, tylko Marcel Proust. Jakimś ukrytym, podziemnym korytarzem wrażliwości dostałem się w czasie lektury „Du coté de chez Swann" — do Soplicowa. Nie ma oczywiście mowy o podobieństwie tematu, a tym bardziej techniki. Jest jednakże coś, co stwarza powinowactwo aury obu tych, tak nie podobnych do siebie utworów. Jak gdyby obaj poeci pisali je, jeden wierszem, drugi prozą pod wpływem tych samych jadów w duszy. I jak gdyby obaj czerpali oddech do swych dzieł z tego samego paryskiego powietrza, chociaż jeden tylko, zdrowy jak litewski żubr — Mickiewicz zachłystywał się nim dowoli. Bo Proust, nękany astmą rzadko wychodził z cieplarni swego mieszkania na świeże powietrze.

Co w „Panu Tadeuszu" rzuca się w oczy dzisiejszego czytelnika, to ów uduchowiony realizm, po którym na odległość można poznać Mickiewicza. Ta naczelna cecha jego artyzmu występuje równie silnie w epickich fragmentach „Dziadów". Tu i tam podziwiamy precyzję obserwacji, jakiej Mickiewiczowi mógłby pozazdrościć niejeden powieściopisarz XX wieku. I, zdaje się, że w literaturze polskiej tylko jeden Mickiewicz umiał uruchomić najprostszymi środkami całą wrażliwość czytelnika. Te środki — to nie tylko skojarzenia, obrazy i metafory. „Pan Tadeusz" naciera na wszystkie nasze zmysły równocześnie tak, iż nie tylko go widzimy, ale i słyszymy, czujemy, dotykamy, smakujemy. Jest nam w nim ciepło i zimno, owiewają nas tam

wonie sadów i puszcz, pochłaniają święte cisze. Zatracamy się do cna w świecie jego dźwięków i obrazów. Lektura tej sporej książki nie jest wysiłkiem ani dla intelektu, ani dla wyobraźni. Jest przygodą. Nie odbiera też spokoju naszej duszy. Wychodzimy z tej przygody z czystym sumieniem. I wychodzimy zdrowi.

Współcześni Mickiewicza nieco inaczej od nas reagowali na ten poemat. Raziło ich to zdrowie. Nie rozumieli pasji malowania codzienności życia. Raził ich język, jakim żywi ludzie mówią w poemacie o swych powszednich sprawach. Co najdziwniejsze: sam autor podzielał opinie swych paryskich polskich kolegów. Był dla nich do tej pory prorokiem, wodzem duchowym. Więc nie mogli pojąć gwałtownego przeskoku od patetycznych „Ksiąg Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego" do wierszowanej powieści o zwyczajnych ludziach i ludzkich kłopotach. Sławne na cały ówczesny świat „Księgi Narodu Polskiego i Księgi Pielgrzymstwa Polskiego" ukazały się w r. 1832 i były ostatnią publikacją Mickiewicza przed „Panem Tadeuszem". Pisane stylem biblijnym i namaszczonym odsuwały raczej osobę autora od zwykłych śmiertelników. Przetłumaczone na wiele języków nadały Mickiewiczowi wśród społeczeństwa emigracyjnego rangę Mojżesza na pustyni. Po tych „księgach" na czole wygnańca litewskiego wyrosły nieomal złote rogi, którymi Bóg przyozdobił potężną głowę prawodawcy Izraela. Aż tu naraz, po Synaju, po Krzaku gorejącym — zwyczajna wieś Soplicowo, z bydłem, drobiem i ludźmi, zajętymi przyziemnymi sprawami. Nie dziw, że i sam autor lekceważył dzieło, którym zdobył nieśmiertelność podobnie jak twórca nowoczesnej prozy beletrystycznej, Boccaccio, nie cenił zbytnio „Dekameronu" lecz nad te „lekkie" opowiadania przenosił raczej swoje ciężkie utwory dydaktyczne, pisane po łacinie.

Przytoczę tu urywek dość prawdopodobnej rozmowy, która wyraźnie na to wskazuje. Świeżo ukończonego „Pana Tadeusza" czytał autor w gronie paryskich przyjaciół. Jeden z nich, Bohdan Zaleski, zauważył, że niektóre odezwania się osób, występujących w utworze, a zwłaszcza swary szlachty zaściankowej, obniżają nastrój poważnej epopei. Na co Mickiewicz odpowiedział: „Wiem ja, mój drogi, czego ty chcesz — nie tylko w tych miejscach, które mi wskazałeś, ale w całym poemacie trzeba by podnieść nastrój o pół tonu. To naprędce nie da się zrobić... Poprawię się, da Bóg, w innej *powieści* (podkr. moje), w synu Pana Tadeusza, a najprawdopodobniej w dalszych częściach „Dziadów".

Nagły wybuch trzeźwości, jakim w atmosferze, naładowanej mistycyzmem, był „Pan Tadeusz", jego pogodny, chciałoby się rzec apolliński optymizm, musiał zdezorientować nie tylko parys-

kie otoczenie wieszcza, ale całe społeczeństwo polskie, przywykłe już do byronizmu. Od proroka wymaga się ekstazy, nieprzytomności i obcowania ze światem nadprzyrodzonym. Tymczasem prorok, który do tej pory dość ortodoksyjnie spełniał przykazania romantyzmu i utwory swe zaludniał duchami i widmami, naraz przedzierzgnął się w trzeźwego narratora i napisał powieść o prawdziwych i bardzo żywych ludziach. Powieść. Tylko, że rozdziały tej powieści skrępował mocnymi więzami wiersza, trzynastozgłoskowca, mieniącego się wszystkimi barwami tęczy. Tu właśnie jest źródło nieporozumienia, z którego sam autor widocznie nie zdawał sobie sprawy, skoro zgodził się z zarzutami Bohdana Zaleskiego. Mowa wiązana obowiązuje do wzniosłości. A tej wzniosłości było za mało romantykom, w „Panu Tadeuszu".

W tym, że Mickiewicz napisał swą *powieść* wierszem nie należy jednak doszukiwać się znamienia epoki, ani uległości wobec panującej mody. Napisał ją wierszem raczej wbrew panującej modzie. W owych bowiem czasach w całej Europie, szczególnie we Francji pisano normalne, prozaiczne powieści. Sądząc te czasy po tym, co z nich przetrwało w literaturze po dzień dzisiejszy, można je uważać za złoty okres francuskiego romansu. Nie zapominajmy, że rok 1834 jest rokiem wydania „Ojca Goriot" Balzaka. A już w r. 1830 wyszły „Czerwone i czarne" Stendhala. Trudno przypuszczać, że Mickiewicz nie znał tych powieści, skoro żył w Paryżu i wrastał w jego literacką atmosferę. Na decyzję napisania „Pana Tadeusza" wierszem musiały przeto wpłynąć dawniejsze przyzwyczajenia, oraz świadomość własnego mistrzostwa wersyfikacyjnego.

W literaturze polskiej przed Mickiewiczem mieliśmy sporo niezłych powieści. Żadna z nich jednak nie zawierała tej pełni życia, co „Pan Tadeusz", żadna też nie dawała tak wiernego wizerunku epoki i obyczajów. A jeśli tu i ówdzie w dawnym piśmiennictwie znajdujemy utwory beletrystyczne czy pamiętniki, wiernie odzwierciadlające powierzchnię życia, powłokę rzeczywistości, to brak im tej najważniejszej prawdy, ponadreporterskiej, prawdy — poetyckiej. Bez niej żadna powieść nie żyje dłużej ponad swój czas. Chodzi o poetycką wizję rzeczywistości, bez której np. dzieło Prousta byłoby tasiemcowym zbiorem plotek. Podkładem poetyckiej wizji w „Panu Tadeuszu" jest obserwacja świata, wymiernego w przestrzeni i w czasie, jak świat Prousta. Najtrudniejszy to gatunek wizji. Wizjoner-somnambulik, wizjoner mgławicowy, ma większą swobodę ruchu. Nikt go nie kontroluje i nie pociąga do odpowiedzialności. Wizje w stylu Shelley'a np., albo Słowackiego, w ogóle nie podlegają konfrontacji z tzw.

obiektywną prawdą. Ale proustowska wizja Paryża u schyłku XIX w., podobnie jak tołstojowska wizja Rosji w „Wojnie i Pokoju" w tych samych latach, co mickiewiczowska wizja wsi litewskiej, to obrazy konkretnego czasu i określonej przestrzeni. Wizje te, bez względu na to ile w nich jest zmyślenia, podlegają naszej kontroli i, jak się okazało, doskonale wytrzymują konfrontację z naszymi wyobrażeniami o rzeczywistości. Ludzie Soplicowa mają w naszych oczach tyle „prawdy", iż jest nam obojętne skąd Mickiewicz ich wziął: czy skopiował ich z pamięci, czy też ich sobie wymyślił. Tak, czy owak — ci ludzie należą do świata rzeczywistego, jak nasi przodkowie, których też znamy jedynie z opowiadań.

Mickiewicz Soplicowa ani nie potępia, ani nie rozgrzesza. On tylko do Soplicowa tęskni. Jeśli coś gloryfikuje, to — samo życie, samo istnienie: ludzi i grzybów i żab. W takich warunkach „bohaterowie" poematu różnią się nieco od typowo romantycznych postaci Byrona, czy Walter Scotta. I różnią się od bohaterów poprzednich poematów Mickiewicza, w których panuje „nastrój o pół tonu wyższy". Jeden tylko ksiądz Robak mógłby uchodzić za bohatera w dawnym stylu Mickiewicza. Jest on też moralnie najciekawszą i chyba najbliższą autorowi postacią powieści. Nie da się zaprzeczyć, że przeskok od Konrada Wallenroda, Gustawa-Konrada do flirtujących, pretensjonalnych kawalerów, do młodych i starych panien na wydaniu, do Assesora i Rejenta. Gerwazego i Protazego, a więc przeskok od nadludzi do bardzo zwyczajnych ludzi dokonał się w tempie błyskawicznym. Tamte postaci mogły stanowić modele dla śmiertelników. Modelowość Grażyny, Gustawa-Konrada, a zwłaszcza Konrada Wallenroda wyraża się w ich nienaturalnym zachowaniu, w teatralnych, czasem operowych gestach i w języku. Gdyby ludzie „Pana Tadeusza", z wyjątkiem księdza Robaka, byli patetyczni jak tamte postacie, nie wytrzymaliby życia w normalnych warunkach Soplicowa. Byliby też groteskowi jak pan Hrabia, w którym autor chciał ośmieszyć pewne cechy wczesnego romantyzmu. Najpoważniejszą postacią poematu, jest, jak wspomnieliśmy, ksiądz Robak. Jego patos łączy się z patosem śmierci. I trzeba stwierdzić, że jego przedśmiertna spowiedź odstaje nieco od harmonijnych ram epopei. Przypomina swym stylem emfatyczne monologi dawnych bohaterów Mickiewicza. Byli to przeważnie ludzie niezwykli, obdarzeni rzadko w życiu spotykanymi cechami duszy i charakteru. Opisywanie menu szlachetnego obłąkańca Gustawa z „Dziadów" byłoby śmieszne i nieprzyzwoite. Równie gorszące byłoby wyliczanie potraw, które spożył Konrad, wyczerpany

tzw. małą i dużą Improwizacją, gdzie rozprawiał się z Bogiem i szatanem. Nie godzi się więc zestawiać tak różnych utworów tego samego poety, jak „Pan Tadeusz" i „Dziady". Piękno „Pana Tadeusza" jest bezinteresowne i działa na inne miejsca naszej wrażliwości, niż piękno „Wallenroda" i „Dziadów". Nie zmierza ono do przetworzenia psychiki czytelnika. „Dziady" wyraźnie usiłowały wywołać morfologiczne zmiany w duszach. Autor „Dziadów" był moralistą. Pokazał ludzi, którzy jak Prometeusz wydali wojnę niebu i prowadzą ją na swój własny słowiańsko-litewski sposób. Wojny z niebem, strategia i taktyka tych wojen w literaturze świata wołają o swojego Clausewitza. Gdyby Albert Camus znał „Dziady", niewątpliwie wymieniłby Konrada w swym „L'homme révolté" jako klasyczny przykład rewolty prometejskiej. Tym bardziej, że największy bluźnierca w literaturze świata zachodniego, biedny Isidore Ducasse, „hrabia" Lautréamont, parokrotnie powołuje się na Konrada i na tę walkę, jaka toczyła się „w Wilnie przy ulicy Ostrobramskiej, w klasztorze ks. ks. Bazylianów, przerobionym na więzienie stanu".

Lecz wróćmy do „Pana Tadeusza". Twórca jego z niebywałym wdziękiem przemienił aniołów w zjadaczy chleba i litewskiego bigosu. Romantyczne dziewice i byroniczne kochanki nie miały w Polsce ciał, nie miały płci. Miały tylko dusze. Zimą i latem w upał, mróz i słotę chodziły po ziemi w tej samej, zwiewnej, anielskiej bieli oczywiście. W „Panu Tadeuszu" mamy nareszcie prawdziwe kobiety. Obute. Aby spotęgować zaintrygowanie i oczarowanie Tadeusza tajemniczą ogrodniczką, w pierwszej księdze, zaraz na początku, kazał Mickiewicz Zosi chodzić boso:

.....; jeszcze kołyszą się drzwiczki
Świeżo trącone, blisko drzwi ślad widać nóżki
Na piasku, bez trzewika była i pończoszki;

Na ogół kobiety w „Panu Tadeuszu" noszą stroje, przystosowane do pór roku i mody. Mickiewicz znał się na damskich modach. Do upięcia kunsztownych fryzur damy w Soplicowie używają papilotów. Mają wyraźnie modelowane ciała. Niektóre z nich, jak np. Telimena chciałyby pogrzeszyć. W tym celu uwodzą nie duchy, nie upiory, lecz przeciętnych, przystojnych młodzieńców, zdrowych jak soplicowskie byczki. Gdyby nie było „Pana Tadeusza" mógłby ktoś, znający Polskę i Litwę tylko z poprzednich utworów Mickiewicza, sądzić, że na tych ziemiach żyły same tylko Aldony, Grażyny, Maryle, lub w najlepszym ra-

zie — same Emilie Plater. „Pan Tadeusz" jest księgą życia narodu. Tamte poematy były księgami śmierci. Śmierci bohaterskiej.

Zdawałoby się, że w „Panu Tadeuszu" nie ma już zjaw z innego świata, nie ma widm, ani upiorów. Tak jednak nie jest. Bo, czyż całe Soplicowo, cała szlachecka przeszłość Polski nie stała się dla Mickiewicza w Paryżu zjawą z innego świata? Zjawą świata, który minął bezpowrotnie? W tym właśnie widzę pewne powinowactwo aury „Pana Tadeusza" z aurą dzieła Prousta. Uczuciowym podkładem genezy obu tych dzieł jest niepowrotna minioność dwu, tak zresztą nie podobnych do siebie światów. Ta minioność uwypukla kontury zaginionej dziejby i pozaziemskim światłem iluminuje światy, wydarte zapomnieniu. „Pan Tadeusz" też był pisany „à la recherche du temps perdu". I nie tylko *du temps,* również i *de l'espace.* Pisał go bowiem wygnaniec. Tym również tłumaczy się ta pedantyczna drobiazgowość w wywoływaniu z mroków śmierci każdej umarłej woni, każdego smaku, obrazu, dźwięku, kształtu, nazwiska.

Wydaje się, że sam Mickiewicz upajał się brzmieniem nazwisk niegdysiejszych ludzi na Litwie, jak jego ostatni Woźny trybunału, który co wieczór, przed uśnięciem odczytywał sobie na głos starą, bezużyteczną już wokandę:

...Ogiński z Wizgirdem
Dominikanie z Rymszą, Rymsza z Wysogirdem,
Radziwiłł z Wereszczaką, Giedrojć z Rodułtowskim,
Obuchowicz z kahałem, Juraha z Piotrowskim,
Maleski z Mickiewiczem, a na koniec Hrabia
Z Soplicą: i czytając z tych imion wywabia
Pamięć spraw wielkich...

Nie tylko pamięć spraw wielkich wywabił Mickiewicz z przeszłości, ale i spraw małych, sielankowych i śmiesznych, groźnych i obojętnych, z których składa się życie, a bez których nie ma epiki.

◆

A teraz niech nam będzie wolno westchnąć do tych czasów, kiedy dzieło literackie było dla czytelnika nie tylko źródłem tzw. wzruszeń estetycznych, czy wstrząsów moralnych, ale i źródłem informacji. Zaspakajało ciekawość, pobudzało do refleksji, bawiło, podając w pięknej formie charakterystyki ludzi i opisy wydarzeń. Obojętne to, czy ci ludzie rzeczywiście istnieli, czy

byli jeno dziećmi wyobraźni autora. Dawna poezja epicka, beletrystyczna proza czy też zwyczajna relacja szerzyły również plotki o wybitnych ludziach, odsłaniały kulisy intryg, wtajemniczały w sekrety możnych tego świata. Pamiętnik, kronika, nawet zwykły list stawały się dziełami sztuki, zależnie od ambicji autorów. Ambicje te na ogół wysoko sięgały. Mimo, iż autorowie nie zawsze myśleli o publikowaniu tych pism, taką nadawali im formę, że później stawały się te pisma dokumentami smaku i stylu epoki. Niewątpliwie jesteśmy dziś świadkami zubożenia literatury, pomimo rozpaczliwych wysiłków, zmierzających do odnowy wszystkich niemal gatunków poezji i prozy. To — rozwój dziennikarstwa, fotografii, kinematografii, radiofonii, a ostatnio telewizji zmusił pisarzy do opuszczenia powierzchni życia i do kierowania się raczej w głąb jego zjawisk. Kazał im przedstawiać słowami tylko takie treści, których inaczej przedstawić nie można. Listy markizy de Sévigné, pisane wytrwale przez dwadzieścia parę lat do córki, hrabiny de Grignan, obchodziły właściwie tylko adresatkę. Dziś stanowią nie tylko klasyczne dzieło prozy francuskiej, ale i żywą, plastyczną panoramę czasów Ludwika XIV. Pani de Sévigné donosiła w tych listach córce, zamieszkałej w odległej, jak na owe czasy Prowansji, takie nowiny, o jakich pani de Grignan nie mogłaby tak rychło dowiedzieć się inną drogą. Nawet z pierwszej gazety, jaka w owych właśnie czasach zaczynała we Francji wychodzić. Toteż list miał wtedy całkiem inne znaczenie niż dziś. Dziś epistolografia zanika nie dlatego, że ludzie nie umieją już pisać listów, lecz chyba dlatego, iż uznali konkurencję z gazetą, kinem i telewizją — za beznadziejną. To samo dotyczy pamiętnikarstwa. Na próżno szukali byśmy pośród *bestsellerów* dzisiejszych pamiętnikarzy — nowych Saint-Simonów, pań de Staal (proszę jej nie mieszać z panią de Staël), pań d'Epinay, pań du Deffand. A przecie wielotomowe pamiętniki księcia de Saint-Simon są dziełem sztuki, bez którego może nie byłoby Prousta. Tu i tam, plotka została jak gdyby zmonumentalizowana, oczywiście odmiennymi środkami. Tam, gdzie Saint-Simon opisuje nagi fakt, zaopatrując go komentarzem, Proust jak męczeński górnik wwierca się w najgłębiej ukryty sens faktu. Być może, że jedyny Churchill zbliża się dzisiaj do dawnych pamiętnikarzy w wielkim stylu i być może będzie i on Saint-Simonem dla przyszłego epika drugiej wojny światowej.

Dawnymi czasy, wydarzenia takie jak wojny, pożary, zarazy, trzęsienia ziemi, docierały do powszechnej świadomości, oddalonego od nich ogółu — tylko dzięki indywidualnie zabarwionym, często zniekształconym relacjom pisarzy. Nie było jeszcze

zsyndykalizowanych wizji życia i śmierci, produkowanych dziś masowo w biurach agencji prasowych, fotograficznych, kinowych i radiowych. Dziennik filmowy, ani telewizja nie narzucały jeszcze światu swych, na gorącym lub na zimnym uczynku chwytanych, fragmentów bitew i katastrof. Epik, pamiętnikarz, epistolograf pozostawiali wiele swobody domyślności i fantazji czytelnika. Zmuszali ją do współpracy ze swoją twórczą wyobraźnią. Trzęsienie ziemi które w r. 1775 całą prawie Lizbonę zamieniło w gruzy, przeszło do historii i utrwaliło się w naszej pamięci przede wszystkim dzięki „Candide" Woltera.

Tak też i „Pan Tadeusz", poza wszystkimi urokami zawartej w nim poezji, a może właśnie dzięki tym urokom jest wcale przyzwoitym źródłem informacji o nie filmowanych miejscach i czasach, w których upłynęło dzieciństwo poety. Niemało też znajdziemy tam plotek i anegdot o autentycznych sąsiadach lub wymyślonych przez autora Soplicach i Horeszkach. Parę razy spotykamy nawet wzmianki o rodzinie Mickiewiczów.

Sądzimy, że ówczesny świat naprawdę wyglądał tak jak go Mickiewicz przedstawił w „Panu Tadeuszu". Albowiem świat zawsze wygląda tak jak nam go przedstawiają wielcy poeci, a nie — reporterzy. Jakim go widzieli El Greco, Rembrandt, Cézanne, a nie — fotografowie.

1949-1954

APOLOGIA GOMBROWICZA

Ta obrona ma charakter profilaktyczny. Pragnę nią uprzedzić i udaremnić ewentualne ataki na osobę i twórczość autora „Trans-Atlantyku". Zarówno bowiem Przedmowa jak i pierwszy fragment tej powieści, ogłoszone w numerze 5/43 „Kultury" mogą wywołać nieporozumienie, a nawet mogą zgorszyć niektórych czytelników. Zwłaszcza takich, co w gombrowiczowskim „zniekształceniu" tzw. rzeczywistości dopatrywaliby się własnych rysów. Kto gorszy się „Trans-Atlantykiem" i jego implikacjami, niech będzie łaskaw odczytać sobie na głos oba artykuły, jakby ze złośliwą intencją zamieszczone w tym samym zeszycie „Kultury", w dziale „Najnowsza historia Polski". Nie ubliżając niczyjej pamięci, ani czci ludzi żyjących, znajdziemy w tych artykułach żywy model tego właśnie świata, który Gombrowicz w sposób artystyczny przekształcił i wyszydził. Czy np. radca Podsrocki z „Trans-Atlantyku" nie jest mlecznym bratem radcy z artykułu „Jeszcze o komitecie siedmiu"? Bratem tego radcy w Bukareszcie, co „stukając laską o podłogę (był kulawy) nosowo-gardłowym głosem kilkakrotnie powtarzał wyuczoną formułkę: „Ja, radca Poniński, w imieniu Rządu R.P. i w imieniu Ambasady wzywam pana Dyrektora do mówienia prawdy". Spójrzmy z odpowiedniego dystansu na przeróżne postaci dyplomowane, od których roi się „Najnowsza historia Polski", zanim żółciowym kamieniem ciśniemy w Gombrowicza i w jego dzieło.

Wszelkie zgorszenie ma sens tylko wówczas, gdy jest reakcją na zło. A więc w naszym wypadku, gdyby było reakcją na krzywdzącą inwektywę, na kłamliwe oskarżenie, na niesprawiedliwy osąd, na bezwstydne pogwałcenie czystości, niewinności — świętości. Skoro jednak artysta, głęboko wstrząśnięty niemoralnością rządzącego światem Absurdu stawia pod tuszem, pod kaskadą zdrowego śmiechu — przedmioty i sprawy niezupeł-

nie pod względem moralnym higieniczne — powinniśmy gorszyć się raczej istnieniem tych spraw i przedmiotów, a nie artystycznym faktem ich ośmieszenia. Gdyby świat, w którym żyjemy był choć o tzw. jotę lepszy od świata, który w tak oryginalny i bezwzględny sposób demaskuje w swych dziełach Gombrowicz — twórczość jego nie byłaby aktualna. Nikogo by nie drażniła i nie wymagałaby obrony. Ale ona i tak jej nie potrzebuje. W zwięzłej Przedmowie sam autor wyjaśnił doskonale, o co mu chodzi i wyłożył metodologię swojej wizji świata. Wizji, a nie filozofii, gdyż zastrzega się kategorycznie, iż nie jest filozofem, tylko artystą. Jeśli mimo to, pozwalam sobie zabrać głos niejako *avant la lettre* ewentualnej polemiki, czynię to pobudzony wyłącznie szacunkiem i lojalnością wobec wybitnego i rzadko na polskiej „niwie" literackiej spotykanego zjawiska.

Mój podziw dla twórczości Gombrowicza datuje się nie od dziś. Już na parę lat przed ostatnią wojną, gdy ukazała się jego pierwsza książka, zbiór opowiadań groteskowo-satyrycznych pod niezbyt szczęśliwym tytułem „Pamiętnik z okresu dojrzewania" uprzytomniłem sobie, że pojawił się pisarz śmiały i niepodobny do innych. To moje pierwsze wrażenie potwierdziła i umocniła wydana nieco później i znacznie ważniejsza powieść „Ferdydurke". Nie mam zaszczytu należenia do osobistych przyjaciół Gombrowicza, ani do jego literackiej parafii, czy „sitwy", którą — jeśli się nie mylę — tworzył razem z nim tylko jeden, równie jak on wybitny artysta, pisarz i rysownik, nieodżałowany Bruno Schulz. Właściwie nie bronię tu Gombrowicza, lecz z tytułu starszeństwa witam go powracającego na polską scenę literacką i to na scenę emigracyjną, po kilkunastoletniej nieobecności. Te zaś uwagi natury osobistej komunikuję czytelnikom „Kultury", aby ich zapewnić, że Gombrowiczem zajmuję się bezinteresownie, o ile pojęcie bezinteresowności może być stosowane w tym kontekście. Czyż miłośnictwo *twórczej* literatury, jak wszelkie miłośnictwo, żeby nie powiedzieć — miłość — może być bezinteresowne?

Powiadając: *twórcza literatura,* od razu docieramy do sedna zagadnienia. Na swych niezwykle wartościowych „Kartkach z dziennika", ogłoszonych w zeszycie 3/151 londyńskich „Wiadomości" — Jan Lechoń notuje pod datą 30 września 1950 r. takie oto słuszne spostrzeżenie: „...bo ostatecznie o wartości pisarza stanowi przede wszystkim jego oryginalność"... „Jeśli ma się jakiś cień porządku i hierarchii w literaturze utrzymać, trzeba koniecznie zreformować, uinteligentnić wpływologię, ale zarazem zaczynać każdą krytykę od badania, co autor dał od siebie, w czym jest nowy. Oczywiście będzie to pogrom różnych wielkości"...

Nie jesteśmy amatorami pogromów nawet na „niwie" literackiej, lecz żyjąc w erze masowej produkcji książek, winniśmy stanowczo oddzielić to, co w nich jest naprawdę twórcze, a więc nowe, od wszystkiego, co jest tylko powtórką, wariacją, permutacją rzeczy dawno już stworzonych. Nie jest to sprawa łatwa. Świat czytelniczy zalewa dziś pisana manufaktura, zgrabna, strawna, podniecająca i wypierająca dzieła samorodne, niekiedy trudne zawiłe i niemiłe, bez których wszakże nie byłoby tej całej manufaktury. Iluż to dziś naliczymy Prouścików, ale wygładzonych i skróconych, ilu Joyce'ów, ale sterylizowanych? A w nowszym piśmiennictwie Stanów Zjednoczonych raz po raz zawadzamy o jakiegoś niedo-Kafkę, któremu brak tylko jednej rzeczy: obsesji Kafki. Pomysły Kafki, podobnie jak teorie Freuda zostały już na tej półkuli szczęśliwie „zdajdżestowane" i beletrystycznie zasymilowane. Pełno tu jest w literaturze trzeźwych kombinatorów, którzy z powodzeniem podpatrzyli „chwyty" autentycznych wizjonerów i opętańców, aby potem na zimno, na trzeźwo produkować halucynacje o ściśle określonej liczbie słów, a nawet liter — i dyktować je sekretarkom i maszynistkom. W czasach powszechnego zamętu i popłochu, również i na targowisku sztuki pomieszały się i popłoszyły wszelkie wartości, i nieraz wynalazcy — aby nie umrzeć z głodu — muszą własne inwencje kupować za grosze u swych możnych naśladowców. Tak synowie odbierają hołdy należne ojcom. Nie chcemy przez to powiedzieć, że w sztuce nie ma ewolucji i dzieci mają się rodzić bez współudziału rodziców. W sztuce współczesnej nie łatwo jest — pozbyć się dziedzicznego obciążenia. Ale taki chaos w niej panuje, że nazwę twórczości stosujemy i tam, gdzie mamy do czynienia tylko z odtwórczością: z przetworami, a nie — jakby powiedział Przybyszewski — z „tworami". A zatem nie wszystko, co zostało napisane — i to nawet dobrze napisane — podpada pod pojęcie twórczości. Z drugiej jednak strony, wynosząc zasługę artystów, co tworzą jak gdyby „z niczego", czyli z siebie, nie powinniśmy lekceważyć tych, co świadomie ulepszają wynalazki poprzedników. W skromnej ambicji napełniania starych dzbanów świeżym winem — kontynuują oni style i rodzaje dawno już stworzone. Ileż to pięknych i *oryginalnych* sonetów napisano po Guittone d'Arezzo, który uchodzi za ojca tego gatunku poezji? Dopiero po nim przyszli Petrarka i Dante.

Wolno również zakwestionować sprawę inwencji w literaturze. Wolno powiedzieć tak: literatura jest już bardzo stara, wszystko już zostało wyrażone na setki sposobów, cóż nowego jeszcze można wymyślić? Taki pogląd byłby rezygnacją z postępu. Czy nie zdawało się, że po Flaubercie, Tołstoju, Dostojewskim nie-

wiele już można zrobić w powieści? A jednak zrobiono sporo i to w naszym, tak wyklinanym XX stuleciu. Chociażby wspomniani już: Proust, Joyce i Kafka. Twórczość takich artystów jest rewelacją, czyli po polsku: objawieniem, a po grecku: apokalipsą. Odkrywaniem rzeczy zatajonych.

Na szczęście sztuki pełno jest jeszcze w świecie zmysłów i w świecie ponadzmysłowym — kształtów, barw, elementów, a nawet całych substancyj — czekających na odkrycie. Ale wróćmy do Gombrowicza. Niezależnie od tego, czy nam się podoba, czy nie, czy gorszy nas, czy nie gorszy — musimy go zaliczyć do tych właśnie twórców, co odkrywają rzeczy zatajone. W naszym mniemaniu należy on do największych artystów pisanej groteski. To *creative artist* całą, może niezawsze wyparzoną, gębą. *Creative* — a nie *recreative*. Apokalipsa Gombrowicza jest groteskowa, podobnie jak apokalipsa Daumiera lub „Guernica" Picassa w nowojorskim Museum of Modern Art. Trudno jest bowiem wyrazić koszmar naszych czasów metodą realistyczną. A jeśli można go tak wyrazić — nie podobna go przezwyciężyć. Przezwycięża go tylko żart, satyra, ironia i głębsze znaczenie. Każda groteska w sztuce jest pełna „głębszych znaczeń": jest artystycznym skrótem, oszczędzającym artyście i nam mozołu docierania do jądra koszmaru — przez okrywające go i niekiedy wspaniale połyskujące skorupy.

Gombrowicz jest artystą świadomym. Wie dobrze, do czego zmierza. W Przedmowie do ‚Trans-Atlantyku" wyznaje: „nie jestem opisywaczem i głosicielem świata zewnętrznego — jestem tylko piewcą tego, co we mnie się dzieje". A dzieje się tam bardzo wiele. W każdym człowieku dzieje się bardzo wiele, niekiedy może więcej, niż w artyście. Ale tylko artysta potrafi to „dzianie się w nim" — wyciągnąć na powierzchnię i upostaciować. Co prawda nie każdy ma odwagę zajrzenia we własną tzw. „głąb". A jeśli nawet ma odwagę i zajrzał, często na widok tego, co zobaczył, zdejmuje go tak paniczny strach, że traci mowę. I zamiast „własnymi słowami" opowiedzieć, wybełkotać, lub w braku słów bodajże wykwilić zawartość swej „głębi", — bojaźliwie pożycza sobie cudze, lecz pewne narzędzia ekspresji. Woli sięgnąć po naoliwiony, w długoletnim użyciu wypróbowany aparat do przekazywania innym własnych doznań, niźli zaryzykować eksperyment, skok w próżnię, katastrofę, zgorszenie. Taka bywa tragedia niejednego artysty.

Uniknął jej Gombrowicz. Zajrzawszy śmiało w swoją „głąb" — znalazł od razu własny język na jej wyrażenie. Język to nie najsłodszy. Przypomina on niekiedy Mikołaja Reja, to znów „Pamiętniki chłopów"; jest umyślnie stylizowany na rubaszność, udaje

nieokrzesanie, marchołtową grubość, choć rzadziej — sprośność. Gombrowicz fanatycznie wielbi prawdę. W jej imię demaskuje świat, załgany na śmierć. Z gracją humorysty rozsadza zastoiny myślowe i uczuciowe polskiej inteligencji przedwojennej, burzy nawet jej nawyki semantyczne i ortograficzne. Na swym „Trans-Atlantyku" płynie on nie po żywym morzu, lecz po stęchłym, rzęsą i żabim skrzekiem zaciągniętym stawisku. Z trudem porusza się stateczek po nieświeżych wodach — sterując ku prawdzie.

Gombrowicz jest artystą zupełnie samotnym: jego apokalipsa, podjęta w imię ludzkości, nie znosi zbyt licznego towarzystwa ludzi. Toteż nie łatwo jest ustalić jej genealogię i powinowactwa. Kult wszechpotężnej Formy, którą autor „Trans-Atlantyku" nazywa „jedynym dostępnym nam bóstwem" zbliża go do St. I. Witkiewicza i jego „Czystej Formy". Pozorny cynizm rozgoryczonego moralisty przypomina tu i ówdzie wczesnego Céline'a, tego od „Podróży do kresu nocy". W niektórych opisach absurdalności „szarego" bytu — straszy Gombrowicz, jak Kafka. (Kancelarie!) To — zdaje się — jest wszystko. Dalej — „wpływologia" już zawodzi. Stoimy wobec fenomenu w literaturze polskiej zupełnie nowego, *inédit* lub — jakby powiedzieli nasi puryści językowi — samoswojego. Odrębność i samorodność Gombrowicza — nie oznacza atoli oderwania się od korzeni: przeciwnie: głęboko i tragicznie tkwi Gombrowicz w ojczystym, ściślej mówiąc — w sandomierskim podglebiu. Ten pogromca szlachetczyzny i ziemiaństwa nie zerwał organicznej więzi ze sferą, która go wydała. Jest zjawiskiem tak bardzo polskim, że nawet w najlepszych tłumaczeniach utwory jego tracą swą soczystość.

Czytając je — winniśmy autorowi wdzięczność za to, że dostarczył nam tak rzadkiej okazji asystowania przy samym akcie twórczym. Zgodnie bowiem z teorią i zamierzeniem pisarza, jesteśmy tu stale obecni przy „stwarzaniu ludzi przez ludzi". „Dla mnie człowiek jest bez przerwy przez ludzi stwarzany" — deklaruje Gombrowicz, w Przedmowie do powieści. To kwintesencja jego nauki i estetyki. I — nieczęsto zamierzenie artysty pokrywa się tak, tak jak u Gombrowicza, z tym, czego dokonał. Bo Gombrowicz potrafił wciągnąć nas w swój koszmar (który jest przecie naszym koszmarem, choć nie zawsze chcemy to widzieć). Od nas zależy, czy w nim pozostaniemy, czy też potrafimy się zeń wydobyć o własnych siłach. Autor nam w tym nie dopomoże.

◆

Poszukiwanie prawdy, demaskowanie kłamstwa jest zajęciem tak starym jak świat — nauki i sztuki. Minęło już 1918 lat od owego Piątku, gdy pewien namiestnik rzymskiego cesarza na Bliskim Wschodzie zapytał Skazańca, który zeznał, że „przyszedł, aby dać świadectwo prawdzie": — Co jest prawda? — Nie otrzymał odpowiedzi. Ale dla wielu ludzi właśnie śmierć owego Skazańca, poniesiona jeszcze tego samego dnia, jest odpowiedzią na to pytanie. Więcej: jest źródłem prawdy jedynej i uniwersalnej. Dla wielu — nie dla wszystkich. Większość dalej nie wie, i jak Piłat pyta, lub znużona brakiem odpowiedzi, rezygnuje z niej, zadowalając się surogatem prawdy, pół-prawdami lub kłamstwem. Cały trud dalszego poszukiwania stał się udziałem znikomej mniejszości. Toteż każdy uczciwy apokaliptyk, choćby trzymał się jak najdalej od prawdy Krzyża — już przez samą trawiącą go pasję szukania prawdy i odkrywania rzeczy zatajonych — jest jak gdyby draśnięty drzazgą z tamtego Drzewa. Może to być zatwardziały profan, bluźnierca, ikonoklasta, rozbijacz fetyszów, przed którymi padają plackiem całe narody. To może być — Witold Gombrowicz.

We wszystkich swych dotychczasowych dziełach kruszy on szablony, w jakie wtłoczono naszą wyobraźnię. Nasza wyobraźnia aż dusi się od tłumu zwalczających się wzajemnie mitów, które toleruje kosztem własnego zdrowia. Nie gniewajmy się więc na Gombrowicza za to, że naszą wyobraźnię trochę przeczyszcza. I nie gniewajmy się, że w tym celu, nazbyt często może, używa wyrazów wykropkowanych. Żyjemy w świecie tak moralnie wonnym, że tylko słowa na g... odświeżają nam nieco powietrze. Budząc śmiech, zmniejszają ucisk krwawego Absurdu.

Gdyby Gombrowicz swoje egzekucje na Absurdzie wykonywał językiem salonowym, uroczyście i bez humoru, nie dopiąłby swego celu. Na szczęście wybrał on broń swoich wielkich poprzedników: Laurence'a Sterne'a, Swifta, Woltera. Oni sam Absurd zaprzęgli do armaty, z której do niego strzelali. Jest to operacja dość karkołomna i przez to groteskowa. Świat Gombrowicza jest o wiele ciaśniejszy od świata tamtych humorystów. Ale też ginie załaskotany na śmierć. Trzeba przy tym pamiętać, że mimo stylizację na rubaszność i wulgarność — wystrzega się Gombrowicz frywolności. Tego srogiego humorystę znamionuje apokaliptyczny smutek. To my śmiejemy się, nie — on. Jego ani nie śmieszy, ani nie cieszy to, że świat, do którego należy, jest taki monstrualny. Wcale go nie raduje konieczność unicestwienia tego świata. Wielka powaga twórcza powołała do życia komiczne postaci i sytuacje „Trans-Atlantyku". Za dowód tej powagi niech nam posłuży fakt, że zabieg demaskowania zaczyna

Gombrowicz od — siebie. Jest nieubłagany, gdy chodzi o własną osobę. To pasuje go na *moralistę* wysokiej próby. A ci, co gromią ludzkość po wyłączeniu z niej swojej osoby — to są przeważnie moralizatorzy, kaznodzieje, retorzy, besserwisserzy. I choćby nawet swój gniew przetwarzali na śmiech, — nie są prawdziwymi humorystami, dopóki siebie samych nie ośmieszą. Nawet wielki skądinąd G.B. Shaw ciął swym żądłem wszystko, z wyjątkiem G.B. Shawa.

Nasz sandomierski moral-humorysta z Buenos Aires pokornie włączył siebie w pole obstrzału, w orbitę świata, który skazał na śmierć przez wyśmianie. Boć to „bohater" powieści — pamiętnika pt. „Trans-Atlantyk" nazywa się tak samo, jak jej autor. Tego „bohatera" ustawił Gombrowicz w takim świetle, żeby wypadł jak najmniej korzystnie. Może nawet trochę przesadził. Może autor ‚Trans-Atlantyku" w rzeczywistości nie był tak nieczuły na los „ludzi-Rodaków", odpływających z Buenos Aires, aby walczyć i ginąć za kraj — jak ów Gombrowicz, „bohater" powieści, zajęty wyłącznie własną osobą. Ale w generalnym demaskowaniu świata — musiał i siebie pokazać — bez maski. Pokazał siebie takim, jakim był po wielokrotnym zdeformowaniu przez otoczenie w Buenos Aires. A więc — przez członków poselstwa R.P. i tamtejszą Polonię. Uczynił to w sposób zawrotny, niespotykany w literaturze — nie tylko polskiej.

Jeśli zważymy, jak wysokie miejsce w hierarchii polskich uczuć zajmuje miłość ojczyzny, adoracja munduru, wojny, wojenki, wojaczki oraz kult godności dyplomowanych i niedyplomowanych — publiczne przyznanie się bohatera „Trans-Atlantyku" do braku uwielbienia tych świętości zasługuje — na szacunek. Trzeba rzeczywiście nielada odwagi, żeby, będąc Polakiem, w najtragiczniejszej dla Polski chwili — przyznać się do własnego tchórzostwa. Rzadko w literaturze światowej znajdziemy utwór autobiograficzny, którego autor nie zabiegałby o sympatię dla siebie, kokietując czytelnika chociażby swymi grzechami. Gombrowicz jest za dumny na to. A może wolelibyśmy, żeby symulował przed nami patriotyzm wojenny, z którego wyzuł swojego „bohatera"? Żeby udawał żal z powodu niemożności przyłączenia się do walki z najeźdźcą? Być może, że jako „człowiek" lub obywatel byłby przez to sympatyczniejszy, ale jako pisarz nie byłby przekonywujący. Za wiele mieliśmy przyjemniaczków w naszej literaturze, grzecznych, posłusznych „Józiów", możemy już sobie nareszcie pozwolić na paru *bad boy*'ów — do których należał również śp. Zbigniew Uniłowski. Gdyby Gombrowicz zdeklarował się w „Trans-Atlantyku", jako „gorący" patriota — zburzyłby całą artystyczną strukturę tego utworu. Byłby grzecznym Józiem, ale

musielibyśmy zakwestionować jego prawo do traktowania obłudników, świętoszków tak, jak ich potraktował. W okrzykach posła R.P. Kosiubidzkiego: „Pokonamy, pokonamy i Zwyciężymy, w proch zetrzemy dłonią mocarną, najjaśniejszą naszą, w proch, pył rozstrzaskamy, rozbijemy, na Pałaszach, Lancach roz-niesiemy" itp. wyraził Gombrowicz tę tanią i płaską reakcję uczuciową na tragedię Polski — od której odwrócił się ze śmiechem. Nie ma jednak u Gombrowicza żołnierzy, którzy by zachowywali się tak, jak Poseł Kosiubidzki lub Radca Podsrocki. Z taktem pomija Gombrowicz w swej grotesce — samo wojsko. Taktownie przeciwstawił również Gombrowicz siebie — towarzyszom podróży do Argentyny na statku „Chrobry": koledze po piórze Czesławowi Straszewiczowi i śp. senatorowi Janowi Rembielińskiemu. Obaj brali czynny udział w wojnie. Nie możemy mieć do Gombrowicza pretensji o to, że nie poszedł ich śladem. Ale również takich ludzi, jak bohater „Trans-Atlantyku" było więcej. Nie tylko jeden Gombrowicz nie wrócił do kraju na wojnę i na poniewierkę — ostatnim pociągiem, czy ostatnim okrętem. To ich sprawa. Ale jeden Gombrowicz miał odwagę przyznania się otwarcie, że nad innymi instynktami i uczuciami, na pewno szlachetniejszymi, — górowały w nim miłość własna oraz instynkt samozachowawczy. Gombrowicz nie szuka alibi, usprawiedliwiającego niepowrót np. w tym rodzaju: „Ja, jako pisarz bardziej przydam się zagranicą, wśród obcych, niż z karabinem na polu walki. Ja lepiej mogę służyć Polsce — piórem". Nie tylko nie szuka sobie podobnego alibi, ale hucznie wyśmiewa oficjalnego przedstawiciela ojczyzny, który chce z niego „stworzyć" takiego właśnie, zagranicznego bonzę. „Trans-Atlantyk" należy do najszczerszych spowiedzi w literaturze świata i stawia jej autora w rzędzie takich egotyków i egocentryków, jak Stendhal, Lautréamont lub Gide.

Można by Gombrowiczowi zarzucić, że nie tylko odżegnywa się i ucieka od losu „ludzi-Rodaków", ale na domiar naigrawa się z nieszczęśliwej historii swego narodu. Taki zarzut byłby słuszny, gdyby nasz świat, czyli świat przez nas zdeformowany — nie uległ w „Trans-Atlantyku" powtórnej deformacji. W „Trans-Atlantyku" stawia się określenie „św." przed rzeczami bardzo nieświętymi. Jesteśmy tam w świecie, gdzie poseł Kosiubidzki Feliks „zachowaniem i układem swoim niezwykły wzgląd na wysoką godność swoją wykazywał i każdym swym poruszeniem honor sobie świadczył, a tyż tego z kim mówił sobą silnie bez przerwy zaszczycał, że już to prawie na Kolanach z nim się rozmawiało. Zaraz więc, płaczem wybuchnąwszy, jemu do nóg padłem" — powiada Gombrowicz — „i dłoń całowałem; *a*

służby swoje, krew, mienie ofiarowując, (podkr. moje) o to upraszałem, aby mnie w takiej chwili św., wedle woli św., rozumienia swego użył i moją rozporządzał osobą. Najłaskawiej mnie a siebie słuchaniem św. swojem zaszczycając" itd... Czytelnicy „Kultury" mają tekst Pierwszego rozdziału „Trans-Atlantyku" w świeżej pamięci — więc nie muszę go dalej cytować. Widać z niego jasno, w jakim to świecie się znajdujemy. W tym zdeformowanym, lecz *prawdziwym* świecie nie ma wartości stałych. „Nie jestem ja na tyle szalony", powiada bohater, „żebym w Dzisiejszych Czasach co mniemał albo i nie mniemał". „Idź do Poselstwa lub nie idź!", radzi mu argentyński rodak, „tam się Zamelduj albo nie Zamelduj, bo jeśli się Zameldujesz lub Nie zameldujesz, na znaczną przykrość możesz być narażonym". W świecie Gombrowicza pisze się dużymi literami słowa, które w naszym — tego zaszczytu jeszcze nie dostąpiły. Poseł Kosiubidzki jest „Cienki Grubawy Nogę miał Wąską a grubawą lub tłustawą". W apokalipsie Gombrowicza zatarły się już różnice między: Tak i Nie. Trudno się zorientować, co tu jest pozytywne, a co negatywne. To jest świat wielce osobliwy, do którego wyrażając się językiem „Trans-Atlantyku" wejść możemy albo nie możemy. Nas autor wcale tam nie ciągnie. Mimo, iż jest synem ziemiańskiego dworu — nie częstuje nas staropolską gościnnością. Przeciwnie oświadcza: „Nikogo ja na te Kluski stare moje, na Rzepę może i surową nie zapraszam, bo w Cynowej misie Chude, Kiepskie, a do tego podobnież Wstydliwe, na oleju Grzechów moich, Wstydów moich, te krupy ciężkie moje, Ciemne, z kaszą czarną moją, ach, że i lepiej do Ust nie wziąć"... Czym chata Gombrowicza bogata — tym nie jest nam rada. Co za stylizacja na Kalibana! Autor chyba świadomie poświęcił swoją osobę, jej dobre „obywatelskie" imię — aby sobie pohulać na scenie, wolnej od postaci „dodatnich". Kalibana z siebie zrobił, Golema, raba, żyjącego w nieustannym lęku — jak istoty w utworach Kafki. W ciągłym lęku, iż będą schwytane, zasądzone, zamordowane.

Gombrowicz, mimo pozorów zarozumialstwa, jest skromny. To tylko osamotnienie każe mu posługiwać się dumną gestykulacją i zwracać się do publiczności per „wy". Tam jednak, gdzie autor zdejmuje z siebie kostium Kalibana, oświadcza po koleżeńsku: „Ja, jak wy, nienawidzę kłamstwa. Jak wy jestem śmiertelnie zmęczony tą wielką Gębą współczesności, głupotą głupców, niedojrzałością niedojrzałych, podłością podłych". A więc jednak nie ucieka od wspólnoty z ludźmi: gdy chodzi o zasady moralne jest bliźnim dla bliźnich.

Zapewne „Trans-Atlantyk" nie jest książką budującą i nie radzimy jej dawać w upominku dziatwie szkolnej. Chyba, że

będzie to dziatwa taka, jak w „Ferdydurke": łysa i brodata, „upupiona" przez belfra Pimkę — po raz drugi w życiu posadzona na szkolnej ławie. Nie jest książką budującą. Żyjemy w czasach tak budujących, iż pewno nazwą je kiedyś archeologowie epoką Wielkiej Budowy. Ciągle tylko budujemy. Właściwie jesteśmy już zbudowani. Pozostaje nam jeszcze tylko budowa schronów, w których się pochowamy, gdy Wielcy Budowniczowie Przyszłości zaczną z nieba burzyć wszystko, cośmy tu na ziemi w ciągu wieków pobudowali. A potem zbudujemy sobie budy z desek białych, jak puch Gołębicy Pokoju. — Budujemy, budujemy. Budujemy mosty dla pana starosty, dla pana prezydenta, dla Pana Boga. Budujemy nawet ten most, którym wedle Zaratustry Nietzschego sami jesteśmy: mostem między zwierzęciem a nadczłowiekiem.

Witold Gombrowicz nie jest pisarzem budującym. A jednak nie brak mu cech wzniosłości, gdyż uparte dążenie do prawdy, choćby droga do niej wiodła przez cuchnące bagna — jest wzniosłym dążeniem. Gombrowicz jest artystą świadomym skutków swego odosobnienia. Pierwszym takim skutkiem jest niepopularność. W krainach, gdzie sztukę obowiązuje optymizm, w pepinierach soc-realizmu, będą zapewne wskazywali na Gombrowicza, jako na jaskrawy przykład indywidualistycznego zwyrodnienia. Na to nie ma rady. Ale dla tych, co korzystają z gorzkiego dobrodziejstwa emigracyjnej swobody — twórczość Gombrowicza stanowi cenną pozycję, którą możemy pochwalić się wszędzie, gdzie jeszcze szanują polot samotnej myśli i grę nieskrępowanej wyobraźni.

1951

TRAGICZNY GOGOL

I

Piekło, którego Gogol bał się przez całe życie, nie było podobne do piekła Dantego. Inferno z „Boskiej Komedii" mieściło się głęboko pod powierzchnią ziemskiej kuli, nakryte owym ciemnym lasem *(selva oscura)*, gdzie florencki poeta zabłądził w sam Wielki Piątek roku Pańskiego 1300. Trudno oprzeć się wrażeniu, że piekło to projektował jeden z wielkich architektów, co budowali przedmedycejską Florencję. Taki tam ład panuje, taka symetria i, rzec by się chciało — łacińska harmonia. Na wieczne męki skazanych grzeszników rozsegregowano starannie i poumieszczano w oddzielnych kręgach i podkręgach *(cerchi* i *gironi)* na jednej z trzydziestu czterech kondygnacji piekielnego stożka. A wszystko — podług wskaźnika win, ustalonego jeszcze przez Arystotelesa.

Piekło Gogola znajdowało się w nim samym. Nie było tam harmonii nawet w stylu bizantyjskim. Roiło się od wszelkiego rodzaju straszydeł, przeważnie we frakach i mundurach czynowników Jego Imperatorskiej Mości Mikołaja I. Panował tam bałagan jak na jarmarku w Soroczyńcach, w gubernii połtawskiej, gdzie 1 kwietnia 1809 roku (Prima Aprilis!) przyszedł Gogol na świat. Według innej wersji urodził się w ojcowskim majątku Janowszczyzna, koło Mirgorodu w tejże gubernii. Chcąc zatrzeć żenujące w owych czasach ślady skoligacenia szlachecko-kozackiego, a więc małoruskiego rodu Hoholów-Janowskich z dawną Rzeczpospolitą Polską, ojciec Mikołaja przemianował Janowszczyznę na Wasiliewkę, ku własnej zapewne czci, gdyż miał na imię: Wasyl. Według jeszcze innej wersji, którą przyjął biograf Gogola — B. Szenrok, Janowszczyzna nie jest identyczna z Wasiliewką: były to dwa różne folwarki, należące do Gogolów. O miejsce urodzenia Homera siedem miast się spierało; nie spieraj-

my się o to, w której z trzech ukraińskich dziur — ujrzał tzw. światło dzienne Mikołaj Wasylewicz Gogol.

W sobie miał piekło. Zwłaszcza w ostatniej, nad wyraz nieszczęśliwej dekadzie życia, kiedy nie mogąc tworzyć, tłukł się po świecie, jak upiór. Jak jedna z postaci gogolowskich. Woził piekło w pocztowych dyliżansach, po całej Europie, po tych wszystkich badach niemieckich, gdzie leczył pół tuzina chorób prawdziwych i tuzin urojonych. Jeździł do stolic i sanktuariów zachodniej cywilizacji, w nadziei znalezienia spokoju dla duszy nawiedzonej od diabła. Na próżno. Nie mógł Gogol pozbyć się piekła nawet w Rzymie, gdzie tak długo i tak chętnie mieszkał, ani nawet w Jerozolimie u świętego Grobu, dokąd odbył pielgrzymkę wiosną roku 1848. Tą wiosną ludów.

Był kozakiem z krwi, po kozacku się czesał, do stepów ukrainnych wzdychał, napisał „Tarasa Bulbę", gdzie sławił operowych nieco herosów szesnastowiecznej Kozaczyzny. Lecz duszy kozaczej nie miał. (W rodzinnych stronach autora tego szkicu słowami: „Nie bądź taki kozak!" mitygowano zucha, chełpiącego się pogardą śmierci). W dojrzałych latach sławny pisarz trząsł się jak osika z wszechobecnej w nim trwogi. Czego tak się bał? Śmierci, piekła boją się przeważnie ludzie, którzy nadużywają ziemskich uciech — i to kosztem bliźnich. Krzywdziciele, złoczyńcy. O ile wiemy (bo cóż naprawdę wiemy o drugim człowieku?), Gogol do grzeszników tego typu nie należał. Więc może bał się kary za grzechy tego świata, który powołał do życia swym piórem? Za grzechy licznego potomstwa swej „komicznej" Muzy? Za tych żarłoków, opojów, szalbierzy i szarlatanów, łapowników z „Rewizora" i „Martwych dusz"? Za Chlestakowa i Honorodniczego, za Chłopowa i Zemljanikę, za Bobczyńskiego i Dobczyńskiego? Za Cziczikowa i Koroboczkę, Sobakiewicza i Nozdriwa, Maniłowa i Pliuszkina? Za te doskonałe nicości, z którymi utożsamiał się w latach samoudręki, kajania się i kaznodziejstwa, kiedy to na próżno starał się owe nicości napełnić czymś dodatnim, wybielić je i pchnąć na drogę cnoty? Jest to dosyć prawdopodobne. W „Czterech listach do różnych osób w sprawie 'Martwych dusz' " wyznaje: „Żaden z moich czytelników, którzy śmiali się z moich bohaterów, nie wiedział o tym, że ze mnie się śmieje. Nie było wprawdzie we mnie jakiegoś nadmiernie dużego występku, który by o całą głowę przewyższał resztę grzechów, lecz za to skupiłem w sobie wszelkie możliwe potworności. Co prawda miałem w sobie tylko cząstkę każdej z owych potworności, ale tych cząstek nagromadziła się we mnie taka masa, jakiej do tej pory nie widziałem jeszcze u nikogo z ludzi". Następnie tłumaczy działanie mechanizmu, którym posługiwał się przy two-

rzeniu osób z pierwszej części „Martwych dusz": „Brałem którąś z ujemnych cech mojego charakteru i badałem, jakie formy przybrałaby ta cecha, gdyby ją miał człowiek innego zawodu, stanu i sfery życiowej. Tę cechę usiłowałem traktować jako swego śmiertelnego wroga, który mnie najdotkliwiej obraził, po czym jąłem go ścigać mą nienawiścią i szyderstwem, tudzież wszystkim, do czego jeszcze byłem zdolny. Gdyby ktoś widział te wszystkie ohydy, jakie moje pióro stworzyło — na mój własny użytek — zadrżałby z przerażenia". („Wybrane miejsca z korespondencji z przyjaciółmi", 1847).

I cóż dziwnego, że człowiek, obarczony świadomością, lub chociażby urojeniem tylu, tkwiących w nim „ohyd", stale drżał z przerażenia? Gdybyśmy chcieli posługiwać się modnym dziś pseudonaukowym żargonem, moglibyśmy poprosić psychoanalityków o pomoc w interpretacji gogolowskich fobii, manii, fiksacji i obsesji. Ale wolimy nie zapuszczać się na tak skomplikowane manowce. Trzymajmy się już starych, bitych traktów cesarskich. Na nich trudniej jest wywrócić się zarówno naszym myślom, jak i owym bryczkom i karetom, w których, do kozackich kulbak tęskniący Gogol pół życia spędził, trzęsąc się ze strachu. Bał się nie tylko śmierci. Bał się również życia i jego pogańskich uroków, z których nie umiał korzystać. Wolał się umartwiać. Bał się kobiet, których nie umiał kochać. Był bezżenny, bezdzietny, samotny. Bał się chorób, bał się zdrowia, bał się klęsk, ale bardziej jeszcze sukcesów. Bał się uwielbianej Rosji i uciekał od niej do Włoch. Tam do niej tęsknił dziką tęsknotą człowieka Wschodu. Zachodu nie rozumiał. Gardził nim, chociaż nie tak, jak Dostojewski. Bał się cara, lecz jego autokratyzm uważał za dar Ducha świętego. Bał się carskich czynowników, a marzył o tym, żeby samemu zostać carskim czynownikiem. Panicznie lękał się własnej odwagi. Lękał się prawdy, którą tak okrutnie obnażał w swych największych dziełach, a wypierał się jej w „życiu" i w owej korespondencji z przyjaciółmi, opublikowanej jeszcze za życia. Najbardziej bał się samego siebie. I to było jego piekło.

Strach, tkwiący w nim immanentnie, mógł wszakże płynąć ze źródeł czysto metafizycznych, niedostępnych postronnemu obserwatorowi. Żyjemy dziś w czasach gruntownej rehabilitacji, ba — nawet nobilitacji strachu. Zapoczątkował ją człowiek, żyjący równocześnie z Gogolem, i to w niedalekiej od Petersburga Kopenhadze. Oczywiście Kierkegaard (1813-1853), o którym Gogol chyba nie słyszał, tak jak on — nie słyszał o Gogolu. Kierkegaard uważał trwogę w połączeniu z wiarą za środek zbawienia duszy. W jego kapitalnej „Trwodze i drżeniu" czytamy: „gdyby człowiek był zwierzęciem lub aniołem, nie popadłby w trwogę. Jest

on atoli syntezą zwierzęcia i anioła i dlatego umie się trwożyć... Tym większy jest człowiek, im bardziej się trwoży". Jak widzimy Kierkegaard bliższy był Pascala niż ideałów kozackich. W innym miejscu „Trwogi i drżenia" poucza: „Lecz nie należy (trwogi) pojmować tak, jak większość ludzi to czyni. Wywodzą ją oni z czegoś, co człowieka nawiedza z zewnątrz, a należy to pojmować tak, iż sam *człowiek wytwarza trwogę*" (podkr. moje). Mógł zatem Gogol nadmiernie „wytwarzać" w sobie trwogę, niezależnie od obiektywnych, „zewnętrznych" przyczyn. Jego wiara zaś, o której jeszcze pomówimy, nie dosyć go wychowała, aby — jak to Kierkegaard zaleca — mógł „znaleźć spokój w Opatrzności". Spokój, którego Gogol tak desperacko szukał. I wydaje się, że jego wiara, połączona ze strachem, raczej go oddalała od zbawienia duszy, niż zbliżała. Tak się przynajmniej zachowywał. Jego własne wyznania i częste publiczne spowiedzi są pełne sprzeczności, ton ich zaś jest taki, iż bardziej budzi niesmak czytelnika oraz nieufność do treści tych spowiedzi, niż litość dla udręczonej duszy.

Jeśli można czyjeś życie rozpatrywać „obiektywnie" pod kątem tzw. szczęścia lub nieszczęścia — ziemska droga Gogola, lubo uciążliwa, nie była zbytnio najeżona kolcami. W każdym razie miał on łatwiejsze życie niż współcześni mu: Puszkin i Lermontow, a później — jego największy uczeń: Dostojewski. Nie był żonaty z Natalią Gonczarową, z którą sam car romansował. Nikt go nie zsyłał na Sybir ani nawet na Kaukaz. Mógł mieszkać, gdzie chciał i podróżować, dokąd chciał. Nie strzelał się o honor żony — no — i nie zginął w pojedynku. Ani jak Lermontow, oburzony śmiercią Puszkina, o którą samego cara winił, nie pisał buntowniczych ód — toteż nie przeniesiono go za karę z pułku petersburskiej gwardii — do piechoty liniowej na Kaukazie. Lermontow — jak wiadomo — też zginął w pojedynku. A cóż dopiero los Dostojewskiego! Szafot, ułaskawienie w ostatniej chwili przed egzekucją, deportacja na Sybir, czteroletnia katorga, epilepsja, tragiczne miłości, nędza, nałóg karciany. Nie, „obiektywnie" życie Gogola nie było takie straszne. Męczył się wyłącznie tym, co działo się w jego duszy. Potwornie się męczył.

II

Światem, odbitym w jego duszy i w jego sztuce rządziła nieświęta trójca: Strach, Absurd i Nuda. To była Rosja zwycięzców Napoleona. Zwyciężył go i do ucieczki zmusił rosyjski lud,

kiedy Gogol miał trzy lata. Ale owoców tak wielkiego zwycięstwa lud rosyjski nawet nie powąchał. Żywe i martwe dusze tego ludu, jak przedtem tak i teraz, stanowiły własność Nozdriewów, Sobakiewiczów i Koroboczek. Własność do sprzedania i do zastawienia. Całą „świętą Ruś" uciskał w imieniu cara Mikołaja I-go — tłum Horodniczych i Dzierżymordów, utytułowanych łotrzyków w kapiących od złota mundurach. W takim mundurze chodził również diabeł, którego młody Gogol, a raczej opowiadający w jego imieniu fikcyjny stary bartnik „Rudy Pańko" ujrzał na Ukrainie, w Dikance w chwili, gdy diabeł kradł księżyc w samą „Noc Wigilijną". („Wieczory na futorze w pobliżu Dikańki", część II). Zrazu nie wiadomo było, czy to naprawdę jest diabeł czy Prokurator Gubernialny. „Tylko z koziej bródki pod pyskiem i z różków na głowie, no i z tego, że nie był bielszy od kominiarza — można było odgadnąć, że to nie żaden Niemiec, ani Prokurator Gubernialny, tylko po prostu — diabeł, diabeł we własnej osobie".

Jesteśmy w samym królestwie Absurdu. Na razie jest to Absurd niewinny: gdyż operuje postaciami z czwartego wymiaru. Taki Absurd łatwo można przepędzić egzorcyzmami, i spokojnie zasnąć. Absurdalność świata, gdzie w pierwszej chwili nie wiadomo, czy diabeł jest Prokuratorem Gubernialnym, mrozi wprawdzie krew i wywołuje gęsią skórkę, ale rychło tę krew rozgrzewa jowialny śmiech, jakim w dawnych czasach rozbrzmiewały futory ciepłej Ukrainy. „Dikańką", „Mirgorodem", a nawet „Arabeskami" — młody Gogol raczej zabawiał Rosję niż straszył. Jeszcze nie narodził się w nim ów zimny śmiech, którym tak okrutnie siekł Absurd — w najlepszych latach swej dojrzałej twórczości: 1835-1842. O swoim śmiechu sam pisał do przyjaciela-poety W.A. Żukowskiego (tłumacza „Odyssei") w liście z Neapolu, 29 grudnia 1847 (10 stycznia 1848): „Nigdy nie myślałem o tym, by zostać kiedyś pisarzem satyrycznym i pobudzać czytelników do śmiechu. Co prawda, już w szkole miałem skłonność do wesołości i zamęczałem kolegów niestosownymi żartami. Były to jednak objawy przejściowe: na ogół miałem raczej usposobienie melancholijne, podatne do zadumy. Później przyszły — choroba i hipochondria, a ta choroba i hipochondria stały się przyczyną nieokiełznanej wesołości, przebijającej z pierwszych moich utworów. Dla własnej rozrywki zwykłem był bez żadnego celu ani planu wymyślać sobie charaktery, które później stawiałem w komicznych sytuacjach... Oto geneza moich opowieści". A dalej: „Śmiech mój zrazu był dobroduszny i wcale nie chciałem nim czegokolwiek wyszydzać... toteż zdziwiłem się niezmiernie,

gdym usłyszał, że ktoś czuje się dotknięty i że nawet całe warstwy społeczeństwa, całe stany oburzają się na mnie... I jąłem zastanawiać się nad tą sprawą. Skoro śmiech jest tak potężny, że ludzie go się boją, o — w takim razie nie wolno go nadużywać. Postanowiłem przeto skoncentrować wszystko zło, jakie znałem i ująć je w jedną całość, a potem tę całość — wystawić na śmiech. Tak oto powstał 'Rewizor' ".

Jakkolwiek osobiste wynurzenia Gogola zwykliśmy przyjmować z ostrożnością — trudno nie przyjąć tej interpretacji jego śmiechu oraz genezy „Rewizora". Widać z niej, że autor doskonale zdawał sobie sprawę z różnicy między swym młodzieńczym, ukraińskim śmiechem, a — tym późniejszym, petersburskim, poczętym nie tylko z wichrów Północy, z mgieł i zamarzniętej Newy, ale i — z Nudy. Nudą wiała nań ta rozbawiona kosmopolityczna stolica, pełna wrzasku, pełna wojska, pełna wysokich i niskich urzędników, pełna strachu. Stolica biurokratycznego Absurdu.

Zanim atoli Gogol napisał „Rewizora", sam uległ pokusie Absurdu. Szczerze i uczciwie chciał zostać carskim urzędnikiem. Pracę urzędniczą uważał za święte posłannictwo, graniczące niemal z misją popa. Później, gdy miał już za sobą swe wielkie dzieła: „Rewizora", pierwszą część „Martwych dusz" i „Płaszcz", w których bądź co bądź obrzydził trochę Rosji jej urzędniczą kastę, usprawiedliwiał swe powołanie pisarza tym, iż to jest także służba państwowa. W „Spowiedzi pisarza" z r. 1847 wyznaje otwarcie: „... autor, spełniając swój obowiązek, powinien to odczuwać, powinien być przekonany o tym, iż służy swemu państwu tak, jakby rzeczywiście pełnił służbę państwową. Nigdy nie opuszczała mnie myśl o służbie państwu". To prawda. Ledwo ukończył liceum w ukraińskim Nieżynie, w r. 1829, udał się na Północ do Petersburga w nadziei zrobienia tam kariery urzędniczej. Wolał błyszczeć w mundurze Asesora kolegialnego, jak bohater jego „Nosa" Kowalew, niż jako gwiazda na firmamencie rosyjskiej literatury. Nawet dwóch lat nie wytrzymał przy biurku w departamencie apanaży. Zdobył tam jednak cenne doświadczenia „w terenie", zdobył *background*, bez którego może nie byłoby „Rewizora" ani „Płaszcza". Tam, w Petersburgu, dzięki osobistemu zetknięciu się z Absurdem i Nudą, ale również dzięki przyjaźni z Puszkinem (który nb. „odstąpił" mu pomysły „Rewizora" i „Martwych dusz") stał się tym Gogolem, którego słusznie, dziś czcimy w sto lat po śmierci.

Wspominaliśmy, że już w młodości pisał humoreski, groteski oraz fantastyczne opowieści z duchami i czarownicami, podobne do nowel E.T.A. Hoffmanna i E.A. Poego. Najgroźniejsze z nich

to „Straszna zemsta", „Portret" a nade wszystko „Wij". Lecz mimo diabłów i upiorów nie widać tu jeszcze infernalnego satyryka, jakim Gogol okazał się w „Nosie" (1835). Absurdalność świata w jego utworach sprzed r. 1835, a więc uchodzących za romantyczne — to absurdalność oficjalna, uznana za takową przez tzw. zdrowy rozum. Absurdalność — niegroźna, obłaskawiona. Dopiero wówczas, gdy Gogol zaczyna straszyć — nie duchami umarłych i czarownicami, a więc światem nadprzyrodzonym, ale żywymi ludźmi, gdy odkryje grozę świata normalnego, więcej: grozę samej normalności życia w mikołajewskiej Rosji — przezwyciężyły nie-świętą trójcę: Absurd, Nudę i Strach. Przezwyciężyły ją śmiechem, o którym powie „iż istnieje po to, aby wyśmiać wszystko, co odbiera godność prawdziwej piękności człowieka". Wcześniejsze jego humoreski np. „Spór Iwana Iwanowicza z Iwanem Nikiforowiczem" nikogo nie gorszyły, podobnie jak jego romantyczne historie z duchami nikogo naprawdę nie przerażały. Zgorszenie wywołał dopiero „Rewizor".

Premiera tej komedii odbyła się 1 maja 1835 roku w Petersburgu. A odbyła się dzięki samemu carowi, który obronił „Rewizora" przed swoim własnym cenzorem. Czy to, iż nie dostrzegł w nim żadnego niebezpieczeństwa dla autorytetu biurokracji, rządzącej jego monarchią, czy dlatego że uśmiechnęła mu się rola nowego Ludwika XIV, który „Świętoszka" Moliera zasłonił swym majestatem przed atakami sfer eklezjastycznych Paryża, dość, że „Rewizora" odegrano za aprobatą Mikołaja I. Cesarz świetnie się bawił na premierze i wyszedł z teatru rozbrojony śmiechem. „Każdemu dostało się podług rangi", rzekł, cytując słowa z komedii.

Nie cała Rosja poszła za przykładem swego władcy. Nie wszyscy też zastosowali się do motta, którym autor poprzedził „Rewizora": „Nie lżyj zwierciadła, jeśli masz krzywą gębę". „Rewizor" dowiódł, że oficjalna Rosja, ta we frakach i orderach, ma tak bardzo krzywą gębę, że nawet śmiać się już nie potrafi. Ale skoro sam car się śmiał i ona musiała się śmiać, więc udawała, że się śmieje. Lecz autor przeraził się własnego śmiechu. Tak bardzo go się zląkł, że uciekł przed nim z Rosji, w której odtąd przez dwanaście lat będzie już tylko gościem. Śmiech „Rewizora" nie był śmiechem jowialnym, beztroskim, oczyszczającym sumienie. Po takim śmiechu człowieka coś dławi. Z piekła rodem był ten śmiech.

Niewątpliwie dziś on nas już nie dławi. Dziś z „Rewizora" śmiejemy się swobodnie, pobłażając staroświeckim błaznom i łobuzom we frakach i mundurach. W stulecie śmierci Gogola jakże

niewinne wydają się nam podłości, które on tak niemiłosiernie demaskował. Przywykliśmy do groźniejszych szubrawców niż poczciwy, romantyczny Chlestakow, podtatusiały Horodniczy Skwornik-Dmuchanowski i cała ta ludzka menażeria w stylu Biedermeier. Teatralnym wyrazem moralności naszej epoki jest „Le diable et le bon Dieu" J.P. Sartre'a, gdzie autor stara się pokazać, że między dobrem a złem nie ma właściwie różnicy. Skoro już jesteśmy w teatrze francuskim, cofnijmy się o niecałe trzy wieki i zaryzykujmy twierdzenie, że od czasów Moliera niewiele było tak znakomitych komedii obyczajowych jak „Rewizor". Winniśmy więc powiedzieć, czym różni się teatr Moliera od teatru Gogola. Tym przede wszystkim — że u Moliera występują postacie białe i czarne, dobre i złe. U Gogola wszyscy są źli. Walka toczy się między czarnymi a jeszcze czarniejszymi. Przeciez ofiarą Chlestakowa pada sama hołota. To samo dzieje się w I-ej części „Martwych dusz". Radca kolegialny Paweł Iwanowicz Cziczikow „właściciel dóbr ziemskich, podróżujący w prywatnych interesach" w towarzystwie wiernego sługi Selifana, nie odwiedza niewinnych owieczek. Te swoje „prywatne interesa" załatwia z ludźmi, zdolnymi do transakcji równie podejrzanych, jak skup martwych dusz.

O przygnębiającym wrażeniu szatańskiej „humorystyki" Gogola najlepiej świadczy reakcja Puszkina na pierwsze rozdziały „Martwych dusz", które Gogol mu przeczytał. Scenę tę opisuje sam Gogol w jednym z „Czterech listów do różnych osób w sprawie 'Martwych dusz' ". (Puszkin) ....„posępniał i posępniał, aż mu twarz całkowicie spochmurniała. A gdy skończyłem czytać, odezwał się z głębokim smutkiem w głosie: „Boże, jak okropnie beznadziejna i smutna jest ta nasza Rosja!". Żaden z wielkich współczesnych Moliera nie zawołał po przeczytaniu czy też zobaczeniu „Świętoszka" lub „Skąpca": „Boże, jak beznadziejna jest ta nasza Francja! Albowiem w teatrze Moliera, w tym zwierciadle moralności i obyczajów Francji XVII wieku — z reguły zwycięża dobro, a źli ponoszą zasłużoną karę. Przeważnie ponoszą ją z rąk swych niedoszłych ofiar, lub też wpadają we własne sidła, zastawione na dobrych. Patrząc, jak męczy się zdemaskowany Tartuffe, a Orgon nad nim triumfuje, śmiejemy się (chociaż nie zawsze scena ta budzi w nas śmiech, zdarza się, że budzi litość) całkiem inaczej, niż przy końcu „Rewizora", gdy zjawia się cesarski żandarm, przedstawiciel nieprzekupnej sprawiedliwości, ze straszną wieścią: „Przyjechał prawdziwy rewizor z Petersburga". To koniec świata! Nie ma ratunku. Wszyscy są oszukani i wszyscy będą potępieni. Śmiech Moliera nie był z piekła rodem.

III

W sześć lat po „Rewizorze" wyszła I część „Martwych dusz", niemal w całości napisana zagranicą. Olbrzymie malowidło obyczajowe ziemiańskiej Rosji, z której Gogol zdziera pozory patriarchalności, obnażając jej etyczną marność. Na widok tej marnoty znów Gogol zaśmiał się swym infernalnym śmiechem. I znów przeraził się tego śmiechu. Przebywał we Włoszech, więc tym razem nie musiał uciekać przed zgorszonymi rodakami. Natomiast zaczął uciekać przed samym sobą. I wszystko, co teraz napisze (i spali), będzie miało znamiona tej panicznej ucieczki. Wydaje się, że zastraszony efektem, jaki pierwsza część „Martwych dusz" wywołała w Rosji, rozpaczliwie chwyta się za głowę i krzyczy: „Na miłość Boską, co ja zrobiłem?".

Odtąd Gogol coraz częściej i coraz żarliwiej apeluje do miłości Boskiej. Już tylko z Jej pomocą pragnie oglądać świat i sądzić ludzi. Już więcej nie chce z nich szydzić. Wyrzeka się lodowatego śmiechu, którym obryzgiwał obnażony grzech. Teraz chce ludzi kochać, jak kochać powinien chrześcijanin: z wszystkimi ich grzechami i zboczeniami. Nie chcąc być świętoszkiem, sam usilnie dąży do cnoty. Posiadłszy ją, będzie mógł obdzielać nią innych ludzi. Nawet tych, w których tak niedawno jeszcze widział jedynie posępną swołocz. Mało — widział: delektował się tą swołoczą. Oczywiście, jako artysta. A teraz istnienie zła go martwi. Czas prostować ludziom gęby, żeby nie lżyli zwierciadła. Gogol zabiera się do drugiej części „Martwych dusz". Tam bohaterowie mają już być „pozytywni", z perspektywą na czyściec, jeśli nie na niebo. Niestety, ta operacja się nie udała. Zawiodły wszelkie masaże: wyprostowane gęby przestały być gębami ludzi z krwi i kości. To były gęby z papieru, malowane syropem. Sam Gogol to zrozumiał, skoro w cytowanych już „Czterech listach do różnych osób w sprawie „Martwych dusz", pisanych w roku 1846 oświadcza: „Spaliłem drugą część „Martwych dusz", ponieważ było to koniecznością. Dziękuję Bogu, że dał mi siłę to uczynić. Gdyby drugi tom ukazał się w tym stanie, w jakim się wówczas znajdował, wyrządziłby więcej szkody, niż przyniósł pożytku. Przedstawienie pewnej ilości szlachetnych charakterów, świadczących o delikatnych uczuciach i wzniosłej osobliwości naszej natury — do niczego nie prowadzi. Pobudza tylko pychę i chełpliwość... Nie, bywają czasy, kiedy nie wolno mówić o pięknie i wzniosłości, nie pokazując jednocześnie drogi do piękna... Ten moment wypadł w drugim tomie 'Martwych dusz' słabo i nie-

doskonale, a powinien być najważniejszy i najistotniejszy. Dlatego spaliłem całą drugą część 'Martwych dusz' ".

Oto tragedia Gogola. Wielki i prawdziwy jest on tam tylko, gdzie pokazuje zło. Bez komentarzy i bez morałów. I gdzie sam jest złośliwy. Gdzie natomiast świadomie i ostentacyjnie stara się być dobrotliwym, wszystko przebaczającym chrześcijaninem — zawodzi jako artysta niemal zupełnie. Sprawdziło się na nim to, co tak lapidarnie wyraził Gide w książce o Dostojewskim: *C'est avec les beaux sentiments que l'on fait la mauvaise littérature* (Przy pomocy pięknych uczuć robi się złą literaturę). A także: *Il n'y a pas d'oeuvre d'art sans collaboration du démon.* (Nie ma dzieła sztuki bez współpracy z demonem).

Jakiegoż to demona pomoc jest potrzebna, by powstało dzieło sztuki? Gide był mocno zasugerowany Dostojewskiego koncepcją piekła i szatana. Piekłem dla Dostojewskiego jest nie świat nienawiści i zbrodni, lecz świat intelektu, któremu przeciwstawia miłość. Przytacza tu Gide słynne zdanie Blake'a: *The reason Milton wrote in fetters when he wrote of Angels and God, and at liberty when of Devils and Hell, is because he was a true Poet and of the Devils party without knowing it* („Przyczyną tego, iż Milton był skrępowany, gdy pisał o Aniołach i Bogu, a czuł się swobodny, gdy pisał o Diabłach i Piekle, jest to, że był prawdziwym Poetą i stał po stronie Diabła — nie wiedząc o tym". Nota w „Zaślubinach Nieba z Piekłem"). Okazuje się, że Gogol też był *of the Devil's party.* Ale, jakiż to diabeł pomagał mu w pracy literackiej? Chyba nie ów prowincjonalny diasek w kusym fraczku czynownika, co kradł księżyc w „Dikance"? Ani ów bies, którym matka straszyła Gogola w dzieciństwie? Ten ukraiński czart nie mógł być potężnym wspólnikiem twórczości Gogola. To nie był przedstawiciel intelektu, który w „Rewizorze" i I-ej części „Martwych dusz" nie dopuszcza miłosierdzia do głosu. To musiał być całkiem inny czart. I kto wie, czy piekło w duszy pisarza nie wzięło się stąd, że chciał on gwałtem pozbyć się takiego wspólnika? Bo póki mu diabeł pomagał w pisaniu gorzkich, bezlitosnych „satyr" — miał Gogol od niego względny spokój w życiu. Teraz diabeł się mścił i rozpętał piekło z prawdziwymi płomieniami, w których autor „Martwych dusz" co pewien czas palił rękopisy drugiego tomu tego „poematu". Wprawę w paleniu nabył jeszcze w młodości. Zrażony złą recenzją pierwszej swej książki, długiej idylli wierszem pt. „Hanz Küchelgarten", wycofał z handlu cały nakład i spalił. Był to rok 1829. Potem trzy razy palił coraz to inne wersje drugiej części „Martwych dusz". Ocalały jednak warianty kilku pierwszych rozdzia-

łów: pogorzelcy i pogrobowcy tragicznego artysty, który bez wzajemności kochał cnotę.

Zanim wstąpił na drogę cnoty, a talent jego uległ wyjałowieniu, stworzył Gogol swe arcydzieło pt. „Płaszcz". Nigdzie nie wzniósł się na takie szczyty artyzmu, jak w tej smutnej petersburskiej historii o życiu i śmierci tytularnego radcy Akakija Akakiewicza Baszmaczkina, z pensją roczną 400 rubli. Celem i misją jego życia było przepisywanie tego, co napisali inni. Tylko przepisywanie. Nie był on zdolny do samodzielnego koncypowania urzędowych „kawałków".

Czuł się bardzo nieszczęśliwy, gdy w nagrodę za długoletnią wierną służbę zaproponował mu szef zmienianie nagłówka w raportach oraz pierwszej osoby na trzecią. Nie, to przechodziło siły tytularnego radcy Baszmaczkina. Zlany zimnym potem pokornie wyksztusił prośbę, żeby mu pozwolono nadal przepisywać, tylko przepisywać to, co wymyślili inni. Diabeł w tej opowieści występuje w postaci jednookiego krawca Grigorija Pietrowicza. Kusi on Baszmaczkina nowym i kosztownym płaszczem. Baszmaczkin ulega kuszeniu, więc musi zginąć. W żadnym z dotychczasowych utworów nie dał Gogol tak piekielnej wizji pustoszącego duszę działania Nudy. Nigdzie też beznadziejność, bezmyślność, odczłowieczenie — słowem *bezduszność*, nie zostały ukazane w tak klasycznym skrócie. Baszmaczkin był już za życia „martwą duszą". Jego dusza ożyła dopiero po śmierci, by straszyć swą krzywdą petersburskich strażników i dygnitarzy, by straszyć Rosję i nas wszystkich po dziś dzień. Pierwszy to raz piewca świata na ogół wypompowanego z miłości — chwycił nas za serce. Baszmaczkin jest jedyną jego wielką postacią, z której trudno się śmiać. Tu Gogol *without knowing it* okazał się chrześcijaninem, współczesczującym niedoli sponiewieranych. W „Płaszczu", a nie w kaznodziejskich pismach, z których składa się ostatnia jego książka, pisana za życia pt. „Wybrane miejsca z korespondencji z przyjaciółmi". W nich, jak i w „Spowiedzi pisarza" sili się na chrześcijaństwo, w „Płaszczu" wyraża je spontanicznie. Z „Płaszcza" też wywodzi się Dostojewski z całym swym chrześcijańskim „podejściem" do „Biednych ludzi". Makar Diewuszkin z tej młodzieńczej powieści — to w prostej linii potomek Akakija Akakiewicza. „My wszyscy wyszliśmy spod „Płaszcza" Gogola wyzna później autor „Biesów", mówiąc o nowej literaturze rosyjskiej, tak czułej na ludzkie krzywdy. Powiedzenie to przypisuje Dostojewskiemu Melchior de Vogüé.

IV

Ach, ta nieszczęsna korespondencja Gogola, opublikowana w r. 1847! Gdybyśmy go sądzili tylko po tym, co z taką emfazą głosił w swych listach i orędziach, otrzymalibyśmy sylwetkę komedianta, histeryka, zacofańca, co broni pańszczyzny w imię źle pojętego chrystianizmu i schlebia możnym, sylwetkę bałwochwalcy despotyzmu. „Kto pomaga Gogolowi — samemu Bogu pomaga!" pisze w jednym z owych listów, ociekających fałszywą pokorą. W innych — udziela zbawiennych rad właścicielom ziemskim, Poucza ich, jak mają postępować ze swymi „duszami" tj. z pracującym na nich ludem. „Dusze", opieszałe w robocie, trzeba — rzecz jasna — karać chłostą, ale nie powinien tego robić sam pan, lecz jego ekonom. Zaleca też panom palenie banknotów w obecności chłopów, ażeby w ten sposób pokazać, że panom wcale nie zależy na pieniądzach, zdobytych chłopską pracą. Ta praca ma tylko jeden cel: służy zbawieniu duszy (chłopów).

Niekiedy Gogol sam widzi, że się zagalopował. Tak np. w liście z 16 października 1846 roku prosi prof. Pletniewa, któremu poruczył wydanie „Wybranych miejsc z korespondencji z przyjaciółmi", o skreślenie w nich ustępu, gdzie władzę cara wywodzi od biblijnych królów: Salomona i Dawida. Powiada tam m.in.: „władza monarsza byłaby błazeństwem, gdyby monarcha nie czuł, że powinien być wizerunkiem Boga na ziemi".

Trudno dziś zrozumieć, po co Gogol w ogóle tę książkę ogłaszał. Nam wydaje się niepotrzebna, dla niego — widać — była konieczna. Publikacją „Wybranych miejsc" chciał zapewne ulżyć własnemu sumieniu, kompromitując twórcę „Rewizora", pierwszej części „Martwych dusz" i „Płaszcza". Fałszywą interpretacją swych najlepszych dzieł, maniackim wypieraniem się ich prawdziwego sensu i biadaniem nad szkodami, jakie rzekomo wyrządził Rosji, pisząc te dzieła — zelżył Gogol zwierciadło, pokazujące jego krzywą twarz.

Rzadko się zdarza, żeby jakiś autor ogłaszał swą *prywatną* korespondencję. Co innego, listy jako rodzaj literacki, uprawiany już w starożytności wierszem i prozą. List do Pisonów np. od razu pomyślany był jako list *publiczny*. Dziś nazwalibyśmy go *listem otwartym o „Sztuce poetyckiej"*[1]. Taki sam charakter mają „Prowincjałki" Pascala lub „Listy filozoficzne z Anglii" Voltaire'a. Natomiast listy wielkich epistolografów a zwłaszcza epis-

1. Q. Horatii Flacci: *Epistola ad Pisones.*

tolografek Francji XVII i XVIII wieku: pani de Sevigné, pani Geoffrin, pani du Deffand, oraz jej lektorki, panny de Lespinasse — mają ściśle prywatny charakter. Pomnikami prozy francuskiej stały się dopiero po śmierci autorów (ek) — oczywiście bez ich wiedzy.

Skoro więc Gogol zdecydował się ogłosić za życia swe listy do przyjaciół, musiał to uczynić w przeświadczeniu, że ich treść powinna zainteresować nie tylko adresatów. Zresztą jego książka jest niejednolita, skomponowana z bardzo różnorodnych elementów. Tylko częściowo są to autentyczne listy, pisane do autentycznych odbiorców. Sporo też jest „listów" do fikcyjnych lub anonimowych przyjaciół z wyraźną tendencją publiczną. Ponadto mamy tu również „Testament", zamieszczony na czele książki, a więc niejako programowo nadający jej charakter posłania do potomności. Wartość tego dzieła wydaje się nam też nierówna. Tam, gdzie Gogol mówi o poezji, o sztuce, o Żukowskiego przekładzie „Odyssei", jest szczery i zajmujący. A tuż obok znajdujemy wyznania w tonie fałszywie uroczystym, płaski ekshibicjonizm i żałosne samozałganie.

Od razu nasuwa się tu porównanie z korespondencją innego wielkiego prozaika XIX w. Flaubert, podobnie jak Gogol, uchodzi za twórcę powieści „realistycznej". Ale co za różnica między listami Gogola, a wspaniałą, czterotomową „Korespondencją" Flauberta, wydaną nb. po jego śmierci. O Gogolu niestety nie można powtórzyć tego, co powiedział o Flaubercie Albert Thibaudet: *Chassé par la porte, le Je (de Flaubert) est rentré après la mort, par toutes les fenêtres. Et c'est la Correspondance. Elle peut passer pour la plus importante correspondance d'homme de lettres au XIX siècle. On y trouve tous les dessous de l'œuvre de Flaubert.* (Wypędzone drzwiami Flaubertowskie Ja wraca po jego śmierci wszystkimi oknami. To jego Korespondencja. Ona może uchodzić za najważniejszą korespondencję, jaka kiedykolwiek wyszła spod pióra pisarza XIX w. Odnajdujemy tu całą podszewkę dzieła Flauberta, *Histoire de la littérature française de 1789 à nos jours).*

Gogol w listach zamazuje raczej swoje Ja, utrudnia dotarcie do „spodu" twórczości. Flaubert w Korespondencji ukazuje siebie jakim jest, a Gogol, jakim pragnąłby być w oczach „dobrze myślącej" Rosji. Nieustraszony autor „Madame Bovary" miał proces z powodu tej powieści, obrażającej jakoby moralność publiczną. Gogola sam car protegował, a jednak autor „Rewizora" stchórzył przed swoją prawdą. I przykro nam, iż nie możemy do Go-

gola zastosować tego, co Thibaudet w dalszym ciągu mówi o Flaubercie: *La Correspondance une fois publiée a contribué puissamment à maintenir Flaubert au premier rang, à retarder ou à amortir les réactions inévitables qui se sont produites contre son art et son influence. Elle a mis a l'artiste la rallonge de l'homme... Elle doit être tenue pour un bréviaire de l'honneur littéraire.* (Opublikowanie Korespondencji przyczyniło się potężnie do utrzymania Flauberta w pierwszym szeregu, do opóźnienia lub do uśmiercenia nieuniknionych reakcji przeciw jego sztuce i jego wpływowi. Podłużyła ona artystę o całą długość człowieka... Powinno się uważać ją za brewiarz honoru literackiego).

Korespondencja Gogola wzbudziła zarówno niechęć tych, którym schlebiała, jak i oburzenie postępowców. Gorszyli się nią tak samo „słowianofile", jak i „zapadnicy", których rzecznikiem był Wissarjon Grigoriewicz Bieliński (1811-1848). Poddał on „Wybrane miejsca z korespondencji z przyjaciółmi" druzgocącej krytyce w „Sowriemienniku", na co mu Gogol odpowiedział rozżalonym listem. Wtedy to Bieliński, gorący wielbiciel sztuki Gogola, pisze ów słynny list, datowany w Salzbrunn 15 lipca 1847 r., a rozpowszechniony po kryjomu w całej Rosji w tysiącu odpisów. Jeden z takich odpisów odczytano w Petersburgu na konspiracyjnym zebraniu tzw. „Petraszewców" 15 kwietnia 1849. W zebraniu tym uczestniczył młody Dostojewski. Ów to list Bielińskiego stał się bezpośrednią przyczyną aresztowania i procesu „Petraszewców", zakończonego wyrokami śmierci i ułaskawieniem na Sybir. Taka moc biła z listu Bielińskiego. Wielki krytyk zarzuca w nim Gogolowi apologię knuta, wrogość wobec ludu i oświaty ludowej. Kwestionuje jego chrześcijaństwo, tak hałaśliwie afiszowane w tej przykrej książce; „Gdyby pan był napełniony prawdziwą nauką Chrystusa, a nie fałszywą nauką diabła, powiedziałby pan w swej najnowszej książce właścicielom ziemskim tak: — Skoro wasi chłopi są waszymi braćmi w Chrystusie, a brat nie może być niewolnikiem brata, winniście chłopów obdarzyć wolnością, lub przynajmniej używać ich siły roboczej dla ich dobra". Wolterianin Bieliński woli Kościół katolicki od prawosławnej Cerkwi, którą nazywa „niewolnicą i posługaczką świeckiej władzy". Wypomina też Gogolowi płaszczenie się przed popami, o których moralności i inteligencji ma bardzo niepochlebne mniemanie. Twierdzi też Bieliński, że „...lud rosyjski, owszem, jest zabobonny, ale nie ma w nim śladu religijności... zabobon znika wraz z postępem cywilizacji, natomiast religijność trwa obok tego postępu i niekiedy współżyje z nim zgodnie". Przykładem — Francja. Sumieniu Gogola pozostawia Bieliński „czy ma on w

dalszym ciągu pławić się w zachwycie, kontemplując Boską urodę samodzierżawia"...

W liście Bielińskiego najwięcej zabolało Gogola to, iż krytyk dał posłuch petersburskiej plotce, wedle której Gogol miał opublikować „Wybrane miejsca z korespondencji z przyjaciółmi", aby zaskarbić sobie łaskę dworu. Chciał jakoby zostać guwernerem syna następcy tronu. Do końca życia bronił się Gogol przed zarzutami Bielińskiego. Odpierał je najpierw w listach do niego samego, a po śmierci krytyka w listach do przyjaciół. W końcu, swoim zwyczajem sam zaczął się oskarżać i sam w „Spowiedzi pisarza" potępił swą ostatnią książkę. „Krótko mówiąc" — czytamy w tej „Spowiedzi" — „książka ta jest tylko dowodem wieczystej prawdy słów Apostoła Pawła, który powiada: „człowiek — to jedno wielkie kłamstwo".

Schyłek życia wypełnia Gogolowi niemoc twórcza, choroba, rozpacz i daremne szukanie Boga. Pod wpływem swego spowiednika ojca Matwieja Konstantinowskiego całkowicie wyrzeka się literatury, jako grzechu. Ojciec Matwiej uważał twórczość Puszkina za pogańską. Potępiał jej szkodliwe promieniowanie na Rosję. A Gogol był uczniem i przyjacielem Puszkina. Ostatnim, niespalonym utworem Gogola są obszerne „Rozważania o świętej Liturgii". Pisane jasno i plastycznie w latach 1845-1852, a wydane dopiero w r. 1889 — świadczą o synowskim umiłowaniu kultu i symboliki Wschodniego Kościoła. Mimo to Gogol nie doznał łaski wiary, o której kardynał Newman mówi, że „jest darem od Boga, a nie czymś co z nas samych wypływa i czym możemy dowolnie szafować". O tym, jak gorąco pragnął Gogol posiąść ten dar i jak bardzo się męczył brakiem wiary — świadczą jego listy do Ojca Matwieja z roku 1848. Pisał je przed ową pielgrzymką do Jerozolimy, która ani jego duszy ani twórczości nie dała pożądanych rezultatów. W jednym z nich (12 lutego 1848) czytamy: „Niestety! Nie łatwo jest modlić się. Jak może modlić się ktoś, komu Bóg na to nie pozwala?... Wydaje mi się, że nie ma we mnie wiary. Wyznaję Chrystusa jedynie dlatego, ponieważ tak mi nakazuje rozum, nie-wiara. Ja tylko pragnę wierzyć. A mimo to odważam się na tę pielgrzymkę do Grobu Pana naszego. O, módl się za mnie".

Ostatnie cztery lata spędził Gogol już w Rosji. W nocy z 11 na 12 lutego r. 1852 spalił definitywną wersję drugiej części „Martwych dusz" oraz trzecią część, która podobno też była gotowa. Działo się to w Moskwie, w domu przyjaciela hr. A.P. Tołstoja, u którego wówczas mieszkał. Tam stoczył ostatni, katastrofalny bój z szatanem. Chciał Gogol wypędzić go z siebie przy

pomocy głodówki. Przez wiele dni nie przyjmował pożywienia. W końcu, rankiem 4 marca umarł z głodu i z anemii mózgu. Jego ostatnie słowa były podobno: — „Drabiny! Podajcie mi drabinę!".

Jaka to miała być drabina? I kto miał mu ją podać? Może wołał o drabinę jakubową, po której z pomocą aniołów chciał się wydostać z piekła?

1952

ŚMIERĆ TUWIMA

napełniła bólem wszystkich miłośników poezji polskiej. Nie tylko przyjaciół poety, którzy za jego życia umieli spełnić trudny obowiązek pobłażania ludzkim jego słabościom i przywarom, ale i tych, znacznie liczniejszych, którzy tego nie umieli i surowo sądzili jego niefortunne występy.

Straciliśmy wielkiego poetę. Lecz masom Tuwim nie ubył. Prawdziwa poezja rodzi się w samotności, i każdy, do kogo ona przenika, obcuje z nią samotnie. Choćby takich ludzi były miliony, są to nie masy, lecz miliony samotników. To zaś, co Tuwim w ostatnich latach życia pisał na użytek mas — nie było na miarę poezji Tuwima. A tylko ona go przeżyje. Przeżyje go zarówno w tym, co sam stworzył, jak i w tym, co stworzyła rzesza jego uczniów, epigonów i naśladowców, świadomych tego, co mu zawdzięczają, lub nieświadomych, wdzięcznych za to, co im dał, lub z plebejską pychą urągających mu za to, że pozwolił im się żywić odpadkami ze swego stołu. Przeżyje go wszystko, czym zapłodnił nowoczesną naszą lirykę; był on bowiem dla poezji polskiej po r. 1918 tym, czym dla nowoczesnego malarstwa — Cézanne. Odświeżył poetyckie odczuwanie świata i zaświatów, nasterował na nowy kurs wrażliwość i wyobraźnię swoich współczesnych, wyposażył słowo w energie, których przed nim u nas nie znano. Odkrył też nowe sposoby, jakimi można „czyhać na Boga", chwytać życie na gorącym uczynku, tudzież utrwalić słowami „nagłe spojrzenie" na człowieka, na przyrodę, na diabła. A dokonał tego wszystkiego — ze śpiewną gracją, z olśniewającą wirtuozerią — ten magik i pyrotechnik słowa, ten Paganini polskiej mowy. Nikt z jego pokolenia poetów nie umiał tak lekko jak on balansować nad przepaściami, nonszalancko przy tym wywijając bambusową laseczką, z którą spacerował po ulicy Mazowieckiej w Warszawie. Tą samą zapewne laseczką zastukał do bramy niebios.

Jego „chwyty" techniczne, jego bogactwa „ekspresji" zbadają dokładnie uczeni specjaliści. Ja — do nich nie należę. W chwili, gdy mój przyjaciel Julian Tuwim stanął na progu wieczności, którą tylekroć dumnie wyzywał — pragnę na jego daleki, a przedwczesny grób rzucić tylko garść luźnych myśli o nim i o jego sztuce.

Ileż to razy wzywano na daremno imienia Boga, mówiąc „poeta z Bożej łaski". Szafowano tym określeniem przeważnie tam, gdzie przy pomocy rozumu nie umiano sobie wytłumaczyć istoty ani genezy wielkiego talentu. Ani olśnienia, jakie ten talent wywoływał. Lecz, zdaje się, do niewielu poetów współczesnych, nie tylko — polskich, można tak trafnie jak do Tuwima zastosować to ryzykowne określenie — nie odbiegając przy tym zbytnio od sensu, jaki mu nadaje katechizm. Łaska jest darem nadprzyrodzonym, niezależnym od ludzkiej świadomości i woli. Działa, gdzie chce i kiedy chce, niekiedy nawet wbrew temu, na kogo spływa. Można się Łasce opędzać, ale — na próżno. Tak, jak nie można Łaski sprowokować. Nie można Jej też analizować. Trzeba Ją przyjąć z pokorą. Zjawiska: Julian Tuwim, wraz z wszystkimi zaletami i wadami człowieka, którego śmierć dzisiaj opłakujemy nie podobna zrozumieć, bez uznania w nim obecności sił nadprzyrodzonych. Niech nam będzie wolno te siły nazywać — Łaską.

Iluż to, nawet świetnych poetów, wydaje się przy Tuwimie inżynierami mowy wiązanej! Ich sztuka jest jak gdyby kombinacją namysłu i uniesienia, instynktu i pracy. U Tuwima wszystko, lub prawie wszystko jest irracjonalne. Poezja jego eksploduje z nieznanych nam bliżej rezerwuarów, które równie dobrze mogły się znajdować w nim, jak i poza nim. Doprawdy — czytając Tuwima, trudno się domyślić, co stworzył świadomą pracą, a co powstało jak gdyby bez jego wiedzy. Był niesamowity, zaskakujący, drapieżny a jednocześnie łagodny i bezbronny: pełen tragicznych sprzeczności. Jego niepokój, jego opętanie były widomym świadectwem walk, jakie w nim toczyło niebo z piekłem. Był niesamowity nawet w tzw. życiu codziennym. Czasem, w zetknięciu z nim, odnosiłem wrażenie, że jest on cały naładowany elektrycznością, wypełniony jakimiś prądami i fluidami, które promieniują przez jego ubranie. Fosforyzował. Iskry się z niego sypały. I nieraz lęk mnie ogarniał, gdy siedziałem z nim we dwójkę w zamkniętym pokoju. Pół biedy jeszcze — gdy okna były otwarte. Podobny lęk odczuwają niektórzy ludzie przed burzą. A potęgował go zazwyczaj kontrast między błahością tego, co Tuwim mówił (lubił się „wygłupiać") a straszliwą powagą tego, czym był, a

raczej tego, co w nim było i co z niego buchało. Sam o tym wiedział, gdy w „Kwiatach Polskich" pisał:

Bo jeżeli jaką zaletą
Błyśnie ta kwiatów księga,
To tą jedną: że prądów skrytych
Krańcami palców sięgam
(Podkr. moje)

Krańcami tych samych palców, którymi bębnił kabaretowe melodie na marmurowym blacie stolika w małej Ziemiańskiej.

Jak każdy artysta większego kalibru sięgał Tuwim „krańcami palców" tzw. rzeczy ostatecznych. Rzeczy ostateczne — to: śmierć, sąd nad żywymi i umarłymi, niebo, czyściec i piekło. Tuwimowska eschatologia mieści się w ramach wyobrażeń chrześcijańskich, ale często z tych ram wybiega na zielone łączki jakiegoś fantastycznego prasłowiańskiego pogaństwa. Jego tak wyraziste widzenie zaświatów jest nowe i nie podobne do widzeń, przekazanych przez tradycję. Z tą tradycją często Tuwim wojuje, chociaż go ona urzeka. Zapewne czarowały go akcesoria chrześcijaństwa, martwy inwentarz kultu, sakramentalia. Bylibyśmy jednak niesprawiedliwi, odmawiając autorowi „Chrystusa miasta" — wrażliwości na treść chrystianizmu. Przeciwnie — jak każdy heretyk był on na tym punkcie przewrażliwiony. W swych wierszach manifestował gorące miłosierdzie dla upośledzonych i skrzywdzonych, dla udręki, mrozu i skwaru nędzarzy. Ten anarchista po swojemu modlił się do Boga i po swojemu, nowy Jakub — mocował się z Aniołem.

Prawda, że chłonął on w siebie świat z pasją poganina. Do nieprzytomności upijał się zmysłową urodą ziemi, jej zapachami, barwami, kształtami. Zwłaszcza w tym okresie twórczości, gdy wyznawał:

Świat gryziemy w ustach, jak czereśnie
Jak dwadzieścia wiśni jednocześnie. („My — ludzie")

Zmysłowa percepcja świata święci w liryce Tuwima triumfalne orgie, istne *sacre du printemps*. Tuwim słyszał zapachy, smakował dźwięki, wąchał kolory i widział, widział z bolesną ostrością to, co innym majaczyło się w mgławicy.

Jeśli do rzeczy ostatecznych zbliżał się jak chrześcijanin, częściej zbuntowany niż pokorny, zupełnym był poganinem, gdy dotykał rzeczy pierwotnych, pierwiastkowych, „primordialnych", tych, które dziś tak przenikliwie oświetla znakomity badacz religii

i mitologii greckiej, Kerényi. Można zaryzykować twierdzenie, że w kształtowaniu spraw „pierwiastkowych" jest Tuwim twórcą własnej mitologii. Kerényi wraz z Jungiem — poddał pewnego rodzaju psychoanalizie starogreckie pojęcia z zakresu etiologii, a więc: pojęcia praprzyczyny, prapoczątków bytu, to wszystko, co wcześni filozofowie greccy nazywali: „apejron" = *nieograniczone, niezmierzone,* jak np. woda lub ogień. A cóż innego robi Tuwim, tak daleki wszelkiej filozofii, daleki od naukowego ujmowania primordializmu i fundamentalizmu, gdy w swoim mieszkaniu przykłada ucho do mebli i konstatuje, że:

...każde słowo codzienne
Mchem wieków obrośnięte korci ukrytą pierwszyzną

i słyszy w meblach „szumy tajemne" i słyszy jak „skarżą się dęby, skarżą i płaczą za ojczyzną" („Życie codzienne"). Czyż nie jest etiologiem, gdy apostrofuje siebie:

Twórz czarujące bydlę
Właź na chaosy wierszem
Rozkładaj zlepki świata
Na rzeczy czyste i pierwsze („Do siebie". Podkr. moje)?

Myślę, że najlepiej scharakteryzujemy Tuwima, mówiąc, że był to poeta POGRANICZA. A więc tego, co znajduje się na krańcach tzw. rzeczywistości, dającej się ogarnąć zmysłami, na krawędziach bytu i niebytu, w strefie pogranicznej ciała i duszy. Tam był Tuwim u siebie „w domu". I to są owe przepaście, nad którymi tak zgrabnie balansował ze swoją bambusową laseczką. Z równą swobodą poruszał się na peryferiach ziemi, co na przedpolach elizejskich. A właściwe jego miejsce było na tym „rogu świata i nieskończoności", gdzie pragnął spotkać się z nieżyjącym już od r. 1937 starym mędrcem, Franciszkiem Fiszerem, przyjacielem kilku pokoleń poetów.

Rzeczy ostateczne i rzeczy „czyste i pierwsze", „ta éschata" i „he ajtia" — oto są najważniejsze elementy w tematyce dojrzałej twórczości Tuwima. Wszystko zaś, co leży pośrodku, między początkiem a końcem, cała ta skomplikowana *condition humaine,* ograniczona w czasie i w przestrzeni, była mu obczyzną. Nie umiał sobie w niej radzić i gorzko ją wyszydzał. Wraz z wszystkimi cudami techniki i cywilizacji, które, idąc śladami wielkiego swego nauczyciela Walta Whitmana, usiłował w młodości sławić. Nieomylnie wyczuwał Tuwim to, co w kondycji ludzkiej — jest nieludzkie i nadludzkie. Najsłabsza w „Kwiatach Polskich" jest ich

„akcja" czy „fabuła", oraz te miejsca, gdzie poeta — osądza sprawy ziemskie jak publicysta. Świat idei, świat myśli abstrakcyjnej i wielkich gier intelektualnych, nie był jego światem. Ilekroć się tam zapuszczał, gubił się w nim, a bezradność swoją i bezbronność pokrywał maską pewności siebie. W żadnym okresie czasu, prócz dzieciństwa, które tak rzewnie umiał ewokować, nie czuł się on „w domu". Ani wówczas gdy z swoim czasem walczył, ani gdy swój czas aprobował. Był ponadczasowy, chociaż po powrocie do Polski w r. 1946 zapewniał w „Jambach politycznych", że

...przez politykę pojął
Nieustającą matkę moją
Epokę, co mnie codzień rodzi

Każdy artysta jest „dzieckiem swojej epoki" i tylko karmiony jej, krwawym przeważnie, mlekiem tworzy dzieła ponadczasowe. Toteż i nieprzemijające dzieło Tuwima nosi na sobie jej piętno — lecz myślę, że rzeczy wymierne w czasie i w historii były raczej obce a nawet wrogie jego naturze. Na próżno starał się zawierać sojusze z tymi wrogami. Wielki ten poeta rzeczy ostatecznych i rzeczy pierwszych umiał przezwyciężać nie tylko swój czas, ale i przestrzeń. On, który niegdyś w swym mieszkaniu przy ulicy Mazowieckiej słyszał „jak się ku niemu z gęstwiny tropikalnej skrada daleki tygrys".

Był też poetą poezji. Samą poezję opiewał. Ustawicznie wsłuchiwał się w szmery i bulgoty rodzącej się w nim poezji. Świat cieszył go o tyle, ile niewidzialnych, nasiennych pyłków poezji w nim się unosi. Był bałwochwalcą Słowa. Stworzył on swoistą teologię wyznawcy i herezjarchy w jednej osobie. Bo całe życie czyhał Tuwim na Boga i tam Go przeważnie znajdował gdzie ludzie najmniej Go się spodziewają. Czuł Go też w sobie. Do najpiękniejszych chyba utworów poezji religijnej należy tuwimowski „Kościół", gdzie poeta wprost zapytuje Boga:

Jakże się nie mam pysznić,
Jakże się nie mam chwalić,
Jeżeliś Sobie kazał
W zanadrzu mojem się palić?

◆

Czasu wojny, w New Yorku, czytał nam Tuwim wyjątki z „Kwiatów Polskich". Pod wrażeniem zniewalającej piękności

tych wierszy, ale i pod wrażeniem dysproporcji między tą wielką poezją, a niektórymi ludzkimi cechami autora — napisałem doń półżartem: — Ty jesteś dowodem istnienia Boga!

Dziś, żegnając go powtarzam to publicznie i już bez żartobliwych dodatków, którymi wówczas uzasadniałem swoje twierdzenie. Już odeszło od nas wszystko, co w Tuwimie było doczesne, ludzkie, arcyludzkie. Zostaje z nami jego poezja. I ona sama przyświadczy u potomnych słuszności tego, że Julian Tuwim był jednym z dowodów istnienia Boga.

1954

PRO DOMO MEA

Prezentując czytelnikom „Kultury" dwie pieśni Odyssei w nowej, trzeciej już wersji mojego przekładu, sądzę, żem winien je poprzedzić kilku niezbędnymi uwagami. Przede wszystkim pragnę wyjaśnić, dlaczego tak uporczywie powracam do grzechu młodości, jakim jest ten przekład. Mógłbym uderzyć w nutę liryczną i wyznać, że właśnie z pomocą Odyssei chcę jeszcze raz przeżyć moją młodość lub tylko oddać się niewinnej iluzji młodości. Ale ta magia jest osobistą sprawą tłumacza, bez znaczenia dla czytelnika. Czytelnika mogą zaciekawić najwyżej obiektywne komentarze do faktu, iż rozpocząłem tę pracę jeszcze przed pierwszą wojną światową, a oto już trzecia nam się uśmiecha swą atomowo-wodorową i licho wie jaką jeszcze mordą, a ja wciąż siedzę i siedzę i grzybieję nad tym samym tekstem. Poprawiam go, wygładzam, szlifuję i nie mogę uznać za ostateczny. Byłażby to mania doskonałości, równie zgubna, co chwalebna? W każdym razie absurdalna, skoro tylko śmierć kładzie kres ambicjom perfekcjonisty.

Przekładanie utworów takich jak Odysseja można przyrównać do pracy pianisty, który przez całe życie dąży do idealnej interpretacji Bacha, Beethovena, Chopina itd. Gdy w pełni tak zwanej dojrzałości artystycznej wydaje się mu, że osiągnął maximum tego, na co go stać, i że lepiej już grać nie potrafi, nagle, wraz z pierwszą siwizną we włosach, odkrywa, że jeszcze mu daleko do upragnionych szczytów. I jeśli ma dosyć sił, zapału i dosyć pokory, zapomina o wszystkich owacjach i kwiatach, jakimi go nagradzano za dotychczasowe „mistrzowskie" wykonania np. Suity angielskiej, Hammerklaviersonaty lub najtrudniejszych etiud Chopina, i zabiera się *da capo* do „opracowania" tych dzieł tak, jakby do tej pory nigdy ich nie grał. Jeszcze pod innym względem ambicje tłumacza Homera i w ogóle tzw. arcy-

dzieł tzw. klasycznej literatury przypominają ambicje muzyka-wirtuoza. Podobnie jak on stara się tłumacz „odtwarzać" na swój własny sposób *dzieła dobrze znane*. Liczy się więc z tym, że czytelnik może jego przekład porównać z oryginałem lub z innymi istniejącymi przekładami tego samego tekstu. Co innego tłumacz utworów nowych, nieznanych przynajmniej w obrębie języka, na który on przekłada. Często przyświeca mu tylko jeden, nader skromny cel: zaznajomienie czytelnika z treścią utworu. Taki tłumacz pozwala sobie czasem na licencje, ułatwiające osiągnięcie tego celu, ze szkodą dla artyzmu. I jak mniej sumienny muzyk, grając nieznany utwór, może braki swej gry zwalić na kompozycję, tak i tłumacz może obciążyć autora oryginału brzemieniem własnych win. Na szczęście tłumacz Homera podlega wszechstronnej kontroli. Kontrolują go i filologowie i krytycy literaccy, no i sama publiczność, rozmiłowana w poezji. Kontrola publiczności zależy od rozwoju poglądów estetycznych (i nie tylko estetycznych, niekiedy nawet i... politycznych), od ewolucji smaku i mody. Ta ewolucja dokonywa się pod ciśnieniem prądów, działających zgodnie z tzw. duchem czasu. Można jak niżej podpisany, być na bakier i z duchem i z ciałem swego czasu, ale trudno nie brać w rachubę niektórych jego kaprysów. A zatem, chcąc nie chcąc, i ja muszę, chociażby pośrednio przyjmować pewne upodobania i odrazy mojej (jaka ona tam moja!) „epoki". A przyjmować je muszę z dobrodziejstwem, czy też z przekleństwem inwentarza, chyba że zgodzę się być istotą anachroniczną lub literackim brzuchomówcą.

Nie wszystkie zmiany, dokonane w obecnej wersji mego przekładu, są ustępstwem dla upiora czasu czy też paniczną przed nim kapitulacją. Broń boże Apollo! Ja też się zmieniłem. Jeszcze nie jestem starcem, lecz dane mi było przeżyć już kilka smakowitych epok i niejeden mnie już straszył duch czasu. Zmieniły się moje oczy, moje usta, moje uszy. Tak więc i w moich własnych uszach dziwnie brzmią dzisiaj niektóre słowa, formy gramatyczne, zwroty, a nawet całe zdania, które niegdyś, w czasiech drzewiejszych, brzmiały zupełnie „naturalnie". Zacząłem tłumaczyć Odysseję na skrzyżowaniu dwóch epok, rzec można dwóch stuleci, jeśli przyjmiemy dosyć już dziś rozpowszechniony pogląd, że wiek dwudziesty nie skończył się 31 grudnia 1900 roku, lecz 28 lipca 1914. (Pierwszy raz spotkałem się z tą, głęboko uzasadnioną, poprawką kalendarza dziejowego w znakomitym eseju polskiego humanisty Jerzego Stempowskiego, drukowanym w przedwojennych „Wiadomościach Literackich"). Przejście z jednej epoki do drugiej było bolesne dla polskiego stylu literackiego, szczególnie w poezji. Schyłek bowiem dziewiętna-

stego wieku — więc lata 1910-1914 był jeszcze odurzony neoromantyzmem, który na spokojną (?) podówczas ziemię ściągnął pioruny z jasnego nieba, a także z zaświatów. Powrót do stylistycznej trzeźwości nastąpił dzięki nie tylko literackim wydarzeniom.

Przed pierwszą wielką wojną, pięknoduchowie starego świata bardzo byli znużeni tym, do czego dzisiaj wzdychamy. A więc bezpieczeństwem oraz monotonią uregulowanego życia i uregulowanej śmierci. Żądzę przygód i — co tu ukrywać? — katastrof zaspakajała im Sztuka (koniecznie przez wielkie S). Potężnych dreszczy dostarczał intelektualnej Europie nietzscheanizm i wagneryzm. Ponadto we Włoszech i w Rosji — pseudobohaterski lecz dynamiczny futuryzm oraz pokrewne mu kierunki. Małe lokalne wojny, przygrywki do wielkiej, dodawały tym kierunkom rozkosznych witamin. Marinetti czuł się wniebowzięty bombardowaniem Adrianopola, a włoska wojenka w Trypolisie była dlań krynicą szczęścia. U nas w Polsce upajano się czym innym. Stan umysłów ówczesnej „inteligencji" uwiecznił Wyspiański w „Weselu". Ale i nietzscheanizm odbijał się mocnym echem o Skalne Podhale i Tatry, a Walkirie galopowały po nadwiślańskich obłokach tak swobodnie jak na ujeżdżalniach Walhalli. Zwłaszcza że mieliśmy znakomitego tenora, który śpiewał Wagnera nie tylko w operze lwowskiej, ale i w samym Bayreuth. Był to rodzony stryj Juliusza Kadena-Bandrowskiego. Tak więc do mody, czy też konwenansu, obowiązującego przed pierwszą wojną w „oświeconych odłamach" polskiego społeczeństwa, szczególnie w Galicji, należały: patos, koturn, archaizacja, stylizacja na ludowość, w każdym razie — niezwykłość, nawet nienaturalność wysłowienia i dykcji. Zarówno w poezji, jak i w heroicznej prozie i w dramacie. A że wspomnieliśmy śp. Juliusza Kadena-Bandrowskiego, nie zapominajmy, że z owych „oświeconych odłamów" przeważnie rekrutowali się pierwsi szeregowcy i oficerowie Związku Strzeleckiego. Zanim jednak mundur legionowy opiął piersi byłych wagnerzystów i nietzscheanistów, „naga dusza" tak dziś niesłusznie szarpanego Przybyszewskiego lubiła od czasu do czasu przykrywać swój bezwstyd teatralną zbroicą, nałożoną na chłopską siermięgę. W latach 1900-1914 było się współczesnym, było się „moderne" im zacieklej unikało się powszedniości („a tu pospolitość skrzeczy, a tu pospolitość tłoczy"), im więcej podniet czerpało się z dawności, z odległych form minionego życia, z nieżywych już symbolów i metafor. Na progu tzw. stulecia elektryczności i pary ulegli u nas archaizacji mniej więcej wszyscy poeci, którym ani ta elektryczność, ani para nie uderzyły do głowy — jak futurystom. Ci tak bardzo zelek-

tryfikowali swój język, aż im się spalił w tysiącwoltowym napięciu.

Oto genealogia mojego przekładu Odyssei w pierwszej redakcji. Jeśli ta redakcja grzeszyła nadmiarem archaizmów, czy wyrażeń chłopskich, nie były to prywatne wybryki młodzieńczego tłumacza, lecz samej „epoki", w której ten przekład powstawał. O ile były to wybryki. Odysseję zacząłem tłumaczyć w roku 1914, a więc zaledwie siedem lat po śmierci Wyspiańskiego. Jego majestat wciąż jeszcze przytłaczał ówczesną sztukę, szczególnie w zaborze austriackim. Od tyrańskich jego wpływów nie potrafiła się uwolnić wyobraźnia językowa poetów, nawet dojrzalszych niż kilkunastoletni tłumacz Odyssei, uczeń c.k. VII-go gimnazjum we Lwowie. W owym czasie archaizacja była *unowocześnieniem* języka i stylu. Na innym miejscu powiadam, ile mój przekład zawdzięcza Wyspiańskiemu, jego wizji greckiego antyku, mykeńskich mitów i urokom jego archaiczno-ludowego języka. Nie wstydzę się tego dziedzictwa. Również i w obecnej wersji przekładu zachowuję niektóre nazwy w tej formie, w jakiej znalazłem je u Wyspiańskiego. A więc: Odys, Odyssej, Menelaj — zamiast Odysseusz, Menelaus. Wpływ Wyspiańskiego zaczął blednąć w Polsce niepodległej, gdy tak dużymi ofiarami zdobyta powszedniość (o którą wszak i Wyspiański walczył w swych dramatach i rapsodach) zaczęła domagać się razowca poezji. Przejadły się obrzędowe korowaje.

Odysseja nigdy nie była i nie jest chlebem powszednim dla duszy i nawet u ludzi szczęśliwych, jeśli tacy w ogóle istnieją, nie powinna rezygnować ze swego odświętnego wyglądu. Ale być może, że obecnej „epoce" lepiej smakuje zwyczajność, niż niezwykłość, której nam nie szczędzą twórcy tej epoki. I przeto Homera, należącego do wszystkich epok, trzeba by dziś podawać na surowo, *au naturel*, bez przypraw zaostrzających apetyt epokom, głodniejszym od naszej. Ten właśnie użytkowy cel mi przyświecał, kiedy wiosną 1944 roku jeszcze raz zabrałem się do „rewizji" mojego tłumaczenia. Był to rok Monte Cassina, alianckiej inwazji Francji i powstania warszawskiego. Niech mi to nie będzie poczytywane za wdzięczenie się, gdy powiem, że nową, trzecią redakcję tłumaczenia Odyssei podjąłem z myślą o nowych naszych Odysach i Telemachach. Chcąc tym ludziom ofiarować Odysseję — należy im wyjść naprzeciw. Ale nie za daleko. Wystarczy — w pół drogi. Bardzo będę się cieszył, spacerując po polach elizejskich (tych zaświatowych, nie — paryskich), gdy dowiem się, że moje tłumaczenie Odyssei zbłądziło pod tak zwane strzechy. (Nie wątpię, że w Polsce przyszłości prawdziwych strzech już nie będzie: wszystkie chałupy kryte będą

blachą albo dachówką). Wolę jednak wyrzec się popularności mego przekładu u tzw. szerokich mas, jeżeli ten sukces ma być osiągnięty kosztem rezygnacji z tzw. artystycznych zamierzeń. Nie podzielam bowiem zdania tych, co pragną za wszelką cenę udostępnić masom treść poematu. Nawet za cenę poezji. Odyseja należy do takich dzieł, do których czytelnik sam musi trochę się pofatygować, na które nawet wspinać się musi, choćby przy tej wspinaczce stracił dech, lub skórę zdarł z rąk jak Odys w piątej pieśni eposu. Więc czekam na czytelnika przyszłości w połowie (asfaltowej n.b.) drogi.

Pierwsze wydanie tego tłumaczenia ukazało się we Lwowie w roku 1924, łącznym nakładem nieodżałowanej pamięci Alfreda Altenberga oraz Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, również nieodżałowanej pamięci, chociaż w dzisiejszej Polsce istnieje i działa pozostałość po dawnym, świetnym lwowskim Ossolineum. Grzechem młodości nazwałem ten przekład. Starałem się poprawić go w późniejszych latach, bardziej już w „duchu" tych lat, czego dowodem — drugie wydanie, warszawskie, ogłoszone w roku 1931 w wydawnictwie Jakuba Mortkowicza, nieodżałowanej pamięci.

Ale cóż to za konfesjonał? I czy warto odżegnywać się od grzechów młodości? Czy wraz z grzechami nie zatraca się także jej czar, jej blask, jej zapach? Nie wskrzesi ich później żadne czarnoksięstwo. Wypada też zastanowić się, czy jest rzeczą słuszną uzależniać styl przekładu nieśmiertelnych arcydzieł od stylu, panującego przelotnie w danej „epoce"? Epoki zmieniają się teraz w błyskawicznym tempie, a Homer trwa. Jeśli dziś razi (mnie — nie!) język „wyszukany", za parę lat razić może język „naturalny". I znów zrodzi się potrzeba usztucznienia stylu, odcodziennienia frazy. I tak w kółko aż po kres wszystkich epok, języków i stylów. Wobec tego, czy nie lepiej powiedzieć sobie: do diabła z duchami czasu, ze stylami epok, i tłumaczyć Homera tak, jak w naszym rozumieniu winien on być tłumaczony bez względu na to, kiedy go się tłumaczy? Styl, Styl! Skoro już wzywamy diabła, zacytujmy, co powiedział Paul Valéry w swym ostatnim wielkim dziele „Mon Faust": *le style c'est le diable!*

Ale sam Homer archaizował i na to nie ma rady i żaden poetycki tłumacz Homera nie może się wyrzec archaizacji. O jednym tylko winien on pamiętać: mowa Homera jest zawsze jasna i przeźroczysta. Nie zasłania ona czytelnikowi widoku na świat poematu, jak mowa tylu dzisiejszych poetów, poetów hermetycznych, a więc Hermesa synów raczej, niż Apollina. Trzeźwa i opanowana mowa Homera nigdy jednak nie przestaje być śpiewem. Ten śpiew otwiera nam szerokie perspektywy lądowe i morskie.

Pozwala oglądać nie tylko ziemię zaludnioną żywymi istotami, ale i podziemia ze światem umarłych, a także te regiony, gdzie przebywają „nieśmiertelni, szczęśliwi bogowie". Pieśń Homera pozwala nam uczestniczyć zarówno w „realnych", jak i w nieprawdopodobnych, baśniowych przygodach, w dramatycznych i w groteskowych perypetiach powrotu Odysa do „morzem oblanej Itaki", oraz w krwawej tragedii, jaka się tam rozegrała po jego powrocie.

II

Itaka! Kiedy w upalnym sierpniu Roku Pańskiego 1953, a w czternastym roku mej bezdomności, na peryferiach Nowego Jorku tłumaczyłem na nowo piątą, gniewem Posejdona huczącą pieśń Odyssei, straszliwa aktualność przypomniała światu o istnieniu Itaki. Przypomniał się Posejdon trzesący ziemią, Posejdon *ennosigajos*, Posejdon *ennosichton*. Po tylu wiekach kadmiennego snu na kamiennym łonie mitologii i sztuki, obudził się w „życiu" i zatargał wyspami archipelagu jońskiego: Itaką, Zante, Kefalenią. Zburzył miasta, wytracił ludzi. Ponad tysiąc mieszkańców tych wysp poniosło śmierć pod gruzami, a kto całą uniósł głowę — stał się bezdomnym tułaczem. Wstyd mówić o własnej bezdomności, gdy *pro domo mea* spisuję te uwagi.

Zdawało się, że wyspy: Itaka, Zante (u Homera Zakynthos, leśny, „hyleeis Zakynthos" pięć razy wspomniany w Odyssei) oraz Cefalonia (Kefalenia — cztery razy wspomniana w Odyssei) istnieją tylko w Homerowej poezji. Z Cefalonii i z Zacyntu zjechali się do Itaki zalotnicy, młodzieńcy z najlepszych domów, aby pod nieobecność Odysa ubiegać się o rękę Penelopy. Jak wiadomo: całymi latami hulali na królewskim dworze, spijali królewskie wina, zżerali królewski dobytek. Cefalończyków to i Zacyntian wymordował Odys po powrocie, po społu z „kolaborantami" domowego chowu. A nam się zdawało, że od tego czasu na tych mitycznych wyspach nie ma już życia, ani ludzi. Byli, byli, bo zginęli w sierpniu 1953 roku. Lecz pamięć o nich będzie trwała krócej niż pamięć ich przodków z Odyssei, którzy zapewne nigdy nie istnieli w tzw. rzeczywistości. Uprzytomniło nam to dopiero trzęsienie ziemi. Przez kilka dni potworne nieszczęście Itaki i okolicznych wysp było sensacją nawet w gazetkach, przeznaczonych dla takich czytelników, którzy nigdy nie słyszeli o Homerze, ani o jego boha-

terach. Zamieściły też owe gazetki fotografie zniszczonych osiedli, zwalonych domów i will z misternie kutymi galeryjkami, poskręcanymi w śmiertelnym skurczu. Na strzaskanych konsolach zwisały zerwane balustrady ukwieconych jeszcze balkonów, na których wieczorną porą tak miło było chłonąć słony spokój jońskiego odmętu.

W epoce takich cudów, jak bomby atomowe i bomby wodorowe, starożytny bóg oznajmił swą obecność ludziom, bawiącym się w bogów. Pojawił się akurat tam, gdzie grasował był ongi, w przeddziejowych czasach mykeńsko-achajskiej cywilizacji. Jak gdyby nie mógł się oderwać od rodzinnych stron znienawidzonego króla Itaki, którego tropił i prześladował przez cały ciąg Odyssei. I pokazał w roku 1953, że on też jeszcze potrafi, co prawda staromodnym sposobem, masowo uśmiercać ludzi i grody ich wywracać, Posejdon — ziemiotrzęsca.

Sześć tysięcy funtów plazmy dostarczyła natychmiast amerykańska flota wojenna na ratunek greckiego życia. Ta plazma — to nie tylko krew ludzi, ofiarowana do przetoczenia w żyły innych ludzi. To również spłata starego długu, nieświadomej, być może, wdzięczności za Iliadę i za Odysseję. I za wszystko, co w naszej krwi, w sercu i w mózgu jest greckie. A może też i symbol. Tego, iż wbrew starym i nowym pogańskim bogom zagłady wciąż jeszcze żyje w człowieku Christos-Pantokrator.

III

Zatytułowałem te uwagi: „Pro domo mea". Pierwszy raz w ciągu trzydziestokilkuletniej pracy pisarskiej występuję publicznie w obronie tej pracy. Bronię archaizacji języka, choć uznaję konieczność miarkowania jej, bronię wiersza, podobnego do heksametru. Wymyśliłem sobie ten wiersz, aby zbliżyć się dźwiękowo do oryginału, ale dobrze wiem, jak daleko mojemu wierszowi do kształtu i brzmienia heksametru Homera. Nie tu miejsce na wytłumaczenie zasady, na której oparłem budowę wiersza w tym przekładzie, jego rytmikę tudzież instrumentację. Piszę o tym szczegółowo w przedmowie do obu wydań książkowych. Na decyzję ogłoszenia w „Kulturze" niniejszych uwag wraz z dwiema pieśniami nowej wersji przekładu wpłynęło ukazanie się w warszawskiej „Twórczości" (zeszyt czerwcowy z 1952[1])

1. „Odysseja" w przekładzie Parandowskiego ukazała się już w wydaniu książkowym („Czytelnik", Warszawa, 1953). — *Red.*

pieśni V i VI Odyssei w tłumaczeniu prozą Jana Parandowskiego. Szczególnie jednak zmusza mnie do odezwania się „pro domo mea" posłowie Parandowskiego „Od tłumacza". Znakomity autor „Alchemii słowa", nie wymieniając, co prawda, mego nazwiska, pije również do mnie, pisząc w tym posłowiu m.in. o zamiłowaniu do archaizacji, że „jest to zjawisko natrętne i niełatwe do objaśnienia. Albowiem nie da się uzasadnić archaizacji powoływaniem się na dawność tłumaczonego utworu, bo fakt, że Homer jest od nas oddalony o blisko trzy tysiące lat nie znaczy, że jego język był tak skąpy i nieporadny, iżby należało go przyodziać w samodziały pierwocin naszego języka literackiego". A dalej: „Był to język *par excellence* poetycki, złożony z różnych elementów dialektycznych o skomplikowanej gramatyce, podlegający prawu wiersza epickiego; kto by jednak chciał stworzyć w swoim języku podobną mozaikę form i wyrazów, stworzyłby dziwactwo, oderwane od obyczaju językowego swojego narodu. Niestety takie próby istnieją i straszą w naszej literaturze. Są podwójną klęską: jako dzieło literackie i jako przekład...".

Uderzyłeś, Jasiu, w stół i zza Oceanu odzywają się nożyce. *Les absents ont toujours tort.* Niestety! Jak łatwo jest dzisiaj w kraju zlekceważyć pracę emigranta, pozbawionego rezonansu u tamtejszych, a więc normalnych czytelników. Pisarz emigracyjny nie może dzisiaj bronić się w Polsce, ale i nie może się spodziewać, że znajdzie się tam ktoś, kto go weźmie w obronę. Może on jednak zawsze ująć się w „Kulturze", czy w „Wiadomościach" za skrzywdzonym w kraju kolegą. Pisarz tak słusznie ceniony jak Parandowski przemawia w Polsce do szerokiego ogółu czytelników i może temu ogółowi narzucać swoje opinie. Ja, w tej chwili, zwracam się jeno do garstki wykorzenionych i po całym świecie rozproszonych wygnańców.

Nie widziałbym nic nadzwyczajnego w tym, że ktoś, chcąc umocnić swoje racje tłumaczenia Odyssei nowoczesną prozą, mierzy z dubeltówki, do wszystkich, którzy ją tłumaczyli wierszem i językiem odmiennym od tego, jakim dziś posługujemy się „w życiu". Ale bardzo mnie zdziwiło, że właśnie Parandowski to uczynił, mnie przede wszystkim pragnąc ustrzelić. Cała bowiem „kariera" mojej Odyssei w niepodległej Polsce, od samego początku, wiąże się z jego osobą. Był on autorem pierwszej, nader entuzjastycznej oceny mego przekładu, jaka ukazała się w prasie. To była w ogóle pierwsza recenzja, jaką o sobie przeczytałem. I bez przesady rzec mogę, że nasza wieloletnia przyjaźń powstała „na gruncie" Odyssei i mojego jej tłumaczenia. Jak już wspomniałem, w pierwszej edycji ukazało się ono w ro-

ku 1924. Nazwisko Parandowskiego zdobi kartę tytułową tej książki, stanowiącej tom drugi serii przekładów z literatury greckiej pod nazwą: PAN. Redaktorem tej serii był Jan Parandowski. Rok 1931. U Mortkowicza w Warszawie wychodzi mój przekład w drugim, zmienionym wydaniu. Z tej okazji Parandowski zaszczyca mnie dialogiem przed mikrofonem warszawskiego radia. Rok 1935. Z rąk Parandowskiego, jako prezesa, otrzymuję nagrodę polskiego P.E.N. Klubu. Za przekład Odyssei. Jakże więc dziś mam rozumieć nagły zwrot w stosunku Parandowskiego do dzieła, któremu niegdyś tak życzliwie patronował? Mało — patronował. Stał nad jego kołyską. Był mu ojcem chrzestnym. Nie „straszył" go wtedy ani mój heksametr, ani archaizacja. Oczywiście, po tylu latach można zmienić zdanie. Ja sam przecie, jak świadczy ta nowa wersja przekładu, uznałem — nie wiem czy słusznie — potrzebę modyfikacji niektórych przestarzałych form języka. Ale dawać publiczny wyraz niechęci do mego przekładu, jednocześnie zalecając czytelnikowi swój własny, jest — w świetle wyżej przedstawionych faktów — nie tylko zadziwiającym u pisarza tak wysokiej kultury brakiem kurtuazji, ale też jakimś zagadkowym dla mnie odwetem. Skoro mój przekład był, jak to Parandowski dziś sugeruje, klęską i to klęską podwójną, nie rozumiem, jak redaktor PANA mógł do takiej klęski dopuścić. A skoro dopuścił, czemuż i siebie za nią nie wini? Nie uważam siebie za Napoleona wśród tłumaczów Homera, ale trudno mi pogodzić się z tym, że mój przekład był w latach 1919-1935 Jeną czy Austerlitzem, a w roku 1952 stał się Waterloo. Co prawda zdarza się, że to, co w młodości wygląda jak zwycięstwo, później, z upływem lat, okazuje się klęską. Ale choćby nawet tak było, nie pluje się do kołyski pokurcza, którego trzymało się do chrztu. Tym bardziej, gdy zamierza się własne, n.b. udane dziecko położyć do tej samej kołyski.

Z nietajoną satysfakcją pogrąża Parandowski niemal wszystkich, którzy tłumaczyli Homera na język polski, czy to wierszem rymowanym, czy bez rymów. Ciepłe słówko ma tylko dla jednego Jana Kochanowskiego. Słowackiego i Norwida pomija milczeniem, ale domyślamy się, że ich też umieścił wśród potępionych. Nie wspomina też o Rydlu. Dla Siemieńskiego ma uśmiech pobłażliwej wyższości. Przygania również francuskiemu tłumaczeniu wierszem pióra Victora Bérard, uznając wszakże „wielki autorytet Bérarda we wszystkich sprawach, dotyczących Odyssei". Nowy przekład angielski E.V. Rieu, dokonany arcy — już — potoczną prozą, słusznie nie znajduje łaski w oczach Parandowskiego. Tę łaskę zarezerwował on dla własnego tłumaczenia. Porzućmy jednak niewdzięczny emocjonalizm i brońmy

się argumentacją obiektywną. Parandowski jest zbyt wielkim erudytą, żeby nie znać i to lepiej ode mnie, wszystkich argumentów, które przytoczę tu w obronie stylu i języka mojego przekładu. Robię to raczej na użytek czytelników, mniej obznajmionych z „literaturą przedmiotu".

Zagadnienie, jak powinno się tłumaczyć Homera, jest bardzo stare i ciągle nierozstrzygnięte. Od Liviusa Andronikusa, który tłumaczył Odyseję na łacinę tzw. wierszem saturnijskim do Jana Parandowskiego, który ją tłumaczy przyjemną, trzeźwą i bardzo czytelną prozą, kształtowaną na najlepszych wzorach francuskich racjonalistów, wszyscy tłumacze Homera musieli pokonywać olbrzymie trudności. Jedni je pokonali, przynajmniej częściowo, inni — nie. Jednym udało się stworzyć ekwiwalent homerowego stylu i śpiewu, ale kosztem wierności. Dali raczej parafrazy Iliady i Odyssei, dali to, co tak trafnie nazywa się po niemiecku — *Nachdichtung*. Drudzy nazbyt kurczowo trzymali się oryginału, zapominając, że w przekładaniu poezji — nawet epicznej — trzeba nieraz drogą okrężną docierać tam, dokąd nie można zajść — prostą. Brzmi to może paradoksalnie, lecz sądzę, że tłumacz poezji musi niekiedy wywoływać wrażenie bieli przy pomocy np. zieleni lub na odwrót. Są tłumacze Homera, którzy dla ratowania tak ważnych efektów dźwiękowych poświęcili — wzrokowe. Inni zaś, urzeczeni plastyką i kolorystyką Homera wraz z purytanami semantyki — zlekceważyli melodię, harmonię, kontrapunkt, instrumentację oraz cały, skomplikowany skład chemiczny miazgi słownej. O poetyczności tłumaczonego tekstu decyduje przede wszystkim atmosfera utworu, ciepłota własna, coś, co bym nazwał magiczną aurą. Kto tej aury nie potrafi „oddać" czy na nowo stworzyć — nie jest tłumaczem poezji, choćby i rymował zgrabnie i nienaganne wybijał rytmy.

Ciekawy, choć dosyć jałowy spór o to, jak należy tłumaczyć Homera, rozgorzał w Anglii przed stu bez mała laty. Pozostały po nim świetne eseje jednego z najlepszych poetów i krytyków literackich ery wiktoriańskiej, Matthew Arnolda: „On Translating Homer" oraz „Last Words on Translating Homer". Spór wywołało nowe w owym czasie tłumaczenie Iliady, dokonane wierszem przez uczonego dużej miary, profesora łaciny w uniwersytecie londyńskim, Francisa W. Newmana. (Był on bratem wielkiego kardynała i poety Johna Henry Newmana). Trzy eseje, a raczej oxfordzkie wykłady Arnolda plus jego odpowiedź na replikę Newmana, interesują nas dzisiaj dlatego, ponieważ pozwalają przyjrzeć się zaletom i brakom najważniejszych poetyckich przekładów Homera w języku angielskim. Podobnie jak Parandowski „przejeżdża" się Arnold po wszystkich

niemal tłumaczeniach Homera, nie oszczędzając nawet wielkich poetów. Ani George'a Chapmana (1559-1634), którego Homerem zachwycali się Keats i Coleridge, ani Aleksandra Pope'a (1688-1744), ani Williama Cowpera (1731-1800). W odróżnieniu od Parandowskiego uważa Arnold, że Homera trzeba tłumaczyć heksametrem, mimo iż język angielski ma z nim podobne kłopoty jak polski: Rymy — odrzuca. „Rymy" — jego zdaniem — „zdradzają nieuniknioną skłonność do łączenia w pary — wierszy, które są w oryginale niezawisłe. Ponadto rymy zmieniają ruch poematu". Fanatyk ruchu i szybkiego tempa, nie ma Arnold serca dla tych przekładów, które wloką się w tempie zwolnionym. Powszechnie sławiony Chapman, zdaniem Arnolda, nie oddaje Homera, ponieważ nie umie „powstrzymać się od wstawiania gry myśli między swój przedmiot a przedstawienie tego przedmiotu". Ponadto Chapman tłumaczy językiem elżbietańskim, a styl elżbietańskiej literatury w ogólności, Chapmana zaś w szczególności, jest *fanciful,* Pope natomiast tłumaczy „językiem augustiańskim z epoki królowej Anny. Obaj zaś ukazują nam swój przedmiot za pośrednictwem medium. Ale Homer ogląda swój przedmiot bezpośrednio i bezpośrednio nam go ukazuje". W dalszym ciągu tej, niezwykle pouczającej polemiki stwierdza Arnold, że Homer „zawsze komponuje z oczyma zwróconymi na przedmiot (kompozycji), bez względu na to, czy ów przedmiot jest moralny, czy materialny. Pope natomiast komponuje wpatrzony we własny styl...". Pedanteria jest dla Arnolda „najbardziej niehomerycką rzeczą w świecie", gromi więc pedantów, choćby to byli najwięksi poeci, a gromi ich za wierność oryginałowi. Odrzuca przeto Cowpera. Woli od niego Pope'a, który jest *extravagantly free,* dzięki czemu jego Iliada stała się bardziej homerycka niż Iliada Cowpera. Ale cóż z tego, skoro Pope „nie potrafi oddać ani prostoty, ani bezpośredniości stylu i dykcji Homera? W partiach podniosłych jest Pope potężny jak Homer, jakkolwiek inaczej niż Homer, ale w zwyczajnym opowiadaniu, kiedy Homer też jest potężny i rozkoszny, Pope, skutkiem wrodzonych wad swego stylu, nie działa *(is ineffective)* i nie ma smaku".

Parę razy powtarza Arnold, że „Homer jest szybki, prosty, bezpośredni w słowach i w stylu, ale jest bezpośredni i prosty również w swych myślach, a szlachetny w sposobie bycie *(in his manner)".* Nie może więc dobrze tłumaczyć Homera ktoś, komu zbywa na tych cnotach. Podoba się Arnoldowi Odysseja w współczesnym mu przekładzie niejakiego Worsley'a, aczkolwiek tłumacz ten posłużył się stanzą spenserowską, a więc dość skomplikowanym metrum i rymami. Przyznaje jednak Arnold Wors-

leyowi, że umiejętnie użył tej „pięknej, romantycznej miary przy odtwarzaniu najbardziej romantycznego poematu starożytności". Nie jeden Arnold uważa Homera za romantyka. W naszych czasach, Gilbert Murray nazywa go wręcz „romantycznym bardem greckim" i tą romantycznością tłumaczy celową u Homera archaizację nie tylko języka i stylu, ale i przedstawionego w jego eposach — obyczaju. „Będąc romantykiem", powiada Murray, „łatwo może Homer ukazywać swych archaicznych bohaterów jako ludzi nie znających ani broni żelaznej, ani sztuki pisania. I łatwo mu jest wyobrazić sobie księżniczkę, piorącą w rzece królewską bieliznę"... To jest już woda na mój młyn. Czyż bowiem archaizacja w moim tłumaczeniu nie jest cechą neoromantyzmu, który odwracał się od „rzeczywistości", jak Homer? Homer był „eskapistą" jak każdy poeta, któremu tzw. rzeczywistość nie wystarcza do życia. W poezji, zarówno epickiej jak lirycznej, sam język bywa niekiedy wehikułem w błogosławionej ucieczce od życia. Sam język, sam „nienaturalny" tok śpiewanej narracji oddala nas od „rzeczywistości". A choćby ta rzeczywistość pewnego dnia stała się Arkadią, nigdy tam nie zabrzmi pieśń, podobna do potocznej, arkadyjskiej mowy.

Moja polemika z Parandowskim nie jest podobna do sporu Arnolda z Newmanem. Arnold ma tę przewagę i nad Parandowskim i nade mną, że sam Homera nie przekładał. Zanim zdyskwalifikował liczne i dostojne grono tłumaczów Iliady i Odyssei, zdyskwalifikował samego siebie. *Avant la lettre* całej kontrowersji stwierdza Arnold, że nie ma ani czasu, ani odwagi na przekładanie Homera, chociaż mu to wielokrotnie podsuwano. Tak więc Arnold może być całkowicie bezstronny i bezinteresowny. Ani Parandowski, ani ja nie możemy sobie na to pozwolić. Obaj występujemy *pro domo sua.* Ja — domu Parandowskiego burzyć nie zamierzam. Wolę raczej mój własny fortyfikować.

Przystępując do tłumaczenia tekstu tak starego jak Odyseja, musi pisarz zdecydować się na wybór stylu. Nie jest to wybór łatwy. Wpływają nań rozmaite, czasem sprzeczne względy. Albo tłumacz chce stworzyć coś, co — jego zdaniem wywoła efekt podobny temu, jaki wywoływał oryginał u starożytnych Greków, albo też opiera się na własnej wrażliwości i tworzy coś, co ma oddziaływać na wrażliwość współczesnych mu czytelników. Ta wrażliwość jest mniej więcej znana. Jak Grecy reagowali na recytacje Homera w czasie Panatenajów nie wiemy. Wiemy tylko tyle, że Panatenaje były uroczystością religijną, a wiersze Homera tekstami prawie liturgicznymi. Nie mamy płyt gramofonowych z owych czasów, ale trudno wyobrazić sobie, żeby Homera recytowano „realistycznie". Wiemy również, że język

Odyssei, tego „eposu orfickiego", jak ją śmiało nazywa prof. Ryszard Ganszyniec, nie był mową potoczną publiczności zgromadzonej na Panatenajach. Lapidarnie ujął tę sprawę emigracyjny hellenista Ignacy Wieniewski w rozprawie pt. „Elementy kwestii homerowej", ogłoszonej niedawno w londyńskich „Wiadomościach": „Językiem Iliady i Odyssei nie mówił nigdy żaden Grek". Potwierdził Wieniewski to, co kilkadziesiąt lat temu napisał Geheimer Hofrat Prof. dr E. Bethe, homerysta bardzo kompetentny: „Obok wiersza, o stylu Homera decyduje — język. Nikt nigdy tym językiem nie mówił. Albowiem jest to nie tylko mieszanka z dwóch różnych dialektów, ale zawiera też liczne, dawno przebrzmiałe wyrażenia, których dokładnie nie rozumiał nawet Ajschylos, ów maratoński Ateńczyk. Ponadto język ten tworzy nowe, wspaniale brzmiące słowa"... Cudnie! Skoro więc ten i ów z mych łaskawych czytelników „jeszcze nigdy nie słyszał" jakiegoś archaicznego wyrazu lub zwrotu, z którym spotkał się w moim przekładzie, niechaj, pod tym względem, poczuje się kolegą Ajschylosa.

„Właściwością każdej wielkiej poezji, powiada Bethe, są przekształcenia słów tudzież użytkowanie wyrażeń, które już zniknęły z mowy potocznej. Poezja ta bowiem musi wznieść się ponad powszedniość...". Jeszcze mocniej pisze o tym Ganszyniec w znakomitym studium „Homer i Odysseja", dołączonym do obu wydań mego przekładu: „Pierwszą właściwością języka eposu jest to, iż nie jest on językiem codziennego użytku. Jest to mowa literacka, uroczysta, odświętna...". Albowiem: „mowa epiczna jak i słowo magiczne wyrywały człowieka z objęć szarzyzny dnia powszedniego, wraz z potocznymi wyrazami wypędzały wszelkie troski i myśli z jego głowy i z serca, a w zamian za to miłym dźwiękiem starego brzmienia wywoływały w nim pogodną i podniosłą myśl o wspaniałości przeszłych czasów...".

Mógłbym bez końca karmić czytelnika wyjątkami z pism wybitnych filologów i badaczów starożytności, lecz wolę kaptować jego benewolencję czymś znacznie bliższym i powszechnie lubianym. Jakiż to wielotomowy utwór beletrystyczny cieszy się od siedemdziesięciu bez mała lat niesłabnącym powodzeniem u naszych rodaków i w kraju i zagranicą? Chociaż od czasu do czasu targnie się na tę świętość jakiś bluźnierca lub niegrzeczny chłopiec (ostatnio uczynił to w „Kulturze" Gombrowicz, znany zamachowiec na uświęcone fetysze) — „Trylogia" Sienkiewicza nie przestaje dla ogółu rodaków być tym, czym w wolnej Polsce była „czysta, wyborowa". Źródłem taniego upojenia. Można, jedną po drugiej, wywracać śmieszne figurki tej infantylnej epopei, lecz nie podobna nadwerężyć potężnego czaru, jaki wywiera jej

styl i język. A jakimż to językiem czaruje Sienkiewicz „szerokie masy"? Chyba nie tym, którym rozmawiał z żoną i z dziećmi. Język „Trylogii", pisanej w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia — to przecież bujnie archaizowana i makaronizmami inkrustowana polszczyzna wieku XVII-go, najczystszy barok. (Czas już zaprzestać pomiatania barokiem!). Znajdujemy tam mnóstwo wyrażeń, których z pewnością nie rozumie dziś „przeciętny" czytelnik. Otwieram na chybił-trafił „Ogniem i mieczem": „...stada wołów pędzone na spyżę dla wojsk kozackich i tatarskich"... Tę „spyżę" właśnie wraz z czysto polskim „żydłem" wyrzuciłem m.in. z ostatniej wersji mojego przekładu. Oba te rzeczowniki są synonimami: strawy, prowiantu, lubo nie używa ich dzisiaj ani ogół głodnych, ani żarłoków. W ogóle — znacznie mniej archaizmów znajdzie czytelnik nawet w pierwszej, najtrudniejszej wersji mojego przekładu Odyssei, niż w Sienkiewicza „Trylogii". Niewątpliwie język XVII wieku jest na miejscu w powieściach o wieku XVII. Pisząc „Trylogię" autor jej posiłkował się m.in. bogatą, wszystkim dostępną literaturą tego okresu. Ale już do „Krzyżaków" musiał sobie skonstruować własnym przemysłem język polskiego średniowiecza, nie wiele bowiem zachowało się pomników polszczyzny wieku XV. W podobnym położeniu znalazł się autor niniejszego przekładu Odyssei. Musiał stworzyć ekwiwalent języka, w którym wspomniany już Gilbert Murray, nie tylko doskonały starożytnik ale i poetycki tłumacz Eurypidesa, znajduje „obok attycyzmów na jego powierzchni, obok przeważającej w nim jońszczyzny i obok śladów dialektu eolskiego również i szczątki jakiejś bardzo starej mowy greckiej. Przynależności jej do któregoś z poszczególnych dialektów nie da się ściśle ustalić. W klasycznych Atenach jest ona już niezrozumiała"...

Chcąc zatem „z grubsza" odtworzyć magiczną aurę Odyssei powlokłem język mego przekładu lekką patyną XVI, XVII, rzadziej XVIII wieku. Niekiedy czerpałem z jeszcze starszej polszczyzny, zachowanej już tylko w gwarach.

Skóra mi cierpnie na myśl, jakie tam grzechy i grzeszki wyciągnie z mojej Odyssei emigracyjny nasz Wielki Inkwizytor języka polskiego, ale i przyjaciel piśmiennictwa w tym języku, czyli p. Stanisław Westfal. Do indulgencji tego przyjaciela odwołuję się, powtarzając raz jeszcze, com już w przedmowie do książkowych wydań mego tłumaczenia cytował z „Carmen macaronicum": „Qui non habet kobyłkam piechotare debet".

Z prawdziwym żalem rozstaję się w tej trzeciej wersji nie tylko z wielu archaizmami i starymi formami gramatycznymi, np. z liczbą podwójną. Poświęciłem mile brzmiące „oce", ale za-

pewniam, że w poetycko dobranym zespole dźwięków te „oce", a nawet „nodze" zamiast nogi, nieraz potęgują magiczną aurę, na której wywołaniu tak bardzo mi zależy. — Przesada — powie Parandowski, ale czymże jest poezja, poetyckie widzenie i poetyckie słyszenie świata oraz wszelkiej, tylko poetom dostępnej, zaświatowości, jeśli nie przesadą? I Kirke i Cyklopi, Lotofagowie i Lajstrygonowie, Scylla i Charybda — to też kreatury z lekka lub z ciężka przesadzone, czemuż więc unikać postaci werbalnych „odchylonych" nieco od tzw. normy? Propozycji Mallarmé'go: *Céder l'initiative aux mots* — ustąpienia inicjatywy słowom, nie zawsze można przyjąć w epice, ale nawet w epice można ją zaryzykować z dobrym dla ucha skutkiem. Tą „inicjatywą słów" powodowałem się, gdy np. zamiast „unosi" pisałem „unasza", zamiast „w domu" — „w domie" lub „doma", zamiast „przekleństwo" — „przekląctwo". Nade wszystko jednak usiłowałem uwydatnić sędziwość pieśni oraz zamierzchłość śpiewanych czasów przy pomocy omszałych słów, takich np. jak „szedziwy", „bławy". (Na Śląsku Cieszyńskim słyszałem ten przymiotnik z żywych ust). Także monumentalizm niektórych scen i obrazów, patetyczna elewacja łuków tej gigantycznej budowli wymagały tu i ówdzie odpowiednio wyolbrzymionego i niezwykłego słownictwa.

Ważnym elementem eposu jest jego śpiewność, muzyczność, melicznośc. Słowem: gędźba. Bez niej nawet współczesne eposy obejść się nie mogą. Nawet w prozie „Chłopów" Reymonta coś w głębi gra i zawodzi. Starożytna epopeja w języku słowiańskim powinna mieć w swoim brzmieniu coś z dumy, z „Boju na Kosowym Polu", z „Wesela Maksyma Zrnojevića", ze „Słowa o pułku Igora". Niestety w starym polskim języku nie mamy takiej poezji. Ostatnią barierą, odgradzającą poezję od prozy jest rytm. Mimo wszystko do śpiewanej narracji najodpowiedniejszy jest heksametr, lub też jego ekwiwalent. Powiadam: mimo wszystko, gdyż ani Mickiewicz, ani Goethe nie potrafili dać heksametru w jego antycznym, dziewiczym kształcie dźwiękowym. *Si parva magnis...* mój wiersz w Odyssei jest, jak już wspomniałem, ekwiwalentem heksametru, o dowolnej cezurze i z częstymi „enjambements". Te „enjambements" upłynniają śpiew i jednocześnie pomagają śledzić akcję. Jeszcze raz proszę czytelnika, któremu lektura tego przekładu wyda się trudna, żeby ją sobie ułatwił czytaniem na głos.

Broniąc wiersza, a więc gędziebności w tłumaczeniach Homera, muszę automatycznie wystąpić przeciw prozie. Choćby to była proza tak dźwięczna i uroczysta jak Leconte de Lisle'a, lub tak przejrzysta jak Parandowskiego. Homer prozą — to jakby

symfonia grana na fortepianie, lub śpiewana ludzkim głosem. Któżby się zwracał do Kiepury z prośbą o odśpiewanie „Eroiki", lub „Prélude de l'Après-Midi d'un Faune"? Albo któregoś z koncertów brandenburskich Bacha? Najlepsze przekłady Homera prozą — to sublimowe „bryki", to super-prozajkiery. Mają one czytelnika zbliżyć do Homera, lecz w rzeczywistości oddalają, ukrywając przed nim całą metafizyczną zawartość homerowej epiki, jej głębinowy, irracjonalny, orficki sens. Odysseja prozą — to mniej lub więcej ścisłe zawiadomienie, to informacja o losach Odysa, a nie poetycka interpretacja tych losów. Biada poezji, która pójdzie na służbę reportażu, rezygnując z rodowego swego przywileju, jakim jest — bajanie. W najlepszych wypadkach przekłady Homera prozą to „gesta". Ale nie „Chansons de geste". Śpiew zmienia kształt opiewanego faktu, obrysowuje kontury wydarzenia. Sam śpiew też jest faktem, jest konkretnością i dopiero z szczęśliwego połączenia przedmiotu narracji ze śpiewem rodzi się poezja epiczna. Nazwałem ongi Odysseję romansem awanturniczym. Podtrzymuję i dzisiaj to określenie. Tak, to jest romans, ale w znaczeniu „Romancero" lub naszych „Ballad i romansów".

Sądząc z tego, co czytałem w „Twórczości" przekład Parandowskiego robi wrażenie, że został dokonany na użytek Delfina, niedośpiałego w leciech, Delfina, któremu nie trzeba ukazywać wszystkiego, co jest w Odyssei poza jej treścią. Zastanawiam się, kto w dzisiejszej Polsce jest Delfinem?

Tłumacząc Odysseję prozą, nie jest Parandowski konsekwentny, skoro nagłówki rozdziałów nazywa pieśniami. Czytamy w „Twórczości": „Pieśń piąta: Tratwa Odyssa" i „Pieśń szósta: Nauzykaa". Ale pieśni w tym tłumaczeniu nie słychać. Gromiony przez Parandowskiego E.V. Rieu opatrzył te same rozdziały rzymskimi cyframi, pod którymi dał nagłówki własnego pomysłu: „V. Calypso" i „VI Nausicaa". Inny, współczesny, ale nieco starszy Anglik, uchodzący za znawcę nie tylko Grecji, ale i Indii, W. H. D. Rouse, jest jeszcze bardziej konsekwentny. Rozdziały swego popularnego tłumaczenia Odyssei prozą (które wyprzedziło przekład T.E. Shawa czyli pułkownika T. E. Lawrence'a („Lawrence of Arabia") nazywa — księgami. A więc pieśni piątej daje taki nagłówek: BOOK FIVE: *Hermes is Sent to Calypso's Island; Odysseus Makes a Raft and is Carried to the Coast of Scheria.* Szóstej zaś: BOOK SIX: *How Odysseus Appealed to Nausicaa and She Brought Him to Her Father's House.* To jest w porządku. Skoro proza — to księgi, rozdziały, a nie — pieśni. Bo, cóż to za pieśń, która brzmi jak komunikat?

◆

Jest coś żenującego w polemice z pisarzem, przebywającym po tamtej stronie „żelaznej kurtyny". To tak, jakbym do Parandowskiego odzywał się nie z dalekiego świata wolności, ale z zaświatów. Nie wiadomo, czy przeciwnik mnie usłyszy, a jeśli usłyszy, nie wiadomo czy nie zatka sobie uszu. Albowiem nie ocean Atlantycki dzieli nas teraz, lecz *mare tenebrarum*.

Oby nam było dane spotkać się jeszcze w tym życiu i odnowić przyjaźń, zawartą niegdyś dzięki Odyssei. A jeśli to się nie uda, może w Hadesie jest takie miejsce, gdzie spotkają się dusze ludzi rozdzielonych granicami, kurtynami, szlabanami, do których wzniesienia oni sami ręki nie przyłożyli. A jeśli w tymże Hadesie jest osobny oddział dla tych, co grzeszyli przekładami Homera, na pewno tam się spotkamy. Tymczasem, niewierny przyjacielu —*vale!*

IV

Z świata umarłych niech mi będzie wolno wywołać teraz duchy kilku przyjaciół mojej Odyssei. Przewodzi im wspaniały, do samego Homera podobny, Tadeusz Zieliński. Za nim idzie znakomity, cichy i skromny grecysta lwowski — Stanisław Witkowski. Za nimi — moi profesorowie greki — Jakub Handel i Franciszek Smolka. Ale to byli już ludzie starzy lub starzejący się, gdy ja zacząłem tłumaczyć Homera. Można by więc sądzić, że w moim przekładzie odnaleźli ducha własnych czasów.

Przeto z niezmierną boleścią, przepraszając, że je trudzę, przywołuje tu jasne dusze dwóch pisarzy polskich, którzy w zaraniu życia musieli się z życiem swym rozstać. Obaj należeli do pokolenia znacznie młodszego niż moje, ale też między nimi była poważna różnica wieku. Starszy, to — Bolesław Miciński, poeta, eseista, filozof. W moim warszawskim mieszkaniu posiadałem ofiarowany mi przez Autora rękopis pięknego dramatu wierszem, który Miciński napisał pod wrażeniem i w stylu mego przekładu Odyssei. Dramat ten spłonął zapewne wraz z resztą moich, pozostawionych w Warszawie papierów i książek.

Drugiego, poety, nie znałem. Był tak młody, że przed wojną musiał chyba jeszcze chodzić do szkoły. Nie wiem, czy prawdziwe jego nazwisko brzmiało: Tadeusz Gaycy, czy K. Topornicki. Zginął w Powstaniu Warszawskim, mając nie wiele ponad

dwadzieścia lat, a do literatury wszedł jako — Tadeusz Gaycy. W roku 1947 przysłano mi z Polski afisz teatralny sztuki Gaycego pt. „Homer i Orchideja". Na ostatniej stronie afisza dyrekcja teatru umieściła następujący tekst:

„W długie wieczory okupacyjne niemal każdy szukał wytchnienia w lekturze.

Odcięto nas prawie zupełnie od nowej książki, która pojawiała się gdzieś na krańcach świata nie objętych pożarem, utrudniono dostęp do bibliotek i czytelni, ale nie zdołano zupełnie zamknąć drogi do nagromadzonych w literaturze bogactw myśli i uczucia. Odwieczne arcydzieła znowu stawały się źródłem siły i mądrości. Dawały spokój w owym czasie — kiedy spokoju nie było, wiedzę o życiu, kiedy życie przerastało możność ludzkiego rozumienia.

W całej pełni jaśniała spokojna mądrość i posągowa uroda „Odyssei". Młody poeta-bojownik Tadeusz Gaycy — padł w powstaniu warszawskim — był wrażliwym czytelnikiem.

Urzeczony bujnym rytmem homerowego heksametru, znakomicie przyswojonego polszczyźnie przez Józefa Wittlina — snuje fantazję o Homerze i Orchideji, o miłości, ślepocie i powołaniu legendarnego Homera. Językiem poetyckim, a zarazem współczesnym mówi o doli człowieka, który nieopatrznie rozpętał żywioł groźniejszy niż morze, z którym obcuje co dzień: głupotę ludzką i przesąd. Mówi o poecie, który odnajduje sens życia i spokój wewnętrzny, tworząc ludzi".

Ten afisz, wydrukowany na lichym papierze, przechowuję jak relikwię. I ośmielam się nową wersję mego przekładu Odyssei ofiarować:

świętej pamięci
B o l e s ł a w a M i c i ń s k i e g o
i
świętej pamięci
T a d e u s z a G a y c e g o .

1953

JESZCZE PRO DOMO MEA

W rozważaniach, poprzedzających pierwszą i piątą pieśń „Odyssei" w nowej wersji mego przekładu *(Kultura* nr 4/78) pozwoliłem sobie sprowokować p. Stanisława Westfala do zabrania głosu na temat archaizmów w tej pracy. Rad jestem, że pan Westfal, którego nazwałem żartobliwie „Wielkim Inkwizytorem języka polskiego, ale i przyjacielem piśmiennictwa w tym języku" zechciał podjąć rzuconą mu przyjaźnie (purpurową) rękawicę. Rad jestem, gdyż dzięki pouczającej rozprawce p. Westfala pt. „Moja wycieczka na Itakę" *(Kultura* nr 3/89) mogę raz jeszcze wrócić do ważnej dla mnie sprawy archaizacji. Nazwałem siebie grzesznikiem a mój przekład Odyssei grzechem młodości, muszę więc dalej grać tę rolę, aż do uzyskania absolucji. Istotnie, to co od czterdziestu z górą lat robię z moją „Odysseją" jest zabiegiem oczyszczającym, a może nawet czyśćcowym, jeśli wziąć w rachubę liczne stronice przekładu, które wrzuciłem do pieca (w Polsce) i do „incineratora" (w Ameryce). Toteż wdzięczny jestem każdemu, kto mi chce pomóc w dostaniu się do raju. Gdym w młodych latach zaczął się borykać z trudnościami, jakie nastręcza poetycki przekład Homera, nieraz korzystałem z życzliwych wskazówek filologów, językoznawców, hellenistów, polonistów. Profesor Sinko np. polecił mi „Rejestr budowy galeony" Kleczkowskiego (niestety imię tego autora wypadło mi z pamięci). W tej książce znalazłem mnóstwo potrzebnych mi terminów żeglarskich i okrętowych, przeważnie holenderskiego pochodzenia. A jak cenne były dla mnie rozmowy z wielkim miłośnikiem starej polszczyzny i gwar, Stefanem Żeromskim, któremu zimą r. 1921 czytałem w Zakopanem parę pieśni przekładu, m.in. pieśń piątą „morską"[1].

1. W drugiej połowie tzw. dwudziestolecia modne było u nas utyskiwanie na tzw. żeromszczyznę. Krzywiono się na wadliwą jakoby kompozycję

Cieszę się, że p. Westfal uważa Słownik Lindego i Słownik Warszawski za Pismo święte języka polskiego. Nie rozstawałem się z tymi, jak p. Westfal słusznie je nazywa „świętymi tekstami" w latach 1918-1924, gdy już mogłem tłumaczyć Odyseję systematycznie, a nie dorywczo. Szczególnie drogie jest mi wspomnienie obcowania z Lindem. Nigdy go nie miałem na własność. Gdy jesienią 1918 r., a więc w wigilię swego zgonu, austriacko-węgierska armia rozstała się ze mną jako z inwalidą, w 50 procentach niezdolnym do pracy, postanowiłem tych 50 procent niezdolności wraz z pozostałymi 50-ciu zużyć na tłumaczenie Homera. Natychmiast po powrocie do Lwowa i wynajęciu „pokoju kawalerskiego z osobnym wejściem" (dla homerowych bogów, a zwłaszcza bogiń) przy stromej ulicy Kadeckiej, między — o bogowie! — Parkiem Stryjskim, a wzgórzami Cytadeli, pożyczyłem u przyjaciół sześć grubych tomisk Lindego. Nie długo z nimi popasałem w tamtych, zaczarowanych stronach. 1 listopada wyszedłem z domu na obiad, a wróciłem dopiero z końcem miesiąca, po zakończeniu działań wojennych w mieście, rozdartym linią frontu i nienawiści na dwie nierówne części. Ja musiałem spędzić ten czas w części ukraińskiej, mój pożyczony Linde — w polskiej. Zanim z resztą „martwego inwentarza" przeprowadziłem się na Łyczaków, dziecinnymi saneczkami powiozłem Lindego przez całe miasto, po lodzie i śniegu i zamarzniętych kałużach krwi. Nie umiem powiedzieć, czy była to krew polska, czy ukraińska.

Lecz przejdźmy do obrony, czy do wyznania grzeszków, które mi wytyka p. Westfal. W niektórych wypadkach muszę mu przyznać rację bez zastrzeżeń. *Peccavi.* Ale większość odstępstw od Kanonu, o które pomawia mnie p. Westfal odziedziczyłem po innych grzesznikach i heretykach. Dziś, w New Yorku, po tylu latach, trudno mi powiedzieć, co od kogo wziąłem. Jeżeli idzie o autorów nowszych, ulubionych mistrzów mojej młodości, naj-

---

zwłaszcza większych utworów Żeromskiego, wypominano mu, czasem nie bez słuszności, różne przerosty i nadmiary. Raził antyżeromszczyków „nieznośny barok" jego stylu i języka, raził liryzm, któremu starali się przeciwstawić własny umiar lub po prostu — oschłość. Dziś większość dzieł tych purytanów, dzieł — owszem — poprawnych w budowie, „miłych" i lekko strawnych jak woda „przeminęło z wiatrem", a barokowy autor „Wiatru od morza" wciąż przemawia wielkim i żywym głosem do obolałej wrażliwości Polaków i w kraju i na emigracji. Śmieszny wydaje się przekąs, z jakim niektórzy esteci polscy mówią o baroku. Tak, jakby nie był on naszym stylem narodowym, przeważającym i w sztuce i w życiu i nawet po śmierci. Jakby go nie było w naszych gestach, w naszej emfazie, w naszej historii. Barokowy był nie tylko Sobieski, ale i Piłsudski. Nie tylko Wacław Potocki ale i Tuwim. Jego „Kwiaty polskie" mogą służyć za szkolny przykład piękności baroku w poezji XX wieku.

więcej winien jestem Dygasińskiemu, Żeromskiemu, Wyspiańskiemu, Kasprowiczowi, Orkanowi i Berentowi. Skąd zaś oni wzięli swe archaizmy, poprawne lub wadliwe, a ile własnych nowotworów umieścili w takich utworach jak np. Gody życia, Legenda i Bolesław Śmiały (rapsod i dramat), Popioły, Duma o hetmanie, Drzewiej lub Żywe Kamienie, to już p. Westfal lepiej ode mnie wyjawi.

Myślę, że należałoby sformułować zasadę tego co składa się na (przepraszam za ten mój nowotwór) słowostan jakiegoś języka. Które z wyrażeń, pojawiających się po raz pierwszy na ustach żywych grzechu lub na „martwych" kartach książek wolno wcielić do tego słowostanu, a których nie wolno i dlaczego nie wolno. Jakie są granice, w których pisarz może folgować konieczności stwarzania nowych słów?

Ale ciągle uciekam od konfesjonału i prowokuję spowiednika, żeby sam się spowiadał. Zgadzam się z p. Westfalem, że przymiotnik *szczerozłocisty* jest zbytecznie rozszerzony przyrostkiem: st. Moja wina. Ale ten przyrostek dodałem, aby mi heksametr nie kulał. *Zaoczyć* — wydaje mi się — spotkałem po raz pierwszy w „Syndbadzie" Leśmiana. Zgadzam się, że *„sięgnąć* języka" wymaga przedrostka. W wydaniu książkowym nowej wersji, jeśli takowe „dojdzie do skutku" Telemach *„zasięgnie* języka o ojcu". Słusznie powiada p. Westfal, że tylko trójsylabowość przymiotnika *„rychliwy"* wpłynęła na jego obecność w heksametrze:

Rychliwy byłby ich kres i gorzkie zwarzone wesele

Sądzę, że da się to zmienić na „rychły". *„Poboiszcze"* jest chyba żeromszczyzną. Może je znajdziemy w „Słowie o Walgierzu". A może u Dygasińskiego w „Godach życia"? Kombinację *„szumnie-pienny"* kto wie, czy nie ściągnąłem z „Popiołów"? Gdybym zamiast *trutki* dał w heksametrze *truciznę*, postawiłbym obok siebie dwa amfibrachy, co wpłynęłoby na zwolnienie tempa i pogrubiłoby tonację. Ale myślę, że jakoś to urządzę tak, aby p. Westfal nie gorszył się tym, że chcę „męże uśmiercać trutką na myszy". *„W domie"* zapewne wziąłem w spadku po Wyspiańskim. Nie mogę przysiąc, ale ową *mokrzać* widziałem w jakimś starym tekście. Czy nie u Klonowicza? W każdym razie ja jej nie wymyśliłem. *„Namiot"* lub *„namiotka"* jako okrycie głów białogłowskich nie po raz pierwszy pojawia się w przekładzie utworu archaicznego. *Wiecę* zdaje się — widziałem w Odyssei mego czcigodnego poprzednika Lucjana Siemieńskiego.

Ale teraz grzesznik przestaje bić się w pierś i zaczyna się

spierać z Inkwizytorem. *Cierpiennik* najlepiej oddaje grecki epiteton *„polytlas"*. Prawdą jest, że został utworzony na wzór *męczennika,* ale nie w tym znaczeniu, w jakim owa mama mówiła o męczącym ją synalku. Ja tego cierpiennika nie sfabrykowałem. Wziąłem go żywcem z jakiegoś tekstu, albo słownika. Muszę bronić mojego: *unasza się,* chociażby dlatego, że: *„unosi się"* dałoby w skandowanym wierszu groteskowy dźwięk: *sisię.* Tych *siś i miś* staram się unikać w poezji, a niekiedy i w prozie. Upieram się jak kozioł przy „biesiadzie składkowej". W oryginale użyty jest rzeczownik: *ho eranos.* W doskonałym Słowniku grecko-polskim Węclewskiego czytamy: *„ho eranos* 1) *biesiada składkowa,* piknik, 2) towarzystwo, miesięczne składki płacące, w celach wzajemnego wspierania się, zabawy". Nie uwzględniłem tego szczegółu ani w pierwszym, ani w drugim wydaniu mego tłumaczenia i uczyniłem źle. Obecnie naprawiam to uchybienie. Najdokładniejszy ze znanych mi tłumaczów Homera, Parandowski pisze: „Widać, że to nie biesiada składkowa"... W obu najnowszych „pingwinowych" przekładach prozą na język angielski brzmi to zdziwienie Ateny jeszcze bardziej wulgarnie. U wypranego z wszelkiej poetyczności i magii E.V. Rieu: *No signs of subscription supper here!* A w znacznie szlachetniejszym języku W.H. Rouse'a: *It is clear that this is no bring-what — you-like picnic!* Przykro mi, ale tu wyraźnie jest mowa o pikniku. Podobnie z tymi zębami Ateny, spoza których „wydarło się jej słowo". Są one typowe dla homerowego obrazowania. W oryginale brzmi to tak: *pojon se epos fygen erkos odonton.* W prozie Parandowskiego: „wymknęło się spoza zagrody twych zębów" *Erkos* znaczy: zagroda, płot, ogrodzenie. Opuściłem tę *zagrodę* w mniemaniu, że słowo, które wydarło się spoza zębów daje dostatecznie żywy obraz. Cały Olimp wzywam na świadków, że nigdy w ręku nie miałem „Lekarza wiejskiego" Ludwika Perzyny, a ów *domarad,* dobry polski odpowiednik nostalgii wirdziałem albo w „Żywych kamieniach", albo — o grozo! — w samym Piśmie świętym. *Sędziwa dziewka* i mnie do smaku nie przypada, gdy myślę o dziewce od krów lub jakiej innej dziewczynie. Ale, podobnie jak po niemiecku — stara *służąca* może być: *eine alte Magd,* a po angielsku:*an old maid,* więc i Eurykleja, stara służebnica Laertesa a potem Odysa może od biedy być sędziwą dziewką. Przyznaję, że trochę uległem tu Wyspiańskiemu, który dziewkami nazwał nawet boginie zwycięstwa. Czasownik: *zwiać* jako synonim czasowników: ulotnić się, lub lwowskiego: wyrwać, brzmi nie tylko slangowo, lecz nawet irolnicznie. Dobrze jednak i bardzo zmysłowo oddaje nagłe zniknięcie bóstwa, nie podlegającego prawom fizyki. Przywraca tajemni-

czość zjawisku *zwiania* postaci nadprzyrodzonej, która przybrała postać ludzką. Nie myli się p. Westfal, mówiąc, że celownik *mi* w okrzyku Telemacha, zwróconym do zalotników:

Ej, wy gachowie bezczelni, matkę mi chcecie poślubić?

daje dwuznaczność i że „Edyp się kłania". Owszem — kłania się. Często kłania się on tam, gdzie dorosły syn, osobliwie jedynak, objawia uczucia, jakie w nim budzi powtórne małżeństwo pięknej matki lub sama możliwość takiego małżeństwa. Pewno nie mielibyśmy „Hamleta", gdyby morderca jego ojca nie ożenił się z jego matką.

Pozejdon zamiast *Posejdon* pisał Dmochowski w tłumaczeniu „Iliady", Siemieński w tłumaczeniu „Odyssei". Tak samo pisze krakowianin, prof. Sinko w swych przedmowach i komentarzach do obu tych przekładów, wydanych w „Bibliotece Narodowej". Natomiast kujawianin Kasprowicz i lwowianin Parandowski piszą: *Posejdon*. Będę wdzięczny p. Westfalowi za radę, czym zastąpić: *„natchniewa"*. Użyłem tej formy niedokonanej, żeby uratować heksametr i jego dźwięczność.

Owszem. „Odysseja" jest utworem elitarnym po grecku, więc i jej przekład polski, jak o tym pisałem w „Pro domo mea", winien tę elitarność uszanować. Lecz myślę, że już czas zakończyć tę spowiedź z grzeszków przeciw Duchowi świętemu języka. I podziękować panu Westfalowi za przyjemność rozmowy z nim, niestety przez Ocean, i głęboko westchnąć do świętego Hieronima, patrona tłumaczów, o pomoc i opiekę w dalszej pracy.

1954

REFLEKSJE SYNA MARNOTRAWNEGO

I

Brutalnie przepołowione Wrześniem, trzydziestolecie „Wiadomości" ma niby Janus — dwa oblicza. Lecz nie są one do siebie podobne. Pierwsze, warszawskie, — to oblicze naszej młodości, błyskotliwej, wyzywającej i radosnej nawet w cierpieniu. Na obliczu londyńskim odbiły się wszystkie tragedie, klęski i strapienia, jakimi nas darzy tak miła sercu redaktora „Wiadomości" — historia. Kadrowe pokolenie „Skamandra", dla którego narodziny warszawskich „Wiadomości Literackich" było rodzinnym świętem, zapewne i bez Września i bez piętnastu lat powrześniowych ugruntowałoby się w swych poglądach na życie i sztukę, ochłódłoby w zapalczywości i pogodziłoby się ze swym anachronicznym — być może — losem. Nawet wtedy, gdyby redakcja „Wiadomości" mieściła się nadal pod numerem 8-mym ulicy Złotej, w nietkniętej od niemieckiego ognia Warszawie, a nie pod numerem 54-tym nieznanej mi Bloomsbury Street w nadgryzionej nieco tym ogniem stolicy Jej Królewskiej Mości, Elżbiety II.

O tak, dzisiejsze „Wiadomości" pod wielu względami różnią się od warszawskich. Niejeden filar londyńskiego tygodnika służył w przedwojennej Warszawie za (moralne?) oparcie tym, którzy tłukli kamieniami ubezpieczoną zresztą szybę w oknie wystawowym lokalu administracji „Wiadomości Literackich" przy ulicy Królewskiej. Niejeden też entuzjasta „Wiadomości" londyńskich, piszący pochwalne listy do redakcji, odkładał warszawskie ze szczerym lub udanym obrzydzeniem i długo mył splugawione ręce, szorując je „Ryżową szczotką". Tą z „Prostu z mostu". Byli nawet i tacy, którzy po przeczytaniu każdego numeru od deski do deski chodzili do spowiedzi. Spowiednik wyznaczał im pokutę w postaci rocznej prenumeraty „Rycerza Niepokalanej". Wiadomo wszak, że warszawskie „Wiadomości Literackie", były przy-

bocznym organem szatana. Ponadto w szerokich kołach „dobrze myślącego", a w jeszcze szerszych — bezmyślnego społeczeństwa uchodziły one za urzędówkę tzw. żydokomuny, czyli mędrców Syjonu sprzymierzonych z fołksfrontem.

Dzisiejsze „Wiadomości" — to co innego, chociaż redaguje je ten sam człowiek przy współpracy wszystkich cnót ewangelicznych i obywatelskich. A w zespole redakcyjnym znakomitą większość stanowią członkowie Klubu myśliwskiego i tzw. Kasyna końskiego. Skoro już mowa o kasynach, warto przypomnieć, że „Wiadomości Literackie" po wydrukowaniu „Dnia rekruta" śp. Zbigniewa Uniłowskiego musiały zniknąć z czytelń kasyn oficerskich na obszarze całej Rzeczypospolitej. (Co zresztą wpłynęło na powiększenie nakładu). Dzisiejsze „Wiadomości" nadają się idealnie nie tylko do kasyn oficerskich, ale i do żołnierskich świetlic. Ale gdzież są te kasyna i świetlice? Cienia ironii nie ma w tym, co mówię. Większość bowiem czytającego uchodźctwa — to jedna, wielka rodzina wojskowa, rozproszona po całym obcym świecie, to inwalidzi i weterani.

II

Trudno mi mówić bez wzruszenia o „Wiadomościach Literackich". To było przecie moje pismo „macierzyste", z którym nieraz utożsamiano mnie tam, gdzie mówiono o nim dobrze i tam gdzie źle. Gdy się należy do jakiejś wspólnoty trzeba dzielić nie tylko jej triumfy, ale i porażki. Chociaż zawsze pasjonowało mnie raczej nieświadome i podświadome życie człowieka, lojalnie nadstawiałem kark na cięgi spadające na „Wiadomości Literackie" za tzw. „świadomiaka", z którym wcale nie sympatyzowałem. Ach, gdzież są te niegdysiejsze boje biednego Boya-Żeleńskiego?

Ilekroć w nowojorskiej Bibliotece Publicznej przeglądam komplety pożółkłych już i rozsypujących się roczników tego pisma, czuję się tak jak bym cząstkę własnego życia oglądał, cząstkę może najlepszą, która mi się w palcach rozpada. Czytając te roczniki, odbywam powrotną podróż w czasie. Raz po raz ją przerywam, wysiadam na którejś ze stacji mego życia i zamiast herbaty piję w bufecie stacyjnym sam nektar, sporządzony ze słów wspaniałych naszych poetów, starszych i młodszych, żyjących jeszcze i umarłych, i posilam się ambrozją nowej, właśnie w „Wiadomościach Literackich" wyhodowanej prozy i dumny jestem, że dane mi było własne skromne prace

ogłaszać na tych samych „łamach". Odnajduję tu ślady moich wędrówek po świecie prawdziwym i urojonym, ślady mych lektur, umiłowań i uprzedzeń, przyjaźni literackich i wszystkiego, co mi burzyło krew. Z dumą odczytuję w roczniku 1927 mój artykuł o pierwszej w tym właśnie roku ogłoszonej książce Bernanosa „Sous le soleil de satan", bo, zdaje mi się, że pierwszy w Polsce pisałem o tym naprawdę wielkim pisarzu. I to właśnie w nadwornym organie szatana.

Ale przerwijmy te rozrzewnienia. Opowiem teraz pewien zabawny epizod, świadczący i o popularności protoplasty dzisiejszych „Wiadomości" londyńskich i o tym, jak bardzo byłem z nim związany.

Starsi uchodźcy pamiętają chyba jeszcze głęboko u nas zakorzenioną nawyczkę zwierzeń, którymi częstowali się wzajemnie współpasażerowie w dalekobieżnych pociągach. Opowiadali swe żywoty i żywoty najbliższych sobie osób, zwierzali się z trosk miłosnych, rodzinnych i pieniężnych. Bardziej powściągliwi ograniczali się do wymiany poglądów politycznych, społecznych i estetycznych. Pewnego razu jechałem, zdaje się z Krakowa do Warszawy, w towarzystwie bardzo rozmownego starszego pana, o powierzchowności typowego szlagona. Sumiasty wąs, szeroki gest, maniery hreczkosieja, który wszakże otarł się o tzw. szeroki świat. Wyłożywszy mi swój pogląd na świat w ogólności, a na ówczesną Polskę w szczególności, przeszedł od polityki do publicystyki, a od publicystyki do literatury. Poglądy jego zgadzały się z jego wyglądem: były „narodowe", zachowawcze i wrogie wszystkiemu, co zalatywało „Wiadomościami Literackimi". Szlagon ów, czy to czując we mnie powinowatą duszę czy na odwrót — wywąchawszy we mnie owe siły nieczyste, z którymi wojował, zaczął urągać „Wiadomościom Literackim". Sponiewierał prawie wszystkich stałych, płynnych i lotnych współpracowników i nawet nie przepuścił damom. Gdy zaczął się dobierać do czci śp. Kadena-Bandrowskiego, coś w duszy ostrzegło mnie, że lada chwila przyjdzie na mnie kolej. Nie wiedząc z jaką miną będę słuchał tego, co starszy szlagon o mnie powie, wolałem usunąć się z pola obstrzału. Po prostu stchórzyłem, wyszedłem z przedziału dla niepalących i resztę podróży spędziłem przy oknie w korytarzu paląc papierosa po papierosie. Dopiero za Milanówkiem wróciłem po swoje rzeczy, a gdy pociąg dojeżdżał do stacji Warszawa Główna, starodawnym naszym zwyczajem podziękowałem szlagonowi za miłe towarzystwo, no i przedstawiłem się. A przestawiłem się tak niewyraźnie, że nazwisko moje brzmiało raczej jak Vincenz. Stchórzyłem. Uprzejmy szlagon, wróg

„Wiadomości Literackich" huknął na cały wagon: NATANSON jestem! Z akcentem na drugim a, nie na pierwszym.

III

Do londyńskiej połowy trzydziestolecia odnoszę się trochę tak jak kochający syn do matki, która powtórnie wyszła za mąż. Ojczym może być najzacniejszym człowiekiem, nawet lepszym od prawdziwego ojca, ale co ojczym — to ojczym, a co ojciec, to — ojciec. Z ojczymem wprowadza się do starego domu rodzinnego nowy duch, nowa atmosfera, nastają nowe porządki, przychodzą nowi goście. Londyńskie „Wiadomości" poza zastępem autentycznych i znakomitych pisarzy wszelkiej barwy i wieku, stały się również przystanią dla rozbitków umysłowych i niedobitków politycznych. Kto pisuje do „Wiadomości" może znaleźć się w najdziwniejszym towarzystwie. Były męczennik Brześcia sąsiaduje tu czasem o szpaltę z kimś, kto temu Brześciowi udzielił swej sankcji, były zaś więzień Berezy ociera się plecami o samego Sławoja. Są tam reprezentowane mniej więcej wszystkie przed i po-wrześniowe ministerstwa, „resorty" i „szczeble". Ponadto — wszelkie gatunki broni i bezbronności. Z uznaniem należy uścisnąć szczęśliwą rękę redaktora za wydobycie na powierzchnię pokaźnej ilości talentów utajonych w dawnym MSZ-ecie i w ogóle pośród urzędników służby zagranicznej. Wymienię tu jedynie nazwiska moich przyjaciół: Jana Chmielińskiego i Juliusza Sakowskiego. Szczęśliwą też rękę miał redaktor przy uruchomieniu całego fraucymeru świetnych piór białogłowskich, wśród których niech mi będzie wolno wymienić tylko poetkę: Zofię Bohdanowiczową. W londyńskich „Wiadomościach" czytałem też po raz pierwszy utwory wybitnych poetów i prozaików młodszego pokolenia, z których wymienię tylko Herlinga-Grudzińskiego, Janusza Jasieńczyka, Mieczysława Lurczyńskiego, Tadeusza Nowakowskiego, Tadeusza Sułkowskiego.

Mógłbym jeszcze wielu wymienić, ale obawiam się, że wymieniając jedne nazwiska skrzywdzę pominięciem inne.

Emigranctwo jest chorobą, wyszło jednak na zdrowie twórczości niektórych Skamandrytów oraz innych starszych i młodszych poetów. Gorzkim piołunem zakwitła na obczyźnie kasandryczna pieśń śp., nigdy dosyć nie opłakanej Marii Pawlikowskiej. Na emigracji bujnie zaowocowała tak przed Wrześniem skąpa twórczość Balińskiego i Lechonia. A glebą dla tych uro-

dzajów były „Wiadomości". Także i Łobodowski tu przede wszystkim mógł zademonstrować swą wielostrunną, hiszpańsko-arabsko-ukraińską bandurę. Tu też najpłodniejszy na emigracji Skamandryta Wierzyński nowymi wdziękami odmłodził swą Muzę.

W „Wiadomościach" londyńskich wyżywa się intelektualnie konserwatyzm przyrodzony każdej emigracji politycznej. Emigracje polityczne, dzieci klęski, żyją tak długo póki żyją ludzie pamiętający wolność tam, skąd uciekli przed niewolą. Tęsknią oni do tego, co utracili, wspominają dawne dobre czasy, choćby nawet nie były takie dobre i gloryfikują rudery, w których się urodzili i spędzili najpiękniejsze lata młodości. Wszyscy, powoli, w miarę jak czas upływa na obczyźnie ulegamy skłonności idealizowania tego, co już nam nie wróci. Nasze raje utracone to zwyczajne sady, podolskie, wołyńskie lub nawet uboższe — mazowieckie. Sady dzierżawione przeważnie starozakonnym, a więc wymordowanym sadownikom. Pewno i dziś jeszcze w księżycowe noce snują się ich duchy pośród polskich grusz i jabłoni ocalałych z zagłady.

Jak każde pismo emigrantów politycznych, tak i „Wiadomości" otworzyły swe gościnne kolumny nie tylko twórczej myśli, ale i jałowej na ogół potrzebie litowania się nad samym sobą. Temu — co po angielsku nazywa się — *selfpity*. W społeczeństwach o tradycji purytańskiej litowanie się nad sobą uchodzi za nieprzyzwoitość, jeśli nie za grzech. U większości wygnańców biadanie nad własnym losem jest szczere i usprawiedliwione i wypływa naprawdę z głębokości bólu. U niektórych jednak stało się ono skostniałą konwencją, manierą, zajęciem, a nawet źródłem dochodów. Jednym tułactwo i poniewierka zamroziły serce do tego stopnia, że nie potrafią już ani płakać, ani śmiać się, ani — tym bardziej śpiewać. Są jednak i tacy, którzy płaczą tylko publicznie i za ten płacz zbierają oklaski. Wytworzył się pewnego rodzaju faryzeizm emigrancki, przeciw któremu zbawienną odtrutkę znaleźć można w pismach Gombrowicza i Straszewicza, ogłaszanych co prawda w „Kulturze" paryskiej, a nie w londyńskich „Wiadomościach".

Na zakończenie chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na wyjątkową szansę jaką ma pisząca dziś emigracja polska. To — królewski dar, otrzymany od smutnego skądinąd losu. Tej szansy nie powinniśmy zmarnować. Jest nią bezgraniczna swoboda, jaką cieszy się nasza myśl i nasze słowo. Takiej swobody — powiedzmy otwarcie nie mieliśmy w przedwrześniowej Polsce i zapewne też nie będą jej mieli ci, co powrócą do wolnego kraju. Skrępują ich nowe racje stanu, nowe tabu, na które dziś możemy sobie

gwizdać. Jest to szansa wychylenia do dna — gorzkiego kielicha prawdy, bez oglądania się na to, czy jest nam z tym do twarzy. Gatunek ludzi zwanych Polakami należy do najbardziej nieustraszonych w świecie i niczego się nie lęka, prócz nazywania prawdy po imieniu. A czyż to właśnie nie jest powołaniem i dziejową misją pisarza?

Ale, komu o tym prawić? Marnotrawnemu synowi „Wiadomości Literackich", któremu życie na obczyźnie zasznurowało usta? Może Bóg da, że niebawem szerzej je otworzy. Tymczasem niech mi będzie wolno życzyć macierzystemu pismu oraz jego redaktorowi — wytrwania na tak ważnym i eksponowanym posterunku i szczęśliwego powrotu do wolnej Warszawy wraz z „ekipą" wyborowych współpracowników. A syna marnotrawnego niech przeszwarcuje z redakcyjnym bagażem.

1954

ŚMIERĆ I ŚMIECH

I

Wszystko, co chcielibyśmy powiedzieć o życiu i twórczości Lechonia, zniekształciła nam jego śmierć. W jej upiornym świetle nawet najpogodniejsze okresy życia tego, jak się okazało, *poète maudit* zmieniły pierwotny kształt i sens. I nawet śmiech Lechonia, którym i w życiu i w swoich młodzieńczych pismach tak bardzo nas czarował, rozbrajał i drażnił, nawet ten śmiech odzywa się w naszych uszach odmienionym brzmieniem. Jest to już śmiech z zaświatów.

Trzeciego listopada br. Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku uczcił Lechonia obchodem w tej samej sali, gdzie przez wiele lat słyszeliśmy jego głos i śmiech. Nieobecność Lechonia na obchodzie ku jego czci wydawała się pozorna. Lechoń przebywał tam z nami, choć jego ciało leży w ziemi na dalekim cmentarzu Mount Calvary, i nawet nie wiem, czy ktoś z jego licznych przyjaciół odwiedził w Dzień Zaduszny jego grób.

Myśl o niedawnej a własnowolnej śmierci Lechonia — powtarzamy to z naciskiem — nie dopuszcza do głosu innych o nim myśli. A te, które dopuszcza, zabarwia na swój sposób. Oto przykład. W moim starym pożółkłym i kruszącym się słowniku greckim są literki mikroskopijnej wielkości. Naraz jedna z nich odrywa się od innych i pędzi truchcikiem po gęstej kolumnie wyrazów, zaczynających się od epsilon. Dokąd tak pędzi? Ruchomy, ledwo dostrzegalny punkcik czy pyłek oddycha, posiada coś w rodzaju woli, która mu każe cofnąć się przed moim palcem i zawrócić z obranej drogi. W tej chwili ten punkcik jest czymś więcej od człowieka, który tak niedawno jeszcze był Lechoniem i pędził w rozwianym palcie po nie mających nazw, a tylko bezbarwnymi cyframi oznaczonych ulicach Nowego Jorku i cofał się i zawracał z obranej drogi przed istotną czy urojoną prze-

ciwnością. Ten owadzi pyłek jest napełniony czymś, czego w Lechoniu już nie ma, a bez czego nie byłoby ani Lechonia ani jego poezji: *życiem*. Oto strop Kaplicy Sykstyńskiej. Palec brodatego Stwórcy powołuje do życia pierwszego człowieka, tak samo, jak wlał życie w ichtiozaury, dinozaury i w owe tajemnicze żyjątka, bytujące między rozpadającymi się kartkami starych książek. *Aber leben, atmen, schnaufen* — jak, ze swej „materacowej" mogiły wołał sto lat temu inny wielki, umęczony poeta. „Złodziejom, łajdakom" zazdrościł tego, że „żyją, oddychają, wąchają". Urągał sławie, co grzeje jego grób, gdyż „lepiej grzeje dziewka od krów, kiedy nas całuje grubymi ustami" i czuć ją gnojem. Jak Achilles w Hadesie wolał być parobkiem na ziemi, niźli w podziemiach królować umarłym. Był zakochany w życiu.

Lechonia, zwłaszcza w ostatnich latach, urzekała jego śmierć. Nie tylko śmierć, ale i samo umieranie i wszystko, co, podług wyobrażeń, zgodnych z nauką Kościoła, dzieje się z człowiekiem po śmierci. W najbujniejszych, — jak mogło się wydawać — epokach życia zmagał się Lechoń z swoją śmiercią, wyzywał ją, może i kokietował, jak gdyby chciał ją swymi wierszami unieszkodliwić. Jak tylu poetów przed nim, już za życia usiłował wtargnąć w zaświaty. Ale gdy inni składali tam tylko krótsze lub dłuższe wizyty, wiedząc, że powrócą na ziemię, Lechoń zachowywał się jak lokator, który przed wprowadzeniem się na stałe do nowego mieszkania, w nieznanej miejscowości, pragnie wpierw dokładnie zbadać położenie nowej siedziby, jej klimat i w ogóle warunki, w jakich tam będzie musiał przebywać. Wymownie świadczą o tym nie tylko potężne utwory poetyckie, jak: „Grobowiec na Harendzie" czy „Erynie", ale też i mniejsze rozmiarami, choć pełne zgęszczonej energii metafizycznej, takie, jak np. „Powstałem nagi z mego snu...", „Chorału Bacha słyszę dźwięki...", „Rozchyl tylko swą zasłonę...". Świadczą zarówno o tym, co nazwalibyśmy kuszeniem zaświatów czy nawiedzeniem zaświatami, ale też o stopniowym oswajaniu się Lechonia z wszystkim, co go czeka po śmierci. Sądząc z tych wstrząsających wierszy miewał Lechoń i na jawie i we śnie przeraźliwie wyraziste wizje nie tylko swego umierania, ale i zmartwychwstania, do którego przygotowywał się, jak chrześcijanin, świadomy swych grzechów oraz ich następstw w życiu przyszłym. Niedwuznacznie mówią o tym takie wiersze, jak: „Sąd Ostateczny", „Spowiedź Wielkanocna" lub „Święty Antoni". Wszystkie — napisane w ostatniej fazie twórczości trwającej mniej więcej od roku 1950 do końca życia. Można z nich wyczytać niezachwianą wiarę w zagrobowe życie duszy. A wyraża się ta wiara nie w mglistych, halucynacyjnych nieprzytomnościach mowy, właściwych tylu wielkim,

rzec by się chciało, zawodowym metafizykom, lecz w apolińskich, pantadeuszowych, a nieraz i syrokomlicznych, bardzo śpiewnych strofach, w krystalicznej przejrzystości obrazach, dalekich od wszelkiej abstrakcji. Lechoń nie był „intelektualistą" w swej metafizycznej poezji. Był zmysłowy, uczuciowy, namiętny, a jego wzruszenia zestrajały się wdzięcznie z chłodną refleksją i zadumą nad wszystkim, co czuł, co kochał, czego nienawidził i przed czym drżał. Nigdy nie było mroczności w tym, co ten prawowity, może ostatni, spadkobierca romantyków polskich i Byrona miał nam do powiedzenia o najmroczniejszych sprawach swej duszy, o samym jej mroku. Bo nawet mrok miewał u Lechonia koloryt i wyrazistość obrazów Rembrandta, a niekiedy jasność Vermeera. Sprawy „nierealne" umiał ten doskonały „realista" kształtować przy pomocy inwentarza z tego świata, w czym podobny był do Mickiewicza, którym u schyłku życia tak bardzo się pasjonował.

Obcował tedy Lechoń z swoją śmiercią bardzo po ludzku, starał się ją obłaskawić, jak obłaskawia się dzikie zwierzę, które z jakiegoś powodu trzeba wziąć do domu i o którym wiadomo, że pewnego dnia, mimo obłaskawienia, rzuci się na nas i rozszarpie nas. Nie tylko badał obyczaje tego zwierzęcia, ale i siebie przygotowywał do godnego i przyzwoitego z nim współistnienia. Ten poeta ustawicznie szarpany namiętnościami, mocujący się niemal bezustannie z aniołami i diabłami w sobie i poza sobą, często bywał w bezpośrednim obcowaniu z ludźmi, nierówny, niespokojny, pogmatwany. Ale z chwilą, gdy w nim zagrała poezja, a mowa jego stawała się mową wiązaną, osiągał przynajmniej dla nas, dla czytelników, taką równość, harmonię i pogodę, jakie u niewielu dziś znajdziemy poetów. Strofy Lechonia, w najboleśniejszych nawet utworach, postępują rytmicznie, lekko, jakby uskrzydloną stopą, jedna za drugą, postępują jak oddziały wybornie wyszkolonego wojska. W błyszczących kaskach i w barwnych pióropuszach. Bo i to trzeba powiedzieć że Lechoń, podobnie jak Żeromski, kochał malowniczość wojsk, ich teatralność, lubił pompę, wspaniałość parad z całym ich „blichtrem i szychem". Ślady tej nieodwzajemnionej miłości odnaleźć można nie tylko w jego obrazowaniu. Może i w tym było również kokietowanie śmierci. Bo sensem istnienia wszelkiego wojska jest robienie i przyjmowanie śmierci, śmierci, zagłuszanej w dawnych, drogich Lechoniowi czasach, graniem trąb, biciem w tarabany, szumem husarskich skrzydeł. Niektóre z ostatnich utworów Lechonia wywołują wrażenie, że ten arcy-cywil kładł na siebie zbroję i ćwiczył się w wojennym przekraczaniu granic, dzielących ziemski byt wspólny i jemu i żyjątku z greckiego słownika —

od niebytu i wieczności. Te wiersze — to jak gdyby jesienne manewry duszy, gotującej się do ostatecznej rozgrywki o zbawienie. Jak bardzo realia wojskowe i to niezawsze rycerskie, ale nawet koszarowe, opanowały wyobraźnię poety, który nigdy w żadnym wojsku nie służył, przekonać się można, czytając jeden z doskonałych jego trzystrofowych utworów: pt. „Rekrutacja". Wyznaje tam Lechoń:

Nie nęciły mnie nigdy laury wojownicze,
I od pierwszych szeregów będę stronił z dala,
Lecz gdybym miał uchodzić, wtedy, Panie, liczę
Na potężny kuksaniec Anioła-kaprala.

Nawet Anioł, mający niesfornego chrześcijanina zapędzić do szeregu i wymustrować do boju z szatanem, — jest kapralem.

Nie pora jeszcze na zbadanie tych ucisków duszy, którym zawdzięczamy ostatnie, nieśmiertelne chyba wiersze Lechonia. Nie pora też na ustalenie typu samotności, bez której żadna poezja nie może się narodzić. Tyle mówi się o samotności twórczego artysty, ale niełatwo jest określić, czym samotność jednego poety różni się od samotności innych. Każdego wszakże, co jest obznajomiony z całokształtem poetyckiego dzieła Lechonia uderzyć musi to, że jego dawniejsza poezja, ta sprzed roku 1950, była niejednokrotnie rezultatem konfliktu samotnika z obywatelem, samotnika z gorącym i nieustępliwym patriotą. Te konflikty powodowały, że Rembrandt czy Vermeer poezji polskiej stawał się jej Horace Vernetem, tym od wielkich batalii napoleońskich, od kirasjerów, pióropuszów i kit. Ale w swych ostatnich utworach Lechoń już nie chce, na wzór wielkich romantyków polskich, służyć ujarzmionemu narodowi, za duchowego przywódcę, nie chce już być wyrazicielem rozczarowań i gorzkich żalów emigracji politycznej. Chce już tylko być samotnym sobą, nagim sobą, takim, jaki ma stanąć na Sądzie Ostatecznym, gdzie nie ma ani „Laurów Kapitolu" i gdzie, jak powiada, „nie będą się liczyły ani czyny, których przykładem przyszłość ma się ćwiczyć, ani honor kamienny i wola ze stali". Ta wyzwolona samotność zawiodła go na wysokie szczyty poezji, ale też kazała mu z wysokości nowojorskiego drapacza chmur skoczyć w śmierć, z którą tak długo i tak rozpaczliwie się oswajał.

W trzeciej pieśni „Księgi Godzin" Rilke'go jest taka apostrofa:

O Herr, gib jedem seinen eigenen Tod!
„Każdemu daj własną śmierć, o Panie!"

Co to jest własna śmierć? Czy może być śmierć inna niż własna? Rilke tak nam to wyjaśnia:

Każdemu daj takie umieranie,
Co naprawdę wypływa z jego życia,
W którym znalazł swój sens, swe umiłowanie
I swoją rozpacz...

Miałże więc Lechoń własną śmierć? Taką, która ukoronowała, chociażby cierniem — jego życie, a nie była zaprzeczeniem sensu tego życia? Trudno nam uwierzyć, że śmierć, którą sam sobie zadał była jego własną śmiercią. Wypłynęła z tych zatrutych „źródeł życia", w których więcej było rozpaczy niż umiłowania.

W jednej z najważniejszych ale i najtrudniejszych książek, jakie ostatnio ukazały się we Francji, w „L'Espace littéraire" Maurice Blanchota znajdujemy wielostronicowe, niezwykle przenikliwe rozważania na temat wzajemnego stosunku twórczości poetyckiej i śmierci. Blanchot powołuje się na wybitnych artystów i myślicieli XIX w., którzy zalecali innym, czy pragnęli sami „własnej śmierci". Ale własnej w zupełnie innym znaczeniu, niż to, jakie miał na myśli autor „Księgi Godzin". Byli to apostołowie śmierci samobójczej. Pragnął jej i Nietzsche. „Świetność śmierci" upatrywał „w jej własnowolności". „*Swoją śmiercią,* jak zwycięzca, umiera ten, co popełnia samobójstwo". Dokładnie analizuje Blanchot postać oraz „ideologię" „inżyniera-budowniczego" Aleksego Kiriłowa z „Biesów" Dostojewskiego. Kiriłow też był apostołem samobójstwa. Widział w nim szczytowe osiągnięcie człowieka w stosunku do samego siebie. Głosił nie tylko przewagę śmierci własnowolnej nad tą, którą człowiek umiera wbrew swojej woli, lecz uważał „samounicestwienie za czyn godny szacunku. Przez taki czyn dopiero" dowodził „zdobywa się prawo do życia". Zapowiadał też Kiriłow, że „zabije się, aby w ten sposób potwierdzić swoją niesubordynację, swoją nową i straszliwą wolność". Mówił, że „ludzie dlatego się nie zabijają, ponieważ boją się śmierci, a obawa śmierci jest początkiem Boga". „Jeśli potrafię umrzeć wbrew tej obawie oswobodzę śmierć od strachu i obalę Boga". Czytelnicy „Biesów" pamiętają, jak marnie skończyło się apostolstwo Kiriłowa. Stchórzył przed wykonaniem tego, co głosił i nie wypełnił zobowiązania, zaciągniętego wobec ludzi, którym jego samobójstwo miało przynieść korzyść. Kiriłow w końcu odbiera sobie życie, ale nie z własnej woli, lecz pod upokarzającym przymusem.

Należy wątpić, czy apolliński katolik, jakim do końca był

Lechoń, miał w sobie coś z Kiriłowa. Dostojewskiego Lechoń jednocześnie podziwiał i nie cierpiał tak, jak go nie cierpiał Conrad. A jednak nie podobna opędzić się natarczywemu pytaniu: dlaczego to zrobił? Trudno też nie myśleć o innych poetach, którzy tak samo skończyli. Np. Heinrich von Kleist lub Gérard de Nerval. Najefektowniejszym rozwiązaniem gnębiącej nas zagadki byłoby przyjęcie tezy Blanchoa, że samobójstwo i twórczość artysty podlegają tym samym impulsom i wynikają z pokrewnych ambicji. Jedno i drugie jest szaleństwem, chociaż „doświadczenie artysty jest na pozór mniej groźne, mniej szalone". Można by powiedzieć, że artysta związany jest ze swym dziełem w ten sam sposób, w jaki ze śmiercią wiąże się człowiek, który ją uczynił swym celem".

Nie zapuszczajmy się w duszną dżunglę jałowych domysłów i spekulacji. Nigdy chyba nie znajdziemy odpowiedzi na gnębiące nas pytanie. „Ach, ulecz go wielki Boże!" chciałoby się powtórzyć za Kobietą, która tymi słowami kończy akt pierwszy trzeciej części „Dziadów", tak Lechoniowi drogich i bliskich.

II

Rzadko dziś słychać w poezji — śmiech. Tam, gdzie jest śmiech, przeważnie nie ma już poezji, a gdzie jest poezja — nie ma śmiechu. Lecz wielu ludzi jeszcze pamięta czasy, kiedy najlepsi polscy poeci bili śmiechem w ludzką małość, próżność i głupotę. Śmiechem starali się pomniejszyć prawdziwą i urojoną wielkość, śmiechem manifestowali swe patriotyczne i obywatelskie uczucia. I umieli je narzucać swym politycznym przeciwnikom. Śmiechem komentowali poeci nie zawsze śmieszne wydarzenia dziejowe i pseudo-dziejowe, którym nadawali właściwe piętno, ośmieszając ich nazwę. Do tych poetów należał Lechoń. Miał lat osiemnaście, kiedy olśnił wrażliwych na poezję Polaków swoim „Mochnackim" i „Piłsudskim". Mniej więcej w tym samym czasie tworzył arcydzieła poezji satyrycznej, które w roku 1920 ukazały się w niedużym zbiorze pt. „Rzeczpospolita Babińska". Jakże nas dzisiaj rozrzewnia troska i beztroska tych „śpiewów historycznych"! Zabawiał nimi Lechoń publiczność „Królewsko-Polskiego kabaretu" w Warszawie, czasu sielankowej zaiste pierwszej okupacji niemieckiej, Beselera, Wehrmachtu, Rady Regencyjnej, Tymczasowej Rady Stanu. Jakąż uroczą myszką trą-

cą nam dziś sprawy tak pięknie wyszydzane w wierszach i prozie „Facecji Republikańskich" z lat 1918-1920. Jak gdyby upojony samym istnieniem nieraz komicznych, ale polskich władz, dygnitarzy, prawdziwych i fałszywych trybunów ludu, zataczał się młodociany pieśniarz-szyderca, zataczał się od śmiechu i tanecznym krokiem wchodził w życie własne i w życie Ojczyzny budzącej się z niewoli. Żółć jego satyr smakuje dziś jak staropolski miód. I tęsknimy do tych wad, do tych śmiesznostek i próżnostek ludzi, których onego czasu Lechoń kąsał swą satyrą, a nieraz i miażdżył. Już prawie nikt z tych ludzi nie żyje. A niewielu zostawiło po sobie trwalszą pamięć. W zapomnieniu pogrążyły się wyśmiewane w tych wierszach afery. Przebrzmiały plotki i anegdotki o głośnych niegdyś osobistościach. Zwietrzały aluzje do delikatnych i żenujących epizodów prywatnego życia osób, które w latach 1915-1920 grały główne lub podrzędne role na tzw. arenie życia publicznego. Młodszym pokoleniom Polaków w kraju i na emigracji nic chyba nie mówi dzisiaj nazwisko: ks. prałata Chełmickiego (że od duchowieństwa zaczniemy), którego Lechoń w „Rzeczypospolitej Babińskiej" nazywa domorosłym Richelieu, lub nazwisko ks. Gnatowskiego. Kto jeszcze wie, kim był radca Grendyszyński, Radca Stanu August Popławski, p. Leon Goldstand, p. Garlicki, p. Michał Łempicki? Nazwiska innych bardziej znanych postaci z „Rzeczypospolitej Babińskiej" w ciągu dwudziestu lat odrodzonej Rzeczypospolitej zmieniły zabarwienie i brzmienie i, jeśli dzisiaj wspominamy księcia Zdzisława Lubomirskiego lub Janusza Radziwiłła są to już ludzie mało podobni do tych, których wyszydzał osiemnastoletni Lechoń. Sam Lechoń zmienił w późniejszych latach swój stosunek do nich. Wiemy, jak dojrzały Lechoń czcił i uwielbiał Paderewskiego, Or-Ota, premiera Jana Kucharzewskiego, ministra Franciszka Puławskiego, którym w „Rzeczypospolitej Babińskiej" niejedną łatkę przypiął. Ale wiele figur i figurek „Rzeczypospolitej Babińskiej" zawdzięczać będzie swój pośmiertny byt jedynie temu, że Lechoń je umieścił w tej książce. I oto jesteśmy świadkami triumfu poezji nad życiem. Poezji, która ponad śmierć poety i jego postaci potrafi utrwalić istnienie ludzi poza ich życiową czy dziejową aktualnością. Ludzie ci żyją dzisiaj wtórnym życiem, oderwani od przestrzeni, miejsca i czasu, żyją *bezinteresownie* w dziele poety i w naszym śmiechu, który on tym dziełem wywołał. Rzadko nas interesują osoby które w minionych epokach służyły za modele wielkim portrecistom czy karykaturzystom. Tak też z tłumu osób, występujących w „Rzeczypospolitej Babińskiej" większość ma dla nas już tylko wartość modeli. „Rzeczpospolita Babińska" służyć też może za ilustrację do starej, raczej

w języku łacińskim znanej maksymy wielkiego greckiego lekarza Hippokratesa: *Ars longa vita brevis*. Wdzięki i świeżość tych wierszy a także ich nieposkromiona zuchwałość wzięły się stąd, że Lechoń, pisząc te satyry, nie był jeszcze skrępowany osobistymi stosunkami z ludźmi, których ośmieszył. W latach 1917-1920 z nieokiełznaną swobodą, niekiedy niesprawiedliwie „przejeżdżał się" po ludziach, z którymi w późniejszym życiu przyjaźnił się, lub których z różnych względów musiał szanować, a w każdym razie nie mógł ich tykać. Ponadto cały humor i gryzącą ironię „Rzeczypospolitej Babińskiej" przenika przyrodzone fizjologiczne ciepło młodości i zadowolenie z życia. Czuć w tych wierszach jeszcze daleki dystans, dzielący autora od śmierci. Pisał je wolny Polak, mimo wyraźnych uprzedzeń i stronniczości nie zaangażowany w żadnych „orientacjach politycznych", które w czasie pierwszej wojny światowej dzieliły naród polski na dwa zwalczające się obozy. Pisał je poeta sercem, które umiało i miłować i gryźć. Poeta, dla którego zarówno tradycja romantyczna jak i tradycja epoki Stanisławowskiej były — tradycją rodzinną. Lechoń to ostatni familiant Trójcy Romantycznej, ale i Trembeckiego i Zabłockiego. W naszej emigracji, której wymiarów nie podejmuję się określać, był on jakby emisariuszem tamtej, wielkiej Emigracji. Dla jego doczesnych szczątków najodpowiedniejszy byłby cmentarz w Montmorency, o czym sam nieraz wspominał.

W miarę gdy autor „Rzeczypospolitej Babińskiej" i współtwórca „Szopek Pikadora" wchodził w życie publiczne i sam stawał się postacią, o której wiele mówiono i pisano, gdy z setkami mniej lub więcej ważnych osobistości wypijał bruderszafty, znikał śmiech z jego pism, aż całkiem zniknął. Przynajmniej z tych pism, które ogłaszał. Z tym większą, niekiedy z demoniczną siłą wybuchał śmiech Lechonia w życiu. Napełniał salony ambasad, gabinety ministrów, huczał w restauracjach, w kawiarniach, w lożach i za kulisami teatrów i teatrzyków, odzywał się na salach odczytowych, na wernisażach, śród przyjaciół i nieprzyjaciół. Rozbrzmiewał na wszystkich smutnych i nie tak bardzo smutnych postojach naszego wygnania i nieraz nam to wygnanie umilał. Ale też coraz częściej śmiech Lechonia bywał zaprzeczeniem jego smutnej twarzy i oczu pełnych przerażenia. Niekiedy czuło się, że jakaś niewidzialna siła go gnębi, zniewala, bo nagle Lechoń przestawał się śmiać, posępniał, boleśnie zacinał usta i był już o tysiąc mil oddalony od człowieka, przy którym stał. Jakiś wewnętrzny żandarm przywoływał go do śmiertelnej powagi.

Wielu ludzi, znających Lechonia osobiście, nie znało ani „Karmazynowego Poematu", ani „Srebrnych i Czarnych", ani szyder-

czych satyr „Rzeczypospolitej Babińskiej", ani tych ostatnich wierszy, w których pił bruderszaft z śmiercią. Ale wszyscy, którzy z nim się zetknęli, nawet tacy, którzy na to nie zasłużyli, dobrze znali jego wielki huczący, bezlitosny śmiech. Będzie on jeszcze długo odzywał się w naszych uszach. Aż Anioł śmiechu na zawsze opuści nasze pokolenie.

1956-1957

O MAGII

Niebezpieczne bywają w latach dojrzałych spotkania z miłością lat młodych. Przed pierwszą wojną, jeszcze jako gimnazjalista, ubóstwiałem Wyspiańskiego. Zwłaszcza jego wielkie misteria narodowe: „Legion", „Noc listopadową", „Wyzwolenie", „Akropolis".

Wiosną 1912 czy też 1913 roku zjechał do Lwowa na gościnne występy krakowski Teatr Miejski pod dyrekcją Ludwika Solskiego. Było to naprawdę „święto wiosny", teatralne *sacre du printemps*. Wystawił wtedy Solski z wielkim przepychem również i „Legion", ze sobą w roli Mickiewicza. Wrażenie jakie odniosłem z tego widowiska było oszałamiające jak pierwsza miłość. Pamięć tego upojenia jeszcze dziś trwa we mnie w swej dziewiczej świeżości. Nie zdołały jej zniweczyć ani lata wojny, ani głębsze przeżycia artystyczne, ani nawet przedstawienie „Legionu" w Teatrze Narodowym w Warszawie, w 1934 lub 1935 roku. Bardzo żałowałem, że poszedłem na ów spektakl. Ten sam „Legion", raczej poprawnie odegrany w stolicy Polski, już oswojonej z swoją niepodległością, Polski pełnej arcypowszednich trosk, bolączek i walk, wypadł blado, anemicznie i nie wydzielał już fluidów, którymi odurzał naszą wyobraźnię przed rokiem 1914. I dziwiłem się jak mogłem kochać się tak długo i namiętnie w tej uroczystej, lecz bezkrwistej panoramie, gdzie ludzie, znani z historii i z literatury, pojawiali się po to, aby wyrażać dziś już nieco przebrzmiałe idee, a nie samych siebie. Idee często mrą szybciej niż ludzie, którzy je tworzą, czy wyznają. A jednak jeszcze nieraz przechodzą mnie przyjemne ciarki na wspomnienie Mickiewicza-Solskiego z tamtego, krakowskiego „Legionu". Niewątpliwie wrażenia (zwłaszcza odniesione w młodych latach, żyją własnym życiem, niezależnym od pobudek, które je wywołały. Słyszę jeszcze nosowy głos Solskiego, który stoi na kamiennych (z tektury) ławach pustego, światłem sztucznego księżyca zala-

nego Colosseum w Rzymie i dźwięcznym wierszem polemizuje z Zygmuntem Krasińskim na patetycznie polityczne tematy. Obaj romantycy stoją zatuleni w tzw. płaszcze pielgrzymie. Po dziś dzień zachowałem w sobie wizję Rzymu, jaką z pomocą dekoratora ówczesnej sceny krakowskiej (byłże to niezrównany Karol Frycz?) wywołał magik a raczej mag Wyspiański. I widzę wnętrze bazyliki św. Piotra, galerię biegnącą dokoła jej kopuły, widzę stance watykańskie z wiernie odtworzonymi freskami Rafaela. Słyszę chóry pielgrzymów, legionistów, skandujące wiersze w głębi bazyliki i słyszę rozśpiewane bóstwa pogańskie, boginki, litewskie Świtezianki, które pod wodzą Guślarza z „Dziadów" przywlokły się tutaj, aby odstraszyć Mickiewicza od ryzykownej krucjaty na cara. Obsiadły te zjawy galerię kopuły św. Piotra, głosami szczęśliwej, balladowej, kowieńskiej młodości starają się przekonać Mickiewicza o szaleństwie jego zamiarów. Niech wraca do nich, do świata „Ballad i Romansów", do świata „Grażyny", zamiast prowadzić peleryniarzy i głodomorów z pobłogosławioną przez papieża motyką na carskie słońce. Ale on, „szaleństwem Krzyża szalony" nie słucha tych głosów w kopule bazyliki czy w własnej piersi, mimo że sam król Mendog wśród trzasku i blasku piorunów wjeżdża konno przez kolorowe okna kopuły. Z dołu, z głębi bazyliki płynie pod strop spokojny, nosowy głos Solskiego, który ślubuje „walkę za wolność, za wolność ludów". Naraz zaczynają bić dzwony, w momencie największego nasilenia efektów dźwiękowych i malarskich zagłuszają całą tę wstrząsającą scenę. Dziś jeszcze słyszę granie tych dzwonów i czuję wonny dym kadzideł, którym reżyser Solski napełnił cały teatr zanim kurtyna Siemiradzkiego zakryła tę genialnie zobrazowaną walkę w duszy Mickiewicza. Nie mogę też zapomnieć sceny w Watykanie gdy w czasie audiencji cara Mikołaja I zjawia się przed tronem papieża — Matka Makryna Mieczysławska. Na jej widok car ucieka w panice przez całą olbrzymią amfiladę watykańskiej stancy. Jeszcze mam w uszach tupot jego wysokich lakierowanych butów. Wzruszenia, wywołanego tą sceną nie zdołały zniweczyć późniejsze, bardzo przykre rewelacje o istotnej roli Makryny Mieczysławskiej. Wiele lat po tym niezapomnianym widowisku widziałem prawdziwy Rzym, bazylikę św. Piotra i Watykan. Skonfrontowawszy ten Rzym z wizją, jaką mi narzucił Wyspiański, gdy byłem młodym chłopcem, doznałem rozczarowania. Prawdziwy Rzym wydał mi się za mało monumentalny i za mało kolorowy. Ale po co zaraz Rzym? Nawet Kraków mnie rozczarował, po tym wszystkim, co wiedziałem o nim dzięki Wyspiańskiemu. Bo tak się złożyło, że najpierw czytałem obu „Bolesławów Śmiałych", „Skałkę", „Wyzwolenie" i „Akropo-

lis", a potem dopiero byłem pierwszy raz w Krakowie. Prawdziwa Wisła, szara i uboga, wcale nie przypominała homerowej rzeki Skamander. Daremnie też szukałem na Wawelu skajskiej czy też jak chce Wyspiański „skejskiej" Bramy. Wawel, owszem, był wspaniały, ale cóż to za Akropol, po którym chodzą austriaccy kaprale. Tylko witraże w kościele Franciszkanów wywołały w rzeczywistości potężniejsze wrażenie niż na reprodukcjach, zwłaszcza Bóg-Ojciec. Tego „Boga-Ojca" spotykałem później w kawiarni Bizanca i w „Esplanadzie". W rogatywce na białych, wspaniałych kudłach, z długą śnieżną brodą chodził między stolikami i dzwoniąc puszką zbierał na jakieś patriotyczne cele. Zdaje mi się, że nazywał się Rogalski.

Magia. Oto jest właściwe określenie tego wszystkiego, co z nami wyrabiał Wyspiański. Bo poezją w dzisiejszym znaczeniu tego słowa dramaty jego chyba nie są. Czytając je, zwłaszcza z dala od Polski odnosimy wrażenie, że są to *libretta,* jakichś monumentalnych oper. A czym w operze jest orkiestra, śpiew i balet tym u Wyspiańskiego jest żywe słowo, gest, ruch, kostiumy i dekoracje. Arie, recytatywy, partie zespołowe żyją w operach Wyspiańskiego dopiero wówczas, gdy się je słyszy na scenie. Samo słowo tego poety, oderwane od sceny i ruchu, wyprute z obrazu, sam jego wiersz często zabija magię. Niekiedy brzmi pusto. U innego poety byłby nie do zniesienia; tyle w nim chropowatości i nieporadności. Można też zaryzykować twierdzenie, że teksty dramatyczne Wyspiańskiego — to *libretta wizji.* Wyspiański, wizjoner i mag, jest zjawiskiem jednorazowym. Trudno go naśladować. Niemal wszyscy jego uczniowie, z wyjątkiem może Ludwika Hieronima Morstina, autora zachwycających „Lilii" ponieśli klęskę tam, gdzie nie umieli wyzwolić się od tyranii języka, strofiki i metaforyki swojego mistrza. A zwłaszcza — od jego patosu.

Warto pomedytować nad tym, czym jest patos w poezji, osobliwie w poezji o zabarwieniu patriotycznym. Jest że on jedynie wytworem samego poety, czy też i atmosfery, która mu poddała ton? Na patos poety, poruszającego w swych utworach zagadnienia o powszechnej, narodowej czy też „ogólnoludzkiej" doniosłości zawsze niemal wpływa dynamika uczuć i pragnień współczesnej mu publiki. Jako Polacy, zbyt drastycznie przekonaliśmy się, jak bardzo zabarwienie uczuciowe i nasilenie patetycznych słów zmienia się zależnie od dziejowych wydarzeń. Takich słów np. jak czyn, sprawa, wolność, wawelski dwór, od których roi się poezja Wyspiańskiego. Znamy tę poezję w trzech okresach naszych dziejów:

1. w okresie niewoli politycznej przed rokiem 1914;
2. w okresie niepodległości lat 1918-1939;
3. w okresie obecnym, po roku 1945.

W latach 1918-1939 już nie trzęsły nami dreszcze ani na „Weselu" ani na „Wyzwoleniu". Nikt już w tych latach nie płakał na widok Wernyhory ze złotym rogiem. Patos tej matejkowskiej postaci ulotnił się z naszej wrażliwości. Prorok-Wyspiański stał się tragikiem historycznym, i to nie tylko w utworach o tematach zaczerpniętych z dziejów dawnej Polski, przede wszystkim właśnie w utworach współczesnych, jak „Wesele" i „Wyzwolenie". Mniej więcej wszystko, co tak patetycznie przepowiadał i o co walczył, spełniło się za naszego życia. Takie postacie, jak np. Konrad z „Wyzwolenia" czy Mickiewicz z „Legionu" nabierają poetyckiego życia dopiero wówczas, gdy Polska traci niepodległość. Kiedy ją odzyskuje i tworzy własne państwo z własną policją i wojskiem, wiele z szamańskich zaklęć, symbolów i alegorii, którymi Wyspiański tak znakomicie umiał operować, traci swój właściwy sens i siłę atrakcyjną. Nie tylko symbole i zjawy z „Wesela", ale i zwyczajne ziemskie postacie, jak np. Dziennikarz lub Poeta były już niezrozumiałe dla pokolenia, wychowanego w niepodległej Polsce. O wiele łatwiej mogła ta młodzież zrozumieć „Bolesława Śmiałego" niż „Wesele". Patos tych oper narodowych, a nawet najpiękniejszej z nich „Nocy Listopadowej" opierał się w Polsce przed rokiem 1914 na marzeniu o sprawach, za które trzeba było umierać. Ten patos wyparował niemal całkowicie, gdy wiele tysięcy Polaków za te sprawy dało życie, a zamiast chłopów z kosami na sztorc, gromadzili się na Błoniach i maszerowali w kierunku „wawelskiego dworu" prawdziwi piechurzy Wojska Polskiego. Maszerowali nie w takt magicznej melodii złotego rogu, lecz innych bardziej frywolnych śpiewanek.

Niepodległość Polski, państwo polskie, były dla wizjonera Wyspiańskiego nie tylko szczytem, ale i kresem marzeń. I chyba nie ja jeden zastanawiałem się nad tym, jakby pisał Wyspiański, gdyby żył z nami po roku 1919.

Powiedzieliśmy, że jego poezja bez teatru, bez deklamacji, bez dekoracji i kostiumów właściwie nie jest poezją. Już sam język tych wierszy, dziwaczna kombinacja literackiej staropolszczyzny z potoczną współczesną gwarą podkrakowskich chłopów czy podhalańskich górali jest unikatem na całym obszarze piśmiennictwa polskiego. Językiem tym w utworach Wyspiańskiego posługują się nie tylko chłopi, ale i królowie i postacie z greckiej mitologii. Mówi nim również tzw. inteligencja, która w rzeczy-

wistości używała całkiem innego języka. Wyspiański pisał niemal wyłącznie wierszem. Z wyjątkiem kilku artykułów, książki o „Hamlecie" oraz nielicznych miejsc w dramatach wszędzie posługiwał się mową wiązaną i uroczystą. Wiersz jego jest obrzędowy, kantyczkowo-śpiewny. Wywołuje na scenie nastrój sakralny, chociażby akcja toczyła się w karczmie („Sędziowie"). Nie wiele też u Wyspiańskiego znajdziemy strof, które nie byłyby stylizacją czy to na archaizm czy to na ludowość. Nadmiar wzniosłych ogólników niejednokrotnie zadaje bolesny gwałt samej istocie poezji. Szkodzi też akcji dramatów. Umie jednak Wyspiański nadmiar patosu czy pompy równoważyć humorem, a wtedy, jak np. w niektórych scenach „Wesela", osiąga nadzwyczajne efekty. Wyspiański zlekceważył wszystkie uznane dyscypliny, pogwałcił nawet gramatykę i pisownię. Poezja jego urąga każdej z istniejących poetyk. Stworzył własną poetykę, ale biada tym, którzy chcieliby z niej korzystać. Wszystkie środki poetyckiego wyrazu wymyślił wyłącznie na własny użytek. A jak bardzo mowa Wyspiańskiego stanowi rekwizyt sceniczny i, oderwana od obrazu scenicznego traci siłę, o tym można się przekonać, czytając jego nieliczne liryki. Niektóre z nich są naprawdę przejmujące np. „Wesoły jestem, wesoły...". Jest w nich duży ładunek emocjonalny, jest tragiczna gorycz, jest świadomość osamotnienia w obliczu zbliżającej się śmierci. Ale słownictwo tych wierszy jest na ogół ubogie, a już bezduszne bywa tam, gdzie autorowi szczególnie zależy na wzniosłości. Przykładem słynna parafraza hymnu „Veni Creator". Już sam tytuł tego utworu, drukowany w całości dużymi literami, osłabia to, co po nim następuje i gasi jego szlachetną intencję. Święte czy tylko wzniosłe tematy nie muszą być wyrażane przy pomocy wzniosłych słów. Niestety u Wyspiańskiego nadmiar takich słów nazbyt często zabija nie tylko wzniosłość, ale w ogóle poezję. A oto ów pretensjonalny tytuł parafrazy „Veni Creator", liczącej zaledwie dwadzieścia cztery wierszy:

H Y M N
VENI CREATOR
DUCHA ŚWIĘTEGO WEZWANIE
NARODU ŚPIEW
CZYLI
W SEJMOWYM KOLE
W ŚWIĄTYNI ŚWIĘTYCH
W KATEDRZE
W GROMADZIE GMINY

W ZBORZE PRACUJĄCYCH
W HUFIE ŻOŁNIERZY
W POLU NA ROLI
W DOMIE
W ZAGRODZIE RĘKODZIELNIKA
WE DWORZE W PAŁACU W ZAMKU
W CHAT OKOLU
JAK RZEK STRUMIENIE
OD POMNIKÓW GÓR
PO WÓD ROZTOCZE
WE WICHRZE W PROMIENIU W GROMIE
W ORCE
PRZY ZIAREN SIEJBIE
JAK MOWA SIĘGA
O R Ę D Z I E

Po takiej zapowiedzi następuje sam utwór, złożony z samych wielkich słów, mogących znaczyć wszystko, lub nic. Strofy aż zadziwiają niedźwięczną tonacją, ubóstwem plastyki i wyobraźni u tak wybitnego plastyka jakim był ich autor. I śmiem twierdzić, że w tym „VENI CREATOR" mniej jest poezji niż np. w „Accroupissements" Rimbauda, chociaż temat rimbaudowskiego utworu daleki jest od poetyczności.

Oczywiście magia Wyspiańskiego, jak magia każdego poety zależy również od przyrodzonych, lub też — skoro to jest magia — od nadprzyrodzonych elementów polskiego języka i wiersza. Dowodzi tego fakt, że dramaty Wyspiańskiego nawet w najlepszych tłumaczeniach i wystawione na najlepszej, ale nie-polskiej scenie zatracają swą barwę, tonację, a nawet swój sens. Dla cudzoziemców niewtajemniczonych w naszą tradycję czy w naszą uczuciową mitologię, magia Wyspiańskiego staje się niezrozumiała i śmieszy tam, gdzie nas wzrusza do łez. Byliśmy świadkami takiego nieporozumienia. W październiku 1939 r. paryska „Comédie Française" uczciła wrześniową klęskę Polski porankiem literacko-artystycznym, na którym artyści tej dostojnej sceny odegrali „Warszawiankę" oraz fragment „Nocy listopadowej": pożegnanie Kory i Demeter. Robili, co tylko leżało w ich niebyle jakiej mocy, przekład prozą Paula Cazina był doskonały, a jednak, wbrew temu, co tak pięknie opisała Maria Kuncewiczowa w swych „Kluczach" wydaje mi się, że obecna na tym poranku publiczność paryska wraz z płaczącym prezydentem Lebrunem, nie wiele rozumiała z tego, na co patrzyła. Zwłaszcza scena z „Nocy listopadowej", wykonana z muzyką i trochę w stylu baletów Délibesa straciła czar i sens w oderwaniu od poprze-

dzającej ją sceny z powstańcami pod Belwederem. Patrzyli na nią Francuzi jak na jeszcze jedną, sceniczną wersję mitu o Demeterze, o porach roku, jak na ciekawie uscenizowane echo misteriów eleuzyjskich. W tych latach wykonano w Paryżu doskonały melodramat Strawińskiego „Persephone", do którego André Gide napisał wierszowany tekst. Pewno Francuzi myśleli, że „Noc listopadowa" jest taką „Persefoną" *à la polonaise*.

Jedynie świeża aura polskiej żałoby narodowej, spotęgowana muzyką Chopina, (Alfred Cortot wspaniale zagrał sonatę B-moll) mogła Francuzom podsunąć domysł, że w fragmencie Wyspiańskiego są ukryte jakieś aluzje do tego, co niedawno stało się w Polsce.

Wciąż mówimy o magii. Cóż to jest magia? Jest to wprowadzenie ludzi w stan zadziwienia, przerażenia, zachwycenia, przy pomocy środków, których ci ludzie nie mogą pojąć tak zwanym zdrowym rozsądkiem. Jest to oddziaływanie na wyobraźnię i wrażliwość wbrew temu, co przywykliśmy nazywać naturą. Magia — to zaklinanie duchów, to wywoływanie umarłych z zaświatów. To przekreślanie wszelkich prawideł czasu i przestrzeni. Szekspir też uprawiał magię, też sprowadzał na ziemię duchy i duszki, dobrotliwe baśniowe sylfy, ale i złe demony i furie, czyhające na ludzką zgubę. W przeciwieństwie jednak do Wyspiańskiego był Szekspir przede wszystkim poetą, a dopiero potem magiem. Słowo Szekspira, jego wiersz, metafora i obraz mają własną moc, pełną wymowy i doskonałą urodę. Są autonomiczne, mogą się obejść bez sceny. Nawet w czytaniu dają całkowitą wizję jego światów. Żaden utwór sceniczny Szekspira nie jest librettem jego wizji. U Wyspiańskiego, powtarzamy, poezja jest tylko jednym z licznych rekwizytów jego magii.

Wybitny poeta Wystan Hugh Auden (ten sam, który, nie znając języka polskiego, pięknie przełożył na angielski „Romantyczność" Mickiewicza), ogłosił niedawno ciekawe studium pt. „The Dyer's Hand: Poetry and the Poetic Process". Zmusza on tam Poetę (poetę w ogólności, a nie jakąś określoną osobistość), do odpowiedzi na różne pytania. M. in. na takie:

Czy wierzysz w Boga?

Poeta odpowiada: „nie wiem, co rozumiesz przez słowo — wierzyć? Dla mnie Bogiem jest każda potęga, będąca w przeciwieństwie do człowieka — nieśmiertelna i mogąca czynić, co jej się żywnie podoba. Wystarczy, bym użył tylko moich pięciu zmysłów, a przekonam się o istnieniu mnóstwa takich bogów i bogiń, a także o tym, że powodzenie człowieka w życiu zależy

od zjednywania ich łask i od wystrzegania się, aby ich nie urazić". Na pytanie: „czy sądzisz, że możesz wpłynąć na postępowanie bogów pisząc poezje?" — poeta odpowiada:

„Moi przodkowie byli magami i wierzyli, że poezja posiada tę moc. Po dziś dzień stare baby na wsi, oparzywszy sobie palec, zażegnywują to oparzenie takim czarodziejskim wierszykiem:

Z Północy przylecieli
Dwaj anieli:
Jeden był Ogień a drugi był Mróz.
Ogniu idź precz! Przybywaj Mrozie,
W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego!".

„Ale ja osobiście — powiada ów abstrakcyjny poeta — nie sądzę, żeby poezja była tego rodzaju magią".

Nam się natomiast wydaje, że poezja Wyspiańskiego była po trosze magią tego właśnie rodzaju. Była na poły pogańskim zamawianiem żywiołów, urzekaniem czy też odżegnywaniem demonów — w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

1957

JESZCZE O „DOKTORZE ŻIWAGO"

Siła atrakcyjna powieści Borysa Pasternaka „Doktor Żiwago" płynie z dwóch prastarych źródeł natchnienia, które od dawna już zdawały się być wyczerpane. Źródłami tymi są — wiara i miłość. Miłość człowieka, którego grzechy odkupił Ukrzyżowany. Na tle dzisiejszej beletrystyki, czerpiącej swą żywotność z całkiem odmiennych, nie rzadko zatrutych źródeł, dzieło Pasternaka odbija jako zjawisko niepospolite. Właśnie dzięki pozornemu czy też rzeczywistemu anachronizmowi postawy autora wobec tragedii człowieka. A także dzięki staromodnej, dziewiętnastowiecznej technice powieściowej. Pasternak jak gdyby zlekceważył wszystkie ultranowoczesne chwyty i środki ekspresji. Zadziwia to szczególnie u pisarza, który uchodzi za nowatora w poezji. Możemy dodać jeszcze i trzecie źródło, z którego bije moc twórcza jego powieści: to utajona w nich nadzieja. Czytelnik modnych dziś utworów literackich pogodził się już z ich beznadziejną tonacją i beznadziejną tematyką. Co prawda w ojczyźnie Pasternaka, w tej gigantycznej pepinierze urzędowego optymizmu, wyhodowano na nawozie prawdziwej krwi i kości człowieka — sztuczny kwiat nadziei na tak zwane lepsze jutro ludzkości. Nadzieja ta przez długie lata obowiązywała i, zdaje się, wciąż jeszcze obowiązuje pisarzy sowieckich, paraliżując rodowy niejako przywilej każdego twórcy: przywilej niezadowolenia, protestu i buntu.

Nadzieja Pasternaka jest innego typu. Zasadza się na dobrowolnej ofierze człowieka i podlega nieustannej konfrontacji wysiłków ludzkich z tym, co nazywamy moralnością chrześcijańską. Jak słusznie zauważył krytyk amerykański, Edmund Wilson (który sam deklaruje się jako nie wierzący), motywem przewodnim w „Doktorze Żiwago" jest *zmartwychwstanie*. Kto wierzy w zmartwychwstanie, dla tego całe życie ludzkie posiada wartość nadprzyrodzoną. Oczywiście taka postawa przekreśla marksizm, który, jak powiada Wilson: „odsuwa fundamentalną

prawdę chrześcijaństwa, że jednostką życia jest indywiduum. Ale ani doktor Żiwago ani Borys Pasternak nie są katolikami. To ludzie najgłębiej prawosławni. Słusznie powiada też Wilson, że autor „Doktora Żiwago" nigdy nie odstępuje od chrześcijańskiego ideału, nakazującego traktować serio każde indywiduum jako duszę, która musi być uszanowana". Dodajmy od siebie, że zarówno w tej głośnej powieści jak i w mniej znanych wierszach Pasternaka bardzo często powtarza się słowo: nieśmiertelność. Bez nieśmiertelności ludzkie życie, tak jak je Pasternak pojmuje, byłoby absurdem. Jedną z najświetniejszych postaci w „Doktorze Żiwago" jest wuj głównego bohatera, Mikołaj Mikołajowicz Wedeniapin. Znawcy życia umysłowego w Rosji na przełomie epoki carskiej i rewolucyjnej upatrują w tej postaci — znakomitego filozofa chrześcijańskiego Mikołaja Berdiajewa. Otóż ten wuj już w jednym z wstępnych rozdziałów powieści występuje przeciw stadnemu życiu człowieka i stawia patetyczne pytanie: „Ileż to spraw na tym świecie zasługuje na naszą lojalność? Myślę, że człowiek winien być lojalny wobec nieśmiertelności. A słowo, nieśmiertelny jest wzmocnionym synonimem słowa: życie. Człowiek winien być wierny nieśmiertelności, wierny Chrystusowi".

Oto cała filozofia Pasternaka, wyłożona bez żadnego mędrkowania, „po prostu a z krzykiem". Doktor Jurij Andrejewicz Żiwago ginie na moskiewskim bruku. Zginąć musi, gdyż nie ma dlań miejsca na nieludzkiej bezbożnej ziemi. Ale idea jego przezwycięża śmierć i żyje w każdym czytelniku tej pasjonującej powieści.

Powiedzieliśmy, że jednym ze źródeł natchnienia Pasternaka jest miłość. Nie tylko miłość w sensie chrześcijańskim. Nawet zwyczajna, ziemska i grzeszna miłość Doktora Żiwago do Larissy Guichard Antypowej jest rzadkim zjawiskiem w literaturze naszych czasów, w której pełno jest sexu, zboczeń, schorzeń, pełno zezwierzęcenia, a o tzw. sercu nie ma mowy. Bohaterowie wielu głośnych dziś powieści nie są nawet kochankami. Są to kliniczne okazy zwyrodnienia. Twórcy takich postaci starają się nam udowodnić, że nie wiele różnimy się od zwierząt. Znużyły już nas te wyrafinowane pokazy naszego upadku. I dlatego pozornie anachroniczna powieść wielkiego rosyjskiego poety, tak bardzo przywiązanego do swojej ojczyzny, podziałała ożywczo nawet na ludzi, żyjących w wolnym świecie. W dziele Pasternaka zachwyca też delikatność w ujmowaniu najdrażliwszych spraw. Ciężko przeżywa doktor Żiwago zdradę, jakiej dopuścił się wobec żony. Przypomniano nam tutaj, że jeszcze nie umarło w człowieku coś, co ma nazwę sumienia. Uderza również w powieści Pasternaka

sympatia, jaką autor darzy nawet niesympatycznych ludzi. Na przykład tragicznego męża Larissy. Jest to rewolucjonista Antypow, który pod pseudonimem Strelnikowa morduje masowo przeciwników bolszewizmu. Potem, gdy grozi mu śmierć z wyroku własnych towarzyszy, Antypow odbiera sobie życie. Oto jak Pasternak charakteryzuje tego fanatyka rewolucji, fachowca od walk partyzanckich, który wcale nie jest komunistą: „Gdyby rzeczywiście chciał czynić dobrze, musiałby obok zasad posiadać jeszcze serce, zdolne do gwałcenia tych zasad". Co za piękny anachronizm! Albo charakterystyka innego mordercy, tym razem ciemnego chłopa Pamfila Pałyka: „brak człowieczeństwa w takich ludziach był przedstawiony jako cud świadomości klasowej, ich barbarzyństwo stawiano jako przykład proletariackiej niezłomności i rewolucyjnego instynktu". W tych słowach jest potępienie. Ale nawet Pamfilowi Pałykowi rzecznik Pasternaka, Żiwago, okazuje serce, gdy Pamfil do tego serca apeluje.

Na wielu stronicach tej patetycznej powieści o Rosji, na przestrzeni czterdziestu lat, rozlany jest najczystszy liryzm, który nie wstydzi się roztkliwiać słowiczym śpiewem. Najtragiczniejsze sceny wkomponował autor w liryczne pejzaże, np. scenę rozstrzeliwania zdradzieckich partyzantów dał po opisie krzaku jarzębiny, na którym siedzą ptaki o malowniczych nazwach i malowniczym upierzeniu. Czystość intencji czy też tendencji Pasternaka przenika do jego mowy, która jest prosta, krystalicznie przejrzysta i żywa jak górski strumień. Wystrzega się ta mowa abstrakcji i dwuznaczności wszędzie, gdzie może być jednoznaczna i obrazowa. Triumfem poety jest to, że umiał przemówić do nas bezpośrednio, umiał ukazać dolę człowieka na nieszczęsnej ziemi tak, jak to czynili dawniej wielcy, cierpliwi epicy. W „Doktorze Żiwago" słyszymy nie tylko śpiew słowiczy. W opuszczonym po rewolucji folwarku Warykino, w domu zagubionym w głębi syberyjskiej tajgi, lekarz i poeta Żiwago mieszka wraz z żoną Strelnikowa i jej córeczką z małżeństwa z Strelnikowem — Kateńką. Jest to może najpiękniejszy okres w jego burzliwym życiu, które niebawem się skończy. Nocami pisze Żiwago wstrząsająco piękne wiersze, przeważnie na tematy religijne, związane z życiem, śmiercią i zmartwychwstaniem Chrystusa. Tych dwadzieścia pięć utworów poetyckich wypełnia ostatni po Epilogu rozdział powieści. Jest sroga zima. Wilki podchodzą pod dom, gdzie Żiwago pisze nocami wiersze. Wycie wilków przerywa ciszę zimowej nocy. Być może, że to wycie nie jest wprowadzone do powieści bez symboliki. Coś w nas wszystkich wyje po nocach i wilczymi ślepiami straszy w ciemnościach.

1958

O „PRÓBIE AUTOBIOGRAFII" PASTERNAKA

Pisać o własnym życiu — doprawdy, nie jest to łatwe zadanie. Ani — wdzięczne. Bo jak znaleźć dystans do własnej osoby? Z której strony ją obejść? Czytałem wiele autobiografii. Znam takie, gdzie autorowie mówią o sobie gorzkie prawdy, a mówią to z delektacją, godną lepszej sprawy. Znam i takie, w których autorowie mizdrzą się do współczesnych czytelników lub do potomności. Żałosny to widok. Są autobiografowie, którzy chcą nas zawojować swą nadzwyczajnością, wszystko jedno jaką, niezwykłymi cnotami lub grzechami. Równie żałosny to widok. Oczywiście o wartości autobiografii nie zawsze rozstrzyga osoba piszącego. Jeśli tą osobą jest słynny mąż stanu lub gwiazda filmowa, „żywot własny" tej osoby czyta się jako sensacyjne dopełnienie znanej nam skądinąd kariery, ciągu triumfów lub porażek. W tym wypadku odpada w ogóle zagadnienie prawdomówności. Choćby, zdegradowany przez tzw. historię, tę rzekomo najwyższą instancję, generał czy polityk zapewniał nas o słuszności tego, co zdziałał, zawsze będziemy odnosili się podejrzliwie do jego słów, choćby dlatego, że są to jego słowa. Nikt nie może być jednocześnie bóstwem i własnym apostołem. W dzisiejszych czasach przeważają dzieła autobiograficzne, z których wynika, że ich twórcy uważają sam fakt swego życia za dostateczny powód do pisania o sobie. Jeśli taki autobiograf potrafi być szczery, otrzymujemy niekiedy ciekawy dokument ludzkiej pychy lub miłości własnej.

Całkiem inaczej patrzymy na autobiografie ludzi, którym zawdzięczamy wybitne dzieła sztuki. Choćby i kłamali, zawsze znajdziemy w ich relacjach coś wartościowego i pouczającego. Gdyby Goethe nic innego nie napisał prócz swej, mocno kolorowanej, autobiografii „Aus meinem Leben. Dichtung und Wahrheit", pozostawiłby po sobie dzieło nietuzinkowe. Ale na

tle tak bogatej twórczości Goethego jest to tylko cenny do niej komentarz.

Znakomita część nowoczesnej beletrystyki ma charakter autobiograficzny. Choćby wielkie dzieło Prousta lub powieści tak dziś modnego Kafki. Może być też autobiografia zamaskowana i ukazująca postać centralną w kilku wariantach. Do mistrzowskich autobiografów tego typu należał Stendhal. Jest on obecny nawet w „Czerwonym i czarnym" i w „Pustelni parmeńskiej" i w „Lamiel", nie mówiąc już o takich dziełach jak „Życie Henryka Brulard". Najwartościowsze są chyba autobiografie „ideowe", w których pisarze zlekceważyli materiał anegdotyczny, aby dać swój portret „wewnętrzny", portret, jeśli tak wyrazić się można, ruchomy, na tle zmiennych krajobrazów.

Powyższe uwagi nasunęły mi się przy czytaniu francuskiego przekładu niedużej książki Pasternaka pt. „Próba autobiografii". Książka ta powstała w końcowej fazie pisania „Doktora Żiwago" i była pomyślana jako przedmowa do zbioru najwcześniejszych wierszy Pasternaka. Publikację tego zbioru zapowiedziano w Rosji w roku 1956. Nie umiem powiedzieć czy ten zbiór ukazał się. Układ tej książki tłumaczy się po części jej pierwotnym przeznaczeniem. Najważniejsze jej rozdziały obejmują: dzieciństwo i młodość autora, który urodził się w Moskwie w r. 1890. Bardzo sugestywnie opisał tu Pasternak okoliczności zewnętrzne i wewnętrzne, w jakich formowały się jego talenty. Powiadam: talenty, gdyż powołaniem późniejszego twórcy „Doktora Żiwago" była najpierw muzyka, a później, znacznie później dopiero — poezja. Zaczął ją Pasternak uprawiać w przede dniu pierwszej wojny światowej, już jako człowiek dorosły. Decydującą rolę odegrał tu Sergiusz Mikołajewicz Durylin, pisujący pod pseudonimem Sergiusza Rajewskiego. On to odstręczył Pasternaka od komponowania. Dokładnie opisuje Pasternak jak to się stało, że porzucił muzykę i przestał komponować, a nie byle kto patronował temu komponowaniu, bo sam Skriabin. Rozdział poświęcony Skriabinowi należy do najpiękniejszych w tej pięknej książce. Kto by w niej szukał pikantnych historyjek, grubo zawiedzie się. Jest to bowiem kronika rozwoju artysty, a nie — awanturnika. Nawet nie awanturnika w głębszym znaczeniu tego słowa, jeśli dopuścimy, że przeżycia duchowe też należą do przygód. Z rzadko spotykanym umiarem potrafił nam Pasternak przekazać obiektywne znaczenie wszystkiego, co zaważyło na jego artystycznym rozwoju. Porzucił komponowanie, gdyż, jak powiada, „zmusiła go do tego nieznośna, młodzieńcza arogancja, nakazująca gardzić wszystkim, co można osiągnąć pracą i wysiłkiem".

Nie znam wcześniejszej pracy autobiograficznej Pasternaka

pt. „Glejt", którą, jak powiada „zepsuła niepotrzebna afektacja, grzech pospolity owej epoki". W „Próbie autobiografii" nie znajdujemy słów uznania dla własnych dokonań poety. Uderza w niej obok surowości, wielka godność i skromność i ta niezwykle szlachetna tonacja, która pozwoliła czytelnikom „Doktora Żiwago" zamknąć oczy na niedociągnięcia tej powieści, a dać się porwać jej treścią i czymś, co bym nazwał jej muzyką. Zdawałoby się, że w takiej książce jak „Próba autobiografii" wolno pisarzowi wysunąć na pierwszy plan własną osobę. Tymczasem widzimy, że własne życie służy Pasternakowi jedynie za pretekst do zaznajomienia nas z innymi, bardzo wybitnymi ludźmi, z którymi się zetknął i którzy odegrali jakąś rolę w jego rozwoju. Np. Tołstoj, Skriabin, Rilke, Błok, poeci gruzińscy: Dżaszwili i Tabidzé, a także Cwietajewa. (Wróciła ona w r. 1939 z emigracji do Rosji, aby dwa lata później pozbawić się życia). Galeria samobójców zajmuje niestety wiele miejsca na sowieckim, współczesnym Pasternakowi Parnasie i w jego książce. Wspomina w niej z serdecznym żalem przede wszystkim Jesienina, lecz i Majakowskiemu, a nawet nieszczęsnemu Fadiejewowi rzuca Pasternak szlachetnym gestem garść dobrych słów na grób.

Do najbardziej porywających scen w książce należą opisy śmierci Tołstoja i podróży młodego Pasternaka z ojcem do miasteczka Ostapowo, gdzie Tołstoj umarł. Ojciec poety należał do bliskich przyjaciół Tołstoja i ilustrował jego książki. Został do Ostapowa wezwany telegraficznie, aby narysować Tołstoja po śmierci.

W tej, rozmiarami niedużej, lecz jakościowo imponującej książce, będącej dopełnieniem „Doktora Żiwago", objawia się nam autor jako człowiek wielkiej szlachetności i jako doskonały artysta, którego stać na podziw dla innych, współczesnych mu artystów, a nawet na uwielbienie. Choćby ci inni artyści różnili się od niego charakterem, ideologią i pojmowaniem swych zadań. Niestety nie możemy tego powiedzieć o większości znanych nam, a bardzo uzdolnionych współczesnych. Jak szydło z worka wyłazi od razu z ich, niekiedy arcyintelektualistycznych, aż przerażających swadą i sofistykacją wypowiedzi wierszem i prozą — zwyczajna ludzka zawiść, przekąs lub fałszywość. Piszą o rzeczach wzniosłych, nawet o Bogu i świętości, a nie darują tzw. Skamandrytom i przedwojennym „Wiadomościem Literackim" — powodzenia. Jak pisał nasz poczciwy Bełza? „Kto ty jesteś? — Polak mały!". Oj, mały, mały...

Samouwielbienie, idące w parze z pogardą i lekceważeniem tego, co robią inni w tej samej dziedzinie sztuki, nie jest co prawda tylko naszą, polską specjalnością. Ale, niestety nazbyt jest

u nas rozpanoszone a przy tym nieumiejętnie kamuflowane. Po tej patriotycznej dygresji wróćmy do Pasternaka. Opowiada on o swym spotkaniu z Verhaerenem, który w czasie pobytu w Rosji pozował ojcu Pasternaka do portretu. W tym samym czasie bawił również w Rosji Rilke i był gościem Tołstoja w Jasnej Polanie. Pasternak-syn zwykł był zabawiać rozmową sławne osoby, w czasie gdy ojciec je portretował. Na jednym z takich posiedzeń Borys Pasternak zapytał wielkiego poetę belgijskiego, co sądzi o Rilkem. Na co Verhaeren odpowiedział: „Jest to najlepszy poeta Europy, a dla mnie — brat ukochany".

Coś braterskiego odnajdziemy również w stosunku Pasternaka do innych poetów rosyjskich jego pokolenia. Jesienina kochał, chociaż, jak sam wyznaje, pobili się raz do krwi. Obala natomiast Pasternak legendę o swej zażyłości z Majakowskim. Nawet nie mówili sobie po imieniu. Majakowski był rywalem Pasternaka i to — zwycięskim rywalem. Nic dziwnego, że zwycięskim, skoro stał się huczącą tubą rewolucji i propagandy bolszewickiej. Krzykliwość zawsze była i jest obca naturze Pasternaka, skłonnej do zadumy i skupienia. Nie mógł więc być „bratnią duszą" poety, którego wulkaniczne życie, skończyło się samobójstwem w r. 1930.

Niech mi będzie wolno przytoczyć kilka zdań Pasternaka w związku z jego współzawodnictwem z Majakowskim: „Istniały dwa frazesy, ukute w tamtej epoce. Jeden: życie stało się lepsze i radośniejsze, a drugi: Majakowski był i jest najlepszym i najzdolniejszym poetą tej epoki. Autorowi drugiego frazesu podziękowałem listem prywatnym. Frazes ten bowiem uwolnił mnie od *przesadnej ważności* (podkr. J.W.), jaką obarczono moją osobę w latach trzydziestych po Kongresie Pisarzy. Kocham swoje życie i jestem z niego zadowolony. Nie ma potrzeby przyozdabiania tego życia dodatkową pozłótką. Życie pozbawione sekretów, życie bez skreśleń, życie jaskrawo oświetlone w witrynie wystawowej jest dla mnie nie do przyjęcia".

Łatwo się domyślić, kto był twórcą tych frazesów.

Z przytoczonych tu słów Pasternaka, pełnych jednocześnie dumy i pokory, poznajemy człowieka, który — by użyć stylu Biblii — chadzał odziany jasnością.

1959

PASTERNAK O SZEKSPIRZE

Jeśli istnieje ziemski odpowiednik „świętych obcowania" jest nim chyba obcowanie poety-tłumacza z poetą tłumaczonym. Jest to duchowe zbliżenie, zażyłość dwóch, niekoniecznie pokrewnych indywidualności, oddalonych od siebie nie tylko ojczystą mową i odmienną cywilizacją. Często obu poetów dzielą wieki, o których dochowały się tylko skąpe i niezawsze wiarogodne świadectwa. Zdarza się, że tłumacz musi na własną rękę odkrywać świat, przedstawiony w przekładanym utworze, musi odgadywać, jak wyglądali ludzie, których namiętności usiłuje przenieść do własnej wyobraźni i oddać własną mową. Mając przed sobą dzieło dawno zmarłego autora tłumacz poznaje jego osobowość przede wszystkim przez to dzieło. Natomiast mniej lub więcej autentyczne plotki o tłumaczonym poecie raczej przeszkadzają niż pomagają do wczucia się w jego dzieło i do oddania zawartych w tym dziele prawd i uroków. Odnosi się to również do czytelnika. Tak zwana szeroka publiczność lepiej zna uwieńczony wawrzynem profil Dantego niż tercyny „Boskiej Komedii". Z Szekspirem jest lepiej. Niektóre jego dramaty są niemal stale grywane na scenach cywilizowanego świata, a ekrany kinowe i telewizyjne bardziej przyczyniają się do popularyzacji tych dramatów niż ich lektura w szkołach.

„Shakespeare und keine Ende" powiedział niegdyś Goethe, entuzjasta i, po Herderze, najżarliwszy krzewiciel kultu Szekspira w Niemczech drugiej połowy XVIII w. „Shakespeare und keine Ende" brzmiałoby po polsku mniej więcej tak: „Nie można skończyć z Szekspirem".

Ale teraz jesteśmy w drugiej połowie XX wieku i nie w Weimarze Goethego, gdzie również panował jego światły przyjaciel Karol August udzielny książę Sachsen-Weimar.

Jesteśmy w Sowieckiej Rosji, gdzie żył i tworzył w osamotnieniu Borys Pasternak. Okazało się, że nawet pod rządami Sta-

lina i Chruszczowa „nie można skończyć z Szekspirem". Przeciwnie: Szekspir i Goethe stali się ratunkiem dla poety, który nie dał się zniewolić terrorystom życia umysłowego. Sam skazał się na milczenie, jako twórca własnej i żadnym doktrynom niepodległej poezji. Lata przymusowego milczenia wypełnił Pasternak Szekspirem. Głośny dziś w całym świecie autor „Doktora Żiwago" przetłumaczył w owych latach „Hamleta", „Romea i Julię", „Antoniusza i Kleopatrę", „Otella" pierwszą i drugą część „Króla Henryka IV". „Króla Leara" i „Makbeta". Znawcy Szekspira, oraz znawcy rosyjskiej poezji zaliczają te przekłady do arcydzieł sztuki poetyckiej. Sam Pasternak ogłosił w roku 1956 coś w rodzaju „Confiteor" swej długoletniej z Szekspirem zażyłości. Jest to szkic krytyczny, wydrukowany w almanachu pisarzy sowieckich „Literacka Moskwa". Zawiera on jak gdyby kwintesencję spostrzeżeń Pasternaka na marginesie jego pracy przekładowej. Rozprawa ta ukazała się niedawno po angielsku. Nie musimy tu podkreślać oryginalności sądów Pasternaka. Poeta, który uchodzi za jednego z najoryginalniejszych wersyfikatorów naszych czasów, zgłębił do dna wszelkie tajemnice szekspirowskiego wiersza i prozy. Stwierdza on na przykład, że wiersz Szekspira jest szkicowy, natomiast jego proza — skończona i ostateczna. Najważniejszą cechę kunsztu dramatycznego Szekspira upatruje Pasternak w przejściach od poezji do prozy. Ciekawe są uwagi rosyjskiego tłumacza o rytmice angielskiego poety. „Jest to rytm mowy potocznej, swobodnej, język człowieka, który nie ma bożków i przeto język ten jest uczciwy i zwięzły. „Szekspir pisał tak szybko iż nieraz zapominał o tym, co napisał poprzedniego dnia. W tym pośpiechu często powtarzał się. Już choćby tutaj ukazuje się cała absurdalność teorii bakonistów". Przypominamy, że istnieje dzisiaj obalona teoria, jakoby dramaty Szekspira czy też tylko część tych dramatów napisał słynny filozof i mąż stanu Lord Francis Bacon, autor „Novum Organum".

Obok spostrzeżeń natury ogólnej zastanawia się Pasternak nad poszczególnymi utworami. Powiada, że w „Hamlecie" charaktery występujących tam postaci różniczkuje rytm ich mowy. Poloniusz, król, Guildenstern i Rosenkranz mówią inaczej niż Laertes, Ofelia, Hamlet i reszta. Rytmiczna charakteryzacja samego Hamleta jest tak żywa, że stwarza złudzenie jakiegoś leitmotivu powtarzającego się, ilekroć Hamlet zjawia się na scenie. Według Pasternaka „Hamlet" nie jest dramatem słabości, lecz obowiązku i samozaparcia. Co do „Romea i Julii" tłumacz stwierdza, że „muzyka gra w tym dramacie rolę negatywną. Jest ona po stronie sił wrogich kochankom. Miłość bowiem może obyć się bez eufonii. W sercach kochających mieszka praw-

da, a nie dźwięk. W „Romeo i Julii" nie ma deklamacji. Jest to najprzedniejsza poezja i, jak każda poezja tego typu, ma ona świeżość i prostotę prozy". Istotnie, każdy miłośnik Szekspira zauważył, że jego wiersz, zwłaszcza w utworach dramatycznych, jest zbudowany z elementów najbardziej potocznego, niekiedy nawet wulgarnego języka. Mówiąc o aluzjach historycznych i mitologicznych, od których roją się utwory Szekspira, przypomina Pasternak, „że przeciętny londyńczyk (ery elżbietańskiej) znał łacinę. Londyńscy czeladnicy i subiekci sklepowi, którzy umieli czytać i pisać, byli tak spoufaleni z Heraklesem i Niobe, jak współczesny uczniak z zasadami elektryczności". Do najciekawszych wypowiedzi Pasternaka należą uwagi o „Makbecie": „Makbet" — to szekspirowska „Zbrodnia i Kara": Zarówno tragedia Szekspira jak i powieść Dostojewskiego posiadają ostrość realizmu, cechującą powieści kryminalne. Ani Makbet ani Raskolnikow nie są urodzonymi zbrodniarzami. Stali się nimi, wychodząc z fałszywych przesłanek".

Trudno nie zgodzić się z twierdzeniem Pasternaka, że u Szekspira nie ma ani czystej komedii ani czystej tragedii. „Jego styl jest czymś pośrednim między obu rodzajami i przeto najlepiej zbliża nas do prawdziwego życia. Bo i w życiu okropności przeplatają się z doznaniami przyjemnymi".

Przed stu laty z górą inny poeta wielkiej miary ogłosił rozprawę „O szekspirowskich kobietach i dziewczynach". Jest to jeden z najpiękniejszych utworów prozaicznych Heinego. Podzielił go Heine na dwie części: w pierwszej zajmuje się bohaterkami szekspirowskich tragedii, w drugiej kobiecymi postaciami w komediach. Jessykę z „Kupca Weneckiego" ulokował wśród postaci tragicznych. Dlaczego? Kiedy był na przedstawieniu „Kupca Weneckiego" w londyńskim teatrze Drury Lane, tuż obok w loży siedziała jakaś piękna Angielka. W pewnej chwili na widok sądzonego Shylocka krzyknęła: „Przecież temu człowiekowi dzieje się krzywda!". Heine obrócił się do niej i w jej pięknych oczach ujrzał łzy. Po latach, w Paryżu, pisząc swą rozprawę, wspomniał ten okrzyk i te łzy i dlatego komedię pod tytułem „Kupiec Wenecki" umieścił między tragediami.

Nie, nie można skończyć z Szekspirem.

1959

„SZEKSPIR I SPÓŁKA"

Dwa skromne sklepy odegrały wybitną, więcej: historyczną rolę w literackim życiu Paryża oraz w rozwoju francuskiej i anglo-amerykańskiej awangardy literackiej w międzywojennym dwudziestoleciu. Oba te sklepy mieściły się w Quartier Latin, nawet przy tej samej ulicy, rue d'Odéon, a zawdzięczały swe istnienie dwom entuzjastkom wszystkiego, co w piśmiennictwie owych czasów we Francji, Anglii i Ameryce było nowe, śmiałe i buntownicze. Pierwszy i starszy z tych sklepów miał szyld, głoszący po francusku, że jest to „Dom Przyjaciół Książki". Drugi, założony w listopadzie 1919 roku, najpierw w lokaliku, gdzie mieściła się pralnia, a potem przeniesiony do nowej siedziby przy rue d'Odéon, miał nad wejściem nie tylko szeroki szyld z angielskim napisem: „Shakespeare and Company", ale i wywieszkę z malowaną podobizną Szekspira. „Dom Przyjaciół Książki" należał do zmarłej przed kilkoma laty utalentowanej pisarki, Adrienne Monnier. Właścicielka „Szekspira i Spółki" była Sylvia Beach. Obie te panie łączyła nie tylko serdeczna przyjaźń, ale i entuzjazm do literatury bujnie rozkwitającej w Paryżu po pierwszej wojnie. Łączyła je również wspólnota interesów, pojmowanych w najszlachetniejszym i, jeśli tak rzec można, bezinteresownym znaczeniu tych słów. „Dom Przyjaciół Książki", jak i „Szekspir i Spółka" to były księgarnie. Ale jakie księgarnie! Odbywały się tam wieczory literackie, na których najwybitniejsi pisarze czytali z rękopisów swe utwory i dyskutowali je wobec wybrednej publiczności. Obie księgarnie przy zacisznej uliczce za teatrem Odeonu, były salonami literatury, może ostatnimi w Europie. Spotykały się tam gotowe już sławy z przyszłymi sławami, kandydaci do Akademii Francuskiej z kandydatami do nagrody Nobla. Bratali się tam „szermetrowie" z nieśmiałymi debiutantami, zbuntowani Francuzi ze zbuntowanymi przybyszami zza Oceanu lub tylko spoza Kanału.

Sylvia Beach ogłosiła niedawno w Nowym Jorku własną, niezwykle interesującą książkę pt. „Shakespeare and Company". Długoletnie obcowanie z piśmiennictwem i pisarzami Francji oraz zażyłość z powieściopisarzami i poetami rodzinnej Ameryki, Anglii i Irlandii — odbiły się korzystnie na książce Sylvii Beach, napisanej z wdziękiem, humorem i rozmachem. Dla badacza literatury francuskiej i anglojęzycznej z czasów, tak pogardzanego w niektórych krajach, międzywojnia, książka ta jest nieocenionym źródłem informacji. Więcej: oddaje ona jedyną i niepowtarzalną atmosferę Paryża owych bajecznych lat dwudziestych, atmosferę, bez której trudno jest zrozumieć powieści młodo zmarłego Scotta Fitzgeralda, tego „upadłego anioła" amerykańskiej literatury, ani pierwszych książek Hemingwaya, ani całego pokolenia pisarzy, nazwanego przez Gertrudę Stein: pokoleniem straconym.

Sylvia Beach jest córką pastora prezbiteriańskiego w Princeton, w stanie New Jersey. Wszyscy jej przodkowie po mieczu byli pastorami od dziewięciu pokoleń. Może to właśnie dziedziczne obarczenie tłumaczy misjonarski zapał, z jakim wzięła się do propagowania nowej, buntowniczej literatury. Spoufalona z Francją i jej kulturą od czternastego roku życia, spędziła panna Beach obie wojny w tym umiłowanym przez nią kraju. W czasie ostatniej przebywała jakiś czas w górach Sabaudii, w gościnie u chłopskich krewnych swojej przyjaciółki i opiekunki, Adrienne Monnier. Ale głównym tytułem do zasłużonej sławy a naszego podziwu jest nie miłość Francji, ani szerzenie w Paryżu znajomości nowej, anglojęzycznej literatury. Nazwisko Sylvii Beach będzie na zawsze złączone z nazwiskiem James Joyce'a. Najlepsze lata swego życia poświęciła amerykańska pastorówna wielkiemu irlandzkiemu nowatorowi. Już w młodości, w roku 1922 uwieńczyła to życie wydaniem, przy pomocy subskrybentów, pierwszej angielskiej edycji „Ulyssesa" w tysiącu egzemplarzy. A były to czasy, kiedy epokowe to dzieło nie mogło się ukazać ani w Anglii, ani w Ameryce. Na przeszkodzie stały: pruderia i cenzura w obu krajach. Zaledwie urywki „Ulyssesa" ukazywały się w tzw. „little reviews", czyli w małych periodykach amerykańskich i angielskich. Barwnie i ciepło opowiada Sylvia Beach dzieje swego przedsiębiorstwa od chwili, gdy powstało dzięki pomocy Adrienne'y Monnier, aż do samego końca, spowodowanego w czasie ostatniej wojny represjami niemieckiego okupanta. Nawet swój chlubny koniec zawdzięcza „Szekspir i Spółka" kultowi Joyce'a. Tym razem chodziło nie o „Ulyssesa", ale o jedyny w księgarni egzemplarz „Finnigan's Wake". Dzieło to chciał koniecznie nabyć pewien oficer Reichswehry. Gdy panna

Beach odmówiła, hitlerowski wielbiciel Joyce'a zagroził konfiskatą całej księgarni, wobec czego Sylwia przy pomocy francuskich przyjaciół przeniosła cenniejsze książki i rękopisy do swego mieszkania w tym samym domu.

Gdy Sylvia Beach po pierwszej wojnie założyła swoją księgarnię, książki angielskie we Francji były tak drogie, iż mało który Francuz mógł sobie pozwolić na ich kupno, zamożniejsi zaś turyści amerykańscy i angielscy, nabywali je w wielkich księgarniach przy rue Rivoli, lub Avenue de l'Opéra. Sylvia Beach postanowiła zatem ratować się przed bankructwem, zakładając u siebie wypożyczalnię książek, pism i czasopism w języku angielskim. Jednym z pierwszych jej abonentów był André Gide, którego przyprowadziła Adrienne Monnier. Kolejno zaczęli się zjawiać u „Szekspira i Spółki" abonenci o takich nazwiskach, jak Georges Duhamel, Leon Paul Fargue, Jules Romains, André Maurois i uroczy Paul Valéry, którego sylwetka w książce Sylvii należy do najbardziej wzruszających. Wszelako mężem opatrznościowym dla „Szekspira i Spółki", a zwłaszcza dla najważniejszego „wspólnika", to jest dla Joyce'a, był nie Valéry, ale inny znakomity poeta, podróżnik, powieściopisarz tłumacz i lingwista: Valéry Larbaud, (w wolnych chwilach zwykł bawić się ołowianymi żołnierzykami). To Larbaud utorował Joyce'owi drogę do sławy we Francji i zapewne na całym kontynencie europejskim. W roku 1921, a więc jeszcze przed ukazaniem się „Ulyssesa" wygłosił Larbaud, oczywiście w księgarni „mniszki literatury", czyli Adrienne Monnier, słynny odczyt o Joyce'ie. Potem czuwał on nad francuskim przekładem „Ulyssesa". Współpracował też z całym sztabem tłumaczy nad przekładem urywków „Finnigan's Wake".

Sklep „Szekspir i Spółka" był przez wiele lat ogniskiem, przy którym grzali się zziębnięci rodzimą lodowatością amerykańscy i angielscy poeci i powieściopisarze, dobrowolni wygnańcy. Niektórzy z nich kazali sobie nawet przesyłać korespondencję na adres „Shakespeare and Company". Przesunęli się więc przez sklep Sylvii poeci: Ezra Pound, Tomasz Stearns Eliot, Archibald MacLeish, William Carlos Williams, Cummings, nieszczęsny samobójca Hart Crane, powieściopisarze: Ford Madox Ford, Sherwood Anderson, Thornton Wilder i wielu innych. Ale do najwierniejszych przyjaciół „Szekspira i Spółki" należeli: Hemingway i Scott Fitzgerald. W roku 1944, w czasie wyzwalania Paryża, gdy w innych dzielnicach jeszcze strzelano, na czele konwoju amerykańskich jeep'ów zajechał brodaty Hemingway przed dom pod numerem 12 przy rue d'Odéon. Zajechał z okrzykiem: „Sylvia, Sylvia!". Okrzyk ten podchwyciła cała ulica, i w oknie na

pierwszym piętrze ukazała się założycielka i właścicielka zlikwidowanej już firmy „Szekspir i Spółka".

Oczywiście najważniejszą część książki Sylvii stanowi kronika jej długoletnich stosunków z Joyce'm. Skromnej, taktownej i dyskretnej kapłance kultu tego pisarza nie udało się zataić przed nami, ile od niego wycierpiała, zwłaszcza, gdy po latach wspólnych walk, triumfów i upadków otworzyły się przed irlandzkim poetą wrota sławy, a wielki amerykański wydawca odkupił od niego za wielkie pieniądze prawa do publikacji „Ulyssesa". Solidny skądinąd Joyce po prostu zignorował swój kontrakt z Sylvią, a ona przyjęła cios, bez protestu. W swej książce komentuje ten fakt tymi słowami: „Ostatecznie dziecko należy do matki, a nie do akuszerki". Do końca życia Joyce'a dochowała „matce" wierności, uważając Joyce'a za największego pisarza naszych czasów, a własny udział w wydaniu „Ulyssesa" na świat za najpiękniejszy epizod swego życia.

W roku 1936 rząd francuski odznaczył Sylvię Beach Legią Honorową, a w roku 1959 Uniwersytet w Buffalo nadał jej tytuł doktora literatury.

Piękna postać w pięknych czasach w pięknym mieście Paryżu.

1960

HEMINGWAY, ŚMIERĆ I ZABIJANIE

Życia, twórczości i śmierci Ernesta Hemingwaya nie można zrozumieć w oderwaniu od tła, na którym kształtowało się piśmiennictwo amerykańskie po pierwszej wojnie światowej. Piśmiennictwo to zawdzięcza swą oryginalność rozbitkom życiowym, którzy po korzystnej dla Stanów Zjednoczonych wojnie wylądowali z moralną zgagą — w kawiarniach i nocnych lokalach lewobrzeżnego Paryża. Był to Paryż przecierający oczy po kilkuletnim *blackout*'cie i oszołomiony powrotem do normalnego życia. Rozbitków amerykańskich przyjęła z otwartymi ramionami Gertruda Stein i ona to przykleiła młodym pisarzom historyczną już dziś etykietę: *„stracone pokolenie". A lost generation.* Stracone lub raczej zagubione pokolenie, ponieważ utraciło wiarę w ideały, za które ochotniczo narażało swe młode życie. Pokolenie stracone, ponieważ oglądało na własne oczy bankructwo cywilizacji, którą w swej kwakiersko-purytańskiej naiwności uważało za chrześcijańską. Stracone, ponieważ straciło wiarę w siebie. Dobrowolni ci „ekspatriaci" włóczyli się latami po starych ośrodkach zbankrutowanej w ich oczach kultury, topiąc chandrę w miejscowych i importowanych trunkach, szukając zapomnienia przeżytego koszmaru wojny — w podniecających przygodach. Byli to egzystencjaliści *avant la lettre,* utalentowani pogromcy rosnącej w nich pustki i nudy. Pośród powszechnego zakłamania i fałszu szła za nimi jak Erynia jedyna, niezdewaluowana prawda — śmierć. Wcześnie zmarły, zapity powieściopisarz Scott Fitzgerald i Hemingway — uchodzą za najwybitniejszych przedstawicieli „straconego pokolenia" w amerykańskiej beletrystyce.

W świecie podejrzanych prawd i podważonej moralności wybrał młody Hemingway życie, pełne niebezpieczeństwa. Tak jakby mu nie wystarczała miniona wojna. Niebezpieczeństwa których szukał Hemingway były brutalne, fizyczne i obce istot-

nej czy też podejrzanej duchowości. Inni pisarze, siedząc przy biurku mniej lub więcej skutecznie walczyli z aniołami i diabłami. Hemingway szukał prawdy o duszy człowieka, walcząc z bykami na hiszpańskich arenach, polując na grubszą zwierzynę w afrykańskiej dżungli, zabijając lwy, lamparty, słonie i niedźwiedzie. Wyprawiał się też na niebezpieczne połowy. Niektórzy krytycy upatrują w tym obsesję śmierci i pasję zabijania. Bardziej prawdopodobne wydaje się, że po wstrząsie, jakiego dziewiętnastoletni pisarz doznał na włoskim froncie, gdzie dwukrotnie odniósł ciężkie rany, nie mógł już powrócić do spokojnego życia. Śmiertelny wstrząs pragnął przezwyciężyć przy pomocy nowych śmiertelnych wstrząsów. Bez ustawicznego narażania się na niebezpieczeństwa, życie tego pisarza nie mogło już być prawdziwym życiem. A Hemingway kochał życie, pomimo jego grozy. Nie odmówił sobie żadnej dostępnej mu przyjemności i bez przesady rzec można, że z taką samą pasją używał życia co śmierci.

Powiedzenie, że śmierć zaglądała w oczy Hemingwaya od wczesnej młodości nie będzie ściśle. To raczej on od wczesnej młodości zaglądał śmierci w oczy. O ile śmierć ma oczy lub owe puste oczodoły, którymi jej ikonografia straszy nas od średniowiecza. Lecz nie krzywdźmy pamięci pisarza obrazowaniem, obcym jego naturze. Hemingway odrzucał gotowe mity, symbole i alegorie. Stwarzał własne mity, niekiedy ryzykowne, a już mało który pisarz jego pokolenia był tak obcy symbolizmowi jak on. Bohater jego mistrzowskiej noweli pt. „Śniegi Kilimandżaro" umiera w głębi afrykańskiej dżungli, gdy zabrakło jodyny, która powstrzymałaby gangrenę w nodze, skaleczonej jakimś jadowitym kolcem. Jest on pisarzem i zapewne wyraża pogląd samego autora, gdy ostrzega towarzyszącą mu kobietę: „Nie wierz nigdy w kosę, ani w czaszkę kościotrupa. Śmiercią mogą być dwaj policjanci na rowerach albo ptak, Śmiercią może być duży ryj hieny". Mówi to człowiek w pełnej świadomości absurdu, jakim będzie jego śmierć, człowiek, nad którym krążą sępy i do którego podchodzą już autentyczne, niesymboliczne hieny. Odrzucał Hemingway nie tylko abstrakcje i przekazane tradycją pojęcia. Odrzucał wszystko, czego nie doświadczył na własnej — dosłownie — skórze. A było na niej pełno blizn. Od roku 1918 miał Hemingway platynową płytkę w kolanie na miejscu rozstrzaskanej rzepki. Czysto duchowe przygody prawie nie istniały dla Hemingwaya. Nie istniała dlań spekulacja, a wyobraźnia, trzymana w ryzach, służyła mu jedynie do pomocy, przy odtwarzaniu spraw przeżytych w konkretnej rzeczywistości. Przez całe życie studiował Hemingway

śmierć, oczywiście śmierć gwałtowną. W wielkiej powieści o hiszpańskiej wojnie domowej tp. „For Whom the Bell Tolls", jeden z republikańskich żołnierzy pociesza się ludową maksymą: „Zażywaj śmierci tak, jakbyś zażywał aspiryny". Być może, że Hemingway zawdzięczał swój *élan vital* traktowaniu śmierci jakby to była tabletka aspiryny. Od początku istnienia literatury czerpali pisarze wiedzę o życiu, konfrontując je z śmiercią. Ale większość z nich stykała się z nią raczej przypadkowo i nie z własnej woli. Hemingway zdawał się szukać jej towarzystwa, jakby chciał śmierć sprowokować do zmierzenia się z nim.

Tu godzi się zastanowić nad rolą tzw. osobistych doświadczeń pisarza. Na ogół pisarze unikają przykrych doświadczeń. Ciężkie doświadczenia nawiedzają ich nieproszone. Tak było z Dostojewskim, który wcale nie pchał się na szafot, ani do „Martwego domu". Tak liczni dziś pisarze — więźniowie obozów koncentracyjnych, łagrów i gett, też nie szukali swych ciężkich doświadczeń. Byliby pisarzami na swoją miarę nawet wówczas, gdyby ich ominęła wojna, niewola czy getto, gdyby jak Proust, Kafka czy Joyce spędzili życie w biurze ubezpieczeń, w apartamencie o korkowych ścianach lub uczyli języków w szkole Berlitza. Na ileż to lat przed kacetami „kameralny" gruźlik Kafka opisał szczegółowo „Kolonię karną" i stosowane tam tortury. Hemingway wyprawiał się po swoje doświadczenia bardzo daleko, organizował je i płacił za nie nie tylko ciężkimi pieniędzmi ale i zdrowiem.

Znamy innych, może wybitniejszych od niego pisarzy współczesnych, którzy też lubili z narażeniem życia czerpać o nim wiedzę w „terenie". Pisarzy, dla których zewnętrzna przygoda była tylko pretekstem. Taki był Conrad i St. Exupéry, takimi są Malraux i Graham Greene. Dla Hemingwaya żadna przygoda życiowa nie była pretekstem, lecz celem samym w sobie. Całą swoją filozofię, wyłożoną w książkach, zdobył ten pisarz, jak gdyby bez udziału intelektu. Mechanizm strachu, zabijania i umierania poznał jak fachowiec. Mówiąc o Hemingwayu trudno oddzielić człowieka od pisarza. Niewielu jest bowiem piszących, których dzieła tak wiernie odbijają ich życie i przygody, jak powieści i nowele autora „Pożegnania z bronią". Mówiono nam, że pisarze kompensują w swych dziełach braki własnego życia czy charakteru. Zmyślonych ludzi wyposażają we wszystko, czego im samym odmówił los. Stwarzają obrazy takiego życia, jakie chcieliby mieć. Mówiono nam, że chuderlawi autorzy egzaltują zdrowie i krzepę, tchórze wielbią odwagę i bohaterstwo, brutale zaś — na odwrót roztkliwiają się nad zabitymi ptaszkami. Niektórzy egzegeci Nietzschego wyprowadzają jego kult nad-

człowieka i „wspaniałej blond-bestii" z jego ułomności i chorób. Hemingway jest zaprzeczeniem tej teorii. Jeśli wielbił odwagę, to dlatego, że był odważny lub dlatego, że potrafił przezwyciężyć strach. Niedorzeczne byłoby doszukiwanie się w osobie tego pisarza *wszystkich* cech, jakie mają postacie jego powieści i nowel. Ale trzeba stwierdzić, że nie ze słyszenia ani z książek ani z kina lecz z autopsji znał świat i sytuacje, w których żyją, męczą się i umierają jego zmyśleni ludzie. I tym właśnie różni się on od większości swych znakomitych kolegów, którym wyobraźnia i tzw. wewnętrzne doznania zastępują zewnętrzne, fizyczne doświadczenie. Niewątpliwie literatura zna świetnych batalistów, którzy żadnej bitwy nie widzieli, jak np. nasz Sienkiewicz lub Żeromski. Hemingway nie ufał swej intuicji ani wyobraźni. Wszystkie wojny, o których pisał z tak niezawodną znajomością realiów, oglądał na własne oczy i to nie z bezpiecznego oddalenia. Trudno też wyobrazić sobie, że mógłby napisać „Starego człowieka i morze", sam nie będąc zawołanym rybołówcą. Wyprawiał się na najuciążliwsze i najbardziej ryzykowne połowy oceaniczne, z których nieraz wracał ze zdobyczą, ważącą setki funtów. Uprawiał boks, brał udział w bójkach, próbował szczęścia jako matador na hiszpańskich arenach. Uchodził w Hiszpanii za jednego z najlepszych znawców corridy. Chwalił się, że widział 1500 zabijanych byków. Ostatnim jego utworem, którego początkowe rozdziały, drukował w ubiegłym roku nowojorski tygodnik „Life" jest „Niebezpieczne lato". Jest to sentymentalny reportaż zwycięstw i klęsk przyjaciela Hemingwaya, matadora Antonio Ordoneza, oraz kronika rywalizacji Ordoneza ze swym równie jak on sławnym szwagrem, Dominguinem. Najlepiej czuł się Hemingway w Hiszpanii, którą kochał wraz z jej pełnym godności, spoufalonym ze śmiercią ludem.

W swej poetyckiej apologii corridy pt. „Śmierć po południu" powiada Hemingway, że „wielki matador (czyli po polsku dosłownie: zabijacz) musi kochać zabijanie. Jeśli nie czuje, że jest to najlepsza rzecz, na jaką go stać, jeśli nie uświadamia sobie godności zabijania i nie czuje, że jest to jego nagroda, nie będzie zdolny do niezbędnej przy zabijaniu abnegacji. Prawdziwie wielki zabijacz musi mieć poczucie honoru i wyczucie chwały, przerastającej horyzont zwyczajnego matadora. Innymi słowy, winien on posiadać *duchową radość (spiritual joy)* w chwili, gdy zabija". W jakże niesamowitym kontekście znalazły się tutaj słowa *„duchowa radość"!* Jak dalecy jesteśmy tu od wszystkiego, co od tysięcy lat naszej cywilizacji przywykliśmy kojarzyć z słowem: duchowy! Czyżbyśmy tu mieli do czynienia z barbarzyńcą, znajdującym radość ducha tylko w krwi

na arenie? Hemingway napisał „Historię naturalną śmierci", traktat włączony do wspomnianej wyżej książki „Śmierć po południu". Znajdujemy tam takie zdanie: „większość ludzi umiera jak zwierzęta". Żadnej metafizyki, żadnych złudzeń i żadnej pociechy. Ani religijnej ani świeckiej.

Krytyk angielski John Atkins uważa, że corrida była dla Hemingwaya formą wyzwania śmierci a przez to i poskromienia trwogi przed śmiercią. Krytyk ten posuwa się za daleko, gdy mówi, że „zabijanie byka może być czymś w rodzaju zabijania bóstwa i przyswajania sobie jego wielkiej potęgi". Oczywiście Atkins kojarzy tu byka z wierzeniami staroegipskimi, a w matadorze chce widzieć nowe wcielenie kapłana. Sam Hemingway nie zapuszczał się w tak ryzykowne i obce jego umysłowości interpretacje. W „Śmierci po południu" oświadcza po prostu: „Wiem tylko tyle, że moralne jest to, co daje ci po spełnieniu dobre samopoczucie. A niemoralne jest to, po czym czujesz się źle. Sądząc po tych moralnych kryteriach, których zresztą nie bronię, walka byków jest dla mnie bardzo moralna, ponieważ w czasie jej trwania świetnie się czuję i mam świadomość życia i śmierci, świadomość śmiertelności i nieśmiertelności. A później, gdy wszystko się skończy, jest mi bardzo smutno, ale i bardzo dobrze".

Niełatwo nam pojąć, skąd się bierze taka etyka. Do jej zrozumienia pomoże komentarz autora, jakim opatrzył wyznanie kubańskiego rybaka z uwieńczonej nagrodą Nobla opowieści: „Stary człowiek i morze". „Stary człowiek sądzi, że nie jest grzechem zabijanie ryby, jeśli ją kochasz". Wychowaliśmy się w bardzo odmiennych pojęciach o miłości. Ten sam stary rybak wygłasza takie zdanie: „Chwała Bogu, zwierzęta nie są tak inteligentne jak my, którzy je zabijamy, jakkolwiek są szlachetniejsze i zdolniejsze". Nie można powiedzieć, żeby autor tych sentencji był uczniem św. Franciszka z Assyżu. I w ogóle trudno jest tego, skądinąd wielkiego, przyjaciela ludzi podejrzewać o najlżejsze draśnięcie duszy chrystianizmem.

Jeśli zabijanie zwierząt, czy też walka ze zwierzętami była dla Hemingwaya formą miłości zwierząt, jak przedstawia się jego filozofia zabijania ludzi? Czytamy o tym wiele w bardzo ludzkiej książce wojennej pt. „For Whom the Bell Tolls". Między innymi znajdujemy tam takie zdanie: „Nigdy na wojnie nie zabijamy tego człowieka, którego chcielibyśmy zabić". Grubo omyli się, kto sądzi, że Hemingway kocha wojnę. Nienawidzi jej, co wyraźnie oświadcza w przedmowie do swej wielkiej, w roku 1940 wydanej, antologii pt. „Men at War". Dodaje

jednak, że skoro wojna już jest, trzeba ją wygrać wszelkimi środkami. Znamy te środki.

Hemingway brał udział w pięciu wojnach. Z własnej i nieprzymuszonej woli. W roku 1918 nie przyjęto go do armii amerykańskiej z powodu uszkodzonego oka, więc wybrał się na front włoski, jako kierowca amerykańskiego ambulansu. Długo nie wytrzymał w tej, i tak dosyć niebezpiecznej, służbie. Wkrótce już we włoskim mundurze walczy nad rzeką Piave. Kolegę z odstrzeloną nogą zanosi na barkach do okopu i dostaje postrzał w łydkę z karabinu maszynowego. Później miażdży mu kolano pocisk z austriackiego moździerza. Biografowie zamiłowani w statystyce notują, że po tej eskapadzie wydobyto z Hemingwaya 237 odłamków żelaza. W parę lat później wyrusza Hemingway jako korespondent do Azji Mniejszej, gdzie Turcy biją się z Grekami. Okropne wrażenie wywarł tam na pisarzu widok zwierząt pociągowych z połamanymi nogami, zapędzanych na zatopienie do portu.

Lata wojny domowej w Hiszpanii spędził Hemingway, znów jako sprawozdawca, po stronie republikańskiej. Obecności jego na froncie hiszpańskim nie można tłumaczyć szukaniem niebezpiecznych wrażeń czy tzw. żyłką awanturniczą. Jak tylu innych pisarzy i intelektualistów z Europy i Ameryki, sprowadziła Hemingwaya do Hiszpanii sympatia do hiszpańskiego ludu i nienawiść faszyzmu. Trudno go sobie wyobrazić w roli obojętnego, niezaangażowanego obserwatora cudzej walki i cudzej śmierci. Z wojny hiszpańskiej wrócił Hemingway rozczarowany. Przekonał się, że oficjalni przyjaciele ludu nie są lepsi od jego oficjalnych wrogów. Sprzyjał republikanom, ale widział okrucieństwo po obu stronach walczących. „Komu bije dzwon" jest nie tyle epopeją hiszpańskiej wojny domowej, ile dokumentem jej człowieczeństwa i bestialstwa. Powieść ta wywołała niezadowolenie po obu walczących stronach. Świadczy to o artystycznej uczciwości autora.

W drugiej wojnie światowej miał Hemingway być tylko korespondentem, ale nie wytrzymał w tej roli i brał udział w bojach na lądzie, na morzu i w powietrzu. Jego prywatny stateczek „Pilar" krążył w latach 1942-1944 u brzegów Kuby i tropił niemieckie łodzie podwodne. Do syta i z bliska napatrzył się Hemingway mordowaniu i umieraniu, a nie był to kaprys pisarza, spragnionego mocnych wrażeń.

Gdyby Hemingway niczego więcej nie napisał prócz krótkiej noweli pt. „Mordercy", już ta nowela pasowałaby go na jednego z najoryginalniejszych pisarzy naszych czasów. Z pomocą samych tylko dialogów odsłania tu autor mechanizm, dzia-

łający w duszach (o ile to, co znajduje się w ich wnętrzu można nazwać duszą) dwóch zawodowych morderców, wynajętych przez boksera do sprzątnięcia zwycięskiego rywala. Panowie ci wcale nie mordują, tylko przygotowują się do mordu, zresztą udaremnionego. Gdyby autor szczegółowo opisał, jak ci dwaj fachowcy pracują, wywołałby słabsze wrażenie. Chodziło mu nie o sam mord, ale o fenomenologię morderców. Pisarz amerykański pokazał oblicze naszych czasów, które nieomal sto lat temu zwiastował Rimbaud w „Iluminacjach": *Voici le temps des ASSASSINS!*

Nazwaliśmy Hemingwaya barbarzyńskim humanistą. Był humanistą, gdyż umiał utożsamiać się z bliźnim, cierpiącym i walczącym. Nie wywyższał się nad maluczkich. W obce światy gnała go pasja bratania się z ludźmi. Nie z literatami czy „intelektualistami", nie z pięknoduchami. Hemingway nie cierpiał pysznych. Pociągały go nie kluby literackie, lecz obozy żołnierskie, biwaki, areny i karczmy. Jeśli był barbarzyńcą, był nim uczciwie i bez złudzeń. Jeśli być egzystencjalistą, to w praktyce, nie w kawiarni „Des deux Magots". W powieści „For Whom the Bell Tolls" wkłada autor w usta swego *porte-parole,* Roberta Jordana, takie, znamienne dla egzystencjalizmu słowa: „Masz swoje — teraz i to jest wszystko, czym jest twoje życie. Nie ma nic innego, jest tylko teraz. Nie ma żadnego wczoraj, na pewno, i nie ma żadnego jutra. Istnieje tylko teraz, a jeśli to teraz trwa zaledwie dwa dni, to te dwa dni stanowią twoje życie".

Każdą chwilę swego życia starał się Hemingway wypić do dna. Tylko człowiek wierzący nie zużywa w doczesnym życiu, nie zjada tu na ziemi, nagromadzonego w sobie kapitału. Zawsze chowa sobie coś na potem. Najwyżej zjada odsetki.

Ernest Hemingway żył i umarł bez Boga. Pięknym gestem pożegnał katolicki kościół człowieka, który zginął jakoby w wypadku z bronią myśliwską. Na fotografii przedstawiającej pogrzeb pisarza widzimy stojącego nad otwartym grobem kapłana i trzy postacie w białych komżach. Jedna z nich trzyma krzyż.

PISMA POŚMIERTNE

Lat temu — co najmniej trzydzieści — w warszawskiej kawiarni Europejskiej autor tych słów siedział w złym towarzystwie. Siedział sam przy stoliku, a jako rzecze Paul Valéry *un homme seul est toujours dans la mauvaise compagnie*. Niedaleko była ulica Mazowiecka i „Mała Ziemiańska" i ta atmosfera, która wydawała mi się zabójcza dla młodego, jakim podówczas byłem — pisarza. Uciekłem więc od tej atmosfery i siedziałem w Europejskiej — sam. Zbuntowałem się przeciw targowisku, gdzie ustalano ceny na produkty umysłu i wyobraźni i gdzie nadawano rangi pracownikom pióra. Nade wszystko obrzydła mi własna rola w mniej lub więcej znajomej społeczności, obmierzło mi uganianie się po wydawnictwach oraz nieuniknione współzawodnictwo z innymi pisarzami. Niesmakiem przejmowała mnie próżność, też będąca, zwłaszcza w młodych latach, bodźcem twórczości. Przypomniały się słowa Nietzschego: „Kto zna czytelnika, ten dla niego nic robić nie będzie. Jeszcze jedno stulecie czytelników i duch nawet śmierdzieć zacznie". („Tako rzecze Zaratustra: O czytaniu i pisaniu").

Obrzydły mi nawet słowa. Widziałem w nich jedynie aparaturę kompromisu prawdy z fałszem. Żadne wszak słowo w żadnym z ludzkich języków nie jest narzędziem doskonałej szczerości. Dla samego siebie nie myślimy przy pomocy słów. Czysta myśl ludzka posługuje się innymi, nieokreślonymi dotąd instrumentami. Dopiero gdy naszą myśl pragniemy przekazać innym, sięgamy po słowa. Im bardziej zaś te słowa, zwłaszcza w poezji, są zrozumiałe, tym więcej zatraca się ich dziewicza czystość. Już komunałem stały się wersety: „Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie". Ale z językiem, a więc ze słowami żaden pisarz zerwać nie może. Co najwyżej, gwoli szczerości i czystości, może je zdeformować.

I naraz, w przypływie zniechęcenia i goryczy, postanowiłem:

nie ogłaszać więcej za życia swych utworów. Odtąd chciałem pisać wyłącznie dla tzw. potomności, której istnienie nie stało jeszcze w owych latach, tak jak dziś, pod znakiem zapytania. Wszyscy twórcy zarówno z powodzeniem, jak i bez powodzenia, liczyli na potomność. Pragnąłem więc uwolnić się od tego, co każe autorowi liczyć się z panującą modą, z przyjaciółmi i wrogami, i z wszystkim, co w owych latach zaczęto już w Warszawie nazywać „zamówieniem społecznym". Jak błogo będzie: nie czekać na poklask publiczności, ale i nie narażać się ani sferom rządzącym, ani opozycji, ani klerowi wszelkich wyznań, ani bardziej może nietolerancyjnym kapłanom tzw. „wolnej myśli". Gwizdać na prasę wszelkich odcieni, na antysemitów i na Żydów, na wojsko i na pacyfistów, na finansjerę i na snobów antykapitalizmu! Nie być świadkiem swych sukcesów, ani porażek! W ogóle zrezygnować z obecności przy tym, jak nasze dzieło robi na kimś wrażenie.

I zacząłem w kawiarni Europejskiej rozważać korzyści płynące z usunięcia się z „pola obstrzału". *Non veder, non sentir m'é gran ventura* móc powtórzyć za Michałaniołową „Nocą". Tak powstał we mnie zamiar produkowania samych pism pośmiertnych. Już w wyobraźni egzaltowałem czytelnika tych pism: nie był podobny do żadnego ze znajomych. Nie miał twarzy, nie miał głosu, stał się abstrakcją, przez co nabierał patetycznych, prawie monumentalnych wymiarów. O, dla takiego, nieurodzonego jeszcze czytelnika, warto męczyć się przy pisaniu, gdyż tylko on jest sędzią sprawiedliwym i nie ulega żadnym fascynacjom ani uprzedzeniom do naszej osoby. A jakże często ta osoba jedynie wpływa na stosunek publiczności do naszego dzieła. Z chwilą gdy ta osoba znika ze świata, zamiera również wszelka atrakcyjność tego co stworzyła. Niewielu chyba z piszących życzy sobie, żeby ich dzieła były tylko dodatkiem do ich osoby. Może nawet egzystencjaliści chcą być czytani po śmierci?

Autor „pism pośmiertnych" nie tylko nie zna domniemanego czytelnika, ale i rzadko potrafi przewidzieć okoliczności, tudzież historyczno-społeczne warunki, w jakich nastąpi odbiór tego, co stworzył. Rodzajem swej pracy może przeto zbliżyć się do tzw. absolutu. Czyściejszy, szlachetniejszy, bo nieskrępowany żadnymi względami oportunizmu, autor „pism pośmiertnych" czerpie ze spotęgowanego życia, własnego i cudzego, nie musząc bojaźliwie przymykać oczu na zjawiska drażliwe. Może je kształtować naprawdę jak zapragnie jego dusza. Ale takich świadomych „pośmiertników" — o ile wiemy — nie zna dotąd literatura żadnego narodu.

Nazwą „pism pośmiertnych" obejmowaliśmy do tej pory przeważnie te dzieła, których autor nie mógł lub nie zdążył już za życia ogłosić. Może by je ogłosił, gdyby dłużej żył, lub gdyby ich ogłoszeniu sprzyjały zewnętrzne, od autora niezależne warunki. Mamy tu na myśli przede wszystkim Słowackiego i Norwida. Istnieli też tacy pisarze, co za życia nic albo prawie nic nie chcieli ogłaszać, a bogatą ich twórczość poznaliśmy wyłącznie z tzw. teki pośmiertnej. Wymienić tu należy chociażby fenomenalną poetkę amerykańską, Emily Dickinson. Inni pisarze zastrzegają sobie wyraźną datę, kiedy po ich śmierci będzie można ogłosić utwory, których publikacji przed tą datą z różnych przyczyn sobie nie życzą. Rzadkim okazem, jeśli nie unikatem w dziejach piśmiennictwa jest Samuel Pepys, sekretarz Admiralicji brytyjskiej w czasie restauracji Stuartów. Jego słynny „Dziennik", pisany w latach 1660-1669 ujrzał tzw. światło dzienne dopiero w roku 1825, i to po odcyfrowaniu i rozszyfrowaniu tekstów, spisanych nie tylko systemem „tachygraficznym" Sheltona, ale i przy pomocy szyfrów, znanych jedynie autorowi. Do innej już kategorii „pism pośmiertnych", zaliczyć trzeba utwory, których autor nie tylko nie chciał ogłaszać, ale polecił je zniszczyć wykonawcom swej ostatniej woli. Jeśli dziś mimo to utwory te znamy, stało się to dzięki nielojalności owych wykonawców testamentu autora. Uważali oni za rzecz ważniejszą, żeby świat czytający dzieła te poznał, niż aby życzenie testatora zostało uszanowane. Nie trudno się domyśleć, o kim mówimy. Klasyczny, a tak dla nas cenny przykład zlekceważenia ostatniej woli Franza Kafki, jest dziełem jego przyjaciela, również niemieckiego pisarza z Pragi, Maxa Broda. To jemu polecił Kafka spalić całą swą rękopiśmienną puściznę.

Kto zna pisma Kafki, a zwłaszcza kto je czytał w czasie ostatniej wojny, zdumieć się musiał, nie tylko ich tematyką, symboliką, obrazowaniem czy stylizacją, lecz nade wszystko ich straszliwie aktualną dzisiaj „filozofią", tak proroczo wybiegającą naprzód czasom, kiedy żył i pisał autor „W kolonii karnej" i „Procesu". Czytając dziś te dzieła, ale również i najbardziej osobiste zwierzenia Kafki w jego listach czy w „Dzienniku", odczuwamy niemal dotykalnie patos wyrzeczenia się autora wszelkich przywilejów, będących udziałem modnych za jego życia pisarzy niemieckich i nie tylko niemieckich. Czujemy w tych utworach jakąś majestatyczną ponadczasowość, nie mówiąc już o zdumiewającym jasnowidzeniu spraw, które dopiero dzisiaj uświadamiamy sobie w pełni.

Rozmaite mogą być przyczyny, dla których jasnowidzący gruźlik z Pragi żądał spalenia swych najważniejszych dzieł. Może

ulitował się nad czytelnikami, z których niejeden zginął w „kolonii karnej", lub spłonął w piecach krematoryjnych kacetów? Może chciał im Kafka oszczędzić świadomości tego, co ich spotka? Od śmierci Dostojewskiego do śmierci Kafki upłynęły zaledwie czterdzieści trzy lata, a jednak wieki dzielą procesy, przedstawione w powieściach autora „Zbrodni i Kary" i „Braci Karamazow" od „Procesu" Kafki. Wieki, wypełnione kataklizmami. Ci, co wyszli z nich żywi, stali się innymi ludźmi. U Dostojewskiego sądzono i skazywano istotnych zbrodniarzy lub duchowych współuczestników zbrodni. W każdym razie skazywano ludzi, których zarówno prawo Boskie, jak i ludzkie mogło o coś obwinić. Kafka, w swych niesamowicie spokojnych, harmonijnie skomponowanych wizjach tortur moralnych i fizycznych oraz w wizjach zagłady, antycypuje nadciągający koszmar *historycznej rzeczywistości,* kiedy to w Europie skazywano bez sądu i masowo uśmiercano ludzi niewinnych. Wydaje mi się, że tego rodzaju proroctwa nie miały precedensu w beletrystyce. I kto wie, czy ostatni prorok żydowski ze złotej Pragi XX w., przez spalenie swych książek, w których z precyzją zegarmistrza obnażył mechanizm absurdu i grozy, — nie chciał złożyć ofiary milionom ludzi, spalonym przez ludzi — w niespełna dwadzieścia lat po swojej śmierci. Są to nasze prywatne przypuszczenia. Faktem wszakże pozostaje, że zarówno zawartość jak i forma „pism pośmiertnych" Kafki mogą służyć za ilustrację naszej tezy o czystości, niewinności i szlachetności utworów, *nie* przeznaczonych do druku za życia autora.

◆

Mówiąc o Kafce i jego proroczych widzeniach, wkroczyliśmy w rewiry męczeństwa. Tak więc do omówionych tu rodzajów „pism pośmiertnych" przybywa nowy, który nam stworzyli męczennicy i bohaterowie ostatniej wojny. W przeciwieństwie do autorów, nie życzących sobie, aby ich pisma były ogłaszane i czytane po śmierci, pisarzom — więźniom kacetów, łagrów i gett, skazańcom, idącym na śmierć w komorach gazowych czy na placach egzekucji, bardzo zależało na tym, aby tzw. świat dowiedział się z ich pism, co przecierpieli, zanim ich zgładzono. Pisma męczenników i bohaterów, to już nie tylko „pisma pośmiertne", ale dokumenty krzywdy, krzyki lub śpiewne lamenty utrwalone wierszem lub prozą na skrawkach często przemyconego papieru — w tzw. obliczu śmierci. Jakie było to „oblicze", w które musieli spoglądać, o tym nie mogą dać należytego pojęcia nawet ich własne, najbardziej przejmujące, utwory. Grozę

tego „oblicza" mógłby tylko Goya wyrazić i to Goya z ponurego okresu swej twórczości, utrwalonego w tzw. „czarnych obrazach", wiszących w Prado. Polscy i żydowscy poeci z warszawskiego getta oraz z powstania 1944 r. spoglądali w „oblicze" śmierci męczeńskiej *świadomie*. Toteż ich „pisma pośmiertne", nawet o tematyce dalekiej temu, co przeżywali w getcie czy na barykadach, oblewa i nobilituje nieziemskie światło. Młodzi poeci, którzy zginęli, walcząc w Powstaniu Warszawskim: Krzysztof Baczyński, Tadeusz Gaycy, Zdzisław Stroiński, — byliby zapewne wybitnymi poetami, nawet gdyby przeżyli powstanie i wojnę, ale niestety pozostały po nich jedynie „pisma pośmiertne", aż zadziwiająco spokojne, gdy zważymy, w jakich powstały warunkach.

Znamy jeszcze inną twórczość, może mniej dojrzałą artystycznie, ale nie mniej wstrząsającą, jako dokument. Znakomity historyk okupacji niemieckiej w Polsce, powstania warszawskiego i powstania w getcie, Władysław Bartoszewski, ogłosił niedawno w „Twórczości" artykuł pt. „Polskie judaica literackie w publikacjach konspiracyjnych lat 1939-1944". Dowiadujemy się z tego artykułu, że w piśmie konspiracyjnym „Kultura Jutra" (nr 8/9 za sierpień-wrzesień 1943) ukazał się wiersz pt. „Rzeczy" — „porzucony na ulicy przez młodą Żydówkę, prowadzoną przez Niemców z małego do dużego getta, w którym masakrowano wówczas ludność żydowską. „W ten sposób" — pisze Bartoszewski — „ogłoszono w polskim piśmie literackim jedyny bodaj utwór poety gettowego, który uzyskał tą drogą znaczny rozgłos. Autorem „Rzeczy" był bowiem faktycznie Władysław Szlengel, który zginął w getcie warszawskim podczas walk kwietniowych".

Podobnych utworów, o nierównej wartości literackiej, znajdujemy więcej w cennej antologii wierszy o Żydach pod okupacją niemiecką, którą to antologię pieczołowicie opracował i w roku 1947 wydał zasłużony badacz tego odcinka literatury, żołnierz polskiego podziemia, Michał M. Borwicz pt. „...Pieśń ujdzie cało". Ten sam pisarz ogłosił w Paryżu, w roku 1955, po francusku, obszerne studium socjologiczne pt. „Ecrits des condammés à mort sous l'occupation allemande (1939-1945)", na podstawie którego uzyskał w Sorbonie doktorat.

Nie tylko Polska dostarczyła piśmiennictwu smutnego pokłosia z terenów, zżętych tzw. eksterminacjami. Nawet naród eksterminatorów może się poszczycić literackim pomnikiem, wystawionym własnym ofiarom hitlerowskiego terroru. Właśnie w krakowskim „Tygodniku Powszechnym" z 7 października 1962 przeczytaliśmy kilkanaście wierszy niemieckich pióra ofiar hitle-

ryzmu. Wiersze te wybrał z antologii pt. „An den Wind geschrieben" („Pisane na wiatr") i pięknie spolszczył Piotr Lachmann, Niemiec, piszący po polsku, a zamieszkały w Republice Federalnej. Oto, co oznajmia nam Lachmann na marginesie wstrząsającej książki: „Ta książka nie jest antologią liryki. Jest modlitewnikiem, powstałym w chwili pożaru świata. Poeci nie żyją... Ta antologia jest nagrobkiem". A dalej: „Euterpe nie potrafiła zgasić ognia pod paleniskami śmierci. Poezja okazała się niczym wobec śmierci, wobec ogromu przemocy". Nie mogę oprzeć się przytoczeniu krótkiego utworu z antologii wierszy „Pisanych na wiatr". Piotr Lachmann nie podaje nazwisk autorów ani autorek, nie wiemy więc, kto w roku 1942 napisał wierszyk pt. „Módlmy się":

„Jesteśmy zmarłymi
ponad światem
Nie mamy ostatniej woli,
tylko o jedno prosimy:
Módlcie się, módlcie
byśmy byli zbawieni".

Módlmy się więc i za niemieckich poetów-męczenników.

◆

Wróćmy jednak do „pokojowego" trybu życia i do śmierci „naturalnej".

Podobnie jak miłość, może i śmierć, a raczej świadomość śmierci, stać się podnietą twórczości. Niejeden piękny utwór wyrósł na drożdżach śmierci. W młodych latach ulegamy przeważnie ziemskim pasjom, które nas zaślepiają, a niekiedy i zwężają widnokrąg. Życie wypełniają nam wtedy walki, marzenia i nadzieje. Dążymy do spełnienia marzeń i czasem nam się to udaje. Z tych marzeń, spełnionych lub niespełnionych, z fantastycznych iluzji i snów na jawie, powstają dzieła sztuki. Miłość zmysłowa ostrymi biczami smaga nasze ambicje i zmusza do szukania piękna, czasem kosztem prawdy, nb. o ile prawdziwe piękno też nie jest prawdą. Bez miłości czy też, jak to szpetnie dziś mówią, bez „sexu", nie byłoby zapewne sonetów Szekspira, ani Petrarki ani Mickiewicza. Ale przychodzi chwila, gdy poetę przestają rozmarzać ziemskie rozkosze, i już nie spodziewa się on tzw. sercowych zwycięstw. Miłość przestaje zapładniać jego wyobraźnię, najwyżej staje się wspomnieniem. Wtedy zjawia się śmierć, jako najwyższy autorytet w zakresie twórczych ambicji,

często nawet jako ich rywal. — I już do końca życia, choćby ono miało trwać jeszcze długo i być płodne, artysta tworzy w zimnym, krystalicznym blasku śmierci. Ogarnia go fascynacja śmierci, którą pragnie przezwyciężyć. Wszystkie sprawy życia rozpatruje on już z perspektywy przemijalności, ocenia je na podstawie tego, co z tych spraw może się ostać. Blask śmierci, wciąż dojrzewającej w nas i zawsze obecnej, niezależnie od tego, co sobie wyobrażamy po jej spełnieniu, obdarza artystę niezmąconym spojrzeniem na świat i na jego tajemnicze sprawy. Prawie każde dzieło literackie, noszące na sobie (nie zawsze dostrzegalne) ślady tego blasku, można zaliczyć do „pism pośmiertnych". Obecność śmierci poleruje strofy poezji lirycznej, wpływa na jej tonację i zabarwienie, nawet jeśli to jest poezja sielankowa. Istnieją poeci tak bardzo „zżyci" z śmiercią, iż z tej koegzystencji właśnie czerpią siły do walki z otaczającym ich chaosem. Jak gdyby tylko dzięki wzmożonej świadomości śmierci mogli posiąść wiedzę o życiu. Rzeczy ostateczne, których kształtowanie zawsze nęciło artystów wszelkiego autoramentu, wpływają nawet na wybór środków wyrazu. Można pisać o uciechach życia, malować Arkadie i Cytery, a mimo to znajdować się pod ciśnieniem rzeczy ostatecznych, a więc śmierci i wszystkiego, co po niej ma lub nie ma nastąpić.

Znów musimy wspomnieć Kafkę. Maurice Blanchot w swej kapitalnej, ale nie dość znanej książce pt. „L'Espace littéraire" przytacza z dziennika Kafki takie, w grudniu 1914 roku zanotowane refleksje:

„Po powrocie do domu oznajmiłem Maxowi że jeśli bóle nie będą zbyt duże, będę na łożu śmierci bardzo zadowolony. Zapomniałem tylko nadmienić, a później rozmyślnie to pominąłem, że najlepsze rzeczy, jakie napisałem, powstały z tej właśnie zdolności umierania z zadowoleniem". Znamienne to oświadczenie komentuje Blanchot w ten sposób: „Nie można pisać, jeśli nie jest się panem siebie w obliczu śmierci, jeśli nie ułożyło się stosunków z nią na *zasadzie suwerenności*". (Podkr. moje). A dalej: „Kafka odczuwa tutaj głęboko, że sztuka to jest stosunek do śmierci. Dlaczego do śmierci? Ponieważ jest ona ostatecznością". Następnie stwierdza Blanchot, iż „geniusz stawia czoło śmierci, jego dzieło zaś — to śmierć udaremniona, lub, jak powiada Proust — to śmierć mniej gorzka, mniej haniebna, a może nawet mniej prawdopodobna".

Jakąż to śmierć nazywał Proust haniebną? Nie przeczuwał jak Kafka „kolonii karnych". Miał chyba na myśli tchórzliwe umieranie. Ale wszyscy pisarze i artyści lepiej lub gorzej „zżyci" z śmiercią — przed nastaniem „czasów pogardy" — oczekiwali

albo też bali się śmierci „normalnej", w każdym razie czegoś, co można było sobie wyobrazić. Na śmierć „normalną" można było przygotowywać się latami, nawet wewnętrznie kostiumować się na jej przyjęcie. Śmierć, którą Kafka chciał przyjąć „z zadowoleniem" lub ta, która, pozwoliwszy mu łaskawie ukończyć jego wielkie dzieło, zabrała, przez długie lata mocującego się z nią Prousta, taka śmierć mogła być marzeniem niejednego poety w Polsce w latach 1939-1945.

Mieczysław Jastrun w swym pięknym „Micie Śródziemnomorskim" opisuje jak siedział „w alei kwitnących kasztanów na kolonii małych jednorodzinnych domków w niedalekiej stosunkowo odległości od muru, za którym płonęło getto warszawskie. Obok mały chłopiec śledził wesołymi oczami lot bombowca, zrzucającego śmiercionośny ładunek na zamkniętą dzielnicę, gdzie bez żadnej nadziei umierali ludzie. Moje dawne odczucie obcości bytu, owa trwoga i nuda, które ogarniały mnie nagle wśród gwaru i jaskrawości przyrody, albo w miejscu, gdzie było dużo ludzi, wśród brzęczenia muzyki i zaduchu, teraz ukazywały swoje niespodziewane spełnienia, swoje sąsiedztwo gwałtownej śmierci, wobec której to, co nazywamy umieraniem było *krajem spokoju i nieomal pomyślności*". (Podkr. moje).

Tak jest: pomyślności. O ile słowo: pomyślność oznacza to, co dzieje się *po myśli człowieka.* Nagła i gwałtowna śmierć nigdy nie była *po myśli* człowieka. Ale czasy, w których wypadło nam żyć i umierać oduczyły nas zarówno życia jak i umierania po *naszej* myśli. A jeśli jesteśmy pisarzami, piszemy nieomal zawsze *in articulo mortis.* Pogodziliśmy się już z myślą, że w każdej chwili może nas owa *mors* zaskoczyć: nie tylko nas samych, ale wraz z nami miliony zdrowych ludzi. To ustawiczne śmiertelne pogotowie nie musi być źródłem chronicznej paniki. Przeciwnie: może nas zahartować moralnie, a u pisarza, godnego tej nazwy, może stać się źródłem nowej siły i godności. Wszystko, co ma do powiedzenia, może w tej sytuacji zyskać ciężar słów, powiedzianych na odchodnym. Na odchodnym — na zawsze. Niezależnie od świadomości czy nieświadomości, dokąd odchodzi. W takich warunkach każda poważna pieśń stać się może śpiewem łabędzim. A już święty Hieronim, którego malarze wszystkich czasów przedstawiają jako wielkiego starca, sławił słodycz łabędzich śpiewów:

Nescio quid cygneum et solito dulcius vicina morte cecinit
(Epistola 52, 3, ad Nepotianum)

Pobliże śmierci może więc uintensywnić i uszlachetnić pieśń, napełniając ją transcendentalnym natężeniem i promieniowaniem.

I choćbyśmy w poezji, jak Dante, ciskali inwektywy i przekleństwa, będą to inwektywy i przekleństwa nie tylko pod adresem współczesnych.

Piszmy więc, i już za życia ogłaszajmy nasze utwory „na zasadzie" pism pośmiertnych. Nawet siedząc w kawiarniach, „Europejskich," czy „Ziemiańskich", piszmy *in articulo mortis.* (Tym bardziej że te kawiarnie przedwojennej Warszawy należą już do świata umarłych). A jeśli dzieło literackie istotnie ukazuje twarz autora, niechże to będzie jego prawdziwa twarz, a nie gęba zniekształcona grymasem pychy, próżności lub samoubóstwienia.

Podobno tylko maska pośmiertna może ukazać prawdziwą twarz człowieka. Często maska ta bywa jedynym dowodem, iż człowiek ów miał własną twarz. Toteż każde uczciwe dzieło literackie jest właściwie pośmiertną maską autora, zrobioną już za życia.

Nie przeceniajmy jednak wagi naszych pism, nawet pośmiertnych, wobec spraw ostatecznych. Piękną naukę dał nam w tej materii umierający Bernanos. Ksiądz Daniel Pezeril, obecny przy śmierci pisarza, tak opisuje jedną z ostatnich z nim rozmów: „Rozmawialiśmy o Bogu, który może już wkrótce przyjmie go do Siebie. Kiedy wspomniałem Bernanosowi, że jego dzieło przyczyni się za nim u Stwórcy. Bernanos odparł: „Nie jestem odpowiedzialny za to co stworzyłem... *Virtus de illo exibat...* Jestem odpowiedzialny tylko za to, czym *nie* byłem".

◆

P.S.: — Dobrze — powie łaskawy Czytelnik, — ale co się stało z twoim postanowieniem, powziętym w młodości, w kawiarni Europejskiej? Jak każdy „zawodowy" pisarz nadal ogłaszałeś swe utwory, w Polsce i zagranicą, i normalnie, po ludzku, reagowałeś na ich przyjęcie u publiczności.

To prawda: nie wytrwałem w młodzieńczym, dziwacznym, jak dziś wydaje mi się, postanowieniu. Musiałem piórem zarabiać na życie. A z pism pośmiertnych trudno autorowi wyżyć. Ale coś z tego zostało we mnie na resztę życia. Zostały pewne, działające po dziś dzień, hamulce. Pod wpływem idei „pism pośmiertnych" wyhodowałem w ciągu tylu lat dość hardy imperatyw, nakazujący ostrożność w kształtowaniu opinii, nawet przy budowie zdań i komponowaniu obrazów. Tak, jakby te opinie, zdania i obrazy miały istnieć niezależnie od mego losu na ziemi i niezależnie od moich stosunków z ludźmi. Tak, jakby zaraz po napisaniu mych utworów, moje życie miało się skończyć.

1962

LISTA SUBSKRYBENTÓW

Theodore Abel	New York
Edward Abramowicz	Milwaukee, Wisc. (USA)
Eugenia Acharkan	Tel-Aviv (Izrael)
J. George Adashko	New York
Julian Akst	Lugano (Szwajcaria)
Alliance College Library	Cambridge Springs, Pa. (USA)
Edward R. Anczo	New York
Dr Eugenia Anderman	New York
Sylwia Andronik	New Canaan, Conn. (USA)
L.M. Arendarski	New Westminster, B.C. (Kanada)
Dr Richard T. Augenblick	Scarsdale, N.Y. (USA)
Maria Babicka	New York
Stanley Babula	No. Riverside, Ill. (USA)
F.B. Bahyrycz	Marius, Man. (Kanada)
Jerzy Bajor	New York
Joseph E. Balk, M.D.	Longmeadow, Mass. (USA)
Artur Balsam	New York
Lon Band	Los Angeles, Cal. (USA)
R.W. Bartke	Seattle, Wash. (USA)
Kazimierz Bazanowski	Bronx, N.Y. (USA)
Alfred Berlstein	New York
Stanisław Bezeg	Chicago, Ill. (USA)
Irena Bieberstein	New York
Jan Bielatowicz	Londyn
Danuta Bieńkowska	Toronto, Ont. (Kanada)
Józef Bieszczad	Londyn
Paul Birnbach	Wiedeń
Janusz Bloch	Spirano, Bergamo (Włochy)
K. Błachut	Forest Park, Ill. (USA)
Barbara Bobkowska	Guatemala City (Guatemala)
Zofia Bohdanowiczowa	Toronto, Ont. (Kanada)
Aleksandra Bomba	Northlake, Ill. (USA)
Janina i Henryk Bonarowie	Toronto, Ont. (Kanada)
Christine Borawska	Rochford, Ill. (USA)

Mieczysław Bornet	Toronto, Ont. (Kanada)
Aniela Borowik	New York
Ludwig T. Borowski	Cambridge, Mass. (USA)
Lucja M. Borski	Washington
M. Borys	Monachium (Niemcy)
Czesław Borzobohaty	Omaha, Nebraska (USA)
Marius L. de Bransbourgh	New York
George Braynack	Bronx, N.Y. (USA)
Aleksander Bregman	Londyn
Helen O. Bristol	Cape May, N.J. (USA)
Wł. Brochwicz	Knutange, Moselle (Francja)
Stanisław i Aniela Brogowie	Kurralta Park (Australia)
Stella Ewa Bromirska	New York
Anna Bryła	Regina, Sask. (Kanada)
Jan Brzękowski	Paryż
Helena Burk	Silver Spring, Md. (USA)
Kazimierz Buterlewicz	West Hartford, Conn. (USA)
Tomira Buxell	Hanover, N.H. (USA)
Władysław Buzek	Coraopolis, Pa. (USA)
Jan J. Bychowiec	Chicago, Ill. (USA)
Maria Bychowska (4)	New York
The Canadian Legion	Toronto, Ont. (Kanada)
Dr George Carter	New York
A.H. Cassel-Kokczyński	Londyn
O. Wacław Chabrowski	Doylestown, Pa. (USA)
Walter J. Chałupnik	Many, La. (USA)
Stefan Charaszkiewicz	Buenos Aires
Maryan Chodacki	New York
Vincent C. Chrypiński	Flat Rock, Mich. (USA)
Dr Olgierd W. Ciniewicz	Edmonton, Alta. (Kanada)
Adam Ciołkosz	Londyn
Adela Citron	New York
Cleveland Public Library	Cleveland, Ohio (USA)
S. Cwynar	Bestwood Park, Nott. (Anglia)
Wacław Cytrycki	New Britain, Conn. (USA)
Maria i Józef Czapscy	Maisons-Laffitte (Francja)
Marya Czarnecka-Lilien	Chicago, Ill. (USA)
Bogdan Czaykowski	Vancouver, B.C. (Kanada)
Wawrzyniec Czereśniewski	Monachium (Niemcy)
Czesław Czuchwicki	Largs Bay, S.A. (Australia)
Stanisław Dabrowski	North Canton, Ohio (USA)
Anna Darno	New York
Natalia Dąbrowska	Buenos Aires
Ks. Zbigniew Delimat	Wingles, P.-de-C. (Francja)
M. Demidecki	Londyn
Dr Tadeusz L. Dereń	Pennsaukin, N.J. (USA)
Tomasz F. Dereń	Merchantville, N.J. (USA)
Dr Helena Deutsch	Cambridge, Mass. (USA)
Dr Z. Dische	New York
Dr Henry Długi	New York
Wiesław Domaniewski	Waterbury, Conn. (USA)

Maria Dorosiewicz	Toronto, Ont. (Kanada)
K. Dorwski	Monachium (Niemcy)
Joseph Dowhopoluk	Kemano, B.C. (Kanada)
Kazimierz Drążyk	Hamilton, Ont. (Kanada)
Dr Zofia Drozdowska	Detroit, Mich. (USA)
Stanisław Dudziński	Latrobe, Pa. (USA)
Maria Dwojacka	Glen Head, N.Y. (USA)
M.J. Dybek	Los Angeles, Cal. (USA)
Gaby A. Dyner-Dynowska	New York
Irena Dyrcz	Gloversville, N.Y. (USA)
M.K. Dziewanowski	Watertown, Mass. (USA)

Jan Edwards	New York
Dr Ludwig Eidelberg	New York
Rosalia Eiger	New York
Adolf Endelman (2)	New York
Enoch Pratt Library	Baltimore, Md. (USA)
Eryk Erben	Warszawa
Wiktor Erlich	Hamden, Conn. (USA)

Felix J. Falencki	Parentum, Pa. (USA)
Karin Falencki (5)	New York
Rudolf Falkowski	Montreal, Que. (Kanada)
Theresa Fand	Great Neck, N.Y. (USA)
Helena Fedorowicz	New York
Dr Norbert Fethke	Amsterdam, N.Y. (USA)
Valerie Filipp	Massapequa, N.Y. (USA)
Jadwiga Finkelstein	Brooklyn, N.Y. (USA)
Inż. Jerzy Stanisław Flaum	Toledo, Ohio (USA)
Wacław Stefan Flisiński	Brooklyn, N.Y. (USA)
Dr Zbigniew Folejewski	Toronto, Ont. (Kanada)
Felix Franaszek	Utica, N.Y. (USA)
Alfred B. Frank	New York
Freie Universität Berlin	Berlin
Dr Ludwik Frendl	Paryż
Maximilian Friede (6)	New York
Rev. Alexander W. Fronczak	Wallington, N.J. (USA)
Joseph Fryd	Rzym
Jan Fryling	New York
Dr Ludvico Fuerstenberg	Buenos Aires
W. Fularska	Brantford, Ont. (Kanada)
Dr Kazimierz Furdyna	Chicago, Ill. (USA)

Feliks Gadomski	Jackson Heights, N.Y. (USA)
I.M. Galik	Brooklyn, N.Y. (USA)
Jadwiga i Adam Galińscy	Washington
Rev. J. Gałat	Philadephia, Pa. (USA)
Jacek Gałązka	New York
Mrs Adolf I. Gerl	New York
Janina Gerlach	Norwalk, Conn. (USA)
C. Giera	Perth Amboy, N.J. (USA)

Stanisław i Ewa Gieratowie	Bronxville, N.Y. (USA)
Adam Gillon	New Paltz, N.Y. (USA)
George Glance	New York
Dr George B.J. Glass (2)	New York
Tadeusz Godziszewski	Brooklyn, N.Y. (USA)
T.J. Goethel	Peterborough, Ont. (Kanada)
Jan Gogulski	Londyn
Stanisław Gombiński	Paryż
Paul Gorecki (2)	Greenfield, Mass. (USA)
Jarosław Górski	Puerto Ordaz (Venezuela)
Feliks Gross	New York
Mieczysław i Zena Grot-Zakrzewski	West Simsbury, Conn. (USA)
Dr Enrique Gruber	Buenos Aires
Alex Gruenberg	Kew Garden Hills, N.Y. (USA)
Joseph S. Gruss (20)	New York
Janina M. Grzędzielska	Boston, Mass. (USA)
Józef Gudel	Chicago, Ill. (USA)
Halszka Guilley-Chmielowska	Argèles-Gazost, H.P. (Francja)
Dr and Mrs. R.J. Hagadus	Meksyk
Maria Halstead	Washington
Harvard College Library Slavic Section	Cambridge, Mass. (USA)
Prof. M.A. Heilperin	Genewa
Jadwiga K. Henoch	Toronto, Ont. (Kanada)
Edward Henzel	Edmonton, Alta (Kanada)
Zygmunt Hergesel	Flushing, N.Y. (USA)
Gustaw Herling-Grudziński	Neapol
Aleksander Hertz	Jackson Heights, N.Y. (USA)
Anna Heydenkorn	Toronto, Ont. (Kanada)
Eva Hoffman	Brooklyn, N.Y. (USA)
Ludwik Honigwill	Jackson Heights, N.Y. (USA)
Mieczysław Horszowski	New York
Dr Victor F. Huppert	New York
Marc Hurvic	Paryż
Stanisław Hurwicz	Sedgefield (Anglia)
Joseph Imich	New York
Indiana University Library	Bloomington, Ind. (USA)
Wacław Iwaniuk	Toronto, Ont. (Kanada)
Wacław Iwanowski	Milton, Mass. (USA)
Olga Izdebska	Burlingame, Cal. (USA)
K. Jabłowski	Rzym
Dr Zygmunt Jaffe	New York
Kazimierz Jagodziński	Newark, N.J. (USA)
Edward Jakubowicz	Montreal (Kanada)
Lucy Jampoler	New York
Wojciech Janczys	Ansonia, Conn. (USA)
Antoni Jankowski	Montreal (Kanada)

Aleksander Janta	Elmhurst, N.Y. (USA)
Janina Jaroszyńska	Jersey City, N.J. (USA)
W. Jasińska	Paryż
Karol T. Jaskólski	Brighton, Mass. (USA)
Józef Jenne	Caracas (Venezuela)
George Jeziorański	Chicago, Ill. (USA)
Edward Jeżak	Brighton, Mass. (USA)
Prof. Wacław Jędrzejewicz	Queens, N.Y. (USA)
Andrzej Jundziłł	Londyn
A. Jurczyńska	Londyn
Zbigniew M. Jurewicz	Raylite Farm, Fife (Anglia)
Stella Jurjewicz (2)	Cleveland, Ohio (USA)
Teodora Kaczorek	Farmingdale, N.Y. (USA)
L. Kalamarz	Lakewood, Ohio (USA)
Michael E. Kalina	New York
Dr Franciszek Kałuża	New Muckleneuk, Pretoria (Afryka Poł.)
Zofia i Jan Kamieńscy	Toronto, Ont. (Kanada)
Zofia Kamieńska (Klub Polski)	Toronto, Ont. (Kanada)
Kazimiera Kamińska	Brooklyn, N.Y. (USA)
Mrs. N. Kapitan	Dunsville, Ont. (Kanada)
Josef Karpiński	Irvington, N.J. (USA)
Jan Karski	Washington
Aleksander Kawałkowski	Paryż
J.A. Kawka	Londyn
Jan Kempka	Mt. Vernon, N.Y. (USA)
Milton Kestenberg (5)	New York
W.J. Kędzierski	Montreal (Kanada)
Zygmunt Kiciński	Buenos Aires
Wiktor Kiełkowski	Chicago, Ill. (USA)
Dr Joseph F. Kij	Lackawanna, N.Y. (USA)
Anna Kipper	Bogota
Hanna Kister	New York
B. Kitaszewski	Guilford, N.S.W. (Australia)
Henryk Kitaszewski	Guilford, N.S.W. (Australia)
Włodzimierz Klawe	Jackson Hights, N.Y. (USA)
Klub Polski w Toronto (nagroda za najpiękniejszą suknię na balu sylwestrowym)	Toronto, Ont. (Kanada)
Klub Polski w Toronto (nagroda za najpiękniejszy kostium na balu kostiumowym Klubu) (2)	Toronto, Ont. (Kanada)
Helena Kluz	Ambridge, Pa. (USA)
Dr Józef Kłupt	Londyn
Włodzimierz Knobelsdorff	Bridgeport, Conn. (USA)
Antoni Kolęgowski	Edmonton, Alta (Kanada)
Antoni Kolton	Milwaukee, Wis. (USA)
Koło SPK nr 182	Welligton, Salop (Anglia)
Stefan Komornicki	Elgin, Cape (Afryka Poł.)
Jan Bogusław Kon	Montevideo
Maria Konopacka	Cleveland, Ohio (USA)
Jeanette Kopec	Wilmington, Del. (USA)
Stefan Korboński	Washington

Tola Korian i Tymon Terlecki	Londyn
Victor Kornfeld	Antwerpia
Halina Korsak	New York
T.Z. Korsak	Pittsburgh, Pa. (USA)
Eleonora Korzeniowska	Cambridge, Mass. (USA)
Inż. Witold W. Kosicki	Ogunquit, Maine (USA)
Dr Tadeusz R. Kosiński	St. Bernard, Ala. (USA)
Edward Kosowicz	Maywood, N.J. (USA)
The Kościuszko Foundation (10)	New York
Helena Kotler	Brooklyn, N.Y. (USA)
August Kowiak	Cleveland, Ohio (USA)
Aleksandra Kozłowska	Paryż
S.W. Kozłowski	Monachium (Niemcy)
Felicja Krance	Oshkosh, Wis. (USA)
Wanda Krasuska	Toronto, Ont. (Kanada)
Dr Edward Kronold	New York
Jan M. Król	New York
Karol J. Krótki	Karachi (Pakistan)
Stefan Kruk	New York
Zbigniew Antoni Kruszewski	Chicago Ill. (USA)
Magnus Jan Kryński	Pittsburgh, Pa. (USA)
Irena Krzeczowska	Montreal (Kanada)
Jadwiga Krzyżanowska	Buenos Aires
Eustachy Krzyżanowski	Albany N.Y. (USA)
Ludwik Krzyżanowski	New York
Dr A. Kuc	Springs, Tvl (Afryka Poł.)
Jerzy Kucharski	Philadelphia, Pa. (USA)
J. Kulczycki	Londyn
Krystyna Kulpińska	Buenos Aires
Maria Kuncewiczowa	Chicago, Ill. (USA)
Dr Heinrich Kunstmann	Emperbichl (Niemcy)
Mikołaj Kurlit	Detroit, Mich. (USA)
Mr. and Mrs. E. Anthony Kutten	Brookline, Mass. (USA)
Aleksander J. Kwiatkowski	Washington
Inż. Hilary de Laks	Brooklyn, N.Y. (USA)
Mr. and Mrs. Ernest Landau	New York
Laras Export-Import Travel Agency	Chicago, Ill. (USA)
Janusz Laskowski	Thorenc, A.M. (Francja)
Dr O.E. Lauterbach	Los Angeles, Cal. (USA)
Ignacy Lech	Long Marston, Nr Stratford-on-Avon, (Anglia)
F.T. Lennox	Toronto, Ont. (Kanada)
Wadym Lesytch-Kirshak	Bronx, N.Y. (USA)
Ludwik Leszczyński	Wiedeń
Dr S. Leszczyński	Leeds (Anglia)
Ks. Henryk Leśniewski	Scarsdale, N.Y. (USA)
Jan Librach	New York
Karola i Józef Lichtenowie	New York
Anna Maria Lipska	New York
Jerzy Lisowski	Toronto, Ont. (Kanada)
Edmund Liszka (2)	Hartford, Conn. (USA)
Halina Lityńska	Forest Hills, N.Y. (USA)
Dr Cezare Lombroso	Brookline, Mass. (USA)

Wiktor Londzin	Los Altos, Cal. (USA)
Borys Lotocki de Veligost	Flushing, N.Y. (USA)
Wanda Ładniewska	Paryż
Bolesław T. Łaszewski	Forest Hills, N.Y. (USA)
Jolanta Łoś	Bruksela
Rev. Dr F. Maciaszek	Hyde Park, Mass. (USA)
Danuta i Jerzy J. Maciuszko	Cleveland, Ohio (USA)
Józefa Maczulska	Detroit, Mich. (USA)
Jack K. Maćkowiak	Watertown, Mass. (USA)
Andrzej Madeyski	Montreal (Kanada)
Halina Maeder (2)	Spreitenbach (Szwajcaria)
Dr Z.A. Makomaski	Poughkeepsie, N.Y. (USA)
Stanisław Makuch	Montreal (Kanada)
Ks. Louis Makulec	New York
W.R. Malinowski	Jamaica, N.Y. (USA)
Jewhen Małaniuk	Forest Hills, N.Y. (USA)
Zbigniew Małecki	Montreal (Kanada)
Dr Antoni S. Małłek	Pittsburgh, Pa. (USA)
Irena Maramorosch	Scardale, N.Y. (USA)
Edward E. Markoe	New York
Mr. and Mrs. A.W. Marth	New York
Wacław Matkowski	Forest Hills, N.Y. (USA)
Paweł Mayewski	New York
Halina Mazaraki	New York
Mjr. S.M. Mażewski	Canadian Armed Forces, Europe
Aleksander Mełeń-Korczyński	New York
Zygmunt Menkes	New York
Inż. Kazimierz Mędrzecki	Lidingö (Szwecja)
Dr J.K. Michalski	Toronto, Ont. (Kanada)
Aniela Mieczysławska	New York
St. M. Mikiciuk	Monachium (Niemcy)
Zygmunt Modzelewski	New York
Z. Stan. Mokrzycki	Toronto, Ont. (Kanada)
S. Monseu	Bayside, N.Y. (USA)
S. Morawski	Rzym
Dr Jan Morelowski	New York
Joseph B. Morgens	New York
Danuta Mostwin	Baltimore, Md. (USA)
Ks. Mieczysław Mroziński	Brooklyn, N.Y. (USA)
Irena i Stanisław Mrozowscy	Buffalo, N.Y. (USA)
Jan Musiał, Vistula Agency (5)	New Britain, Conn. (USA)
Capt. C.F. Namiesniowski, R.C.N.	Ottawa
Jan K. Narolewski	Chicago, Ill. (USA)
George Nassberg	New York
Wanda Nawojska	Talange-Hagondange, Moselle (Francja)
Ks. dr I. Nazarko, OSBM	Rzym
New York Public Library (2)	New York

John Niecіecki	Chicago, Ill. (USA)
K. Nowicki	Moorabin, Vic., (Australia)
Tadeusz Nowotarski	Vassincourt, Meuse, (Francja)
Witold Nurczyński	Dorchester, Mass. (USA)
Dr Leopold J. Obierek	New York
Czesław Ochman	Montreal (Kanada)
Dr Leszek Ochota	Oskaloosa, Iova (USA)
Cyprian Odorkiewicz	Monachium (Niemcy)
Zygmunt A. Olearczyk	Chicago, Ill. (USA)
„Orbis" (London) Ltd.	Londyn
Tadeusz Z. Orski	Long Island City, N.Y. (USA)
Martha Osnos	New York
Maria Ossowska	Londyn
Tadeusz Ostoja-Steblecki	Berea, Ohio (USA)
Irma i Adam Ostrowscy	Chicago, Ill. (USA)
Dr Marie S. Qnasha	Brooklyn, N.Y. (USA)
Tadeusz Paciorek	Riverside, Cal. (USA)
Marian Pankowski	Bruksela
Ks. Marcel Pasiecznik	Philadelphia, Pa. (USA)
Barbara Pauzer	Highland Park N.J. (USA)
Michał K. Pawlikowski	Berkeley, Cal. (USA)
M.J. Pazdryjowska	Manchester (Anglia)
Łukasz Pągowski	Montreal (Kanada)
Dr Otton K. Pehr	Jackson Heights, N.Y. (USA)
Karol Perkołup	Philadelphia, Pa. (USA)
Ks. Zdzisław J. Peszkowski	Orchard Lake, Mich. (USA)
Janina Petschek	New York
Kazimierza Piasecka	Londyn
Helena Pieńkowska	Wittlich (Niemcy)
Jerzy Pieregut	Union City, N.J. (USA)
J.P. Pietrasz	North Reading, Mass. (USA)
Jadwiga Pikor	Summit, N.J. (USA)
Ks. Franciszek Pilarek	Buffalo, N.Y. (USA)
Wanda Pilat	Brooklyn, N.Y. (USA)
Jan Piórkowski	Passaic, N.J. (USA)
Prof. Ryszard Pipes	Belmont, Mass. (USA)
Teresa Pleszczyńska	Santa Barbara, Cal. (USA)
Maria Pobóg-Malinowska	Paryż
Józef J. Podoski	Washington
Józef Pokorny	Montreal (Kanada)
Polanie Club	Minneapolis, Minn. (USA)
Polish Ass'n in Melbourne (2)	Melbourne (Australia)
The Polish Library (3)	Londyn
Polish Library of the Polish Institute of Arts	Montreal (Kanada)
Polish National Alliance (Educ. Dept) (2)	Chicago, Ill. (USA)
Polski Instytut Naukowy w Ameryce (10)	New York

Janusz W. Popiel	Londyn
Zbigniew Poray-Łukaczyński	New Brunswick N.J. (USA)
Lidia Próchnicka	Brooklyn N.Y. (USA)
Kazimiera Przeworska	New York
Bronisław Przyłuski	Monachium (Niemcy)
Ks. Stanley J. Przysiężniak	Beausejour, Man. (Kanada)
Stanisław Radkowski	Kitzingen (Niemcy)
H.R. Radomski	Toronto, Ont. (Kanada)
Beata Rank (2)	Cambridge, Mass. (USA)
Rachel Rapoport	Brooklyn, N.Y. (USA)
Julian I. Raskin	Scarsdale, N.Y. (USA)
Jan Raykowski	Flushing, N.Y. (USA)
Maryla Reifenberg	Kronberg (Niemcy)
Wiktor Reiff	Sao Paulo (Brazylia)
A Rimydis	New York
T.Z. Robaszewski	Toronto, Ont. (Kanada)
Al. Robinson	Hull (Anglia)
Halina Rodzińska	New York
Wanda L. Roehr (3)	New York
Zofia Romanowicz	Paryż
Helena M. Romis	West Los Angeles, Cal. (USA)
Julia Ronat	New York
J.J. Rosen	West Orange, N.J. (USA)
Dr R.F. Rosleigh	Rose Bay, NSW (Australia)
Jack J. Ross	New York
A.S. Rostan	New York
Jan Rostworowski	Dacrelands, Lancaster (Anglia)
Marceli Roth	New York
Marian Różewicz	Montreal (Kanada)
Ks. Władysław Rubin	Rzym
Helena Rubinstein (100)	New York
Zygmunt Rucker	Rego Park, N.Y. (USA)
Zygmunt Rusinek	Toronto, Ont. (Kanada)
Edward M. Ryglewicz	W. Bristol, Pa. (USA)
Jadwiga Sadowska	Brooklyn, N.Y. (USA)
Kamilla Sadowska	Washington
Dr Simon Salholz	Rego Park, N.Y. (USA)
Mr. & Mrs. L.L. Salton	New York
Edmund Sawicki	Chicago, Ill.
Oskar Schenker	New York
B. Scherer	New York
Ignatius Schnall	Toronto, Ont. (Kanada)
Ludwik Seidenman	New York
Dr Józefa Senser	New York
J. Seńkowska	Coventry (Anglia)
S Sękowski	Auburn, NSW (Australia)
Dr M.V. Shenberg	East Meadow, N.Y. (USA)
Janina Shrier	Elmhurst, N.Y. (USA)
Zbigniew Siatkowski	Cambridge, Mass. (USA)
Antoni Siemak	South San Gabriel, Cal. (USA)
Bogdan J. Sierpiński	New Britain, Conn. (USA)

Rena Silber	New York
W.J. Skalski	Montreal (Kanada)
L.W. Skonieczny	Toronto, Ont. (Kanada)
Józef A. Skornicki	San Francisco, Cal. (USA)
Slaviska Institutionen	Stockholm
Ks. Artur Słomka	Ramsay, N.J. (USA)
Mitchell S. Sniegowski	Chicago, Ill. (USA)
Janusz Sobieniak	Toronto, Ont. (Kanada)
Franciszek Socha	Milwaukee, Wis. (USA)
Tadeusz i Antonina Sołowijowie	Montreal (Kanada)
Kazimierz Sosnkowski	Arundel, P.Q. (Kanada)
K. Sowiński	Monachium (Niemcy)
Dr Henryk Speedby	Londyn
Janina Spiegler	New York
Ks. Stanisław Stachowicz	Long View, Texas (USA)
Leon Stachowski	Hartford, Conn. (USA)
Mr. & Mrs. Z. Staroń	Toronto, Ont. (Kanada)
Anna Stearns (2)	New York
Henryk Stebelski	Mexico City
Dr Jonas Stiehl	New York
Stow. Samopomocy Nowej Emigracji	Chicago, Ill. (USA)
Jacob Strich	New York
Stanisław Strzetelski	Sea Cliff, N.Y. (USA)
Dr Hilary Stykolt	Toronto, Ont. (Kanada)
Janina Surynt-Waroczewska	Toronto, Ont. (Kanada)
Joseph E. Swierzbinski	Jersey City, N.J. (USA)
Dr K.P. Swisterski	Warren, Ohio (USA)
Irena D. Sylwestrowicz	Glenorchy, Tas. (Australia)
Dr W.D. Sylwestrowicz	Bernardsville N.J. (USA)
Stanisław Syput	Toronto, Ont. (Kanada)
Adam T. Syrop, P.E.	Forest Hills, N.Y. (USA)
Dr Henryk Szancer	Flushing, N.Y. (USA)
Blandyna Szawłowska	Detroit, Mich. (USA)
Dobrosław Szczerbik	Buenos Aires
Ewa Szczerbowska	Washington
Marc Szeftel	Seattle, Wash. (USA)
Stanisław Szeglowski	W. Senaca, N.Y. (USA)
Stanisław Szeremeth	New York
Inż. Zbigniew Szpikowski	Toronto, Ont. (Kanada)
Barbara Szubska	Orlando, Fla. (USA)
Dr Brona Szuldberg	New York
Prof. dr Wiktor Szyryński	Grand Forks, N. Dakota (USA)
Wacław Szyszkowski	Chicago, Ill. (USA)
Halina Świdzińska	Rochester, N.Y. (USA)
Tadeusz Święcicki	Paryż
Stefan Świpiarski	San Isidro, Cal. (USA)
Leszek Talko	Rabat (Maroko)
Ks. Józef Tamiłowski	Leechburg, Pa. (USA)
Eugeniusz Tarlerski	St. Kilda, Vic. (Australia)
Wit Tarnawski	Chepstowe Mon. (Anglia)

Adam Tarnowski	Montreal (Kanada)
Zyg Taube	Los Angeles, Cal. (USA)
Aleksander Tempel	San Francisco, Cal. (USA)
S. i F. Thermerson	Londyn
Maria Tilles	Kew Gardens, N.Y. (USA)
Jadwiga i Adam Tomaszewscy	Toronto, Ont. (Kanada)
Zbigniew W. Troskolański	Natal (Afryka Poł.)
Dr Marian Turski	Ile Perrot (Town), Quebec (Kanada)
Aleksander i Felicja Turynowie	Urbana, Ill. (USA)
Włodzimierz Tylkowski	Toronto, Ont. (Kanada)
Ukrainian Book Store	Edmonton, Alta (Kanada)
Dr Stanisław M. Ulam	Los Alamos, New Mexico (USA)
Maria Uniłowska	New York
University of California, General Library	Berkeley, Cal. (USA)
University of Michigan Library	Ann Arbor, Mich. (USA)
University of Pennsylvania Library	Philadelphia, Pa. (USA)
Adam Uziembło	Tübingen (Niemcy)
Kazimierz Vincenz (15)	Solothurn (Szwajcaria)
Jan K. Wagner	Oakland, Cal. (USA)
Karol Wagner	New York
Damian S. Wandycz	Rego Park, N.Y. (USA)
Władysław Wantuła	Woodhaven, N.Y. (USA)
Kazimierz Wasilewski	Chicago, Ill. (USA)
Clara Wasserberger	New York
C. Waszak	St. Kilda, Vic. (Australia)
Aleksandra z Sołowijów Watkins	Sausalite, Cal. (USA)
Bertold Weinsberg	New York
Prof. Wiktor Weintraub	Cambridge, Mass. (USA)
L. Wellisz	Eastchester, N.Y. (USA)
Kazimierz Werner	Milwaukee, Wis. (USA)
Leslie W. Werwicki	Brookfield, Wis. (USA)
Kali Weynerowski	San Francisco, Cal. (USA)
Halina Wiechowska	Chicago, Ill. (USA)
Zbigniew Wł. Wierzbicki	New York
Kazimierz i Halina Wierzyńscy	Elmhurst, N.Y. (USA)
Ks. St. Wiktor	St. Jerome, Que. (Kanada)
Jan Winczakiewicz	Paryż
Janina Wirecki	Flushing, N.Y. (USA)
Andrzej Witold Wiszniewski	Montreal (Kanada)
Eleonora i Edward Witanowscy	East Williston, N.Y. (USA)
Bohdan Witkowski	Sacramento, Cal. (USA)
Wallace A. Witkowski	Arlington, Virginia (USA)
Maria Włodkowska	Nyland, Essex (Anglia)
Jan B. Włodkowski	Portland, Maine (USA)
Dr W.K. Włodkowski	Toronto, Ont. (Kanada)
Dr K. Wodzicki	Wellington (Nowa Zelandia)

Dr A. Wojcicki	Patzcuaro (Meksyk)
Bronisław S. Wojtuń	Allentown, Pa. (USA)
Ks. Kasjan Wolak	Bowenhills, Qld' (Australia)
Karol Woźnicki	Kansas City, Mo. (USA)
Dr Wanda Wróblewska	Philadelphia, Pa. (USA)
Dr Jan Wszelaki	Washington
Yale University Library, Slavic Div. (2)	New Haven, Conn. (USA)
W. Zachariasiewicz	Bronx, N.Y. (USA)
Marek Zadarnowski	Montreal (Kanada)
Franciszek Zajączek	Detroit, Mich. (USA)
Joseph Zalewski	Cambridge, Mass. (USA)
Adam Zandel	Forest Hills, N.Y. (USA)
Dr Jan Zawadzki	Toronto, Ont. (Kanada)
J.W. Zawoyski	Brooklyn, N.Y. (USA)
B. Zdobylak	Toronto, Ont. (Kanada)
K. Zdziarski	Caracas (Venezuela)
Dr L. Zeldowicz	Vancouver, B.C. (Kanada)
Janusz Zembrzuski	Paryż
Ks. Michał M. Zembrzuski, OSP (2)	Doylestown, Pa. (USA)
K. Ziemba	Llanerchymedd, Anglesey (Anglia)
Zjednoczenie Polsko-Narodowe	Brooklyn, N.Y. (USA)
Ilona K. Zucker	Lexington, Mass. (USA)
Henryk V. Żebrowski	Los Angeles, Cal. (USA)
Władysław i Adela Żeleńscy	Paryż
S. Żochowski	Brisbane, Qld' (Australia)

SPIS RZECZY

PRZEDMOWA 7

I

Wojna, pokój i dusza poety 19
Barbarzyństwo 44
Inwentarz kultury narodowej 51
Ze wspomnień byłego pacyfisty 69
Ostatnia instancja 85
Obowiązek sytych 90
Gorgułow i Pan Bóg 92
W obronie książek niemieckich 101
W godzinę żalu 104
Glossa do orędzia papieskiego 107
Epilog 111
Gorzkie uświadomienie 116
O potrzebie nowej moralności 119
Dlaczego nie przemawiałem do Polski 122
Puste słowa 124
Noworoczne wezwania do zgody 127
Żałoba po Helladzie 130
Kapliczka nieczystego sumienia 133
Blaski i nędze wygnania 139

II — ETAPY I NOWE ETAPY

Zamiast przedmowy 155
Z walizy włoskiej 158

Baedecker 158
Boski Gabriele 160
Żywy Assyż 163
Assyż, Vicolo San Spirito nr 5 168
Ślepi i głuchoniemi w Assyżu 171

Z walizy francuskiej 174

Ludzie w Paryżu 174
Zwierzęta w Paryżu 177
Sekwana w Paryżu 181
Literatura w powietrzu Paryża 187
Ponurość współczesnej prozy francuskiej 191
Chartres 195
Szkic z Normandii 200
Język polski w Ste Honorine 203
Wojna w Vincennes 205

Z walizy jugosłowiańskiej 211

Notatki fałszywego reportera 211
O pewnym moście 227
Apteka w Dubrowniku 234

Siesta w obcym mieście 238
Jenseits 243
Droga w świat 250
Abbaye de Royaumont 261
Włodarczyk nie przyjechał 272
Płaszcz 275
Do jakiej Ameryki jechałem 278
Mój pierwszy krok w Ameryce 281
Pod znakiem „kartofli" 293
Stara bibuła 295
Novi Eboraci 297
Poe w Bronxie 312

III

Mój Lwów 325
Pierwsze wrażenia z teatru 360
Widok z okna 365
Kilka słów o Mucku 374

IV

Orfeusz w piekle XX wieku 379
Pusty teatr 384
Św. Augustyn i teatr 390
„Jesus" Barbusse'a 395
„Św. Franciszek" Chestertona 399
„Pod słońcem szatana" 402
Pochwała „Słownika etymologicznego" Brücknera 407
Podróż Döblina po Polsce 410
Epopeja w kinie 413
Dwie powieści wojenne 417
Na marginesie książek Josepha Rotha 422
Niemiecka biografia Stendhala 426
Setny tom biblioteki Boy'a 430
Jan Stur 434
Gerhart Hauptmann 438
Książki o prześladowaniu Żydów 441
Sowiecka literatura ludowa 447
Śmierć Barbusse'a 456
R. M. Rilke i jego „Księga godzin" 459
Epopeja Döblina o Indianach 465
Uwagi o „Płaszczu" 469
Apollon i Asklepios 473
Karol Szymanowski i jego śmierć 479
Pamięci piewcy Powiśla 482
O Franciszku Fiszerze 485

Lekcja Struga 488
Odön von Horvath 491
Lis, Goethe i Staff 495
„Ogródek" i historia 498
O powieści historycznej i „Filipie II" Kestena 502
Wspomnienie o Józefie Rothcie 506
Pochwała fikcji poetyckiej 514
Uwagi o „Panu Tadeuszu" 520
Apologia Gombrowicza 530
Tragiczny Gogol 540
Śmierć Tuwima 556
Pro domo mea 562
Jeszcze Pro domo mea 580
Refleksje syna marnotrawnego 585
Śmierć i śmiech 591
O magii 600
Jeszcze o „Doktorze Żiwago" 608
O „Próbie autobiografii" Pasternaka 611
Szekspir i spółka 616
Hemingway, śmierć i zabijanie 622

PISMA POŚMIERTNE 629

LISTA SUBSKRYBENTÓW 639

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 28 FEVRIER 1963
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIIIe)

Dépôt légal : 1er trim. 1963

The Polish Library
Montreal

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
768110

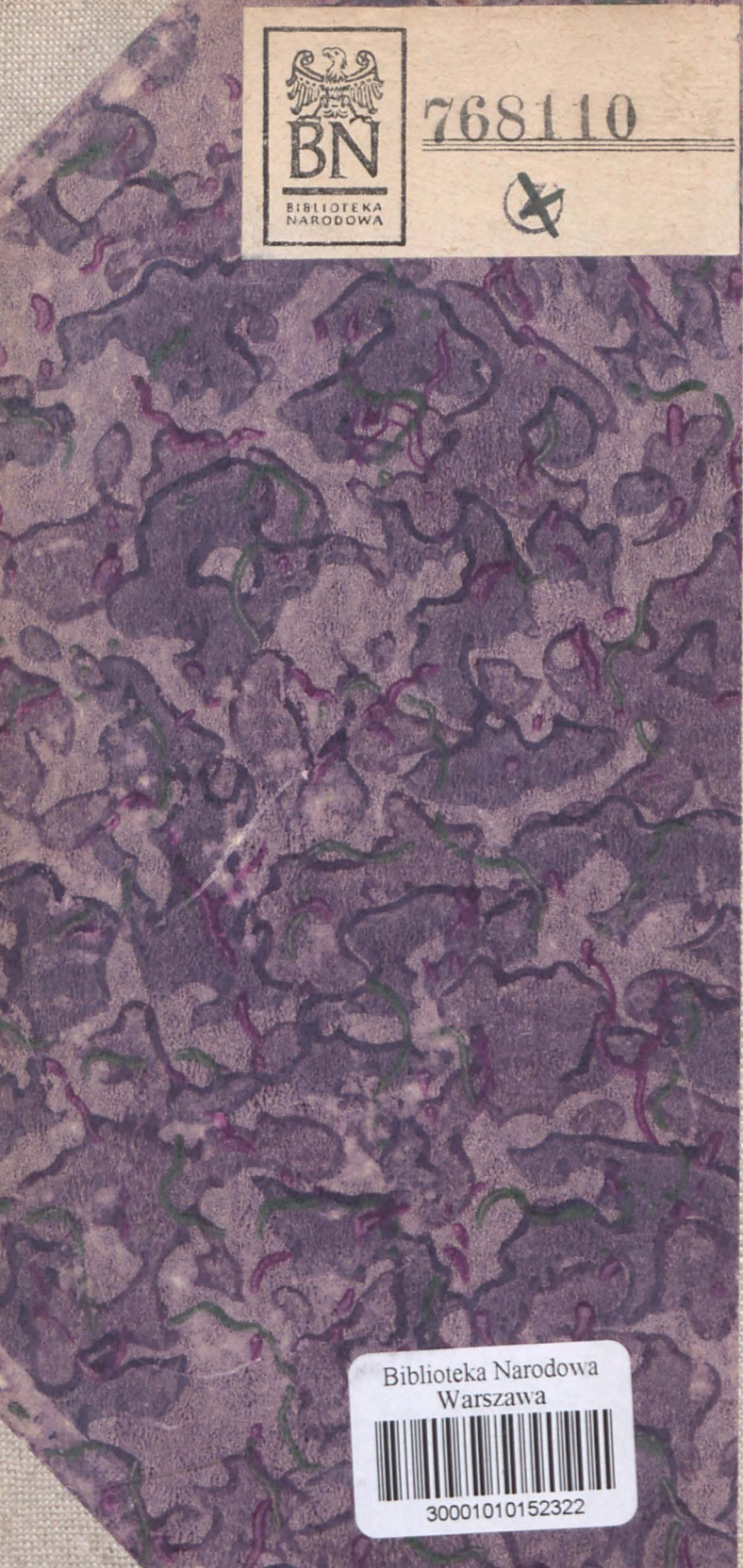

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001010152322